

KATE ELLIOTT

GLAZ
GOREJĄCY



ELLIOTT KATE
Korona gwiazd #3 Glaz
gorejacy

KATE ELLIOTT

Tłumaczyła Joanna Wołyńska

Tytuł oryginału *The Burning Stone*

Wydanie oryginalne: 1999

Wydanie polskie: Poznań 2003

Od Autorki

Dziękuję moim rodzicom, Katharine Kerr, Blance Maldonado i Dorothy Hosler za utrzymanie mnie przy zdrowych zmysłach, gdy tylko to się liczyło. Dziękuję też Jeanne Reames Zimmerman, Howardowi Kerrowi, Michelle Sagara i Sherwood Smith za przeczytanie manuskryptu na różnych etapach jego powstawania. Ann Marie Rasmussen, Ingrid Baber i Morten Stokholm służyli szczegółami i konsultacjami, gdy były one najbardziej potrzebne (czasami tuż przed ostatecznym terminem). Jay Silverstein, jak zwykle, rozwiązał najbardziej skomplikowany problem fabuły; nie poradziłabym sobie bez niego, o czym doskonale wie. Moja redaktorka, Sheila Gilbert, również służyła pomocą, gdy tylko miałam dostęp do telefonu.

Nadal obowiązuje nota bibliograficzna z *Księcia Psów* i choć kusilo mnie, by dodać tu kolejną, z powodu cudownych książek, które studiowałam, pisząc tę serię. Bez nich krajobraz byłby, jak już napisałam, zdecydowanie uboższy, wspomnę tu tylko trzy przekłady dawnych tekstów: dostarczające rozrywki, niekiedy zaś radośnie makabryczne pisma Liudpranda z Cremony, przekład F.A. Wright, redakcja John Julis Norwich, wydanie Everyman's Library; cudowna, brutalna i żywa *Saga of the Jomsvikings* (autor nieznany) i *Heimskringla: History of the Kings of Norway* (przypisywana Snorriemu Sturlesonowi), obie przełożone przez Lee M. Hollandera i wydane przez University of Texas Press.

Wspominam tu o tych książkach, by zainteresowani mogli poznać fragment fascynującej historii ludzkości, naszego wspólnego dziedzictwa. Pisarze nie pracują w próżni, a stwierdzenie, że nie zdołałabym napisać tej książki bez ludzi, którzy żyli wcześniej jest banałem, ale banałem prawdziwym.

Prolog

Uciekł tak daleko i nie złapali go, ale wiedział, że jego qumafiski pan nadal go ściga. Gdy chował się w krzakach rosnących nad brzegiem strumienia, wstrząsały nim dreszcze. Jego szaty były wciąż wilgotne. Wczoraj wyprowadził ich w pole, przepływając rzekę, ale nie zrezygnowali z pogoni. Książę Bulkezu nigdy nie pozwoli, by niewolnik publicznie go znieważył, a potem uszedł.

W końcu uspokoił się, aby słuchać leniwego szumu wody i szelestu liści na wietrze. Po drugiej stronie strumienia pojawiły się dwa drozdy o nakrapianych piersiach, tłuste i zachęcające. O Boże, jaki był głodny.

Ptaki odleciały, jakby zamiast owadów złowiły jego myśli. Zanurzył dłoń w wodzie i zaczerpnął. Uwiedziony chłodnym smakiem, pił całymi garściami, aż zaczęła go piec skóra. Obok jego kolana warstwa zeschniętych liści zebrała się w kupkę. Podniósł ją, wyćwiczonym gestem złapał kilka robaków i wepchnął je do ust. Przez chwilę czuł, jak się wiją, ale nauczył się przelikać szybko.

Zakaszłał, dławiąc się, zemdlilo go. Był dzikusiem, skoro tak jadał. Ale jaki wybór dali mu Qumanowie? Wyśmiewali jego nauki, a potem odebrali księgę i wolność. Wyśmiewali się z jego szat, ogolonego podbródka i dumnej obrony Pana i Pani, i Kręgu Jedności pomiędzy mężczyzną

a kobietą, by potem traktować go jak swoje niewolnice czy mężczyzn, których uważali za pochwy, nie za miecze -- z taką pogardą, że krzywił się na samo wspomnienie. Ale robili też gorsze rzeczy, znacznie gorsze, i śmiali się, czyniąc to; dla nich uczynienie z mężczyzny prawdziwej kobiety stanowiło rozrywkę, a było to jedno z największych upokorzeń, jakich można doznać. O Boże! Ból i infekcja nieomal go zabiły.

Ale to już się skończyło. Przeróżliwy krzyk jastrzębia poderwał go na równe nogi. Odpoczywał wystarczająco długo. Ostrożnie wyczołgał się z krzaków, przeciął strumień i ruszył biegiem. Był taki zmęczony. Ale na zachodzie leżał kraj, z którego dumnie wyruszył tak dawno temu, że stracił rachubę: pięć lat albo siedem, albo dziewięć. Zamierzał tam wrócić lub zginąć. Nie chciał być dłużej qumańskim niewolnikiem.

Zapadł zmrok. Rosnący księżyc rzucił tyle światła, że widział drogę przed sobą, cień pośród cieni na bezbarwnej równinie. Nad głową krążyły gwiazdy; kierował się na zachód, mając gwiazdę polarną nad prawym ramieniem.

Bardzo późno błysk światła w ciemności zwrócił jego uwagę. Zaklął pod nosem. Czyżby oddział go wyprzedził i teraz czatował, jak pajak, który czeka, aż mucha wpadnie w sieć? Ale dumny Bulkezu tak się nie zachowywał. Bulkezu był honorowy na modłę swego ludu -- o ile można to nazwać honorem -- ale gdy pojawiały się kłopoty, zachowywał się jak byk: nie było w nim ani odrobiny subtelności. Siła i odwaga zawsze najlepiej mu służyły.

Nie, to był ktoś -- lub coś -- innego.

Podczołgiwał się, zataczając kręgi, aż w końcu w szarości przedświt ujrzał przygarbione kształty głazów na szczycie wzniesienia, samotnych na równinie, jakby olbrzym, przechodząc któregoś dnia, beztrąsko je tu umieścił, a potem o nich zapomniał. Jego własny lud nazywał takie kamienne kręgi koronami; ogień rozpalono wewnątrz korony. Po tym poznał, że nie był to obóz Qumanów: są zbyt przesądni, by zapuszczać się w to nawiedzone miejsce.

Zbliżył się na czworakach. Trawa laskotała go w dłonie. Księżyc zachodził, a na wschodzie pojawiła się pierwsza cienka linia światła. Ogień gorzał coraz jaśniej i jaśniej, powodując ból oczu. Gdy zbliżył się do najbliższego kamienia, ukrył się za nim i rozejrzał wkoło.

Ostry blask nie pochodził od obozowego ogniska.

W kamiennym kręgu stał mniejszy, pionowy głaz, wysoki i gruby jak człowiek. I płonął.

Kamień nie może się palić.

Odruchowo dotknął drewnianego Kręgu Jedności, który nadal nosił. Modliłby się, ale Qumanowie odebrali mu również wiarę.

Przy płonącym glazie kuciała kobieta. Miała zaokrąglone kształty, jak każdy, kto jada do woli, i siłę drapieżcy, muskularnego i szybkiego. Jej włosy miały kolor ognia, rozpinającego w powietrzu sieć płomieni. Jej skóra również miała brązowożłoty połysk, jak płomień. Kobieta nosiła naszyjniki, które lśniły i skrzyły się w blasku tego niezziemskiego ognia.

Czarodziejskiego ognia.

Kołysała się na piętach, śpiewając niskim głosem. Ogień rozgorzał tak jasno, że oczy zaszyły mu łzami, ale nie mógł odwrócić wzroku. Poprzez płonący głaz jak przez bramę, widział inny kraj, słyszał go, miejsce, które było bardziej cieniem niż rzeczywistością, nikłe niby świat duchów, o którym bajala jego sędziwa babka, ale z nagłym połyskiem barw, jasnych piór, białych muszli, szlakiem rudawej ziemi, ostrym ptasim gwizdem.

A potem wizja zniknęła, głaz zgasł, jakby przysypany ziemią.

I głaz, i ogień przypadły.

Chwilę później z sykiem i szumem rozkwitł zwyczajny ogień. Kobieta podsycała ognisko wysuszonym łajnem i gałązkami. Kiedy tylko się rozpałiło, kłasnęła językiem, wstała i odwróciła się ku niemu.

O Panie! Nosila skórzane sandały, związane rzemieniami oplatającymi jej łydki, i miękką spódnice uszytą z jasnej skóry, uciętą niedbale nad kolanami. I nic więcej, chyba że za ubranie służyła jej obfitość naszyjników. Było ich, zrobionych ze złota i paciorków, wystarczająco wiele, by niemal skrywały jej piersi -- dopóki się nie poruszyła. Zaiste wiédźma.

Nie wyglądała jak człowiek. W prawej ręce dzierżyła oszczep z obsydianowym ostrzem.

--Chodź -- powiedziała po wendarSKU.

Od tak dawna nie słyszał mowy swego ludu, że w pierwszej chwili nie zrozumiał słów.

--Chodź -- powtórzyła. -- Czy rozumiesz ten język? -- Spróbowała ponownie, wymawiając słowa, których nie znał.

Gdy się prostował, poczuł ból kolan. Powoli ruszył do przodu, gotów do ucieczki, ale ona tylko go obserwowała. Podwójny pas czerwonej farby, jak barbarzyński tatuaż, biegł od wierzchu jej lewej dłoni przez łokieć aż do ramienia. Nie nosila okrągłego filcowego kapelusza jak Qumanki ani nie zakrywała włosów szalem, jak to zwykły czynić Wendarki. Włosy przytrzymały jedynie skórzane paski z paciorkami. Pojedyncze kolorowe pióro, na wpół ukryte, spływało z tyłu. Lśniło tak czystą, niezwykłą zielenią, że wydawało się zrobione z ułameków szmaragdu.

--Podejdz -- powtórzyła po wendarSKU. -- Kim jesteś?

--Jestem mężem -- powiedział ochryple, a potem zastanowił się z goryczą, czy nadal mógł się za niego uważać.

--Jesteś z ludu Wendaru.

--Jestem z ludu Wendaru. -- Był zaskoczony tym, jak trudno mu przychodziło mówienie w języku, którego zabroniono mu używać u Qumanów. -- Zważ mnie... -- urwał. „Pies”, „robak”, „niewolnica” i „kawał gówna”, tak nazywali go Qumanowie i nazwy te nie różniły się zbytnio od siebie. Ale uciekł Qumanom. -- Ja... kiedyś nazywano mnie Zachariaszem, synem Elsevy i Volusianusa.

--A teraz jak cię zwać?

Zamrugał.

--Moje imię się nie zmieniło.

--Wszystkie imiona się zmieniają, wszystkie rzeczy się zmieniają. Ale przekonałam się, przebywając pośród ludzi, że jesteście ślepi na tę prawdę.

Na wschodzie łuk tarczy słonecznej wzniósł się nad horyzontem; musiał przysłonić oczy.

--Kim jesteś? -- wyszeptał.

Świt przyniósł wiatr.

Ale to nie był wiatr. Śpiewał w powietrzu jak szum skrzydeł i dźwięk ten odebrał mu dech. Chciał się odezwać, ostrzec ją, ale krzyk uwiązł mu w gardle. Obserwowała go, nie mrugając. Była sama, nie uzbrojona, jeśli nie liczyć oszczepu; wiedział, jak Qumanowie traktowali kobiety, które nie należały do ich ludu.

--Uciekaj! -- wychrypiał.

Odwrócił się i oszołomiony przywarł do kamieni, rozplaszczając się na nim. Ukrył się za

górującym nad nim kamiennym blokiem. Nadal mógł uciec, ale czy nie było już za późno, skoro dało się słyszeć świst ich skrzydeł łopoczących na wietrze? Jak gryfy polujące w wysokiej trawie, qumańscy wojownicy dopadali swą zdobycz z szybkością błyskawicy i bez ostrzeżenia, prócz tego bezcielesnego pomruku wibrującego w powietrzu, zwiastuna ich nadejścia.

Nauczył się szacować ich liczbę po tym dźwięku: co najmniej tuzin, nie więcej niż dwudziestu. Spośród szumu wybijała się płynna, żelazna pieśń skrzydeł prawdziwego gryfa.

Straszne, zaczął płakać z przerażenia. Qumanowie mawiali: „Jak kobieta”; jego lud zwykł mawiać: „Jak tchórz i niewierny”, ktoś pełen słabości. Ale był taki zmęczony i słaby. Gdyby okazał się silny, poddałby się męczeństwu ku większej chwale Boga, ale za bardzo się bał. Wybrał słabość i życie. Dlatego został przez Nich zapomniany.

Poruszyła się, by spojrzeć na wschód przez portal utworzony z trzech kamieni. Był tak zdziwiony jej spokojem, że odwrócił się, i ujrzał.

Nadjeżdżali, ich skrzydła roztaczały blask, a szum zagłuszał nawet tętent kopyt. Skrzydła płynęły, wirowały, śpiewały i wibrowały. Kiedyś myślał, że są prawdziwe, ale teraz już wiedział: zrobiono je z piór przymocowanych drutem do drewnianych ram, które przynitowano do zbroi. Na niej połyskiwały luski, kawałki metalu wszyte w sztywne skórzane kurty. Na sztandarze niesionym na lancy powiewał znak klanu Pechanek: rysy po szponach śnieżnej pantery. Istniało wiele qumańskich plemion. I o tym dobrze wiedział.

Jeździec, który prowadził owe plemiona, miał skrzydła lśniące twardym, żelaznym blaskiem piór gryfa. Jak inni nosił metalową przyłbicę, wykutą i ukształtowaną na podobieństwo ludzkiej twarzy, pozbawionej uczuć i przerażającej, ale Zachariasz nie musiał widzieć jego prawdziwej twarzy, by wiedzieć, kto to był.

Bulkezu.

To imię było jak śmiertelny cios zadany w serce.

Oddział piętnastu jeźdźców zbliżył się do kamiennego kręgu, zwalniając; szum ich skrzydeł osłabł. Zachowując bezpieczny dystans, przyjrzeni się kręgowi i rozdzielili, by ocenić jego średnicę i kamienne portale, ukształtowanie terenu, siłę obrońców. Konie płoszyły się z początku, przestraszone wielkimi bryłami kamienia lub nocnym cieniem, wciąż zalegającym w środku, ale zachęczone przez jeźdźców uspokoiły się i zdecydowały podejść bliżej.

Kobieta stanęła u wschodniego portalu, ściskając w rękę oszczep. Czekala, nie okazując strachu. Jeźdźcy wykrzykiwali do siebie. Ich słowa poniósł wiatr, którego Zachariasz nie czuł -- słyszalne, ale tak odległe, że nie mógł zrozumieć, co do siebie wołali, jakby dźwięk docierał do niego przez wodę.

Szum znów się wzmógł, gdy wszyscy jeźdźcy ruszyli galopem i zaatakowali, ze wszystkich stron kręgu. Skrzydła łopotały; kopyta stukwały; poza tym nadjeżdżali w ciszy, jeśli nie liczyć skrzypienia ich skórzanych zbroi na drewnianych siodłach.

Oślepiiony wstającym słońcem, Zachariasz widział tylko żelazne skrzydła, żelazną twarz i błyszczące luski zbroi Bulkezu. Pióra zatknięte po obu stronach jego helmu lśniły bielą i brązem. Gryfie pióra, osadzone w zakręconych drewnianych skrzydłach przymocowanych do jego pleców, błyszczały jak stal. Tam, gdzie grunt był równy, tuż przed wschodnim portalem, Bulkezu zaszarżował na czekającą kobietę, opuszczając lancę.

Zachariasz wypuścił z sykiem powietrze, ale nic nie uczynił. Wiedział już, że jest tchórzem i słabeuszem. Nie potrafił stawić czoła człowiekowi, który najpierw go wyśmiał, potem zgwałcił,

a w końcu wykastrował.

Nie potrafił -- ale obserwował kobietę czekającą w bezruchu, najpierw obojętnie, a potem ze wzburzoną tęsknotą. Niedostrzeżalnym ruchem rozprostowała palce. Z jej otwartej dłoni uniosła się mgła, by połknąć świat. Tylko powietrze w kręgu pozostało nietknięte, zabarwione delikatną niebieską mgiełką. Nieziemska mgła pochłonęła świat poza kamieniami.

Wszystkie dźwięki rozplynęły się w tym oparze, szum i syk wirujących piór, zbliżające się konie, odległy szum wiatru w trawach.

Kobieta odskoczyła na bok, wydając nagły, ostry okrzyk. Niewyraźnie zamajaczyła sylwetka konia i ucieleśniła się w chwili, gdy gryfie pióra przecinały drogę przez mgłę. Koń bezszelestnie wyskoczył z mgły i wbiegł w kamienny krąg, kopytami miażdżąc kamyki. Bulkezu musiał się schylić, by jego skrzydła nie zawadziły o portal.

Inni jeźdźcy zmienili się w niewyraźne figury, poszukujące wejścia, ale nie byli oni bardziej namacalni niż ryby pływające pod brudną powierzchnią stawu. Nie mogli opuścić świata otulonego mgłą. Nie mogli wstąpić w krąg.

Wódz szybko rozejrzał się wokół, ale kobieta zniknęła. Kiedy zawracał konia, gryfie pióra zostawiały iskry w błękitnej mgle. Ze wszystkich rzeczy znajdujących się w tym miejscu tylko pióra zdawały się nieczule na rzucone czary.

--Psie! -- zawołał, widząc Zachariasza. -- Robaku! Nie uciekłeś mi! -- Popędził konia, wypychając lancę między kolano a koński bok i dobył miecz. Zachariasz cofnął się, uwięziony przy kamieniu. Nie miał dokąd uciec.

Ale koń nie zrobił nawet trzech kroków, gdy nagle ziemia zatrzęsała się, a wraz z nią z loskotem i zgrzytem olbrzymie kamienie. Zachariasz czuł za plecami jedynie solidny, nieruchomy głaz. Koń Bulkezu padł na kolana, rżąc w przerażenia i zrzucając jeźdźca. Kamienie zataczały się, jakby zakłęcie, które trzymało je w miejscu, w tej właśnie chwili zostało zdjęte. Zachariasz krzyknął i uniósł dłonie, chcąc się ochronić, jednak ciało nie mogło się oprzeć kamieniom.

To było coś więcej niż czary.

Kobieta pojawiła się znowu pośrodku kręgu, stojąc pewnie, a wstrząs ziemi rozkołysał tylko złote naszyjniki, które nosiła. Bulkezu za nią podnosił się z klęczek. Zachariasz spróbował krzyknąć, ale powietrze zamarło mu w płucach i mógł jedynie jęknąć, zakrztusić się i pokazać palcem.

Kobieta obróciła się ze stęknieniem i uderzyła oszczepem pomiędzy dwoma lukami skrzydeł Bulkezu, prosto w jego głowę. Bulkezu padł na brzuch, a jego hełm przekrzywił się na jedną stronę, skrywając jedynie czubek głowy. Krew popłynęła ze szczytu czaszki, brudząc czarne włosy. Drżenie ziemi ustało, ale mgła nadal wisiała. Poza kręgiem jeźdźcy krążyli między jednym portalem a drugim, wciąż szukając wejścia.

Kobieta podeszła bliżej do Bulkezu -- a on przetoczył się na bok, poderwał i rzucił w tył w półobrocie. Końcówki jego śmiertelnych skrzydeł zasyczały w powietrzu, tnąc jej brzuch i tarczę z naszyjników. Turkusowe i jadeitowe paciorki i złote kulki rozsypały się wokół. Odskoczył i zerwał się, trzymając przed sobą miecz. Szarpnął hełm, potem jeszcze raz, gdy nie chciał się dopasować, potem ze wściekłym pomrukiem zdjął go z głowy i odrzucił, w końcu odsłaniając twarz: wedle Qumanów dumną i przystojną.

Brzydkie czerwone szramy wykwitły na brązowej skórze kobiety. Krew z ran spłynęła

czerwonymi strumyczkami ku paskowi jej spódnicy.

Stanęli twarzą w twarz, oboje ranni, oboje ostrożniejsi. Oceniali się nawzajem: qumański jeździec, straszący błyskiem gryfich piór przymocowanych do skrzydeł na plecach -- tylko mężczyzna, który zabił gryfa, mógł nosić takie skrzydła, i obca kobieta, nie pochodząca z ludzkiej rasy, z brązowymi włosami i skórą, i krwią płynącą niepowstrzymanie w dół brzucha. Utkwiła w przeciwniku wzrok równie nieprzenikniony jak glaz za plecami Zachariasza.

Bulkezu wyprysnął naprzód, uderzając mieczem w oszczep i skracając dystans. Zachariasz jęknął głośno. Jej oszczep uprzedził jednak cios Bulkezu i gdy się cofnęła, uderzyła go drzewcem, celując za kolana. Nie była ani drobna, ani szczupła: siła jej ciosu powaliła go, ale zdołał usiąść i uderzeniem miecza zablokować drzewce. Odskoczyła, porzucając oszczep. Kiedy jednak Bulkezu podniósł się, by ją ścigać, oszczep się poruszył. Niby ożywający wąż owinał się wokół jego nóg. Upadł i opierając się na rękach, próbował wstać, ale gdy jego miecz dotknął ziemi, utonął w piasku jakby pociągnęły go niewidzialne szpony. Mimo starań nie mógł go odzyskać.

Kobieta znów podniosła ramiona, jej pierś była naga prócz jednego złotego łańcucha. Ziemia ponownie się zatrzęsła, mocniej niż poprzednio. Olbrzymie leżące kamienie zadrżały, zaczęły się zsuwać i uderzać o siebie. Wiatr powalił Zachariasza na kolana. Bulkezu ciało sztyletem zaczarowany oszczep owinięty wokół nóg, ale bez skutku. Za każdym uderzeniem pojawiały się drzazgi, które wypuszczały korzenie wrastające w podłoże, aż wielka sieć uwięziła łydki Bulkezu i zaczęła się pięć ku ramionom. Wściekły, rzucił w kobietę sztyletem. Ona patrzyła tylko, rozkładając ramiona, krew spływała po jej piersiach i zbierała się w załamaniach spódnicy.

Ale sztylet jakby zwolnił -- czy też była to jedynie sztuczka mgły i drżących glazów? Gdy drżenie ustalo, sztylet zamarł, zawieszony w powietrzu.

Niemożliwe. Zachariasz dźwignął się na nogi, opierając się na glazie. Kim ona była?

--Bądź przeklęta, więdźmo, czego chcesz? -- krzyknął Bulkezu, ale nie odpowiedziała; nie rozumiała go i ignorowała. W gęstej mgle za kręgiem jeźdźcy nadal szukali wejścia.

Bulkezu wił się na ziemi, ale nie mógł się uwolnić z podobnej korzeniom płataniny. Jego miecz pochłonęła ziemia. Był wściekły. Powalony przez zwykłą kobietę, do tego uzbrojoną w najbardziej prymitywne narzędzie! Ale nienawiść Bulkezu nie była silniejsza od podniecenia Zachariasza.

Zachariasz zapiał jak kogut. Dożył dnia, w którym Bulkezu został zwyciężony.

--Czary to broń potężniejsza niż ostrze -- wykrzyknął w języku Qumanów. -- I co z tego, że to zwykła kobieta, a ty jesteś silnym wojownikiem? I co z tego, że plemiona śpiewają o tobie pieśni, bo zabiłeś gryfa, pierwszy od pokoleń? Możesz być biegły w walce, potężny, ale ona uzbrojona jest w coś niebezpieczniejszego niż czysta siła. Jej czary cię więżą. Możesz ją tylko zabić, nigdy nie podporządkujesz jej woli, jak ona zrobiła z tobą. A po prawdzie, zabić jej też nie możesz.

--Psy szczekają, ale nic poza tym -- warknął Bulkezu, nie patrząc na niego. -- A jeśli chodzi o ciebie, ty, która jesteś zaledwie kobietą, zyskałaś dziś wroga.

Ale kobieta się uśmiechnęła, jakby pogroźka zasługiwała jedynie na wyśmianie. W tejże chwili Zachariasz się w niej zakochał -- lub w tym, czym była, co miała: nie była tchórzem, a jej bogowie stąpali wraz z nią. I co z tego, że nie posiadał już tej części ciała, którą uważano za

miarę męskości? Czyż sam błogosławiony Daisan nie powiedział, że spokój miłości trwa po kres czasu i nie ma nic wspólnego z cielesnym pożądaniem? Była wszystkim, czym on nie był.

--Błagam -- wykrzyknął ochryple po wendarsku. -- Pozwól mi służyć tobie, bym nauczył się siły.

Spojrzała na niego, a potem się odwróciła, by złapać i spętać konia. Obok ognia leżał luk i kołczan. Podniosła je, a potem ostrożnie podeszła do wściekłego wojownika i wyrwała gryfie pióro z drewnianych ram, które jak pasterskie laski wznosiły się nad jego głową. Jej palce natychmiast zalały się krwią, ale tylko je oblizwała i wyszeptała coś, jakby modlitwę.

--Nie, błagam, pozwól mnie to zrobić. -- Zachariasz podszedł, zataczając się, podczas gdy Bulkezu przeklinał w głos. -- Pozwól mi to zrobić. Zhańbił mnie, a w ten sposób ja mogę po trzykroć zhańbić jego.

Cofnęła się, patrząc na niego spod przymrużonych powiek. Nigdy wcześniej nie widział tak zielonych oczu, bez skazy, lśniących jak polerowany jadeit. Mierząc go wzrokiem, podjęła decyzję. Nim się cofnął, nacięła jego lewe ucho nożem z obsydianu, a kiedy krzyknął z zaskoczenia, zlizwała wzbierającą krew -- a potem wręczyła mu nóż i odwróciła się do niego plecami, jakby był zaufanym sługą.

--Uderz teraz! -- krzyknął Bulkezu. -- A zapewnię ci honorowe miejsce pomiędzy moimi niewolnikami!

--Niewolnicy nie mają honoru. Nie jesteś już moim panem!

--Nie poznajesz, czym ona jest? Ashioi, plemię złota. Ci, którzy zniknęli z kości ziemi.

Chłód kamieni wkradł się do krwi Zachariasza i przeszył go do szpiku kości. Teraz wszystko nabrało sensu. Przybyła ze świata cieni. Była jedną z Aoi, Zaginionych.

Bulkezu stęknął, wciąż się szamocąc. Tylko ten, kto nigdy się nie poddawał, mógł wytropić i zabić gryfa.

--Nalóżę na nią cenę krwi. Moi jeźdźcy wytropią was, ją zabiją, a ciebie przywiodą, byś pelzał u mych stóp.

Zachariasz roześmiał się i natychmiast strach uleciał, stał się niczym w porównaniu ze zwycięstwem nad człowiekiem, który go poniżył.

--Targujesz się, a potem grozisz, Bulkezu, najpotężniejszy synu klanu Pechanek. Ale to, co mi odebrałeś, jest niczym w porównaniu z tym, co ja odbiorę tobie, bo Bóg daje ciało wszystkim ludziom, a męstwa i sławy, gdy ci je odbiorę, nigdy nie odzyskasz. Ja, pies, kawał gówna, którego używałeś jak niewolnicy! -- Sięgnął po pióro.

--Przeklinam cię! Nigdy nie będziesz niczym więcej jak tylko niewolnikiem i na zawsze pozostaniesz robakiem! I zabiję cię! Przysięgam na kości Tarkana!

Niby echo groźby twarde jak żelazo pióra przecinały skórę Zachariasza przy każdym dotyku, aż jego dłonie i palce pokryły się wieloma krwawymi ranami. Krew powalala jego dłonie i uczyniła je śliskimi, a Bulkezu miotał się i przeklinał, gdy Zachariasz oskubywał jego skrzydła, ale nie mógł uwolnić się z więzów.

Wziął wszystkie pióra, prócz jednego, i kiedy skończył, mimo krwawiących dłoni jego serce się radowało.

--Zabij go teraz! -- zawołał.

--Jego krew mnie opóźni. -- Powiedziała to bez emocji i zrozumiał, że nie było sensu się z nią spierać. -- Ty też go nie dotkniesz -- dodała. -- Jeśli chcesz mi służyć, musisz służyć także

mojej sprawie, a nie własnej.

Złapała dłonie Zachariasza i oblizwała je do czysta z krwi, potem puściła go i gestem pokazała, że powinien umieścić większość piór w kołczanie. Przyzdobiła kilka swych strzał o kamiennych grotach gryfimi lotkami, a później podrzucała je w dłoni, sprawdzając wyważenie. Zadowolona, podeszła do wschodniego portalu i zaczęła strzelać do jeźdźców, którzy krążyli wokół schronienia. Natychmiast zasypali kamienie gradem śmiertelnych strzał. Pokonała czterech z nich, zanim zrozumieli, że chociaż ani oni, ani ich strzały nie mogą się przedostać do kręgu, jej strzały mogą z niego wylecieć. W końcu wycofali się spod ostrzału, zabierając rannych. Zachariasz dostrzegł ich, jakby w oddali, jak oglądali strzały i wykrzykiwali coś, galopując na wschód.

--Moje plemię wróci rychło z wojownikami -- powiedział Bulkezu, choć wiedział już, że kobieta nie rozumiała jego słów. Uspokoił się i nie groził, lecz mówił z pewnością człowieka, który wygrał wiele bitew i wie, że wygra ich jeszcze więcej. -- A wtedy będziecie bezbronni, nawet mając moje pióra.

--A ty będziesz bezbronny bez nich!

--Mogę zabić następnego gryfa. W głębi serca, glisto, zawsze pozostaniesz robakiem.

--Nie -- wyszeptał Zachariasz, ale wiedział, że to prawda. Kiedyś był mężczyzną, ponieważ dotrzymywał swych przysięg. Ale zapomniał o ślubach, kiedy Bóg zapomniał o nim.

Bulkezu spojrział na kobietę. Mógł ruszać szyją i ramionami, przesunąć się nieco, by ulżyć dłoniom i kolanom, ale nadal był przyszpilony do ziemi, niezależnie od tego, jak bardzo starał się pokonać zaklęcie.

--Zwołam armię, a gdy to uczynię, spalę każdą wioskę na mej drodze, aż przydepnę ci gardło, trzymając jej głowę w dłoni.

Zachariasz zadrzał. Ale zaszedł zbyt daleko, by strach go teraz złamał. Mimo że tego nie oczekiwał, znów był wolnym człowiekiem, z własnej woli służącym innemu. W sercu może i był robakiem, ale serca się zmieniają. Ona mówiła, że wszystko się zmienia.

--Chodź, ty, którego niegdyś zwali Zachariaszem, synem Elsevy i Volusianusa. -- Cofnęła się od krawędzi kręgu i uniosła dwa wiklinowe kosze, po czym zawiesiła je na oszczepie Bulkezu i przywiązała broń do siodła. Przytroczyła też trzy dziwnie wyglądające sakwy z bladej skóry, z których każda miała pięć niekształtnych palców od spodu, jakby wykonane zostały z krowich wymion albo spuchniętych dłoni, pozbawionych kości. Zasypała ognisko piachem. Zagwizdała niemelodyjnie i podniósł się wiatr, zmieniający mgłę poza kręgiem w ostre, tnące podmuchy. Jeźdźcy oddalali się coraz bardziej.

Bulkezu walczył z częściami oszczepu przyszpilającymi go do ziemi, ale nadal nie mógł się ruszyć. Ostatnie gryfie pióro łopotalo i syczało na wietrze. Kiedy ona poprawiała uprząż, nie zwracając na niego uwagi, on sprawdzał, jak daleko może wysunąć swe skrzydła albo czy potrafi zgiąć się wystarczająco, aby przeciąć zaczarowane drewno piórem.

--Zemszczę się!

Nie zwróciła uwagi na tę pogroźkę. Kiedy uznała, że wszystko jest w porządku, wróciła do wschodniego portalu, by popatrzeć. Mgła wisiała wokół i dzięki temu ona i Zachariasz mogli łatwo uciec, ukryci przed oczami i uszami czekających jeźdźców. Ale ile czasu minie, zanim Qumanowie ich wytropią?

Odwróciła się i uśmiechnęła do swego towarzysza, jakby, podobnie jak spotkany drozd,

odczytała jego myśli. Starannie wytarła wysychającą krew z brzucha, a potem złożyła czerwone dłonie i wymówiła słowa. Zachariasz poczuł uderzającą falę ciepła i kiedy glaz gorejący znów objawił się pośrodku kamiennego kręgu, zrozumiał, że Aoi nie zamierzała opuścić tego miejsca normalną drogą.

Kobieta intensywnie wpatrywała się w niego, sprawdzając jego odwagę. Bulkezu umilkł. Zachariasz puścił końskie wodze i odpiął zawiniątko za siodłem, rozwinął je w piękny skórzany płaszcz do kolan, w jaki odziewali się Qumanowie, gdy nie nosili zbroi. Podał go jej, by się w niego odziała, ponieważ teraz od pasa w górę okryta była nawet nie naszyjnikami, tylko rozmazaną i zasychającą krwią.

Kamień płonął w ciszy. Wiatr dął wokół nich, gwizdząc wśród kamieni.

Bulkezu odrzucił głowę i zawył, wydając z siebie modulowany ryk, który wedle szamanów był głosem samca gryfa. Zachariasz słyszał ten krzyk raz, z daleka, kiedy klan Pechanek wędrował po stepie: dzikiej krainie, nie opanowanej przez człowieka, w którą zapuszczali się jedynie bohaterowie i szamani. O Boże! Nigdy go nie zapomniał.

Ale nie da sobie odebrać odwagi, którą sobie wywalczył.

Ruszyła do przodu. Zachariasz podążył za nią, prowadząc konia.

Ogień oparzył mu twarz, ale zanim cofnął się przed płomieniami, przeszli przez bramę. Wrzask Bulkezu, wysoki gwizd wiatru pomiędzy trawą i kamieniami, lepki upał letniego dnia pełnego mgły -- wszystko zniknęło, jakby zostało odcięte ostrym i bezlitosnym mieczem.

CZEŚĆ PIERWSZA

MARTWA DŁOŃ

Rozdział pierwszy

To, co wiąże

1.

Ruiny rozciągały się od brzegu rzeki aż po trawiaste wzniesienie, gdzie ostatni mur zbudowano u stóp stromego wzgórza. Tutaj, na spękanej ścianie, w świetle malejącego księżycyca, przysiadła sowa. Złożyła skrzydła i niezwykłym, ostrym spojrzeniem właściwym socom przyglądała się kręgowi kamieni wieńczącemu szczyt wzgórza.

Gwiazdy bladły, robiło się coraz jaśniej, a ukryte we wciąż zalegającej mgle wstawało słońce. Księżyc zniknął na rozjaśniającym się niebie. Sowa czekała. Mysz przebiegła w pokrytej rosą trawie, ale sowa nie poruszyła się, by ją złowić. Króliki wystawiały nosy z nor, a ona zdawała się ich nie zauważać. Wzrok miała utkwiony w jeden punkt, ale mrugnęła raz. Drugi. Trzeci.

Być może mgła podniosła się na tyle, aby promienie wstającego słońca rozświetliły gałzy, tworzące wielki krąg na wzniesieniu. Błysnęło światło, a sowa uniosła się w powietrze, mocno bijąc skrzydłami, by nabrać wysokości. Znad kamieni sfrunęła do środka kręgu, gdzie kilka innych gałzów tworzyło wzór niezrozumiały dla ludzkich oczu. Płomień gorzał na powierzchni najmniejszego z nich pośrodku kręgu. Z płomienia dobyły się słowa ciche jak szept podsłuchany przez dziurkę od klucza: dwa spierające się głosy.

--Wydaje mi się, że wszyscy byliście za łagodni. Ktoś twardszy rozwiązałby problem dawno temu i podporządkowałby swej woli osobę, której szukacie.

--Nie, siostró. Nie w pełni rozumiesz sprawę.

--Ale czyż nie przyznaliście, że posiadam pewne dary, których nie mają inni? Czy nie dlatego przywiedliście mnie tutaj? Czy nie lepiej byłoby pozwolić mi działać, gdyby wasz plan się nie powiódł? Zobaczylibyście, do czego jestem zdolna.

--Nie zgadzam się.

--Ostatnie słowo nie należy do ciebie. Niech inni się wypowiedzą.

Wiatr szumiał w odległych drzewach i szeptał wśród kamieni. W pobliżu pojawił się zając, który na chwilę zatrzymał się i nasłuchiwał, ruszając uszami, by potem dać susa w tymianek i szalwię.

--Niczego nie ryzykujemy, jeśli jej się nie uda - rzekł trzeci głos. -- Skorzystamy zaś, jeśli jej się powiedzie, bo wtedy nasza nieobecna siostra szybko do nas wróci i prędzej zajmiemy się pracą.

Te słowa zagłuszył czwarty głos:

--Jestem ciekawy. Chciałbym, aby zademonstrowano te metody, o których tyle słyszeliśmy.

--Mnie to obojętne - powiedział piąty, tak cichy, że niemal zagłuszał go wiatr. -- To bzdura. Róbcie, jak uważacie.

Przemówił pierwszy głos:

--Wobec tego spróbuję. To, co wam tak długo umykało, mnie nie umknie!

Sowa sfrunęła spiralnym lotem. Nagle z gracją złożyła skrzydła i, nie bacząc na płomień, siadła na gładkim szczytce rozpalonego gałzu. Światło słoneczne przebiło ostatnie pasma mgły i rozświetliło wspaniałą kamienny krąg.

W jednej chwili płonący głaz zniknął -- a z nim sowa.

2.

W każdej wiosce obcy wzbudza ciekawość i nieufność. Ale Orły nie były obcymi w pełnym tego słowa znaczeniu; wiecznie w ruchu, były królewskim ramieniem -- lub lepiej powiedzieć, skrzydłami -- i mogły w każdej chwili przylecieć, a rankiem znów odfrunąć, nigdy nie zaznajając prawdziwego spoczynku.

Liath odkryła, że służąc jako Królewski Orzeł, może liczyć na chwile samotności jedynie na szlaku, ponieważ trakty były nieuczęszczane. Kiedy tylko się zatrzymywała, by się posilić lub spędzić gdzieś noc, nie zaznała wytchnienia, dopóki nie zasnęła. Wieśniacy, diakonisy, kasztelanki, zakonnice, nawet najemnicy, wszyscy chcieli posłuchać plotek ze świata, ponieważ niewielu z nich wypuszczało się dalej niż o dzień drogi od domu -- a mało kto kiedykolwiek widział króla i dwór.

--To zagraniczna królowa umarła? -- pytali zaskoczeni, choć królowa Sophia zmarła prawie cztery lata temu.

--Dama Sabella zbuntowała się przeciw władzy króla Henryka? -- wykrzykiwali, zaskoczeni i oburzeni, choć stało się to dokładnie rok temu.

--Słyszeliśmy, że Eikowie złupili miasto Gent i pustoszą okolicę -- przyznawali nerwowo, a ona uspokajała ich, opowiadając o drugiej bitwie o Gent i o tym, jak hrabia Lavastine wraz z królem Henrykiem wypędzili armię Eików i oddali zrujnowane miasto we władanie ludziom.

Dla nich była niezwykle ptakiem, kolorowym, nieuchwytnym, pojawiającym się i znikającym. Bez wątpienia będą pamiętała ją i jej słowa długo po tym, jak ona zapomni o nich. Ta myśl otrzeźwiała.

W wiosce Laderne dwadzieścia osób zgromadziło się w domu jej gospodyni, świętując jej przybycie. Gdy jadła, zabawiali ją śpiewem i miejscowymi plotkami, ale kiedy tylko gospodyni przyniosła jej kufel piwa, zaczęli wypytywać:

--Jakie jest twoje zadanie, Orle? Skąd przybywasz? Dokąd zmierzasz?

Nauczyła się oceniać, ile może powiedzieć: kiedy trzymać język za zębami, a kiedy mówić otwarcie. Wielu ludzi dawało jej lepsze jedzenie, gdy więcej opowiadała, a ta gospodyni najwyraźniej uważała ją za ważnego gościa: nie dołala wody do piwa.

--Z rozkazu króla jadę do pałacu w Weraushausen. Zostawił tam swą scholę, wielu kleryków i większość szlachetnie urodzonych dzieci, które przebywają na jego dworze. Jego syn, młody książę Ekkehard, jest wśród nich. Mam im powiedzieć, gdzie zostało wyznaczone spotkanie.

--Weraushausen? Gdzie to jest?

--Za Bretwaldem -- odparła. Pokręcili głowami, powzdychali i doradzili, by jechała ostrożnie i nie próbowała skracać sobie drogi przez stary las.

--Młodzi głupcy parę razy próbowali -- powiedziała Merla, gospodyni. Zostało jej sześć zębów, które dumnie prezentowała. -- Zawsze znikali. Bez wątpienia zostali zabici przez wilki i niedźwiedzie. Albo gorsze rzeczy. -- Z satysfakcją pokiwała głową, jakby straszny los zaginionych ją cieszył.

--Nie, słyszałem na jarmarku, że z królewskiego rozkazu drwale wycinają drogę przez serce Bretwaldu -- zaprotestował jeden z mężczyzn. Miał twarz czerwoną od wielu godzin spędzonych na słońcu.

--Jakby komukolwiek miało się to udać! -- parsknęła stara. -- Ale nie powiedziałas nic o

królu. Czy wyznaczył już następcę? Może tego księcia Ekkeharda?

--Ma najstarszą córkę, Sapientię. Jest już w odpowiednim wieku, aby ogłosić ją następczynią tronu, teraz, kiedy uczestniczyła w bitwie i powiła dziecko.

--A, tak, dowiodła swej płodności i dowodziła wojskiem. Bóg uznał ją za godną tronu.

Wszyscy mądrze pokiwali głowami, pod wrażeniem znaku boskiej łaski, prócz jednego chudego mężczyzny z tyłu. Sączyl piwo i patrzył na Liath jasnymi oczami. Jego twarz i dłonie były niemal tak brązowe jak jej, ale pod otwartym sznurowaniem tuniki na piersi -- nadal było ciepło -- widziała bladą skórę, której nie dosięgło słońce.

--Miał jeszcze jedno dziecko, syna z saliańskim imieniem, Sąglą czy jakoś tak. Był wielkim wojownikiem, kapitanem Królewskich Smoków. Ale słyszałem od kupca, że on i jego Smoki zginęli, kiedy Eikowie wzięli Gent.

Zaczerwieniła się i cieszyła, że ludzie, którzy jej dobrze nie znali, nie potrafili dostrzec zmian w jej ciemnej karnacji.

--Nie zginął -- powiedziała. Jak, na litość boską, udało jej się powstrzymać głos od drżenia? -- Był wzięty do niewoli, ale został uwolniony przez oddziały pod dowództwem hrabiego Lavastine'a. Teraz jest bezpieczny u boku króla.

Dziwili się cudowi. Przelknęła piwo. Ale szkoda została uczyniona. Tej nocy spała niespokojnie, a rankiem czerwieniła się, wspominając sny.

O Pani. Co on jej powiedział sześć dni temu, kiedy świt wstawał nad królewskim obozem rozbitym pod Gentem?

„Wyjdź za mnie, Liath”.

Przez cały dzień, gdy Liath jechała na północny zachód wzdłuż północnej krawędzi Ringswaldweg, świeciło słońce. Minęła tego dnia tylko kilku wędrowców: dwóch kołodziejów wlokących wór z płótna, wypełniony tuzinem żelaznych osiek; cichą grupkę najemników szukających zatrudnienia przy żniwach; kupca pchającego wózek i trzech grzecznych fratrów wędrujących na południe; mieli bose stopy, dłonie pokryte odciskami i twarze spalone słońcem. Stara puszcza, znana jako Bretwald, majaczyła po jej lewej, tak gęsta, że nic dziwnego, iż wędrowcy nie trudzili się przedzieraniem przez nią, tylko woleli nadłożyć drogi wzdłuż północnej krawędzi. Po jej prawej przesuwiała się kraina, pocięta drzewami, pastwiskami i wioskami, otoczonymi polami uprawnymi. Przywykła do podróżowania. Lubiała samotność, zmieniający się krajobraz, poczucie jedności z kosmosem, bycia małą ruchomą częścią w wielkim tańcu światła.

Ale teraz, późnym letnim zmierzchem, zaczął dąć wiatr i z jakiegoś powodu nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest śledzona. Obejrzała się przez ramię, ale droga była pusta.

Nigdy nie ufaj pustce. To pozory.

Chmury przyniosły wczesny zmierzch, więc kiedy zaczęło padać, rozwinęła płaszcz i zarzuciła go na ramiona. Ponieważ lato było suche, droga nie zamieniła się w błoto, ale jazda stała się tak uciążliwa, że Liath porzuciła myśl o dotarciu tej nocy do jakiegokolwiek schronienia.

Bóg jeden wiedział, że nie chciała spać na dworze w burzową noc, z dala od ludzkich siedzib.

Deszcz osłabł. Z przodu usłyszała ciche pobrzękiwanie uprzęży i przez chwilę oddychała lżej. Nie miała powodu obawiać się praworządnych podróżnych na królewskim trakcie.

Przez chwilę.

Za nią, z ciemniejącego nieba, rozległy się niskie uderzenia, jakby bicie w kościelne dzwony. Ale ostatni kościół minęła w południe.

Czy ten dźwięk był echem przejścia demona? Czy to stworzenie znów ją ścigało? Spojrzała przez ramię, ale nie zobaczyła demona o pustych oczach, wyglądającego jak anioł, przesuwanego się nad ziemią. Nie ujrzała piór o szklanych lotkach. Ale kiedy uderzył w nią silniejszy wiatr, usłyszała szept:

--*Liathano.*

Powietrze na drodze za nią zadrżało i zafalowało tam, gdzie droga zakręcała wokół zagajnika. Kolumny mgły wzniosły się w powietrze jak wielkie pnie drzew, wyrwanych z korzeniami i zmienionych w opar.

Bez wątpienia był to tylko efekt padania światła. Ale zdało jej się, że zanurzają się w nią szpony, w ramiona i jeszcze głębiej, prosto w serce. Te szpony uczepiły się jej, pociągając ku bijącym dzwonom. Dlaczego nie zatrzymać się? Dlaczego nie zwolnić i poczekać?

--*Chodź do nas, Liathano. Nie uciekaj już. Tylko poczekaj na nas, a odnajdziesz spokój.*

Jej koń parsknął nerwowo i stulił uszy.

--*Poczekaj na nas. Chodź do nas.*

Zawahała się.

„Uciekaj”, powiedziałby tato. „Uciekaj, Liath”.

Przymus czekania spłynął z niej jak woda z dachu. Napędzana lękiem i gniewem, spięła konia ostrogami. Chętnie ruszył galopem. Spojrzała za siebie i serce w niej zamarło. Stwory podobne do kolumn ruchliwego, tłustego dymu pelzły drogą, ścigając ją. Wydawały dźwięki, syczący szept podobny do odgłosu wielu szarpanych wiatrem, któremu wtórował ten potworny, ponury, brzmiący jak dzwon. Nie miała wątpiwości, że były żywe.

I były coraz bliżej.

Dobyla luku, przygotowała strzałę. Wiatr przyniósł gorący odór, jak z kuźni. Jej koń skoczył i pozwoliła mu biec, okręcając się w siodle i mierząc odległość między sobą i prześladowcami. Wypuściła strzałę, ale ta padła na drogę, nie czyniąc żadnej szkody.

Ostrzegł ją krzyk:

--Hej, ty! Patrz, gdzie jedziesz!

Przed sobą w mroku ujrzała niewielki oddział: dwóch jeźdźców i czterech eskortujących ich zbrojnych. Być może jakiś sztachetka albo zarządca załatwiający interesy swej pani. Nie rozpoznała herbu: głowy jelenia na białym polu, namalowanego na tarczach. Rozstąpili się, by zrobić jej miejsce.

Kiedy nabierała oddechu, by wykrzyknąć ostrzeżenie, po jej prawej zabłysło światło, a za drogą, gdzie grunt wznosił się nieco, tworząc maleńki pagórek, w cienistym kręgu kamieni zapalił się ogień, przyzywając ją.

Obok przeleciała sowa, tak blisko, że koń Liath się spłoszył, dając szczupaka na prawo i zbiegając z drogi. Nie potrzebowała zachęty. Z lukiem w jednej i wodzami w drugiej ręce pozwoliła koniowi prowadzić. Przeskoczył płytki rów i dotarł do pagórka porośniętego trawą. Mężczyźni na drodze wołali za nią.

Po chwili usłyszała wrzaski.

Koń wspiął się na szczyt tak szybko, jakby uciekał przed ogniem, ale to właśnie ogień

powitał ich w środku niewielkiego kręgu siedmiu kamieni, z których część była nieruchoma. W środku stał ósmy głaz, wysoki jak człowiek; płonął białoniebieskim ogniem, który nie dawał ciepła.

Wycie dochodzące od strony drogi zmieniło się w zduszone odgłosy, których żaden człowiek nie mógłby wydawać. Nie odważyła się odwrócić. Przed nią na szczycie gorejącego głazu z niezwykłą gracją usiadła sowa, koń skoczył..

Krzyknęła z zaskoczenia, kiedy otoczył ją błękitnobiały płomień. Jej koń wylądował, spłoszył się i zamarł.

Ściągając wodze, Liath rozglądała się po przecince: udeptana ziemia, żółknące krzaki, rzadki las pełen dębów o drobnych liściach i drzew, których nigdy wcześniej nie widziała. Odebrało jej mowę, kiedy mężczyzna siedzący na skale wstał, by przyjrzeć się jej z zainteresowaniem. Pod żadnym względem nie przypominał człowieka: z brązową skórą, twarzą bez brody, ustrojony we wszelkiego rodzaju paciorki, pióra, wypolerowane kamienie i muszle; należał do zupełnie innego ludu. Ludzie nazwali jego pobratymców Aoi, Zaginieni: starożytna elfia rasa, która dawno temu zniknęła z miast i ścieżek przemierzanych przez ludzkość.

Oboje dobrze się znali.

--Przybyłaś -- rzekł. -- Szybciej, niż oczekiwałem. Musisz się ukryć, dopóki procesja nie przejdzie, bo nie wiem, co zawyrokuje rada o tobie i twojej obecności tutaj. Pośpiesz się, zsiądź i daj mi konia.

Nie różnił się niczym od wizji w ogniu, choć był drobniejszy, niż się spodziewała. Pióra, którymi się ozdobił, błyszczały tak jasno, jakby je pomalowano. Konopna lina na jego udzie wydłużyła się może o palec, odkąd ostatni raz go widziała, tygodnie, a może miesiące temu. Z głębi lasu dobiegł zawodzący jęk i chwilę później rozpoznała w nim dźwięk rogu. Przysłoniła oczy i na odległej ścieżce, ledwie widocznej wśród cieni, ujrzała procesję wśród drzew. Na jej czele błyszczące koło ze złota i jaskrawych zielonych piór obracało się, choć nie było wiatru.

--Jak tu przybyłam? -- spytała ochryple. -- Ścigały mnie stwory i zobaczyłam sowę... i gorejący głaz. -- Obróciła się w siodle: kamień nadal gorzał, błękitnobiały i zimny. Nie było sowy.

--Sowa -- rzekł z namysłem, dotykając dużego pióra, nakrapianego białą i brązową, jedyne matowe wśród wielu jaskrawych, przymocowanych do naramiennika. Uśmiechnął się krótko, wymuszenie. -- Mój stary wróg.

--A potem koń skoczył i znalazłam się tutaj -- dokończyła opornie. Czowała się jak patyk niesiony wezbranym strumieniem. Zbyt wiele naraz się działo.

--Ach. -- Pokazał linę i włókna, z których ją skręcał. -- Z jednej rzeczy tworzymy inną, nawet jeśli nie zmieniamy i nie dodajemy materii. Czasami najbardziej liczy się wzór. Te włókna konopi same nie mogą mnie utrzymać czy pomóc tak, jak może ta lina, a czy nie są tym samym?

--Nie rozumiem, o czym mówisz.

--Głaz gorejący jest bramą między światami. Wszystkie głazy są bramami, jak się ze smutkiem przekonaliśmy, ale ten nie został stworzony przez ludzką magię, tylko jest częścią tkaniny wszechświata. Aby go używać, trzeba go rozumieć.

--Nic nie wiem -- powiedziała gorzko. -- Tyle przede mną ukrywano.

--Wiele się ukrywa -- przytaknął. -- A jednak przybyłaś do mnie. Jeśli zechcesz, czuję, że

możesz się wiele nauczyć.

--O Boże. Tyle muszę wiedzieć. -- Zawahała się jednak. -- Ale ile czasu to zajmie?

Nauczenie się wszystkiego, co muszę wiedzieć?

Zachichotał.

--To zależy od tego, co twoim zdaniem powinnaś umieć. -- Jego twarz spoważniała. -- Kiedy już się zdecydujesz, potrwa to tyle, ile trzeba. -- Spojrzał ku procesji w lesie, wciąż niewidocznej z malej przecinki. -- Ale jeżeli pytasz, ile czasu zajmie to w świecie ludzi, nie mogę odpowiedzieć. Dni i lata liczy się tu inaczej niż tam.

--O Pani! -- Spojrzała na kamień. Ogień zaczął przygasać.

--Dlaczego się wahasz? -- nalegał. -- Czyż nie tego pragnęło twe serce?

--Pragnienie mego serca. -- Jej głos zamarł, gdy wypowiadała te słowa. Oczywiście, musi się uczyć. To jedyny sposób, by się ochronić. Tak bardzo pragnęła wiedzy. Być może już nigdy nie trafi się taka szansa.

A jednak nie mogła się powstrzymać od spoglądania za siebie.

--Wciąż jesteś związana z innym światem -- powiedział, bez gniewu, bez irytacji, bez radości. Po prostu stwierdzał fakt. -- Daj mi rękę.

Nie można było się mu sprzeciwić. Schowała łuk i wyciągnęła rękę, a potem stęknęła z bólu, gdy przeciął jej dłoń obsydianowym nożem. Nie ruszała się, gdy krew popłynęła, a on przeciął swoją dłoń i przycisnął do jej ręki, by krew się połączyła. Wolną rękę oparł o kamień. Ogień rozgorzał, tak jasny, że się cofnęła, a jej koń zarżał nerwowo i zatańczył. Ale uchwyt starego czarownika nie osłabł.

--Chodź ze mną -- powiedział. -- Co cię związało ze światem ludzi?

Ogień otworzył się i razem wejrzeni w niego.

Kiedy rozciąga się na trawie we wspaniałym słonecznym żarze, słyszy wszystko i nic.

Zamyka oczy, aby lepiej słyszeć.

Pszczola brzęczy. Z drzew dochodzi uporczywe pogwizdywanie ptaka. Jego koń pasie się na skraju przecinki, daleko od pozostałych towarzyszy: trzech psów Eika w żelaznych obrożach, na żelaznych łańcuchach przytwierdzonych do żelaznego pręta, który wbił w ziemię. Kości kruszą się w ich szczękach, gdy jedzą. Te trzy stworzenia są wszystkim, co zostało po bestiach, które w katedrze w Gencie tworzyły jego oddział. Słyszy, jak ich łańcuchy zgrzytają, kiedy psy warczą na siebie nad najsmakowszym kawałkiem szpiku.

Za nimi gulgocze i mruczy strumień; umył się tam, choć nigdy naprawdę nie zmyje z siebie brudu i wstydu łańcuchów Krwawego Serca, niezależnie od tego, jak często będzie się moczył i szorował mydłem, piaskiem czy olejkami. Teraz leży, na wpół odziany, by wyschnąć w miłosiernej samotności.

Nie słyszy żadnych ludzkich odgłosów. Umknął z niewoli dworu królewskiego i odnalazł tę przecinkę przy trakcie prowadzącym na północny zachód -- w tym kierunku ona odjechała osiem dni temu z królewskim posłaniem. Tutaj, teraz, smakuje swą wolność, kąpiąc się w słońcu, wietrze i dotyku dobrej, ciepłej ziemi i trawy na plecach.

Mucha ląduje na jego twarzy, odpędzając, nie otwierając oczu. Upał przyjemnie rozplywa się na jego piersiach. Tam, gdzie w trawie spoczywała druga dłoń, rzucił kwadratową skórzaną sakwę -- wzmocnioną metalowymi płytkami, nabijaną kością słoniową i kamieniami -- w której skrywa księgę. Czuje jej ciężar tuż pod opuszkami palców, choć nie musi jej dotykać, by

wiedzieć, że tam jest i co dla niego oznacza: obietnicę. Zawsze ma ją ze sobą, a kiedy się kąpie lub poluje, przywiązuje ją do obroży jednego z psów. Psy są jedynymi z jego nowego orszaku, którym ufa.

Wiatr szumi w liściach, obojętny szept tak odmienny od tego, który komentuje każdy jego ruch wśród dworzan -- szept, którego, jak sądzą, nie słyszy.

Każdego dnia dwór królewski pączkuje, rozkwita i więdnie, okryty mgłą. On czeka. Pośród psów nauczył się cierpliwości.

--To cię wiąże -- powiedział czarownik, ale czy z zaskoczeniem, czy ze zrozumieniem, nie wiedziała.

--Złożyłam mu obietnicę. -- Wizja bladła, jej zniknięcie wywołało ból.

Rozumiała, wiedziała, co powinna zrobić, co tato kazalby jej zrobić. Ale to się nie liczyło. Przez rok sądziła, że on nie żyje.

--Muszę wracać -- odparła, a słysząc słowa, jakby wypowiadał je kto inny, ciągnęła: -- Wrócę do ciebie. Przysięgam. Po prostu muszę wrócić... -- Urwała. Wiedziała, jak głupio to zabrzmiało.

Puścił jej dłoń i spojrział na nią. Na jego twarzy malował się jedynie spokój sędziwego wieku.

--Zawsze tak jest z młodymi. Ale nie sądzę, aby twa ścieżka była prosta.

--Więc mogę wrócić? -- Dokonawszy wyboru, żałowała, że musi odejść. Ale nie aż tak, aby potrafiła się zmusić do pozostania.

--Nie potrafię czytać w przyszłości. Idź.

--Ale te stwory, które mnie ścigają...

--Tyle tajemnic. Tyle ruchów. Musisz wybrać: tutaj lub tam. Brama się zamyka.

Plomienie przygasały, aż w końcu przebiegały po powierzchni kamienia jak zmarszczki po wodzie. Jeśli będzie zwlekała, możliwość wyboru zostanie jej odebrana.

Obróciła konia i smagnęła jego zad końcem wodzy. Skoczył, zalało ich światło, a przed jej oczami wciąż latały czarne, tańczące plamki, kiedy otarła się ramieniem o kamień, wypadając z kamiennego kręgu; popołudniowe słońce razilo ją w oczy.

Zdezorientowana przysłoniła oczy dłonią, aby dostrzec drogę. Nie zmierzchało jeszcze, a już zimno, niezwykle o tej porze roku, wisiało w powietrzu. Za drogą rozciągał się Bretwald, pełen ptaków, które przyleciały tu, by się pożywić. Na czubkach drzew krakały kruki. Sęp opadł na kłęb szmat leżących na drodze.

Nie było ani śladu obrzydliwych stworów, które ją ścigały.

Co powiedział stary czarownik? „Dni i lata liczą się tu inaczej niż tam”.

Czyżby przybyła wcześniej, niż wyruszyła? Czy było to możliwe; czekanie przy drodze, kiedy ona sama jechała tym samym traktem, jeszcze nie dotarłszy do tego miejsca? Otrząsnęła się i przynagliła konia, rozglądając się wokół. Nic się nie poruszyło. Kruki odleciały, przeraźliwie kracząc. Sęp poderwał się w końcu i uciekł, ale tylko na pobliską gałąź, skąd przyglądał się, jak Liath dojeżdża do drogi i zsiada, by przyjrzeć się pozostawionym tu śladom: kupce czystych kości; mokrym kubrakom zwiniętym na błocie albo rozciągniętym na kamykach, jakby rozwiał je wiatr, i broni rozrzuconej wkoło. Butem odwróciła tarczę: głowa białego jelenia spojrziała na nią tępo.

Odkoczyła, przytulila się do konia, który głośno dmuchnął w jej ucho, nie przejmując się

szczątkami.

Zbrojni, których widziała, nosili tarcze z białą głową jelenia. I słyszała krzyki. Ile czasu minęło? Ciałogniło miesiącami, zanim odsłoniło kości.

Gdy chmura zakryła słońce, zadrżała od nagłego chłodu. Kiedy zapadł zmierzch, z niepokojem wpatrywała się w niebo. Jedna po drugiej ukazywały się gwiazdy. Nad nią jaśniał letni nieboskłon. Czyżby straciła rok?

Przed nią zajaśniała pochodnia, potem następna. Przynagliła konia, przeczuwając, że w pobliżu znajduje się wieś. Zamajaczył przed nią niski, kwadratowy budynek kościoła, zasłaniając niebo. W małym miasteczku nie zamknięto jeszcze bram palisady chroniącej przed dzikimi zwierzętami i sporadycznymi atakami bandytów, ciągle ukrywających się w Bretwaldzie. Strażnik wysłał ją do kościoła, gdzie diakonisa trzymała sienniki dla wędrowców i garnek parującej potrawy z porów dla głodnych.

Liath była wycieńczona. Dłonie tak jej się trzęsły, że ledwie mogła zjeść posiłek i wypić jablecznik pod czujnym okiem diakonisy.

--Jaki dziś dzień? -- spytała Liath, kiedy wreszcie odzyskała kontrolę nad rękami, a głód zelżał.

--Dziś świętowaliśmy urodziny świętego Teodoreta, a jutro odśpiewamy mszę upamiętniającą męczeństwo świętego Walaricusa.

Wobec tego dziś był dziewiętnasty Quadrii; uciekła stworom osiemnastego. Przez chwilę oddychała swobodniej. Po czym przypomniała sobie kości i grupę jeźdźców widzianych na drodze.

--Którego roku?

--Dziwne pytanie -- powiedziała diakonisa, ale była młoda i nienawykła do wypytywania Królewskiego Orła. -- Jest rok 729 od ogłoszenia Boskiego Logosu przez błogosławionego Daisana.

Dzień później. Tylko dzień. Wobec tego kości, które widziała na drodze, nie miały z tym nic wspólnego. Musiały tam leżeć od miesięcy, obrane do czysta przez kruki, sępy i gryzonie, które żerowały na padlinie.

Dopiero później, owinięta w koc na sienniku ułożonym w przedsionku kościoła, przypomniało jej się, że odzienie, leżące wokół kości na drodze, było mokre, ale nie podarte ani nadgniłe. Gdyby leżało tam od miesięcy czy lat, również zaczęłoby gnić.

3.

Polowanie wypadło z lasu i straciwszy trop, rozdzieliło się na mniejsze grupy. Król jechał pośród swych dobrych towarzyszy, zaśmiewających się z komentarza hrabiego Lavastine'a. Alain został w tyle i teraz osadził konia, by popatrzeć na trzech młodzieńców łowiących ryby o strzał z łuku w górę rzeki. Stojąc po pas w wodzie, szeroko zarzucali sieci na lśniąca powierzchnię.

--Alainie. -- Hrabia Lavastine zatrzymał się obok niego. Czarne ogary węszyły w trawie porastającej brzeg, który opadał ku wodzie stromizną wysokości mężczyzny. Kamyk, popchnięty przez Stracha, sturlał się po pochyłości, wzbijając obłok kurzu, a reszta psów rozszczękała się w zachwycie, wracając.

--Spokój! -- powiedział Lavastine surowo i natychmiast ucichły, posłuszne jego życzeniom. Zwrócił wzrok ku Alainowi. -- Musisz jeździć bliżej króla, synu.

--Ich obowiązki wydają się łatwiejsze od moich. -- Alain wskazał rybaków poniżej. Rozebrani do bielizny radowali się wodą opływającą ich ciała i słońcem grzejącym lśniąca grzbiety, myśląc tylko o wykonywanej pracy. Słyszał ich śmiech dobiegający z odległego brzegu.

--Susza, późny przymrozek, deszczowy Aogoste. Wszystko może zniszczyć ich zbiory.

--Ale przynajmniej rzeki są zawsze pełne ryb. A ja nigdy nie jestem pewien, na co polują szlachetnie urodzeni.

--Nie podoba ci się sposób tego polowania. Ale będziesz musiał go poznać i nauczyć się oceniać, która grupa wygra, a która przegra. W ten sposób zawieramy przymierza. Książę cię lubi.

--Ale księżniczka nie.

--Tylko dlatego, że jesteś faworyzowany przez księcia.

--Bo jestem bękartem jak on.

--Byłeś -- powiedział Lavastine ostrym tonem, podobnym do warknięcia psa, który raczej ostrzega, niż atakuje. -- Jesteś teraz prawnie uznany i honorowany.

--Tak, ojciec -- odrzekł Alain posłusznie. -- Ale spojrzenie na mnie i lorda Godfryda przypomina księżniczce Sapientii, że król może wybrać kogo innego, gdy przyjdzie czas namaszczenia następcy tronu. -- Psy usiadły w słońcu, dysząc: Smutek, Furia, Mocarz, Radość i Strach. Groza leżała. Tylko Wiarus ciągle węszył na krawędzi urwiska, tropiąc ślad, który nie interesował innych. O rzut kamieniem od klifu król i jego towarzysze naradzali się, wskazując gęsty zagajnik wcinający się pomiędzy sad i pola dojrzewającego owsa, pocięte przez żywopłoty na schludne kwadraty.

--Królewski dwór nigdy mnie wiele nie obchodził -- rzekł w końcu Lavastine. On też patrzył w stronę lasu. W powietrzu brzmiał róg.

--Nie lubisz króla? -- zapytał Alain, korzystając z tego, że byli sami i słyszały ich tylko psy. Lavastine miał surowy, przenikliwy wzrok; zwrócił go ku Alainowi.

--Nasze sympatie i animozje nie dotyczą króla, Alainie. Szanuję go tak, jak na to zasługuje. Nie będę miał do niego żalu dopóty, dopóki nie wtrąci się w sprawy mojej rodziny i da mi to, co wywalczyłem. -- W jego oczach błysnął uśmiech aprobaty, ale nie dotarł do ust. -- To, co wywalczyliśmy pod Gentem, ty i ja. Jest wielu młodych mężczyzn i kilka kobiet, którzy chętnie przyłączyliby się do twojego orszaku, Alainie, gdybyś tylko okazał im swe łaski.

Nauczyłeś się dobrych manier i zachowujesz się równie taktownie, albo nawet lepiej od większości młodych szlachciców, których widzimy na dworze. Dobrze zrobiłeś, że nie dałeś się wciągnąć w ich gierki i intrygi. Ale przyszedł czas, byś stworzył własny orszak.

Alain westchnął.

--Moja przybrana rodzina wychowała mnie, abym pracował i był dumny z efektów swej pracy. Czy tutaj mam tylko polować, plotkować i pić? Prawdę mówiąc, ojczyźnie nie czuję się dobrze w ich towarzystwie. Ale jeśli nie będę się oddawał tym rozrywkom, obawiam się, że uznają mnie za niegodnego.

Lavastine uśmiechnął się lekko.

--Nie bawi cię ich próżniactwo, i dobrze. Rozsławiliś swe imię w walce. Inni zauważyli, że poświęcasz się też studiowaniu nauk. Taka wiedza praktyczna pozwoli ci zarządzać dobrami Lavas tak, jak ja to niegdyś czyniłem. Twoja powaga dowodzi w oczach moich, żeś uczyniony ze szlachetnego kruszcu.

Pochwała zawstydzila Alaina. Nie czuł się jej wart. Tymczasem rybacy wyciągnęli sieci na pływającą i teraz krzyczeli do siebie radośnie, jakby nie mieli żadnych zmartwień, wrzucając ryby do koszy stojących na kamienistym brzegu. Kilka ryb wyslizgnęło się im z rąk, wracając do wody, na wolność. Kosze były już niemal pełne; ich zawartość rzucała się i podrygiwała, łuski lśniły w słońcu jak płynne srebro.

Róg znów rozbrzmiał, ale tym razem bliżej. Duże zwierzę wypadło z ukrycia i pognęło w sad. Królewscy łowcy zaczęli wykrzykiwać wszyscy naraz, opuszczając oszczepy. Ogary Lavastine'a zerwały się i ruszyły, ale natychmiast zatrzymał je przeszywający gwizd hrabiego. Ujadły wściekle, kiedy wśród jabłoni ukazał się wielki dzik.

W tejże chwili z lasu wyjechały dwie grupy prawie tej samej wielkości, jedna z południowego krańca zagajnika, a druga ze środka. Pierwszą prowadziła księżniczka Sapientia. Jej proporzec błyszczał biało i niebiesko na lancy niesionej przez służącego, a jej towarzysze odziani byli tak kolorowo, że zakłócali harmonię krajobrazu. Niektórzy z nich nawet przeskakiwali przez żywopłoty i tratowali pola, śpiesząc się, by dopaść dzika, nim dotrze do niego druga grupa.

Druga grupa wyjechała z lasu bliżej ściganego zwierzęcia, ale ich dowódca zadawał sobie tyle trudu, by ominąć lany owsa i gęsto zarośnięte pole fasoli, że dotarli do dzika od północy w tej samej chwili, gdy od południa nadjechała księżniczka Sapientia ze swoim orszakiem. Przez chwilę oba oddziały stały naprzeciw siebie jak wrogowie gotujący się do walki: księżniczka drobna i zawzięta na płochliwym wałachu zdecydowanie dla niej za dużym; jej przyrodni brat tak spokojny, z oszczepem w jednej i wiodami pięknego siwka w drugiej ręce, że zdawał się błyszczeć w promieniach słońca.

Król podniósł dłoń i jego towarzysze zatrzymali się. Czekał, wszyscy patrzyli w napięciu. Dzik skoczył ku rzece, jedynej drodze ucieczki, jaka mu została.

Książę Sanglant ruszył za nim, porzucając swą grupę. Miał w sobie tyle naturalnego wdzięku, że pędząca za nim Sapientia przypominała kundla ścigającego smukłego charta. Nikt się do nich nie przyłączył: zwycięzca bierze wszystko.

Sanglant zatoczył łuk, by odciąć dzika od brzegu i uderzyć od tyłu. Potem rozmyślnie zatrzymał się, by Sapientia mogła zabić zwierzę, jakby miała do tego niezbywalne prawo. Jakby nie chciał tego, co mógł tak łatwo zagarnąć.

Ona dostrzegła jedynie wahanie, odwrót. Dzik rzucił się, zaszarżował; wycelowała w zebra i wbiła ostrze oszczepu za łopatkę, zwierzę dostało się jednak pod jej konia i wierzchowiec zaczął skakać jak oszalały, a ona mogła jedynie trzymać się siodła.

Nadbiegali łowczy, wyprzedzani przez psy. Sanglant spał konia ostrogami i ruszył ku rannemu zwierzęciu. Dzik dostrzegł ruch i gnany bólem i ślełą furją zaatakował. Z oddali Alain usłyszał krzyk króla. Ale księżę jedynie zaparł się w siodle, nie okazując strachu. Dzik wpadł na ostrze oszczepu i siłą rozpędu wbił się na drzewce. Sanglant wbił mu sztylet w oko i zabił.

Sapientia uspokoiła konia i ogłosiła, że dzik należy do niej. Psy skakały wokół, wyjąc i gryząc martwe cielsko, ale cofnęły się, skomlać, z położonymi uszami, kiedy księżę Sanglant zaczął rozdzielać ciosy, odganiając od siebie sforę niby ścigane zwierzę.

Dopiero gdy nadjechali inni, otrząsnął się jak pies wychodzący z wody i odstąpił, stając się na powrót człowiekiem, wysokim i przystojnym, odzianym w piękną haftowaną tunikę i nogawice, ze złotą broszą spinającą krótki płaszcz na szerokich ramionach. Jednak żelazna obroża, którą nosił na szyi miał złotego torkwesu znaczącego królewski ród, wydawała się nie na miejscu; ona i jego dziwny nawyk węszenia niby pies i gwałtownego odwracania się, kiedy coś się za nim poruszyło.

Księżniczka Sapientia ruszyła do księcia, zanim jednak zdążyła zsiąść z konia obok niego, przeszkodził jej główny doradca, ojciec Hugo. Z wdziękiem powiódł ją ku składającemu gratulacje orszakowi.

--Przynajmniej jedna osoba -- rzekł cicho Lavastine, śledząc zajście zmrużonymi oczami -- nie życzy sobie pojednania między bratem a siostrą.

Po dwudziestu dniach spędzonych na królewskim dworze Alain nie mógł się zmusić, by lubić, zaufać czy choćby szanować przystojnego, czarującego i bystrego ojca Hugona. Ale czuł się zmuszony do szczerości.

--Wszyscy na dworze dobrze mówią o ojcu Hugonie. Każdy powtarza, jego wpływ bardzo dobrze robi księżniczce.

--Niewątpliwie ma doskonale maniery, a jego matka to potężna księżna. Nie chciałbym mieć w nim wroga. Jednakże wszystkie swe nadzieje złożył w księżniczce i jego wpływy nie zdadzą się na nic, jeśli ona nie zostanie królową.

--Nie lubię go za to, co zrobił Liath -- wymruczał Alain.

Lavastine podniósł brew i rzucił synowi sceptyczne spojrzenie.

--Masz tylko jej słowa, słowa Orła bez rodu, że zachował się tak, jak ona opisuje. W każdym razie, jeśli prawdziwie była jego niewolnicą, mógł z nią robić, co mu się żywnie podobało. -- Tak łatwo zbyt lęki i przerażenie Liath. -- Jednak ta Orlica posiada niezwykle dary. Miej na nią oko, dobrze? Możemy znów posłużyć się nią dla naszej korzyści.

Księżę Sanglant wycofał się nad rzekę, daleko od zwierzęcia i zamieszania. Jego nowi akolici, jak zwykle niepewni jego nastroju, zachowywali bezpieczny dystans, choć czynili widoczne wysiłki, aby odróżnić się od tych, którzy otaczali Sapientię. Księżę stanął nad urwiskiem, które w tym miejscu stromo opadało ku wodzie. Rybacy zamarli, gapiąc się na szlachcica i jego wspaniałe orszak.

--Wejdzie do wody -- powiedział nagle Alain, a Sanglant zaczął się pośpiesznie rozbierać, jakby te słowa -- których z pewnością nie mógł usłyszeć z tej odległości -- wyzwoliły reakcję.

W orszaku Sapientii rozległ się śmiech. Widzieli już wcześniej takie zachowanie: księżę

Sanglant miał obsesję mycia. Ale obnażenie się w takim miejscu było jak pozbawienie się godności i honoru, które dawało szlachetne urodzenie. Tylko pospólstwo, przygotowując się do mycia albo pracy w upalny dzień, rozdziałoby się tak bezmyślnie przed wszystkimi i schło na słońcu jak ich Bóg stworzył.

Książę zostawił odzienie na ziemi i zsunął się z brzegu ku wodzie. Miał na ciele mnóstwo białych blizn, ale zaczął tyć. Alain nie mógł już policzyć jego żeber.

Kiedy wiatr się zmienił, a ludzie poruszyli, Alain usłyszał miły głos ojca Hugona niesiony przez powiew:

--Niestety, podobnie jak psy, wskoczy do każdego zbiornika z wodą, jeśli się go nie powstrzyma. Chodźcie, Wasza Wysokość. To nie przystoi.

Oddział Sapientii zawrócił w stronę lasu, zostawiając łowczym opracowanie zwierzyny, choć kilka otaczających księżniczkę dam nie mogło powstrzymać spojrzeń przez ramię.

Lavastine westchnął głośno. Wokół króla zawirowało, gdy część jeźdźców, w większości kobiet, podążyła za księżniczką Sapientią, podczas gdy reszta, w tym król, zsiadła z koni.

--Chodź -- powiedział Lavastine, dając znak służącym. -- Wracam do króla. Alainie, musisz wybrać miejsce, które uznasz za stosowne.

W tym czasie pół tuzina przybocznych Sanglanta zaczęło się rozbierać, aby podążyć za nim do wody i Alain zauważył, że król też ma zamiar się wykąpać, jakby chciał dać królewską akceptację poczynaniom syna.

Alain uznał za stosowne trzymać się króla, podążył więc za Lavastine'em i udało mu się pożartować z kilkoma młodymi lordami, z którymi się zaprzyjaźnił. Wiarus biegł na przedzie, wciąż węsząc. Zawarczał, a Strach podreptał za nim, by rozejrzeć się w nadrzecznych krzakach.

W miejscu gdzie brzeg łagodnie opadał, służący wycinali dla króla drogę wśród gęstych zarośli. Książę, zanurzony do pasa w leniwym nurcie, zanurkował głową naprzód i skierował się ku przeciwległemu brzegowi. Rybacy zbierali swe kosze i gotowali się do odejścia. Zatrzymali się, patrząc, jak król schodzi ku wodzie, zostawia szaty służącym i wchodzi w zimny nurt. Pluski, okrzyki i śmiech dawno już zagłuszyły odgłosy orszaku Sapientii zagłębiającego się w las.

--Masz zamiar się wykąpać, synu? -- Lavastine zeskoczył z konia. Kiedy tylko postawił stopę na ziemi, przybiegła Groza, próbując odpędzić hrabiego od jeżynowych zarośli, a reszta psów podniosła taki jazgot, że książę, choć był już prawie na drugim brzegu, obejrzał się przez ramię, a król powiedział coś do służącego, który ruszył w ich stronę.

--Spokój! -- Lavastine skrzywił się na widok psów, tłoczących się wokół niego niby szczeniaki przerażone uderzeniem gromu, a nie lojalne, dzielne ogary.

W krzakach coś zaszleściło. Psy oszalały. Groza chwyciła zębami dłoń hrabiego i odciągnęła go w tył, podczas gdy Wiarus i Strach skoczyły w jeżyny, obnażając kły na nicość. Zjeżone Smutek i Furia okrążyły krzaki, a Mocarz i Radość skakały między Lavastine'em a zaroślami.

Ale niczego tam nie było.

--Spokój! -- warknął Lavastine. Bardzo nie lubił, gdy nie wypełniano jego rozkazów od razu.

Wiarus zawył nagle z bólu. Reszta psów tak się rozszalała wokół krzaków, że przerażeni

służący i szlachta rozpieczęli się, a potem psy obróciły się, warcząc, i rzuciły się w pościg, jakby poczuły świeży trop, wzdłuż brzegu rzeki.

--Alain! Za nimi!

Alain szybko ruszył za psami, mając ze sobą tylko jednego służącego. Ogary znacznie ich wyprzedzały, miotając się wściekle i pędząc ku kamienistej plaży. Obejrzał się i zobaczył, że Lavastine się rozbiega i schodzi ostrożnie ku rzece w ślad za innymi dworzanami. Podczas gdy młodzieńcy odważnie ruszyli za księciem, król i jego starsi doradcy odpoczywali na pływającym i rozmawiali bez wątplenia o Gencie, Eikach i ostatnich rajdach Qumanów na wschodzie oraz o pewnych związkach małżeńskich, które muszą zostać zaakceptowane lub odrzucone.

Psy zniknęły, Alain ruszył więc klusem i znalazł je tuż za zakrętem rzeki, na krańcu kamienistej plaży. Wyprężone jak do skoku czekały na wodę. Alainowi zdawało się, że dostrzegł błysk czegoś małego i białego, zmagającego się z prądem. Powoli ich ujadanie przeszło w warczenie, a to w ciszę, aż w końcu psy odprężyły się i czujnie wpatrywały w wodę.

Czy tylko wyobraził sobie ten ruch? Słońce padało na wodę pod takim kątem, że wyglądała jak metal. Jej jaskrawy blask wyciskał łzy z oczu Alaina, więc zamrugał, ale to sprawiło, że bystry nurt zajaśniał i zaczął przybierać niezwykle formy -- jakby luskowany, szczupły grzbiet przemykał wśród fal albo kilwater okrętu prul powierzchnię wody.

Przed nimi unosi się domowy dym, kołyska jego plemienia. Kto przyплыł przed nim? Czy on i jego żołnierze będą musieli walczyć, by postawić stopę na brzegu, czy też przybędzie pierwszy, aby pójść do Starej Matki, a ona przygotuje nóż decyzji?

Wody fiordu odbijają głęboką barwę niebios, potężny błękit popołudnia. Wody są tak spokojne, że każde drzewo na brzegu ma swe odbicie w głębinie. Grzbiet trytona tnie fale i obserwuje ich czerwone oko; a potem, machając ogonem, stwór znika w odmętach.

Na jego dłoni zacisnęły się zęby; dochodząc do siebie, ujrzał Smutka, który szarpał go, aby zwrócić na siebie uwagę. Zostały tylko trzy psy; reszta zniknęła. Rozejrzał się wokół i ujrzał swego służącego siedzącego ze skrzyżowanymi nogami, odprężonego, jakby czekał od dawna.

--Mój panie! -- poderwał się mężczyzna. -- Reszta psów pobiegła do hrabiego, nie mogłem ich zatrzymać, a wy tak długo staliście nieruchomo i nie wiedziałem, jak wam przeszkodzić... -- Mówiąc, spoglądał nerwowo na pozostałe psy: Smutka, Furię i biednego Wiarusa, który usiadł i skomlał, lizał prawą przednią łapę.

--Nieważne. -- Alain podniósł łapę Wiarusa, by ją obejrzeć. Kolec jeżyny wbił się głęboko, więc uspokoił psa, a potem złapał kolec i wyciągnął go. Pies zaskomlał i znów zaczął lizać ranę.

Trupio błyśnięcie fal przykuło jego uwagę. W dole strumienia brzuchem do góry wypłynęła ryba. Martwa. Po chwili pojawiła się druga, trzecia i czwarta, wystawiając martwe, białe brzuchy na słońce i powietrze, spływając z prądem do morza. Potem widział już tylko blask światła na falach.

Furia zawarczała.

--Panie -- służący przyprowadził konia.

Ale zamiast go dotrzeć, poszedł, przyglądając się Wiarusowi. Cierń nie zrobił mu wielkiej krzywdy. Chwilę później pies skakał z innymi, radosny, szczerząc zęby i dla zabawy podgryzając krewniaków. Alain mógłby się śmiać, widząc je; był to mimo wszystko przyjemny i beztrudny dzień.

Kiedy jednak po drugiej stronie rzeki dostrzegł rybaków, zdążających do domów z

koszami pełnymi tłustych ryb, powrócił obraz martwej ryby spływającej z prądem i nappełniło go niepokojące przeczucie -- ale nie wiedział dlaczego.

4.

Cisza panująca na dziedzińcu pałacu w Werashausen w połączeniu z żarem słonecznym działała tak uspokajająco, że Liath przysnęła na kamiennej ławce, na której czekała, mimo iż nie była zmęczona. Lęki i nadzieje splatały się i stały niejasnym snem: morderstwo taty, Hugo, ognista klątwa, lojalność i miłość Hanny, przysięgi Ivara, cienie zmarłych elfów, lord Alain i przyjaźń, jaką jej ofiarował, śmierć Krwawego Serca, siostra Rosvita i *Księga Tajemnic* oraz, żywsze niż wszystko inne, wspomnienie dotyku włosów Sanglanta, zaplątanych w jej palcach nad strumieniem, gdzie zmywał z siebie brud niewoli.

Obudziła się z bijącym sercem; była równocześnie rozpalona, zawstydzona, zaniepokojona i pełna nadziei.

Nie mogła znieść myśli o nim, ponieważ chciała myśleć tylko o nim. Zabrzęczała pszczoła. Ogrodnik, pielący warzywnik, zajął się kolejną grządką. Nikt po nią nie przyszedł. Nie wiedziała, ile jeszcze będzie musiała czekać.

Podeszła do studni, ocienionej daszkiem, z pobieloną cembrowiną. Pachniało w niej słodką wodą i mokrym kamieniem. Diakonisa, mająca pod opieką kaplicę, powiedziała jej, że studnie zasilane są ze strumienia; zanim setki lat temu przebyli tu daisanicy fratrowie, źródło ukryte było wśród skał i czczone jako bogini przez pogańskie plemiona. Teraz chroniła je kamienna cysterna umieszczona pod pałacem.

Czy w głębi błyszcziała woda? Czy gdyby wpatrzyła się uważnie swymi oczami salamandry, dostrzegłaby w jej tafli twarz mężczyzny, którego poślubi, jak bajały zielarki? Czy był to jedynie pogański przesąd, jak pisały matki kościoła?

Cofnęła się, przerażona możliwością ujżenia czegokolwiek, i wyszła z cienia na blask południowego słońca.

„Nigdy nie będę kochała nikogo innego”. Czy tą właśnie obietnicą związana była cztery dni temu w kamiennym kręgu, gdzie przekroczyła niewidzialne wrota i wjechała w nie znaną krainę? Czy naprawdę okazała się tak głupia, by odrzucić naukę starego czarownika?

Osloniła oczy od słońca i usiadła na ławce. Miała ona masywne nogi, rzeźbione na podobieństwo lwich łap z czerwonego marmuru. Z takiego samego marmuru były kolumny otaczające wewnętrzny dziedziniec.

Ponieważ król nie rezydował w Werashausen, zwykły Orzeł, taki jak ona, mógł siedzieć na dziedzińcu przeznaczonym dla króla, a nie służyć władcy. Było tak cicho, że przez chwilę wierzyła w spokój, jaki ponoć Bóg zsyła powściągliwym -- choć wątpiła, aby kiedykolwiek zdołała go doświadczyć.

Nagły krzyk rozdarł ciszę, a po nim zabrzmiał śmiech i tupot stóp.

--Nie, dzieci. Idźcie z godnością. Zwolnijcie!

Dzieci z królewskiej scholi przybyły na południowe lekcje; niektóre zachowywały się spokojnie. Liath przyglądała się im w słońcu. Zazdrościła tym dzieciom możliwości uczenia się, przynależności do rodów i przyszłej pozycji na królewskim dworze. Jeden z chłopców wspiał się na cokół i zwisał, machając nogami, z posągu starego dariyańskiego generała.

--Lordzie Adelfredzie! Zejdź stamtąd. Błagam!

--Tam jest Orzeł -- powiedział chłopiec, zeskakując. -- Dlaczego nie posłuchamy jej sprawozdania z bitwy pod Gentem?

Obok pomnika stał Ekkehard, najmłodsze dziecko króla. Był podobny do ojca, choć

jeszcze drobny. Miał ponury wyraz twarzy, który obnosił jak bogate szaty i wysadzane klejnotami pierścienie, ostro kontrastujący z poważną miną kamiennego generała.

--Pytałem, czy mogę z nią pojechać do ojca -- odezwał się. -- Ale nie dostałem zezwolenia.

--Musimy niedługo wrócić na królewski dwór -- odparł innych chłopiec, wyraźnie zaniepokojony. Mówił po wendarsku z obcym akcentem, twardo, i Liath uznała, że pochodził z Avarii; pewnie był jednym z wielu siostrzeńców diuka Burcharda. -- Król Henryk nie może nas tu zostawić na zawsze! W przyszłym roku mam dostać swój orszak i wyruszyć na wschód, aby walczyć z Qumanami!

--To i tak nie ma znaczenia -- mruknął Ekkehard. Miał słodki głos; Liath słyszała, jak pięknie śpiewał zeszłego wieczoru. W słońcu, bez lutni w dłoni, wydawał się jedynie niespokojny i wściekły. -- Niedługo skończę piętnaście lat i też będę miał własny orszak, i nie będą mnie traktować jak dziecko. I wtedy będę robił, co mi się żywnie podoba.

--Orle.

Liath zerwała się na równe nogi i odwróciła, spodziewając się kleryczki, która zaprowadzi ją do Moniki. Ujrzała jedynie czubek ciemnowłosej głowy.

--Wiesz, kim jestem? -- zapytało dziecko. Przez moment Liath zdawało się, że patrzy w lustro i widzi swoje pomniejszone odbicie, choć jedynie kolor skóry miały podobny.

--Jesteście córką diuka Konrada -- odparła Liath.

Dziewczynka ujęła ją za nadgarstek i odwróciła dłoń Orlicy wnętrzem do góry, by spojrzeć na jaśniejszą skórę.

--Nigdy nie widziałam nikogo prócz mojego ojca, mej avii, znaczy, babki, mej siostry i siebie z taką skórą. Widziałam raz niewolnicę, w orszaku prezbitera. Mówili, że urodziła się w kraju Gyptos, ale była czarna jak smoła. Skąd pochodzi twój ród?

--Z Darre -- odparła Liath, rozbawiona jej arogancją.

Dziecko spojrzało na nią władczo.

--Właśnie przyjechałaś z królewskiego dworu. Jakież wieści? Moja matka, pani Eadgifu, powinna już urodzić dziecko, ale nikt mi nic nie mówi.

--Nie słyszałam wieści o waszej matce.

Dziewczynka spojrzała na inne dzieci. Ekkehard i towarzysze wycofali się, by w cieniu kolumnady grać w kości, a reszta trzymała się z dala. Pozostał tylko stary pomnik, niby zaufany przyjaciel. Kiedyś trzymał miecz, który zaginął. Niebieskie plamki ciągle barwiły jego oczy, a w zagłębieniu łokcia i faldach płaszcza, spływającego z lewego ramienia, Liath wciąż mogła dostrzec ślady złotej farby, nie zatartej jeszcze przez wiatr i deszcz. Na kamiennych sandałach i palcach rósł mech.

Czyż nie powiadano, że dariyańscy cesarze i cesarzowe oraz szlachta pochodzili od Zaginionych? Ten kamienny general trochę przypominał Sanglanta.

--Jestem tu więźniem, wiesz -- dodała dziewczynka beznamiętnym tonem. Miała pyzată, dziecięcą twarzyczkę, która zapewne jeszcze się zmieni, lecz jej wyraz był nad podziw inteligentny. Dziewięcio- czy dziesięciolatka już rozumiała skomplikowane dworskie intrygi. Z westchnieniem puściła dłoń Liath i odwróciła się. -- Ciągle tęsknię za Bertholdem -- mruknęła. -- Tylko on się o mnie troszczył.

--Kim jest Berthold? -- zapytała Liath, zaintrygowana tęsknotą w jej głosie.

Ale dziewczynka rzuciła jej spojrzenie, tak zdziwiona -- jak mawiał Hugo -- jakby pies

przemówił.

Ze środkowej kolumnady wybiegła kleryczka i skinęła na Liath, która ruszyła za nią do pałacu. W przestronnej sali wyłożonej drewnem kleryczka Monika siedziała u krańca stołu, a młodzi klerycy, jeszcze nie do końca rozbudzeni, pisali uważnie albo ziewali w przeciagu. Okienne były otwarte. Przez okna Liath widziała zagrodę dla koni, a za nią wał ziemny, który był częścią umocnień. Kwitły na nim polne kwiaty, purpurowe i bladożółte. Na stromym zboczu pasły się kozy.

--Podejdz -- odezwała się szeptem Monika. Klerycy pracowali w ciszy i tylko od czasu do czasu dobiegało odległe meczenie kóz i krzyki dzieci, a jednak wyczuwało się między nimi nic porozumienia, jakby ta cicha praca sprawiała, że dzielili tę samą myśl i cel. Przy prawej ręce Moniki leżały dwa listy i kilka dokumentów spisanych na pergaminie. -- To jest list dla siostry Rosvity od matki Rotgardy z klasztoru Świętej Waleni. To są cztery królewskie kapitulacje, spisane przez kleryków na królewski rozkaz. Przekaż królowi taką wiadomość: schola za dwa dni opuści Werashausen i wyruszy na południe, by spotkać się z nim w Thersie, jak Jego Królewska Mość nakazał. Wszystko rozumiesz?

--Tak.

--Dobrze. -- Kleryczka Monika skinęła na drobną diakonisę, prawie swą rówieśnicę. Liath górowała nad staruszką. -- Diakoniso Ansfrido.

Ansfrida seplenila, co w połączeniu z dumnym zachowaniem szlachcianki dawało absurdalny efekt.

--Wybudowano nową drogę przez las. Jeśli nią pojedziesz, oszczędzisz cztery dni na drodze do Thersy.

--Czy jazda przez las jest bezpieczna?

Żadna z kleryczek nie wydawała się zaskoczona tym pytaniem. Las wymykał się zwierchnictwu kościoła; nadal był dziki.

--Nie słyszałam, aby ludzie tam pracujący napotykali jakieś trudności. Od zeszłorocznego przybycia Eików bandyci, co niezwykle, zostawili nas w spokoju.

--A inne stwory?

Kleryczka Monika wypowiedziała ciche „ach”, zagłuszone przez szuranie stóp i skrzypienie piór. Ale diakonisa rzuciła Liath dziwne spojrzenie.

--Niewątpliwie trzeba uważać na wilki -- powiedziała Ansfrida. -- O to ci chodziło?

Lepiej dowiedzieć się od leśniczych, uświadomiła sobie Liath, niż wypytywać wierne członkinie kościoła.

--Tak, o to mi chodziło -- odparła szybko.

--Możesz poczekać na zewnątrz -- powiedziała Monika sucho. -- Służący przyprowadzi twego konia.

Odprawiona, Liath wyszła, szczęśliwa, że umknęła świdrującemu spojrzeniu Moniki. Przed budynkiem dostrzegła długą ławę. Tam poczekała. Pałac otoczony był niedawno wzniesionymi wałami ziemnymi; w jednym miejscu, gdzie teraz znajdował się okop, widziała pozostałości dawnego budynku, którego fragmenty odsłonięte podczas budowy fortyfikacji. Z wysoko osadzonymi oknami i sześcioma wieżami, które górowały nad półkolistymi murami niby strażnicy, pałac ten bardziej przypominał fort. Garść zabudowań rozrzucona była w obrębie wałów. Przed kurnikiem stała kobieta, obracając nad ogniem pół wołu. Młody służący spał w

wysokiej trawie.

W Werashaufen panował spokój, gdy nie mieszkał tu król. Z kaplicy dobiegł ją głos kobiety odprawiającej nabożeństwo seksty, a pracujący na polach mężczyźni śpiewali zgodnym chórem. Cykały świerszcze. Za rzeką leżała zielona połać dzikiego lasu; jastrząb -- czarna kropka -- kołował nad dalekimi drzewami.

Jak by to było -- mieszkać w takim miejscu?

Otworzyła sakwy. Listy zapieczętowano woskiem; na pieczęciach widniały małe figurki. Natychmiast rozpoznała znak klasztoru Świętej Walerii po miniaturowym astrolabium, symbolu zwycięstwa świętej Walerii w mieście Sais, gdzie wprawila w zakłopotanie pogańskich astrologów. Liath, oczywiście, nie odważyła się otworzyć listu. Czy zawierał wiadomości o księżniczce Theophanu? Czy wyzdrowiała, czy też list przynosił wieść o jej śmierci? Czy matka Rotgarda pisała, by ostrzec siostrę Rosvitę, że na dworze królewskim krył się czarnoksiężnik? Czy Rosvita podejrzewałaby Liath? Czy Hugona?

Liath rzuciła okiem na kapitularze: król Henryk oddaje zakonnicom z Regensbach w posiadanie pewne włości zwane Felstatt, za co winne są królowi i jego dzieciom gościnę, racje żywnościowe i napitki królewskiemu orszakowi oraz obrok dla koni za każdym razem, kiedy królewski dwór tam zawita; król Henryk zakłada w Gencie klasztor pod wezwaniem Świętej Perpetui w podzięce za zwycięstwo oraz odzyskanie syna; król Henryk gwarantuje leśniczom z Bretwaldu zwolnienie ze wszystkich danin, prócz królewskiej, w zamian za utrzymywanie nowej drogi przez las przejezdny; król Henryk zwołuje starszych kościoła na radę w Autunie, która odbędzie się pierwszego dnia miesiąca Setentre, w kalendarzu kościelnym zwanym Mateuszami.

Na ten dzień, według matematyków, przypadła jesienna równonoc.

O Boże. Czy gdyby miała *Księgę Tajemnic*, mogłaby ją tu spokojnie otworzyć? Czy pozna kiedykolwiek miejsce tak pełne bezpieczeństwa i nieróbstwa jak ten pałac? Czy było jakieś miejsce, w którym mogłaby studiować sekrety matematyków, przechadzać się po swym mieście pamięci, odkrywać kłutwę ognia i mieć spokój?

Zaśmiała się cicho z gniewem, żalem i pragnieniem. Ofiarowano jej takie miejsce, gdy się tego najmniej spodziewała i odrzuciła je w pogoni za pragnieniem równie niemożliwym do spełnienia.

Z bram pałacu wyszedł mężczyzna, prowadzący osiodłanego konia, silną bułąną klacz z białą gwiazdką i białymi pęciami. Wzięła wodze, podziękowała mu grzecznie i ruszyła w swoją stronę.

5.

Jak obiecywała diakonisa, droga przez Bretwald wiodła prosto na wschód. Ptaki śpiewały wśród gałęzi. Łania i dwa niewyrośnięte młode pojawiły się w jej polu widzenia i równie szybko zniknęły w poszyciu. Słyszała postękiwanie dzika. Spojrzała w gąszcz, którego nie przecinała blizna drogi. Drzewa rozchodziły się we wszystkie strony, ku nieznannej i nieprzeniknionej dziczy. Zapach roślin przenikał wszystko równie mocno, jak przyprawy na królewskim stole. Oddychając, mogła go spróbować niby gęstego miodu.

Ale nie umiała już jeździć po lesie, nie oglądając się przez ramię. Nie potrafiła zapomnieć demona, który ją śledził, ani stworzenia dzwonów. Nie potrafiła zapomnieć elfiego postrzału, który wiosną zabił jej konia, choć pościg wydarzył się w innym lesie. Jednak bez wątplenia wszystkie lasy były częścią tej samej, olbrzymiej i wiekowej puszczy. Podróżowała wystarczająco dużo, by wiedzieć, że dzicz na ziemi rozpościerała się szerzej niż tereny opanowane przez człowieka.

„Tam”.

W oddali pomiędzy drzewami przemknął tur. Słońce zablysło w jego wygiętych rogach, żywe, niepokojące, a potem zniknęło. Odgłosy przejścia zwierzęcia utonęły w ciszy lasu, która nie była prawdziwą ciszą: utkana z setek delikatnych dźwięków, splatających się ze sobą tak idealnie, że nie pamiętała ona ludzkich hałasów, lub nie dbała o nie.

Kiedy wreszcie tur odszedł, Liath usłyszała za sobą bardzo wyraźny tętent kopyt. Obróciła się w siodle, ale niczego nie dostrzegła. A jeśli to Hugo?

O Pani! Ten drań Hugo nie miał powodów, by za nią jechać. Będzie czekał, bezpieczny, na królewskim dworze, bo wiedział, że musiała wrócić do króla. Odebrano jej wolność wyboru, dokąd pójść i jak żyć; była jedynie poślednim Orłem na łasce króla, bez żadnego schronienia, bez rodziny.

--Prócz Sanglanta -- wyszeptala. Czy gdyby wypowiedziała to imię zbyt głośno, obudziłaby się z długiego i niemal bolesnego snu, by się przekonać, że księżę jednak zginął w Gencie, a ona płacze przy wygasającym ogniu?

Odgłos kopyt ucichł, kiedy zerwał się wiatr i zaszumiał w gałęziach, a tuzin hałaśliwych leśnych gołębi wzbił się do lotu. I nagle ujrzała błysk czerwieni daleko za sobą, w ciemnym korytarzu drogi. Natychmiast wyrwała luk z kolczanu i dobiła strzały, nakładając ją luźno na cięciwę.

Na lewo trzasnęła gałąź i Liath obróciła się, ale nic nie wyłoniło się z krzaków. Po co uciekać? Ona i tato przemykali od cienia do cienia, ale w końcu wróg i tak ich dopadł.

Osadziła konia i wpatrywała się we wszystkie krzaki i pnie drzew, oddalające się w cień jak filary w nawach katedry. Nic. Coś zbliżało się drogą. I nie słyszała bicia dzwonów.

Zaczerwieniła się jednak i spocila. Napięła cięciwę i czekała. Królewski Orzeł spodziewał się szacunku i bezpiecznej drogi. Tyle już wycierpiała i dwukrotnie uciekła Hugonowi.

Była wystarczająco silna, by stawić czoło temu wrogowi.

Wycelowwała w jeźdźca wynurzającego się z cienia rzucanego przez drzewa i zobaczyła postać w zwyczajnym odzieniu, ozdobionym jedynie szarym płaszczem ze szkarłatną lamówką. Na szyi błyszczała znajoma odznaka.

--Wilkun!

Roześmiał się i kiedy podjechał wystarczająco blisko, zawołał:

--Będę ci wdzięczny, jeśli przestaniesz wyglądać tak groźnie i celować w moje serce!

Zaskoczona opuściła luk.

--Wilkun! -- powtórzyła, zbyt ogłupiała, by powiedzieć coś więcej.

--Miałem nadzieję, że cię złapię przed zmierzchem. -- Zatrzymał się obok. -- Nikt nie lubi samotnie jeździć przez las. -- Dosiadał groźnie wyglądającego wałacha. Jej klacz, wyczuwając kłopoty, uszczypnęła wałacha w zad, aby wiedział, kto tu rządzi.

--Przyjechałeś tu aż z Darre -- rzuciła, nadal nie potrafiąc zebrać myśli.

--Owszem -- zgodził się. Popędził wałacha, a Liath ruszyła u jego boku.

--Dotarcie do króla zajęło Hannie miesiące, a przecież mamy dopiero dwudziestego piątego Quadrii.

--Owszem, świętej Placidany, która zaniósła Krąg Jedności goblinom z gór Harenzu. -- Od razu dostrzegła, że powstrzymywał się od śmiechu.

--Ale doskonale wiesz, że wszystkie przejścia przez góry Alfar są zasypane aż do początku lata. Jak udało ci się tak szybko dotrzeć do Werashausen?

Rzucił jej poważne spojrzenie. Jego usta wykrzywił grymas.

--Wiedziałem, gdzie jest król.

--Szukałeś go przez ogień.

--Tak. Zima była łagodna i przeprawilem się przez Przełęcz Julier szybciej, niż przypuszczałem. Patrzyłem przez ogień, gdy tylko mogłem. Dobrze znam Wendar, Liath. Jechałem za królewskim dworem, prowadzony przez wizję, i wiedziałem, dokąd się udał. Kiedy tylko zobaczyłem, że król zostawił dzieci ze scholi w Werashausen, zorientowałem się, że będzie musiał wrócić tą drogą albo przynajmniej wysłać wiadomość przez jednego ze swych Orlów, który znalazłby planowaną trasę jego przemarszu. Miałem nadzieję, że będziesz to ty.

Jak często ją widywał? Czy wiedział, że Hugo znów ją dręczył? Czy widział, jak spaliła pałac w Augensburgu, walczyła z zaginionymi cieniami w lasach na wschód od Laar, zabiła Krwawe Serce? Czy słyszał to, co powiedział jej Sanglant? Czy widział, jak przekraczała bramę gorejącego glazu?

Odezwał się znowu, zupełnie jakby odczytał jej myśli z wyrazu twarzy.

--Choć nie mogłem być pewien, czy nadal jesteś na królewskim dworze, a nie z księżniczką Theophanu lub w jakiejś misji. Trudno cię dostrzec przez ogień, Liath. Zupełnie jakby okrywała cię jakaś mgła. Podejrzewam, że Bernard rzucił na ciebie jakieś zaklęcie, by cię ukryć. Dziwi mnie, że działa ono tak długo po jego śmierci.

Słowa zawisły między nimi niby wyzwanie. Przez chwilę jechali w milczeniu, podczas gdy w gałęziach nad nimi synogarlice śpiewały im serenadę.

--Od razu przechodzisz do sedna, prawda?

--Niestety, zazwyczaj nie wytyka mi się takiej słabości. -- Jego ton był suchy, a uśmiech ulotny. -- O czym mówisz, dziecko?

Roześmiała się, oszołomiona, trochę nieprzytomna.

--Nie ufam ci, Wilkunie. Może nigdy nie zaufam. Ale wdzięczna ci jestem, że mnie ocaliłeś w Spokoju Serca. I już się ciebie nie boję.

Tym razem uśmiech rozjaśnił jego oczy, migocząc szarymi iskierkami.

Nie czekała na jego odpowiedź, tylko mówiła dalej, zdecydowana wyrzucić z siebie wszystko.

--Dlaczego mnie szukałeś? Dlaczego mnie ocaliłeś w Spokoju Serca?

Zamrugał. Zaskoczyła go.

--Kiedy się urodziłaś, obiecałem Anne, że będę o ciebie dbał. Osiem lat szukałem ciebie i twojego ojca, odkąd zniknęliście. Wiedziałem, że jesteście w niebezpieczeństwie. -- Spojrzał na krawędź, gdzie spotykały się i mieszały droga i las. Kiedy Wilkun zmarszczył brwi, jego czoło przecięły zmarszczki i ujrzała, jak bardzo był wiekowy; widziała niewielu ludzi, których uważała za starszych od Wilkuna i na pewno żaden z nich nie był tak sprawny i pełen życia. Jaka magia dawała mu taką siłę pomimo sędziwego wieku? Czy była to magia, czy raczej pocałunek Fortuny, która powodowana kaprysem błogosławiła jednych wigorem, a innych postępującą słabością? -- Gdybym znalazł was wcześniej -- ciągnął, wciąż na nią nie patrząc -- Bernard mógłby nadal żyć.

--Mogłeś nas obronić? -- Nie widział ciała taty ani dwóch bezużytecznych strzał, wbitych w ścianę.

--Tylko Pani i Pan widzą wszystko, co było, i wszystko, co będzie. -- Sójka zaskrzeczała i poderwała się ze ścieżki, a jej biały kuperek mignął w otaczającej zieleni. Oderwał wzrok od rosnącej przy drodze kępy kwitnących jeżyn, którą kontemplował, i znów spojrzał na Liath bystrymi jasnymi oczami. -- A co z tobą, Liath? Wszystko dobrze? Wydajesz się silniejsza.

Czy rozumiał jej wewnętrzny ogień, przed którym tato próbował ją ochronić? Nie chciała, by go dostrzegł, by zorientował się, że ona wie o jego istnieniu, zupełnie jakby swym przenikliwym wzrokiem mógł uchwycić zmianę sposobu myślenia; była pewna, że przyglądał się tak uważnie, żeby się przekonać, co nieświadomie mogła odsłonić. Tato zawsze powtarzał, że były dwa sposoby ukrywania się: przemykanie od cienia do cienia i chodzenie w południe uczęszczaną drogą. „Mów zbyt dużo o wszystkim lub milcz”, powtarzał, ale Wilkuna nie dawało się zwieść paplaniem, a ona nie miała już odwagi kryć się w milczeniu. Kiedyś sądziła, że milczenie ją osłoni. Teraz wiedziała, że ignorancja jest bardziej niebezpieczna od wiedzy.

--Bałam się wcześniej zadawać ci pytania -- rzekła w końcu, nie bez wahania. -- Nawet mimo tego, że chciałam więcej wiedzieć o tacie i mojej matce. Bałam się, że zmusisz mnie do mówienia. Że byłeś jednym z tych, którzy na nas polowali. Teraz wiem już na pewno, że byłeś jednym z tych, którzy na nas polowali.

--„Polowali na was”. Ja bym tak tego nie ujął.

--Czy nie nazwali cię na cześć wilka? Czy wilk nie poluje?

--Owszem, kiedy musi. W odróżnieniu od ludzi, zabija tylko wtedy, gdy jest zagrożony lub głodny i tylko tyle, ile potrzebuje.

--Jak poznałeś moją matkę i ojca?

--Nasze drogi się skrzyżowały. -- Uśmiechnął się ponuro, pamiętając równie dobrze jak ona rozmowę, a raczej kłótnię, którą odbyli zeszłej wiosny w steleshamskiej wieży. -- Co wiesz o magii, Liath?

--Za mało! -- Przemyślała te nierozważne słowa, a potem dodała: -- Wystarczająco, aby milczeć na ten temat. Mam tylko twoje słowo, że obiecałeś mej matce mnie chronić. Ale ona nie żyje, a tato nigdy nie wspomniał twego imienia. Dlaczego miałabym ci ufać?

Wyglądał na urażonego, jakby zawiodła jego zaufanie albo odrzuciła pomoc.

--Ponieważ twoja matka... -- Urwał.

Czekała. Zapanowało milczenie: milczenie obojętnego lasu, mężczyzny wahającego się,

czy przemówić, i kobiety oczekującej prawdy; milczenie dławionego strachem i takie, które bierze się z czystej radości. Wraz z Wilkunem zamilkł cały las; ptaki też ucichły, bo ktoś obcy niespodziewanie pojawił się wśród nich; zapadła cisza, chmura przysłoniła słońce. Twarz Wilkuna się skurczyła, jakby po ciężkiej walce wewnętrznej wreszcie podjął decyzję.

Kiedy w końcu przemówił, powiedział coś, czego nigdy nie spodziewała się usłyszeć:
--Liath, twoja matka żyje.

6.

Dziesięć kroków, może dwanaście i droga przez martwy las, gdzie drzewa wydawały przeraźliwe odgłosy w wyjąym wietrze, doprowadziła Zachariasza i kobietę do kolejnego ostrego zakrętu. Gorące powietrze uderzyło go w twarz, jednak podążał za kobietą przez bańkę upału. Ziemia pod nim zawirowała nieoczekiwanie, aż pośliznął się na kamieniu i zorientował, że brnie po kostki zanurzony w piasku. Koń szedł za nim z trudem i musiał go ciągnąć, by zwierzę weszło na pagórek, gdzie Aoi stała przy ścieżce wykutej w czarnym kamieniu. Wokół nich rozciągało się pustkowienie -- tylko piasek, słońce i wąska droga, zakręcająca ostro w prawo.

Stracił poczucie kierunku, jego oczy zaszły mgłą, a kiedy już odzyskał ostrość widzenia, szli przez las, który teraz wyglądał inaczej, drzewa rosły tu gęściej niż w tym pierwszym; przypominało to stąpanie po sawannie, gdzie krótka trawa zmienia się w wysokie zarośla, skrywające ziemię i każdego, kto się przez nie przedziera.

Kobieta Aoi przemówiła ostrym szeptem, gestem nakazując mu zatrzymać się. Zachariasz osadził konia. W oddali usłyszał dźwięk rogu i dojrzał złotozielony błysk pośród roślin; ktoś poruszał się w lesie. Wydawało się im, że czekają całą wieczność, choć Zachariasz wziął jedynie dwadzieścia oddechów.

--Hej! -- Kobieta ponagliła do dalszego marszu. Wyglądała na zdenerwowaną, na co wskazywał jej szybki krok.

Tym razem, kiedy droga skręciła w lewo, Zachariasz wiedział, czego się spodziewać. Ziemia zadrżała, a on na krótko zdołał utrzymać równowagę, do czasu, gdy jego buty napelniły się wodą, a w twarz uderzył słony wiatr. Woda opływała jego kostki. Zaskoczony rozejrzał się i ujrzał fale biegnące aż po horyzont. Zatoczył się i ledwo zdążył się złapać końskiej szyi. Skąd się wzięło tyle wody? Gdzie jej kres?

Na szczęście po drugiej stronie dostrzegł splachęć kamienistej plaży, a za nim krzewy i trawę. Droga lśniła pod wodą jak wykuta z brązu.

--Co to za miejsce? -- wyszeptał. Kobieta nie odpowiedziała.

„Ziemia upiorów”, powiedziałyby jego babka. „Świat duchów”. Czy umarł?

Droga skręciła w prawo i Aoi zniknęła w gęstej mgle. Zachariasz pokonał strach i poszedł za nią w kierunku majaczącego we mgle światła, ognia, który płonął białą i niebiesko, palił mu twarz -- a potem znikł.

Nabrał przesyconego zapachem trawy powietrza i padł na kolana tuż przy wygasłym ognisku. Woda kapiała z jego odzienia i wsiąkała w ziemię. Chwilę później zakrztusił się, rozpoznając to miejsce. Wrócili do kamiennego kręgu, w którym czarownica pokonała Bulkezu. Sięgnął po nóż, a potem ujrzał niebo i gwizdnął z zaskoczenia.

Była noc, a malejący księżyc oświetlał kości kamiennego kręgu i srebrzyste trawiaste połacie ciągnące się po horyzont.

Cztery zakręty nieziemskiej ścieżki doprowadziły ich w to samo miejsce -- tylko czas się zmienił.

Ukląkł przy wygasłym ogniu i rozgrzebał popioły palcem. Sadza wymieszała się z suchymi płatkami kwiatu.

--Sześć dni, może siedem -- rzekł na głos, smakując popiół. Podniósł wzrok, ogarnięty lękiem, że ukarze go za strach... albo wiedzę. Ale jeżeli zamierzała go zabić, dawno już by to

zrobiła. -- Czy szliśmy przez krainę duchów?

Stała pod kamiennym portalem, patrząc na zachodnią równinę. Kurtka Bulkezu, którą nosiła na ramionach, nadawała jej wygląd qumańskiego chłopca.

Ale nie była chłopcem.

Podniosła oszczep ku niebiosom i wypowiedziała niezrozumiałe słowa, wołała, modliła się, nakazywała: któż to wiedział? Jej skórzana spódniczka kołysała się w rytmie jej ruchów, delikatna jak najlepszy kurdyban.

Ale to nie był kurdyban.

--Aj, aj, aj, Pani! -- wyrzucił z siebie piskliwie, zaszokowany odkryciem.

Spódnica, którą nosiła, nie została uszyta z jagnięcej czy sarniej skóry. To nie była skóra zwierzęcia.

Kobieta Aoi odwróciła się, by na niego spojrzeć. Jej skórzana spódniczka zawirowała wdzięcznie, tak brązowa, że zdawała się błyszczeć w świetle księżyca.

--Ludzka skóra -- wyszeptał. Gdy jego słowa zamarły, uniesione nocną bryzą, usłyszał odpowiedź.

--Ty, którego niegdyś zwano Zachariaszem-synem-Elsevy-i-Volusianusa. Zmieszałam twoją krew z moją. Teraz jesteś ze mną związany i w końcu ujrzałam, jak możesz posłużyć mnie i mojej sprawie.

Żyje.

Liath w milczeniu pokonywała drogę wśród gęstego lasu, aż poczuła kompletny mętlik w głowie. Dlaczego tato ją okłamał? Czy w ogóle wiedział? O Pani. Dlaczego to jej matka żyła, a nie ojciec?

Od razu wiedziała, że ta myśl była grzeszna. Ale matka była jej tak obca, że wspomnienie wywołane przez słowa Wilkuna nie rozbudziło w Liath żadnych uczuć, podobne raczej do snu: podwórzec i warzywnik, milczący służący na wpół ukryci w cieniu. Słabo pamiętała matkę, tyle tylko że miała jasne włosy niczym słoma i skórę tak białą, jakby nigdy nie tknęło jej słońce, choć pamiętała, że siedziały czasami całe popołudnia w ostrym słońcu Aosty, w świetle czystszy niż złoto.

--Wiedziałaś cały czas.

--Nie -- odparł ostro. -- Odkryłem to teraz, podczas podróży do Aosty.

--Hanna mi nie mówiła.

--Już mnie wtedy opuściła, by zanieść królowi Henrykowi wieść o ucieczce biskupiny Antonii.

--Czy powiedziałaś matce, że mnie znalazłeś? Powiedziałeś, że zamordowano tatę? Co mówiła?

--Powiedziała, żeby cię do niej przywieźć jak najszybciej.

--Ale gdzie ona teraz jest?

W końcu pokręcił głową.

--Nie odważę się tego zdradzić, Liath. Sam muszę cię do niej zabrać. Inni też was szukają.

--Ci, którzy zabili tatę.

Milczenie wystarczyło za odpowiedź.

--O Pani. -- Była świadoma swej kobiecości, wiedziała, że zatraciła dziewczęcą niewinność, kiedy tato został zabity, a Hugo ją zniewolił; wiedziała, że Wilkunowi musi się wydawać inna niż tego dnia ponad rok temu, gdy rozstawali się w Autunie. Dorosła, nabrała ciała, stała się silniejsza. Ale Wilkun wcale się nie zmienił, jakby nie postarzał się nawet o dzień. Białe włosy, bystre oczy i ten sam nieporuszony wyraz twarzy, właściwy wszystkim mądrym starcom, odróżniający ich od zwichrowanej, szalonej młodzieży; domyślała się, że już wiele w życiu przeszedł. Bez wątpienia ktoś niskiego stanu musiał uczynić coś spektakularnego, aby król stał się jego wrogiem, bo władcy nie zwracali uwagi na ludzi z plebsu, równych im jedynie w oczach Boga. Jednak w Autunie rozpaczający Henryk wygnał Wilkuna z dworu, karząc go za przyniesienie wieści o śmierci Sanglanta w Gencie.

Ale Sanglant nie zginął...

--Gdybym tylko zabrał do Darre ciebie, a nie Hannę -- wymruczał Wilkun. A potem wyszczerzył zęby. -- Nie, żeby narzekał na Hannę, rozumiesz, ale nie zapominaj, że my, Orły, nie mamy władzy nad sobą, czego raz i drugi zdarzyło mi się żałować. Musimy jechać, dokąd i kiedy pośle nas król.

--Jeśli nie podoba ci się władza, jaką król ma nad tobą, dlaczego pozostajesz wśród Orłów?

--No cóż. -- Jego uśmiech niczego nie zdradzał. -- Od wielu lat jestem Orłem.

Jechali w ciszy, a popołudnie zasnuwało drogę cieniem. Ponad drzewami zamigotał rudy

jastrząb i zniknął, spadając na zdobycz. Bluszcz zwieszał się z gałęzi i opadał na drogę.

--Czy ona ma się dobrze? -- spytała w końcu Liath.

--Jak zawsze.

--Równie dobrze mógłbyś niczego mi nie mówić. Ledwo ją pamiętam. O Pani! Wyobrażasz sobie, co to dla mnie znaczy?

--To znaczy -- powiedział Wilkun ponuro -- że stracę cię jako Orła.

Nagle ją to uderzyło.

--Nie jestem już pozbawiona rodziny. Mam dom. -- Ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ten dom mógłby wyglądać.

--Staniesz się tym, do czego masz prawo z racji urodzenia, Liath. Chociaż nie wiem, ile Bernard cię nauczył, bo nie chcesz mi powiedzieć. -- Wyraz jego twarzy nie zmienił się, choć w głosie zadźwięczała oskarżycielska nutka.

--Sztuki matematyków, zakazanej przez kościół.

--Ale którą mimo wszystko w kilku miejscach się studiuje. Czy pojedziesz ze mną, Liath, kiedy opuszczę króla?

Nie mogła odpowiedzieć. Nigdy się nie spodziewała, że może stanąć przed takim wyborem.

Późnym popołudniem usłyszeli rytmiczne odgłosy rąbania i chwilę później wjechali na częściowo oczyszczoną przecinkę: poszycie między pniami drzew zostało wypalone. Przeleciała pustulka. Wiewiórki skakały po gałęziach, fukając na intruzów. Zaraz za płytkim strumieniem wyjechali na polanę, na której stały trzy chaty zbudowane z bali i kilka torfowych szop. Ogród ogrodzony sztachetami rozplecił się wzdłuż drogi przecinającej wioskę. Kilku młodzieńców pracowało przy budowie palisady, ale kiedy ujrzeli Orły, odłożyli narzędzia. Jeden zagwizdał, by zawiadomić pozostałych mieszkańców i chwilę później wszyscy otoczyli Wilkuna i Liath: dziesięciu dorosłych i jakiś tuzin dzieci.

--Nie, nie możecie dziś jechać dalej -- powiedziała najstarsza kobieta, Stara Uta, pełniąca funkcję przywódcy. -- Nie wyjedziecie z Bretwaldu przed nocą. Lepiej zostańcie z nami, nie śpijcie tam, gdzie dzikie bestie mogą was pożreć. A u nas jest dzisiaj wesele. Wstyd, gdybyśmy was nie ugościli!

Młodzieńcy włożyli tuniki z sarniej skóry i ustawili na dworze długi stół i ławy, podczas gdy kobiety i dziewczęta przygotowywały ucztę: sadzone jaja, królika; sarnią nogę upieczoną nad ogniem, salatkę warzywną, ciemny chleb z mlekiem i miodem, pieczone grzyby i tyle jagód, ile Liath mogła zjeść, nie przyprawiając się o mdłości, popijanych świeżym kozim mlekiem i ostrym jablecznikiem, który natychmiast uderzał do głowy. Trudno jej było się skoncentrować, kiedy Wilkun opowiadał leśnikom o górach Alfar, wielkiej lawinie, świętym mieście Darre i pałacu Jej Świątobliwości skoposy, naszej błogosławionej matki, Clementii, drugiej tego imienia.

Łatwo było rozpoznać pannę młodą: była to najmłodsza córka Starej Uty, nosiła kwiaty w zaplecionych włosach i siedziała obok męża na honorowym miejscu. Pan młody miał jeszcze mleko pod nosem i przez całą ucztę gapił się na Liath. Wydawał jej się znajomy, nie potrafiła go jednak umiejscowić i bez wątpienia to moc jablecznika połączona z porażającą wiadomością od Wilkuna tak ją otępiła.

Jej matka żyła.

--Orle -- powiedział nagle młodzieniec. -- To ty wyprowadziłaś nas z Gentu. Pamiętasz mnie? Założę się, że masz do mnie żal. To ja zgubiłem twojego konia przy wschodniej bramie. -

- Opalony od pracy na słońcu nie przypominał już chłopca o szczupłej twarzy, który tego okropnego dnia płakał pod Gentem, bo stracił dom i jej konia; rozrósł się w barach i zaokrąglił. Ale w oczach pozostał ten sam błysk.

--Ach, chłopcze, zgubiłeś konia! -- Mężczyźni mruzczyli, a kobiety cmokały z dezaprobatą.

-- Konia! Gdybyśmy tylko mieli konia, żeby ciągnął te bale, albo nawet osła...

--Moglibyśmy wymienić konia na kolejny żelazny topór!

--Spokój! -- powiedziała Liath ostro. Uciszyli się natychmiast i spojrzeli na nią z szacunkiem. -- Nie mówił wam, co się zdarzyło w Gencie?

--Gent leży daleko stąd -- rzekła Stara Uta -- i nie mamy z nim nic wspólnego. Nigdy o nim nie słyszałam przed ich przybyciem.

--Co to jest Gent? -- zapiało jedno z młodszych dzieci.

--To miejsce, z którego pochodzą Martin i Młoda Uta, dziecko. -- Stara wskazała pana młodego i przysadzistą dziewczynę z bliznami na twarzy i rękach. -- Przyjęliśmy ich, bo wielu młodych ludzi zostało po najeździe bez rodziny. A ręce do pracy zawsze się przydadzą. Dziesięć lat zajęło nam i innym leśnikom wycinanie drogi. -- Wskazała trakt znikający w gęstym lesie na wschodzie. -- Teraz, kiedy skończyliśmy, możemy zbudować dom na tej polanie i nie służyć więcej pani Helmingardzie.

--No cóż -- powiedziała Liath, patrząc na każdego po kolei. -- Będę wam wdzięczna, jeśli przestaniecie myśleć, że to była wina Martina, że zgubił konia. Królewskie Smoki padły, ratując mieszkańców Gentu przed Eikami. Chłopiec nie mógł się zmierzyć z dzikimi.

--Czy wszystkie Smoki zginęły? -- zapytał Martin. Przypomniała sobie, że zachwycał się Smokami i towarzyszył im, gdzie tylko mógł.

--Tak -- odparł Wilkun.

--Nie -- powiedziała Liath, usatysfakcjonowana osłupieniem malującym się na twarzy Wilkuna. -- Książę ocalał.

--Książę ocalał -- zawtórował Wilkun z westchnieniem. Liath nie wiedziała: radości czy niechęci.

--Książę -- szepnął młodzieniec modlitewnym tonem. -- Oczywiście, że musiał przeżyć. Nawet Eikowie nie mogli go zabić. Czy nadal są w Gencie? Znaczą, Eikowie.

--Nie, dwie wielkie armie pomaszerowały na Gent, by pomścić zeszłoroczny atak. -- Słuchacze chciwie czekali na opowieść, nawet Wilkun wyczekująco patrzył na nią, cierpliwie, ale najwyraźniej chcąc usłyszeć o tym, jak książę Sanglant wyrwał się śmierci, którą oboje widzieli w ogniu.

Opowiadała o marszu hrabiego Lavastine'a i straszliwej bitwie na polu pod Gentem, o czarach Krwawego Serca i hordzie Eików. Mówiła, jak sam Lavastine zaryzykował, zebrał kilku żołnierzy i poszedł z nimi przez tunel, jak śmierć Krwawego Serca zniszczyła armię Eików i jak armia króla Henryka przybyła w samą porę. Nie mogła się oprzeć wychwalaniu bardziej, niż przystało, czynów Sanglanta, ocalenia oddziału siostry przed klęską i zabicia większej liczby Eików, niż ktokolwiek z żołnierzy. Tym żyjącym w izolacji leśnikom mogłaby równie dobrze prawić o bohaterach, którzy żyli przed setkami lat; mogłaby zaśpiewać o Walthari i Sigisfridzie i przeklętym złocie Hevelli, ponieważ jej słowa były dla nich tylko wieczorną opowieścią.

Ale byli zadowoleni, gdy skończyła.

--Dobra opowieść na wesele -- powiedziała Stara Uta. -- Mamy dla was parę darów, które chcemy ofiarować królowi Henryka jako symbol naszej wdzięczności za uwolnienie nas od służby pani Helmingardzie, która nas źle traktowała.

Liath przypomniała sobie pergamin, który wiozła, wyjęła go z sakwy i odczytała im obietnicę Henryka, że leśnicy nie będą służyć żadnym paniom i panom, dopóki będą utrzymywać drogę przejezdną dla króla, jego posłańców i armii. Król jeszcze nie postawił na niej swej pieczęci, ale leśnicy i tak słuchali uważnie, z czią dotykali pergaminu i przypatrywali się literom, których, rzecz jasna, nikt nie potrafił odczytać.

--Chciałabym wrócić do Gentu -- powiedziała dziewczyna z bliznami, Młoda Uta. -- Nie lubię lasu.

--Masz jeszcze kilka lat do odpracowania -- wtrąciła Stara Uta. Dziewczyna westchnęła.

Ale Martin cieszył się nowym życiem. Miał żonę, honorowe miejsce i bezpieczeństwo wśród nowej rodziny. Leśnikom nie brakowało mięsa, dzikich roślin i skór, które wymieniali u rolników na zboże, dodatek do warzyw, które uprawiali w ogródkach. Nawet kiedy zbiory były małe i nie starczało zboża na zimę, puszcza zawsze była pełna zwierzyny. Pochwalili się żelaznymi narzędziami: dwiema siekierami i łopatą. Reszta narzędzi wykonana była z drewna, kamienia albo miedzi. Mieli stodołę, pełną koszyków orzechów i pestek, pomarszczonych dzikich jabłek, skórzanych naczyń, z których wysypywało się żyto i nie łuskana pszenica, suszonych ziół powiązanych w pęczki i zakrytych słojów smalcu. Znieśli ze strychu cztery piękne wilcze skóry i jedną niedźwiedzią, zwinęli je, związali i dali Wilkunowi, by przekazał je królowi jako symbol lojalności, przypomnienie niedawnej wizyty w Werashausen i przymierza zawartego między nim a leśnikami.

O zmierzchu odprowadzili nowożeńców do najlepszego łoża, zabawiając ich pieśniami i długimi toastami. Złożono przysięgi -- Martin zostanie przyjęty do rodziny w zamian za pracę -- i obietnice wierności. Za miesiąc czy rok jakiś frater przywędruje drogą i pobłogosławi parę. W takich sprawach dobrze było mieć błogosławieństwo kościoła.

--Chodźcie już! -- powiedziała w końcu Stara Uta, litując się nad nowożeńcami, którzy siedzieli sztywno na łóżku, znosząc śpiewy i docinki. -- Czas ich zostawić, niech się wreszcie do siebie zabiorą! -- Reszta, śmiejąc się, wyszła z chaty, aby spać na dworze.

Ale Liath była zbyt niespokojna, by zasnąć. Wilkun rozpalil ognisko, przy którym usiedli, a na niebie pojawiały się gwiazdy. Leżała na plecach i udawała, że śpi, ale studiowała niebo. Lato zwano też „niebem Królowej”. Królowa, jej Łuk, Berło i Miecz, lśniły z całej swej mocy. Puchar Królowej stał w zenicie, jasna gwiazda znana jako Szafir była niemal nad głową Liath. Jej wierny Orzeł podnosił się na wschodzie, zawsze podążając w stronę Rzeki Niebios, która znaczyła niebo tak, jak droga przecinała gęsty las. Zodiak zakrywały drzewa i mgła, która podniosła się na południu, ale udało jej się dostrzec Smoka i szósty Dom w prześwitach nieba między czubkami drzew. Spokojny Mok lśnił na zadzie Lwa, mrugając poprzez liście.

--Nigdy nie przyszło mi do głowy, by go szukać -- powiedział nagle Wilkun.

--Kogo? -- spytała, a potem zrozumiała, kogo miał na myśli. -- Nigdy nie próbowałeś szukać przez ogień mojej matki?

--Możemy zobaczyć jedynie żyjących, i tylko tych, których znamy i dotknęliśmy, z którymi mamy kontakt.

--Ale po upadku Gentu widziałam w ogniu Aoi. -- Przewróciła się na bok. Wilkun siedział

po drugiej stronie ogniska, z twarzą w cieniu. -- Nigdy nie spotkałam podobnych stworzeń. -- Zawahała się, ale nie powiedziała nic więcej o spotkaniu z czarownikiem Aoi.

--To doprawdy zagadka. Nie wiem zbyt wiele o tych sprawach, choć jestem biegły w widzeniu. Gdybym podejrzewał, że księżę Sanglant żyje, szukałbym go, ale nie podejrzewałem. Oboje widzieliśmy, jak spadł na niego morderczy cios... -- urwał.

--Nie jesteś bardziej zaskoczony niż ja, kiedy rozpoznałam go w katedrze -- przyznała. Ale nie mogła się zmusić, aby opisać Wilkunowi, jak bardzo Sanglant przypominał dzikie zwierzę -- i jak się zachowywał. Zmieniła temat. -- Tato mówił...

Słowa taty, wypowiedziane w ostatnią noc jego życia, na zawsze pozostały w jej mieście pamięci: „Jeśli dotkniesz czegokolwiek, co przeszło przez ich ręce, będą mieli do ciebie dostęp... Mają moc szukania i znajdowania, ale zabezpieczyłem cię przed nimi”. A gdyby tato wiedział, że jej matka żyje, co by się stało? Czy mogłaby go uratować?

--Dlaczego tato myślał, że ona nie żyje, skoro żyła?

--Dlaczego myśleliśmy, że księżę Sanglant nie żyje, skoro żył?

--Ale skoro żyła, dlaczego nie próbowała nas znaleźć? Mogła widzieć przez ogień.

Wiedziała, że żyjemy!

--Szukała cię! Ale nie tylko na ciebie polują. I pomimo naszej magii odległości są wielkie i nawet Orzeł pokonuje je z trudem, choć ma konia oraz obietnicę dachu nad głową i jedzenia, gdziekolwiek się zatrzyma.

--Ale jeśli musiała się ukrywać, dlaczego nie mogła nas ze sobą zabrać? Dlaczego tato myślał, że ona umarła? Pamiętam... -- Wspomnienie tamtej nocy dziesięć lat temu buchnęło płomieniem jak smoła.

--Co pamiętasz? -- spytał łagodnie.

Ledwo mogła mówić.

--Wszystko buchnęło płomieniem, domek, rośliny w ogrodzie, stajnie, szwalnia i reszta budynków... -- Zamknęła oczy i wśród nocnych szeptów na polanie sięgnęła w otchłań bolesnych wspomnień. -- I lawy. Kamienne lawy. Nawet kamień płonął. Wtedy uciekliśmy. Tato złapał księżę i uciekliśmy. I powiedział: „Zabili Anne, aby wykorzystać jej dar”.

Musiała urwać, bo jej gardło ścisnął żal i dręczyło ją więcej pytań, niż umiała zadać. Otworzyła oczy i wpatrzyła się w niebo tak rozgwieżdżone, że wydawało się, iż rozrzucano po nim setki lśniących klejnotów. Strumień światła błysnął i zgasł: spadająca gwiazda. Czy był to anioł, ręką Boga zrzucony na ziemię, by wspomagać modlitwy wiernych, jak pisały matki kościoła? Czy też był to ślad jednego z tych eterycznych stworzeń, zrodzonych z czystego ognia, które, nurkując jak jastrząb, skoczyło ze sfery Słońca ku mieszkającym w dole?

Wilkun nie odpowiedział. Ogień trzasnął głośno i wypluł czerwony węgielek na krawędź jej płaszcza. Strząsnęła go i skuliła się, opierając łokcie na kolanach i gapiąc się w ogień. W milczeniu upłynęła długa chwila; żółte płomienie zmniejszały się i gasły, zostawiając żarzące się węgle. Wilkun chyba zasnął.

Szukał jej, ale nie potrafił dostrzec przez ogień. Czy zaklęcie taty nadal ją chroniło? Czowała obecność innych, którzy jej szukali, czowała powiew ich przejścia, wyciągnięte dłonie zaciskające się po omacku. Widziała demona o skrzydłach ze szkła. Widziała stwory, które ją tropiły, stwory o głosie dzwonów, zostawiające za sobą kości obrane z ciała. Czy ciągle się gdzieś czaiły? Czy ona, jak mysz, mogła umknąć w miejsca innym niedostępne i stamtąd ich

obserwować?

Uczyniła bramę z węgla i spojrzała w głąbiny. Gdyby tylko potrafiła przypomnieć sobie matkę, na pewno zdołałaby znaleźć ją w ogniu, znów ją zobaczyć. Ale kiedy płomień zamigotał przed jej oczami, ogarnęło ją nagle przecucie zagłady, tak realne jak dłoń dotykająca ramienia -- jak dłoń Hugona, więżąca ją, naginająca do swej woli.

Ogień rozgorzał z nagłą siłą, jakby był nadnaturalną istotą budzącą się do życia, ze skrzydłami rozpościerającymi się w płachtę płomieni, oczami niby błyskawice, oddechem ognistego Słońca przekształconym w umysł i wolę. Jej głos zagrzmiał w ryku płomieni.

--Dziecko!

Krzyknęła głośno i gwałtownie cofnęła się tak przerażona, że nie mogła powstrzymać szlochu wyrywającego się z piersi.

Wilkun skoczył na równe nogi. Ogień natychmiast zgasł, pozostawiając popiół i tylko jedna iskra jeszcze migotała, nim i ona zgasła.

--Liath!

Poderwała się i pobięła ku nie wykończonej palisadzie, okorowanym i zaostrzonym pniom, wbitym w rów dla ochrony przed leśnymi zwierzętami. Oparła się o solidną belkę. Policzkami i ramieniem przyłgnęła do gładkiego, okorowanego, dębowego drewna; leśnicy wykonali dobrą robotę, bo belka nawet nie drgnęła pod ciężarem Liath.

Ciągle się trzęsła.

Zahukała sowa, jej cień przemknął obok i zniknął w ciemności.

--O Pani -- wyszeptala do nocy, wiatru i zwierząt zajętych nocnym życiem, niemych świadków. -- Sanglant.

Rozdział drugi

Lilia pośród cierni

1.

Ivar nigdy w życiu się tyle nie modlił, nawet podczas pierwszego roku nowicjatu w Quedlinhamie. Bez przerwy bolały go kolana. Ale Baldwin wbil sobie do głowy, że jeśli będzie się dużo modlił, ustrzeże się od zalotów swej narzeczonej: miał nadzieję, że nawet potężna margrabina niechętnie zakłóci modlitwy młodzieńca, niezależnie od tego, jak długo czekała, by dostać go w swoje ręce.

Przez pierwsze pięć dni po wyjeździe z Quedlinhamu metoda skutkowała. Jednak Ivar miał uszy i dorastał z siostrami. Margrabina Judith nie była aż tak wiekowa, żeby ustały jej święte krwawienia. Raz dostrzegł nawet poplamione szmaty, z czcią złożone na palenisku.

Kobiety podczas krwawienia były szczególnie błogosławione i nie kusilo ich pożądanie. Nawet szlachcianka taka jak Judith słuchała w tych sprawach zaleceń matek kościoła. Ivar podejrzewał, że modlitwy Baldwina były niezłym przedstawieniem i niewiele się liczyły, choć podsycaly apetyt jego narzeczonej; niekiedy podczas modlitwy Ivar zerkał w bok i widział, że margrabina przypatruje się Baldwinowi, który modlił się naprawdę pięknie.

--Nie powinienes się modlić, jeśli modlitwa nie płynie z serca -- powiedział Ivar. -- To grzech.

Było późne popołudnie kolejnego dnia podróży na zachód, ku królowi. Ivar jechał na osle, jak przystało nowicjuszowi, ale Baldwin dostał dumnego, karego walacha. Bez wątpienia margrabina Judith nie mogła się oprzeć pokusie pokazywania dwóch pięknych stworzeń naraz.

Teraz jednak Baldwin nieomal go zrugał.

--Przyganasz mi jak Zasznurowane Usta. Modlę się z serca! Nie wyobrażasz sobie chyba, że chcę ją poślubić?

--Jakbyś miał jakiś wybór.

--Jeśli małżeństwo nie zostanie skonsumowane, nie jest małżeństwem.

Ivar westchnął.

--Nie jest gorsza od innych kobiet. Będiesz miał piękne ubrania, wspaniałą zbroję, dobry żelazny miecz. W marchii będziesz walczył z qumańskimi barbarzyńcami. Nie będzie tak źle.

--Nie lubię jej -- rzekł Baldwin tonem dziecka, które nigdy wcześniej nie musiało się godzić na coś, czego nie lubi. -- Nie chcę być jej poślubiony. -- Spojrzał przed siebie, gdzie lady Tallia jechała obok Judith. -- Wolałbym się ożenić...

--Ona nie wyjdzie za mąż! -- syknął Ivar cicho, nagle ogarnięty wściekłością. -- Za nikogo! Bóg wybrał ją na swoją służkę, nienaruszoną oblubienicę Jej Syna, błogosławionego Daisana, jakimi powinny być wszystkie zakonnice!

--Dlaczego ja nie zostałem wybrany? -- mruknął Baldwin płaczliwie.

--Bo jesteś mężczyzną. Kobiety służą Bogu, doglądając Jej paleniska, ponieważ stworzone zostały na boski obraz i ich zadaniem jest rządzenie wszystkim, co Ona stworzyła.

--Jeśli będziesz głosił herezje -- wyszeptał Baldwin -- kościół cię ukaże.

--Męczeństwo nie jest karą! Pogańscy Dariianie nagrodzili błogosławionego Daisana obdarciem żywcem ze skóry i wyrwaniem serca. Ale Bóg przywrócił mu życie, tak jak męczennikom w Komnacie Światła.

Baldwin odpędził muchę z twarzy i przyjrzał się kobietom jadącym na czele pochodu.

--Sądziysz, że margrabina Judith zostanie po śmierci wzięta do Komnaty Światła czy strącona w Otchłań?

Na przedzie jechało dwudziestu zbrojnych, odzianych w kubraki z wyszytą skaczącą panterą. Za nimi podążała margrabina. Miała dumną postawę, siwiejące włosy i ładny profil, podkreślony ostrym nosem; nosiła tunikę w najgłębszym odcieniu purpury, jaki Ivar w życiu widział i podziwiał, wyszytą tak pięknie w sokoły spadające na łup i pantery skaczące na bezbronne łanie, że na pierwszy rzut oka wydawało mu się, iż widzi wydarzenia prawdziwe, a nie wyhaftowane jedwabiem na lnem. Jadąca obok margrabiny Tallia wyglądała krucho, z pokornie zwieszoną głową i ramionami zgarbionymi jak pod wielkim ciężarem; nadal ubierała się jak nowicjuszka, w zgrzebną szatę i szal skromnie okrywający głowę. Otaczali je śmiejący się i żartujący jeźdźcy. Judith wolała towarzystwo kobiet; wśród szlachty, kleryków, zarządców, służących, koniuszych, posługaczy i niewolników, którzy ją otaczali, prawie nie było mężczyzn, prócz żołnierzy i dwóch starszych fratrów, którzy służyli jej matce. Jechała na czele wspaniałego pochodu. Ivar widział tylko jeden większy orszak: królewski.

--Dlaczego taka potężna szlachcianka miałaby zostać strącona w Otchłań? -- odpowiedział w końcu. -- Nawet jeżeli się myli w sprawie Świętego Słowa i prawdy o życiu i śmierci błogosławionego Daisana. Ale to wina kościoła, który odmawia prawdy tym, którzy chcą usłyszeć Święte Słowo. Sądzę, że margrabina Judith ufunduje w testamencie klasztor i tamtejsze zakonnice codziennie będą się modliły za jej duszę. Dlaczego więc nie miałaby wstąpić do Komnaty Światła, skoro tyle mniszek będzie zanosilo pobożne modły za jej duszę, kiedy już umrze?

Baldwin westchnął rozdzierająco.

--Dlaczego więc mam być dobry, skoro to oznacza, że skazany jestem na wieczność u jej boku?

--Baldwinie! Nie słuchałeś lekcji? -- Ivar uświadomił sobie nagle, że skupione, uważne spojrzenie Baldwina, tak często zwrócone ku Zasznurowanym Ustom, bratu Metodiuszowi i innym nauczycielom, mogło kryć kompletny brak zainteresowania ich naukami. -- W Komnacie Światła wszystkie nasze ziemskie żądze zostaną zmyte chwałą boskiego spojrzenia.

W tejże chwili margrabina odwróciła się, by na nich spojrzeć. Błysk w jej oczach przestraszył i zawstydził nieszczęsnego Baldwina, niestety, skromność tylko podkreślała długość jego rzęs, linie różanych policzków i czerwień warg. Margrabina uśmiechnęła się i zajęła swymi towarzyszkami, które wybuchnęły gromkim śmiechem, słysząc jej komentarz. Sprawiała jej przyjemność, jak kotu, zabawa tłustą myszą, którą upolowała.

Ivar zadrżał.

--Ale i tak nic nie możesz zrobić -- rzekł Baldwinowi.

--Co wcale nie znaczy, że musi mi się to podobać. -- Z gardła Baldwina wydobył się na wpół stłumiony szloch. -- Przynajmniej ty jesteś ze mną, Ivarze. -- Wyciągnął rękę i schwycił dłoń Ivara, niemal miażdżąc mu knykcie w desperackim uścisku.

--Na razie.

--Będę ją błagał, byś ze mną został -- rzekł Baldwin z determinacją, puszczając dłoń Ivara. -- Możesz być moim przybocznym. Ivarze, obiecaj, że ze mną zostaniesz -- zwrócił ku niemu swe przepiękne oczy. Ivar oblął się rumieńcem, poczuł, jak gorąco ogarnia jego twarz; ten rumieniec usatysfakcjonował Baldwina, który najpierw słabo uśmiechnął się do niego, a potem nerwowo spojrział na kobietę, która teraz rządziła jego losem.

Tego wieczoru Ivarowi pozwolono nalewać wino przy stole margrabiny. Zatrzymali się na

noc w posiadłości klasztornej i Judith zażyła sobie ucztę. Margrabina była rozpromieniona; jedzenia było pod dostatkiem, a dowcipy tak rubaszne, że Baldwin nie mógł oderwać oczu od drewnianego półmiska, który dzielił z narzeczoną. Poeta, który z nimi podróżował, zaintonował *Najlepszą z Pieśni*, odpowiednią na wesele.

Wprowadź mnie do swej komnaty, królowo.

Spożyłem chleb i miód.

Wypiłem wino.

Jedzcie, przyjaciele, i pijcie, póki nie upijecie się miłością.

Jedna ze szlachetnie urodzonych towarzyszek Judith rozmawiała ze starym wujem, bratem matki Baldwina, którego pomoc była nieodzowna, o tym, by wyrwać chłopaka z klasztoru: starzec wyjaśnił matce Scholastyce drżącym głosem, że zaręczyny Judith z Baldwinem zostały formalnie potwierdzone przysięgą, gdy miał on trzynaście lat; kontrakt ten ważniejszy był zatem niż zakonne śluby Baldwina.

Pijany wuj zwierzał się teraz lady Adelindzie:

--Ale margrabina, kiedy zobaczyła chłopaka, była jeszcze zamężna. No cóż, gdyby jej mąż nie zginął w walce z Qumanami, bez wątplenia odprawiłaby go dla Baldwina. Był z dobrej rodziny, ale nie taki śliczny jak chłopiec.

Adelinda uśmiechnęła się.

--A kiedy Judith widzi mężczyznę, na którego ma ochotę, zdobędzie go niezależnie od tego, co kościół mówi o wierności jednemu małżonkowi. Bez wątplenia była dobrą partią dla rodziny.

--Owszem -- zawtórował entuzjastycznie. -- Moja siostra widziała, jak Judith pożądała chłopaka, więc postawiła twarde warunki i zdołała poszerzyć swe włości o kilka dobrych posiadłości.

O Boże! Sprzedany jak byk na targu. Ivar dopił resztki wina i napełnił puchar. Wino paliło go w gardło; w głowie już mu wirowało.

--Dziś go poślubi -- powiedział wuj, wskazując parę młodą. Judith trzymała puchar, który dzieliła z Baldwinem, pilnując, aby ten nie wypił zbyt wiele, ale nie rozczuła się nad chłopcem ani nie zerknęła na niego nieprzystojnie. -- A biskupina pobłogosławi małżeństwo, kiedy dotrzemy do króla.

Chodź, ukochany, pójdziemy do winnic o poranku.

Zobaczymy, czy winorośl wypuściła pączki, czy kwiaty się otworzyły.

--Widzisz, Adelindo -- powiedziała margrabina, odrywając jej uwagę od starego krewnego Baldwina. -- Żaden kwiat nie powinien zostać zerwany, nim rozkwitnie, bo nigdy nie ujrzymy go w całej okazałości. -- Wskazała Baldwina, którego policzki zaróżowiły się z zakłopotania; jednak jak kwiat pod gorącym spojrzeniem słońca -- i wszystkich szlachciców, którzy mieli przywilej zasiadać przy stole Judith -- nie zmarniał, ale raczej rozkwitł. Ale ona patrzyła już gdzie indziej: jej oczy błyszczały złowrogo. -- Prawda, lady Tallio?

Młoda kobieta nie podniosła wzroku. Nie zjadła nawet chleba i Ivar natychmiast poczuł się winny, że jadł i pił bez umiaru. Jej twarz była biała jak śnieg na wiosennych polach, a głos tak cichy, że ledwo usłyszeli odpowiedź:

--„Jeśli kobieta zapłaci za miłość całym swym dobytkiem, będzie potępiona”.

Ta przygana zupełnie nie popsowała Judith humoru.

--„Ale własną winnicę mogę oddać” -- odpowiedziała, śmiejąc się serdecznie i skinęła na czekających służących. -- Chodźcie. Czas na spoczynek.

--Co? -- wykrzyknęła jej towarzyszka z pijacką szczerością. -- Tak szybko po odebraniu go z klasztoru? Na wschodzie hodujecie wiele koni. Na pewno wiecie, że trzeba je ujeżdżać powoli. Nie zakładacie im siodła i nie dosiadacie za pierwszym razem, gdy nakładacie im uprząż!

--Byłam cierpliwa -- odparła Judith z uśmiechem, ale w jej głosie dźwięczała stal. Gestem nakazała Baldwinowi wstać, a Ivar prędko podążył za nim, bo nieszczęsny Baldwin zbladł jak ściana.

W tłumie, kiedy wychodzili z jadalni, towarzyszka Judith zapędziła Ivara w kąt; była bardzo pijana, a jej dłonie i język nieposkromione.

--Czy wszędzie masz te piegi? -- zapytała i położyła rękę na jego udzie, gotowa podciągnąć tunikę, by się przekonać.

--Nie, Adelindo -- Judith stanęła między Iwarem a kobietą. -- Ten chłopiec należy do Kościoła. Nie wolno mu nawet rozmawiać z kobietami. Przyrzekłam, że odwiozę go bezpiecznie do klasztoru Świętego Walaricusa Męczennika. I wszystkie jego członki mają być bezpieczne. -- Jej wzrok prześlizgnął się po Ivarze beznamiętnie, bez krztyny zainteresowania. Mógłby być krzesłem, które przestawiała. -- Dalej, chłopcze. Przygotuj mego narzeczonego do spoczynku.

Dla margrabiny i jej orszaku przygotowano komnatę na uboczu. Kilka posłań ułożono na podłodze; łóżko, szerokie i miękkie, otoczone było zasłoną niby tarczą. Powiew wiatru, wpadający przez otwarte okiennice, poruszał materią. Zapadający zmierzch wsącał się do komnaty jak syrop.

Baldwin trząsał się, gdy Ivar pomagał mu zdjąć sandały, nogawice i piękną tunikę, zostawiając tylko koszulę. Umył dłonie i twarz i klęknął przy łóżku w pozycji sugerującej głęboką modlitwę, z twarzą pozbawioną uczuć jak piękna marmurowa rzeźba.

Nadeszła Judith, zarumieniona i pełna energii. Była kobietą słusznych kształtów, wysoką, potężną i silną. Baldwin był niewiele wyższy od niej i szczupły; jej figura zdawała się go pochłaniać.

Na znak służących Ivar zostawił Baldwina i wycofał się do kąta. Przy stole kleryczka Judith wyśpiewywała coś nad kawalkiem zapisanego lnu -- po dariyańsku, którego Ivar nie rozumiał, choć brzmiało to jak jedno z prymitywnych zaklęć używanych przez diakonisy w parafiach, by odpędzić zarazę lub uzdrowić chorych. Kleryczka zanurzyła len w occie i owiązała nim kamyk. Ivar odwrócił się skromnie, gdy służące Judith otoczyły ją i zaczęły rozbierać. Śmiały się i szeptały. Służąca zaciągnęła zasłony łoża. Pozostali ułożyli się na posłaniach na podłodze, ale Ivar nie mógł zasnąć. Z twarzą zwróconą do ściany osunął się na posiniaczone kolana, zacisnął powieki i złożył ręce do modlitwy.

Nawet z zamkniętymi oczami nie mógł się od tego uwolnić; wszystko słyszał. Dobra margrabina zdawała się działać niemilosierdzie długo.

Jego ciało drżało, reagując na to, co słyszał: szelest materiału, gdy ciała się przesuwaly, stęknienie, zduszony chichot, nagły jęk zaskoczenia; westchnienie. O Pani, chroń go. Wyobrażał sobie podnieconego mężczyznę, otwierającą się kobietę i choć jego myśli uciekały do nowożeńców, nie mógł, nie wolno mu było o nich myśleć. Modlitwy pierzchyły jak stado spłoszonych zajęcy. Pocił się, choć noc nie była specjalnie ciepła.

Kilka krótkich jęków, po których rozpoznał Baldwina -- i wreszcie się skończyło.

Był tak spięty, że mięśnie bolały go przy najdrobniejszym poruszeniu. Z grymasem bólu położył się na dywanie, jedynym posłaniu, jakie mu przyszykowano i w końcu, zmęczony, zapadł w drzemkę... tylko po to, aby późno w nocy obudziło go to samo.

Kiedy skończyli, mógł wreszcie zasnąć, ale nawiedzały go koszmary. Bez wątpienia Nieprzyjaciel wysłał setki swych kłujących, drażniących i jątrzących sług, aby kusily go wizjami Liath: cieplej, chętniej i spoczywającej obok niego.

Rankiem pozostało dopełnić formalności. Judith dała nowemu małżonkowi tradycyjny prezent poranny, aby uczcić skonsumowanie związku: piękny miecz w pochwie wysadzonej klejnotami, jedwabną tunikę z Aretuzy, skrzyneczkę z kości słoniowej, zawierającą wysadzone klejnotami brosze i pierścienie, i dwanaście nomii, złotych monet wybitych w Cesarstwie Aretuzańskim. Był to piękny i imponujący podarek.

Stary wuj Baldwina przywiózł drobiazg, który chłopak miał dać żonie, złotą bańkę z ukrytymi w środku dzwonekami, które dźwięczały, gdy się ją turlało.

Cena, którą zapłaciła Judith rodzicom Baldwina, była poważniejsza, nie zawierała jednak dóbr ruchomych: Baldwin stał się teraz właścicielem kilku bogatych posiadłości w Austrze i Olsatii. Ugodzono to pięć lat temu i odczytanie intercyzy było jedynie formalnością.

Późnym rankiem opuścili dwór. Judith jechała na przedzie ze swym orszakiem, zostawiając Baldwina z Iwarem, który miał dotrzymywać mu kroku. Małżonek miał zaczerwienione policzki i blady meszek na szczęce; był teraz mężczyzną i oczekiwano, że zapuści brodę.

Ivar wyciągnął rękę i poklepał go po nodze, a Baldwin aż podskoczył, jakby przerażał go najlżejszy dotyk.

--Dobrze się czujesz? -- wyszeptał Ivar. -- Wyglądasz, jakbyś miał gorączkę.

--Nie wiedziałem. -- Jego oczy błyszczały niepokojąco, a wzrok utkwiony w Ivarze był tak intensywny, że wszystkie myśli, które przeszkadzały Ivarowi w modlitwie i śnie pojawiły się znowu i dreszczem przebiegły przez ciało. Obaj młodzieńcy natychmiast odwrócili wzrok i kiedy Ivar znów popatrzył na Baldwina, okazało się, że ten gapi się na bladą twarz i delikatny profil lady Tallii. Jego usta były lekko spuchnięte, a oczy szeroko otwarte.

--Nie wiedziałem -- powtórzył takim tonem, jakby obwieszczał objawienie, ale Ivar nie wiedział i nie dowiedział się czego, bo Baldwin nie odezwał się już ani słowem. Jechali obok siebie w krępującej ciszy.

2.

Kiedy Rosvita spała z przyciśniętym do piersi *Żywotem świętej Radegundis*, który otrzymała od umierającego brata Fidelisa, zawsze miała dziwne sny. Słyszała głosy szepczące językiem, którego nie rozumiała. Na skraju wizji pojawiały się stworzenia, niby na brzegu lasu, próbując zwrócić jej uwagę, a potem uciekały jak zwierzęta, kiedy wyczują drapieżnika.

Złote koło lśniło w ostrym świetle, obracając się. Młody Berthold spał spokojnie w kamiennej jaskini w towarzystwie sześciu kompanów. Burza śnieżna szalała na szczytach gór, a na jej skrzydłach tańczyły demony blade jak księżyc, stworzone z eterycznych wiatrów. Lew skradał się po zimnym zboczu, a poniżej, na polanie porosłej więdnącą trawą, czarne ogary ściagały zdobycz, jelenia, podczas gdy oddział jeźdźców odzianych w ubrania błyszczące jak klejnoty jechał za nimi.

--Siostró Rosvito!

Gdy na jej ramieniu spoczęła dłoń, obudziła się, wyrwana ze snu przez nie cierpiące zwłoki sprawy świata doczesnego. Stęknęła i usiadła, mrugając.

--Błagam, siostró Rosvito -- Konstantyn z nerwów skrzeczał jak chłopiec. -- Król pragnie, abyś do niego dołączyła. Jest tu służący, który ma was zaprowadzić.

--Proszę, bracie, trochę skromności.

Wymruczał przeprosiny i odwrócił się, a Rosvita wyślizgnęła się spod koca i wciągnęła habit na bieliznę. Siostra Amabilia smacznie chrapała; Rosvita zazdrościła jej zdolności spania w każdych warunkach. Popatrzyła na *Żywot* i podniosła go, powodowana impulsem.

Król był za stajniami, ubrany, jakby nie kładł się spać. Stał, trzymając jedną stopę na pniu i z dłonią opartą na nodze, jakby miało mu to pomóc zachować cierpliwość, gdy patrzył na swego syna chodzącego tam i z powrotem, tam i z powrotem po półokręgu, który już zaczynał rysować się ścieżką w trawie. Rosvita przez chwilę myślała, że księżę był uwięziony, ale to tylko jego chodzenie ciągle w tym samym miejscu sprawiało takie wrażenie; jakby nadal zataczał półkole w łańcuchach. Jednak został uwolniony z łańcuchów i niewoli Krwawego Serca ponad dwadzieścia dni temu.

Widząc Rosvitę, Henryk wskazał syna:

--Wbił sobie do głowy, że pojedzie za jednym z moich Orłów bez żadnej eskorty, to szaleństwo. Twoja rada, dobra siostró, na pewno pomoże mu odzyskać rozsądek, bo ja i Villam zawiedliśmy.

Sanglant przestał chodzić i stanął, czujny, jakby słuchał -- jej albo ptaków wyśpiewujących poranne trele. Czy prawdą było to, co powiedział ponad rok temu brat Fidelis: że ptaki śpiewały o tym dziecku, zrodzonym z połączenia krwi ludzkiej i Aoi? Czy księżę rzeczywiście rozumiał język ptaków? Czy też nasłuchiwał czego innego?

--Pozwól mi jechać, Wasza Królewska Mość -- rzekł Sanglant ostro. -- Odwołaj swe psy.

Żołnierze spojrzeli na przywiązane psy Eików, które warczały i kłapały zębami, wyczuwając niepokój ludzi. Henryk spojrział na Rosvitę, oczekując, że się odezwie.

Szybko zebrała myśli.

--Co was trapi, Wasza Wysokość? Dokąd chcecie jechać?

--Ona powinna już wrócić. Byłem cierpliwy. Ale coś ją ściga. -- Odrzucił głowę, wężąc. -- Czuję ich. Jest jeszcze coś, coś, czego nie rozumiem... A jeśli na drodze spotkało ją nieszczęście? Muszę ją znaleźć!

Chciał natychmiast rzucić się w pogoń, hamował się tylko ze względu na ojca. Henryk nie byłby królem, gdyby nie miał spojrzenia przeszywającego jak błyskawica i siły woli, którą można by obdzielić dziesięciu. Tą siłą woli powstrzymywał Sanglanta przed ucieczką.

--Jak znajdziecie tę Orlicę, której szukacie? -- ciągnęła Rosvita. -- Wiele jest dróg.

--Ale czuję śmierć...! I piętno Nieprzyjaciela. -- Zadrżał, wyrzucił z siebie raczej szczek niż przekleństwo i nagle padł na kolana. -- O Pani, czuję, jak wyciąga się martwa dłoń, by ją zatruć.

--Chyba łatwiej go przykuć jak psa -- wymruczał Henryk -- niż zmusić, żeby gadał z sensem. Nikt nie może go zobaczyć w takim stanie.

--Wasza Wysokość. -- Rosvita wiedziała, jak udobruchać zdenerwowanych mężczyzn. Ponieważ była najstarszą córką na ojcowskim dworze, już jako dziecko nieraz musiała sobie radzić, kiedy hrabiego Harla ogarniała furia. Wiele razy uspokajała Henryka. Podeszła do księcia i położyła dłoń na jego ramieniu, ostrożnie, ale pewnie. Całe jego ciało zadrżało pod dotykiem. -- Czy nie lepiej będzie zostać na królewskim dworze, niż ryzykować rozminięcie się z nią w drodze? Orlica, której szukacie, wróci do króla. Jeśli wyruszycie za nią, jaką możecie mieć nadzieję, że ją znajdziecie, skoro dzieli was taka przestrzeń?

Zakrywał oczy ręką i, teraz to sobie uświadomiła, płakał bezgłośnie. Ale łzy były przynajmniej reakcją człowieka, nie psa. Zachęcona tym drobnym sukcesem, mówiła dalej:

--Dziś znów wyruszamy, Wasza Wysokość. W Werlidzie mają wystarczająco dużo zapasów, by gościć nas przez tydzień lub dwa. Ile dróg wiedzie do Werlidy? Moglibyście miesiącami galopować i się z nią minąć. Trzeba być cierpliwym.

--Dziecko -- rzekł łagodnie Villam. -- Wszystkie Orły w swoim czasie wracają do króla. Jeśli poczekaasz z królem, w końcu przyjedzie do nas.

--W końcu przyjedzie do mnie -- wyszeptał ochryple.

Villam uśmiechnął się.

--Oto mówi młodzieniec, którego gryzie to, co młodzi najbardziej odczuwają. Wy też musicie być cierpliwi, Wasza Królewska Mość. On wiele wycierpiał.

Król patrzył na syna ze zmarszczonym czołem, ale kiedy klerycy zgromadzeni w sali dworskiej zaczęli śpiewać pierwsze wersy prymy, jego twarz przestała być ponura.

--To całkiem ładna kobieta -- ciągnął Villam niemal kpiąco. -- Odzyskanie zainteresowania kobietami dobrze mu zrobi.

--Co rozumiesz, synu -- spytał król -- przez piętno Nieprzyjaciela? Przez „martwą dłoń”?

Nagle, jakby zaalarmował go hałas tylko dla niego słyszalny, Sanglant zerwał się na równe nogi i wyrwał kolek, który przytrzymał psy. Te zaczęły szczekać i ciągnąć łańcuchy, kiedy ruszył ku koniom pilnowanym przez nerwowego stajennego. Konie spłoszyły się, widząc nadciągającą szaloną sforę, a księżę musiał sprać psy pięścią, by przestały się rzucać do końskich brzuchów. Posłuchały go, warcząc i skomlać; wskoczył na konia i ze smyczami w garści i kwadratowym skórzanym pakunkiem przewieszonym przez plecy, ruszył ku rzece.

--Doprowadza mnie do rozpaczki -- wymruczał Henryk.

--Niech wydobrzeje -- doradził Villam. -- A potem znów dajcie mu Smoki. W bitwie odzyska rozum.

Ale Henryk tylko zmarszczył brwi.

--Król Ungrii przysłał posłańca. Proponuje swego młodszego brata na męża dla Sapientii.

Rosvita popatrzyła na niego zaskoczona.

--Sądziłam, że faworyzujecie Saliańczyka, księcia Guillaume'a. Albo syna króla Poleniów.

--Dzikusy! -- wymruczał Villam, który walczył z Poleniami, nim nawrócili się na wiarę w Jedność. -- Lepiej by było wydać ją za młodego Rodulfa z Varingii i w ten sposób zagwarantować sobie lojalność jego siostry. Sapientia będzie potrzebowała lojalności diuszesy Yolande z Varingii, kiedy zasiądzie na tronie.

--Zawsze był posłusznym synem -- powiedział Henryk, wciąż patrząc w kierunku, w którym odjechał jego syn. -- Ale muszę stawiać fundamenty na kamieniu, nie na piasku.

Villam spojrział na Rosvitę i pytająco podniósł brwi. O czym, do licha, mówił król? Wzruszyła ramionami.

Na dziedzińcu dworu, w którym spędzili noc, służący ładowali już wozy, trzepali koldry, zanosili skrzynie z królewskim skarbem pod opiekę straży. Rosvita patrzyła, jak brat Konstantyn wybiegł, zgarbiony nad tobołkiem piór i butelek z atramentem; ponieważ nie patrzył, dokąd idzie, wpadł na służącego, upuścił zakorkowaną butelkę, a potem, schylając się, by ją podnieść, kilka piór.

Rosvita uśmiechnęła się.

--Wasza Wysokość, czy mogę pójść do kleryków i poczynić przygotowania?

Henryk obojętnie skinął głową. Kiedy odchodziła, zawołał ją po imieniu.

--Dziękuję, dobra przyjaciółko -- powiedział z szerokim uśmiechem i mogła jedynie skłonić głowę, jak zawsze oszołomiona siłą jego aprobaty.

Rosvita podeszła do Konstantyna, by pomóc mu podnieść ostatnie gęsie pióro. Chwilę później usłyszała okrzyk. Brat Fortunatus i siostra Amabilia pojawili się na schodach, nieco zaspani i teraz odwrócili się ku zbliżającemu się jeźdźcowi.

--Gdzie jest król? -- zawołał mężczyzna. Rosvita wystąpiła, by odebrać wiadomość. -- Nie, nie przywożę wiadomości -- ciągnął jeździec grzecznie. -- Jadę jako herold margrabiny Judith. Wraca z mężem na dwór królewski. Eskortuje do króla lady Tallię.

--Z mężem! -- powiedział Fortunatus, a Amabilia jednocześnie wykrzyknęła: -- Na Boga! Co ta dziewczyna zrobiła, że ją tak szybko wyrzucili z Quedlinhamu?

W polu widzenia pojawiła się kolejna grupa jeźdźców i klerycy utkwili w niej chciwy wzrok, ale był to jedynie rozsierzony książę Sanglant pod eskortą Hathui i czterech zbrojnych, zaniepokojonych obecnością psów Eików. Służący rozpięchli się, szukając schronienia. Psy rozszczekały się wściekle, a chwilę później na podwórzec wyszedł hrabia Lavastine ze swymi ogarami. Hałas stał się tak ogłuszający, że Rosvita zasłoniła uszy.

Sanglant zeskoczył z konia i szarpnął psy, ale wyrwały się, by skoczyć na czarne ogary, które rozsądnie trzymały się z dala, nie przestając warczeć i szczekać, mimo upomnień hrabiego.

Z dworu wyszedł dziedzic Lavastine'a. Lord Alain uklęknął przy psach, powiedział do nich kilka słów, a ogary natychmiast przestały szczekać i usiadły z wywieszonymi ozorami, rozglądając się czujnie.

Sanglant wciąż przeklinał swe psy, które szczekały, szczyrzyły kły i rzucały się na przeciwników. Z jego prawej dłoni sphywała krew, w miejscu gdzie wysuwający się z uścisku łańcuch otarł skórę. Alain podszedł do niego ostrożnie, uklęknął z wyciągniętą dłonią i pochylił się, by dotknąć najbliższego z psów.

Rosvita zamknęła oczy, Amabilia jęknęła, a Fortunatus zaklął pod nosem. Konstantyn aż zapiszczał ze strachu. A potem Rosvita przeklęła się za tchórzostwo i otworzyła oczy, kiedy zapadła niezwykła cisza.

Alain delikatnie położył dłoń na łbie największego i najbrzydszego z psich Eików. Ten siedział pokornie, drżąc pod jego dotykiem. Dwa inne warowały. Ślina kapąła z ich pysków w pył u jego stóp.

--Spokój -- powiedział do nich. -- Biedne, zagubione dusze.

Wstał. Książę Sanglant patrzył na młodzieńca ze zdumieniem. Wyraz twarzy hrabiego Lavastine'a był tak dziwny, że Rosvita nie potrafiła go odczytać.

Stali tak jeszcze chwilę. Potem doleciały ich głosy z dworu. Sanglant skrzywił się i odciągnął psy w chwili, kiedy w drzwiach pojawili się Sapientia i ojciec Hugo. Przyboczna niosła małą Hipolitę, a dziecko zaczęło gaworzyć, gdy Hugo uśmiechnął się do niego i połaskotał jego pulchny podbródek.

Ale Sapientia rozglądała się po podwórku z ustami wygiętymi w podkówkę.

--Przegapiliśmy coś? -- spytała, gdy Sanglant zniknął za stajnią. Służący ostrożnie wyjrżeli z kryjówek i podjęli pracę, a posłaniec wyszedł ze stajni i ukląkł przed ojcem Hugonem.

--Mój panie. Wasza matka jedzie nawet nie godzinę za mną.

Ojciec Hugo przeniósł uśmiech z dziecka na posłańca.

--Ach, ty jesteś młodszym synem starej Tortui, podkomorzyny z Lerchewaldu. Wyrosłeś, odkąd opuściłem Austre. Ożeniłeś się już?

--Nie, panie. Gospodarstwo przejęły moje starsze siostry i nic dla mnie nie zostało, więc poszedłem na służbę do waszej dobrej matki.

--Doprawdy -- rzekł Hugo z łagodnym uśmiechem, ale ognistym błyskiem w oku. -- Taki jest często los synów. Proszę. -- Wziął sakiewkę od jednego ze służących i dał młodzieńcowi garść srebrnych monet. -- Na twój posag.

Posłaniec oblał się szkarłatem.

--Mój panie Hugonie! -- Pocałował Hugona w rękę. Ten go pobłogosławił i odesłał, by coś zjadł. Kiedy hrabia Lavastine podszedł, aby złożyć wyrazy uszanowania Sapientii, wzrok Hugona omiótł podwórzec i na krótko zatrzymał się na Rosvicie.

Skinęła głową na przywitanie, choć nie stali wystarczająco blisko, by rozmawiać. Jego oczy lśniły gorączką, niby oczy kogoś, kto właśnie zapadł na wyniszczającą chorobę. Zmarszczył czoło, opanował się i uśmiechnął niewinnie, a potem odwrócił.

Czy podejrzewał, że to ona ukradła mu *Księgę Tajemnic*? A jeśli tak, to jakie działania przeciw niej podejmie?

3.

Chociaż świt już dawno minął, orszak nie był jeszcze gotów do wymarszu. Wyladowane wozy podskakiwały obok klatek z kurami; szereg żołnierzy stał swobodnie przy wozie, na którym złożono królewski skarb. Król postanowił, na znak sympatii, poczekać na margrabinę Judith, aby mogli razem udać się do Werlidy. Alain stał niespokojnie obok Lavastine'a, który czekał przy królu. Krzywił się od blasku słonecznego i wypatrywał w kierunku północnego zachodu, próbując dostrzec zbliżającą się grupę. Tak trudno było czekać.

Lord Godfryd zasiedział się do późna poprzedniego wieczoru i teraz wreszcie wychynął ze dworu, przecierając oczy; wyglądał nie najlepiej.

--Kuzynie! -- powiedział do Lavastine'a na powitanie. Alainowi jedynie skinął głową. -- Czy to prawda, że dziś przyjedzie margrabina Judith?

Z miny Lavastine'a, który przyglądał się Godfrydowi, łatwo było odgadnąć jego stosunek do rozmówcy.

--Gdybyś wstał wcześniej, wszystko byś wiedział.

--I stracił zapasy? -- roześmiał się serdecznie Godfryd, a Alain zaczerwienił. Grupa kobiet, zwykłych dziwek, przybyła wczoraj z pobliskiego miasteczka Fuldas, by dostarczyć królewskiemu dworowi rozrywki.

--Nie nazwałbym tego zapasami -- powiedział Lavastine. -- A poza tym, jeśli sobie przypominasz, ich wyczyny były tak oburzające, że w końcu król nakazał im opuścić dwór.

--Ale żadnemu z nas nie zabronił za nimi pójść. Król nie zabrania młodym rozrywki.

--Młodzi zachowują się głupio, taki mają zwyczaj. Ale ty jesteś żonaty, kuzynie.

--I chwałę to sobie! Ty też mógłbyś, kuzynie, gdybyś wziął sobie żonkę.

Lavastine zaciął usta tak mocno, że ich kąciaki aż pobielaly. Wezwał do siebie Grozę, a Godfryd podskoczył nerwowo, ale stary pies ledwie na niego warknął i usiadł, podstawiając uszy do głaskania.

--Nie ożenię się ponownie. Alain będzie ojcem następnego dziedzica Lavas.

Godfryd uśmiechnął się równie oschle i nawet nie spojrział na Alaina. Ale Alain wiedział, że myślał o swym najstarszym i na razie jedynym dziecku, Laurencji, która, jak kiedyś mniemał, miała odziedziczyć hrabstwo Lavas.

--Godfryd! -- zawołał jeden z młodych lordów zgromadzonych przy stajniach. -- Straciłeś wczoraj najlepszą część! Chodź, opowiemy ci!

Godfryd przeprosił i ruszył ku nim, zatrzymując się jedynie, by złożyć uszanowanie królowi, który powitał go radośnie.

Alain gapił się i gapił w dal.

--Patrz! -- wykrzyknął, pokazując chmurę pyłu na drodze.

--To było duże ryzyko, Alainie -- rzekł nagle Lavastine. -- Coś ty sobie myślał, podchodząc tak do psów księcia Sanglanta?

--Biedne stworzenia. Ale ja się ich nie bałem. Dlatego nie zrobiły mi krzywdy. Gdyby księżę nie traktował ich tak brutalnie, miałyby lepszy charakter. -- Zaczerwienił się, zaskoczony swymi ostrymi słowami.

--Psy Eików nie mają lepszych charakterów. Księżę Sanglant okazał im wielkie miłosierdzie. Ja zarznąłbym je natychmiast. Fakt, że cię nie tknęły, synu, nie mieści mi się w głowie. Nie podejdziesz do nich więcej.

--Tak, ojciec -- rzekł posłusznie. A potem wykrzyknął: -- Widzę ich!

Na drodze pojawił się orszak margrabiny Judith. Jej sztandar, pantera rzucająca się na antylopę, powiewał obok sztandaru z arcońskim guivre'em pomiędzy trzema skaczącymi koziołkami, dwoma nad nim i jednym pod nim, herbem starego domu królewskiego z Varre. Lavastine syknął przez zęby i zwrócił do Alaina, uśmiechając się triumfalnie.

--Przygotuj się, moje dziecko. To, na co pracowaliśmy, ziści się w Werlidzie.

Nagle, zmysłami wyostrzonymi przez oczekiwanie, Alain wyczuł zapach zbóż, usłyszał kury skrobiące drewno, śpiew kosa, szum odległej rzeki. Na horyzoncie w oddali gromadziły się chmury, szarość zapowiadająca deszcz. Mocarz ziewnął, wsysając powietrze do uzębionej paszczy, po czym padł obok Radości. Alain czuł woń dojrzalego sera i ostatnich oparów kadzidla użytego na porannej mszy.

--Tallia -- powiedział cicho, próbując jej imię na ustach, ale miał ściśnięte gardło i mógł jedynie patrzeć, jak zbliża się przepyszny orszak margrabiny Judith -- dwa lata temu ten widok odebrałby mu mowę, ale teraz stał się czymś zwyczajnym. Ojciec Hugo podszedł, by ucałować dłoń matki; Judith zsiadła, by powitać króla Henryka.

Alain rozglądał się, ale nie mógł dostrzec Tallii, choć wiedział, że znajdowała się wśród kobiet okrytych kapturami i szalami.

Siostra Rosvita i jej klerycy stali kilka stóp dalej i Alain usłyszał szeptane komentarze.

--Na Boga! Ma twarz anioła!

--Siostró Amabilio -- odparła ostro Rosvita. -- Nie gap się tak. To nie przystoi.

--„Jak lilia pośród cierni jest mój słodki kwiat pośród mężczyzn” -- zacytował najmłodszy z nich, nie bez podziwu w głosie.

--Brat Konstantyn i ja choć raz się zgadzamy -- zamruczała Amabilia.

--Gdzie ona znajduje te ponętne młode kąski? -- zapytał czwarty.

--Bracie Fortunatusie! -- zganiała Rosvita. A potem, wzdychając, odezwała się znowu: -- Ivar! A to co ma znaczyć?

--Boże dopomóż -- mruknął zaskoczony Lavastine. Alain zaprzestał poszukiwań Tallii i ujrzał oszołamiająco przystojnego młodzieńca, przyprowadzonego przed króla. Z nim, jak przyboczny, szedł drugi młody mężczyzna, którego kręcone, rudozłote włosy kontrastowały nieco ze skromną szatą nowicjusza. Rosvita ruszyła, by ich zatrzymać, ale nim przebiła się przez tłum, król Henryk nakazał wymarsz. Jazgot i kurz natychmiast wypełniły dziedziniec i jedyne, co Alain mógł zrobić, to trzymać się wraz z psami przy ojcu.

Skoro do orszaku dołączyła margrabina Judith, hrabia Lavastine i Alain zostali przesunięci do drugiego rzędu za królem, Helmutem Villamem, Judith, Hugonem i księżniczką Sapientią. Alainowi to nie przeszkadzało; wyciągał szyję, próbując dostrzec Tallię, ale w tłumie stracił tę grupę z oczu.

Po południu dotarli do Werlidy, wspaniałego pałacu zbudowanego na urwisku nad szerokim zakolem rzeki. Ruszyli z brzegu, przez wały i palisadę aż do niskiego zamku. Tam zatrzymała się większość wozów, rozlokowując się we wsi, na którą składały się ziemianki dla służących i rzemieślników, cztery duże szwalnie i pół tuzina drewnianych spichrzy. Alain poczuł przesycony kurzem zapach starego ziarna trzymanego w worach i naczyniach, a potem ruszyli w górę, poprzez bramę wyżłobioną w co najmniej trzech wałach ziemnych, umocnionych jeszcze okopami. Z wysokiego zamku widział stromy brzeg i płynącą poniżej rzekę. Otaczała zamek z

trzech stron. Pomiędzy zagajnikami leżały pola, a za nimi rozciągał się las.

Tutaj, na terenie pałacu, czekali na wielkim otwartym podwórku, nie do końca dziedzińcu, aż król oddali się do swych kwater znajdujących się po drugiej stronie kamiennej kaplicy. Potężny drewniany dwór, zbudowany na kamiennych fundamentach, upiększał południowy kompleks budynków. Królewscy zarządcy rozdzielali kwatery zgodnie z rangą i łaskami króla, ale ledwo Alain zdążył uwiązać psy w budzie przed przydzielonym im domem, przyszedł po niego Lavastine.

--Król poprosił, byśmy towarzyszyli mu podczas prywatnej narady. Chodź, synu. Ogarnij się. -- Spojrzał na psy, które w nadziei na pieczętę machały ogonami i skomlały. -- I zabierz ze sobą dwa psy.

Król przyjął ich w przestronnej sali, gdzie wszystkie okiennice otwarto, by wpuścić słońce i świeże powietrze. Towarzyszyli im tylko Helmut Villam, siostra Rosvita i pół tuzina zbrojnych. Henryk siadł na podróżnym, udatnie rzeźbionym tronie: cztery lwie łapy służyły za nogi, orle skrzydła za oparcie, a złowrogie łby i szyje smoków za podłokietniki. Król pochylił się w przód, a jego ulubiona Orlica szeptała mu coś na ucho. Wyprostował się, widząc Lavastine'a i Alaina.

--Niech przyjdzie do mnie natychmiast, gdy uda ci się go zwabić w obręb wałów. Jeśli nie -- spojrzał na Villama, który ledwo dostrzegalnie skinął głową. -- Niech tym razem jeździ tak daleko, jak chce. Lepiej, żeby nie widziano go na dworze, jest taki niespokojny i dziki.

Skłoniła się i wyszła rażno z komnaty. Henryk dał znak służącemu, który ruszył za nią. Potem skinął na siostrę Rosvitę, która z zaniepokojonym wyrazem twarzy odczytała głośno list.

--„Do mego brata, Jego Najjaśniejszej Wysokości Henryka, władcy Wendaru i Varre. Z ciężkim sercem i niespokojnym umysłem muszę Cię poinformować, że nasza siostrzenica Tallia nie może dłużej pozostać w Quedlinhamie. Rozgłasza herezję między moimi nowicjuszami i swymi kazaniami zatrula ponad dwadzieścia niewinnych dusz. Doradzam ostrożność, powierzając ją w końcu w Twoje ręce. Zdaje mi się, że małżeństwo będzie najlepszym sposobem odwiedzenia jej od tych błędnych przekonań”.

Henryk westchnął, gdy Rosvita przestała czytać.

--Wciąż pragniesz, aby małżeństwo doszło do skutku? -- zapytał Lavastine'a ostro. -- Oskarżenie o herezję jest poważne. Matka Scholastyka wzięła pod uwagę młodość Tallii, uznając, że tym razem należy się nad nią zmiłować. Dziewczyna twierdzi, że miała wizje, ale czy zostały spowodowane przez Nieprzyjaciela, czy niewinnym zaufaniem złym doradcom, nie wiemy. Jeśli nie będzie żałować za swe winy, kościół może zostać zmuszony do przedsięwzięcia bardziej drastycznych środków.

Lavastine uniósł brew, rozmyślając.

„Herezja”. Alain doskonale wiedział, kogo słuchała Tallia: fratra Agiusa. Zupełnie, jakby herezja o nożu, poświęceniu i odkupieniu błogosławionego Daisana była zarazą przenoszoną z jednej niewinnej duszy na drugą. Agius doczekał męczeńskiej śmierci, której tak pragnął. Czyż nie był to znak łaski boskiej? Ale dlaczego Bóg nagradzał człowieka, który głosił herezję zaprzeczającą boskiej prawdzie?

Ale myśl o utracie Tallii z powodu nauk Agiusa rozwścieczyła go. Gniew wezbrał w jego sercu, a Furia zawarczała.

--Spokój -- mruknął Lavastine i pies położył się, opierając leb na potężnych łapach. Zwrócił się do króla. -- Lady Tallia jest jeszcze młoda, Wasza Wysokość. I, niestety, nie znalazła się w

towarzystwie najmądrzejszych doradców. Równoważący wpływ... -- skinął w kierunku Alaina -
...uspokoi jej młody umysł.

--Niech się tak stanie -- powiedział Henryk z ulgą.

--Im szybciej dojdzie do tej transakcji, tym lepiej -- dodał Lavastine. -- Muszę wrócić na swe ziemie przed jesienią, bym mógł wraz z synem dopilnować jesiennych siewów. Czekam na ciężką zimę z powodu tych, którzy polegli pod Gentem... ludzi, którzy oddali życie, by zwrócić Gent i waszego syna Sanglanta w wasze ręce.

Drzwi się otwały, służący wrócił z dwiema młodymi kobietami. Jedna, o twarzy okrągłej i ożywionej, gapiała się na króla z otwartymi ustami, a potem opamiętała się i posłusznie uklękła. Drugą, z odrzuconym szalem odsłaniającym pszeniczne włosy, była Tallia.

Alain musiał zamknąć oczy. Ogarnęła go taka fala oczekiwania, ulgi i zwykłego, okropnego pożądanego, że trząsł się cały, nim Smutek przysunął się doń, dając oparcie, aby mógł się opanować.

--Wuju -- powiedziała Tallia tak cicho, że hałasy dochodzące z dworu nieomal zagłuszały jej słowa. -- Błagam cię, wuju, pozwól mi oddać się w pokoju do zakonnej celi. Złożę śluby milczenia, jeśli muszę, ale nie...

--Cisza! Nie jesteś przeznaczona kościołowi, Tallio. Za dwa dni poślubisz lorda Alaina. Nie próbuj się ze mną spierać. Tak postanowiłem.

Alain podniósł wzrok i zobaczył Tallię klęczącą przed królem. Jej policzki pokryły się upiorną bladością i wychudła jak żebrak w roku złych zbiorów, ale dla niego wciąż była piękna. Jednak nie tylko jej piękno tak na niego działało; jakaś inna niewytłumaczalna, nie nazwana moc przejęła nad nim kontrolę i mógł jedynie patrzeć, oszołomiony wstydem i pożądaniem, jakie czuł, nawet gdy ona zwróciła ku niemu błagalny wzrok i z policzkami spływającymi łzami skłoniła głowę, poddając się okrutnemu przeznaczeniu, jakie ją czekało.

4.

Ojciec Hugo nigdy się nie spierał. Po prostu uśmiechał się, gdy ktoś się z nim nie zgadzał, a potem perswadował tak łagodnie, że jego oponenti rzadko kiedy zdawali sobie sprawę, iż Hugo niemal zawsze stawia na swoim. Ale Hanna nauczyła się odczytywać oznaki jego poirytowania. Teraz bawił się palcem rękawiczki, trzymanej lekko w dłoni, obracając nim, kiedy słuchał, jak matka doradza księżniczce Sapientii.

--Książę Sanglant nie zagrozi waszej pozycji, o ile mu na to nie pozwolicie, Wasza Wysokość -- mówiła margrabina Judith. Hanna stała za krzesłem Sapientii; margrabina siedziała obok księżniczki jak równa jej stanem, na krześle niemal tak wspaniałym jak tron królewski. Reszta jej towarzyszy -- w tym jej nowy mąż i bękart, stali podczas rozmowy szlachcianek. -- To prawda, że wasz ojciec, król, zaniedbywał was z powodu swego uczucia dla księcia. Mówię tak otwarcie, bo to szczerą prawdą.

Mówiła otwarcie, bo była wystarczająco potężna, by sobie na to pozwolić. Spoglądając w bok, Hanna dostrzegła schyloną głowę Ivara. Hannę martwił rumieniec na jego policzkach, jakby zwiastun rozwijającej się w nim choroby, o której jeszcze nie wiedział. Ale w takiej sytuacji nie mogła mieć nadziei, że z nim porozmawia.

--Co doradzacie? -- Sapientia, zbyt niespokojna, by długo usiedzieć bez ruchu, zerwała się i zaczęła chodzić w kółko. -- Nie żywię niechęci do brata, choć przyznaję, że odkąd uratowaliśmy go z Gentu, zachowuje się dziwnie, bardziej jak pies niż jak człowiek.

--Jego matka nie była nawet człowiekiem, co bez wątpienia ma jakieś znaczenie. -- Judith podniosła dłoń i Hugo, posłuszny syn, podał jej kielich wina. Ruszał się tak wdzięcznie. Hanna ledwo mogła uwierzyć, że widziała, jak ten elegancki dworzanin z zimną furią bije Liath. Tu, na dworze, był zupełnie inny. Zaprawdę, był taki inny od wszystkich mężczyzn ze Spokoju Serca, wioski, w której dorastała: zachowywał się elegancko, miał piękne ubrania, piękny głos, czyste dłonie. -- Ale kobiety zostały stworzone przez Boga, by doglądać i tworzyć, a mężczyźni, by walczyć i ciężko pracować -- ciągnęła Judith. -- Doglądajcie swego brata jak mądra gospodyni dogląda pól, a zbierzecie obfite plony swych wysiłków. Jest wybitnym wojownikiem i niesie ze sobą do boju szczęście waszego rodu. Użyjcie jego zalet do wzmocnienia waszej pozycji jako następczyni tronu. Nie bądź na tyle głupia, by uwierzyć szeptom, że Henryk chce jego ogłosić dziedzicem. Książęta Wendaru i Varre nie pozwolą, aby władał nimi bękart, bękart mężczyzna, do tego będący tylko półkrwi człowiekiem.

Sapientia zatrzymała się przy oknie. Coś, co przez nie ujrzała, sprawiło, że odwróciła się i spojrzała na margrabinę Judith z półuśmiechem.

--Dziedzic hrabiego Lavastine'a był niegdyś uznawany za bękartą. A teraz jest synem z prawego łoża i tej nocy poślubi moją kuzynkę!

--Tallia to kłopot. Henryk dobrze zrobił, dając ją hrabiemu Lavastine'owi w nagrodę za poświęcenie hrabiego pod Gentem. W ten sposób pozbędzie się jej.

--I da następcy Lavastine'a żonę z królewskimi koneksjami -- rzekła zamyślona Sapientia. -- Sądzę, że nie spotkałaś lorda Godfryda, który jest kuzynem Lavastine'a i był jego dziedzicem, zanim pojawił się lord Alain. To szlachcic w każdym calu, bez wątpienia wart hrabstwa i tytułu.

--Lavastine jest przebiegły. Kiedy lord Alain i lady Tallia doczekają się potomka, Henryk będzie zmuszony popierać Alaina, gdyby Godfryd podważył jego prawo dziedziczenia.

--A jeśli król Henryk postanowi w ten sposób ożenić Sanglanta, by nadać mu prawa? --
odezwał się nagle Hugo.

Judith spojrzała na niego tak zaskoczona, jakby zapomniała o jego obecności.

--Naprawdę myślisz, że Henryk tak bardzo kocha Sanglanta, że rozważałby podobne
posunięcie?

--Tak -- powiedział ostro.

--Nie -- odparła Sapientia. -- To ja jestem następczynią tronu. Mam Hipolitę, by udowodnić
me prawo. Ty po prostu nienawidzisz Sanglanta, Hugonie. Widzę, że go nie cierpisz. Nie
możesz znieść myśli, że mogłabym go lubić, choć dorastaliśmy razem i zawsze mnie dobrze
traktował, gdy byliśmy dziećmi. Ale twoja matka ma rację. -- Judith skinęła potakująco, choć
Hanna zauważyła, że wpatruje się w syna, jakby chciała przeorać jego wnętrzości i poznać
myśli. -- Sanglant nie zagrozi mojej pozycji, chyba że mu na to pozwolę. I pokazując, że się go
boję, dlatego że mój ojciec go faworyzuje i okazuje mu dawne przywiązanie, osłabię siebie, nie
jego. -- Odwróciła się i spojrzała na Hannę. -- Prawda, Orle? Czyż nie to właśnie powiedziałaś
mi wczoraj?

O Pani! Wszyscy na nią spojrzeli. Nagle pożałowała, że przemówiła do Sapientii tak
nierozważnie. Ale Sapientia, choć młoda i głupia, rokowała nadzieje, jeśli ktokolwiek
pofatyguje się udzielić jej praktycznych porad, a Hanna otrzymała ich od matki aż za wiele.

--Dobra rada -- powiedziała margrabina Judith z błyskiem w oku, który niezwykle
zdenierwował Hannę. -- A co ty powiesz, Hugonie?

Hugo wygiął usta w sposób zdradzający irytację. Uśmiechnął się, by to ukryć. Jego głos był
gładki i słodki jak miód.

--To wola boska, że siostra kocha brata, natomiast my musimy silnych i słabych traktować
z równym współczuciem.

--Jednakże -- myślała na głos Judith -- nie rozważałam możliwości małżeństwa księcia
Sanglanta. Zaproponuję Henrykowi, by ożenił go z moją Theucindą.

--Wydasz własną ślubną córkę za mojego brata bękarta? -- zapytała zaskoczona
Sapientia.

Hanna słyszała w głowie komentarz swej matki. Doskonale wiedziała, co powiedziałyby
pani Birta: że margrabina Judith, mądra gospodyni, chce po prostu zagonić całe stado kurcząt
do własnego kurnika.

--Theucinda jest moją trzecią córką, i w odpowiednim wieku. Gerberga i Berta mają swe
obowiązki, posiadłości, mężów i dzieci w Austrze i Olsatii. Theucinda może mi w ten sposób
posłużyć, jeśli uznam, że to korzystne. -- Osuszyła puchar, nie spuszczać oczu z syna. -- Ale
zbyttno się nie kłopotę małżeństwem Sanglanta. Pamiętajcie, że Henryk może się jeszcze
ożenić.

--Jak ty -- powiedział Hugo sztywno, spoglądając na Baldwina i natychmiast odwracając
wzrok, jakby zawstydzony, że go na tym przyłapano.

Judith zachichotała.

--Czemu się tak marszczysz, koteczku? Należy mi się rozrywka. -- Nie patrząc na
Baldwina skupiła na nim uwagę, bo wszyscy inni nań spojrzeli. Biedny chłopak był, szczerze
mówiąc, najpiękniejszym stworzeniem, jakie Hanna w życiu widziała; jak powszechnie
twierdziła służba, miał twarz anioła.

Hugo miał zamiar przemówić. Zabrał pusty kielich matki i napelnił go ponownie. Kiedy jej go oddawał, dotknęła jego nadgarstka tak delikatnie jak motyl spijający nektar z kwiatu i przez chwilę Hanna sądziła, że coś między nimi przemknęło, matką i synem, milczące przesłanie zawarte w spojrzeniu i mowie ciała. Ale ona nie miała klucza, by je odczytać.

Kiedy Judith wyszła, Ivara wypchnięto z Baldwinem i Hanna zdołała jedynie uchwycić jego wzrok, gdy przechodził przez próg. Podniósł dłoń w odpowiedzi i zniknął. Przez resztę dnia jej uwagę zaprzętały przygotowania do uczty weselnej. Na szczęście Hathui przydzieliła ją do eskortowania dwóch wozów na odległą farmę, gdzie składowano zapasy miodu i wosku pszczelego jako dziesięcinę dla władcy.

Kręciła się po obejściu, rozmawiając ze starym pszczelarzem, podczas gdy jego dorosłe dzieci i dwaj najemnicy ładowali na oba wozy beczulki miodu i starannie owinięte kule delikatnego wosku. Jego najmłodszy syn przyglądał się jej z zainteresowaniem.

--Ach, sam król! -- powiedział starzec, którego Hanna zdążyła już polubić. -- Nigdy nie widziałem króla Henryka. Powiadają, że to przystojny mężczyzna, wysoki, silny i dobry wódz.

--Owszem.

--Ale widziałem Arnulfa Młodszego na własne oczy i tego widoku nigdy nie zapomnę. Przyjechał do tego gospodarstwa, kiedy byłem jeszcze młodym chłopakiem, ze swym orszakiem, wszyscy tak pięknie odziani i na tak wspaniałych koniach, że człowiek mógł oślepnąć od samego patrzenia. Pamiętam, że miał bliznę pod lewym uchem, dość świeżą. Po jego prawicy jechał Orzeł, jak ty, zwykły Orzeł! Tyle że mężczyzna. Dziwne to było, widzieć kogoś z pospólstwa jadącego obok króla niby jego najlepszy przyjaciel. Ale umarł.

--Orzeł? -- zapytała zaciekawiona Hanna.

--Nie, król Arnulf. Umarł wiele lat temu i syn odziedziczył tron, bo starsza córka nie mogła mieć dzieci, a co za pożytek z następczyni, która nie może mieć dzieci, prawda? -- Spojrzał na jedną z kobiet, zmęczoną, o ustach wygiętych w złym grymasie. Małe dzieci pomagały -- albo przeszkadzały -- w pracy, ale żadne nie kręciło się przy niej. -- No cóż, powiadają, że Henryk ma własne dzieci i pięknego syna, dzięki któremu zyskał tron, i który jest, jak mówią, kapitanem Smoków.

--To musi być książę Sanglant. -- Spojrzeli na nią tak wyczekująco, że czuła się zmuszona do opowiedzenia pokrótce o upadku i odbiciu Gentu.

--No, no! -- zawołał starzec, kiedy skończyła. -- Co za opowieść! -- Skinął na swego najmłodszego syna i chłopak przyniósł kubek słodzonego octu, tak kwaśnego pomimo miodowego posmaku, że Hanna wykrzywiła się, a jej gospodarze roześmiali z głębi serca.

--A teraz -- powiedział pszczelarz, wskazując syna. -- Orle, wyświadczysz mi przysługę? Jeśli zabierzesz ze sobą chłopaka, będzie mógł zobaczyć króla, a potem wrócić do domu. Bardzo chce zobaczyć króla, a jak mogę powiedzieć „nie” ostatniemu podarkowi, jaki mi dała moja biedna żona nieboszczka?

Chłopak nazywał się Arnulf, bez wątpienia na cześć zmarłego króla; miał jasne włosy, miłą, banalną twarz i parę przenikliwie niebieskich oczu, tak pełnych milczącego błagania, że Hanna nie miała sumienia odmówić. Arnulf nie był zawadą, choć zadawał setki pytań, idąc obok wozów prowadzonych przez dwóch sceptycznych mężczyzn, którzy tak przywykli do codziennego obcowania z królem, że nabijali się z podniecenia chłopaka.

Kiedy przejeżdżali koło lasu, po prawej mignęła grupa jeźdźców. Hanna rozpoznała ich

psy. Zawołała:

--Popatrz tam, to księżę Sanglant.

Chłopak zagapił się.

--Mówią, że zwariował -- powiedział pierwszy woźnica, a drugi mu odpowiedział:

--Nigdy nikogo nie skrzywdził, poza wrogami króla. Nie znajdziesz kapitana lepszego od księcia Sanglanta. Słyszałem takie opowieści...

Hanna dostrzegła Hathui i zatrzymała ją.

--Widzę, że masz już to, po co jechałaś -- powiedziała Hathui, osadzając konia przy Hannie. -- Życz mi szczęśliwych łowów. Mam go przyprowadzić na wieczorną ucztę. --

Podbródkiem wskazała jeźdźców, którzy znikali właśnie w lasu.

--Co z nim? Szepczą, że bardziej jest teraz psem niż człowiekiem.

Hathui przesłoniła oczy dłonią, żeby lepiej widzieć drzewa.

--Przez rok przykuty wśród Eików? -- Wzruszyła ramionami. -- Qumanowie przynajmniej mają niewolników za więźniów, i każą im pracować. To cud, że on w ogóle żyje. -- Jej spojrzenie wyrażało współczucie. -- Nie zapominaj, jak walczył pod Gentem, kiedy go w końcu uwolniono.

Hanna uśmiechnęła się.

--Nie, nie będę przeciw niemu gardłować w imieniu Sapientii. Ale czy sądzisz, że plotki są prawdziwe i Henryk nosi się z zamiarem uczynienia następcą tronu Sanglanta, a nie swej ślubnej córki?

Hathui jedynie zmarszczyła brwi w odpowiedzi, skinęła Hannie głową i odjechała.

Hanna zostawiła wozy i woźniców przy ziemiankach służących za kuchnię i zabrała Arnulfa na wielki otwarty dziedziniec między dworem, kaplicą a królewską rezydencją. Tam, szczęśliwym zrzędzeniem losu, zgromadził się dwór królewski, dopingując zapasy. Hanna przebiła się przez tłum do księżniczki Sapientii. Uklękła, gdy księżniczka na nią spojrzała. Zaskoczony chłopak klapnął tuż obok.

--Wasza Wysokość. -- Sapientia była w dobrym nastroju, rozświetlona i czarująca, w promieniejącej euforii, przez którą tak często robiła z siebie idiotkę. -- To jest Arnulf, syn pszczelarza. Przyprowadził nas z zagrody swego ojca, przywożąc miód i воск.

Sapientia uśmiechnęła się do młodzieńca, zawołała służącego, który doglądał jej skarbcza i wręczyła Arnulfowi dwie srebrne scetty.

--Na twój posag -- powiedziała.

Zatrzymała ojca.

Henryk przyszedł w towarzystwie Villama i Judith. Śmiał się, nie nadmiernie, ale radośnie, zaraźliwie, a jednak dystyngowanie. Ale kiedy Sapientia wskazała młodzieńca, oszołomionego królewską obecnością, natychmiast spoważniał.

Zwrócił na chłopca swe wspaniałe spojrzenie i złożył dłoń na jego głowie.

--Błogosławię ciebie i twój ród -- rzekł i cofnął dłoń. Natychmiast wrócił do żartów z towarzyszami i odeszli, a margrabina Judith wskazała młodego żołnierza, który następny miał rzucić wyzwanie zwycięzcy.

Hanna szybko odprowadziła drżącego Arnulfa.

--Co to jest? -- wyszeptał, wyciągając scetty.

--To monety. Możesz wymienić je na rzeczy na targu w wiosce, ale najlepiej nie rób tego

dzisiaj, bo zmiarkują, żeś nienawykły do targowania i na pewno cię oszukają.

--Mój posag -- wymruczał. Zamrugał tak szybko, że przez chwilę myślała, że chłopak zemdleje. Obrócił się do niej. -- Wyjdiesz za mnie? -- zapytał.

Hanna stłumiła chichot i uśmiechnęła się przyjaźnie.

--Idź, chłopcze -- powiedziała, czując się o wiele starsza, choć domyślała się, że byli równolatkami. -- Zanieś monety i błogosławieństwo do domu, do rodziny. -- Doprowadziła go do bramy i patrzyła, jak się oddala, wciąż stąpając niepewnie.

Wracając do Sapientii, ujrzała Ivara stojącego w drzwiach rezydencji, gdzie zakwaterowano margrabinę Judith. Zobaczył ją, skinął i wpadł do środka. Podążyła za nim.

--Ivarze?

--Cicho! -- Zaprowadził ją do składziku, gdzie na podłodze leżały posłania służących. Ponieważ zamknięto okiennice, w pokoju było ciemno i duszno. Przytulił ją. -- Och, Hanno! Sądziłem, że cię już nigdy nie zobaczę! Nie wolno mi rozmawiać z kobietami!

Pocałowała go w oba policzki, jak krewna.

--Nie jestem jakąś tam kobietą! -- rzekła niespokojnie. -- Ssałam tę samą pierś. Na pewno możemy rozmawiać, nie obawiając się kary.

--Nie -- wyszeptał, uchylając drzwi, wyjrzał na korytarz i wrócił do niej. -- Rosvita chciała się ze mną zobaczyć, ale jej zabronili, choć jest kleryczką i moją siostrą. Ale ona i tak by mnie zrugala, więc cieszę się, że jej nie widziałem!

Hanna westchnęła. Jak zwykle postępował bezmyślnie.

--Na pewno rozrosłeś się w barach, Ivarze. Jeszcze bardziej przypominasz ojca. Dobrze się czujesz? Dlaczego nie jesteś w Quedlinhamie?

Ciągle tak samo kręcił głową, rude loki w nieładzie, twarz wyrażająca upór. Zawsze skakał, nie sprawdzając gruntu.

--Czy to prawda? Że król chce wydać lady Tallię za mąż? Nie mogą jej splugawić! Musi pozostać czystym naczyniem boskiej prawdy. -- Znów się od niej odsunął, przyciskając dłonie do czoła w geście frustracji i rezygnacji. -- Zrobią jej to, co zrobili Baldwinowi! Nic ich nie obchodzi śluby uczciwie złożone Kościołowi!

--Cicho, Ivarze. Cicho już. -- Oderwała jego rękę od twarzy i przycisnęła swą dłoń do jego czoła, ale nie było gorące. To w jego głosie, nie ciele, była gorączka. -- Dlaczego nie jesteś w Quedlinhamie? Czy twój ojciec po ciebie posłał?

Uczynił dziwny gest, przesuwając palcem wskazującym wzdłuż piersi ku mostkowi.

--Gdybyś tylko widziała...

--Co widziała?

--Cud róży. Ślady cięcia na jej dłoniach. Uwierzyłabyś w poświęcenie i odkupienie. Poznałabyś skrywaną prawdę.

Zdenerwowana odsunęła się od niego i wpadła na ścianę.

--Nie wiem, o czym mówisz, Ivarze. Czy opętało cię szaleństwo?

--To nie szaleństwo. -- Sięgnął po jej dłoń, znalazł ją i odciągnął Hannę od ściany. Jej but zmarszczył krawędź starannie złożonego koca, odsłaniając bukiet suszonych kwiatów, amulet miłosny. -- Przemienienie to kłamstwo, Hanno. Błogosławiony Daisan nie modlił się siedem dni, jak piszą w Świętej Księdze. Nie został żywcem wzięty do Komnaty Światła. To wszystko kłamstwo.

--Przerażasz mnie. To herezja. -- Na pewno zaatakowali go słudzy Nieprzyjaciela i teraz przemawiali przez jego usta. Spróbowała się odsunąć, ale jego uścisk był mocny.

--Tak przez lata fałszywie nauczał kościół. Błogosławiony Daisan został żywcem odarty ze skóry na rozkaz cesarzowej Thaisannii. Wyrwano mu serce, ale z jego krwi wykwitła na ziemi czerwona róża. Cierpiał i umarł. Ale ożył i wstąpił do Komnaty Światła, i swym cierpieniem zmył nasze grzechy.

--Ivar! -- Ostrość jej tonu zaszokowała go i zamilkł. -- Puść mnie!

Puścił jej dłoń.

--Zrobisz tak jak Liath. Zostawisz mnie. Tylko lady Tallia nie bała się wejść tam, gdzie nas więziono. Tylko ona przyniosła nam nadzieję.

--Lady Tallia rozpowszechnia te kłamstwa?

--To prawda! Hanno...

--Nie, Ivarze. Nie będę z tobą rozmawiać o takich rzeczach. A teraz zamilknij, słuchaj mnie, i proszę, tym razem mi odpowiedz, błagam. Dlaczego nie jesteś w Quedlinhamie?

--Zabierają mnie do klasztoru założonego ku czci świętego Walaricusa Męczennika. W Estfalii.

--To zaiste kawał drogi. Prosiłeś, żeby cię tam posłano?

--Nie. Rozdzielili nas czterech, to znaczy mnie i Baldwina, i Ermanricha, i Zygfryda, bo słuchaliśmy kazań lady Tallii. Bo widzieliśmy cud róży, a oni nie chcą, żeby ktokolwiek wiedział. Dlatego wyrzucili lady Tallię z klasztoru.

--Och, Ivarze. -- Pomimo gorączki, jaka go ogarnęła, widziała w nim tylko nadpobudliwego chłopca, z którym dorastała. -- Musisz się modlić, żeby Bóg zesłał ci spokój ducha.

--Jaki spokój? -- Nagle się rozplakał. Jego głos zachrypl. -- Widziałas Liath? Czy ona tu jest? Dlaczego jej nie spotkałem?

--Ivar! -- Poczula się w obowiązku zrugać go niezależnie od tego, co mówił o Rosvicie. -- Posłuchaj słów siostry, bo jestem dla ciebie jak siostra. Liath nie jest przeznaczona dla ciebie. Teraz jest Orlem.

--Porzuciła mnie w Quedlinhamie! Powiedziałem, że się z nią ożenię, że razem uciekniemy...

--Po tym, jak złożyłeś śluby zakonne?

--Wbrew swojej woli! Obiecała, że za mnie wyjdzie, ale potem po prostu odjechała wraz z królem!

--To nie w porządku! Mówiła mi o waszym spotkaniu. Na Boga! Co miała zrobić? Już złożyłeś śluby. Nie miałeś perspektyw, żadnego wsparcia, a ona nie ma rodziny...

--Powiedziała, że kocha kogoś innego, innego mężczyznę -- rzekł Ivar uparcie. -- Myślę, że mnie porzuciła, żeby z nim być. Myślę, że ciągle kocha Hugona.

--Nigdy nie kochała Hugona! Wiesz, co on jej zrobił!

--O kim więc mówiła?

Hanna uświadomiła sobie nagle, o kim Liath mówiła i mdlące przecucie ścisnęło ją w dołku.

--Nieważne -- powiedziała szybko. -- Ona jest Orlem. A ty jedziesz na wschód. O Boże, Ivar! Może cię już nigdy nie zobaczę!

Złapał ją za łokcie.

--Nie możesz pomóc mi uciec? -- Odpowiedział sobie, puszczając ją. -- Ale nie mogę zostawić Baldwina. Potrzebuje mnie. O Pani. Gdyby Liath za mnie wyszła, gdybyśmy uciekli, wszystko byłoby inaczej.

Usłyszeli głosy przy drzwiach i Hanna schowała się pod pryczą, nim weszło kilku służących Judith.

--Ach, tu jest! Lord Baldwin cię prosi, chłopcze. Idź do niego.

Ivar nie miał wyboru, musiał wyjść. Służący rozbiegli się po innych salach i w końcu mogła się wyślizgnąć nie zauważona. Ale słowa Ivara dręczyły ją aż do wieczoru, kiedy wreszcie dwór zgromadził się na ucztę weselną. Przyprawdzono państwa młodych, odzianych w najpiękniejsze stroje. Kleryczka odczytała na głos spis posagu i tego, co każda ze stron wnosi w małżeństwo. Lord Alain złożył przysięgę czystym, choć drżącym głosem; ale kiedy nastąpiła kolej Tallii, król Henryk przemówił za nią. Czy naprawdę zmuszano ją do małżeństwa wbrew jej woli, jak twierdził Ivar? Ale kto podważy decyzję panującego? Dzieci szlachty zawierały małżeństwa, by przysłużyć się rodzinom; nie miały prawa głosu w tej kwestii. Tallia była do dyspozycji króla Henryka, skoro pokonał w bitwie jej rodziców.

Miejscowa biskupina sprowadzona z pobliskiego miasta Fuldas pobłogosławiła parę młodą, która przed nią ukłękła. Lord Alain był nerwowy i podniecony, miał wypieki na twarzy, Lady Tallia była tak blada i szczupła, że Hanna obawiała się, że zemdleje. Ale nie zemdląca. Stała ze złożonymi dłońmi i trzymała schyloną głowę i nie patrzyła na nic i na nikogo, nawet na swego męża.

Kiedy wchodzili do jadalni, rozpościerał się nad nimi długi, letni zmierzch. Na podłodze leżała świeża słoma. Służący wbiegali i wybiegali z tacami pełnymi parującego mięsiva oraz dzbanami wina i miodu. Szczupłe charty wchodziły pod stoły, czekając na kąski. Sapientia pozwoliła Hannie stać za swym krzesłem i od czasu do czasu na znak łaski podawała jej kawałki ze swego talerza, co ojciec Hugo zauważył z zaskoczeniem, a potem zignorował, kierując uwagę Sapientii ku poecie, który wyszedł na środek, by śpiewać.

Poemat był po dariyańsku, ale Hugo szeptał Sapientii przekład.

Rzekła: chodź, ty, który jesteś mą miłością. Podejdz.

Jesteś światłem, które pali się w moim sercu.

Tam, gdzie były tylko ciernie, lilia teraz rozkwita.

Odpart: Chodziłem samotnie po lesie.

Samotność leczyła me serce.

Lecz teraz lody topnieją. Kwitną kwiaty.

Błaga go: Chodź! Nie mogę żyć bez ciebie.

Róże i lilie przed tobą rozrzucę.

Nie zwlekaj.

Hanna zaczerwieniła się, choć doskonale wiedziała, że słowa te nie były skierowane do niej, lecz żaden mężczyzna nie miał piękniejszego głosu niż Hugo, a kiedy mówił takie zdania równie słodko i śpiewnie, nawet rozsądna młoda kobieta mogła omdleć z pożądania.

Szybko się opanowała. Pani! Nie należy się wyglupiać. Nie może dopuścić, by ogarnęło ją szaleństwo Ivara. Tutaj, na ucztę, było wiele innych rozrywek. W samym sercu królewskiego dworu nie mogła się nudzić.

Jej wierni towarzysze podróży w góry Alfar, Lwy Ingo, Folquin, Leo i młody Stefan stali na

straży u drzwi. Napotkawszy jej spojrzenie, Ingo skinął głową. Chyba też mrugnął.

Przy królewskim stole margrabina Judith dzieliła talerz z Helmutem Villamem. Pochylając głowy, rozmawiali poważnie. Baldwin siedział dalej; mimo swej pozycji nowego męża Judith i zapierającej dech w piersiach urody nie zasługiwał na miejsce przy królewskim stole. Tam też, obok Baldwina, siedział Ivar, ale nie jadł nic poza kilkoma okruchami chleba i łykami wina.

Królewscy klerycy jedli i pili do woli, choć od czasu do czasu siostra Rosvita przestawała jeść i obrzucała młodszego brata zaniepokojonym spojrzeniem.

Para młoda siedziała po drugiej stronie króla, więc Hanna nie widziała ich zbyt dobrze. Jednak najbardziej interesowali ją Hathui i książę Sanglant. Hathui stała za krzesłem Sanglanta i zdawała się bezgłośnie komunikować z królem. Książę siedział niezręcznie, jak człowiek czynu zmuszony do pozostania w jednym miejscu, kiedy wolałby się ruszać. Z zaciśniętymi pięściami gapił się na przeciwległą ścianę -- czyli w pustkę. Od czasu do czasu Hathui szturchała go i wtedy odzyskiwał panowanie nad sobą i przelykał kawałki mięsa, potem zamierał, otrząsał się, jadł jak człowiek -- i znów zapadał w otępienie. Wydawał się nieświadom ucztowania i radości wokół.

Po zakończeniu śpiewów król Henryk przywołał siostrę Rosvitę. Przyniesiono świece, ale jeszcze ich nie rozpalono, bo przez otwarte drzwi i okiennice wciąż sączyło się wieczorne światło. Zebrani przycichli wyczekująco, a siostra Rosvita otworzyła księgę i zaczęła czytać czystym głosem.

Wiele opowieści o wspaniałych czynach młodej Radegundis dotarło do uszu Jego Prześwietnej Wysokości, oświeconego Taillefera, i sprowadził ją na dwór w Autunie. Cesarz był zauroczonej jej świętością i zamierzał uczynić ją swą królową. Namówił, by się z nim modliła i czyniąc wiele aktów miłosierdzia i dając jałmużnę żebrakom, przekonał ją do siebie. Jako poranny podarek dał jej nie tylko ziemię, ale też wszystkie piękne prezenty, które mogła rozdać ubogim, i przyrzekł karmić biednych w Baralsze każdego piątku.

W tenże sposób świątobliwa młódka, tak wierna swym ślubom pozostania czystym naczyniem, by mogła z czystym sercem przyjąć Boga, została oczarowana szlachetnością cesarza Taillefera. Zalecając się do niej, przemógł jej opory. Miłość do jego cnót i honoru zmiękczyła jej serce i poślubili się.

Można tu napisać jedynie o kilku z wielu wspaniałych czynów, jakie dokonała w swym żywocie. Ziemska chwała nie przyćmiła jej umiłowania Boga ani też nie przyjęła szat królewskich, by nie zapomnieć, że łachmany ubogich okrywają boskie członki.

Kiedy otrzymywała część daniny należnej cesarzowi, oddawała z niej połowę na jałmużnę Bogu, nim złożyła cokolwiek do swego skarbcza. Potrzebującym rozdawała odzienie, a głodnym pożywienie. W Athies wybudowała dom dla biednych kobiet i własnymi rękami obmywała głowy i rany biedaków. Zakonom i klasztorom czyniła królewskie podarki. Żadnego pustelnika nie ominęła jej szczodrość.

Kiedy cesarza złożyła śmiertelna niemoc, nie można jej było oderwać od jego boku, mimo że była brzemienna. Klęczała przy nim z takim oddaniem, że jej towarzyszki lękały się o jej zdrowie, nic nie mogło jednak przerwać modlitw i w końcu odszedł, spokojnie dzięki jej wysiłkom, i jego dusza uniesiona została do Komnaty Światła.

Wtedy też wielu możnych książąt stłoczyło się jak kruki nad ciałem oświeconego cesarza, zdecydowanych otrzymać prośbą czy groźbą to, co po sobie pozostawił. Pośród tych skarbów

jednym z największych była błogosławiona Radegundis, klejnot pośród kobiet. Nie miała niestety krewnych, którzy ochroniliby ją przed taką żądzą.

Wciąż ciężarna, Radegundis odziała siebie i najbliższą towarzyszkę, kobietę imieniem Klotylda, w szaty żebraczek. Woląca wygnanie od cierpień władzy i przysięgła, że nie poślubi już nigdy żadnego ziemskiego księcia i służyć będzie jedynie Bogu. W ten sposób uciekły pod osłoną nocy i zbiegły do klasztoru w Poiterri, gdzie się ukryły...

W sali rozległ się trzask i krzyk przerażenia. Sanglant zerwał się na równe nogi w tak dzikim podnieceniu, że przewrócił stół, przy którym siedział z innymi. Cisza zapadła nad uczującym tłumem, jak wdech przed wydaniem okrzyku, podczas gdy książę stał z odchyloną głową niby zwierzę nasłuchujące trzasku gałęzek w lesie.

A potem przeskoczył przewrócony stół i pobiegł do drzwi, nie zwracając uwagi na talerze i jedzenie pod stopami, rozlane i wsiąkające w słomę wino. Charty rzuciły się, by złapać kawałki jedzenia, a służący na czworakach próbowali ratować, co się da.

--Sanglant! -- krzyknął król, wstając, i młodzieniec zatrzymał się jak szarpnięty łańcuchem. Być może tylko ten głos mógł go powstrzymać. Nie odwrócił się, żeby spojrzeć na ojca. Jego dłonie drżały i wpatrywał się w główne drzwi tak uporczywie, że Hanna zaczęła się spodziewać, iż zaraz wpadnie tu banda Eików ze wzniesionymi toporami.

Ale nikt się nie pojawił. Zapadła cisza, przerywana jedynie westchnieniami i stuknięciami sprzątających służących i stękaniem, a potem głuchym łomotem stołu, podnoszonego przez trzech mężczyzn.

--Jak wam mówilem, Wasza Wysokość -- rzekł Hugo do Sapientii słodkim głosem, który niósł się w ciszy panującej w sali. -- Kiedy królowa Athelthyri z Alby rozgniewała się na swoich poddanych za knucie przeciw niej buntu, ustanowiła nad nimi swego psa Contumelusa jako hrabiego. I wspaniałym hrabią był ten pies, bo powiadają, że prócz noszenia naszyjnika i złotego łańcucha na znak swego stanowiska, posiadał też taki dar, że potrafił wypowiedzieć co trzecie słowo, poprzedzone dwoma szczeknięciami.

Połowa zgromadzonych zachichotała. Henryk się nie śmiał, a chwilę później na zewnątrz rozległo się alarmujące ujadanie psów.

--Zrobić przejście! -- zawołał męski głos. Hanna usłyszała konie, szum głosów i ujrziała ruch w ciemności za progiem.

Do sali weszło dwoje Orłów.

--Liath! -- Hugo wstał tak szybko, że przewrócił krzesło.

Po drugiej stronie sali Baldwin musiał powstrzymać Ivara przed rzuceniem się w przód.

Sanglant zrobił krok do przodu i zamarł. Jego policzki pokrył lekki rumieniec. Liath dostrzegła go; Hanna zauważyła, jak się potknęła i podejrzewała, że wszyscy inni też widzieli to potknięcie. Wpatrywał się w nią; jego ciało obracało się jak kwiat podążający za słońcem, gdy śledził ją wzrokiem, idącą u boku Wilkuna ku królowi.

Hugo wyszeptał jakieś słowa, których Hanna nie zrozumiała.

Dwoje Orłów uklękło przed królewskim stołem.

--Wilkun -- powiedział Henryk z taką niechęcią, że stary Orzeł aż się skrzywił. Król dał znak. Służący obiegł stół i podał Liath puchar z winem; pociągnęła łyk i oddała go Wilkunowi, który osuszył naczynie.

--Wasza Królewska Mość -- zaczął z pucharem w dłoni.

Król wskazał na Liath, która pierwsza powinna zdać relację, ale zrobił to akurat w chwili, gdy Liath przez ramię spoglądała na Sanglanta; wykrztusiła coś niezrozumiałego i zgromadzeni roześmiali się lub zaczęli kasłać.

--Przybywam z Weraushausen, Wasza Królewska Mość -- powiedziała, szybko się opanowując. -- Przywożę tę wiadomość od kleryczki Moniki: spotka się z wami wraz ze scholą. Przywożę również rozporządzenia wymagające waszej pieczęci oraz list do siostry Rosvity od matki Rotgardy z klasztoru Świętej Walerii.

--Mam nadzieję, że są w nim wieści o Theophanu. -- W końcu Henryk spojrział na Wilkuna, który spokojnie zniósł jego wzrok.

--Wasza Królewska Mość -- rzekł Wilkun szybko. -- Przywożę wieści z południa. Diuk Konrad przesyła taką wiadomość: przybędzie przed wasze oblicze przed Mateuszami.

--Dlaczego tyle czasu zajęło mu przybycie do mnie po tym, jak obraził mego Orła?

--Jego żona, lady Eadgifu, zmarła w pogołu.

Przez salę przetoczył się pomruk, a kilka kobiet zaszlochało głośno. Król narysował Krąg na piersiach.

--Niech Bóg się nad nią zlituje. -- Położył pięść na stole. -- A co z wiadomością, którą wiozłeś do skoposy? Czy to prawda, że wierzysz, iż biskupina Antonia nie zginęła w lawinie, o której nam mówiono?

--Nie zginęła, Wasza Królewska Mość.

--Widziałeś ją żywą?

--Nie musiałem, by wiedzieć, że wciąż żyje, choć nie wiem, jak udało jej się uciec ani gdzie teraz przebywa.

--Rozumiem. Mów dalej.

--Jej świątobliwość Klemencja, skoposa i matka nas wszystkich, taki wydała wyrok na Antonię z Karrone, niegdyś biskupinę Mainni: zostanie ona ekskomunikowana za czynienie sztuk czarnoksięskich. „Niech żadna kobieta ni mężczyzna należący do Kręgu Jedności nie udziela jej schronienia. Niech żadna diakonisa ni frater nie słucha jej spowiedzi ani nie udziela jej błogosławieństwa, dopóki nie stanie ona przed tronem skoposy i nie odkupi swych grzechów. Nie wolno jej wstępować do kościoła i uczestniczyć we mszy. Każdy, kto się z nią zada lub udzieli jej schronienia, również zostanie ekskomunikowany". Oto są słowa skoposy.

--Twardy wyrok -- rzekł Henryk w zamyśleniu, po czym uśmiechnął się ponuro. -- Ale sprawiedliwy.

--To nie wszystkie wieści, jakie przywożę -- ciągnął Wilkun, a król popatrzył na niego wyczekująco, zmuszony, być może, do łaskawszego spojrzenia na Orła, który przywoził wieści tak służące królewskim interesom. Nakazał Wilkunowi mówić dalej. -- Królowa Gertrudis z Aosty nie żyje, Wasza Wysokość, a w Ventuno król Demetrius leży na łożu śmierci i otrzymał ostatnie namaszczenie.

Twarz króla znieruchomiała; cisza ogarnęła zebranych, aż w końcu nawet charty położyły się i złożyły głowy na łapach.

--Król Demetrius nie ma dziedzica, jak Waszej Królewskiej Mości wiadomo. Jego dzieci i ci, którzy walczyli o jego prawo do tronu Aosty, dawno temu wyginęli na wojnach na południu albo zabrała ich zaraza, przywleczona przez jinnijskich najeźdźców do portów południowych. Ale królowa Gertrudis zostawiła jedno dziecko, córkę Adelheidę, która niedawno owdowiała.

--Owdowiała -- powiedział Henryk. Spojrzał -- i wszyscy podążyli za jego wzrokiem -- na swego syna. Sanglant stał tak spokojny, lub porażony, jak charty, patrząc na Liath. -- Jest prawowitą następczynią tronu Aosty.

--Tak, Wasza Królewska Mość -- rzekł Wilkun, który jako jedyny nie patrzył na księcia. -- I ma ledwie dwadzieścia lat. Plotki głoszą, że jej rodzina jest tak wycieńczona wojną i zarazą, że nie ma już męskich krewnych, zdolnych walczyć o jej prawo do tronu.

Henryk na chwilę zamknął oczy. Otworzył je i nakazał obu Orłom wstać.

--Pan i Pani mnie usłyszeli -- powiedział głosem pełnym uczuć -- i wysłuchali mych modlitw. -- Powiedział coś szybko służącemu na ucho i kiedy Liath i Wilkun zostali odprowadzeni na zewnątrz, grupa akrobatów zaczęła swe przedstawienie.

Podjęto uctowanie i zabawę.

Ale Sanglant, odsuwając się, by zrobić miejsce akrobatom, cofnął się do ściany i zamiast wrócić do stołu, ruszył ku drzwiom i wyslizgnął się na zewnątrz. Chwilę później Hugo przeprosił i wyszedł. Ivar chciał się podnieść, ale młody mąż Judith pociągnął go na krzesło i coś mu szeptał do ucha.

Kiedy Hanna zamierzała ruszyć z Hugonem, Sapientia zawołała:

--Orle! Popatrz! Jak myślisz, jak tej dziewczynie udaje się nie spaść z liny?

Nie miała wyboru, została.

Rozdział trzeci

Zamknięta skrzynia

1.

--Co to znaczy? -- zapytał Wilkun ostro, gdy wyszli z sali.

Służąca przyniosła im jedzenie i piwo i zostawiła ich, siedzących na ławie, by zjedli kolację w spokoju. Liath uśmiechnęła się krzywo, gdy Wilkun się jej przyglądał w spokoju. Pierwsze gwiazdy zaśniły na niebie -- trzy klejnoty nieba Królowej obiecujące blask -- ale na zachodzie nadal czerwienił się ślad światła słonecznego.

--Nic nie mówisz -- stwierdził Wilkun. Nic nie jedli, odkąd w południe w gospodarstwie na odludziu poczęstowano ich chlebem i jablecznikiem, ale on nie zwracał uwagi na półmisek, ustawiony obok na ławie, mimo że świeżo upieczona wieprzowina pachniała zachęcająco.

Liath skupiła się na jedzeniu, bo umierała z głodu. Wilkun niedługo dostanie odpowiedź. Zjadła już większą część ze swej połowy półmiska, kiedy ujrzała, jak przedziera się przez tłum dworzan, cisnących się przy wejściu, by śledzić występy. Zażenowana, że przyłapano ją na obżarstwie, otarła usta wierzchem dłoni i wstała. Wilkun zerwał się na równe nogi, gdy Sanglant przedarł się przez tłum i podszedł do nich.

--Co to znaczy? -- zapytał ponownie Wilkun.

--A co cię to obchodzi? Jakie masz prawo, żeby się wtrącać? -- Ale była na niego zła tylko z powodu przyśpieszonego bicia własnego serca, kiedy książę się przed nią zatrzymał. Przytył przez ostatnie dwadzieścia dni i miał porządnie przystrzyżone włosy, ale szaleństwo nie zniknęło z jego oczu. Nosił piękną lnianą tunikę, wykończoną złotą i srebrną koronką, idealnie skrojoną z wiszącym u pasa mieczem, we wspaniałej czerwonej pochwie. A z pierścieniami na palcach przypominał już księcia królewskiej krwi czy dworzanina. Tylko żelazna obroża na szyi psuła jego wygląd. Chyba go dławiała. Zdawał się niezdolny do mówienia, a kiedy stał tak blisko, żadne słowa nie przychodziły jej na myśl.

--Nie zapominaj o przysiędze, którą złożyłaś jako Orzeł -- powiedział nagle Wilkun. -- Nie zapominaj o wiadomości, jaką ci przywiozłem, Liath.

--Zostaw nas -- rzekł Sanglant, nie odrywając wzroku od Liath.

Nawet Wilkun nie odważył się sprzeciwić rozkazowi. Warknął ze złością, odwrócił się i odszedł, nie zabierając ze sobą wieczery ani piwa.

--Strzegłem książki dla ciebie, jak obiecałem. -- Jego ochryply głos nadawał słowom jeszcze większe znaczenie; ale jego głos zawsze tak brzmiał. -- Pytanie, które ci zadałem... masz dla mnie odpowiedź? -- Z jadalni dobiegły okrzyki i śmiech. Spojrzał przez ramię na drzwi i wymamrotał coś, co bardziej przypominało warczenie niż słowa.

--Byłeś na wpół szalony. Skąd mam mieć pewność, że pytałeś poważnie?

Roześmiał się -- śmiechem, który pamiętała z Gentu, kiedy podczas oblężenia przeżywał każdy dzień tak, jakby nie obchodziło go, czy następny nadejdzie.

--O Pani! Powiedz, że za mnie wyjdiesz, i skończmy z tym!

Nagle podniosła dłoń, by dotknąć jego twarzy. Nie czuła pod palcami śladu zarostu. Byli tak blisko siebie, że czuła jego ostry i obezwładniający zapach: mieszaninę potu, kurzu, świeżo upranego ubrania. Nie zostało nic po Eikowym więzieniu. W dziczy otaczającej miasto pamięci, pokrytej lodem, letnie słońce prażyło zamrożone pustkowie takim gorącem, że zalewało ją niby płynny ogień; na podwórku zapłonęła pochodnia, w sali biesiadnej podniosły się szepty, a ją przygniotło ohydne wspomnienie stojącego w płomieniach pałacu w Augensburgu.

Położył jej dłoń na swej piersi. Jego dotyk był jak chłodna woda, koił, uspokajał, leczył.

Pod dłonią przyciśniętą do tuniki czuła bicie jego serca. Był równie poruszony jak ona.

Na Panią w niebiosach! To było szaleństwo. Ale nie mogła się zmusić, by odejść.

Niespodziewanie Sanglant odchylił głowę i zawarczał, odpychając ją na bok i robiąc krok w przód. Zaskoczona, w półobrocie, ujrzała za sobą Hugona, wyciągającego rękę, by ją złapać. Wrzasnęła i chciała uciekać, ale Sanglant stanął już między nią a wrogiem. Zaczęła się trząść i mogła tylko delikatnie położyć dłoń na plecach Sanglanta.

--Hugo -- rzekł Sanglant tonem, jakim pobożny człowiek wypowiada jedno z tysiąca imion Nieprzyjaciela.

--Ona jest moja. -- Hugo był tak rozwścieczony, że przez chwilę nie rozpoznawała w nim eleganckiego szlachcica, ozdoby królewskiego dworu. Potem się opanował. -- I będę ją miał z powrotem.

Sanglant parsknął.

--Ona nie należy do żadnego mężczyzny ani kobiety. Jako królewski Orzeł zaprzysięgła służbę władcy.

Hugo nie cofnął się. Sanglant był wyższy i szerszy w ramionach; bez wątpienia wyglądał na człowieka wprawnego w wojaczce. Ale Hugona otaczała ta nie nazwana aura pewności kogoś, kto zawsze dostaje to, czego pragnie.

--Ustalmy to od razu, żeby nie było potem między nami żadnych nieporozumień, księżę panie. Ona jest moją niewolnicą i była niegdyś mą konkubiną. Nie wierz, że było inaczej, niezależnie od tego, co ona ci powie.

Słowa były lodowate, ale Sanglant nie ruszył się, by ją odsłonić.

--Ja przynajmniej nie zhańbiłem się zmuszaniem kobiet, by ze mną spały.

Różnili się tym, że Hugo nie wykonywał żadnego nie przemyślanego ruchu, nie pozwalał, by nagle uczucie burzyło jego piękno i spokój, podczas gdy Sanglant nie zawracał sobie tym głowy -- a może po prostu zapomniał, co to znaczyło być człowiekiem, stworzeniem znajdującym się pomiędzy zwierzętami a aniołami.

Uśmiech, który wykwitł na ustach Hugona, nie był pogardliwy. Wyglądał raczej na zasmuconego i rozbawionego, kiedy spoglądał raz na Sanglanta, raz na Liath. Nie mogła odwrócić oczu.

--„Temu, kto wchodzi w nieczyste związki ze zwierzętami, żyć nie dopuścisz” -- powiedział cicho.

Złapała kubek z piwem i chlusnęła w twarz. Drżąc, wypuściła kubek. Rąbnął w ławę, przetoczył się i spadł na jej stopę. Ból tylko ją otrzeźwił, wyrwał z zaślepiającego podniecenia, które ją opanowało, gdy weszła do sali biesiadnej i ujrzała Sanglanta, czekającego na nią.

Ktoś się roześmiał; nie Sanglant. Palce księcia dotknęły jej rękawa, by ją pohamować.

Hugo śmiał się, zachwycony, oblizując piwo z ust. Nie otarł twarzy ani tuniki, pięknie wyszywanej w liście winorośli i purpurowe kwiaty. Była tak boleśnie świadoma tego, co jest między nimi, że tym razem, słysząc śmiech Hugona, zrozumiała, że jej opór podniecał go fizycznie. Śmiał się, by to zatuszować, by uwolnić energię powstałą z wściekłości i pożądania.

--Jestem Orłem. -- Słowa były pełne nienawiści za to, co jej zrobił. -- Przysięgłam służyć królowi Henrykowi. -- Ale każde jej wyzywające słowo tylko podsycalo jego wściekłość; czuła ją jak dłoń zaciskającą się na gardle. Ponownie ją uderzy. I jeszcze raz. Niezależnie od tego, jakim jadem pluła, wciąż był silniejszy. Gdyby nie trzymająca ją dłoń Sanglanta, uciekłaby.

Ale Hugo lubił pościg.

--Nie jestem twoją niewolnicą!

--Zobaczmy -- rzekł Hugo z elegancją i wyższością, mimo piwa spływającego po podbródku. -- Zobaczmy, różyczko, czy król Henryk wyda wyrok na korzyść moją czy Wilkuna. -- Opuścił ich z uśmiechem, pewien zwycięstwa.

Pięć uderzeń serca zajęło jej zrozumienie jego słów, ale kiedy wreszcie pojęła, kolana się pod nią ugięły i padła na ławę.

--Przedstawi to królowi. Oznajmi, że nie zgodził się mnie oddać, że Wilkun nieprawnie wykupił dług. Wiesz, jak król nienawidzi Wilkuna! -- Czuli się, jakby jej pierś wkręcono w imadło. -- Jestem zgubiona!

--Liath! -- Złapał ją za łokieć i podniósł. -- Błagam, Liath, spójrz na mnie.

Spojrzała. Zapomniała, jak intensywnie zielone były jego oczy. Nie straciły jeszcze całkowicie dzikiego blasku, kryły go w sobie; jego wzrok był czysty, pewny i śmiertelnie uparty.

--Liath, jeśli się zgodzisz za mnie wyjść, mogę cię przed nim chronić.

--Sanglant, jesteś na wpół szalony -- mruknęła.

--Owszem, jestem. Na Boga! Stałbym się prawdziwą bestią, gdybyś mnie nie uratowała! Nie byłbym lepszy niż psy, co mnie skubią po piętach. Ale ty cały ten czas na mnie czekałaś. Wiedząc to, trzymałem się resztek człowieczeństwa i nie stałem się bestią w łańcuchach, którą dręczył.

--Nie rozumiem cię. O Pani! To prawda, co Hugo o mnie powiedział, zrobił mnie swoją niewolnicą i... -- Wstyd był zbyt wielki. Nie mogła wypowiedzieć tego słowa.

Wzruszył ramionami, jakby to nie miało żadnego znaczenia, a potem odciągnął ją na bok.

--Chodźmy stąd, połowa tłumu gapi się na nas, a nie na kuglarzy. -- Ale zatrzymał się nagle, patrząc w tył. Całkiem spora grupa ludzi, zgromadzonych przed salą i nie mogących przyglądać się trupie zabawiającej króla, odwróciła się, by śledzić scenę równie zabawną i bez wątpienia gwarantującą im przez najbliższe kilka dni centralne miejsce przy każdym stole i ogniu, kiedy to nadchodzi czas dworskich plotek. Niektórzy wytykali ich palcami; inni się gapili, służący, woźnice, psiarczyki i koniuchowie, praczki o splekanych dłoniach i służące z tacami opartymi o biodra, chichocząc i szepcząc, choć stali zbyt daleko, by zrozumieć słowa. Czy wszyscy widzieli, jak chlusnęła Hugonowi piwem w twarz? Czy zastanawiali się, co oznaczało zainteresowanie nią Sanglanta? Czyż nie sływał ze swych miłostek?

Ale to było przed Krwawym Sercem.

--Nie, niech popatrzą -- mruknął. -- Niech wiedzą i rozniosą wiadomość. -- Objął jej dłonie. -- Liath, wyjdź za mnie. Ale jeśli tego nie zrobisz, nadal będę cię chronił. Przysięgam. Wiem, że jestem... jestem... -- Skrzywił się, uderzając w ucho, jakby chciał odpędzić natrętnego owada. -- Nie jestem taki jak dawniej. Boże w niebiosach! Szepczą o mnie. Mówią różne rzeczy. Wyśmiewają mnie. Gdybym tylko... Ach! -- Nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Wydawał się bezradny i był wściekły na siebie za tę bezradność. Czuł się jak wilk do nieprzytomności objający się o pręty klatki. -- Gdyby tylko mój ojciec dał mi ziemię, mógłbym tam odnaleźć spokój. O Boże, i ciszę, o którą się modlę, z tobą u boku. Pragnę tylko ozdrowienia. -- Jego głos rwał się od bólu, ale jego głos zawsze tak brzmiał.

Ale komu innemu mógłby się zwierzyć? Tylko jej.

Czyż nie dlatego odrzuciła propozycję czarownika Aoi? Pocałowała go.

Nie trwało to długo, jej usta przyciśnięte do jego warg, prawdziwe oszłomienie.

Odkoczył, potykając się.

--Nie tutaj! -- Oblał się rumieńcem.

--Mądra rada, Wasza Wysokość -- rzekł nowy głos, absolutnie spokojny i wyjątkowo złośliwy. -- Liath! -- Z mroku wynurzyła się Hathui. Zatrzymała się między nimi, tak jak zamierzała; wyższa od Liath, była oczywiście niższa od Sanglanta, ale i tak potężna. -- Wasza Wysokość. -- Skłoniła się krótko, ale z szacunkiem. -- Król, wasz ojciec, martwi się waszą tak długą nieobecnością. Prosi, byście do niego dołączyli.

--Nie -- powiedział Sanglant.

--Błagam, Wasza Wysokość. -- Spojrzała mu w oczy. -- Moja towarzyszka jest ze mną bezpieczna. Będę na nią uważać.

--Liath, jeszcze nie...

--Ona ma rację. -- Przypominało to walkę o utrzymanie głowy nad wodą w bystrym strumieniu. Musiała walczyć sama. -- Teraz... po prostu... tak będzie lepiej. -- Wszystko wydarzyło się tak szybko.

Znieruchomiał, z trudem łapiąc oddech.

--Mam książkę. -- I odszedł.

--Wygląda na to, że poszedł nad rzekę, wziąć długą zimną kąpiel -- stwierdziła Hathui. Dała znak i pół tuzina Lwów ruszyło za nim, zachowując dystans.

Liath szturchnęła pusty kubek czubkiem buta i schyliła się, by go podnieść.

--Plotki szybko się roznoszą -- dodała Hathui, wyjmując Liath kubek z ręki i obracając go. Był drewniany i szorstki, nic wymyślnego, ale przydatny. Parsknęła. -- Naprawdę chlusnęłaś mu piwem w twarz?

--Co ja pocznę? -- jęknęła Liath.

--Jakaż odwaga w twym głosie! Następnym razem, mała, trzymaj się mnie albo Wilkuna. Inaczej, obawiam się, popelnisz jakieś głupstwo.

--Ale Hugo ma zamiar spierać się o wykup długu. Przedstawi sprawę królowi, a wiesz, jak król nienawidzi Wilkuna. A jeżeli odda mnie Hugonowi?

--Niezbyt dobrze znasz króla Henryka, prawda? -- spytała chłodno Hathui. -- Chodź. Nad stajniami jest miejsce dla Orłów, dobrze chronione przez Lwy. Będziesz tam bezpieczna. Może rano będziesz jaśniej myśleć.

Pokornie podążyła za Hathui.

--Książę Sanglant nie ma nic, wiesz -- rzekła nagle Hathui. -- Nic poza tym, co da mu król, żadnej broni, konia, żadnego orszaku czy ziem, żadnego spadku po matce prócz krwi i dlatego większość dworaków mu nie ufa.

--Nic! -- parsknęła Liath, wściekła, że można było osądzać księcia na podstawie takich bzdur, po czym umilkła. Hathui mówiła prawdę o tym, co się tak naprawdę liczyło poza murami kościoła. -- Ale mnie to nie obchodzi. -- wyszeptała uparcie i w odpowiedzi usłyszała głębokie westchnienie.

Gdy upewniła się, że stajnię zamieszkują śpiące Lwy, kilka Orłów i Wilkun, siedzący na zewnątrz, z lampą u stóp przyświecającą do kolacji, było ulgą. Wyglądał na poirytowanego, ale litościwie nic nie mówił, tylko na powitanie dotknął ramienia Hathui i wyszeptał jej do ucha coś, czego Liath nie mogła zrozumieć. Nie miała nadnaturalnie czulego słuchu Sanglanta.

--Idź spać, Liath -- rzekł sztywno, kiedy już raczył ją dostrzec. Wciąż był zły. --

Porozmawiamy rano.

Z odległego dworu dobiegły okrzyki, a po nich śmiech i śpiew.

--Odprowadzają państwa młodych do łożnicy -- powiedziała Hathui.

--Państwa młodych? -- zapytała zaskoczona Liath. -- A kto dziś brał ślub? -- Ona mogłaby brać ślub dziś w nocy, gdyby się zgodziła. Ale wszystko naprawdę działo się zbyt szybko. Musiała złapać dech, zanim podejmie nieodwracalną decyzję.

Hathui się roześmiała, ale Wilkun tylko mruknął, zdenerwowany.

--Nie podoba mi się to -- warknął.

--Że jest ślub? -- zapytała Liath, skonfundowana.

--Że ślepa byłaś na to i na wszystko, co się wokół działo! -- odparł. -- Idź, Hathui. Król cię będzie szukał.

Skinęła głową i odeszła, dumna postać znikająca w mroku.

Liath nie lubiła być sam na sam z Wilkunem. Patrzył na nią w taki sposób -- łagodnie, ale z ponurym błyskiem w oku -- że czuła się bardzo niezręcznie.

--Błagam, Liath -- powiedział głosem ochryplym z emocji, której nie potrafiła nazwać. -- Nie daj mu się skusić.

W oddali zapłonęły pochodnie i zapiszczały dudy, a bębny wybiły szybki rytm na cztery. Na podwórku rozpoczęły się tańce. Bez wątpienia świętowanie potrwa całą noc. Wilkun zaszurał stopami i pociągnął łyk piwa, a potem wyciągnął kubek na znak pokoju.

--Hugo zażąda, by król mnie jemu oddał -- rzekła krótko.

Wilkun, zaskoczony, podniósł brew.

--Też tak podejrzewam. Groził tym w Spokoju Serca w dniu, kiedy cię uwalniałem.

--Król cię nienawidzi, Wilkunie. Dlaczego?

Uśmiech, który wykrzywił jego usta, był ironiczny i nadawał jego twarzy wyraz dziwnie uspokajający i godny zaufania: człowiek, który tak stawia czoła swym błędom, nie może wszak krzywdzić innych dla swej próżności czy chciwości.

--Dlaczego? -- powtórzył. -- Właśnie dlatego. To stara historia, którą, jak sądziłem, zapomniano. Ale, jak się okazało, jest inaczej.

Nadal nie brała od niego kubka.

--To ma coś wspólnego z Sanglantem.

--Wszystko ma coś wspólnego z Sanglantem -- odparł Wilkun zagadkowo i nie chciał rzec nic więcej.

2.

Dzień minął w samotności. Gęsta mgła spowijała kamienny krąg, odcinając ich od świata zewnętrznego. Kobieta Aoi medytowała, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, z zamkniętymi oczami, nieruchoma jakby duch opuścił jej ciało. Zachariasz kiedyś by się modlił, ale teraz już nie miał do kogo. Przez część dnia spał; później oskubał i wypatroszył dwie kuropatwy, które Aoi ustrzeliła o świcie.

Dla jego rodziny wielkim zaszczytem było, gdy on, syn wolnego chłopca, został namaszczoney na fratra w kościele z powodu swego śpiewnego głosu, wygadania i wspaniałej pamięci do pisma. Ale żadnej z tych zalet Qumanowie nie poważali u mężczyzny. Tyle z niego wydarli, że ledwo już pamiętał mężczyznę, którym niegdyś był, dumnego, zdecydowanego i chętnego do samotnego wstąpienia pomiędzy barbarzyńców, by wprowadzić ich w Światło Jedności. Wtedy wszystko wydawało się takie proste. Miał wiele imion: syn, siostrzeniec, brat. Brat Zachariasz, z dumą powtarzała jego matka. Młodsza siostra go podziwiała. Czy teraz też by go podziwiała?

O zmierzchu mgła opadła; podszedł nerwowo do krawędzi kamiennego kręgu, ale nie zobaczył niczego ani nikogo, ani śladu Bulkezu i jego jeźdźców w ciągnącej się po horyzont trawie.

--Potrzebujemy ognia.

Podskoczył, zaskoczony i przestraszony jej głosem, ale ona odwróciła się już, grzebiąc w jednej ze swych dziwnych, pięciopalczastych sakiewek. Sprawdził, czy koń jest porządnie przywiązany, po czym zszedł do strumienia płynącego u podnóża pagórka. Z łatwością zebrał patyki oświetlane księżycową poświatą. Noc pełna była zwierząt i najdrobniejszy szelest w poszyciu niepokoił Zachariasza, któremu wydawało się, że jeden z wojowników Bulkezu czyha, by go pojmać i na nowo zniewolić.

Wydawało mu się, że ledwie chwile temu słyszał wycie Bulkezu. Wciąż brzmiało mu w uszach, ale powoli szum strumyka i szelest wiatru w trzcinach zagłuszały wspomnienie.

Brodził w strumieniu, obmacując trzciny palcami, dopóki nie znalazł takich, które dało się spleść w linę, jak uczyła go babka. Nadal był zdenerwowany i pracował w takim pośpiechu, że kiedy tylko wrócił do kręgu, trzciniowa lina rozpadła się, siejąc wokół kłaczami.

Aoi ledwo na niego spojrziała, wskazując, gdzie ma złożyć drewno.

--Będę ciebie wart -- wyszeptał. Jeśli go usłyszała, nie odpowiedziała.

Kucała i układała drewno na ognisko, krzesząc iskry, dopóki się nie zajęło. Kiedy wymówiła śpiewne słowa, dziwne błyski zamajaczyły wśród płomieni, splatając się i rozplatając we wzorach. Zachariasz odruchowo zaczął kreślić Krąg na piersi, aby odpędzić czary. Potem przestał. Jeśli dawni bogowie byli wystarczająco dobrzy dla jego babki, będą dobrzy i dla niego. Dawni bogowie chronili jego babkę; dożyła niezwykłego wieku i przeżyła dziesięcioro z dwanasciorga swoich dzieci. Szczęście nigdy jej nie opuściło.

A poza tym jeśli Aoi zamierzała go skrzywdzić czarami, nic nie mógł na to poradzić.

--Święta Matko! -- wyszeptał, patrząc jak ogień drga i zmienia kształt.

Podszedł bliżej i zapatrzył się w płomienie. Przypominało to zagłądanie do innego świata poprzez niematerialne, ogniste wrota.

Postać, szeroka w ramionach, ale z wystającymi żebrami, zdjęła odzież i wskoczyła w bystry nurt rzeki. Bez wątplenia był to mężczyzna. Fakt, że z własnej woli wchodził do wody,

oznaczał, iż nie należy do Qumanów i choć migotanie ognia zaćmiewało obraz, Zachariaszowi wydało się, że mężczyzna był nieco podobny do jego pani Aoi. Jednak odzież, leżąca w bezładnej kupie na brzegu, zdradzała jego pochodzenie: było to odzienie ludzi cywilizowanych, ubranie szlachcica. Chwilę później na brzegu pojawiło się sześciu mężczyzn, sprawiali wrażenie jakby go ścigali. Ubrojeni i zarośnięci, nosili kaftany z naszytym znakiem czarnego lwa: wendarscy żołnierze służący władcy. Jeśli rzeczywiście mu służyli, kim był ten, który wskoczył do wody, i dlaczego go gonili?

Aoi wyszeptała słowo „Sąglą”. Ogień zgasł. Wstała i podniosła laskę, solidny kawał hebanowego kostura z białymi znakami na całej długości, po czym skierowała ją na gwiazdy.

Zamruczała usatysfakcjonowana, kiwnęła na niego, a Zachariasz szybko odwiązał konia i dosiadł go. Wyszła z kamiennego kręgu, kierując się na północ i gdy tylko opuścili przestrzeń wyznaczoną kamieniami, ruszyła biegiem, zmuszając go do jazdy klusem.

Biegła przez pół nocy, nie zatrzymując się. Zamierzał jej powiedzieć, że rozbolał go tyłek, a koń potrzebował odpoczynku, ale tak naprawdę koń i kobieta zdawali się równie wytrzymałymi stworzeniami. To on był słaby, więc nie miał zamiaru narzekać. Księżyc zaczął przesuwając się ku zachodowi. Światło rozlewało się wokół, na łagodne wzniesienia i łąki, tu i ówdzie przecięte strumieniem lub kępą drzew rosnących na mokradłach. Trawa szeleściła na nocnej bryzie, oddechu gorącego wschodniego powietrza. Niemal mógł w nim wyczuć dymy ognisk plemienia Pechanek, smród skwaśniałego kobylego mleka, mokrą masę przygotowywanego filcu, zapach gulaszu przyrządzanego z tłuszczu i owczych flaków, ostrości herbaty kilkim, wiezionej przez prairie zamieszkałe przez gryfy i lud Bwr z cesarstwa ludu Katai, którego nieprzeniknionych granic strzegły, jak powiadano, rzesze złotych smoków.

Kobieta nagle zwolniła przy kępie powykręcanych drzew, zatrzymując się tuż przy jej krawędzi.

--Potrzebujemy ognia -- rzekła i kucnęła, by wytyczyć krąg.

Zachariasz stęknął, zsiadając. Tyłek bolał go potwornie. W kręgu drzew zatrzymał się, by oddać mocz. O Boże, nadal bolało; pewnie zawsze będzie boleć. Ale nadal miał język i zamierzał go zatrzymać. Ziemia zasłana była chrustem i chwilę zajęło mu zebranie wystarczającej ilości na ognisko. Rzucił go obok dziury wykopanej przez kobietę i odwrócił się do konia.

--Czy możemy tu zostać tak długo, aby przyrządzić te kuropatwy? -- zapytał.

--Sąglą -- zabrzmiał w ciszy jej głos.

Odwrócił się, by poprzez ogniste wrota ujrzeć tego samego mężczyznę, już ubranego, który leżał na ziemi i spał, podczas gdy sześć Lwów stało w mroku, trzymając wartę. A potem wrota zamknęły się i zniknęły wśród zwykłych płomieni.

Pani wstała, znów podniosła laskę i zmierzyła nią gwiazdy. Uśmiechnęła się krótko, ostro i krwiożerczo.

--Co-yoi-tohn -- powiedziała, wskazując północny zachód.

--Ty go szukasz -- rzekł nagle Zachariasz.

Z tyłu zamruczała pantera, a w oddali załopotwały skrzydła.

Zachariasz zerwał się, dobył noża i spojrzał na wschód, ale nic nie zobaczył -- żadnych uskrzydłych jeźdźców wśród srebrzystej trawy. Kobieta obejrzała się przez ramię. Powęszyła, zdjęła zawiniątko z pleców, wydobyla z niego twarde okrągłe ciastko i zaczęła jeść.

Nie poczęstowała go. Zachariasz naostrzył patyk i nadział kuropatwę, uważając, by wnętrzności, które oczyścił i włożył z powrotem, nie wypadły. Zbyt był głodny, by długo czekać. zaproponował jej pierwszą kuropatwę; obwąchała ją i skrzywiła się, a on widząc jej minę, ryknął śmiechem.

Opanował się i skulił, ale się nie obraziła. Urwała kawałek mięsa, obmacała, podniosła do ust, polizała, spróbowała kawałeczek, mruknęła z zaskoczeniem i zjadła do końca, po czym władczym gestem wyciągnęła dłoń. Zachariasz był głodny i zjadł całą swoją kuropatwę, choć rozboleł go żołądek. Ona posunęła się nawet do połamania kości i wyssania szpiku.

Nie odpoczęli po posiłku. Wstała, ostatni raz oblizała palce, sypnęła piachem w ognisko i wskazała ten sam kierunek co wcześniej.

--Co-yoi-tohn -- powtórzyła. -- Co ty nazwałbyś północnym zachodem.

--Ale dokąd zmierzamy? -- zapytał. -- Kim był mężczyzna, którego widzieliśmy w ogniu?

Wzruszyła ramionami. Smuga światła znaczyła wschód, pierwszy zwiastun świtu.

--Teraz zaczynamy łowy.

3.

Bez wątpienia dusze grzeszników stracone w otchłań nie mogły cierpieć większych katuszy niż Alain podczas wieczoru swego wesela.

Ledwie mógł znieść wesołość, ale ciągle kpiarskie toasty i rubaszne żarty sprawiały, że miał ochotę zwinąć się w kłębek i zapaść pod ziemię, będąc boleśnie świadom obecności Tallii u boku, tak nieruchomej i zamkniętej w sobie, że czuł się jak potwór, tak bardzo pragnąc tego, czego ona najwyraźniej się lękała.

Ale bez wątpienia, kiedy wszystko ucichnie i zostaną sami, zdoła ją przekonać, by mu zaufała. Bez wątpienia, jeśli potrafił ułagodzić dzikie psy z Lavas i zdobyć zaufanie Liath, mógł przekonać Tallię, by go pokochała.

Odziana była w błękitną lnianą suknię, wspaniale wyszytą klejnotami i haftowaną w skaczące jelonki, symbolizujące jej varreńskie pochodzenie. Na czole błyszczał wąski srebrny diadem, jedyne potwierdzenie przynależności do królewskiego rodu, prócz, oczywiście, delikatnego złotego torkwesu na szyi. Jej pszeniczne włosy były splecione w warkocze i upięte z tyłu głowy; uczesanie to sprawiało, że jej szyja wyglądała na jeszcze delikatniejszą i wdzięczniejszą. Pragnienie, by jej dotknąć, sprawiło, że poczuł ból w wyjątkowo nieprzyjemnym miejscu i nawet kiedy musiał oddać mocz, nie odważył się wstać, z lęku, że okryje się straszonym wstydem.

On i Tallia jedli z jednego talerza. Bardzo się starał, by nie zamoczyć pięknych rękawów tuniki w sosach, które dodawano do każdego dania. Tallia zjadła jedynie kęs chleba i upiła dwa łyki wina, ale on był głodny i choć bał się, że ona uzna go za żarłocznego i wstrętnego, jadł z apetytem, dopóki nowy toast nie przypomniał mu -- niby kopnięcie w głowę krowią racicą -- że w nocy wreszcie spotka się ze swą upragnioną w łóżu małżeńskim, gdzie nic ich już nie rozdzieli. Ogarnęły go takie mdłości, że pożałował, iż w ogóle coś jadł.

Podobnie w jednej chwili z nerwów pił wino, by natychmiast odmówić następnego pucharu, kiedy z przerażeniem przypomniał sobie żarty, które słyszał przy stole ciotki Bel na temat panów młodych, którzy tak się upili, że nie mogli dopełnić małżeńskich obowiązków.

Lavastine mówił mało i tylko w odpowiedzi na wykrzykiwane ku niemu gratulacje. Nie musiał się odzywać; triumf kosztował go wiele istnień ludzkich, ale zdobył wysoko urodzoną żonę dla swego dziedzica i, dzięki jej pochodzeniu, miejsce pomiędzy książętami królestwa.

Uczta była od czasu do czasu przerywana: Liath wróciła, a książę Sanglant zrobił z siebie takie widowisko, że Alain na moment zapomniał o swym lęku, że Tallia padnie trupem przy stole; akrobaci zachwycili Tallię i przez krótką, szczęśliwą chwilę dziewczyna uśmiechała się do Alaina, który podziwiał -- nie ją, nie okaże jej zainteresowania, bo ona się wtedy zamknie w sobie jak żółw w skorupie -- ale fikających kozły i linoskoczków, szczupłe dziewczęta w wieku Tallii, którym urody przydawały umiejętności i trudne życie.

Akrobaci odeszli. Wino płynęło. Toast gonił toast, a potem, o Pani, nadszedł czas.

Służące oczyściły stół, postawił na nim Tallię i wdrapał się za nią, a ośmiu młodych lordów poniosło stół wraz z parą do kwater gościnnych, przygotowanych na ich noc poślubną; było to bez wątpienia dzikie i nieokrzeseane, ponieważ wszyscy śmiali się i wykrzykiwali dobre rady, ale Alain nie miał nic przeciwko starej tradycji, skoro dzięki niej Tallia musiała się go trzymać, by nie spaść ze stołu. Wydawała się przerażona i przyłgnęła do niego, gdy otoczył ją ramieniem, przyciskając do boku. Była delikatna jak wróbelek.

--Już, spokojnie -- wyszeptał. -- Będę cię trzymał. -- Ufnie przycisnęła twarz do jego ramienia.

Tłum zaryczał z aprobatą.

O Pani. To chyba on zemdleje. Był oszołomiony własnym szczęściem.

Stół postawiono na progu; Alain pomógł Tallii zejść. Wciąż się do niego tuliła, bardziej bojąc się tłumu niż jego.

--Kto będzie świadkiem? -- wrzasnął ktoś w tłumie.

Odpowiedziała setka głosów.

Sam król podszedł, by wypowiedzieć tradycyjne słowa:

--Skoro zgodziliście się oboje, niech więc związek zostanie stosownie skonsumowany, aby był prawomocny i wiążący. Na znak tego wymieńcie się o świcie u tych drzwi podarkami. -- Roześmiał się, będąc w doskonałym humorze po wypiciu ilości wina zdolnej zatopić okręt, dobrym posiłku i towarzystwie podniecających artystów, otoczony przyjacielami. -- Niech was Bóg błogosławi tej nocy -- dodał i na znak niezwyklej łaski podsunął Alainowi dłoń do pocałowania. Alain ukląkł na jedno kolano, ujął pokrytą odciskami dłoń króla i ucałował ją. Tallia padła obok na oba kolana i z lekkim westchnieniem przycisnęła wujowską dłoń do ust. Światło latarni rzucało na ścianę ich wielkie cienie, niby jakichś olbrzymów.

Lavastine wystąpił, by otworzyć im drzwi w nieoczekiwanym geście, raczej sługi, niż pana i ojca. Alain chwycił jego rękę i przycisnął je do ust. Tej nocy wszystko wydawało się większe i pełniejsze: zgłębienie tłumu, powiew wiatru na twarzy, miłość do ojca, która jakby wezbrała i zalala niebiosy, radosne poszczekiwanie psów, którym nie pozwolono towarzyszyć młodym w obawie, że przestraszą Tallię i w wielkim, głośnym tłumie wyrwą się spod kontroli.

Lavastine ujął Alaina za łokieć i podniósł. Z bliska Alain ujrzał pojedynczą łzę spływającą po twarzy hrabiego. Lavastine zawahał się, po czym ujął głowę Alaina w dłonie i pocałował go delikatnie w czoło.

--Proszę, córko -- zwrócił się do Tallii. -- Daj mu szczęście.

Tallia wydawała się na skraju omdlenia. Alain otoczył ją ramieniem, by podtrzymać i wśród wiwatów i sprośnych komentarzy pomógł jej przekroczyć próg.

W środku czekali służący. Szerokie, wygodne łóżko stało pod ścianą skromnej komnaty, zaścielone puchowym materacem, koldrą i wielką narzutą haftowaną w róże Varre i czarne ogary Lavas. Najwyraźniej haftowano ją od kilku miesięcy. Pod drugą ścianą stał stół i dwa piękne krzesła. Na stole był emaliowany dzban i misa do obmycia twarzy i dłoni, a obok nich drewniana misa rzeźbiona w synogarlice, pełna dojrzałych jagód i dwa połączone kielichy z winem o cudnym bukacie. Bochen weselny, na wpół zawinięty w płótno, roztaczał wokół niezwykłą woń; Alainowi zaburczało w brzuchu. Okienne zamknięto, by na tę jedną noc zapewnić intymność.

Służący rozwiązyli jego sandały, rozplątali skomplikowany węzeł podtrzymujący tunikę, zdjęli błękitną suknię Tallii i po chwili oboje młodzi stali w ciszy, ona w lnianej halce do pół łydki, on w sięgającej kolan koszuli.

--Odejdźcie -- powiedział, dając każdemu ze służących kilka srebrnych scett. -- Niech was Bóg błogosławi tej nocy.

W końcu został sam z Tallią.

Osunęła się obok łóżka do modlitwy, przyciskając wargi do dłoni. Nie słyszał jej słów.

Drżała jak na chłodnym wietrze, a pod halką ujrzał przez chwilę kształt jej ciała, krągłość bioder, linię kręgosłupa, delikatny kontur piersi.

O Panie! Odwrócił się do stołu, nalał trochę zimnej wody i ochlapał twarz. Musiał oprzeć się na blacie, próbując dojść do siebie. Z oddali słyszał wściekle ujadające psy. Z dziedzińca dobiegała muzyka, nosowy pisk dud i uderzenia bębnow. Bez wątpienia świętowanie potrwa całą noc.

Odwrócił się w końcu. Nie poruszyła się. Wiedziony impulsem, dolał wody do misy i zaniósł ją wraz z myjką do łóżka. Postawił ją na podłodze i uklęknął obok Tallii.

--Proszę, pani -- rzekł tak cicho, jakby wywabiał myszkę z ukrycia za ołtarzem świętego Laurencjusza w starym kościele w Lavas. -- Pozwól mi umyć twą twarz i dłonie.

Nie odpowiedziała. Nadal zdawała się modlić. Ale w końcu zwróciła na niego swe jasne oczy, niby więzień bezgłośnie błagający o odroczenie egzekucji. Powoli rozprostowała dłonie i wyciągnęła je ku niemu.

Jęknął. Środek każdej dłoni przecinały brzydkie blizny, ta na lewej wciąż zaogniona. Skóra Tallii była jak delikatny pergamin, cienka i niemal przezroczysta, z wyjątkiem straszliwych cięć.

Dotknął ich delikatnie wilgotną myjką, pozwalając wodzie zmiękczać strupy i nabrzmiałe ropą pęcherze.

--Trzeba się nimi zająć, Tallio! Skąd je masz?

Podniósł wzrok i ujrzał na jej bladych policzkach cień rumieńca. Rozchyliła wargi. Zamknął oczy i pochylił się ku niej, poczuł jej zapach, suchą woń zboża tuż przed żniwami i szczypty kadzidla tak ulotną, że zdawała się przed nim uciekać. Ich wargi się nie zetknęły.

Jęknęła, a on otworzył oczy i stwierdził, że cofnęła się przed nim i z dłonią wciąż w jego uścisku zaczęła płakać.

--Na litość boską! Błagam! Wybacz mi! -- Musiał być potworem, żeby tak się narzucać. Ale nie mógł się zmusić, by ją puścić. Nie patrząc jej w twarz, oczyścił jej dłonie, cierpliwie moczając blizny i usuwając z nich ropę. Kiedy skończył, wrzucił brudną myjkę do misy.

Nadal płakała.

--Boli cię. Przepraszam -- wykrztusił. Nie mógł znieść jej bólu.

--Nie, nie -- wyszeptala tak jak kobieta, którą zgwałcono i która zmuszona jest przebaczyć swemu oprawcy. -- Ból nic nie znaczy. Nie naszą rzeczą jest opatrywanie ran, które zadała nam łaska boska.

--Co ty mówisz?

Jej policzki wciąż płonęły rumieńcem.

--Nie mogę o tym mówić. Gdyby ludzie myśleli, że Bóg mnie wybrał, to byłaby pycha, bo nie jestem lepsza od innych naczyń.

--Sądziysz, że to znak od Boga...? -- Urwał, zrozumiawszy sens jej słów. -- To ślady obdzierania ze skóry, prawda?

--Wiesz o poświęceniu i zbawieniu błogosławionego Daisana? -- zapytała gorliwie, pochylając się ku niemu. -- Oczywiście, musisz wiedzieć! Dane ci było iść u boku fratra Agiusa, który objawił mi prawdę! -- Była tuż obok, jej oddech kładł mu się na policzku jak słodka mgła. -- Wierzysz w Odkupienie?

Nie ufał sobie na tyle, by oddychać. Jej spojrzenie wyrażało nieludzkie uwielbienie, puls

przyśpieszał jak szalony i wiedział, że nieświadomie odkryła przed nim drogę do swego serca. Ale musiałby skłamać.

--Nie -- wyszeptał. -- Frater Agius był dobrym człowiekiem, ale błędził. Nie wierzę w poświęcenie i odkupienie. Nie mogę cię okłamać, Tallio. -- Nawet jeśli oznaczałoby to, że się przed nim otworzy.

Wyrwała mu dłonie i złożyła je przed sobą, udając, że się modli.

--Błagam, lordzie Alainie -- rzekła w dłonie głosem tak cichym, że myszy harcujące pod podłogą robiły więcej hałasu. -- Błagam, zaprzysięgłam się Bogu jako czyste naczynie, oblubienica błogosławionego Daisana, Odkupiciela, który siedzi na tronie niebieskim obok swej matki, Tej, która jest Bogiem, Miłosierdziem i Sądem, Tej, której oddech uczynił Święte Słowo. Błagam, nie kalaj mnie na ziemi dla nędznego ziemskiego zysku.

--Ale ja cię kocham, Tallio! -- Mieć ją tak blisko! Jej dłonie przyciskały wyhaftowanego złotego jelenia, zakrywając jego rogi i głowę. Spod jej prawego nadgarstka wystawała para szczupłych tylnych nóg zwierzęcia, złocisty zad i zadarty ogonek. -- Bóg stworzył nas, byśmy byli mężem i żoną, wydali dzieci na świat!

Westchnęła, drżąc na całym ciele. Wspięła się na łóżko i położyła na plecach, kompletnie nieruchoma, z bezwładnymi ramionami po bokach.

--Więc czyń, co musisz -- wyszeptała tonem kobiety, którą czeka męczeńska śmierć.

Tego było zbyt wiele. Ukrył twarz w dłoniach.

Po długiej chwili, słysząc wciąż jej urywany oddech w oczekiwaniu brutalnego aktu, podniósł głowę.

--Nie tknę cię. -- Ledwo mógł wykrztusić te słowa. -- Dopóki nie przywykniesz do myśli o... Ale błagam cię, Tallio, spróbuj myśleć o mnie jako o swym mężu. Bo... musimy w końcu... hrabstwo potrzebuje dziedzica, a naszym obowiązkiem jest... O Boże, ja... ja... -- urwał. Tak bardzo jej pragnął.

Podniosła się i uklękła na łóżku, wyciągając dłonie.

--Wiedziałam, że frater Agius nie mógł się mylić, tak dobrze o tobie mówiąc.

Nie odważył się ująć jej dłoni. Rozbudziłby tylko uczucia, które starał się poskromić.

--Agius dobrze o mnie mówił? -- Zaskoczyło go, że Agius w ogóle o nim myślał.

--Chwalił cię. Zawsze więc będę w sercu nosić pochwały tego, komu Bóg zesłał męczeńską śmierć. Chodź -- poklepała łóżko obok siebie. -- Choć jestem naczyniem, przez które Bóg zesłał święte wizje, nie bój się leżeć obok. Wiem, że twe serce jest czyste.

Ułożyła się na swej połowie łoża tak skromnie, że wiedział, co będzie musiał wycierpieć, choć dla niej pewnie nie było to bolesne. Ale musiał robić to, co ją zadowoli, skoro miał zamiar nauczyć ją, by mu ufała -- i pokochała. Z grymasem niezadowolenia, położył się sztywno na plecach i zamknął oczy.

Jej oddech zwolnił, ucichł, zasnęła. Alain był zbyt obolały, by zasnąć, ale nie odważył się przewrócić na bok. Nie miał odwagi wstać z łóżka, by się rozprostować, z obawy że ją zbudzi. Gdyby ją zbudził, tak blisko siebie, gdyby otwarła oczy i ujrzała go, dotknęliby się, palce splotły się w odruchowym uścisku, usta zetknęły...

Takie myśli to prosta droga ku szaleństwu. Nie wiedział, jak je powstrzymać, nie mógł zrobić nic prócz oddychania, wdech i wydech, wdech i wydech. W komnacie obok skrzypnęła deska. W ścianach przemykały myszy i nieomal czuł ciepłość pająka, który, rozsnuwszy

ostatnie sploty w rogu komnaty, usadowił się, czekając na pierwszą ofiarę. Zapomniał o chlebie. Teraz, kiedy bochen stygl, jego słodki zapach wypełniał izbę i laskotał nozdrza Alaina. Tallia poruszyła się, mamrocząc przez sen. Jej palce otarły się o palce Alaina.

Nie mógł tego znieść.

Zsunął się z łóżka i położył na podłodze. Twarde drewno było bardziej przyjazne niż wyszukana miękkość pierza, i tutaj, chowając głowę w ramionach, zapadł w końcu w sen.

Przybył do fiordu Rikin pierwszy spośród synów Krwawego Serca -- tych, którzy przetrwali Gent -- i StaraMatka Rikin powitała go bez zdziwienia.

--Piąty Syn z Piątego Miotu. -- StaraMatka nigdy nie zapomina zapachu żadnego ślepego, głodnego szczenięcia, które wypelza z jej gniazd. Ale kiedy rozpocznie się bitwa, stanie z boku, jak wszystkie StareMatki. Nie obchodzi jej, który z synów poprowadzi oddziały na wojnę teraz, po śmierci Krwawego Serca, ale jedynie najsilniejszy zwycięży. Ale MądreMatki wiedzą, że największa siła tkwi w mądrości.

Teraz czeka w ukryciu Lekkiego Wodospadu, którego lodowate wody spływają przez najeżoną skałę w błękitne odmęty fiordu, gdzie spokój triumfuje nad ruchem, czeka, patrząc, jak sześć okrętów okrąża przylądek i zbliża się do plaży. Za nimi, w głębinie migoce ogon, uderza, znika. Trytony wypłynęły; ich magia wyczuwa jeszcze nie rozlaną krew i zbierają się teraz, czekając na żer. Jak na razie z Gentu i południowych ziem wróciło osiemnaście okrętów. Dziś, gdy nocne słońce znajdzie się najniżej, StaraMatka rozpocznie swój taniec.

Czy zbudował wystarczająco dużo pułapek? Czy poczyniono odpowiednie przygotowania?

To słabość jego braci: uważają, że siła i agresja są wszystkim. On wie lepiej.

Przytrzymuje łokciem małą drewnianą skrzynkę, którą wykopał u podnóża wodospadu, i ześlizguje się z grani. Woda ochlapuje go i spływa z jego skóry na mech i mokre kamienie, gdy wspina się na szczyt klifu. Tam czeka niespokojny kapłan. Głośno zawodzi, widząc skrzynkę.

--I tak bym ją w końcu znalazł -- mówi Piąty Syn, ale nie dlatego, że chęłpi się tym. Po prostu stwierdza fakt. Chęłpliwość to strata czasu. Nie otwiera skrzyneczki. Nie potrzebuje. Obaj wiedzą, co jest w środku, owinięte zaklęciami i puchem. -- Rozleniwileś się, stary. Twa magia nie zatriumfuje nad sprytem.

--Czego chcesz? -- jęczy kapłan. -- Chcesz mocy iluzji, którą skradł mi Krwawe Serce? Swego serca skrytego we fjallu, by cię nie dosięgła śmierć podczas bitwy?

--Moje serce zostanie, gdzie jest. Nie chcę też twoich iluzji. Chcę odporności.

--Na śmierć? -- skrzeczy kapłan.

--Na twą magię. I na magię Miękkich. Dla mnie i dla armii, którą zamierzam zebrać. Kiedy będę ją miał, z resztą sobie poradzę.

--Niemożliwe! -- wyrzuca z siebie kapłan.

--Być może, jeśli będziesz pracował sam. -- Kapłani strzegą swych tajemnych sztuk nawet przed Starymi Matkami, jeśli to możliwe. -- Ale są inni tobie podobni. Razem na pewno potraficie stworzyć magię, którą można wykorzystać w praktyce. A kiedy zwyciężę, będziesz miał udział w łupach.

Śmiech kapłana przypomina świst wiatru między skałami.

--Skąd wiesz, że ja i mnie podobni chcemy łupów? Co nam z nich przyjdzie?

--Więc czego chcesz ty i tobie podobni?

Kapłan pochyla się. Drżącymi rękami sięga po skrzynkę, ale Piąty Syn po prostu ją odsuwa.

Nie lęka się kapłana; jego magia jest głównie na pokaz, ale on wie, że bystrzejszy umysł mógłby i za jej pomocą rozpętać piekło.

Nie ufa magii.

--Wolności od StarychMatek -- szepcze kapłan ochryple.

Piąty Syn wzdycha, usatysfakcjonowany i zaskoczony odpowiedzią. Klejnoty wprawione w zęby lśnią, kiedy je wyszczerza.

--Mogę ci to dać pod warunkiem, że od ciebie i tobie podobnych dostanę to, czego chcę.

--Ale jak mam ich przekonać?

--To już twój problem.

Zostawia starego kapłana i biegnie. Oczywiście, kapłan będzie szukał i używał magii, przywołując swe ukryte serce. Ale inne magie też znają moc ukrywania. Zanim pójdzie do chaty StarychMatek na spotkanie z innymi, zabiera skrzynkę do domostw swych ludzkich niewolników i tam oddaje ją pod opiekę Ursuliny, która jest StaraMatka wśród Miękkich. Zapewniła go, że bóg z kręgu ma magię równie silną jak kapłani SkalnychDzieci -- to będzie sprawdzian magii jej boga. A poza tym żadne SkalneDziecko nie pomyśli nawet, że mógł zwykłej, słabej niewolnicy powierzyć coś tak cennego i posiadającego taką moc.

Jest ciekawa, ale nie głupia. Zabiera od niego skrzynkę i nie próbując nawet zajrzeć do środka -- bo powiedział jej, co się w niej znajduje -- wkłada ją do przykrytego kocem pudła, które nazywa świętym Paleniskiem ich boga. Potem kładzie na ołtarzu pokruszone ziola, pęknięty dzban i twardo ciosany krąg i odśpiewuje zaklęcie, które nazywa psalmem.

--A nasza umowa? -- pyta odważnie. Już się go nie boi, ponieważ widziała, że zabija szybko, a ona nie lęka się śmierci. To w niej podziwiała. Podobnie jak MądreMatki, rozumie nieodwracalność przeznaczenia.

--Nasza umowa -- odpowiada. Ona chce symbolu. Miękcy już tacy są, potrzebują rzeczy, by je ze sobą nosić, przedmiotów, których mogą dotknąć, by dotrzymać słowa. Dotyka drewnianego krążka, wiszącego na szyi, daru od Alaina Henrisona. -- Przysięgam na moją więź z tym, który obdarzył mnie wolnością, że dam ci, czego pragniesz, jeśli zadbasz o tę skrzynkę, dopóki nie będę jej potrzebował. Zrób to, a dotrzymam umowy, jeśli zostanę wodzem. Jeśli nie, umrę, a wy razem ze mną.

Śmieje się, ale on zna już Miękkich na tyle, by wiedzieć, że śmiech nie jest obelgą, tylko komplementem.

--Jesteś inny niż pozostali. Niech Bóg błogosławi litościwego i sprawiedliwego. Poprowadzą cię do zwycięstwa.

--Taką masz nadzieję -- przytakuje.

Opuszcza jej chatkę, gwizdem przywołuje psy i idzie długą doliną do StarejMatki. Droga za nim i przed nim jest cicha; tylko kilku niewolników jęczy i skrzeczy w kojcach, durne bydłeta, zamknięte, dopóki nie skończą się wydarzenia następnej ręki dni. Jego niewolnicy, swobodni, pracują -- albo chowają się w pewnych miejscach według jego planu. Bardzo im zaufał, ale wiedzą, że jeśli jemu się nie powiedzie, zginą z rąk zwycięzcy.

Podnosi się buczenie StarejMatki, niski grzmot, który wyściela strome stoki doliny tak jak połać świerków, sosen, kępy jałowca i wrzosu; jej pieśń sprawia, że mech szybciej rośnie na kamieniach, układając się we wzór, który tylko SzybkieCórki potrafią odczytać. Wchodzi na miejsce tańca sam, nie licząc psów.

Bracia wyją z pogardą na jego widok.

--SłabyBracie, chcesz pierwszy obnażyć gardło?

--Tchórz! Gdzie byłeś, kiedy rozpoczęła się bitwa w Gencie?

--Jakie skarby dałeś Krwawemu Sercu, pozbawiony języka?

Chcą go rozdrażnić swoim wyciem. Ich oddziały zbijają się w grupy, przekrzykują -- jakby głośność oznaczała siłę. Nakazał swym żołnierzom milczenie i tak czynią. On też się nie odzywa, kiedy StaraMatka wyciąga z pochwy na biodrze nóż decyzji i jego czubkiem wskazuje ogniste słońce, przesuwanające się nisko wzdłuż południowej grani. Gestem cięcia kończy ich zgiełk i swoje buczenie.

Sześciu synów Krwawego Serca podchodzi do środka miejsca tańca i kiedy on zbliża się ostatni, jest ich siedmiu. Reszta SkalnychDzieci postanowiła nie brać udziału, tylko obnażyć gardła przed zwycięzcą. Bez wątplenia ci, którzy wybrali poddanie, okazali mądrość, wiedząc, jak są słabi.

Siedmiu uczestników odwraca się do siebie plecami i klęka. SzybkieCórki przesuwanają się nad ziemią i tworzą osnowę pieśni, łącząc dłonie; złote, srebrne, miedziane, ołowiane i żelazne włosy lśnią, kiedy one zaczynają się kołysać i nucić.

Na polanie cisza przerywana jest jedynie tym nuceniem. Nawet psy nie szczekają. W oddali niemal słyszy, jak MądreMatki odczytują tę ciszę jako mowę, skupiając swą uwagę na chwili śmiertelnych.

Czy wiedzą, jak ważki będzie ten dzień? Jeden dzień, który SzybkieCórki wplotą w swą pieśń historii? Czy wyśmiewają jego ambicję?

Niedługo się dowie.

Ciężkie kroki StarejMatki dudnią w ziemi pod jego kolanami. Tylko ona ocenia zasługi uczestników. SzybkieCórki rozstępują się przed nią. On i jego bracia skłaniają głowy.

Okrąża ich powoli. Nagle słychać jęk, pojawia się miedziana plama krwi i łomot, gdy pada jeden z synów Krwawego Serca. Jego krew wsiąka w ziemię miejsca tańca. Psy warczą, kilka szczeka: są uciszane albo zabijane.

Czuje, jak nóż decyzji głaszcze jego głowę, gardło i zatrzymuje się na pasie lśniącego złota, który nosi na biodrach; pasie utkanym z włosów SzybkiejCórki Hakonin.

A potem się cofa. Zostaje sześciu synów.

SzybkieCórki kołyszą się w przód i w tył, równo, i zaczynają długą pieśń -- historię plemienia Rikin. Opowiadanie zajmie trzy dni, a gdy skończą, tylko jeden z synów Krwawego Serca zostanie na przesiąkniętej krwią ziemi i ogłosi zwycięstwo.

Krąg się rozpada. On zrywa się, wiedząc, że nie może zostać złapany przez któregoś z pięciu i zmuszony do ostrej walki: górują nad nim, są więksi, zaprawieni w bojach i silniejsi.

Ale on posiada inną siłę.

Za jego plecami psy i wojownicy wyją, szczekają i wrzeszczą, a on gna do fjallu, gdzie czeka pierwsza z jego pułapek.

Alaina obudziło wściekle szczekanie, psy Eików oszalały...

Ale to nie były psy Eików. Pod drzwiami szczekała Furia i słyszał resztę sfory, wyjąca i ujadająca w komnatach Lavastine'a.

Zerwał się i narzucił tunikę na koszulę. Nie kłopotując się nogawicami, szarpnął drzwi. Usłyszał wołanie Tallii, ale ruszył biegiem do kwatery Lavastine'a.

Służący rozstapili się przed nim. Nie wazyli się podejść zbyt blisko. Jeden został pogryziony, jego ramię krwawiło. Alain wstąpił w szalejący wir psów, które biegały wokół komnaty niby szczeniaki goniący swój ogon; tylko stara Groza stała, opierając przednie łapy na parapecie okiennym i warcząc złowrogo. Alain wyjrzał przez okno, ale dostrzegł tylko zdenerwowanych służących i kilku ciekawskich gapiów, którzy przystanęli, żeby przyjrzeć się zamieszaniu. Wiatr szumiał w kwitnących krzakach, rosnących tuż obok. Jakiś gryzoń -- lub niewidoczny ptak -- zaszeleścił wśród liści, a Strach, Smutek i Furia wyprysnęły z komnaty i rzuciły się wzdłuż długiego budynku. Ludzie schodzili im z drogi.

--Spokój -- zawołał Alain, wychylając się przez okno, gdy psy zatrzymały się po drugiej stronie. Obwąchiwały krzak. -- Siad. -- Posłuchały komendy, ale nadal cicho warczały na wiatr i liście. W komnacie ujadanie cichło, aż umilkło zupełnie, a nagle cisza dzwoniła w uszach. Odwrócił się i ujrzał Lavastine'a, na wpół odzianego, siedzącego na łóżku i badającego łapę Mocarza. Pies zaskomlał, gdy mężczyzna rozsunął poduszki łap i marszcząc czoło, oglądał bolące miejsce.

Alain podszedł do niego, ukląkł i położył rękę na boku Mocarza. Pies miał suchy nos i oddychał z trudem.

--Ukaszony -- rzekł Lavastine. -- Ale nie wiem przez co.

Alain usiadł na łóżku i obejrzał łapę. Pies klapnął zębami, gdy chłopak go badał, ale zbyt dobrze go znał, żeby ugryźć. Alain najpierw poczuł, jak gorąca była psia łapa; pomiędzy dwiema poduszczkami dostrzegł pęcherz. Wreszcie znalazł ranę, dwa małe, czerwone nakłucia.

--Czy ugryzł go wąż?

Lavastine wstał i podszedł do służącego, który szybko opuścił komnatę.

--Porozmawiamy z głównym stajennym. -- Hrabia ruszył do okna i stanął tam, milcząc i opierając dłoń na wielkim łbie Grozy.

Alain przerzucił nogę ponad Mocarzem, by go przytrzymać, przeciął poduszczkę łapy nożem i wyssał tyle trucizny, ile zdołał, jeśli rzeczywiście psa ukąsiło jakieś jadowite zwierzę, po czym wypluł wszystko na podłogę. Psia krew miała kwaśny, metaliczny posmak i natychmiast krzepła, nawet nie wypływała z rany, tylko się sączyła. Podsunął psu wodę w misce, ale nie chciał pić.

Lavastine cofnął się od okna i dał znak służącemu, by pomógł mu się ubrać. Inny wyszedł, by przynieść odzienie Alaina. Lavastine usiadł obok Alaina na łóżku. Popatrzył na Mocarza i pogładził go po głowie, a pies leżał bez ruchu, drżąc i dysząc ciężko.

--Czas, byśmy wrócili do Lavas -- powiedział. -- Skoro dostaliśmy to, po co przybyliśmy. Poproszę kleryczkę, by ustaliła dzień sprzyjający długim podróżom, i tego dnia opuścimy króla i pojedziemy na zachód.

--Ojcie. -- Alain urwał. Jego rumieniec był równie gorący jak zainfekowana psia łapa. Uniósł wzrok, zobaczył służących zajętych swoimi obowiązkami: nalewaniem wody, zamiataniem stopni. -- Ja nie... myśmy nie... -- Nie mógł mówić dalej, ale nie umiał też okłamać ojca.

Lavastine uniósł jasną brew.

--Właśnie opuściła klasztor. Nic dziwnego, że ma pewne opory. -- Groza wróciła spod okna i usiadła sztywno przy hrabim, strzegąc go. -- A jednak -- ciągnął. -- Najlepszą rzeczą dla

kobiety jest jak najszybciej zająć w ciążę, by zapewnić sobie dziedzica.

Sama myśl o Tallii, bladej i kruchej, na łożu u jego boku, sprawiła, że Alain się zaczerwienił i znów poczuł ból ostatniej nocy.

--Ale to byłoby... -- zniżył głos do szeptu, bo nie chciał, żeby ktokolwiek, nawet służący, słyszeli jego słowa --...kłamstwo wymieniać poranne podarki.

Lavastine pomasażował łapę Mocarza. Był niezwykle skupiony, wpatrując się w psią łapę.

--Być może. Ale ja okłamałem cię w bitwie o Gent, nie zdradzając mych intencji.

Musiałem, wiedząc, że możesz w snach ujrzeć księcia Eików, a on prawdopodobnie widzi ciebie. Inni zazdroszczą nam tego, co zdobyliśmy. Jeśli dasz im powód, żeby sądzili, że małżeństwo nie zostało skonsumowane, mogą zacząć szeptać, że jest nieważne, choć pobłogosławiła je biskupina, a król wyraził zgodę. Nie możemy włożyć im do ręki broni, którą nas uderzą. -- W izbie pozostał tylko jeden służący, reszta wycofała się, jak zwykle doskonale wyczuwając nastrój hrabiego. Lavastine spojrział na mężczyznę, skinął głową, jakby chwając go, i spojrział Alainowi prosto w oczy. -- I dlatego wymieńcie poranne podarki. Ona jest kobietą i nawet jeśli teraz powstrzymuje ją nieśmiałość, kobiety pragną przede wszystkim dziedzica swych ziem i tytułów.

Alain nie był tego taki pewien, ale posłusznie skinął głową i jakby ten gest ją przywołał. Pod drzwiami rozległy się głosy i Tallia wkroczyła do komnaty, zatrzymała się i przytuliła do ściany, umykając przed psami.

Lavastine wstał, rzucając Alainowi spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „I oto ona”.

Za nią śpieszył służący Alaina i Tallia zakryła oczy ręką, gdy Alain, układając Mocarza wygodnie na łóżku, wstał, żeby się odziać. Kiedy już go ubrano, przekonał Tallię, aby podeszła do łóżka i usiadła obok psa. Kiedy zrozumiała, że potężny ogar był zbyt słaby, by się na nią rzucić, siadła ostrożnie, ściskając dłoń Alaina.

Ufała mu. Przynajmniej tyle udało mu się osiągnąć.

Lavastine uśmiechnął się lekko, zakładając dłonie za plecami i skinął na służących, żeby przynieśli poranny podarek, który Alain wręczy swej oblubienicy. Alain czekał niecierpliwie, niemal płonął od niewinnego uścisku dłoni Tallii, przerażony, że dziewczyna uzna podarek, który dla niej wybrał, za nieodpowiedni. Jako człowiek o niższej pozycji nie miał prawa dać jej prezentu lepszego niż ona jemu. Zresztą i tak nie mógł tego uczynić, gdyż Henryk, jako część posagu, nadał Lavas bogate ziemie. Ale dziedzic hrabiów Lavas nie mógł też sobie pozwolić, by możni z dworu królewskiego uznali go za biedaka.

Wiele osób zgromadziło się przed komnatą, by przyglądać się obdarowywaniu. Kiedy zjawił się król, Alain przekonał Tallię, żeby wstała, i ruszyli na spotkanie monarchy.

Alain starał się nie słyszeć sprośnych i nieprzyzwoitych uwag, którymi ich powitano. Tallia niemal całą twarz zakryła szalem i przywarła do Alaina, co wywołało salwy śmiechu i jeszcze głośniejsze komentarze; uznano to za znak tej transakcji, która zeszłej nocy nie została zawarta.

Henryk szczerze dysponował ziemiami swej zhańbionej siostry Sabelli: wraz z posiadłościami, które wczoraj zostały wymienione jako posag Tallii, podarowane włości podwoiły wielkość Lavas. Na twarzy Lavastine'a gościł słaby uśmiech, jedyny znak triumfu, na jaki sobie pozwolił. Henryk dał znak, a jego służący przynieśli dwie skrzynie: były tam jedwabie, wspaniała, podbita futrem peleryna, srebrny półmisek i złote kubki, piękne habity dla

kleryczek, bogate ubrania dla Alaina i Tallii oraz brązowe obroże dla psów, ozdobione skaczącymi jeleniami i ogarami.

Tłum mruczał, doceniając szczodrość Henryka.

Lavastine nie zamierzał być lepszy od króla. Jego służący przynieśli skrzynie pełne ubrań, w które szlachcianka z królewskiego rodu mogła odziać swe służące, srebrne i złote naczynia dla jej kleryków i pięknie rzeźbioną małą skrzynkę, zawierającą tyle monet, że starczyłoby ich dla całej armii żebraków. Wreszcie sam Alain dał jej maleńki relikwiarz z kości słoniowej -- wykładany klejnotami, otwierany delikatnym srebrnym kluczykiem i zawierający proch z szala świętej uczennicy, świętej Joanny Wątpiącej -- wykonany specjalnie na jego zlecenie -- oraz doskonałą replikę róży z drogich kamieni.

Tallia rozplakała się nad relikwią i pocałowała płatki drogocennej róży. Oddała relikwiarz w ręce Hathumod, młodej kobiety, która wraz z nią przybyła z Quedlinhamu. Lavastine z aprobatą skinął głową, ale Alaina zmartwiła reakcja Tallii. Chciał, żeby róża symbolizowała Różę Uzdrawiania -- łaskę ozdrowienia, zsyłaną każdej duszy dzięki boskiemu miłosierdziu -- ale teraz obawiał się, że ujrzała w niej jedynie symbol swych heretyckich wierzeń, różę wyrosłą z krwi błogosławionego Daisana.

Kiedy jednak dziękowała mu tak szczerze, a w jej oczach nie czaiło się żadne wspomnienie nieudanej nocy, jego serce znów zalała nadzieja -- a w pewnym miejscu pojawiło się nieznośne napięcie. Musiał być cierpliwy.

Tłum zaczął się rozchodzić. Królewski sługa oznajmił, że król wyznaczył audiencję po tercji, w wielkim ogrodzie pod gołym niebem. Lavastine umknął do komnaty; Alain poszedł w jego ślady, a Tallia podążyła za nim, jakby nie chciała go opuszczać -- albo nie miała dokąd pójść.

Moczar nadal leżał na łóżku, skomląc cicho. Alain podszedł, by go pocieszyć. Pies uciszył się, gdy go dotknął. Lavastine pociągnął Tallię ku oknu i bardzo się starał podtrzymać konwersację. Alain spojrzał na służącego.

--Christofie, zeszłej nocy do pałacu przybyła Orlica zwana Liathano. Poślij po nią.

Służący źle ukrył zdziwienie. Był to mężczyzna jowialny i, jak Alain przypomniał sobie poniewczasie, straszliwy plotkarz.

--Wiem, o kim mówicie, mój panie -- odrzekł posłusznie, jednak rzucił okiem na hrabiego Lavastine'a, zanim wyszedł.

Wrócił wraz z Liath. Kiedy tylko przekroczyła próg, ogary poczęły piszczeć i warczeć, cofając się i otaczając Lavastine'a niby przerażone szczenięta. Moczar próbował wepchnąć głowę pod biodro Alaina.

--Spokój! -- powiedział Lavastine ostro. Przysiadły nerwowo u jego stóp. -- Alainie?

--Wasza Wysokość -- powiedziała Liath, widząc Tallię. Choć najwyraźniej zaskoczona, nie zapomniała o formalnościach. -- Panie hrabio. Lordzie Alainie, przyszedłam, jak żądaliście.

--Alainie? -- powtórzył Lavastine. Trzymał dłoń na łbie Grozy, ale nie spuszczał z Liath czujnego spojrzenia. -- Co to znaczy?

Alain nie mógł wstać, przygnieciony przez psa, poza tym on był lordem, a ona zwykłym Orłem, nie zaś osobą, którą mógł publicznie traktować jak równą sobie mimo zażyłości, która ich kiedyś łączyła. Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć, ponieważ ujrzał nie znany wyraz twarzy Tallii: czyżby była zazdrosna? Czy też to tylko jego niespełnione nadzieje?

--Pamiętam, jak ta Orlica służyła nam pod Gentem -- rzekł wreszcie stanowczo, ponieważ wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. -- I mam zamiar ją obdarować, wdzięczny za czyny, których dokonała.

Lavastine ruszył ku nim, ale przystanął, ponieważ Groza kłapnęła zębami, ujęła w wielką paszczę dłoń swego pana i próbowała pociągnąć go w tył, warcząc cicho. Hrabia niecierpliwie wyrwał dłoń.

--Rozwiązanie -- wyszeptał tak cicho, że chyba tylko Alain go usłyszał i wciąż wpatrywał się w Liath jak mężczyzna wpatruje się w kobietę, z którą, co właśnie odkrył, łączy go głębokie pokrewieństwo ciała lub ducha.

--Resuelto -- rzekł, spoglądając na służących.

--Szary wałach? -- powtórzyli, zaskoczeni, że ich pan oddaje swego drugiego najlepszego rumaka zwykłemu Orłowi.

--Siodło i ogłowie z Asseldy -- dodał. -- Sznur. I sakwy. I dobry skórzany pas wykonany przez mistrza Hosela, ten ozdobiony salamandrami, aby, jak mówią Święte Wersy, „jeśli idziesz przez ogień, ogień cię nie tknął”.

--Ja też mam dla niej podarek -- powiedział Alain pośpiesznie, chcąc odwrócić uwagę od hrabiego, który chyba miał zamiar uzbroić ją jak swoją krewną. -- Kolczan strzał i... -- Chciał jej coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie mógł tego zrobić przy świadkach. Jego wzrok spoczął na jednym z pierścieni, które nosił, złotej obrączce inkrustowanej lśniącem błękitnym kamieniem. Zdjął go. -- Niech ten pierścień z lapis-lazuli chroni cię od zła -- powiedział, wręczając go Liath. -- Wiedz, że znajdziesz tu schronienie, gdybyś go potrzebowała.

--Dziękuję wam, panie hrabio, lordzie Alainie. -- Jednak jej wzrok wyrażał znacznie więcej. Wyczytał w nim wdzięczność, ale wiedział też, że wciąż się lęka, obawia jakiegoś wydarzenia, które musi nastąpić. Czyżby lord Hugo nadal ją prześladował? Nie mógł zapytać i gdy się nad tym zastanawiał, do komnaty wszedł służący.

--Wybaczcie, panie hrabio -- rzekł do Lavastine'a. -- Na zewnątrz czeka Orzeł, jej towarzyszkę pilnie wzywa król.

Rzuciła Alainowi tylko jedno spojrzenie. I odeszła. Gdy opuściła komnatę, psy wstały niepewnie i otrząsnęły się.

--Panie hrabio, przyszedłem na wasze wezwanie. -- Na progu pojawił się stajenny i Lavastine nakazał mu wejść, choć mężczyzna spoglądał nerwowo na psy. Wciąż otępiałe, warknęły jednak cicho, ale dały mu spokój.

--Chodź, synu. -- Hrabia poklepał Mocarza po głowie i wstał, biorąc rękawice i oszczep. -- Musimy pójść do króla. -- Alain się zawahał. -- Zrobię, co w mojej mocy, by pomóc dziewczynie -- dodał Lavastine szeptem.

--Więc proszę cię, ojcze, pozwól mi zostać z Mocarzem.

Lavastine popatrzył na Tallię, która nadal stała przy oknie, szybko skinął głową i wyszedł.

--Ta kobieta dziwnie wygląda -- rzekła Tallia. -- Pamiętam, że już ją widziałam, gdy jechaliśmy do Quedlinhamu.

--Walczyła u naszego boku w Gencie.

--Wobec tego ty i twój ojciec wspaniale ją wynagrodziliście. Ludzie będą mówić o waszej szczodrości i uznają cię za pobożnego.

I tak oto został łagodnie napomniany za to krótkie pragnienie, by zazdrość ukluła ją do

krwi, i tak, krwawiąc, padła w jego ramiona. Będzie musiał ją zdobyć szlachetniejszym sposobem. Mocarz przytulił pysk do brzucha Alaina i zaskomlał, a on pogładził go po głowie i podrapał za uszami, pocieszając, jak mógł, chociaż wiedział, że sama jego obecność sprawiała psu ulgę.

--Biedna cierpiąca dusza -- mruknęła Tallia. -- Będę się modlić do Boga o uleczenie. -- Uklękła, skłoniła głowę i natychmiast pogрузzyła się w modlitwie.

Kilku młodych szlachciców właśnie pojawiło się w drzwiach, przyszli, by dowiedzieć się o zdrowie psa. Wszyscy mieli ukochane ogary i Alaina głęboko wzruszyła ich troska. I choć prosili, by Alain dołączył do nich w czasie polowania na węże, nie zrobił tego. Nie mógł opuścić Mocarza na cały ten długi, mglisty poranek, gdy pies walczył o oddech, a jego łapa powoli zamieniała się w kamień.

4.

Sanglant obudził się późno, obolały i zeszywniały. Po dwudziestu dziewięciu nocach spędzonych w drugim najlepszym łóżku na królewskim dworze, jego ciało przyzwyczało się do wygody. Teraz, podnosząc się z ziemi, czuł każdy mięsień, ale nie przejmował się tym. Ból wolności łatwiej znieść niż ból niewoli.

--Książę panie! -- wyszeptał jeden z Lwów pośpiesznie.

Usłyszał, że nadchodzą wąską ścieżką prowadzącą ze szczytu urwiska ku plaży poniżej: król i jego niewielki orszak.

--Książę Sanglancie. -- Lew miał szopę rudych włosów i brakowało mu kawałka lewego ucha: koniuszek został ucięty i zaleczył się w białą bliznę. -- Jeśli możemy... wasze odzienie...

Dopiero teraz spojrział na siebie i stwierdził, że wygląda okropnie: tunika przekrzywiła się i była umazana błotem; pas leżał u jego stóp niby śpiący wąż, kompletnie poplątany. Dwa Lwy wystąpiły -- czuł ich strach -- i doprowadziły go do porządku. Gdy pojawił się jego ojciec, wymijając leżące glazy, które zagradzały do połowy ostatni zakręt na ścieżce, prezentował się odpowiednio.

Henryk osłonił oczy dłonią.

--Sanglancie. -- Sanglant ukląkł posłusznie. Dłoń Henryka, która spoczęła na jego włosach, była nieprzyjemnie ciężka. -- Nie wróciłeś wczorajszej nocy.

--Spałem na zewnątrz.

Henryk cofnął dłoń. Sanglant podniósł wzrok i ujrzał, jak król daje znak pozostałym i wszyscy, razem z oddziałem Lwów, wycofali się poza zasięg słuchu.

--Musimy porozmawiać, synu, zanim odbędzie się poranna audiencja. Przejdźmy się.

Sanglant wstał. Choć pół głowy wyższy od króla, nigdy nie miał wrażenia, że różni się wzrostem; Henryk zbyt dobrze używał swej potęgi.

--Jesteś niespokojny -- zauważył Henryk, gdy ruszyli wzdłuż rzeki, oddalając się od orszaku złożonego z sześciu Lwów strzegących Sanglanta w nocy, czterech służących, margrabiego Villama i siostry Rosvity. -- Słyszałeś wieści przyniesione wczorajszego wieczoru: władcy Aosty nie żyją. Pozostała jedna dziedziczka, księżniczka Adelheida.

Sanglant wruszył ramionami. Nie słyszał wieści; kiedy tylko Liath weszła do sali, wszystko inne zamieniło się w szum bez znaczenia. Poruszała się w charakterystyczny sposób, jak ktoś, kto przemierzył na piechotę wiele lig i nie męczył się marszem, w odróżnieniu od kobiet i mężczyzn przywykłych do jazdy konnej. Na jej plecach swobodnie wisiał kołczan; przywykła do jego wagi i czuła się z nim dobrze. Jej warkocz miał niebezpieczny zwyczaj kołysać się, gdy szła, przez co przyciągał wzrok ku zaokrągleniu bioder. Spojrzała na niego przez ramię. A potem, gdy wyszedł za nią, pocałowała go, mimo jego zmieszanego wyznania, po którym każda inna kobieta by go wyśmiała. Bez wątplenia ten pocałunek -- który tak go wytrącił z równowagi -- ujawnił pragnienie jej serca.

--Sanglant! Nie słuchasz.

Przez chwilę przypominał sobie, gdzie był. Pochylił się, podniósł długą gałąź i złamał ją na pół, a połówki jeszcze raz na pół. Tylko w taki sposób mógł powstrzymać myśli od wędrowania ku niej.

--Poprowadzisz moją armię do Aosty. Tam osadzisz panią Adelheidę na tronie królewskim i poślubisz ją. Kiedy już tego dokonasz, wspierany moją potęgą, aostańscy książęta nie

zakwestionują ogłoszenia cię królem. Będziesz rządzić u boku Adelheidy, równy jej. Nikt nie wątpi, że wart jesteś tronu Aosty, który równie często brano siłą, co dziedziczono. To właśnie wolą aostańscy książęta: aby ich królowe były słabe i polegały na ich sile. Kiedy już zdobędziesz Aostę, będziesz miał żonę z królewskiego rodu i dziecko, które udowodni twą płodność, będę mógł cię ogłosić również mym następcą w Wendarze i Varre. Kto nam wtedy rzuci wyzwanie, skoro nagrodą jest odrodzenie Świętego Imperium Dariyańskiego? Imperium nareszcie leży w naszym zasięgu. Z tobą na tronie Aosty mogę pomaszerować na południe i zostać koronowany na cesarza, z tobą jako mym sukcesorem i dziedzicem.

Polamana gałąź leżała u stóp Sanglanta. Nad nimi kołował jastrząb, kierując się w górę rzeki. Rzeka płynęła spokojnie za jego plecami; niemal słyszał, jak pojedyncze ziarna piasku wymywane są z brzegu i niesione z prądem, schwytane przez potężny nurt, który zabierze je ze sobą do morza. Nagle poczuł się zmęczony. Henryk, podobnie jak rzeka, był siłą nie do zatrzymania.

--Liath -- wyszeptał. Tylko to słowo potrafił wyrzec.

Henryk stęknął jak człowiek przygotowany na cios, który właśnie spadł.

--Villam mnie ostrzegal -- mruknął. -- Przysięgam, Wilkun ją przysłał, by mnie gnębić, a ciebie zniszczyć.

Henryk ze zmarszczonym czołem spoglądał na rzekę, a Sanglant przyglądał mu się, przyłapanemu, kiedy nie musiał roztaczać wokół siebie tej siły, którą każdy panujący otula się niczym płaszczem. Władca bez niej nie jest władcą. Henryk miał ostro zarysowany profil, często jego twarz wyrażała zaciętość, był pełen godności, co harmonizowało z odpowiedzialnością, jaką nałożył na niego Bóg. W jego włosach było równie dużo siwizny, co brązu, a równo przycięta broda również poznaczona była siwizną. Sanglant dotknął własnego, bezwłosego podbródka i ten ruch na nowo skupił na nim uwagę Henryka.

--Doskonale. -- Henryk, choć próbował, nie potrafił ukryć irytacji. -- Jeśli musisz, weź ją jako konkubinę. Nie będziesz pierwszym mężczyzną -- czy kobietą -- który tak uczynił. Imperator Taillefer znany był z tego, że w przerwach między żonami brał konkubiny. Ale...

--Nie chcę żenić się z księżniczką Adelheidą. Zamierzam poślubić Liath.

Henryk roześmiał się, jakby Sanglant powiedział żart.

--Kobietę z ludu?

--Rodzina jej ojca posiada majątek w Bodfeldzie.

--Bodfeld? -- Henryk miał doskonałą pamięć, uczynił z niej teraz użytek. -- Pani na Bodfeldzie przysyła tylko dwudziestu zaciężnych. Taka rodzina nie powinna oczekiwać związku z mężczyzną twojej pozycji, a poza tym nie wiadomo, czy dziewczyna została zrodzona z prawego łoża.

--Tym lepiej -- odparł Sanglant sarkastycznie -- dla kogoś takiego jak ja. Dlaczego nie próbujesz mnie zrozumieć? Nie chcę być królem, którego książęta gryzą po piętach i czekają, aż upadnie, by mu rozerwać gardło. Znosiłem to przez rok. Chcę swojej ziemi, Liath za żonę i spokoju.

--Spokoju! Jaki mężczyzna lub kobieta z królewskiego rodu może pragnąć spokoju, gdy Eikowie gnębią nasze północne brzegi, a Qumanowie najeżdżają ze wschodu? Od kiedy to książęta pozwalali nam napawać się spokojem? Nawet najpośledniejsza dama z małym majątkiem i tuzinem sług musi odpiierać ataki bandytów i zakusy swych ambitnych sąsiadów.

Jeśli żyjemy zgodnie z naukami błogosławionego Daisana, to możemy oczekiwać spokoju, gdy nasza dusza wstąpi do Komnaty Światła. Nie wcześniej.

Henryk podszedł do brzegu rzeki, gdzie woda opływała skupisko kamieni wielkości jajek. Podniósł jeden i z irytacją cisnął w środek nurtu. Kamień z pluskiem zniknął w szarych wodach. Westchnął głęboko; Sanglant nie widział jego twarzy, tylko napięte ramiona. Król tego ranka włożył intensywnie niebieską, lnianą tunikę, wyszywaną przy dekolcie, rękawach i obrąbku złotymi lwami, owijającymi się wokół ośmioramiennych purpurowych gwiazd: było to haftowane świadectwo małżeństwa z cichą, przebiegłą, kochającą luksus Sophią, która zmarła przed trzema laty.

--Jeszcze nie wydobrzałeś po niewoli -- powiedział wreszcie król do płynących wód. -- Kiedy ci przejdzie, pożałujesz swych popędliwych słów i ujrzysz mądrość mego planu. Sapientia jest odważna i chętna, ale nie została obdarzona przez Boga płaszczem godności królewskiej. Theophanu... być może, jeśli żyje... -- Urwał, zaciskając pięść. -- Ma chłodną naturę, nie pociągnie za sobą żołnierzy do bitwy. A Ekkehard... -- Obojętnie wzruszył ramionami. -- Zbyt młody, nie szkolony i głupi. Należy do Kościoła, by mógł swym pięknym głosem wyśpiewywać chwałę Boga. Zostajesz ty. -- Odwrócił się. -- Ty nosisz ten płaszcz, Sanglancie. Zawsze go nosiłeś. Pójdą za tobą do bitwy. Ufają ci i podziwiają cię. Musisz zostać królem.

--Nie chcę być królem. Ani następcą. Ani cesarzem. Czy mam to jeszcze inaczej wyrazić, byś zrozumiał?

Czerwone plamy na policzkach Henryka zdradzały, że zbliża się jeden ze słynnych napadów furii, ale Sanglant patrzył na króla ze spokojem. Furia nigdy nie przerażała go w innych, tylko w nim samym. O Pani, to objawienie było mocnym ciosem: Henryk nie mógł go zranić, nie mógł zrobić nic gorszego niż Krwawe Serce, gdy uczynił Sanglanta swym więźniem. Krwawe Serce uwolnił go z łańcuchów więżących Sanglanta w okowach ojcowskiej woli.

--Zrobisz to, co ci każę!

--Nie.

Teraz wreszcie Henryk wyglądał na zaskoczonego -- tak zaskoczonego, że przez chwilę zapomniał, iż jest wściekły. Jednak natychmiast na jego twarzy pojawiła się kamienna maska i ojciec, pragnący dla syna jak najlepiej, zniknął, zastąpiony przez króla, którego poddani nagle podnieśli bunt. -- Jeśli cię wydziedziczę, nie będziesz miał niczego, nawet miecza, który nosisz. Nawet konia, na którym jeździsz. Nawet odzienia na grzbiecie.

--A miałem to wcześniej? Jedyłą rzeczą, jaką człowiek naprawdę posiada, jest to, co odziedziczy z krwią matki.

--Porzuciła cię. -- Henryk dotknął serca. Sanglant wiedział, co się tam ukrywa, wsunięte pomiędzy tunikę a ciało: żółknący kawałek zakrwawionej materii, jedyna pozostałość po jego matce, która opuściła Henryka i ziemskie krainy wiele lat temu. -- Zostawiła cię z niczym.

--Prócz klątwy na mnie rzuconej -- syknął Sanglant.

--Nie została stworzona, by żyć na tej ziemi -- rzekł Henryk głosem ochryplym z dawnego żalu.

Spojrzeli na siebie: dwaj, których opuszczono. Sanglant padł na kolana przed swym ojcem, a Henryk podszedł, by położyć dłoń lekkim, czułym gestem na czarnych włosach syna.

--O Pani -- wyszeptał Sanglant. -- Jestem zmęczony walką. Po prostu chcę odpocząć.

Henryk przez chwilę nic nie mówił, gładząc Sanglanta delikatnie po włosach. Wiatr

marszczył powierzchnię wody, małe, ostre fale drżały w świetle słonecznym i znikwały. Orszak Henryka stał poza zasięgiem ludzkiego słuchu, ale w miękkiej ciszy, która otoczyła króla, jego uczucia i przebaczenie, Sanglant słyszał, jak rozmawiali ze sobą, obserwując całą scenę.

--Nadal uważam, że to niemądre. -- To siostra Rosvita.

--Być może. -- To Villam. -- Ale uważam, że uderzenie na Aostę, gdy jest najslabsza i nie ma wątpliwości, że księżę potrafi poprowadzić taką kampanię, to mądre posunięcie. Co z tego wyniknie, gdy Aosta znajdzie się już w naszych rękach, a Henryka ukoronują na cesarza... cóż, nie widzimy przyszłości, musimy więc dążyć naprzód na ślepo. Nie możemy ograniczać poparcia, jakiego reszta książąt i szlachty udzieli Sanglantowi, nie znając jeszcze wszystkich zamiarów Henryka.

--Słyszeliście o żmii? -- Ten głos należał do jednego z lokajów Henryka, który stał nieco oddalony od Rosvity i Villama; Sanglant rozpoznał głos, ale nie znał imienia mówiącego.

--Nie. Żmija? Tutaj? -- To Lew, ten rudowłosy.

--Ach, tak. Ukąsiła jednego z ogarów hrabiego Lavastine'a i zniknęła. Koniuszy wysłał ludzi, by przeczesali krzaki i okadzili wszystkie węże nory, ale miejscowi powiadają, że od lat nie widzieli tutaj żmij. A jednak to nie są ślady ugryzienia szczura.

Przeszył go dreszcz trwogi. Poderwał się na równe nogi, zaskakując ojca.

--Co to za gadanie o żmii i ogarach Lavastine'a?

Henryk szybko odzyskał spokój, a uczucie, żal i zaskoczenie zniknęły pod kamienną maską, wyrazem twarzy, który nie ujawniał żadnych uczuć; Henryk przebiegły.

--To prawda. -- Opowiedział to, co wiedział. -- Zdarzyło się to o świcie. Ludzie przeszukali ziemie pałacowe. Ale nikt nie rozglądał się na brzegach rzeki. -- Westchnął głęboko. -- Nie, po co? To stworzenie dawno już zniknęło w ziemi lub krzakach.

--Nie, jeśli ja na nie zapoluję. -- Sanglant odrzucił głowę i zaczerpnął powietrza, ale nie wyczuł nic niezwykłego: ludzki pot, opary kadzidla z porannej mszy, zdechłe ryby, delikatny zapach lawendy i głogu rosnących na przeciwległym brzegu, gęsty, słaby zapach świętej krwi kobiecej, ogień kuchenne z pałacu i piekący się wieprz.

--Idź więc -- powiedział król szybko. -- Odeślij Lwy, stały na warcie całą noc, i niech przyślą innych na swoje miejsce. Gdzie zaczniesz?

--Tutaj, u stóp wzniesienia. Mogła ześlizgnąć się przez krzaki.

--Uważaj, by cię nie ukąsiła, Sanglancie.

--A jeśli nawet? -- odparł gorzko. -- Bóg ich stworzył samcami i samicami. Nie zabije mnie.

--Wobec tego szukaj, daję ci moje błogosławieństwo.

Ale Sanglant już zaczął polowanie i nie zawracał sobie głowy szybkim odejściem ojca.

5.

Hanna czekała na Liath przed komnatą hrabiego Lavastine'a. Liath nadal była oszołomiona deszczem prezentów, który na nią spadł. O Boże, czy hrabia Lavastine naprawdę dał jej konia? Zaciskała pierścień Alaina w dłoni i gapiała się na Hannę, nie mogąc się odezwać.

--Wezwano cię przed oblicze króla. -- Hanna pocałowała ją, objęła, a potem odepchnęła i przyjrzała się przyjaciółce krytycznie. -- Wydaje się, że wszystko jest na swoim miejscu.

--Wezwano przed oblicze króla?

--Liath! -- Ton Hanny sprawił, że podskoczyła. -- Jeśli chcesz, uciekaj albo odważnie staw czoła wyzwaniu. To, jak się zaprezentujesz przed królem, sprawi, czy będzie sądził na korzyść twoją czy ojca Hugona.

To oczywiście była dobra rada, ale na gardle Liath zacisnęły się szpony i nie mogła wykrztusić słowa.

Kiedy szły na wielki dziedziniec, minęły kilka Lwów, którzy objali się, jakby na nią czekając; między nimi był jej znajomy Thiadbold. Mrugnął do niej i rzekł:

--Wiesz, gdzie nas znaleźć, gdybyś czegoś potrzebowała, przyjaciółko.

Czy ktoś wiedział albo podejrzewał? Ale ukrycie czegoś na dworze królewskim wymagało znacznie więcej ostrożności, niż ona i Sanglant okazali zeszłego wieczoru. To, że Hugo do teraz ukrywał swe zainteresowanie Liath, świadczyło o jego sprycie.

--Zyskałaś ich szacunek -- zauważyła Hanna. -- Ale w końcu uratowałaś im życie w Augensburgu.

I zabiła więcej, niż zdołała uratować.

Był późny poranek, tuż po tercji. Król zwołał dwór na dziedzińcu, jego tron ustawiono w cieniu rzucanym przez pałac. Z psiarni słyszała ujadanie; łowczy przygotowywali ogary. Hugo i Wilkun klęczeli przed królem, Hugo nieco bliżej, jak przystało wyższemu rangą. Wilkun zerknął na nią przelotnie; jego spokój zirytował ją. Hugo nie spojrzał na nią, gdy podeszła wraz z Hanną, która zostawiła ją, aby stanąć przy księżniczce Sapientii, ale Henryk zmierzył ją baczny wzrokiem, gdy klękała. Uważała, żeby Wilkun dzielił ją od Hugona. Tron Henryka otaczała szlachta, ustawiona tak, że tworzyła jakby skrzydła: Sapientia, Villam, Judith, siostra Rosvita i inni, których nie rozpoznała. Podniecony tłum klębił się niby rój szerszeni wykurzony dymem.

Nie widziała Sanglanta.

Drżąc, wsunęła na palec pierścień Alaina.

--A więc to jest Orzeł, który wywołał tyle poruszenia na moim dworze. Zwią cię Liathano. Aretuzańskie imię. -- Henryk w jednej ręce trzymał smycz, nabijaną brązowymi guzami, i bawił się nią, obserwując Liath. -- Co mam z tobą zrobić?

--Proszę was, Wasza Królewska Mość -- odezwał się Hugo. -- Ta kobieta jest moją niewolnicą. Dostałem ją, ponieważ jej ojciec umarł, zostawiwszy dług, który wykupiłem. Jako jedyne dziecko odziedziczyła dług i nie mogła go spłacić...

--Spłaciłabym go, gdybyś nie ukradł książek taty...!

--Cisza -- powiedział król, nie podnosząc głosu. -- Mów, ojcie Hugonie.

Zacisnęła pięści, ale nie mogła nic zrobić.

Hugo wdzięcznie skłonił głowę.

--Jako jedyne dziecko odziedziczyła dług, którego nie mogła oddać, a ponieważ ja go

spłaciłem, zgodnie z prawem stała się moją własnością. Wiedziałem, że taka młoda kobieta pozbawiona rodziny, która by ją strzegła, wpadnie w tarapaty, zwłaszcza na północy. Zrobiłem, co w mej mocy, by była bezpieczna.

--A te książki, o których mówi? -- zapytał Henryk?

Hugo wzruszył ramionami.

--Wszyscy potwierdzą, że Kościół ma prawo skonfiskować książki, które mogą się okazać niebezpieczne. -- Nieoczekiwanie zwrócił się do nowego sprzymierzeńca: -- Prawda, siostrze Rosvito? Po raz pierwszy ustanowił to sobór w Orialle, czyż nie?

Kleryczka przytaknęła, ale zmarszczyła czoło.

--Kościół rzeczywiście ma to prawo.

--A w mej mocy jako namaszczonego fratra, sługi bożego, leżało uznanie tych dzieł za niebezpieczne dla każdego, kto nie został wykształcony, by ich używać. Zachowałem się tak, jak uważałem za słuszne. A poza tym nie jest dla mnie jasne, czy te książki w ogóle należały do jej ojca.

--To nieprawda...!

--Nie pozwoliłem ci przemówić -- rzekł Henryk, nie patrząc na nią. -- Ale jej oskarżenie o kradzież jest poważne, ojcze Hugonie.

Westchnął delikatnie, ze smutkiem marszcząc brwi.

--To istotnie poważne oskarżenie, Wasza Królewska Mość. Ale powstaje też kolejne, równie poważne: że wykupiłem dług jej ojca, nabywając też jej wolność, nielegalnie. Sugestia, że przy tej transakcji postąpiłem niehonorowo lub niesprawiedliwie, to potwarz. -- Przez chwilę słyszała w jego głosie prawdziwy gniew, jego honor został urażony fałszywym oskarżeniem. Nie patrzył na nią. Odwróciła szybko wzrok i uświadomiła sobie, że wielu ludzi z tłumu obserwowało, jak ona na niego patrzy. Co miała wypisane na twarzy? Niewątpliwie więcej niż on. Mówił dalej. -- Co się zaś tyczy książek, to komu zamierzała je sprzedać? I za jaką cenę? Jakiemuś rolnikowi, który spaliłby je, by się ogrzać w zimie? Muszę nadmienić, że po sprzedaży własności jej ojca nadal pozostawał dług w wysokości dwóch nomii...

W tłumie rozległy się pomruki. Ludzie pokazywali palcami. Podniosły się szepty:

--Dwie nomie! Za niewolnicę! To tyle, co za dobrego ogiera!

Ujrzała, jak hrabia Lavastine wślizguje się na swoje miejsce pomiędzy szlachcicami.

--W rzeczywistości, Wasza Królewska Mość -- ciągnął Hugo gładko. -- Nie mogła spłacić długu, z książkami czy bez nich, niezależnie od tego, w co wierzy lub chce wierzyć. U mnie była bezpieczna, odziana, nakarmiona i miała dach nad głową. I tak oto mi odplacono: wasz Orzeł, Wilkun, ukradł mi ją bez mej zgody, i bez wątpienia bez waszej.

--Błagam, Wasza Królewska Mość! -- wyrzucił z siebie Wilkun. -- Czy mogę przemówić?

Król długo się zastanawiał. Wreszcie uniósł dłoń, zgadzając się.

Wilkun odezwał się sucho:

--Liath przyszła do mnie z własnej woli. Zapłaciłem cały dług, który ojciec Hugo wziął na siebie: dwie nomie. Świadkiem transakcji był szeryf Liudolf ze Spokoju Serca, a przypieczętowana została waszym znakiem: pieczęcią Orłów, którą nadajecie każdemu z nas, kto służy koronie Wendaru i Varre. Jest powszechną praktyką, że wasi słudzy mają prawo brać to, czego potrzebują, gdy to konieczne. W takich niełatwych czasach ja potrzebowałem więcej Orłów. Liath i Hanna służyły mi dobrze, a ja straciłem dwa Orły w Gencie, jeden z nich był

moim uczniem. Nie kupilem wolności Liath ot, tak sobie, tylko z potrzeby. Dobrze wam służyła, Wasza Królewska Mość. Błagam, byście wzięli pod uwagę jej służbę.

--Ale została zabrana bez mej zgody -- powiedział Hugo cicho. -- Nie przyjąłem dwóch nomii, które mi oferowano. Nie zgodziłem się na dokonanie transakcji.

Henryk poruszył się na tronie.

--Czyżbyś odmawiał mi podarku tak drobnego jak ta dziewczyna?

--Ależ skąd, Wasza Królewska Mość -- odparł bez wahania. Jego złociste włosy lśniły w słońcu; cały promieniał. -- Ale nie podoba mi się, że wasze Orły okrył taki dyshonor, bo czyż nie jest prawdą, że aby wam służyć, Orły muszą być wolnymi ludźmi?

--Wolnymi z urodzenia -- powiedział szybko Wilkun. -- To nie wina Liath, że jej ojciec zmarł zadłużony. Ona była wolna z urodzenia.

--Skąd to wiemy? -- spytał Hugo.

--Przysięgnę na Święte Słowa! -- zawołała Liath gwałtownie. -- I moja matka, i mój ojciec byli wolni...

--Spokój -- rzekł król łagodnie i skrzywiła się, przeklinając samą siebie. Czy nigdy nie nauczy się siedzieć cicho? W ten sposób nie zdobędzie królewskiej przychylności. Spoglądał na Hugona i Wilkuna, marszcząc brwi, ale nie potrafiła odgadnąć jego myśli. Wreszcie skinął na siostrę Rosvitę. -- Czy chcesz coś powiedzieć, siostro?

--Tylko tyle, Wasza królewska Mość, że doradzam wam, byście wysłali tę młodą kobietę do klasztoru Świętej Walerii.

To go zaskoczyło.

--Zaczynam wierzyć, że więcej się w niej kryje, niż widać na pierwszy rzut oka. Święta Waleria! Dlaczego miałbym ją wysłać do Świętej Walerii? Aby przekonać się, co tam tak długo zatrzymało Theophanu?

--To wystarczająco dobry powód, Wasza Królewska Mość. Taki, który posłuży sprawie.

--Mówisz zagadkami, moja dobra doradczyni. Czy chcesz rzec coś jeszcze?

Rosvita się zawahała. Serce Liath biło tak mocno, że była przekonana, że wszyscy wokół słyszą jego uderzenia. Siostra Rosvita wiedziała, co znajdowało się w *Księdze Tajemnic*; samo jej zeznanie mogło skazać Liath.

--Nie, Wasza Królewska Mość -- powiedziała wreszcie z ociąganiem. -- Nic więcej nie rzeknę wobec takiego zgromadzenia.

W tłumie podniosły się szept. Hugo zmrużył oczy, spoglądając na kleryczkę; potem opanował się i skromnie skłonił głowę. Doskonale to robił. Ani jednego potarganego włosa, ani jednego uśmiechu za dużo czy zmarszczenia brwi w nieodpowiedniej chwili.

Henryk się roześmiał, ale raczej z irytacji niż prawdziwej wesołości. Zatoczył krąg dłonią.

--Czy inni pragną zabrać głos? -- zapytał.

Zapadła cisza. Nikt nie był na tyle głupi -- lub odważny -- by taką ciszę przelamać.

Dopóki nie wystąpił hrabia Lavastine, nie poruszony tym, że stał się centrum zainteresowania.

--Widzę, że ten Orzeł wywołał wiele zamieszania na waszym dworze, Wasza Królewska Mość. Ale mnie dobrze służyła w Gencie. Jeśli chcecie się jej pozbyć, przyjmę ją do mego orszaku.

--Doprawdy? -- Król uniósł brew, zaciekawiony, nie do końca zadowolony. -- Tylu ludzi

okazuje takie zainteresowanie zwykłym Orlem -- rzekł. Jego ton zdenerwował ją, i jakby strach go znęcił, król spojrział prosto na nią, wzrokiem jasnym, ostrym i przytłaczającym. -- Czy masz coś do powiedzenia, Orle?

--Gdzie jest Sanglant? -- wykrztusiła bez namysłu.

--Sanglanta tu nie ma, ponieważ ja tak nakazałem. -- Nie miała już nic więcej do powiedzenia, żadnej prośby, żadnej wymówki. Skłoniła poddańczo głowę. Cóż jeszcze mogła uczynić? -- Wilkun wyjeżdża dziś na południe, do Aosty. Dobrze mi służyłaś, Liathano.

Słyszając swe imię, wypowiedziane tak twardo donośnym barytonem, zadrżała; tato powiadał: „Unikaj zainteresowania tych, którzy mogą podpisać twój wyrok śmierci; jeśli nie wiedzą, że istniejesz, najprawdopodobniej cię zignorują”. Ale król wiedział, że istniała. Znal jej imię, a imiona nosły moc. Czekala, bawiac się pierścieniem Alaina i modlac, by ją cudownie ochronil. Cóż jej pozostaló?

--Dobrze mi służyłaś -- powtórzyl Henryk. -- Wobec tego daje ci wybór. Pozostań Orlem i nadal słuź mi wiernie, jak to dotąd czyniłaś. Jeśli tak postanowisz, tego ranka wyjedziesz wraz ze swym towarzyszem Wilkunem. Jeśli chcesz, wyrzeknij się swej Orlej przysięgi, a wtedy zwrócę cię ojcu Hugonowi, jak zażądał. Taka jest wola króla. Niech nikt nie kwestionuje mego postanowienia.

Wypowiedzial te słowa ostro i gdy tylko padly, moglaby przysięc, że przeznaczone byly dla jego nieobecnego syna. Poczula w sobie ostre szarpnięcie buntu. Czym król zagrozil Sanglantowi, by trzymal się z daleka?

Kiedy w oczekiwaniu na jej wybór zapadla cisza, uslyszala urywany oddech Hugona; dobiegaly ją pomruki i odlegle ujadanie psów. Zarzał koń. Gdzieś za murami rozleglo się wołanie handlarza bydla, tak ciche, że szurnięcie kolaniem po posadzce moglo je zagluszyć.

--Pojadę z Wilkunem, Wasza Królewska Mość. -- Każde słowo wbijalo się w jej serce jak nóż.

Hugo zadrzał. Wiedziala, że był rozwścieczony do granic, ale jego piękna twarz nie zmienila wyrazu. O Pani! Wreszcie się od niego uwolnila. Ale w piersi czula lodowatą pustkę.

--Weź sobie rekompensatę z mojego skarbcza, ojcie Hugonie -- powiedzial Henryk. -- Dobrze służyłaś mej córce i memu królestwu i zadowolony jestem z twych rad.

--Wasza Królewska Mość. -- Hugo podniósł się wdzięcznie i cofajac się, sklonil na znak zgody z królewską wolą. -- „Za jego panowania rozkwitnie prawość, a dobrobyt sięgnie księżycy”.

--Możecie odejść -- rzekł król do dwojga Orłów tonem kogoś, kto stracil cierpliwosc.

--Chodź, Liath -- mruknal Wilkun. -- Nie jesteśmy tu mile widziani. -- Ale nie wygladal na nieszczęśliwego.

Ona byla niczym, opróznione, puste naczynie, jej nadzieje obróciły się w proch, ale tato nie wychowal idiotki. Nalegala, aby zatrzymali się przy stajniach hrabiego i tam zabrala swego pięknego konia, siodlo i ogłowie, linę i sakwy, kolczan pelen strzał i prześlicznie wykonany pas od słynnego mistrza Hosela, kimkolwiek byl. Wilkun byl zaskoczony tymi dobrami, ale nie sprzeciwial się. Zbyt mu bylo spieszno, by wyruszyć.

Plakala bezgłoscnie, gdy mijali umocnienia Werlidy i skierowali konie na południe, ale nie odwazyla się spojrzeć za siebie.

Rozdział czwarty

Zapach krwi

1.

Biegnie pomiędzy sosnami i brzożami, świadomy, że za nim podąża następny: Drugi Syn z Szóstego Miotu, najslabszy z jego wrogów, ponieważ ze wszystkich braci to on właśnie pierwszy go tropi. Reszta uważa go za tak bezwartościowego, że aż do końca zostawi go w spokoju. Ale on to wszystko starannie zaplanował: pierwsza, najbardziej niepozorna z pułapek wystarczy, żeby rozprawić się z najpośledniejszym wrogiem.

Gęsty dywan paproci pokrywający ziemię ugina się pod nim; glóg i trawy rozstępują się, gdy skacze po zboczu. Słyszy ryk ścigającego, który zmęczył się biegiem i pragnie jedynie osaczyć swą ofiarę i walczyć na śmierć i życie. Niech wygra silniejszy.

Przed nim z poszycia wystaje glaz poznaczony porostami: jego znak. Za nim jest gęsta kępa drzew. Nieomal czuje na karku oddech Drugiego Syna, czuje zamach pazurzastej łapy, przesuwałcej się po delikatnych ogniwach złotej spódniczki, gdy Drugi Syn uderza -- i chybi.

Za późno. Wpada pomiędzy drzewa, na polankę, gdzie na zacienionym obszarze nic nie rośnie. Skacząc, zręcznie wybija się na starym igliwiu, zwija się, robi salto w powietrzu i opada na bezpieczny teren w chwili, gdy Drugi Syn wbiega na polankę i ryczy triumfalnie...

...a ziemia zwija się pod nim, we wszystkie strony wypryskują liny, ciągnięte ku drzewom przez dziesięciu niewolników ukrytych wśród gałęzi. Pułapka, sieć naszywana haczykami na ryby, zamyka się, a Drugi Syn wpada w nią. RzUCA się, wyjąc z wściekłości.

Kiedy tak walczy, by uwolnić się z sieci, haczyki przywiązane do lin wbijają się w jego skórę przy każdym poruszeniu. Każdy drucik znajduje miejsce pod delikatnymi łuskami pokrywającymi jego boki. Kiedy się rzUCA, coraz więcej haczyków wbija się i rwie ciało, a jednak to nie ból sprawia, że Drugi Syn wyje, to świadomość porażki. RzUCA się bezradnie, oswobadza szpony i zaczyna rozrywać sieć splecioną z wodorostów, lnu, pasów kory i włosów pobłogosławionych przez diakonisę Miękkich. Jego ramię zaplątuje się jednak w następne haczyki; gdy te się zagłębią, nie ustępują i Drugi Syn musi wyrywać je z ciała, by dalej działać.

Przez chwilę Piąty Syn pozwala sobie oglądać sieć, podskakującą w powietrzu. Poprzez gałęzie widzi niewolników, walczących, aby utrzymać ją zaciągniętą, podczas gdy Drugi Syn szamoce się w niej. Zmaganie się z siecią splecioną z lin naszywanych haczykami jest jak walka z przeznaczeniem: opór sprawi jedynie, że kolce wbiją się głębiej.

Wstępuje na podściółkę zniszczoną i rozrzuconą nagłym poderwaniem sieci. Drugi Syn wypluwa z siebie obelgi, ale nie ma mocy, która sprawi, że zadziałają. Jest bezradny, a za kilka chwil umrze. Piąty Syn podchodzi bliżej i obnaża pazury.

Alain zamrugnął, oszołomiony, i ocknął się nagle z nieprzyjemnej drzemki. Słyszał kleryków wyśpiewujących nowennę, ale muzyka zabrzmiała w jego uszach niby zawołanie zapomnianych umarłych i nagle poraziło go tak żywe wspomnienie Półgłówka radośnie karmiącego wróble, że zdawało mu się, iż serce pęknie mu z rozpacz. Komnatę zalewało popołudniowe światło. Jego dłonie leżące na ciele Mocarza nie wyczuwały żadnych ruchów, chciał łagodnie zepchnąć go z kolan -- i przygnieciony jego wagą obił sobie nogi. Pies mógł być z kamienia.

--Synu. -- Lavastine stał przy oknie i podszedł, by pogłodzić Alaina po policzku. -- Nie opieraj się jego ciężarowi. Nie chciałem cię wcześniej niepokoić. Odpoczywał tak spokojnie, ponieważ leżał z tobą. Widzisz? Już prawie po nim.

Mocarz zaskomlał cicho, ale gdy Alain głaskał go po łbie, zauważył, że pies oddychał coraz

plyciej.

--Gdzie jest Tallia? -- wyszeptał.

--Kiedy spałeś, zabrała swe dwórki i poszła się modlić do kaplicy. Tak jest lepiej. Niech się Bóg zlituje. -- Jedynie ochrypla nuta w głosie zdradzała jego cierpienie: twarz miał gładką jak sierść Mocarza. Hrabia usiadł na łóżku, delikatnie złożył palce na pysku psa, a ten zeszywniał całkowicie i przestał oddychać.

Pozostałe ogary, które czuwały cały dzień w ciszy, zaczęły wyć. Z ich ciał zdawał się unosić piżmowy zapach, niby ciężki perfum żaloby. Reszta psów na terenie pałacu przyłączyła się do nich, aż wreszcie wycie zmieniło się w nieznośną kakofonię.

Lavastine siedział na łóżku z pochyloną głową, opierając podbródek na złożonych dłoniach. Nie bez trudu Alain wy dostał się spod Mocarza i klęknął przy nim, krzywiąc się, bo nogi mu zdrętwiały. Zapłakał. Nie potrafił się zmusić, by zdjąć dłoń z jego zimnego łba. Jego uszy zmieniły się w sztywny rożek, niby kawałek metalu, któremu ktoś nadał taki kształt. Służący trzymali się z dala, doskonale znając chimeryczny temperament ogarów, które mogły zaatakować bez uprzedzenia.

Wreszcie Lavastine poruszył się i położył dłoń na głowie Alaina.

--Cicho, synu. Już nic nie możesz dla niego zrobić.

Smutek zaszczekał, a reszta psów zawarczała, gdy służący rozstąpili się przed wysoką postacią.

--Wasza Wysokość -- Lavastine wstał.

Groza zbliżyła się sztywno, by zawarczeć na księcia wchodzącego do komnaty i natychmiast wszystkie psy ruszyły naprzód, by chronić panów. Książę uniósł dłoń w rękawicy jak broń i, najwyraźniej bez namysłu, głęboko, gardłowo zawarczał na psy: dźwięk był równie przerażający jak ten, który wydały z siebie ogary.

Książę i psy patrzyli na siebie, nie cofając się ani nie atakując. Wreszcie wciąż zjeżona Groza ostrożnie cofnęła się w bok, jakby dawała znak innym, że przeciwnik był wart szacunku -- jeśli nie przyjaźni. Książę obejrzał się, sprawdzając pozycje ogarów, po czym ukląkł przy Mocarzu. Z każdego drgnienia ciała Sanglanta, z samej postawy Alain wyczytał, że książę zaatakuje, gdy tylko psy wykonają najdrobniejszy agresywny ruch, ale zachowywały się spokojnie, tylko Furia od czasu do czasu warczała.

Alain otarł nos i chciał podziękować, nie mógł jednak wydobyć słów z gardła zaciśniętego żalością.

--Słyszałem opowieść -- powiedział książę. -- I pomogłem łowczym przeczesać krzaki na brzegach rzeki, ale nic nie znaleźliśmy. Żmija musiała wrócić do swej nory. -- Rzucił okiem na psy, świadom ich najdrobniejszych poruszeń. Furia znów zawarczała, stojąc na sztywnych łapach, ale nie rzuciła się w przód; rozpoznała godnego przeciwnika. -- Czy mogę obejrzeć ranę?

--Dziękuję wam -- rzekł Lavastine.

Alain spróbował poruszyć prawą łapę Mocarza, by pokazać jej spód... ale udało mu się to dopiero po chwili, gdy zapał się mocno i pociągnął. Była zbyt ciężka, by ją poruszyć.

--Dziwne -- powiedział Sanglant, badając łapę. -- Zupełnie jakby zamienił się w kamień. -- Pochylił się, by obwąchać ciało, jak pies.

Za jego plecami służący zaczęli szeptać, obserwując go, i Sanglant zerwał się nagle,

zaciskając pięści, jakby ich usłyszał. Radość zaszczekała ostrzegawczo. Na zewnątrz wycie ucichło.

--Śmierdzi jak Eika. -- Pokręcił głową niby pies otrzepujący się z wody. Poglądził Mocarza po uchu i nosie, suchym i zimnym jak kamień. -- Jesteście pewni, że to żmija go ugryzła?

--A cóż innego? -- spytał Lavastine. -- Był na progu, tam -- wskazał drzwi komnaty.

--Nic nie widziałeś? -- ksiązę spojrział na Alaina. Miał zaskakująco zielone oczy i wyraz twarzy tak czujny jak zamknięta w klatce pantera, która, gdy otworzy się jej drzwi, podejrzewa, że jak tylko zacznie uciekać, spadnie na nią cios ukrytej broni.

--Nie było mnie... -- Alain poczuł, że się rumieni.

--Oczywiście, że nie -- rzekł ksiązę krótko. -- Wybacz. -- Podeszedł do okna, wyjrzał, jakby czegoś szukał, po czym odwrócił się gwałtownie. -- Wśród Eików widziałem stworzenie, które było martwe, a jednak ożywione magią Krwawego Serca. -- Kiedy wymówił imię tego, który go więził, jego wzrok stracił ostrość. Dotknął żelaznej obroży otaczającej szyję, zorientował się, że to zrobił i opuścił dłoń do pasa. Na pięknych, wysokich kościach policzkowych pojawił się rumieniec, ciemna plama znacząca złotobrązową skórę.

Lavastine czekał, bawiąc się smyczą Mocarza, wiążąc ją w węzły i rozsypując, nie zwracając uwagi na to, co robi.

Wreszcie Sanglant niecierpliwie pokręcił głową.

--Nie, to niemożliwe, by takie stworzenie przetrwało śmierć Krwawego Serca. Albo by mogło podążać za nami tak daleko, skoro ożywia je jedynie światło słoneczne. My podróżujemy konno, a ono jest nie większe od szczura.

--To, o czym mówicie, Wasza Wysokość, nie jest dla mnie do końca jasne. -- Lavastine dał znak służącym, którzy posłusznie się wycofali, zostawiając hrabiego, jego dziedzica i na wpół dzikiego księcia samych z psami i ich martwym towarzyszem.

Sanglant syknął przez zęby.

--Pani, chroń mnie -- wyszeptał, jakby zmagał się z jakimś własnym demonem. -- To była klątwa, tylko tyle wiem. -- Wypowiadał słowa powoli, jakby nie w pełni je kontrolował, niby nerwowy jeździec, który dostał nie ujeżdżonego konia. -- Klątwa, którą utkał Krwawe Serce, by ochronić się przed każdym człowiekiem lub Eiką, który chciałby go zabić. Hrabio Lavastine, dołączcie do mnie ze swymi ludźmi. Posiadam pewne... zdolności. Jeśli cokolwiek nawiedza to miejsce, wraz z twymi ogarami możemy to schwytać. -- Urwał, położył dłoń na zimnej łapie Mocarza i zamknął oczy, zastanawiając się.

Nagle poderwał się tak gwałtownie, że psy rozszczękały się dziko.

--Spokój! -- powiedział Lavastine, przekrzykując je, i umilkły.

--To wcale nie chodzi o was -- rzekł ksiązę. -- Szuka jej. To ona go zabiła.

Szybko, bez ostrzeżenia, nawet się nie żegnając, wypadł przez drzwi i zniknął. Usłyszeli, jak służący rozbiegają się, gdy szedł korytarzem, a potem szepczą, niby liście opadające na ziemię po przejściu wichru.

Lavastine długo siedział w milczeniu, tak poważny, że służący, którzy zajrzeli do komnaty, natychmiast się wycofywali.

--Klątwa -- wyszeptał wreszcie. Popatrzył na poplątaną smycz i westchnął, a Alain otarł łzę. Biedny, dobry Mocarz. To niemożliwe, że nie szczeakał radośnie, prosząc, by go wypuszczono na spacer.

Hrabia uniósł dłoń i położył palec na ustach, jakby chciał, by Alain uważnie słuchał.

--Książę Sanglant jest mi zobowiązany za ratunek. Faworyzuje się, a Henryk faworyzuje jego, nie dziwota zresztą. Księżniczka Sapientia jest odważna, ale impulsywna i niestała. Nie widziałem księżniczki Theophanu, ale powiadają, że ma zimne serce. Źle dla Henryka, że książę jest tylko półkrwi człowiekiem, a do tego bękartem. Patrz i słuchaj uważnie, gdy będziemy jechać z dworem królewskim. Sądzę, że Henryk pragnie uczynić Sanglanta swym następcą...

--Ale książę Sanglant został poczęty i zrodzony, żeby dać królowi Henrykowi koronę wedle prawa płodności. A nie aby po nim rządzić!

--Henryk musi go uznać za zrodzonego z prawego łoża, ale nie może po prostu nadać mu tego statusu, jak on i ja nadaliliśmy go tobie. Książęta nie będą stali z boku i przyglądali się, jak półludzki bękart obejmuje tron, niezależnie od tego, że jest poważanym generałem. Nie, czasami jest nie lepszy od psa. -- Poglądził ciało Mocarza stopą, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia; pomasażował palec. Marszcząc czoło, dotknął uszu psa i otarł łzy, nim obrócił się do syna. -- Dlatego też książę chce mieć mnie przy sobie, okazując taką przychylność. Musi dbać o potężnych sprzymierzeńców i musi się dobrze ożenić.

--Z kimś takim jak Tallia. -- Gorąco zalało Alaina i osuszyło łzy.

--Tak. Teraz, kiedy jesteś mężem Tallii, nikt nie będzie pamiętał, że byłeś kiedyś bękartem. Sądzę, że król Henryk wyśle księcia Sanglanta do Aosty. Ja bym tak uczynił na jego miejscu, a Henryk to król silny i przebiegły. -- Zagwizdał na psy. -- Chodź. Pogrzebiemy biednego Mocarza.

Stworzyli ponury kondukt: hrabia, jego syn, służący i sześć czarnych ogarów. Sześciu ludzi niosło ciało na noszach, którego uchwyty musiały być dwukrotnie wzmacniane, by mogły utrzymać ciężar martwego psa.

Służący poszli naprzód, wykopać grób przy pierwszym murze. Rudziki polujące na robaki w świeżo skopanej ziemi odleciały, gdy kondukt zbliżył się do dziury. Mężczyźni niosący nosze położyli je na brzegu grobu i przechylili, by ciało psa spadło. Nie poruszyło się, dopóki nie ustawili noszy niemal pionowo, zaciskając zęby i pocąc się obficie i dopiero wtedy pies zsunął się do grobu. Uderzył w ziemię z głośnym łoskotem.

Alain skrzywił się. O Pani, jaka dziwna śmierć go spotkała! Ogary węszyły w rozkopanej ziemi, ale zdawały się nie rozpoznawać w spoczywających w niej szczątkach swego kuzyna i brata. Nie pachniał już sforą.

Łopata wbiła się w kupkę ziemi: służący zaczęli zasypywać grób. Pacyny ziemi spadały, zasypując psa. Jakby smutek można było pochować wraz z ciałem tego, kogo się kochało. Piach spadał niby kamienie. Gdzieś w oddali usłyszał tętent kopyt na południowej drodze. Czuł zapach ziemi, korzeni, piasku i żyjących w niej stworzeń. Robak uciekł z bezlitosnych promieni słońca, na które wyrzuciła go łopata kopacza i wkręcił się w kupkę wilgotnej gleby.

Zapach zalał go, zakręciło mu się w głowie...

Czuje krew i ostrożnie zbliża się do kupy kamieni. Dziesiąty Syn z Czwartego Miotu spoczywa martwy, z członkami zgiętymi pod dziwnymi kątami, rozdartym gardłem i wyrwanym ramieniem. Rozrzucone wszędzie kamyki, poryta ziemia, kępki mchu leżące na skrwawionym piachu mogłyby okazać się znakami, które swym efemerycznym pismem opowiadają o przebiegu pojedynku. Następnego lata, gdy zima wyczyści ziemię, nikt nie zdoła odczytać z tego miejsca, że

jeden walczył, a drugi zginął.

Lapie za miedzianoskóre ramię, które pozostało, i odwraca trupa, odsłaniając kark: warkocz został obcięty. Dotyka warkocza zawiązanego na swym prawym ramieniu. Kiedy obciął go Drugiemu Synowi, zawiązał go tam jako dowód i trofeum, tak jak jeden z braci nosi teraz warkocz Dziesiątego Syna. Gdzie jest teraz ten brat?

Słyszy szuranie, a wiatr przynosi mu szelest spódniczki ocierającej się o mocne uda, gdy ktoś skrada się ku niemu, ukryty za skałami. Prędko umyka.

Jest szczupły i dlatego szybki. Czwarty Syn z Dziewiątego Miotu gna za nim, ale jego szerokie ciało czyni go równie powolnym, jak silnym. Ten brat wyrwałby mu ręce i nogi jednym ruchem, jak to zrobił z Dziesiątym Synem.

Piąty Syn ocenia odległość i szybkość, po czym, niby błyskawica, skręca w prawo, ku Śmigłej Rzece, gdzie czeka druga pułapka.

--He! He! He! Tchórz i słabeusz! -- wyje Czwarty Syn.

Nie zwraca na to uwagi, tylko biegnie, choć zwalnia, wiedząc, że Czwarty Syn nie doścignie go, nawet gdyby biegł najszybciej, jak może. Musi pozostać przed nim na tyle daleko, by uniknąć potwornego uścisku i na tyle blisko, by Czwarty Syn ścigał jego, a nie zajął się polowaniem na innych.

Spod jego stóp pryska żwir pokrywający brzegi rzeki. Skacze ku wiszącemu mostkowi, który spina brzegi w miejscu, gdzie nurt pędzi ku klifowi i zmierza ku Lekkiemu Wodospadowi. Klepki niebezpiecznie pod nim drżą; czuje, jak osłabione liny trzeszczą i niemal dociera do niego zapach rozwiązujących się węzłów.

Jest po drugiej stronie, obraca się, gdy Czwarty Syn wbiega na most swym ciężkim galopem. Jednym ruchem pazurów niszczy liny, które już naciął niemal do końca.

Most wali się pod ciężarem Czwartego Syna. Klepki załamują się i rozpadają, a sznurowe uchwyty znikają. Wpada do lodowatej wody: nie utonie, ale tutaj nurt jest bystry i wąski, przelewa się nad klifem, spada i rozlewa się w dole.

Spada w Lekki Wodospad. Jego ciało uderza w kamienie, wiruje, obija się, zsuwa z poszarpanego klifu i wreszcie tonie w ryczącym kotle na dole, gdzie wody wpadają do morza i rozpylają się w mgłę.

Znika.

Piąty Syn czeka na krawędzi, wpatrując się w wodę.

Tam! Wynurza się głowa, biały warkocz płynie jak wąż. Ramiona uderzają uparcie. Poturbowany, zakrwawiony i oszołomiony upadkiem Czwarty Syn jeszcze żyje.

Spodziewał się tego.

Ale nie musi długo czekać na to, co wie, że nadejdzie.

Dalej, gdzie wody fiordu są spokojne, coś się rusza. Szczupły grzbiet pojawia się i znika, szybko i cicho zataczając koła. Na lewo zaś na powierzchni wody pojawia się kolejna zmarszczka. I jeszcze jedna.

Czwarty Syn zmierza do brzegu. Nie jest martwy, rzecz jasna, ale nie musi być martwy. Wystarczy, że krwawi.

Z wody wynurza się ogon, uderza i znika. Czwarty Syn zbyt późno zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Woda wokół niego nagle zaczyna się burzyć. Rzuca się, zanurza. Lśnią mokre łuski, okrągłe grzbiety wirują, wynurza się potworna głowa, woda splywa z sieci włosów,

które same zdają się żywą istotą. Czwarty Syn wynurza się ze wzburzonej wody, uderzając pazurami w napastników. Ze swego miejsca na szczycie klifu Piąty Syn słyszy triumfalne wycie, gdy jeden z trytonów drży i tonie, a nad nim rozlewa się atramentowoczarny szlak. Trytony zbliżają się. Woda wrze. Czwarty Syn znika z zimnej powierzchni morza. Fale zataczają kręgi, zmieniają w zmarszczki, znikają.

I znów wszystko jest spokojne: słychać tylko ryk wodospadu. Krew rozlewa się w wodzie i miesza z czarną wydzieliną trytona.

Na powierzchni pojawia się grzbiet, z gracją znika w głębinach, po czym kieruje się ku brzegowi. Czeka. Skalna półka wystaje po jednej stronie podstawy wodospadu. Nagle z wody wynurza się stwór, ukazując twarz: płaskie czerwone oczy lśnią jak ogień, nie ma nosa, tylko ciemne otwory nad wybrzuszeniem przypominającym ryjek, a w ustach lśnią rzędy ostrych zębów. Kiedy się unosi, jego włosy zaczynają wić się dziko, a każdy pukiel zakończony jest paszczą, jakby na jego głowie wyrosły węgorze. Ma ramiona i ręce, dłonie z ostrymi pazurami, słońce zaś odbija się srebrzyście od grzbietu pokrytego wyrostkami. Wielki ogon, dłuższy niż nogi i znacznie silniejszy, wynurza się i uderza raz, ostro, wzbudzając pogłos wśród skał. Nie wydaje innego dźwięku.

Stwór rzuca dwa warkocze: jeden ucięty równo, drugi lekko zakrwawiony -- na półkę skalną. Trytony to stworzenia równie inteligentne, co dzikie: tak przynajmniej zawsze sądził. Ale wiedzą o zawodach i znają zasady. Nie można ich nie doceniać. Ambitnemu generałowi nigdy dość sprzymierzeńców.

Zwijając się niezdarnie do tyłu, tryton odpycha się od półki i uderza w wodę. Potężny plusk zagłuszony zostaje przez szum wodospadu. Ogon wynurza się, niby w salucie, uderza i znika.

Zapada cisza.

Schodzi stopniami wykutymi obok wodospadu. Tam, w jaskini ukrytej za słupem wody, kapłan ukrył swe serce w skrzynce. Znalazł je, ponieważ był cierpliwy: czekał i patrzył, słuchał, jak kapłan mamrocze i śpiewa o ukrytym sercu. I kiedy wreszcie pewnej nocy kapłan wyruszył ze swego gniazda, otulony cieniem, który zdołał zebrać w letnią noc, Piąty Syn podążył za nim.

Teraz włada sercem kapłana i jego posłuszeństwem.

Przez chwilę rozmyśla nad klątwą Krwawego Serca. Według własnych słów kapłan odwrócił ją od siebie. Ale na kogo spadła? Na kogo spadnie przekleństwo nienawiści i wypaczonej żądzy Krwawego Serca?

Nienawiść jest najgorszą trucizną, ponieważ zaślepia.

Wraca na półkę skalną, zatrzymuje się, rozgląda po wodzie, ale tej nie znaczy żaden ślad okrutnej walki, która miała miejsce kilka chwil wcześniej. Woda przemawia nietrwałym głosem, wiecznie zmiennym, śmiertelna z racji swej nieustannej płynności.

Ale nawet kropla drąży kamień, jak mawiają MądreMatki.

Za wodospadem, przesywającym swym rykiem, słońce sprawia, że woda lśni jak pomalowana. Czy to zmarszczka, czy tylko sztuczka światła?

Kłeka i podnosi dwa warkocze. Dumnie zawiązuje je na przedramionach niby naramienniki. Trzej bracia nie żyją. Dotyka własnego warkocza, czyniąc go talizmanem.

Zostało tylko dwóch...

...ale najbardziej upartych, najmądrzejszych i najsilniejszych z potomstwa Krwawego Serca -- oprócz niego, oczywiście. Dla nich zastawił najbardziej niebezpieczną pułapkę: taką, z której

nawet on może nie ujść z życiem.

Furia klapnęła zębami na motyla i jasny owad zniknął, wirując w powietrzu.

Alain stał sam nad zasypianym grobem. Towarzyszyli mu jedynie Furia i Smutek, i jeden służący, zachowujący bezpieczny dystans. Inni odeszli. Kolana się pod nim uginały, w głowie mu się kręciło: klęknął przy świeżym grobie. Kiedy dotknął ziemi, poczuł tylko piasek. Duch Mocarza zniknął wraz z jego ciałem. Dzielny rudzik powrócił, aby polować na tym obfitym terenie i przyglądał mu się z oddali, przekrzywiając głowę.

--Panie? -- Służący ostrożnie postąpił naprzód.

Westchnął i wstał. Oni też odejdą, zostawiając go.

--Gdzie są pozostali?

--Pan hrabia odszedł, by poczynić przygotowania do wyjazdu. Kleryczki powiedziały mu, że jutro jest szczęśliwy dzień do rozpoczęcia długiej podróży.

--Kłątwa -- szepnął Alain, wspominając sen. -- Muszę się dowiedzieć, co on wie.

--Słucham, panie?

--Muszę rozmawiać z księciem Sanglantem. -- Gwizdnął na psy i wyruszył na poszukiwanie Sanglanta.

Na dziedzińcu przed rezydencją króla wybuchło wielkie zamieszanie: dwaj jeźdźcy rozmawiali szybko z ulubioną Orlicą króla, obok zaś stała kleryczka, słuchając uważnie. Księżniczka Sapientia i grupa młodzieży, gotowa do przejażdżki, czekała niecierpliwie, ale ponieważ ojciec Hugo postanowił wysłuchać wieści, nikt nie odważył się odjechać. Zgromadzeni ludzie rozstąpili się szybko przed Alainem i psami. Gdy dotarł do Orlicy, drzwi królewskiej rezydencji nagle się otworzyły i król Henryk wyszedł na popołudniowe słońce. Odziany do jazdy w pięknie wyszywaną tunikę, lekki płaszcz do kolan spięty na prawym ramieniu broszą i miękkie skórzane buty, ruchem dłoni odprawił przyprowadzonego konia i odwrócił się do lokaja, który stał za nim ze zbielełą twarzą.

--Co to znaczy bez orszaku?

--Był w podłym nastroju, Wasza Królewska Mość, gdy wrócił ze stajni, i nie zamierzał odpowiadać na żadne pytania. Zabrał ze sobą... psy... i zapasowego wierzchowca.

--I nikomu nie przyszło do głowy, by za nim pojechać?

--Przepraszam, Orle -- powiedział Alain, przerywając ciszę, która zapadła. -- Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć księcia Sanglanta?

Orlica spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale skłoniła głowę.

--Wyjechał sam, panie, w wielkim pośpiechu, jakby opanowało go szaleństwo. -- Wydawało się, że zamierzała coś dodać, ale zamilkła.

--Pojechało za nim dwóch ludzi w dyskretnym oddaleniu -- odparł lokaj, który teraz poczerwieniał, uderzony gorącym królewskim gniewu.

Król stęknął.

--Południowa droga -- powiedział wściekle. -- Tam go znajdziecie. Nie potrzeba mi zwiadowców, abym to wiedział. -- Popatrzył po zgromadzonych, zignorował córkę i jej dworzan, i zatrzymał wzrok na ulubionym Orle. Skinął na nią. -- Wyślij tuzin jeźdźców, by go znaleźli. Ale dyskretnie, jak powiedziałaś. Tak będzie najlepiej.

Orlica odeszła wdzięcznie, lecz pośpiesznie, ku stajniom. Kleryczka odprowadziła dwóch zakurzonych jeźdźców, którzy wypytywali ją o dostępne kwatery i Alain uświadomił sobie

nagle, że nie byli to ludzie króla, ale mężczyzna i kobieta noszący symbol jastrzębia. Ojciec Hugo uśmiechał się miło, cofnął ku księżniczce Sapientii i przemówił do niej cicho, gdy odjeżdżali.

Helmut Villam wyszedł z rezydencji i stanął przy królu, który zwlekał, uderzając psią smyczą o dłoń. Henryk skinął na Alaina.

--Widzę, młody Alainie, że też szukasz mego syna.

--Owszem, Wasza Królewska Mość. Widziałem go wcześniej. Był podniecony i mówił o jakiejś kłątwie, pułapce zastawionej przez Krwawe Serce na każdego, kto próbował go zabić.

--Krwawe Serce! Ale on jest martwy i zimny. -- Nagle na jego twarzy pojawiła się nadzieja. -- Czy sądzisz, że Sanglant mógł pojechać na północ, do Gentu?

Każdy spróbowałby wprawić króla w lepszy nastrój, ale Alain nie widział powodu, by kłamać.

--Nie, Wasza Królewska Mość. Sądzę, że pojechał za Orłem, jak powiedzieliście.

Henryk zachmurzył się.

--Powinieneś być mu ją ofiarować jako konkubinę -- powiedział Villam tonem człowieka, który już dawno zauważył nadchodzącą burzę i jest pełen niesmaku, gdyż jego towarzysz odmówił schronienia się, nim spadnie deszcz.

--Zrobiłem to! Ale nie ufam Wilkunowi. Ona jest jego uczennicą. Jestem pewien, że to spisek.

Villam warknął.

--Być może. Ale Wilkun zdawał się bardzo chętny do usunięcia jej z dworu. Sądzę, że w tej sprawie jesteście jednomyślni.

--Być może -- przyznał król niechętnie. -- Co mam zrobić? Jeśli uczynię Sapientię margrabiną Estfalii, zejdzie mi z drogi, ale skoro nie mogę zmusić Sanglanta do współpracy, do zrozumienia, że małżeństwo z królową Aosty jest mądre, to co mam z nim zrobić?

--Nie trać nadziei. Już ci to mówiłem i powtórzę raz jeszcze: zachęcaj go do tego, co robi. Żaden pan ani pani nie podąży za nim, jeśli on nie... -- zawahał się.

--Mów, co myślisz, Villam! Jeśli nie ty, to kto?

Westchnienie Villama starczyło za sto słów.

--Jest na wpół psem. Każdy o tym szepcze i to niestety prawda. Musi się znów stać człowiekiem, a jak powiada filozof, młodzi ludzie zazwyczaj zakochują się w jednej, określonej, pięknej osobie i dopiero potem dostrzegają, że piękno zawarte w jednym ciele, w każdym innym jest takie samo.

Henryk się roześmiał.

--Ile czasu zajęło ci dojście do tego wniosku, mój dobry przyjacielu?

Villam zachichotał.

--Jeszcze nie przerwałem badań. Niech młodzieniec prowadzi swoje. A potem stanie się bardziej posłuszny. Teraz jest jak pies, który wyczuł samicę z cieczką: czyste szaleństwo, sam się nie kontroluje.

Alain zaczerwienił się wściekle, a król uśmiechnął się, patrząc na niego.

--Idź, synu -- rzekł serdecznie. -- Widziałem wcześniej, jak Tallia wchodziła do kaplicy. Tam ją znajdziesz.

Alain pożegnał się grzecznie i poprawnie, i odszedł. Drzwi kaplicy były zapraszająco

otwarte. W środku znajdzie Tallię. Jednak myśl o niej sprawiła, że mocniej się zaczerwienił.

Jednak to ona pierwsza pojawiła się na progu, prowadzona przez Lavastine'a, który uśmiechnął się na jego widok. Tallia cofnęła się przed Smutkiem i Furia, i Alain odprowadził ją na bok, z dala od psów.

--Przejedziesz się ze mną? -- zapytał, chcąc ją uszczęśliwić.

--Nie -- odparła słabo. Nie wyglądała dobrze, była zmęczona i wyczerpana.

--Wobec tego usiądziemy razem.

--Alainie. -- Lavastine skinął w stronę króla. -- Już powiedziałem o swym zamiarze jutrzejszego wyjazdu. Powinniśmy byli wrócić do Lavas dawno temu.

Tallia wyglądała jak jeleń w potrzasku.

--Odpocznemy dziś wieczorem -- rzekł Alain. -- Nie musisz uczestniczyć w uczcie, jeśli źle się czujesz.

--Tak -- wymruczała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Spojrzał na Lavastine'a, który skinął głową z aprobatą i odszedł, żeby wydać służącym instrukcje dotyczące pakowania. Poszli do swej komnaty, gdzie modliła się tak długo, że Alain, który klęczał obok, lecz duchem był gdzie indziej, musiał wstać, gdyż rozboleły go kolana. Nakazał przynieść półmisek z jedzeniem, ale mimo że zapadał zmrok, a Tallia cały dzień pościła, zjadła jedynie odrobinę owsianki i dwa kawałeczki chleba. Czuł się przy niej jak obżartuch.

--Jak jest w Lavas? -- zapytała lękliwie. -- Będę na twojej łasce.

--Oczywiście że nie będziesz na mej łasce! -- Jak mogła myśleć o nim w tak niepocholebny sposób? -- Jesteś córką diuka Berengara i księżnej Sabelli. Jak możesz myśleć, że ja lub ktokolwiek inny wykorzysta cię, skoro urodziłaś się w królewskim rodzie?

--Jestem tylko lwem w królewskiej partii szachów, pionkiem, nikim więcej -- powiedziała z goryczą. -- Ty też, ale tego nie dostrzegasz.

--Nie jesteśmy pionkami! Bóg dał nam wolną wolę.

--Nie o to mi chodziło -- rzekła, wzdychając tak, że pomyślał, iż coś ją boli. -- Pragnę być wolna od świata. Chcę jedynie poświęcić swe życie Świętej Matce, która jest Bogiem, i stać się oblubienicą błogosławionego Daisana, w ten sposób żyjąc czystym życiem pełnym świętobliwych uczynków, jak święta Radegundis.

--Wyszła za mąż i urodziła dziecko -- powiedział z nagłym gniewem, zirytowany jej słowami.

--Była w ciąży, gdy umierał cesarz Taillefer. Nikt nie wie, co się stało z dzieckiem. Zapytałam siostrę Rosvitę, a ona odparła, że ta sprawa nie jest wspomniana w Żywocie. Gdyby nasza Święta Matka przeznaczyła świętą Radegundis do ziemskiej chwały i rodzenia dzieci, obsypałaby ją bogactwami, ponieważ coś tak trywialnego jest dla Niej bardzo proste. Miała dla Radegundis inne plany, a ona w tym celu uczyniła z siebie święte naczynie.

--Dziecko tak po prostu nie znika! -- odparował Alain, który właśnie sobie wyobraził, co jego ciotka Bel -- już nie jego ciotka -- powiedziałyby, słysząc, że dzieci i dobrobyt to rzeczy trywialne w oczach Pana i Pani, źródła wszelkiej obfitości.

Tallia roześmiała się, co wydało mu się tak podle, że zaczął się zastanawiać, czy w ogóle ją zna.

--Jak sądzisz, co stałoby się z nowo narodzonym dzieckiem martwego cesarza, którego

ostatnia żona nie ma rodziny chroniącej ją przed sępami, które zleciały się ucztować na ścierwie? Wierzę, że Nasza Pani była łaskawa i dziecko urodziło się martwe.

--To żadna łaska!

Ale ona skłoniła głowę i odwróciła się od niego, by znów klęknąć przy łóżku, składając dłonie na pięknie wyhaftowanej koldrze i opierając na nich czoło, gdy mruczała modlitwy. Dał służącym znak, by wyszli.

--Tallio -- zaczął, gdy zostali sami.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

--Tallio. -- Jednak jej oczy nimfy, szczupły gmach szyi, puls bijący pod skórą, wszystko to go rozpaliło. Musiał podejść do okna i wychylić się, by oddać twarz pieścocie ostatnich podmuchów chłodnego wiatru. To tylko kwestia cierpliwości, oswojenia jej.

Kiedy się wreszcie odwrócił, zasnęła, wsparta o łóżko. Wyglądała tak krucho, że nie miał serca jej budzić i delikatnie złożył ją na pościeli. Na chwilę otworzyła oczy, ale nie zbudziła się. Chciał leżeć obok, zachować kontakt, zdawało się to jednak obsceniczne, gdyż była taka bezwładna, taka podatna: zupełnie jakby czuł nienaturalny pociąg do trupa. Zadrżał i odsunął się od łóżka.

Niespokojny, spacerował jeszcze chwilę. Wysłał służącego, by dowiedział się o księcia Sanglanta, ale ani książę, ani ludzie wysłani na poszukiwania nie wrócili do pałacu.

Znacznie później usłyszał sześć ogarów, zamkniętych w komnacie Lavastine'a, które piskiem witały wracającego z uczy hrabiego. Nasłuchiwał, oczekując, że usłyszy siódmy znajomy głos, ale nie doczekał się: Mocarz naprawdę umarł.

2.

Na dwóch koniach, zmieniając je, osiągnął dobrą szybkość, a psy zdawały się nigdy nie męczyć. Aż do wioski Ferse, przycupniętej na półwyspie u styku dwóch rzek, prowadziła tylko jedna droga. Tam zapytał przewoźnika o dwoje Orłów, którzy przejechali tędy wcześniej; jechali nadal na południe, w las, nie wybrali drogi z zachodu na wschód. Kilku zaskoczonych wieśniaków wracających do domu z pól przy drodze potwierdziło, że widzieli przejeżdżające Orły.

Schludne pasy ziemi uprawnej zmieniły się w rozrzucone sady i pastwiska, a potem las pochłonął wszystko prócz drogi. Pod drzewami światło letniego zmierzchu, przefiltrowane przez konary, zamieniało się w blednącą mgłę. Wiatr był mu przychylny: usłyszał ich, zanim dostrzegł, dwoje jeźdźców i dwa zapasowe konie.

Wilkun odwrócił się pierwszy, by sprawdzić, kto się zbliża. Sanglant usłyszał, jak stary Orzeł zaklął pod nosem i uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. A potem Liath spojrzała przez ramię. Natychmiast osadziła konia, zmuszając Wilkuna do zatrzymania.

--Jeszcze szmat drogi przed nami, jeśli zamierzamy zanoć w stacji -- ostrzegł Wilkun.

Liath nie odpowiedziała, nie musiała; Sanglant znalazł język kobiecego ciała, wyraz twarzy zdradzający pożądanie. Spróbowała się opanować, nie pokazać nic po sobie, ale jej twarz się rozświetliła, a na ustach igrał uśmiech. Wiedział, że mu się uda, jeśli tylko zachowa się jak człowiek, a nie jak pies.

Wilkun nie przebiegał w słowach.

--To szaleństwo. Liath, musimy jechać.

--Nie. Posłucham, co Sanglant ma do powiedzenia.

--Wiesz, co mam do powiedzenia. -- Sanglant zsiadł z konia, przywiązał psy, podszedł do niej i wyciągnął dłoń ku wodzom jej konia jak giermek. Dała mu je, ale nie zsiadła.

--Nie przemyślałaś tego, Liath -- mówił Wilkun z wściekłością. -- Stracisz ochronę Orłów, jedyne, co cię ocaliło przed Hugonem w Spokoju Serca i dziś rano na królewskim dworze. Tylko po to, by pójść z mężczyzną, który nie ma nic, ani ziemi, ani broni, ani orszaku, ani kontroli nad swym przeznaczeniem, bo nie odziedziczył niczego po matce...

--Prócz swej krwi -- rzekł Sanglant cicho i ucieszył się, widząc, że Wilkun zerka na niego gniewnie i odwraca wzrok.

--...i będziesz żyć na jego łasce. Bez Orłów ani rodziny on będzie twą jedyną ochroną przed takimi jak Hugo, którzy chcą cię zniewolić. Tę ochronę zaś będziesz mieć tak długo, jak długo on cię będzie pożądał.

--Małżeństwo to święty sakrament -- zauważył Sanglant. -- Nie można go unieważnić pod wpływem kaprysu.

--Małżeństwo? -- wykrzyknął Wilkun i przez krótką chwilę Sanglant odczuwał satysfakcję, widząc jego panikę. Ale Wilkun był zbyt stary i uparty, by poddać się jej na długo. Doszedł do siebie równie szybko jak doświadczony żołnierz, który potknął się w środku bitwy, atakując.

--Pomyśl, Liath, niechęci króla Henryka nie można lekceważyć. On odmówi uznania małżeństwa. Wydał wyrok: albo służysz w jego Orłach, albo wracasz do Hugona. Czy wyda inny, jeśli powrócisz poślubiona jego ulubionemu synowi? Czy też zechce się ciebie pozbyć? A

jeśli zechce, to dokąd uciekniecie, skoro oboje nie macie rodziny, która wam pomoże? Twoja matka na ciebie czeka, Liath.

Sanglant natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo.

--Twoja matka?

--Oddałam więcej, niż ci się wydaje, Wilkunie -- odparowała Liath. -- Jeśli mam się udać do matki, i tak muszę opuścić Orły. Dlaczego Henryk nie miałby się temu sprzeciwić? Tylko dlatego, że się nie dowie i nie będzie mógł mnie oddać Hugonowi? Czy moje spotkanie z matką ma się opierać na oszustwie? Dlaczego mam ci ufać?

--A dlaczego ufasz Sanglantowi? -- zapytał Wilkun.

Ale ona tylko się zaśmiała, a jej śmiech sprawił, że jego serce zaśpiewało z radości, choć słowa, które wypowiedziała, były pełne złości i gorzkości.

--Bo łże jak te psy. Nawet tato mnie okłamał. Ty mnie okłamałeś, Wilkunie, i zastanawiam się, czy moja matka również. Gdyby wysiliła się choć trochę, by nas odnaleźć, ojciec nadal by żył, prawda?

Wiatr przywiał zapach dymu z odległego ognia, który zgasł, gdy Liath wpatrywała się w Wilkuna; miała wyraz twarzy równie wściekły jak król, gdy pozwolił sobie na jeden ze słynnych wybuchów gniewu. Ale bił z niej jakiś nieziemski ogień, który Sanglant raczej wyczuwał, niż widział, niezwykle, czysty zapach. Schwycił ją za nadgarstek, a ona, zaskoczona, spojrzała na niego, po czym westchnęła. Ten zapach w niej płonął, niemal jak żywa istota z własnymi prawami. Jej skóra zdawała się parować gniewem.

Wilkun, upokorzony, rzekł jedynie:

--Ona musi cię uczyć, Liath. Teraz już wiesz, że potrzebujesz nauki.

Tu leżało niebezpieczeństwo. Widział, jak cień przemyka jej po twarzy; potrzebowała czegoś, czego nie mógł jej dać, a Wilkun użyje tego argumentu, by ją zwabić. Ale Sanglant nie miał zamiaru znów jej stracić.

--Zabiorę cię, dokądkolwiek masz się udać -- rzekł.

--A jeśli twój ojciec się sprzeciwi? -- spytała. -- Jeśli nie da ci koni, broni ani eskorty?

Roześmiał się lekkomyślnie.

--Nie wiem. Nie liczy się to, co mogłoby się zdarzyć, tylko to, co może, jeszcze tej nocy.

--Wychowany i szkolony do walki -- mruknął Wilkun. -- Myśli jedynie o nadchodzącej bitwie.

Jej policzki oblał gwałtowny rumieniec i odwróciła się od nich obu, ale wiedział, o czym myślała. Ciężko mu było samemu o tym nie myśleć. Puścił jej nadgarstek. Nagle jego uścisk skojarzył się z żelazną obrozą Krwawego Serca, sposobem, by zmusić ją do zrobienia tego, czego pragnął, a nie pozwoleniem jej na samodzielny wybór.

--To prawda, że nie mam ci do zaoferowania dóbr ziemskich albo pieniędzy jako części umowy małżeńskiej. To prawda, że mój ojciec się sprzeciwi. Ale może się zastanowić, gdy usłyszy o związku zawartym w obecności świadków, pełnoprawnym i wiążącym. Nie jestem jedynym mężczyzną dla księżniczki Adelheidy. Najpierw niech się mój ojciec sprzeciwi, a potem zobaczymy. Może bandyci napadną i zabiją nas oboje, zanim wrócimy do Werlidy, by król nas osądził! A poza tym mam inne możliwości.

--Jakie? -- spytał Wilkun z sarkazmem.

--Gdzie jest teraz moja matka, Wilkunie? -- spytała Liath, przerywając mu.

Milczał z uporem.

--Nie powiesz mi -- rzekła ostro.

--Nie mogę teraz swobodnie z tobą rozmawiać.

--Z powodu Sanglanta? -- Wyglądała na zaskoczoną.

--Nie zawsze jesteśmy sami -- powiedział Wilkun tajemniczo i jakby w odpowiedzi na te słowa nagle zjawila się sowa. Odważnie usiadła na gałęzi, która zwieszała się nad drogą, kilka kroków za koniem Wilkuna. Czy to ta sama sowa, która powiodła ją do płonącego kamienia? Była na pewno tej samej wielkości. Jej nagle pojawienie się rozwścieczyło psy, które ujadaly, dopóki ptak bezgłośnie nie poderwał się do lotu i zniknął w ciemniejącym lesie. Drzewa i poszycie przybrały szaroniebieski odcień, gdy letni zmierzch zmieniał się w noc.

Kiedy Wilkun znów się odezwał, mówił z powściąganym gniewem i gwałtownością:

--Musisz przyjąć, Liath, że schwytały nas większe prądy, niż potrafisz zrozumieć -- i dopóki nie zrozumiesz, muszę być ostrożny.

--Dlaczego król Henryk cię nienawidzi? -- spytała. Zdradził się, zerkając na Sanglanta, i to sprawiło, że ona również na niego spojrziała. -- Ty wiesz? -- zdziwiła się.

--Oczywiście, że wiem. -- Dawna historia wzbudzała w nim jedynie lekkie rozbawienie. -- Próbował mnie utopić, kiedy byłem niemowlęciem.

--Czy to prawda? -- zapytała Wilkuna.

Skinął głową. Nie mógł dłużej ukrywać gniewu -- irytacji człowieka, któremu rzadko zdarza się, żeby pokrzyżowano jego potajemne plany.

--Niestety, nie udało mu się -- dodał Sanglant, którego ponure milczenie Wilkuna zaczynało naprawdę bawić. -- Wtedy nie musiałbym znosić jego późniejszych prób przekonania mnie, że jestem częścią straszliwego spisku, uknutego przez moją matkę i jej lud. „Kto wie, co się wydarzy, gdy korona gwiazd ukoronuje niebiosy?” Gdybym tylko wiedział, matka pewnie by mnie nie porzuciła, niechcianego dziecka. Przynajmniej ojciec o mnie zadbał.

--A czy wciąż będzie o was dbał, księżę panie -- spytał Wilkun ochryple -- gdy wrócicie z żoną, którą nie on wam wybrał?

Uśmiech Sanglanta był ponury i pewny, jego głos spokojny:

--Posiadam inne możliwości, ponieważ wsławiłem się jako żołnierz. Wielu książąt na tym świecie byłoby szczęśliwych, gdybym walczył u ich boku, nawet ryzykując niezadowolenie króla Henryka. Nie jestem już smokiem -- czy pionkiem -- którego ty, Wilkunie, czy mój ojciec użyjecie w swej partii szachów. Opuściłem szachownicę i będę żył na swój sposób z jego błogosławieństwem... czy bez niego. Przysięgam.

Wilkun nie odpowiedział. Liath też nie -- przynajmniej nie słowami. Zamiast odpowiedzi zdjęła swój Orli płaszcz, zwinęła, po czym odpięła odznakę i wpięła ją w tkaninę.

--Przykro mi -- powiedziała, wyciągając je. -- Ale podjęłam decyzję wiele dni temu, w dziwniejszych okolicznościach niż te. Moja matka wie, gdzie mnie znaleźć.

--Nie tak miało być! Niemożliwe, abyś się z nim złączyła!

--Bo ty sobie tego nie życzysz? -- spytała. -- Odmawiam bycia związaną przeznaczeniem, które inni dla mnie wybrali!

--Liath! -- Wilkun nadal się nie pochylił, aby wziąć płaszcz i odznakę. -- Jeśli z nim odjedziesz, zostaniesz bez pomocy...

--A sądzisz, że kiedykolwiek żyłam inaczej? Radziłam sobie z tatą.

--Przez jakiś czas. -- Czy ta odpowiedź miała być znacząca, czy też podyktowana jego gniewem? Naprawdę zdawał się przejmować losem Liath. -- Zastanów się nad tym. Muszę zabrać nie tylko płaszcz i odznakę, ale również konia. Zapasy zostały przygotowane dla Orła, a nie konkubiny Sanglanta.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

--W takim razie doskonale, że mam własnego konia, prawda? -- Zsiadła, przywiązała płaszcz do siodła i zdjęła koc. -- To też jest moje. Pani Birta mi go dała. -- Wzięła wodze od Sanglanta i wyciągnęła je w stronę Wilkuna, który się nie ruszył.

--A co z łukiem i mieczem? -- zapytał.

Jej wyraz twarzy się nie zmienił. Szybkość, z jaką podjęła decyzję i bezwzględność, z jaką się jej podporządkowała, zaimponowały Sanglantowi i trochę go przestraszyły. Zaczęła rozpinąć pas, by zdjąć pochwę z mieczem.

--Nie -- powiedział Wilkun szybko. -- Nie mogę zostawić cię bezbronną. Skoro nie udało mi się przekonać ciebie, byś pojechała ze mną, niech to będzie moja wina. Może zmienisz zdanie. -- Ujął wodze, ale wbił wzrok w twarz Liath, jakby chciał zajrzeć w jej serce. -- Nadal możesz zmienić zdanie... -- Skrzywił się lekko, jakby miał cierń w stopie --...chyba że zajdziesz z nim w ciążę. O Boże, czemu mi nie zaufasz? Są większe rzeczy, niż wiesz...

--Wobec tego opowiedz mi o nich!

Ale on tylko spojrział na drzewo, z którego poderwała się sowa.

--Spójrz -- powiedział Sanglant, ze wszystkich sił starając się mówić spokojnie, choć chciał wrzeszczeć z radości. -- Mam dwa konie. Klacz jest spokojniejsza.

--Nie, poprawię tylko siodło na Resuelto. Pojadę na nim.

Zostawili Wilkuna na drodze, zdawał się schwytyany przez niewidzialną dłoń. Stał w bezruchu z jedną dłonią na wodzach własnego konia, drugą trzymając wierzchowca Liath. Liath odwróciła się raz, zanim minęli zakręt, jadąc na północ, by spojrzeć na niego po raz ostatni. Sanglant nie zawracał sobie tym głowy.

Na początku nie mieli o czym rozmawiać, tylko jechali, wpatrując się uważnie w ciemniejący trakt prowadzący do Ferse. Jej oddech, stukot kopyt końskich, drapanie psów, które biegły obok, wypuszczając się czasami na skraj drogi czy warcząc na siebie, zlewały się z szumem wiatru w gałęziach i odgłosami budzących się nocnych zwierząt.

--Skąd masz tego konia? -- zapytał wreszcie. -- Jest bardzo piękny. Wydaje mi się, że już go wcześniej widziałem.

--Hrabia Lavastine dał mi Resuelto w nagrodę za moją służbę w Gencie. I całe wyposażenie.

To obudziło iskierkę zazdrości, która szybko zgasła. Nie jechała z hrabią Lavastinem. Jechała z nim.

--Czy król Henryk będzie bardzo zły? -- zapytała drżącym głosem.

--Tak. Chce, bym pojechał na południe, do Aosty, osadził księżniczkę Adelheidę na tronie, ożenił się z nią i ogłosił się królem. Wtedy on mógłby pomaszerować na południe, zostać ukoronowany przez skoposę na cesarza i ogłosić mnie swym dziedzicem i następcą z racji prawomocności, jaką nadałby mi tytuł królewski.

Jej odpowiedź była raczej zduszonym warknięciem. Wjechali na polankę, poprzedzającą otwartą przestrzeń, która się przed nimi rozciągała i tam w słabym świetle wieczoru ujrzal

wyraźnie jej twarz.

--Ale jeśli mnie poślubisz...

Osadził konia i musiała się zatrzymać.

--Porozmawiajmy o tym raz i nie wracajmy do tego -- rzekł, zdenerwowany nie przez nią, tylko z powodu klótni, które wybuchną, gdy wrócą na dwór królewski. -- Jako więzień Krwawego Serca widziałem, co znaczy być królem. One, mój orszak... -- Wskazał psy, które były już na tyle dobrze wytresowane, że nie próbowały rozdzierać końskich brzuchów. -- ...chciały rozedrzeć mi gardło za każdym razem, gdy okazywałem słabość. Podobnie zachowaliby się wielcy książęta w stosunku do mego ojca, gdyby okazał słabość. Wyobraź sobie, jak by warowali u mych stóp, skoro jestem bękartem i tylko na wpół człowiekiem. Rok tak żyłem, uwięziony w katedrze w Gencie. Nigdy więcej. Nie chcę być królem czy cesarzem. Ale jeśli nie możesz mi uwierzyć, Liath, wracaj do Wilkuna. Albo zerwij z królem i zaoferuj swą służbę hrabiemu Lavastine'owi, który najwyraźniej cię ceni. Nie będę powtarzał tej rozmowy jeżeli w głębi serca wątpisz w me intencje.

Zrazu nic nie odrzekła. Wreszcie szturchnęła konia piętą i ruszyła na północ. Pojechał za nią. Jego serce biło mocno i zakręciło mu się w głowie, tak że musiał złapać się siodła, by nie spaść. Dudnienie w uszach narastało, dopóki nie otrząsnął się, zrozumiawszy, że słyszy tętent kopyt.

--Do mnie -- powiedział krótko i usłuchała.

--Co się stało? -- Ale ona również usłyszała. Chwilę później ujrzeli jeźdźców.

Dwaj mężczyźni zatrzymali się z wyraźną ulgą.

--Książę panie! -- Ich konie były w złym stanie: nie pomyśleli o zabranii luzaków.

--Wracamy do wioski -- powiedział Sanglant. -- Spędzimy tam noc. Potem dołączymy do króla.

Przytaknęli, nie zadając pytań.

Słońce wreszcie zaszło i posuwali się w księżycowej ciemności, niekiedy idąc u boku koni, by oszczędzić zdrożone wierzchowce, a także z powodu złego światła. Nie miał nic do powiedzenia Liath, nie kiedy służący trzymali się tak blisko. A poza tym i tak nie wiedział, co powiedzieć. Zresztą po co mówić? Decyzja została podjęta. Dzięki Bogu, nie było już o czym dyskutować.

Jechała z wyprostowanymi plecami, jej postawa wyrażała dumę i pewność. Czy miała wątpliwości, jadąc u jego boku? Nie potrafił ich wyczytać z jej twarzy, ukrytej w zapadającym zmroku. Wydawała się zdecydowana, z wysuniętym podbródkiem.

U bramy Ferse płonęła pojedyncza latarnia niby gwiazda, która spadła na ziemię -- jedyne światło poza mglistą poświatą spływającą z niebios. Południowy horyzont zasnuły chmury gnane porywistym wiatrem: nadchodziła burza.

Pozwolił jednemu ze służących walić do bramy, starając się nie myśleć o tym, co ich czekało: zimna kolacja i łóżko. Parę kobiet zbliżyło się do niego przez ten miesiąc -- kilka, podejrzewał, z polecenia Helmuta Villama, który zdawał się wierzyć, że każdą chorobę, która opanowała męskie ciało, da się wyleczyć dużą dawką seksu -- ale nie tknął ani jednej. Bał się, że wyjdzie na głupca.

Teraz, gdy uchylono bramę i niezwykle zdumiony młody strażnik wpuścił ich za palisadę, żałował, że żadnej nie tknął. To przynajmniej osłabiłoby ten straszliwy apetyt, jakim jest

niezaspokojone pragnienie. Nawet ojcowie i matki Kościoła wiedzieli, że łatwiej wypełnić z ciała pożądanie jedzenia i picia niż skłonność ku przyjemnościom seksualnym.

W Ferse czekał tuzin jeźdźców, zbrojnych wysłanych przez króla, którzy zatrzymali się na rzeczoną zimną kolację przed wyruszeniem na szlak. Gapili się na Liath, gdy młody strażnik poprowadził ją i Sanglanta do domu, by spotkali jego matkę, kobietę zwaną Hildą. Gospodyni paliła się, by obsłużyć księcia. Nakarmiła ich pieczonym kurczakiem, fasolą, gotowaną rzepą i kawałkiem kołacza.

--Potrzebujemy jeszcze dwóch rzeczy -- rzekł Sanglant, gdy wypił swoje ciemne piwo. -- Łóżka. -- Kilku zbrojnych stłumiło śmiech, ale nie kpili z niego, okazywali jedynie rozbawienie. Wszyscy byli żołnierzami, którzy dołączyli do niego pod Gentem. -- Oraz was na świadka, pani Hildo, wraz z tymi mężami.

Czekali. Pani Hilda gestem nakazała synowi napelnić kubki, a reszta domowników zebrała się w cieniu pod ścianami, by słuchać.

Liath nie odezwała się, odkąd przyłączyli się do nich jeźdźcy, ale teraz wstała Jej dłoń, gdy ujęła drewniany kubek, lekko drżała. Szybko stanął obok, spięty Jak ogar trzymany na krótkiej smyczy.

--Mając tych ludzi za świadków, przysięgam ci... -- Zająknęła się, spróbowała ponownie, tym razem patrząc na niego, nie spuszczając z niego oka. -- Z własnej woli oznajmiam przed Bogiem i tymi ludźmi chęć poślubienia tego mężczyzny, któremu matka nadała imię Sanglant.

Nie zająknął się tylko dlatego, że powtarzał jej słowa.

--Z własnej woli oznajmiam przed Bogiem i tymi ludźmi chęć poślubienia tej kobiety, której ojciec nadał imię Liathano.

--Poświadczam -- oznajmiła pani Hilda donośnym głosem.

--Poświadczam -- wymamrotali biedni żołnierze, którzy doskonale wiedzieli, że będą musieli tłumaczyć się z całej sprawy, gdy tylko wrócą na dwór królewski.

A potem wszyscy osuszyli swoje kubki i nastąpiła jedna z tych niezręcznych chwil, kiedy wszyscy czekają, aż ktoś inny uczyni pierwszy ruch.

Pani Hilda wzięła to na siebie. Narobiła takiego zamieszania, udostępniając najlepsze łóżko, że Sanglant roześmiałby się, gdyby nie był tak potwornie spięty. Bez wątpienia, gdy rozniesie się wieść, że syn królewski spędził tu swą noc poślubną, wielu wieśniaków da koszt najlepszych owoców, doskonałego kapłona albo kilka tłustych przepiórek za przywilej pozwolenia ich synom i córkom na spędzenie nocy poślubnej w tym samym łożu, w nadziei, że przylgnie do nich trochę królewskiego szczęścia i płodności.

Łóżko, zbudowane pod niskim skośnym dachem, wyłożone było cudownym puchowym materacem i miało zasłony, które można było zaciągnąć. Pani Hilda osobiście zgoniła dwa charty skulone na materacu. Kiedy jej córka trzepała na zewnątrz koldry, gospodyni podjęła heroiczną próbę oczyszczenia łóżka z pcheł i pluskiew. Potem zagoniła żołnierzy do pustej części domu, w której zimą rodzina trzymała żywinę.

Jedna lampa nadal się paliła, a drzwi, otwarte, by wpuścić powiew wiatru, pozwalały perłowemu światłu księżyca penetrować zakamarki domostwa. Pani Hilda z pompą odprowadziła ich do łoża i zaciągnęła zasłony. Było zaskakująco ciemno; nic nie widział. Powietrze było duszne. Liath siedziała obok. Ani ona, ani on się nie poruszyli. Był bardzo zadowolony ze swego opanowania. Siedział tu, rozmyślając, że powinien zdjąć sandały i

nogawice. Pot perlil mu się na karku i kilka kropli spłynęło po plecach. Łoże nadal pachniało psami i wełną, którą pod nim trzymano. Psy Eików zaszczekały na zewnątrz, gdzie je uwiązał, a potem umilkły.

--Sanglant -- wyszeptała. Westchnęła, a on niemal stracił głowę. Ale nie poruszył się. Bał się poruszyć.

Ale ona zrobiła pierwszy krok. Jej palce dotknęły jego policzka dawnym gestem, zapamiętanym z krypty katedry w Gencie, przesunęły się ku uchu, a potem na kark, gdzie obrysowały szorstką powierzchnię żelaznej, niewolniczej obroży aż do zapięcia.

--Przysięgam, że nigdy nie pokocham nikogo prócz ciebie. -- Jej głos był ochryply z zachwytu. Bez pytania odnalazła sprytny mechanizm, który zamykał obrożę. Bez łańcuchów łatwo się ją odpinało. Błyskawicznie ją zdjęła, a potem syknęła, delikatnie dotykając skóry. On też syknął, ale z bólu; skóra pod nią była bardzo wrażliwa. Pochyliła się, aby pocałować go w szyję, ponad zabliznioną raną, która zniszczyła mu głos, odniesioną cztery lata temu... a może pięć? Jej usta płonęły jak ogniem, ale pośród zasłon było gorąco. Jedynym sposobem, by czuć się dobrze, było zdjęcie odzienia -- choć w tej zamkniętej przestrzeni, gdy ona się rozbierała, odwracając jego uwagę, nie było to łatwe zadanie.

Otarła się o niego, naga, z gorącą skórą, i chętnie położył się obok, choć potrzebował niezwyklej siły woli, by po prostu nie załatwić sprawy od razu -- bo nie wątpił, że poszłoby mu szybko -- i choć na chwilę uwolnić się od straszliwego napięcia i podniecenia.

Ona nie miała tak silnej woli lub uznała ją za niepotrzebną. To, co nastąpiło potem, przebiegło raczej szybciej, niż sobie tego życzył, ale nie zhańbił się; jego modlitwy zostały wysłuchane, Pan nad nim czuwał i zdołał zachować się jak człowiek, a nie stracił kontroli jak pies.

--O Pani -- wyszeptała gwałtownie, jakby przestraszyła ją siła własnej namiętności. -- Wszystko spałę. -- Otoczył ją ramionami jak tarczą przed lękiem. Z twarzą przyciśniętą do jego szyi wymruczała wolno: -- Nie jestem... nie jestem tym, czym się wydaję. Już to wyczuleś. Tato ukrył to przede mną, zamknął...

Tak blisko, gdy przyciskała się do niego i nic ich nie oddzielało, wreszcie zrozumiał, co tam drżało, nie uformowane, niespokojne, niemal jak druga istota, uwięziona w jej skórze.

Ogień.

--Jesteś jak ja -- powiedział i usłyszał, że chryпка sprawiła, że w jego głosie brzmiało zaskoczenie. I rzeczywiście je czuł.

--Co przez to rozumiesz? -- Poruszyła się, zmieniła pozycję i spojrzała na niego, choć w tej ciemności nie mogła go widzieć.

Dobierał słowa powoli, precyzyjnie.

--Płynie w tobie więcej niż ludzka krew.

--Krew Aoi? -- Zdawała się oszolomiona.

--Nie, znam zapach krwi Aoi, to nie to. Nie rozpoznaję tego.

--Pani, zmiłuj się. -- Opadła na jego pierś tak ciężko, że stęknął, gdyż wybiła mu całe powietrze z płuc.

Przez długą chwilę tkwił pogrążony w przyjemnym otępieniu, odczuwając tylko ten fizyczny kontakt, jej oddech na policzku, rozplecione włosy spływające na jego ramiona, jej ciężar na biodrze i piersi, lepkość stykających się skór. Mógł tak leżeć przez dziesięć albo

tysiąc oddechów. Po prostu istniał wraz z nią, nic więcej, nic mniej, sami w wielkim świecie, tylko to się liczyło.

Odezwała się w ciszy:

--Nadal masz książkę.

--Mam. Czy cały czas zamierzałaś zostawić ją mnie?

--Wszystko zdarzyło się tak szybko. Nie wiedziałam, co robić. -- Pochyliła się i podmuchała na jego szyję, jakby jej oddech mógł uleczyć otartą skórę, jedyne wspomnienie niewoli. -- Wiesz, co jest w tej księdze?

--Nie.

--Mój ojciec był matematykiem, czarnoksiężnikiem. Podejrzewam, że za to wydalono go z Kościoła, zanim poślubił moją matkę -- która również była czarnoksiężnikiem -- i ja się urodziłam. Ta książka zabiera zbiór wszystkich nauk na temat sztuki matematyków, jakie mógł znaleźć... -- Zawahała się, znów dotknęła blizny na jego gardle.

Czekał. Zdawała się oczekiwać czegoś od niego.

--Czy to cię nie martwi? -- spytała w końcu.

--A powinno?

--To nie wszystko. -- Usłyszał w jej głosie nutę irytacji, że nie odpowiedział tak, jak oczekiwała i uśmiechnął się. Jej oczy lśniły w ciemności iskrami błękitnego ognia. Zza zasłon dochodziło chrapanie, kaszel dziecka, niespokojne skomlenie psa i cichy syk drewna na palenisku przed domem, gdzie zasypano na noc ogień. -- To, co powiedział o mnie Hugo, jest prawdą. To prawda, że chciał mnie z powodu wiedzy, którą, jak sądził, posiadałam, ale to nie wszystko. Cały czas wiedział. Wciąż wie, że jest coś jeszcze. Kiedy wrócimy na dwór, nie ustanie w wysiłkach, by mnie odzyskać. -- Urwała. -- Czy pogardzasz mną za to, czym dla niego byłam?

--Czy ty naprawdę myślisz, że po Gencie będę cię osądzał? Łatwiej tobie pogardzać mną za to, że stałem się nie lepszy od psa. -- Nie mógł się powstrzymać. Warczenie, które dobyło się z jego gardła, było odruchowe i niechciane; nie potrafił kontrolować tej pozostałości życia wśród psów i nienawidził się za to.

--Cicho -- powiedziała spokojnie, znów przyciskając palec do jego gardła. -- Już nie nosisz niewolniczej obroży Krwawego Serca.

--A ty Hugona -- odparł. -- Mam go dość. Może ma jeszcze władzę nad tobą, ale nie nade mną.

--Tak sądzisz? Próbował zamordować Theophanu!

Usiadł gwałtownie.

--Nie tak głośno -- wyszeptał. -- O co ci chodzi? -- Dzięki wykształceniu, jakie otrzymała, potrafiła opowiedzieć historie krótko, ale ze wszystkimi szczegółami. Zdała mu relację z wypadku w lesie, gdzie Theophanu wzięto za jelenia, potem -- opornie na początku, a gdy nie przeraził się, pewniej -- opowiedziała o wizji w ogniu, gdzie Theophanu płonęła od gorączki i o panterzej broszy, którą matka Rotgarda uznała za ligaturę stworzoną przez maleficus: czarownika, który chciał jedynie spełnienia własnych, egoistycznych pragnień.

Odsunęła się nieco, opowiadając, choć łoże nadal się uginało. Łatwo byłoby po prostu złapać ją za ramię i przyciągnąć do siebie. Nie wystarczył mu dotyk -- ale musiał skupić się na innych myślach, nie pozwolić, by jej ciało odwracało jego uwagę.

--Jeśli Hugo praktykował magię, jakiej innej broni potrzebuję przeciw niemu, skoro wie, że mogę go oskarżyć? Ale ty musisz mi powiedzieć, co jeszcze zrobiłaś, jeśli coś zostało.

Natychmiast się zorientował, jak się od niego odsuwa: nie ciałem, ale w ten niewyczuwalny sposób, zrywając więź między nimi.

--Dla... dlaczego?

--Abyśmy byli przygotowani. Abyśmy zaplanowali taktykę. Zainteresował się tobą nie tylko Hugo. O Panie! Nigdy nie ufałem Wilkunowi, choć nie żywię do niego niechęci.

--Nawet po tym, jak...?

Uśmiechnął się.

--Trudno nie lubić człowieka za czyn, którego nie pamiętasz i znasz tylko z opowiadań. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek próbował mnie skrzywdzić, tylko gnębił nieustającymi oskarżeniami o „koronie gwiazd” i jakimś niewyobrażalnym spiskiem uknutym przez moją matkę i jej lud. Ale teraz to jasne, czemu się tobą interesował, jeśli naprawdę jesteś dzieckiem czarnoksiężników. Czy wie o tobie wszystko?

--Nie wszystko -- przyznała. -- Nie mogę mu ufać, mimo że uwolnił mnie od Hugona. Nie żywię do niego niechęci. Ale komu mam zaufać? Kto mnie nie potępi za to, czym jestem? Kto mnie nie nazwie maleficusem?

--Ja cię nie potępię.

--Naprawdę? -- zapytała gorzko i opowiedziała mu o spaleniu pałacu w Augensburgu. -- To nie wszystko. Kiedy jechałam do Lavas, tak samo spaliłam most. Widziałam cienie martwych elfów polujące w głębokiej puszczy. Rozmawiałam z czarownikiem Aoi, który zaproponował, że będzie mnie uczyć. Śledziły mnie demony. Jeden z nich był piękny jak anioł, a jednak był potworem, bo nie miał duszy. Mogłeś to dostrzec w jego oczach. Wołał mnie straszliwym głosem, ale minął i nie zauważył, choć siedziałam na widoku. Byłam zbyt przerażona, by się ruszyć. O Pani! Nie wiem, czym jestem. Nie wiem, co tato przede mną ukrył!

--Cicho. -- Położył palec na jej ustach, by uciszyć bezradną wściekłość. -- Wilkun ma rację: potrzebujesz szkolenia.

--Kto na tym świecie będzie mnie uczył, nie potępiając? Nie wysyłając do skoposy, by mnie osądziła jako maleficusa?

--Twoja matka?

--Wilkun nie powiedział mi, gdzie ona jest. Nie ufam jego tajemniczości.

--I nie powinnaś.

--I nie wiem... po prostu nie wiem... To takie dziwne, że ta wieść przyszła teraz, po tym, jak tato i ja tyle lat tułaliśmy się sami.

--Wobec tego będziemy musieli znaleźć kogoś, kto będzie cię uczył, nie potępiając. Jesteś jak szybki, mocny, utalentowany chłopiec, który wziął miecz w ręce, ale nie został wyszkolony do używania go. Równie dobrze może poranić siebie i towarzyszy, jak powalić wroga.

--Sanglancie -- rzekła cicho. -- Dlaczego się mnie nie boisz? Wszyscy inni się boją! -- Jej dłoń spoczęła na jego lewej łopacie. Wyobrazil sobie każdą część jej ciała, miękką, twardą, przyciśniętą do niego.

Absurdalność sytuacji sprawiła, że się roześmiał.

--Czy mogłabyś zrobić mi coś, czego jeszcze od ciebie nie doznałem? Jestem na twojej łasce. Dzięki Bogu!

Poczuł, że się na niego obraziła. Natychmiast zrozumiał, że nikt z niej jeszcze nie żartował. Ale nawet po roku wśród psów pamiętał jeszcze coś ze skomplikowanego, odwiecznego tańca mężczyzny i kobiety. Są miejsca, w których obraza znika, a on wiedział, jak do nich dotrzeć.

3.

Liath obudziła się, czując dziwaczny ucisk na piersi i członkach. Sanglant spał obok, przyciskając kostkę jej nogi swoją. W zasłoniętym łóżku było zbyt gorąco, by się przytulać. Nie była niczym przykryta, a jednak coś ją otulało tak miękko, że nie przeszkadzał jej nawet pot i duszny upał. Długą chwilę zajęło jej rozpoznanie tej dziwnej rzeczy; leżała zupełnie nieruchomo, by jej nie spłoszyć.

Spokój.

W oddali zabrzmiał grzmot. Na zewnątrz zapiał kogut. Pchła wskoczyła jej na ramię: zgmiotła ją w dwóch palcach.

Sanglant poderwał się, wyciągając ręce w obronnym geście i niemal ją uderzył, warcząc.

--Nic nie widzę! -- syknął rozpaczliwie.

--Nie jesteś w Gencie.

--Liath? -- Wydawał się bardziej zaskoczony niż ucieszony. Wyciągnął ręce, złapał ją i przycisnął do siebie tak mocno, że straciła oddech. -- O Boże! Jesteś prawdziwa.

--A jak ci się wydawało?

Plakał.

--Tak często śniłem o tobie w Gencie, zapomniałem, co jest jawą, a co snem, a potem się budziłem. O Pani. To było najgorsze: gdy budziłem się i odkrywałem, że nadal jestem więźniem Krwawego Serca.

--Cicho -- powiedziała, całując go. -- Jesteś wolny.

Pokręcił głową. Zakolysał się, nie mogąc usiedzieć spokojnie, cały czas ją obejmując. Potem ruch ustał równie gwałtownie, jak się zaczął, a Sanglant uniósł twarz i spojrzał na Liath. Światło sączyło się przez szczelinę powstałą w miejscu, gdzie drewniane kółka zasłony przyczepione były do sufitu; ujrzała jego twarz niby szarą maskę, oszłomioną, radosną, zdeteminowaną.

--Nie bierz ślubu, Liath -- wyszeptał słowa, które wyrzekł do niej dawno temu, przed upadkiem Gentu. A potem uśmiechnął się. -- Chyba że ze mną.

--Lekkomyślne -- mruknęła.

--Co?

--To. Ślub.

Jego głos spoważniał:

--Już tego żałujesz?

Roześmiała się. To pożerające ją pragnienie było niezwykle deprymujące. Nie mogła oderwać od niego rąk.

--O nie, nie. Nigdy. -- To był inny rodzaj ognia, równie intensywny, ale bardziej satysfakcjonujący. Nie próbował się jej opierać, nawet wiedząc, że za zasłonami łóżka z początkiem nowego dnia budziła się wieś, ale był znacznie bardziej powściągliwy -- choć od czasu do czasu zapominał się i gryzł.

Wreszcie musieli się ubrać. Słyszeli panią Hildę i jej domowników, żołnierzy spacerujących niespokojnie przed domem, rozmawiających i żartujących, jednak nikt nie odważył się przeszkodzić dwojgu ukrytym za zasłonami. Czuli się zażenowana, gdy wreszcie je odsunęli. Sanglant zdawał się ignorować spojrzenia, szept, chichoty, żartobliwe gratulacje. Wciągnął nogawice i zawiązał sandały z niezwykłą koncentracją, bez wątplenia coś planując. Wziął

głęboki wdech i zatrzymał powietrze w płucach, a potem pokręcił głową jak pies otrząsający się z wody.

--Nic -- mruknął. -- Nie czuję tu jego zapachu.

--Czyjego zapachu?

--Krwawego Serca. -- Przypiął miecz. -- Krwawe Serce rzucił klątwę, by chronić się przed każdym, kto próbowałby go zabić. Twoja dłoń uwolniła z cięciwy strzałę, która go zabiła.

Wpadła pani Hilda, niosąc dwa kubki jablecznika. Z satysfakcją przyglądała się zmiętej pościeli, gdy pili.

Kwaśny jablecznik rozjaśnił Liath w głowie.

--Klątwa utkana jest z magii -- powiedziała cicho. -- A tato ochronił mnie przed magią. Nie może mnie skrzywdzić.

Zaklął.

--Przechwalki!

--Wcale nie! Nie widziałeś demona, który przeszedł obok, nawołując mnie, ale nie widząc. Zdarzyło się to kilka razy.

--Że byłaś chroniona przed magią? Jak to?

--Sądzę, że tak jak zbroja chroni cię przed ciosem miecza. Jakbym była dla magii niewidzialna.

Poważnie się nad tym zastanowił.

--Pamiętasz chwilę, gdy umarł Krwawe Serce?

Dotknęła kolczana leżącego na łóżku.

--Jakże bym mogła zapomnieć? Kiedy cię pierwszy raz ujrzałam... -- Urwała, uświadomiwszy sobie, że podniosła głos. Wszyscy odwrócili się ku nim -- dzieci, dorośli, niewolnicy, nawet żołnierze, którzy stłoczyli się w drzwiach -- gdy tylko usłyszeli głos Sanglanta. Nie każdego dnia ci ludzie mieli okazję oglądać królewski ślub.

--Ach -- powiedział Sanglant, zakłopotany, ale ona nagle poczuła, że kłopotala go nie publiczność, tylko wspomnienie Gentu i zezwierżenie, w jakim znaleźli go Liath i Lavastine. Skierował się ku drzwiom, a Liath pośpieszyła za nim, nie do końca pewna, dokąd zmierzał. Kierował się ku trzem psom Eików, które zaszczekały i próbowały się na nich rzucić. Uciszył je kulakami, po czym zdjął piękną, wzmocnioną sakwę. W środku ujrzała *Księgę Tajemnic*, ale nie wyjął jej; wyciągnął za to złoty torkwes, symbol krwi królewskiej. Odwrócił się.

--Tylko tyle mogę ci dać. To mój poranny podarek.

Zebrana publiczność westchnęła, widząc wspaniałość daru, lecz Liath wiedziała, że wśród szlachty taki klejnot, choć rzeczywiście piękny, byłby zaledwie jednym z wielu podobnych -- ale jedynie kobiety i mężczyźni urodzeni w królewskim rodzie mieli prawo do noszenia torkwesu splecionego ze złota.

--Nie mogę... -- wykrztusiła.

--Błagam cię -- wyszeptał.

Tylko to miał.

Wzięła od niego torkwes, po czym zarumieniła się, upokorzona.

--Nie mam niczego, co mogłabym ci dać... -- Niczego, prócz podarków, które otrzymała dzień wcześniej od Lavastine'a i Alaina, ale oddanie ich teraz wydawało się upokarzające dla niego, dla niej, dla panów, którzy ją nagrodzili. Spojrzała na żołnierzy i doznała olśnienia. -- Ale

będę miała, jeśli zgodzisz się poczekać.

Roześmiał się ostro i radośnie.

--Nauczyłem się cierpliwości. -- Otrzeźwiał, ujrzał czekających żołnierzy, osiodlane konie, gotowe do odjazdu, i wyczekujących wieśniaków. Znow zabrał grzmot, deszcz zmoczył piasek.

--Co mam zrobić, Liath? -- szepnął. -- Nie mam nic, by ich obdarować za gościnność. Nie mogę odjechać, nie płacąc im. Okryłbym hańbą siebie i ojca. O Boże! -- Skrzywił się, opanował, po czym wyrwał nóż z pochwy i wyluskał klejnoty z pięknej skórzanej sakwy, w której nosił książkę, mrużąc pod nosem: -- Wilkun miał rację. Nie mam nic własnego. Wszystko dostaję z łaski ojca.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ona też, prócz konia, książki i broni nic nie posiadała. Jednak niewielu ludzi miało aż tak wiele. Czy jednak nie byłoby rozsądniej udać się do matki, która prawdopodobnie posiadała środki, by ją nakarmić, dać dach nad głową i uczyć?

Prawdopodobnie.

Ale patrząc, jak Sanglant rozdaje prezenty -- a klejnoty zrobiły wrażenie na wieśniakach -- nie mogła sobie wyobrazić innej decyzji niż ta, którą podjęła poprzedniego wieczoru.

Wyjechali z Ferse, gnani wiatrem, tylko po to, by przekonać się, że przewoźnik nie weźmie ich na prom. Schronili się pod drzewami, a nad nimi przewaliła się burza, krótka, lecz gwałtowna. Obfity deszcz zmienił piasek w błoto. Wiatr smagał rzekę, którą pokryły fale. Użyła koca jak płaszcz, by się okryć, Sanglant zaś wyszedł w sam środek ulewy, nie zwracając uwagi na smagający go deszcz. Stał, dopóki włosy nie przywarły mu do czaszki, a odzienie nie oblepiło ciała w niezwykle zachęcający sposób. Świeża blizna, zostawiona przez niewolniczą obrożę, odcinała się ostro od ciemnej skóry.

--Zostawiłeś obrożę Krwawego Serca -- odezwała się nagle.

Otarł deszcz z czoła i odsunął z oczu mokre włosy.

--Przyda się wieśniakom. -- Potem uśmiechnął się znajomym czarującym uśmiechem, który po raz pierwszy ujrzała w Gencie. Zaczął się przekomarzać z żołnierzami, którzy, podobnie jak Liath, schronili się pod drzewem z płonną nadzieją, że deszcz ich nie zmoczy. Rozbawił ich szybko -- jedli mu z ręki, jak powiedział tato wiele lat temu, gdy obserwowali andallańskiego kapitana, przygotowującego swych ludzi do bitwy -- i nikt nie zwrócił uwagi na opóźnienie.

Mając tyle koni, musieli sześć razy obrócić promem, a mimo to siedem wierzchowców spłoszyło się przy wejściu na rozkołysaną platformę i trzeba było z nimi przepłynąć wplaw. Sanglant i jeszcze dwóch rozebrali się, a Liath musiała się odwrócić z płonąca twarzą, słuchając towarzyszy, którzy przestali się hamować, dowcipkując na temat nocy poślubnych, ujeżdżania i przerzucając się sprośnościami.

--Proszę -- powiedział Sanglant poważnie, gdy się do nich przyłączył. -- Nie śmiećcie się z małżeńskiego łóżka ani mej żony, która i tak będzie miała trudną przeprawę na królewskim dworze. -- Wyglądali na nieco urażonych, ale szybko ich oblaskawił, wypytując każdego o dom, rodzinę i bitwy, w których walczył.

Błoto i kolejna nawałnica mocno spowolniły podróż, a Sanglant zdawał się nie spieszyć z powrotem. Ona też nie. Im bliżej byli celu, tym bardziej się denerwowała. W południe dotarli jednak w pobliże Werlidy. Nawet z drogi pod umocnieniami widać było niesłychane zamieszanie -- większe niż w chwili jej wyjazdu.

U bram powitały ich strażę.

--Książę Sanglancie, wróciliście! -- Wyraźnie im ulżyło.

--Co się dzieje? -- Sanglant wskazał niższy dziedziniec. Tuż przed nimi kwiczące świnie zostały zamknięte na ogrodzonym wybiegu, z którego teraz po jednej zabierano je do rzeźni.

--Przyjechali ledwie godzinę przed wami, książę panie! -- wykrzyknął strażnik.

--Kto przyjechał?

Na drodze rozległ się róg i zrównały się z nimi dwa tuziny jeźdźców, noszących znak jastrzębia, wyraźnie zirytowanych, że muszą czekać, dopóki nie rozpoznali księcia.

Sanglant się roześmiał.

--Pani Fortuna nam dzisiaj sprzyja. Mój ojciec będzie zbyt zajęty, by o mnie pamiętać!

Jastrząb: symbol księstwa Waylandu.

Diuk Konrad nareszcie przybył.

4.

Diuk Konrad nareszcie przybył.

Król Henryk był w podłym nastroju, wściekły z powodu zniknięcia Sanglanta. Rosvita obawiała się, że źle wróżyło to Konrowi; król, zwiedziawszy się, że diuk przybywa po nonie, uśmiechnął się ponuro. Natychmiast udał się na modły i odmówił spożycia południowego posiłku, ponieważ miał w zwyczaju tak czcić Boga, nim nałożył koronę.

--Czy będzie jakaś ceremonia? -- zapytał młody brat Konstantyn, który tylko raz, w Quedlinhamie, widział króla uroczystie odziewanego i koronowanego.

Brat Fortunatus pokręcił głową.

--Ma zamiar okazać swą niełaskę, spotykając się z Konradem, otoczony nimbem królewskiej godności. -- Cmoknął cicho. -- Biedny Konrad.

--Biedny Konrad! -- sprzeciwiła się siostra Amabilia. -- Myślisz, że diuk Konrad jest głupcem? Ja tak nie sądzę.

I rzeczywiście, Konrad Czarny nie był głupcem. Jechał na czele wspaniałego orszaku, odpowiedniego do jego rangi i godności, a obok niego na honorowym miejscu -- na bardzo pięknej białej klaczy -- jechała księżniczka Theophanu, odziana w równie piękne szaty, najwyraźniej dar od diuka. Wyglądała spokojnie, pięknie i elegancko -- dzięki Bogu!

Dopiero teraz, widząc ją, Rosvita uświadomiła sobie, jak bardzo przez ostatnie miesiące tęskniła za jej opanowaniem i ironią.

Z powodu zamieszania wokół Sanglanta, Rosvita dopiero tego ranka odkryła pośród kapitułarzy przysłanych ze scholi list od matki Rotgardy i poznała jego przerażającą treść: malefici -- czarnoksiężnicy -- kryli się na dworze! Matka Rotgarda nie wymieniła imion, być może nie знаła żadnego, pisząc list, gdy Theophanu była ciężko chora, ale Rosvita rozpoznała panterzą broszę naszkicowaną na pergaminie. Tylko marchia Olsatii i Austrii miała w swym herbie panterę.

„To sprawa Kościoła”, pisała matka Rotgarda po wyliczeniu swych podejrzeń oraz instrumentów i przedmiotów, jakimi posługiwał się maleficus. „Nie rozmawiajcie o tym z nikim, dopóki moja wysłanniczka, niejaka siostra Anne, której rzetelność i prawość są nienaganne, do Was nie dotrze. Bez jej pomocy i bez doświadczenia w podobnych sprawach nie zdołacie pokonać maleficusz i zaprawdę będziecie zdane na jego łaskę. Kiedy wesprze Was siostra Anne, razem musicie zdecydować, jakie działania podjąć, jeśli naprawdę zamierzacie wykurzyć maleficusz nory. To nie jest sprawa podlegająca osądowi królewskiemu”.

Nie odważyła się pokazać listu nawet Amabilii i Fortunatusowi. Teraz musiała czekać, aż audiencja dobiegnie końca i będzie mogła porozmawiać z Theophanu na osobności.

Król powitał diuka Konrada dumnie, w koronie, z berłem w dłoni, otoczony całym swym dworem. Dziedziniec przed dworem zapełniony był ludźmi; król nakazał wynieść swój tron na zewnątrz i ustawić na wzniesionej w pośpiechu platformie. Po jego prawicy zasiadała księżniczka Sapientia, jej jedynej z całego orszaku przypadł taki zaszczyt.

Diuk Konrad wjechał w zgromadzenie z dumą księcia zrodzonego w królewskim rodzie. Siedział na koniu jak szlachcic, lekko i naturalnie; miał szerokie ramiona żołnierza i mocne dłonie. Był przystojnym mężczyzną, robiącym wrażenie, pełnym witalności -- nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Ciemna cera i czarne włosy Konrada rzeczywiście zaskakiwały, ale miał bystre błękitne oczy i bezczelny uśmiech, który posłał Theophanu, gdy zatrzymali się

przed królem. Diuk spodobał się Rosvicie bardziej niż młody Baldwin, piękny cherlak. Służący podtrzymał mu stopę, gdy zsiadał. Diuk sam pomógł zsiąść Theophanu.

--Wasza Królewska Mość. -- Nie uklęknął. Nosił wszak na szyi złoty torkwes, pięknie kontrastujący z jego ciemnobrązową karnacją, oznakę królewskiego rodu. -- Witam cię, kuzynie, i przywożę podarki, by oddać ci cześć, a także twą córkę, która jechała ze mną od klasztoru Świętej Walerii.

Henryk dał znak służącemu i po lewej stronie tronu ustawiono kolejne krzesło. Theophanu weszła po dwóch stopniach na podwyższenie i uklękła przed ojcem, który ją pobłogosławił i pocałował. Potem chłodno ucałowała Sapientię w policzki i siadła. Jej wygląd się nie zmienił, przybył jedynie rumieniec na policzkach, gdy spojrzała na Konrada; potem utkwiała wzrok w linii horyzontu, gdzie las stykał się z niebem. Widząc ją w dobrym zdrowiu, trudno było uwierzyć, że w klasztorze Świętej Walerii była bliska śmierci z powodu gorączki, którą sprowadziła na nią najokropniejsza magia. Ale matka Rotgarda nie miała powodów, by kłamać.

Konrad poczekał, aż księżniczka usiądzie, po czym dał znak swemu orszakowi. Wystąpili służący, niosąc pudła i skrzynie. Pokaz trwał jakiś czas i był bardzo piękny: odpinano brosze, pokazywano odzienie, wspaniałe arrasy rozwijano, aby ujawnić zawinięte w nie skarby. Konrad nie skąpił darów: były tam rzeźbione talerze z kości słoniowej, złote naczynia, tuzin pięknie zdobionych siodeł, szklane dzbany otulone trocinami, maleńkie emaliowane słoiczki pełne przypraw, srebrne misy tak misternie grawerowane, że na ich bokach widać było całe sceny ze starych opowieści, i dwa cudowne stworzenia zwane małpkami, które skrzeczały w podnieceniu i skakały po wielkiej klatce.

Henryk wpatrywał się w tę obfitość darów z kamienną twarzą. Kiedy Konrad skończył, Henryk jedynie uniósł dłoń, prosząc o ciszę. Zgromadzeni, szepczący i przepychający się, by lepiej widzieć, posłusznie zamilkli.

--Czy w ten sposób masz nadzieję odkupić swą zdradę?

Konrad rozdał nozdrza i napiął ramiona.

--Nie przyłączyłem się do Sabelli!

--Nie przyłączyłeś się do mnie!

Odzyskał spokój.

--Ale teraz jestem tu, kuzynie.

--Owszem, jesteś. I co mam wnioskować z twojej obecności? Dlaczego zawróciłeś mego Orła ze swej granicy w górach Alfar? Dlaczego swymi sporami nękałeś mego brata Benedykta i królową Marozię z Karrone? Dlaczego nie wsparłeś mnie w walce z Eikami i podczas bezprawnego buntu Sabelli przeciw mej władzy?

Przez chwilę Rosvita sądziła, iż Konrad odwróci się na pięcie, dosiądzie konia i wściekły odjedzie. Nieoczekiwanie ojciec Hugo wystąpił ze swego miejsca w pierwszym szeregu przy krześle Sapientii i stanął pomiędzy dwoma mężczyznami.

--Wasza Królewska Mość -- zaczął. -- Pozwól mi tymi nieskładnymi słowami pokornie błagać cię i twego szlachetnego kuzyna, byście razem zjedli posiłek, ponieważ, jak rzekł błogosławiony Daisan: „Ile dajesz, tyle otrzymujesz”. Powitajcie krewniaka winem i strawą. Lepiej zaczynać spór z pełnym niż pustym żołądkiem, bo głodna kobieta będzie się karmić gniewnymi słowami, a ta, która zjadła posiłek dany od Boga, wie, że należy przedłożyć pojednanie nad gniew.

Oczywiście miał rację. Wystąpiła i wsparła go.

--A jakie pojednanie może być lepsze -- rzekł nagle Konrad -- od uczty zaręczynowej? Udziel nam tylko błogosławieństwa, kuzynie, a twoja córka Theophanu i ja wypowiemy przysięgę małżeńską.

Henryk podniósł się wolno. Rosvita wzięła oddech i czekała. Odważna sugestia! Co Konrad chciał zdobyć taką butą?

Ale Henryk nie powiedział ani słowa o małżeństwie. Z królewską godnością zstąpił z podwyższenia i uniósł ramiona, by z braterskim uczuciem objąć Konrada.

--Wiadomość dotarła do nas zaledwie dwa dni temu i uroniono wiele łez. Niech będzie pokój między nami, kuzynie, na czas oplakiwania śmierci lady Eadgifu.

Konrad zapłakał szczerze.

--Musimy ufać Bogu, który rządzi wszystkim. Była najlepszą z kobiet.

Zgromadzeni wydali z siebie jęki i westchnienia, i ci, którzy znali lady Eadgifu, i ci, których poruszył smutek okazany przez króla i diuka. Rosvita nie mogła powstrzymać łez, choć spotkała księżniczkę z Alby tylko trzykrotnie i pamiętała ją głównie z powodu jasnych włosów i cery jak kość słoniowa, pięknie kontrastujących z czarnymi włosami i ciemną karnacją męża; Eadgifu po przybyciu z Alby kiepsko знаła wendarski i rozmawiała głównie ze swym orszakiem.

Jedna kobieta wśród zgromadzonych nie płakała: Theophanu. Opuściła wzrok, ale spod ciężkich, ciemnych powiek -- jak u królowej Sophii -- śledziła ojca Hugona. Na jej twarzy malowała się spokojna niewinność świętej mozaiki złożonej z kolorowych kamyków i nawet Rosvita, która znała ją lepiej niż ktokolwiek, nie mogła odczytać myśli księżniczki. Czy chciała poślubić Konrada? Czy wciąż była zauroczona ojcem Hugonem? Czy znała imię maleficusa, który próbował ją zabić?

Hugo zabrał książkę o zakazanej magii od młodej Orlicy, Liath. Czy to tylko zbieg okoliczności, że bezimienny mag próbował zesłać na Theophanu chorobę za pomocą ligatury wplecionej w broszkę o kształcie pantery?

--Z drogi! Z drogi!

Henryk puścił ramię Konrada, gdy pojawił się niewielki orszak. Wszyscy zaczęli mówić naraz, wskazując palcami i szepecząc. Król cofnął się na pierwszy z dwóch stopni podtrzymujących podwyższenie, ale tam się zatrzymał, czekając, a diuk Konrad odwrócił się i z zaskoczonym wyrazem twarzy cofnął, robiąc miejsce.

--Wasza Królewska Mość. -- Książę Sanglant osadził konia w odpowiedniej odległości od tronu. W przemoczonej tunice i z potarganymi włosami wyglądał na zdrożonego i brudnego, jednak otaczał go, jak zawsze, nieokreślony, władczy nimb. Jednak psy Eików, podążające jego śladem, przypominały wszystkim, kim był -- i co nadal się w nim kryło. Dał znak i jego eskorta, tuzin żołnierzy i dwóch służących, zjechała na bok i zsiadła z koni.

Była z nimi jeszcze jedna osoba: ciemna, młoda kobieta o królewskim wyglądzie, spięta i wyniosła, odcinająca się od otaczającego ją tłumu. Rozpoznanie jej zajęło Rosvicie chwilę, choć nie powinno. Co, na Boga, ta Orlica, nie dalej jak wczoraj wygnana z Wilkunem, robiła u jego boku? Czy nadal była Orlicą? Nie nosiła już odznaki ni płaszcza, choć dosiadała wspaniałego szarego walacha.

Książę Sanglant nie bawił się w subtelności. Liath spojrzała na niego, a on wyciągnął dłoń i dotknął jej ramienia. Spojrzenie, ruch, dotyk: mówiły równie wiele co słowa.

--Co to znaczy? -- spytał Henryk.

Ale wszyscy wiedzieli, co to znaczy: Sanglant, posłuszny syn, sprzeciwił się ojcu.

Rosvita doskonale rozpoznawała królewski gniew; pojawił się natychmiast -- tik górnej wargi, ostry, przeszywający błysk w oczach, berło złowieszczo oparte o przedramię, jakby szykował się do ciosu. Postąpiła naprzód w nadziei, że powstrzyma ten gniew, ale Hugo już stanął przed królem.

--Proszę, Wasza Królewska Mość -- jego twarz była spokojna, ale ręce drżały. -- Ona nie nosi już Orlej odznaki, znaku służby wam. Wobec tego jest teraz zgodnie z prawem i waszym osądem moją niewolnicą.

--Jest moją żoną -- powiedział nagle Sanglant. Jego ochryply tenor, wyszkolony na polu walki, poniósł się ponad tłumem. Wszyscy natychmiast zaczęli wiwatować i po gwałtownym, ale krótkim zgłębieniu zgromadzenie, niby wielkie zwierzę, ucichło, by uważnie słuchać. Nawet ulubiony królewski bard ani trupa żonglerów z Aosty nie zapewniali tak przedniej rozrywki.

Książę zsiadł z konia i wszyscy przyglądali się, jak wbija w ziemię żelazny pal, by uwiązać psy. Ludzie cofnęli się przed zwierzętami, a książę podszedł ku podwyższeniu i stanął przed królem. Chmury przesłoniły niebo i pokropił deszcz; zmoczył pył i zwilżył gardła zebranych, w których zaschło z emocji.

--Jest moją żoną -- powtórzył Sanglant. -- Za wspólną zgodą, której świadkami byli ci żołnierze i wolna chłopka z wioski Ferse, i która dzięki skonsumowaniu małżeństwa oraz wymianie porannych podarków stała się obowiązująca.

--„Niech najpierw najedzą się dzieci” -- powiedział Hugo niskim głosem, w którym pobrzmiwała wściekłość. Nigdy nie widziała, by stracił opanowanie, jednak teraz drżał, zaczerwieniony i podniecony. -- „Niesprawiedliwie jest odbierać dzieciom chleb i rzucać go psom”.

--Hugo -- ostrzegła go matka ze swego miejsca przy królu.

--„Nawet psy pod stołami jedzą resztki pozostawione przez dzieci” -- odparła nagle Liath gniewnie, donośnym głosem.

Hugo wyglądał, jakby dostał w twarz. Rzucił się ku niej. Szybko i tak płynnie, że Rosvicie zdało się to niemożliwe, Sanglant stanął między nimi i Hugo odbił się od niego. Obejść księcia, znaczyło zrobić z siebie durnia. A jednak się zawahał, jakby rozważał walkę wręcz: piękny kleryk z półdzikim księciem.

--Nie dałem ci zgody na małżeństwo -- powiedział Henryk.

--Nie prosiłem o pozwolenie na małżeństwo, bo go nie potrzebowalem, gdyż jestem dorosły i wolny.

--Ona nie jest wolna -- odparł Hugo, odzyskawszy panowanie nad sobą; atak szału równie dobrze mógł się Rosvicie przyśnić. -- Albo jest na królewskiej służbie i potrzebuje zezwolenia na małżeństwo, albo jest moją niewolnicą. Jako niewolnica nie ma prawa poślubić wolnego mężczyzny -- a zwłaszcza, książę panie -- dodał z pokornym ukłonem -- mężczyzny o tak wysokiej pozycji i urodzeniu. -- Odwrócił się do króla. -- Nie odważę się jednak wydać sądu, gdyż wszyscy musimy się ugiąć w obliczu waszej mądrości, Wasza Królewska Mość.

--Dałem jej wybór -- król wskazał młodą kobietę. -- Czyż nie dałem ci wyboru, Orle? Czy zapomniałaś o mej służbie i zbuntowałaś się w ten sposób przeciw mej władzy?

Zbladła.

--Pozwól mi mówić -- rzekł Sanglant.

--Sanglancie -- szepnęła tak cicho, jak osoba złapana przez wir wypowiada ostatnie słowo, nim utonie. -- Nie...

--Sanglant. -- Król wypowiedział jego imię tym samym ostrzegawczym tonem, którego kilka chwil temu użyła margrabina Judith, zwracając się do swego dziecka.

--Będę mówił! Błogosławiony Daisan uczył, że człowieka nie kała to, co go spotyka, tylko jego własne myśli i uczynki. Spójrzcie na tego, którego wszyscy kochacie i podziwiacie, który jest czarujący, elegancki i przystojny. Jednak serce tego mężczyzny skłoniło go do złych myśli, cudzołożenia z bezbronną kobietą, kradzieży, morderstwa, bezlitosnej żądzy i knowań, oszustwa, nieprzyzwoitości, bo zaprzysiężony Kościołowi mężczyzna nie może współżyć z kobietą, zawiści, potwarzy, arogancji -- a tymi dłońmi i wspaniałymi manierami jak czarami omamił was wszystkich...

Theophanu zerwała się z krzesła.

Margrabina Judith ruszyła naprzód, czerwona z gniewu.

--Nie będę w milczeniu słuchać, jak mój syn jest obrzucany obelgami...

--Spokój! -- ryknął król. -- Jak śmiesz w ten sposób kwestionować mój wyrok, Sanglancie!

--Nie, Wasza Królewska Mość -- powiedział Hugo z pokornym spokojem, poważny i cierpliwy. -- Niech mówi. Wszystko, co powiedział książę Sanglant, to prawda, ponieważ jestem pewien, że nienawidzi kłamstwa i mnie miłuje. Któż z nas jest bez winy? Sam dobrze wiem, iż jestem grzesznikiem. Nikt mnie nie osądza surowiej niż ja sam, ponieważ wielokrotnie zawiodłem, służąc królowi i Bogu.

Czy Hugo powiedział Sanglantowi coś jeszcze? Jego usta się poruszyły, ale Rosvita nie usłyszała...

Sanglant zawarczał gniewnie i zaatakował: uderzył Hugona, który się nie opierał, tak mocno wierzchem dłoni, że Hugo padł na ziemię z połamanymi zębami i nim ktokolwiek zdołał się ruszyć, książę runął na niego z taką wściekłością, jak pies, który chce zabić. Psy Eików oszalały, ujadając i ciągnąc za sobą łańcuchy wyrwały pal i skoczyły naprzód.

Ludzie krzyczeli i cofali się. Liath zeskoczyła z konia i złapała łańcuchy, przez chwilę trzymając żelazny pręt, nim został wyrwany z jej rąk. Rosvita była zbyt zszokowana, by się ruszyć, a dworacy pierzchali w popłochu -- wszyscy prócz Judith, która wyszarpnęła nóż z pochwy, by bronić syna. Król natomiast, wykrzykując imię Sanglanta, skoczył naprzód, złapał go za tył tuniki, by odciągnąć od Hugona.

Psy z całym impetem uderzyły w Henryka.

Rosvita wrzasnęła. Usłyszała się jakby z oddali, nieświadoma, że może wydać z siebie tak straszliwy dźwięk. Ktoś szarpał ją za habit. Sanglant zapamiętał, że bił psy, odpędzając je od ojca, a Liath stojąca za nim krzyknęła ostrzegawczo do Villama -- który rzucił się ku królowi -- jednocześnie łapiąc pręt i próbując odciągnąć psy za łańcuchy. Nadbiegły Lwy. Bili psy, dzielnie podstawiali własne nogi pod ich szczęki, by odciągnąć bestie od króla, i bezlitośnie rąbali, aż krew spłynęła na ziemię niczym deszcz.

Pojawiło się uklucie żalu, ale zniknęło, gdy z zamieszania wynurzył się Sanglant, podtrzymujący Henryka w ramionach.

O Boże! Król był ranny! Pobiegła ku niemu, ledwie świadoma obecności trzech towarzyszących jej osób: kleryków, którzy jej nie opuścili.

Sanglant oddał króla pod opiekę księżniczkom i zanurkował z powrotem.

--Leżeć! -- Jego głos wzniósł się nad zgiełkiem. -- Stać! Wycofać się!

Lwy usłuchały. Jakże by inaczej? Książę wiedział, jak dowodzić w bitwie. Cofnęli się ostrożnie, a on klęknął przy psach.

Rosvita uklękała przy królu, który miał ranę na lewym ramieniu; materiał w tym miejscu był zniszczony i poznaczony krwią i śliną, a strzępki przylepiły się do skóry. Pazury rozdrapały mu tunikę na plecach, ale na szczęście dzięki grubej materii pozostały tylko lekkie zadrapania. Otrząsnął się z szoku po uderzeniu i wstał.

--Wasza Królewska Mość! -- zaprotestowała.

--Nie! -- Odepchnął wszystkich, którzy do niego podbiegli, nawet swe córki, i utykając, ruszył przed siebie.

--Wasza Królewska Mość! -- zawołał Villam i tuzin innych, gdy zbliżył się do Sanglanta i psów, ale nie słuchał ich.

Jeden z psów nie żył. Kiedy Henryk zatrzymał się obok, Sanglant dobył noża i poderżnął gardło drugiemu, tak poranionemu, że i tak by nie przeżył. Trzeci zapiszczał cicho i odwrócił się na plecy, odsłaniając gardło przed księciem. Sanglant spoglądał w żółte ślepie. Z psich klów spływała krew; kurz i wstrętna, zielonkawa krew płynąca z ohydneho ciała pokrywały jego czarną sierść.

--Zabij go -- powiedział Henryk głosem stłumionym z wściekłości.

Sanglant spojrział na niego, rzucił okiem na Liath, która stała, trzymając żelazny pręt w zakrwawionej dłoni... i schował nóż.

Szokujące nieposłuszeństwo Sanglanta wstrząsnęło królem bardziej niż atak psów. Zatoczył się, złapał Villama, który akurat się pojawił, by go podtrzymać. Umysł Rosvity zdawał się pracować tak wolno, że dopiero po chwili zauważyła ojca Hugona, który w jakiś sposób wydostał się poza zasięg psów i teraz, w objęciach matki, wypluwał na ziemię kawalki zębów. Krew plamiła jego wargi, na prawym policzku zaś pojawił się czerwony siniak, który niedługo rozkwitnie.

--Oddalę się do swych komnat -- rzekł Henryk, tak rozwścieczony, że cała gorączka wyparowała, tworząc wzbudzającą lęk lodowatą powłokę, skrywającą furię. -- Zostaniecie tam przyprowadzeni, bym was osądził.

Villam pomógł mu odejść. Otoczył ich rój służących.

Rosvita wiedziała, że powinna była za nimi podążyć, ale stała jak wryta. Gapiała się na zgromadzonych, którzy rozstępowali się przed królem, dzielili na małe grupki i znikali, żeby w cichości deliberować nad zmianami, które niewątpliwie nadejdą. Obrazy wypalały się w jej pamięci; diuk Konrad zatrzymuje Theophanu, lekko dotykając jej łokcia. Mówią coś, ona przecząco kręci głową, jego oczy się zwązają, marszczy czoło i cofa się, aby ją przepuścić, kiedy ona rusza za ojcem. Sapientia zalana rumieńcem gniewu i upokorzenia ujmuje ramię swej Orlicy i rozmyślnie odwraca się od Hugona, jakby chciała dać do zrozumienia, że popadł w nielaskę; Judith zaciska usta, wieszcząc kłopoty; Ivar próbuje precyzyjnie się przez tłum do Liath, ale otoczony przez ludzką masę, nie może się do niej zbliżyć, a potem Baldwin chwyta go i osadza w miejscu.

--Siostró -- szepnęła Amabilia. Fortunatus ujął ją za prawe ramię, ale nie wiedziała, kogo podtrzymując, ją czy siebie. Konstantyn płakał cicho.

--Chodźmy, siostró, wycofajmy się stąd.

Wszyscy wirowali w tłumie, zostawiając kilka tuzinów żołnierzy, dwa martwe psy i jednego rannego, pannę młodą i księcia w kałuży krwi. Samego, opuszczonego nawet przez tych, którzy mu wcześniej sprzyjali.

Taka była cena królewskiego niezadowolenia.

Rozdział piąty

Łagodny oddech Boga

1.

Dziwne, ale po tej katastrofie była jeszcze bardziej pewna swego. Stała obok martwego psa, a kiedy jego miedziana krew spływała na piasek, czuła, że rozpaczliwy opór wzbiera w jej sercu, jakby krew tego stworzenia, po wsiąknięciu w ziemię była wchłaniana przez stopy Liath, żeby ją wzmocnić.

Nie pozwoli, aby król odebrał jej Sanglanta.

Sanglant rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś pozostał. Było gorzej, niż się spodziewała: odeszli wszyscy prócz tuzina Lwów i żołnierzy, którzy eskortowali ich z Ferse.

Kapitan wystąpił naprzód.

--Książę panie. Chętnie wam pomożemy z psami. A potem musimy was zabrać przed króla, wydał rozkaz.

--Zakopcie je -- powiedział Sanglant. -- Wątpię, by można je spalić. -- Wsunął ręce pod rannego psa, uniósł go i ruszył ku komnacie, w której gościł. Lwy rozstąpiły się przed nim. Na dziedzińcu zostali jedynie służący, którzy szeptali, gapiąc się, po czym uciekli. Kurz unosił się wokół budynków. Czuła wieprzowinę pieczoną na rożnie. Zabczała owca. W oddali zagrzmiało.

--Orle! -- wyszeptał jeden z Lwów, gdy zatrzymali się przed drzwiami, a Sanglant przenosił martwego psa przez próg. Rozpoznała starego znajomego, Thiadbolda: jego jasna blizna odcinała się od opalonej skóry. -- Przepraszam!

--Mów mi Liath, proszę, przyjacielu. -- Rozpaczliwie potrzebowała przyjaciół. Że też wierne psy Sanglanta zaatakowały króla...

--Liath -- Thiadbald rzucił okiem na drzwi, nadal otwarte. Usłyszała, jak Sanglant stęknął, kładąc psa na podłodze. -- My, Lwy, nie zapomnieliśmy. Jeśli możemy cokolwiek zrobić, żeby wam pomóc, zrobimy to, jeśli nie będziemy musieli złamać przysięgi danej królowi.

Ta nieoczekiwana okazana dobroć sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu.

--Dziękuję ci -- rzekła ochryple. -- Proszę, dopilnuj, aby mój koń znalazł się w stajni. -- Potem przypomniała sobie Ferse i poranny podarek. -- Jest jeszcze coś... -- Ledwie skończyła wyjaśniać, Sanglant ją zawołał.

Lew przytaknął poważnie.

--Zrobimy dla niego tę drobnostkę.

Weszła.

--Czy nie mamy żadnych służących? -- spytał Sanglant.

--Tylko żołnierzy na straży.

Ukląkł przy psie, który leżał cicho u stóp łóżka, oczekując pieczyoty -- lub nadchodzącej śmierci. Nie poruszył się, gdy Sanglant obmacał go, badając obrażenia: strzaskaną poduszkę łapy, rozoraną przednią nogę, głęboką ranę na żebrach i drugą na głowie: stracił ucho. Płytki oddech był cichy jak oddech dziecka, jęzor wystawał z pyska. Nigdy przedtem nie była tak blisko psa Eików, zadrżała.

Uśmiechnął się ponuro.

--Dobrze, że ocaliliśmy tego jednego, tylko on został z mego orszaku. -- Wydobył zza obroży krótki łańcuch, na którym zwisała sakwa, podarta teraz w miejscach, gdzie wcześniej były klejnoty. -- Wiernie strzegł twej księgi.

Mimo hańby żołnierze nie opuścili Sanglanta. Ich kapitan, Fulk, przyniósł mu wodę w misce oraz stary ręcznik, który podarto na pasy, by obandażować rany psa. Poprawiła swe odzienie,

zdjęła miecz, kolczan i łuk i położyła je obok łoża wraz z resztą swych rzeczy. Nie odważyła się stanąć przed królem uzbrojona. Kiedy Sanglant skończył opatrywać psa, a ona wypila łyk wina, by przeplukać zaschnięte gardło i przypomniała mu, żeby wygładził tunikę, żołnierze odprowadzili ich do królewskiej komnaty posłuchań. Nie było to daleko, gdyż król przydzielił Sanglantowi kwaterę we własnej rezydencji.

Zastali króla siedzącego na sofie, z obandażowanym ramieniem i poważnym wyrazem twarzy. Po jego prawej ręce siedziała Sapientia, po prawej Theophanu. Odprawił wszystkich dworzan prócz Helmuta Villama, siostry Rosvity i Hathui. Liath ujrzała Hannę, jej ściągniętą strachem twarz, nim zniknęła z innymi. Pozostało sześciu służących.

Liath uklękła. Jej dłonie nie drżały. Sanglant zawahał się, ale potem, powoli, również uklękł: pokorny w obliczu królewskiego niezadowolenia.

--Co ci powiedział Hugo? -- zapytał Henryk spokojnym głosem.

Pytanie zaskoczyło ją, ale Sanglant z wyrazem uporu na twarzy zaciął usta.

--Co powiedział, że zaatakowałeś go w taki sposób? -- powtórzył król, wymawiając każde słowo tak wyraźnie, że miało wagę kamienia.

Sanglant zamknął oczy.

--„Czy kryjesz ją jak pies kryje sukę?” -- zaskrzeczał głosem tak ochryplym, że ledwo rozróżniła słowa. Potem zawstydzony ukrył twarz w dłoniach, a ona zawrzała gniewem.

Świeczka ustawiona na stole strzeliła płomieniem.

Henryk wzdrygnął się, zaskoczony, a Sapientia podskoczyła ku niemu i chwyciła jego łokieć, by go podtrzymać. Villam wymruczał modlitwę i nakreślił Krąg na piersi. Theophanu zaś tylko rzuciła okiem na świeczkę i skinęła głową Rosvicie, jakby odpowiadała na pytanie. Hathui, na swoim miejscu za królewską sofą, westchnęła cicho.

--A to co, Sanglancie? -- zapytał Henryk. -- Krew twojej matki wreszcie daje o sobie znać?

--Zwykła sztuczka, której nauczyłem się w dzieciństwie, a potem zapomniałem -- odparł Sanglant, nie patrząc na Liath.

--Nie -- rzekła Liath, choć jej głos drżał. -- Nie pozwolę, byś brał na siebie moje winy.

--Czarnoksiężstwo! -- syknęła Sapientia. -- Zaczarowała Hugona. Dlatego dla niej oszalał. Tak jak zaczarowała Sanglanta.

--Jesteś głupia, siostrze! -- odparowała Theophanu. -- Ocaliła mi życie. To twój ukochany Hugo jest maleficusem!

--Spokój -- powiedział król. Dotknął ramienia Sapientii, a ta natychmiast go puściła, by mógł podejść. Rana nie odebrała jego krokom godności. Sparaliżowana Liath nie odważyła się ruszyć, gdy zatrzymał się przed nią, a potem obszedł ją, jak myśliwy okrąża zamkniętego w klatce lamparta, którego zamierza zabić. -- Czy zaczarowałaś mego syna?

--Nie, Wasza Królewska Mość -- wyjąkała; jej oczy wyschły z przerażenia.

--Jak mogę ci wierzyć?

--Nie zacza...! -- zaczął Sanglant, odrzucając głowę.

--Spokój! Albo każę cię wyrzucić i przeprowadzę przesłuchanie bez ciebie. Mów. Król mógł ją zmiażdżyć w jednej chwili, dając ręką znak żołnierzom, by ją zabili.

--To prawda, że poznałam kilka sztuczek czarnoksiężskich w ramach wykształcenia, jakie dał mi ojciec -- zaczęła opornie -- ale nie jestem wyszkolona.

--Ha! -- rzekła Sapientia, spacerując za sofą Henryka. Sanglant poruszył się, jakby on

również chciał chodzić.

--Mów dalej -- rzekł król, nie patrząc na córkę. Jego wzrok, utkwiony w Liath, sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej by było zakończyć całą sprawę z oszczepem w brzuchu.

--Mój tato ochronił mnie przed magią, to wszystko. Powiedział mi, że nigdy nie będę czarnoksiężnikiem. -- Wszystko to brzmiało bardzo głupio. I niebezpiecznie.

--Jej ojciec był matematykiem -- odezwała się nagle Rosvita. O Pani: głos zguby. Henryk parsknął.

--Przybyła na mój dwór jako zaprzysiężona uczennica Wilkuna. To jest spisek.

--Wilkun nie chciał jej puścić -- powiedział Sanglant. -- Sprzeciwiał się jej odejściu wyjątkowo zaciekle. Chciał, żeby z nim została.

--Żeby cię omamić, byś zabrał ją ze sobą. I ożenił się z nią! Księżę królewskiej krwi!

--Nie, ojczu. Wysłuchaj mnie. -- Sanglant wstał. Sapientia zatrzymała się i, z rumieńcami na policzkach, patrzyła na brata. Theophanu, opanowana jak zawsze, złożyła dłonie na pasku. Villam wyglądał na zaniepokojonego, a Rosvita, która mogła się okazać jej najlepszym sprzymierzeńcem lub najgorszym wrogiem, miała naprawdę ponury wyraz twarzy. -- Wysłuchaj mnie, błagam.

Henryk się zawahał, dotknął bandaża na ramieniu. Dziwne, spojrzał na Hathui.

--Nie znam wszystkich myśli Wilkuna -- odezwała się Hathui, jakby odpowiadając na zadane pytanie. -- Nie wątpię, że widział i uczynił wiele rzeczy, o których nigdy nie wiedziałam i się nie dowiem. Jednak sądzę, że zamierzał jedynie zatrzymać Liath przy sobie i... -- spojrzała na Sapientię, która zatrzymała się przy oknie i przesuwała palcami po listewkach zamkniętych okiennic --...uwolnić ją od ojca Hugona.

Dziwne, Sapientia nic nie rzekła, wydawało się, że nawet nie usłyszała tej uwagi, na chwilę przestała jednak gładzić okiennicę, po czym znowu dotknęła ramy.

W końcu Henryk skinął Sanglantowi.

--Możesz mówić.

--Nie wzięlibyście Gentu bez jej pomocy. Zabiła Krwawe Serce.

--Ona? Ta tutaj?

--Nie słyszałeś opowieści Lavastine'a?

--Dowodził nią. Co to za opowieść?

--Jeśli nie możesz mi uwierzyć, niech przyjdzie tu Lavastine i opowie tę historię.

--Lavastine był wcześniej zaczarowany -- zaczęła Sapientia. -- Może znów...

--Lavastine wyjechał dziś rano ze swym orszakiem -- przerwał jej król. -- Wobec tego opowieści nie usłyszymy.

--Hrabia Lavastine wyjechał? -- Sanglant ruszył do drzwi i z powrotem, niby pies na łańcuchu. Liath cicho wyszczała jego imię, ale on nadal gryzł pięść, dopóki Henryk nie położył dłoni na jego piersi i nie osadził w miejscu. -- Muszę za nim jechać... ostrzec go... skoro klątwa nie ściga jej... -- Urwał, doszedł do siebie i rozejrzał się po komnacie. -- Trzeba wysłać posłańca. Nawet sobie nie wyobrażacie mocy Krwawego Serca.

--Plotki głoszą, że był czarownikiem -- powiedział Villam.

Sanglant zaśmiał się kwaśno.

--To nie plotki. Sam byłem świadkiem... -- Machnął dłonią przed twarzą, jakby odganiał rój zjadłych insektów, których nikt inny nie widział. -- Nie ma sensu tego opowiadać i

przypominać, co mi zrobił.

Ujrzała, jak twarz Henryka się wygladza. Ale to był moment. Ponownie dotknął bandaża i zaciął wargi.

--Wiele trzeba wyjaśnić.

Sanglant obrócił się, ujął Liath za łokieć i pociągnął w górę. Nie chciała opierać się szarpnięciu, ale nie chciała też stać przed królem.

--Tylko ktoś obdarzony magią mógł zabić czarownika tak potężnego jak Krwawe Serce.

--Wytłumacz.

--Sam wiesz, że posiadał moc iluzji i potrafił sprawić, że pojawiały się rzeczy, które naprawdę nie istniały. A może tego nie widziałeś. My widzieliśmy. -- Skrzywił się i spojrzął na Liath. -- Ona jedna... o Boże! Gdybym tylko posłuchał jej w Gencie, moje Smoki nadal by żyły. Ale wpuściliśmy ich, otworzyliśmy bramy, sądząc, że to nasi sprzymierzeńcy.

--Panicz Alain mówił o klątwie -- rzekł Henryk. -- Ale nie rozumiem, co próbujesz powiedzieć.

--Chronił się przed śmiercią -- ciągnął Sanglant, nie słysząc komentarza. -- Wyjął swe serce z ciała, żeby nie można go było zabić. Chronił go jakiś groteskowy stwór, którego trzymał w skrzynce. Na końcu mówił o klątwie, ale nie wiem, czy wypuścił to stworzenie. Nie widziałem go ponownie. W ten sposób Krwawe Serce zapewniał sobie bezpieczeństwo. -- Obrócił się, wskazał na nią i wszyscy spojrzeli na Liath. -- Nikt w pojedynkę nie mógł zabić Krwawego Serca. Ale ona to uczyniła.

Cisza denerwowała Liath. Gapiała się na sofę, pokrytą najprzedniejszym jedwabiem ufarbowanym na karmazynowo; wyszyto na niej złotą i srebrną nicią scenę polowania: Henryk, stojący przed nią, zasłaniał część wzoru, ale widziała lwy rozszarpujące łanię i jelonka umykającego przed trzema jeźdźcami, podczas gdy przepiórki wylatywały z ukrycia.

--Dlatego trzeba wysłać posłańca do hrabiego Lavastine'a -- skończył Sanglant. -- Jeśli zemsta Krwawego Serca nie dosięga Liath, bo w jakiś sposób chronią ją zaklęcia ojca, wobec tego spadła na Lavastine'a. Magia Krwawego Serca była potężna...

--Krwawe Serce nie żyje -- powiedział Henryk.

--Ale nie zaszkodzi -- odezwała się nagle Hathui -- wysłać Orła, by go ostrzegł, nawet jeśli na darmo.

--To był ogar -- rzekł Sanglant. -- Ogara, który zdechl. Śmierdział Krwawym Sercem.

--Co mamy mu rzec? -- spytała Hathui. -- Jak można pokonać taką klątwę?

Sanglant spojrzął bezradnie na Liath, ale ona jedynie wzruszyła ramionami. Tak naprawdę, podobnie jak Henryk nie do końca rozumiała, o czym mówił: czyżby oszalał w więzieniu, miesiącami przykuty u stóp Krwawego Serca? Czy też miał rację? Czy rzucono na nią jakąś straszliwą klątwę, czy też, nie mogąc pokonać magii taty, klątwa spadła na Lavastine'a?

--Wyślij Orła -- polecił Henryk Hathui. -- Powiedz wszystko, co tu słyszałaś. Potem wróć. -- Skinęła głową i wyszła szybko.

Henryk dotknął rannego ramienia, skrzywił się i ujrzał, że Sanglant też się krzywi, jakby ze współczucia czy winy. Villam pomógł królowi usiąść. Henryk wyglądał na zmęczonego, ale zamyślnego.

--Inni ją zauważyli -- powiedział król, patrząc na Liath.

„Nie daj się zauważyć”. Tato cały czas miał rację: to niszczyło. Ale było już za późno. Mogła zostać z magiem Aoi, ale nie została. Mogła odjechać z Wilkunem, ale nie odjechała. Nie mogła zmienić tego, co się dokonało.

Nie chciała tego zmieniać, nawet teraz.

--Hrabia Lavastine przyjąłby ją do swego orszaku, a nie jest głupcem. Nawet ma zaufana kleryczka, siostra Rosvita, zainteresowała się nią. Bez wątpienia inni również. -- Villam zakaszlał, po czym chrząknął. -- Kościół słusznie czyni, kontrolując takie moce -- myślał na głos Henryk. -- A jednak one istnieją. Biorąc pod uwagę to, co widziałeś, Sanglancie... -- Dał znak i podbiegł do niego lokaj z kielichem wina; król napił się z niego, a potem podał córkom, Rosvicie i Villamowi. -- Może ożenek z kobietą związaną z czarami wydawał się korzystniejszy niż z taką, która rości sobie prawa do tronu Aosty.

--Dlaczego miałbym dbać o korzyści? Uratowała mi życie.

--Zabijając Krwawe Serce. Widziałeś, ile jest warta moc, którą ona posiada.

--Nie. -- Zaczerwienił się, jego brązowa twarz pociemniała. Mówił szybko, niskim głosem, jakby się bał, że słowa wydadzą na niego wyrok. -- Oszalałbym w tych łańcuchach, gdyby nie podtrzymywała mnie pamięć o niej.

--Ach -- rzekł Villam tonem człowieka, który właśnie ujrzał i pojął cud. Spojrzał na Liath, a ona się zaczerwieniła, wspominając propozycję, którą uczynił jej wiele miesięcy temu.

Henryk wydał się urażony, po czym oparł czoło na rękach, jakby bolała go głowa. Kiedy ją podniósł, miał zmarszczone czoło.

--Sanglancie, ludzie naszego pokroju nie żenią się dla przyjemności czy uczucia. Po to są konkubiny. My się żenimy dla korzyści. Dla sojuszy.

--Ile razy mi powtarzano, że miałem się nie ożenić? Że nie można było na to pozwolić? Dlaczego miałbym brać to sobie do serca? To z nią się ożeniłem, jej dałem słowo i przysięgłem przed Bogiem. Ty nie możesz unieważnić tej przysięgi.

--Ale mogę ocenić, czy jej w ogóle wolno wyjść za mąż. Ojciec Hugo miał rację: jako moja sługa musi dostać moją zgodę na ślub. A jeśli nie jest mą sługą, to jest jego niewolnicą i on może nią rozporządzać.

Sapientia jęknęła cicho. Theophanu ruszyła ku niej, jakby chciała ją pocieszyć, ale Sapientia odepchnęła Theophanu i zakryła twarz dłonią. Siostra Rosvita pośpieszyła ku niej.

--Nie rozmawialiśmy jeszcze o ojcu Hugonie -- powiedziała cicho Theophanu. -- I o oskarżeniach, jakie ci przedstawiłam, ojczu. Przywiozłam też ze sobą zeznanie matki Rotgardy, na piśmie.

--Ja też mam list od matki Rotgardy -- wtrąciła Rosvita. Sapientia płakała cicho na jej ramieniu. -- Czy w waszym orszaku znajduje się zakonnica, Wasza Wysokość? -- zapytała. -- Niejaka siostra Anna, która przybyła zbadać te sprawy?

Theophanu zamrugnęła, zaskoczona.

--Siostra Anne? Przyjechała z nami ze Świętej Waleri. Bardzo mądra i sędziwa kobieta, oddana i znająca się na rzeczy. Nieprzekupna. Ale zachorowała podczas podróży i przez kilka dni musiała leżeć w chacie. Odkąd z niej wyszła, zawsze nosi welon, ponieważ słońce razi ją w oczy. Poślę po nią.

--A skąd mamy wiedzieć -- zaszlochła Sapientia -- że to nie ta Orlica jest maleficusem? A jeśli rzuciła zaklęcie na Hugona...? -- Ale mówiła bez przekonania. Nie wierzyła we własne

słowa. -- Boże, zlituj się! Że też zdradził swój pociąg do niej, kobiety z ludu, na oczach wszystkich i tak mnie tym poniżył!

--Cicho, Wasza Wysokość -- powiedziała miękko Rosvita. -- Wszystko się ułoży.

--Jeszcze nie skończyłem z tą parą -- odezwał się Henryk. -- Ale bądźcie pewni, że każde oskarżenie o czarną magię na moim dworze zostanie potraktowane surowo, jeśli okaże się nieprawdziwe, a jeszcze gorzej, gdy okaże się prawdą. -- Dał znak i Sanglant ukląkł obok Liath.

--Orle -- Liath zadrżała. Król odzyskał spokój i czuła wyraźnie władzę, jaką nad nią miał. Jaka dusza, umykająca z wiru wokół Otchłani, nie lęka się łagodnego oddechu Boga? Jeden Jego oddech spycha potępione dusze prosto w Otchłań. -- Liathano, jak cię zwa. Co masz do powiedzenia?

Wykrztusiła:

--Jestem zdana na waszą łaskę, Wasza Królewska Mość.

--Owszem, jesteś. Dlaczego poślubiłaś mego syna?

Zaczerwieniła się i nie mogła spojrzeć na nikogo, nawet na Sanglanta, zwłaszcza na Sanglanta, ponieważ to tylko przypomniałoby jej tę noc, tak słodko spędzoną razem. Utkwiła wzrok w posadzce częściowo przykrytej dywanem, utkanym kunsztownie z purpurowych i jasnych nici w ośmioramiennie, aretuzańskie gwiazdy.

--Ja... ja przysięgam wam, Wasza Królewska Mość, nie myślałam o korzyściach. Ja tylko... -- urwała.

--Cóż -- powiedział Villam, parskając śmiechem. -- Obawiam się, mój miły przyjacielu Henryku, że nie widzę tu niczego, czegom wcześniej setki razy nie oglądał. Są młodzi, piękni i głodni tego, co daje im ciało.

--Czy tylko młodzi myślą w ten sposób, mój miły przyjacielu Helmucie? -- zapytał Henryk, śmiejąc się. -- Niech tak będzie. Jeśli kryje się w niej jakieś zagrożenie prócz czarów, których nauczył ją ojciec i które inni chcą wykorzystać, sprawując nad nią władzę, ja go nie dostrzegam. Ale.

Ale.

To słowo cięło jak nóż.

--Nie będę tolerował nieposłuszeństwa syna. Nagi przyszedł na świat i ja go odziałem. Chodził, dopóki nie dałem mu konia, żeby mógł jeździć. Wyszkolili go moi kapitanowie i nosił broń, którą mu dałem. Wszystko, co ma, pochodzi ode mnie, a on w swej pysze o tym zapomniał.

--Nie zapomniałem -- powiedział Sanglant ochryple, jakby ta wiedza bolała -- ale jego głos zawsze tak brzmiał.

--Nie nosisz już żelaznej obroży, którą nałożył ci Krwawe Serce. Gdzie jest złoty torkwes, który wyróżnia cię jako krew z mej krwi, potomka królewskiego rodu Wendaru i Varre?

--Nie będę go nosił. -- Taki uparty, z wysokimi kośćmi policzkowymi, niewendarskim nosem, sposobem, w jaki wysuwał szczękę, był najbardziej aroganckim księciem, zrodzonym z egzotycznego rodu.

--Sprzeciwiasz mi się. -- Ton Henryka uczynił z pytania stwierdzenie. Ona usłyszała w nim ostrzeżenie.

Sanglant na pewno rozumiał, że nie było sensu przeciwstawiać się królowi. Nie mogli z nim wygrać: miał władzę, oni zaś nie.

--Nie jestem już królewskim Smokiem.

--Wobec tego oddaj mi pas rycerski, który sam ci zapiąłem, gdy miałeś piętnaście lat.

Oddaj mi miecz, który włożyłem ci w ręce po Gencie.

Villam jęknął. Nawet Sapientia podniosła zalaną łzami twarz. Gardło Liath paliła żółć porażki. Ale Sanglant wyglądał na usatysfakcjonowanego, gdy składał pas, pochwę i miecz u królewskich stóp.

--Jesteś tym, co z ciebie uczynię. -- Słowa Henryka uderzały jak żelazny młot. -- Zrobisz, co ci każę. Nie jestem nieczuły na liczne potrzeby ciała. Wobec tego zatrzymaj tę kobietę jako swą konkubinę, jeśli musisz, ale ponieważ ona, ma sługa, nie otrzymała zgody na ślub, jej zgoda udzielona przy świadkach jest nieważna. Wyposażę armię i uzbroję cię, a ty poprowadzisz żołnierzy do Aosty. Kiedy osadzisz księżniczkę Adelheidę na tronie, poślubisz ją. Sądzę, że uznasz łoże królowej za bardziej satysfakcjonujące od łóżka pomiotu magów, niezależnie od tego, jak pięknego.

--A co ze mną, ojcze? -- zapytała Sapientia, której łzy nagle obeschły.

--Ciebie naznaczę margrabiną Estfalii, abyś się nauczyła rządzić.

Zaczerwieniła się, jakby ją spoliczkowano, ale nie zaprotestowała.

--A co ze mną, ojcze? -- zapytała ciszej Theophanu. -- Co z oświadczeniami diuka Konrada?

Henryk parsknął.

--Nie ufam Konradowi i nie poślę jednego z mych najcenniejszych skarbów do skarbcza człowieka, który może żywić własne ambicje.

--Ale, ojcze...

--Nie -- przerwała jej, a ona była zbyt opanowana, by okazywać jakiegokolwiek uczucia, czy to gniew, ulgę, czy rozpacz. -- A poza tym Kościół ogłosi, że jesteście zbyt blisko spokrewnieni, mając wspólnego przodka... -- dał znak Rosvicie.

--Siódmego stopnia, jeśli użyjemy starej imperialnej metody obliczeń. Czwartego, jeśli policzymy wedle metody z encykliki wydanej przez Matkę Świętą Honorię, która czuwała przy Palenisku przed Clementią, a która jest teraz skoposą w Darre.

--Nie można zawrzeć żadnego małżeństwa aż do piątego stopnia pokrewieństwa -- rzekł Henryk z satysfakcją. -- Konrad nie dostanie żony z mego rodu. -- Drzwi się otwarły: wróciła Hathui, kłaniając się, ale ledwie przeszła przez próg, Henryk powiedział: Orle, powiedz diukowi Konradowi, że chcę się z nim rozmówić. Teraz. Co zaś do ojca Hugona... cóż...

--Wyślij go do skoposy -- syknęła Sapientia. -- Chcę, żeby go skazano!-- A potem wybuchnęła głośnym szlochem.

--Dobrze -- ciągnął Henryk. -- Niech mi odczytają listy i chcę rozmawiać z siostrą Anną. -- Spojrzał na Sanglanta, który ciągle klęczał, milcząc uparcie, i zmarszczył brwi. -- Wróć do swych komnat i możesz stanąć przede mną, gdy będziesz gotów błagać o wybaczenie.

Była to odprawa. Liath wstała. Rozpaczliwie pragnęła pomasować bolące kolana, ale nie odważyła się. Sanglant się zawahał. Czy to był bunt? Henryk warknął z irytacją i wtedy książę wstał, rzucił spojrzenie Liath, siostrze...

--Chodźcie -- powiedział Villam ze współczuciem. -- Czas, byście wyszli.

Kiedy wrócili do komnaty zajmowanej przez Sanglanta i zamknęły się za nimi drzwi, wtuliła się w jego ramiona i stała tak przez długą chwilę, nie chcąc się ruszyć. Był solidny i

mocny, i czuła się, jakby mogła wlać cały swój gniew i ogień w jego chłodne, nieskończone otchłanie, nigdy ich nie wypełniając. Wydawał się zadowolony, stojąc tak i kołysząc się delikatnie; nigdy nie był zupełnie spokojny. Ale ona była spokojna tutaj, z nim, nawet w takiej nielasce. Tak długo żyła na obrzeżach społeczeństwa, ona i tato, że nie czuła, by straciła coś cennego.

Ale co będzie, jeśli on uzna, że łoże królowej jest lepsze od tego, które dzielił z nią?

Pies Eików zaskomlał słabo, a potem opadł, liżąc łapę suchym językiem. Sanglant puścił ją, nabrał wody z miski i uklęknął przy biednym stworzeniu, by napiło się z jego rąk. Ktoś zamknął okiennice i kąty pokoju okrywał cień. Słońce wpadało tylko przez szczeliny w okiennicach, znacząc w pasy księcia, psa i dziwne stworzenie zrobione z metalu, które zwisało bezwładnie z oparcia jedyne krzesła. Wstał, otarł dłonie o nogawice i rzekł nagle:

--A to co? Przecież to kolczuga! -- Przesunął palcami po szorstkich ogniach. -- Watowany kaftan. Helm. Boże wielki! Dobry, mocny oszczep. Miecz. Pochwa. -- I tarcza w kształcie łzy, bez herbu czy barw: odpowiednia dla kawalerzysty. Podniósł ją i włożył lewe ramię w uchwyty, sprawdzając wyważenie i ciężar. Dobył miecza.

--O Pani! -- mruknęła, patrząc na te dary. Prosiła Thiadbolda o znacznie mniej: jedynie o helm i miecz.

--Ale co to jest? -- spytał.

Znalazła pas mistrza Hosela wśród swych rzeczy i wsunęła na niego pochwę, po czym własnoręcznie opasała nim Sanglanta i przelknęła łzy wywołane szczodrością Lwów.

--To mój poranny podarek. -- Zapięła pas i cofnęła się, przypominając sobie słowa Lavastine'a. -- Jeśli będziesz szedł przez ogień, płomień cię nie tkną.

Zaśmiał się krótko.

--Niech oni twierdzą, że nie jesteśmy małżeństwem, ale Bóg był świadkiem naszej przysięgi i uszanują ją. -- Ujął jej twarz w dłonie i pocałował w czoło.

W komnacie były dwie nie zapalone świece; obie rozjarzyły się gwałtownie, a on roześmiał się, uniósł oblubienicę i okręcił wokół siebie, po czym bez tchu wylądowali na łóżku. Miara nielaski było to, że nawet późnym popołudniem, gdy przygotowywano wieczerzę i na dworze roilo się od służby, szlachty i gości, nikt im nie przeszkadzał.

Później leżał obok niej, opasawszy nogą jej pośladki, z odwróconą głową, oceniając miecz: dobry, stalowy, zdatny na wojnę, nie na pokaz.

--Skąd to się wzięło?

--Lwy uważały, że są mi winni przysługę, ale ich szacunek dla ciebie jest większy niż wdzięczność wyrażona mnie. To hold złożony tobie i twojej reputacji.

Przetoczył się, usiadł, pomasażował czoło dłonią.

--Jeśli jeszcze jej zupełnie nie zniszczyłem. -- Podciągnął kolana pod brodę i uderzał o nie głową, zbyt niespokojny, żeby trwać w bezruchu. -- Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegłem? Nie ma wokół ciebie śladu zapachu Krwawego Serca. Nigdy nie było. A jednak to coś zaatakowało psy Lavastine'a. To nie mogła być żmija... ale jeśli to była jedynie żmija, jeśli pomyliłem zapachy... -- Pies na podłodze zaskomlał niespokojnie i spróbował wstać, ale był za słaby. Sanglant szarpał swoje włosy, zwijając je w ciasny kosmyk, a potem roztrzepując. -- Żaden Orzeł nie odda dobrze mej wiadomości. Żaden Orzeł nie zna zapachu Krwawego Serca ani nie umie szukać go w zaroślach. Muszę sam za nim pojechać.

--Cicho. Oczywiście że musisz. Ale pojedę z tobą.

--Nie zostawiłbym cię tu samej! -- powiedział z urazą. Potem jęknął i z rozpaczą zamknął oczy. -- Ale nie mam konia, chyba że z woli ojca. Szkoda, że mnie nie zrobił margrabią Estfalii, a Sapientii nie kazał maszerować do Aosty! Wtedy mielibyśmy spokój!

--Jeśli w marchiach pełnych Qumanów i bandytów może być spokój.

--Jeśli w mym sercu panuje spokój, ja będę spokojny niezależnie od kłopotów, jakie mnie czekają. -- Ukrył twarz na jej karku.

Pies zaskomlał. Usłyszała głosy. Sanglant złapał jej tunikę, a drzwi się otwarły i stanął w nich...

--Konrad! -- zawołał Sanglant. Wyskoczył z łóżka i całkiem nagi stanął pośrodku pokoju. -- Witaj, kuzynie. Nie mogłem wcześniej powitać cię, jak przystało. -- Nawet wkładając na siebie odzienie pod kołdrą, podziwiała jego swobodę -- i plecy.

Mężczyzna, który wszedł, odprawił służących. Miał głęboki, donośny śmiech i podobny głos.

--Czy na takie powitanie zasługuję? Wybacz, kuzynie. -- Ale nie zamierzał wyjść. Liath była bardzo zawstydzona; po ośmiu latach w towarzystwie taty nie mogła się przyzwyczaić do ciągłego towarzystwa, ale Sanglant najwyraźniej przywykł do tego. -- Słyszałem, że gdzieś tu ukrywasz żonkę. Widziałem ją, gdy przyjechałeś, i przyznaję, że niecierpliwie czekam, aż mi ją przedstawisz.

Sanglant nie spieszył się z ubieraniem i nie zszedł kuzynowi z drogi.

--Bez żadnych niedomówień. Ona jest moją żoną.

--A powiedziałem coś innego? Naprawdę, kuzynie, nie sądzisz chyba, że zamierzam ci ją ukraść, co pewnie bym zrobił, gdyby była konkubina. Ach, co tu mamy?

Wyślizgnęła się z łóżka, wygładziła tunikę i wstała. Diuk Konrad wydawał się niższą i potężniejszą wersją Sanglanta. Pelen był powściąganego wigoru, jak Henryk, i miał potężne dłonie człowieka przyzwyczajonego do oszczepu i tarczy. Zrobił krok w przód, ujął jej dłoń, odwrócił, ukazując jaśniejsze wnętrze, po czym przysunął do swojej. Jego skóra miała inną barwę: jej była złotobrazowa, niby wypalona słońcem, jego zaś lekko oliwkowa.

--Skąd jest twój ród?

Wyjęła dłoń z jego uścisku. Był trochę wyższy od niej, ale czuła się przy nim drobna.

--Kuzynka mego ojca jest panią na Bodfeld. Nie znam rodu mej matki.

Źle ją zrozumiał.

--Bez wątplenia była to dziwka z Gyptosu. To by wszystko wyjaśniało. Skąd ją wzięłeś, kuzynie? -- Był otwarty i skory do śmiechu.

--Bóg mi ją zesłał -- odparł Sanglant zdenerwowany.

--Co Bóg złączy, niech żaden człowiek, nawet monarcha, nie rozłącza. -- Łatwo się też gniewał. Gniew w nim wrzał, miał zarumienioną szyję i napięte ścięgna. -- Jedź ze mną, Sanglancie. Oferuję ci miejsce w Waylandii.

--Jechać z tobą?

Konrad splunął gniewnie.

--Henryk mi odmówił. Nie pozwoli, bym poślubił Theophanu. -- Zaklął soczyście, opisując, co jego zdaniem Henryk mógł zrobić ze swoimi końmi, psami i wszystkimi owcami, które napotka na swej drodze. -- Nie widzę powodu, by zostawać, pić i ucztować z człowiekiem, który

nie ufa mi na tyle, by oddać mi swą córkę za żonę! Co na to powiesz?

--Jakie miejsce? Jako kapitana twego oddziału?

Konrad się uśmiechnął, ale inaczej, słodko i przebiegle.

--Nie, kuzynie. Masz zbyt dobrą opinię, a ja zbyt szanuję twą pozycję. Mam pewne ziemie, które dostały mi się w wyniku niedawnego sporu, które chętnie oddam komuś, kto mnie poprze, nawet jeśli królowi się to nie spodoba.

--Nie będę wojował z moim ojcem -- rzekł Sanglant uparcie.

Drzwi nadal były otwarte. Konrad nakazał służącemu, by je zamknął.

--Nie mówię o wojnie, nie z Henrykiem. Nawet gdyby mnie kusilo, to nie mam wystarczającego poparcia.

Równie dobrze mógł wypowiedzieć na głos to „jeszcze”, które zawisło w powietrzu.

--Nie będę wojował z moim ojcem -- powtórzył Sanglant.

--Nie proszę cię o to. -- Konrad stęknął ze zniecierpliwieniem. -- Rano wyjeżdżam. Ty i twoja żona możecie jechać ze mną. Jak chcesz. -- Zmierzył Liath spojrzeniem potężnego mężczyzny, który sypiał z wieloma kobietami i zamierza sypiać jeszcze z innymi, a gdy Sanglant zawarczał gardłowo, roześmiał się. -- Słyszałem o tym, ale nie wierzyłem. Czy to prawda, że rok przeżyliście wśród psów, księżę panie? -- Uniósł brew, widząc gniew Sanglanta. -- Ale psy niewiele się różnią od szlachty, która się tłoczy wokół tronu, prawda?

Rzekłszy to, dał znak służącemu, by otworzył drzwi, i wyszedł. Ostre popołudniowe światło oślepiło Liath, która zasłoniła oczy ramieniem, dopóki Lew na zewnątrz nie zamknął drzwi.

Sanglant zaczął spacerować, a potem otworzył i zdjął jedną z okiennic, by do komnaty wpadło świeże powietrze.

--Zaoferował ci ziemię -- rzekła Liath, obserwując go. Nie odważyła się o tym myśleć: ziemia, majątek, spokojne miejsce zamieszkania.

Odwrócił się od okna i niecierpliwie przeszukał zawartość swej sakiewki, która upadła na podłogę, gdy się w pośpiechu rozbierał. Znalazł grzebień i poprowadził ją do krzesła, usadził i rozplótł jej warkocz. Z westchnieniem satysfakcji zaczął czesać jej włosy, długie do pasa. To ją uspokoiło.

--Nie ufam mu -- powiedział, rozczesując kołtun. -- Ale masz rację. Zaoferował mi ziemię. Nie będzie się sprzeciwiał naszemu małżeństwu. A w przeciwieństwie do wszystkich innych mieszkańców tego kraju nie obchodzi go, czy mój ojciec nie popiera jego przedsięwzięć.

--Czy odjedziemy z nim rankiem?

--A mamy inne wyjście? -- Na to pytanie nie znalazła odpowiedzi.

2.

--Zrobiłeś z siebie głupca, Hugonie.

Margrabina Judith nie przebierała w słowach, gdy była zła, a teraz była wściekła. Ivar kulił się w kącie przestronnej komnaty, której używała, tuląc się do równie przestraszonego Baldwina. Już raz uderzyła Baldwina za to, że nie usunął jej się z drogi wystarczająco szybko; jego policzek nadal był zaróżowiony od ciosu. Była wściekła, że Ivar nie czerpał żadnej przyjemności z jej sądu nad Hugonem, który odprawiała w obecności wszystkich domowników.

Nikt z nich też się nim nie napawał. Jej służący i dworacy kochali i podziwiali Hugona, który możnych i biednych traktował z taką samą dobrocią i sympatią.

Stał teraz z dłońmi założonymi za plecy, na policzku wzbierał mu purpurowy siniak i wpatrywał się nie w matkę, tylko w delikatną gałąź biało-różowych kwiatów, ocieniających otwarte okno od promieni południowego słońca.

--Twoje zachowanie przyniosło mi wstyd -- ciągnęła bezlitośnie -- i niech mi Bóg pomoże, mogłeś stracić wpływ na księżniczkę Sapientię. Idiota! A ja jeszcze większa idiotka, skoro wierzyłam, że wychowałam syna, którego nie pożrą męskie słabości! Jaką może mieć nadzieję mężczyzna, jeśli zdradzi, że pożąda kobiety o nie znanym pochodzeniu, która żadnej korzyści nie przynosi jemu i jego rodowi? Jej władza nad tobą zależy od tego, jak bardzo jej pożadasz.

--Ale ona ma moc -- powiedział cicho, nadal zaczerwieniony. -- Większą moc, niż ktokolwiek może podejrzewać. Prócz Wilkuna.

--Moc! Piękna twarz to nie moc. Nawet biorąc pod uwagę, że jej ojciec był magiem, jak teraz gadają, nawet biorąc pod uwagę, że krew magów dała jej moc, jaki z niej dla ciebie pożytek, skoro stałeś się jej więźniem przez tę nieprzystojną obsesję?

--Jest moja -- powiedział z taką pasją, że Ivarowi zimny dreszcz przemknął po krzyżu, niby palce Nieprzyjaciela sunące ku słabemu sercu.

--Jest księcia Sanglanta, co jest oczywiste dla wszystkich, którym oczu nie zaślepią pożądanie.

--Nigdy jego! -- Nagle wyciągnął rękę, zerwał gałązkę pięknych kwiatów i zaczął drzeć je na strzępy. Stał w chmurze płatków.

--Czy cię zaczarowała? Rzuciła na ciebie jakieś zaklęcie? Mówią, że jej ojciec był mnichem, który okrył się niesławą, lubując się w czarnych sztukach i brzuchu jakiejś jinnijskiej dziwki, i który został żywcem pożarty przez wysłanników Nieprzyjaciela. To naturalne, że nauczyła się od niego kilku sztuczek, nim umarł.

--Tak -- rzekł ochryple. -- Zaczarowała mnie. -- Zacisnął pięści. Niezwykłe, zaczął płakać z tłumionej wściekłości, zupełnie stracił nad sobą kontrolę.

„Liath mu to zrobiła”.

Ivar nie mógł powstrzymać radości na widok poniżenia i wściekłości Hugona. Święta Matka tak go ukarała za arogancję. Ale gdy pomyślał o Liath, ból przeszył mu serce.

Nawet go nie zauważyła! Ani dwa dni temu, gdy po raz pierwszy przybyła na dwór królewski, ani wczoraj, gdy król wydał na nią wyrok, pozwalając, by została na jego służbie, ani dziś, gdy wróciła, sprzeciwiając się królewskiemu rozkazowi. Jakim prawem ignorowała go, skoro zrobił wszystko, co mógł, by jej pomóc? Czy miłość, którą sobie przysięgali, nic dla niej nie znaczyła? Co, na Boga, miał książę Sanglant, czego jemu brakowało...?

--Cicho -- powiedział Baldwin, gładząc go uspokajająco po ramieniu; nie zdawał sobie

sprawy, że głośno warczał i mruczał. -- Nie ściągaj na nas jej uwagi, bo znowu mnie uderzy.

--Jak ona może go kochać? -- wykrztusił Ivar.

--To oczywiste, że matka kocha syna.

--Nie chodziło mi...

Margrabina Judith wstała i obaj chłopcy cofnęli się instynktownie, ale ona nawet na nich nie spojrziała. Ujęła piękną srebrną miskę wypełnioną wodą i chlusnęła nią prosto w twarz Hugona.

--Opanuj się! -- Spokojnie odstawiła miskę i usiadła. -- Widzę, że się niemal spóźniłam.

Szok go otrzeźwił. Drżąc, otarł twarz rękawem.

--Kłęknij przede mną. -- Uczynił to powoli. -- Nie jestem pierwsza w twym sercu? -- spytała ponuro.

--Jesteś mą matką -- odparł głucho.

--Nosłam cię w moim ciele, z wielkim wysiłkiem wydałam na świat i troskliwie wychowałam. Tak mi odplacasz? -- Zaczął mówić, ale mu przerwała. -- Posłuchaj mnie. Trzy lata temu, po incydencie w Zeitsenburgu, musiałam się zgodzić, by cię wysłano do Marchii Północnej. Przysięgłem mi wtedy, że podobne wypadki nigdy się nie powtórzą, a jednak okazuje się teraz, że się zadałeś z dziewczyną zrodzoną z magów. Czy sprzeciwiłeś się moim życzeniom, Hugonie? Sprzeciwiłeś się?

Uparcie nie odpowiadał.

Syknęła przez zaciśnięte zęby i Ivar zadrżał ze strachu.

--Ten dwór ma na ciebie zły wpływ! Nadal żywisz urazę do księcia, prawda? Że on, bękart, ma władzę w świeckim świecie, a ty nie, prawda, Hugonie?

Jedną dłoń zacisnął na tunice na kolanie, drugą oparł na deskach podłogi, by się oprzeć. Jego oddech był urywany, a wzrok zdawał się skupiać na czymś niewidocznym dla pozostałych osób obecnych w komnacie.

--Że też z własnej woli poszła do niego, wzgardziwszy mną...!

Wyciągnęła nogę, wsunęła duży palec pod jego podbródek i uniosła głowę, by musiał na nią spojrzeć.

--Oszalałeś z zazdrości. -- Oznajmiła to tak, jak szlachcianka, która oglądając swe bydło, stwierdza, że rogi mu gniją: spokojnie, ale z lekkim obrzydzeniem, że ma takiego pecha. -- Twój umysł został omamiony jej zaklęciami.

Opuściła stopę i wstała.

--Odejść -- powiedziała do dworzan. -- Opowiedzcie wszystkim, co tu usłyszeliście: że dziewczyna omotała go złymi czarami. Spójrzcie, co z niego zrobiła. Wszyscy wiemy, jak eleganckie maniery ma ojciec Hugo. To nie jest stan naturalny. -- Odeszli posłusznie.

--Nagrzejcie mu wody na kąpiel, by wyplukał nieco trucizny -- powiedziała i pół tuzina służących pośpieszyło do sąsiedniego pokoju. Zwróciła się do swego orszaku: -- Lordzie Attonie, nie zapomniałam o sprawie z królewskim ogierem, Potentisem. Rozmawiałam z samym królem i jeśli wasza klacz zacznie się grzać, kiedy będziemy na dworze, możecie spróbować pokryć ją Potentisem. Porozmawiajcie z królewskim koniuszym, żeby załatwić sprawę.

Lord Atto wycofywał się, składając podziękowania, ale Judith już wezwała jedną ze służących.

--Hemmo, zastanawiałam się nad sprawą zaręczyn twojej córki i uważam, że dobrze jest ją

wydać za syna Ody. Ale zamierzam dać jej ten kupon lnu, który wieziemy z Quedlinhamu. Jeśli dopilnujesz, by go przygotowano i zapakowano, wyślę go przez posłańców wracających na wschód. Twoja córka będzie miała czas, żeby uszyć z niego suknie na wesele.

Pod różnymi pretekstami odsyłała wszystkich, dopóki nie została tylko ona, Hugo, dwie najstarsze służące, Baldwin i Ivar. Jej dobre maniery zniknęły i przemówiła twardo:

--A teraz powiesz mi, co to naprawdę znaczy. -- Ujęła podbródek Hugona w dłoń i odwróciła jego głowę, by patrzył na nią. -- Ledwo mogę uwierzyć w plotki, które słyszałam. Próbowaleś zamordować księżniczkę Theophanu? Po tym, jak ci zabroniłam w Zeitsenburgu, znów splamileś swe dłonie więzami i dziełami, które nazywasz magią?

Światło kładło się na twarzy Hugona: była poznaczona punktami jasności i cienia oraz ciemniejszym siniakiem. Jego twarz, pełna szaleństwa, przeszła jakąś katastrofalną zmianę, gdy tak patrzył na matkę, kierującą przeciw niemu całą swą wolę. Zadrżał na całym ciele i padł do jej stóp.

--Błagam, mamó -- wyszeptał. -- Wybacz mi. Zgrzeszyłem.

Warknęła, ale to było wszystko: najwyraźniej oczekiwała czegoś więcej.

--O Boże -- modlił się. -- Chronź mnie przed pokusami. -- Ukrył twarz w dłoniach. -- Teraz wiem, co mi się stało. To była pułapka zastawiona przez jej ojca. Kiedy tylko ją ujrzałem, zapragnąłem jej pomimo modlitw, które w dzień i w nocy zanosilem do Pana i Pani, błagając, by mnie strzegli. Ale on mnie związał i uwięził, i nawet po jego śmierci nie potrafiłem przed nią uciec.

Wydawała się nieporuszona tą ekspiacją. Ivar nie wiedział, czy uwierzyła, ale chyba ją to usatysfakcjonowało.

--Nudzileś się jako opat -- powiedziała wreszcie. -- A kiedy człowiek o twej inteligencji się nudzi, Nieprzyjaciel wysyła swe sługi, by go kusily. I rzeczywiście zwykle opactwo nie jest pozycją, która ci przystoi.

Spojrzał na nią; oczy miał dziwnie suche po tak łzawym wyznaniu.

--Co chcesz przez to powiedzieć?

--Bądź posłuszny moim życzeniom, Hugonie, a dostaniesz więcej. -- Złapała go za ucho, wykręciła je tak, że najdrobniejszy ruch powodował ból, a palcem drugiej dłoni pieścotliwie przesunęła po jego wilgotnych ustach i dotknęła nim swoich warg, jakby spijając słodycz. -- Nigdy cię nie zawiodłam, Hugonie. Dałam ci wszystko, o co mnie prosileś.

--Dalaś -- rzekł cicho. Zawahał się, po czym umilkł.

Puściła go, cofnęła się i pozwoliła mu wstać.

--Nie zawiedziesz mnie. Nie widuj jej więcej, a ocalimy twą reputację.

Pokornie skłonił głowę.

--Jestem waszym posłusznym sługą, pani matko.

Spojrzała na Baldwina i Ivara, który czując mdłości, zrozumiał, że było to przesłanie skierowane do jej młodego męża: ci, którzy żyli w kręgu jej władzy, nie mieli prawa do nieposłuszeństwa.

Baldwin skłonił głowę i pograżył się w pełnej pasji modlitwie. W połowie szturchnął Ivara stopą i ten, zaskoczony, widząc, jak Hugo całuje matkę w oba policzki i odchodzi do komnaty, gdzie czekała na niego kąpiel, też złożył ręce i dołączył do szeptanej modlitwy:

--Matko nasza, któraś jest w niebie...

Widząc ich tak zajętych, Judith wyszła z komnaty, a za nią podążyły dwie służące i chart. Bez wątpienia uznała, że czas wyruszyć na pole bitwy, by uratować reputację syna. A co z Liath?

O Boże. Liath.

--Nie skupiasz się -- szepnął Baldwin, urażony.

--Co się z nią stanie? -- mruknął Ivar.

Tym razem Baldwin go zrozumiał.

--Czy pożądasz jej ciała, Ivarze? -- Położył dłoń na udzie Ivara. Słodki oddech Baldwina, podobny do oddechu anioła, musnął lekko jego szyję.

Ivar szarpnął się konwulsyjnie.

--Boże, dopomóż! -- zaczął się modlić. Myślenie o niej zbyt bolało. Lepiej zatopić się w myślach o Bogu. Pogrążył się w żarliwej modlitwie, a Baldwin po chwili przyłączył się do niego.

3.

Król nie wezwał ich na ucztę z okazji powrotu Theophanu i przybycia diuka Konrada. Żaden z królewskich lokai nie uznał za stosowne przynieść im tacy z kaskami ze stołu. Ale żołnierze przynieśli dary: chleb, pieczone rzepy, wieprzowinę i warzywa, takie jakie dostawali wojacy, i szczerze dzielili się z kapitanem, którego szanowali i podziwiali, i Orlicą w nielasce, której mieli powody być wdzięczni.

Godziny zmierzchu biegły wolno i leniwie, i gdy Sanglant cesał jej włosy, Liath słuchała dochodzących z sali słodkich głosów kleryków, zabawiających króla hymnem na cześć wniebowstąpienia świętej Casceil, której święto dziś przypadało.

Święta Casceil udała się na pielgrzymkę, ze smaganej deszczem rodzinnej Alby ku suchym pustynnym brzegom Sais Młodszej. Tam zamieszkała na wschodzie w błogosławionej samotności, mając za towarzysza jedynie oswojonego lwa, i klękała, by się modlić w promieniach pustynnego słońca, aniołowie zaś wachlowali ją swymi skrzydłami, by schłodzić jej czoło i ciało. Jednakże słońce wypaliło śmiertelną substancję, a modlitwy tak rozogniły jej duszę czystością i prawdą, że wiatr uczyniony anielskimi skrzydłami, będący również łagodnym oddechem Boga, poniósł ją do niebios. Tam znalazła swe miejsce pomiędzy sprawiedliwymi.

Mimo że Sanglant był zajęty zaplataniem wcześniej uczesanych włosów, niecierpliwie przenosił ciężar ciała z jednej stopy na drugą i wydawało się, że zacznie mówić, ale tylko mruzczał cicho. Ona powiedziała mu już wszystko, co miała do powiedzenia. Nie podjęli decyzji: jechać z Konradem czy nie?

--Książę panie. -- W drzwiach stanęła Hathui. Liath czuła bijący od niej zapach uczyty. Ostra woń przypraw i sosów sprawiła, że ślina napłynęła Liath do ust.

Skinął głową, pozwalając jej wejść.

--Przynosisz wieści od mego ojca?

--Przyszłam z własnej woli, porozmawiać z mą towarzyszką Liath, jeśli pozwolicie.

--To jej wybór, nie ja będę za nią decydował! -- rzekł, zawiązując warkocz i odchodząc od Liath.

Liath poderwała się, gdy za Hathui wkroczyła do komnaty Hanna. Odznaka błyszcząca pod szyją na jej krótkim letnim płaszczu wydawała się oskarżeniem. Hanna wyrzekła się rodziny, domu i wszystkiego, co знаła, by podążyć za Liath, a ona złamała wspólnie złożoną przysięgę i związała się z Sanglantem. Hanna płakała, a Hathui była ponura.

--To jest... to jest... moja towarzyszka -- wyjąkała Liath, nie chcąc traktować Hanny jak zwykłej służącej, a jednocześnie nie wiedząc, czy książę i zwykły Orzeł będą mogli traktować się jak równi sobie. O Pani! Czyżby nigdy nie myślała o sobie jak o „zwykłym Orle”, tylko jak o równej książętom ze względu na coś, co odziedziczyła wraz z manierami i wykształceniem otrzymanym od ojca? Czyżby nigdy nie traktowała Hanny jak równej, przez te wszystkie lata, gdy Hanna szczerze dawała swą przyjaźń obcej, pozbawionej przyjaciół dziewczynie?

Zawstydzila się.

--To Orlica, która służy Sapientii -- rzekł Sanglant, przelamując ciszę, jaka zapadła po jej jękaniu. -- Ma na imię Hanna. Znasz ją ze Spokoju Serca, prawda? -- Spojrzał na Hannę. -- Wydaje mi się, że nazywałaś tam moją żonę „przyjaciółką”.

--Książę panie -- rzekła Hanna, klękając. Hathui, uśmiechając się półgębkiem, nadal stała, ale z szacunkiem skłoniła głowę. Potem Hanna ujrzała psa Eików i poderwała się, odskakując

za stół.

--Nie obawiaj się -- rzekł Sanglant. -- Nie ma wystarczająco dużo siły, by zrobić ci krzywdę.

--Przeżyje? -- zapytała Hathui cicho.

--Możesz powiedzieć memu ojcu, że będę go doglądał z całych swych sił, ponieważ on jeden, ze wszystkiego co mam, nie został mi dany z jego łaski.

Jej oczy błysnęły.

--Czy mam mu to powtórzyć dokładnie tymi słowami, książę panie? Pokornie odradzam, dopóki król ma do was takie nastawienie jak dziś.

--Ostre słowa, Orle. Mów, co masz powiedzieć mej żonie, nie będę się wtrącał.

Hathui skinęła głową i zaczęła:

--Powinnaś była wyjechać z Wilkunem, Liath. Jak mogłaś tyle miesięcy podróżować z królewskim dworem i nie zauważyć, że jest kloaką pełną intryg? Jak będziesz sobie tutaj radzić, gdy król jest przeciw tobie, a książę nie ma poparcia? Co powiesz, kiedy książęta i szlachta będą chcieli się wkraść w twoje łaski, by zyskać przychyłność księcia? U twoich drzwi zawsze będą interesanci, żebracy, trędowaci, biedacy wszelkiej maści i chorzy czekający na uzdrowienie, szlachetnie urodzone damy i panowie, liczący, że twój wpływ zyska im posłuchanie u króla lub jego dzieci albo chcący pozyskać księcia dla swej sprawy, nieważne czy słusznej, czy nie.

Jak Konrad. Liath podniosła grzebień, który leżał na stole. Taka prosta rzecz tak pięknie wykonana. Jego kościana powierzchnia rzeźbiona w parę splecionych smoków i wysadzana perłami i kością słoniową na końcach rączki, określała Sanglanta jako wielkiego księcia, który nie musiał rozczesywać włosów patykami czy zwykłym drewnianym grzebieniem, tylko czymś, co wyszło spod ręki artysty.

Hathui mówiła dalej:

--Ojciec Hugo został oskarżony o czary przez księżniczkę Theophanu, ale jeśli król cię wezwie, byś zeznawała przeciw niemu, jak sobie poradzisz, gdy spadnie na ciebie gniew margrabiny Judith? A co jeśli ciebie oskarżą o czary? Król nigdy nie pozwoli, by uznano cię za żonę księcia Sanglanta. Wszystko to będziesz musiała wycierpieć, nie mając nawet praw żony, będąc tylko konkubiną. Uważasz, że łożo księcia jest warte Orlej przysięgi i wolności, bo służysz jedynie królowi?

--Liath -- wyszeptała Hanna. -- Jesteś pewna, że to rozsądne?

--Oczywiście że to nierozsądne! -- odparła.

Sanglant stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Wiatr targał mu włosy, a szarzące światło uczyniło z jego profilu -- łuku nosa, wysokich kości policzkowych, twarzy pozbawionej zarostu -- dumną maskę. Nie zamierzał się wtrącać.

--Oczywiście że to nierozsądne -- odparła Liath gorzko. -- Tak po prostu jest. Nie zostawię go. Och, Hanno. Podążałaś za mną od Spokoju Serca, a teraz cię porzuciłam... -- Złapała dłonie Hanny, a ta, wciąż blada, parsknęła i nagle ją przytuliła.

--Jakbym złożyła Orlą przysięgę tylko po to, by za tobą pojechać! Może chciałam zobaczyć więcej świata. Może chciałam uciec przed młodym Johanem.

Śmiech Liath bardziej przypominał szloch. Ciało Hanny, która się do niej przytuliła, było znajome i bezpieczne.

--Może i tak. Przepraszam.

--Nadal uważam, że jesteś idiotką -- szepnęła Hanna. -- Moja matka nigdy nie pozwoliłaby żadnemu ze swych dzieci ożenić się z powodu... no...

--Czego?

Hanna odezwała się tak cicho, że przytulona do niej Liath ledwie ją słyszała:

--Tylko pożądanja. Mogą mówić, że ci się powiodło, skoro zainteresował się tobą, ale nie przynosisz mu niczego, co byłoby użyteczne...

Sanglant się roześmiał, nie odwracając się od okna, a Hanna poczerwieniała gwałtownie.

--Jest bardziej użyteczna, niż ktokolwiek zdaje sobie z tego sprawę -- rzekł ku krzakom. -
- Ale przyznaję, że nie jestem odporny na słabości ciała.

--Ale nikt nie zawiera małżeństwa tylko dla... -- Hanna ugryzła się w język. -- Moja matka zawsze powtarzała, że Bóg stworzył małżeństwo jako użyteczne narzędzie, a nie łożo rozkoszy.

--Czy powinniśmy być dobrzy, czy użyteczni? -- zapytała Hathui sardonicznie.

--Czy musimy gadać jak klerycy? -- odparł Sanglant. -- Powinniśmy dopilnować, by zboże zostało zebrane, nasze granice zabezpieczone przed rabusiami i najazdami, nasi towarzysze byli syci, a dzieci zdrowe. I modlić się do Boga, by oszczędzili nam wyjących psów, które nas gryzą po łydkach!

Hanna odskoczyła od Liath, jakby ją uderzono. Hathui skinęła głową.

--Jeśli księżę sobie życzy, odejdziemy.

--Nie. -- Szarpnął niecierpliwie głową i odwrócił ją, by na nie spojrzeć. -- Nie mówiłem o was, tylko o panach i paniach tłoczących się na dworze. Proszę, nie chowajcie urazy za me ostre słowa.

--Nie jesteście ostrzy, panie, lecz szczerzy -- Hathui uśmiechnęła się czarująco.

--Nie tak elokwentny jak moja żona -- odrzekł z dumą, która zaskoczyła Liath.

W tejże chwili jednak Liath miała inne palące potrzeby. Pociągnęła Hannę za rękaw.

--Wyjdź ze mną, Hanno, proszę. Nie jestem przyzwyczajona... kiedy wokół jest tylu ludzi...

Była w nielasce, nie w więzieniu, i mimo że wolą używać wygodek wybudowanych przy murach niż nocnika, nie odważyła się wyjść sama, lękając się, że spotka Hugona. Hanna na zewnątrz wydawała się radośniejsza, może z dala od Sanglanta. Służący wskazywali jej palcami i szeptali.

--Hanno, czy uważasz, że jestem głupia? -- Irytowało ją, że była nieustannie obserwowana. W roli żony Sanglanta była jak pochodnia, widoczna dla wszystkich.

--Tak. Lepiej służyć mu jako Orzeł niż kochanka. Będąc Orłem jesteś związana przysięgą jedynie z królem. A kochankę może odsunąć, gdy się znudzi, i dokąd wtedy pójdiesz?

--Mówisz jak Wilkun!

--Rzeczywiście, jak Wilkun! -- Hanna poczekała, gdy Liath korzystała z wygodki, po czym zaczęła znówu: -- Wilkun został Orłem podczas rządów króla Arnulfa. Wszyscy wiedzą, że był jednym z ulubieńców Arnulfa. A potem Henryk wstąpił na tron, oddalił Wilkuna z dworu, ale nie mógł wyrzucić go z Orłów! Taka jest miara bezpieczeństwa Orłów.

--Jeśli ktoś z nas w ogóle jest bezpieczny -- mruknęła Liath, przypominając sobie czyste kości na drodze. Wspięła się na mury, by rozejrzeć się po okolicy. Wieczorny wiatr wiał jej

prosto w twarz. Pod urwiskiem płynęła rzeka. Wąskie pasy pól uprawnych porośnięte były bujną roślinnością: fasolą, żytem, chmielem. Niewielkie postaci poruszały się w wiosce, która zdawała się leżeć rzut kamieniem stąd, ale Liath wiedziała, że w rzeczywistości znajdowała się znacznie dalej. Poranne chmury burzowe zniknęły na północnym zachodzie, niebo było czyste, księżyc w połowie drogi ku zenitowi. Słońce zaszło, ale jego blask barwił jeszcze zachodnie niebo. Blyszcząca Somorhas unosiła się nisko nad horyzontem; nadal było zbyt jasno, by ujrzeć inne gwiazdy na letnim niebie, niebie Królowej.

--Czy byłabym królową? -- wyszeptła i poczuła takie oburzenie na myśl o rządzeniu dworem, kotłem intryg, że aż się otrząsnęła.

--Zimno ci? -- Hanna otoczyła ją przyjacielskim ramieniem. Z sali biesiadnej, ukrytej za kaplicą i stajniami, podniósł się ryk śmiechu.

--To tylko dlatego, że on nie może rządzić -- powiedziała Liath nagle. -- Gdyby miał jakiegokolwiek chęci, by stać się następcą swego ojca, nie zniosłabym tego!

Hanna roześmiała się ostro.

--Gdyby miał ambicje, by zostać królem, nigdy by się z tobą nie ożenił! Poślubilby szlachciankę, której ród by go wspierał.

--Zasłużyłam sobie na to!

--Może on ma rację. -- Twarz Hanny ściągnęła się w zamyśleniu i zmartwieniu. -- Nie jesteś taka, jak się wydajesz, Liath. Może on jest mądrzejszy od reszty. Powiadają, że krew Aoi nastrojona jest do magii jak lira, którą poeta dostraja przed występem, wiedząc, jaki dźwięk jest najśłodszy.

--Tak mówią?

--Niektórzy na dworze powiadają, że księżę Sanglant stał się tak dziwny w więzieniu, bo czary zatrwały mu umysł. Dlatego... -- Urwała, a potem uśmiechnęła się przepraszająco. -- Dlatego zachowuje się jak pies. Psy stały się częścią jego lub on częścią psów, jak zaklęcie wplecione w jego ciało przez wodza Eików.

Przyleciała bezgłośnie i usiadła na poszarpanym glazie. Hanna nie zauważyła jej, ale Liath natychmiast dostrzegła sowę.

Delikatnie wyswobodziła się z ramion Hanny, zrobiła krok naprzód i uklękła.

--Kim jesteś? -- zapytała sowę. Ta zamrugła wielkimi złotymi oczami, ale nie odpowiedziała.

--Liath -- wyszeptła Hanna. -- Dlaczego mówisz do sowy?

--To nie jest zwykła sowa. -- Wpatrywała się w ptaka. Miał pędzelki na uszach i nakrapiane brązowe pióra, a białe na piersi. Była to największa sowa, jaką widziała Liath, która wiele nocy spędziła na cichej kontemplacji gwiazd i swym bystrym wzrokiem dostrzegała budzące się i żerujące nocne zwierzęta. -- Kim jesteś?

Jej pohukiwanie zabrzmiało jak ostrzeżenie, a potem poderwała się i odleciała.

--Orle! Nie spodziewałam się, że tak długo cię nie będzie. -- Księżniczka Sapientia, która właśnie skorzystała z wygodki, podeszła wraz z grupką służących.

--Wasza Wysokość! -- Twarz Hanny i ton głosu zdradzały zaskoczenie.

--Czy ciebie też zaczarowała? -- zapytała Sapientia, gdy Hanna przed nią uklękła. Liath zawahała się, po czym uznała, że rozsądniej będzie uklęknąć. -- Względy mojego brata obudziły w niej pychę!

--Wybaczcie mi, Wasza Wysokość, że mnie tak długo nie było -- odparła Hanna spokojnie.

-- Znałyśmy się jeszcze, zanim zostałyśmy Orlami. Jesteśmy niemal rodziną...

--Ale nie jesteście spokrewnione.

--Nie.

--Jesteś dobrą, szczerą, wolną kobietą, Hanno. A czym ona jest, nikt nie wie. -- Skinęła na dwóch strażników, którzy z szacunkiem trzymali się z tyłu. -- Brać ją.

--Muszę wracać...! -- zaczęła Liath.

--Musisz pójść ze mną. -- Oczy Sapientii błyszczały triumfalnie. -- Zresztą tak łatwo ci się nie uda, Orle!

--Sanglant. -- Ale wiatr poniósł jej głos poza mury, gdzie z bocze opadało ku polom położonym poniżej. Gdyby się opierała, wywołałaby scenę, która uczyniłaby jej życie jeszcze trudniejszym, poszła więc i natychmiast tego pożałowała, gdy Sapientia wróciła prosto do sali biesiadnej. Klębili się w niej wszyscy dworacy, którzy zdołali wejść, ich służba zaś i przyboczni siedzieli na dworze przy stołach. Z diukiem Konradem, margrabiną Judith i miejscowymi paniami, które przyjechały złożyć wyrazy uszanowania, obdarować króla i korzystać z jego szczodrości, dwór rozkwitł życiem, setki ludzi tłoczyły się, gotowe cieszyć się wieczorem, cokolwiek miało się zdarzyć. Kiedy Sapientia poprowadziła ją do sali biesiadnej, tak zapchanej ludźmi, że wydawała się pękać w szwach, Liath przysięgłaby, że zwróciły się ku niej wszystkie oczy, by ją ocenić. Ogarnęły ją mdłości, które znikły, gdy Hanna dotknęła jej łokcia, podtrzymując ją na duchu po raz ostatni.

Oczywiście, wszyscy pili; to była uczta, wino lało się strumieniami. Ale król wstał na jej widok i od razu wiedziała -- ponieważ nauczyła się odczytywać najdrobniejsze oznaki z twarzy taty -- że pił dużo, starając się zagłuszyć gniew.

Ale nadal miał królewski głos i postawę.

--Czy kochanka mojego syna przyszła złożyć wyrazy szacunku? -- zapytał, wskazując na nią, by upewnić się, że ci, którzy jeszcze jej nie zobaczyli, dostrzegli ją teraz.

--Czy też zmęczyła się po prostu nowym podbojem? -- zawarczała margrabina Judith. -- I odrzuciła go, jak odrzuciła mojego syna, gdy już zatrula go swymi czarami? -- Jej wściekły wzrok był przerażający niczym oczy guivre'a i zmieniał Liath w kamień. Wśród setek gapiących się na nią twarzy nie widziała Hugona, ale była pewna, że to on stał za tym upokorzeniem.

--Nie nasza sprawa o tym sądzić, tylko Kościoła. -- Tak, Henryk był pijany, ale też rozwścieczony i zdolny do lepszej kontroli nad sobą niż tato. Ale tato był tylko okrytym niesławą fratrem. Henryk był królem. -- Niech usiądzie obok mnie -- dodał patrząc na nią stalowym wzrokiem, ostrym niczym miecz. -- Niech królewska kochanka, ozdoba łoża mego syna, będzie traktowana, jak na to zasługuje. -- Wiedział, co robi. -- Ale nie w takim stroju! Nie ubrana jak zwykły Orzeł! Czy mój syn nie dał ci odzienia przystającego twej randze?

Nie czekał na odpowiedź; chciał jej tylko przypomnieć o swej władzy, jakby mogła o niej nie pamiętać.

Theophanu wstała z krzesła po lewicy ojca. Podbiegła do niej służąca, a księżniczka szepnęła jej coś do ucha, nim zwróciła się do króla:

--Wasza Królewska Mość, jestem wdzięczna tej kobiecie, mam powód. Pozwólcie mi odziać ją odpowiednio.

Cios padł z nieoczekiwanej strony. Henryk się zawahał, a Theophanu wykorzystywała ten czas, by przywołać ją gestem. Liath wyslizgnęła się z kręgu towarzyszy Sapientii i znalazła się wśród chłodnych, ale przyjacielskich dam dworu Theophanu.

Zaprowadziły ją do komnaty umieszczonej pod stropem; wpadła tu zdyszana służąca, niosąc w ramionach zwój materii. Rozprostowała go i pokazała piękną lnianą tunikę i błękitną jedwabną suknię, wyszywaną w ośmioramiennie złote gwiazdki. Tkanina mieniła się niczym nocne niebo, czyste i tajemnicze.

--Nigdy nie nosiłam czegoś tak pięknego! -- wyszeptała zachwycona Liath, ale służące odziały ją szybko, uznawszy za równie wysoką, co księżniczka, tylko szczuplejszą, i spięły suknię prostym łańcuszkiem ze złotych ogniów. Oznajmiły, że zadowala je stan jej włosów, ale dla ozdoby przypięły na czubku głowy złotą siateczkę wysadzaną perłami.

--Panie zmiłuj się -- mruzczały, oglądając ją. -- Nic dziwnego, że spodobała się księciu.

Poprowadziły ją do sali. Jeśli uważała, że przedtem znalazła się po uszy w nieszczęściu, to teraz dopiero się zaczęło: nawet Henryk, rozmawiający z Sapientią, zamilkł na jej widok. Wszyscy obecni w sali też umilkli. Chwilę później Theophanu wstała, by ustąpić jej miejsca u boku króla i wszyscy naraz zaczęli gadać.

--Nie ma psów na straży? -- Przywykły do bitwy głos Konrada z łatwością przebijał się przez zgielk. -- Nie zostawiłbym takiego cennego skarbu bez dozoru.

Poczuła, jak gorąco ogarnia jej twarz i rozlewa się po członkach, a potem gwałtownie zapragnęła ochłonić, by nie spowodować potwornego pożaru. Król spoglądał na nią bardzo dziwnie i podał jej swój puchar. Nie odważyła się odmówić. Wino gęstym bukietem spłynęło jej do gardła i rozlało się w żołądku. Musiała dzielić z królem półmisek -- był to taki zaszczyt, że na zawsze zapisze ją w pamięci ludzi obecnych na ucztach. Nigdy już nie będzie anonimowa, nie na królewskim dworze. Najgorsze zaś było to, że jego palce wciąż dotykały jej palców i niezależnie od tego, jak cudowny smak i zapach miało jedzenie, ledwo przechodziło jej przez gardło, nawet splukiwane winem.

Hathui wślizgnęła się do sali i milcząc, z dezaprobatą stanęła za królewskim krzesłem. Hanna, uwięziona obok Sapientii, mogła rzucać jej tylko rozpaczliwe spojrzenia, niezdolna do pomocy. Wszystkie inne twarze zlały się w jedno.

Młodzieńcy siłowali się przed królem i rzucali jej podarki, chcąc wkupić się w łaski, i musiała pocałować zwycięzcę: młodzika, którego oddech cuchnął cebulą. Popisywali się zonglerzy i akrobaci, i musiała rzucać im srebrne scetty z misy przyniesionej przez służących. Musiała ocenić poetów, którzy mieli nadzieję przypodobać się jej i wkraść w łaski króla, król zaś polegał na jej wyroku. Powieki mu opadały i obserwował ją, gdy nie patrzył na dwór. Ocierał się o nią czasami, ale bez wątpienia tylko dlatego, że siedzieli tak blisko. Ohydne uczucie ściskające jej serce nie chciało zniknąć.

--Jak możecie darzyć ją takimi zaszczytami, Wasza Królewska Mość -- odezwała się wreszcie Judith, doprowadzona do granic cierpliwości. -- Gdy mój syn leży w komnacie, gorączkując, wypacając truciznę, którą ona w niego wlała?

Henryk obrócił się i spojrział na margrabinę.

--Będę się zachowywał, jak uznaję za stosowne, biorąc pod uwagę oskarżenia, jakie dziś padły. Zwołałem już biskupów, by się zebrali w Mateusze w Autunie. Tam twój syn i ta kobieta postawieni zostaną przed tymi, którzy najlepiej potrafią wyrokować o takich sprawach. -- Znów

spojrzał na Liath i wznosił ku niej kielich. -- Ale jak mnie mądrze ostrzegł mój drogi kuzyn Konrad, nie odważyłbym się zostawić takiego skarbu bez dozoru. Zostanie przy mnie do tego czasu...

--Przy tobie, kuzynie? -- wrzasnął Konrad, a potem ryknął śmiechem. -- Po tym, jak książę się nią znudzi czy przedtem? Ale mnie również zachwyca jej uroda. Nie wstydę się stwierdzić w obliczu świadków, że niezależnie od tego, ilu królewskich łóżek będzie ozdobą, chętnie ją zabiorę, gdy już z nią skończysz.

Kiedy Henryk się roześmiał, szlachcice podchwycili dowcip i zaczęli robić zakłady: Ile miesięcy minie, nim Sanglant się nią znudzi? A król? A Konrad? Kto będzie ją miał następny?

O Boże. Była bardzo zawstydzona, że tak z niej kpią. Lepiej wirować w Otchłani, czekając, aż oddech Boga zepchnie ją w dół, niż dłużej to znosić!

Po jej lewicy księżniczka Theophanu siedziała niczym kamień. Za Theophanu Helmut Villam marszczył brwi i nie przyłączył się do żartów. Ale na twarzy Henryka pojawił się ponury uśmiech perwersyjnej satysfakcji i patrzył na nią z obrzydliwym, wywołanym winem pożądaniem. Rozpoznała to spojrzenie. Hugo tak na nią patrzył w pewne zimowe noce w Spokoju Serca; to, co następowało później, nigdy nie było przyjemne, przynajmniej nie dla niej.

--Widzicie po tym spektaklu, przyjaciele -- rzekła Judith głosem, który dotarł do wszystkich kątów sali. -- Że teraz zaczarowała nawet naszego dobrego króla. Jakiego jeszcze dowodu potrzebujecie, że skalala sobie ręce czarnoksięstwem?

O Pani! Wreszcie pojawił się w drzwiach, obramowany mrokiem, bez orszaku, choć dzięki Bogu doprowadził odzienie do porządku. Może żołnierze mu pomogli. Pas mistrza Hosela wyglądał doskonale z piękną tuniką i nogawicami, salamandry wytłoczone na skórze zdawały się poruszać i błyszczeć w świetle pochodni.

Ruszył wzdłuż rzędów stołów i bez słowa czy gestu powitania zatrzymał się z aroganckim wdziękiem przed królewskim stołem. Wyciągnął dłoń. Podniosła się, ale Henryk złapał ją za nadgarstek.

--Moje łóżko albo jego -- wymruczał król.

Nozdrza Sanglanta rozděły się w gniewie, ale się nie ruszył.

Dłoń Henryka zacisnęła się na jej ręce. Charcik zawarczał cicho i został uciszony. Nawet zonglerzy i akrobaci wyjrżeli spod królewskiego stołu. Wszyscy obserwowali.

Królewskie łóżko.

Długo stała oszłomiona. Henryk byłby w wieku jej taty, gdyby ten żył, ale poważny wiek dodawał mu tylko uroku, miał szlachetną, przystojną twarz, jaką Bóg daje panującym.

Królewska ochrona.

Hugo nigdy nie odważyłby się jej tknąć. Nawet biskupi łagodniej patrzyliby na królewską kochankę.

Sanglant czekał w milczeniu, jak człowiek, który wie, że zaraz spadnie śmiertelny cios.

--Wybaczcie, Wasza królewska Mość -- powiedziała. -- Ale już dawno złożyłam przed Bogiem przysięgę.

Puścił ją. Obchodziło ją tylko, żeby się jak najszybciej stąd wydostać; zanurkowała pod stołem i przeczołgała się po świeżych trocinach, kościach kurczaka i resztkach wina, a gdy wynurzyła się po drugiej stronie, Sanglant ją podniósł, z pomocą jednego z zonglerów, który klepnął ją w tyłek.

Wszyscy naraz zaczęli mówić.

Ujrzała drzwi tak daleko, że była przekonana, że nigdy do nich nie dotrą, a potem nagle pojawiły się tuż przed nią i stała pod rozgwieżdżonym niebem. Pobieglaby, ale on nakazał jej iść, by nie stracili godności.

Nic nie mówił. Kiedy wrócili do komnaty, bez pytania o pozwolenie przeszukał jej sakwę i wyciągnął złoty torkwes. Zaczęła drzeć. Złapał ją za ręce i bez słowa wcisnął torkwes na szyję -- a potem wpatrywał się w nią, odzianą w piękną suknię koloru nocnego nieba.

Torkwes był ciężki, prawdziwa niewolnicza obroża.

--Zdejmij go, błagam. -- Dławiała się słowami. -- Nie powinnam go nosić.

--Nie, jest dla ciebie stworzony. -- Zasłonił dłonią oczy, jak przed wizją, której nie ważył się oglądać. -- Gdybyśmy byli na dworze Taillefera i tak byś wszystkich zaćmiła urodą.

Wsunęła palce pod złocisty warkocz, zdjęła go i trzasnęła nim o stół, jakby jego dotyk zmrażał jej skórę.

--Tam musiało być ze trzystu ludzi i wszyscy się na mnie gapili!

--Przyzwyczaisz się.

--Nigdy się nie przyzwyczaję! Nie chcę się przyzwyczajać!

--Cicho, Liath. -- Spróbował ją pocałować, uspokoić, ale była zbyt rozdrażniona. Podeszła do okna i wychyliła się. Wielu ludzi przechodziło za rogiem domu; widząc tłum, słysząc głosy i grube żarty, domyśliła się, że uczta dobiegła końca, gdy wyszli. -- Chciał cię zawstydzić -- powiedział Sanglant, podchodząc do niej. Uważał, by jej nie dotknąć.

--O Boże.

--Zaczarowałaś go? -- zapytał od niechcienia, przesuwając palcem po jej policzku.

--Nic nie zrobiłam!

--Nic nie zrobiłaś, a jednak zaferował ci swoje łóżko i ochronę. Mój ojciec znany jest ze swej pobożności i zasad. Przez wszystkie lata u jego boku nie widziałem takiego przedstawienia, jakie dał dzisiaj.

--Nic nie zrobiłam! -- powtórzyła wściekła, bo upokorzenie było tak świeże. Przypomniła sobie jego wczorajsze słowa. -- Nie będę rozmawiać z tobą od nowa, jeśli w głębi serca wątpisz w me intencje!

Zaśmiał się, odprężając się nagle.

--Nie, sądzę, że to ciebie zaczarowano. Każdy mężczyzna w sali wziąłby cię do łóżka, oddał połowę posiadłości i jedną trzecią skarbcza matki w zamian za twe łaski. Pan i Pani wiedzą, jak jesteś piękna, Liath. -- Pochylił się ku niej, tak że jego oddech gładził jej włosy. -- Ale nawet piękny Baldwin nie sprawia, że wszystkie damy na dworze szaleją. A uważam, że Bóg stworzył go na podobieństwo aniołów bardziej niż ciebie.

--Kto to jest piękny Baldwin? -- zapytała oburzona.

Odsunął się, zamknął oczy i zamilkł, nasłuchując odległej paplaniny tłumu, dzielącego się na grupy i rozchodzącego. Ona słyszała jedynie pomruk, ale wiedziała, że on miał o wiele czulszy słuch.

--Nie -- rzekł wreszcie. -- Coś innego wchodzi tu w grę, jakieś zaklęcie, którym cię obłożono.

--Czy wobec tego jedynym powodem, dla którego poprosiłeś mnie o rękę -- rzuciła ostro -- było zaklęcie? I jeśli się biskupom spodoba, to mogą mnie skazać za coś, do czego nie

przyłożyłam ręki?

Pokręcił głową, podjąwszy decyzję.

--Nie staniesz przed biskupami. Wyjedziemy z Konradem.

--Konrad był najgorszy!

--Nie możemy zostać na dworze! Nie po tym jak król, mój własny święty ojciec, próbował mi cię odebrać! -- Urwał, uczynił z wahaniem gest i wiedziała, jakie padnie pytanie. -- Czy cię kusilo?

Ponieważ zapytał tak pokornie, roześmiała się.

--Oczywiście że mnie kusilo. Królewskie łóżce. Królewska ochrona! Byłabym idiotką, gdybym to odrzuciła, prawda? Ale przyrzekłam przed Bogiem, że nigdy nie będę kochała nikogo prócz ciebie.

--O Pani, Liath. -- Przytulił ją, choć drżał. -- Będziemy mieli razem wiele silnych dzieci, a każde z nich pobłogosławi nasz dom. -- Pociągnął ją delikatnie ku łóżku, ale wyslizgnęła się z jego ramion.

--Pozwól mi jeszcze postać -- powiedziała, wracając do okna. -- Kręci mi się w głowie. -- Wypiła tyle wina, że wirowało jej w głowie. Uśmiechnął się i usiadł na łóżku, patrząc na nią z zadowoleniem.

Wychyliła się, by zaczerpnąć powietrza. Widziała gwiazdy na kopule niebios: Miecz Królowej stał w zenicie, ale pod tym kątem nie mogła go dostrzec. Rzeka Niebios płynęła na zachód, z jej wód wynurzał się Guivre, gwiazdy spływały po jego grzbiecie, niczym oczy Judith, zwrócone ku niej z groźbą. Tyle gwiazd, co najmniej tysiąc, liczne niczym służący i dworacy podążający za królem.

--Tato i ja zawsze byliśmy sami. Nawet na dworze w Qurtubie, bogatym i zatłoczonym, zazwyczaj kryliśmy się na obrzeżach. Zawsze byliśmy sami.

--Qurtubah -- wyszeptał Sanglant z łóżka jak echo. -- Widziałem kiedyś miecz z Qurtuby, lekki, ale mocny. Był zakrzywiony.

Na północy dostrzegła Kokab, gwiazdę północną, a pod nią Chochłę, zawsze gotową nabrać niebiańskiej wody i wlać ją w usta bogom, gdyby ci zapragnęli takiego nektaru. Takie opowieści prawili Dariyanie, ale astronomowie z Jinny, skłaniający się ku naukom wielkiej filozofki Ptolomai z Gyptosu, zapisali w swych księgach inaczej.

--„Najwyższa sfera zawiera wszystkie istoty żywe" -- rzekła cicho. *Księga Tajemnic* leżała tak blisko, że czuła jej spokojną obecność; nie musiała jej otwierać, by cytować tekst uczonego z Jinny, al-Haythama, którego ona i tato kiedyś spotkali. -- „Otacza sferę gwiazd nieruchomych i zamyka ją. Porusza się szybko z zachodu na wschód na dwóch nieruchomych biegunach i czyni jeden obrót każdego dnia i nocy. Wszystkie orbity, które otacza, poruszają się wraz z nią”.

--Czy powinienem to rozumieć? -- Ziewnął, rozparty na łóżku.

--Nazywamy Kokab gwiazdą północną, bo oznacza północny biegun. Musi istnieć południowy, ale go nie widziałam.

--A ktoś go widział?

--Nie wiem, czy którykolwiek z astronomów z Jinny zapuścił się tak daleko. Nie wiem, czy na południu istnieje jakiś ląd. Mówią, że wszystko to pustynia, spalona na piach promieniami słońca. -- Na terenach pałacowych fale ludzi rozchodziły się wśród śmiechu i śpiewu; dziedzińiec

pustoszał. -- Al-Haytham mówi, że dzień i noc się wydłużają w pobliżu miejsca pod biegunem. Byłby w zenicie...

Raczej wyziewał pytanie, niż je zadał.

Wskazała palcem i uświadomiła sobie, że jest za ciemno, by ją widział.

--Zenit jest prosto nad nami. W miejscu, pod biegunem, oś ziemi jest pionowa. Horyzont zaś musi dokładnie się pokrywać z kręgiem równika niebieskiego. -- Cały ohydny wieczór odpływał w dal, gdy patrzyła w gwiazdy. Ich tajemnice nigdy nie przestawały jej fascynować i zastanawiać. -- Ale wtedy dzień trwałby prawie sześć miesięcy. Tak długo, jak długo słońce pozostaje w północnych znakach. Stałoby zawsze nad horyzontem. Noc trwałaby też prawie sześć miesięcy, kiedy słońce byłoby w znakach południowych, bo znajdowałoby się zawsze pod horyzontem. Tak samo musiałoby być na biegunie północnym, tylko dzień i noc następowałyby odwrotnie do tych na biegunie północnym. Czyż to nie piękne? -- teraz ona ziewnęła, też ogarnięta zaklęciem wieczoru. -- Sanglant?

Zasnął.

Nagle uświadomiła sobie, jak nienaturalna cisza zapadła, okrywając wszystko niczym chmura zasłaniająca niebo. Ziewnęła i otrząsnęła się.

--Sanglant?

Zamruczał cicho, ale tylko przewrócił się na bok. Nadal był całkowicie ubrany.

Wychyliła się przez okno, ale tylko wiatr szumiał w gałęziach. Nie było ani śladu życia: żadnych psów węszących za resztkami, żadnych sów szukających myszy, żadnych służących ani szcurków wylizujących talerze zostawione przez pijaną szlachtę. Gwiazdy migotały jak przez zasłonę, oddzielone od niej, schwytej na płaszczyźnie śmiertelnych.

--Tato? -- Jeśli jego dusza płynęła w górze w Rzece Niebios, kierując się ku Komnacie Światła z tysiącami innych uwolnionych z ciała, Liath nie mogła jej dostrzec.

Zdenerwowana podeszła do drzwi i wyjrzała. Czterech uspiomych Lwów leżało bezwładnie na progu. Nikogo nie było na wielkim dziedzińcu; wokół opuszczonych stołów wirował kurz.

Ogarnęło ją przerażenie tak wielkie, że ledwie zdołała zamknąć drzwi, tak się trzęsła; z trudem założyła rygiel, zamykając się od wewnątrz. Odwróciła się do okna, ale było za późno.

W otwartym oknie poruszył się cień. Przerzucona noga. Błysk złocistych włosów w świetle świecy. Jego twarz, posiniaczona, ale nadal piękna. Pies Eików zaskomlał ostrzegawczo, a on kopnął go, idąc ku niej przez izbę. Uderzył ją mocno, nim zdążyła pomyśleć, by się bronić, a potem pchnął na drzwi. Gdy tak przyciskał do niej swe ciało, czuła jego podniecenie i, Boże dopomóż, przez chwilę także pożądanie, ale tylko dlatego, że jej ciało było tak rozbudzone w obecności Sanglanta.

A potem znów ją uderzył.

Walczyła, ale on był jak w transie; poniosło go tak bardzo, że stracił dar pięknej, elokwentnej wymowy. Złapał ją za ramiona i pociągnąwszy na łóżko, rzucił obok Sanglanta. Który się nie obudził. Który oddychał miarowo, z zamkniętymi oczami. Twarz miał spokojną, a jednak, nawet podczas odpoczynku, dumną i silną.

--A teraz dasz mi to, co dajesz jemu!

--Nie! -- Słowo wyrwało się jej, kiedy opadł na nią całym swym ciężarem, wgniatając kolana w klatkę piersiową i przyciskając ramiona rękami. Jego twarz była posiniaczona, przedni ząb złamany: skalane piękno.

Puścił jej ramię i sięgnął po nóż.

--Albo go zabiję. Poderżnę mu gardło, gdy śpi, taki bezbronny, a jeśli podpalisz pokój, on pierwszy umrze!

To był tylko zły sen, prawda? Za chwilę się obudzi i wszystko będzie dobrze.

Pies Eików zaskomlał, słabo drapiąc podłogę. O Boże! Musi zachować zdrowy rozsądek nawet sparaliżowana strachem. Tak trudno było nie uciec po prostu do lodowej wieży, w której ukrywała się przez te wszystkie miesiące w Spokoju Serca. Ale nie mogła. Nie wolno jej.

--Skąd mam wiedzieć, że go nie zabijesz, kiedy ze mną skończysz? -- zapytała ochryple.

--Nie wiesz! Wszyscy śpią, Liath. -- Jego głos złagodniał.

--Nikt ci teraz nie pomoże, a ty nie zaryzykujesz podpalenia tego miejsca, wiedząc, że król śpi za ścianą, prawda? Nie ucieknie na czas; umrze drugi. Czy tę śmierć też chcesz mieć na sumieniu? -- Jego twarz znów się wykrzywiła, a siniak majaczący w migotliwym świetle przypominał zamię Nieprzyjaciela. -- Dostanę to, czym on się cieszył! Jest nie lepszy od psa. Jak możesz woleć jego ode mnie!

--Nienawidzę cię.

Uśmiechnął się; dawne znajome piękno, nie zniszczone, skalane.

--Nienawiść to tylko inne oblicze miłości, moja piękna. Nie możemy nienawidzić tego, czego nie kochamy. Nie możesz sobie wyobrazić, jak pięknie wyglądałaś, siedząc obok króla. Naprawdę jak królowa, przeznaczona, by górować nad innymi. Nie wierzę, że jesteś taka głupia, by odrzucić królewskie łaski dla tego... tego psa!

--Zazdrość jest grzechem. -- Zaledwie wczoraj zdolna była nienawidzić go z całej mocy, ale uwięziona przez niego na łóżku zatraciła cały gniew. Odrętwienie spływało z jego ręki w jej ramię niczym trucizna, wdzierało się do klatki piersiowej, rozprzestrzeniało niczym nieunikniona zaraza zesłana przez aniołów na tych, którzy odwrócili się od Słowa Bożego.

--Więc zawsze będę spadał w Otchłań, a ty będziesz u mego boku! Na zawsze.

Wyjdziemy jutro rano do Firsebargu. Ty i ja...

--Księżniczka Sapientia...

--A co mnie obchodzi Sapientia? Ach, moja piękna, długo na to czekałem. Może to prawda, że oczekiwanie czyni to jeszcze słodsze.

Przycisnął nóż do odsłoniętego gardła Sanglanta. Pojawiła się czerwona kreska, krew jeszcze nie trysnęła.

--O Boże -- wyszeptała. Miała tylko ogień, a ogień zniszczy to, co kochała.

--Zdejmij odzienie, bym mógł cię ujrzeć ciemną i piękną.

Dlaczego zakłęcie taty, które chroniło ją przed wszystkimi czarami, nie chroniło jej przed magią Hugona? Chyba że to, co Hugo wplótł w nią podczas długiej zimy w Spokoju Serca, nie było zaklęciem, tylko okrucieństwem i gwałtem.

Czy lepiej byłoby umrzeć z Sanglantem?

--Powiedziałem ci, czego chcę. -- Nacisnął nóż, a Sanglant zamruczał i drgnął, ale się nie zbudził. Hugo przyciskał nóż, aż krew zaczęła spływać po szyi księcia.

Pies rzucił się na Hugona i złapał w zęby jego zwisającą z łoża stopę; nawet tak osłabiony nadal gryzł mocno. Hugo szarpnął się i zaklął z bólu, uwolnił się od psa i kopnął go w kąt.

To dało jej czas i okazję.

Skoczyła po swój krótki miecz.

Odciągnął ją, gdy chwytala za rękoność. Rzucił nią o ścianę.

--Zabiję go! Przysięgam, zabiję go! Jesteś moja, do diabła!

Walczyła z nim, starając się złapać go za ręce, by udaremnić cios; próbowała nie wybuchnąć ogniem z przerażenia. Sanglant oddychał spokojnie, tak odległy, a Hugo był wszędzie. Ale jeśli będzie z nim walczyć, przynajmniej umrze.

--Bądź przeklęta! -- Złapał ją za gardło. -- Jesteś moja! Albo niczyja.

--Cicho, bracie. Uspokój się. Obawiam się, że cię poniosło.

Hugo nie usłyszał głosu. Ponad jego ramieniem Liath ujrzala otwarte drzwi.

„Zaryglowałam je”. Sparaliżowana lękiem poczuła, że tył jej głowy uderza w ścianę, gdy Hugo potrząsnął nią, trzymając za gardło, ale mogła jedynie patrzeć, bezwładna i nieruchoma, jak okryta zasłoną postać przechodzi przez próg do komnaty.

--Bracie -- rzekł smutny, acz rozkazujący alt kobiecy. -- To naprawdę nieprzystojne zachowanie, szczególnie w wypadku człowieka zaprzysiężonego Kościołowi i przez niego wychowanego. Jakże nisko upadły boskie dzieci!

Teraz uścisk zelżał. Jego oczy powiększyły się, usta otwarły ze zdumienia. Puścił Liath, która osunęła się po ścianie, jakby odebrano jej władzę nad własnym ciałem, i usiadła ciężko na podłodze, odbijając sobie kość ogonową. Obok niej pod oknem leżał jak martwy pies Eików.

Uniósł dłoń, wskazał palcem postać w welonie, jakby groził -- albo zaczynał zaklęcie.

Ale ona uniosła dłoń, bladą i gładką, i Hugo nagle przycisnął rękę do gardła. Poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

--Taki piękny wygląd, taki słodki głos, skażone tak trywialnymi słabościami jak żądza i zazdrość. Żal mi cię, bracie. -- Odeszła od drzwi. Otwór był wielki i ciemny jak otchłań na zewnątrz, w której nic się nie poruszało. Mogła wejść do komnaty prosto z powietrza, ale posiadała ciężar i była materialna, bo tupala cicho, idąc. -- Nie jesteś tak potężny, za jakiego się uważasz, choć przyznaję, że posiadasz siłę, wolę i obiecującą inteligencję. Taki wspaniały talent marnuje się na dręczeniu bezbronnej dziewczyny. Musisz wyrzucić ze swej duszy tak niskie instynkty i oczyścić się poprzez boską miłość. Wtedy zrozumiesz, że moc, którą posiadamy na ziemi, żądza i głód naszych ciał, są niczym w porównaniu z obietnicą Komnaty Światła. W dole wszystko jest ciemnością. W górze -- wskazała znacząco na sufit, ruchem ramienia zawierając w tym geście całe niebiosa -- znajduje się tylko światło, łagodny oddech Boga.

Hugo nie mógł mówić, choć próbował. Chciał złapać nóż, ale wyślizgiwał mu się z palców. Był bezradny. A serce Liath radowało się tym widokiem.

--Odejdź, bracie. „Ulecz się”. Ale nie nękać już dłużej tego dziecka.

Wykrztusił coś, nie słowa, raczej przekleństwo, które utkwilo mu w gardle. Zatoczył się ku stolowi i sięgnął po świecę, wreszcie ścisnął brązowy uchwyt między kciukiem a palcem wskazującym. Ledwo zdołał stać prosto; chrząkał jak świnia, macając wzduż stołu. Potem nagle opadł na kolana i wsunął rękę w pas skórzanej sakwy, która przywiązana była do psa.

--Księga! -- Liath próbowała wstać, ale nie miała czucia w nogach i nie mogła się ruszyć.

Wytoczył się na zewnątrz, a postać w welonie pozwoliła mu odejść.

Gdy świeca zniknęła, komnatę wypełniły nocne cienie. Zapadła cisza, niczym sowy moszczące się na okapie.

Liath zaczęła płakać, a potem dostała czkawki. Ból wrzynał się w gardło niczym

zaciskająca się lina. Bolały ją ramiona i żebra, siniak na lewym udzie pulsował boleśnie.

Sanglant zachrapał cicho i poruszył się na łóżku.

--Księga! -- powtórzyła głosem ochryplym od uścisku Hugona.

Postać ruszyła do łóżka.

--Jeśli nie przybędzie do nas, nie znajdzie matematyka, który nauczy go, jak jej używać.

Z jej uniesionej dłoni wytrysnęło światło, delikatnie błyszcząca kula obramowana srebrem. Przytrzymała ją nad łóżkiem, poświata otoczyła śpiącego Sanglanta i krwawą linię na jego szyi. Niedbalym gestem zsunęła welon, a materia udrapowała się na jej ramionach niczym małe, kulące się zwierzątko.

Miała jasne włosy zaplecione w warkocz, upięty w kok z tyłu głowy. Nie nosiła innego nakrycia głowy, a bezkształtny habit krył resztę. Ze swego miejsca Liath nie widziała jej twarzy, tylko oko i zarys ostrego profilu, ani starego, ani młodego.

Kobieta schyliła się i trzymając przed sobą światło, zaczęła z wielkim zainteresowaniem przyglądać się Sanglantowi. Dotknęła jego kolan. Podniosła ręce, obejrzała dłonie i palce, pozwoliła im opaść bezwładnie na łóżko. Przesunęła palcem po łuku kości policzkowych, rozchyliła usta, by sprawdzić zęby, obmacała ramiona, jakby oceniała ich siłę. Przyłożyła dłoń do starej blizny u podstawy szyi, znaku po dawnej ranie, która zniszczyła mu głos, delikatnie potarła świeżą ranę, która dopiero zaczęła się goić -- pamiątkę po niewolniczej obroży Krwawego Serca -- a potem przesunęła palcem wzdłuż cięcia od noża Hugona, by zebrać i posmakować krwi. Zachowywała się zupełnie jak szlachcianka, która woli osobiście obejrzeć pięknego ogiera, zanim go kupi i zacznie nim kryć swe klacze.

--A więc to jest Sanglant -- powiedziała tonem nieobecnej ciekawości.

Imię, wypowiedziane tak beznamiętnie, a jednocześnie w takiej aurze dawnej, potężnej wiedzy sprawiło, że Liath przemówiła:

--Znasz go?

--Każdy matematyk studiujący geometrię niebios, świadomy tego, co istnieje poza ludzkim postrzeganiem, o nim wie. Nawet demony wyższego powietrza szepczą o tym, jak z chłopca staje się mężczyzną.

--Kim jesteś? -- wyszeptała Liath. Jej dłonie zakłuły ostro, gdy napłynęła do nich krew. Spróbowała wstać, ale kolana się pod nią ugięły. Wszystko ją bolało.

--Ludzie z orszaku diuka Konrada znają mnie jako siostrę Anne od Świętej Walerii. -- Na jej ustach pojawił się miły uśmiech, który nie sięgał oczu. Patrząc na jej twarz, nie można było określić jej wieku, włosy jasne od srebrnego światła w dłoni i, co najdziwniejsze, torkwes na szyi, splecione złoto błyszczące w magicznym świetle, z końcami w kształcie guzów, które nie znany artysta uformował na wzór twarzy aniołów doznających błogosławionej ekstazy.

--Ty nie jesteś siostrą Anne -- wykrztusiła Liath. -- Widziałam ją. Była mała i stara, miała pomarszczone ręce pokryte plamami i inne oczy, brązowe.

--Gdzie widziałaś siostrę Anne? Przebywałaś w klasztorze Świętej Walerii?

Liath zawahała się, a potem uświadomiła sobie, jak głupi był jej strach. Jeśli ta kobieta z taką łatwością unikała zaklęć Hugona, to cokolwiek zamierzała uczynić Liath, zrobi to niezależnie od tego, jak bardzo Liath będzie się sprzeciwiać.

--Widziałam ją w wizji w ogniu.

Uśmiechnęła się, słysząc jej odpowiedź, tym razem naprawdę zadowolona -- jej twarz nie

była już maską. Uniosła lekko ramię, by kula lepiej oświetliła jej twarz.

--Nie wiesz, kim jestem, Liath?

Kula pulsowała światłem. Liath dźwignęła się na nogi. Na jej prawym biodrze, gdzie Hugo wpakował kolano, tworzył się okropny siniak, a łydki bolały tam, gdzie ją kopał. Srebrzysty blask stał się silniejszy, kula eksplodowała białymi iskrami, a te nagle rozwinęły się w motyle, fruujące wszędzie, uskrzydłone, szklane światło latające po komnacie, której każdy kąt rozbłysnął migoczącym, wirującym blaskiem. I jakby owionął je niewidoczny oddech, wszystkie iskry rozkwitły kolorami: rubinowym, bursztynowym, cytrynowym, szmaragdowym, ametystowym, lapis-lazuli; gwiazdy, które spadły na ziemię, uwięzione w komnacie, tańczące tak dziwnie pięknie, że mogła jedynie gapić się na nie w zachwycie.

A potem, oczywiście, już wiedziała. Ale nie mogła mówić, nie z powodu magii, tylko dlatego, że nie pamiętała jak.

O Boże. Zalała ją fala wspomnień i zwróciła się ku tej, która trzymała świecą kule:

--Ma... mamó?

Od uderzenia w ścianę bolała ją głowa. Iskry zatańczyły przed jej oczami, a potem zniknęły, zostawiając ją z magicznym światłem i chłodną, niską, bladą kobietą o niewyobrażalnej mocy, która obdarzyła ją zamyślnym spojrzeniem, pozbawionym uczuć.

--Oczywiście, dorosłaś. Twa piękność jest wyjątkowa i, jak widzę, przysporzyła ci kłopotów.

--Dlaczego przybyłaś? -- zapytała głupio Liath.

Puściła kulę, która skoczyła ku sufitowi, opadła i zatrzymała się tuż pod sklepieniem.

--Przybyłam po ciebie, rzecz jasna. Od dawna szukałam ciebie i Bernarda. A teraz nareszcie cię znalazłam.

4.

Podczas swych rządów jako królowa Wendaru i Varrre Sophia z Aretuzy oskarżana była przez niektórych kleryków o grzech życia w luksusie nie przystającym rodzajowi ludzkiemu i niektórzy szemrali, że Bóg ukarał ją za nadmiar luksusu, zsyłając na nią ropiejące wrzody: jaką miała duszę, takie i ciało.

Ale Sanglant dobrze ją wspominał. Zawsze spokojnie znosiła jego wyprawy do komnat wypełnionych wspaniałymi przedmiotami, które przywiozła ze sobą z Aretuzy. Będąc dzieckiem, uwielbiał dokonywać w nich odkryć: wspaniałe arrasy, ciężki zapach kadzidla unoszący się w powietrzu, błyszczące relikwiarze i krzyże na cudownie rzeźbionych paleniskach wykładanych kością słoniową i klejnotami, pluszowe dywany, na których mały chłopiec mógł leżeć godzinami, przesuwając palcem po skomplikowanych wzorach, pyszne jedwabie, które gładził tylko po to, by poczuć ich miękkość. Raz przez przypadek stłukł kryształową figurkę szachową, jednego ze ślicznych jeźdźców, którymi uwielbiał się bawić, wyobrażając sobie, że znajduje się między nimi, i choć figurka była unikalna, Sophia nakazała po prostu wyrzeźbić taką samą z drewna i nie wspominała o tym więcej. Jego swoboda w tych komnatkach skończyła się, gdy skończył dziewięć lat i został odesłany, by uczyć się walczyć -- co, jak wtedy sądził, było jego przeznaczeniem.

Ale nigdy nie zapomniał dotyku tej materii. Wokół łoża królowej Sophii wisiała tiulowa zasłona, która zdawała się roztapiać pod jego dotykiem, gdy zaciskał ją w małej piątce.

Teraz szarpał substancję równie ulotną, walcząc, by uwolnić się z tiulowego snu, który go spowijał: psy go zabiją, jeśli się nie zbudzi.

Nigdy nie powiedzą, że nie walczył do ostatniego tchu.

Na skraju świadomości przemykały sny: Hugo z Austrii z przystojną twarzą wykrzywioną wściekłością przystawia mu nóż do gardła; ludzie i zwierzęta śpią twardo na terenach pałacowych, niczym trupy rozrzucone po polu bitwy; sowa umyka na wschód; otchłanie wody przecinane przez stwory raczej ludzkie niż rybne; kobieta Aoi, której krew go uleczyła, biegnie równym krokiem przez nie kończące się prerie, a za nią jedzie brudny służący na kucu z qumańskim ogłowiem.

Zatrzymuje się i wacha powietrze, przesuwa dłoń w wietrze jakby czytała wiadomość. Służący wpatruje się w nią niemal nabożnie; nie ma brody, nosi poszarpany i brudny habit, który mógł niegdyś należeć do fratra, oraz Krąg Jedności na piersi. Czeka, a ona podnosi oszczep o kamiennym ostrzu i potrząsa nim na wietrze. Dzwoneczki przywiązane do podstawy dźwięczą, przerywając panującą wokół niego ciszę...

--A teraz nareszcie cię znalazłam.

Podderwał się, warcząc, i już był gotów do uderzenia, nim się jeszcze całkowicie rozbudził. Na dworze Krwawego Serca szybkość była jego jedyną ochroną. Szybkość i uparta niechęć do śmierci. Pies Eików pod oknem zawarczał słabo, ale się nie ruszył.

--Sanglant! -- Liath podeszła do niego i pociągnawszy go za rękę, stanęła, trzymając go za nadgarstek. W komnacie płonęło niezwykle światło, ogień czarodziejski: bez drewna i ciepła. Przytrzymał się jej ramienia, a ona jęknęła: nie z powodu jego dotyku, ale z bólu.

--Co się stało? -- Przesunął się, by stanąć przed Liath i chronić ją przed intruzem, ale powstrzymała go.

--To moja matka.

Tiul nadal spowijał jego umysł. „Jej matka”. Nie widział podobieństwa do Liath w twarzy tej kobiety prócz nieświadomej dumy, z jaką nosiła się Liath i jaka przejawiała się w postawie i wyrazie twarzy tej kobiety: to, że nosiła złoty torkwes, nie oszłomiło go, aczkolwiek zaskoczyło. Czyżby pochodziła z Salii? Spoglądała na niego bez słowa i bez żadnych widocznych uczuć, prócz lekkiej ciekawości.

--Czego chcesz? -- zapytał ostro. -- Pobraliśmy się, ona i ja.

--Słyszałam o tym i wielu innych sprawach. Czas, by Liath opuściła to miejsce.

--Dokąd miałabym pójść? -- zapytała Liath.

--I z kim? -- dodał Sanglant.

--Czas, by Liath wypełniła to, co jej się należy z racji urodzenia. Pojedzie ze mną do mego domu w Vernie i będzie studiowała sztuki matematyków.

Sanglant uśmiechnął się lekko. Liath czekała w napięciu, ale czy ze strachu, czy z radości, nie wiedział. I tak naprawdę jak dobrze ją znał? Obraz, jaki nosił w myślach, niewiele miał z nią wspólnego: podczas kilku dni, odkąd wróciła, przekonał się, że była zarazem lepsza i gorsza od wyobrażonej kobiety, wokół której zbudował swe życie podczas miesięcy uwięzienia. Ale miał zamiar być cierpliwy.

--Mówisz o zakazanych czarach -- zauważył. -- Takich, które potępił Kościół.

--Kościół nie potępia tego, co jest potrzebne -- odparła Anne. -- I dlatego jestem pewna, że Bóg pochwalają naszą pracę.

--Naszą pracę? -- mruknął.

Liath puściła jego nadgarstek i zbliżyła się.

--Dlaczego porzuciłaś tatę i mnie? Dlaczego pozwoliłaś, byśmy przez te wszystkie lata uważali cię za zmarłą?

--Nie porzuciłam cię, dziecko. Uciekliście, a my nie mogliśmy was znaleźć.

--Musiałaś wiedzieć, że tato nie potrafił się nami zaopiekować!

Miała zagadkową twarz, z której nie dało się odczytać wieku, ale nie wydawała się też młoda.

--Bernard za bardzo kochał świat -- powiedziała smutno, choć wyraz jej twarzy był wciąż taki sam jak siostry Rosvity, gdy uspokajała Henryka: uprzejma maska, noszona przez wszystkich rozsądnych dworzan. -- To była jego wielka słabość. Nie potrafił się odwrócić od rzeczy cielesnych: wszystkiego, co śmiertelne i przemijające. Radował się roślinami na wiosnę, jelonkami przemykającymi wśród drzew, twoimi pierwszymi krokami i słowami, ale te radości to również pułapka na nieuważnych, gdyż w ten sposób Nieprzyjaciel owija swymi mackami ludzi o dobrych sercach, uwiedzionych przez piękno świata. -- Westchnęła jak nauczyciel spoglądający na ulubionego, ale irytującego ucznia. -- Widzę na tobie jego znak, córko. Ale tylko jego. Żadne inne dłonie nie sięgnęły do twojej duszy, by cię skazić. By cię zmienić.

--Zmienić?

--Zmienić to, czym masz być.

--Czyli? -- zapytał Sanglant.

--Matematykiem -- odparła Anne twardo. -- Zbierz swe rzeczy, Liath. Wyjedziemy teraz i gdy dzień wstanie, będziemy daleko.

--Z jakim orszakiem będziemy podróżować? -- zapytał Sanglant.

Zmierzyła go nieprzeniknionym wzrokiem i na chwilę światło przygasło, a on zadrżał,

jakby węże prześlizgnęły mu się po rękach i nogach, i poczuł strach, jakiego nigdy wcześniej nie doznał: strach, jaki czuje mrówka chwilę przed tym, zanim zgniecie ją ludzka ręka.

Ale po chwili stał w zwykłej komnacie pełnej tradycyjnych udogodnień dla wojownika ze szlchetnego rodu: dwa dywany rzucone na podłogę z klepek; skrzynia pełna ubrań i bielizny; stół i krzesło, a nie zwykła ława; cyzelowany miedziany dzban i misa do mycia rąk i twarzy, emaliowana taca, kilka drewnianych talerzy, dwie kościane łyżki, dwa srebrne puchary i złota misa; miękkie puchowe łóżko, przykryte kapą z pięknie wyszytym, wielkim czarnym smokiem, symbolem jego żołnierskich zwycięstw. Kula magicznego światła oświetlała cały pokój i wszystkie sprzęty: każdy z nich pochodził z królewskiego skarbcza i był znakiem łaski przypominającej więzienie. Jego zbroja i broń -- poranny podarek -- błyszczały w tym świetle, jakby zaklęto w nie nieznane moce. I może tak było: dostał je dzięki własnym wysiłkom.

--Sugerujesz, że będziesz podróżował z nami? -- zapytała wreszcie Anne.

--Jestem królewskim synem i z jakiegokolwiek rodu nie pochodzisz, moja pani, nie możesz pogardzać moją rodziną i szlchetnym urodzeniem.

--Pogardzam grzechami świata i słabościami ciała. Czy mam dalej narażać na nie moją córkę? Czy też ocalić ją, zabierając od tego, co ją kusi?

--Błogosławiony Daisan powiedział, że w małżeństwie możemy znaleźć oczyszczenie.

Zbawienie przychodzi przez tworzenie.

Złożyła dłonie przed sobą niczym święta gotująca się do modlitwy.

--Jesteś uczonym człowiekiem, książę Sanglancie.

--Wcale nie. Ale słucham tego, co klerycy czytają ze Świętych Wersów. -- Pozwolił sobie na uśmiešek przemykający po ustach. Potrafił rozpoznać bitwę; jak zwykle zamierzał wygrać.

--Co masz mi do zaoferowania? -- zapytała.

--Ochronę, którą mogę wam zapewnić podczas podróży, za którą zgodzisz się mnie żywić i ubierać, i dać mi porządnego wierzchowca.

--Nie potrzebuję takiej bestialskiej ochrony. A poza tym mam tylko dwa konie pod siodło. Możesz mi zaoferować jedynie służbę, książę Sanglancie. Czy zostaniesz moim służącym, który pójdzie u mego boku?

Pierwszy cios jest zawsze zaskakujący. Ale Sanglant wiedział, że nie należy uderzać na oślep.

Liath nie wiedziała. Zapłonęła gniewem.

--Ja mam coś, czego chcesz -- powiedziała wściekle.

Jej gniew nie miał żadnego wpływu na niewzruszony spokój jej matki.

--Co mianowicie?

--Mnie!

--Ziemskie więzy mogą jedynie przeszkadzać w koncentracji i oderwaniu, którego potrzebuje osoba, mająca zamiar nauczyć się sztuk umysłu.

--Mam konia i pojedę tylko wtedy, gdy Sanglant pojedzie z nami. Pojedzie obok nas na moim koniu nie jako służący, ale jako żołnierz. Kapitan.

--Jak niegdyś był kapitanem Królewskich Smoków. -- Anne obserwowała go. Rozpoznawał badawczy wzrok osoby, która jeszcze nie obrała drogi postępowania. Ale zamierzał poczekać. Może osłaniający manewr Liath mu pomoże, choć po prawdzie nie obchodziło go, w jaki sposób osiągnie zwycięstwo. Po prostu jej nie zostawi.

--Jego imię słynne jest wśród mieszkańców Wendaru i Varre, i wśród jego wrogów -- ciągnęła Liath. -- Jest wart więcej, niż myślisz.

Anne uniosła dłoń, by złapać kulę magicznego światła i skierowała blask prosto na niego. Musiał zamrużyć, tak mocne było światło, ale nie cofnął się.

--Nie, Liathano, nie jestem nieświadoma jego wartości, dziecka z krwi ludzi i Aoi. Wręcz przeciwnie.

Dreszcz, niczym ostrzeżenie, przeszedł mu po krzyżu.

--Nie tego się spodziewałam -- rzekła, wciąż obserwując go, jak orzeł przygląda się ziemi w dole i temu, co po niej przemyka. -- A jednak... Możemy dowiedzieć się więcej, niż wiemy do tej pory.

--Wobec tego postanowione? -- Liath uparcie trzymała się tematu.

--Postanowione.

--O Pani -- Liath uściskała go, roniąc łzy. -- Modłę się, byś w Vernie znalazł spokój, którego tak pragniesz.

Otoczał ją ramionami, ale nie odrywał wzroku od jej matki, która przypatrywała się im bez aprobaty, ale też bez wyraźnej nagany. Jej spojrzenie pozostawiało niepokój. Nie ufał jej. Ale nie czuł też, by wybór Liath, aby z nią pojechać, był zły. Samemu sobie nie mógł wyjaśnić tej sprzeczności.

Liath westchnęła usatysfakcjonowana i uniosła głowę, by ją pocałował; oczywiście spełnił prośbę.

Ale to nie oznaczało, że przestał słuchać.

--To również jest nieoczekiwane -- mruknęła Anne zbyt cicho, by usłyszała ją Liath, ale on miał słuch wyczulony jak pies. -- Ale nie bez korzyści dla naszej sprawy.

Pałac spał, gdy szli wśród najwyższych zabudowań, ale był to naturalny sen: rozpoznawał jego szelesty i chrapanie. Kiedy pakowali swój skromny dobytek, Liath niechętnie opowiedziała mu o ataku Hugona i chociaż na początku chciał jedynie zacisnąć dłonie na gardle Hugona i zadusić go na śmierć, to wiedział, że musi zostawić zemstę na później. Mieli wystarczająco dużo kłopotów. Henryk nie pozwoliłby im odjechać; wszyscy zdawali sobie sprawę z tego nieprzyjemnego faktu i dlatego pracowali jeszcze szybciej, tak cicho, jak tylko zdołali, choć wyprowadzenie wałacha ze stajni było dość skomplikowane.

Kiedy wreszcie dotarli do bramy, przy której czekały trzy muły i koń, Sanglant zaczął wątpić w książęce pochodzenie Anne, gdyż nie miała orszaku. Chwilę później już wiedział, że jest w błędzie, gdyż usłyszał szepty na wietrze. Mówili w języku, którego nie rozpoznawał, przypominającym raczej powiew wiatru, i choć nie widział ich, czuł ruch i słyszał szelesty tych części ich ciał, które były materialne.

--Kto tu jest? -- wymruczała Liath, jakby bała się, że jej szept obudzi pałac. Magiczne światło wyglądało teraz jak zwykła jasna latarnia: choć jego blask był zbyt nieruchomy, by pochodził z naturalnego źródła.

--Moi służący -- odparła Anne cicho.

Zadrzał, gdy badawcze palce przesunęły się po jego karku i zniknęły. Oddech połaskotał go w ucho, włosy opadły na oczy. Kiedy je odgarnął, znów był sam. Przerzucił swą zbroję, owiniętą w narzutę wyszywaną w smoka, przez grzbiet jednego z juczych mułów i przywiązał, zabezpieczając, po czym wręczył swój oszczep Liath.

--Muszę iść po psa.

--Psa! -- Zaskoczył Anne.

--Mój orszak -- odparł sardonicznie. -- Jeśli go tu zostawię, zabiją go. Kilka razy ocalił mi życie.

--Ohydne stworzenie! -- mruknęła, ale potem ten przebłysk uczucia zniknął i przytaknęła, jakby ta wymiana zdań i obecność psa były zbyt trywialne, aby zwrócić na nie uwagę.

Musiał iść cicho. W kaplicy klerycy śpiewali jutrznię. Ich głosy wznosiły się i opadały tak słodko, że niemal zmylił krok i zapomniał, dokąd iść, zauroczony melodyjną modlitwą. Lwy chrapały zdrowo u drzwi; żaden nie przebudził się z zaczarowanego snu. Przekroczył próg, wziął psa i ruszył do bram. Przerzucił go niczym wór zboża przez zad jednego z mułów i przywiązał liną, a potem uspokoił muła, któremu nie podobał się zapach Eików na grzbiecie. Ale nawet pracując szybko, nie skończył na czas.

Z mroku wynurzyli się żołnierze, dwudziestu albo trzydziestu, prowadząc konie objuczone żołnierskim ekwipunkiem.

--Księżę panie!

Szeptali, by nie obudzić straży w pałacu i przy bramach, śpiących na swych stanowiskach.

--Kim oni są? -- zapytała Anne łagodnie.

--Siostro! -- Wszyscy doskonale wyszkoleni uklękli z szacunkiem, jak przystało wojskowym przed szlachetnie urodzonym klerykiem. Nasunęła złocistą tkaninę na włosy; na jej szyi nie błyszczało złoto zdradzające wysoką pozycję. -- Wybaczcie, księżę panie -- ciągnął mówca, kapitan Fulk. -- Ale kiedy ostatnio wpadliście w kłopoty, spotkaliśmy się i wszyscy złożyliśmy przysięgę, że pojedziemy z wami, jeśli opuścicie króla. Błagamy was, księżę Sanglancie. Pozwólcie nam pojechać z wami. Pojedziemy za wami nawet na śmierć, jeśli tylko przysięgniecie, że będziecie nas wiernie prowadzić.

--O Boże. -- Co im miał rzec? Jednak przeniknęła go taka radość na myśl o ludziach, których mógłby prowadzić, że natychmiast lzy stanęły mu w oczach na wspomnienie dzielnych Smoków.

Nim zdołał odpowiedzieć, Anne rzekła:

--Szlachetny dar. Ale tam, dokąd się udajemy, nie możecie pójść z nami. Nie możemy pozwolić tylu ludziom próżnować, gdyż staną się znudzeni i będą sprawiać kłopoty. Nie, życie w kontemplacji nie jest dla takich jak wy.

Mężczyźni mruknęli, słysząc te słowa, ale czekali na jego odpowiedź. Tyle twarzy zwracało się ku niemu: wszystkie młode i nowe prócz dwóch strudzonych mężów; jednym z nich był kapitan Fulk. Sanglant patrzył każdemu w oczy i kiwał głową, a oni odpowiadali na swój sposób: skinieniem, bezczelnym uśmiechem, poważnym zmarszczeniem brwi, zaciśnięciem szczęk, gdy podejmowali decyzję.

--Słowa siostry Anne były prawdziwe -- rzekł wreszcie. Serce go bolało po tym, co mu oferowano, a czego nie mógł przyjąć. Nie teraz. Jeszcze nie. -- Zamierzam udać się w odosobnienie... dopóki gniew mego ojca nie przeminie. Chętnie bym was poprowadził, towarzysze, ale to nie jest życie dla was i rzeczywiście nudzilibyście się i męczyli, i zaczęli walczyć między sobą.

--Co wobec tego mamy robić, księżę panie? -- zapytał kapitan Fulk niemal błagalnie.

Był im winien troskę. Dali mu wszystko, co się dla żołnierza liczyło: stanęli u jego boku.

Nie mógł ich odprawić.

--Udajcie się do księżniczki Theophanu. Polecam was jej opiece. Ma swoją własną radę i będzie miała na was baczenie. Niedługo wyrusza na południe do Aosty, gdzie czeka was wiele walk. Jeśli będę was potrzebował, będę wiedział, gdzie was znaleźć. Nie stoczę żadnej bitwy bez was u boku.

--Zrobimy, jak sobie życzycie, książę panie. Ale będziemy czekać na wasze wezwanie.

Wszedł między nich i ujmował dłonie każdego na znak wierności. Przypominał sobie imiona tych, którzy byli w Ferse i pytał innych o miana. Wszystkich dwudziestu siedmiu miało mocne ramiona i stalowy błysk w oczach: ludzie, którzy odważyli się sprzeciwić królowi, by pojechać z nim. Podziwiał ich i znał ich wartość.

Anne i Liath dosiadły już wierzchowców, Anne muła, jak przystało dobrej kapłance, a Liath mniejszego konia, zostawiając mu Resuelto. Czekwały na niego, a poza tym dokonał już wyboru. Czas jechać.

Ale Bóg wiedzieli, jak trudno było zostawić życie księcia, pana, kapitana, podwójnie trudno z powodu przysięg, które zostały mu złożone z dobrej woli.

--Będziemy na was czekali, książę Sanglancie -- powtórzył kapitan Fulk, a jego ludzie wymruczeli te same słowa, jakby wypowiedzenie ich było wiążące. A potem, jakby Fulk zrozumiał, że ich obecność była łańcuchem wiążącym księcia, nakazał im się rozejść, co uczynili z podziwu godną szybkością. Owinęli nawet końskie kopyta szmatami, by zagłuszyć odgłosy wyjazdu.

Sanglant dosiadł Resuelto i pośpieszył za Anne i Liath, które zniknęły za bramą i jechały wśród niższych zabudowań. Juczne muły dreptały za nimi, a pakunki na ich grzbietach kołysały się miarowo. Nie było ani śladu służących Anne.

Zahukała sowa ukryta w ciemności. Rosnący sierp księżycy wisiał nisko nad zachodnim horyzontem, a jego blask sprawiał, że droga błyszczła, jakby to czarownik zesłał im światło, by uczynić podróż łatwiejszą i chronić przed wszystkim, co mogło im zagrażać.

Anne nawet się nie obejrzała, gdy minęli zabudowania i ruszyli pomiędzy wałami. Liath raz spojrziała na pałacowe zabudowania w górze, z murami jasnoszarymi w świetle księżycy, ale w jej wzroku malowała się przede wszystkim ulga. Ale on cicho płakał, żałując rozdzielenia z ojcem i dzielnymi ludźmi, których musiał zostawić.

Rozdział szósty

Po jednym kamieniu naraz

1.

Zbiera kamienie, nie większe od jego pięści, nie mniejsze od kurzego jaja, i wkłada je do skórzanej sakiewki. Wszystkie kamienie, które poniesie, nie mogą być zbyt duże, jednak by dobrze mu służyły, nie mogą być zbyt małe -- i nie może ich być za mało. Tu, na północy, kamieni jest wiele i choć jest wymagający, bez problemu znajduje to, czego szuka.

Słyszy kroki, ale to tylko jedna z jego niewolnic przychodzi zdać raport. Odsyła ją. Uzbrojony w wywiad, gdyż uczynił ze swych niewolników sieć szpiegującą jego rywali, wspina się w górę doliny do miejsca, gdzie dwaj ostatni przeciwnicy toczą pojedynek.

Znajduje punkt obserwacyjny między dwoma głazami. Obserwuje pojedynek z zainteresowaniem: Pierwszy Syn z Pierwszego Miotu, spokojny, przebiegły i silny czeka, podczas gdy Siódmy Syn z Drugiego Miotu krąży wokół niego pełen agresji. Obserwuje beznamietnie, jak dwaj bracia spotykają się, mierzą, szarpią i odskakują. Siódmy Syn jest szybki i bezlitosny. Pierwszy Syn ma większą siłę, ale nie marnuje jej, ponieważ starcie dopiero się rozpoczęło. Pozwala Siódmemu Synowi czaić się i okręzać, rzucać się, uderzać i wycofywać, sam zaś się nie męczy.

Kolejny skok, kolejne uderzenie. Płynie krew, zastyga. Pierwszy Syn ma ranę na ramieniu. Siódmy Syn utyka. Znów zaczynają.

Właściwie to tylko kwestia czasu. Siódmy Syn jest agresywny, ale agresja to nie wszystko. Pierwszy Syn nie wyprowadziłby Z Gentu większości swego oddziału, gdyby był głupcem. Tutaj też nie jest głupcem.

W końcu to Siódmy Syn leży na ziemi poszarpany i skrwawiony. Piąty Syn nie czeka, aż Pierwszy Syn utnie warkocz oznaczający zwycięstwo, tylko wycofuje się z ukrycia i biegnie pomiędzy drzewami ku ścieżce wiodącej do fjallu, do gniazda MądrychMatek. Mija najnowszą MądrąMatkę w jej powolnej wędrówce do fjallu, ale nie zatrzymuje się, by z nią porozmawiać. Potrzebuje czasu, jeśli chce pokonać Pierwszego Syna.

Na tej wysokości wszelka roślinność została zniszczona przez wiatr i niemiłosierne zimno, został tylko mech; ten jest wszędzie prócz krawędzi, z których niedawno odpadły kamienie. Strumyki stopionego śniegu spływają w dół, czyste jak powietrze i potwornie zimne. Wszędzie leżą skały: w łóżyskach strumieni, pokryte mchem, na zboczach; skała to płaszcz, który osłania głęboką ziemię i ukryty ogień.

Tutaj ramię fiordu wcięło się w wysoki fjall i strumień przelewa się z klifu, stromego jakby go ucięto nożem. Spadająca woda uderza w wody poniżej. Klif, na którym stoi, cudownie odbija się w nieruchomym lustrze wody w dole. Przez chwilę widzi własny kształt, nic nie znaczący i mały, przemijającą plamę na tle starej ziemi, a potem wiatr nad taflą wody powoduje, że znika -- podobnie jak sprawi to kiedyś jego śmiertelność. Ale nie dziś.

W oddali wyje pies. Nad przeciwnym brzegiem fiordu unosi się jastrzęb, dołącza do niego drugi, potem trzeci.

Wiatr wieje mu w ramiona i odwraca się od krawędzi, idąc ku kręgowi MądrychMatek. Ostrożnie spogląda na ziemię, bo tu, we fjallu, srebrzyste sieci lodowych węży zmieniają się z każdą porą roku, wijące się linie błyszczącego piasku, a każde jego ziarenko jest kryształkiem trucizny: ich szlakiem.

To zadziwiająco spokojny dzień, zmieniający się w to, co o tej porze roku uchodzi za noc. Tu, we fjallu, wiatr zazwyczaj tnie bezustannie, krusząc skałę. Dziś jest spokojny, wieje tylko

czasami, jakby on też czekał na decyzję, która zostanie podjęta w gnieździe MądrychMatek.

Teren obniża się, tworząc zagłębienie, w którym MądreMatki Rikin zbierają się, by szeptać. Ich myśli odbijają się echem w niebiosach i dotykają Starca, księżycy, kapłana, który dawno temu został wygnany do fjallu niebios za zdradę. Dlatego tylko księżyc ze wszystkich stworzeń niebieskich maleje i umiera, po czym odradza się z ciemności. Takie jest przeznaczenie wszystkich synów SkalnychDzieci.

MądreMatki stoją zgarbione w kręgu, ich wielkie ciała kamienieją, zbyt ciężkie, by się poruszyć. Każda stoi, ledwie dotykając palcami płachty srebrnego piasku. Piasek jest gładki; nie dotyka go wszechobecny wiatr; nie leżą na nim śmieci przyniesione przez niedawną burzę; na jego powierzchni nie ma żadnych wzniesień, ponieważ gniazdo MądrychMatek jest nietykalne dla wiatru i chronione przez lodowe węże.

Tylko MądreMatki wiedzą, co tu hodują.

Długo patrzy na błyszczące zagłębienie. Nic się nie porusza. Nic.

Ale to złudzenie.

Nawet małe zwierzątka, przychodzące na fjall, wiedzą, że należy unikać gniazda.

Wyjmuje kamień z sakiewki i rzuca go. Z miejsca, gdzie z loskotem uderza w piach, rozchodzi się na powierzchni okrąg, ta, jak na wodzie wzburzonej rzuconym kamieniem. Kiedy wibracje przeszywają piasek po drugiej stronie, tam gdzie upadł kamień, on stawia jedną stopę na powierzchni piasku, a potem drugą.

Kamień się kołysze. Lśniący szpon, przezroczysty jak lód, wynurza się, by złapać kamień. Kamień i szpon natychmiast znikają. Zamiera. Piasek wybrzusza się, wygładza i znów jest spokojny.

Czeka.

Nie ma odwagi się poruszyć.

Nie obawia się szponów lodowych węży. Są delikatnymi stworzeniami, ślepyimi, cienkimi jak sznur, czującymi się bezpiecznie tylko wtedy, gdy zagrzebane są w gniazdach ze skryzalizowanej trucizny. Parzy je nawet światło gwiazd.

Ale SkalneDzieci nie obawiają się niczego tak bardzo jak lodowych węży. Żadna śmierć nie jest gorsza od potwornego losu, który czeka ukąszonego. Trucizna lodowych węży karmi MądreMatki, które chronią korzenie ziemi. Tylko one są na tyle silne, by się nią sycić.

Wszystkim innym stworzeniom niesie ona coś gorszego od śmierci. W ten sposób Krwawe Serce się chronił: martwym bratem z gniazda, ożywionym magią i napędzanym trucizną. To znak czarownika: nawet po śmierci jego zemsta dosięgnie tego, kto go zabił.

Sięga do sakiewki, wydobywa kolejny kamień i rzuca. Rzuca po jednym kamieniu, prześlizguje się przez gniazdo ku niewielkiemu kamieniowi wystającemu ze środka srebrnego piachu. Twarda jak żelazo powierzchnia głazu lśni perłowym blaskiem.

Dotarcie tam zajmuje mu połowę krótkiej letniej nocy, ale gdy wreszcie dochodzi do głazu i stawia stopy na jego gładkiej powierzchni, może rozluźnić napięte członki. Okrągła kopuła grzeje go w stopy i lekko pachnie siarką. Jest bezpieczny.

To znaczy: bezpieczny, dopóki nie będzie musiał wrócić.

Już raz odbył tę podróż. Tylko tutaj, pośrodku gniazda, uszy śmiertelnych mogą usłyszeć szept MądrychMatek. Żadne stworzenie przykute do ziemi nie żyje wystarczająco długo, by usłyszeć w całości choć jedną ich myśl. Ale najmłodsze z MądrychMatek nadal potrafią mówić,

jeśli tylko ma się cierpliwość, by ich słuchać. Już ich wcześniej słuchał. Pelen pychy, poprosił o ich radę.

Jednak dziś nie chce ich rad.

Noc błędnie w dzień. Czeka. Pierwszy Syn nie nadchodzi.

Czeka i słucha.

--Oni. Przekroczą. Most. I. Kataraktę.

--Oni. Rozdzielą wody. Rzeki. Ognia. Zmieniają. Swój bieg.

--Zróbcie. Miejsce. Zróbcie. Miejsce.

Otacza je westchnienie, wiatr wiejący z północnych fjalli i szepczący cicho o tych niewielu rozrzuconych na południu, gdzie łód został po jednym kamieniu rozniesiony przez przyływ i prąd, gdzie ocean i morze zlewają się i spotykają, by tchnąć w przesycone solą powietrze opar swego nietrwałego zapachu.

To, o czym mówią MądreMatki, stanowi dla niego tajemnicę. Słońce mija zenit i zaczyna opadać, nim słyszy ciche kroki, a po nich ryk rozgoryczenia Pierwszego Syna z Pierwszego Miotu, który wypada spomiędzy skał i staje na krawędzi gniazda.

--Tchórz! -- wrzeszczy. -- Sądź się, że się przede mną ukryjesz? Słabeusz! W końcu musisz się najeść i napić, albo zeschniesz i obrócisz się w proch. Przyjdź i walcz.

--Przyjdź i weź moje warkocze -- mówi Piąty Syn. Pokazuje trzy warkocze, którymi obwiązał sobie ramię. -- Jeśli tu umrę, i tak będziesz musiał tu przyjść, by je wziąć i pokazać Starym Matkom, że jesteś odważny.

Pierwszy Syn gapi się tylko przez moment, zaskoczony. On, najsilniejszy i najbardziej przebiegły, ma tylko jeden warkocz zawiązany na ramieniu. Ale nie pyta, jak jego rywal zyskał aż tyle, podczas gdy on zdobył tak mało; szybko opanowuje zaskoczenie. Nie jest głupcem.

Zbiera kamienie z krawędzi gniazda, a gdy już zebrał wystarczająco, rzuca pierwszy w przeciwny kraniec piaskowej powierzchni. Powierzchnia się marszczy, on stawia stopę na piasku, a potem zamiera. Szpon wystrzela w powietrze i owija się wokół odległego kamienia. Szpon i kamień znikają. Pierwszy Syn rzuca kolejny.

Piąty Syn czeka, gdy słońce zachodzi, a Pierwszy Syn powoli przemierza błyszczący piasek. Czeka, dopóki ten nie przebędzie połowy dystansu pomiędzy nim a krawędzią. Wtedy, od niechcenia, gdy tylko Pierwszy Syn znieruchomiał, a jego kamień zniknął pod powierzchnią, wyjmuje kamień ze swojej sakiewki, ocenia odległość i rzuca go pod nogi Pierwszego Syna.

Następuje chwila bezruchu. Wiatr szepcze za jego plecami. Długie popołudniowe cienie MądrychMatek przecinają gniazdo, ciemno, jasno, ciemno, jasno.

Pierwszy Syn skacze, kierując się ku bezpiecznemu głazowi pośrodku. Ale żadne stworzenie nie biega szybciej od lodowych węży.

Trzy szpony strzelają z piasku, łapią kamień, a potem przebija się grubym ogonem, uderzając wokół, szukając. Skóra stworza jest przezroczysta jak lód i Piąty Syn widzi krążącą pod nią truciznę. Uderza. Zaostrzony ogon porusza się szybciej, niż oko jest zdolne dostrzec. Uderza trzy razy, ponieważ Pierwszy Syn jest zręczny i wystarczająco zrozpaczony, by dwukrotnie dopisać mu szczęście; ale za trzecim razem wbija się w ciało. I znika w piasku.

Pierwszy Syn wyje z bólu, z wściekłości. Ze strachu.

W drgawkach upuszcza wszystkie kamienie, które ze sobą zabrał. Upadają wokół niby grad wielkości pięści. Niewielkie szpony szukają, znajdują i zabierają je ze sobą do swych katakumb,

gdzie będą przez eony leżeć w uścisku lodowych węży. Na co lodowym węzom kamienie?

Kto to wie?

Kiedy Pierwszy Syn rzuca się i trzęsie, a lepka miedziana krew wypływa mu z ust, nozdrzy, oczu i uszu, Piąty Syn ostrożnie schodzi z głazu i zbliża się. Drgawki Pierwszego Syna bez wątpienia zakłóca połączenia, które niosą dźwięki i ruch do zagrzebanych lodowych węży. Ale on musi odebrać Pierwszemu Synowi warkocze, nim ten zniknie pod piaskami i zabierze ze sobą lupy. To najbardziej niebezpieczna część, ponieważ musi dotrzeć do Pierwszego Syna dokładnie w chwili, gdy ten przestanie się rzucać, ale zanim lodowe węże wciągną go pod powierzchnię.

Piąty Syn powoli krąży. Jego przeciwnik stopniowo sztywnieje, a raczej kamienieje.

Jego drgawki stają się słabsze, zamierają, i niewielkie szpony, wypustki węży, dotykają go, owijają się wokół jego nóg jak bluszcz i zaczynają go wciągać, co przy tej wielkości ciała okaże się powolnym procesem. Oczy Pierwszego Syna są pełne przerażenia, jedyne przerażenia, jakie SkalneDziecko może okazać, nie tracąc honoru i pozycji. Piąty Syn rzuca kamień w przeciwny kraniec gniazda i gdy ruch znika, odciągnięty w inne miejsce, przesuwa się ku przeciwnikowi, który widzi go, ale nie może się już opierać.

Odcina braterski warkocz. Zabiera warkocz Siódmego Syna, zdobyty zaledwie wczoraj. Dzień gaśnie tak szybko, jak to możliwe o tej porze roku. Tylko najjaśniejsze gwiazdy fjallu niebios widoczne są na letnim płaszczu.

Rzuca kamień i oddala się w bok, by bezpiecznie obserwować, po czym czeka, nieruchomy i cichy, stojąc na trujących piaskach.

Patrzy, jak Pierwszy Syn znika pod ich powierzchnią. Jest bezradny i będzie taki bardzo, bardzo długo. Kapłani mówią, że lodowe węże trawią to, co wciągną do swego gniazda, czy też, że stworzenie, które się tam lęgnie i które chronią, trawi ofiarę.

Kto wie? Kto wrócił, żeby o tym opowiadać?

MądreMatki nie odpowiadają na to pytanie.

Według kapłanów, którzy znają -- lub nie -- prawdę, ponieważ w ich interesie jest głosić, że wiedzą coś, o czym nie mają pojęcia, żyjącą skalę -- którą stał się teraz Pierwszy Syn -- trawi się w gnieździe tysiąc lat. Tysiąc lat to życie dwudziestu pięciu SkalnychDzieci, mierzone jedno po drugim. To długi czas, by umrzeć, a kapłani powiadają, że wciąż jest się przytomnym, świadomym i cierpiącym.

Ale tysiąc lat to nic dla morza. Tysiąc lat to nic dla wiatru. A dla kości ziemi, obnażonych na powierzchni jako skały, tysiąc lat zawrżeć się może w jednym poruszeniu palca MądrejMatki. Dla gwiazd powyżej, w fjallu niebios, tysiąc lat to nawet nie jedna myśl.

Rzucając po jednym kamieniu, wychodzi z zagłębienia i staje na bezpiecznym terenie, gdy świt rozświetla szarość, która latem uchodzi za noc.

Wydaje mu się, że z dołu słyszy śpiew SzybkichCórek i tupot ich stóp na polanie do tańca. Liczy swe warkocze: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. I szósty, własny, wciąż na głowie.

Triumfując, schodzi z fjallu, by ogłosić swe zwycięstwo.

Gdy Alain obudził się, zaplątany w prześcieradła, usłyszał modlitwę Tallii. Wypowiadała słowa w pośpiechu, jakby obawiała się, że nie zdoła ich dokończyć. Zbliżał się świt. Klęczała przy otwartym oknie, skromnie odziana w halkę, miała schyloną głowę i szczuple ramiona zgarbione, niby przygniecione wielkim ciężarem.

Nawet taki widok go poruszył. Zacerwienił się i przewrócił na brzuch, ale to nie pomogło.

Smutek zadrzał i podniósł się, gdy Alain dzwignął się z łóżka, potknął o śpiącą Furie i wypadł na zewnątrz. Tallia celowo nie zwróciła na niego uwagi lub rzeczywiście nie zauważyła, zatopiona w swoich modlitwach. Ponieważ nalegała na skromność, on też spał w koszuli. Teraz, w szarym świetle przedświt, był zadowolony z okrycia. W pobliżu klasztornej domu dla gości, gdzie się schronili na noc, płynął strumień. Uderzenie wody na nogach uspokoiło go. Ochlapał twarz, drżąc, a potem wspiął się na drugi brzeg, by oddać mocz w krzakach. Smutek zawarczał cicho, wężąc w podściółce, przewracając ją nosem. Pies gustował w chrząszczach i chrupał właśnie jednego. Wiatr szumiał wśród liści. Zaczęło mżyć. Z zabloconymi stopami i zimnymi dłońmi Alain wrócił do komnaty. Opanował się na tyle, by sięść na łóżku, lecz nie odważył się uklęknąć obok niej. Mogła tak trwać godzinami.

Kiedy tylko się rozjaśniło, przyszli służący, umyli mu stopy, zabrali nocnik i przynieśli ubranie. Tallia musiała przerwać modlitwy, by mogli gotować się do odjazdu. Hrabia Lavastine, triumfalnie powracający do domu, nie zamierzał tracić czasu na leniwą podróż.

Lavastine powitał go króciutkim uśmiechem oznaczającym najgłębszą aprobatę. Każdego ranka tak pozdrawiał Alaina, a od czasu do czasu w bardzo nietypowy dla siebie sposób robił wysilone i na szczęście krótkie żarty na temat zostania dziadkiem. Takie słowa kłuły Alaina w serce. Bez wątpienia służący, śpiący na posłaniach i podłodze wokół łóżka swych państwa, podejrzewali, że małżeństwo nadal nie zostało skonsumowane. Ale Tallia już dwukrotnie zbesztala go za rzucanie się w łóżku, kiedy śnił o Piątym Synu. Służący mogli wiele wnioskować z tych cichych dźwięków. Dlaczego mieliby wierzyć w coś innego? Bóg Jedności stworzył kobietę i mężczyznę na Ich podobieństwo, by żyli razem w harmonii i w ten sposób obdarzyli nieśmiertelnością: z ich złączenia powstawały dzieci, które też płodziły własne dzieci. W ten sposób rozwinęła się ludzkość i wszystkie stworzenia na ziemi, w powietrzu i wodzie.

W ten sposób rozwinie się hrabstwo Lavas.

Próbował nie rozmyślać na ten temat. Kiedy znajdował się blisko Tallii, jego ciało miało nieszczęsny zwyczaj reagowania w sposób, który go zawstydział. Czy była aż tak świętsza od niego? Czy oznaką Bożej łaski było to, że mogła się modlić pół nocy, podczas gdy on twardo spał? Że oczyszczała się, poszcząc, a on pożerał posiłki równie łapczywie jak psy? Że błagała go o małżeństwo dwóch czystych dusz, nieskalanych ziemskim pożądaniem, podczas gdy on wiedział w głębi serca -- i w innych partiach ciała -- że jego dusza już została splamiona gwałtownym pragnieniem Tallii?

--Jesteś milczący, synu -- powiedział Lavastine. -- To piękny poranek. Deszcz to Boże błogosławieństwo, ponieważ plony będą bardziej zielone.

--A nasze majątki rozkwitną -- powiedział lord Godfryd, jadący po lewicy hrabiego. Czy Alainowi się wydawało, czy też jego ton był kwaśny? Godfryd był zazwyczaj uprzedzająco grzeczny. -- Bardziej byś skorzystał, kuzynie -- ciągnął Godfryd -- gdybyś więcej uwagi poświęcał dworskim ogrodom. Wiele roślin potrzebuje tam nawodnienia.

--Nie widzę powodu, żeby dbać o ogród, którego nie znam. Król mnie wspiera, tyle wiem.

--Król, niech go Bóg błogosławi, nie będzie żył wiecznie. Po dworze krążyła plotka, że zamierza ogłosić swym następcą syna z nieprawego łoża. Ale księżniczka Sapientia ma własnych sojuszników, którzy nie będą stali bezczynnie z boku, gdy przyjdzie co do czego.

--Król obdarzył mnie nagrodą, której najbardziej pragnąłem. A teraz będę pracował na tych polach, które najbardziej podobają się Bogu: pilnował, by mym ludziom i ziemi dobrze się

powodziło.

--Czy to się najbardziej podoba Bogu? -- spytała Tallia. -- Bóg pragnie, byśmy się oczyścili ze skazy ciemności, która plami wszystkie ziemskie stworzenia prócz błogosławionego Daisana.

--Nawet błogosławiony Daisan pracował na polach, pani Tallio. Czyż nie jest znany jako pasterz, który nas wszystkich doprowadził do stada? Co by się stało, gdyby nie było prządek i tkaczek, kowali ani rolników, pana i pani czuwających nad nimi, jak im Bóg zlecił? Co by się wtedy stało z tymi dobrymi mnichami, którzy modlą się za nasze dusze, a w zamian dostają wosk, ziarno i sukno jako dziesięcinę?

--Ach, wobec tego wtedy zrzuciliby ziemskie odzienie, które jest jedynie brzemieniem, i wstąpili do Komnaty Światła!

To wykrzywienie ust oznaczało irytację. Alain rozpoznawał je, ale nawet hrabia Lavas nie odważył się skrytykować kobiety, która, choć była jego synową, pochodziła z lepszego rodu.

--Bez wątpienia -- zgodził się krótko.

Lavastine odesłał większość swych ludzi do domu po zdobyciu Gentu, Tallia miała jednak imponujący orszak, oznakę królewskiej szczodrości. Jechali do domu jak zwycięska armia.

--Niech cię nie uwiodą przyjemności dworu, Alainie -- dodał Lavastine. -- Po co pałętać się wokół króla? Dla jego przyjemności? Dla jego łask?

--Nie można kpić z łaski panującego -- odparł urażony Godfryd. -- Radowanie się polowaniami i dworskimi przyjemnościami nie jest grzechem.

--Zauważyłem -- powiedział Lavastine najcichszym i najbardziej wzgardliwym tonem -- że dobrze się zaznajomiłeś z polowaniem, psami, końmi i sokołami, ale znacznie gorzej z tkactwem, kowalstwem, rolnictwem, handlem i medycyną.

--Mam żonę, a ona ma kasztelanę i zarządcę.

--Racja. Ja też mam kasztelanę. Ale jaki kapitan oczekuje, że wygra wojnę, skoro zabawia się w namiocie, a bitwy toczą się na zewnątrz? Nieważne, jak słodkie są pieśni. Nie, kuzynie, większą łaskę zdobywamy, służąc Bogu, jak opisałem.

--Zdobycie łaskę boską modlitwą! -- rzekła uparcie Tallia.

--Owszem. -- Zawsze się z nią zgadzał. Uśmiechnął się. -- I modłę się, by Bóg szybko pobłogosławił mój dom owocem twego małżeństwa z mym synem.

--Zaprawdę -- rzekł Alain z uczuciem. -- Niech Bóg pobłogosławi ten dom.

Tallia oblała się szkarłatnym rumieńcem, rzucając mu krótkie spojrzenie. Kilku służących zachichotało. Lord Godfryd uśmiechnął się słabo.

Droga prowadziła przez las i jakiś czas jechali w milczeniu, osiągając dobrą szybkość na gładkiej nawierzchni, wijącej się wśród drzew. Od czasu do czasu las otwierał się na polany, na których kwitły kwiaty. Spłoszyli sarnę i jej niewyrośniętego jelonka. Nad drzewami szybował jastrząb.

W południe dotarli do wioski; dzieci przybiegły, by na nich popatrzeć i uciekły na widok czarnych psów. Zatrzymali się tu, żeby napoić konie. Kiedy Alain przywiązał psy, miejscowi gospodarze podeszli, żeby złożyć wyrazy szacunku. Jedna stara kobieta podała wyjątkowo ostry jablecznik, od którego lzy stanęły Alainowi w oczach, a w głowie się zakręciło, i podziękował, rozbawiony jej śmiechem na widok swej reakcji.

Ale to nie tylko efekt jablecznika. Widok Tallii w tym świetle sprawiał, że w głowie mu wirowało. Okryła włosy szalem, osłaniając je starannie, jednak pszeniczne kosmyki wysuwały

się spod niego. Stała w taki sposób, z bezwładnymi dłońmi i rozchyłonymi ustami, że serce mu się wyrывało, by ją pocieszyć. Kiedy podano jej kubek, wzięła go -- odmowa nie przystawała damie o jej statusie -- i napiła się jablecznika. Alain zazdrościł prostemu drewnianemu kubkowi, którego dotykała ustami. Kiedy skończyła, podała kubek swym dwórkom, a gdy go ponownie napełniono, one podały go służącym. Potem Tallia czekała przy studni, a gospodarze przynosili chleb, kołaczki i ostry ser. Podarki były skromne, ale zdawały się radować ją bardziej niż jakakolwiek uczta.

--Czy przyjmie pan jajko?

Był to cenny dar, jak na taką wioskę, podawany przez młodą kobietę w wieku Tallii. Miała brudne, jasne włosy splecione w warkocz, pośpiesznie umyta twarz, wciąż brudną szyję i ucho oraz apetyczne kształty, których nie zakrywało ubranie. Miała ładny uśmiech i otworzyła dłoń, by podać mu jajko. Było gorące, ugotowane; jej palce również były ciepłe. Alain nagle bardzo się ucieszył, że nie spędzali tu nocy. Zaczerwienił się, ona mu podziękowała, a Tallia nagle się zbliżyła i stanęła obok niego.

Ktoś się zaśmiał. Wieśniaczka odeszła, oglądając się przez ramię. Tallia miała rumieńce na policzkach i odważnie na oczach wszystkich ujęła go za rękę.

To było małe zwycięstwo. Ścisnął jej palce, z wyrazem triumfu i znów pełen nadziei.

--Bóg będzie przychylny naszemu poświęceniu tylko wtedy, kiedy oboje pozostaniemy czysti -- wyszeptwała.

Odpowiedź utknęła mu w gardle. Poczul się, jakby go kopnęła. Puściła jego dłoń i poszła do swego konia, którego Lavastine zostawił tam, kiedy tylko przywołał służących do porządku. Nie miał ochoty sam jeść jajka. Obrął je, przelamał na pół i nakarmił nim Smutka i Furię.

Godzinę po odjeździe z wioski dopędził ich zwiadowca, żeby powiedzieć hrabiemu, że widziano Orła podążającego ich śladem. Lavastine posłusznie zatrzymał drużynę i chwilę później w ich polu widzenia pojawił się zdroniony Orzeł. Miał ze sobą luzaka. Wokół oczu czerniła się warstwa kurzu, a włosy byłyby rude, gdyby nie było w nich tyle pyłu drogi.

--Hrabio Lavastine. Przybywam na rozkaz Jego Wysokości króla Henryka. Tę wieść usłyszał dzięki księciu Sanglantowi. -- Urwał. Alain widział już Orły przypominające sobie posłanie zapamiętane przed dniami lub tygodniami. -- „Hrabia Lavastine musi się strzec. Ta, której strzała zabiła Krwawe Serce jest chroniona przed magią i jeśli klątwa Krwawego Serca nadal nawiedza ten kraj, szuka sobie innego celu”.

--Kłątwa -- mruknął lord Godfryd.

--Książę Sanglant mówił wcześniej o klątwie -- rzekł Alain. -- W każdym razie Eikowie w nią wierzyli.

--Ale Krwawe Serce nie żyje. -- Lavastine uśmiechnął się ponuro. -- Mimo wszystko cenię swe życie jak każdy człowiek, zwłaszcza zaś cenię życie mego syna. Niech żołnierze idą wokół jeźdźców, oddaleni od siebie o długość włóczni i niech wpatrują się w ziemię i wyglądają każdego stworzenia, które odpowiadałoby opisowi podanemu przez księcia Sanglanta. Niech moi klerycy się modlą i rzucają takie zaklęcia, na jakie zezwala Bóg. Musimy ufać Bogu, że żadna krzywda nie stanie się tym, którzy wiernie słuchają Ich rozkazów. -- Dał znak, że taka była jego wola. Groza zaszczekała raz, Strach jej odpowiedział. Wiarus i Radość siedziały, dysząc, na skraju drogi. Smutek węszył w krzaku rosnącym w przydrożnym rowie, Furia zaś położyła się w cieniu rzucanym przez wóz.

Lavastine zwrócił się do Orła:

--Wracaj do króla. Powiedz księciu Sanglantowi, że jestem mu zobowiązany za ostrzeżenie. Zrobię, co będę mógł, gdyby kiedykolwiek potrzebował mojej pomocy.

Godfryd zasyczał.

--Jeśli dwór podzieli się w sprawie sukcesji, to właściwie zadeklarowałeś się po stronie księcia.

--Bóg nakazuje nam honorować długi -- odparł Alain.

Lavastine skinął głową.

--Orle, wszystko zrozumiałeś?

Orzeł wyglądał na zakłopotanego.

--Sprawy między królem a księciem nie mają się najlepiej -- rzekł, starannie dobierając słowa. -- Na dworze powstało zamieszanie i gdy opuszczałem Werlidę, księżę udał się do swych komnat w nielasce. Jego psy zaatakowały króla, uderzył fratra na oczach całego dworu, sprzeciwił się woli królewskiej i twierdzi, że poślubił kobietę z pośledniego rodu, która oprócz tego została oskarżona o czarnoksięstwo. -- Potem zauważywszy, że podniósł głos, odkaszlnął i dokończył spokojnie: -- Ale może został zaczarowany.

--Liath! -- jęknął Alain. Tallia odwróciła się w siodle i spojrzała na niego, marszcząc brwi.

--Orlica -- powiedział Lavastine.

--Już nie Orlica -- rzekł Orzeł. -- Pozbawiono ją płaszcza i odznaki. Jest teraz księżącą konkubiną. Czy też była, gdy opuszczałem Werlidę.

--Lepiej by zrobiła, jadąc z nami. Królewska niechęć to droga pełna cierni. -- Lavastine w milczeniu patrzył na szlak. Jego zbrojni ustawiali się w nowym szyku wokół jeźdźców, dwoje kleryków rozpalilo zaś kadzielnicę, by oczyścić drogę kadzidłem. -- Powiedz królowi Henrykowi, że jeśli kobieta w nielasce nie ma dokąd się udać, hrabia Lavas ją przyjmie.

--Czy jesteś pewien, że to rozsądne, kuzynie? -- zapytał Godfryd.

--Jestem pewien, że to mądre i dalekowzroczone. Potrafię rozpoznać zagrożenie, a ona nie jest dla nas zagrożeniem. Coś w niej jest... -- Urwał, dając się porwać prądowi myśli; chwilę później zamrugął i otrząsnął się. -- Ten, kto ją ma, ma asa w rękawie.

Kiedy Orzeł odjechał, a ich orszak ruszył dalej w nowym szyku, Alainowi dźwięczały w uszach słowa wypowiedziane przez Tallię w ich noc poślubną, zupełnie jakby usłyszał je przed chwilą:

„Jestem jedynie pionkiem, niczym więcej. Ty także, ale tego nie widzisz”.

2.

W pałacu w Werlidzie królowa Sophia zażyczyła sobie ogrodu wybudowanego w stylu aretuzańskim. Miał kształt ośmiokąta, osiem murów, osiem ławek, osiem zadbanych rabatek kwiatowych, które wiosną i latem rozkwitały jaskrawymi barwami, i osiem promienistych ścieżek prowadzących do centrum, gdzie stała monumentalna fontanna w kształcie kopuły, otoczona ośmioma rzędami aniołów dmących w trąby. Według legendy fontanna przestała bić tego samego dnia, kiedy królowa Sophia umarła.

Tak naprawdę fontanna przestała funkcjonować wiele lat wcześniej, ponieważ aretuzański rzemieślnik, który zaprojektował przemyślnie wewnętrzne urządzenia, zmarł pewnej zimy na zapalenie płuc, a nikt inny nie wiedział, jak ją naprawić.

Ale legenda przetrwała, jak to zwykle bywa z legendami.

Rosvita spacerowała leniwie wokół fontanny w towarzystwie pół tuzina dwórek Theophanu, młodych szlachcianek, które krążyły wokół księżniczki jako część jej towarzystwa. Theophanu stała na najniższym parapecie, na kamiennych skrzydłach anioła, trzymając się trąby cherubina w trzecim rzędzie, żeby zachować równowagę. Stąd miała lepszy widok ponad murami na miejsce, gdzie z podzamcza wybiegała droga.

Z ogrodu rozpościerał się wspaniały widok. Wokół leżały pola i wioski, pastwiska, krzewy i zagajniki, a w oddali majaczył las. Rzeka wiała się na południe, wstęga znikająca wśród drzew.

Ze żwirowej ścieżki siostra Rosvita obserwowała, jak orszak diuka Konrada dotarł do skrzyżowania dróg i sztandary skierowały się na południe. Z tej odległości mogła jedynie zgadywać, którą z postaci był Konrad.

Czy Konrad myślał o Theophanu? Czy naprawdę żałował, że Henryk zabronił małżeństwa, czy też jego gniew wywołała obraza, jaką była odmowa?

Czy Theophanu żałowała straconej szansy zaręczyn, czy też powitała to z ulgą? Rosvita nie potrafiła orzec. Ktoś inny mógł się wściekać, smucić czy płakać. Theophanu albo nie odczuwała takich emocji, albo zbyt dobrze je skrywała.

--Theophanu!

Książę Ekkehard maszerował ścieżką na czele grupy chłopców. Schola przybyła do Werlidy zaledwie wczoraj.

--Czy cieszysz się, że Konrad wyjeżdża? -- zapytał Ekkehard, wspinając się na rzeźby obok siostry. -- Chciałem pojechać z nim do Waylandii, ale ojciec mówi, że mam się udać do Gentu i zostać opatem klasztoru, który zamierza tam zbudować pod patronatem świętej Perpetui, w podzięce za uratowanie Sanglanta. Ale ja nie chcę jechać do Gentu i na pewno nie dlatego, że ojciec jest wściekły, bo Sanglant uciekł z tą kobietą. Nie wiem, czemu mnie karze za coś, co zrobił Sanglant. -- Ekkehard plótl, co mu ślina na język przyniosła. Ale być może dotarł do sedna sprawy: zmiany w zachowaniu Henryka, która nastąpiła tego ranka, kiedy obudzili się i odkryli, że Sanglant i Liath zniknęli.

Nieprzenikniony uśmiech Theophanu nie zmienił się, gdy odpowiadała:

--On cię nie karze, Ekkehardzie. Daje ci władzę. Pamiętaj, że jesteśmy królewskimi dziećmi. Ojciec może nakazać nam robienie tego, co uzna za stosowne, żeby wzmocnić królestwo.

Czy w jej głosie pojawił się ślad ironii? Może nawet sarkazmu? Rosvita nie była pewna.

Brama ogrodu znów się otworzyła i ich spokój został całkowicie zburzony, gdy w ślad za

Ekkehardem pojawił się król i jego dworzanie. Paplanina tłumu zirytowała Rosvitę. Co sprawiło, że straciła spokój ducha? Czyż nie była zawsze dumna ze swego milego i stałego usposobienia? Czyż nie zdobyła miłości i zaufania króla i dworu nie dla zaspokojenia własnej ambicji, ale dlatego, że było to obowiązkiem służki Boga? Od wielu lat nie miała takiego zamętu w głowie. Podobnie jak Henryk, rozpaczliwie pragnęła się dowiedzieć, co się stało z Sanglantem i Liath, ale nikt nie odważył się poruszyć tego tematu, dopóki Henryk tego nie uczyni.

Wokół króla tłoczyli się dworzanie, a wśród nich prym wiodli ambasadorzy z Ungrii i Sali. Sapiaientia najwyraźniej wołała eleganckiego saliańskiego lorda, który przybył w imieniu księcia Guillaume'a, ale Henryk zachowywał obojętność i pozwalał się zabawiać. Kiedy dotarł do fontanny, odwrócił się od ungaryjskiego ambasadora, by pomóc Theophanu zejść. Ekkehard zeskoczył za nią.

--Czy pojedę z tobą jutro na polowanie, ojcze? -- zapytał.

--Oczywiście. -- Ale uwagę Henryka przykuł widok orszaku Konrada, wjeżdżającego do lasu. Czy myślał o Sanglancie, obserwując go? Przyciągnął do siebie Theophanu i chwilę później on, Villam, i kilku lordów zaczęło dyskutować na temat sytuacji w Aoście, zostawiając Ekkeharda z boku i wyłączając go z konwersacji.

--Książę panie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. -- Młody mąż Judith, Baldwin, wślizgnął się na miejsce obok Ekkeharda. -- Być może przypominacie sobie, poznaliśmy się wczorajszego wieczoru.

--Jesteś Baldwin, mąż margrabiny Judith.

--Owszem -- odrzekł Baldwin niewinnie.

Przez chwilę na ustach Ekkeharda pojawił się pogardliwy uśmiech, jednak uczył się manier u surowych nauczycieli i potrafił się opanować.

--Oczywiście że cię pamiętam.

--Słyszałem jedynie pochwały waszego śpiewu, książę panie. Być może w nadchodzących dniach zaszczycicie nas kilkoma piosenkami. -- Baldwin rzeczywiście był niezwykle przystojnym młodzieńcem i Rosvita z rozbawieniem obserwowała, jak Ekkehard mięknie pod wpływem połączonego czaru urody i pochlebstwa.

--Nie widzę powodu, żeby czekać! Chodźmy od razu. Może pojedziesz ze mną jutro na polowanie?

--Oczywiście, książę panie. Jestem na wasze rozkazy.

Odeszli razem. Czy to Ivar włókł się za nimi, żółty jak wysuszona żaba? Nie pozwolono jej rozmawiać z Iwarem, który złożył śluby nowicjusza, ale tak pewnie było najlepiej. Kiedy Judith i jej orszak wrócą na wschód, zostanie bezpiecznie oddany do klasztoru, gdzie praca, nauka i modlitwa wypełnią mu dni i zostawią niewiele czasu na zastanawianie się nad tym, co było mu zakazane.

Rosvita zadrżała, myśląc o klasztornej ciszy. Nie, doprawdy, ona nie zaznała prawdziwego spokoju od dnia, gdy w jej ręce trafił *Żywot świętej Radegundis*. Gnębił ją głód myszy, nie zaspokojony i nieustanny. Miała tyle pytań i znała zbyt mało odpowiedzi.

Dokąd pojechał Sanglant? Co się stało z *Księżką Tajemnic*? Czy Liath zaczarowała go, czy też książę przytłoczył biedną dziewczynę swymi względami? Czy widoczny spokój Henryka skrywał wściekłość w sercu, która będzie gnić i po pewnym czasie znajdzie ujście w innej

formie?

--Siostró. -- Brat Fortunatus wśliznął się do ogrodu za królewskim orszakiem. Pochyliła się, by usłyszeć jego szept. -- Stałem przy dolnej bramie i przyjrzałem się każdemu wozowi. W orszaku Henryka nie było ani śladu siostry Anne od Świętej Walerii.

--Czy siostra Amabilia nie znalazła jej na podzamczu?

--Nie, siostró. -- Nigdy przedtem nie widziała go tak ponurego. -- Zniknęła.

--To tajemnica -- zgodziła się Rosvita. -- Sporządź szkic listu, bracie. Musimy jak najszybciej powiadomić matkę Rotgardę.

Sklonił się posłusznie i wycofał, a jego odziana w biały habit postać szybko zniknęła w tłuszczy dworaków, którzy rozeszli się po wszystkich ścieżkach, wykrzykując z zachwytu nad pięknem kwiatów i małych rzeźb, głównie świętych i aniołów, które stały w ogrodzie albo z kamienną cierpliwością czekały w rzeźbionych niszach.

Judith i ungaryjski ambasador podeszli do muru, obserwując, jak ostatni z orszaku Konrada znikają w lesie. Rosvita zbliżyła się, aby posłuchać.

Mężczyzna porozumiewał się z pomocą tłumacza.

--Ta córka, którą ze sobą zabrał, to wnuczka albijskiej królowej, prawda? Jak diuk Konrad dostał za żonę córkę królowej z Alby, skoro sam nie jest królem?

Delikatny uśmiech pojawił się na ustach Judith, ale jej wzrok był twardy.

--Jeśli chcesz, żeby twoja misja zakończyła się powodzeniem, nie radzę zadawać tego pytania królowi.

--Nie zadałem mu go -- odparł, śmiejąc się. Kuzyn ungaryjskiego króla miał jowialną twarz, długie, ciemne wąsy, które natłuszczał oliwą, i brodę rzadką jak szesnastolatek, mimo że włosy przyprószyła mu siwizna. -- Ale mówiono, że w Albie mężczyźni pracują jak niewolnicy, a kobiety królują i że wcześniej żadna córka z domu panującego nie opuściła matki. Zastanawiam się więc.

--Wielu się zastanawiało -- odparła Judith, lekko rozbawiona. -- Diuk Konrad popłynął na Albę, gdy był młody. Niektórzy mówią, że oczarował królową i ta zgodziła się na zaślubiny. Inni twierdzą, że oczarował córkę i uciekł z nią, gdy matka odmówiła jego prośbie.

--Ale nie ucieka z księżniczką Sapientią, chociaż król mu odmawia.

Alba to wyspa. Henryk nie potrzebowałby floty, żeby ścigać Konrada, gdyby ten mu się sprzeciwił.

--Ach, w waszych słowach jest wiele prawdy. -- Ungaryjski ambasador nosił piękną jedwabną tunikę aretuzańskiego kroju, ale zniszczył elegancję ubioru, narzucając na ramiona futrzaną szubę. Cuchnął mdłymi słodkimi perfumami, od których Rosvitę bolała głowa. -- Czy król pobłogosławi ten związek, czy będzie wołał saliańskiego księcia?

Judith uśmiechnęła się chłodno.

--Ja również pragnę, żeby qumańskie rajdy się skończyły. Moje ziemie bardzo ucierpiały przez ostatnie dwa lata, podobnie jak wasze, a gdyby wendarskie i ungaryjskie armie się połączyły, może moglibyśmy uderzyć w sam środek terenów Qumanów i położyć kres ich rabunkom. Ale oczywiście pojawia się problem wyznania, przyjacielu. Aretuzański diakon, którego macie w orszaku, nie stosuje się do praktyk Kościoła ustalonych przez skoposę w Darre. Wendarska księżniczka nie może poślubić ungaryjskiego księcia, który nie praktykuje wiary w poprawny sposób. Król Geza musi uznać prymat skoposy w Darre, nie zaś nieprawego

patriarchy z Aretuzy, jeśli pragnie sojuszu z królem Henrykiem.

--Błogosławiona żona Henryka była Aretuzanką.

--Pobłogosławioną przez skoposę w Darre.

--Król Geza także pragnie takiego błogosławieństwa, jeśli Henryk zgodzi się na sojusz.

Judith wzruszyła ramionami, by pokazać, że w tej sprawie była bezradna.

--Wobec tego zrobiliście, co w waszej mocy. Król przemówi, gdy podejmie decyzję.

Król nie przemówił tego dnia, jednak nazajutrz, podczas uczyty na cześć świętych Iskandera i Dawuda, bliźniąt, podniósł się, żeby wznieść toast na cześć Sapientii i ogłosić jej zaręczyny. Palce Rosvity były lepkie od miodu; tradycją na uczenie na cześć bliźniąt było jedzenie miodowych ciastek i picie miodu dla upamiętnienia słynnego cudu z pszczołami. Szybko oblizła palce i złapała kielich, który tego wieczoru dzieliła z księżniczką Theophanu. Henryk nie zapytał jej o radę, jak to miał w zwyczaju, ale od awantury z Sanglantem, cztery dni temu, król spędzał dni na zabawie, nie poświęcając się poważniejszym myślom.

Nastąpiła przerwa, gdy król przyglądał się, jak dworzanie w oczekiwaniu podnoszą kielichy.

Za nią brat Fortunatus wymamrotał do Amabilii:

--Założyłaś się już? Którego ze wspaniałych książąt wybierze król Henryk?

Cywilizowanego Saliańczyka czy na wpół dzikiego Ungryczyka?

--Zakładanie się jest grzechem -- oznajmił cicho brat Konstantyn. -- I to większym dla kleryków niż dla zwykłych ludzi, ponieważ Bóg zabronił nam uzurpować sobie prawo do tego, co tylko aniołowie mogą wiedzieć.

--Sądzę, że woli Saliańczyka -- mruknęła siostra Amabilia, jak zwykle ignorując Konstantyna. -- To da mu sojusz z królem Salii na wypadek, gdyby lordowie z Varre znów się zbuntowali.

--Kiedy Sabella siedzi w więzieniu? Nie, moja droga siostrzo, wybierze Ungryczyka i jeśli mam rację, dasz mi dwa ostatnie miodowe ciastka, które masz na talerzu.

--Obżarstwo to grzech -- wtrącił sztywno Konstantyn.

--Sądziś, że wybierze Ungryczyka? Ale król Geza nawet nie swata swego syna, tylko swego młodszego brata!

--Młodszego brata, który jest doświadczonym wodzem i który walczył z Qumanami i plemionami barbarzyńców. I zwyciężył. Kogo lepiej sprzymierzyć z Sapientią, jeśli zostanie margrabiną Estfalii? Kogoś, kto rozumie, co się tam dzieje.

--Przyjmuję zakład -- rzekła Amabilia. -- Ale co mi dasz, jeśli będę miała rację?

--Już zjadłem wszystkie ciastka. Czego możesz chcieć?

--Twojego sowego pióra, bracie. To jedyna rzecz, jaka mnie zadowoli.

--Cicho, przyjaciele -- powiedziała Rosvita z uśmiechem. Twarz księżniczki Theophanu pozostawała równie nieprzenikniona jak kamienne rzeźby z Ogrodu Ośmiokątneho. Wzrok utkwiała w ojcu, który wyciągnął dłoń do Sapientii i nakazał jej wstać.

Sapientia była zarumieniona. Udało jej się zachować milczenie, gdy mówił jej ojciec. Jego głos poniósł się bez wysiłku na całą salę i nawet na zewnątrz, gdzie stali służący i lokaje, nasłuchując przy drzwiach.

--Niech saliański ambasador pojedzie na zachód razem z jednym z naszych Orlów i zawiezie naszemu bratu, Lothairowi, podarki na znak naszej dobrej woli i miłości. Niech

ungryjski ambasador pojedzie na wschód razem z jednym z naszych Orlów i niech przekaże takie posłanie królowi Gezie: Niech wasz brat, książę Bayan, spotka się z moją córką w mieście Handelburg nie wcześniej niż w Mateusze i nie później niż na świętego Walentynusa. Niech się poślubią w obecności biskupiny Alberady, która sprawuje pieczę nad ludem z marchii i poganami, którzy wciąż żyją w ciemności. Niech po trzydniowym weselu pojedą do Estfalii, by tam chronić i bronić lud Estfalii przed zakusami qumańskich jeźdźców. Taka jest moja wola.

Theophanu wysyczała słowo, jednak zagłuszył je zgiełk, który się podniósł, gdy wzniesiono kielichy i wszyscy obecni wydali okrzyk. Sapientia nadal była zarumieniona. Spojrzała na saliańskiego ambasadora, potem na ungryjskiego. Nie wyglądała na niezadowoloną, raczej na szczęśliwą.

--Nareszcie zaręczona -- powiedziała Theophanu, zabierając puchar Rosvicie i wychylając zawartość. Zawołała służącego, żeby go napelnił. -- Czy wypijesz za szczęście mej siostry, siostrze?

--Oczywiście -- Rosvita napiła się z wdzięcznością. W sali było gorąco i duszno i nagle zapragnęła przechadzki po Ogrodzie Ośmiokątnym, gdzie słyszałaby swoje myśli. Ale nie miała czasu, by myśleć. Theophanu nie skończyła mówić, głosem tak cichym, że tylko Rosvita słyszała.

--Jeśli Henryk pragnie, aby rządziła po nim, dlaczego wydaje ją za męża z obcego kraju, który nie może się spodziewać wielkiego poparcia wśród wendarskich dworzan? Powiadają, że Ungryjczycy nadal składają konie w ofierze w zimowe przesilenie, chociaż przez resztę roku modlą się do Boga. Czy takiego mężczyznę wybiera mój ojciec na króla i małżonka?

--Nie wiemy nic o księciu Bayanie prócz tego, że jest słynnym wojownikiem i wygrał wiele bitew -- odparła Rosvita.

Ungryjski ambasador wznosił kolejny toast. Zdjął swą szubę i teraz, z dziwnymi wąsami i cienką brodą, wyglądał nie na miejscu w swej eleganckiej, żółtej, jedwabnej tunice. Ungryjczycy byli rabusiami, tak jak Qumanie, jeszcze dwa pokolenia temu. Nie zatracili jeszcze całkowicie barbarzyńskiego wyglądu, choć naśladowali wyrafinowany aretuzański sposób ubierania.

--Wszyscy są ślepi -- powiedziała Theophanu.

--Kto jest ślepy? -- zapytała Rosvita, zdziwiona niespotykaną pasją w głosie Theophanu. -- Czego nie widzą?

--Nieważne. -- Przybrała spokojny wyraz twarzy i wzięła puchar od Rosvity, ale ledwie sączyła wino. -- Nieważne, skoro jeszcze nie wiesz.

--Myślisz o Sanglancie.

--Mój ojciec nie myślał o nikim innym przez ostatnie cztery dni. Nie widzisz tego po jego zachowaniu i po tym, że nigdy o nim nie wspomina? Nie jestem ślepa.

--Ślepotą przybiera wiele form. -- Rosvita obserwowała, jak Sapientia pije triumfalnie i całuje ojca, króla, w oba policzki, a zgromadzeni ryczą z zachwytem.

Ślepotą przybiera wiele form, a serce pełne furii manifestuje wściekłość na nieoczekiwane sposoby. Następnego poranka Rosvita dumiała nad tym z goryczą. Król posłał po nią wcześniej.

Siedział na podwórcu, nadzorując służących ładujących wozy, zapasy i dary, które Sapientia miała dać narzeczonemu, by przypieczętować związek. Od czasu do czasu unosił dłoń i nakazywał, żeby pewnych rzeczy nie ładowano; od czasu do czasu dawał znak i pewne rzeczy,

odłożone na bok, wkładano do skrzyń na posag.

Otaczali go dworzanie, wśród nich Helmut Villam i Judith.

Za nim stało troje dzieci. Sapientia była zadowolona z siebie, Theophanu spokojna. Ekkehard niespokojnie przestępował z nogi na nogę, wypatrując kogoś w tłumie dworzan. Byłby ładniejszy, gdyby się tak nie chmurzył.

--Ach, moja wierna doradczyni. -- Uklękła przed Henrykiem i pozwolono jej ucałować jego dłoń. Błysk w jego oczach sprawił, że poczuła się nieprzyjemnie.

--Jutro będzie więcej pożegnań. -- Henryk skinął na Theophanu. -- Ty, córko, pojedziesz do Aosty, żeby mnie reprezentować. Jeśli będziesz musiała, pomóż królowej Adelheidzie, jak tylko potrafisz.

--Z chęcią. Ale na pewno, ojcze, mam jechać na południe dopiero po soborze w Autunie?

--Nie, dziecko. Musisz wyjechać teraz, jeśli zamierzasz przekroczyć góry Alfar, nim przejścia się zamkną. Przegramy, jeśli będziemy zbyt długo zwlekać. Pojedziesz na południe już jutro.

--Przecież wiesz, że muszę zeznawać w Autunie na procesie ojca Hugona!

--Powiedziałem -- rzekł Henryk, nie podnosząc głosu.

--Ale jeśli nie będę zeznawała w Autunie...! -- Jej policzki zabarwiły się czerwienią; urwała i spojrzała na Judith.

Rosvita знаła wyraz twarzy dowódcy, który wie, że jego flanki są chronione, a środek się utrzyma: tak wyglądała teraz Judith.

--Pojedziesz do Aosty, Theophanu. Sądzenie jednego z ludzi Kościoła to sprawa biskupin, nie twoja.

--Ale moje zeznanie...!

--Możesz podyktować, co tylko chcesz, klerykom. W ten sposób twój głos zostanie wysłuchany na soborze.

Theophanu nie mogła nic zrobić, jeśli nie zamierzała sprzeciwić się ojcu -- jak Sanglant. Ale Theophanu nie przypominała Sanglanta. Opanowała się, wymruczała spokojne słowa zgody i odeszła. Ale spojrzenie, jakie posłała Rosvicie, nie było łagodne.

--Obiecaj mi -- szepnęła, zatrzymując się przy niej -- że odczytasz moje słowa na procesie. Ciebie biskupiny wysłuchają!

--Siostrze Rosvito -- łagodny głos Henryka przykuł jej uwagę. -- Aby moja córka nie musiała sama stąpać zdradzieckimi ścieżkami Aosty, wyślę cię wraz z nią, byś jej doradzała.

--W... Wasza Królewska Mość. -- Była zbyt zaszokowana, by wykrztusić coś więcej.

--Coś się stało, siostrze? -- zapytał grzecznie.

Nie trzeba być uczonym klerykiem, by sobie wyobrazić, że skoro Theophanu i Liath wyjadą i nie będzie Rosvity, która poprze ich sprawę, oskarżenia wniesione przeciw Hugonowi nie zabrzmiały poważnie. Zwłaszcza jeśli Judith przyprowadzi własnych świadków, którzy będą świadczyć o niewinności Hugona.

Kto ją podejrzewał? Co Henryk chciał osiągnąć tą nagłą zmianą planów?

--Nigdy nie widziałam świętego miasta Darre -- wykrztusiła Rosvita, nagle pozbawiona swej elokwencji. Widziała jedynie oczy Theophanu, lśniące i rozgorączkowane, i wyraz jej twarzy, Rosvita spodziewała się, że księżniczka zaraz zacznie wrzeszczeć z frustracji.

Ale nic nie mogła zrobić.

Rosvita sama wysłuchała zeznania Theophanu, zapisała je starannie i zalakowała pergamin. Potem napisała list i odciągnęła na bok siostrę Amabilię.

--Amabilio, chcę, żebyś osobiście dostarczyła ten list matce Rotgardzie z klasztoru Świętej Walerii. Fortunatus i Konstantyn jadą ze mną do Aosty i żałuję, że nie staniesz w pałacu skoposy, jak na to zasługujesz. Ale musisz to dla mnie zrobić. Jeśli matka Rotgarda zignoruje słowa, które napisałam, błagaj ją, by przybyła na sobór w Autunie. Ona może zeznać, co widziała, gdy Theophanu chorowała w klasztorze.

--Na pewno uzna zniknięcie siostry Anne za dziwne. -- Amabilia zmarszczyła brwi. -- Według księżniczki Theophanu siostra Anne też wszystko widziała, gorączkę i ligaturę, którą znalazły. Jak sądzisz, co się z nią stało?

--Nie wiem -- powiedziała Rosvita, ale w głębi serca obawiała się najgorszego.

3.

Rankiem natknęli się na pierwsze oznaki zasiedlenia: pułapkę na zwierzęta, szałas zbudowany z gałęzi, z dachem splecionym z bluszczu, i dziesięciodniowe ognisko. W południe znaleźli pierwszego trupa na skraju świeżo wyciętej przecinki w brzozowym gaju. Był to mężczyzna odziany po wendarsku. Jego głowa została odcięta.

--Qumanowie. -- Zachariasz ukląkł przy zakrwawionym ciele, dotknął drewnianego Kręgu i odruchowo zaczął odmawiać modlitwę za zmarłych. Urwał. To były przecież tylko słowa, prawda? Nie miały żadnego znaczenia. -- Powinniśmy go zakopać -- dodał, podnosząc wzrok, by ujrzeć, jak jego towarzyszka unosi topór, który wypadł z rąk zmarłego. Obejrzała go, stęknęła, a potem przywiązała do konia i odeszła. Poderwał się, złapał wodze i pośpieszył za nią. -- Czy nie powinniśmy go zakopać? -- zapytał, dysząc, gdy się z nią zrównał.

Wzruszyła ramionami.

--Jego ludzie go znajdą.

--Ale jego dusza będzie się włóczyć, jeśli go nie pochowamy. Tak zawsze mówiła moja babka. -- Ale ona była poganką, a Kościół Jedności położył kres dawnym praktykom.

--Ludzkie duchy nie mają siły, żeby mnie zranić. Jak możemy ich wszystkich pochować?

--Wszystkich?

--Nie czujesz dymu? -- zapytała zaskoczona.

Nic nie czuł. Nie wtedy. Jeszcze nie. Szli przez brzozowy zagajnik po ścieżce. Dzień wcześniej dotarli do pagórkowatego terenu, zostawiając za sobą step i choć czuł gniew swego qumańskiego pana, niby ostrze oszczepu wbite w plecy, nie widzieli ani śladu Qumanów. Zaczął wierzyć, że naprawdę im uciekli.

Kiedy dotarli do wioski, wiedział, że znów się pomylił.

Smród spalenizny unosił się nad niewielką wioską jak całun. Na wpół skończona palisada nie dała ochrony dzielnym ludziom, którzy starali się przekształcić wschodnie puszcze w pole uprawne. Chaty nadal dymiły. Pies leżał, pokryty muchami. Niektóre ciała miały głowy. Inne nie.

--Jadą przed nami. -- Strach ścisnął mu żołądek.

Ona potrząsnęła oszczepem. Odgłos dzwonek rozpląnął się w ciszy, ale usłyszał skrobanie w jednej ze skorup wypalonych chat.

--Niektórzy pozostali.

--Qumanowie? -- Zakrztusił się tym słowem. Wiedział, że za chwilę zacznie szlochać.

--Nie, ludzie koni odeszli. My też idziemy.

--Czy nie powinniśmy sprawić im porządnego pochówku?

--To zbyt długo potrwa. Zostań, jeśli musisz. Pochodzą z twego ludu, nie z mojego. -- Ale nie odeszła natychmiast. Rząd otwartych szop pozostał nietknięty. Ich dachy skrywały narzędzia rzemieślników i ich ubrania: kiedyś pracowali tu cieśla i kamieniarz, i garbarz. Wygarbowane skóry leżały na prymitywnych kozłach obok tuzina i więcej skór rozciągniętych na ramach, przygotowanych do obróbki. Oceniała narzędzia, sprawdziła ich wyważenie, wzięła kilka, ale jedną skórę uznała za najbardziej interesującą. Zmięła ją w palcach, splunęła na nią. Sprawdziła wytrzymałość na kolanie. Wreszcie wybrała trzy i zwinęła, a potem przeszukała na wpół spaloną piekarnię i wróciła z kilkoma osmalonymi bochenkami chleba i dwoma bukłakami jablecznika. Gapił się jak idiota, oszołomiony jej zachowaniem. Czy godziło się brać to, co do nich nie należało? Ale umarli nie potrzebowali jedzenia. Bez słowa przywiązała skóry,

narzędzia i zapasy za końskim siodłem, po czym odwróciła się i uniosła oszczep, wbijając wzrok w coś za jego plecami.

Ten dźwięk to nie wiatr. To szept.

Odwrócił się.

--Fratrze! -- Cztery kobiety, dwaj młodzi chłopcy i starzec tłoczyli się w drzwiach spalonej chaty. Za nimi chowało się około pół tuzina dzieci. Jedna kobieta trzymała niemowlę. -- O Boże! Dobry fratrze! Bóg nam was zesłał w potrzebie! -- Kobieta dała krok w przód, wyciągając ramiona po błogosławieństwo. -- Myśleliśmy, że jesteście rabusiami, co się wrócili. Ta kobieta z wami... -- Urwała, kiedy jej wzrok padł na straszliwą scenę, tuzin martwych mężczyzn w różnym wieku, jedną młodą i jedną bardzo starą kobietę leżących na ziemi. -- Ona nosi ich płaszcz.

--Nie jest Qumanką. -- Był zaskoczony tym, jak ochryple zabrzmiał jego głos. Słowa nadal przychodziły z trudem, a wieśniaczka mówiła dialektem: przybyła z innych stron niż jego ród.

--Dzięki Bogu, że do nas przyszliście, fratrze -- ciągnęła, zbliżając się jeszcze o krok. -- Możecie się z nami modlić. Możecie nam powiedzieć, co robić. -- Najmłodsza kobieta zaczęła szlochać i przyłączyła się do niej połowa dzieci. -- Uciekliśmy z dziećmi, ale reszta została, by powstrzymać rabusiów przed ściganiem nas. O Boże! Co zrobiliśmy, że ściągnęliśmy na siebie boski gniew?

--Chodź -- powiedziała Aoi. -- Idziemy. -- Wyjęła mu wodze z dłoni i zaczęła iść.

Starzec padł na kolana.

--Przybyliście w odpowiedzi na nasze modły! -- zajęczał. -- Minęło wiele czasu, odkąd diakonisa śpiewała z nami modlitwy. Błagaliśmy Boga, by dał nam znak, kiedy ukryliśmy się przed rabusiami w lesie.

--Czy przybyli dzisiaj? -- zapytał Zachariasz nerwowo.

--Nie -- odparła kobieta. -- Wczoraj po południu, późno. Nie odważyliśmy się wrócić aż do rana.

--Bez wątplenia nie znajdują się zbyt blisko -- powiedział Zachariasz, ale kobieta Aoi nie odwróciła się ani nie zaczęła na niego. Poprawił uchwyt na lasce, zrobił krok. Młodsze kobiety zaczęły zawodzić niby duchy, przeklęte, by po śmierci włóczyć się bez celu. Wahał się nawet, gdy czarodziejka minęła palisadę i zniknęła mu z oczu, kierując na zachód. -- Nie mogę wam pomóc -- rzekł w końcu.

--Ale jesteście kapłanem -- zawołała kobieta. -- Na pewno zostaniecie tak długo, aby pobłogosławić tych dzielnych ludzi, by ich dusze mogły się wznieść ku Bogu!

--Bóg o nas zapomniał. -- Jak bardzo ich nienawidził za ich płacz i za to, że szukały u niego ocalenia. Nawet siebie nie umiał ocalić. -- Módlcie się do prastarych, jak wasze babki. Może wtedy szczęście powróci.

Odwrócił się do nich plecami i podążył za swą panią. Ich krzyki i szloch długo ścigały go w cichym lesie, nawet gdy już ich nie słyszał.

4.

Trzy dni po tym, jak Orzeł dostarczył wiadomość, oddział Lavastine'a dotarł do klasztoru Świętej Genowefy. Jakaś radosna dusza wyrzeźbiła wrota na podobieństwo dwóch wielkich psów i ten sam duch przenikał hostel, gdzie, zdawało się, na każdej narzucie i belce wyobrażono psie mordy albo psy w zabawie lub na polowaniu, lub leżące spokojnie w oczekiwaniu na rychły powrót świętej, która zajmie się ukochanymi towarzyszami. Przeorysza przysłała własne służące, by zajęły się hrabią, jego synem i kuzynem, a gdy się rozgościli, zaprosiła ich na wieczerzę.

Przeorysza była zaskakująco młoda, trochę starsza od Tallii. Druga córka starego i szlachtetnego rodu, matka Armentaria została oddana Kościołowi i namaszczona na przeoryszkę w wieku dwunastu lat. Cioteczna babka jej matki ufundowała ten klasztor i była jego pierwszą matką, a przeoryszką zawsze ogłaszano kobietę z tego rodu. Nawykła do rozkazywania, a klasztor, którym rządziła, nieźle prosperował. Zakonnice słodkimi, przejmującymi głosami zanosily do Pani śpiewy, które skomponowała sama przeorysza na chwałę Boga Jedności.

Święta Matko, która dałaś nam życie,

Błogosławiona Teklo, która widziałaś śmierć,

W tej kobiecej formie Bóg zesłał nam największe błogosławieństwo

Chwalmy Cię i radujmy się w Tobie.

Ale nadal była głodna wieści ze świata.

--Słyszałam, że król Salii zaproponował, że odda księżniczce Sapientii jednego ze swych synów na męża. Czy król Henryk zawrze taki sojusz? Niektóre z mych ziem to ziemie graniczne między Varre a Salią i zdarzały się tam kłopoty, bo saliańscy lordowie zgłaszają do nich akces, mimo że posiadam nadania, które stwierdzają me prawo własności. Takie małżeństwo mogłoby położyć kres problemom.

--Możliwe, że król zawrze sojusz na wschodzie -- rzekł Lavastine. -- Chodzą słuchy, że barbarzyńcy zwiększyli swe wypady na marchie.

--Ma dwie córki -- zauważyła przeorysza. -- I dwóch synów, choć jeden z nich to bękart. Może zawrzeć tyle sojuszy, ile tylko zapragnie, aż cztery, dla dobra tych, którzy mu służą.

--Nie służycie Bogu? -- zapytała ostro Tallia.

Odpowiedź matki Armentarii była jeszcze ostrzejsza:

--Zmówicie z nami jutrznię, pani Tallio? Wtedy ocenicie, jak czcimy Boga.

--Chętnie się pomodłę, z wdzięcznym sercem, całą noc. Mam też coś do powiedzenia, jeśli zechcecie słuchać.

Lavastine spojrział na nią z zaskoczeniem, ale nie mógł się sprzeciwić. Alain też nie. Kiedy odeszli od stołu, Tallia uciekła mu, jak zawsze, w modlitwę. Nie mógł podążyć za nią do klasztoru przeznaczonego dla kobiet.

Lavastine zabrał go do ogrodu, poza zasięg słuchu lorda Godfryda i innych. Ogary podążyły pokornie za nimi. W cieniu jabłoni położył dłoń na ramieniu Alaina i spojrział na niego poważnie:

--Czy ona jest już w ciąży? Obawiam się, że jedynie dziecko wyleczy ją z tych niedorzeczności.

--N... nie, ojczu. Jeszcze nie. Ona jest taka... -- Wykrztusił sylaby, których nawet sam nie rozumiał.

--Twardy orzech do zgryzienia, jak mówi przysłowie. Ale słodki pod skorupą.

Alain zaczął wyjąkiwać przeprosiny.

--Nie, synu, radzisz sobie lepiej niż ktokolwiek. Ona dopiero zaczyna ci ufać i obawiam się, że po matce odziedziczyła upór, po ojcu zaś prostotę umysłu.

Alain nie wiedział, co odpowiedzieć.

--Bez wątpienia to jej świętość, a nie prostota czyni ją taką, jaka jest. -- Strach odszedł od nich w gęste grządki jeszcze nie zebranej kapusty, rzepy i brukwi. Wśród róż bzycała pszczoła. Smutek i Furia poszły węszyć między pokrzywami. Wiarus polizał dłoń Alaina. Zabrział dzwon wzywający zakonnice na nieszpory.

--Jeśli to świętość, to dlaczego oddała się tej herezji? -- sprzeciwił się Lavastine. -- I gdyby jej słowa były niebezpieczne dla wiernych, matka Scholastyka nie wypuściłaby jej poza mury klasztoru. Albo Kościół zagroziłby jej ekskomuniką. Ale nie obawia się tych szaleńczych mów, które ona wygłasza! I dlatego my też nie mamy powodu, by się ich obawiać.

--Ale jest taka zagorzała. Nie wiem, co robić!

--Trzyma się tej wiary, ponieważ niesie jej pocieszenie. Kiedy zaczniesz na tobie polegać, u ciebie będzie szukała pocieszenia. Musisz zdobyć jej zaufanie jak kamieniarz buduje twierdzę: po jednym kamieniu. Im staranniejsza praca, tym mocniejszy fundament i ściany. Kilka miesięcy nie robi różnicy, a możesz tylko zniszczyć wasz związek, jeśli będziesz działał zbyt pośpiesznie i zrazisz ją do siebie. Możesz splodzić wiele dzieci i nieważne, czy pierwsze urodzi się za dziesięć czy dwadzieścia miesięcy.

Na polu za ogrodem gęsi podniosły zgiełk. Radość wstała nagle, czujna, i podreptała ku łukowi, który otwierał się na pole. Gęsi pasły się dotąd spokojnie; teraz syczały i gęgały jakby - jak mówiła ciotka Bel -- chciały odstraszyć Nieprzyjaciela.

--Ale co z kłutwą, o której ostrzega książę Sanglant?

Lavastine gwizdnął na Grozę i pogładził ją po uszach.

--Krwawe Serce nie żyje. Jeśli jego martwa dłoń nadal dzierży broń, musimy być gotowi do starcia. -- Uśmiechnął się ponuro. -- I musimy ufać boskiemu miłosierdziu.

Ogary wpadły w szal. Strach skoczył ku wyjściu, szczekając wściekle. Radość już zniknęła na polu. Gęsi rozbiegły się. Smutek i Furia wyskoczyły z ogrodu, rozsypując wokół siebie liście. Wiarus złapał dłoń Alaina w zęby i pociągnął za sobą. Tylko Przerazenie stał w miejscu, zjeżony, warcząc gwałtownie, nie opuszczając hrabiego.

Alain pobiegł do łuku. Psy zgromadziły się na polu, a potem Furia odłączyła się, biegnąc w bok, a Smutek skoczył w drugą stronę. Zaczęły zajadłe szcekać. Czy na ziemi błysnęło coś białego? Słońce zachodziło krwawo wśród chmur, które zasłoniły niebo. Na wschodzie pomiędzy obłokami migotało kilka gwiazd. Z kościoła usłyszał pierwsze wysokie głosy śpiewające Bogu. Zaczęły się nieszpory.

Położ się przy mnie, Panie, śpij przy mnie.

Chroń mnie od wszelkiego zła.

Niech Matka nade mną czuwa i śpiewa mi słodko do snu

Kiedy czuwacie nad swymi dziećmi.

Panie zmiłuj się. Pani zmiłuj się.

Radość przekościolkowała, wyprostowała się i zaczęła kopać. Piach pryskał spod jej łap. Wiarus, Smutek, Furia i Strach przyłączyły się do niej i zaczęły kopać, piekielnie ujadając.

--A to co? -- spytał Lavastine, podchodząc do Alaina, ale Przerazenie już tam był, złapał hrabiego za nadgarstek i spróbował odciągnąć do ogrodu.

Alaina przeszył dreszcz. Dotknął piersi, gdzie w malej sakiewce chował różę. Jej zimno zmroziło mu palce przez płótno letniej tuniki.

--Puść mnie -- powiedział. Inni już nadeszli sprawdzić, co się dzieje. Lavastine z ociąganiem pozwolił Przerazeniu zaciągnąć się z powrotem do ogrodu, w krąg służących.

Alain pobiegł do psów, w deszcz piachu.

--Spokój! -- wrzasnął, ale psy się nie uspokoiły. Piach klął go w oczy, pokrywał usta i język. Wpadły w szal, szczekając tak dziko, że w ogłuszającym hałasie nie słyszał już śpiewu zakonnic. Niewielkie białe ciało poruszyło się, zwinęło i uskoczyło.

Radość klapnęła pyskiem.

Cztery psy natychmiast przestały szczekać i otoczyły Radość, która przełknęła ślinę. Potem podniosła wielki czarny leb, by spojrzeć na Alaina. Wcisnęła mu suchy nos w dłoń, przez chwilę węszyła, po czym nagle odwróciła się i pognęła klusem do lasu, leżącego za polem.

Alain pobiegł za nią, ale reszta psów weszła mu w drogę, zatrzymując go. Padł pod ich ciężarem i leżał tak, że Smutkiem na piersi i Furią, i Strachem siedzącym mu na nogach. Wiarus podreptał za Radością, ale zatrzymał się na skraju lasu niby strażnik. Gęsi zbiły się w stado na przeciwległym krańcu pola i już spokojne poszły pożywić się wśród owsa i jęczmienia.

--Co się dzieje, Alainie? -- Lavastine przyszedł z mieczem w dłoni. Towarzyszyło mu czterech zbrojnych z oszczepami i pochodniami.

Ale gdy Alain spróbował opisać, co widział, nie miało to sensu.

--Chodźcie -- powiedział Lavastine do zbrojnych. -- Mam już dosyć klątw i przesądów. Zbierzcie tuzin towarzyszy i poszukamy psa.

--Ale, ojcze...

--Spokój! -- uciął Lavastine. Alain wiedział, że nie należy protestować.

Wszedł z Lavastine'em do lasu, nie opuszczając go. Siostrzyczki od Świętej Genowefy dawno już wyczyściły las z poszycia i drewna, używanego na opał i do wyrobu węgla drzewnego. W lesie nie było zbyt wielu kryjówek. Księżyc świecił wystarczająco jasno, by widzieli, gdzie stąpają, a pochodnie dodawały Alainowi odwagi, jakby mógł podpalić każdą klątwę, która wyskoczy z ciemności, by go zaatakować.

Ale pięć psów dreptało spokojnie obok, z zadowoleniem pozwalając im szukać, co też czynili co najmniej pół nocy. Nie znaleźli jednak Radości.

Kiedy wreszcie wtoczył się do komnaty przeznaczonej dla niego, Tallii i ich służących, musiał ostrożnie przechodzić pomiędzy śpiącymi ludźmi. W komnacie było ciemno, a on był zbyt zmęczony, by się rozbierać, położył się więc w ubraniu. Ostrożnie, by jej nie zbudzić, pomacał łóżko. Ale, podobnie jak Radość, zniknęła.

Ledwo słyszał głosy śpiewające jutrznię, nocne nabożeństwo. Ukryła się za murami klasztoru. Gdyby tylko zdołał dźwignąć się z łóżka i pójść jej szukać, jej, która była wszystkim, czego kiedykolwiek pragnął.

Zasnął.

Sam splata swój sztandar. Na dwóch drzewcach oszczepów związanych na krzyż zawiesza kości zmarłych braci -- te, które mógł odnaleźć -- i kiedy wieje wiatr, wydają przyjemny dźwięk: muzykę zwycięstwa. Wplata pewne przedmioty -- pięć dzwoneczków, brązowy nóż o rękojeści z

kości słoniowej, igły, złoty kubek, żelazne haczyki na ryby i małą żelazną sztabkę -- by ich pień nabrał różnorodności. Na czubku przywiązuje pięć warkoczy martwych rywali, poniżej przymocowuje strzepy jedwabiu i lnu zdarte z ciał wrogów Krwawego Serca, by powiewały, i obciąża każdą warstwę kości i metalu kółkiem z wypalanej gliny.

Całe plemię zgromadziło się, by obserwować ceremonię na placu SzybkichCórek. Staje, zwrócony twarzą ku łagodnemu zboczowi zakończonemu plażą, na którą wyciągnięto okręty. Za nim stoją domy jego wujów i braci, wzniesione w długiej dolinie prowadzącej do fjallu. Po prawej ręce ma stodoły używane wspólnie przez całe plemię, a po lewej dom należący do StarejMatki, w całości wybudowany z kamienia i pokryty torfem. Drzwi są otwarte, ale nic nie widzi w czeluściach. Szybkie Córki stoją w półkolu przed domem StarejMatki. Skończyły długi taniec, którego rytm opowiada historię plemienia Rikin od zarania dziejów.

Pieśń odśpiewano, uznano jego zwycięstwo: Piąty Syn z Piątego Miotu stanie się wodzem plemienia Rikin.

Przywiązuje ostatnią wstążkę do swego sztandaru i wbija zaostrzony koniec drzewca w ziemię, by stał prosto. Podnosi z ziemi kamienną skrobaczkę i zeskrobuje nią resztki farby ze swej piersi -- farby znaczącej jego pokrewieństwo z Krwawym Sercem, który nie żyje. Palcami zanurzonymi w naczynkach z ochrą i niebieską barwiczką maluje na piersi nowy znak, swój znak: koło Z dwiema kreskami spotykającymi się w środku, dotykającymi krawędzi koła, by wskazywać wiatry: północny, zachodni, wschodni i południowy.

--Z tymi wiatrami popłyną moje okręty -- krzyczy. Wszyscy słuchają. Teraz są jego plemieniem, by ich ukształtował i użył jako broni. -- Z czterema wiatrami do odległych krańców świata, wszystkich ziem znanych MądrymMatkom.

Wśród żołnierzy podnosi się pomruk i kłękają, jednocześnie cierpliwi i pełni napięcia, które czyni ich świadomymi jego rządów. Przed nimi musi się jeszcze sprawdzić. Ale też nie rozumieją do końca -- jeszcze nie -- co naprawdę zamierza.

Krzeseł wódza -- tylko on był na tyle przewidujący, by je uratować z katastrofy w Gencie -- zostaje przyniesione i zasiada na nim.

--Niech każdy z was podejdzie i obnaży przede mną szyję.

Wyciąga pazury, a oni po kolei podchodzą. Najpierw żołnierze, którzy szli za nim nawet wtedy, gdy był w niełasce, pewni siebie, dumni, gotowi, by poddać się jego woli. Wierzą w jego siłę. Po nich podchodzą kolejni, niektórzy opornie, niektórzy zaciekawieni. Kilku z nich okazuje strach i tych zabija natychmiast. Ale plemię Rikin jest silne i niewielu z jego braci, wujów i kuzynów przetrwało kampanie Krwawego Serca, okazując słabość.

Hold żołnierzy zajmuje większość dnia, ale to mu nie przeszkadza; tej ceremonii nie należy przyspieszać.

Słońce zachodzi, oznajmiając noc dłuższą od poprzedniej; każda noc się wydłuża, każdy dzień skraca, zbliżając się do punktu równowagi, który Alain Henrisson zwie jesienną równonocą, a MądreMatki Smoczyca-Wystawiła-Grzbiet-Na-Słońce. Z brzegu słyszy chlupot fal poruszonych przez stworzenia z odmętów. Czyżby trytony przybyły popatrzeć? Czy przybyły podporządkować się jego rządóm?

Nie może jeszcze opuścić swego krzeseł. Musi przeprowadzić pewną transakcję.

--Gdzie jest kapłan? -- pyta, i kapłan przepycha się do przodu, mruczając, śpiewając i nucąc głosem podobnym muzyce fletni. -- Czy masz to, czego potrzebuję, kapłanie?

--Czy zabezpieczyłeś to, co mi najdroższe? -- odpowiada kapłan.

Uśmiecha się.

--Leży bezpiecznie w miejscu, w którym nigdy go nie znajdziesz, wuju. Czy masz to, czego zażądałem w zamian za jego bezpieczeństwo?

--Czyżbym nie musiał odbyć teraz wielu podróży? -- narzeka kapłan. -- Czyżbym nie musiał przebyć wielu groźnych ścieżek? Czy sądzisz, że łatwo nagnie się do mej władzy i przez to do twojej?

--Będę cierpliwy jeszcze przez jakiś czas -- odpowiada.

Na tyłach coś się porusza, SzybkieCórki gotują się do podejścia, do zaprowadzenia go przed krzesło StarejMatki. Ale jeszcze nie skończył. Daje znak i z cieni wychodzą jego niewolnicy, w szeregach, posłuszni jego życzeniom. Nie są zwierzętami jak reszta niewolników, a jednak członkowie plemienia mruczą z zaskoczeniem i niedowierzaniem.

--Co to znaczy? -- wołają niektóre SkalneDzieci. Inni zaś: -- Czy mamy iść za tym, który nosi koło Miękkich i pozwala tym niewolnikom kroczyć w swej armii niby czcigodnym wojownikom?

--Wyzwijcie mnie, jeśli chcecie -- powiada Piąty Syn miękko, by odczuli groźbę, ale wystarczająco głośno, by usłyszeli. -- Ale wyprzedzam was, bracia. Pokonałem mych wrogów i bez szwanku przeszedłem przez gniazdo MądrychMatek. Czy któryś z was może powiedzieć to samo? Wystąpcie i wyzwijcie mnie, jeśli się odważycie. -- Nie podnosi głosu ani nie wrzeszczy, jak zrobiłby to Krwawe Serce. Nie wstaje, by swą posturą rzucić wyzwanie. Nie musi.

Boją się go, ponieważ jest inny.

I nie są głupcami. Poczekają, ocenią go i będą podążać jego śladem tak długo, jak długo będzie kroczył ścieżkami zwycięstwa. Tylko słaby wódz musi się oglądać za siebie; mocny ogląda jedynie grunt przed sobą, ponieważ wie, że jego oddziały są wierne i chętnie biegną jego tropem.

--Podejdźcie wy, zrodzeni z ludzi, którzy mi służycie.

Idą z ociąganiem wśród błysku obsydianowych oszczepów i lśniących pazurów, ale idą, choć na wszystkich, prócz jednego, pada strach. Nie ma odwagi mu odmówić, a niektórzy nabrali tyle odwagi, by wysoko nosić głowy. Ich wódz i StaraMatka klękają przed nim, jak ich nauczył; widział tę formę posłuszeństwa w snach Alaina Henrissona.

Diakonisa Urszula, jak każda StaraMatka, nie lęka się go -- ona jedyna spośród tego plemienia. Podnosi oczy i napotyka jego wzrok.

--Zrobiłam to, o co prosiłeś i nie masz powodu, by być niezadowolony z mej służby. Co z naszą umową?

Odważne słowa pomiędzy tymi, którzy mogą jej w jednej chwili poderżnąć gardło. Obnaża zęby, by przypomnieć jej o swej władzy, ale ona posiada spokój, który towarzyszy osobom podążającym z bogami, nawet jeśli to tylko jej bóg z kółka, którego śladów nigdy nie widział na ziemi.

--Dobrze mi służyłaś. Tak cię nagrodzę: wszyscy niewolnicy z fiordu Rikin mogą opuścić szopy i zbudować domostwa, jak twój lud ma w zwyczaju. Mogą tak robić, dopóki we wszystkim innym podporządkują się woli swych panów. Jak długo służą naszym celom, mogą żyć, i jak długo ci, którzy nie mieszkają w szopach, zachowają spokój, mogą żyć. Jeśli nie będzie spokoju, sprawiedliwość nadejdzie szybko. -- Zwija pięść ku piersi, by obnażone pazury zalśniły przed nim, wąskie ostrza o zabójczej ostrości wrośnięte w jego ciało. -- Wątpisz w me słowa?

--Nie wątpię -- odpowiada poważnie. -- A co z drugą sprawą, o której rozmawialiśmy?

Druga sprawa. Chwilę mu zajmuje przypomnienie sobie, ale ona tego właśnie najbardziej pragnęła. Za tę jedną rzecz pozwoliłaby swym ludziom zostać w szopach. To, że dał jej obie, jest oznaką jego szczodrości, której nauczył się w snach: wodzowie i StareMatki ludzi używają darów, by zachować jedność plemienia.

--Własnymi rękami i takimi narzędziami, na jakie wam zezwolimy, kiedy będziecie mieć czas i o ile nie stanie to w konflikcie z zadaniami, które na was nałożą wasi panowie, możecie zbudować kościół dla waszego kolistego boga i czcić go tam.

Sklania głowę. W tym geście widzi poddanie i szacunek.

Ale nie jest całkowicie pewien, czy to poddanie jemu, jej panu czy też kolistemu bogowi, którego uznaje za Pana Stworzenia.

Nie obchodzi go to jednak tak długo, jak długo na ziemi służy jemu. Gdzie ona się uda po śmierci, to nie jego problem.

Wreszcie podchodzą SzybkieCórki. Ich włosy błyszczą w złotym słońcu popołudnia, srebrem księżycy i miedzią, cyną i żelazem żył ziemi. Żaden syn plemienia nie może wejść do domu StarejMatki bez jej zaproszenia, a zaprasza tylko tych synów, którzy przewodzą, rozmnażają się lub umierają.

Nadal może umrzeć. StaraMatka może go uznać za niegodnego. Ale wątpi w to.

Przekracza próg i wstępuje do domu StarejMatki, w ciemność gęstą od zapachu gleby i kamieni, korzeni i robaków, woni kości ziemi. Ziemia pod jego stopami zmienia się z klepiska w litą skałę, zmiana jest tak nagła, że w głowie mu wiruje i musi przystanąć, by się uspokoić. Wiatr wieje mu w twarz, drżąc jak wielki zwierz, i odnosi wrażenie, że w miejscu, w którym stoi, otwiera się przed nim wielka przestrzeń. Czuje, jakby stał na skraju olbrzymiej otchłani. Za nim, choć się nie odwracał, choć nie wyrosła mu za plecami żadna ściana, drzwi zniknęły. Stoi w całkowitej ciemności.

Nad sobą, to niemożliwe, widzi gwiazdy.

Poniżej, za nim też widzi gwiazdy, rozrzucone niby maleńkie ogniska, błyszczące, jasne, nieuchwytnie.

--Kim jesteś, Piąty Synu z Piątego Miotu? -- Nie widzi StarejMatki, ale czuje jej suchy oddech na swych ustach, czuje jej ciężar, który czyni ją wspaniałą, który ukazuje ją jako dziecko ziemi. -- Jakim imieniem mamy cię zwać, gdy tańczymy miarę naszego plemienia? Kiedy śpiewamy o tyciu trawy umierającej każdej zimy i życiu otchłani, która jest wieczna?

Dawno temu, miesiące temu według ludzkiej miary czasu, spotkał najmłodszą MądrąMatkę na drodze do fjallu. Tam do niego przemówiła: „Niech cię prowadzi to, co pierwsze objawi się twym oczom”.

Wtedy wierzył, że chodziło jej o pogrzeb w dolinie, ponieważ to było pierwsze zdarzenie, jakie ujrzał po spotkaniu z nią. Ale śni i w snach słucha, jak Alain Henrisson opowiada o jego snach. Niby węże namalowane na tarczach żołnierzy, on i Alain są związani, spleceni ze sobą, bez końca i bez początku.

We śnie usłyszał Alaina mówiącego:

--To wcale nie był pogrzeb. To była jego ręka.

Jego własna ręka.

Krwawe Serce nie ufał swej sile ani przebiegłości. W słabości szukał pomocy magii. Ale

magię się kupuje i nigdy nie jest czymś, co naprawdę posiadasz: taką lekcję dał mu ojciec. Wie, że nie należy polegać na magii.

Może polegać jedynie na sobie, na własnej sile, własnej przebiegłości.

Obnaża zęby, co Miękczy nazywają uśmiechem. Podnosi rękę, którą złożył ofiarę na dłoni najmłodszej MądrejMatki. Nie widzi jej, trzymając tuż przed twarzą; tak ciemno tu jest. Ale nie wątpi, że StaraMatka widzi, ponieważ jej wzrok nie przypomina wzroku jej dzieci.

--Nazywajcie mnie takim imieniem: Silna Ręka.

Słyszysz poruszenie na skale, ciężkie jak jęk ziemi pod ciężarem gór.

--Niech tak będzie. Niech MądreMatki o tym mówią i niech twe imię poznają we wszystkich fjallach.

--I dalej -- mruczy. -- Niech je poznają w czterech stronach świata.

Jej odpowiedź jest ostra jak nóż, który nosi:

--Ich głos niesie się dalej, niż ty możesz się udać, synu. Idź. Silna Ręka wzniesie się lub upadnie dzięki własnym wysiłkom.

Odprawiła go.

Tam, gdzie skała zmienia się w klepisko, staje, mrugając, gdy nagle pojawiają się drzwi. Wpada wystarczająco dużo światła, by spojrzeć przez ramię. Izba za nim, sala z kamienia i torfu, jest pusta. Nie widzi ciężkiego krzesła, ni śladu StarejMatki, tylko ubity piach, mroczne kąty i szorstkość kamiennych ścian.

Na klepisku nie ma ani śladu jego stóp.

Alain obudził się o świcie. W oddali usłyszał śpiew na laudę, i kiedy leżał na łóżku, z jedną ręką wyciągniętą na chłodnym miejscu, w którym zeszłej nocy nie było Tallii, głosy wyśpiewujące laudę ucichły i rozpoczęły prymę na wschód słońca. Czy Tallia z nimi śpiewała? Nie potrafił rozróżnić jej głosu. Nie było jej jednak w izbie.

Podniósł się z łóżka i wyszedł, zastając Lavastine'a na nogach. Godfryd, z zapuchniętymi oczami, wydawał rozkazy zbrojnym i służącym. Lavastine rozmawiał z leśniczymi sprowadzonymi z ziem pod zarządkiem klasztoru i podniósł wzrok.

--Obudziłeś się, Alainie. Wychodzimy. Nie mogła tak po prostu zniknąć.

Znów wyszli, szeregi mężczyzn przeczesujących poszycie i chodzących luźnymi grupami, by obejrzeć każdy splacheć ziemi przy klasztorze. Alain był wyczerpany; potykał się o kłody i wystające korzenie, widział sterty liści przypominające kształtem leżącego psa, które rozsypywały się na wszystkie strony, gdy je przekopywał.

Do południa nie znaleźli ani śladu Radości.

Lavastine zwołał ich na posiłek, ale Alain nie mógł się poddać, jeszcze nie. Został z garstką służących, Smutkiem i Furią. Wrócili na pole, na którym gęsi podniosły alarm i spróbował znów iść tropem Radości do lasu. Psy wcale mu nie pomagały. Szczekały na każdą wiewiórkę i ptaka na swej drodze, polykały chrząszcze i kopały dziury.

Wreszcie po południu zlitował się nad swymi wyczerpanymi służącymi i podreptali z powrotem do hostelu. Był potwornie wyczerpany, pewnie bardziej bólem serca niż fizycznym zmęczeniem. Co Radość połknęła wczoraj na polu? Dlaczego tak uciekła? Dlaczego nie wróciła?

Smutek i Furia poszły za nim do komnaty Lavastine'a. Dwaj służący kucali na korytarzu, ale poderwali się natychmiast, widząc Alaina, i wpuścili go do środka. Został Lavastine'a

śpiącego na łóżku w niewielkiej komnacie. Okienne były otwarte, wpuszczając światło i powietrze. Blask słoneczny kładł się kwadratową plamą w nogach łóżka i nadawał prześcieradłu dwa tony. Głowa Lavastine'a spoczywała w cieniu; jego piaskowe włosy poznaczone były pasmami siwizny. Miał zamknięte oczy i oddychał równo, a Groza, Wiarus i Strach, wierni towarzysze, leżeli wokół na kamiennej podłodze. Groza chrapała głęboko, rozciągnięta na boku, Wiarus zaś drzemał z głową złożoną na łapach. Strach czuwał.

Alain usiadł na łóżku. Pod wpływem impulsu pochylił się, by odgarnąć Lavastine'owi włosy z oczu. Słońce, wiatr i wiek odbiły się na hrabim, niszcząc jego twarz i dłonie; w kącikach oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki, kurze łapki, ale poza tym jego twarz pozostała gładka. Lavastine był człowiekiem, który oszczędnie gospodarował uśmiechami i grymasami, więc na jego twarzy nie było ich oznak.

Nie był potężnym mężczyzną jak księżę Sanglant, ale choć szczupły i niezbyt wysoki, był silny potęgą swego umysłu i woli. Był człowiekiem, jak inni, ale lepszym od wielu: spokojnym, praktycznym, opanowanym, rozważnym i surowym. Nie stworzono go do silnych emocji, po których nazwał swe psy, ale raczej do codziennej pracy.

Alain uśmiechnął się lekko, odpędzając muchę. Nie był jeszcze stary, był młodszy od króla, ale już przeżył swą młodość. Może niedługo będzie dziadkiem.

Alain zaczerwienił się, rozgrzany na twarzy i ciele. Tylko kobiety i mężowie Kościoła byli czyści jak aniołowie. W ten sposób czynili z siebie naczynia, których czystość miała ich przybliżyć do niepokalanego Boskiego światła.

Ale Bóg stworzył pożądanie, by ród ludzki rozwijał się i kwitł. Bo czyż Pan i Pani nie poczęli razem Świętego Słowa, łącząc się w przystojnym stosunku? Czyż Ziemia i cały kosmos nie były ich dziełem? Czy to źle, że zachwycił się światem? Że myślał o Tallii i ich połączeniu w małżeńskiej łóżnicy? O uczynieniu Lavastine'a dziadkiem? Dla Lavastine'a wnuk, dziedzic jego dziedzica, byłby najbardziej pożądanym triumfem. Alain zamierzał mu go dać.

Smutek u jego kolan zaskomlał. Wyciągnął rękę i poklepał psa, a ten złożył swój wielki łeb na jego kolanie. Przypomnił mu nagle i oszalamiająco o małej Agnes, najmłodszej córce Bel, która, będąc małą dziewczynką, miała zwyczaj owijać się wokół nogi Alaina, szukając wygody w zimowe wieczory. Jak się miewała ciotka Bel? Czy Henri w ogóle o nim myślał? Czy nadal go nienawidził?

Nawet teraz wspomnienie ostatniego spotkania z Henrim było tak bolesne, że Alain nie mógł myśleć o nim dłużej niż przez chwilę. Oskarżyć Alaina o kłamstwo dla własnej, samolubnej korzyści! Równie dobrze mógłby go dźgnąć prosto w serce.

Groza zamruczała przez sen. Furia szczeękła i oparła łapy na parapecie, i, niby szpony sług Nieprzyjaciela grzebiących w skłopotanym sercu w poszukiwaniu słabości, przeszył go dreszcz, nagle, zimne drgawki.

Coś zaszeleściło w krzewie za oknem.

Skoczył do okna i wyjrzał, wychylając się. Smutek podniósł się i podążył za nim. Żaden z psów nie szczeękął. Groza i Wiarus spały. Lavastine zadrzał, zachrapał i przewrócił się na bok.

To był tylko ptak, nakrapiany kos, który zrugął Alaina za przeszkadzanie, nim odleciał z jagodą w dziobku. Ale Alain nie mógł opanować drżenia.

Co to była za klątwa brata z gniazda? Piąty Syn mówił o niej we śnie, kapłan zaś śpiewał o skierowaniu jej na kogo innego: „Niech ta klątwa spadnie na tego, którego ręka prowadziła

ostrze, które przeszło mu serce". Strzala Liath zabiła Krwawe Serce. Ale Lavastine dowodził armią, w której była Liath.

Alain ukląkł przy otwartym oknie i skłonił głowę, opierając ją na złożonych dłoniach. Groza chrapała spokojnie na podłodze, a Lavastine w łóżku. Wiarus i Groza zaległy przy drzwiach z pyskami na łapach i zamkniętymi ślepiami. Smutek i Furia dotrzymywały mu towarzystwa, gdy się modlił.

Wiatr szumiał w liściach na zewnątrz. Usłyszał śmiech kobiety. W oddali brzmiał młot kowalski, a jeszcze dalej zagrał róg. Na jego piersi róża Pani mrowiła niby echo uderzeń młota, uderzeń jego serca.

Przecież to była jedynie pogańska klątwa. Bóg byli silniejsi od magii Eików, prawda? Jeśli będzie się modlił z czystym sercem, na pewno Bóg zachowają jego ojca.

5.

Alain obudził się nagle, przestraszony przez kosa, który wrócił po kolejną jagodę. Bolał go kark i uświadomił sobie, że zasnął tam, gdzie klęczał, opierając głowę i ręce o parapet.

Wstał, przeciągając się. Smutek patrzył na niego. Furia podreptała do drzwi i spojrziała wyczekująco. Lavastine nadal spał, a on nie chciał mu przeszkadzać.

Cicho otworzył drzwi -- na szczęście służący przeoryszy dobrze naoliwili mechanizm zamka -- i wyszedł z Furią i Smutkiem. Kiedy wślizgnął się do swej komnaty, ujrzał, że Tallia cudem wróciła. Zasnęła oparta o łóżko, z głową złożoną na zaciśniętych pięściach. Podobnie jak on, zasnęła podczas modlitwy.

Delikatnie uniósł ją na łóżku i tak położył, aby odpoczywała wygodnie. Nie obudziła się, tylko zamamrotała, zadrzała i westchnęła. Położył się obok, opierając się na łokciu i układając głowę na dłoni. Ponieważ drzemał, ponieważ pół nocy szukał Radości, był teraz zbyt zmęczony, by nie zasnąć, ale zbyt rozbudzony, by spać. Była tak blada jak najlepszy len. Jej wargi miały subtelną różową barwę, delikatną jak pączki różane. Drewniany kubek dotykał tych warg. Czy był gorszy od zwykłego kubka? Na pewno miał takie samo prawo -- prawo wzajemnej obietnicy, przysięgi, którą miała spełnić para małżeńska.

Pochylił się nad nią, poczuł jej oddech niby lekkie dotknięcie na policzku. Na pewno musiała czuć ukłucia pożądania. Jak wszyscy ludzie na ziemi, nie była z kamienia. Musiał w niej płonąć podobny ogień.

Przesunął ustami nad jej wargami. Poruszyła się lekko, jak po pocałunku motyla, i w tym lekkim ruchu przywarła do niego biodrem. Tylko ten dotyk, jej ciało pod grubym materiałem długiej tuniki, załamanie łóżka pod ich ciężarem, które zdawało się przyciągać ich do siebie, zaślepily go. Nie widział, jedynie czuł. Te wszystkie dni i godziny oczekiwania, nocne poszukiwanie zaginionego psa, kompletne zniknięcie wszystkich uczuć prócz pragnienia zupełnie go pochłonęły.

Przycisnął się do niej, pogładził jej podbródek, pochylił się, by znów ją pocałować, poczuć ten dotyk, zachęcające wygięcie ust.

Otworzyła oczy i zaskomlała ze strachu.

Odskokzył.

--Całą noc modliłam się o znak -- wyszeptala -- by Bóg przy mojej pomocy odsłonił przed przeoryszą prawdę o Odkupieniu. I Bóg mi odpowiedział. Chcesz teraz splugawić to, co zostało uświęcone dotykiem Boga?

Otworzyła dłonie. Znow zaczęły krwawić.

Odskokzył. Nie był świadom tego, co robi, ale wybiegł z Furią i Smutkiem, a w głowie miał mętlik, jakby szalało tam stado much. Dopadł lasu i nadal biegł, przedzierając się przez chaszczę bez celu, bez powodu.

Po prostu nie mógł już tego znieść. Nie mógł być cierpliwy. Czy to była jego czy jej wina? Czy to miało znaczenie? Nie mógł o niej myśleć, nawet o jej zakrwawionych dłoniach, nie czując gorącej fali podniecenia. Nigdy przed nim nie ucieknie i dlaczego miałby uciekać? Czy kobiety i mężczyźni nie uczestniczyli w boskim akcie kreacji, płodząc swe dzieci?

Złapał się drzewa, oparł o nie, ale atak nie ustępował. Było mu gorąco, pocił się, płonął. Nie mógł już dłużej tego znieść. Wróci i zmusi ją do uległości. O Boże, ale to zniszczyłoby zaufanie, jakiego do niego nabrała.

Zaczął płakać z frustracji, a jego ciało przywarło do drzewa, ocierając się o nie biodrami, jakby chciał się z nim kochać. Oszolomiony szarpnął się w tył.

Na skraju łąki ujrzał gęstwę głogu i pokrzyw.

Rozebrał się, odrzucił tunikę i nogawice i rzucił się na ciernie oraz parzące liście. Smutek i Furia zaczęły czekać, ale nie poszły za nim. Tarzał się, dopóki skóra nie zaczęła mu krwawić, a całego ciała nie pokryły bąble. Dopiero wtedy wyczołgał się na kolanach.

Na liściach, na chłodnej leśnej ściółce, zgiął się wpół wstrząsany szlochem i bólem. Furia i Smutek otoczyły go, chcąc mu ulżyć, zaczęły lizać jego ciało, ale wszystko tak paliło, zadrapania bolały niczym uderzenia batem, że ich wysiłki nie przyniosły rezultatu.

Myślał jednak o Tallii ze spokojnym sercem.

Dużo później naciągnął tunikę, ale nie mógł się zmusić, by przykryć zaognione nogi nogawicami. Każde poruszenie tuniki na ramionach, gdy szedł przez las, przynosiło nowy ból. Jednak mógł myśleć o Tallii ze spokojnym sercem.

Na szczęście Lavastine nic nie powiedział, kiedy Alain wyjąkał wyjaśnienie o wyprawie do lasu na poszukiwanie Radości i że wydawało mu się, iż ujrzał psa w zagonie pokrzyw. Stara zakonnica przyszła z klasztoru, by nasmarować mu skórę łagodzącą maścią i cały czas kląskala językiem. Ale nawet ona nie zapytała, jak kompletnie ubrany mężczyzna mógł się dorobić bąbli i zadrapań na całym ciele.

Radość nie wróciła tego wieczoru i Lavastine wreszcie oznajmił, że będą podróżować dalej. Rankiem hrabia złożył w kaplicy wotum ze srebrnego talerza. Alain klęczał obok niego i został pobłogosławiony przez przeoryszę, która odśpiewała nabożeństwo przed rzeźbionym drewnianym ołtarzem, unoszonym przez wierne psy. Talia modliła się obok, a on, ze skórą piekącą i bolącą, mógł się spokojnie uśmiechać i cicho mówić. Pożądanie go zatrulo, ale ból go oczyścił.

Kiedy wyruszyli, obok nich szło pięć psów, a on w sercu niósł cień szóstego.

6.

--Dlaczego nazywasz je gwiazdami nieruchomymi -- zapytał Sanglant -- skoro się wciąż poruszają? Wstają jak słońce i zachodzą jak słońce. W zimie na niebie świecą inne gwiazdy niż w lecie, na wiosnę czy jesienią. Muszą się ruszać, bo inaczej cały czas oglądalibyśmy te same.

--Nazywamy je gwiazdami nieruchomymi, ponieważ nie poruszają się względem siebie. Planety nazywamy gwiazdami wędrującymi, ponieważ poruszają się wśród gwiazd stałych po ekliptyce, po drodze wśród gwiazd, którą nazywamy również ziemskim smokiem spinającym niebiosa. Albo zodiakiem, bo to krąg żywych zwierząt przeniesionych w niebiosa.

Sanglant lubił dotykać. Teraz otaczał ramieniem jej barki, a ona uwielbiała jego ciężar i ciepło. Po tym, jak uwiązał konie na noc, szukał jej i znalazł tam, gdzie odeszła, by przećwiczyć kilka sztuczek, których nauczyła ją Anne, pozwalających kontrolować przywoływany ogień. Królowa stała w zenicie, otoczona swym Pucharem, Berłem i Mieczem. Lew zachodził, Smok podążał za nim, Wąż zaś wił się w złowieszczych splotach poprzez południowy horyzont; Łuczniczka wznosiła się z gotowym do strzału łukiem. Spośród planet widać było jedynie Mok, przemierzającą Lwa i kierującą się ku Smokowi, do którego dotrze -- jak obliczała Liath -- za około dwa miesiące.

Kilka godzin temu minęli mały klasztor, jednak nie zatrzymali się tam na nocleg. Jak zwykle znaleźli bardziej odizolowane miejsce. Za nimi, na skraju lasu, stało stare schronisko, zbudowane z cegieł na modłę dariyańską. Podupadło nie reperowane, ale kamienne ściany były nadal mocne i została jeszcze połowa dachu. Drzwi były otwarte, ponieważ zbyt się wypaczyły, by można było je zamknąć. W środku paliło się pojedyncze światło, magiczna lampa siostry Anne, która teraz modliła się lub medytowała.

Nawet po dwunastu dniach podróży nazywanie jej „matką” nie przychodziło Liath z łatwością.

--Wobec tego, jeśli gwiazdy są nieruchome, to jak się ruszają? -- zapytał Sanglant ze śmiechem.

--To przypomina obracające się koło. Spójrz. -- Uniosła dłoń, ułożoną na kształt kopuły, knykiami na wierzch. Nie widział dobrze w bezksiężycowe noce, ale miał swój własny sposób patrzenia: odkrywał wszystko dotykiem dłoni, co bardzo rozpraszało uwagę.

Po chwili przypomniał sobie, że zadał jej pytanie. Od pewnego czasu leżeli.

--Co przypomina obracające się koło?

--Niebiosa. -- Trzymał ramię pod jej karkiem i musiała się poruszyć, by ułożyć się wygodnie. -- Wyobraź sobie koło z wieloma przyczepionymi do niego iskrami. Teraz uczyn z koła kopułę i połącz ją z drugą kopułą, by się stała sferą. Te iskiery przymocowane są po wewnętrznej stronie sfery, więc się nie ruszają, ale kiedy sfera się porusza, jeśli obraca się jednostajnym, kolistym ruchem, to stojąc w jej centrum, stwierdzisz, że iskry się ruszają, bo sfera się rusza.

--A na czym stoisz w centrum swojej sfery? -- Nadal wydawał się rozbawiony. Był co prawda, jak się przekonała, ciekawy, ale też sceptyczny i szybko się nudził, co ją niekiedy irytowało.

--Stoisz na ziemi, oczywiście! Wszechświat to komplet złożonych sfer, spoczywających jedna w drugiej, a ziemia stanowi ich centrum. Za siódmą sferą, która jest sferą gwiazd stałych, leży Komnata Światła, dokąd po śmierci udają się nasze dusze.

--Czy jakiś zwiadowca przeszedł przez te sfery i wrócił, by zdać raport?

Z ciemności rozległ się głos Anne, chłodny, ale jednak nieco rozbawiony:

--Błóżniercza myśl.

Liath natychmiast usiadła i odsunęła się nieco od męża.

Męża! To słowo wciąż ją oszalało.

Jednakże niekiedy obecność Anne sprawiała, że czuła się nieczysta z powodu fizycznych pragnień, jakie obudził w niej Sanglant. Podróżowanie tuż po ślubie z kobietą, która uważała, że należy być czystym jak anioł, frustrowało, niekiedy tak bardzo, że Liath rozważała heretyckie idee. Bóg byli kobietą i mężczyzną. Może anioły też i jeśli tak, to skąd brały się małe anielątka? Jeśli Bóg połączyli się w harmonii, by stworzyć wszechświat, to dlaczego anioły też nie miałyby się łączyć? W takim wypadku ludzie nie powinni się tego wstydić.

Ojca by zapytała. Ale nie miała odwagi użyć tego argumentu przy matce.

Sanglant wstał, żeby okazać szacunek.

--Twoja wiedza jest olbrzymia i imponująca -- powiedział lekko. Anne nie zawstydzała go.
-- Ale dla mnie nie ma sensu.

--I nie powinna mieć. Masz swoje miejsce, książę Sanglancie, jak my swoje. Musisz wiedzieć jedynie, że Bóg stworzyli wszechświat, w którym się znajdujemy. Odkryją przed tobą to, co chcą, byś wiedział. Liathano. -- Odwróciła się od niego. -- Chodź do środka.

Liath się zawahała.

--Idź -- powiedział cicho Sanglant. -- Muszę się zająć psem.

Kamienna chata miała mozaikową podłogę z rzecznych kamyków ułożonych w taki sposób, by tworzyły obraz przepiórek wyjadających ziarno wśród ostów. Magiczne światło sphywało na podłogę, która była dziurawa, stara i w miejscu, gdzie nie zakrywał jej już dach, popękana i niszcząca. Anne siedziała na płóciennym taboreciku. Na kamiennym palenisku, świeżo wymiecionym, płonął ogień, a w kociołku bulgotał gulasz pachnący tak smacznie, że Liath ślinka napłynęła do ust. Pod jedną ścianą zamajaczył bezcielesny kształt, wysunął się przez drzwi niby zaprzeczenie cienia i zniknął w nocy. Anne zmarszczyła brwi.

--Boją się mnie -- wykrztusiła Liath, choć nie miała takiego zamiaru. Ale była to prawda.

Anne patrzyła na nią spokojnie.

--Czas zjeść wieczerzę.

Były tylko dwie miski. Liath posłusznie nałożyła gulasz dla Anne, po czym nabrała dla siebie i usiadła na kupce cegieł, służących jako ława. Podmuchała na jedzenie, by je ostudzić. Miało wspaniały zapach królika, porów i ziół. Jadły w ciszy, jak zawsze. Brakowało tylko siostry czytającej Święte Wersy, by zapanowała atmosfera zupełnie jak w klasztorze.

Kiedy skończyła, podeszła do saganka, aby nałożyć porcję dla Sanglanta.

--Nie, dziecko -- rzekła Anne cicho. -- Najpierw porozmawiamy. Potem możesz mu zanieść kolację.

Zirytowana Liath odstawiła miskę i łyżkę na palenisko, by zachowały ciepło i usiadła na ceglanej ławce. Nauczyła się ostrożności. Anne w niczym nie przypominała taty. Wydawała się raczej siłą niż osobą, jak dłoń Boga sięgająca poniżej księżyca, by dotknąć dusz śmiertelnych. Z dłonią Boga nie rozmawiało się bezczelnie.

--Twoje wykształcenie w podstawowej wiedzy potrzebnej matematykowi jest solidne. Jestem zadowolona z odpowiedzi, jakich udzieliłaś mi podczas minionych wieczorów.

--Powiedziałaś, że odpowiesz na me pytania, gdy skończysz. Czy mogę je teraz zadać?

Ogień płonął tak równo, że Liath wiedziała, iż jego płomień pochodził z nienaturalnego źródła. Na kamiennym palenisku leżały dwie głownie, ale choć ogień lizał je i wiał się wzdłuż ich boków, nie spalały się. Czy w otchłani ognia mrugały oczy salamander? Wśród płomieni mrugały i błyskały błękitne iskierki.

--Możesz.

Liath podskoczyła, uświadamiając sobie nagle, że gapiała się w ogień jak wariatka.

--Jak mnie znalazłaś?

--Zakłęcie, pod którym ukrył cię Bernard, znikало stopniowo od jego śmierci, tak jak ta chatka i wielka sieć dróg, miast i hosteli przydrożnych zbudowanych za panowania wielkich dariyańskich cesarzowych rozpadła się z upływem czasu i dlatego, że nikt nie dba o nie każdego dnia czy miesiąca, jak należy. Aż do tamtej chwili byłaś przede mną ukryta.

--Po śmierci taty słyszałam czasami głos wzywający moje imię, ale nigdy nikogo nie widziałam. Czy to byłaś ty?

--Czasami, w smutku, wypowiadałam twoje imię. Mogłaś mnie słyszeć. Więż między nami jest głęboka i nigdy nie mogła zostać całkowicie zniszczona.

--Ale jeśli tato wiedział, że mogłaś nas szukać, dlaczego nas ukrył? Sądził, że nie żyjesz!

--Jeśli sądził, że nie żyłam, nie mógł uwierzyć, że cię szukam.

--A co ze stworem, który zabił tatę? Co z demonem, którego widziałam, i zjawami, które ściagały mnie na drodze?

Magiczne światło wyostrzyło się, jakby odbijało myśli Anne. Przez drzwi wpadła ćma i zatańczyła pod sufitem, próbując dostać się do światła.

--Musisz opowiedzieć mi dokładnie i ze szczegółami o każdym z tych wydarzeń.

Opowiedziała o głosie jak dzwony, śmierci taty i białym piórze. O swym spotkaniu z demonem na Osterwaldweg i szklanym piórze, które zostawił na drodze, i o tym, jak siedziała nieruchomo i przeszedł obok, nie zauważając jej. O stworach, które zmierzch uformował z cienia, ścigających ją na drodze niedaleko Bretwaldu i o tym jak ukryła się w kamiennym kręgu.

--Jak im uciekłaś?

Słowa tkwiły jej w gardle jak kamienie. Wreszcie rzekła:

--Ujrzałam sowę. -- Nie potrafiła pozbyć się nawyku ostrożności. Nie wspomniała złotego pióra, które dał jej czarownik Aoi.

Kamienny krąg i sowa. To wszystko.

Anne patrzyła na nią beznamiętnie.

--Sowy często widuje się w nocy. Takich stworów, jak opisałaś, nie zatrzymałby zwykły kamień.

--O... one mnie nie widziały -- wyjąkała. -- Minęły mnie. -- Groza znów ją ogarnęła i następne słowa były ochryple, bo przynajmniej one nie były półprawdami. -- Na drodze byli inni podróżni. Odarli ich do kości, ale zostawiły odzież i broń nietknięte. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Nie wiedziałam nawet, że podobne stwory istnieją ani jak się zwa.

--Słudzy nieprzyjaciela chodzą po ziemi w wielu przebraniach -- odparła Anne ze zwykłym spokojem. -- Ale są pewne znaki i omeny... Pewne zakłócenia dotyczą materii wszechświata, boskiej kreacji, a kiedy to się zdarza, otwiera się brama niby dziura w materiale. Stworzenia,

które kiedyś zamknięte były na innej płaszczyźnie egzystencji, mogą ją przekroczyć. -- Jej czoło się zmarszczyło i przybrała surowy wyraz twarzy, którym Pani obdarzyłaby apostatę. -- Albo zostać przywołane.

--Sądziłam, że demony wzywane są ze sfery pod księżycem.

--Może tak być. Każdą sferę zamieszkuje osobny rodzaj demonów. Te w najniższej sferze są najsłabsze, a w wyższych sferach rośnie ich moc i wygląd. Jednak oprócz tego są inne mosty, inne światy egzystujące obok naszego, nawet inne formy egzystencji we wszechświecie, których w pełni nie rozumiemy.

--Tyle wiesz. -- Łatwość, z jaką Anne o tym mówiła, pociągała ją w dwojaki sposób: zachwycała się jej wiedzą i odczuwała gwałtowną ciekawość, ponieważ sama chciała zrozumieć świat naturalny, od kamieni i skał poczynając, aż po najwyższą sferę.

--Wiele wiedzy się zagubiło. Jest jak ta ziemia, przez którą podróżujemy. Idziemy drogami wybrukowanymi dawno temu przez starożytnych Dariyan, których kupcy, żołnierze i rządcy podróżowali szybko i daleko. Jak nisko upadliśmy!

--Ale oni byli poganami.

--I dlatego upadli. Wszyscy jesteście jednak skażeni. Nie może być inaczej, dopóki żyjemy na ziemi, której najbardziej dotyka dłoń Nieprzyjaciela. Mimo wszystko, posiadali wielką wiedzę, która jest dla nas teraz stracona, tak jak pozwoliliśmy ich wielkim dziełom, budynkom i drogom popaść w ruinę i zapomnienie.

Z mozaikowej podłogi mrugało na Liath oko przepiórki, jasno wypolerowany agat. Brakowało jej dzioba, reszta ptaka pozostała nietknięta, otoczona wzorami trawy i kaczeńców. Realizm tej sceny oczarował ją. Prawie mogła usłyszeć ptaki szeleszczące w ostach, szukające ziaren i owadów. Wiatr szumiał na dachu i podniosła głowę, by spojrzeć na dwie belki, które wciąż wisiały nad izbą.

To, że po setkach lat taka niewielka konstrukcja nadal stała, było oczywiście zadziwiające, ale starożytni Dariyanie podobno używali magii w swym budownictwie. Teraz ruch na drogach był niewielki i z doświadczenia wiedziała, że najlepsze, na co mógł liczyć wędrowiec w deszczową noc, było znalezienie wioski i miejsca w stajni albo, jeśli miał szczęście, skromnego zakonnego hostelu. Dumniejsze zakony i klasztory z oporami przyjmowały zwykłych podróżnych, a tato nie znosił być w centrum uwagi.

--„Mój język jest piórem szybkiego pisarza” -- ciągnęła Anne. -- Pozwól, że opowiem ci historię. Dawno temu, niedługo po tym, jak król Taille z Salii -- ten, który dzięki łasce bożej został cesarzem Tailleferem -- doszedł do korony i władzy, jego błogosławiona matka Bertrada przyprowadziła do niego kobietę z rodu szlacheckiego i rzekła, iż widziała we śnie, że powinni się pobrać. Kobieta miała na imię Desideria, była córką króla Desideriusa i królowej Desiderii z Lobardii, gdzie mieli zwyczaj nazywać wszystkich z rodziny panującej tym samym imieniem, by moc imienia nie wyszła poza ród. Powiadano też, że żenili braci z siostrami, ale kroniki dworu Taillefera mogły chcieć spotwarzyć to plemię z powodu wielkich kłopotów, jakich przysporzyło Tailleferowi. Jednak to, co jest ważne dla mej opowieści, to fakt, że ta szlachcianka, Desideria, znana była jako haruspeksa, których sztuki są przekleństwem dla ludzkości. Przepowiadała przyszłość za pomocą ofiar i luster i użyła pewnych swych sztuk, by zaczarować królową wdowę Bertradę, aby ta się za nią wstawiła, gdyż Desideria ujrzała w zakazanych wróżbach, że król Taille stanie się cesarzem Tailleferem, największym władcą znanym ludzkości.

W tamtych czasach w Salii, gdzie dawne zwyczaje wciąż kwitły, kobiety nie mogły rządzić wielkimi domami. Jednak mimo tych pogańskich praktyk mężczyźni wciąż rozumieli, jaki szacunek winni są matkom, więc Taille postąpił wedle życzeń matki i poślubił tę kobietę, która stała się królową, jak tego pragnęła. Ale w ciągu roku król Taille zorientował się, jakich straszliwych czarów użyła, by osiągnąć cel. Odprawił ją i odesłał do jej rodu. Kiedy tylko odeszła, poślubił księżniczkę z Varingii.

--Czy to była święta Radegundis?

--Nie. To była jego druga żona, nazywana Hiltrude, która pod wszelkimi względami była najszlachetniejszą kobietą. A Desideria była wściekła z powodu swego upokorzenia i taką oto zemstę uknuła. Kiedy urodziło się pierwsze dziecko Hiltrude, szybko zmarło od gorączki, a drugie dziecko również cierpiało straszliwe męki, zesłane przez sługi Nieprzyjaciela, które sprawiły, że stało się czerwone i przez pięć dni bez ustanku zawodziło, nim Bóg się nad nim zlitował i zabrali jego duszę do Komnaty Światła. To były jedyne dzieci płci męskiej z prawego łoża, jakie urodziła Hiltrude. Następnie w akcie zemsty za utraconych potomków, król najechał Lobardian i ich pokonał.

--Ale królowa Hiltrude urodziła mu ślubne córki, prawda? -- sprzeciwiła się Liath. -- Każda z nich na pewno mogła włączyć po śmierci Taillefera, ponieważ Salianie uznawali panujące królowe jak każdy cywilizowany lud.

--Czy powiedziałam, że to były jedyne ślubne dzieci płci męskiej, jakie miał Taillefer? Nie, słuchaj mej opowieści i zrozumiesz, jak daleko poniosła Desiderię jej furia. Później Hiltrude rzeczywiście urodziła trzy córki, Tallię, Gundarę i Berthildę. Z nich wszystkich Tallia była klejnotem domu Taillefera. Ponieważ nie chciał się z nią rozstać, ustanowił ją biskupiną Autunu, miasta, które najczęściej odwiedzał i w którym wybudował wielką kaplicę, która stoi po dziś dzień. Kiedy upadła forteca króla Desideriusa, Desideria uciekła z pożogi w przebraniu skromnej diakonisy. Potem ta zła kobieta dotarła na dwór, by pomścić niesławę i zniszczenie swej rodziny. Ale Tallia była tak sprytna i błogosławiona, że rozpoznała Desiderię, choć nigdy wcześniej jej nie widziała. Desideria uciekła do klasztoru i tam się ukryła, a potem do króla dotarła wieść, że zachorowała i umarła. Niedługo potem po wyniszczającej chorobie umarła królowa Hiltrude, a król poślubił kobietę z dobrego domu, zwaną Madalgardą. Była niestety bezpłodna i choć król darzył ją uczuciem, błagała go, by oddał ją do klasztoru, gdyż Bóg najwyraźniej przeznaczył jej życie *monachy*, jak wtedy zwano mniszki. Potem wziął sobie konkubinę, której imię się nie zachowało i która urodziła mu nieślubnego syna, a ten później rościł sobie prawo do tronu i został za tę śmiałość zabity, a potem poślubił svalabijską księżniczkę Farradę. -- Anne urwała, by wziąć łyk jabłeczniaka. Nie wyglądała ani trochę gorzej po dwunastu dniach w drodze, zupełnie jak szlachcianka z królewskiego rodu, która weszła do izby w Werlidzie, gdzie Liath ją po raz pierwszy ujrzała. -- Ale pomińmy tę część jego życia, kiedy został cesarzem, ponieważ nie ma znaczenia dla tego, co mam zamiar przekazać ci jako przestrożę. -- Odchrząknęła, zastanowiła się i kontynuowała. -- Cesarz wezwał na dwór uczone kapłanki i kapłanów, by zajęli się edukacją jego i dzieci. Z tych dzieci Tallia była najcenniejszym skarbem. Przodowała we wszystkich naukach, a szczególnie przykładała się do studiów nad matematyką. Korzystając z tej wiedzy, z najwyższą starannością wytyczała drogi gwiazd, aż w młodym wieku wiedziała tyle, co jej nauczyciele. W tym czasie pewna diakonisa przybyła na dwór, twierdząc, że zna najstaranniej skrywane sekrety magii. Księżniczka Tallia

gorliwie się z nią uczyła, nie minął jednak rok, jak młódka ciężko zachorowała. W tym czasie jej dworką była młoda niewolnica imieniem Klotylda, tak mądra jak księżniczka, choć pochodziła z niskiego rodu. Klotylda poszła do cesarza i błagała go, by odprawił diakonisę, ponieważ skaza zła przywarła do tej kobiety niby smród kloaki. Odesłano ją i w ten sposób ocalono życie Tallii i stała się, jak mówiłam wcześniej, biskupiną Autunu. Tam nadal studiowała sztuki matematyków i tam, wraz z towarzyszkami, odkrywała niezliczone tajemnice niebios.

Ale dzięki swym zdolnościom narobiła sobie wrogów wśród kapłanów. Jakiś czas później do pałacu skoposy w Aoście przybyła diakonisa i oskarżyła biskupinę Tallię o paranie się czarami. Diakonisa twierdziła, że uczyła młodą Tallię i że była zmuszona do ucieczki, gdy odkryła straszliwe morderstwa, wróżbiarstwo i krwawe ofiary, których Tallia wraz z towarzyszkami używała do przekonywania innych, nawet cesarza, do swej woli. W tym czasie Taillefer oddalił wszystkie swe konkubiny i wziął młodą Radegundis za swoją piątą żonę. Choć wciąż silny i zdrowy, był już dość wiekowy. Młoda królowa błagała go, by ich małżeństwo było jak związek aniołów, skonsumowane jedynie w umyśle, jednak po pewnym czasie zaszła w ciążę i jej ciało zostało nieodwracalnie splamione dotykiem Nieprzyjaciela, śmiertelnością.

--Ale skąd wiemy, że anioły nie odczuwają pożądania...!

--Jeszcze nie skończyłam -- Anne nie musiała podnosić głosu. Liath posłusznie skłoniła głowę, jednak płonął w niej gniew. Ze wszystkich rzeczy, jakie zrobiła przez dwa lata od śmierci taty, poślubienie Sanglanta było jedyną, którą jej serce uznało za absolutnie właściwą.

--Jesteś młoda -- dodała Anne -- i nadal ciąży na tobie wpływ Bernarda oraz pokusy świata i ciała. Pozwól mi kontynuować i jeśli wykażesz się cierpliwością, przekonasz się, że prawie skończyłam. -- Musiała przerwać, by podjąć wątek. -- W tym czasie skoposa, za pośrednictwem diakonisy, została zaalarmowana wieściami o czarnej magii i maleficusach na dworze potężnego Taillefera. Sama wybrała się, by zweryfikować te oskarżenia i gdy tylko przybyła na dwór w towarzystwie wspomnianej diakonisy, wielki cesarz zachorował. Wszyscy lękali się o jego życie, a biskupina Tallia pośpieszyła z Autunu, by być przy jego boku. Tam, na oczach wszystkich, zidentyfikowała diakonisę, która wniosła przeciw niej oskarżenia, jako tę samą Desiderię, której spiski i knowania od dawna trapiły cesarza i jego rodzinę. Nie rozpoznano jej, ponieważ jej twarz zachowała niezwykłą młodość. Niektórzy powiadają, że utrzymywała młodość za pomocą magii, ale kiedy postawiono ją przed biskupiną Tallią, ta stwierdziła, że tylko nienawiść podtrzymywała tę młodość. W ten sposób stała się więźniem Tallii.

Jednak w tym czasie skoposa, Lea trzecia tego imienia, nie darzyła szczególną miłością rodziny Taillefera, a zwłaszcza Tallii, która nie była szczególnie dumna ze swej krwi i wiedzy, jednak mogła się taka wydawać tym, którzy zazdrościli jej tego, co Bóg jej dali. Taillefer umarł i sępy zebrały się, by rozdrapać jego cesarstwo. Młoda królowa obawiała się o swe życie i uszła z pałacu z dworką Klotyldą, tą samą, która była niegdyś niewolnicą Tallii. Skoposa zabrała Desiderię i dwa lata później ta sama Desideria zeznała na soborze w Narvone o niecznych praktykach biskupiny Tallii. Na tym soborze, pod wpływem matki Lei, zebrane biskupiny zakazały praktykowania niektórych czarów, włączając w to sztukę matematyków, a Tallię obłożono ekskomuniką i odebrano jej miejsce na soborze. Po tym zeznaniu Desideria zniknęła i nikt nie wie, co się z nią stało. Choć nikt nie mógł tego udowodnić, bez wątplenia otrula Taillefera, mszcząc się na nim za obrazę, jaką było odsunięcie jej dla innej kobiety. W ten sposób jej wstrętny gniew, tak nieubłagany, położył kres władaniu Taillefera i jego potomków w

Salii.

Uśmiechnęła się lekko, ale tylko po to, by oznajmić, że skończyła.

--I Desideria, która chciała władać światem, i skoposa Lea, która chciała posiadać sekretną wiedzę czarnoksięską, lecz nie potrafiła jej sama zdobyć, zazdrościli tym, którzy posiadali to, czego one najbardziej pragnęły. Desideria zatrula ciało Taillefera, a matka Lea obecność Tallii w Kościele. Dlatego pożądanie jest grzechem, ponieważ pozwala Nieprzyjacielowi wbić szpony w naszą skórę i pociągnąć w dół. Nie możemy wstąpić do Komnaty Światła tak długo, jak długo ciąży w nas pożądanie. Czy rozumiesz, co mówię, dziecko?

Zirytowana Liath nie odezwała się, ale podskoczyła, zaskoczona, gdy odezwał się nowy głos.

--Mówisz, że Desideria położyła kres władaniu Taillefera i jego potomków. Ale sama zadałaś jedno pytanie, na które twa historia nie odpowiedziała.

Liath uśmiechnęła się pokornie i usiadła. Słuchała z takim przejęciem, że nie zauważyła Sanglanta opierającego się o drzwi na granicy chłodnego światła magicznego i ciemności nocy.

--Jakie to pytanie, księżę Sanglancie? -- odparła Anne chłodno.

--„Czy powiedziałam, że to były jedyne ślubne dzieci płci męskiej, jakie miał Taillefer?” -- Schylił głowę i wszedł do pomieszczenia, ale baczył, aby nie usiąść zbyt blisko Liath, choć rozpraszał jej uwagę tak samo, gdy siedział oddalony o szerokość dłoni czy długość izby. Była tak boleśnie świadoma jego ciała, jego obecności, tego, jak podrywał się, słysząc niespodziewane dźwięki i próbował ukryć swą reakcję, nawyk węszenia jak pies, gdy sprawdzał kształt pokoju. Znalazł na wpół wystygłą miskę gulaszu, usiadł ze skrzyżowanymi nogami i postawił miskę na kolanie.

--Słyszałem opowieść o Desiderii. Słyszałem wspaniały *Żywot Taillefera* śpiewany na dworze. We wszystkich historiach poeci lamentują nad straszliwym losem dwóch synów Hiltrude. Ale nigdy nie słyszałem, by mówili o innych męskich potomkach z prawego łoża. Jego trzecia żona nie miała dzieci, tak przynajmniej twierdzą poeci, a czwarta tylko jedną córkę. Ale zawsze się zastanawiałem nad świętą Radegundis.

--Nad czym się zastanawiałeś?

Obdarzył stygnący gulasz długim spojrzeniem, jakby się zastanawiał, czy pożreć go natychmiast, czy zachować się grzecznie. Po chwili maniery wygrały z głodem i tylko bawił się łyżką, odpowiadając.

--Wszystkie historie podają, że królowa Radegundis była w zaawansowanej ciąży, gdy klęczała godzinami przy łożu Taillefera i błagała o wyzwolenie. Ale żadna historia, z tych, które słyszałem, nie mówi, co się stało z dzieckiem, które nosiła. Wstępuje do zakonu i tam wiezie swe święte życie. Bez wątpienia ktoś by się zastanowił nad losem ostatniego dziecka Taillefera.

Anne spoglądała na niego ze spokojem doprowadzającym do szaleństwa.

--Nie mówię głośno o wszystkim, czego się dowiedziałam lub co podejrzewam. To byłoby głupie, zwłaszcza tutaj, na drodze, gdzie mogą nas podsłuchiwać wszelkie stworzenia.

Sanglant roześmiał się nagle i zaczął jeść gulasz.

--Proszę, wybaczcie. -- Liath wyszła. Ruszyła wzdłuż ściany chaty do starych podwójnych drzwi, znaczących wejście do przybudówki. Użyli jej jako stajni, z wnętrza dobiegało węszenie psa Eików i ciche odgłosy odpoczywających koni. Oparła się tam, zamknęła oczy i odetchnęła.

O Pani! Nie żałowała odejścia z matką. I tak nie mieli innego wyjścia. Ale trudno było ją

zrozumieć. Zrozumienie było jak otchłań, którą musiała przeskoczyć, ale nie potrafiła -- i nie była pewna, czy podoba jej się teren, który dostrzegła po drugiej stronie, tam, dokąd miała się udać.

Coś otarło się o jej policzek i podskoczyła, widząc unoszącego się przed nią jednego ze sług, dotykającego jej twarzy swym przezroczystym palcem. Odleciał niby liść i zatrzymał się w cieniu drzew, poświata o męskich kształtach, w żaden sposób nie do odróżnienia od dwóch pozostałych -- tyle tylko, że tamte wydawały się kobietami.

--Liath -- Sanglant wynurzył się z nocy, a ona objęła go mocno. To rozumiała: był twardy i obecny. Jej tarcza.

--To daje do myślenia, prawda? -- rzekł w jej włosy.

--Co daje do myślenia? -- Mogłaby tak stać wiecznie i byłaby zadowolona, ale on był niespokojny. Zawsze był niespokojny, nie mógł się nie poruszać, nawet we śnie, jak pies świadom zapachu zagrożenia.

Starym zwyczajem dotknął szyi. Obie rany: otarcie po obroży Krwawego Serca i cięcie od noża Hugona -- zagoiły się, zostawiając obwódkę jaśniejszej skóry i cienką białą linię, naszyjnik z blizn. Ale potem, dziwne, otoczył dłonią jej szyję i przycisnął kciuk do gardła.

--Dlaczego twoja matka nosi złoty torkwes?

Rozdział siódmy

Instantia

1.

W nocy przychodziły szczury, by żerować na kościach. Słyszał ich pazurki szurające po kamieniu, warczenie psów, które skradały się wystarczająco blisko, by zacisnąć szczęki na gardle, i poderwał się...

Obudził.

Siedział, unosząc ramiona do uderzenia, bez tchu, jakby walczył. Łoże z liści, które zrobił wczoraj o zachodzie słońca, ugięło się pod nim. W górze świeciły gwiazdy. Pies Eików zaskomlał cicho. Liath zadrżała, mrużąc jego imię.

--Cicho -- rzekł szeptem. -- Śpij.

Naciągnęła koc na biodra, złożyła policzek na jego ramieniu i natychmiast zasnęła. Wiedział, że jego sen już nie zmorzy.

--O Boże -- wyszeptał. -- Panie, chroń mnie przed moimi snami.

Osunął się, uważając, by jej nie obudzić. Nie przejmował się nakładaniem tuniki, ale złapał pas z mieczem. Wokół panowała przytłaczająca nocna cisza, przerywana jedynie delikatnym szelestem liści głaskanych wiatrem, zbyt słabym, by ochłodzić gorącą noc. Niedaleko słyszał bystry strumyczek, w którym wieczorem napoił konie. Tej nocy obozowali w lesie niedaleko starej dariyańskiej drogi, którą podróżowali na południowy wschód, na tereny jeszcze dzikie. Tej nocy przy słupie milowym nie było nietkniętego dariyańskiego hostelu, tylko ruiny rozdrapane przez rabusiów. Sługi splotły z gałęzi szalas dla siostry Anne, ale Sanglant przyzwyczajony był do gorszych warunków niż polowe. Był szczęśliwy, mogąc zebrać liście i, narzucając na nie kapę haftowaną w smoka i koc, zrobić leże dla siebie i Liath na ziemi przy ścianie zrujnowanego hostelu.

Był szczęśliwy... a przynajmniej zadowolony. Codzienny rytm podróży zmuszał go do ruchu, a gdy się ruszał, nie myślał. Jeśli zbyt długo pozostawał nieruchomy, pojawiał się stary koszmar, jak tej nocy -- i przez większość nocy w snach.

Dotknął szyi, uświadomił sobie, co robi, i gwałtownie potrząsnął ręką, jakby chciał zrzucić łańcuchy, które go niegdyś skuwały. Ale wspomnienia nadal ciążyły mu jak więzy. Długo był więźniem Krwawego Serca.

Coś zaszleściło wśród liści, obrócił się, zawarczał i opanował. Zamarł.

Na polanę wyszedł wilk. Jego bursztynowe oczy lekko lśniły, gdy na niego patrzył. Drugi wilk, jaśniejszy, wynurzył się z krzaków obok pierwszego. Dobył miecza. Chrzęst broni wysuwanej z pochwy przyniósł w odpowiedzi szczeknięcie przywódcy, ostre, krótkie i czyste. Trzeci wilk zamajaczył na polanie w pobliżu tamtych dwóch i stanął.

Ile ich tam jeszcze było?

--Liath -- wyszeptał.

Poruszyła się, ale nie obudziła.

Dał krok w bok, ku niej. Pies Eików też spał, a zazwyczaj budził się natychmiast, gdy panu zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, jednak od Werlidy był straszliwie słaby.

Czwarty wilk, tak czarny, że zdawał się raczej cieniem niż ciałem, wszedł na polanę. Zawarczał cicho, a on od razu, nie myśląc, zawarczał w odpowiedzi. Przywódca znów szczeknął, jakby dawał rozkaz. Dwa kolejne wilki wbiegły na polanę.

--Liath! -- rzekł ostrzej.

Poruszyła się, ziewnęła i pytająco wymruczała jego imię.

--Bierz swą broń -- rzekł, nie zmieniając tonu.

Trzy wilki ruszyły, by ich okrażyć. Liath usiadła, łapiąc luk.

Z szalasu błysnęło światło, srebrzysta nić, raczej myśl niż kształt. Miało ludzkie kształty, ale lśniło w ciemności. Przemknęło przed nosem przywódcy, uniknęło kłapnięcia i chwilę później dołączył do niego jeden z towarzyszy. Razem ciągnęli wilcze ogony, podszczyrywali i dręczyli zwierzęta tak, że całe stado podkułilo ogony i zniknęło w lesie. Sługi ruszyły za nimi, śmiejąc się lekko jak wiatr.

--Okryj się.

Siostra Anne wynurzyła się z szalasu z trzecim sługą u boku. Liath podciągnęła koc aż na ramiona. Sanglant zignorował ją i podszedł na skraj polany, by posłuchać, lecz choć stał tam długo, nie usłyszał żadnych wilczych odgłosów.

Kiedy się odwrócił, Anne wróciła już do szalasu. Schował miecz, uklękł obok Liath, pocałował ją i przypomniał sobie, że Anne pewnie jeszcze nie zasnęła. Usiadł na piętach.

--Co się stało?

--Wilki. Sługi je odgoniły. Śpij. Ja postoję na warcie.

--Wydawało mi się, że matka powiedziała, że sługi staną na warcie.

--Owszem, ale i tak nie mogę spać. -- Nie powiedział jej, że raczej z powodu snów niż wilków. Sługi lepiej sobie poradziły z watahą, niż on by to zrobił. Zawahała się, a potem położyła, kuszący wzgórek pod kocem. Przez chwilę go kusilo -- ale dwie sługi ruszyły do lasu i jeszcze nie wróciły. Naciągnął tunikę i zawiązał sandały, po czym przyciągnął kłodę w pobliże starego zrujnowanego schroniska, w połowie drogi między Liath a szalasem, i usiadł.

Kiedy siedział, patrzył w gwiazdy. Spróbował wyobrazić sobie gwiazdy stałe i ruchome, sfery i półkule, te wszystkie słowa, których Liath używała z taką łatwością -- ale tylko się znecierpliwiał. Wstał i zaczął chodzić; nie potrafił usiedzieć spokojnie, choć doskonale wiedział, że wartownik powinien być nieruchomy. Ale kiedy nieruchomiał, ciężar łańcuchów zdawał się go przytłaczać, łańcuchów Krwawego Serca i tych, którymi chciał go skuć ojciec.

„Król i cesarz, a każdy ksiązę i szlachcic chce mu skoczyć do gardła”.

Nie zauważył ich powrotu.

Zapatrzył się.

Widywał czary pod rządami Krwawego Serca. Jako dziecko widywał małe stworzonka chowające się w cieniu, wyglądające z krzaków, na wpół ukryte w liściach w głębokim lesie, w którym dzieciom nie wolno było się bawić, ale on i tak tam wyruszał. Wiedział, że w ziemi żyje magia i choć nienawidził tej myśli, był świadom, że jakaś jej część żyła w jego krwi, dziedzictwo po matce.

To były inne czary, stworzenia z innej płaszczyzny istnienia -- „Z wyższej sfery”, jak by powiedziała Liath.

Tańczyły na trawie, z dłońmi złączonymi, a może i zlanymi w jedną całość, w jakiś nieludzki sposób, ponieważ stworzone zostały raczej ze światła niż z ciała. Śpiewały dziwną, kanciastą melodię, w której nie było słów, a jedynie rytmiczne zawrodożenie. Taniec był wyrazem radości i smutku, splecionych razem, nie do odróżnienia.

Jeśli wiedziały, że patrzy, niczym się nie zdradziły. Po prostu tańczyły.

Nie słyszał, nie widział ani nie czuł ani śladu wilków.

Długo obserwował sługi, aż szare światło przedświt uświetliło pnie drzew, a sługi zlały się

z blaskiem nadchodzącego dnia i zniknęły mu z oczu, chyba że patrzył na grę światła przy szalasię, nie mającą nic wspólnego ze słońcem, które jeszcze nie wzniosło się ponad korony drzew. Słyszał chichot przy uchu, poczuł palce ciągnące go za ucho i laskotanie wiatru na policzku. Śmiejąc się, poszedł osiodłać konie.

Mimo spotkania z wilkami Anne prowadziła ich dalej w las, na tereny prawie nie zasiedlone. Następnego dnia koło południa dotarli do rozdroży. Było to samotne miejsce u podnóża kamienistego wzgórza, z którego w połowie zbocza wyzierały bloki skalne uniemożliwiające wspinaczkę. Ktoś wyciął drzewa, by zrobić przesiekę, ale zostawiono jeden stary wielki pień.

--Tutaj skęcimy na wschód -- powiedziała Anne.

--Nie na południe? -- Liath, zdziwiona, spojrzęła na matkę.

--Wschód -- powtórzyła Anne.

Dotarli do skrzyżowania dróg i gdy Sanglant podszedł do wielkiego pnia, dostrzegł ozdabiające drewno płaskorzeźby: mężczyzn o głowach jeleni, kobiet z głowami sępów, wilka. Dębowe liście, suche i kruche, zaścięłały podstawę, a ktoś złożył na szczycie pnia kamienny kurhan. Kamienie były pokryte czerwonymi plamami dawno zaschniętej krwi.

--Ofiary -- powiedziała Anne ostro. -- I gorsze rzeczy. -- Zsiadła z wierzchowca i podeszła do pnia. Z twarzą bez wyrazu rozebrała kurhan. Na dole, na wpół zatopiony w gnijącym środku pnia, leżał amulet, nieco zniszczony. Zmiotła go z pnia gałęzią. -- To dzieło Nieprzyjacięła.

Sanglant przyględał się jej z zainteresowaniem, czekając, co będzie dalej. Być może rzeczywiście Nieprzyjacięł kusił w ten sposób słabe dusze, by siać zamęt na świecie. Ale widział, jak ludzie przed bitwą odprawiali dziwniejsze rytuały, a ci, którzy modlili się do bogów swoich dziadków, mieli takie same szanse na przeżycie jak ci, co modlili się do Boga. Jednakże prawdę było, że takie rzeczy nie podobały się Panu i Pani, i musiały zostać wykorzenione.

Anne zwróciła się do Liath siedzącej na koniu:

--Spal to.

Liath zbladła. Nie poruszyła się ani nie odpowiedziała.

--Dar ognia leży w twej naturze. Spal to miejsce, na którym sługi Nieprzyjacięła położyły ręce.

--Nie. Tutejsi ludzie robią to tylko po to, by chronić siebie i swe zwierzęta od krzywdy podczas podróży albo by zapewnić sobie w drodze dobrą pogodę. Dlaczego mamy ich krzywdzić, skoro to, co robią, nie krzywdzi nas?

--Bernard przemawia twoimi ustami. Zbyt dużo podróżował i był zbyt pobłażliwy w swych sądach.

--Tato zawsze powtarzał, że powinniśmy zostawić ich w spokoju.

--Zbyt długo pozwoliłam ci z nim przebywać.

--Którą drogę jedziemy? -- zapytała Liath sucho. Była wścicka.

--Nie zrobisz tego, o co cię proszę?

--Nie. Nie rozumiesz, o co mnie prosisz.

--Jestem jedną z nielicznych, którzy rozumieją. -- Anne spojrzęła na Sanglanta. Ujrzał, jak powietrze wokół niej drży i nagle usłyszał sługi, wysokie szepty na granicy słyszalności; słowa o ogniu i spaleniu, ale język, którego używały, był zbyt wypaczony, by zrozumiał więcej.

--Ja mówię, byśmy jechali -- rzekl. -- Na pewno jest tu gdzieś diakonisa, która poradzi

sobie z tymi starymi przesądami. Czy nie dlatego Bóg nakazali pewnym ludziom, by poświęcili swe życie Kościołowi i stali się bronią, użytą dla ustanowienia boskiego porządku na świecie?

--Wielu zostało poczętych i zrodzonych, by stać się bronią, księżę Sanglancie, a jednak nie zdają sobie sprawy ze swego przeznaczenia.

--Mówisz jak mój ojciec, siostró Anne. Ale ja nie jestem jednym z nich. Moja żona też nie. Po raz ostatni spojrziała na Liath.

--„Żelazo nie wie, czym się stanie, dopóki nie zostanie wykute w ogniu”.

--Jedźmy -- powtórzył. Liath pognała konia, wybierając drogę na prawo.

Anne została za nimi.

--To wbrew woli Boga, zostawić taką świątynię na pokusę nieszczęśliwym i głupim ludziom, którzy mogą składać tu ofiary i modlić się tylko dlatego, że to miejsce istnieje.

--Poczekamy na ciebie. -- Sanglant ruszył za Liath. Pies Eików szedł obojętnie obok niego. Liath zatrzymała się na drodze w cieniu skały.

--Nie rozumiem, jaką pozycję zajmuje w tym świecie twoja matka. Czy jest zaprzysiężona Kościołowi, czy też jest wielką panią władającą wieloma posiadłościami? Skąd wywodzisz swój ród?

--Nie powie mi -- odparła, tak rozgniewana, iż przez chwilę zdawało mu się, że nie usłyszała pytania, dopóki nie uświadomił sobie, że właśnie na nie odpowiedziała. -- Zapytałam ją, dlaczego nosi złoty torkwes, ale nie chce mi odpowiedzieć. Nie chce, bym знаła własny ród!

--Albo ma swoje powody, by utrzymywać cię w niewiedzy. Co jej zdaniem powinnaś poznać, Liath?

--Sztukę matematyków.

--„Żelazo nie wie, czym się stanie...” -- zamruczał i urwał, czując dym. Usłyszał stukanie kopyt muła Anne i chwilę później kobieta wyłoniła się zza zakrętu.

Nadciągnęły popołudniowe chmury, a podmuchy wiatru szarpały drzewami i wyginały gałęzie na wszystkie strony. Zaczęło padać tak mocno, że zmuszeni zostali do schronienia się w pierwszej napotkanej wiosce i tam zostali przez następne dwa dni, a wokół wyla i szalała burza.

2.

Kiedy wspinali się na wysoki pagórek, w oddali lśniła wieża Lavas, świeżo pobielona, z nowym lupkowym dachem. Wjechali na wzniesienie i ujrzeli przed sobą zamek Lavas. Alain widział stąd rzekę wijącą się wśród żyznych pól, mały kościół, czyste domy w wiosce, umocnienia, wieże i salę biesiadną, wyglądające dostatnio i żywo. U bram zebrał się wielki tłum i na widok sztandaru Lavas podniósł się gromki okrzyk. Ludzie czekający u bram rzucili się w przód, podchodząc, by powitać swego pana.

--Kasztelanka Dhuoda przygotowała wszystko na nasze przybycie -- rzekł Lavastine.

--Wasze pola wyglądają na zadbane -- powiedziała Tallia. -- A ludzie na sytych i odzianych.

--Bo tacy są -- odparł bez zrozumiałości, po prostu stwierdzając fakt.

--Kościół jest mały -- dodała.

--Ale bogato wyposażony, jak się należy. -- Spojrzał na Alaina i znów na Tallię. -- W wieży znajduje się kaplica, w której modlimy się co dnia.

Dotarli do rozentuzjanzowanego tłumu. Wielu ze zgromadzonych służących i wieśniaków wyciągało dłonie, by dotknąć stopy przejeżdżających Lavastine'a lub Alaina. Z tyłu Alain dostrzegł wielu nieznajomych przyglądających się ludzi, w łachmanach, z twarzami ściągniętymi głodem, ale pełnych nadziei.

--Wasi ludzie was kochają -- powiedziała Tallia. Zgromadzeni wykrzykiwali jej imię i modlili się do Boga, by pobłogosławił jej łono. -- Kiedy jechaliśmy przez Arconię, lud zbierał się, by na nas popatrzeć. Ale moich rodziców się bano, a nie darzono miłością.

Lavastine zwołał audiencję w wielkiej sali; zgromadzenie zajęło całe popołudnie. Niektóre podarki, otrzymane na dworze królewskim, przekazał swej kasztelance, zarządcom, służącym i wieśniakom: atramenty i pergamin, żelazne narzędzia, byka, którego wszyscy wieśniacy mieli używać do zapładniania krów, tuzin mocnych owiec, szczepy drzew pigwowych, figowców i morw i szczep winorośli z królewskiej winnicy. Były uprząże i smycze dla mistrza Rodlina, garnki dla kucharki i belty, oszczepy i noże dla zbrojnych.

--Tego roku mamy niespotykaną liczbę najemników -- mówiła kasztelanka Dhuoda. -- Słyszeliśmy plotki o suszy w Salii. Wielu przybyło tu w nadziei na pracę przy żniwach.

Tallia nawet nie zaczęła, by obejrzeć wieżę i przyległe ziemie, tylko od razu poszła ze swymi dwórkami nieść pocieszenie biednym. Dhuoda poprowadziła Lavastine'a i Alaina na górę, by pokazać, że zastosowała się do rozkazów przysyłanych hrabiemu. Wybudowano nowe łóżko i wstawiono do komnaty używanej przez hrabiego jako gabinet.

--To będzie moja sypialnia -- powiedział Alainowi, wskazując gabinet. Wspięli się kręconymi schodami do sypialni, zwyczajowo należącej do hrabiów Lavas, którą wcześniej dzielili. Teraz komnata ozdobiona została kapą, wyszywaną w złączone ogary Lavas i jelonki z Arconii i przyniesiono skrzynie Tallii. -- Ta będzie twoja. W tym łóżu zostali poczęci wszyscy dziedzice Lavas.

--Nawet ja?

Lavastine westchnął, zmarszczył czoło i obojętnie poklepał głowę Grozy. Wyraz jego twarzy świadczył, że znajdował się teraz daleko -- cofnął się w czasie.

--Nawet ty, synu. Ale Bóg są miłosierni i wybaczą nam nasze grzechy tak długo, jak długo spełniamy nasz ziemski obowiązek.

Alain podszedł do łóżka, położył dłoń na kapie i spojrział na Lavastine'a. Dwanaście dni temu chodzenie było cierpieniem, kiedy przy każdym kroku materiał ocierał jego pokrytą pęcherzami, otartą skórę, ale wyleczył się już, a bąble po pokrzywach zyskały mu trochę współczucia u Tallii. Co ważniejsze, pozwoliły przetrwać podróż bez kolejnych incydentów, które mogły spowodować, że zwróciłaby się przeciw niemu.

A przyjazd do domu wypędził z jego serca rozpacz i niecierpliwość. Jak mawiała ciotka Bel: „Jeśli chcesz rozpałić ogień, najpierw musisz narąbać drewno”.

Nie zapomniał *Żywota świętej Radegundis*, którego słuchał na królewskim dworze i który Tallia tak podziwiała. I tak, gdy po jednym cichym dniu następował kolejny, gdy zboże dojrzewało i nastał czas zbiorów, chodził z nią każdego ranka do biednych robotników, którzy przybyli do Lavas w nadziei na pracę i chleb. Kiedy mówiła o założeniu klasztoru na cześć świętej Radegundis, zachęcał ją. Wraz z jej ulubioną dwórką, lady Hathumod, spędzili wiele przyjemnych godzin w towarzystwie architekta, którego ze sobą przywiozła, kleryka wykształconego w Autunie; omawiał on tradycyjny projekt, faworyzowany przez świętą Benedyktę w Zasadzie, a także unowocześnienia wprowadzone przez braci od świętego Galia.

W nocy, gdy kładli się razem, wspominał pokrzywy.

--A co z ruinami, o których mówią ludzie? -- zapytała Tallia pewnego dnia. -- Czy nie byłoby zbożnym celem wybudowanie klasztoru na miejscu starej świątyni i rekonsekracja tych ziem? Moje dwórki słyszały, że służący gadają o znajdującym się tam kamiennym ołtarzu, na którym składano krwawe ofiary. Mówią, że nadal widać ślady.

Była taka ożywiona, gdy wspomniała o ofiarach. Kiedy wpadała w taki nastrój, często go dotykała, przesuwając palcami po jego dłoni, opierała się o niego, rzecz jasna nieświadomie. Chciał ją do tego zachęcić, ale kłamstwem byłoby przytakiwanie, skoro po prostu nie wiedział.

--Są otoczone murami obronnymi. Sądzę, że to fort.

--Ale musieli tam czcić swoich bogów. Tacy ludzie zawsze to czynią.

--Pojedziemy tam. Będziesz mogła sama ocenić, czy stare ruiny nadają się na klasztor.

Następne kilka dni spędził z Lavastine'em, nadzorując żniwa. Zgodnie ze zwyczajem pan schylał się, by ścinać pierwszy snopek z każdego pola, na szczęście, a Alain lubił pracę. Przypominała mu o dzieciństwie. Ale Lavastine nigdy nie pozwalał mu długo pracować; to nie było miejsce dla lorda.

Wyprawę ustalono na dzień Radueriała, anioła pieśni. Kiedy zgromadzili się służący, dworacy i giermkowie, Alain poczuł się, jakby wyruszali w podróż, a nie na krótką wycieczkę na wzgórze. Dwórki Tallii szczebiotały podekscytowane.

Lavastine obserwował ten śmiech i plotkowanie, kręcąc głową.

--Naprawdę uważam -- rzekł do Alaina -- że król Henryk wybrał tylko te dziewczyny, które mają kompletnie pstro w głowie. Jeśli mają braci, spodziewam się, że myślą oni tylko o polowaniu, sokołach i dziwkach.

--Lady Hathumod jest inna.

--Owszem. Jest mądrą dziewczyną, ale przyjechała z Tallią z Quedlinhamu. Podejrzewam, że pozbyli się jej z powodu herezji. Tylko ona jedna potrafi się modlić równie długo jak twoja żona.

--Modlitwa nigdy nie idzie na marne -- odparł Alain, nieco urażony.

Lavastine gwizdnął na Grozę, która wybrała się zbadać świeżą kupę końskiego nawozu.

--Sądzę raczej, że Bóg ceniał dobrą pracę wyżej niż modlitwę, ale nie spierajmy się o to, synu. Lady Tallia jest szczodra dla biednych. Król mądrze zrobił, wybierając te dziewczęta na dwórki dla swej siostrzenicy. Tallia nie wejdzie z nimi w użyteczne sojusze.

Lavastine dał znak giermkom i wyruszyli. Jechali szeroką drogą wśród pól i lasu, wykorzystywanego przez wieśniaków jako źródło drewna, zwierzyny łownej i ziół. Było późne lato, słońce zdawało się nasycać powietrze, które lśniło złotem. Świnie uciekały w krzaki. Wypłoszyli stado przepiórek i myśliwi puścili się w pogoń. Alain musiał gwizdnąć na Wiarusa, który rzucił się za nimi. Droga wiała się, zwązala, i wspinali się na strome wzniesienia w starym lesie, nie tkniętym ludzką ręką. Diakon Tallii zabawiał ich przypowieściami.

--W tym czasie dziki lud Bwr ruszył na zachód, na wyprawę, która zawiodła ich do wielkiego miasta Darre, wtedy zwanego Dariją.

--Czy lud Bwr nie zniszczył Dariyi? -- wtrąciła Hathumod, która zawsze zadawała pytania.

--Istotnie. Spustoszyli je, spalili, zabili mężczyzn, którzy skończyli dwanaście lat, a kobiety i dzieci wzięli w niewolę. Ale panowanie Azarila Okrutnego trwało jedynie pięć lat, ponieważ miłosierdzie Boga jest wielkie, a sprawiedliwość rychła.

--Ale co z wizytą anioła? -- odezwała się cicho Tallia, ale Alain był tak wyczulony na każde jej poruszenie, że słyszał ją tak wyraźnie, jakby jechała tuż obok.

--Pozwólcie mi podjąć moją opowieść -- Kleryk Rufino był łysy jak jajo i miał ogorzale policzki, efekt wielu godzin spędzonych na słońcu podczas nadzorowania budowy. -- Kiedy szli na zachód ku Dariyi, armia Bwr obiegła miasto zwane Korinthar. Ludzi z Korintharu odwiedził, pośród swych rozlicznych podróży, święty Sebastian Jan z Eisenach, jednak choć słodko odśpiewywał mszę, mieszkańcy nie baczyli na jego nauki. Wyśmiewali go, a gdy nadjechali Bwr, mieszkańcy wyrzucili go za bramy, przed zwiadowców Bwr. W ten sposób Bóg zesłał Sebastianowi Janowi wspaniałe męczeństwo, którego zawsze pragnął. W tym czasie mieszkańcy Korintharu gotowali się na ostatnią bitwę z dzikimi Bwr. Choć wiedzieli, że przegrają, uważali, że lepiej zginąć w walce, niż błagać o litość wroga, którego nienawidzili. Ale anioł Raduerial nawiedził komnatę młódki, świętej Sonji, jedynej z miasta, która słuchała kazań świętego Sebastiana Jana. Anioł pobłogosławił ją darem pieśni.

Święta Sonja oddała się pod bramami, mając nadzieję, że uratuje swych pobratymców, choć wyśmiewali jej wiarę. Z powodu swej młodości i piękności została zabrana do namiotu okrutnego króla, Azarila, gdzie śpiewała tak słodko, że zmiękczyła jego serce. Oszczędził Korinthar i ludzi za murami. Widząc ten znak łaski Bożej, całe miasto płakało i modliło się w małym kościółku wzniesionym dłońmi świętego Sebastiana Jana i przysięgło od tamtej chwili wyznawać wiarę Jedności.

--Co się stało ze świętą Sonją? -- zapytała Hathumod.

--Nikt nie wie -- przyznał kleryk. -- Niektórzy powiadają, że król Bwr wziął ją w jasyr i zabił, gdy odmówiła zostania jego żoną.

Jedna z dziewcząt pisnęła.

--Ale przecież gadają, że Bwr wcale nie byli ludźmi, tylko...

--Proszę was, pani! -- Reprimenda od tak łagodnego człowieka była podwójnie bolesna. -- Wstrętnym byłoby roztrząsać dłużej ten temat. To tylko bajka, wymyślona, by mężczyźni i kobiety mieli nieprzystojne myśli. Większość zgadza się, że święta z własnej woli wyruszyła w ciemne krainy zamieszkane przez lud Bwr, by ich plemionom zanieść Światło Jedności. Nigdy

więcej jej nie widziano. W każdym razie opuściła Korinthar i nie wróciła.

--Spójrzcie! -- Tallia przesunęła się na czoło procesji i teraz pierwsza wjechała na polanę. Alain jechał obok. Przed nimi leżały ruiny. Wpatrywała się w nie z zaróżowionymi policzkami i gdy ona przyglądała się murom, on zastanawiał się, czy była tu dariyańska droga, teraz ukryta wśród mchu i traw.

Kiedy reszta orszaku rozproszyła się i zaczęła się rozglądać, Tallia zsiadła z konia, a on poszedł za nią do ruin, gdzie wykrzykiwała na widok rzeźb: spirali, sokołów, postaci o ludzkich ciałach i zwierzęcych głowach.

--Musimy zburzyć te mury! Możemy skuć te złowrogie wyobrażenia z kamieni i użyć ich do budowy klasztoru, gdzie będziemy modlitwą chwalić Boga.

Złapała go za rękę i pociągnęła. W świątyni uklękła przy białym ołtarzu -- wciąż trzymając dłoń Alaina -- i wolną ręką przesunęła po wzorze z czterech spirali prowadzącym do zagłębienia wielkości pięści umieszczonego pośrodku kamienia. Zadrżała w ekstazie i przyciągnęła Alaina do siebie.

--Tutaj zbudujemy kościół! Kaplicę z Paleniskiem dokładnie nad tym kamieniem!

Jej ramiona były takie chude. Wciąż się trzęsła. Dotyk jej ciała wzbudził tak silne emocje, że spróbował wyswobodzić dłoń, by się cofnąć. Wspomnienie pokrzyw nie pomagało.

Stała tak blisko, że mógł z łatwością pochylić głowę i przesunąć ustami po jej wargach. Wpatrywała się w niego z rozchylonymi ustami i przynagleniem w oczach. Nie cofnęła się, gdy ją do siebie przygarnął.

--Widzisz? -- wyszeptała. -- Bóg dała nam możliwość zbudowania kaplicy, by uczcić Ją i Jej Syna, jak się należy. Możemy wybudować miejsce kultu Matki i Syna, by przynieść prawdziwą wiarę tym, którzy zatracili się w fałszywych słowach Kościoła.

Oszołomiony ogniem na jej policzkach i w oczach zgodziłby się na wszystko, byleby tylko została tak blisko. W cieniu przy drzwiach szczechnął Smutek. Chwilę później na progu pojawił się Lavastine, wszedł i ujrzał ich w uścisku.

--Przepraszam -- powiedział szybko, obracając się i zamierzając wyjść.

--Panie hrabio! -- Tallia wyrwała się Alainowi, który stał, drżąc i próbując się opanować. -- Teraz, kiedy żniwa się prawie skończyły, mamy tu wielu robotników, którzy mogą mi posłużyć za budowniczych.

--W jakim celu? -- Lavastine podszedł, by dotknąć kamiennego ołtarza.

--By zbudować klasztor ku czci Matki i Syna! I kaplicę, w której można by było godnie ich czcić, i w której namalowano by wyobrażenie poświęcenia i odkupienia błogosławionego Daisana, Jej świętego Syna, aby ludzie dowiedzieli się prawdy!

--Nie ma mowy! -- Lavastine wyrwał kilka chwastów, które wyrosły wokół kamienia, jakby taki nieporządek go obrażał. -- Hrabiowie Lavas zawsze żyli na dobrej stopie z Kościołem i nie zamierzam teraz tego zmieniać.

--Ale musicie sprawić, by prawda ujrzała światło dzienne!

--Nie życzę sobie zamieszania w mym domu! Pani Tallio, martwi mnie, że waszemu sercu bliskie są wierzenia, które Kościół uznaje za herezję, martwi mnie, ale przyznaję, że jedynie Bóg mogą oceniać nasze serca, wobec tego pozwałam wam modlić się, jak zechcecie. Ale nie zbuduję na tych ziemiach pomnika heretyckiej myśli potępionej przez skoposę. Mój syn też nie!

Obecność Alaina nigdy nie wywołała na jej policzkach tak żywego i gorącego rumieńca.

--Jednakże -- Lavastine przyjrzał się kolistym ścianom i małym rzeźbom ślimaków i róż, ozdabiającym kamienny ołtarz -- możecie tu z moim błogosławieństwem zbudować klasztor pod wezwaniem Świętych Edessii i Parthiosa.

--Kpicie sobie ze mnie. -- Jej rumieniec zmienił się w bladość gniewu.

--Ależ skąd. To, że święci Edessia i Parthios, mąż i żona, wydali na świat błogosławionego Daisana, to nie kpina.

--On jest Synem Boga, a nie stworzeń śmiertelnych!

--Tak jak wszyscy, według nauk Kościoła, jesteśmy dziećmi Boga. Ale błogosławiony Daisan narodził się z łona świętej Edessii. Chyba że istnieje inny sposób wydawania dzieci na świat, którego nie znam.

Głośno wciągnęła powietrze, przygotowując się do wybuchu. Z odchyloną głową i wzniesionym podbródkiem w każdym calu wyglądała na królewską siostrzenicę, świadomą swej mocy i gotową jej użyć. Jednak wybuchnęła jedynie płaczem i wybiegła z budynku.

Alain skoczył za nią, ale zatrzymał go głos Lavastine'a:

--Wybacz mi, ale nie mam zamiaru obrażać Kościoła tylko po to, by zaspokoić jej fałszywe mrzonki.

--Nie musisz mnie przeproszać. Nie spodziewałem się, że zechce wybudować swej herezji kaplicę.

Lavastine westchnął.

--Być może jej gniew na mnie sprawi, że ci zaufa. Musisz wykorzystać każdą możliwość i widzę, że już to robiłeś. Niech postawi tu budynek. Może kleryk Rufino wie o relikwiach świętych rodziców, które zdołamy tu sprowadzić. Dobrze jej zrobi przypomnienie, że nawet rodzice błogosławionego Daisana pobrali się i z łaski boskiej zostali obdarzeni dzieckiem.

Alain wybiegł. Tallia szlochala głośno, a je dwórki zgromadziły się wokół jak zaafierowane kurczęta.

--Tallio. -- Rozstąpiły się, by go przepuścić, a on ujął Tallię mocno za ramię i poprowadził ją za bramę, na łąkę pełną trawy i dzikich kwiatów. Natychmiast zaczęła wyrzucać z siebie żale, że sprzeciwiono się jej próbie uhonorowania Matki i Syna.

--Nikt mnie nigdy nie słucha! Moja matka nigdy ze mną nie rozmawiała, chyba że mówiła, co mam robić i jak się zachować, a mój ojciec jest idiotą i zawsze się opluwał i szczał w spodnie, i obmacywał służące i próbował grzać się z nimi jak pies, na oczach wszystkich!

Była tak delikatna, że obawiał się iż drzenie i szlochy rozerwą ją na strzępy, ale tak się nie stało. Po chwili otarła nos wierzchem dłoni i nie odzywając się, pomaszerowali w kierunku strumienia. Ukląkł tam, gdzie strumień się rozlewał, zatarasowany kamieniami, a ona przysiadła na trawie obok niego. Kilka łez nadal lśniło na jej policzkach.

Pochylił się nad sadzawką. Jego uwagę przykuł ruch wśród wodorostów. Ledwo oddychając, czekał z dłonią zanurzoną w zimnej wodzie, tak długo aż palce mu zdrętwiały. Ale jego bezruch wywabił wreszcie zieloną żabkę ukrytą wśród roślin. Podpłynęła, weszła na jego dłoń, a on powoli podniósł ją z wody, otaczając drugą ręką, by osłonić przed słońcem.

--Popatrz -- wyszeptał.

Pochyliła się, spojrziała -- i wrzasnęła, odskakując. Ptaki się poderwały. Żabka skoczyła i zniknęła w strumieniu.

--Te stwory to slugi Nieprzyjaciela! -- krzyknęła. -- Dostaje się od nich kurzajek!

--Chciałem cię tylko rozweselić! -- Przeskoczył strumień, poślizgnął się i umoczył stopy, i zostawił ją samą. Serce waliło mu dziko, a chwilę później pojawiły się Furia i Smutek, niby dwa ciche cienie. Uświadomił sobie, że zaciskał i otwierał lewą dłoń, zaciskał i otwierał w nieregularnym rytmie. Był wściekły, urażony, spotwarzony. Furia kłapnęła na motyla. Pani Hathumod zawołała go, ale zignorował ją i ruszył na skraj lasu.

Potknął się o kamień.

Zaklął, wyrzucając z siebie słowa zasłyszane niegdyś od mężczyzn pracujących w kamieniołomach. Ciotka Bel wykręciłaby mu ucho, gdyby usłyszała coś podobnego. Ale nie była już jego ciotką. Bolał go obity palec, przemoczony i zimny. Smutek węszył na ziemi. Alain pochylił się, by pomasować stopę, a jego palce dotknęły kamienia.

Tutaj, ukryte w trawie, leżały połamane płyty z dawnej drogi, wiodącej na wschód, w las. Wyrwał trawę, aż odkrył cały kamień. Kiedy położył na nim dłoń, powierzchnia okazała się chłodna i niezwykle gładka. Biegła po nim mrówka. Zamknął oczy. Dawno, dawno temu tą drogą szli dariyańscy żołnierze i kupcy, serca zostawili gdzie indziej, a głowy mieli pełne planów i marzeń. Róża paliła go w pierś. Maleńkie łapki -- mrówka -- polaskotały go w podstawę kciuka. Upadł...

Fale chlupoczą o burty jego łodzi, gdy wynurzają się z osłony fiordu na wietrzną zatokę. Wokół nich wszędzie leżą wyspy, niekiedy jedynie wystające skały, niekiedy łagodne wzniesienia pokryte trawę. Z plaży uciekają kozły, przestraszone ich nagłym wtargnięciem. Nad nimi wisi niebo całkowicie błękitne; dal pokryta jest białawą mgielką, horyzont zlewa się ze światłem. Światło słoneczne i wiatr igrają na grzbietach fal.

Podnoszą żagle, które wiatr wypełnia. Jego sztandary trzepocą na dziobie każdego okrętu, grzebię na głowie smoczych głów, które torują im drogę przez morza.

Niech inni odpoczywają. Niech wierzą, że Rikinowie pogrążą się w chaosie, beznadziejnie osłabieni upadkiem hegemonii Krwawego Serca. Każdy z jego braci, gdyby wygrał, zmarnowałby swą szansę w szaleńczym rozlewie krwi i bezużytecznych małych zemstach.

Stoi na rufie, osłaniając oczy dłonią, i liczy okręty. Z tego, co mu zostało, wziął czternaście. W ich kilwaterze pojawia się inny ruch. Szczupły grzbiet wypływa na powierzchnię i znika.

Nikt nie spodziewa się klanu Rikin tak szybko.

...i zatrzymał się, podpierając. Mrówka doszła do pierwszej kostki na dłoni. Nie podnosząc wzroku, usłyszał odgłosy koni, odległy śmiech. Z niewiadomego powodu mrówka go zafascynowała. Uciekła po jego kciuku, weszła na kamień i zniknęła w trawie. Ale tam, gdzie jego kciuk leżał na popękany kamieniu, w cieniu własnego ciała, dostrzegł maleńką płaskorzeźbę wyciętą w kamieniu jak znak kamieniarza: delikatną rozetę.

Stylizowana róża, widoczna wszędzie w ruinach, została wykuta w typowy dla Dariyańczyków sposób: siedem okrągłych płatków wokół okrągłego wnętrza. Złapał ramię na szyi, wyciągnął sakiewkę i otworzył ją. Choć ostrożnie sięgał do wnętrza, i tak ukłuł się ostrym kolcem, gdy wyciągał różę ze skózanego ukrycia i kładł na dłoni, by na nią popatrzeć. Błyszczała, a jej płatki nie były ciemniejsze od krwi wzbierającej na kciuku.

Jego puls uderzał mu w uszach jak równy krok maszerujących w szeregu żołnierzy. Niemal widział ich na drodze, opływające go cienie, kierujące się ku nie znanemu przeznaczeniu. Wielki upierzony sztandar powiewał na czele, skręcając się na wietrze, a silne

podmuchy szarpały sztywne końskie kity na żołnierskich hełmach. Mieli ponure twarze, podobne do księcia Sanglanta, wysokie, płaskie kości policzkowe, rysy twarzy nie znane na ziemiach Wendaru i Varre. Między nimi poruszali się ludzie o znajomych rysach, jasnowłosi barczyści mężczyźni, wysoka kobieta o smolistej skórze, mężczyzna o ognistej rudej czuprynie, potężna kobieta z dłońmi poznaczonymi bliznami i skośnymi oczami. Wzdłuż szeregu jechała kobieta, wykrzykując rozkazy, słowa zachęty lub wieści. Ona też nosiła wypolerowaną zbroję. Długi do bioder, czerwony płaszcz obsyty futrem okrywał jej plecy, a na biodrze kołysał się krótki miecz. W prawej ręce trzymała pałkę, którą unosiła, wołając. Krótka pałka lśniła srebrzyście, wil się na niej złowieszczy smok. Była podobna do Sanglanta, potomka Zaginionych. Poprawiła się w siodle, zawróciła konia, światło odbiło się od jej malowanej tarczy, róży na srebrnym polu. Zamrugał, na wpół oślepiiony.

Cienie zniknęły. Została tylko Furia, pochylająca się nad nim, by polizać go po twarzy. Splunął, usiadł, ocierając ślinę z twarzy i rozejrzał się. Długie cienie ruin kładły się na polanie. Wszyscy inni odeszli. Nie miał pojęcia, jak długo tam klęczał. Schował różę do sakiewki.

Kiedy wstał, podeszło ostrożnie dwóch służących, trzymających się z dala od Furii i Smutka.

--Panie Alainie, hrabia nakazał was odprowadzić.

Skinął głową, wciąż oszołomiony. Przeprowadzili konie, a on musiał wymieść pajęczyny z pamięci, by przypomnieć sobie, jak się wsiada. Dokąd pojechała Tallia? Tak po prostu go porzuciła? Gniew wciąż płonął, tępy, ale dokuczliwy. Dlaczego była taka uparta? Dlaczego nie mogła go kochać?

Czy właśnie to nakazali Bóg, zalecając harmonię między mężczyzną i kobietą? Żeby jedno skłaniało się ku pragnieniom drugiego? Czy różnił się czymkolwiek od ojca Hugona, który stosował przemoc, by zmusić Liath, aby z nim spała? Przypomnił sobie przystojnego młodego męża margrabiny Judith. Nie wyglądał na szczególnie szczęśliwego. Czy tego właśnie pragnął dla Tallii? Aby podporządkowała się jego pragnieniom?

Nie. Nie było innego sposobu, jak tylko przekonać ją, by uczyniła, co należało, by zmieniła zdanie. Ale to zadanie było znacznie trudniejsze, niż kiedykolwiek podejrzewał.

Dotarli do fortecy Lavas o zmierzchu i gdy mijali bramę, zrównał się z nimi samotny jeździec.

--Panie! -- zawołał. -- Przywożę wieści z Varingii.

Głos brzmiał dziwnie znajomo. Przez chwilę Alain widział obcego, młodego mężczyznę o szerokich ramionach i jasnobrązowej brodzie. Potem go rozpoznał:

--Julien?

Młodzieniec zaczerwienił się i wyjąkał:

--P... panie Alainie! -- powiedział to niezdarnie, jakby ćwiczył słowa, które nie przychodziły z łatwością.

--Nie spodziewałem się ciebie tutaj -- rzekł Alain głupio.

--Jestem zbrojnym na służbie diuszesy Varingii.

Zbrojnym. Miał konia, skórzaną kurtkę, hełm zsunięty na plecy, tarczę z varingijskim ogierem zwisającą z siodła i oszczep. Bel nigdy nie wyposażyla by tak Alaina; Henri obiecał przybranego syna Kościolowi. Roześmiał się nagle. Jak może być takim durniem, by zazdrościć Julienowi albo chować urazę, że dobrze mu się wiedzie?

Poklepał Juliena po ramieniu.

--Witaj, kuzynie. -- Teraz był dziedzicem hrabiego; mógł sobie pozwolić na dobroduszość

-- był do niej zobowiązany. -- Jak się mają Bel i Henri? Jak tam wszyscy?

Julien był wciąż zaczerwieniony i najwyraźniej zakłopotany, ale gdy odprowadzili konie do stajni, zaczął z ociąganiem opowiadać wieści rodzinne: Bel i Henri byli silni; najmłodsze dziecko Stancy zmarło na gorączkę, ale znów zaszła w ciążę; narzeczony Agnes przybył z nimi zamieszkać, ale pobiorą się dopiero za dwa lata; on sam miał na oku młodą kobietę, ale potrzebował pozwolenia diuszesy Yolande, by się ożenić.

Weszli do sali, gdzie zaczęła się wieczerza. Służący szedł przed nimi, a lokaj zbliżył się, by pokazać Julienowi miejsce.

--Nie owsianka i piwo! -- powiedział Alain, widząc skromny posiłek stawiany przed Julienem. -- Przynieście coś z hrabiowskiego stołu! -- Na Boga! Nie pozwoli, aby Julien gadał ciotce Bel, że Alain potraktował go jak zwykłego sługę i nakarmił czymś takim! Został wystarczająco długo, by dopilnować, by Julienowi przyniesiono wino, dziczyznę i inne przysmaki z kuchni, zazwyczaj zarezerwowane dla hrabiowskiego stołu. Potem usiadł przy ojcu, służący obmył jego twarz i dłonie, a on z wdzięcznością wychylił puchar wina.

--Kim jest ten człowiek -- zapytał Lavastine -- którego obdarzyłeś takimi łaskami?

--To mój kuzyn Julien, to znaczy, nie mój kuzyn. Jest najstarszym synem Belli z wioski Osna, kobiety, która mnie wychowała. Zawsze traktował mnie jak kuzyna.

--Dlaczego tu jest?

Wstrząs, wywołany widokiem Juliena, wyparł wszystkie inne myśli.

--Służy diuszecie Varingii. Przyjechał z jej sprawą. Nie wiem jaką.

Tallia pociągnęła go za rękaw, a gdy się ku niej pochylił, wyszeptwała:

--Dostałeś ataku. Nie powinieneś być dotykać żaby! Błagałam twego ojca, by pozwolił diakonowi opryskać cię wodą święconą i odprawić egzorcyzmy, ale odmówił!

--Mój ojciec wie, co robi. -- Tallia nie powinna krytykować jego ojca, skoro nie miała o niczym pojęcia; Lavastine specjalnie trzymał kapłanów z daleka od Alaina, gdy tego ogarniały wizje. Zirytowany Alain uwolnił się z jej uchwytu i sięgnął po puchar z winem, by powstrzymać się od jakiejś szorstkiej uwagi.

Kiedy tylko Julien skończył posiłek. Lavastine wezwał go, by przekazał wiadomość.

Julien dobrze się zachował. Alain nie musiał czuć się zażenowany pokrewieństwem, zresztą dlaczego miałby? Bel pilnowała, aby wszyscy, których wychowała, mieli dobre maniery.

--Panie hrabio. Panie. Pani. -- Kolejno kłaniał się Lavastine'owi, Alainowi i Tallii. -- Przyjeżdżam z polecenia Yolande, diuszesy Varingii. Pozdrawia was, hrabio Lavastine i przesyła pozdrowienia swej kuzynce, Tallii z Varre. Za dwa tygodnie przyjedzie tu osobiście przekazać pozdrowienia i przywieźć podarunki z okazji ślubu pani Tallii i pana Alaina. Jej najszerszym pragnieniem jest świętować Mateusze wraz z kuzynką, aby mogły modlić się w spokoju.

„Kuzynka”. Julien już nie był jego kuzynem. Zrozumiał to teraz, gdy Lavastine powiedział Julienowi, że rankiem może odjechać do swej pani i powiedzieć jej, że wszystko będzie gotowe na jej przyjazd. Julien nie zwlekał i udał się w przeciwny kąt sali, gdzie zgromadzili się wokół niego zbrojni i służące, by wysłuchać wieści z odległych krain. To nie było już miejsce dla Alaina. Zawadzałby tylko, gdyby spróbował porozmawiać z Julienem.

--Zaczyna się -- rzekł cicho Lavastine. Uśmiechał się leciutko. -- Skoro mamy łup, gromadzą się szakale.

Łup.

Wcześniej nic to dla Alaina nie znaczyło: łupy, sojusze, więzy krwi. Ale teraz stało się jasne: krew i ranga Tallii przyciągną ich do Lavas jak muchy do miodu. Tallia nazwała się pionkiem, ponieważ potężniejsze ręce przesunęły ją tam, gdzie nie chciała się udać, ale w zeszłym roku nauczył się zasad gry w szachy. Figury zwane Lwami, nazywano też pionkami, ponieważ były zbrojnymi, zrodzonymi z ludu i można je było wykorzystać: jak Julien. Ale Tallia nie była pionkiem. Była wnuczką królów i królowych.

W grze w szachy czyniło to z niej Władczynię.

3.

Podróż po zrujnowanej drodze była trudna dla koni. Anne skierowała ich na złą odnogę w labiryncie leśnych ścieżek i musieli wracać po własnych śladach tylko po to, by przekonać się, że kamienie na starym dariyańskim szlaku ukryte były pod warstwą mchu i ściółki. Przypadkowo spotkany leśnik, zaskoczony ich widokiem, powiedział, że wioska Krona leżała kilka mil przed nimi, a Anne przytaknęła, jakby się tego spodziewała. Cztery mile dalej jeden z jucznych mułów upadł i zdechl, zamęczony.

Tej nocy biwakowali z dala od trupa, ale Anne wysłała sługę, by nad nim czuwał. Gnębiła ich ohydna pogoda, a teraz siąpiło. Liath skręciła sobie kostkę, gdy poślizgnęła się przy zsiadaniu z konia, ale radziła sobie z nieszczęściem, popadając w coraz głębsze milczenie. Szczerze mówiąc, Sanglant był z tego zadowolony. Znał żołnierzy, którzy cierpieli na głos, i takich, którzy cierpieli w milczeniu, i choć wiedział, że Bóg zobowiązał ludzi do współczucia, wolał cichych cierpiących.

Teraz kucal przy ogniu, który starał się podsycać mimo deszczu. Wcześniej na brzegu strumienia zebrał liście babki. Gotowały się teraz we wrzątku. Od tyłu podeszła Anne. Miała niezwykle chód, zdecydowany, jakby wiedziała, dokąd zmierza, ale lekki, jakby uważała, by nie zostawiać za sobą śladów. Jej szaty pachniały olejkiem różanym.

--Znasz się na ziołach, książę Sanglancie? Sądziłam, że jesteś wojownikiem.

--Wiem co nieco -- odparł ostrożnie. -- Zawsze rozsądnie jest obserwować i uczyć się tego, co pożyteczne. Potrafię opatrywać rany i leczyć kilka przypadłości, takich, które zdarzają się podczas kampanii.

Zadała mu kilka pytań i był zaskoczony, przekonawszy się, że wiedział o ziołach więcej niż ona. Jej wiadomości zdawały się pochodzić z drugiej ręki, jakby spędziła trochę czasu z kimś, kto się znał na ziołach, ale nigdy naprawdę nie słuchała jego nauk. Nie obchodziły jej. Teraz zaś interesował ją zakres jego wiedzy, nie zaś jej tajniki, które zebrał podczas wielu lat obserwowania, słuchania i zadawania pytań zielarkom, znachorom i podobnym uzdrowicielom podróżującym z armiami.

Liath obwąchała miksturę.

--Babka -- rzekła zdławionym głosem, po czym zamknęła oczy i wessała powietrze, gdy nakładał kataplazm na kostkę. Usiadł za nią, by oparci plecami wspierali się wzajemnie. Przestało padać, ale od czasu do czasu kilka kropel niesionych wiatrem opryskiwało mu twarz. Pies powęszył trochę wkoło, po czym padł obok niego. Był taki chudy i chyba nie nabierał sił. Czasami czuł się jak nić ciągnąca zwierzę naprzód, bez której padłoby i zdechło.

--Tato zawsze powtarzał: babka na skręcenia i bóle -- mruknęła Liath. -- Ludzie, gdy chorowali, zawsze do niego przychodzili. Nigdy nie zwracałam uwagi na to, ile wiedział.

Sanglant zamknął oczy. Było mu wygodnie z nią jako przeciwwagą na plecach. Jego palce przesunęły się po psich uszach. Jego sierść była taka dziwna, nieprzyjemna jak futro prawdziwego psa, tylko szorstka i sucha. Nieważne. Zaskomlał, machając ogonem, gdy Sanglant drapał go po łbie. Czuł, że zasypia, wyobraził sobie swą świadomość jako sznur, którym przywiązywał psa, jak on był przywiązany do ojca niewidzialną nicią, która lśniła lekko w świetle gwiazd. Ale ta spajająca nić wiała się dalej, dalej, do miejsca, którego nie pamiętał, ale czuł w biciu swego serca, tak cienka, że musiał ją raczej wyczuwać i słyszeć, niż widzieć, więzy utkane z zewu krwi.

Kobieta idzie duktem. Światło i cień sprawiają, że jej odzienie zdaje się dziwne, nieziemskie: kurta podobna do tych, które noszą Qumanowe, postrzępiona spódniczka z cienkiej jasnej skóry. Jej włosy zdobią pióra i paciorki. Obok niej idzie brudny mężczyzna, prowadząc konia. Ona zatrzymuje się, jakby węszyła, podnosi swój oszczep o kamiennym ostrzu, potrząsa nim raz, drugi.

Stęknął, budząc się i widząc ogień strzelający iskrami obok nich.

--Jestem lepsza w kontrolowaniu ognia -- powiedziała. -- Dobrze, że jest mokro. Wilgoć jest jak tarcza...

Na myśl o żołnierzach zostawionych w Werlidzie zalała go taka żalność, że skrzywił się i wstał.

--Co się stało?

--Muszę się przejść.

Poszedł tam, gdzie przy drodze leżał muł. Zdjęto z niego tobołki i przeniesiono na biwak. Upadł obok kamienia milowego, małego bloku granitu ledwo wystającego ze ściółki leśnej. Dotknął palcem wykutej na nim cyfry. W wyrzeźbionych znakach zadomowiły się porosty. Na szczycie kamienia rósł mech, tworząc czapeczkę, miękką i wilgotną. Martwe zwierzę lekko cuchnęło i otaczała je poświata znamionująca obecność jednego ze sług, który pochylał się nad nim badawczo, jakby nigdy wcześniej nie widział śmierci i nie wiedział, jak sobie z nią poradzić.

Rankiem Anne i sługi przenieśli juki padłego muła na wierzchowca Anne, która twierdziła, że pójdzie, nawet gdy Sanglant zaproponował jej Resuelto.

Droga była trudna. Korzenie rozerwały część starego bruku; woda i lód zniszczyły resztę. Liath została na koniu i nie narzekała. Wreszcie las się otworzył i za rzeką ujrzeli dym, który oznaczał bliskość wioski. Stary most rozpadał się, brakowało desek. Sanglant rozejrzał się po brzegu, ale nie znalazł łodzi i w końcu zaproponował, że przeprowadzi konie i muły pojedynczo. W niektórych miejscach musiał zsuwać deski razem. W innych po prostu kładł na dziury swą tarczę, by zwierzęta mogły przejść. Przeszedł tak na drugą stronę. Nie widział ani śladu sług, ale jedna drażniąco dmuchała mu w ucho.

Stara droga rozwidlała się ostatni raz przed wioską i Anne wybrała odnogę, która omijała pierwsze poletka.

--Nie jedziemy do wioski -- powiedziała Anne, gdy się sprzeciwił. Był zmęczony, mokry, głodny i tęsknił za ogniem. Ale znów zanurzyli się w las, przedzierali się przez teren poznaczony kamiennymi nawisami. Stara droga wila się wśród nich, niekiedy podpierana lukami, pełna zakrętów. Późnym popołudniem dotarli do grani. Wiatr wiał nieustannie i porwał zasłonę chmur, niebo poznaczone było niebieskimi plamami na szarobiałym tle. Parli po odkrytym trakcie, zdawało się, godzinami. Podłoże było okropne: luźne skały, kamyki, śliski mech. Po prawej leżała głęboka i wąska dolina pełna drzew. Wreszcie droga opadła ku zagłębieniu w grani, gdzie stało dziewięć kamieni, jeden mocno pochylony. Pozostałe były szerokie i mocne, ciemne, pokryte porostami. Dawno przestało padać, a większość chmur popłynęła na północny zachód, ale na tej wysokości wiatr dał ostro. Anne naciągnęła kaptur i ruszyła tam, gdzie od drogi odchodziła ścieżka, wijąca się wzdłuż zbocza i znikająca wokół kamieni.

Rozbili obóz przy koronie gwiazd, nieco osłonięci od wiatru. Liath jęknęła, opierając ciężar ciała na skręconej stopie, ale już mogła chodzić. Sanglant pieczołowicie nałożył kolejny kataplazm. Uwielbiał jej dotykać, choćby tylko wcierając maść w spuchniętą kostkę. Było cicho,

wiał tylko wiatr. Za cicho.

Nagle podniósł wzrok, wstał i wsłuchał się.

--Sługi zniknęły.

--Nie mogą wejść do sal z żelaza -- odparła Anne. -- Wrócą inną drogą. My musimy poczekać na noc. Oto jest miara ciemności, która kała nas tak długo, jak żyjemy na ziemi: możemy ujrzeć świat nad nami tylko wtedy, gdy otacza nas noc.

--Nie rozumiem, o czym mówisz.

--Sztuka matematyków -- powiedziała nagle Liath. Od incydentu na rozdrożach niemal się nie odzywała do matki. Zamknęła oczy, a jej wyraz twarzy oznaczał, że sobie przypomina, „szuka w mieście pamięci”, jak mówiła. -- „Geometria gwiazd” -- rzekła wolno, jakby cytowała. -- „Poprzez ich zmienne połączenia matematyk może ściągnąć moc z najwyższych sfer w dół, do sfery pod księżycem”. Kamienne kręgi są bramami, które zbudowano dawno temu, jeszcze przed Imperium Dariyańskim. Tato opowiadał o takich ścieżkach. Ale nigdy ich nie używał.

--Nie miał albo wiedzy, albo siły -- powiedziała Anne. -- Nie był wystarczająco cierpliwy. -- Wydawało się, że powie coś jeszcze, ale umilkła.

--Były zbyt niebezpieczne -- odparła Liath. -- Mogą cię tam znaleźć, zupełnie jak w wizji w ogniu.

--Kto może cię znaleźć?

--Każdy, kto cię szuka. Jeśli to brama, to każdy, kto przez nią widzi, może ją również przekroczyć. Prawda?

--Wiele stworzeń spaceruje czasami po ziemi, to prawda, a niektóre posiadają zdolność przejścia w miejsca, do których nie zdołają dotrzeć ludzie. Te korony to bramy, ale nie tylko dla stworzeń z odmiennej substancji niż my, nie tylko dla ludzi, którzy wielkim wysiłkiem opanowali sztukę matematyków. Istnieją też inni, znający czary i praktykujący je dla własnej korzyści, ponieważ te bramy otwierają się na odległe miejsca, nawet poza rozumianą przez nas ziemię. Czy Bernard nigdy ci nie mówił, co jeszcze chciało użyć tych bram dla własnych celów?

--Sama się dowiedziałam, gdy ujrzałam demona -- rzekła gorzko. -- Słyszałam jego głos, wołający mnie... -- A potem nagle jej wyraz twarzy się zmienił; pomyślała o czymś innym, nie o demonach, o czym nie chciała mówić. Nigdy nie posiadała sztuki ukrywania swych myśli; dla niego była przezroczysta. To była jedna z tych rzeczy, które tak go w niej pociągały, impulsywność, jakby nie mogła się opanować.

--Zaginieni -- powiedziała Anne. -- Oni szukają bram. -- Odwróciła się od Liath. -- I co, książę Sanglancie? Czy podążysz z nami, kiedy zapadnie noc i otworzymy bramę?

--Zaginieni -- powtórzył oszołomiony, wiedząc, że gada jak dureń. -- Ale oni odeszli. Zniknęli dawno temu, jeszcze przed starym Imperium. Dawni Dariianie, cesarze i cesarzowe, nie byli nawet prawdziwymi elfami, tylko mieszkańcami.

--Jak ty.

--Jak ja -- odparł ostro. -- Jednakże Aoi odeszli tak dawno temu, że może są jedynie legendą.

--Wszyscy prócz twojej matki?

Ugryzł się w język, powstrzymując gniewną ripostę. Na tym polu miała przewagę. Wiedział, kiedy zamilknąć.

--Ale dokąd poszli? -- zapytała Liath. Nagle Sanglant pojął, co skrywał jej wyraz twarzy: nie chciała, by jej matka dowiedziała się, że rozmawiała z czarownikiem Aoi, że przeszła przez jedną z bram i wróciła. Dokąd się wtedy udała?

--Rzeczywiście, dokąd? -- Anne powtórzyła pytanie Liath. -- W Vernie, gdzie posiadamy pewne zabezpieczenia, zobaczysz, jakie odpowiedzi znaleźliśmy.

Nadszedł zmierzch, a z nim gwiazdy, jak wykrzykniki, niewidzialne, nie wypowiedziane, a potem objawiające się niespodziewanie. Anne wstała, poprawiła szaty i ujęła wodze muła. Sanglant pośpieszył, by przyprowadzić Resuelto i drugiego muła, Liath zaś jechała z tyłu. Przed wejściem w kamienie Anne uklękła i zaczęła kreślić na piasku diagram, używając laski, by wyrysować kąty i linie. Po chwili wstała i spojrzała najpierw na niego, a potem na Liath.

--To może uszkodzić wam wzrok -- powiedziała wreszcie i wyjęła materiał, którym zamierzała zasłonić im oczy.

--Ale ja chcę się dowiedzieć...!

--We właściwym czasie, Liath. Nie chcesz oślepnąć, prawda?

Liath parsknęła, ale Anne czekała, aż stało się jasne, że jeśli nie osiągną zgody, nigdzie się tej nocy nie udadzą. Sanglant musiał przykucnąć, by Anne zawiązała mu opaskę na oczach. Ustawili się w skomplikowany wzór: jeden juczny muł na przedzie, przy Anne, za nim Sanglant trzymający Resuelto, Liath na wałachu, dzierżąc wodze drugiego muła i kłaczy. Czekali. Słyszał, jak laska Anne szura na piasku. Ziemia zadrżała. Pies zawył, kładąc uszy po sobie. Koń zarżał nerwowo, ale muły stały uparcie, czekając, aż wszystko się skończy. Wydawało mu się, że nawet przez opaskę dojrzał błysk światła.

Niespodziewanie muł się poruszył. Trzymał jedną ręką jego uprząż, drugą wodze Resuelto i udało mu się nie potknąć o kamienie. Ziemia zakolysała się pod jego stopami, dezorientując go. Nocne powietrze było delikatne jak wiosną. W uszach mu szumiało i minęła chwila, zanim zrozumiał, że słyszał głosy takie jak sług, ale wiele i wszystkie gadające naraz.

Otarły się o niego jakieś kształty. Uszczypnęły go palce. Natychmiast zdarł opaskę. Nocne niebo jaśniało, nie było ani śladu chmur, tylko potężne ciemne połacie, które okazały się górami. Ścieżką podążały trzy postacie, by ich powitać, ale nie widział ich twarzy. Gdy się zatrzymali, Anne ruszyła, by z nimi pomówić. Widział blask i taniec eterycznych duchów, które krążyły wokół niego, umykając przed Liath.

--Ściągnęła moc z tego, co odczytała w niebiosach i otworzyła przejście -- wyszeptała Liath. Ona też ściągnęła opaskę. -- Tato mówił o tym, ale nigdy nie próbował. Czasami sądziłam, że to była wymyślona przez niego historyjka. Ale to prawda. Istnieją nici utkane między duszami i gwiazdami. Mądra Pytia mówiła, że jeśli posłuchasz uważnie, usłyszysz pieśń obracających się sfer. Każda wydaje inną nutę, różniącą się od innych, wiecznie się zmieniających. Nieskończona melodia.

--Cicho -- rzekł łagodnie. -- Słyszę je.

--Muzykę sfer? -- Słuchała w napięciu, ale najwyraźniej usłyszała jedynie delikatne odgłosy wiatru i zwierzętek buszujących w liściach.

--Sługi.

Puściła wodze konia, pozwalając mu zanurzyć pysk w bujnej trawie i dotknęła łokcia Sanglanta; zaczęła mówić, rozglądając się, próbując ich dojrzeć. Ale dotknął palcem ust i uciszył ją.

I słuchał.

Ich głosy powoli stały się wyraźne, a może to tylko ci, którzy z nimi podróżowali, modulowali swój ton, by zaczął ich rozumieć.

--Gdzie jesteśmy? -- wyszeptał.

Ale odpowiedziały jedynie:

--Wiosna.

Były bardzo podniecone, zbliżały się, odskakiwały, po chwili zawsze wracały. Otaczały ich w tańcu, który nie był tańcem, majaczącym w świetle gwiazd.

Nagle wszystko stało się jasne, nie słowa, ale sposób, w jaki pod pływały, próbując dotknąć Liath, ale bojąc się czegoś w niej, ostrożne, lecz ciekawskie, przyciągane tą ciekawością tak jak sługa pochylający się nad padłym mulem. Przyciągało je coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyły, co było obce im, uformowanym poza ziemią.

Roześmiał się z naglej, dzikiej radości i przyciągnął do siebie Liath, by wyszeptać:

--Mówią, że nosisz w sobie dziecko.

4.

Zachariasz szturchnął wypatroszone i oskórowane wiewiórki i patrzył, jak wycieka z nich przejrzysty płyn.

--Możemy jeść.

Tej nocy obozowali w pobliżu strumienia, pod drzewami, które wyrosły na kupie kamieni: schronienie, obrona, woda. Po raz pierwszy od wielu dni pozwoliła Zachariaszowi rozpalic ogień, gdy polowała na wiewiórki. Od spalonej wioski, którą minęli wiele dni temu, nie widzieli ani śladu Qumanów. Kiedyś, jako zakonnik, liczył dni i zawsze wiedział, któremu świętemu śpiewać prymę i nieszpory. Teraz obserwował wschody i zachody słońca, to wszystko. Dzisiaj był dzień jak inne letnie dni, przyjemniejszy, bo nie został zabity i zdekapitowany przez wrogów.

Ukucnęła obok i wzięła sobie większą część pierwszej wiewiórki, jak zawsze. Nie miał o to żalu.

--Zawsze oglądasz się za siebie -- zauważyła. -- Jesteś księciem wśród swego ludu, i dlatego Qumanowie tak cię ścigają? Nie wyglądasz mi na księcia.

--Jestem synem i wnukiem wolnych chłopów -- rzekł dumnie. -- A nie panem.

--To dlaczego Qumanowie cię chcą?

--Byłem wśród nich niewolnikiem, ale publicznie wyśmiałem wodza wojennego z klanu, który mnie trzymał, mężczyznę zwanego Bulkezu. Wyśmiałem go przed *beghiem* - wodzem -- sąsiedniego klanu, przed jego żonami i córkami. Źle, jeśli coś takiego zrobi mężczyzna, ale ja... Bulkezu nie może puścić tej zniewagi płazem.

Oblizła palce i usiadła.

--Nie jesteś mężczyzną? -- Tłuszcz sypwał z piekącego się mięsa i syczał na węglach. Nie odpowiedział. -- Ach -- rzekła nagle. -- Nie masz męskości. Męskiego członka. Nie wiem, jak się nazywa w tym języku.

Czy to ogień palił mu twarz, czy wstyd?

Kiedy zrozumiała, że nie odpowie, wzruszyła ramionami i zajęła się liczeniem zapasów, które im zostały: trzy twarde, ciemne bochny, pięć pasów suszonego mięsa, dwie torby fasoli i groszku, blok soli wielkości dłoni i rzepy, które śmierdziały zgnilizną.

--Nigdy nie powiedziałaś mi swego imienia -- rzekł rozgniewany. -- Znasz moje.

Powiedziałem je, gdy się spotkaliśmy. Ale nigdy nie odwzajemniłaś się swoim.

Jej uśmiech zdradzał jednocześnie groźbę i rozbawienie.

--Odwzajemniłam? Za co?

--Za mą służbę!

--Służbę dałeś w zamian za życie, które uratowałam przed mężczyzną zwanym Bulkezu. -- Uniosła jeden z buklaków zabranych ze spalonej wioski, ten, w którym jeszcze był jablecznik. Odkorkowała go, naląła sobie trochę na dłoń i zlizwała, krzywiąc się, jednak pociągnęła łyk i podała buklak Zachariaszowi. Uderzenie idącego do głowy smaku oszołomiło go i dodało odwagi.

--To prawda, że nie mam ci co dać prócz... -- Jego wzrok spoczął na jej spódniczce; wzdrygnął się i mówił dalej. -- ...Prócz mej wiedzy o Wendarczykach. Nie jest dla ciebie nic warta, bo już wśród nich podróżowałaś, tak się przynajmniej wydaje. Ale podanie swego imienia byłoby zwykłą uprzejmością, skoro tak długo razem podróżujemy.

--Uprzejmością? A co to jest uprzejmość?

--Obyczajem mego ludu jest wymienianie imion -- rzekł w końcu. Irytowało go, że wiedziała o nim więcej niż on o niej. Ale nigdy nie będą sobie równi, nigdy.

Kobieta schowała zapasy do juków, zostawiając tylko jeden bochenek, który rozłamała, ukazując wilgotne, miękkie, ciemne wnętrze. Spróbowała, skinęła głową i podzieliła bochen na pół, dała jedną część Zachariaszowi, po czym usiadła na piętach, żując. Zachariasz zdjął z rożna drugą wiewiórkę i jedli w ciszy, a ogień gasł i zmieniał się w węgielki.

Odpowiedziała nagle:

--Między mym ludem znana jestem jako Ta-Która-Jest-Niecierpliwa. Wendarczycy znali mnie jako Tę-Która-Jest-Odmienna.

--Jak mam cię nazywać?

Oblizła tłuszcz z kciuka, po czym przeciągnęła nim wzdłuż szwu na spódnicy, gdzie tłuszcz utworzył ciemną plamę.

„Kto żył kiedyś w tej skórze i jak ją stracił?” Jej oczy lśniły ostro jak szmaragdy.

--Ta-Której-Życzenie-Jest-Rozkazem.

--Nie masz prawdziwego imienia? -- Wielość tytułów zakłopotła go.

--Imieniem nazywają mnie tylko inni ludzie. Ponieważ dla każdego jestem czymś innym, mam wiele imion.

--A jak nazywasz siebie?

Uśmiechnęła się. Miała wyjątkowo piękne zęby, białe i proste.

--Ciebie nazwę Bystrzejszy-Niż-Na-To-Wygląda. Nie potrzebuję się nazywać, ponieważ znajduję się w swoim ciele. Ale jeśli potrzebujesz tytułu, możesz mnie zwać Uapeani-kazonkansi-a-lari, chyba że twój język tego nie wymówi, to Kansi-a-lari.

Temu wyzwaniu mógł sprostać. Zawsze był dumny z giętkiego języka.

--Uapeani-kazonkansi-a-lari. -- Zająknął się, powtórzył, potem wyrzekł po raz trzeci, gdy poprawił wymowę. Czwarty raz wypowiedział imię wystarczająco dobrze, by ją zadowolić; roześmiała się.

--Doskonale, Bystrzejszy-Niż-Na-To-Wygląda, rozpal ogień.

Patyki i gałązki, leżące w okolicy, łatwo było zebrać. Mrok ledwie stał się nocą, gdy dołożył drewna i patrzył, jak ogień się rozpala. Zakolysała się na piętach, wyciągając dłonie. Płomienie podniosły się, skoczyły i zlały w portal. A w nim:

Ogień.

Nic więcej, tylko ogień. Żadnej męskiej postaci, którą widzieli wcześniej.

Kansi-a-lari wymamrotała słowa podobne przekleństwu. Splotła palce, czyniąc z nich siatkę i przez nią, jak poprzez zasłonę, spojrzała ponownie na ogień. Zachariasz widział jedynie ogień, jak przez welon. Wypowiedziała kolejne słowo. W ogniu ożywiły się kształty. Lord jechał na pięknym koniu na czele potężnego orszaku. Miał siwiejące włosy i brodę, mężczyzna w kwiecie wieku. Przed nim łopotały sztandary: orzeł, lew i smok.

--Król! -- wyszeptał Zachariasz w zachwycie; nie widział wcześniej króla, ale rozpoznał jego znaki.

Ale ona zmarszczyła czoło, wypatrując kogoś innego.

--Są-głą -- powiedziała bardziej rozkazującym tonem, ale obraz zniknął, ogień zatańczył i zamigotał. Wypowiedziała następne słowo i w ogniu pojawiły się cienie, wyostrzając obrazy: *Martwy pies leży zwinięty wśród liści. Żebra lśnią białą na tle gnijącej, czarnej sierści. W*

jego brzuchu zije dziura w miejscu, gdzie coś wyżarło mięso -- a może przeżarło się na zewnątrz.

**Mężczyzna w szatach kleryka siedzi w zaciemnionym pokoju. Ma gładki podbródek i krótkie włosy mężczyzny oddanego Kościołowi, a włosy te są złociste, jakby czarownik utkał je z czystego metalu. Jego dłoń drży, gdy dotyka zapisanej płachty pergaminu leżącej przed nim na stole. Wizja jest tak wyraźna, że Zachariasz może odczytać słowa: „Do matki Rotgardy z klasztoru Świętej Walerii od siostry Rosvity z Korvei, rezydującej w królewskiej scholi, wiadomość tę dostarcza ma zaufana towarzyszką Amabilia z Leon. Błagam Was, matko, abyście wraz z siostrą Amabilią udały się do Autunu. Jesteście potrzebna, by zeznawać o wydarzeniach...”
Mężczyzna uśmiecha się, odsłaniając ułamany ząb - jedyną skazę swej urody. Składa pergamin. Pod nim leży brązowy Krąg Jedności. Plami go zaschnięta krew. Mężczyzna unosi go i obraca na łańcuszku, a wizja obraca się i rozkłada w coś innego...**

Dziwny brązowy mężczyzna przyciska do siebie kolana. Ma kształty człowieka, ale nie przypomina żadnego człowieka, którego Zachariasz widział. Jego włosy lśnią jak polerowana kość, skóra ma łuskowatą teksturę węzowego ciała i jest nagi jak dzikus, prócz kawałka szmaty zawiązanego wokół kościstych bioder. W jednej ręce trzyma laskę. Kawalkiem ostrego obsydianu wycina w drewnie znaki, a potem zanurza pióro w małym naczyniu z ochrą i zamalowuje znaki na czerwono. Zbiera razem wiele drobiazgów, wiąże je i wpycha do wnętrza wydrążonej laski. Od czasu do czasu kołysze się na piętach i odrzuca głowę -- Zachariasz nic nie słyszy -- i wyje, triumfalnie lub z bólu. Powierzchnia wizji się marszczy, pojawia się cień wielkich kamiennych figur i krąg gładkiego piasku...

...i lecą ponad stepem, na pograniczu, gdzie mieszkają gryfy. Trawa jest wyższa od człowieka, wyższa nawet od żony wodza w jej ozdobnym czepcu. Kiedy pikują w dół, trawa się rozstępuje, wygląda z niej twarz pomalowana na zielono i białe, ma wielkie ciało. Łopoczą skrzydła. Leci strzała, ostra, zabójcza, wycelowana prosto w serce.

--Hai! -- wrzasnęła Kansi-a-lari, odskakując i klaszcząc w dłonie raz, drugi, jakby dźwięk mógł ją osłonić.

Ogień huknął i zapadł się w siebie. Nocne ptaki umilkły. Księżyc w wodach strumienia drżał. Wstała. Nawet w słabym blasku księżycy widział, że jej twarz była niezwykle ponura.

--Zniknął mi z oczu. -- Patrząc na niego jak myśliwy na łanię, którą zje na kolację, cofnęła się, dotknęła noża, szykując się do szybkiego ciosu -- a potem zmieniła zdanie.

--Jutro pojedziemy na zachód. Do *churendo*.

--Co to jest *churendo*?

--Pałac spirali. Odwróciła się i odeszła w noc.

Wokół zaległa martwa cisza. Z nocnych odgłosów słyszał jedynie szum strumyka. Wreszcie ukląkł i pochylił się, by rozrzucić ogień patykiem, ale nie poruszył płonących gałęzi i czerwonych węgielków. Zaskoczony, położył dłoń na bladym popiele, przesunął go między palcami.

Popioły były martwe, jakby ogień wygasł wiele dni temu.

5.

Ivar nigdy nie widział tyle biskupin i prezbiterów w jednym miejscu. Król Henryk wyznaczył sobór na Mateusze, ale dwa dni, nim sobór się zebrał, zajęły spory o precesję i rangę -- kto wejdzie pierwszy, kto gdzie usiądzie. Teraz, czwartego dnia postępowania, wchodzili do sali, prowadzeni przez biskupinę Konstancję z Autunu, młodszą siostrę króla. Za nią szedł wyniosły prezbiter, którego arogancja obrosła legendą: ponoć nigdy nie rozmawiał z osobami, których matka nie była co najmniej hrabiną. W następnej kolejności biskupiny i prezbiterowie, których imion i miast Ivar nie potrafił zapamiętać, a na końcu szedł starszy już prezbiter o imieniu Hatto, któremu nie przeszkadzała obecność Ivara podczas laudy trzy dni wcześniej, i wreszcie młoda biskupina Odila z Mainni, która dopiero co otrzymała mitrę i pastorał.

Zgromadzone biskupiny i prezbiterowie zasiedli w półkołu naprzeciw królewskiego tronu. Kiedy już się umościli w swych złoconych i wyścielanych krzesłach, zabrzmiały rogi, oznajmiając przybycie króla. Wszyscy w kościele uklękli -- prócz siedzących kapłanów, którym godność nie pozwalała kłaniać się przed zwykłą ziemską władzą. Wszedł król Henryk, w pięknych szatach i koronie.

Ale czym było ziemskie piękno, skoro jedyna osoba, którą kiedykolwiek kochałeś, odeszła, nawet na ciebie nie patrząc? I to w ramiona innego mężczyzny! Nawet Hanna go opuściła. A lady Tallię zabrano. O Boże. Czymże było ziemskie piękno, skoro ich oczy pozostawały ślepe na prawdę? Trzymał się tej myśli, gdy król wezwał swego Orla i nakazał jej wyrecytować zarzuty: oskarżenie Hugona o czary, opata Firsebargu, oraz jego oskarżenie o czary niejakiej Liathano, byłego królewskiego Orla. Zazwyczaj panujący zostawiał takie rzeczy w rękach Kościoła. Ale wszyscy wiedzieli, że król Henryk miał powód, by nienawidzić kobiety, która skradła mu ulubione dziecko.

Biskupina Konstancja wstała, uniosła dłoń, prosząc o ciszę i niespokojni widzowie zamilkli wyczekująco. Ivar myślał z odrazą, że niewiele ludzi obchodziła sprawiedliwość i wygnanie czarnej magii z królewskiego dworu. Większość chciała smakowitych szczegółów.

Mocny alt młodej biskupiny niósł się łatwo nad tłumem:

--W roku trzysta dwudziestym siódmym od proklamacji Świętego Słowa przez błogosławionego Daisana, przed biskupiny i prezbiterów zgromadzonych na soborze w Kellai wniesiona została sprawa o czary. W swej mądrości starsi uznali, że Pan i Pani nie zakazywali tego, co potrzebne, więc biała magia mogła być praktykowana pod auspicjami Kościoła. Jednak sobór ogłosił też, że wbrew naturze ludzkiej są próby spoglądania w przyszłość i praktyki takie zostały potępione.

--Czy to prawda, że jutro wyjeżdżacie do Gentu, księżę panie?

Szept go rozstroił. Zirytowany obejrzał się i ujrzał Baldwina i księcia Ekkeharda, pochylonych jak złodzieje i zupełnie nie zwracających uwagi na obrady.

--To prawda. Mam wyjechać z dwunastoma nowicjuszami, którzy wraz ze mną wstąpią do klasztoru i z tym obrzydliwym lordem Atto, który będzie nas pilnował, jakbyśmy sami nie mogli o sobie stanowić! Szkoda że tak szybko się rozstaniemy, Baldwinie, gdyż wolę twoje towarzystwo od innych.

--Zaszczycacie mnie, mój panie. -- Baldwin miał zwyczaj uśmiechać się ślicznie, gdy czegoś chciał. -- Dwór będzie bez was ponurym miejscem. Jakich pieśni będziemy słuchać? Żaden z dworskich poetów nie ma waszego wspaniałego głosu i doskonałego ucha. -- Przesunął palcem

po uchu Ekkeharda, a oczy księcia powiększyły się. Baldwin się przysunął, wyszeptał coś, a Ekkehard wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego. Baldwin złapał księcia za rękę i pociągnął go ku wyjściu. Skinął na Ivara, ale ten z wściekłością wzruszył ramionami, odwrócił się do niego tyłem i spróbował przepchnąć przez tłum. Jak Baldwin mógł go opuścić, kiedy ważyły się losy Liath?

--Wszyscy dostaliśmy od Boga wolność, by robić lub nie to, czego pragniemy -- mówiła biskupina Konstancja. -- Nie jesteśmy tylko instrumentem wprawionym w ruch, by wykonywać wolę boską, ale raczej równi aniołom. Jednakże ciało bywa słabe, a pokusy tak pewne jak zachód i wschód słońca. Niektórzy członkowie Kościoła nie mogli się oprzeć pokusom Nieprzyjaciela i lubowali w mrocznej magii. Na soborze w Narvone, sto lat temu, takie praktyki zostały surowo potępione: sztuka matematyków, tempestarów, augurów, harolów i sortelegów, a także najstraszniejsza z nich, sztuka maleficusów, których imion nie wymówię na głos. Bądźcie pewni, że Nieprzyjaciel nadal kusi słabych duchem. Bądźcie pewni, że Kościół się ich pozbędzie. Przeprowadźcie oskarżonego.

Ivar syknął, widząc Hugona. Jego serce waliło jak młotem. O Pani! Jak pokornie wyglądał Hugo, bosy i odziany w prosty habit, przystający nowicjuszowi odprawiającemu ostatnie czuwanie. Ale proste brązowe szaty nie odbierały mu elegancji. Niektórzy pokutnicy golili głowy na ofiarę Bogu. Hugo nie pozbył się ani kosmyka ze swej pięknej głowy, tylko przyciął włosy. Pokornie ukląkł przed biskupinami, lekko skłaniając złocistą głowę -- ale nie za bardzo. Syn margrabiny nie mógł być zbyt służalczy.

Kleryk czytał z pergaminu:

--Oto oskarżenia postawione przeciw ojcu Hugonowi z opactwa Firseburg, dawniej z Austrii. -- Kleryk miał głęboki głos, niosący się po sali jak grzmot. -- Że praktykował czarną magię. Że miał w swym posiadaniu nieczyste teksty. Że w czarodziejski sposób próbował zamordować księżniczkę Theophanu...

W tłumie odezwał się pomruk, podniósł i ucichł. Odkąd Sanglant sprzeciwił się ojcu, nie było na dworze równie dobrego widowiska. Kiedy ludzie się poruszyli, Ivar użył łokci, by przepchnąć się do przodu.

--...oraz że na jej ciele umieścił pewne ligatury, by powalił ją elfi postrzał w postaci gorączki, która ją nieomal zabiła. -- Potem na głos odczytał trzy dokumenty: zeznanie księżniczki Theophanu podyktowane siostrze Rosvicie, zeznanie siostry Rosvity oraz list, jaki zesłej wiosny napisała do siostry Rosvity matka Rotgarda z klasztoru Świętej Walerii. Wreszcie opisał szkic broszy uformowanej na kształt pantery i ozdobionej pewnymi znakami i symbolami, która to brosza stanowiła tajemny podarek Hugona dla Theophanu.

--Jakiej odpowiedzi udzielisz? -- zapytała Konstancja, gdy kleryk skończył.

Głos Hugona był cichy, ale Ivar znajdował się wystarczająco blisko, by słyszeć. Miał taki piękny głos.

--Jestem winien ciężkiego grzechu. Pozwoliłem, by mnie skusilo to, co zabronione, i teraz klękę przed wami, błagając, byście wydali wyrok. Kiedy byłem młody, próbowałem pewnych zaklęć... -- Kręcąc głową, jakby wspomnienie było bolesne, mówił dalej. -- Ale zostałem sprawiedliwie ukarany i wysłany na północ, by w ramach pokuty pracować wśród tamtejszych ludzi, z których wielu nadal czci dawnych bogów. Tam, niestety, zostałem zauroczony. -- Wziął urywany wdech i przez chwilę nie mógł mówić. Brat Hatto pochylił się do przodu. Biskupina

Odila była zdenerwowana, a wysuszona biskupina z Wirtburga wyglądała, jakby właśnie odkryła gniazdo larw pod płatem smakowitej dziczyzny. W sali panowała absolutna cisza, gdy Hugo próbował się opanować.

--Boże, przebacz mi. Wciąż o niej śnię każdej nocy. -- Łzy spływały mu z oczu, gdy błagalnie patrzył na biskupiny i prezbiterów. -- Błagam was, bracia i siostry, uwolnijcie mnie od jej zaklęcia.

Jak mógł być tak piękny i tak obrzydliwy? Ivar z ochotą skoczyłby i przebił go mieczem, gdyby takowy posiadał.

Zacząli zadawać Hugonowi pytania, na które odpowiadał z wahaniem. Po raz pierwszy spotkał Liathano w Spokoju Serca. Jej ojciec Bernard był powszechnie uważany za mnicha, który złamał śluby i uciekł z Kościoła. Matka nie żyła. Nikt nie wątpił, że jej ojciec był matematykiem. Niechętnie występowali kolejni świadkowie, Orły, Lwy, służący, by poświadczyć, że często spoglądała w niebo i potrafiła nazwać konstelacje oraz ustalić drogę wędrujących gwiazd. Nawet Hathui wystąpiła i ze zmarszczonym czołem przyznała, że Liath wozila ze sobą księgę, którą starała się ukrywać.

--Siostra Rosvita twierdzi, że ukradłeś księżkę kobiecie zwanej Liath -- powiedziała Konstancja. -- Gdzie ona teraz jest?

Oczy Hugona rozszerzyły się w niewinnym przestachu.

--Siostra Rosvita! Drzę o jej duszę, Wasza Miłość. Swym własnym zeznaniem zdradza, że ona również została zauroczona przez maleficusa, ale nie zdaje sobie z tego sprawy.

--Co masz na myśli? -- zapytała biskupina Odila. Odezwała się po raz pierwszy. -- O co oskarżasz siostrę Rosvitę? Nikt nigdy nie miał powodu, by ją ganić!

--Czy to nie dowodzi, że mam rację? We własnym zeznaniu pisze, że wie o księżce, ponieważ ukradła ją ze skrzyni, której strzegli moi służący! O Boże, że też posunęła się do tego! Czy kradła dla siebie, gdyż lubuje się w złu? Nie. Zwróciła księżkę tej samej czarownicy, która rzuciła na nią zaklęcie!

Biskupiny zaczęły szeptać między sobą.

--Czy ta Liathano zaklęła również księżniczkę Theophanu? -- Konstancja była sceptyczna. -- Jeśli tak, to musiała się nieźle napracować. Dlaczego bowiem księżniczka miałaby cię oskarżać?

Skłonił głowę, odmawiając odpowiedzi. To jego matka wezwała kilku służących, którzy, jak to służba, zauważali każde najdrobniejsze, niezwykle wydarzenie. Księżniczka Theophanu była zazdrosna o siostrę i widzieli pewne oznaki, że czuła do Hugona nienaturalną pasję, którą on delikatnie usiłował osłabić. Odesłana do Sapientii, wspomniana Liathano nie ukrywała, jak bardzo nie lubiła swej pani; uważała się za równą królewskim siostronom, miała dziwne nawyki i była skryta, wyglądała inaczej, potrafiła czytać i pisać oraz posiadała dziwaczny i niepokojący zasób wiedzy. Siostra Rosvita zagadywała do niej i wydawała się zainteresowana, by dobrze się jej działo. Księżę Sanglant miał na jej punkcie obsesję. Większość mężczyzn, która ją widziała, pożądała jej, jakby rzuciła na siebie jakieś zaklęcie, by stawali się w jej towarzystwie bezradni.

Przez cały czas król obserwował i milczał.

--A co z wypadkiem w lesie? -- zapytał wyniosły prezbiter. -- Nikt nie podaje w wątpliwość, że strzelano do księżniczki Theophanu.

Ci, którzy byli przy incydencie, wystąpili. Wszyscy uznali, że bardzo dziwne było, że Orlica wykrzyknęła ostrzeżenie, podczas gdy nikt inny nie zauważył niczego podejrzanego, oraz to, że pierwsza dotarła do leżącej księżniczki. Czy był to znak jej niewinności? Czy też spisek, który się nie powiódł?

--A jaki powód miał Orzeł, aby zamordować księżniczkę Theophanu? -- zapytała Konstancja.

--A jaki miała powód, by spalić pałac w Augensburgu? -- rzucił cicho Hugo.

Król zadrżał.

--Co masz na myśli? -- zapytał ostro.

--To tak straszliwa historia, że waham się ją powtórzyć. Ale muszę. -- Hugo spojrział na matkę, która stała milcząca i poważna u boku Helmuta Villama i innych ulubionych towarzyszy króla. Skinęła lekko głową. -- Przyznaję, że czasami odczuwałem pokusy cielesne. Nie jestem świętym, który walczy z pokusą i wygrywa za każdym razem. Moja dusza jest splamiona ciemnością i bywały chwile, gdy ziemską żądza górowała nad wolą mej duszy. Kiedy księżniczka Sapientia podczas swej wędrówki przyjechała do Firseburgu i spędziła noc w hostelu, przyznaję ze wstydem, że ta noc zamieniła się w tydzień, a tydzień w dwa. Kłamstwem byłoby twierdzenie, że nie kusił mnie zysk materialny oraz jej... -- Dobierał słowa ostrożnie, wiedząc, że obok siedzi jej ojciec. -- Księżniczka Sapientia jest impulsywna i czarująca. Być może odczuwałem dumę, że to mnie wybrała, choć nie powinienem był ulec. Ale stało się i wróciłem z nią na dwór królewski. Wtedy wierzyłem, że uwolniłem się z zaklęcia, które więziło mnie w Spokoju Serca, lecz się myliłem. Ona tam była. A jej gniew był jak lanca, ponieważ gdy cię zaklęła, miałaś kochać tylko ją. Kiedy przekonała się, że mego szacunku i uczucia do księżniczki nie da się zniszczyć, podjęła bardziej drastyczne kroki.

Król wstał z tronu.

--Mów dalej.

--Pragnęła pozbyć się Sapientii i dziecka, które było znakiem mego uczucia do księżniczki. W Augensburgu rzuciła na wszystkich zaklęcie snu i choć z nią walczyłem, choć desperacko starałem się jej przeciwstawić, nadal byłem niewolnikiem podległym jej woli. Nie mogłem jej powstrzymać. Wzniciła ogień. Och, to straszne! Straszne! -- Urwał i całe zgromadzenie zaszepotało niby odległy płomień. Z widocznym wysiłkiem mówił dalej: -- Dobrze, że ocaliliśmy księżniczkę i większość obecnych w pałacu, choć gorzko żałuję tych, co zginęli. A jednak nie mogę powstrzymać myśli: co by się stało, gdyby tamtego dnia cały dwór przebywał w pałacu? Gdyby król się tam znajdował w tej straszliwej godzinie? Co wtedy?

Tłum wypuścił powietrze, a wielu ludzi było zbyt oszołomionych, by odezwać się do sąsiadów. Henryk ruszył na środek sali i stanął, spoglądając na Hugona, z ostrym i wściekłym wyrazem twarzy.

--Dlaczego nie wyjawileś mi tego w Augensburgu? Dlaczego utrzymano to w tajemnicy?

Hugo ukrył twarz w dłoniach.

--Nie mogłem! -- zawołał. -- Nie mogłem! Nie rozumiecie, jaką miała nade mną władzę!

Henryk zaciął wargi. Uniósł pięść, przycisnął ją do serca i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w złotą głowę Hugona. Nie odpowiedział, tylko odwrócił się ku Konstancji, jakby oczekiwał, że ona wyda wyrok.

Konstancja pokręciła głową jak ktoś, komu nie podoba się to, co usłyszał.

--Ale dlaczego księżniczka Theophanu, a zwłaszcza siostra Rosvita, miałyby oskarżać ciebie, ojciec Hugonie, a nie Orlicę Liathano? Siostra Rosvita jest mądra i przebiegła. Dlaczego zeznaje przeciw tobie? Jest również sprawa siostry Anny z klasztoru Świętej Walerii, która zniknęła bez śladu.

Coś błysnęło we wzroku Hugona, iskra gniewu, która szybko zniknęła.

--Siostra Anna z klasztoru Świętej Walerii zniknęła, gdy wróciła Liath. Kto wie, może uznała siostrę za zagrożenie dla siebie i pozbyła się jej? Ja nie wiem, ale obawiam się najgorszego.

--Siostra Anna miała ze sobą panterzą broszę, która zniknęła wraz z nią -- odparła Konstancja. -- Bez wątpienia w twoim interesie, ojciec Hugonie, leżało pozbycie się takiej ligatury, aby cię nie obciążała.

--To prawda -- zgodził się. -- Nigdy nie spierałbym się z waszą mądrością, Wasza Miłość. Ale inni mieli dostęp do mych rzeczy osobistych. Nie jestem jedyną osobą, która mogła wykonać ligaturę z broszy, której kształt zdradziłby właściciela, ponieważ pantera znana jest jako symbol marchii Austrii. A poza tym czy nie wysłano wiadomości do klasztoru Świętej Walerii? A jednak matka Rotgarda nie wysłała nikogo, by przeciw mnie zeznawał. Było wystarczająco dużo czasu, by taka osoba dotarła do Autunu, gdyby matka Rotgarda uznała, że jej zeznanie przeciw mnie jest niezbędne. -- Odwrócił się od Konstancji do Henryka i wyglądał niewinnie jak anioł. -- Co się zaś tyczy siostry Rosvity, nie wiem, jakie miała związki z czarownicą ani jak ta na nią wpłynęła. Gdybym tylko mógł ją ochronić... -- Zająknął się, a potem mówił z wysiłkiem: -- Ale byłem bezradny, niech mi Bóg wybaczą.

Bezradny! Pokorne słowo utknęło w gardle Ivara jak kamień. Z nagłą mdlącą pewnością zrozumiał, dlaczego margrabina Judith wyglądała tak spokojnie. Wiedział -- jakby spoglądał poprzez zasłonę czasu, używając zakazanych sztuk sortelegów, którzy szukali opowieści o przyszłych wydarzeniach -- jaki będzie wyrok soboru. Siostra Rosvita zawsze podróżowała z królem. Jej głos się liczył. Dlaczego wysłano ją z Theophanu na południe, do Aosty?

Wszystko stało się jasne. Hugo znów wygra.

--On kłamie! -- Ivar przepychał się naprzód, aż dotarł do miejsca, gdzie wszyscy mogli go widzieć. -- Byłem w Spokoju Serca! Dręczył ją ponad słuszną miarę! Uwięził ją, ukradł jej książki, by nie mogła spłacić długu, tylko dlatego, że pragnął jej dla siebie. To on chciał jej, a nie odwrotnie. Wszyscy w Spokoju Serca wiedzieli, że pożądał jej od dnia, w którym ją ujrzał!

Hugo jęknął z bólu.

--Książki! Ach tak, odebrałem je dziewczynie, na próżno próbując ratować jej duszę. -- Zwrócił się do biskupin. -- Czy nie jest obowiązkiem nas, służących Bogu, gromadzić w swoich rękach wszystkie przedmioty zakazanej magii, by je wysyłać do skoposy? Ale Liath była taka młoda. Skąd mogłem wiedzieć, że była już tak całkowicie zdeprawowana przez Nieprzyjaciela? -- Urwał. Zatoczył się i wyraz takiej rozpaczyny pojawił się na jego twarzy, że przez chwilę Ivar czuł litość. -- O Boże -- wymamrotał Hugo. -- Że też zabrała księcia Sanglanta.

Ivar widział twarz króla w chwili, gdy Hugo wypowiedział te brzemiennie słowa. To był jedynie moment, ale ogarnęło go lodowate przerażenie i przywiało stare wspomnienie, zapomniany cytat ze *Złota Hevelów*:

„Jej przeznaczenie rzucono przed nią niby kamienie na drogę, którą miała stąpać”.

--A z jakiego innego powodu Sanglant miałby uciec od tego wszystkiego, co mu

ofiarowałem? -- zaszeptał Henryk.

--Ale to nieprawda! -- krzyknął Ivar.

--On też ją kochał, biedny chłopiec -- rzekł Hugo, spoglądając na Ivara z takim szczerym współczuciem, że chłopak osłabł. -- Jego też usidlili.

Czyż nie było prawdą, że Liath tylko udawała miłość? Że nie dotrzymała warunków układu, jaki zawarli w Quedlinhamie? Mówiła, że mężczyzna, którego kochała, nie żył, i że nigdy nie pokocha innego, a jednak odwróciła się i odjechała z księciem.

Mimo że nienawidził Liath za to, że go opuściła, bardziej nienawidził Hugona. Nienawidził Liath, bo wciąż ją kochał. Hugo miał dla niego zawsze jedynie obelgi i kpiny.

--Nazywałem ją siostrą -- rzekł ochryple. -- I ożeniłbym się z nią, gdybym mógł, ale nie dlatego, że rzuciła na mnie urok.

--Jak ci na imię, synu? -- zapytała Konstancja, postępując naprzód.

Zadrzał pod spojrzzeniami tyłu oczu. Judith wpatrywała się w niego z nienawiścią. Tymczasem pojawił się Baldwin i dawał dzikie znaki dłońmi, jakby wysyłał wiadomość, ale Ivar był zbyt przestraszony, by odczytać słowa.

--Je... Jestem Ivar, syn hrabiego Harla i pani Herlindy z Północnej Marhi.

--To nowicjusz zatruty herezją, którego mam dostarczyć do klasztoru Świętego Walaricusa w marchii -- dodała głośno Judith.

Konstancja uniosła dłoń, nakazując ciszę. Miała spokojną twarz i zaskakująco jasne oczy. Jej usta wyginały się z niesmaku, jakby spróbowała czegoś nieprzyjemnego.

--Nie byłeś wśród świadków, sprowadzonych, by zeznawali. Co wiesz o sprawie w Spokoju Serca?

--Pamiętam, jak Liath i jej ojciec przybyli do Spokoju Serca. Zaprzyjaźniłem się z nią, podobnie jak Hanna, moja mleczna siostra. Jest teraz Orłem. -- Orłem Sapientii, rzuconym wraz z księżniczką na wschód, kolejnym świadkiem, który nie mógł zeznawać.

--Czy to prawda, jak twierdzi ojciec Hugo, że jej ojciec był znany jako czarownik? Że ludzie przychodzili do niego po różne zaklęcia, napary i amulety?

--Nigdy nikogo nie skrzywdził! Nikt o nim złego słowa nie powiedział!

A potem przeklął, ponieważ wszyscy spojrzeli po sobie, jakby chcieli powiedzieć: „Oto dowód, jakiego potrzebujemy”. Nawet miły brat Hatto westchnął i rozparł się na krześle jak człowiek, który po podjęciu trudnej decyzji odpoczywa, nim wcieli ją w życie.

--Jej ojciec był czarownikiem, który wyrzekł się Kościoła -- powiedziała cicho Konstancja. Zmarszczyła brwi. -- Może to nawet prawda, że nie chciał nikogo skrzywdzić.

--Bernard był dobrym człowiekiem, lecz się mylił -- powiedział nagle Hugo. -- Zbyt mocno kochał córkę. Zbyt wiele ją nauczył, gdy była jeszcze młoda. O Boże, obawiam się, że nie miała złych zamiarów, ale pokusa władzy okazała się za silna. Pierwszy krok takiej podróży może zostać uczyniony w najlepszej wierze. -- Zakrył twarz dłonią. Jego ramiona drżały.

Król obrócił się, wciąż zaciskając dłoń i poszedł w stronę tronu. Usiadł.

--Siostry i bracia -- rzekła Konstancja do zgromadzonej rady. -- Czy pragniecie zadać jeszcze jakieś pytania, czy też nadszedł czas, abyśmy naradzili się nad wyrokiem?

Nie mieli dalszych pytań.

--Módlmy się -- powiedziała Konstancja. -- Opróżnić salę. Wydamy wyrok, gdy Bóg objawią nam prawdę.

Szybkość, z jaką dwaj najpotężniejsi żołnierze Judith złapali Ivara za ramiona i wyprowadzili, zaparła mu dech w piersi. Powlekli go przez pałac biskupi do komnat, w których rezydowała margrabina.

Przybyła ze swymi dworzanami, mężem i okrytym niesławą synem i pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było uderzenia Ivara w twarz tak mocno, że aż się zatoczył, prosto w silny uścisk eskorty. Na jej znak zaczęli go bić, a gdy padł na podłogę, jęcząc, płacząc i błagając o litość, kopali go po brzuchu i ramionach i deptali po dłoniach, aż mógł tylko skomleć jak zranione zwierzę.

Po chwili przestali.

--Jak śmiesz się odzywać nie pytany, ty, który jadłeś przy moim stole i podróżowałeś w moim orszaku? -- Górowała nad nim, rozwścieczona, cofnęła nogę, by go kopnąć.

--Matko. -- Hugo ukląkł przy Ivarze, osłaniając go własnym ciałem. -- Biedny chłopak nie mógł się opanować. Widziałem, jak rzucała na niego zaklęcia...

--Nie chcę tego więcej słyszeć! Idź się pokornie modlić, tylko do tego się nadajesz! Nie poruszył się.

--Już wystarczająco oberwał. Nie zapomnij tej lekcji.

--Cicho! Rzygać mi się chce od twego skomlenia, Hugonie. Doskonale to odegrałeś, nie mam wątpliwości, że dziewczyna cię wstrętnie zaczarowała, ale nie myśl, że zapomniałam o incydencie w Zeitsenburgu. Ale nadal jesteś moim synem i będę cię chronić, dopóki mnie słuchasz. Mam wątpliwości, jak Bóg osądziłoby tę sprawę, ale doskonale wiem, że król jej nienawidzi, bo ukradła mu syna, a poza tym wie, jak bardzo potrzebuje mego wsparcia. A sobór wie, z której strony wieje wiatr.

--Potępią Liath, by zadowolić króla? -- jęknął Ivar.

--Wrzucić go do stajni! -- rzekła z obrzydzeniem.

Wywlekli go, a ponieważ ledwie chodził, ciągnęli, nie zważając na to, obijał sobie łydki na stopniach i uderzał głową w narożniki. Był oszołomiony, zamroczony i płakał, gdy rzucili go na stertę siana i zatrzasnęli drzwi. Leżał tam, półprzytomny i obolały, bardzo długo.

Po jakimś czasie poczuł palące pragnienie. Miał spuchniętą twarz i ledwie widział, a może po prostu zapadał zmierzch. Serce bolało go równie mocno jak ciało. Dlaczego Liath go porzuciła?

Ale nie może o niej myśleć. Musi wspominać kazania Tallii, bo ona jedyna mu została. Inni nie widzieli prawdy, bo byli ślepi, mieli wzrok zamglony tak, jak on z powodu obrażeń. Takie życie dano rodzajowi ludzkiemu: by przyjmował razy, siniaki i zgnił w śmierdzącej dziurze w ziemi. Ocalenie przychodziło jedynie przez poświęcenie i odkupienie.

W jego pole widzenia wpłynęło światło, zamigotało. Usłyszał szepty, chichot, szuranie stóp w przeciwnym krańcu stajni, i z trudem dźwignął się na kolana, gdy drzwi stajni zostały otwarte.

Czy to anioł jaśniał w świetle świecy?

--Ivar! -- To tylko Baldwin, pochylający się, by go objąć, ale nawet uścisk bolał; Ivar zawył. -- Dobry Boże -- westchnął Baldwin. Otarł twarz i dłonie Ivara mokrą szmatką. -- Chodź, chodź, serduszko. Nie mamy wiele czasu. Kupiliśmy na tę noc kurwę, ale nie sądzę, by strażnik nawet na nią dużo czasu zmitrężył. -- Objął Ivara w pasie i stęknął, stawiając go na nogi. Ivar kichnął, a wstrząs wzniecił ból. Palilo go lewe kolano. Prawa ręka chyba była

złamana.

--Chodź -- rzekł Baldwin niecierpliwie.

--Dokąd idziemy? -- Ledwo mógł wykrztusić te słowa. Ból zagnieździł się w jego brzuchu i nie chciał zniknąć.

--Cicho. -- Baldwin przesunął ustami po jego włosach. -- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham, Ivarze.

Na zewnątrz uderzył w niego nocny wiatr; zadrżał konwulsyjnie. Po chwili, potykając się o kamienie, z Baldwinem mrużącym wyjaśnienia, które nie przebijały się przez ból pulsujący w głowie Ivara, dotarli do alei. Natychmiast bardziej wyczuł, niż ujrzał innych.

--Wasza Wysokość -- powiedział Baldwin.

--Ach, masz go. Dobrze!

Ivar w zaskoczeniu wciągnął powietrze, po czym rozkaszał się gwałtownie, od czego żebra tak go rozboleły, że niemal wymiotował. Ale padł na kolana. Rozpoznał głos.

--Książę Ekkehard! -- jego głos zgrzytał jak oselka na zardzewiałym ostrzu.

--Milo i Udo wywiozą ciebie i Baldwina z Autunu dziś w nocy i ukryją przy drodze -- rzekł rażno młody książę. -- Jutro, gdy mój orszak dotrze do waszej kryjówki, przeschmugujemy was na jeden z wozów i zabierzemy ze sobą.

--Baldwin? -- zakrakał Ivar.

--Mnie następnemu to robi, zbije jak psa, kiedy zapomni, jak bardzo się napala na mą twarz. Nienawidzę jej!

--I kochasz mnie -- odezwał się Ekkehard z nagłą pasją.

--Oczywiście, książę panie. Będę was kochał i służył wam, jak na to zasługujecie. -- Ekkehard roześmiał się radośnie, beztrasko. Był taki młody, nie miał nawet piętnastu lat, a otaczający go młodzieńcy byli jeszcze chłopcami. Ale otworzyli im bramy do wolności.

Ivar nie protestował, gdy załadowali go na wóz pomiędzy skrzynie i okryli kocem jego i Baldwina. Zbyt był obolały, by się opierać, a poza tym nie chciał tu zostać, nie z Judith, nie w pobliżu Hugona, nie z królem, nigdzie tam, gdzie serce krwawiłoby mu za Liath. Ale jego serce zawsze będzie krwawić. Tę ofiarę składać będzie każdego dnia, jak ofiarę błogosławionego Daisana, obdartego ze skóry i broczącego krwią u stóp cesarzowej Dariyi. Krew z jego serca rozkwitła różami.

--Przestań gadać -- szepnął Baldwin. -- Majaczysz. Będziemy bezpieczni, gdy tylko wyjedziemy za bramy.

Szorstkie klepki drapały go w twarz, gdy wóz jechał po ulicach. Po chwili, przez zasłonegą koca, ujrzał przyćmione światło pochodni. Przejechali przez bramę Autunu. Najpierw wyczuł zapach garbarni, potem rzeźni, ostrą woń krwi, wnętrzości i śmierci. Kiedy wyjechali za miasto, poczuł pola, ziemię i pył żniw. Było dość zimno, ale Baldwin, czując, jak Ivar drży, otulił go swym ciałem i dmuchał delikatnie, ciepłym, słodkim oddechem, który drażnił włoski na karku.

--Liath -- wyszeptał Ivar.

--Napiętnowali ją jako wyjętą spod prawa. I ekskomunikowali. Sądziłem, że będziesz chciał wiedzieć. Została uznana za maleficusa. To bardzo źle, prawda?

Bardzo źle.

--Ale Hugo...

--Wysyłają go na południe, by modłać się pod okiem skoposy, odbył trzyletnią pokutę.

Cieszę się. Mam nadzieję, że każą mu klęczeć całymi dniami i kolana będą mu krwawić.

Wóz wpadł w dziurę i Ivar uderzył o skrzynię. Stęknął z bólu. Krew pociekła mu z rozciętej dolnej wargi. Nadal płynęły łzy, choć płacz bolał. Wszystko bolało.

--Cicho -- rzekł Baldwin. -- To będzie przygoda, przekonasz się.

6.

Kiedy polowanie przebiło się przez poszycie i wpadło na polanę, spłoszyło nie dzika czy przepiórki, ale grupkę obdartych biedaków. Brudni, pokryci strupami mężczyźni, blade kobiety i dzieci chude jak patyki i brudne, wyprysnęli ze swych szałasów i zatrzymali się na skraju lasu. Nikt nie nosił butów ani nawet nie owijał stóp szmatami, choć wczesny przymrozek pokrył ziemię błyszczącą warstwą, po której dobrze się jechało, ale która okropnie ziębiła w stopy.

Ale Alain siedział w siodle i nosił buty, rękawice i podbity futrem płaszcz.

--Kim oni są? -- zapytał Lavastine, podjeżdżając do jednego z leśników.

Leśniczy nie wiedzieli. Dziesięć dni temu przeczesali okolice, planując tu poprowadzić hrabiego i jego orszak na polowanie, i nikogo nie znaleźli.

--Wypłoszyli stąd wszystką zwierzynę. Przeklęte darmozjady! -- Lord Amalfred splunął, osadzając konia. -- Jedźmy! -- Młody saliariski lord przyjechał w orszaku księżnej Yolande i gdyby Alain miał cokolwiek do powiedzenia, wołałby, aby młodzieniec nigdy się tu nie zjawiał.

Lavastine ze zmarszczonymi brwiami spojrział na polanę. Ludzie skupieni pod drzewami wyglądali na zbyt wyczerpanych, by uciekać. Po prostu się kulili. Alain odjechał w bok, by lepiej się przyjrzeć szałasom. Te budy ledwo zasługiwały na miano schronienia: wybudowano je w pośpiechu, a przez dziury w ścianach i dachach na pewno wpadał deszcz. Ogień płonął na palenisku otoczonym kamieniami. W środku jednego z szałasów ktoś ustawił półkę z bali, leżały na niej pomarszczone warzywa, żołędzie i oskórowany królik.

Za szałasami, w cieniu drzew, leżało pięć świeżych grobów, dwa mniejsze od reszty. Szósty był na wpół wykopany, obok niego leżała prymitywna drewniana łopata.

Wreszcie jedna z kobiet wystąpiła do przodu. W ramionach trzymała zawiniątko, tak nieruchome, że Alain nie wiedział, czy to dziecko, czy kłęb szmat. Jej dłonie były białe z zimna, a kościste stopy jeszcze bielsze, w oczach i skrzywionych bladych ustach czaił się strach.

--Co z nami zrobicie, panie? -- Jej głos był raczej kaszlem niż słowami, a potem rzeczywiście zakaszła i obudziła dziecko -- ponieważ to jednak było dziecko -- które zajęczało, poruszyło się i znów ucichło, zbyt słabe, by protestować.

--Musicie odejść -- powiedział Lavastine. -- Nasze żniwa się skończyły i nie mamy miejsca dla kolejnych ludzi. Na południu może wam się lepiej powiedzie.

--Pochodzimy z południa, panie. Żniwa były skąpe i nie mieli pracy. Oddamy się w waszą służbę, jeśli tylko obiecacie nas nakarmić i dać nam pracę.

--Mamy tylu, ilu zdołamy wykarmić -- powtórzył Lavastine. Dał znak służącemu, który pośpieszył ku niemu. -- Dopilnuj, aby dostali trochę chleba, ale potem muszą opuścić te ziemie.

Kilku dorosłych padło na kolana i pobłogosławiło go za ten dar, choć niewielki. Dzieci gapily się oczyma matowymi jak zwiędłe liście.

--Błagam was, panie, czy możemy zostać tak długo, by pochować moje dziecko? -- Dostała kolejnego ataku kaszlu, a dziecko w jej ramionach tylko zajęczało cicho i nie poruszyło się.

Alain zsiadł z konia i podszedł. Cofnęła się przed nim i zatrzymała, bardziej bojąc się nieposłuszeństwa i oszczepów leśników niż tego, co mógł jej zrobić. Jej oddech cuchnął cebulą, a w piersi rzęziło od gorączki płucnej.

--Chcę obejrzeć -- rzekł łagodnie. Odsunął cienki kocyk, zakrywający twarz dziecka.

Dziecko mogło mieć trzy, jak i sześć lat. Usta pokrywały pęcherze, a na dźwięk głosu Alaina jego powieki poruszyły się, ale były zbyt zapuchnięte, by się otworzyć, pokryte lepką,

żółtą ropą. Po jednej pełzła mucha. Było nagie pod przykryciem, wyniszczone i blade, koc zaś był przetarty niemal na wylot. Widział palce u jego stóp. Zdjął rękawice i przesunął palcami po jego czole. Płonęło od gorączki.

--Biedne dziecko -- mruknął. -- Będę się modlił, byście znaleźli ozdrowienie, schronienie i jedzenie. Niech was Bóg prowadzą.

Zacząła lkać głośno, bezradnie, kaszłąc mocno.

--Alainie -- rzekł Lavastine tonem ostrzeżenia i rozkazu.

Zaczął się cofać, ale nie mógł. Dzieci -- jakieś dziesięcioro -- podkradły się tak cicho, że nie zauważył ich nadejścia, a teraz uwięziły go, zbliżyły się tak bardzo, że jeden mały obdartus -- nie wiedział, chłopiec czy dziewczynka -- sięgnął i dotknął jego butów niby świętej relikwii. Drugi przesunął dłoń po lamówce płaszcza i wydał z siebie dźwięk, który mógł być słowem albo jedynie westchnieniem z zachwytem.

Nie mógł tego znieść. Odpiął klamrę i zerwał płaszcz z ramion, by zarzucić go na zgarbione plecy kobiety tak, aby okryć również dziecko. Inni natychmiast schwycili okrycie i szarpali, próbując zdobyć je dla siebie i walcząc o nie.

--Przestańcie!

Cofnęli się, nawet ta, którą obdarował. Dziecko w jej ramionach było sztywne i ciche. Chyba już umarło.

Przytłoczyła go mdląca bezradność, znacznie cięższa od płaszcza. Zadrzał na przeszywającym jesiennym wietrze, odwrócił się i pośpieszył do swego konia. Stał tam giermek, by podstawić złożone dłonie pod jego stopę i podsadzić go na siodło.

--Niech nas Bóg broni przed żebrakami! -- krzyknął lord Amalfred, gdy myśliwi odjeżdżali. Dzwoniła uprząż, parskaly konie, a jego psy rwały się w stronę dzieci, które rozbiegły się z krzykiem. Amalfred roześmiał się, zgromadził swych towarzyszy i ruszył do lasu. Leśniczy zniknęli wśród drzew, a z dali dobiegło ich pojedyncze wycie psa, który złapał trop.

--Nie ma prawa się z nich wyśmiewać -- rzekł Alain do hrabiego, który do niego podjechał. Lavastine nie odezwał się, dopóki nie wyjechali z polany.

--Nie możesz ubrać wszystkich.

--Biedne stworzenia. Dałbym im moje buty, ale wyobraziłem sobie, jak o nie walczą: byłoby jeszcze gorzej. O Panie! Ile cierpienia.

--To tajemnica, dziecko.

--Co jest tajemnicą?

--Dlaczego Bóg pozwala na istnienie cierpienia.

--Diakonisy mówią, że to kara od Boga dla tych, co grzeszyli.

Lavastine mruknął w sposób znamionujący, że nie był o tym przekonany.

--Słuchałem Świętych Wersów i wydaje mi się, że nie zwracały uwagi na słowa błogosławionego Daisana. Niektóre rzeczy leżą w naszej naturze. Tak jak lwy jedzą mięso, owce trawę, a skorpion żądli, my jemy i pijemy, śpimy i budzimy się, dorastamy i starzejemy się, rodzimy i umieramy. Ale bogactwo i choroba, bieda i zdrowie: te rzeczy zdarzają się z wyroków Losu. Nie wszystko dzieje się zgodnie z naszą wolą. A jednak mamy swobodę, by decydować o naszych czynach, jak wręczenie tej biednej kobiecie płaszcza. Jej wolą jest, czy przyjmie dar czy go odrzuci, a jej towarzysze mogą go ukraść albo zostawić w jej rękach. Tak Bóg ocenia naszą wartość: jak postępujemy z tym, co otrzymaliśmy i czy decydujemy się

przestrzegać boskiego prawa niezależnie od okoliczności.

Psy zawyły, ale ich wycie przekształciło się w nagły wybuch ujadania. Młodzi paniczycowicie towarzyszący lordowi Amalfredowi krzyknęli, wzniesli wiwaty i pognali do lasu, zostawiając Alaina, Lavastine'a i kilku mężczyzn, którzy ze względu na wiek lub rozsądek woleli jechać wolniej.

Alain stracił ochotę na polowanie.

--Ale na pewno czasami rozpacz prowadzi do grzechu -- sprzeciwił się, patrząc, jak gałęzie kołyszą się i nieruchomieją za lowczymi znikającymi wśród drzew.

--To prawda, że nie jesteśmy winni rzeczy, które nie leżą w naszej mocy, ale bez wątpienia to nas nie usprawiedliwia. Zło to dzieło nieprzyjaciela. Łatwiej czynić dobro.

--Byłeś zauroczony. To, co robiłeś pod wpływem zaklęcia, nie było twoim wyborem.

--I dlatego, synu, Kościół musi trzymać rękę na wszystkich sprawach dotyczących magii.

Pięć czarnych ogarów rozszechkało się. Wiarus i Strach skoczyły w krzaki. Lavastine zatrzymał się i zaczął zsiadać, ale Groza nagle znalazła się pod nim, szturchając łbem, jakby chciała zatrzymać go w siodle.

--Rozejrzę się -- rzekł Alain szybko. Smutek i Furia zjeżyły sierść. Przemknęły cicho, by stanąć między koniem Lavastine'a i poszyciem, gdzie dwa pozostałe psy szarpały krzakiem, który kołysał się i drżał, jakby w tym miejscu szalała wichura.

--Panie hrabio. -- Kilku służących podjechało, ale Alain przepchnął się przez nich, zsiadł z konia i z dobytym mieczem ruszył w krzaki, odrzucając gałęzie; suche liście wpadły mu do ust. Smutek szedł za nim, ciągle szczekając. Furia została z Grozą. Wiarus i Strach osaczyły coś w gęstwinie pełnej głogu i jałowca. Ujrzał to, błysk bieli biegnący w tę i z powrotem, szukający drogi ucieczki. Przerazenie uderzyło go jak podmuch zimnego wiatru; zadrżał.

--Alain! -- zawołał Lavastine.

--Nie idź za mną!

Smyrgnęło obok klapiących szczęk Stracha. Alain ciął. Jego miecz uderzył o ziemię, podniósł kawalki liści. Wiarus przemknął obok. Strach skoczył. Stworzenie uciekło pod liście. Ujrzał je znów tam, gdzie liście się skończyły, przemykające ku zasłonie z głogu, nienaturalny biały błysk, niby kości wyczyszczonej i wypolerowanej przez morze. Znów uderzył, ale tylko podrapał sobie dłoń o ciernie.

Znów się pojawiło. Ciął. Chybił.

To stworzenie przemknęło obok Stracha. I natychmiast obróciła się, by skoczyć ku koniom. Smutek kłapał szczęką. Alain pognął za nim. Widział poruszenie wśród drzew, zbliżających się jeźdźców.

--Nie zsiadać! -- krzyknął, ale nikt go nie słyszał wśród ujadania psów. Wiarus zanurkował w krzaki. Zaskomlał, a potem nagle wszystko ucichło, słyhać było jedynie odległy dźwięk rogu.

Groza zawarczała, przyłączyła się do niej Furia, w końcu Smutek i Strach, ściana z psów za plecami Wiarusa. Dźwięk pełził po krzyżu Alaina jak trucizna. Zaklął go kar, obrócił się, wznosząc miecz. Poruszenie wśród liści. Ciął krzak, ale tylko kos się w nim szarpał, uwolnił i odleciał.

To on dyszał.

--Alain? -- Lavastine wjechał w krzaki. -- Co się dzieje?

Alain upuścił miecz na ściółkę, złapał Wiarusa za obrożę i pociągnął w tył. Z jego prawej

przedniej łapy płynęła krew i gdy lizał ją, skomlać, rana zaczęła dziwnie puchnąć.

--Musimy zawieźć go do domu. Obawiam się... -- Urwał i spojrzał na służących, którzy zgromadzili się wokół i gapili na niego. Dał znak jak Lavastine i służący cofnęli się. Alain mówił dalej szeptem: -- Znów to widziałem, wielkości szczura, ale zupełnie pozbawione koloru. Sądziłem nawet, że Radość to zjadła, połknęła, by cię ocalić, ale musiałem się mylić. O Boże! To martwa dłoń Krwawego Serca, stwór, o którym mówił ksiązę Sanglant. Dotarł za nami aż tutaj.

Lavastine patrzył na niego w milczeniu, a potem przeniósł wzrok na Wiarusa. Liść zawirował na wietrze i opadł na ziemię.

--Przerzuć go przez moje siodło. Rozsądniej będzie wrócić i pozwolić reszcie polować.

Kiedy wracali, Alain chciał powiedzieć wiele rzeczy, ale nie potrafił złożyć ich w sensowne zdania. Była to długa, cicha jazda z Wiarusem ułożonym niezgrabnie na karku nerwowego konia, ale Lavastine mocno trzymał wodze jedną dłonią, druga zaś spoczywała na grzbiecie psa. W stajniach oddali konie Rodlinowi, a Lavastine sam wniósł psa do swej komnaty, zostawiając Alaina, by wszedł do sali, w której dzień spędzały kobiety.

Zajęły górną połowę halli, więc zatrzymał się w drzwiach, nie chcąc wchodzić i obserwował, jak się śmieją i rozmawiają. Nawet Tallia zaangażowała się w debatę z gorliwością, jaką rzadko okazywała Alainowi. Jak przystało komuś o jej randze, siedziała na najlepszym miejscu, dzieląc sofę z tęgą, ładną młodą kobietą, która nazywała ją „kuzynką”.

Diuszesa Yolande denerwowała go. Jej druga ciąża była już na tyle zaawansowana, że nie chciało jej się jeździć na polowania, a jeśli ona nie jechała na polowanie, nie robiły tego inne kobiety z jej orszaku. Ale żaden mężczyzna nie został poproszony, by spędzić dzień z damami, którym zorganizowała sympozja w stylu dariyańskim, z sofami, winem i intelektualnymi pytaniami do przedyskutowania.

--Dariyańska lekarka Galen jasno stwierdza, że mężczyźni są zdeformowanymi stworzeniami -- mówiła właśnie Yolande. -- Ale sądzę, że to nie ich wina, że są produktem słabszego, chorowitego nasienia. Dlatego nie rozwijają się u nich macice jak u kobiet.

--Ale Ta, która jest Matką nas wszystkich, postanowiła oznajmić boskie słowo przez usta mężczyzny -- sprzeciwiła się Tallia.

--Głos należał do mężczyzny -- poprawiła księżna -- ale to kobieta dała świadectwo. To świadectwo świętej Tekli dało początek Kościołowi.

--A jednak -- upierała się Tallia -- mężczyźni również mogą pragnąć stać się jak anioły.

--Które ukształtowane są na podobieństwo kobiet.

--Lepiej stwierdzić, że kobiety ukształtowane są na podobieństwo aniołów -- poprawiła diakonisa księżnej, która zdawała się od czasu do czasu ukrócać młodą damę, a potem naprowadzać na właściwy trop.

--Ale wszyscy jesteśmy zdolni do bycia jak anioły, choćby tylko w czystości uczynków i szczerości modlitwy. -- Tallia była uparta.

--Wasze wierzenia, pani, płyną z dobrej wiary -- zganila ją diakonisa najdelikatniej, jak tylko mogła. -- Ale Kościół na soborze w Addai otwarcie potępił niesłuszne wierzenia w poświęcenie i odkupienie jako herezję. Musicie modlić się o boską interwencję w tej sprawie.

--Tak też czynię! -- odparła Tallia wyzywająco.

--Nie, niech pani Tallia mówi, co zechce. Jestem niezwykle zaintrygowana Bogiem naszą

Matką i jej jedynym Synem.

--Pani...!

--Jeśli zechcę, będę słuchała takich wynurzeń! Nie uciszaj jej. -- Służąca pochyliła się, by szepnąć coś księżnej i ta spojrzała na drzwi. -- Ach! -- zawołała z uśmiechem; widząc go. Alain miał ochotę uciec. -- Oto lord Alain -- odruchowo pogładziła brzuch i wskazała Alainowi, by usiadł między nią i Tallią na sofie. W porównaniu z Tallią była szeroka i zarumieniona: taka kobieta urodzi wiele zdrowych dzieci i doczeka się wnuków. -- Jaka szkoda, że nie ułożyłam się z twym ojcem o twą rękę, zanim ma droga kuzynka cię skradła.

--Pani -- pouczyła ją diakonisa. -- Pomyślcie o waszym mężu, którego niedawno straciliście.

--Ach, biedny Hanfred! Naprawdę mi przykro, że zraniono go w brzuch oszczepem Eików. Ale sama przyznasz, kuzynko, że twój mąż jest znacznie przystojniejszy niż mój Hanfred, niech jego dusza odpoczywa w pokoju w Komnacie Światła.

--Naprawdę? -- spytała Tallia, gapiąc się na Alaina, jakby go nigdy wcześniej nie widziała.

--Za dużo się modlisz, kuzynko! Chodź, usiądź przy nas -- Alain nie ruszył się ze swego miejsca przy drzwiach. Fakt, że nie trzymała rąk przy sobie, wiedząc, że jest żonaty i, wedle jej słów, „dojrzały do macania”, sprawiał, że miał jeszcze mniejszą ochotę siadać obok niej.

--Wybaczcie, ale muszę towarzyszyć ojcu. Przyszedłem jedynie złożyć wyrazy uszanowania. Część myśliwych nadal poluje i wątpię, czy wrócą przed zmrokiem.

--Ufam, że lord Amalfred jest z nimi? -- Yolande śmiała się serdecznie. Przysmaki zgromadzone na talerzu, który dzieliła z Tallią, nakarmiłyby wszystkich głodujących biedaków, na których natknął się wcześniej. Alain zastanawiał się z nagłą, gwałtowną niechęcią, ile z tego jedzenia dostanie się świniom, choć oczywiście śwynie też zasługiwały na pożywienie. -- Nie chciałabym usłyszeć, że wrócił wcześniej. Ma nadzieję, że go poślubię i przyznaję, że wieść o tym, iż strzelił do naszej drogiej kuzynki Theophanu, biorąc ją za jelenia, sprawia, że mam o nim dobre mniemanie, ale, dobry Boże, to taki nudziarz.

--A dlaczego ty wróciłeś wcześniej? -- zapytała nagle Tallia, jakby oskarżając Alaina, że zniszczył jej dzień, tak niedelikatnie wkraczając w towarzystwo miłych kobiet, którym się cieszyła.

--Wiarus został ranny.

Natychmiast straciła zainteresowanie. Nie bała się już psów, ale też nie dbała o nie. Odprawiła go ruchem ręki podpatrzonym u księżnej Yolande i uraziła go tym, traktując jak służącego; ale ona nosiła złoty torkwes królewskiego rodu, a hrabiowie Lavas nie. Może i była jego żoną, ale księżna Yolande nie odbyła tak dalekiej podróży, by zobaczyć się z hrabią Lavas, tylko z kobietą, która była wnuczką ostatniej królowej Varre.

W taką grę tu dzisiaj grano, a on nie był jej częścią. Był mężczyzną, a według księżnej Yolande mężczyźni nadawali się do polowań, nie do salonów. Podczas gdy mężczyźni sprawdzali się na polu bitwy, prawdziwy taniec władzy odbywał się tam, gdzie zawierano przymierza, karano buntowników i wymieniano dary.

Na górze Lavastine siedział na łóżku i gładził leb Wiarusa, który leżał obok na posłaniu, oddychając ciężko.

--Ale to jej ojciec był diukiem -- rzekł Alain, siadając po drugiej stronie Wiarusa.

Lavastine podniósł wzrok.

--Widzę, że się wymknąłeś wspanialej księżnej. Cóż, jej matka jest z karrońskiego rodu, a wiadomo, że nie pozwalają rządzić mężczyznom, gdy nie ma żadnej córki, siostry albo siostrzenicy zdolnej do przejęcia berła. Jej ojciec Rodulf zdobył księstwo, ponieważ nie miał siostr; poświęcił się wojnom, pozwalając żonie rządzić i jej, i jego posiadłościami. Była trudną kobietą. Bez wątpienia lepiej mu było na wojaczce.

--Ale czy to prawda, że dawne lekarki pisały, że męskie nasienie jest słabsze, a kobiety bardziej przypominają anioły niż mężczyźni?

--Tak twierdzą uczone diakonisy. Jeśli ty i Tallia doczekacie się córki, będę bardzo uradowany.

--O Boże -- wyszeptał Alain. Wiarus leżał nieruchomo, nie spuszczać wzroku z Lavastine'a, który dotknął jego uszu i pogładził je. Jego prawa łapa była gorąca, spuchnięta i na samym koniuszku dziwna i ziarnista w dotyku, niby kamień. -- Zupełnie jak Mocarz.

Lavastine stęknął.

--Jeśli to prawda, że ściga nas jakieś stworzenie, musimy wystawić więcej straży i posterunków. Ale jeśli tak uczynimy, księżna Yolande może uznać, że jej nie ufamy, i się obrazi.

--Dlaczego przyjechała?

--Jej ojciec poszedł za Sabellą, a nie był zaczarowany jak ja. Sabella wciąż żyje...

--Jako więzień pod strażą biskupiny Konstancji, w Autunie.

--Ale żyje. Tallia zaś jest jej córką, dorosłą i zamężną, więc po jakimś czasie urodzi potomka.

Alain znalazł kleszcza w futrze Wiarusa i zajął się wyciąganiem go.

--Nie wierzę, że knuje zdradę. Uważam, że po prostu przybyła z kurtuazyjną wizytą. Rzsądek mi dyktuje takie wyjaśnienie. Henryk nie jest zadowolony ze swych trojga ślubnych dzieci. Tallia ma takie samo prawo do tronu jak każde z nich.

Nagle jedynymi dźwiękami, jakie słyszał Alain, było bicie własnego serca i dyszenie Wiarusa, który z trudem wdychał i wydychał powietrze.

--Tronu?

--Musisz być gotowy na wszystko. -- Lavastine pogładził Wiarusa po łbie. Zmarszczka na jego czole była ulotna i przez to bardziej przerażająca. -- Ta rana jest identyczna jak ta, którą zadano Mocarzowi. Trzy wypadki, złożone razem, sugerują wzór, i choć ksiązę Sanglant dziwnie się zachowywał po tym, jak go ocalono, to jednak wszyscy słyszeliśmy plotki o czarach Krwawego Serca. Twoje sny też to poświadczają. Sny są często fałszywe, ale uważam, że twoje to prawdziwe wizje. Lepiej założyć, że grozi nam klątwa, niż nic nie robić.

O Boże. Zupełnie jak ponowna bitwa o Gent: patrzysz, jak twoi wierni towarzysze padają jeden po drugim, chroniąc cię. Serce ścisnęło się Alainowi, gdy widział cierpienie psów.

--Diakonisa musi pobłogosławić dom i umieścić amulet nad każdym progim.

--Nie lubię uciekania się do magii. Jednak... pošlij maga, by zabić maga. Musimy porozmawiać o tej sprawie z diakonisą i wysłać wiadomość do biskupiny Thierry. Może mieć w swej scholi kleryków, którzy potrafią wypędzić demony i inne stwory stworzone w ognjach Otchłani.

--A co ze strażami?

--Sądzę, że to byłoby rozsądne. Ale psy lepiej nas strzegą.

--Zawsze wiedzą -- rzekł Alain. -- Muszą to wyczuwać.

--Nie możesz wychodzić sam, Alainie. Musisz uważać.

--To nie śledzi mnie...

--Skąd możemy wiedzieć? Klątwami rządzi nienawiść, nie inteligencja. Nie będziesz ryzykował, synu. Musimy zachowywać się tak, jakby każda osoba, która maszerowała na Gent, była w niebezpieczeństwie. -- Westchnął nagle i wygładził zagniecenie na rękawie Alaina. -- Będziesz potrzebował drugiego płaszcza. Otwórz okiennice. Dajmy mu trochę światła. Może jeśli namoczymy ranę, by wyciągnąć truciznę...

Jednak to nic nie dało. Wiarus umierał sześć dni.

Deszcz lał się strumieniami. Wiele dni minęło, odkąd widzieli niebo czy choćby strome szczyty wokół, przeprawiając się przez przełęcz Julier w drodze do Aosty. Droga zmieniła się w błoto, a Rosvita nie chciała już jechać na mule i teraz, jak każdy w armii księżniczki Theophanu, poruszała się po ścieżce piechotą.

--Uwaga! -- Okrzyk przestraszył ją.

Straszliwy, przeszywający odgłos obsuwających się skał na przedzie sprawił, że zamarła. Zacisnęła w garści wodze muła i wymamrotała modlitwę. Brat Fortunatus, wymachując ramionami, ześlizgnął się ze ścieżki w kaskadzie błota i żwiru.

--Bracie! -- krzyknęła, ale wiedziała, że nie może się ruszyć. Widziała już, jak zginął w ten sposób poganiacz i muł: osypała się na nich ziemia. Ale Bóg byli dziś miłosierni. Fortunatus zatrzymał się o długość ciała pod nimi, i gdy tylko błoto przestało się obsuwać, żołnierze rzucili liny, by go wyciągnąć. Stracił wczoraj muła, który spadł z krawędzi, porwany lawiną błota i łupku.

--Słyszę, że jesteśmy niemal na szczycie! -- zawołał Fortunatus radośnie, gdy odzyskał dech. -- Na pewno mamy dalej do skał niż wczoraj! -- Był uwalany błotem jak wszyscy.

--Ale czy nie jest łatwiej się wspinać, niż schodzić? -- zajęczał biedny Konstantyn, który wyglądał na naprawdę przestraszonego, raczej jak mały chłopiec, a nie młody mężczyzna.

--Cicho, bracie -- powiedziała Rosvita. -- Musimy iść dalej i ufać, że Bóg nas bezpiecznie przeprowadzą. -- Podążyła Fortunatusowi dłoń i pomogła się podnieść, co nie było łatwe na ścieżce obmywanej nieustającym deszczem. Całe szczęście, że nie padał śnieg.

--Powinniśmy byli zaczekać w Bregez! -- zawołał Konstantyn. -- I przeprowić się przyszłego lata!

Fortunatus parsknął.

--Mając księżniczkę i całą Aostę w zasięgu ręki! Możesz być pewien, że aostańscy lordowie nie będą całą zimę i wiosnę czekać z założonymi rękami.

Rosvita położyła dłoń na ramieniu Konstantyna. Drżał.

--Dotarliśmy tak daleko, bracie, a to dopiero pierwszy tydzień jesieni. Mamy po prostu pecha z tym deszczem. Możemy jedynie iść dalej. -- Czy w jego oczach migotały łzy czy tylko deszcz?

Dzień mijał krok za krokiem. W południe dotarli do odsłoniętej strony góry, gdzie deszcz ich chłostał, ale wzdłuż szeregu rozeszła się wiadomość, że księżniczka woli podążać dalej, nawet w tak niesprzyjających warunkach, niż rozbijać obóz tutaj, gdzie znajdują się na łasce żywiołów. Gdy człapali wąską ścieżką, mając po prawej stronie kamienną ścianę, a po lewej strome zbocze, Rosvita po raz pierwszy usłyszała narzekania żołnierzy:

--Powinniśmy byli zawrócić. -- Dlaczego nie poczekałiśmy do lata? -- Nasze szczęście zniknęło. -- Myślicie, że dotrzemy do Aosty, czy wszyscy umrzemy u stóp tych gór?

--Nie wytrzymają długo -- powiedział Fortunatus do Rosvity, gdy szereg zatrzymał się, czekając, aż wóz przed nimi wyjedzie z błota. -- Nie ufają jej, nie tak jak królowi czy księciu Sanglantowi.

--Dlaczego wszyscy z taką miłością mówią o księciu Sanglancie? -- zapytał Konstantyn. Kaptur zsuwał mu się z głowy i włosy przykleiły się do czaszki. -- Nie jest lepszy od psa. Zachowywał się tak dziwnie.

Fortunatus zaśmiał się gorzko, opuścił go niewyczerpany zapas dobrego humoru.

--Nie znalazłeś go przedtem, ty młody głupcze. A teraz się zamknij!

Huk jak grom przeszył powietrze. Mężczyzna krzyknął. Dwadzieścia kroków przed nimi droga się zapadła i wóz, dwa woły i poganiacz spadli ze skały. Wszyscy zaczęli krzyczeć, mężczyźni klęli, inni wykrzykiwali rozkazy, na które nikt nie zwracał uwagi, gdyż wóz stoczył się ze zbocza i utknął na półce skalnej. Poganiacz trzymał się skrzypiącego pojazdu. Wokół niego sypały się odłamki skał, deszcz smagał wóz, a jego zawartość spadała w okrytą mgłą dolinę. Jeden wół był nieruchomy, a jego ciężar ścigał wóz cal po calu z półki; drugi walczył dziko, dopóki nie wyswobodził się z jarzma i z ostatnim jękiem zniknął we mgle.

--Hej tam chłopcy! -- zawołał kapitan, podjeżdżając do Rosvity na koniu. -- Rzucić liny!

--Ale to niebezpieczne podchodzić do krawędzi! -- wrzasnął jeden ze służących. Tylko tak można się było usłyszeć. -- Nigdy nie przejdziemy. Równie dobrze możemy zawrócić!

--Stul pysk! Księżniczka jest przed nami. Nie możemy jej opuścić.

--Dlaczego nie? -- zapytał mężczyzna. -- Nie mamy powodu, by z nią jechać.

Kapitan uniósł dłoń, by zadać cios, ale z drugiej strony wyrwy w ścieżce podniósł się krzyk:

--Z drogi! Z drogi!

Jeśli serce może utknąć w gardle, to serce Rosvity właśnie to zrobiło. Postać Theophanu była od razu rozpoznawalna po wzroście, szerokich ramionach i podszytym futrem płaszczu, który nosiła, ale też dlatego, że dosiadała swego jasnego wałacha, Albusa, najinteligentniejszego i najspokojniejszego konia.

Teraz, nie zważając na okrzyki strachu i protesty, Theophanu skierowała Albusa na przeoraną drogę, gdzie najdrobniejsze potknięcie oznaczało śmiertelny upadek. Zbocze najeżone skałami opadało tak stromo, że jedynie kilka drzewek znalazło na nim oparcie. Theophanu nie zawahała się, przekraczając wymytą dziurę, nawet gdy zawiął wiatr i jej płaszcz wydał się jak skrzydła orła, szamocząc się na wietrze.

Kiedy wszyscy się na nią gapili, przejechała wyrwę i spokojnie zatrzymała się obok kapitana.

--Kapitanie Fulk, rzućcie temu człowiekowi liny. Straciliśmy wóz, ale nie musimy tracić również jego. Niech służący złapią za łopaty. Juczne muły i piesi żołnierze ominą uskok, ale potrzebujemy jakiegoś wsparcia dla wozów. -- Wydawała się obojętna na deszcz, odporna na niego, nie tak jak pozostali. Jej wzrok spoczął na Rosvicie. -- Dlaczego się wleciesz na tyłach, siostrze? Jedź ze mną naprzód.

--Jesteśmy tu potrzebni, Wasza Wysokość.

Theophanu wydawała się zaskoczona. Jej wzrok przemknął po czekających służących i żołnierzach stojących nieruchomo jak posągi w strumieniach deszczu -- prócz tych, którzy rzucili liny, by uratować poganiacza. Rozległ się kolejny trzask i wóz na półce skalnej zadrżał, przechylił się i stoczył po zboczu, rozpadając na kawałki.

Theophanu zmarszczyła brwi. Skierowała Albusa ku krawędzi, a Fulk zaczął się sprzeciwiać, po czym umilkł.

--Ach -- rzekła. -- Mają go. -- Wciągnęli poganiacza pod jej spokojnym wzrokiem. Chyba miał złamaną rękę i wiele siniaków, ale poza tym był cały. -- Jeżeli chcesz, siostrze Rosvito... przyłącz się do mnie wieczorem -- dokończyła chłodno.

I bez słowa odwróciła się, przejechała przez wyrwę i zniknęła w deszczu i mgle,

zasłaniających drogę przed nimi.

--Ma odwagę, nie powiem -- powiedział głośno kapitan.

--Nie ma serca -- sprzeciwił się jeden z jego ludzi. -- Nie jak nasz...

--Cicho! Zabieraj się do roboty.

Na szczęście deszcz zmienił się w mżawkę i po jakiejś godzinie pracy zdołali przeprawić wozy przez wyrwę. Szli dalej. Wiatr wdzierał się pod przemoczoną odzież i jedynie marsz ich rozgrzewał.

Późnym popołudniem dotarli do wioski, zawieszanej w wysokiej dolinie jak w orlim gnieździe. Zamieszkiwali ją silni, prości górale, na których nawet obecność księżniczki królewskiej krwi nie zrobiła wrażenia. Zażądali wyśrubowanej opłaty za korzystanie ze swych stajni. Podczas gdy służący Theophanu targowali się, Rosvita znalazła błogosławione schronienie w chacie, którą lokaje Theophanu zajęli dla swej pani. Cuchnęła pleśnią i gołębim lajnem, ale była sucha, a na kamiennym palenisku wesoło płonął ogień.

--Siostra Rosvita! -- Theophanu dobrze znosiła podróż, ale miała wytrzymałość ojca i końskie zdrowie. Wybrała swój orszak -- wyłącznie młode szlachcianki -- ze względu na te same cechy; śmiały się, piły piwo i plotkowały, jakby właśnie wróciły z radosnego polowania, a nie przeprowały się w deszczu niebezpieczną drogą. -- Usiądź przy ogniu. Leoba, oddaj siostrzyczce swój stolek.

Rosvita usiadła z wdzięcznością i ogrzała ręce.

--Naraziłaś się dziś na poważne niebezpieczeństwo, Wasza Wysokość. Muszę się sprzeciwić takim...

--Nie, siostrzo, nie strofuj mnie. Poddani mnie nie kochają. Gdybym spadła i się zabiła, połowa ludzi w armii wzruszyłaby ramionami i pomaszerowała do Aosty, by zdobyć tron i trzymać go w pogotowiu dla mojego brata. Czy słyszałaś o kapitanie Fulku i jego ludziach?

--Nie, nie słyszałam. To spokojny człowiek.

--Owszem, i lojalny.

--Widziałam to dzisiaj.

Usta Theophanu wygięły się, jakby śmiała się z dowcipu, który tylko ona знаła.

--Rzeczywiście. Przyszli i zaprzysięgli się w mą służbę, muszę dodać, że zaprzysięgli się, gdyż mój brat Sanglant tak im kazał. Zaproponowali, że pojedą z nim na wygnanie, ale powiedział, że tam, dokąd jedzie, oni nie mogą podążyć i zobowiązał ich, by służyli mi, dopóki nie wróci! Jednak to dziwne. Mówili, że oprócz Orlicy była z nim jeszcze jedna kobieta. Wiesz coś o tym?

--Nie! Słyszałam tę samą opowieść, co wszyscy: że on i Liath wyjechali sami, nikt nie wie dokąd.

--Możesz zapytać kapitana, jeśli chcesz. Każę go przyprowadzić. -- Wysłała służącą na mżawkę.

Kapitan wydawał się wdzięczny, że stoi blisko ognia, gdy Rosvita zadaje mu pytania. Zauważył, że kobieta była szlachcianką, odzianą w habit.

--Sądziłem, że może jest kleryczką. I... tak, teraz sobie przypominam. Książę nazwał ją „siostrą Anne”.

--Siostrą Anne!

Usłyszeli okrzyk u drzwi i chwilę później Orzeł przekroczył próg i ukląkł przed

księżniczką. Był przemoczony mimo płaszcza na ramionach, a jego srebrne włosy przykleiły się do głowy.

--Wilkun! -- wykrzyknęła Rosvita, zrywając się zaskoczona.

--Ulubiony Orzeł mego ojca -- rzekła Theophanu z błyskiem w oku. -- Jakie wieści nam przywozisz, Orle? Skąd jedziesz?

--Z Aosty. -- Spojrzał najpierw na jedną, potem na drugą. -- Ale jestem zaskoczony, widząc was tutaj, Wasza Wysokość, siostró Rosvito.

--Spodziewałeś się ujrzeć mego brata? -- zapytała Theophanu. -- Opuścił dwór królewski w nielące.

Rosvita oczywiście nie знаła Wilkuna, ale słyszała o nim; był ważną postacią na dworze króla Arnulfa, człowiekiem, o którym inni szeptali. Nikt nie wiedział, czemu Arnulf go lubił, ale wielu zgadywało. Kiedy Henryk objął tron i jasno dał do zrozumienia, że Wilkun nie jest już mile widziany na dworze, plotki jedynie się pogorszyły. Jakie tajemnice skrywał? Był tylko Orłem, a jednak nie należał do tych ludzi, których łatwo dawało się wypytać. Grymas na jego twarzy ukrywał więcej, niż odsłaniał.

--Co z Liath?

--Wydaje się, że wszyscy się nią interesują -- zauważyła Theophanu beztrąsko. Jej niewielki orszak zbliżył się, by posłuchać; nawet najmłodszy dworzanie słyszeli plotki o tajemniczym Wilkunie, człowieku, którego król nienawidził, ale nie podniósł na niego ręki. -- Ale zlituję się nad tobą, Orle. Wyjechała z Sanglantem.

--Dokąd pojechali? -- zapytał.

--Nikt nie wie.

--Musieli się udać do klasztoru świętej Walerii -- powiedziała nagle Rosvita. Dlaczego bowiem była z nimi siostra Anne? -- Wiesz, Orle, że to dobrze.

Nie odpowiedział. Wyglądał na roztargnionego, zaleknionego.

--Ty się nią szczególnie interesowałeś -- ciągnęła Rosvita; jego ponura mina rozbudziła jej ciekawość. -- Co zamierzałeś z nią zrobić?

--Zrobić z nią? -- odezwał się urażonym tonem. -- Zamierzałem jej pomóc. Wyzwoliłem ją z tej okropnej sytuacji...

--Hugo -- wyszeptała Theophanu.

Spojrzał na nią zaskoczony. Rzadko widywano starego Orła zaskoczonego.

--Och tak, również od Hugona, oczywiście. -- Zaciskał pięści, a potem się opamiętał, zdjął rękawice i palcami sztywnymi od zimna zaczął grzebać przy sakiewce u pasa. -- Jechałem w pośpiechu, Wasza Wysokość, i przekroczyłem góry kilka tygodni temu z wiadomością od króla Henryka do królowej Adelheidy, potwierdzającą jego wsparcie. -- Zwinięty pergamin był poplamiony wodą, ale poza tym nietknięty.

--Ale nie dostarczyłeś jej -- zauważyła Theophanu.

Wyciągnął ją ku niej; po chwili ją wzięła, otworzyła i wygładziła pięknie napisany list. Rosvita rozpoznała pismo siostry Amabilii. Czy dotarła do klasztoru Świętej Walerii na czas? Czy zawiozła matkę Rotgardę na sobór do Autunu? Czy spotkała się z księciem i jego konkubiną?

--Nie mogłem -- rzekł wreszcie Wilkun, drżąc, jakby jego myśli znów gdzieś wędrowały. -- Znalazłem królową Adelheidę, ale nie mogłem do niej dotrzeć. Jest obleżona w cytadeli w

Vennaci. Jan Twardogłowy, lord Sabiny, umieścił swą armię pod murami i zamierza zdobyć królową, poślubić ją i koronować się na króla Aosty. Nie jest w tych planach osamotniony, ale to on pierwszy do niej dotarł.

--Dobrze, że mnie znalazłeś, Orle. Teraz wiemy, dokąd mamy maszerować. Czy powinniśmy wiedzieć coś jeszcze o drodze przed nami?

--Wasza Wysokość, armia lorda Jana jest znacznie większa niż wasza.

--Zobaczmy. Królowa Adelheida musi mieć armię w cytadeli. Możemy go złapać w szczypce.

--Jeśli uda się wam znaleźć sposób, by dostarczyć jej wiadomość. Lord Jan szczelnie zamknął wszystkie wyjścia i wejścia, inaczej możecie być pewna, że bym się tam dostał.

--Jestem pewna, że byś się dostał, Orle. Powszechnie wiadomo, że jesteś przebiegły jak wąż i przez wiele lat doskonaliłeś swą mądrość.

Jego uśmiech był krótki, lecz szczerzy i chyba chciał zachichotać, ale tego nie zrobił.

--Co się tyczy drogi, minęliście już najgorszą część. Miałem lepszą pogodę, ale jeśli deszcz przestanie padać, pojedziecie bez trudu.

Theophanu wezwała swego kapitana i Wilkun mówił dalej, opisując szczegółowo liczebność i kondycję armii lorda Sabiny, a także przekazując informacje, jakie zdobył o samej cytadeli i różnych frakcjach z Aosty, które zdawały się walczyć między sobą o królową jak psy o kość. Deszcz znów zaczął padać i głośno uderzał w dach. W środku zbierał się dym, więc służąca otworzyła drzwi, wpuszczając podmuch zimnego powietrza, który tylko poniósł dym znad paleniska w każdy kąt chaty.

Rosvita wyszła, gdy ulewa ucichła i kilka ostatnich kropeł zmoczyło jej policzki, kiedy ruszyła przez wieś, szukając swych kleryków. Brat Fortunatus ukrył się w stodole i ulżyło jej, gdy ujrzała, że ich pióra, atrament i pergamin nie ucierpiały. *Żywot świętej Radegundis*, owinięty w szmatkę nasączoną oliwą, był suchy, podobnie jak niekompletna kopia, nad którą wciąż pracowała Amabilia i jej własna *Historia*. Teraz, kiedy już nie padało, wyszli na zewnątrz, gdzie wieśniacy rozpalili ogień i kolejno usiłowali wysuszyć swe odzienie.

Dostrzegła migotanie małego ogniska poza wioską. Nawet po trudach podróży nie mogła opanować ukłucia ciekawości. Ponieważ przemoczona ziemia tłumila jej kroki, wydostała się z wioski i zdołała podkraść się do niego nie zauważona. Żołnierze przy ogniu w wiosce zaśmiali się i zaczęli śpiewać.

Stary Orzeł siedział na ziemi, na swoim płaszczu, i wpatrywał się w małe ognisko z taką niezwykłą koncentracją, że pewnie nie zauważyłby jej nawet, gdyby go zawołała.

--Pani zlituj się -- rzekł cicho. -- Jestem taki strudzony.

Najpierw pomyślała, że wiedział o jej obecności i zwierzał się. Garbił ramiona, a od jego nieszczęścia serce jej się ścisnęło. Dała krok naprzód...

Ogień zasyczał. Zamarła.

W ogniu poruszały się cienie.

Prawie wrzasnęła, ale przez wiele lat w królewskiej scholi doskonaliła samokontrolę; ogarnął ją strach, jakby tysiące żuków pełzało jej po skórze, a potem zniknął; wzrok jej się wyostriżył -- i zaczęła rozumieć, co widzi.

--Zawiodłem -- dodał, mówiąc do cieni w płomieniach. Wydawał się bliski lez. Przygrywało im powolne kapanie wody z wiszącej skały. Mogła słyszeć odległy szum wodospadu -- a może

był to szum ognia, szept...

--Nie przejmuj się, bracie, dobrze wykonałeś swe zadanie.

O Boże! Stare tajemnice skrywane przez niektóre Orły, zdolność widzenia przez kamień lub ogień, stara sztuczka, przez którą, jak mówiono, popadły w niełaskę po soborze w Narvone. Ale ta sztuczka była użyteczna dla władcy, utrzymywana w sekrecie przez Orły dzięki ich przysiędze lojalności sobie nawzajem i królowi. Jak inaczej zdołaliby tak szybko dostarczać wieści, tak dokładnie wiedzieć, dokąd się udać i przywozić tak niezwykle cenne informacje?

Wiatr wyl wśród skał. W ogniu poruszał się cień, drżąc jak osoba siedząca przed płomieniami. Z tyłu drżało niezwykle światelko, świeca wśród płomieni albo tylko wyobrażenie świecy, widziane przez ogień.

--Odkryłeś tego, którego wszyscy uważaliśmy za martwego, który jeszcze może nam zagrozić. Uzbrojeni w tę wiedzę możemy działać. I pomimo wszystko, bracie, znalazłeś dziewczynę.

Wilkun niecierpliwie pokręcił głową. Rosvita nie widziała jego twarzy, ale wszystko, co chciała wiedzieć, usłyszała w jego głosie.

--Znalazłem i znów ją straciłem.

Wiatr szarpał jej habit, było chłodno jak w zimie; zadrżała. Płomienie szarpnęły się na wietrze i przez chwilę zdawało jej się, że rozrzuci on gałęzie i węgle. A potem, bez powodu, wiatr ucichł. Wilkun oparł czoło na pięściach. W ciszy Rosvita wyraźnie usłyszała głos; ani stary, ani młody, lecz bez wątpienia kobiecy.

--Nie lękaj się. Jest z powrotem w naszych rękach.

8.

Fale uderzają o kadłub okrętu, gdy kierują się na północ wzdłuż brzegu wyspy Sowi. Wiosła zapadają się w morze rytmem równym jak bicie jego serca. Ocieńcia oczy przed błyskiem słońca na falach. Czy w zatoce przed nimi coś się rusza? Czy to tylko kamienna wysepka?

--Okręty! -- krzyczy wachtowy. -- Na północy, w pobliżu wylotu fiordu!

Miał nadzieję wpłynąć do fiordu i zaskoczyć ich, ale wódz Skelninów nie jest głupcem i jest ambitny. Ma wywiadowców i własne uszy. Nie podda się bez walki. Może nawet wierzyć, że dziś zwycięży -- być może rzeczywiście. Ale raczej nie.

Wachtowy rachuje: jeden, cztery, dwanaście, piętnaście długich łodzi i kilkanaście łódek rybackich, których nikt nie liczy. Jego własne siły to jedynie czternaście okrętów, ale łodzie Skelninów płyną na niego jak owce, stłoczone bez szyku. Będą walczyć, nie mając żadnego planu prócz mordowania.

Na jego okrzyk jego okręty zostają związane razem, po trzy jak małe wyspy, o które rozbijają się wojownicy Skelninów, i pięć, by chronić boki i uderzać, gdy otworzy się wyrwa. Przygotowane zostają kotły wrzącego oleju; kamienie przesunięte; oszczepy opuszczone.

Sam stoi na rufie środkowego okrętu na centralnej platformie. Kapitanowie poszczególnych okrętów nie patrzą na łodzie Skelninów, tylko na wodza Rikinów. Kiedy okręty zamykają wyrwę, unosi sztandar, dając znak.

Na każdym okręcie unoszą się dwa kije, każdy zakończony żelaznym hakiem. Haki podtrzymują kotły wypełnione olejem wyciągniętym z morskich olbrzymów i wymieszanym z proszkami, które wzmocnią jego płomień. Na jego znak z koszy z żarem przy położonych masztach zostają odpalone pochodnie, a gdy ogień dotyka oleju w kotłach, zaczyna z nich buchać czarny dym.

Spada na nich grad strzał, a jego ludzie strzelają w odpowiedzi. Kilku wojowników pada, tych, którzy nie schowali się na czas pod tarczami; jeden zatacza się i wypada przez burtę, znikając w szarych falach.

Pierwszy z okrętów Skelninów dopływa do platformy, ocierając się o burtę. Tarcze się unoszą, oszczepy błyskają, by odstraszyć wroga, inni zaś spychają haki abordażowe. Skalne Dzieci Skelnin wyją i wrzeszczą, próbując przeskoczyć wyrwę, ale on tylko patrzy. Może zaczekać jeszcze chwilę, gdy kolejne dwa okręty płyną na niego, a reszta jego łodzi również zostaje zaatakowana.

Wygrał tę bitwę, gdy rozpalono kotły.

Lecą pierwsze kamienie, uderzając w drewno. Dziób jego okrętu z figurą wściekłego smoka zderza się z dumną głową dzika na dziobie okrętu wodza Skelninów. Są otoczeni z trzech stron. Po raz ostatni unosi sztandar.

Kotły się przechylają i palący wodospad spada na wroga. Rozlewa się na oddziały nieprzyjaciela, przywierając do ciał i drewna niby mokre, gorące serce samej ziemi, wściekły jak stopiona skała pulsująca w jej żyłach. Kiedy okręty ocierają się o siebie, jego wojownicy atakują tam, gdzie wśród wroga wybucha panika.

Jeden okręt płonie. Linia tarcz załamuje się i wojownicy Skelninów rozpierzchają się, podczas gdy jego prą naprzód, przeskakując między okrętami i uderzając toporami, by oczyścić łódź. Martwi i ranni wrzucani są do morza, jak obiecał: kiedy patrzy na jego powierzchnię, widzi, że zmarszczki, które pojawiły się za nim na wodzie, kotłują się: trytony łapią łup, który im

przyrzekł.

Bitwa trwa. Trzy okręty Skelninów giną w ogniu, cztery zostają oczyszczone i wzięte, trzy próbują się wycofać i uciec, ale jego własne łodzie, pilnujące boków, ruszają w pościg. Cztery jeszcze walczą, jakby sama odwaga mogła przynieść zwycięstwo.

Ale on wie lepiej. Los sprzyja dzielnym i przebiegłym.

Wreszcie okręty Skelninów zostają schwytane przez trzy jego łodzie, a załoga pokonana. Statki rybackie się nie liczą. Większość już uciekła, a te, które spróbowały włączyć się do walki, zostały zatopione kamieniami. Ale schwytany w wir walki wódz Skelninów ryczy, wybrani wojownicy walczą u jego boku ze ślepą furią berserkerów. To, że przegrają, jest jasne dla wszystkich. Ostatni ich tuzin postępuje naprzód i z głośnym rykiem beznadziejnej wściekłości uderza w tarcze na sterburcie jego okrętu, który bitwa rzuciła nieco przed inne. Zdziwiającym skokiem największy z nich -- sam wódz Skelninów -- rzuca się na burtę. Okręt kołysze się dziko, jeden z jego ludzi i jeden Skelnin wpadają do wody. Ich głowy się wynurzają, białe jak małe góry lodowe i nagle Skelnin zostaje pociągnięty w głębiny.

Wódz Skelninów wyrzaskuje swą furię i odrzuca dwóch z załogi Silnej Ręki, jakby byli piórkami. Z przekleństwem na ustach rzuca się na Silną Rękę.

Taka siła to słabość. Poleganie na niej osłabia umysł.

Kiedy wódz Skelninów pędzi na rufę, spadają na niego maczugi, oszczepy i topory. Jego hełm w kształcie dzika pęka, kość czaszki świeci przez zdarty skalp jak śnieg na szczycie, ale nadal prze naprzód. Czy to możliwe, by furia przekroczyła ograniczenia ciała? Stojąc na rufie, z dłonią na oszczepie o żelaznym ostrzu, Silna Ręka z zainteresowaniem obserwuje, jak wódz Skelninów zatacza się. Ale w końcu nawet najsilniejsi się wykrwawiają, a ciało zmieni się w proch, podobnie jak wielkie szczyty górujące nad zatoką zmieniają się w piasek, który rozwieje wiatr -- a przynajmniej tak mówią MądreMatki.

Uderzony pod kolanem i z przebitym gardłem, wódz Skelninów upada o długość oszczepu od stóp Silnej Ręki.

Jego wojownicy wydają triumfalny ryk, drży od niego powietrze i odbija się echem od odległych ciemnych klifów. Teraz mu uwierzą. Teraz inni stłoczą się pod jego sztandarem. Przygląda się rzezi bez przyjemności, ale też bez bólu. W taki sposób osiąga się podobne cele. Dla innych celów przeznaczone są inne metody.

Tym rannym, którzy mają zamiar się poddać i żyć, każe przysiąc posłuszeństwo fiordowi Rikin. Jego ludzie, pływający w morzu, zostają wyłowieni, nietknięci -- taką umowę zawarł. Większość martwych wrzucają do wody, jak obiecał, ale pozwala swym psom, spuszczone z smyczy, rozerwać na strzepy wodza Skelninów.

Skowyt psów wyrwał Alaina ze snu. Prawie spadł z łóżka. Dywan się przesunął i zimna podłoga pod stopami rozbudziła go całkowicie.

Tallia zadrżała.

--Co to za hałas? -- wymruczała cichą skargę.

Nosił koszulę, jak zawsze w łóżku -- było to nienaturalne w łóżu małżeńskim, ale Tallia nalegała. Sięgnął po pas i miecz i skoczył do drzwi, gdzie służący odsuwali się, budząc, schodząc mu z drogi. Na skoblu wisiał amulet: złapał ramię i szarpnął. Pchnął drzwi tak mocno, że ligatura, zrobiona i pobłogosławiona przez diakonisę, zwisająca z belki w drzwiach, rozsypała się na niego, gubiąc suche zioła i kawałki pergaminu zapisane wersami ze świętych ksiąg.

Wyczesał je z włosów palcami, kiedy zbiegał po schodach na niższe piętro. Ściany pachniały kadzidłem od nocnych obchodów, jakie czyniła diakonisa, wymachując kadzielnicą, by wypędzić z domu złe stwory. Z dołu wpływało na schody przydymione światło: ogień pochodni.

Strach ścisnął mu serce.

Było tak spokojnie przez miesiąc od śmierci Wiarusa. Zaczął wierzyć, że są wolni, że klątwa okazała się jedynie majaczeniem stworzonym przez oszalały umysł księcia.

Drzwi do komnaty Lavastine'a były zaryglowane od wewnątrz i zgromadzili się już przy nich służący. Kilku przyniosło ze sobą pochodnie, by przyświecać innym, którzy uderzali ramionami w ciężkie drzwi, próbując je wyważyć. Alain poślizgnął się na igłach sosnowych, rozsypanych po podłodze, by odpędzić zło. Nawet przez grube drewniane drzwi jazgot psów ogłuszał.

--Przepuście mnie! -- Mężczyźni rozstąpili się przed nim, ale złapał dwóch najpotężniejszych i razem uderzyli w drzwi całym ciężarem swych ciał, uderzyli znowu, a psy w komnacie oszalały. Jeden z nich zawył z bólu, wysoki pisk, a po nim rozwścieczony zgielk ujadania.

--Groza! -- To był głos Lavastine'a.

--Ojcie! -- krzyknął Alain. Razem ze służącymi znów rąbnął w drzwi. Zadrzały, skrzypiąc. Nad nimi również została zapleciona ligatura, przymocowana ściślej, ale teraz zaczęła się rozsypywać i opadała na nich: szałwia, suszony anyżek, gałązki dębu, lniane pasy ze znakami, pachnące lekko cyprysem.

--Alain, nie wchodź! -- krzyknął Lavastine. -- Jest tutaj.

--Jeszcze raz! -- Ramię go bolało, więc odwrócił się i napierał drugim. Uderzyli w drzwi, które znów skrzypnęły, ale się nie poddały.

--Panie! -- Po schodach wbiegł zdyszany żołnierz, niosąc dwa topory. Za nim biegł drugi z pochodnią.

Alain złapał topór i zaczął ciąć mocno, odchodząc od zmysłów ze strachu, waląc dziko, podczas gdy psy po drugiej stronie drapały i szczekały; tak blisko, tak nieopisanie daleko. Słyszał jedynie serię przekleństw, które wyrzucał z siebie hrabia. O Boże, jeśli ta rzecz dostała się do komnaty, jego ojciec nie mógł zaryzykować przejścia po podłodze, by otworzyć im drzwi. Był sam w ciemności, bezradny, tylko z psami.

Drewno pękało pod ostrzami. Obok niego żołnierz uderzał wyuczonymi ciosami człowieka, który wiele razy oglądał bitwę i rzeczywiście, gdy Alain zerknął na jego twarz w świetle pochodni, okazało się, że to weteran spod Gentu.

--Czy to zabójca? -- zajączkał jeden służący.

--Nie, złowroga klątwa! -- odkrzyknął drugi. -- Martwa ręka Eiki, mszcząca się na hrabim za jego zwycięstwo pod Gentem!

W blasku drewno wydawało się żółte, gdy Alain rąbał. Deska pękła, ostrze się przebiło i utkwilo w drewnie. Psy zamilkły, tylko jeden piszczał.

--Stać! -- dobiegł ich nagle głos Lavastine'a z drugiej strony drzwi. -- Cofnąć się.

Wszyscy posłuchali bez namysłu. Skobel się poruszył. Drzwi skrzypnęły, zadrzały, cofnęły się.

--Zacięły się -- powiedział żołnierz i wraz z Alainem napaarli na nie ramionami, by popchnąć. Natychmiast się otworzyły, Alain wpadł do pokoju, zatoczył się i stanął, mrugając.

Okiennica była otwarta, na horyzoncie majaczyła cieniutka kreska szarości. Za nim tłoczyli się służący, ale cisza była przerażająca i namacalna.

Lavastine stał na boso, w koszuli, na kamiennej podłodze. W prawej ręce trzymał obnażony miecz, w lewej nóż. Smutek i Furia warczały na ludzi, dopóki Alain ich nie uciszył. Były tak spięte, że nawet wtedy warczały, ale usiadły. Groza leżała na podłodze, liżąc tylną łapę, a Strach czaił się tuż za Lavastine'em, bezgłowy kształt.

W świetle pochodni cienie zatańczyły dziko na ścianach, gdy służący zbliżyli się, mrużąc, przestraszeni.

--Ojcie! -- Alain odzyskał głos i poruszył się, by złapać Lavastine'a za nadgarstek. Jego skóra była okropnie zimna, ale twarz zaczerwieniona. -- O Boże! Co się stało?

Lavastine otworzył dłoń i nóż upadł z loskotem na podłogę. Strach zawarczał gardłowo. Przeszedł obok Lavastine'a i Alain ujrzał coś białego zwisającego mu z pyska, a potem pies rozwarł szczęki i upuścił ohydnie białe, podobne do szczura stworzenie u stóp Lavastine'a jak ofiarę. Wyglądało na nieżywe.

Ale i tak było za późno.

Opuszczony wzrok Alaina zatrzymał się na bosych stopach hrabiego, bladych, dobrze utrzymanych i czystych... prócz dwóch krwawych ranek na kostce, umieszczonych blisko siebie. Lavastine nic nie powiedział, położył tylko dłoń na ramieniu Alaina i opierając się na nim, pokuśtykał do łóżka, gdzie usiadł.

Jego twarz była absolutnie spokojna.

--Zawołajcie diakonise -- rzekł. -- Zostałem ukąszony. -- Służący zajęczeli głośno, wszyscy naraz, ale uniósł rękę, nakazując ciszę. -- Nie, Bóg jest miłosierny.

--Miłosierny! -- zawołał Alain skonsternowany. Nie chciał patrzeć na stwora, który leżał na środku drewnianej podłogi, ale jeden z żołnierzy szturchnął go drzewcem topora, a ten się nie poruszył, nie zadrżał. Był martwy.

--Teraz to nie żyje i nie może cię zranić, synu. -- Jeden ze służących wreszcie zbiegł po schodach. Lavastine dotknął Alaina. Jego palce wydawały się zimne jak marmur. -- Dopilnujcie, by to spalono, ale poza wioską, gdzie dym nikogo nie zatruje.

Po drugiej stronie pokoju zaskomlała Groza i nagle spokojny wyraz twarzy hrabiego zmienił się, w jego oczach zamajaczył cień śmierci.

--O Boże. Moja stara Groza. Najwierniejsza.

--Tutaj, ojcie -- powiedział Alain ostro. -- Usiądź tu, ojcie. Złapał nóż z podłogi i wyciął krzyż nad raną, potem przyłożył do niego wargi i zaczął ssać mimo protestów Lavastine'a, które szybko umilkły. Jego krew smakowała gorzko jak nadzieja. Alain wypluł ją na podłogę, zassał ponownie, a potem zrobił to samo z Grozą, a służący spieszyli z gorącą wodą, bandażem i łopatą, by wynieść martwe stworzenie. O wschodzie słońca przyszła diakonisa. Zajęła się przyrządzaniem kataplazmu, a Alain wysłał wiadomość do klasztoru Świętego Synodiosa, prosząc ich, by natychmiast przysłali brata uzdrowiciela.

Lavastine siedział spokojny jak kamień i ani razu nie krzyknął z bólu, nie przeklął czarownika Eików, tylko czekał, głaszcząc głowę Grozy i patrzył z delikatnym uśmiechem, który oznaczał aprobatę, a Alain wydawał rozkazy i wreszcie, ponieważ nie pozostało nic innego, ukląkł obok i zaczął się modlić.

CZEŚĆ DRUGA

OBRACAJĄCE SIĘ KOŁO

Rozdział ósmy
To, co oślepia

1.

--Nadjeżdża młody lord!

Alain usłyszał krzyk, gdy jego orszak skręcił na leśnej drodze i zatrzymał się na polanie. Wzdłuż drogi stały chaty, a za każdą rozciągały się wąskie ogródki. Kilka krów pasło się na skraju lasu. Za wioską rozciągały się pola oziminy. Zsiadł z konia i wręczył wodze giermkowi.

--Czy to jest sporna ziemia? -- zapytał rządcę, ale wieśniacy pognali już ku niemu i zgodnie ze starym obyczajem zaczęli gadać wszyscy naraz, by zwrócić jego uwagę.

Rządca przyniósł mu stółek i Alain usiadł, ale to nie uciszyło wrzasków. Wobec tego siedział, z Furią i Smutkiem po bokach i Strachem rozciągniętym u stóp, spokojnie obserwując wieśniaków, którzy po chwili jeden po drugim przestawali krzyczeć i gestykulować, gdy zorientowali się, że nie zamierza przemówić, dopóki nie zapadnie cisza. Ponieważ był cierpliwy, po jakimś czasie wszyscy stanęli przed nim i czekali.

--Do uszu mego ojca, hrabiego Lavastine'a, doszło, że jakieś spory zakłóciły spokój tej wioski, a kilku mężczyzn odniosło rany w bójkach. Wolą mego ojca jest, aby na tej ziemi nie dochodziło do żadnych starć, wobec tego przybyłem rozsądzić sprawę. Niech wystąpią zainteresowani... Nie! -- Musiał unieść głos, gdy kilkoro wystąpiło naraz, wznosząc ramiona, by zwrócić na siebie uwagę. -- Każda osoba będzie miała okazję, żeby przemówić, niezależnie od tego, ile czasu to zajmie.

Ich zeznania trwały dość długo i była to niewdzięczna praca, zwłaszcza że musiał siedzieć nieruchomo i słuchać w zimny, jesienny dzień. Ale miał podbity futrem, wełniany płaszcz i nie brakowało mu gorącego jablecznika przynieszonego przez dzieci z wioski. Słuchał, gdyż doskonale to potrafił i po jakimś czasie, gdy wieśniacy zorientowali się, że rzeczywiście każdy będzie mógł się wyżalić, opamiętali się nieco i zaczęli mniej oskarżać, a więcej wyjaśniać. Kiedy już przebrnął przez ich narzekania, pretensje i spory o łąki, prawa do wypasu, podział podatku wypłacanego ich panu od wspólnych pól żyta, jak podzielić pozostałe nieużytki i jak często zostawiać pola odlogiem, podniósł dłoń, prosząc o ciszę.

--Oto sedno tego, co usłyszałem: wszystkim wam wiodło się tak dobrze za rządów hrabiego Lavastine'a, że nie macie wystarczająco dużo ziemi do podziału pomiędzy wasze dzieci, tak aby każde otrzymało część tak dużą jak ta, którą dotąd uprawialiście. -- Nie odważyli się sprzeczać z jego zdaniem, ale zauważył, że ten pomysł do nich przemawia. Kiedy już pojawił się jakiś wzór, wiedział, jak w tej sytuacji poradziłoby sobie Lavastine i ciotka Bel, a on chciał zrobić, co w jego mocy. Tak naprawdę mógł wysłać rządcę, żeby się tym zajął, ale skoro Lavastine był chory, Alain musiał się pokazywać. A poza tym pracując, nie myślał o Tallii.

--Moją wolą jako dziedzica tych ziem jest, byście zostali nagrodzeni, nie ukarani, za swą ciężką pracę, ale wasze spory muszą się zakończyć. Wobec tego w imieniu mego ojca pozwolę wam uprawiać polany w lesie, które dotychczas zarezerwowane były na wypas dla świń i polowania. Ale możecie zebrać z tych pól plony jedynie dwa razy, a potem przenieść się na nowe pola i nie możecie wracać na poprzednie miejsce przez co najmniej dziesięć lat. Z każdych pięciu miarek zebranego zboża jedna zostanie oddana do spichrza hrabiego. Podczas

jednej orki w roku będziecie używać żelaznego pluga z forticy Lavas. Przemówiłem w imieniu mego ojca i moim własnym.

Byli zadowoleni. Widział to w ich twarzach, gdy zginali przed nim kolana i mówili:

--Niech was Bóg błogosławi, panie. -- Bez wątpienia trzeba będzie popracować nad szczegółami, ale te może zostawić rządcom. Klótnie nadal będą wybuchały, jak zawsze. Ale był zadowolony, że zrobił wszystko, co w jego mocy.

--Co z naszym dobrym hrabią Lavastine'em, panie? -- zawołał jeden ze starszych. -- Słyszeliśmy, że zachorował.

Satysfakcja, jaką odczuwał, natychmiast się ulotniła.

--Módlcie się za niego -- odparł. -- Módlcie się do Boga o łaskę uzdrawiania.

Wrócili do forticy Lavas wczesnym popołudniem i gdy Alain z ogarami pokonywał schody do sypialni Lavastine'a, usłyszał stłumiony szloch kobiety. Wszedł do pokoju i ujrział Tallię klęczącą przy łóżku hrabiego, modlącą się; jej ramiona drżały, a twarz chowała w dłoniach.

--Błagam, synu -- rzekł Lavastine, widząc, że Alain przywiązuje Stracha i Furię do żelaznego kolka w ścianie niedaleko łóżka. Przez jego twarz przemknął wyraz ulgi. -- Odprowadź swą żonę do waszych komnat. Modliła się za mnie cały ranek i obawiam się, że potrzebuje odpoczynku.

Alain stanął, by pogłaskać Grozę; z rozkazu Lavastine'a psu pozwolono leżeć na łożu obok hrabiego i spoczywał tam, każdego dnia coraz cichszy, ale wciąż żywy. Zaskomlał, wciskając swój gorący suchy nos w dłoń Alaina. Nie mógł pomerdać ogonem ani poruszyć łapami, ale ciemnymi ślepiami wiernie wpatrywał się w pana.

--Chodź, Tallio. -- Nie opierała się, gdy Alain ujął ją za ramię i podniósł. Służący pomogli hrabiemu usiąść i cofnęli się, gdy Strach wskoczył na łóżko i ułożył się na martwych nogach Lavastine'a. Alain odwrócił wzrok i pośpiesznie poprowadził Tallię na górę. Smutek poszedł za nim do progu; potem, piszcząc, wrócił do komnaty, by pozostać z hrabią.

Na górze Alain odprawił służące Tallii. Wciąż cicho płakała. Jej smutek z powodu Lavastine'a głęboko go wzruszył. Pomyślał, że nigdy nie kochał jej tak bardzo jak teraz, gdy współczucie uwidaczniało się we łzach.

--Nie rozpaczaj, ukochana -- wyszeptał jej na ucho. Była bezwładna od smutku; przytulił ją.

--Jak mam nie rozpaczać? -- odparła cicho. -- Pozostaje uparcie zaślepiiony. Dlatego zmienia się w kamień, bo odmawia przyjęcia prawdziwego słowa, świętej śmierci i życia błogosławionego Daisana, który umarł, byśmy mogli żyć nie splamieni w Komnacie Światła. Spadnie w Otchłań. Gdyby tylko Bóg dał mi siłę, bym sprawiła, aby przejrzał!

Był zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Nie tego się spodziewał.

A potem spojrzała na niego; blask pasji rozświecający jej oczy był jak setki nie wypowiedzianych obietnic. Oszłomiło go, że może doświadczyć rozpaczyny nad Lavastine'em, a jednak tak bardzo jej pożądać. Westchnął i przyciągnął ją bliżej, czekając, co mu powie, a ona pozwalała, by ją tak przytulał.

--Kiedy umrze, pozwolisz mi zbudować klasztor, prawda? Nie będziesz się sprzeciwiał, wiem o tym. Tylko on ma stare zobowiązania wobec Kościoła fałszywego prorocstwa. Możemy razem zbudować kościół poświęcony Matce i Synowi i oddamy się tam, w wiecznym dziewictwie, na ich chwałę. W ten sposób uwolnimy się od ciężaru śmiertelności!

Poblogosławimy dzieci, które moglibyśmy mieć, nie skazując ich na uwięzienie w żywocie na tej ziemi!

--Nie! -- Cofnął się i zatoczył, puszczając ją. Jak mogła tak mówić, kiedy wszyscy w tym zamku oplakiwali dobrego hrabiego, który leżał na łożu śmierci? -- Wiesz, że hrabstwo Lavas musi mieć dziedzica. Wiesz o tym! To nasz obowiązek.

--Nie, naszym obowiązkiem jest zerwać okowy tego świata, uciec z ciała, które nas więzi. -- Zadrżała. -- To wszystko jest obrzydliwe, przywiązuje nas do Nieprzyjaciela, ciemność, żądza, zwierzęce parzenie się, całe to walenie i dyszenie...

Czy z niego kpila? Tracąc cierpliwość, złapał ją za ramiona.

--Ale musimy począć dziecko, Tallio! To nasz obowiązek. -- Spróbowała się wyrwać, ale był zbyt wściekły, by odczuwać współczucie dla jej lęku, jeśli to w ogóle był lęk. Może był to tylko egoizm.

--Nigdy! Nigdy się tak nie splugawię! Poświęciłam się...

--Zrób, co chcesz, zbuduj, co chcesz, poświęć się, czemu chcesz, ale dopiero gdy dasz hrabstwu Lavas dziedzica!

Oslabła, przewróciła oczami i zemdliała.

Stał tam jak głupiec, z bezwładną Tallią w ramionach, gdy do komnaty wpadły jej służące, zaalarmowane ich podniesionymi głosami. Gapily się na niego jak przerażone króliki. Z okrzykiem frustracji oddał ją pod opiekę lady Hathumod, jedynej rozsądnej pośród nich, i uciekł do kaplicy. Klęczał przed Paleniskiem, ale choć frater dotknął jego ust wodą święconą ze złotego pucharu, nie mógł odzyskać głosu. Po chwili frater zostawił go samego w ciszy komnaty Boga i klęcząc tam, myślał, że nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny. Chciał płakać, ale brakowało mu lez. Chciał się modlić, ale brakowało mu wyszukanych słów. Ale czy Bóg żądali wyszukania? Ile razy ciotka Bel powtarzała mu, że Bóg woleli szczere serce od giętkiego języka?

Wreszcie złapał frędzle ornatu z ołtarza i przycisnął tkaninę do czoła.

--Boże, błagam -- szepnął. -- Błagam, uleczcie mego ojca.

Nasłuchiwał bardzo długo, ale nie było odpowiedzi.

--Panie, proszę, chodźcie -- powiedział frater cicho, pojawiając się w kaplicy. -- Hrabia was prosi.

Cicho podążył za fratrem, tak cicho, że gdy stanęli na progu komnaty Lavastine'a, nikt go nie zauważył. Strach wciąż leżał na łóżku, a Smutek i Furia siedziały w zasięgu dłoni hrabiego, gdyby nabrał ochoty, by je poklepać. Nienaturalnie nieruchome, jak Groza, ignorowały zgromadzonych przy łóżku ludzi; Alain też ich zignorował. Nie mógł oderwać oczu od Lavastine'a.

Każdy przypadkowy widz wziąłby hrabiego za osobę wstającą późno, siedzącą wygodnie na łóżku z dłonią na głowie ulubionego psa, ustalając obowiązki na ten dzień, nim wstanie, by wyruszyć na polowanie. Żaden przypadkowy widz nie zorientowałby się, że nogi ukryte pod koldrą były jak kamień i że łóżko już raz wzmocniono, by wytrzymało dodatkowy ciężar.

Czy hrabiego przerażała trucizna, dzień po dniu nieodwracalnie rozpełzająca się po jego ciele?

--Pani Dhuodo, dopilnuj, by druga najlepsza pościel trafiła do twojej córki na wiano. A co do moich tunik, niech te prawie najlepsze dostaną się wdowie po kapitanie dla jej najstarszego

syna i każdemu z moich lojalnych służących. -- Na jego ustach zagościł delikatny uśmiech, gdy skinął głową ku okrągłemu rządcy czekającemu u stóp łóżka. -- Prócz obecnego tu Christofa, gdyż obawiam się, że potrzebowalby dwóch. -- Wszyscy zgromadzeni wybuchnęli serdecznym śmiechem, ale Alain widział lzy w ich oczach, we wszystkich prócz oczu Lavastine'a. -- Ale w tkalni jest porządny kawał lnu, który powinien mu wystarczyć, jak sądzę.

Przy stole siedział frater, zapisując wszystko, podczas gdy Lavastine mówił dalej:

--Kiedy tkalnia skończy już nowe arrasy do sali biesiadnej, życzę sobie, by te, które tam teraz wiszą, zostały wysłane do Bativii.

--Nie zapisaliście tego dworu córce waszego kuzyna? -- zapytała Dhuoda, siedząca na krześle przy łóżku.

--Owszem, Laurencji, gdy osiągnie pełnoletniość. Ale nie pozwolę gadać, że zostawiłem jej ochłapy. Te arrasy będą tam bardzo ładnie wyglądać. To mały dwór, ale porządnie wybudowany i ciepły w zimie. Czy przyszła już jakaś wiadomość od Godfryda?

--Nie, panie hrabio -- odparła Dhuoda, marszcząc brwi. Spojrzała na fratra, który przyszedł z Alainem, ale ten wzruszył ramionami.

Lavastine podążył za jej wzrokiem znacznie wolniej, jakby jego kark był sztywny i trudno mu było się ruszyć. Zdołał unieść prawe ramię i skinąć na Alaina, ale najwyraźniej był to dla niego wysilek.

--Chcę mieć przysięgę Godfryda, że będzie we wszystkim wspierał mego syna, gdy umrę.

Kilku służących nakreśliło Krąg na piersi. Alain padł na kolana przy łóżku.

--Nie umrzesz, ojcze! Spójrz, jak wolno to cię ogarnia, wydobrejesz. Wiem, że wydobrejesz!

Lavastine z trudem uniósł rękę i z grymasem satysfakcji położył ją na schylonej głowie Alaina. Ważyła już znacznie więcej, niż powinna.

--Truczna każdego dnia posuwa się wyżej, synu. Mogę sobie jedynie wyobrażać, że ten stwór zmarnował większość swego jadu na me wierne psy i dlatego niewiele go dla mnie zostało. Sądzę, że to możliwe, iż trucizna mnie jedynie sparaliżuje, ale nie żywię podobnej nadziei. Nie rozpaczaj. Pogodziłem się z Bogiem i zostawiłem szczegółowe instrukcje. -- Spojrzał ku stolowi, gdzie frater przestał pisać i znów na Alaina, wzrokiem spokojnym i chłodnym. -- Moje życzenia i nakazy są w tej kwestii jasne. Swej wartości musisz dowieść jedynie przez spłodzenie potomka.

2.

Wszyscy Ungrianie dziwnie pachnieli, ale gdy zgromadzili się na ucztę weselną w pałacu biskupiny Handelburga, w swych watowanych płaszczach, futrzanych pelerynach i czapach z frędzlami wyglądali potężnie i wojowniczo.

Książę Bayan był mężczyzną w sile wieku, barczystym, spalonym słońcem, z włosami przetykanymi srebrem i zwyczajem podkręcania opadających końców wąsów. Przywiózł swą matkę, ale pozostała w palankinie, schowana za ścianami złotego jedwabiu. Czterech niewolników -- jeden ze skórą czarną jak smoła, jeden jasny jak Hanna, jeden o złotej skórze i dziwnie skośnych oczach i jeden o wyglądzie ungryjskich wojowników, którzy ich otaczali -- trzymało lektykę na ramionach, więc nigdy nie dotykała ziemi. Uczta zaczęła się w południe, a jednak aż do późnego popołudnia ani jeden talerz z jedzeniem nie znalazł się za maskującym jedwabiem.

Podczas długiej podróży do Handelburga księżniczka Sapientia podjęła decyzję, że będzie lubić swego męża, ale po prawdzie trudno go było nie lubić.

--Kiedy Geza ukochany Boga ciągle jest książę, jeszcze nie król, on stacza bitwę z *majarikami*. -- Odwrócił się do swego tłumacza, barczystego fratra w średnim wieku, który miał tylko jedną dłoń; drugie przedramię kończyło się kikutem przy nadgarstku. -- Jak się zwa po wendarsku? Ach, Aretuzanie. Tak? -- Zakręcił końcem swego wąsa między palcami tłustymi od mięsa. -- Złote czapki i dużo mocnego zapachu perfum, ci *majarikowie*.

--Książę Geza pokonał Aretuzan w bitwie? -- zapytała Sapientia.

--I się staje król Ungrianów. Walczy ze swymi wujami, braćmi matki, wy byście powiedzieli, którzy mówią, że oni muszą być król, nie on. Oni jadą do *majarików* i obiecują żadnych najazdów i klaniać się Bogu *majarików*, jeśli armia *majarików* walczy po ich stronie. Ale książę Geza ukochany Boga wygrywa tę bitwę i jest król.

--Bóg nie nagradza tych, którzy modlą się do Niech tylko dla własnej korzyści -- zauważyła biskupina Alberada ze swego miejsca pomiędzy Sapientią i Bayanem. Jako starsza siostra Henryka z nieprawego łoża rządziła nadanym jej biskupstwem silną ręką i zawsze wpierała brata tutaj, na wschodnim krańcu królestwa.

--Czy ty też nim walczyłeś przeciw waszym wujom? -- zapytała Sapientia, bardziej zainteresowana wspaniałymi historiami bitewnymi niż problemami duchowymi.

--To nie moi wuje -- wyjaśnił Bayan. -- Jestem synem trzeciej żony króla Eddeca, naszego ojca. Tego dnia ja jeszcze młody, spałem w namiocie mej matki.

Wniesiono nowe danie, podawane przez wojowników Bayana i kilku pachnących czystością kleryków ze świty biskupiny. Biskupina Alberada przewodziła krojeniu imponującego platu wieprzowiny. Równie silnego zdrowia co jej przyrodni brat, wyglądem wyraźnie przypominała swą matkę, szlachciankę z Poleniów, która dostała się do niewoli podczas jakiejś bezimiennej bitwy i stała się pierwszą konkubiną Arnulfa młodszego, nim poślubił on Berengarię z Varre.

Kiedy rozdano mięso, Alberada zmierzyła księcia Bayana kwaśnym spojrzeniem.

--Sądziłam, że Ungrianie skończyli ze zwyczajem poślubiania wielu żon, gdy przyjęli święte Słowo Jedności. Według Świętego Słowa jedna kobieta i jeden mężczyzna powinni złączyć się w harmonii i monogamii, na wzór Boga Naszej Matki i Ojca.

Wypowiedź biskupiny trzeba było przetłumaczyć, a Bayan słuchał uważnie i entuzjastycznie pokiwał głową.

--To oznajmia mój brat, kiedy przyjmuje koło Boga. Podążam za jego nakazem. Odprawiam moje żony, kiedy przybywam poślubić księżniczkę Sapientię. -- Uśmiechnął się do niej. Miał jedną szczerbę, ale poza tym jego zęby były mocne, choć nieco zażółcone, zapewne od wielu filiżanek parującego, ostro pachnącego, brązowego naparu, który wypijał po opróżnieniu każdego pucharu wina.

--Miałeś inne żony? -- zapytała biskupina.

--Wszystkie naraz? -- chciała wiedzieć Sapientia.

--Wiele klanów chce sojuszu z domem Gezy i wysyła córki w darze. Zbyt wiele dla niego i jego synów, więc dostają się mnie, bo jestem jedynym żywym bratem króla. Obraza je odsyłać. -- Nagle zerwał się, unosząc puchar, który dzielił z Sapientią i zawołał we własnym języku, wskazując kielich. Młody mężczyzna, odziany w wyszywaną tunikę ozdobioną złotym warkoczem, wstał, odpowiedział mu, wychylił swój puchar i siadł. Bayan zajął swe miejsce. -- To młodszy brat mojej drugiej żony. Ona bardzo zła, że ją odprawiam, ale daję jej dużo złota i pozwalam poślubić księżę Oghirzo. -- Roześmiał się. -- Mówię jej, on lepszy mąż.

--A ty nie jesteś dobrym mężem? -- Ale Sapientia miała błysk w oku i po chwili Hanna uświadomiła sobie z pewnym zaskoczeniem, że żartowała ze swego narzeczonego. Nigdy nie żartowała z Hugona.

Księżę Bayan powitał uwagę głośnym śmiechem i znów się poderwał, kazał, aby wszyscy mężczyźni z jego orszaku wstali i wznosił toast na cześć swej narzeczonej. Mężczyźni przy jednym ze stołów, wciąż stojąc, odśpiewali głośno pieśń, podczas gdy reszta wybijała rytm, waląc pucharami w stoły. Potem Bayan wygłosił w swoim języku długi i nudny pean na cześć swej przyszłej żony, przerywany przez tłumacza:

--Jest tak piękna jak najlepsza klacz. Silna jak króliki w zimie. Jej chwyt jest mocny jak szponów orla, jej wzrok sokoli, jest płodna jak myszy -- i dalej w tym stylu, dopóki Sapientia nie wybuchnęła śmiechem.

--Wasza Wysokość -- wyszeptała Hanna, pochylając się nad nią. -- Jeśli go obrazicie...

--Nie podoba ci się mój wiersz? -- krzyknął Bayan, opadając na krzesło. -- To moje własne słowa, nie mówię niczyich innych.

Sapientia zdusiła śmiech i zaczerwieniła się.

--Jestem pewna, księżę Bayanie, że to tylko z powodu słów, których tłumacz używa dla tych w waszym języku...

--Nie, nie! -- zawołał radośnie. -- Zawsze robię wiersze, co inni mówią, że niedobre, nie jak prawdziwi poeci. Ale śmiech mi nie przeszkadza. Te słowa są z mego serca.

--O Boże -- zamruczała Alberada. -- Zły poeta. Całe szczęście, że jest dobrym wojownikiem, Wasza Wysokość.

Ale Sapientia promieniała.

--Sam ułożyłeś ten poemat, dla mnie? Posłuchajmy go raz jeszcze!

Z radością się zgodził i tym razem nie przerywał mu śmiech księżniczki. W wierszu pojawił się pewnego rodzaju refren i gdy się powtarzał, Ungrianie podrywali się, wykrzykiwali go chórem i osuszali kielichy. Ciągnęło się to bez końca, a Hanna jadła w tym czasie resztki z talerza Sapientii, odstawionego na bok. Była bardzo głodna, choć od czasu do czasu Sapientia podawała jej własny kielich. Sala śmierdziała winem i uryną.

Po recytacji nastąpił pokaz zapasów, bez wątplenia mający rozpalić kobiece pożądanie,

ponieważ młodzi ungryjscy wojownicy rozebrali się bardziej, niż się kiedykolwiek zdarzyło Hannie oglądać w miejscu publicznym, pozostając jedynie w przepaskach osłaniających krocze, i natarli oliwą skórę, która stała się błyszcząca i śliska. Czy zasłony lektyki rozsunęły się lekko? Czy ujrzała dłoń, palce ozdobione pierścieniami rozchyłające jedwab i ślad ruchu, jakby ktoś podglądał?

Pochyliła się, by zaszeptać do ucha Sapientii:

--Zastanawiam się, Wasza Wysokość, czy nie powinniście dać trochę jedzenia matce księcia Bayana. Nie zauważyłam, aby podano jej choć jeden półmisek.

Sapientia wydawała się przestraszona tym przeoczeniem.

--Czy twoja matka nie będzie z nami jadła, książę Bayanie?

Zmienił się na twarzy, ucałował palce prawej dłoni i uczynił gest, jakby rzucał coś przez lewe ramię.

--Nie przystoi. -- Spojrzał nerwowo na lektykę i złote zasłony, ukrywające siedzącą w nim kobietę. -- Moja matka to potężna czarownica, tak je chyba zwiecie, z ludu Kerayit, bardzo oni silni w magię. To wrogowie Ungrian, dlatego mój ojciec ją poślubia. W naszym języku nazywamy ją *shaman*. Jej nie wolno dzielić mięsa z ludźmi, co nie jej krewni.

--Ale ty i ja mamy wziąć ślub! To mnie czyni jej krewną.

Uśmiechnął się.

--Nie ma ślubu, dopóki kobieta i mężczyzna nie łączą się w łóżku. Tak?

Zaczerwieniła się.

--Taki jest zwyczaj w moim kraju.

--Czy wasza matka przyjęła Święte Słowo i Krąg Jedności? -- zapytała biskupina sucho.

Zamrugął zaskoczony.

--Ona dobra księżniczka Kerayit. Jej bogowie zabiorą jej siłę, jak im nie da ofiary.

Dlatego nie można jej widzieć w tym towarzystwie.

--Poganka -- wymruczała Alberada. -- Ale wy czcicie ołtarz Boga, książę Bayanie.

--Jestem dobrym czcicielem -- zgodził się, spoglądając na fratra, by się upewnić, czy poprawnie wypowiedział słowa. Mężczyzna pochylił się i zaszeptał mu do ucha, a Bayan skinął głową, odwrócił się do biskupiny i odezwał z większą emfazą: -- Podążam za Świętym Słowem Boga w Jedności.

Jakby te słowa były sygnałem, mężczyźni zapalili pochodnie i wsadzili je w uchwyty wzdłuż ścian. Biskupina podniosła się z królewską gracją; choć niewysoka, miała szeroką figurę królowej. Jak jej nieślubny bratanek, Sanglant, ona również nosiła złoty torkwes oznaczający jej królewskie pochodzenie, choć, jak i on, nie mogła aspirować do tronu -- chyba że prawdziwa była plotka, iż sam Henryk spiskował, by syn z nieprawego łoża zajął po nim miejsce na tronie. Hanna nie była głupia: słuchała i obserwowała. Dlaczego Henryk miałby oddać swą córkę człowiekowi, który, choć okryty sławą dobrego wojownika, raczej nie mógł oczekiwać szacunku i lojalności w samym Wendarze? Jedynie Sapientia zdawała się nieświadoma implikacji wyboru męża, jaki uczynił jej ojciec. Rozpromieniona, z błyszczącymi oczami, podniosła się, by stanąć obok Alberady, gdy biskupina nawoływała do porządku.

--Kiedy noc okrywa tę salę, niech się spełni wola Boga.

Nastąpiły zwyczajowe przysięgi, wymiana darów małżeńskich: spornego granicznego terenu przekazanego księciu Bayanowi, plemienia, którego podatki będą odtąd zasilać skarbiec

wendarski, a nie ungryjskiego króla, wielu cennych naczyń wykonanych w Salii i Aoście, podarowanych przez Henryka, ze wschodu zaś dwa wozy wypełnione złotem, które ludzie Bayana wciągnęli do sali. Hanna nigdy wcześniej nie widziała tak oszalamiającej ilości czystego złota, nawet na dworze Henryka. Błyszczało matowo, niemal złowieszczo, w stertach, niby obojętnie wyrzucone śmieci.

Biskupina pobłogosławiła ich i wzniesiono toasty za ich zdrowie, za męskość Bayana i za kobiecą siłę Sapientii.

--„Walczmy na miecze, nie na słowa” -- zawołał Bayan. -- „I jeśli nie w bitwie z godnymi przeciwnikami, to w łożu pięknej kobiety”. -- Roześmiał się, opróżniając kolejny puchar wina. Miał niezwykłą zdolność picia i jedynie dwa razy musiał opuścić stół, by się wysiusiać. Odwrócił się do żony z uśmiechem: -- Tych słów nauczył mnie twój brat, słynny wojownik Krwawe Pola, który pokrywa ziemię krwią swoich wrogów. Ale wy w swoim języku nazywacie go inaczej. -- Odezwał się do fratra, stęknął i spróbował wypowiedzieć słowo, ale okazało się zupełnie niezrozumiałe.

--Chodzi ci o Sanglanta? -- zapytała Sapientia. -- Spotkałeś Sanglanta!

--Hej-hej! Walczymy z Qumanami pięć lat temu. To dobra bitwa! Uciekają i nie wracają. Ciągłe żyje, twój brat?

--Ciągle żyje -- odparła krótko Sapientia i wydawało się, że coś doda, kiedy z przeciwległego końca sali podniósł się krzyk:

--Z drogi! Z drogi! -- Podeszli dwaj mężczyźni w brudnym odzieniu i klękli przed głównym stołem.

--O co chodzi? -- zapytała biskupina. -- Czy wieść, którą przynosicie, jest tak pilna, że nie może poczekać do rana?

--Wybaczcie, Wasza Miłość -- odparł starszy. Miał rudawą brodę i bliznę nad lewym okiem. -- Dostaliśmy wiadomość o napadach za miastem Meilessen. Był ich ponad tuzin, spalono wieś, wielu ludzi zabito, niektórych ścięto, tak mówią. Trudno powiedzieć, jak dawno się to zaczęło, ponad dwadzieścia dni temu, ale rabusie przemieszczają się na zachód. Uważaliśmy, że najlepiej będzie wam powiedzieć, kiedy tylko przyjedziemy do Handelburga.

Frater tłumaczył; książę Bayan wstał i gestem nakazał słuzącemu, by przyniósł wino dla dwóch mężczyzn.

--Kto rabuje? -- zapytał, ale znalazł już odpowiedź.

--Qumanowie, panie -- odparł mężczyzna, zaskoczony widokiem ungryjskich wojowników wymieszanych z wendarskimi lordami.

Bayan wyszczerzył zęby w złowieszczym uśmiechu, który raczej nie pasował do jego zwykłego radosnego zachowania.

--Jaki znak noszą ci Qumanowie?

Mężczyzna skonsultował się z towarzyszem, po czym spojrzał na biskupinę, prosząc o pozwolenie odezwania się. Sapientia poruszyła się niespokojnie, po czym też wstała, naśladując ruch Bayana. Mężczyzna przywitał ją skinieniem głowy, ale najwyraźniej nie rozpoznał w niej najstarszej córki Henryka i przypuszczałnej następczyni tronu.

--Noszą znak śladów pazurów. -- Posłaniec zgiał trzy palce i przesunął nimi po przedramieniu. -- Taki.

Bayan splunął na podłogę, po czym wskoczył na stół i wznosił puchar. Krzyknął imię, a sala

odpowiedziała ogłuszającym wrzaskiem jego ludzi, którzy również zaklęli i splunęli na podłogę. Znów zawołała, odpowiedzieli mu, a potem osuszyli puchary, by przypieczętować przymierze.

--Klan śnieżnej pantery -- przetłumaczył frater. -- Bulkezu, syn Bruaka.

Bayan rozpoczął kolejny ze swych poematów, który Hanna rozpoznała po wyraźnych kadencjach i niezdnym tłumaczeniu fratra, który bez wątpienia robił, co mógł, by wiersz się podobał.

--...Pędzi jeździec. Stwardniały mu ścięzna. Wiele dni w siodle...

--Co to za klan śnieżnej pantery? -- zapytała Sapientia, wciąż gapiąc się na posłańców, którzy, biedacy, wydawali się wystraszeni obecnością bandy wrzeszczących Ungrian, którzy pewnie nadal byli półpoganami, i do tego cuchnącymi. Skinęła na fratra, który się zająknął, przestał tłumaczyć i odpowiedział:

--Klan śnieżnej pantery to jedno w wielu qumańskich plemion.

--Jest więcej niż jedno qumańskie plemię?

Frater popatrzył na nią ze źle ukrywanym zaskoczeniem.

--Znam totemy przynajmniej szesnastu qumańskich klanów. Są niezliczone i bezlitosne jak wszystkie plemiona żyjące poza Światłem Boga.

--Czy to oni odcięli ci rękę? -- zapytała.

Roześmiał się.

--Nie, skąd. Oni odcięliby mi głowę.

--Kim jest ten Bulkezu, o którym mówią i którego opluwają?

--Wódz, który zabił jedynego syna księcia Bayana, najstarsze dziecko jego pierwszej żony. Była księżniczką Kerayit jak matka Bayana.

--A ci Kerayit... -- Sapientia niezdnym wypowiedziała nazwę. -- Oni też są qumańskim plemieniem?

--Nie, Wasza Wysokość. Żyją daleko na wschodzie, jeszcze za ludami, które płacą trybut cesarzowi Jinny. Bardzo dobrze, że jego pierwsza żona nie żyje, ponieważ by się go nie wyrzekła. Przeklełaby was.

--Przekleła! -- Sapientia przycisnęła dłoń do złotego Kręgu Jedności, który wisiał na jej szyi i rzuciła okiem na lektykę. Złote jedwabne ściany nie poruszyły się. W środku mogło nikogo nie być, tylko powietrze.

Pochylił się. Jego oddech pachniał egzotycznymi przyprawami.

--To są straszne wiedźmy, najbardziej zatwardziali poganie. -- Zgiął łokieć, by pokazać kikut prawej dłoni. -- Uważali, że pisanie to magia, więc odcięli mi rękę. -- Urwał, podobnie jak Sapientia spojrział na nieruchomą lektykę, jakby sądził, że ukryta matka zdoła usłyszeć te słowa nawet z takiej odległości mimo wycia wojowników Bayana, wykrzykujących refren. -- Tak się znalazłem na służbie księcia Bayana. To dobry człowiek, Wasza Wysokość. Mogę go jedynie chwalić.

--Czy jest naprawdę wierny słowu Bożemu, bracie? -- zapytała biskupina Alberada, która nie bała się podsłuchiwać osobistych rozmów bratanicy.

--Tak wierny, jak Ungrianie potrafią.

--A jego matka? -- spytała Sapientia, nie patrząc na lektykę. Ale frater jedynie lekko pokręcił głową.

--To potężna kobieta. Nie rozwścieczajcie jej.

Hanna nie mogła się powstrzymać od spojrzenia, ale lektyka się nie poruszyła. Zadziwiała ją, jak niewolnicy wytrzymują tak długo bez ruchu. A czy kobieta w środku nie dostanie skurczów od tak długiego siedzenia? Hanna nie była pewna, czy potrafiłaby tak długo pozostać nieruchoma. Nawet stojąc za księżniczką Sapientią, miała swobodę ruchów: mogła przeprosić i pójść za potrzebą, przechadzać się, śpiewać, kiedy nadarzała się okazja, oraz jeść i pić to, czego księżniczka nie chciała. Resztki z talerza księżniczki były znacznie lepsze od wszystkiego, co jadła w Spokoju Serca.

Nie, naprawdę, życie Królewskiego Orła było dobre, nawet mimo niebezpieczeństw. Niebezpieczeństwo towarzyszyło każdej kobiecie i każdemu mężczyźnie niezależnie od okoliczności. Nieczęsto się zdarzało, byś przeszedł przez życie dobrze nakarmiony, dobrze odziany i jeszcze każdego dnia widział nowe rzeczy.

Książę Bayan ciągle mówił, tupiąc jedną nogą dla podkreślenia każdego wersu, puchary i talerze wtórowały mu. Kiedy hałas się wzmagał, frater pochylił się, by wyjaśnić:

--Opiewa śmierć swego syna, by przypomnieć ludziom o chwalebnej śmierci chłopca i jego nie pomszczonej duszy, która wciąż chodzi po ziemi.

--Pogańskie wierzenie -- zauważyła Alberada.

--Każda droga, Wasza Miłość, zaczyna się od jednego kroku.

Zachichotała.

--Bracie Breschiusie, zmądrzałeś podczas pobytu wśród pogan, mimo cierpienia, jakie ci zgotowali.

--Nauczyłem się tolerancji, co oznacza to samo. Bóg w końcu zwycięży. Musimy jedynie być cierpliwi i ufać w Ich moc.

--Wojna! -- ryknął książę Bayan, a jego ludzie powtórzyli słowo w swoim języku. -- Przysięgamy, że wyruszymy do bitwy! -- zawołał, po czym powtórzył po ungaryjsku.

Mężczyźni zawrzęsneli w odpowiedzi. Hanna zasłoniła uszy dłońmi.

Błyskawicznie opróżnili swe puchary i zaczęli wychodzić z sali.

--Dokąd oni wszyscy idą? -- zapytała Sapientia. Biskupina Alberada również wstała, wypatrując w kłębiącym się tłumie oznak jakichś kłopotów. Pijani i podnieceni mężczyźni łatwo wdawali się w bójki na pięści, albo jeszcze gorzej; Hanna doskonale to знаła z wieczorów w gospodzie swojej matki.

--Wyjeżdżamy rano -- zawołała Bayan entuzjastycznie. Zeskoczył ze stołu. Jak na mężczyznę prawie w wieku ojca Sapientii był imponująco ruchliwy. -- A teraz idziemy do łóżka!

Sapientia uśmiechnęła się ostro. Orszak odprowadzający ich do przygotowanej sypialni był spory: trzydzieścioro różnych ludzi, ale w końcu Hanna i dwie służące znalazły się same w komnacie z Sapientią, księciem Bayanem i jednym dworakiem, szczupłym, pozbawionym brody młodzieńcem, który nosił na szyi cienki żelazny torkwes, podejrzenie przypominający obrożę niewolniczą.

Bayan dobył miecza i Hanna natychmiast złapała swój nóż, podczas gdy Sapientia stała, przerażona, po swojej stronie łóżka.

--Żadnej kobiety -- oznajmił Bayan, kładąc miecz pośrodku łoża. -- Przysięgam przed moimi ludźmi nie mieć kobiety, dopóki nie zabijam człowieka w bitwie. Tak przysięgają mężowie z mego ludu, by przydać sobie siły. Jeśli złamiemy przysięgę, stracimy szczęście. Jeśli trudno ci nie mieć mężczyzny, mam tego. -- Wskazał swego służącego. -- To jeden z tych

majarików, którzy nie mają, jak wy to zwiecie? Mają męski członek, ale nie nasienie. Mogą ci dać przyjemność bez nasienia, bo teraz, kiedy jesteśmy poślubieni, możesz brać tylko to nasienie, co ja ci dam. Tak?

To, co lśniło w jego oczach, klóciło się z przyjemnym uśmiechem i serdecznym tonem. Migotał tam głęboki brak przebaczenia, zaskakujący u mężczyzny, który wydawał się tak miły i łagodny jak ciepło letniego słońca -- chyba że zbyt długo przebywałeś w tym ciepłe.

--Twoje dzieci będą moje dzieci. Tak?

--Taka jest umowa! -- odparła Sapientia urażona. Sięgnęła przez łóżko, by dotknąć miecza, głaszcząc ostrze. Była to piękna broń, lekko wykrzywiona; na klindze wryto litery, ale Hanna nie umiała ich odczytać. Rękojeść wysadzana była złotem. -- Ale ja też jestem wojowniczką! I złożę taką samą przysięgę jak ty!

**--Więc ty i twoi zbrojni pojedziecie ze mną rano, kiedy wyruszamy polować na Qumanów?
-- Niemilosierny błysk zniknął. Roześmiał się głośno. -- „Silna jest ma kobieta. Jest łowczynią jak królowa lwica!" Pojedziemy razem na wojnę!**

3.

Służący księcia Ekkeharda zdołali ukryć Ivara i -- co ważniejsze -- Baldwina, przed lordem Atto przez dziesięć dni, podczas których Ivar albo siedł obok wozów z kapturem na głowie jak zwykły braciszek, albo podskakiwał na tyle jednego z wozów. W pewnym sensie odkrycie przyniosło ulgę mimo wścieklej reakcji lorda Atto.

--Lord Baldwin musi zostać natychmiast odesłany do Autunu! Co wyście myśleli, księżę panie? To poważna obraza margrabiny Judith. Waśnie z blańszych powodów niż ten niszczyły całe rody!

Ekkehard nie przejął się tą groźbą.

--Ona nie musi wiedzieć, a moi ludzie na pewno jej nie powiedzą. -- Nie był jeszcze wystarczająco wysoki, by patrzeć z góry na lorda Atto, który miał potężne ciało kogoś, kto stoczył wiele bitew, ale dopiero opuścił scholę, był młody i po raz pierwszy dowodził. -- Baldwin zostaje ze mną!

--Rankiem zostanie odesłany, księżę panie. Tak nakazałby wasz ojciec.

Ale lord Atto nie był już taki młody, a jego prawe ramię i lewa noga zostały tak uszkodzone w bitwach, że nikt się nie zdziwił, gdy rankiem spadł, wsiadając na konia. Może lekki paraliż lub jakaś inna dolegliwość, która go nękała, powróciła właśnie w tej chwili. Ekkehard i Baldwin pośpieszyli, by pomóc biedakowi, zajęli się nim i jego koniem, i gdy komuś przyszło do głowy sprawdzić siodło, popręg był cały i mocny.

Atto z dwoma służącymi został w dworze, żeby wydobrzeć po upadku. Księżę Ekkehard wyjechał z nietkniętym orszakiem i Baldwinem po prawicy. Nikt nie wspominał już o sprawie. Ale jechali klusem, świadomi, że wieść dotrze w końcu do króla Henryka.

Ale taki krok ich nie męczył. Byli młodzi, lekkomyślni i szczęśliwi, że spuszczone ich ze smyczy. Szczęśliwi -- prócz Ivara.

Na początku nie przyłączał się do ich nocnych wybryków w dworach, w których się zatrzymywali. Pili ostro, siłowali się, śpiewali i zabawiali z młodymi służkami, które były pod ręką, bardziej lub mniej ochotne, a kiedy nie było kobiet, zabawiali się ze sobą.

Ekkehard zaczął mówić do niego „mój wstydlivy fratrze”, i wszyscy żartowali sobie, że spomiędzy nich jedynie Ivar pozostawał „czysty”, jak na dobrego kapłana przystało. Ale Baldwin wciąż go nękał, a w te noce, gdy dzielili się kocem, Baldwin miał ambarasujący zwyczaj ocierania się o niego, co wzbudzało myśli o Liath. Był zmęczony myśleniem o Liath. Czasami nienawidził jej za to, że wspomnienie pojawiało się raz za razem w jego głowie. Może Hugo miał rację: może Liath rzuciła na niego urok. Dlaczego myśl o niej z taką gwałtownością opanowywała jego ciało? Ledwo mógł o niej dumać, nie okrywając się wstydem, a wtedy wszyscy by zauważyli. Wiedzieliby, że nie jest czystszy od nich.

A nie był czysty. Nikt nie był, nikt nie mógł być, uwięziony w nieczystym świecie. Sam nigdy nie zdobył się na odwagę, by głosić Prawdziwe Słowo i nienawidził Baldwina -- wreszcie wolnego od Judith -- za to, że nie przyłączał się do modlitwy. Samotne modły nie przynosiły żadnej satysfakcji. I tak, po spędzeniu odpowiedniej ilości czasu w ich towarzystwie, zaczął się zastanawiać, dlaczego miał nurzać się w bólu i żalu, skoro mógł być równie beztroski i niestały jak oni.

Kiedy dojechali do Quedlinhamu, powitała ich przykra wieść: królowa Matylda była umierająca. Służący Ekkeharda znalazł Ivarowi i Baldwinowi miejsce w domu kupca, ponieważ

nie chcieli ryzykować, że ktoś rozpozna ich w klasztorze, gdzie księżę zatrzymał się u ciotki. Kupiec spędzał cały czas w kościele, modląc się za zdrowie starej królowej. Nie mieli ognia i było im zimno i źle z jesienną mżawką kapiącą na dach.

--Mam nadzieję, że księżę długo nie zabawi. Zęby mu szczękały. Cały dzień się trząsał, a świadomość, że księżę i jego orszak miał lepsze kwatery i dostał na kolację coś poza letnią owsianką, tylko pogarszała sprawę.

--Musi zrobić to, co przystoi, dla swej babki -- odparł Baldwin surowo. Trzymał lusterko i sprawdzał, czy jego twarz była starannie ogolona. -- Chodź do mnie pod koc, Ivarze. Będzie nam cieplej.

--Nie! -- odparł z większym ogniem niż mocą. -- Wiesz, że złożyłem śluby w nowicjacie. To byłoby niewłaściwe.

--Księżę Ekkehard i wszyscy jego towarzysze złożyli śluby nowicjackie. To ich nie powstrzymuje.

--Ale ja nie chcę być jak oni -- rzekł Ivar. Ale zastanawiał się, czy osobą, którą najbardziej pogardzał, nie był on sam. Baldwin westchnął i wrócił do golenia.

Tego wieczoru zaczęły bić dzwony, ponury odgłos dzwonu w katedrze zlewał się z lżejszym tonem dzwonu w mieście.

--Ktoś umarł -- zauważył Baldwin błyskotliwie. -- Chodź! -- Narzucił płaszcz i naciągnął kaptur, by ukryć twarz.

--Ale jeśli w klasztorze zobaczy nas ktoś, kto nas zna...

--Dlaczego mieliby na nas patrzeć, skoro uznają nas za mieszczan? Już dłużej nie zniosę zamknięcia. -- Baldwin, jak wiatr, miał wystarczająco dużo siły, żeby ponieść Ivara niby liść w tłum na zewnątrz.

--Królowa nie żyje. -- Gdy zmierzali stromą drogą prowadzącą do bram klasztoru, na skraju tłumy podniósł się lament. Gdy dotarli do bram, tłum był na skraju hysterii, płacząc i wyjąc, niby oszalałe dzikie bestie.

--Nigdy nas nie wpuszczą -- krzyknął Ivar. Tak będzie lepiej. Mury klasztoru w Quedlinhamie przerażały go. Raz uciekł, jeśli ponownie tam wejdzie, może się już nie wydostać.

Ale braciszkwowie otworzyli wrota i przekroczenie progu cudownie podziałało na tłum. Wstępując na świętą ziemię, ludzie się uspokajali. Dziecko płakało, ale poza tym wielki tłum -- setki ludzi, więcej, niż zdołał zliczyć -- siedł naprzód w ciszy, którą przerywało jedynie szuranie stóp i szelest odzieży. Wielu ludzi ścisnęło Kręgi i modliło się bezgłośnie. Kiedy tłum wypełniał katedrę pod baczynym wzrokiem półtuzina starszych zakonnic, które zdawały się czujne jak psy strażnicze, Ivar nie zdejmował kaptura, by nikt nie dostrzegł jego rudych włosów. Baldwin używał łokci, bioder, nawet szczypał, żeby przepchnąć ich naprzód i wreszcie znaleźli miejsce przy drzwiach, z dala od ołtarza. Kamienne filary, wyrzeźbione w smoki, orły i lwy, górowały nad Iwarem. Kiedyś modlił się pod ich baczynym wzrokiem. Zaczął drżeć. A co, jeśli miały w sobie magię, jeśli potrafiły rozpoznać jego prawdziwe ja? Czyż nie zdradził kościoła, uciekając od margrabiny Judith? Czy nie zbuntował się przeciw samej władzy Kościoła, słuchając nauk lady Tallii?

Baldwin otoczył go ramieniem, aby rozgrzać przyjaciela. Mieszczanie przytupywali i zacierali ręce, wyziębieni przez deszcz. Zapach tyłu nie mytych ciał dawał własne ciepło. Palce

go zapiekły, gdy wracało uczucie.

Kiedy weszły zakonnice i mnisi, mieszczanie uklękli. Kamienna podłoga była, zgodnie z przewidywaniami, zimna i twarda; kolana go bolały. W przytłaczającej ciszy, przerywanej jedynie kaszlem dziecka i szelestem odzieży, gdy ludzie przesuwali się, by lepiej widzieć, ciało królowej Matyldy zostało wniesione na noszach. Była niewielka, krucha i skurczona, odziana w prosty habit, zarezerwowany dla najpokorniejszych służek kościoła. Ale na palcach miała piękne pierścienie, a białe włosy zdobił wąski złoty diadem. Matka Scholastyka i książe Ekkehard szli za noszami, i gdy złożono królową na marach, opatka podeszła, żeby ucałować jej stopy. Książe Ekkehard również dostąpił tego przywileju. Cicho weszli nowicjusze i uklękli u podstawy schodów, prowadzących do ołtarza i mar. Ivar gapił się, mając nadzieję ujrzeć wśród nich Zygryda, ale kaptury i pochylone głowy zbyt dobrze ukrywały twarze przybyłych.

Matka Scholastyka stanęła za ołtarzem. U jej boku brat Metodiusz zaczął śpiewać modlitwę otwierającą nabożeństwo żałobne.

--Błogosławiona Kraina Ojca i Matki życia...

--Kłamstwa! -- Szczupła postać poderwała się ze schodów, zwracając się do mieszczan, zasłuchanych w otwierającą modlitwę kadencję, najbardziej uważnych, nim strumień liturgii wprawi ich w otępienie. -- Wszyscy zostaliście oślepieni ciemnością rozciągającą się w tej krainie za sprawą ich kłamstw. Prawdziwy przebieg Jej cudu i Jej Święte Słowo zostały ukryte. Ponieważ Bóg znalazła w świętej Edessii godne naczynie. Bóg napelniła ją błogosławionym światłem, a ona urodziła błogosławionego Daisana, który posiada naturę ludzką i boską. On przyniósł nam wszystkim Boskie posłanie, cierpiał i umarł, by uwolnić nas od skazy ciemności, która nas wszystkich plami...

Nauczyciel wydał okrzyk wściekłości. Trzech mnichów poderwało się, rzuciło na młodego nowicjusza i wywlekło na zewnątrz, a on wciąż krzyczał, jego słowa tłumiała dłoń zaciśnięta na ustach. Ivar stał, otępiąły, a ludzie wokół niego zaczęli komentować, gorączkowo, wskazując i wypytywać.

--To był Zygryd -- szepnął Baldwin. -- Czy on zwariował?

--Oto, co się z nim stało, kiedy zabrakło nas, by go chronić.

--Musimy go uwolnić.

--Jak możemy go uwolnić? -- Śmiech Ivara był gorzki. Pociągnął Baldwina za łokieć. -- Chodźmy. Co, jeśli nas tu znajdą?

Znal ten wyraz twarzy matki Scholastytki, gdy tłum stopniowo uciszał się w obliczu jej gniewu. Wyglądała na bardzo niezadowoloną, rozmawiając z bratem Metodiuszem. Skinął głową, ukląkł przy marach, ucałował habit martwej królowej i wyszedł z kościoła bocznymi drzwiami.

Matka Scholastyka uniosła dłonie.

--Módlmy się, siostry i bracia. Módlmy się, by Bóg wybaczyli nam nasze grzechy i w tej modlitwie podążajmy za przykładem błogosławionego Daisana, który był Bożym dzieckiem wydanym na świat poprzez łono świętej Edessii, który dzięki swym staraniom odnalazł drogę do zbawienia, którą wszyscy możemy podążać. Módlmy się, byśmy nie zostali splamieni przez pokusy, jakie Nieprzyjaciół rozsypuje na ziemię niby klejnoty, kusząc nas, byśmy je podnieśli, gdyż lśnią tak mocno, a ich kolory przyciągają oko. Bądźmy pokorni przed Bogiem, bo Ich słowo jest prawdą. Wszystko inne to kłamstwa.

--Musimy zostać i słuchać! -- syknął Baldwin. -- Książę Ekkehard zdoła uwolnić Zygryda. Jego ciotka niczego mu nie odmówi.

--Tak sądzisz? Ja wiem lepiej. -- Był większy i silniejszy, trząsł się z furii i bezsilności, ciągnąc Baldwina w tył.

--Będziemy wyglądać bardziej podejrzanie, jeśli uciekniemy!

W progu ludzie, którzy nie znaleźli miejsca wewnątrz, pchali się do przodu, próbując dostrzec, co wywołało zamieszanie, a ci zdenerwowani wybuchem Zygryda lub ścisaniem parli w tył. Ivar podążał za ich pływem, dwa kroki naprzód, jeden w tył, dwa naprzód, dopóki nie wyszli na mżawkę i paraliżujący palce chłód jesiennego dnia.

Baldwin dąsał się całą drogę ze wzgórze. Ale choć raz Ivar nie poddał się jego ślicznym fochom. Jedyłą rzeczą gorszą od porzucenia Zygryda było dać się złapać. Matka Scholastyka nie okazałaby miłosierdzia.

Potykali się na drodze rozdeptanej przez tłum, upadali więcej niż raz, aż ich nogawice, rękawy i dłonie ociekały błotem. Nie mieli się czym umyć, więc siedzieli w domu, dopóki błoto nie zaschło, a potem z każdym ruchem odpadało. Baldwin skulił się, otulony ich jedynym kocem. Ivar chodził, ponieważ nie mógł zasnąć, a było zbyt zimno, by się nie ruszać.

Dlaczego Zygryd to zrobił? Czy cały czas czekał na lepszą okazję, żeby wybuchnąć jak przepelniony bukłak na widok tylu chętnych słuchaczy? Czy on, Ivar, zrobiłby coś równie odważnego -- i porażająco głupiego? Czy był wystarczająco dzielny, aby działać według tego, w co wierzył, aby nauczać jak Tallia, jak Zygryd, i ponieść konsekwencje?

Prawda była wstrętna, ale trzeba było ją przyjąć: był tylko zimnym, godnym politowania grzesznikiem.

--Och, Ivarze -- powiedział Baldwin. -- Jest mi tak zimno i tak bardzo cię kocham. Wiem, że jesteś nieśmiały, bo nigdy nie...

--Owszem, tak! -- odparł z płonąca twarzą. -- Mój ojciec zawsze w ten sposób świętował piętnaste urodziny swych dzieci. Przysłał mi służącą...

--Żeby zrobić z ciebie mężczyznę? To nie to samo. Używałaś jej tak, jak Judith używała mnie. Nigdy nie robiłaś tego tylko dla siebie i osoby, z którą byłaś. To co innego.

--Robiłem, kiedy... -- „Kiedy myślałem o Liath”. A ona go odrzuciła.

--Tylko raz nie ma znaczenia. Spodoba ci się. Zobaczysz. I będzie ci dużo ciepłej.

To naprawdę nie miało znaczenia, prawda? Znaczenie miało kłamstwo, które sobie ciągle powtarzał; oto, co się stało z Zygrydem. Baldwinowi przynajmniej na nim zależało tak, jak nigdy nie zależało Liath. Położył się obok Baldwina i ostrożnie, nerwowo, dotknął go nad sercem. Baldwin odpowiedział nagłym, nieśmiałym uśmiechem, dotknięciem dłoni na udzie, słodkim oddechem na uchu.

A potem okazało się, że łatwiej żyć tylko doznaniem.

Rankiem przybył zdyszany Milo, z nosem czerwonym od mrozu.

--Wyjdźcie natychmiast z miasta -- rzekł. -- I czekajcie na drodze do Gentu.

Za bramami szli chwilę, by się rozgrzać. Kiedy ruch zaczął się wzmacniać, Ivar począł się denerwować. Użył kija, żeby wyciąć im schronienie w kłujących gałęziach zarośniętego żywopłotu. Tam czekali, owinięci kocem.

--Mogłeś coś zrobić dla Zygryda -- wymamrotał Baldwin.

--Tak jak ty mogłeś coś zrobić, kiedy margrabina Judith przybyła, by cię zabrać? Jesteśmy

wobec nich bezsilni. Czy może chcesz wracać do żony? Z nią na pewno było cieplej!

Baldwin tylko stęknął.

Przejechały wozy, potem przeszedł domokrążca, a potem grupy pielgrzymów odzianych w szmaty, lamentując i wołając imię królowej Matyldy. Bez wątpienia posłano już wiadomość do króla Henryka, ale ci pokorni pielgrzymi rozniosą wieść wśród prostych ludzi w zamian za kawałek chleba i nocleg w stodole.

Coś zakłuło Ivara w dolku, przecucie, myśl -- a może po prostu głód.

--Patrz! -- Baldwin zerwał się, zaplątał włosami w żywopłot i zaklął, gdy gałęzie go powstrzymały. Kiedy Ivar go uwolnił, orszak księcia Ekkeharda już do nich podjechał.

--Gdzie się tak ublociliście? -- zapytał księżę, marszcząc brwi.

--Musieliśmy tu dojść, księżę panie. Jakie wieści o naszych przyjaciółach?

Księżę Ekkehard miał zwyczaj mrugać dwa czy trzy razy, nim odpowiedział, jakby zrozumienie słów tyle mu zajmowało. Był słoneczny i rozpromieniony, gdy się cieszył, i ponury jak chmura gradowa, kiedy się irytował. Teraz promieniał.

--Nie jest łatwo spierać się z moją ciotką, mówię wam. Ten wasz towarzysz jest zupełnie zwariowany i niegrzeczny. W taki sposób bezcześcić pamięć mojej babki! Nie lubię go, a moja ciotka powiedziała, że szykuje się dla niego jakaś straszliwa kara, więc nie ma sensu się nim zamartwiać. Jest dla nas stracony.

--Ale obiecaliście...

--Dość! Nic nie mogłem zrobić. -- Potem się uśmiechnął. -- Ale oddałem niezłą przysługę mojemu ohydному kuzynowi Reginarowi. Powiedziałem ciotce, że opactwo w Firseburgu jest wolne, bo lorda Hugona wysłali do skoposy, by go ukarała, więc ciotka go tam posyła. Był tak wdzięczny, że obiecał mi przysługę, więc mu powiedziałem, że jest taki nowicjusz imieniem Ermanrich, którego widziałem w wizji i chcę zabrać go ze sobą do Gentu, by mi służył. -- Jego młodzi towarzysze zachichotali. -- Och, przestań, piękny Baldwinie. -- Uciekł się do pochlebstw, widząc, że Baldwin wciąż się dąsa. -- Zrobiłem, co w mojej mocy.

--Mogliście też wydostać Zygryda.

--Nie mogę nic zrobić z moją ciotką, kiedy jest taka wściekła! Zasługuje na karę, którą mu wymierzy. Co za okropna rzecz... -- Młody księżę urwał, widząc wyraz twarzy Baldwina. -- Ale zrobiłem wszystko inne, czego sobie życzyłeś, Baldwinie. Kochasz mnie, prawda?

--Oczywiście że kocham -- odparł Baldwin odruchowo, po czym mruknął: -- Tak długo, jak mnie chronisz przed margrabiną Judith. -- Ivar kopnął go, a Baldwin podskoczył jak lania szukająca schronienia. -- Jestem wdzięczny, księżę panie.

--I powinieneś być. Jedź obok mnie, Baldwinie.

Przyprowadzono konia. Ivar znalazł miejsce w jednym z wozów i tam zamyślił się, podskakując i słuchając paplaniny księcia i jego wiernych towarzyszy. Wiele razy słyszał tę śpiewkę: że młodzi mężczyźni byli lekkomyślni, słabi i niegodni zaufania, ponieważ nie mieli uspokajającej macicy i świadomości, że dadzą życie córkom, które będą po nich dziedziczyć. Nic dziwnego, że kobiety, jak Pani przed nimi, zajmowały się zarządzaniem i doglądaniem Paleniska. Czego mogły się spodziewać po słabych mężczyznach? Samolubnym księciu Ekkehardzie? Ślicznym zepsutym Baldwinie?

Czy Ivar, syn Harla i Herlindy, był lepszy? Schwytany w pułapkę przez pożądanie kobiety, która go nigdy nie chciała. Tchórz, nie tak jak Zygryd, który, choć głupio i nie okazując

szacunku, to jednak wykrzyczał prawdę, niezależnie od tego, ile go to będzie kosztować.
Zapłakał, choć dzień był piękny.

4.

--Białe-Włosa! Kobieta Śniegu!

Tuzin ungaryjskich wojowników siedziało ze skrzyżowanymi nogami, ostrząc swe wygięte miecze, ale wszyscy przerwali, by popatrzeć, gdy Hanna przechodziła. Prawie się przyzwyczaiła, że za każdym razem, gdy przemierzała obóz, była w centrum uwagi z powodu swych blond włosów i jasnej skóry. Prócz księcia Bayana Ungrianie nie znali wendarskiego, ale wydawało się, że każdy żołnierz z jego orszaku nauczył się kilku zdań i wykrzykiwali je, zupełnie nie skrępowani swym okropnym akcentem.

--Piękna lodowa panno, umieram dla ciebie! -- wykrzyknął młodzieniec z czarnymi włosami i długimi, opadającymi, wyjątkowo tłustymi wąsami. Miał słodkie oczy i szczerbę po przednim zębie. Jak wszyscy Ungrianie, nosił pikowany skórzany kaftan i workowate spodnie.

--Pozdrowienia dla twojej żony, przyjacielu -- odkrzyknęła po ungaryjsku. Roześmiali się, pokleпали po udach i zaczęli żywiołowo ze sobą rozmawiać, prawdopodobnie o niej. Bycie obiektem takiej uwagi było deprimujące i męczące.

Brat Breschius, idący obok niej, zachichotał.

--Bardziej miękkie „gh” -- poprawił. **--** Ale poza tym była to niezła próba. Masz lepszą głowę do języków niż twoja pani.

Hanna pominęła milczeniem tę delikatną krytykę.

--Strasznie flirtują, bracie, ale żaden nie robił mi propozycji. Czuję się absolutnie bezpieczna, chodząc po obozie.

Westchnął przyjaźnie.

--Na razie jesteś bezpieczna. Kiedy składają przysięgę, dotrzymują jej, ale w sercach nadal pozostają barbarzyńcami, co oznacza, że są przesądni. Naprawdę wierzą, że jeśli przed bitwą zmarnują siły na przyjemności cielesne, na pewno zginą z rąk mężczyzny, który sobie odmawiał.

--Ale niektórzy zginą mimo dotrzymania tej przysięgi.

--Prawda. Taka jest wola Boga. Obwiniają za tę śmierć inne rzeczy, które się wydarzyły lub nie: stąpienie na cień, cnotę odległej o sto lig żony, muchę, która usiadła na ich lewym, zamiast na prawym uchu. Starają się czcić Boga w Jedności, ale jeszcze nie oddali Im całkowicie serca pod opiekę. Wydaje mi się, dziecko, że ty też pochodzisz z ziem dopiero niedawno przywiedzionych do Światła. Czy pierwszego dnia wiosny kładziecie kwiaty na rozdrożach, aby na resztę roku zapewnić sobie szczęśliwe podróże?

Spojrzała na niego ostro. Potem się uśmiechnęła, bo lubiła tego człowieka z brakującą dłonią i tolerancyjnym sercem.

--Wiele podróżowałaś, bracie. Dużo wiesz.

Zachichotał.

--Wszyscy jesteśmy ignorantami. Robię, co w mej mocy, by zanieść Boskie Święte Słowo tym, którzy żyją w nocy. Ale pamiętaj, Orle, bądź ostrożna po bitwie. Ci, którzy przeżyją, mają w zwyczaju zachowywać się dziko. Doradzam ci, abyś wtedy trzymała się blisko swej pani.

Spojrzała ku ich celowi: kamiennej wieży ustawionej na zboczu ponad długą doliną rzeki Vitadi. Pokolenie temu postawiono połowę palisady, a potem porzucono budowę. Teraz, na rozkaz księżniczki Sapientii, gromada ludzi z pobliskich osad pracowała, by dokończyć budowę

fortu.

Mężczyźni kopali okopy, ciągnęli pale, klęli i pocili się, gdy ona i Breschius wspinali się ścieżką prowadzącą do bramy w palisadzie i do wnętrza, drogą wykutą na klifie, przez nie obrobiony tunel, w którym musiała schylić głowę, do samej fortecy.

Wśród wewnętrznych murów słyszała jowialny śmiech księcia Bayana, odbijający się echem od kamieni. Stał na progu wieży, śmiejąc się z wendarskim kapitanem, który dowodził fortecą. Odwrócił się, ujrzał Hannę i skinął na nią.

--Przybywa kobieta śniegu! -- wykrzyknął. -- Zima niedługo za nią pośpieszy. -- Miał przyjemny nawyk mrużenia oczu, gdy mówił, i nawet gdy się nie uśmiechał, jego oczy się śmiały. Życie było dobre, bo takim je czynił książę Bayan. -- Dokąd jest moja królewska żona?

Hanna spojrzała na brata Breschiusa, który litościwie oszczędził jej niezdarnej odpowiedzi. Pani Udalfreda z Naumannsfurtu przybyła z dwudziestoma kawalerzystami i trzydziestoma pięcioma pieszymi, więc księżniczka Sapientia czuła się zobowiązana, by ją odpowiednio zabawić.

Po prawdzie Hanna podejrzewała, że Sapientia, mimo całej miłości do walki, nie miała siły przyglądać się temu, do czego wysłała Hannę.

Bayan wzruszył ramionami. Wendarski kapitan poprowadził ich wąskimi schodami do piwnicy. Na dole było bardzo zimno. Po ociosanym kamieniu ściekała woda i zbierała się w kałuże pod nieuważnymi stopami. Obok drzwi do piwnicy koksownik świecił czerwonymi węglkami; żołnierz włożył w węgle żelazny pręt, by go rozgrzać. W najciemniejszym kącie, oświetlonym jedynie słabą lampą, leżał dzikus z nadgarstkami przykutymi do stóp tak, że plawił się we własnych odchodach. Śmierdział. Kiedy Bayan wszedł do celi, dwaj żołnierze złapali go za ramiona i szarpnęli do góry. Gapił się na nich upartymi oczyma, zamglonymi z bólu. Na policzku miał nabrzmiały pęcherz. Kiedy ujrzał Bayana, splunął na niego, ale z jego ust nie wydostał się żaden płyn.

--To ten, którego złapaliśmy, kiedy nas najechali dwa dni temu -- rzekł kapitan. -- Przypalaliśmy go żelazem, ale mówił tylko w swoim języku i nikt z nas go nie rozumiał.

Jowialny książę Bayan zniknął gdzieś na schodach. Mężczyzna, który wpatrywał się w qumańskiego więźnia, przerażał Hannę, ponieważ w jego twarzy nie było litości. Porzucił swój kaleki wendarski i zwrócił się bezpośrednio do Breschiusa, który przetłumaczył:

--Przynieście mi pieńki i topór. -- Kiedy tak się stało, kazał im rozkuć lewą dłoń więźnia i przyciągnąć go. Więzień nie miał żadnej broni, rzecz jasna, ale wciąż nosił pancerz, który nie przypominał niczego, co Hanna wcześniej widziała: zszyto go z wielu kawałeczków skóry, by stworzył twardą zbroję, miał też skórzany pas wysadzany złotymi płytkami uformowanymi na kształt koni i gryfów. Z pasa zwisał mały przedmiot, leżący na udach więźnia, ale nie mogła go rozpoznać. Na plecach nosił dziwną uprząż, splot drewna, żelaza i, co dziwne, kilku piór.

Hanna zaczęła odczuwać mdłości. Od więźnia biły fale smrodu. Nie wydał żadnego dźwięku, gdy wendarscy żołnierze przytrzymali jego lewą dłoń na pieńku, rozkładając palce. Książę Bayan dobył noża i jednym szybkim cięciem odrąbał mały palec mężczyzny.

Więzień wydał dźwięk, „Auć”, bólu, stłumiony, gdy popłynęła krew. Bayan zwrócił się do niego w języku, którego Hanna nie rozpoznała, ale mężczyzna jedynie splunął w odpowiedzi. Bayan odciął kolejny palec, i następny, a potem Hanna musiała odwrócić wzrok. Myślała, że zwymiotuje. Bayan wypytywał więźnia spokojnym głosem, którego ton nie zdradzał właśnie

zadawanego cierpienia; trzymała się tego głosu, to była jej lina ratunkowa. Mężczyzna wrzasnął.

Podniosła wzrok i ujrzała, jak się zatacza w tył, bezręki, a krew wypływała z kikuta nadgarstka. Kiedy był tak odchyłony, wyraźnie zobaczyła przedmiot wiszący u jego pasa: czarny i pomarszczony, w kształcie głowy, z ciemną grzywą z siana, jedną stronę miał ukształtowaną na podobieństwo groteskowej twarzy. Potem przyniesiono gorące żelazo, by wypalić ranę, i kiedy wrzeszczał, gapiła się i gapiła na tę ohydłą małą rzecz wiszącą u jego pasa, żeby nie musieć przyglądać się jego cierpieniu i dopiero po całej wieczności uświadomiła sobie, że naprawdę była to odrażająca, ludzka głowa, cała pomarszczona i paskudna, ze wspaniałą grzywą sztywnych czarnych włosów.

--Będę rzygać -- wymruczała. Brat Breschius usunął się w porę i gdy wymiotowała w kącie, książe Bayan, najwyraźniej nie zwracając na nią uwagi, zabrał się za prawą rękę. Najpierw połamał palce, po jednym, a potem odciął mały palec, i następny, później środkowy; ale więzień jedynie jęczał, do końca nieporuszony.

Wreszcie Bayan przeklął siarczyście i poderżnął mężczyźnie gardło, odsuwając się zrećnie, by krew go nie opryskała.

--Z jedną ręką do miecza uszkodzoną nigdy nic nie powie, bo nie ma po co wracać do swego plemienia, bo już nie mężczyzna -- wyjaśnił. Wzruszył ramionami. -- Taka wola Boga. Ci Qumanie i tak nie gadają. Uparte dranie. -- Roześmiał się, co w malej celi zabrzmiało zadziwiająco dźwięcznie i perwersyjnie. -- To dobre słowo, tak? Nauczył mnie książe Sanglant. „Uparte dranie”.

Zachichotał i otarł oczy. Nawet nie spojrzął na trupa. Znaczył dla niego tyle co zdechły pies na poboczu drogi.

--Chodź -- rzekł do Hanny. -- Kobieta śniegu musi zmyć ten smród i być znowu czysta jak kwiat lilii, tak? Idziemy na ucztę.

Poszli na ucztę, gdzie Bayan zabawiał lady Udalfredę i jej szlachetnych towarzyszy czarującymi i nieco nieprzyzwoitymi opowieściami o przygodach, jakie miał jako młodzieniec pomiędzy kobietami wojownikami Sazdakh, które, jak twierdził, nie mogły się uważać za kobiety ni wojowniczkę, dopóki nie schwytały prawiczka i nie przespały się z nim, a potem jako trofeum nie odcięły mu penisa. Hanna nie mogła przelknąć ani kęsa, choć brat Breschius dopilnował, aby wypić wino dla uspokojenia żołądka.

W pewnym sensie ulżyło jej, gdy wpadli dwaj zwiadowcy, okryci kurzem i z dzikością w oczach meldując, że w ich stronę zmierza armia qumańska.

Ungrianie spali, jedli i bawili się w zbrojach. Tak szybko dosiedli koni i byli gotowi do wymarszu, że dobrzy wendarscy żołnierze z szeregów Sapientii wyglądali przy nich jak szeregowie żółtodzioby, niezdarne i leniwe. Nawet kolorowo pomalowany wóz matki Bayana zajął swe miejsce w szeregu i czekał tam niby milczący wyrzut sumienia na długo przed tym, jak księżniczka Sapientia skończyła nakładać zbroję i dosiadła konia.

--Matka księcia Bayana pojedzie z nami? -- zapytała Hanna.

Breschius skinął w stronę wozu, patrząc czujnie. Z zamkniętymi okiennicami i zasłoniętymi drzwiami przypominał domek na kółkach i wyglądałby całkiem milutko, gdyby nie ości zwisające z dachu niby amulety, choć na szczęście były to kości zwierzęce, nie ludzkie. Na szczycie dachu kręciło się małe kółko, udekorowane łopoczącymi wstążkami czerwonymi,

żółtymi, białymi i niebieskimi.

--Szamanki Kerayit nie noszą swego szczęścia we własnych ciałach jak reszta ludzi. Ich szczęście rodzi się w innej osobie, kimś urodzonym tego samego dnia o tej samej godzinie. Powiadają, że szczęście matki Bayana urodziło się w dziecku, które potem zostało ojcem Bayana, księciem Ungrian i tylko z tego powodu zgodziła się go poślubić. Ale umarł w dniu, kiedy urodził się książę Bayan, więc według ich myślenia jej szczęście przeniosło się z ojca na syna. Dlatego musi się znajdować blisko księcia Bayana: by nad nim czuwać. -- Uśmiechnął się, jakby śmiał się do siebie. -- Ale nie zagraża jej niebezpieczeństwo. Nawet Qumanowie nie skrzywdzą księżniczki Kerayit, ponieważ wiedzą, jaki los czeka klan tego, który dotknie szamanki Kerayit bez jej zgody. Przekonasz się. Jest użyteczna.

Wreszcie wyruszyli i Hanna z radością opuszczała kamienną wieżę. Zimne jesienne powietrze i silny zapach trawy i krzewów jałowca wypędziły z jej nozdrzy pozostałości tamtego smrodu. Ale obraz ohydnej pomarszczonej głowy zdawał się jechać wraz z nią, wypalony w umyśle.

Przekroczyli rzekę, płytką po letnich upałach i jesiennej suszy. Oddychała urywanie, czując zimną wodę na łydkach. Sapiaientia jechała tuż przed nią, obok Bayana, i śmiała się radośnie, gdy z pluskiem dotarli do brzegu, raczej jak szlachcianka jadąca na polowanie, a nie do bitwy. Za nimi woły ciągnące wóz przedzierały się z trudem przez wodę, prowadzone przez dwóch przystojnych niewolników. I, co było bardzo dziwne, na pewno za sprawą światła na wodzie Hannie wydało się, że rzeka nieco opadła, fale ugięły się wokół kół wozu, aby woda nie dotarła do góry. Za wozem maszerowała wendarska piechota; bez koni byli przemoczeni po pas, żartowali i śmiali się z tych, którzy okazali jakąkolwiek wrażliwość na zimno.

Szybko wszyscy przeszli i ich armia -- pewnie jakieś dwie setki żołnierzy -- przygotowała się, by ruszyć dalej. Pół ligi na północ od nich z dna doliny wyrastało wzgórze. Zwrócili się na wschód, by podążać wzdłuż rzeki. Ze wschodu nadciągnęły chmury, gdy wiatr przybierał na sile. Wendarscy żołnierze zaczęli śpiewać dziarską pieśń.

Nagle rozległ się rozdzierający krzyk i ludzi ogarnął niepokój przed bitwą. Ungrianie zmienili pozycję, rozciągając flanki, Bayan przesunął się na środek, wykrzykując mocnym barytonem rozkazy do swych ludzi. Prawie połowa ungryjskich jeźdźców oderwała się od głównej grupy i pogalopowała ku wzgórzom. Wendarska piechota cofnęła się, by uformować kwadrat na wzniesieniu.

W powietrzu rozległ się dziwny, warczący dźwięk, przybierający na sile. Wydawał się dochodzić znikąd i zewsząd jednocześnie; niezwykle, irytujący, jak pajak wspinający się po karku. Koń Hanny poruszył się niespokojnie; skierowała go z powrotem na swoje miejsce obok brata Breschiusa, czekającego obok Sapiaientii i Bayana, i opuściła oszczep. Żołnierze Bayana zaczęli wyc niby chore wilki, ale nawet taki hałas lepszy był niż ohydne, bezcielesne warczenie. Spoglądała ku wschodowi, próbując odnaleźć źródło dźwięku. Wschodni horyzont pokryły chmury. W oddali nad wzgórzami przetoczył się pomruk grzmotu. Nawet mimo pyłu wzniesionego przez armię wyczuwała deszcz.

Nagle książę Bayan odwrócił się, ujrzał ją i Breschiusa, i szczeptał rozkaz. Sapiaientia sprzeciwiła się. Mąż i żona wymienili może cztery ostre zdania, Sapiaientia płonąca białym ogniem, a Bayan absolutnie skoncentrowany i pozbawiony cierpliwości.

Sapiaientia poddała się nagle. Odwróciła się.

--Jedź! -- krzyknęła do Hanny. -- Ty i frater. Jedźcie i obserwujcie, co się zdarzy!

Jeźdźcy rozstępowali się przed nimi, gdy zawracali.

--Co to za okropny dźwięk? -- wykrzyknęła Hanna przez warkot i wycie.

Breschius uśmiechnął się, ale nie odpowiedział, kiedy zewnętrzny szereg piechoty rozstąpił się, by wpuścić ich do środka kwadratu. Tu, obok malowanego wozu, Hanna obróciła swego konia, akurat w momencie gdy wendarscy żołnierze wydali głośny okrzyk niepokoju i zdziwienia, na który Ungrianie, szarżując, odpowiedzieli radosnym wyciem.

Wtedy ujrzała Qumanów, daleko, za linią Ungrian, zbliżających się po nadrzecznej równinie, ściganych ciemnymi chmurami. To wcale nie byli ludzie. Nie mieli twarzy, ale mieli skrzydła. Pióra łopotwały i pulsowały, drżąc na wietrze, migoczące światło i mrok w wielkich skrzydłach, które zakrzywiały się nad głowami Qumanów. Pod hełmami płaskie, metalowe twarze lśniły złowieszczo, gdy zachodzące słońce przebiło się przez pokrywę chmur i załalo wendarską i ungryjską armię ciepłą poświatą. Jedynym dźwiękiem, jaki wydawali Qumanowie, był łopot i śpiew ich skrzydeł, gdy jechali.

Ungrianie natarli, zdeorganizowani, w nierównych szeregach niby stado wygłodniałych psów, które oszalały na widok świeżego mięsa. Ich wrzaski i wycia niemal zagłuszyły tętent kopyt i szum skrzydeł. Nawet z oddali Hanna łatwo dostrzegła Sapientię, czekającą niecierpliwie pod swym sztandarem. Księżniczka chciała ruszyć za Ungrianami, ale Bayan zatrzymał ją, kładąc drzewce oszczepu na jej piersi; czekał i obserwował swych ludzi, gwałtownie i bezładnie szarżujących na wroga.

--Zostaną rozniesieni! -- krzyknęła Hanna, zastanawiając się nagle, co się stanie z Wendarczykami po tym, jak ich sprzymierzeńcy w tak idiotyczny sposób wykorzystali swą siłę. Breschius uśmiechnął się ze spokojem człowieka, który dawno temu ugodził się z Bogiem i nie obawia się śmierci.

Zasłona z paciorków zaszumiała, gdy stara żółtawa dłoń odsunęła kilka sznurów, by wyjrzeć. Hanna spojrzała tam, zaskoczona, ale w środku ujrzała jedynie głębszy cień. Usłyszała syk, ciche słowa w obcym języku, a potem pojedynczy biały puszek wyfrunął spomiędzy dwóch sznurów bursztynowych paciorków. Gęsie pióro leniwie opadło na ziemię.

--Hej tam! -- wykrzyknął piechociarz. -- Nadchodzą!

Qumanowie zaszarżowali w szyku na atakujących Ungrian, pokonując dzielącą ich przestrzeń.

Szaleni Ungrianie nagle odwrócili się i wystrzelili w Qumanów tyle strzał, że ich szum zlał się z łopotem skrzydeł. Wschodnie niebo pociemniało od deszczu, gdy Ungrianie rzucili się bezładnie ku linii wendarskiej. Cały środek wokół Bayana poruszył się, zadrżał i zaczął się rozpadać. Bayan wykrzyknął coś niezrozumiałego i wendarski szereg również się cofnął, zmierzając ku piechocie. Tylko Sapientia chciała pchnąć swą kohortę naprzód, wrzeszcząc na ludzi, próbując zebrać ich razem.

Bayan znów interweniował, bezlitośnie wsadzając oszczep między nią a jej miecz, i nagle cały środek załamał się i żołnierze rozpierzchli się w popłochu.

Breschius obok Hanny zamruczał.

Hanna z przerażeniem przyglądała się ucieczce. Nie mogła mówić. Na równinie za qumańską armią deszcz zamieniał ziemię w błoto, a jednak tam, gdzie stali oni, gdzie żołnierze Bayana uciekali, każdy w swoją stronę, nadal świeciło słońce i nie spadła ani kropla. Ludzie

biegali po równinie niby mrówki, którym rozdeptano mrowisko. Ungrianin, marudzący gdzieś z tyłu, padł ze strzałą w plecach, a jego ciało zniknęło pod lawiną kopyt i świszczących, uskrzydłych jeźdźców.

W tej chwili uświadomiła sobie, że umrze. Ta świadomość wybuchła w niej niby otwierający się kwiat, transformujące piękno, pachnące ulotnie śmiertelnością i objawieniem wiecznej boskiej obecności.

Jednolita linia Qumanów zaczęła się rozmywać, gdy młodzi wojownicy nie mogli powstrzymać niecierpliwości i wyrwali się do przodu. Kiedy odłączyli się od reszty, po raz pierwszy ujrzała ich wyraźnie: nie uskrzydłone stwory, ale ludzi, noszących skrzydła przypięte do pleców na podobieństwo ptaków. Nawet płaskie metalowe twarze były po prostu częścią hełmów.

A potem, oczywiście, ungaryjska flanką, która odjechała ku wzgórzom, runęła wprost na flankę Qumanów, rozciągniętą w pościgu za umykającymi oddziałami. W uciekającym ungaryjskim szeregu rozległ się przerażający okrzyk i, jak pociągnięci tym samym sznurkiem, znów się odwrócili i w niemal idealnym szyku zaatakowali środek Qumanów.

--Haililili! -- wykrzyknęła Hanna radośnie, naśladując swą panią. Patrzyła, jak chorągiew Sapiientii ruszyła i dopędziła oddział Bayana, jak księżę i księżniczka razem runęli do bitwy. Złapani pomiędzy młot i kowadło Qumanowie nie mieli szans. Ci, którzy wreszcie oderwali się i spróbowali uciec, utknęli na wschodzie w rozmiękłym gruncie wzdłuż rzeki.

Bayan wycofał się z potyczki do wozu swej matki i z tego punktu obserwował bitwę ze zmarszczonym czołem, nie martwiąc się, ale oceniając. Zdawał się nie zauważać Hanny, ale przywołał do siebie brata Breschiusa. Od czasu do czasu podjeżdżał do niego jeden lub dwóch jego ludzi, rozmawiali z nim albo wręczali mu kawałek tkaniny, nóż, złamane pióro czy, raz, stratowaną maskę twarzową odłamaną z hełmu. Oglądał uważnie każdy przedmiot, a potem znów się przyglądał, jak wendarska i ungaryjska armia gromią wroga.

Zabijali, dopóki nie przestali widzieć w ciemności.

W końcu przyniesiono z obozu latarnie. Sapiientia porzuciła rzeź z twarzą błyszczącą podnieceniem i mieczem ociekającym krwią. Z drzewca zwisała latarnia, oświetlając sztandar, który poruszał się na zachodnim wietrze.

--Haililili! -- wrzasnęła, salutując mężowi. -- Zwycięstwo! Wydaliśmy im bitwę i pokonaliśmy ich!

Bayan uniósł miecz w odpowiedzi. Też był pokryty zaschniętą krwią.

--Zabiłem człowieka! -- wykrzyknął. -- A teraz wezmę moją kobietę!

Sapiientia zaśmiała się ekstatycznie. Biła od niej pulsująca energia, niby wyladowanie w powietrzu po uderzeniu błyskawicy. Rzeczywiście, gdy cała armia zgromadziła się wokół oświetlonego latarniami wzgórza, Hanna czuła wzbierające wokół napięcie, bardziej niebezpieczne od tego, które panowało przed bitwą.

Otoczeni sztandarami i pochodniami, Bayan i Sapiientia ruszyli wzdłuż armii ku obozowisku. Hanna zamierzała ruszyć za nimi, ale Breschius ją powstrzymał.

--Dotknij wozu -- powiedział ostro. -- Zrób to!

Z oporami dotknęła rogu wozu. Wydał jej się zwykłym drewnem, zupełnie niemagicznym. Chwilę później ruszył naprzód, za Bayanem, a ona posłusznie pojechała z tyłu obok Breschiusa. Towarzyszyła im armia, a Hanna czuła, że wielu żołnierzy Bayana przypatrywało jej się,

gapilo, obmacywało wzrokiem. Wendarczycy bezwątpienia też to robili, ale dla nich była Królewskim Orłem. Znali jej przysięgę i wiedzieli, że była pod ochroną króla.

--Za wozem jesteś bezpieczna -- powiedział Breschius. -- Kiedy wrócimy do obozu, musisz się mnie trzymać.

--Jak sądzisz, co by się mogło stać?

Wzruszył ramionami.

Ale jej matka nie wychowała głupca. Serce przestało jej walić i wreszcie mogła jaśniej pomyśleć.

--To nie była prawdziwa bitwa -- rzekła wreszcie. -- Na końcu przypominała rzeź świń.

--To nie była armia. Widziałem qumańską armię i to przerażający widok, dziecko. To był oddział wypadowy. Młodzi niespokojni mężczyźni wysłani przed prawdziwą armią, by okryć się chwałą lub posłużyć za ostrzeżenie dla innych, jeśli nie wrócą. Widziałeś, jak walczyli. Byli tak głupi, że dali się nabrać na sztuczkę starą jak te wzgórza. Najprawdopodobniej nie mieli starszego, mądrzejszego przywódcy, który powstrzymałby ich, gdy ogarnęła ich gorączka zabijania.

--Tak jak książe Bayan interweniował, powstrzymując księżniczkę Sapientię od samobójczego wypadu.

Spojrzał na nią, ale w mdłym świetle nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Z każdego rogu wozu zwisała zapalona latarnia; teraz lampy kołysały się kusząco, kiedy ich oddział przeprowadzał się przez rzekę i wspinał na przeciwległy brzeg. Dziwne, rzeka była teraz płytsza; buty Hanny ledwo dotykały fal. Przed nimi, w oświetlonym pochodniami obozie, słyszała już śpiew, przekleństwa i dziki śmiech. Mężczyźni wokół niej pili jakiś mocny trunek ze skórzanych bukłaków przywiązanych do siodła. Jego sfermentowany zapach przenikał powietrze, gdy wykrzykiwali i wyli do siebie, śpiewali fragmenty pieśni albo tańczyli w szeregach przy jęklwym akompaniamencie dziwnie wyglądających lutni. Byli bardzo podnieceni, zarumienieni od łatwego zabijania i chętni do wpakowania się w kłopoty.

--Babka powiedziała mi raz, że zabicie to tylko połowa czynu -- odezwała się wreszcie.

--Mądra kobieta, ta twoja babka -- odparł Breschius. -- Co mówiła o drugiej połowie czynu?

Uśmiechnęła się nerwowo pod osłoną nocy.

--No cóż. Moja babka nadal czciła dawnych bogów. Powiedziała, że jeśli zabierzesz krew, jesteś winien krew, ale wielu ludzi zapomina o tym starym prawie, gdy zabijają w gniewie lub walce. Ale potem ta krew wciąż płami ich ręce i kwasi się w ich sercach.

--Zaprawdę. Kiedy wyrwiesz ducha z ciała, pozostaje energia. Jeśli nie będzie powstrzymana przez modlitwę, wybaczenie, akt kreacji czy dar nowego początku, Nieprzyjaciel może wślizgnąć się do serca tego, który zabił. Dlatego wojnie towarzyszy tyle okropnych czynów i dlatego ci, którzy uczestniczyli w bitwie, powinni później oczyścić się modlitwą.

--Czy poprowadzisz dziś modły?

--Dla tych, którzy zechcą w nich uczestniczyć. Ale, niestety, mój pan i większość innych nadal żyją wedle starych reguł, choć ich języki sławią Boga w Jedności. Książę Bayan skonsumuje małżeństwo i w ten sposób się oczyści, choć Kościół nie pochwała takich dawnych metod. Ale nie oddalaj się tej nocy od namiotu księżniczki Sapientii. Jej obecność w obozie

może się okazać niewystarczająca, by chronić cię przed obrazą, jaką mogą zgotować ci młodzieńcy pijani winem i krwią.

--Będę ostrożna -- obiecała. Dotarli do królewskiego namiotu. Bayan i Sapiaientia nadal stali na zewnątrz, wznosząc toasty do swych przybocznych, ale szybko stało się jasne, że Bayan czekał na matkę. Jej wóz zatrzymał się dwadzieścia kroków od namiotu, a on natychmiast porzucił swych gości, by do niego podejść. Czekał ze schyloną głową, gdy z maleńkich drzwi rozwijano cztery stopnie. Trzy stare, pomarszczone służki, towarzyszące księżniczce Kerayit, zeszły po nich, niosąc zwykle naczynia, resztki jedzenia i zakryty nocnik. Potem oszalamiająco piękna młoda kobieta wynurzyła się z zasłony z paciorków, która lśniła i drżała, gdy ona schodziła po stopniach. Miała kremową skórę o ton ciemniejszą niż Liath, zmysłowe usta, szerokie kości policzkowe, odważne oczy i włosy jak czarny jedwab. Jej szata mogła zostać utkana z promieni słonecznych. W pasie miała zawiązanych co najmniej tuzin złotych łańcuszków, a jej szyję otaczała masa złotych naszyjników. W jednym nozdrzu tkwiło złote kółko, a w każdym uchu miała trzy złote kolczyki, uformowane na kształt zwisających kości. Każdy palec ozdobiony był pierścieniem wysadzonym szlachetnymi kamieniami.

--Kto to jest? -- wyszeptala oszołomiona Hanna, która od uczyty weselnej nie widziała młodej kobiety ani nie podejrzewała jej obecności. Widziała jedynie trzy stare służki, wychodzące i wracające do wozu.

--Nie znam jej imienia -- odparł Breschius cicho. -- Ona też jest księżniczką pierwszego stopnia wśród ludu Kerayit. Jest uczennicą starej kobiety. Jeszcze nie znalazła swego szczęścia i dlatego może się pokazywać ludziom, którzy nie są jej krewnymi.

Książę Bayan wspiął się po schodach i zanurkował w wozie. Sapiaientia próbowała za nim podążyć, ale młoda Kerayit zagroziła drzwi ramieniem. Sapiaientia przez chwilę protestowała, ale kobieta po prostu na nią patrzyła, nie grożąc, tylko stanowczo odmawiając, i wreszcie Sapiaientia ostentacyjnie wróciła do namiotu, by tam poczekać. Księżniczka Kerayit patrzyła za nią spod ciężkich powiek, jak skromna kobieta obserwuje ukochanego.

O Pani. Było w niej coś... coś znajomego, tak jak zawsze Liath wydawała się Hannie znajoma, jakaś nie uformowana moc, której nie potrafiła nazwać, a którą Liath trzymała w sobie niby schwytanego orła, czekającego momentu uwolnienia...

Breschius syknął, gdy kobieta Kerayit omiotła wzrokiem zgromadzonych. Zaczął się trząść. Hanna czuła jego lęk, jego, który przez całą bitwę nie okazał ani cienia strachu.

Wszyscy, nawet najbardziej pijani, buńczuczni żołnierze milkli, ulegając jej baczemu wzrokowi; miała władczą obojętność słońca, które nigdy nie kwestionuje swej jasności, tylko istnieje.

W ciszy Hannie wydało się nagle, że słyszy pomruk Bayana i w odpowiedzi podobny głosowi świerszcza inny szept. A potem spojrziała na młodą księżniczkę, której piękne migdałowe oczy rozszerzyły się z zaskoczenia, gdy spoglądała na Hannę. Jasne włosy, blade oczy: Hanna wiedziała, że tutaj, na granicy, bardzo się wyróżniała. Niewielu wendarskich żołnierzy było tak jasnych jak ona, a poza tym pokrywał ich pył bitewny.

Książę Bayan odrzucił paciorkową zasłonę i zszedł po schodkach, śmiejąc się.

--Teraz! Do łóżka! -- wykrzyknął, a wszyscy zawiwatowali i gdy Hanna zdołała wydostać się spomiędzy ludzi, którzy kłębili się wokół niej, księżniczka Kerayit zniknęła. Schody do wozu podciągnięto.

--Orle! Hanno!

Musiała iść. Towarzyszyła Sapientii do łóżka, czekała wraz z innymi na zdjęcie kolder. Jako Orzeł musiała zaświadczyć, że mąż i żona legli razem, jak się należy. A potem, wraz z innymi, oddaliła się dyskretnie.

Miała koc i rozsądnym wydawało się nie spać z dala od namiotu. Trudno jej było zasnąć, ponieważ wokół panował hałas: z namiotu dochodziły śmiech, stękanie i ekstatyczne okrzyki, z obozu śpiew, bębnienie, krzyki, i, raz, wrzask przerażenia. Breschius też miał koc i chrapał obok, zwinięty w kłębek i umoszczony na starym dywanie położonym przed namiotem. Kilku innych służących też spało spokojnie w pobliżu.

Była zmarznięta i niespokojna. Czekala, ale nie wiedziała na co. Wreszcie zasnęła.

I miała wyjątkowo dziwny sen.

Wszystkie chmury popłynęły na wschód, by dręczyć Qumanów, by wykrwawić szlak zostawiony przez ich młodych braci, którzy pojechali znaleźć wroga i nigdy nie wrócili. Gwiazdy tak błyszczą na niebie, że każda wydaje się gorejącą iskierką światła, duszą ogniste demony, które żyją z daleka od zacisznego świata ludzi. Gwiazdy nigdy tak jasno nie świeciły, jakby siłą woli zgięły w dół wielką kopułę niebios, bo szukają czegoś, co im zginęło, spadło głęboko, głęboko w dół, na zimną twardą ziemię.

W nocy wóz szamanki Kerayit błyszczy odbitym światłem gwiazd i dopiero teraz magia lśni w jego ścianach: znaki i symbole, spirale i stożki, zdumiewające drzewo, którego korzenie sięgają głęboko w ziemię, a gałęzie zdają się wyrastać z samego korzenia i sięgać nieba. Jaśniejący pręt, bardziej ze światła niż materii, wystaje w kierunku nieba przez dziurę na dym pośrodku wozu: na jego nagim pniu wyryto siedem nacięć, koniec pręta zdaje się zlewać z Gwiazdą Polarną, wokół której kręca się niebios.

Paciorki klekocą i szeleszczą, gdy z wozu rozwijają się stopnie. Młoda księżniczka wychodzi i kiwa na Hannę. Chodź do mnie.

Hanna odrzuca koc i idzie. Nurkując do wnętrza, ociera się głową o framugę maleńkich drzwi. Ale wnętrze nie jest takie jak na zewnątrz. Wóz jest mały, ale wnętrze wydaje się jej namiotem równie wielkim jak ten, w którym śpią teraz Bayan i Sapientia. Ściany poruszają się, jakby głaskane wiatrem; są tu dwa ozdobne łóżka, mały stolik, pięknie haftowana poduszka do siedzenia. Zielonozłoty ptak kręci się w klatce, obserwując ją. Siada na poduszce, a jedna z wiekowych służek przynosi jej czarbkę gorącego płynu, którego ostry zapach drażni jej nozdrza.

--Pij -- odzywa się głos świerszcza i Hanna dostrzega zawoalowaną matkę Bayana siedzącą w cieniu, przez przezroczysty jedwab widać zarys twarzy. Na ścianie namiotu za jej plecami wisi arras: Podobizna kobiety stojącej na ziemi i sięgającej ku niebiosom, gdzie wisi pałac magicznie zawieszony w eterze: z pępka kobiety rozciąga się nić, przymocowana do drzewa na podwórku latającego pałacu: pomiędzy nimi leci orzeł, a dwa smoki przypatrują się zmrużonymi oczami. -- Co pochodzi z ziemi, wraca na ziemię -- mówi stara kobieta, gdy Hanna posłusznie pije. -- Co mi przyprowadziłaś, córko siostry? Ona nie jest z mego rodu.

Błyska złoto, młoda księżniczka wysuwa się naprzód.

--Znalazłam je wreszcie -- mówi. -- Moje szczęście urodziło się w tej kobiecie.

--Ach -- mówi stara kobieta, wykrzyknik niby cykanie świerszcza. Z zewnątrz dobiega kolejny odgłos, lament, od którego ciarki przechodzą Hannie po krzyżu i myśli, że może nie są już w obozie, że przeniosły się gdzieś daleko, gdzie niebezpieczne stworzenia przemierzają trawy,

ponieważ w naturze snów leży to, że można szybko przemierzać wielkie przestrzenie, nie poruszając się.

--Ach -- powtarza stara kobieta. -- Wobec tego pojedzie z nami.

--Nie. Jeszcze ze mną nie pojedzie. Musi znaleźć mężczyznę, który stanie się moim pura, a potem wróci do mnie, z nim.

Młoda księżniczka odwraca się, by spojrzeć na Hannę, i Hannie wydaje się, że w ciemnych żrenicach tych pięknych migdałowych oczu widzi drogę do krainy, w której mieszkają Kerayit wśród traw tak wysokich, że jeździec na koniu nie może ponad nimi spojrzeć, gdzie gryfy atakują nieostrożnych, a smoki strzegą granic przepastnej i straszliwej pustyni zarzuconej złotym i srebrnym piaskiem. Tam czeka kobieta, nie prawdziwa kobieta, ale stwór, który od pasa w górę jest niewiastą, a od pasa w dół posiada ciało i pełną gracji siłę klaczy. Jest szamanką, jej moc jest wielka, a wiek niezmierny, twarz ma pomalowaną w zielone i złote pasy, a na jej nadgarstku siedzi sowa. Dobywa luk i wypuszcza strzałę utkaną ze światła gwiazd. Jej lot zahacza niemożliwie o Gwiazdę Polarną i z wysokim brzękiem przebija ona serce młodej księżniczki, która jęczy i pada na kolana, przyciskając dłoń do piersi.

Hanna podrywa się natychmiast, by jej pomóc, ale gdy tylko dotyka młodej kobiety, czuje we własnej piersi ukłucie strzały, jakby miała w sobie uwięzioną osę. Boli.

Obudziła się nagle, gdy dotknęła jej jakaś dłoń, gładząc jej pierś. Usiadła szybko i zderzyła się czołem z mężczyzną, który się nad nią pochylał. Potem jej oczy przyzwyczaiły się do szarzejącego światła przedświt.

--Wasza Wysokość! -- zawołała, cofając się na czworakach tak szybko, jak tylko mogła.

Książę Bayan uśmiechnął się czarująco, pocierając czoło. Nosił swe workowate spodnie, ale nic poza tym, odsłaniając większość swego silnego, atrakcyjnego ciała. Wyczuła wino w jego oddechu.

--Piękna śnieżna panna -- powiedział zwycięsko, bez groźby.

--Bayan! -- U wejścia do namiotu ukazała się Sapientia, odziana jedynie w halkę.

--Obudziła się! -- wykrzyknął Bayan entuzjastycznie. Zatoczył się do środka i, rzuciwszy Hannie rozeźlone spojrzenie, Sapientia podążyła za nim.

Kilka służących obudziło się i pośpieszyło do swej pani. Wyszły chwilę później, chichocząc, niosąc nocnik, i Hanna uznała, że rozsądniej będzie pójść z nimi nad rzekę. Umyły się wśród skał, bezpieczne w grupie, ale rankiem i tak pijaństwo się skończyło i połowa nieprzytomnych żołnierzy odsypiała je, a druga połowa wróciła na pole bitwy. Kiedy wróciły do namiotu, brat Breschius poprosił Hannę, by mu towarzyszyła i uczyniła to opornie, tylko dlatego, że lubiła starego kapłana. W ostrym świetle poranka pole bitwy stanowiło brzydki widok: trzeba było odpędzić sępy i padlinożerców, a trupy zaczynały cuchnąć. Coraz więcej żołnierzy przychodziło rabować wrogów, ale Hanna nie mogła się zmusić, by ich dotknąć, nawet gdy ujrzała dobry żelazny nóż przy pasie jednego z nich. On też miał na nim zawieszoną jedną z tych upiornych ludzkich głów.

Zorganizowano pogrzeb. Wendarscy żołnierze wykopali wspólne groby, rozebrali ciała i wrzucali je, a brat Breschius błogosławił każdą duszę. Ale to, co Ungrianie robili ze swoimi poległymi, było prawie tak samo wstrętne jak brak szacunku, z jakim łupili wroga. Każde ciało było w jakiś sposób bezczeszczone przed pogrzebem: ucinano palec, wybijano ząb, odcinano pukle włosów. Te skarby były ostrożnie zawijane i wręczane niektórym żołnierzom, którzy

podnosili je wraz ze zbrojami i bronią.

--Dlaczego oni to robią? -- zapytała wreszcie Hanna, gdy z Breschiusem wracała do obozu.

-- Czy nie odprawiono porządnego pogrzebu i nie złożono ich na spoczynek, jak się należy?

--O tak, sama widziałaś. Ale wierzą też, że pewna część ducha zostaje po śmierci w ciele i każdego roku, w dniu przesilenia zimowego palą szczątki swych krewnych na stosie. Wierzą, że w ten sposób dusze wszystkich, którzy umarli zeszłego roku, zostają zamknięte po drugiej stronie, nie mogą więc powrócić i sprawiać tutaj kłopotów.

--Ale czy oni nie wierzą, że dusze wstępują do Komnaty Światła? Jak mogą czcić Boga, skoro w to nie wierzą?

Breschius roześmiał się serdecznie.

--Bóg są tolerancyjni, moje dziecko. My również powinniśmy. Wszystko jest Ich tworem. Posłano nas na ziemię, byśmy uczyli się naszych własnych serc, a nie osądzali innych.

--Nie przypominasz większości fratrów, jakich znam. -- A potem zaczerwieniła się, myśląc o Hugonie. Pięknym Hugonie.

Breschius zachichotał i nagle odniosła wrażenie, że doskonale potrafił wejrzeć w jej serce, ale był zbyt skromną duszą, by osądzać ją za coś, co sama uznawała za głupią i grzeszną tęsknotę.

--Ponieważ nikt nie jest taki sam jak inni, w swym czasie na ziemi każdy uczy się czegoś innego.

--Miałam taki dziwny sen -- powiedziała, by zmienić temat. -- Śniłam, że weszłam do wnętrza wozu matki Bayana, a ta młoda księżniczka rzekła, że jej szczęście urodziło się w moim ciele.

Zamarł, a jego twarz zbladła.

Nagle poczuła, jakby w jej gardle zatrzepotał motyl, uwięziony, nigdy nie mający się uwolnić.

--Ale to był tylko sen. To musiał być sen. Rozumiałam, co mówiły.

--Nie lekceważ ich mocy -- rzekł ochryple. -- Nigdy więcej o tym nie mów. Dowiedzą się.

--Jak mogą się dowiedzieć? A jeśli będę o tysiąc lig od nich?

--Uparcie pokręcił głową. Zaszła w nim taka zmiana, stał się tak spięty i zmartwiony, że ona też się wystraszyła. -- Czy wobec tego odpowiesz na jedno pytanie? Co to jest *pura*?

Zaczerwienił się. Na jego kark i czoło wystąpił pot, choć nie było ciepło. Przed nimi w obozie panował ruch, za nimi rzeka szumiała na gładkich kamieniach, a na przeciwległym brzegu szereg żołnierzy dotarł do brodu i zaczął się przeprowiać.

--*Pura* - rzekł ochryplym głosem -- to w języku Kerayit słowo oznaczające konia.

--To dlaczego księżniczka Kerayit w moim śnie powiedziała, że znajdę mężczyznę, który zostanie jej *pura*!

Zamknął oczy, jakby chciał odrzucić -- lub zobaczyć jaśniej -- jakieś zamglone, dawne wspomnienie.

--Na koniu można jeździć. Może nosić ciężary. Jeśli to ogier, może zapładniać klacze. Jego krew, gorąca, pita z żyły, może cię wzmocnić. Dobry, mocny, elegancki koń stanowi źródło dumy i rozrywki dla swego właściciela. *Pura* oznacza również młodego, przystojnego mężczyznę, który służy księżniczce Kerayit, wezwanej, by stać się szamanką. Szamanki plemienia Kerayit żyją w absolutnym odosobnieniu. Kiedy już dotknęły swego szczęścia, nie

mogą pokazywać się żadnej osobie, która nie pochodzi z ich rodu i która nie jest niewolnikiem, ponieważ niewolników nie uważają za ludzi. Szamanki nie wychodzą za mąż jak ich siostry. Matka Bayana wyszła za mąż tylko dlatego, że... mówiłem o tym wcześniej. Nie bierzesz swego szczęścia jako swego pura. Pura nie jest prawdziwą osobą, tylko niewolnikiem.

--To dlaczego te kobiety w ogóle biorą *pura*?

Doszedł do siebie na tyle, aby spojrzeć na nią z rozbawieniem w oczach.

--Złożyłaś przysięgę jako Orzeł, moje dziecko. Ale czy nigdy nie spoglądasz na młodzieńców z pożądaniem drżącym w sercu? Nawet matka księcia Bayana była kiedyś młoda. Kobieta Kerayit wybrana przez swych bogów, by zostać szamanką, jest młoda i kroczy trudną ścieżką. Nie wszystkie przeżyją. Kto by nie chciał konia w tak długiej podróży?

Jego rumieniec zbladł, a ona po raz pierwszy spojrziała na niego tak, jak kobieta patrzy na mężczyznę. Duch młodszego Breschiusa wciąż żył w jego postaci. Kiedyś był młodym i przystojnym mężczyzną, dzielnym fratrem wyruszającym na wschód, by nawrócić pogan. Łatwo było sobie wyobrazić, że taki egzotyczny młodzieniec spodobał się księżniczce Kerayit.

--Czy *pura* zostają uwolnieni -- zapytała -- gdy ich pani już ich nie potrzebuje?

--Nie -- odparł cicho. -- Żadna szamanka z własnej woli nie pozbywa się *pura*.

Czy źle zrozumiała?

--Przepraszam, bracie. Wywnioskowałam z twych słów i wyrazu twarzy, że może kiedyś byłeś... -- Była zbyt zawstydzona, by kontynuować. -- Nie zamierzałam cię obrazić. Widzę, że wiernie służysz Bogu.

--Nie obraziłaś mnie, córko. -- Dotknął przelotnie jej łokcia. -- Nie pozbyła się mnie z własnej woli. Umarła. Obwiniono mnie za jej śmierć, ponieważ uczyłem ją magii pisma. Jej ciotka, królowa tego ludu, odcięła mi dłoń. Później książę Bayan dowiedział się, że zostałem uwięziony, ponieważ królowa była kuzynką ciotki jego żony, i poprosił, by mu mnie podarowano. Tak trafiłem na jego służbę. Bóg wybaczyli mi moje nieposłuszeństwo, ponieważ naprawdę szczerze kochałem Sorgatani i zostałbym do końca życia na jej służbie. Ale tak się nie stało. -- Uśmiechnął się gorzko, bez gniewu. -- Więc teraz służę boskiemu wybrańcowi, księciu Bayanowi, jakiegokolwiek byłyby jego grzechy. Nie myśl o nim źle, dziecko. Ma dobre serce.

Hanna najpierw się roześmiała, ponieważ nie bała się ani nie czuła zagrożona w chłodzie przedświt, gdy Bayan się do niej zbliżył. Ale potem otrzeźwiała. Liath bardzo cierpiała, ścigana przez Hugona. Hannie nie podobało się spędzanie nocy na hamowaniu zakusów księcia znacznie potężniejszego od niej, zwłaszcza że była tak daleko od króla, który jedyny mógł jej zapewnić ochronę. Książę Bayan nie byłby winny uwiedzenia Orła: to ona byłaby winna i w efekcie utraciłaby swą pozycję. A chciała pozostać Orłem. Może to przede wszystkim utrudniało jej zrozumienie wyboru dokonanego przez Liath. Jak Liath mogła porzucić życie, które wiedli ci, co złożyli przysięgę panującemu? Hanna nie wyobrażała sobie, że mogłaby być kimś innym niż Orłem. Zupełnie jakby była inną osobą, nim Wilkun przybył do Spokoju Serca, i inna później, jakby całe życie czekała, aż Wilkun ofiaruje jej Orłą odznakę i płaszcz.

--Jestem Orłem -- rzekła na głos. -- I chcę nim pozostać. Doradź mi, bracie. Czy to się powtórzy?

Zmarszczył brwi.

--Nie wiem.

Bayan i Sapientia wyszli z namiotu koło południa, wyglądając na zadowolonych. Brat Breschius odprawił mszę dla żywych i nabożeństwo żałobne za zmarłych. Zwołano naradę wojenną i przedyskutowano rozkład sił, przejawy i miejsca aktywności za granicą, gdzie Qumanowie zaatakowali po raz ostatni i jak wielka siła mogła się czaić, czekając na sposobność. Straż zeznała, że w nocy zabito pół tuzina Qumańskich wojowników. Lady Udalfreda zeznała, że co najmniej dziesięć siół za jej miastem Festbergiem zostało spalonych, a uchodźcy schronili się w jej murach. Inni wendarscy szlachcice i kapitanowie składali podobne raporty, a Ungrianie mieli inne informacje: plemiona przygnane na południowy zachód przez susze lub walki, rajdy wzdłuż granicy Imperium Aretuzańskie pewne znaki widziane podczas zimowej ofiary, wieszczące katastrofę.

Sapientia wezwała Hanneę.

--Słyszano wiele pogłosek o dużym oddziale Qumanów poruszającym się w marszach, teraz mamy potwierdzenie. Ale nie mamy sił, by powstrzymać inwazję, gdyby nadeszła. Ty, moja wierna Orlico, musisz wracać do mojego ojca, króla Henryka, i zdać raport o naszej sytuacji. Błagam go, by przysłał oddziały do wzmocnienia granicy, bo inaczej najprawdopodobniej zostaniemy pokonani.

Książę Bayan dumnie przyglądał się Sapientii, jak każdy nauczyciel ulubionemu uczniowi, stawiającemu pierwsze samodzielne kroki. Ale od czasu do czasu spoglądał też na Hanneę, a raz mrugnął.

--Orle, chcę ci przekazać prywatną wiadomość. -- Hanna musiała pochylić się ku księżniczce, która zniżyła głos do szeptu. -- Lubię cię, Hanno. Służyłaś mi wiernie i dobrze. Ale pamiętam, co się stało z tą wiedźmą, która uwiodła ojca Hugona. Znałaś ją i może przekazała ci trochę swojego uroku, choć jestem pewna, że sama nie spróbowałabyś podobnych sztuczek. Musisz jechać. Kiedy wrócisz, mój mąż zapomni już o dzisiejszym poranku.

Ale Hanna nie była tego taka pewna.

Tak naprawdę nie było jej żal, że odjeżdża. Tak, był atrakcyjnym mężczyzną, czarującym i o dobrym sercu. Bez wątpienia był miłym towarzyszem w łóżku. Ale nigdy nie zapomniałaby chłodnego, zdawkowego sposobu, w jaki torturował qumańskiego więźnia, a potem od niechcenia rzucił, że od początku wiedział, iż mężczyzna nic im nie powie. Wobec tego jaki miał powód prócz tego, że nienawidził Qumanów? Mścił się za śmierć swego syna na niewinnych ludziach.

O świcie następnego dnia opuściła księżniczkę i pożegnała się z bratem Breschiusem, który pobłogosławił ją i zmówił w jej intencji modlitwę za dobrą podróż. Zawahała się przy wozie Kerayit, ale od nocy po bitwie nie widziała ani szamanki, ani jej młodej uczennicy. Nawet teraz drzwi pozostawały zamknięte. Czy zasłona z paciorków zadrżała, rozsuwając się nieco, by ktoś mógł wyjrzeć? Być może. Na wszelki wypadek uniosła dłoń w geście pozdrowienia i pożegnania.

W potem odjechała na zachód, z wschodzącym słońcem za plecami. To był dobry dzień na jazdę, czysty, suchy i przyjemnie chłodny. Opuściwszy obóz, zaczęła śpiewać, a jej eskorta dołączyła do niej.

Podniosę oczy, by ujrzeć wzgórza

Ponieważ Ich pomoc stamtąd nadejdzie.

Pomoc nadchodzi od Pana i Pani

Tych, którzy stworzyli Niebo i Ziemię.

Pan zachowa nas od zła

Pani zachowa nasze dusze.

Ale nie mogła przestać myśleć o księżniczce Kerayit. Czy to był sen?

Użądlenie osy płonęło w jej sercu.

5.

Wieczorem Alain opuścił kaplicę w przerwie między nieszporama i kompletą i szedł w ciszy, aż dotarł do głównej sali. Smutek i Furia dreptały za nim. W przeciwnym końcu sali służący zamiataли podłogę. Wytrząsali miotły na zewnątrz, strzepując siano, i ponieważ byli odwróceny tyłem, nie zauważyli go. Rozmawiali cicho, zamykając za sobą drzwi i odcinając ponure światło jesiennego zmierzchu.

Zrobiło się ciemno, światła było tak mało jak nadziei, która mu została. Salę uporządkowano, stoły i ławy ustawiono w rzędach, ale i tak zahaczył gołeniami o ławę i biodrem o róg stołu, zanim potknął się na pierwszym stopniu małego podwyższenia za głównym stołem. Uderzył kolaniem w drugi stopień i zaklął pod nosem. Smutek zaskomlał. Wyciągnął rękę, znalazł nogę hrabiowskiego krzesła i podciągnął się, a potem po prostu stał, czując pod dłońmi solidne, kwadratowe rogi, rzeźbienie oparcia, podłokietniki wyrzeźbione na kształt masywnych psich grzbietów, zakończonych otwartym pyskiem.

Nawet szczury nie zakłócały ciszy. Słyszał stłumiony szept komplety, stłumiony przez odległość, kamienne ściany i narastające zrozumienie kleryków Lavas.

Tego ranka Lavastine po raz pierwszy nie mógł usiąść na łóżku. Jego ciało było zbyt ciężkie, by je ruszyć. Modlitwa i siła fizyczna nie przyniosły efektu.

Alain po raz pierwszy usiadł na hrabiowskim krześle.

Sala była otulona zmierzchem, ale łatwiej było wypróbować siedzisko w samotności, bez spojrzeń i ukłonów, oczekiwania i petycji, które czekają go później, gdy wszyscy zgromadzą się, by spojrzeć, jak zajmuje miejsce władcy. W ten sposób mógł się do niego powoli przyzwyczajać -- jeśli kiedykolwiek się przyzwyczai.

Podderwał się z krzesła z poczuciem winy, gdy do sali wkroczył orszak: Tallia i kilku przybocznych. Zapalili pochodnię, by mogli do niego podejść, nie przejmując się ławkami i rogami stołów.

--Nie zostałeś na komplecie. -- Miała nawyk skrytości, pozostały z dzieciństwa, i teraz, dotykając hrabiowskiego krzesła, pochyliła się w przód jak złodziej spiskujący ze współnikiem. -- Modliłam się o to... aby Bóg zabiła go za to, że nie wierzy. Rozumiesz, prawda, że tak jest najlepiej? Bóg odpowiedziała w ten sposób na moje modlitwy, ponieważ pragnie, bym wybudowała kaplicę na Jej cześć. -- Urwała, położyła rękę na jego dloni, jakby chciała przypieczętować zgodę.

Alain mógł jedynie gapić się na nią. Do sali wbiegł służący.

--Panie Alainie! -- służący płakał. -- Z nim jest bardzo źle, panie. Musicie szybko przyjść.

Alain zostawił Tallię jej rozdygotanym dwórkom. Przeskakiwał dwa stopnie naraz. Służący otworzył drzwi, a on wkroczył do komnaty, gdzie Lavastine, nieruchomy jak kamień, leżał w łóżu z baldachimem. Strach czuwał u jego boku.

Alain uklęknął obok niego i ujął dłoń hrabiego: przypominała jasny granit. Poruszyła się tylko dlatego, że Alain ją podniósł. Oczy Lavastine'a poruszyły się, usta rozchyliły. Alain wiedział, że jeszcze oddycha, że żyje, choć jego pierś nie unosiła się, gdy boski oddech wpływał i wypływał z ciała, by nakarmić duszę.

Pokój przenikał piżmowy zapach, ulotny, przemijający. Uniósł wzrok i ujrzał, jak Strach, Furia i Smutek gromadzą się wokół Grozy, która leżała w nogach łóża Lavastine'a.

Lavastine wymruczał słowa. Jego głos był niemal niesłyszalny, cichutki, ale Alain spędził

tyle godzin u jego boku przez ostatnie piętnaście dni, że rozumiał tych kilka, wymówionych z trudem słów.

--Najwierniejsza.

Uderzyło to Alaina mocniej niż jakikolwiek cios, który przyjął na tarczę podczas bitwy: Groza nie żyła, zmarła podczas ostatniej godziny, zakończyła śmiertelną egzystencję... Dlatego reszta ją obwąchiwała, poszukując zapachu matki i kuzynki, a nie znajdując go. Jej duch uleciał. O Boże! Lavastine niedługo za nią podąży.

Przycisnął dłoń do gardła hrabiego, ale nie znalazł ani ciepła, ani pulsu.

--Alain. -- Zdziwiającą siłą woli pozostawał przy życiu, choć był już całkowicie sparaliżowany. -- Dziedzic.

--Ojcie. Jestem tutaj. -- Cierpienie Lavastine'a rozdzierało mu serce, choć tak naprawdę nie wiadomo było, czy hrabia odczuwał jakiś ból. Jego czoło było gładkie jak zawsze, nawet przyjmując ten ziarnisty kamienny wygląd, jakby hrabia przemieniał się w nagrobek wykuty w skale.

Ale Lavastine był uparty i zdeterminowany. Gdyby mógł, zmarszczyłby brwi. Jedna brew zadrzała. Jego usta leciutko się wykrzywiły.

--Musisz. Mieć. Dziedzica.

W kaplicy poniżej klerycy zaczęli śpiewać hymn ze Świętych Wersów: „Wspomnienie odzyskane w czasie spokoju”.

Tego dnia, mówią Bóg, zniszczymy wszystkie wasze konie i wszystkie wasze rydwany. Rozniesiemy miasta w waszym kraju i zrównamy z ziemią wasze fortece. Zniszczymy wszystkich waszych czarowników i augurowie nie będą już przechadzać się wśród was, by rozsuwać zastłonę, która pozwala im zaglądać w przyszłość. Pogrzebiemy wszystko, co wzniosły wasze ręce. W gniewie i wściekłości zemścimy się na wszystkich narodach, które się Nam sprzeciwiają.

Alain płakał. Nie mógł znieść, że Lavastine umiera bez nadziei.

--Jest w ciąży -- wyszeptał tak cicho, że nikt inny nie mógł usłyszeć. Po chwili odezwał się już nieco odważniej: -- Tallia jest w ciąży.

Czy twarz Lavastine'a zadrzała, czy po twarzy zamienionej przez truciznę w marmur przemknął grymas? Czy jego gardło się poruszyło, w oku zabłysła iskierka radości? Na wargach zagościł uśmiech?

Bóg na pewno wybaczą Alainowi kłamstwo. Chciał tylko uszczęśliwić ojca w jego ostatniej godzinie.

--Będziemy mieli dziecko, ojcie -- ciągnął. Każde słowo przychodziło łatwiej. -- Będzie dziedzic, jak postanowiłeś.

Dzieci Sais, będziecie paść swych wrogów mieczem, z ruin powstaną święte filary i wszyscy, którzy was nienawidzą, zostaną zniszczeni.

Lavastine odetchnął, po raz ostatni ubierając dech w słowa:

--Dobra. Robota. Mój. Synu. -- I gdy Alain na niego patrzył, oczy hrabiego, znieruchomiały, białko pokryło się kamiennym ziarnem, a tęczęwki zmieniły w szafiry. Po długiej walce wszystko działo się bardzo szybko, ale może jego dusza związana była z wierną Grozą, a gdy Groza umarła, on też pośpieszył na ostatnią wędrówkę. Być może tylko czekał na tę jedną wieść.

Zapanowała cisza.

Alain płakał gorzko. Jego łzy przemoczyły narzutę i spływały jak deszcz po kamieniu z ramienia Lavastine'a. Psy zawarczały cicho, ale nie protestowały, gdy kilku służących podeszło, a zarządca przycisnął palec do zimnych ust hrabiego.

--Boże zmiłuj się -- rzekł zarządca cicho. -- Odszedł.

Alain poderwał się i złapał świeczkę, podsunął ją pod usta Lavastine'a. Płomień zamigotał leciutko.

--Ciągłe żyje! -- krzyknął. Służący delikatnie odebrał mu świecę. Rzucił się na podłogę przy łóżku, wciąż płacząc, wciąż ściskając zimną dłoń i modląc się z całego serca, z rękami mokrymi od łez. -- Błagam Was, Boże. Oszczędźcie mego ojca. Uleczcie go, a będę Wam służył.

--Panie Alainie. Odejdźcie. Już nas opuścił. Odszedł do Naszych Pana i Pani.

--Płomień się poruszył. On wciąż oddycha.

--To był wasz własny oddech, panie. On umarł.

Niecierpliwie strząsnął rękę, a Smutek zawarczał, wyczuwając jego nastrój. Służący cofnęli się i klękali do modlitwy. Bóg na pewno mieli moc, żeby uleczyć każde zatrucie, każdą ranę. To była drobnostka w porównaniu z Ich mocą.

--Zrobię, jak życzy sobie Tallia albo jak Wy sobie życzycie. Z radością oddam życie Kościołowi, na zawsze, jeśli tylko uleczysz mego ojca, Pani. Jeśli tylko przywrócisz memu ojcu siłę i życie, Panie. Spłodzę mocne dzieci, jeśli taka jest Wasza wola, albo pozostanę w celibacie, jeśli tak postanowicie, ale proszę, błagam, Boże, uleczcie go. Nie pozwólcie umrzeć Waszemu lojalnemu słudze. Dajcie mi znak.

Arras na ścianie zafalował lekko, jakby poruszył go wiatr, ale okiennice były zamknięte przed zimową wichurą. Znów się poruszył, jakby szarpnęła nim jakaś dłoń i ciągnąc go, poruszyła też Alaina. Skupił wzrok, aż mógł dostrzec scenę przedstawioną na arrasie: *Księżę jedzie z orszakiem przez ciemny las. Z księżęcego siodła zwisa tarcza: czerwona róża na czarnym tle.*

I tam, ukryte wśród cieni gobelinu. Dlaczego ich wcześniej nie zauważył? Czarne ogary szły obok, trzy, ciemne i piękne. Słyszał ich kroki, słyszał skrzypienie uprzęży i spokojny stukot końskich kopyt. Wiatr tańczył z gałęziami, a ponieważ właśnie przestało padać, opryskiwały ich krople spadające z liści niczym łzy wodnych demonów. Jechał pomiędzy służącymi, niewinny, niewidzialny, ponieważ był jednym z wielu. Czuł się chroniony przez cienie i ciemność, przez ścianę lasu wznoszącą się po obu stronach drogi. Kiedy zbliżył się do księcia, przeżył wstrząs, gdyż nie był to wcale książę, tylko kobieta ubrana jak mężczyzna, jakby w przebraniu. Była starsza, niż mu się na początku wydawało, z zimną upartą twarzą. Brosza spinająca jej płaszcz była piękną, drogocenną repliką róży, wymalowanej na tarczy wiszącej przy jej udzie. Jaki szlachecki ród miał różę w herbie? Odwróciła się, wcale niezaskoczona, że widzi go wśród służących, i zapytała:

--Jak się miewa dziecko?

Ale obok niego pojawia się światło pochodni, oślepiając go na chwilę, i nie jedzie już leśną ścieżką, lecz kołysze się na wietrze, który nie jest wiatrem, tylko pokładem statku pod stopami, który delikatnie kołysze się na wodzie. Na wschodnim horyzoncie przylądek zasiania gwiazdy. Na ciemnym brzegu podskakują pochodnie, skupiają się, rzucają w przód. Słyszy szcęk metalu uderzającego o metal, gdy walka w ciemnej dolinie przesuwa się ku wielkiemu domowi wybudowanemu dwa pokolenia temu przez słynnego wodza Krwawy Topór z plemienia Namms.

Jakiś inny wódz przybył do doliny Namms przed nim.

Mała łódka pod pływa do jego statku i zwiadowca -- Dziewiąty Syn z Dwunastego Miotu -- wspina się na pokład, by złożyć raport.

--To plemię Moerin, dziewiętnaście okrętów, przybyło rozstrzygnąć stary spór z Nammsami.

--Wodzem Moerinów jest stary Ostry Język, prawda? -- pyta Silna Ręka, wciąż wpatrując się w bitwę rozjaśnioną ostatnimi promieniami słońca na ostrzach oszczepów i pochodniami kwitnącymi wzdłuż ścieżek, na których toczy się walka.

--Nie, stary Ostry Język zginął w rajdzie zeszłej wiosny. Mają nowego wodza, który wziął doradców z wyspy Miękkich znanej jako Alba. Nazwał się Nokvi w ludzkiej manierze.

--Patrzcie! -- Dziesiąty Syn z Piątego Miotu stoi u boku Silnej Ręki jako jeden z chorążych, ponieważ ma bystry wzrok i niezwykłą siłę. Podnosi ramię i wskazuje ciemniejącą dolinę. -- Gdzie stoi wielki dom. Patrz tam.

Płomień rozkwita tak dziko, jak tylko ogień potrafi, gdy się go uwolni. Silna Ręka stawia stopę na najwyższej klepce i wychyla się, wpatrując w zmrok, podczas gdy wielki dom wybucha pożogą. Pochodnie otaczają płonący dom. Czuje olej, który podsycy ogień.

--Słuchajcie -- mówi Silna Ręka, a wszyscy ludzie na dźwięk jego głosu milkną i nastuchują.

Nokvi, wódz plemienia Moerin, uwięził wodza Nammsów i jego wojowników w domu, oblał dom olejem i podłożył ogień, paląc ich żywcem. Nawet twarde skóry SkalnychDzieci nie wytrzymają takiego piekła.

--Atakujemy? -- pyta Dziesiąty Syn.

--Z ośmioma okrętami? -- Silna Ręka ostro przecina powietrze lewą dłonią, by powiedzieć „nie”. -- Przybyłem, by sprzymierzyć się z Nammsami, a nie by z nimi walczyć. Musimy dowiedzieć się więcej o tym Nokvim, i to jeszcze przed walką. Nadciąga zima i niedługo żadne okręty nie będą pływać. Ale są inne sposoby, żeby zgromadzić siły nawet przeciw wodzowi, który sprzymierzył się z ludźmi z Alby.

Nienawidzi odpływać bez sojuszu, po który przyплыł. To zaluje tchórzostwem. Ale nie jest głupcem. Nie zaślepią go pragnienie chwały. Szuka czegoś twardszego, zimniejszego i trwalszego niż jaśniejący płomień bitewnej chwały.

Unosi róg do ust i trąbi odwrót.

Ostry dźwięk otrzeźwił Alaina, jęk, który wydawał się nieco znajomy, a jednak kompletnie obcy.

--Panie hrabio!

Alain zerwał się, by pochylić się nad Lavastine'em, ale hrabia mógł równie dobrze być kamienną rzeźbą. Nie ruszał się. Nie oddychał.

Nie żył.

O nogi Alaina otarł się ciężar i nagle przypomniał sobie, w jakiej komnacie się znajdował i zauważył, że Smutek, Furia i Strach padły wokół łoża Lavastine'a i leżały tam jak bezradne szczenięta, skomlać. Dostrzeżenie czekających służących, którzy nerwowo wpatrywali się w psy, obserwując ich reakcję, zajęło mu dłuższą chwilę. Zarządca, który się właśnie odezwał, nie zwracał się do Lavastine'a.

--Panie Hrabio. Odejdźcie. Nic nie możecie zrobić.

Słowa uderzyły go jak bicie dzwonu. Ale to był dzwon w starym kościele. Dzwonił duszy,

która przez siedem sfer wspinała się do Komnaty Światła. Hrabia wstał, ale nogi nie przypominały mu własnych.

Nie mógł nic zrobić. Położył dłoń na zimnym ciele Lavastine'a. Potem pochylił się, by je pocałować. Mógł całować kamień. Dotknął jego oczu, chcąc, jak to było w zwyczaju, zamknąć powieki. Ale nie mógł tego uczynić. Zamarły, może stwardniały. Wiecznie czujny, nawet w grobie.

Naprawdę nie mógł już nic zrobić. Służący rozstąpili się przed nim, gdy ogary dzwignęły się i podążyły za nim, swym panem. Ale nie warczały i zdawały się nie zauważać służących wokół. Dreptały za nim jak we śnie, łagodne jak baranki.

Milcząc, zszedł po stopniach z wieży i minął ciemny korytarz prowadzący do sali biesiadnej. Tam gdzie drzwi otwierały się na dziedziniec, ostre powietrze ukuło go w twarz, a jego smak obudził żywe i bolesne wspomnienie jesiennych popołudni spędzanych przed domem ciotki Bel z przybranym ojcem, Henrim, na robieniu lin lub reperowaniu żagla. Ale to życie już się skończyło. Bóg naznaczyli go do większych czynów. Minął otwarte drzwi i wkroczył w gęstą, wyczekującą ciszę sali.

Tam usiadł na rzeźbionym krześle zarezerwowanym dla hrabiego Lavas. Smutek, Furia i Strach siadły u jego stóp.

Po chwili do sali wkroczyła Tallia wraz ze swymi dwórkami. Z białymi ustami i drżącymi dłońmi zajęła miejsce u jego boku.

Powoli z domu, szop i stajni, z wioski i kuchni, z pola i ogrodu przybywali do sali służący, żołnierze, rolnicy i dworzanie, i gromadzili się w rzędach wzdłuż stołów. Ich twarze zmieniały się w świetle pochodni, ocienione wahaniem, rozświetlone oczekiwaniem, ściągnięte obawą przed psami i, być może, przed nim. Wreszcie dzwon ucichł.

--Panie hrabio -- odezwała się kobieta, kasztelanka tego domostwa, pani Dhuoda.

Przez chwilę nie odpowiadał, oczekując, że kto inny to uczyni. Ale nie usłyszał jego głosu.

--Podejdźcie -- rzekł hrabia Lavas. -- Przyjmę wasze przysięgi i w zamian złożę własne.

Rozdział dziewiąty

Gniazdo matematyków

1.

Theophanu sprytnie wykorzystała informacje, których dostarczył im Wilkun: wykorzystała rzeźbę terenu wokół Vennaci, by ukryć liczbę swych oddziałów i w ten sposób udawać, że założyła kontroblęzenie z większymi siłami, tak się przynajmniej zdawało, niż te, które zgromadził Jan Twardogłowy.

Szybko poprosił o rokowania. Theophanu pojechała wraz z dwudziestoma dworzanami; Rosvita służyła za tłumaczkę, ponieważ język, którym mówiono w Aoście, był zrozumiały dla każdego, kto znał dariyański.

Twardogłowy był opryskliwy i niecierpliwy. Kiedy tylko wszedł, nakazał swym służącym przynieść krzesło i wino.

--Król Henryk sam chce się ożenić z Adelheidą.

Theophanu spojrziała na niego ponad winem, które sączyła powoli, ukryta pod baldachimem ze szkarłatnej materii.

--Niech Bóg będą z wami, lordzie Janie -- odparła wreszcie. -- Jesienią pogoda w Aoście jest bardzo piękna, prawda?

Kiedy opuścili góry, deszcz przestał padać i niebo się oczyściło. W południe światło było tak jaskrawe, że każda osoba i rzecz, chorągiewki na oszczepach, szereg strażników, odległe, spętane konie, zdawały się obrysowane konturem.

--Nie widzę sensu w grzecznościach, księżniczko Theophanu. Nadchodzą moje posiłki. Wspierają mnie lordowie Aosty. Nie chcą, by władał nimi cudzoziemiec.

--Ale nie jesteście jedynym księciem z Aosty, który pragnie poślubić Adelheidę. Oczywiście jest, lordzie Janie, że ten, kto poślubi królową Adelheidę, będzie mógł zgłosić pretensje do opuszczonego tronu.

Twardogłowy miał twarz równie pospolitą jak sposób wysławiania się, nie wyróżniającą się niczym prócz blizny na policzku i wydatnego nosa. Głębia i jasność ciemnych oczu sprawiały, że nie wydawał się brzydki; bez wątpienia wyglądał na zdeterminowanego i uparcie trzymał się tematu, który go najbardziej interesował.

--Henryk sam chce się ożenić z Adelheidą -- powtórzył.

Theophanu, która rozumiała co nieco, odpowiedziała, nim Rosvita przetłumaczyła.

--Nie, zaiste, nie takie są zamiary króla.

--To po co tu jesteście?

--Tylko po to, by złożyć uszanowanie królowej Adelheidzie. Jeśli dacie mi eskortę, wjadę do miasta i dam wam spokój.

--Niemożliwe. Nie mogę na to pozwolić.

--Wobec tego jesteście w impasie, lordzie Janie.

--Owszem, księżniczko Theophanu. -- Służący dołał mu wina, a Jan skinął na kapitana, który podszedł wraz grupą żołnierzy skutych jak więźniowie. Większość z nich była niska, szeroka w ramionach i miała włosy i oczy ciemniejsze niż Aostańczycy.

--To ci? -- zapytał Twardogłowy.

--Tak, panie, ci schwytani wczoraj podczas wypadu ze wschodniej bramy.

Twardogłowy zmierzył ich pogardliwym spojrzeniem. Jego żołnierze, twardzi mężczyźni noszący różne kaftany i zbroje, które prawdopodobnie zrabowali po bitwach, splunęli na więźniów.

--Wobec tego zajmij się nimi, ale bądź pewien, że jak zwykle będzie to widziane z murów.

--Co się stanie z więźniami, lordzie Janie? -- zapytała Theophanu. -- Bez wątpienia wiernie służyli swej pani. To nie jest przestępstwo, przynajmniej nie w Wendarze.

Parsknął i zawołał o wino. Co charakterystyczne, nie zaproponowano im jedzenia, ale może oblężenie opierało się na zapasach lorda Jana równie mocno, co na zapasach zgromadzonych w mieście.

--To najemnicy z Aretuzy, a nie wierni przybocznicy. Wszyscy wiemy, jakimi bezwzględnyimi i podłymi ludźmi są Aretuzańscy, a do tego niewartymi zaufania. -- Uśmiechnął się, nie odejmując słowom jadu. Czy wiedział, że matka Theophanu była Aretuzanką? Czy obelga przeznaczona była dla niej? Theophanu spoglądała na niego zimno. -- Wiele takich aretuzańskich much brzęczy wokół miodu Adelheidy, a ja nie widzę powodu, by ich zachęcać do pozostania tutaj. Zabrać ich! -- wrzasnął do kapitana. -- Mądrze używajcie noży. Nie tnijcie za głęboko.

Żołnierze roześmiali się głośno, nieprzyjemnie.

--Stracie ich? -- zapytała zaskoczona Theophanu. -- Zapłacę okup za każdego z nich.

--I włączycie ich do swej armii? Nie sądzę, księżniczko Theophanu. Wszyscy wiemy, że aretuzański cesarz pożąda eunuchów, wobec tego wielu mu wysyłam z wyrazami szacunku, a dziś otrzyma kolejnych dwudziestu na swe przyjemności.

--To barbarzyństwo! -- mruknęła Theophanu.

--Radzę, byśmy odeszły, Wasza Wysokość -- mruknęła Rosvita. -- Obawiam się, że nasze prośby nie zostaną wysłuchane.

--Wobec tego jak dotrzemy do królowej Adelheidy albo damy jej znać, że tu jesteśmy? -- wyszeptowała Theophanu. -- Lord Jan postawił na naszej drodze więcej przeszkód, niż sobie wyobrażałam.

Kiedy odprowadzano więźniów, na drodze prowadzącej do północnej bramy, naprzeciw której rozbito obóz, podniosło się nagle zamieszanie. Do obozu wkroczyła młoda kobieta, ale zataczała się, wrzeszcząc, a jej włosy były rozpuszczone i potargane. Kiedy ujrzała lorda pod baldachimem, zawyla jeszcze głośniej i zaczęła drapać swe policzki, aż popłynęła krew. W nosidle na jej biodrze spało dziecko, a krew kapiąca z twarzy kobiety plamiła jego nogi jak nagły atak szkarlatyny.

--Przyprowadźcie ją do mnie -- zawołał Jan. Podprowadzona raczej z pośpiechem niż szacunkiem, nie zadrżała, gdy rzucono ją na kolana przed Twardogłowym. -- Co z tobą, kobieto? Od tego placzu i wycia w uszach mi dzwoni.

--Jacy potężni wojownicy toczą wojnę z kobietami, które nie mają broni? Niektóre z naszej plci rzeczywiście noszą broń, ale reszta z nas posłuchała słów naszej Pani i używamy jedynie narzędzi zesłanych przez Królową Niebios. Ale teraz widzę, że się zdecydowałaś wydać wojnę tym, które przysięgły wykonywać na ziemi prace Pani.

Wyglądał na urażonego.

--Nie wojuję z żadnymi kobietami prócz tych, które jak mężczyźni noszą broń, jak dawne Sazdakha.

--A czy nie wydajesz nam wojny, gdy pozbawiasz tego, co nam się zgodnie z prawem należy? Miesiąc temu lub dawniej zabrałaś moje bydło, ale ani razu na to nie narzekałam. Ale teraz zamierzasz odebrać mi to, czego nigdy już nie odzyskam, jeśli to stracę. -- Wskazała na

więźniów. Twardogłowy wzruszył ramionami, jakby jej nie rozumiał. -- Wykastrujesz ich, jak masz w zwyczaju, mój panie, ale jakim prawem odbierasz im członek, który do nich nie należy?

--Wobec tego do kogo należy, jeśli nie do nich? -- zapytał, gdy żołnierze wokół zachichotali. Nadeszli kolejni; obłęzenie było nudne i każda rozrywka, wydawała się dobra.

--Do ich żon, naturalnie! -- odparła z urazą. -- Co innego rozgrzewa nas w nocy? Co nam daje dzieci, których tak szczerze pragniemy? -- Położyła spracowaną dłoń na główce dziecka. Zasychająca krew plamiła jej połamane paznokcie. -- Odbierz mi coś innego, panie, ale nie to, co jest dla mnie najważniejsze!

Słyszając to, żołnierze wybuchnęli śmiechem i nawet lord Jan zachichotał.

--Nie mogę odeprzeć takiego argumentu -- zawołał. -- Doskonale. Możesz wziąć swego męża w całości. Ale powiedz mi, kobieto, muszę w jakiś sposób przywoływać do porządku tych, którzy występują przeciw mnie. Jeśli twój mąż znów będzie walczył, co mogę mu usunąć?

Młoda kobieta wahała się tylko przez chwilę.

--Ma stopy, dłonie, nos, oczy. Weź, co chcesz, z rzeczy, które do niego należą, ale proszę, nie tykaj tego, co moje.

Ta przemowa wywołała u żołnierzy kolejny atak śmiechu. Theophanu również uśmiechnęła się lekko, gdy mąż kobiety został uwolniony z grupy tych, którzy mieli pójść pod nóż.

--Mam nadzieję, że jej mąż jest wart takiej sprytnej żony -- powiedziała, gdy kobieta, mężczyzna i dziecko zostali odprowadzeni.

Ale Rosvita pochyliła się i przemówiła ciszej:

--Myślę -- rzekła wolno -- że jeśli jedna kobieta może się wydostać z miasta, to inna może do niego wejść.

--Sprzeciwiam się temu -- powiedział brat Fortunatus. -- A jeśli was złapią?

--Jestem kleryczką -- nalegała Rosvita. -- Lord Jan raczej mnie nie skrzywdzi. Jeśli mnie uwięzi, odwołam się do skoposy w Darre.

--Wobec tego pozwólcie mi iść z wami.

Rosvita wskazała posłanie, na którym leżał biedny młody Konstantyn, jęcząc i trzymając się za brzuch. Jak głupiec napił się stojącej wody i teraz miał biegunkę.

--Musicie chronić księgi, bracie -- rzekła do Fortunatusa. -- I dbać o Konstantyna. Nawet gdyby czuł się dobrze, jest zbyt młody i niedoświadczony, i nie powierzyłbym mu pieczy nad swymi rzeczami.

Ciężka przeprawa przez góry pozbawiła Fortunatusa siły i dobrego humoru. Zmarszczył czoło.

--Siostra Amabilia wybilaby wam to z głowy.

--Nie, bracie. Nalegałaby, żeby pójść ze mną.

Roześmiał się, ale ich pożegnanie było ponure.

Słońce jeszcze nie wstało; mgła otaczała obóz i sprawiała, że namioty wyglądały jak skulone bestie ukryte w chmurze. Theophanu wybrała spośród swych dwórek Leobę, która była silna, wysoka i nieco lekkomyślna, jako towarzyszkę Rosvity. Przyciągnęłaby uwagę zbyt wielu osób; jedna samotna kleryczka mogła napotkać kłopoty. Z twarzą zasłoniętą kapturem, odziana w habit, Leoba czekała na skraju obozu wraz z dwoma zbrojnymi, którzy mieli przeprowadzić je przez obóz. Poranna mgła otulała je tajemniczo, gdy szły przez poszycie, przeprowiły się przez wąski strumyk i zostawiły zbrojnych na najdalej wysuniętym posterunku na skraju

równiny. Wzgórze, na którym wznosiły się bramy i wieże Vennaci, jaśniało we mgle i pierwszych promieniach słońca. Przeszły przez puste pola do jednej ze starych ścieżek, którymi rolnicy wracali niegdyś w bezpieczne schronienie murów.

Ścieżka, którą szły wzdłuż kanału irygacyjnego na wpeł zarośniętego zielskiem, była równa i pylista. Wszędzie widziały oznaki konfliktu: nie zebrane dojrzałe żyto, ugory, które powinny być zostać obsiane oziminą, a nie zarastać chwastami do pasa, stado bydła tratujące zagon jęczmienia. Ludzie Adelheidy nie mogli wyjść, a Twardogłowy albo miał wystarczające zapasy, albo postanowił pozwolić polom zgnić, przesyłając w ten sposób wieść uwięzionym wewnątrz murów.

Młoda szlachcianka nie odzywała się, gdy szły, i zasłaniała twarz kapturem, aby ukryć wendarskie rysy. Luźny habit maskował jej ciało, ale nie mógł ukryć wzrostu. Nawet tutaj, gdy były same, milczała; Rosvita przypuszczała, że ćwiczyła przed chwilą, gdyż umiejętności kamuflażu kleryczki pozwolą im przedostać się przez linię wroga albo wpakują je prosto w łapy żołnierzy.

Jan Twardogłowy mógł okazać się miłosierny, i wziąć za nie okup, albo uparty. Rosvita wiedziała, że nie należy się nad tym zastanawiać. Była jednak zadowolona, że Leoba milczała i starannie ukrywała swą twarz. Kiedy szły, Rosvita ćwiczyła mowę, w ciszy przyzwyczajając język do seplenienia i zająknięć, którymi północni Aostanie zanieczyszczali dźwięki dariyańskiego.

Główny obóz Twardogłowego leżał na zachodzie. Tutaj, wzdłuż północnej ściany, w której znajdowała się tylko jedna brama, jego zbrojni wystawili posterunki. Byli tu wystarczająco długo, by zbudować szalasy i zadawać się z prostytutkami, które opuszczały te szalasy po dwie, po trzy, i wślizgiwały się do miasta, ściskając w dłoniach monety lub trzymając chusty owinięte wokół chleba i sera. Pod osłoną nocy z miasta przybyło też kilku sprzedawców, a teraz, o świcie, pakowali swój towar: piękne jedwabie, lny, srebrne łyżki, które wraz ze zmniejszaniem się zapasów były coraz mniej ważne, skoro dzieci płakały z głodu.

--Hej, siostrzyczki! Skąd przybywacie? -- Gwardzista, który je zatrzymał, miał tłuste włosy, a między jego żółtawymi zębami uwiązał kawałek mięsa.

--Jakie siostrzyczki? -- zawołał drugi, parskając śmiechem i łapiąc za ich kaptury. Zerwał okrycie Rosvity i wszyscy westchnęli, widząc jej północną bladość, a potem, za pomocą patyka, odsunął zawój okrywający Leobę.

Serce Rosvity ścisnęło się ze strachu. To wcale nie była Leoba. Ale przecież powinna była się domyślić, co się stanie, gdy księżniczka tak chętnie się zgodziła ze zdaniem Rosvity, przeprawa za mury byłaby dla niej zbyt niebezpieczna. Gdyby złapali je ludzie Twardogłowego, miałby szlachciankę jako więźnia, a nad głową jej ojca zawisłoby ostrze. Jej słowa trafiły jednak w próżnię. Theophanu nie skrzywiła się ani nie okazała żadnych uczuć, gdy strażnicy kluli ją patykami. Najwyraźniej nie byli wczoraj w obozie Twardogłowego albo jej nie poznali.

Myśl uderzyła ją nagle, jak głos Nieprzyjaciela szepczącego o zdradzie: każdy, kto widział Sanglanta po raz pierwszy, od razu wiedział, że to królewski syn. Ale bez orszaku nie sposób było stwierdzić, jak wysoka była pozycja Theophanu.

--Może powinniśmy je oddać lordowi Janowi -- stwierdził niechluj.

--Jesteśmy prostymi diakonisami Kościoła, jak sami widzicie -- powiedziała Rosvita zimno, sepleniąc i sycząc tak bardzo, jak tylko zdołała. Nie musiała udawać gniewu i jeśli wyladuje go

na nich, być może nie zdradzi się, iż jest wściekła, że jej pani naraziła się na takie niebezpieczeństwo. -- Przeszliśmy tę długą drogę z pałacu arcybiskupiny w Raveni, ponieważ usłyszałyśmy, że wiele kobiet podczas tego oblężenia zboczyło z niej, co bardzo niepokoi Boga. Chcemy sprowadzić je z powrotem na ścieżkę prawości.

--Czy ścieżka prawości przynosi dużo chleba? -- zapytał niechlujny strażnik, a jego towarzysze roześmiali się z żartu.

--Nie ma słodsze go chleba od Boskiego wybaczenia -- odparła Rosvita surowo. -- Czy pomodlicie się z nami, bracia?

Ale nie chcieli się modlić, byli zmęczeni i znudzeni i nie widzieli żadnego zagrożenia w dwóch diakonisch próbujących wejść do miasta. Byli jednak wystarczająco czujni, by się spierać.

--Mamy rozkaz nikogo nie wpuszczać. Przyniesiecie im wieści.

--Och, do diabła, Aldericusie, dziwki każdego dnia zanoszą wieści. Nie mów mi, że nie wyśpiewujesz z siebie wieści przed, w trakcie i po. Połowa tych dziwek to szpiedzy królowej.

--Na cycki Pani, z tego, co wiemy, jedna z tych dziwek to królowa! Gadają, że to ród gorących kobiet, wywodzący się od dawnej królowej Cleitii władającej Darre. Mówią, że miała sześciuset mężów, a każdy nowy prezbiter musiał się sprawdzić w jej łożu, ci zaś, którzy jej się najbardziej spodobali, zmuszani byli, by ją zaspokajać jeszcze i jeszcze, i jeszcze, dopóki się nimi nie znudziła albo nie pokazał się kolejny ładny chłopczyk. Nic dziwnego, że wojowała ze skoposą, która wtedy była nie lepsza. Kobiety myślą tylko o jednym!

Wszyscy zachichotali, ale niektórzy bacznie obserwowali ją i Theophanu. Rosvita nie potrafiła ukryć potępienia, ale Theophanu posiadała aretuzański dar nieokazywania uczuć; wyraz jej twarzy pozostał niewinny i wyniosły.

--W mieście panuje wiele chorób. -- Rosvita zabrała ze sobą srebro, ale zastanawiała się, czy łapówka nie wzbudzi zbyt wielkiej podejrzliwości. -- Ja i młoda siostra jesteśmy uzdrowicielkami, a Bóg przemówił do nas i nakazali pójść i służyć chorym i grzesznikom. Będziemy czekać, modląc się, w tym obozie, i powtarzać każdej naszej grzeszącej siostrze, że powinna zawrócić ze ścieżki lekkomyślności i nieczystości, przez wszystkie dni i tygodnie, jak długo tu będziecie, bracia, dopóki nie zezwolicie nam wejść do środka i pomagać potrzebującym.

Pogróżka podziałała. Żaden ze strażników nie chciał, by siostrzyczki modliły się publicznie i przyciągały uwagę do nielegalnego procederu, który kwitł podczas oblężenia.

--Idźcie! Idźcie za dziwkami! Założę się, że wam będzie z nimi mniej przyjemnie niż nam!

Ścigane śmiechem i docinkami, przeszły ziemię niczyją, kawał pustego terenu rozciągającego się na szerokość strzały z łuku od murów i dotarły do bramy.

Strażnicy miejscy byli chudsi i mniej radośni i nie chcieli ich wpuścić, uważając, że są szpiegami Twardogłowego. Rosvita musiała przekupić jednego srebrem, by dostać się za bramę, ale strażnik, mimo że wziął łapówkę, i tak zaprowadził je do strażnicy. Kamienne baraki wybudowane przy murze cuchnęły brudem i ekskrementami, a większość żołnierzy leżących na pryczach i podłodze była przeziębiona lub cierpiała na otwarte ropiejące wrzody. Nie wyglądali jednak na przygnębionych. Kamienne ściany były wilgotne śmierdziało pleśnią i potem. Rosvita kichnęła, a eskortujący je strażnik mruknął odruchowo:

--Na zdrowie, siostrze. Niech stwory Nieprzyjaciela opuszczą twe ciało, nie czyniąc ci

krzywdy.

Kapitan miał własny pokój bez okien na parterze strażnicy. Nie było drzwi; w otworze wisiał poszarpany gałgan. Połowę twarzy kapitana pokrywała wysypka, a z nosa mu ciekło. Żołnierz położył przed nim na stole łąpówkę w srebrze, a kapitan sączył wino i spoglądał na nie ze zrezygnowaniem człowieka, który wszystko już słyszał.

--Toleruję kurwy i handlarzy, bo każdy kawałek chleba, jaki przynoszą, pozwala nam oszczędzić zapasy ziarna. I ponieważ przekazują wieści. Ale nie mam cierpliwości dla szpiegów, nawet w szatach kleryczek.

--A ja nie mam cierpliwości dla głupców -- rzekła Theophanu, nareszcie się ozywając. Długo milczała. -- Jestem Theophanu, córka króla Henryka z Wendaru. -- Jakby wiedziała, że kapitan powątpiewa, odsunęła habit z szyi i pokazała złoty torkwes.

Wystarczyło.

Kapitan poderwał się na równe nogi.

--Wasza Wysokość! Słyszałem, że z północy przybyła armia, ale sądziłem, że to tylko plotka. Ludzie wszystko powiedzą, żeby dostać kawałek chleba, a ludzie Twardogłowego nie są durniami. Potrafią nas karmić kłamstwami. Jeśli to prawda...

--Jeśli to prawda -- stwierdziła zimno Theophanu -- to lepiej zaprowadź nas do królowej Adelheidy.

Eskorta poprowadziła je krętymi uliczkami do serca Vennaci: dużego otwartego placu, z czterech stron obramowanego katedrą, ratuszem, targowiskiem i pałacem. Zostały przekazane pod opiekę lokaja. Służący kręcący się w korytarzach pałacu, podobnie jak żołnierze, byli szczupli, ale u żadnego ze zbrojnych i cywilów Vennaci Rosvita nie dojrzała paniki ani desperacji, zapowiadających upadek. Mieli pod dostatkiem wody, a ktoś najwyraźniej dobrze zawiadywał rozdzielaniem żywności.

Ale spichrze z ziarnem nie są bez dna.

Lokaj odziany w wykwintną błękitną tunikę poprowadził je do ogrodu leżącego w środku pałacu, serca serc, puls miasta. Kwitnąca winorośl ozdabiała arkady gąszczem purpurowych kwiatów. Brzęczały pszczoły. Szlachcianki siedziały na ozdobnych ławach, pieszcząc małpki i pieski, noszące złote łańcuszki zamiast smyczy. Służący zamiatali ceglane ścieżki ocienione śliwami. Ogrodnik podlewał grządkę lawendy, bzu i jaskrawych peonii z ceramicznego dzbana, tak pięknego, że żadna szlachcianka nie uznałaby za ujmę używania go w swej sypialni. Wzdłuż południowego krańca ogrodu rozciągał się żywopłot. Tam ogród, z trzech stron otoczony pałacem, otwierał się na równinę poniżej. Na niej obozowała armia Twardogłowego, a widziane stąd namioty i sztandary przywodziły na myśl stłumione kolory fresku narysowanego na niebie.

Nie było tronu, centralnego miejsca, tylko ławki ze smakiem ustawione pomiędzy grządkami roślin: rozmarynu, ruty, szalwi i róż. Ale Rosvita natychmiast rozpoznała królową pośród wielu osób obecnych w ogrodzie, choć nigdy jej wcześniej nie widziała. Siedziała na ławce jak inne szlachcianki, nie była odziana strojnziej od nich i nie nosiła korony ani złotego torkwesu, popularnego na północy. U stóp miała jednak nie pieska czy skrzeczącą małpkę, ale cętkowanego lamparta, szczupłego i pięknego, o leniwych oczach i ostrej linii barków. Mruczał niczym grzmot, gdy od niechcienia pieściła go stopą obutą w pantofelek, jakby nie była świadoma, że mógłby oderwać tę stopkę jednym kłapięciem.

Przepytywała trzy dziwki, które klęczały nieco nerwowo o długość ramienia od wielkiego

kota, a po jej szybkich ruchach i nagłych zmianach wyrazu twarzy Rosvita dostrzegła nawyk rozkazywania. Lokaj pochylił się, by szepnąć jej coś do ucha; odprawiła prostytutki, dając każdej po monecie, po czym wstała i podeszła do gości. Cętkowany lampart rozwinął się wdzięcznie i ruszył za nią. Nastrój radosnej ogrodowej sielanki zmienił się zupełnie, gdy wstała; wszyscy ją obserwowali.

Zatrzymała się przed nimi, zmierzyła Theophanu spojrzeniem od stóp do głów i rzekła dumnie, okropnym wendarskim:

--Ty moja kuzynka? Ja się uczyć ten język, żeby rozmawiać z król.

--Kuzynko, pozdrawiam cię -- odparła Theophanu po aostańsku. Potem przeszła na wendarski, a Rosvita zajęła się tłumaczeniem. -- Witam cię, kuzynko, i przywożę pozdrowienia od mego ojca, Henryka, króla Wendaru i Varre. -- Księżniczka górowała nad królową Adelheidą; była co najmniej o głowę wyższa, miała piękną twarz i wystające kości policzkowe, pozwalające mimo upływającego czasu zachować urodę. Adelheida miała inną budowę ciała: była ładna w ciepły, młodzieńczy sposób, który przemija z wiekiem i zmienia się w autorytet tęgiej matrony.

--Chodźcie -- rzekła Adelheida po aostańsku, skinąwszy głową Rosvicie. -- Zjemy i napijemy się wina, ale, niestety, nie możemy marnować czasu na uprzejmości, jak by się godziło. Musisz mi powiedzieć, ile wojska ze sobą przyprowadziłaś i czy masz zamiar użyć go, żeby przepędzić Twardogłowego. -- Mówiła tak szybko, że Rosvita zmuszona była kilkakrotnie poprosić ją o powtórzenie. Wyszły z ogrodu, przeszły mroczną kolumnadą i dotarły na przestronny balkon ocieniony winoroślą, na którym służący ustawili na stole różne pyszności: półmisek owoców, złote naczynia pełne ciastek śliwkowych i chleba z makiem oraz karafkę wina, którego bogaty bukiet wyczuwalny był w każdym łyku.

--Widziałaś -- zaczęła Adelheida, kiedy zaspokoili najgorszy głód. -- Walczą o kość jak psy. Dobry lud Aosty to moje posłuszne dzieci, ale lordowie to ścierwojady. Żadnemu z nich nie mogę ufać. Jeśli któryś z nich przepędzi armię Twardogłowego, to tylko po to, by zająć jego miejsce. Mówią, że Twardogłowy kazał otruć swą żonę, zanim tu wyruszył, ponieważ odmówiła nalożenia welonu i wstąpienia do klasztoru, by mógł mnie swobodnie poślubić.

--Nie wydawał się miłosierny. -- Theophanu wzięła z półmiska kolejną kiść winogron i zręcznie oskubała dojrzałe owoce z szypulek. -- Ale nie mam wystarczającej liczby oddziałów, aby go sama przepędzić.

--A jeśli skoordynujemy uderzenie? Ty zaatakujesz, a moje siły dokonają wypadu z miasta?

Przedyskutowały tę możliwość, ale w końcu niechętnie ją zarzuciły. Twardogłowy nadal miałby zbyt wielką przewagę, nawet gdyby zaatakowały z dwóch stron.

--Jak długo możecie wytrzymać oblężenie? -- zapytała Theophanu. -- Mogę wrócić do ojca i zgromadzić większą armię. Nie. Nawet jeśli uda nam się przekroczyć góry, nie będziemy mogli powrócić przed wiosną.

--Do tego czasu nasze zapasy się wyczerpią -- Adelheida wskazała na stół. -- Ogrody pałacowe wszystkich nie wykarmią, a czujki na murach doniosły mi, że Twardogłowy już rozkazał inżynierom, by postawili tamę na rzece. Nie, kuzynko. Tego ranka moi klerycy donieśli mi, że strażę przy północnej bramie ujrzały wizję na nocnym niebie, armię z płomieni. Ten znak na pewno oznajmiał wasze przybycie. Wierzę, że to część boskiego planu. Mamy

teraz ostatnią, najlepszą szansę, by działać.

--Twardogłowy niedługo pozna liczebność mych oddziałów -- dodała Theophanu. -- I będzie wiedział, że nie odważę się z nim walczyć. Wtedy będę zmuszona się wycofać.

--Nie pozwoli ci. Ty też jesteś tu w niebezpieczeństwie. Chętnie poślubi wendarską księżniczkę, jeśli mnie nie może mieć. Swoją pierwszą żonę też wziął siłą, po tym jak zamordował jej męża. Pochodziła z południa, ale jej włości znajdują się teraz w rękach aretuzańskich generalów. Dlatego nie miał z niej już pożytku. Nie, musi istnieć jakieś wyjście.

--Może zdołasz uciec, tak jak my się tu dostałyśmy, przebrana za kleryczkę albo jakąś inną kobietę.

Adelheida roześmiała się.

--Za dziwkę? Wiem, co o mnie mówią. Może to by zadziałało, samowtór zdołałabym się wydostać, ale nie zostawię lojalnych poddanych w rękach Twardogłowego, a zwłaszcza nie moich wiernych żołnierzy. Nie, ale muszę się dostać do Henryka. Czy to prawda, że królowa umarła, a on się jeszcze powtórnie nie ożenił?

--To prawda, kuzynko. Moja matka, królowa Sophia, umarła trzy lata temu. Zaprawdę, nie będę kryć przed tobą życzenia mego ojca. -- Theophanu urwała, a na ładnych czerwonych ustach Adelheidy zagościł przebiegły uśmiech. -- By poślubiła jego syna.

--Jego syna? -- Adelheida zaczerwieniła się. -- Ten księżę musi być bardzo młody, prawda?

--Nie, Sanglant ma z pewnością dwadzieścia pięć lat, jest sławnym wojownikiem i kapitanem i...

Adelheida skoczyła na równe nogi, a lampart, który zdawał się spać, zerwał się tak szybko, że Rosvita krzyknęła ze strachu.

--Ten Sanglant, o którym mówisz, jest bękartem, prawda? Nie poślubię żadnego bękarta! Czy Henryk jest niesprawny? Czy jest zbyt stary, by płodzić dzieci, zbyt chory, by jechać na wojnę?

--Nie, Wasza Królewska Mość -- odparła Rosvita, nie czekając na reakcję Theophanu. -- Jest silny pod każdym względem.

--Wobec tego czego taka kobieta jak ja miałaby chcieć od młodzika, skoro mogę mieć mężczyznę w sile wieku, mocnego, który udowodnił, że wie, jak rządzić? Wydostańmy się tylko z tego pałacu i bezpiecznie znajdziemy się na jego dworze, a zaproponuję mą rękę i królewską koronę Aosty. Uważasz, że mnie odrzuci?

Subtelna Theophanu zaskoczył ten wybuch. Ale Adelheida była szczerze rozgniewana i zrozpaczona, i oferowała Henrykowi to, czego zawsze pragnął. Sanglant popadł w nielaskę, odrzucając tak sowitą nagrodę. Dlaczego Henryk miałby ją odrzucić, skoro okoliczności tak się zmieniły?

Theophanu wstała, podeszła do krawędzi balkonu i oparła się o balustradę, żeby spojrzeć na strome zbocze wzgórza, pokryte drzewami oliwnymi. Obok każdego drzewa stał przysadzisty ul. Niżej leżał sad, którego drzewa sięgały aż do wewnętrznych murów.

--Mój ojciec nie jest głupcem, kuzynko. -- Patrzyła na zbocze tak długo, że Adelheida zaciekawiła się lub zniecierpliwiła i podeszła do niej. Rosvita trzymała się z daleka od lamparta, który stał czujnie przy boku młodej królowej, bijąc ogonem, a Adelheida obojętnie głaskała go po głowie.

--O czym myślisz, kuzynko? -- zapytała wreszcie Adelheida, przelamując ciszę.

Theophanu uśmiechnęła się chłodno i niemal kpiąco, opierając podbródek na dłoni i obserwując gaj oliwny i ule.

--Myślę, że mam pomysł. Mamy innych sprzymierzeńców, jeśli tylko wymyślimy, jak ich użyć. Powiedz mi, kuzynko, czy konie Twardogłowego noszą ciężką zbroję?

2.

Nie było powodu, aby drzewo upadło właśnie w tej chwili i z tamtego kierunku. Ocalił go czuły słuch: skrzypnięcie, gdy nie powinien niczego słyszeć, pierwsze pęknięcie w nadwerżonym pniu drzewa, które przemieniło się w jęk upadku, alarmujące szepty jego zawsze obecnych towarzyszy. Jeden pociągnął go mocno za udo, a on zatoczył się w bok, a potem uskokzył, gdy wielki stary świerk przeciął poszycie i uderzył w miejsce, gdzie on chwilę wcześniej stał. Gałęzie i ostre igły podrapały go, gdy umykał z ich zasięgu. Grzmiący odgłos upadku odbił się echem od otaczających wzgórz.

Sanglant był tak oszołomiony, że stał z rozdziawionymi ustami wśród świerków, sosen i jesionów porastających wzgórze, z toporem w dłoni, podczas gdy gałęzie zwalonego drzewa trzęsły się, potem drżały, wreszcie zamarły, a echo ucichło. Na długim pniu nie było ani śladu choroby, igły nie zbrązowiały, kory nie pokrywała pleśń. Tutaj wysoko, na krańcach zaczarowanej doliny, dokąd docierała zima, jego oddech zmieniał się w chmurki. Ziemię pokrywał śnieg, na stokach poniżej ustępujący miejsca trawie i wiosennym kwiatom.

Zdrowe drzewa nie upadają same z siebie.

Otrząsnął się z otępienia i gwizdnął na psa. Przybiegł wzdłuż zwalonego pnia, zaplątał się w krzak, zaszczekał dziko i wrócił z podkulonym ogonem. Po incydencie z zupą nabral zwyczaju noszenia ze sobą miecza. Oparł topór o pień drzewa, które zamierzał ścinać, poznaczony pierwszymi uderzeniami, i unosząc pochwę, dobył miecza. Był dobrze wyważony, ale nieco za lekki teraz, gdy przytył i nabral siły, pracując z bratem Heribertem przy budowach.

Zawarczał cicho, węsząc. Obok pojawiła się jedna ze służących; dziwne, nie miała zapachu, tylko raczej teksturę, jak tkanina, jej odmienność wyczuwało się dotykiem, a nie słyszało, widziało czy czuło. Reszta zgromadziła się wokół, aż poczuł się przytłoczony ich obecnością.

--Cicho, proszę -- rzekł, by uciszyć ich paplaninę. Zamilkły. Nasłuchiwał, ale nie docierały żadne odgłosy. Podszedł do podstawy pnia. Potężne drzewo zostało ścięte tak gładko, że przesuwając palcami po powierzchni pnia, wiedział, że nie dokonała tego ludzka ręka. Przypominało to jabłko rozcięte nożem. Opadł na kolana i powęszył przy ziemi, ale nic nie wyczuł.

--Co to spowodowało? -- zapytał duchy. Nie odpowiedziały, tylko klębiły się razem. Nie wyczuwał ich strachu, był on raczej jak nić wpleciona we wzór ich egzystencji, nagła, ostra i zaskakująca, bo nie były one stworzeniami ziemi, tylko jakimś rodzajem demonów, których prawdziwym domem były przestrzenie powietrza pod księżycem, a przynajmniej tak powiedziała mu Liath. Te powietrzne duchy, które łatwo było schwytać i zniewolić, służyły pięciu magom żyjącym w Vernie.

Tak samo jak, mówiąc otwarcie, służyli im on i brat Heribert, ścinając drzewa i budując. Naprawdę, niezwykle irytujące było ujrzeć, że ktoś w dolinie zna sposoby, by zwalić drzewo szybciej i wysilając się mniej niż Sanglant, a jednak nie ma ochoty podzielić się tą wiedzą z nim i Heribertem. Tymi, którzy musieli wykonać tę ciężką, fizyczną pracę, żeby wybudować dla wszystkich porządne mieszkania. Królewski syn nie powinien służyć innym, niezależnie od tego, jak wysoka była ich ranga, a jednak na razie, gdy Liath była w ciąży i uczyła się, nie zamierzał się śpieszyć. Skłonny był pracować, jeść i radować się tą chwilą spokoju.

Ale te tajemnicze zamachy na jego życie powoli stawały się irytujące.

Szybko zbadał las, ale, jak się spodziewał, nie znalazł śladów napastnika. Nie spodziewał się dziś kolejnej próby; ten, kto chciał się go pozbyć, był nieco niezgrabny, o czym świadczył incydent z zupą, być może nienawykły do mordowania lub uparcie nie doceniający Sanglanta. Najwyraźniej nikt w tej dolinie nie wiedział o klątwie, jaką obłożyła go matka, inaczej nie zadawaliby sobie trudu, by go zabić.

Wrócił i zwałił drzewo, po które przybył, a potem zabrał się za nużące odcinanie gałęzi od pnia wielkiego świerku. Przerywał tylko po to, by w południe zjeść chleb i ser, i wypić piwo, oraz by naostrzyć topór, a jednak nim zapadł zmierzch, zdołał oczyścić zaledwie połowę. Bolały go plecy, a tunika była mokra od potu. Przerzucił miecz przez plecy i ruszył w dół ścieżką wydeptaną przez zwierzęta.

Tutaj nie rosły już świerki i sosny, ale dęby, brzozy i jesiony, a dalej sad. Zatrzymał się przy winnicy, żeby zerwać kilka dojrzałych winogron, i smakując je, szedł dalej. Cienie pochylonej kamiennej wieży, starych chat i owego dworu, tak surowego, że zdawał się błyszczeć, wydłużały się. Heribert pracował w szlifierni, obnażony do pasa, z habitem zawiązanym w tali. Był umięśniony, ale pełen delikatnej elegancji kleryka, i miał spracowane ręce cieśli. Właśnie szlifował deskę.

--Spokojnie, bracie -- rzekł Sanglant, podchodząc i śmiejąc się. -- Zawstydzisz mnie, jeśli nie przestaniesz pracować i nie przyłączysz się do mnie przy stawie. -- Heribert uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od deski. -- Oczekuję -- rzekł Sanglant -- że któregoś dnia całą tę nienaturalną dolinę zasypie lawina, ale, na Boga, gdy reszta z nas będzie uciekać, ty zostaniesz i ona cię przysypie, bo będziesz tak cholernie zawzięty, żeby odpowiednio wyszlifować ostatni róg!

Heribert zachichotał, ale nie przestał pracować. Jego zawsze obecny pomocnik, masywna istota wydająca się jednocześnie powietrzem i drzewem, zdmuchiwała trociny z deski, gdy tylko wyskakiwały one spod hebla. Sanglant usiadł na równym stosiku nie heblowanych desek, które wycięli z pni w zeszłym tygodniu, a kilku służących usadowiło się wokół niego jak maleńkie wiry powietrzne. Przyzwyczaił się do ich obecności. Podczas gdy Heribert wykańczał deskę i zaokrąglal rogi, książę obserwował dwoje z magów, starą i młodą kobietę, które siedziały przed kamienną wieżą na twardej ławce, spierając się w języku, którego nie znał. Znajdowały się zbyt daleko, by słyszeć jego i Heriberta i jak zwykle zdawały się ich nie zauważać.

--Szczerze pragnąłbym choć raz ujrzeć naszą siostrę Zoe nagą, bo sądzę, że pod tą tuniką musi się kryć niezwykle ciało.

Heribert parsknął, mierzając kąty, a potem mruknął zadowolony z proporcji.

--Ale obawiam się -- ciągnął Sanglant -- że ona pogardza męskim rodzajem.

--Albo męskim członkiem. -- Heribert naciągnął rękawy habitu i sznurem zawiązał szatę w pasie. Służący wydał dziwny odgłos, oznaczający „do widzenia”, i wślizgnął się pomiędzy nie obrobione pnie złożone niedaleko. -- Bardzo młodo poślubiła mężczyznę, który okrutnie ją wykorzystywał, tak słyszałem. Zabiła go zaklęciem, kiedy miała szesnaście lat, po trzech latach męczarni w jego łóżu.

Sanglant pokręcił głową.

--Szkoda, że nie uczyniła tego wcześniej! Jak tu przybyła?

--Uciekła do swej ciotki, która była zakonnica u Świętej Walerii. Różnymi drogami dotarły tutaj.

--Aha -- rzekł Sanglant. -- A która to ciotka?

--Nie żyje, tak przynajmniej powiadają. -- Heribert zaczął odkładać narzędzia. Zatrzymał się. -- Sądzisz, że to siostra Zoe próbuje cię zabić?

--Kto wie? Siostra Zoe i brat Severus w ogóle nie chcą ze mną rozmawiać. Brzydzą się mną, jak sędzę. Dla siostry Meriam jestem przedmiotem kompletnie obojętnym. Dla naszej wspaniałej i potężnej siostry Anne jestem jedynie kolejnym narzędziem, takim, dla którego jeszcze nie znalazła zastosowania. -- Wskazał na starszą kobietę siedzącą obok kuszącej Zoe. -- Tylko siostra Venia traktuje mnie dobrze.

Heribert zaczerwienił się.

--Im bardziej przebiegli, tym łagodniejsi się zdają. Nie ufaj jej.

--Mówiłeś to już wcześniej, a ponieważ jest twą ciotką, mniemam, że muszę ufać twemu sądowi, gdyż bez wątpienia znasz ją znacznie lepiej niż ja. Piękna twarz może skrywać wstrętne serce. -- Uśmiechnął się, myśląc o Hugonie. Choć było to na pewno niegodne uczucie, lubił wspominać ostatni raz, gdy widział Hugona, pobitego i krwawiącego na ziemi, na łasce psów. Ale myślenie o psach przywoływało myśli o ojcu. Westchnął. Dwie służące otarły się o niego, ich delikatny dotyk był jak balsam na podrapanej skórze.

--Sądzisz, że siostra Anne położyłaby kres próbom zabicia cię? -- pytał Heribert, wiążąc narzędzia w przemyślnej torbie własnego projektu.

--Może to test. A może ona nie wie.

Heribert roześmiał się ostro.

--Nie sądzę, aby było coś, o czym ona nie wie. Ale bez wątpienia Liath może mieć pewien wgląd w myśli swej matki, którego nam brakuje. Powinieneś się jej zwierzyć.

Zastanowił się i w końcu pokręcił głową.

--Nie. Tylko by się bez potrzeby martwiła i nalegałaby, abyśmy wyjechali, a to, obawiam się, przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Ona musi tu być, przynajmniej dopóki nie urodzi się dziecko i nie odzyska sił. -- Uśmiechnął się gorzko. -- A poza tym, Heribercie, ona zwykle nie dochowuje tajemnicy, choć wydaje jej się, że doskonale to potrafi. Gdyby się wściekła, wszystko by powiedziała i każdego oskarżyła, tylko dlatego, że byłaby urażona w moim imieniu. Lubię wiedzieć, że oni nie wiedzą, że ja wiem.

--Chyba że oni wiedzą, że ty wiesz i wiedząc to, wiedzą, że wierzysz, że oni nie wiedzą, że ty wiesz, co sprawia, że gra staje się bardziej skomplikowana, niż się spodziewasz, mój przyjacielu.

--Ach, zapominasz, że wychowałem się na królewskim dworze. Na pewno widziałem prawie wszystkie węzły, które da się zawiązać, by spleść intrygę.

Heribert zawahał się, zaniepokojony.

--Musisz uważać, księżę panie -- rzekł, używając tytułu, jak zawsze, gdy chciał Sanglanta zdenerwować albo powiedzieć coś poważnego. -- Gniazdo matematyków to siedziba naprawdę niebezpiecznych stworów.

--Dlaczego więc nie odejdziesz, Heribercie? -- zapytał Sanglant nagle.

Heribert uśmiechnął się kpiąco.

--Obawiam się odejścia bardziej niż pozostania tu. Nie jestem odważnym człowiekiem jak

ty, książę panie. W sercu nie jestem wojownikiem, w przeciwieństwie do wielu kleryków. Boję się tego, co by mi zrobili, gdybym spróbował odejść. A poza tym nie ma innego wyjścia niż przez kamienny krąg, a przynajmniej ja takiego nie znalazłem. Nie znam tajemnic kamienia -- Odłożył skórzaną sakwę do szopy, którą wraz z Sanglantem postawił obok placu budowy i gdzie teraz sypiał. -- A prawdę mówiąc, jest mi tu dobrze. Nigdy wcześniej nie miałem okazji budować.

--Doskonale, drogi przyjacielu -- odparł Sanglant, wstając. -- Piękny budynek postawiłeś. Ale teraz chcę się umyć. Idziemy?

Służący zawirowali wokół niego, gdy się podnosił, laskocząc go w podbródek i szczypiąc uszy. Był wystarczająco szybki, aby też ich uszczypnąć, co uwielbiali, gdyż nie mógł zrobić krzywdy ich eterycznym ciałom. Śmiejąc się, gonił za nimi, dopóki się nie rozpierzchli, a ich delikatny śmiech dzwonił w powietrzu. Heribert tylko pokręcił głową i dwaj mężczyźni podążyli razem do stawu, by zmyć z siebie pot po dniu uczciwej pracy.

Siostra Venia, wcześniej znana jako biskupina Antonia z Mainni, obserwowała, jak jej nieślubny syn i jego towarzysz znikają w mroku. Prawdopodobnie nieuniknione było, że dwaj mężczyźni, znalazłszy się razem w takich okolicznościach, zostaną przyjaciółmi. Książę Sanglant miał może jakieś cnoty, ale był niegrzeczny, nieuczony, a do tego tylko w połowie człowiekiem, towarzyszem zaiste nieodpowiednim dla młodzieńca, który od dzieciństwa kształtowany był starannie, aby zostać ornamentem mądrości i błyszczącym naczyniem boskiej łaski. A jednak książę nie mógł nie skorzystać z towarzystwa tak wspaniałego młodego kleryka.

--Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy -- powiedziała nagle siostra Zoe. -- Ma pożądliwy wzrok.

--Brat Heribert? -- wykrzyknęła Antonia, oszłomiona oskarżeniem.

--Heribert? Nie, mówię o księciu Sanglancie.

--Ach tak. Jest bardzo przywiązany do cielesności.

Zoe zadrżała.

--Nikt z nas nie może uciec od ciała. -- Z wieży wynurzył się brat Severus z latarnią w dłoni. -- Przynajmniej dopóki wciąż stąpamy po ziemi. Ma zły wpływ na dziewczynę. Tak długo, jak długo on się tu znajduje, nie ma nadziei, że ona będzie się uczyć w skupieniu. W ciąży! -- wyrzekł z niesmakiem. -- Nie jest tą osobą, której się spodziewaliśmy.

Zoe znów zadrżała.

--To obrzydliwe. Ledwo mogę na nią patrzeć, kiedy jej brzuch rośnie. To deformacja czystego ciała, które miałyby, gdyby pozostała czystym naczyniem.

--Kto z nas ma prawo pierwszy rzucić kamieniem? -- zapytała Antonia łagodnie. -- Żadna z kobiet w tej dolinie nie jest bez skazy, nawet Anne, która przecież urodziła dziewczynę. Nie mogę, rzecz jasna, wypowiadać się o mężczyznach. -- Ale często zastanawiała się nad Severusem, starym świętoszkiem. Nosił się z egoistyczną arogancją, a z jej doświadczenia wynikało, że może ona skrywać wiele grzechów, teraz wygodnie puszczonych w zapomnienie.

Teraz tylko uniósł brew.

--To nie ma znaczenia. Oczekiwaliśmy czystego naczynia, a dostaliśmy pęknięte. Zbrukało ją nie tylko cielesne małżeństwo, ale też związek z tym stworzeniem. Książę jest zagrożeniem dla wszystkiego, nad czym pracowaliśmy. Patrzcie, jak służący kręcą się wokół niego, podczas

gdy powinni zajmować się wykonywaniem prac dla nas.

--Lepiej mieć go na oku, niż miałby knuć ukryty przed nami -- odparła Antonia.

--Tego argumentu użyła siostra Anne. Może nawet to prawda. Ale mnie się wydaje, że powinniśmy się go pozbyć raz na zawsze.

--Nie tak łatwo go zabić -- powiedziała siostra Anne, wynurzając się z wieży; za nią powoli szła siostra Meriam. -- Choć zgadzam się, że jego wpływ na Liathano oponuje naszym celom.

Przez ostatnie miesiące Meriam stawiała się coraz słabsza, a jej głos był zaledwie szeptem, cienkim i suchym, ale umysł nie stracił swej bystrości.

--Wszyscy kiedyś byliśmy młodzi, a młodzi są bardziej podatni na pokusę. Czasami wydaje mi się, że jedynie nasz nieobecny brat Lupus mógł pozostać wierny swym ślubom.

--Prostak! -- Severus spojrział ku dworowi, który oświetlony był teraz świecącymi pałeczkami, błyszczącymi jak błędne ogniki. -- To nie jest ktoś, z kim można się mierzyć, siostrzo Meriam.

--W moim kraju jest powiedzenie, bracie Severusie: jeśli Bóg zechcą, to bogacz stanie się niewolnikiem równie łatwo jak biedak. Fortuna jest kapryśna, biedak może się wzbogacić, a niewolnik zostać generałem, jeśli taki jest boski zamysł.

--Niewiele nas interesują powiedzenia niewiernych -- odparł chłodno Severus.

--Chodźmy na wieczerzę -- rzekła Zoe, wstając pośpiesznie. -- Może zdołamy się najeść, zanim pies wróci. Nienawidzę patrzeć, jak je.

--Musisz dążyć do obojętności -- powiedziała siostra Anne spokojnie. -- Nie niepokoi cię jego obecność, ale jakieś dotknięcie Nieprzyjaciela w twojej duszy.

Zoe się zaczerwieniła. Od przybycia Sanglanta nabrała zwyczaju, bez wątpienia odruchowego, wygładzania szat na ciele za każdym razem, gdy mówiła o księciu. Uczyniła to teraz, przesuwając białe, delikatne dłonie, nigdy nie zniszczone pracą, po lazurowym habicie. W pewien sposób Antonia odczuła ulgę: Heribert mógł dostrzec czar Zoe, ale oczywiste było, że ona nigdy nie dostrzegła jego. Przynajmniej jego czystość była bezpieczna. Oczywiście, zauważył Liath. Antonia od wielu lat badała ludzką naturę i od razu zorientowała się, że Liath posiada nieświadomy dar uroku, który przyciąga mężczyzn jak ćmy do zabójczego ognia. Ale Liath była ciężarna, a u boku miała zwierzęcego męża. Heribert się nie wtrąci. Mężczyznami było łatwo dowodzić z powodu ich skłonności do podporządkowania się każdemu, kto wydawał się silniejszy; dlatego Bóg wybrali kobiety, by rządziły ich Kościołem: kobiety były rozsądniejsze.

--Przyniósł ze sobą niezgodę -- powiedział Severus. -- Ale to, jak sędzę, odziedziczył po matce.

Biedna siostra Zoe była uczuciowym stworzeniem mimo swego pragnienia, by prowadzić życie kontemplacyjne. Wciąż zaczerwieniona i zakłopotana, podążyła ku dworowi. Antonia czuła pieczone jagnię i świeży chleb. Anne spojrziała ku otwartym drzwiom wieży, podjęła jakąś wewnętrzną decyzję i poszła za Zoe. Severus poczekał, by towarzyszyć siostrze Meriam. Antonia zatęskniła za bratem Marcusem, z którym mimo jego wyniosłości rozmawiało się lepiej niż ze wszystkimi pozostałymi i który nie bał się spekulować na temat wydarzeń w świecie zewnętrznym, wyruszył jednak wiele tygodni temu w podróż do Darre.

W niższej komnacie kamiennej wieży wciąż paliło się światło. Antonia zajrzała do wnętrza i ujrzała Liath siedzącą na ławie przy nowym stole, zbudowanym niedawno przez księcia i

kleryka. To, że oddali się ciesielce, było rzecz jasna oburzające, ale przecież stary stół był ohydny, wyszczerbiony, kołysał się i jeden jego róg gnił. Nowe stoły, które wybudowali dla wieży i dworu, okazały się wielkim udogodnieniem.

Liath czytała, jej palec przesuwał się po słowach na pergaminie, usta się poruszały, ale nie wydawała żadnego dźwięku. Była najcichszym czytelnikiem, jakiego Antonia kiedykolwiek spotkała, dziwnie milczącym.

--Ach -- rzekła nagle Liath do siebie. -- Jeśli wszystkie rzeczy spadają ku środkowi z równym ciśnieniem, i jeśli wobec tego wszechświat będzie zawsze napierał na ziemię ze wszystkich stron i równomiernie, wobec tego Ziemia nie będzie potrzebowała fizycznego podparcia, by pozostać w centrum wszechświata.

--Co czytasz? -- zapytała Antonia. Liath była dziwnym stworzeniem: choć była córką Anne, miała w sobie coś nienaturalnego, zwłaszcza że potrafiła czytać w tak przyćmionym świetle.

Liath podskoczyła, zaskoczona, oblała sobie uda o stół i wymruczała jakieś słowo.

--Przepraszam, siostró Venio -- powiedziała grzecznie, zamykając książkę. -- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest ciemno. Czytam Ptolomaię. Nigdy wcześniej nie miałam okazji przeczytać *Syntaxis*, tylko wyjątki z niej. Widzę teraz, że choć przeczytałam *O ukształtowaniu świata*, w tych słowach kryło się wiele rzeczy, których nie rozumiałam.

Antonia nigdy nie słyszała o książce pod tytułem *O ukształtowaniu świata*, ale nie miała zamiaru zdradzać się z tym przed głupiutkim dzieckiem, które wciąż ubierało się jak zwykły Orzeł, którym kiedyś było, i które nie miało przyzwoitości, by ukrywać swój nieprzystojny pociąg do tego prostego stwora, nazywanego przez nie „mężem”. Aż trudno uwierzyć, że to córka Anne, aroganckiej, zimnej i w każdym calu przypominającej potomkinię szlacheckiego rodu. Antonia nie była pewna, z jakiego szlacheckiego rodu wywodziła się Anne, gdyż jej towarzysze nie zaufali jej jeszcze całkowicie, ale nie była głupia: zaczynała dostrzegać wzór, który się tu splatał.

Liath owinęła książkę w skórzaną okładkę i odstawiła na półkę, a potem przez chwilę popatrzyła na tabliczkę, na której pisała, na obliczenia matematyczne zaczerpnięte z efemeryd, zbioru tabel pokazujących codzienne położenie ciał niebieskich. Zawahała się, obróciła rysik, a potem naniosła poprawkę do obliczeń.

--Co o tym sądzisz? -- zapytała władczo, podsuwając tabliczkę Antonii.

Niezwykle irytujące było, że ta prosta dziewczka tak łatwo pojmowała to, co dla Antonii było najtrudniejszą częścią edukacji matematyka. Nic dziwnego, że kościół potępił takie obliczenia jako bazgroły Nieprzyjaciela, gdy wydawał wyrok na biskupinę Tallię, biegłą w tej sztuce córkę cesarza Taillefera, na soborze w Narvonne sto lat temu.

--To powinna poprawić siostra Anne -- odparła Antonia ostro. -- Przyszłam ci tylko powiedzieć, że czas na kolację.

--Czy Sanglant już wrócił? -- zapytała dziewczyna. Nie miała szacunku dla starszych. Wydawała się zupełnie nieświadoma istnienia manier, których na przykład Heriberta w ogóle nie trzeba było uczyć.

--Sądzę, że poszedł się umyć.

--Och! Pójdę zanieść mu kolację.

Antonia zaczęła ją pouczać, ale dziewczyna już ją minęła, szybka pomimo zaokrąglenia

wczesnej ciąży. Biedna siostra Anne. Dziecko zostało źle wychowane. To musiał być dla Anne policzek, każdego dnia widzieć, jak jej córka zachowuje się jednocześnie jak prostytutka i wyniośle niby jakaś księżniczka. Sanglant mógł być nieokrzesany, ale został wychowany na dworze i jego maniery były lepsze niż Liath. Jak pies, był podatny na tresurę.

Antonia szła za nią przez zmierzch; minęły sad i winnicę i doszły do trawiastej polanki, gdzie pod zboczem znajdował się staw, teraz niemal pochłonięty przez ciemność. Słyszała dwóch mężczyzn śmiejących się ze swobodą właściwą samcom, nierozważnym stworzeniom.

A potem Sanglant nagle zawołał głosem, który niesie się ponad zgiełkiem bitewnym:

--Liath! Niech cię Bóg broni podchodzić bliżej, bo zasromasz naszego czystego kleryka, który stoi tu, jak go matka na świat wydała! -- Rozległ się głośny plusk.

Zaalarmowana Antonia podeszła bliżej i w świetle księżycy kładącym się na wodzie ujrzała szczupłą postać Heriberta, po pas zanurzonego w wodzie, z rękoma na biodrach. Sanglant podniósł się z pluskiem obok niego i wybuchnął radosnym śmiechem, gdy woda spływała mu z piersi, głowy i pleców. Nurkował.

--Niech ci się nie wydaje, że jestem bezbronny -- odparł Heribert zaczepnym tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszała. -- Ponieważ mnie służy miecz mej mądrości, a tobie, no cóż... ech, nic już nie powiem.

--Przyszłam tylko powiedzieć, że kolacja na was czeka -- zawołała Liath z ciemności.

Sanglant bezwstydnie wynurzył się z wody i otrząsnął jak pies, a potem wytarł tuniką. Odział się pośpiesznie, podczas gdy Heribert skromnie pozostawał w wodzie; kiedy się już ubrał, zniknął wśród drzew. Rozległ się szept, zbyt cichy, by rozróżnić słowa, ale bez wątpienia pełen miłości.

To była zagadka, ale jak każda zagadka mogła zostać rozwiązana lub w najgorszym przypadku tak długo torturowana, aż wyda swe tajemnice: dwoje dzieci zrodzonych z matek, które były, jeśli opowieści o matce Sanglanta mówiły prawdę, potężnymi magami. Niezależnie od tego, o co inni podejrzewali Aoi, niezależnie od tego, że podejrzewali, iż Aoi nie zaginęli, tylko ukryli się gdzieś wśród ludzi, mimo całej swej wiedzy byli durniami, próbując zabić księcia Sanglanta. Miał w sobie potężną moc: Bóg pobłogosławił go zdolnością przewodzenia. Wiedziała, ile w świecie znaczy reputacja. Sama ją kiedyś posiadała i nie wyzbyła się swych marzeń i nadziei. Jej pobyt w Vernie był jedynie przystankiem do czegoś większego, czegoś, co kontrolować będzie dzięki wiedzy zdobytej od tutejszych matematyków. Brat Severus się mylił: wolą Boga nie było, aby Ich wybrani porzucali świat, ale by najmądrzejsi z nich dobrze nim władali. Ona była jedną z tych wybranych.

--Spotkamy się na kolacji, bracie! -- zawołał Sanglant do Heriberta.

Antonia słuchała, jak ich kroki oddalają się w stronę dworu. Gromada jego towarzyszy -- wszyscy służący, którym Anne nie zleciła jakichś zadań -- podążali za nim. Nienaturalne, jak chętnie się wokół niego gromadzili.

Teraz staw był już szary, a Heribert stanowił jedynie ciemniejszy cień. Wyszedł z wody i wytarł się. Co ujrzała Liath? Bez wątpienia ciemność okryła jego nagość, a jeśli nie, to cóż, była to niewielka cena za to, że Heribert nieświadomie wkradał się w łaski księcia, który pewnego dnia mógł się okazać dla niej niezwykle użyteczny.

3.

Pszczelarze z Vennaci okadzali ule specjalnym dymem, aby pszczoły zasnęły. W nocy przenieśli ule na mury po obu stronach wschodniej bramy i przygotowali niewielkie katapulty.

Armia Adelheidy zgromadziła się poprzedniego dnia i jednym wypadem ze wschodniej bramy o świcie zadała cios obozowi Twardogłowego, nim przeważające siły zmusiły ją do powrotu do miasta. Wielu zostało schwytanych; niektórzy zginęli. Po ich ataku Theophanu z niewielkim oddziałem przebiła się przez linie wroga i wróciła do swej armii, zostawiając Rosvitę z Adelheidą na znak zaufania.

Teraz, przed świtem, z murów przy wschodniej bramie Rosvita obserwowała, jak ci, którzy przetrwali, znów się zbierają, gotowi do walki, w której wielu zginie. Imponowała jej ich lojalność: Adelheida знаła sekret władania: ile dasz, tyle otrzymasz. Była szczodra i dbała o swych ludzi. Dlatego gotowi byli tyle zaryzykować, aby pomóc jej się uwolnić i uciec na północ.

Twardogłowy nie próżnował. Zgromadził swe siły przed wschodnią bramą, a gdy wzeszło słońce, przyprowadził kawalerię, by powstrzymać drugi wypad, jeżeli takowy nastąpi.

--Siostrze, proszę, musimy się zebrać przy północnej bramie. -- Jeden z kleryków Adelheidy odciągnął Rosvitę w chwili, gdy ujrzała pierwsze kłęby dymu unoszące się z północnych wzgórz: sygnał od Theophanu. Pośpieszyli przez ciche miasto. Mieszkańcy Vennaci albo ukryli się w domach, albo czekali na zewnątrz z dobytkiem, który zdołali unieść, licząc na to, że uda im się uciec za Adelheidą. W mieście panowała taka cisza, że Rosvita usłyszała szcęk broni, daleki niby głos dzwonu w oddalonym o ligę kościele. Armia Theophanu zaatakowała obóz Twardogłowego, przynajmniej taką mieli nadzieję.

Przy północnej bramie eskorta stu zbrojnych otaczała Adelheidę. Za nimi tłoczył się jej orszak: wozy, służący i żywina, męczona i skowycząca. Od wschodniej bramy podniósł się krzyk.

Królowa Adelheida dosiadała pięknej czarnej klaczy. Rosvita wspięła się obok niej na siwego walacha i gdy tylko usadowiła się na jego grzbiecie, usłyszała, że na wschodzie wybucha rozszalały ryk.

Adelheida roześmiała się głośno.

--Zrzucili pszczoły na kawalerię Twardogłowego! -- krzyknęła, gdy jej żołnierze zaczęli wiwatować. -- Dalej. Jedźmy!

Północna brama została otwarta, a łucznicy zaczęli strzelać z murów. Piechota wyległa, by przetrzeć drogę dla konnicy i Rosvita ruszyła wraz z nimi. To było jednocześnie przerażające i podniecające -- wyruszać do bitwy, za jedyny oręż mając modlitwy.

Strzała świsnęła nad jej głową. Zanurkowała, poczuła, jak napinają się skurczone mięśnie, przeklęła się za wiek i niesprawność. Plecy rozdarł jej spazm bólu, ale nie czuła krwi. Jej koń zachwiał się, gdy krzyknęła, a potem z boku podjechał żołnierz i wydarł jej wodze z rąk. Wołał coś, czego nie rozumiała; w uszach jej huczało, ale nie wiedziała, czy ogłusza ją kakofonia bitwy, czy własny strach i ból. Pozwoliła żołnierzowi prowadzić i skierowała myśli ku temu, czego uczono ją w klasztorze: ku modlitwie.

Stratowali linię wyznaczoną za północną bramą, gdzie trzy dni wcześniej ona i Theophanu spierały się ze znudzonymi i rozleniwionymi żołnierzami Twardogłowego. Teraz walczyli z nimi zbrojni Adelheidy, tnąc z siodła galopujących ciężkich koni. Za nimi podskakiwały wozy. Szarżując stratowali krzewy, a potem znaleźli się na równinie. Z tego punktu mogła dostrzec

bitwę pod wschodnią bramą, z tej odległości będącą jedynie wijącą się masą rozszalałych koni, zrzucanych jeźdźców, dymu na murach, walką okrytą chmurą pyłu. Przegalopowali przez opuszczone pola, przeskoczyli rowy irygacyjne, stratowali drzewka zasadzone jako wiatrochrony i pierwszy szereg konnicy, prowadzony przez Adelheidę, bez przeszkód dotarł do wzgórz.

Zatrzymali się tam, patrząc za siebie. Równinę wokół Vennaci pokrywał kurz, nad nim widać było tylko wysokie wieże. Żołnierze wiwatowali. Adelheida wpatrywała się w miasto, które opuściła, jej profil odcinał się od wyzłoconych jesienią wzgórz. Pod podciągniętą na siodle suknią nosiła męskie nogawice i pięknie wykonany skórzany płaszcz, dopasowany do jej drobnej sylwetki, na ramionach zaś lekkie naramienniki; czerwone skórzane poły, wzmocnione metalem, opadały jej na biodra. Na głowie miała jedynie stożkowaty hełm i szarfę zawiązaną na włosach. Jazda i wiatr rozwiązały szarfę, która teraz powiewała za nią jak sztandar, za którym podążali jej ludzie. Była młoda i w tej chwili, na wzgórzach, gdy u jej stóp toczyła się bitwa, a jej jedyną szansą pozostawała ucieczka, była piękna niby święci i natchnieni przez Boga generalowie.

--Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni -- powiedziała nagle.

--Tam powinny być posterunki. -- Rosvita rozpoznała dolinkę o stromych zboczach, którą trzy dni wcześniej przemierzyła z Theophanu. Plecy nadal ją bolały, ale gdy ból się zmniejszył, uświadomiła sobie, że tylko je nadwerżyła. Kiedy patrzyła na dobiegających do nich pieszych, zdała sobie sprawę, że miała szczęście. Konie przybiegały bez jeźdźców. Dojechał tylko jeden wóz -- skarbiec Adelheidy, chroniony przez dwudziestu zbrojnych, z których czterech odniosło głębokie, krwawiące rany. Adelheida patrzyła na niego z dziką zaciekłością.

Za nimi przyjechał kapitan, odziany w zbroję i kaftan, którego błękit nie został splamiony błotem. Odrąbano kité na jego hełmie.

--Wasza Wysokość! Twardogłowy zebrał siły. Niedługo pojmą nasz cel. Musimy jechać. Straciliśmy resztę.

--Nie będziemy dłużej czekać -- powiedziała twardo. Niech Bóg mają w swej opiece tych, którzy mi wiernie służyli.

Kapitan Rikard przejął dowodzenie oddziałem i ruszyli na wzgórza, a za nimi podskakiwał wóz. W oddali krzyk rozdarł powietrze, usłyszeli wrzaski i szcęk broni. Pojawił się jeździec, zniknął w dolinie i znów się pojawił. Nosił barwy Adelheidy. Kapitan posłał tam żołnierza, a reszta jechała dalej; gdy tylko żołnierz dotarł do posłańca, zawrócił i podążył za nimi. Chwilę później usłyszeli ich krzyki:

--Twardogłowy wysłał wielki oddział w pościg!

Dotarli do znaku, który Rosvita rozpoznała: rozwidlonego drzewa na skrzyżowaniu dwóch ścieżek. Kiedy kapitan skierował królową naprzód, Rosvita ich zatrzymała:

--Droga do obozu księżniczki Theophanu wiedzie tędy! -- krzyknęła, wskazując ścieżkę skręcającą w prawo.

Rikard pokręcił głową.

--Jeśli siły wendarskie ruszyły na Twardogłowego, dostalibyśmy się między jego oddziały. Musimy jechać na północ. W Novomo są szlachcice wierni królowej.

Pięciu żołnierzy oddzieliło się i ruszyło ścieżką wiodącą do obozu Wendarczyków. Przez chwilę Rosvita zastanawiała się, czy pojechać z nimi. Nie zrobiła tego. Rozkazano pomagać

Adelheidzie, a Adelheida nie będzie bezpieczna, dopóki nie dotrze do Wendaru. Niektóre prawdy były gorzkie: jak większość niepierworodnych, Theophanu nie była niezbędna. Czy dlatego Henryk wysłał do Aosty ją, a nie Sapienię, gdy Sanglant mu odmówił?

Ścieżka wiała się wśród krzaków i kęp złotobrazowej trawy. Parli coraz wyżej z każdym zakrętem i w końcu musieli zsiąść i prowadzić konie. Wystające skały nagrzewały się w południowym słońcu, ale tylko Rosvita zdawała się cierpieć z powodu upału, choć żołnierze również się pocili. W końcu na jednym z kamienistych zakrętów wóz złamał oś. Służący rozszlochali się pod niebiosa, a Adelheida przyglądała się nieszczęściu ze zmarszczonym czołem. W jej oczach błyszczał gniew, ale nie na służących.

--Musimy za wszelką cenę zachować insygnia, korony i listę trybutów -- rozkazała. -- Ale zostawcie resztę skarbu, której nie możecie unieść. Jeśli zostanie zamknięta w więzieniu Twardogłowego, nie na wiele przyda mi się złoto.

--Gdybyśmy ukryli część z dala od drogi, Wasza Wysokość -- odezwał się jeden z rządców -- to może wrócilibyśmy po nie później.

--Patrzcie! -- Kapitan Rikard znalazł punkt obserwacyjny, ruiny starej wieży nieco ponad ścieżką. Kiedy Rosvita podjechała do niego i spojrzała na pola, z których wyruszyli, w zasięgu wzroku pojawiły się helmy. -- Ludzie Twardogłowego -- rzekł, wskazując. Z tego starożytnego miejsca żołnierze innej rasy z łatwością obserwowali południową drogę, jak Rosvita teraz, oceniając oczy przed blaskiem słońca. W oddali wieże Vennaci, małe i okryte kurzawą, nie większe od jej dłoni. Spojrzała na zachód, gdzie Theophanu rozbiła swój obóz...

--Tam! -- krzyknął kapitan.

Tam! Ogień szalał w wendarskim obozie, namioty płonęły. Dym okrywał walkę toczącą się poniżej, a poza tym byli zbyt daleko, by zrozumieć to, co widzą. Czy Theophanu gromiła oddziały Twardogłowego, czy przegrywała?

--Zbliżają się -- powiedział kapitan i Rosvita uświadomiła sobie, iż tak mało dbał o wendarski obóz, że nawet tam nie patrzył; wciąż oceniał postępowanie żołnierzy Twardogłowego. Helm błysnął w słońcu i zniknął w cieniu, gdy oddział jadący na przedzie zniknął za zakrętem. Pod nimi pojawił się sztandar w barwach, których Rosvita nie знаła, ale kapitan natychmiast rozpoznał.

--Sam Twardogłowy nas ściga. -- Szybko powrócili na główną drogę, gdzie czekała Adelheida i inni. -- Wasza Królewska Mość, musimy zostawić pieszych albo na pewno zostaniecie pojmana. Twardogłowy przejrzał podstęp. Sam prowadzi oddział, który nas ściga.

Nie mówiła nic przez chwilę, która zdawała rozciągać się w nieskończoność, ale trwała tylko dziesięć uderzeń serca. Jej służący jednak, szybko zrozumiałszy sytuację, rzucili się na kolana wśród kurzu i kamieni, i błagali ją, by jechała. Pobłogosławiła ich, a potem ze łzami w oczach zostawiła na łasce ludzi Twardogłowego.

--Czy się myliłam, kleryczko? -- zapytała wreszcie, gdy jechały na czele orszaku: królowa, tuzin dworzan, sześć służących, czterech kleryków, Rosvita i około osiemdziesięciu żołnierzy. Służący podążali tłumnie, bo tutaj, na najtrudniejszej części szlaku, bez problemu dotrzymywali kroku koniom. -- Czy myliłam się, sądząc, że nadszedł czas, bym uciekła? Czy powinnam przetrzymać oblężenie przez zimę i modlić się o wyzwolenie?

Czy wizja na niebie, maszerująca płomienista armia, była znakiem zesłanym przez Nieprzyjaciela, nie Boga?

--Tylko Bóg wie, Wasza Królewska Mość. Ich plan pozostaje tajemnicą dla śmiertelnych. Uczyniłyście to, co w danym momencie uznałyście za słuszne.

Adelheida rzuciła jej ostre spojrzenie.

--A co z twoją panią, moją kuzynką Theophanu? Być może ten plan przyniósł jej śmierć. Czy głupotą było próbować?

--Bóg dali nam wolną wolę, Wasza Królewska Mość. W naszej naturze leży podejmowanie ryzyka, parcie naprzód, czasami niemądrze prosto ku katastrofie, czasami lekkomyślnie ku nieoczekiwanemu sukcesowi. Nie potrafię odpowiedzieć. Mogę jedynie rzec, że możemy być tylko sobą.

Przez chwilę ścieżka biegła gładko wzdłuż strumienia, płynącego przez wąską dolinę, dom dla karłowatych drzew i trawy. Tam nadrobili stracony czas, zostawiając za sobą służących. Raz usłyszeli krzyk, echo niesione wiatrem. Ale droga szybko znów stała się trudna, wijąc się przez kilka grzbietów. Dotarli do kamienistego poletka, gdzie ścieżka opadała stromo, a potem wspięli się stromym zakrętem, by zjechać do kolejnej doliny, w której wystające głazy tworzyły na zboczach fantastyczne kształty, wyrzeźbione tysiącleciami deszczu i wiatru.

--Nasza droga do Vennaci była znacznie łagodniejsza -- powiedziała Rosvita do jednego z kleryków, szczupłego poważnego mężczyzny zwanego bratem Amicusem.

--Przyjechaliście drogą przez dolinę Egemo -- zauważył. -- My jedziemy na północny zachód, do krainy kapardyjskich ascetów. To okrutna kraina i trudno nam ją będzie przebyć. Ale Twardogłowemu będzie jeszcze trudniej, bo ma więcej koni do napojenia i ludzi do nakarmienia. Możliwe, że ukryjemy się tam, dopóki nie zaprzestanie pościgu.

Czy Twardogłowy zawróci, by pojmać Theophanu? Czy może już znajdowała się w jego rękach albo nie żyła?

Konie pięły się z trudem po kamienistych ścieżkach, w niektórych miejscach będących jedynie dróżkami kozic. O zmierzchu jeden okulał. Jeździec zrzucił broję i umknął w krzaki, mając nadzieję, że ucieknie Twardogłowemu, chowając się wśród wzgórz. Reszta jechała dalej. Szaty Rosvity pokryły się kurzem, usta miała popękane, twarz spaloną słońcem i suchym wiatrem. Plecy nadal ją bolały i była głodna. Ale przynajmniej jej koń zachował siły. Jej świat powoli się kurczył, aż zawarło się w nim jedynie zdrowie konia i na szczęście pusta ścieżka.

W cienistych zakamarkach kolejnego zbocza zebrała się woda, strumyczek rozlewał się w sadzawkę, a potem znikał wśród skał. Tam przystanęli, by się napić i napoić konie. Nie byli dobrze zaopatrzeni; jedzenie i odzież przepadły z wozami, ale żołnierze mieli ze sobą suszone mięso i wczorajszy chleb, dające się zjeść z powodu głodu i świadomości, że Twardogłowy był lepiej uzbrojony, lepiej wyposażony i pewnie się do nich zbliżał. Owsa dla koni mogło starczyć najwyżej na trzy dni. Potem będą musieli wypasać je w coraz bardziej nieprzyjaznym terenie.

Zmrok okrył ich nagle, ale zbliżający się do pełni księżyc dawał wystarczająco dużo światła, by oświetlić ich drogę, gdy szli, prowadząc konie. Ciszę zakłócały jedynie odgłosy ich przejścia. Skrzypiała skóra. Mężczyzna szeptał do towarzysza. Brat Amicus zakaszlał. Woda spływała z kamiennego zbocza i gdy konie i ludzie napili się, Rosvita nabrała jej w dłoń i obmyła twarz. Kurz rozmazał się na jej policzkach. Jeden z grzebieni przytrzymujących włosy rozpadł się i kosmyki przykleiły się jej do karku, zlepione potem i brudem.

Szli, prowadząc konie, dopóki księżyc nie zaszedł i spróbowali się przespać, wystawiając czujki z przodu i z tyłu. Rosvita spała niespokojnie i śniła o księżce brata Fidelisa.

Pierwsze linie *Żywota świętej Radegundis* płonęły w jej myślach, jakby zostały podpalone, wersy płomieni na błyszczącym nieziemsko pergaminie. *Pan i Pani obdarzają kobiety chwałą i wielkością przez siłę umysłu... Jedną z nich jest Radegundis, której ziemskie życie ja, Fidelis, najpokorniejszy i najmniej godny, próbuję teraz celebrować... Świat dzieli tych, których niegdyś nie oddzielała żadna przestrzeń.* Było więcej, ale wcale nie z *Żywota*. Był to fragment zapamiętany ze zbioru, który czytała wiele lat temu, zanim słowa nabrały dla niej znaczenia, ale nie pamiętała gdzie, tyle tylko, że słowa wypłynęły na powierzchnię jej umysłu niby stado rybek gnające ku brzegowi.

W ten sposób matematycy odczytują przeszłość z pomocą tego starożytnego zapisu, który możemy zrozumieć przez jednostajny ruch niebios, które Bóg pozostawili jako swój notatnik; nie skrywa on niczego przed scholarem, który nauczył się tajemnego języka gwiazd. Wszystko, co się wydarzyło, może zostać tam odczytane, oraz wszystko to, co się wydarzy, a ta, która wyćwiczy ten język, może odkryć dla siebie nawet najstarszą, ukrytą wiedzę Zaginionych, którzy dawno temu zniknęli z ziemi dzięki siłom poza naszym pojmowaniem.

Płonące słowa błyszczały iskrami tak jasnymi, jak gwizdy spadające na ziemię, jak aniołowie umykający boskiej sprawiedliwości i we śnie usłyszała głos, zupełnie nie znany, ale tak czysty, jakby usłyszała go wczoraj:

--I nazwali ten czas Wielkim Rozdzieleniem.

Obudziła się nagle, drżąc. O Boże! Co się stało z książką? Co z bratem Fortunatusem i biednym chorym bratem Konstantynem? Czy zginęli w płomieniach? Czy Twardogłowy ich pojmał? Czy znalazł książkę? Czy spłonęła? Czy przepadła, a wraz z nią kopia tak starannie sporządzona przez siostrę Amabilię, i cała wiedza brata Fidelisa, jego *Żywot* błogosławionej świętej, zatracona została w płomieniach pożądania i chciwości?

Księżyc nie przyćmiewał światła gwiazd, które błyszczały mocą tysiąca płonących latarni. Rzeka Niebios wiła się na zachodzie, pełna dusz, które płynęły ku Komnacie Światła. Ogarnęła ją straszliwa pewność: Amabilia nie żyła, odeszła z tego świata. Jej dusza płynęła w górze, w wielkiej rzece, jedna z miriadów iskielek.

Rozplakała się i szlochając, poruszyła na zimnej skale. Plecy jej zapłonęły, ostry ból sprawił, że jęknęła. Przed oczami zamigotały iskieleki, zniknęły, znów się pojawiły i zginęły we mgle.

Usłyszała szepty, nagle i intensywne. Orszak wokół niej przygotowywał się do wymarszu, choć była jeszcze noc. Niespokojne światła pojawiły się znowu i stały błędnymi ognikami, a potem, z ukłuciem strachu, uświadomiła sobie, że to latarnie niesione wzdłuż szlaku.

--Siostro! -- Ukłękł obok niej brat Amicus, raczej go wyczuła, niż zobaczyła. *--* Musimy szybko wyruszyć.

Nie mogła sama wstać. Dwóch żołnierzy podniosło ją, a najdrobniejszy ruch przeszywał bólem jej plecy.

--Nie mogę chodzić! -- wyszeptwała. Prawie zaczęła ich błagać, by ją zostawili, ale usłyszała ostrą komendę, wymianę słów i cudownie znajomy głos.

Radość potrafi zagłuszyć ból.

Oddziały wymieszały się, zwały, choć Wendarczyków było niewielu. Precisnęła się ku Theophanu i kilka razy ucałowała jej dłoń.

*--*Wasza Wysokość! *--* Przeraziła się, słysząc, jak ochryply był jej głos, niemal zupełnie

starty. -- Jak się tu dostałaś?

--Ci dobrzy aostańscy żołnierze poprowadzili nas waszym śladem -- powiedziała Theophanu. -- Moja najdroższa nauczycielko! -- Pocałowała Rosvitę w oba policzki. Było zbyt ciemno, by ujrzeć wyraz jej twarzy, ale uścisk był mocny, wręcz gwałtowny. -- Balam się, że zginęłaś jak tylu innych.

--Siostro! -- Z ciemności dobiegł ją głos brata Fortunatusa, trochę słaby, ale cudownie prawdziwy. -- Siostro Rosvito!

Rozdzielili ich napór tłumu, gdy Adelheida podeszła, by powitać Theophanu, szeptane rozkazy przebiegły przez oddział i przygotowali się do wymarszu. Znalazła swego konia i z pomocą aostańskiego żołnierza wspięła się na siodło, oddając mężczyźnie wodze. Być może powinna była iść. Chwyciła się siodła i modliła. Najdrobniejsze poruszenie sprawiało, że plecy stawały jej w ogniu, a ból przytępiał jej zmysły. Po chwili zdała sobie sprawę, że w szarym świetle poranka widziała okolicę.

Dotarli do rozwidlenia szlaków. Rosvita podjechała na czoło. Za sobą słyszała dyskusję i desperacko pragnęła się obejrzeć, ale za każdym razem, gdy usiłowała obrócić się w siodle, jej plecy i ramiona rozrywał taki ból, że dosłownie nie mogła się ruszyć, więc wreszcie się poddała i skuliła, znosząc cierpienie i straszliwą ciekawość, nie wiedząc, co gorsze.

Po chwili znalazł się przy niej Fortunatus.

--Dobrze się czujesz, siostro? -- Wyraz twarzy zdradzał jego lęk. -- Nie jesteś ranna?

--To tylko dolegliwość właściwa memu wiekowi, bracie. Nie jestem przyzwyczajona do tak intensywnej jazdy. Plecy mam zupełnie sztywne.

--Mam maść, która powinna ci pomóc, siostro.

--Co ocaliłeś z obozu? -- zapytała. -- Gdzie jest brat Konstantyn?

Był zbyt zmęczony, by płakać.

--Bratu Konstantynowi pogorszyło się, kiedy wyjechałaś, siostro. Wierzę -- muszę wierzyć -- że najgorsze się skończyło, że odzyskiwał siły, ale był zbyt słaby, by go ruszyć, gdy... -- Urwał. -- Musieliśmy go zostawić. Ale ufam, że Aostanie szanują kościół i będą o niego dbać tak, jak Bóg życzą sobie, by dbano o Ich sługę. -- Przycisnął dłoń do pokrytych kurzem juków na grzbiecie muła, jego jedynej własności prócz habitu. -- Ale mam twoją *Historię*, siostro, i *Żywot świętej Radegundis* i kopię siostry Amabilii. Maści i oleje, które były pod ręką, i twoje orle pióro, porządnie zapakowane. Musieliśmy zostawić wszystko inne.

--Dzięki, bracie.

--Nie -- rzucił niecierpliwie. -- Ja się nie na wiele zdałem. Księżniczka Theophanu zachowała spokój podczas katastrofy, ale uszliśmy z życiem jedynie dzięki kapitanowi Fulkowi i jego ludziom. Nie pozwolili, by upływ dni osłabił ich czujność, jak się stało z resztą. Ludzie Twardogłowego nie znają litości. Teraz jest dla mnie jasne, że od dawna planowali zaatakować nasz obóz bez ostrzeżenia. Naprawdę mieliśmy szczęście, że królowa Adelheida zdecydowała się uciec w tej właśnie chwili, inaczej wszyscy byśmy zginęli, bo myślę, że Twardogłowy planował wybić nas do nogi. Tylko dzięki zagrywce królowej zmuszony był przenieść większość swych sił do miasta. Już ustawił ludzi za naszymi liniami, gotowych do nocnego ataku.

Nagle przez dzwonienie uprzęży, ciągly stukot końskich kopyt i wycie wiatru w szczelinach, usłyszeli nie dający się pomylić z niczym zgiełk walki.

--Co się dzieje? -- wykrzyknęła Rosvita.

--Kapitan Rikard został z połową swych ludzi, by zastawić zasadzkę na Twardogłowego i może go zabić, jeśli Bóg okażą się łaskawi. Zyskamy na czasie.

--Koszt ich życia.

Fortunatus tylko wzruszył ramionami. Szli dalej i odgłosy bitwy szybko ucichły. Świadomość Rosvity zawężała się do przeszywającego bólu w plecach i obecności Fortunatusa u boku. Nie widziała już terenu, przez który jechali. Nie zsiadła, gdy dotarli do źródła, ale z wdzięcznością wypila wodę przyniesioną jej przez wendarskiego żołnierza w hełmie. Woda była ciepła, a hełm śliski od potu, ale nie zwracała na to uwagi; wilgoć ulżyła jej wysuszonemu gardłu. Nie obchodziło jej już nic innego.

Wojna była sportem dla młodych. Ale czy był to sport, czy tylko fizyczna manifestacja nie zaspokojonej ambicji i młodzieńczego znudzenia? Stare kobiety rzadko miały energię czy odczuwały przymus, by jechać do bitwy: dlatego Bóg dali im władzę, żeby hamowały niebezpiecznie rozbuchane dusze tych, którymi kierowała żądza władzy i bogactwa, tego wszystkiego, co uczynione jest z ciała i ziemi, i przez to splamione dotykiem Nieprzyjaciela.

Przez długą chwilę, gdy słońce wznosiło się coraz wyżej, jechała z zamkniętymi oczami i trzymała się lejcy, słysząc jedynie odgłos ich przejścia przez dzwoniącą echem, pustą przestrzeń. Było gorąco jak na jesień. Pomyślała, że być może jej gardło wyschło tak bardzo, że już nigdy się nie odezwie, ale to bez wątpienia pozwoliłoby jej wycofać się z dworu i wreszcie skończyć swą *Historię* Wendarczyków, którą tak dawno obiecała królowej Matyldzie. Czy naprawdę złożyła tę obietnicę pięć lat temu? Czy aż tak zajęta była na dworze Henryka, że poczyniła tak niewielkie postępy? Czy kiedykolwiek skończy?

--Sostro! -- podskoczyła, jęknęła z bólu i uświadomiła sobie, że zasnęła w siodle. Brat Fortunatus stał obok, podtrzymując ją. -- Mdlejesz, sostro? Możesz iść?

Obok stał żołnierz, trzymając kawałek suchego chleba i ten sam hełm. Musiała namoczyć chleb w wodzie, by stał się jadalny, ale wreszcie go zjadła i rozejrzała się wokół, licząc zdziesiątkowaną kompanię: królowa Adelheida, księżniczka Theophanu, jakieś trzy tuziny wendarskich żołnierzy pod dowództwem kapitana Fulka, podobna liczba żołnierzy aostańskich oraz przyboczni, szlachta i służący, również około trzech tuzinów. Powoli zdała sobie sprawę z konsternacji, która zapanowała w szeregach. Po chwili zrozumiała jej źródło: w ostatniej godzinie okulało osiem koni, w tym wierzchowiec królowej, i nie mieli wystarczającej liczby zwierząt. Wysłano dwóch zwiadowców, aby wypatrywali ścigających, ale żaden z nich nie wrócił. Nadal mieli owies dla koni, ale jedzenie się skończyło, jeśli zaś chodzi o wodę, zależni byli całkowicie od źródełek i strumyczków, jakie zdołali znaleźć.

Chleb dodał jej sił i ujrzała, jak okrutna była okolica; czerwonawe, pokruszone skały zostały zamienione przez wiatr i czas w wielkie filary, wygładzone i pomalowane jakby boską ręką, a miękkie zbocza zerodowały i poznaczone były setkami maleńkich jaskiń. Nie rosły tam drzewa. Trawa i niskie krzaki kulily się niby zagubione dusze wzdłuż suchych łożysk strumieni.

--Nie! -- rozległ się głos Adelheidy. Wyglądała jak dzielna lwica. -- Zbyt wiele utraciłam, by poddać się Twardogłowemu. To jest pojedynek między nami, a ja odmawiam poddania się! Niedaleko stąd zejdziemy z tej ścieżki i skierujemy się na północ, w dzicz Capardii.

--Znajdzie nasz ślad -- sprzeciwiła się beznamiętnie Theophanu. Rosvita musiała ją podziwiać. Mimo że wszyscy byli pokryci kurzem, wyczerpani, pozbawieni nadziei, Theophanu pozostała opanowana i spokojna, chłodno oceniając ich rozpaczliwe położenie.

--Owszem -- odparła Adelheida. -- Ale nie będzie to miało znaczenia, bo nie podąży za nami tam, dokąd się udajemy. Kto z was jest wystarczająco dzielny, by pójść za mną w miejsca nawiedzane przez umarłych?

Strażnik na grzbiecie za nimi zamachał flagą i wiadomość, przekazywana z ust do ust, dotarła do królowej.

--Widzi Bertha jadącego galopem w naszym kierunku.

--Jeden z naszych zwiadowców wraca -- rzekła Adelheida z zadowoleniem.

Ale nagle strażnik porzucił swój posterunek i rzucił się biegiem w dół zbocza, a ludzie rozstępowali się przed nim.

--Oj, Wasza Wysokość! -- krzyknął. -- Bertho dostał strzałę w plecy! Widziałem sztandar Twardogłowego i jego ludzi. Nie mamy wiele czasu.

--A ile mamy czasu? -- zapytała Theophanu tak spokojnie, jakby podczas kolacji prosiła o dokładkę mięsa.

--Dotrą do nas za godzinę wyśpiwywaną o świcie przez kleryków.

Wszyscy spojrzeli na Adelheidę, nie na Theophanu.

--Chodźcie -- rzekła nakazująco. -- Brat Amicus dobrze zna tę krainę, bo się tu wychował. Poprowadzi nas do klasztoru świętej Ekatariny. Tam wysłała mnie matka, gdy byłem dzieckiem, a moja starsza siostra została porwana i zabita przez księcia podobnego Twardogłowemu. Żyłam tam bezpiecznie przez rok, gdy wojna zabrała trzech moich braci. Mniszki mnie nie odpędzą. Chodźcie! Musimy się śpieszyć!

Kilkoro z nich, włączając w to Rosvitę, musiało dzielić z kimś koński grzbiet. Kiedy jechali szlakiem, Rosvita siedząca za Fortunatusem oparła głowę na jego szerokich plecach, teraz nieco bardziej kościstych, ale nadal solidnych. Zatraciła świadomość; obudziła się raptownie, gdy opuścili główny szlak i skierowali ku krainie tak dziwnej, że przez chwilę omamienia sądziła, że przeszli magiczną bramą do zupełnie innego świata, zamieszkanego przez fantastyczne stwory z innej płaszczyzny egzystencji: bazyliszki i smoki, gryfy i giganty uformowane z kamieni. Zostawili za sobą ośmiu jeźdźców, którzy mieli zatrzeć ślady ich przejazdu i służyć za przynętę. Dzielni ludzie, wszyscy. Ale czyż nie taki był los żołnierza? Jeśli służył wiernie swej pani, czekał go ziemski dobrobyt, jeżeli zachował życie, a gdy umierał, jak wszystkich nas to czeka, miał miejsce wśród lojalnych przybocznych w Komnacie Światła.

W głowie jej się kręciło z bólu i głodu i wszystko wydawało się dziwaczne. Usta płonęły jak od nie wypowiedzianych słów.

--Czym było Wielkie Rozdarcie? -- zapytała. Ale nikt nie odpowiedział i zamknęła oczy, opadając w błogosławioną ciemność.

Później zakolysała się niby na oceanie, przed nią zaś otworzyła się przestrzeń powietrza tak wielka, że gdyby wzięła głęboki oddech, mogłaby wciągnąć cały wszechświat i gwiazdy leżące w zasięgu ręki, tam, za otchłanią. Daleko w dole widziała ziemię, a przy ramieniu skałę, o którą ocierał się wielki koszyk, w nim siedziała skulona. Szarpnięto ją w górę, znów zemdląła, a potem poczuła skałę pod stopami, jakieś ręce ją unosiły. Wokół niej rozlegało się wiele głosów i było potwornie ciemno, ciemno jak w Otchłani, do której nie dociera Boskie światło, ponieważ torturą jest zarówno obecność Nieprzyjaciela, jak i nieobecność Boga.

Ale powietrze było słodkie i złożono ją na miękkim łóżku, woda obmyła jej skórę, a potem maść złagodziła potworny ból, który obejmował jej ramiona i plecy. Nakarmiono ją owsianką

tak delikatną i ciepłą, że splywała do gardła niczym balsam na zbolale serce.

Ale nikt jej jeszcze nie odpowiedział. W polu widzenia pojawiła się twarz, niewyraźna jak rybki przemykające pod powierzchnią wody. Była wiekowa, pomarszczona jak jabłko z ubiegłorocznych zbiorów.

--Czym było Wielkie Rozdarcie? -- zapytała Rosvita, zaskoczona, słysząc swój głos: ochrypli od bólu, trudów podróży i porażki. Dlaczego zadawała to pytanie? Skąd ono się wzięło?

Stara kobieta wtarła maść w jej policzki. Przez chwilę piekło.

--Cierpisz z powodu braku wody oraz nadmiaru słońca, bólu i lęku, moje dziecko -- rzekła głosem zmatowiałym ze starości. -- Kto ci powiedział o Wielkim Rozdarcu?

--Nie wiem -- odparła Rosvita zadziwiona. Jej oczy przyzwyczyły się do panujących tu ciemności. Dwa otwory w kamiennej komnacie wpuszczały światło i powietrze i uświadomiła sobie, że leży na łóżku pośrodku okrągłego pokoju wyciosanego w skale. Otynkowane ściany pokryte były freskami, które dawno temu popękały i pokruszyły się ze starości. Ludzie -- nie, nie ludzie, ale stworzenia podobne ludziom -- wpatrywały się w nią oczami zielonymi jak jadeit, ich skóra przybrała zielonkawy odcień brązu. Okrywało ich raczej upierzenie niż ubranie, piękne pióra, proste spódniczki uszyte ze skóry i futer, sprytnie zawiązane przepaski biodrowe, szale utkane z muszli, złotych paciorków i klejnotów. W tych malowidłach zawarta była jakaś historia, żyzny ład rozdarty najazdem, zrozwazdzeniem, zdziesiątkowani mieszkańcy, działania magów, z których każdy trzymał laskę wyrzeźbioną z czarnego kamienia. Mężczyzna z ich ludu był żywcem obdzierany ze skóry, a z jego krwi rodzili się wojownicy. Wielkie miasta o rozległej i skomplikowanej architekturze płonęły i waliły się w gruzy. I była tam korona gwiazd: kamienny krąg ustawiony pod nocnym niebem jaśniejącym gwiazdami. Tylko jedna konstelacja zaznaczona była klejnotami nad tym kręgiem, konstelacja Dziecka, które zostanie Królową; sięgała ku błyszczącemu rojowi siedmiu gwiazd, zwanego Koroną, który mieścił się dokładnie nad Rosvitą, na kopule stanowiącej sufit komnaty.

--Gdzie jestem? -- wyszeptała Rosvita.

--Jesteśmy w klasztorze Świętej Ekatariny, która modliła się i pościła na pustyni przez wiele dni, dopóki w niebiosach nie ujrzała wizji tytanicznych zmagających i latających smoków. I rzekł do niej głos: „Wszystko, co zostało utracone, odrodzi się na tej ziemi dzięki Wielkiemu Objawieniu podobnemu Wielkiemu Rozdarcu, w którym zniknęli Aoi”. Potem przybyła do tego miejsca. Znalazła tu malowidła, które opowiedziały jej o straszliwych czasach, gdy Zaginieni władali krainami śmiertelnych. Założyła tu klasztor, a nasza garstka podążyła za nią, by dbać o to, co Bóg zachował.

--Czy to są pozostałości po samych Aoi?

--Kto to wie, dziecko? Zostały namalowane dawno temu. Być może są ostatnim testamentem Aoi. Być może przedstawiają wspomnienia ludzi, którzy żyli w dawnych czasach, nim posiadli zdolność zapisywania swych wspomnień. Ale musisz odpoczywać. Musisz spać.

--Inni?

--Są bezpieczni.

Wyszła i Rosvita została sama, chociaż niezupełnie -- z powodu tych stworzeń, które patrzyły na nią ze ścian, oskarżycielskie, żalosne, dumne i gniewne. „Nie są jak my”. Wyglądali na twardych i okrutnych, aroganckich, przebiegłych i niezdolnych do przebaczenia. Co matki

Kościół pisał o elfach? „Zrodzeni ze związku między ludźmi i aniołami”. Całe chłodne piękno aniołów i bestialskie namiętności ludzkości.

Matka Sanglanta tak wyglądała. Rosvita widziała ją raz, gdy sama była bardzo młodą kobietą, dopiero co przybyła na dwór króla Arnulfa. Elfka nazywała się „Alia”, co oznacza po dariyańsku „Inna”, a nikt nigdy nie poznał jej prawdziwego imienia. Chciała czegoś i wszyscy sądzili najpierw, że chciała dziecka, ale potem porzuciła je niedługo po porodzie.

Czego naprawdę chciała Alia? Czy kiedykolwiek się dowiedzą?

Za freskiem wyobrażającym kamienny krąg i zgromadzenie magów Aoi namalowany obsydianowy nóż zdawał się przecinać opowieść przedstawioną na tych ścianach, jakby ją kończył. Za cięciem noża było jedynie malowidło z ostrymi klifami, brzegiem i chłodną przestrzenią pustego morza. Wszystkie elfy, wszystkie miasta, ich kłopoty i wrogowie zniknęli.

4.

Liath nie lubiła być w ciąży. Czuli się głupio i niezgrabnie, uwięziona w dziwny sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła, zupełnie jakby przedtem mogła wstępować z ziemi w eter bez oglądania się za siebie, a teraz stworzenie rosnące w niej przykuło ją do ziemi. Czuli się też zmęczona, nieswoja, płaczliwa i rozkojarzona. I cały czas siusiła.

Ale poza tym była absolutnie i wspaniale szczęśliwa. Teraz, z westchnieniem zadowolenia, usiadła na krawędzi łóżka. Oczywiście, była to pierwsza rzecz, jaką Sanglant pomógł Heribertowi zbudować, gdy cztery miesiące temu przybyli do Verny. Sanglant padł na łóżko za nią i wyciągnął się, jedną ręką podpierając głowę, a drugą kładąc na jej brzuchu, i jak powiadał, wyczuwając bicie serca ich dziecka.

--Silne i czyste -- rzekł w ciszy. -- O co chodzi, Liath?

Obojętnie drapała łeb psa Eików, zwiniętego pod łóżkiem, ale jego słowa zmusiły ją do wypowiedzenia na wpół uformowanych myśli, które kłębiły się jej w głowie w przyjemnym chaosie.

--Kiedy obliczam poruszenia planet w niebiosach na nadchodzące miesiące i lata, zawsze zatrzymuję się o północy dziesiątego dnia Octumbre w roku 735. Tego dnia widzę wielkie oznaki zmian, rosnące siły, możliwość mocy zmian. Trzy planety w nadirze, dwie zachodzące, a księżyc w pierwszej kwadrze znajduje się za horyzontem w znaku Jednorożca, choć wszędzie we wczesnych godzinach porannych. Tylko Aturna wschodzi o północy w znaku Uzdrowiciela, to znaczy, dokładnie pomiędzy Uzdrowicielem i Pokutnikiem.

--Czy to dobrze wróży? -- zapytał Sanglant. -- Sądzilem, że nie można wyczytać przyszłości z gwiazd i pewnie jeszcze nie mamy roku 735. A może mamy?

--Nie, nie. -- Sięgnęła po glinianą tabliczkę i bawiła się przywiązany do niej rysikiem, a potem, wyrwana z zamyślenia przez gomółkę sera leżącą na stole, ucięła sobie kawałek i zjadła. -- Mamy rok 729, a niedługo nadejdzie 730. Ale ruchy wędrujących gwiazd są stałe, możemy więc przewidzieć, gdzie się znajdą w dowolnym czasie. Ale kiedy obliczam mapę na ten dzień, czuję, że brakuje mi jednej rzeczy. Że gdybym ją miała, wszystkie omeny nabrałyby sensu.

Sanglant jęknął w udawanym bólu.

--Może myśląc, mogłabyś zająć się bólem w moich plecach, rękach i nogach. Nigdy nie widziałem tak potężnego świerku jak ten, który się zwałil... -- Urwał, potarł zadrapanie na lewej ręce i mówił dalej: -- Jak ten, którego wczoraj zwałilem. Cały dzień walilem w nieustępliwe drewno, drapany przez igły i teraz okropnie mnie swędzi, i plecy mnie boją. -- Ale rzekł to ze śmiechem, nigdy się nie skarżył. Przysunął się bliżej, zwijając za jej plecami, gładząc ją. -- Czy prośba o godzinkę czystej przyjemności to zbyt wiele?

Ona i tato żyli bez śmiechu, ale z Sanglantem łatwo się było śmiać.

--Ja już nie mam godzinki czystej przyjemności. Dlaczego ty masz mieć? -- Uprzejmie nie odpowiedział, tylko położył się na brzuchu, ukazując swe piękne umięśnione plecy w świetle latarni zawieszanej na belce nad nimi.

Z pomocą Heriberta oczyścił nie używaną szopę, zatkał dziury w ścianach, położył nowy dach, postawił czwartą ścianę i wstawił drzwi w futrynę. Pierwszym meblem było łóżko: cztery nogi, wzmocnienie z liny i puchowy materac, w którym zanurzali się z przyjemnością każdej nocy. Zrobił też skrzynię, na której można było usiąść i w której trzymał swą zbroję, oliwioną i

polerowaną raz na tydzień. Podczas ostatnich miesięcy buszował w herbarium siostry Meriam i półka zawieszona wysoko nad skrzynią pełna była olejków, maści i woreczków z suszonymi ziołami.

Zamknął oczy, gdy wcierała mu w plecy maść i smarowała papką z rozdrobnionego korzenia marchwi zadrapania na rękach i przedramionach, tam gdzie tunika nie chroniła go przed świerkowymi igłami. Zapach żywicy zmieszał się z aromatem imbiru.

By to absorbujące zajęcie, czuć jego skórę pod dłońmi, wygięcie jego ciała; uśmiechnął się nieznacznie z zadowolenia. Żył tak łatwo w świecie, w chwili obecnej, całkowicie w królestwie zmysłów. Czasami ją to irytowało, ale kiedy indziej napawało podziwem. Nigdy nie będzie taka jak on. Nawet teraz jej myśli krążyły, jakby wpadły w wiecznie ruchomy wir niebios.

Czy to niebiosa poruszały się ze wschodu na zachód? Czy też Ziemia obracała się z zachodu na wschód? I Ptolomaia, pisząca wieki temu, i jinnijski astronom al-Haytham, piszący zaledwie dziesięć lat temu, wierzyli, że prawa fizyczne i fakty dające się zaobserwować, udowadniają, że Ziemia pozostawała nieruchoma w centrum niebios, które obracały się wokół niej. Ale starsi autorzy twierdzili, że jest odwrotnie. Naprawdę, fakt, że nikt nie znalazł odpowiedzi, czynił pytania jeszcze bardziej interesujące.

Sanglant stęknął, gdy zabrała się do przykurczu w jego plecach. Bóg wiedzieli, że nie należał do tego gniazda matematyków. Chociaż dlaczego nie? On też potrzebował schronienia. Potrzebował odpoczynku, miejsca, w którym byłby spokojny. Miał teraz mniej koszmarów i już nie zachowywał się tak jak pies. Ale czasami się martwiła, że znudzi się, nie mając nic do roboty prócz ścinania drzew i pomagania Heribertowi w budowie. Ona jeszcze nie była gotowa do odejścia. Tyle jeszcze trzeba było się nauczyć, że to czasami bolało: wiedziała, że dotarła wreszcie do miejsca, w którym pozwolą jej się uczyć, nie karząc za to, kim była.

A jednak...

Delikatnie pogładziła go po policzku.

--Dlaczego nigdy nie czuję, że mogę im zaufać? -- wyszeptała, pochylając się do jego ucha. Wszędzie obecni byli służący, i nigdy nie wiedziała, co donoszą Anne, która ich kontrolowała. -- Dlaczego nie ufam własnej matce?

Ale on zasnął.

Może tak naprawdę on nigdy nie odpowie. Może nigdy nie pozna odpowiedzi. Nie mógł robić dla niej wszystkiego. Ani ona nie mogła mu na to pozwolić.

Pocałowała go, nałożyła sandały i wyszła. Podreptała znaną ścieżką, już wydeptaną, ku wygodkom za budynkami. Noc wokół niej była pochmurna i chłodna, ale nie miała problemu z widzeniem w przyćmionym świetle, nigdy nie miała. W ciąży przestała nosić nogawice, ponieważ były bardzo niewygodne, i ubierała się tylko w starą tunikę, luźno spiętą pasem, opinającą jej rosnący brzuch i sięgającą łydek. Nikt z jej towarzyszy nigdy nie powiedział nic głośno, ale jasne było, że nie pochwalali, iż ona i Sanglant odziewają się niedbale -- ona jak chłopka, on jak żołnierz. Chociaż magowie nosili szaty z najprzedniejszej materii, szaty były już przecierane; nie obchodziły ich tak przyziemne sprawy jak ubranie -- tak przynajmniej twierdzili. A poza tym tato zawsze powtarzał: „To nie piękne piórka tylko umiejętność pływania robią z kaczki kaczkę”.

Ale ich krytyka i tak nie miała znaczenia. Nie miała materii na nowe ubrania i żadnego sposobu, by ją zdobyć, chyba że służący utkaliby dla niej szatę z promieni słonecznych albo

sieci pajęczej czy żyłek liści. Bez wątpienia zrobiliby to, gdyby tylko potrafili, choćby po to, by zadowolić Sanglanta. Widziała ich jakiś tuzin, zwiniętych na okapie starej szopy, ale gdy szła ścieżką ku kamiennej wieży, podążał za nią tylko jeden. Był to zawsze ten sam, podobny kobiecie demon o teksturze płynącej przezroczystej wody, ale tak naprawdę nie interesował się nią, tylko tym, co w niej rosło, jakby jej ciąża nałożyła na niego czar, by pozostawał przy jej boku. Reszta nadal się jej bała.

Otworzyła drzwi do wieży, znalazła na stole latarnię i otworzyła jej drzwiczki z mlecznego szkła. Polizala palec wskazujący i kciuk i przytknęła je do knota. Zapalił się ogień, zajęła oliwa i latarnia zapłonęła równo. Anne nauczyła ją tej sztuczki, wyszkoliła ją w ścieżkach umysłu pozwalających kontrolować tak niewielki ogień, jak dziecko, które tak dobrze zna litery, że rozpoznaje je podświadomie. Służąca cofnęła się przed płomieniem, ale choć była przestraszona, nie opuściła izby, tylko stała nieopodal niby zaniepokojona niańka. Liath położyła tabliczkę i rysik na stole i otworzyła biblioteczkę, w której efemerydy stały pośród podobnych sobie skarbów: skład stuleci wiedzy wyrwanej i ocalonej przed zniszczeniem przez czas i ignorantów. Tak zawsze mówiła Anne.

Jej dłoń dotknęła grzbietu wytartych efemeryd, ale rozkojarzona wyjęła *Syntaxis Ptolomai*. Otworzyła drugi rozdział, w którym szanowana autorka stawiała sześć hipotez. Pierwszą, że niebo ma kształt sferyczny i porusza się sferycznie; drugą, że Ziemia jest sferą; trzecią, sytuującą Ziemię w centrum wszechświata; czwartą, że w rozmiarze i odległości Ziemia ma stosunek odpowiedni do sfery gwiazd nieruchomych; piątą, że Ziemia jest nieruchoma, nie porusza się z miejsca na miejsce; szóstą, że w niebiosach występują dwa ruchy, jeden dzienny, niosący wszystko ze wschodu na zachód, oraz ruch Słońca, Księżyca i gwiazd po ekliptyce z zachodu na wschód.

Znów wstała i wyszła. Czy to ciąża sprawiała, że była niespokojna, czy też nagły dopływ wiedzy, ciągle studia, nacisk pięciorga towarzyszy w sztuce, których oczekiwania wywierały ciągłą presję? Tyle od niej chcieli. Tyle chciała od siebie. Tylko Sanglant niczego od niej nie oczekiwał, choć to też nie była prawda; jego oczekiwania były po prostu inne niż ich, mniej otwarte i naglące, ale pewnie bardziej wewnętrzne.

Wiatr znad szczytów rozgonił chmury i ujrziała gwiazdy. Sfera niebios kręciła się ze wschodu na zachód, i tak widziane z nieruchomej Ziemi gwiazdy wstawały na wschodzie i zachodziły na zachodzie. Ale może to niebiosy pozostawały nieruchome, a Ziemia kręciła się z zachodu na wschód, jak sugerowali od dawna nie żyjący aretuzańscy astronomowie Hipparchia i Aristachius. Dałoby to taki sam efekt, prawda? A może i niebiosy, i Ziemia obracały się wokół tej samej osi, zachowując swe widoczne różnice dzięki rotacji z różną szybkością.

Podniosła kamień i rzuciwszy go w powietrze, wystawiła dłonie nad głowę. Z łomotem wylądował za nią. Jeśli Ziemia się poruszała, to czy gdyby wyrzuciła kamień z odpowiednią siłą prosto w powietrze, ruch Ziemi przesunąłby ją, zanim kamień spadłby z powrotem?

O Boże, znów musiała się wysiusiać. I kiedy już skończyła, jej myśli wróciły do gnębiącego pytania, jedyne, które jej nigdy nie opuszczało: Dlaczego im nie ufała?

Noc nie była dobrą porą, by rozplątywać taki węzeł myśli. Znów była zmęczona; wyczerpanie zawsze przychodziło nagle. Ale zostawiła płonąca latarnię i wyjęta książkę, więc wróciła do wieży. Było tam równie spokojnie jak wtedy, gdy wyszła, latarnia paliła się cicho, na stole leżała otwarta książka, ta chwila zawieszona w czasie sprawiła, że jej myśli wróciły na

poprzednie tory. Na pewno nie mogła wyrzucić kamienia z odpowiednią siłą, by potwierdzić teorię obracania się Ziemi. W porównaniu z niebem Ziemia była niewielka, ale nie oznaczało to, że ludzie stąpający po jej powierzchni mogli ją szybko pokonać. Widziała statki wynurzające się zza horyzontu, najpierw maszty i żagle; sugerowało to nie tylko krągłość Ziemi, ale też jej olbrzymi rozmiar w porównaniu z ludzkimi krokami. Wydawało jej się, że musiałaby jedynie znaleźć miejsce, w którym palik wbity w ziemię podczas letniego przesilenia nie rzuca cienia. Potem mogłaby pójść na północ wzdłuż tej samej długości geograficznej, mierząc swą drogę, i w następne przesilenie letnie musiałaby jedynie zmierzyć cień rzucany przez kolejny palik wbity w innym miejscu. Gdyby znów nie było cienia, Ziemia nie jest kulista; ale gdyby była, mogłaby obliczyć obwód Ziemi, mnożąc stopień kąta przez odległość pomiędzy dwoma punktami. W *Księdze Tajemnic* tato pisał o mieście daleko na południu, w spalonym słońcem Gypsosie, gdzie święty Piotr Geometra wykopał studnię, umieszczoną tak, że w letnie przesilenie promienie Słońca dotykały jej dna. Gdyby z tego miejsca ruszyła na północ...

--Twoje myśli są daleko stąd.

Podskoczyła i jęknęła głośno, niemal komicznie, i z ulgą ujrziała siostrę Meriam stojącą za progiem, trzymającą w prawej ręce laskę. Liath pomogła jej przejść przez próg.

--Zobaczyłam światło -- powiedziała Meriam. -- Nie obudziłaś brata Severusa?

Liath spojrzała ku drabince prowadzącej do klapy w suficie.

--Byłam cicho.

--To dobrze -- odparła Meriam. Bez pytania o zgodę położyła powykręcaną rękę na brzuchu Liath, ale miała władzę starszej; Liath nie czuła się urażona jej szczerymi słowami czy zachowaniem. -- Rośniesz, jak powinnaś. Gdzie jest książę?

--Śpi.

--Tyle węzłów.

--Co masz na myśli?

Meriam cofnęła dłoń. Wiek ją wysuszył; była tak mała, że Liath czuła się przy niej jak olbrzym.

--To, co mówię: tyle węzłów na niciach, które wiążą jedno ludzkie życie z drugim.

--Skąd pochodzisz? -- zapytała nagle Liath. -- Jak się tu znalazłaś?

--Pochodzę ze wschodu -- odparła Meriam sucho, wskazując swą ciemną skórę.

--Wiem! -- Liath roześmiała się, po czym opanowała i spojrzała w górę, wiedząc, że Severusowi nie spodoba się, jeśli go zbudzi. Nie lubił na nią patrzeć; jej ciąża wywoływała w nim obrzydzenie. Ale jego obrzydzenie sprawiało, że zastanawiała się, dlaczego tak uczony mąż denerwował się takim drobiazgiem. Co go to obchodziło? -- Chodziło mi -- rzekła -- skąd ze wschodu? Jak się tu dostałaś?

--Przybyłam jako ofiara.

--Ofiara!

--Dar. -- Wiek i czas złagodziły jej akcent, powiew egzotycznych przypraw i brutalnego słońca. -- *Khshayathiya* wysłał mnie w darze królowi Wendarczyków, ale król nie wiedział, co ze mną zrobić, więc oddał mnie jednemu ze swych diuków. Kiedy dojrzałam, zaprowadzono mnie do jego łóża. Jakiś czas potem urodziłam syna.

--Czy mówisz -- powiedziała Liath powoli, oszołomiona -- że jesteś matką Konrada Czarnego, diuka Waylandii?

--Owszem, jestem.

Liath wydawało się niemożliwe, by ta drobniotka kobieta w ogóle kiedykolwiek rodziła, nie wspominając o wydaniu na świat tak postawnego człowieka jak diuk Konrad.

--Ale masz posiadłości do nadzorowania. Dziecko, by nad nim czuwać. Wnuki! Dlaczego tu jesteś?

Meriam była zbyt stara, by się obrażać za tak impertynenckie pytania.

--To, że urodziłam jedno żywe dziecko i troje martwych, nie zmieniło wytyczonej dla mnie ścieżki. Tylko ją opóźniło. Kiedy mój syn dorósł, wziął żonę i objął księstwo, byłam wolna, by odejść. Nie potrzebował już dozoru.

Liath stłumiła wybuch śmiechu.

--Spotkałaś go? -- zapytała Meriam bez uśmiechu, ale z prostotą dumnej matki znającej wartość swego dziecka.

Liath zastanowiła się, co odpowiedzieć i wybrała ostrożność.

--Trudno go zapomnieć.

--Nie jesteś taka jak on. -- Meriam przesunęła suchymi placami po skórze Liath. Mimo wieku na jej dłoniach nie było odcisków; od dzieciństwa aż do dziś żyła jak szlachcianka, nigdy nie zniżając się do codziennej pracy. Liath miała odciski, pozostałość po życiu z tatą, które Meriam zbadala swym delikatnym dotykiem, jakby skóra Liath ujawniała całą jej historię po jednym przesunięciu palcem. -- Nie jesteś z krwi Jinna. Kim jest rodzina twego ojca? Skąd pochodzi ta karnacja?

--O rodzinie mego ojca wiem tylko, że ma kuzynkę, panią na Bodfeld. Ale czy nie mogę jej mieć ze strony matki?

Meriam spojrzała na nią dziwnie.

--Czy Anne nie rozmawiała o tym z tobą?

--O czym?

--Wobec tego to nie moja rola.

Kiedy Meriam przemawiała takim tonem, Liath wiedziała, że próby nakłonienia jej do dalszych wypowiedzi były bezcelowe. Nawet brat Severus z całą swą arogancją nie mógł jej zastraszyć. W cichości prywatnego spotkania w spokojną noc Liath nie mogła się powstrzymać przed zadaniem jeszcze jednego pytania.

--Powiedziałaś, że twoja ścieżka została dla ciebie wytyczona. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Dlaczego tu jesteś, siostró Meriam?

Wiatr poruszył drzwiami. Wzdłuż belek kłębiły się cienie, służący układał się, by słuchać lub spać -- jeśli w ogóle sypiał. W przyćmionym świetle łatwo przychodziło zapomnieć, jak krucha i stara była Meriam; jej głos wciąż miał w sobie siłę młodości.

--Zabrano mnie ze świątyni Astoreosa. Tego, który jest Ogniem Wcielonym, gdzie miałam zostać jego akolitką, kapłanką Świętego Ognia. Nauczyłam się już wtedy wystarczająco dużo, by znać me zadanie w życiu, ponieważ pewne kapłanki stamtąd miały dar wieszczenia. To, że me przeznaczenie powiodło mnie na jakiś czas gdzie indziej, to jedynie kolejny węzeł w płataninie życia.

--Wobec tego zawsze miałaś zostać magiem, jak ja?

Meriam zachichotała: starość rozśmieszona przez zaślepienie młodości.

--Nie, nie tak jak ty. Przybyłam tu, by ocalić to, co zdołam.

--Ocalić przed czym?

--„Kiedy korona gwiazd zwieńczy niebo...” Ach. Ale ty jeszcze nie skończyłaś swych obliczeń.

Ta rzucona mimochodem uwaga znów wytrąciła Liath z równowagi, niby kamień opadający na ziemię z dala od swego miejsca spoczynku. Te przekłete obliczenia. Co przeoczyła?

--Dowiesz się, gdy to ujrzysz -- powiedziała Meriam, odpowiadając na nie zadane pytanie.

--Dlaczego wszyscy robicie z tego łamigłówkę? -- zapytała Liath. -- Dlaczego nie możesz mi po prostu powiedzieć, czego szukam?

--Bo naprawdę nie zrozumiesz, nad czym pracujemy, dopóki sama tego nie odkryjesz. -- Liath zaczęła protestować, ale Meriam uniosła dłoń. -- Oczywiście, można twierdzić, że ponieważ widziałas, jak się jeździ na koniu, sama potrafisz jeździć. Ale nie umiesz jeździć, dopóki sama nie pojedziesz. Prawda?

--Nie rozumiem...

--Nie rozumiesz, bo tkwisz w przekonaniu, że sztuka matematyków jest jak opowieść, coś, co zrozumiesz równie dobrze, gdy się tobie czyta i gdy sama czytasz. Ale sztuka matematyków to nie opowieść, to umiejętność, jak jazda konna, walka, zarządzanie posiadłością, coś, czego doskonalenie wymaga czasu i wysiłku. Czy pozwoliłabyś uczniowi tkacza wykonać królewskie szaty? Nowicjuszowi iluminować Święte Wersy? Powierzyłabyś życie pilotowi, który nigdy wcześniej nie płynął przez te cieśniny? Ty, spośród wszystkich ludzi, musisz zrozumieć to w pełni.

--Czemu? -- A potem Liath roześmiała się, nauczywszy się tego od Sanglanta. -- Nieważne, siostrzo. Wiem, co powiesz. Powiesz, że gdy zrozumieć w pełni, zrozumieć również, dlaczego muszę rozumieć w pełni.

--Oto początek rozumienia. -- Czy Meriam była rozradowana? Trudno powiedzieć. Była zbyt stara, by łatwo ją było przejrzeć. Jak wszyscy magowie, miała w sobie warstwy w warstwach, z których żadnej nie dawało się łatwo zdjąć.

--Czy po to tu jesteś, by zrozumieć?

--Nie -- odparła tak cicho, że setki złych przeczuć zmroziły się w sercu Liath w potworne przecucie, a noc nie wydawała się już tak spokojna. -- Jestem tu, by uratować moje dziecko i dzieci mego dziecka przed tym, co nadejdzie.

Sanglant obudził się nagle i poderwał na kolana na łóżku, gotów do ataku, nim uświadomił sobie, że nadszedł świt, i Liath po prostu zamknęła za sobą drzwi, wychodząc. Odpędził od siebie sen, strach i wspomnienia.

Czasami myślał, że sny o Krwawym Sercu nigdy się nie skończą. Czasami przypominał sobie, że co drugą noc przesypiał w spokoju i w ogóle nie śnił.

Obudził się w nocy, gdy Liath wróciła, i odbyli długą rozmowę, z której teraz przypominał sobie jedynie, że oprócz zjedzenia całego chleba i sera Liath mówiła o tym, iż nie może zaufać temu gniazdu matematyków, w które wpadli. Może tak naprawdę się nie obudził. Niekiedy nie wiedział, czy nagle ataki przeczuć Liath były jedynie cieniami utkanymi z jej strachu, czy prawdziwymi wizjami prawdy, która objawiała się na moment. On doskonale wiedział, że nie należy ufać gniazdu matematyków, szczególnie tak potężnych i zakamuflowanych jak ci, zwłaszcza mając świadomość, że przynajmniej jeden z nich chciał go zabić. Może Liath cierpiała tylko dlatego, że pragnęła im zaufać. Chciała, by wszyscy dzielili jej szczery

zachwył dla wiedzy, pragnęli poznać rzeczy dla samego poznania. Chciała, by byli prości, szczerzy i czysti.

Ale on długo żył na dworze. Stoczył więcej bitew, niż zdołał zliczyć i znów będzie walczył, jeśli zajdzie taka potrzeba, a potem modlił się do Boga o spokój. Widział śmierć wielu ludzi. Rzeczywiście, byli tacy, którym można było zaufać, otwarte, szczerze dusze jak jego biedne, martwe, wierne Smoki czy nawet kilku starych przecherów, jak Helmut Villam, który chronił twoje plecy, gdy walczyłeś o życie. Na świecie mogły istnieć jakieś czyste dusze, ale on w to wątpił.

Przekonał się, że większość ludzi na tym świecie była miła -- dopóki sam ich dobrze traktowałeś -- ale na pewno nie czysta. Mimo że żyła, kryjąc się i uciekając, Liath bywała zaskakująco naiwna.

Ale Bóg mu świadkiem, nigdy nie pożądał kobiety tak bardzo, jak pożądał jej. A w swoim czasie pożądał i sypiał z wieloma kobietami.

Uśmiechnął się, ubrał, szturchnął psa, wyszedł i ujrzał Liath strzelającą do samej siebie z łuku.

Najpierw zagapił się głupio, widząc ją na łące przed chatką: nigdy wcześniej nie widział podobnego pokazu durnoty. Wycelowwała dokładnie nad głowę, jakby strzelała w niebo, naciągnęła cięciwę i spuściła strzałę.

--Liath! -- wrzasnął, skacząc ku niej.

Stała plecami do słońca i do niego i zadarła głowę, patrząc, jak strzala leci w górę, w górę, w górę, a potem, jak każdy dureń wie, zwalnia, obraca się i spada z powrotem ku ziemi. W nią. Cofnęła się o krok, jej stopa utknęła w dziurze w ziemi i upadła w chwili, gdy strzala stanęła w płomieniach nad jej głową i spadła na ziemię jako popiół, obsypując Liath.

--Liath! -- krzyknął, klękając obok niej, ale ona śmiała się i masowała biodro, które odbiła.

--Nie zauważyłam dziury! -- oświadczyła radośnie.

--Zauważyłabyś, gdybyś patrzyła w ziemię i uważała, dokąd idziesz!

--Ale wtedy nie mogłabym obserwować lotu strzały!

--O Boże -- mruknął Sanglant, pomagając jej wstać i na wszelki wypadek wyjmując łuk z ręki. Położył dłoń na jej brzuchu, nasłuchując dziecka. Jego serce biło równo, przyśpieszając, gdy płód się poruszał i zwalnając, gdy nieruchomiał. Żadnej szkody. -- Coś ty, na Boga, robiła?

--Nic. Próbuję sprawdzić, czy Ziemia się kręci. Bo jeśli tak, to na pewno strzala wystrzelona wystarczająco wysoko, wyląduje w pewnej odległości od łucznika. Dlatego że łucznik, stojący na Ziemi, przesunąłby się, skoro Ziemia obróciłaby się w czasie, gdy strzala osiągnęłaby wysokość i zaczęła spadać...

--Na twoją głowę!

--Nie, jeśli osiągnie się odpowiednią wysokość lub szybkość obrotu. -- Skrzywiła się, masując posiniaczone biodro, a potem stopą wtarła resztki strzały w trawę, przybierając zamyślony wyraz twarzy.

Za nią świeciło wschodzące słońce, wznosząc się ponad górskie szczyty. Jeszcze nie zaplotła włosów i kosmyki otaczały jej twarz, wijąc się delikatnie na szyi. Jak często łapał się na tym, że po prostu ją podziwia, jakby w tej chwili nie istniało nic innego? Zupełnie jakby część jej zadomowiła się w nim, rozparła w jego duszy na długo przedtem, nim sobie uświadomił, że ona tam jest. Był jej więźniem bardziej niż Krwawego Serca, a jednak w tym

wypadku sam sobie wykuł łańcuchy i nie były z żelaza. To, co ich łączyło, pozostawało niewidzialne, a jednak nie mniej silne. W takich chwilach jak ta czuł się zaślepiony szczęściem.

Podniosła wzrok i ujrzała, że na nią patrzy, a potem uśmiechnęła się promiennie i wskazała swój łuk, który trzymał.

--Chcesz spróbować? -- zapytała radośnie.

W takich chwilach jak ta myślał, że pewnie nigdy jej nie zrozumie.

Rozdział dziesiąty

Na widoku

1.

Smutek, Furia i Strach obudziły go tego ranka, jak każdego, psimi pocałunkami, wilgotne języki lizały go po twarzy. Nie przestały go gnębić, dopóki nie wytoczył się z łóżka, nie umył twarzy, nie opróżnił pęcherza i zawołał służącego, by przyniósł mu tunikę i nogawice. Poprowadził je w dół schodów na zewnątrz, gdzie biegały, ciągnąc się za ogony i rzucając jak dzikie stworzenia, szczekając z radości, kłapiąc zębami na girlandy lodu na niskich gałęziach. Śnieg jeszcze nie spadł, choć od Łuczywa, pierwszego dnia zimy, dzielił ich ledwie tydzień, ale każdego ranka ziemia lśniła od lodowato pięknego szronu.

Kiedy psy się już wybiegały, gwizdnął na nie i posłusznie podążyły za nim do dworca. Usadził się na krześle hrabiego, a jego ludzie przyszedli jak każdego dnia, bacząc na psy, które leżały u jego stóp, ale pełni szacunku: w tym tygodniu tyle i tyle jablek zostało utłuczonych i ustawionych w beczkach na jablecznik; kozy weszły w oziminę w dworze Ravnholt i mężczyzna, który uprawiał pole, chciał, aby właścicielka kóz zapłaciła mu grzywnę za wyrządzoną szkodę; robotnik z Teilas prosił hrabiego o pozwolenie na małżeństwo w nowym roku; pasterze wyznaczyli pięćdziesiąt sztuk bydła na rzeź w Novarianie, uznając je za niewarte dalszej hodowli; jego klerycy chcieli wiedzieć, które spichlerze otworzyć, by rozdać chleb ubogim. Księżna Yolande przysłała posłańca z wiadomością, że przybędzie świętować dzień świętej Herodii ze swą ukochaną kuzynką. Mieli jakieś sześć tygodni, by przygotować się do ugoszczenia i nakarmienia orszaku. Sokoly i myszolowy musiały polatać. Trzeba było urządzić polowanie, tak dla sportu, jak i dla mięsa, które można uwędzić na zapasy na przednówek.

W południe zjadł coś i potem, jak zwykle, wspinał się schodami do komnaty, w której ciało Lavastine'a spoczywało zimne jak kamień, bez śladu rozkładu. Groza leżała po jednej stronie łóżka, Wiarus po drugiej, dwóch wiernych towarzyszy, zdawałoby się wykutych z marmuru. Tu obok łóżka Alain modlił się każdego dnia, czasami godzinę i dłużej, jeśli czuł taką potrzebę, ale dziś jedynie położył dłoń na chłodnym czole Lavastine'a, szukając pogrzebanego głęboko ducha. Trudno było uwierzyć, że dusza z niego uszła, kiedy leżał tak idealnie wykuty, niby przez mistrza rzeźbiarza, zupełnie jak za życia. Alain zapłakał, jak zawsze, ze wstydu za swe kłamstwo.

O Boże. Tallia nie miała swych miesięcznych krwawień od śmierci Lavastine'a ponad dwa miesiące temu. Wszyscy mówili, że jest w ciąży, a sama Tallia zaczęła przebąkiwać o świętym poczęciu i strumieniu złotego światła, które nawiedziło ją podczas modlitw, które w tych dniach zajmowały jej niemal cały czas. Alain nie mógł się powstrzymać i miał bezpodstawną nadzieję, choć wiedział, co powiedziałyby ciotka Bel: „Żadna krowa się nie ocieli, jeśli byk jej wcześniej nie pokryje”. To był jeden z jej sposobów przypominania, że praca sama się nie robi, a Alain miał gorzką świadomość, że nie wykonał swego zadania.

Ale był po prostu zbyt zmęczony, by walczyć z oporem Tallii. Wystarczająco trudno było ją każdego dnia namówić, żeby zjadła coś więcej niż okruszynę chleba. Wystarczająco trudno było wstawać każdego ranka i zasiadać na hrabiowskim krześle, dosiadać hrabiowskiego konia i przemawiać hrabiowskim głosem; wciąż oczekiwał, że Lavastine wejdzie do komnaty, ale nigdy się to nie zdarzyło.

Ale jak mawiała ciotka Bel, nie ma sensu, by dziecko płakało nad rozlanym mlekiem, niech lepiej sprzątnie i przejdzie nad tym do porządku dziennego. Lavastine by się z nią zgodził.

Alain otrząsnął się, pocałował granitowe czoło i wyszedł.

Dużo myślał o ciotce Bel, idąc w towarzystwie trzech kleryków i dwóch lokajów do kościoła, żeby dogłębnie prowadzonych tam prac. Na wiosnę on i Tallia muszą się wybrać na wędrowną przez swe ziemie, by się pokazać, by przyjąć przysięgi i złożyć swoje. Jak go przyjmą w domostwie ciotki Bel? Z zaskoczeniem? Z szacunkiem winnym jego pozycji? Czy też z pogardą i gniewem? Nie mógł znieść myśli o Henrim; wciąż zbyt bolały, nawet po tak długim czasie. Rozwścieczało go, że spośród wszystkich ludzi właśnie Henri wierzył, że Alain mógł kłamać i oszukiwać, aby zyskać w życiu przywileje. Może lepiej byłoby po prostu przejechać obok i nie widzieć ich, nie teraz. Mógł poczekać. Nastanie kolejny rok.

Ale to byłoby tchórzostwo.

Kamieniarze siedzieli na słońcu przed kościołem, jedząc chleb i ser. Dziwne, dwórki Tallii również czekały przed kościołem, zbite na progu w gromadę niby zagubione gołębice.

--Panie hrabio -- Lady Hathumod podeszła z ociąganiem. Wyglądała na zaniepokojoną. -- Lady Tallia prosiła, by zostawić ją samą, ponieważ pragnęła zjednoczyć się z Bogiem.

--I tak się stanie. Wejdę sam. -- Nakazał swym dworzanom poczekać, a psy położyły się na progu.

Nie widział jej od wczoraj i, zatrzymując się w nawie cieniściego kościoła, nie dostrzegł jej, gdy jego oczy przyzwyczajały się do mroku. Światło z okna wychodzącego na wschód padało na ołtarz. W połowie nawy powoli powstawał kamienny sarkofag, kamień po kamieniu, by stać się odpowiednim miejscem spoczynku dla ciała Lavastine'a.

Szczupła postać klęczała na stopniach przed ołtarzem, jej ramiona były skulone i drżały. Podeszedł tak cicho, że go nie zauważyły, i gdy stanął za nią, usłyszał, że cicho jęczy z bólu.

--Tallio? -- Dotknął delikatnie jej ramienia.

Krzyknęła i szarpnęła się. W tejże chwili ujrzał, co robiła: drapała rany na dłoniach i nadgarstkach starym gwoździem. Krew płynęła z poszarpanych nacięć. Ropa zebrała się w ranie na prawej dłoni. Widząc jego przerażoną twarz, zaczęła płakać bezradnie.

Nie wiedział, co zrobić, prócz odebrania jej gwoźdźcia.

Wreszcie namówił ją, by wróciła do komnaty. Ułożył ją na łóżku i odgonił służące, nawet Hathumod. Tallia przestała szlochać, bo była zbyt słaba, żeby płakać. Jej zapadnięta twarz wyglądała niemal jak czaszka, skóra była tak przezroczysta, że prześwitywały niebieskie żyłki. Od dawna się nie myła: zauważył brud za jej uszami i na szyi. Jej stopy były uwalane, a kolana obtłuczone i szorstkie po tych wszystkich godzinach klęczenia. Jej nadgarstki zdawały się takie cienkie, że mógłby je złamać, gdyby się rozzłościł.

Ale, co dziwne, nie był zły. Czuł po prostu zmęczenie.

--Tallio -- rzekł wreszcie tonem, którego ciotka Bel używała, gdy przesiedziała trzy noce przy łóżku śmiertelnie chorego dziecka, które, gdy niebezpieczeństwo minęło, zaczęło narzekać, że nie lubi owsianki. -- Nie czujesz się dobrze. Zostaniesz w łóżku i każdego dnia będziesz jadła owsiankę i budyń chlebowy, i warzywa, i mięso, dopóki nie odzyskasz sił na tyle, by się tak nie zapomnieć.

Zacząła jęczeć.

--Ale Bóg musi mnie kochać. Bóg będzie mnie kochała tylko wtedy, gdy będę cierpiała jak Jej ukochany Syn. Poprzez nasze cierpienie stajemy się bliżsi Bogu. I ja też mogę stać się bliska Boga. Szkoda że nie pozwoliłeś mi zbudować kaplicy. Wtedy Bóg kochałaby mnie

bardziej, bo byłam taka posłuszna.

--Ja cię kocham, Tallio -- powiedział beznamiętnie. Czuł się zadziwiająco zmęczony. Gwóźdź ciążył mu w dłoni niby potworny grzech, którym może był. Nie rzucił go jej w twarz ani jej nie oskarżył. Może za pierwszym razem rzeczywiście zdarzył się cud.

Ale ona wciąż gadała o Boskiej miłości i strumieniu złotego światła, i czystym naczyniu ukształtowanym na oblubienicę Jej Syna, która odziana zostanie w zapach świętości jak wszyscy błogosławieni umiłowani przez Boga, podczas gdy -- nawet w komnacie zawieszanej suszoną lawendą i wiciokrzewem, by osłodzić zapach zimowego zamknięcia, i woreczkami z hyzopem i miętą, by odpędzić pchły i wszy -- czuł jej smród, przypominający skisłe mleko.

--Nie myłaś się -- powiedział. Wstał, przyniósł szmatkę i dzban i usiadł obok niej na łóżku. Był zbyt wyczerpany, by ją przekonywać, ale wiedział, co trzeba robić. -- Daj mi ręce.

Narzekła słabo, gdy mył jej ręce, łokcie, szyję i twarz, brudne stopy i kolana. Ponieważ ignorował ją i po prostu robił to, co należało, poddała się w końcu jego zabiegom.

Kiedy skończył, woda była brązowa. Obracał gwóźdź w palcach, badając go, ale niczego się nie dowiedział prócz tego, że jego koniec plamila krew. Gwóźdź nie umiał mówić. Potem spojrział na nią i zobaczył, że też patrzyła na gwóźdź, oczami tak wielkimi, jakby widziała w jego rękach zmięę. Westchnął, wyciągnął sakiewkę spod tuniki i wydobyl różę. Jej płatki, słodkie i chłodne, spoczęły na jego dłoni. Kolec uklął go w palec, popłynęła krew.

Zaskomlała, patrząc na niego albo na różę, albo na gwóźdź, albo jego krew, jakby były znakami Nieprzyjaciela. Albo może po prostu bała się, że zdradzi jej sekret i grzech.

--Leż spokojnie -- powiedział stanowczo i, zadziwiająco, leżała spokojnie, gdy przesuwiał delikatnymi płatkami wzdłuż brzydkich zadrapań na jej dłoni, gładząc ją w hipnotyzującym rytmie, gdy się kołysał...

...gdy się kołyszą, ciężko opadając na falach i zostawiając za sobą spokojne wody fiordu, wpływają do cieśniny. Stoi na dziobie statku, trzymając w jednej ręce pustą drewnianą czarę, a w drugiej drewnianą skrzyneczkę. Fale rozdzielają się przednim, opływają burty i formują z tyłu pianisty kilwater. W pianie podskakują głowy, jego zawsze obecni towarzysze.

Z jedenastoma okrętami gna ku Północnemu Jatharin, ponieważ z Hakonin przybył posłaniec, mówiąc, że ich ziemie graniczne zostały zaatakowane, a domy spalone przez Eików uderzających z Jatharin. Wielu niewolników uprowadzono lub zabito, a co najgorsze, ukradziono gniazdo pełne jaj. Taka zniewaga musi zostać pomszczona i jest to rodzaj testu. Jeśli nie może ochronić tych, którzy zawarli z nim przymierze, jego sojusznicy odpłyną jeden po drugim o świcie, szukając silniejszego. Szukając tego, który nazwał się Nokvim, wódza Moerinów, przyjaciela czarowników drzew z Alby.

Odwraca się wreszcie i kiwa na kapłana, który posuwa się naprzód, trzymając coś, co wygląda na oszczep całkowicie owinięty ufarbowaną na szafranowo materią.

--Wróciłeś z podróży -- mówi.

--Naprawdę? A jak sądzisz, gdzie byłem?

--Na północy i wschodzie, południu i zachodzie -- odpowiada. -- W górze i w dole. To wszystko są tajemnice, które mogą pojąć jedynie mądrzy.

--Kto jest mądry, a kto głupi? -- chichocze kapłan.

--Zobaczymy -- odpowiada. -- Co mi przyniosłeś?

--Kapłan w odpowiedzi wyśpiewuje bzdury, jak to zwykle czynią kapłani.

--Sokół leci, pustulka umiera. Woła kruk, pada buk. Złote jarzmo, stara pieśń. Wężowa skóra, w środku kiel. Skrzydło smoka, serce wilka. W pieśni fletu magii śmierć. Gdzie on stoi, kraj ożywa -- śpiewając, odwija materię, by ujawnić kawał drewna wysokości człowieka, ozdobiony piórami i kośćmi, nienazwanymi kawałkami skóry, przezroczystą skórą węża, poźółkłym zębem nawleczonym na sznurek, włosami SzybkichCórek utkanymi w łańcuchy ze złota i srebra, żelaza i ołowiu, paciorkami z ametystu i kryształu wiszącymi na mocnych czerwonych nitkach, i kilkoma kościanymi fletami tak sprytnie wyrzeźbionymi i zawieszonymi, że zawodzi w nich wiatr znad wody.

--Czyż nie podróżowałem ponad ziemią i morzem, pod wodą i przez góry, ponad księżycem i nawet do fjallu niebios, by znaleźć te rzeczy? -- zawodzi kapłan. -- Czyż nie przyniosłem ci tego, co obiecałem?

Silna Ręka łapie za drzewce. Mruczy mu w dłoni jakby w środku pszczoły urządziły sobie ul -- i może tak jest, choć nie widzi żadnego otworu. Ogląda je dokładnie ze wszystkich stron, i prócz brzęczenia dobywającego się z drzewca, wydaje mu się zwykłym sztandarem, odróżniającym jednych popleczników wodza od drugich, podobnym temu, który sam zrobił, gdy odniósł zwycięstwo w fiordzie Rikin. To jedynie obiekt; nie może do niego przemówić, by rzec prawdę.

--To mnie ochroni przed magią? -- pyta. -- A co z tymi, którzy podążają za mną?

Kapłan grzechocze sakiewką kości u pasa. Z wysiłkiem skupia zamglone spojrzenie, próbując widzieć ten świat, a nie wiele światów, jak to się ponoć zdarza kapłanom. Przemawia prawdziwymi słowami, nie zagadkami i pytaniami.

--Wiele miesięcy pracowałem, by to zadziałało. Jestem obeznany z krosnami, które tkają magię. Ten amulet to twój sztandar. Noś go ze sobą, a ochroni ciebie i twoich przed magią na tyle, na ile zdolny jesteś rozciągnąć swą ochronę.

Uśmiecha się, wyciągając czarę w rękę.

--Mam silną rękę. Mogę w niej wielu utrzymać.

--A co z naszą umową? -- zawodzi starzec. -- Jak dasz mi wolność od StarychMatek? -- Niemal drży z podniecenia. Jego skóra jest podobna do starej skórzanej sakwy, naciągniętej luźno na ostre kości. Silna Ręka zastanawia się, ile on naprawdę ma lat. Ile zim widział? Jak rozciągnął liczbę swych lat poza tę przyrodzoną synowi z gniazda StarejMatki?

Ale wie, że nigdy nie pozna prawdy. Może pewnych prawd lepiej nie wypowiadać.

--Łatwo jest dać wolność od StarychMatek -- odpowiada.

--Daje znak i wojownicy łapią kapłana za ramiona, by go przytrzymać, gdy Silna Ręka otwiera szkatułkę. Zapach krwi i siły jest mocny, ale się nie waha. Zatapia nóż w pulsującym sercu kapłana. Stare stworzenie rzuca się, szarpie, próbuje wykrzyczeć klątwę, ale amulet chroni Silną Rękę i jego towarzyszy przed magią. Krew wypływa swobodnie z ust kapłana, a Silna Ręka zbiera ją do czary.

Tylko śmierć przynosi wolność od postanowień StarychMatek, które, jak skały, żyją nieprzeliczone pokolenia. Ich dzieci są jak deszcz, dotykają skały przez chwilę, nim odpłyną do rzeki, do fiordu, do morza.

Kiedy czara wypełnia się po brzegi, a krew przelewa przez krawędź, widzi ducha kapłana wirującego w miedzianozielonym płynie. Słyszy bezcielesne wycie:

--Nie, nie, nie, zostałem oszukany!

Kiedy ciało przestaje drżeć, resztki krwi wypływają w leniwych spazmach i zmieniają się w strumyczek, gdy ciało zapada się, duch kapłana wyciąga mgielne palce, próbując znaleźć dom dla umierającej duszy; ale wszyscy są chronieni przez amulet. Zatacza coraz szersze spirale, poszukując, macając, i gdy opuszcza czarę, Silna Ręka pije łyk krwi kapłana i podaje czarę swym żołnierzom, a każdy z nich upija łyk. W ten sposób esencja kapłana zostaje rozproszona pomiędzy wieloma i mściwy duch nie może powrócić.

Nagle mgielne palce znajdują nić, która łączy jego ciało z jego bratem krwi, tym, którego widuje w snach, i gna wzdłuż tej nici niby iskra, podczas gdy Silna Ręka zanosi pustą czarę na burtę.

--Wrzućcie ciało do morza -- rozkazuje i tak się staje. Trytony wynurzają się, by opłynąć tonące ciało. Później skrzynka i wysuszone serce zostają wrzucone w palenisko. Dym kłuje go w nozdrza. Przechyliła się przez reling i obraca drewnianą czarę w dłoniach. Ostatnia kropla krwi zamiera na krawędzi i spada. Kiedy uderza w fale, ostatni słaby wrzask furii niesie się ku niemu po nici, która łączy go z Alainem Henrissonem, a potem znów jest pusta. Duch kapłana rozplynął się. Woda uderza w okręt. Wciągają wiosła i stawiają żagiel. Nadyma go wiatr, płyną, halsując.

Z oddali słyszy żalostny krzyk mewy. Fale uderzają w niewidoczne skały.

Od niechcenia pozwała czarze wypaść z dłoni. Spada, uderza w wodę i znika w morzu.

Gwóźdź wypadł z palców Alaina, który poderwał się, ściskając różę w drugiej dłoni.

--Nie, nie, nie, zostałem oszukany!

Kto się odezwał? W komnacie nikogo nie było.

Tallia zasnęła.

Podniósł gwóźdź i ukrył go w sakiewce razem z różą.

2.

Odkąd Rosvita dostała *Żywot świętej Radegundis*, miewała dziwne sny. Szeptały w nich głosy, językami, których nie mogła zrozumieć. Tylu ludzi się na nią gapilo, a jednak nie byli to wcale ludzie, tylko obcy, którzy niegdyś przemierzali te drogi i znikali; zaginęli dawno temu, ale zostawili wiadomość, której ona nie zdołała odczytać. Słowa podpływały, a potem uciekały, aż nie mogła stwierdzić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna następne.

--Czy jesteśmy bezpieczni? -- zapytała, ale była bardzo rozpalona, pocila się, aż ściany zdawały się roztapiać, spływając barwnymi freskami egzotycznego pejzażu w biel.

--Odpoczywaj, siostrze. Jesteś chora. -- Pomyślała, że chyba mówiła do niej Theophanu albo Fortunatus, albo stara zakonnica, która opowiadała o Wielkim Rozdarciu, ta, która wmasowała maść w jej bolącą pierś, gdy samo oddychanie stanowiło wysiłek. Łatwiej było spać i śnić.

Złociste koło jaśniało w słońcu, obracając się. Młody Berthold spał spokojnie w kamiennej jaskini, otoczony sześcioma towarzyszami, których młodzieńcze twarze lśniły w migocącym przepychu światła. Śnieżyca szarpała góorskimi szczytami, a na skrzydłach wiatru tańczyły księżycowe demony do melodii pieśni zazdrości, tajemnicy i strachu. Lew szedł po zimnym skalnym zboczu, na łące żółknącej trawy poniżej tej ścieżki czarne ogary ściagały jelenia o ośmiu parostkach, a grupa jeźdźców odzianych w szaty lśniące jak klejnoty podążała ich śladem.

Otaczali ją zaginieni, napierali na nią swymi oczami jak drogie kamienie i barbarzyńską odzieżą, szepcząc jej do ucha sekrety:

--Nie protestowałam tak długo, jak długo widziałam, że mój pan ojciec wołał swego pierworodnego, ponieważ taka jest kolej rzeczy, a jako jednej z tych, które urodziły się później, nie przeszkadzało mi czekanie na pierworodnego, gdyż widziałam, ile był wart. Ale na co zda się me wysokie urodzenie, jeśli nasz pan ojciec ożeni się ponownie i spłodzi młodsze dzieci, które będzie kochał bardziej i wołał ode mnie? Dlaczego miałabym im służyć, skoro urodziłam się wcześniej? Czyż nie dlatego zbuntowały się anioły?

Obudziła się.

--Siostrze Rosvito. -- Księżniczka Theophanu siedziała obok niej na stołku. Wyglądała równie zdrowo jak zawsze, była tylko odrobinę bledsza. Czy przez jej twarz przemknął niepokój? Trudno było stwierdzić, wyraz twarzy szybko się zmienił. -- Przyniosłam ci owsiankę i wino. I wieści.

--Błagam, Wasza Wysokość, pozwól mi najpierw zjeść.

Rosvita leżała na pryczy w niewielkiej celi wykutej w skale. Pobielone ściany wydawały się takie surowe w porównaniu z dziwnymi i przykuwającymi uwagę freskami, które zdobiły poprzednią izbę, gdzie nawiedzały ją sny wywołane przez zapalenie płuc i wyczerpanie. Długo się o nią bali, ale kiedy najgorsze minęło, przeniesiono ją do tej celi, znajdującej się w pobliżu refektarza.

Służąca przyniosła tacę z kubkiem wina i miską, a potem wycofała się ku niskiemu przejściu wykutemu w skale, prowadzącemu do korytarza, poza zasięg słuchu. Theophanu czekała cierpliwie z dłońmi złożonymi na podolku; cienki promień światła z dziury na dym ozłacał jej twarz. Tylko dzięki niemu Rosvita wiedziała, że jest dzień. W klasztorze Świętej Ekatariny czas nie miał znaczenia. Jeden dzień zmieniał się tutaj w drugi, zamknięty w kamiennych ścianach, chroniony przed światem zewnętrznym i jedynym stałym elementem była

modlitwa, godziny kanoniczne przechodzące jedna w drugą, jutrznia w laudę, w prymę, w tercję, w sekstę, w nony, w nieszpory, w kompletę i znów w jutrznię. I tak wciąż, jak Bóg w Jedności, w nieskończoność.

Kiedy Rosvita zjadła, Theophanu pochyliła się, by zabrać tacę, kubek i miskę z jej kolan i ustawić je na podłodze. Ruch zagłuszył jej szept, cichy niby głos Aoi w snach Rosvity.

--Może powinnam oddać się Twardogłowemu w zamian za wypuszczenie Adelheidy.

--Czy nasza sytuacja jest aż tak rozpaczliwa?

W przyćmionym świetle trudno było dostrzec wyraz twarzy Theophanu. Czy to gniew, czy lęk przemknął przez te chłodne aretuzańskie rysy?

--Jest wystarczająco rozpaczliwa. Dobra opatka szczerze rozdawała zapasy. Ale mamy siedemdziesięciu pięciu ludzi i pięćdziesiąt koni w klasztorze, w którym mieszka dziewięćcioro. Jedzenia i paszy zostało pewnie na tydzień. Zabraliśmy wszystko, co miały zakonnice i nie zdobyliśmy przewagi nad wrogiem. Jeśli oddam się Twardogłowemu, nie zostawimy mniszek bez zapasów.

--Szcodry gest, Wasza Wysokość. Ale wiemy, jakim on jest człowiekiem. Zły będzie z niego mąż.

--Ale mąż. Byłam cierpliwa, siostró. Obawiam się, że mój ojciec nigdy nie zgodzi się oddać mnie żadnemu mężczyźnie ani nawet kościołowi. Twardogłowy jest ambitny i bezlitosny. A czy ja jestem lepsza? Wolalabym mieć Twardogłowego za męża, niż czekać, aż mój ojciec ponownie się ożeni i zastąpi mnie młodszymi dziećmi, które bardziej go cieszą.

--To twoje słowa słyszałam we śnie! Sądziłam, że to inny głos...

Czyżby jej policzki pokryły się rumieńcem?

--Wybacz mi, siostró. Nie powinnam była odzywać się tak głupio. Nieprzyjaciel dręczy me myśli.

--Bądź cierpliwa, Wasza Wysokość. Bez wątpienia w tak trudnym terenie Twardogłowy ma problem z utrzymaniem armii trzystu żołnierzy.

--Taką mieliśmy nadzieję. Ale Twardogłowy nie jest głupi. Mam inne wieści. -- Jakiś ton w głosie Theophanu sprawił, że Rosvita zaczęła obawiać się tego, co usłyszy. -- Musisz pójść ze mną, siostró. Musisz zobaczyć. Nie jestem pewna, czy mogę wierzyć własnym oczom.

Takie oświadczenie mogło jedynie rozpałić ciekawość Rosvity. Wstała i ucieszyła się, że jej nogi są mocniejsze niż wczoraj. Theophanu zawołała służącą z holu, by pomogła się Rosvicie ubrać. Potem ruszyły korytarzem wydrążonym w skale, prowadzącym do refektarza. Światło wlewało się przez siedem okien, wykutych wysoko w skale, ukazując pojedynczy stół oparty na krzyżakach, wystarczający dziewięciu kobietom, które tu miały dom, oraz wysokie krosna, przy których klęczała siostra Diocletia, skończywszy właśnie nakładać osnowę. Skinęła im głową, po czym złapała garść nici i zaczęła przywiązywać je do czółenka.

Za refektarzem otwierał się taras. Rosvita słyszała odgłosy z obozu Twardogłowego: młoty uderzające w nierównym rytmie, kapitanów wykrzykujących rozkazy, stękających i przeklinających mężczyzn. Ich krzyki niesły się daleko, odbijając echem od monumentalnej skały na wielkim zboczu, w której wyciosano klasztor. Tarasem był wygodny kawał południowej skały wysuniętej ponad zbocze. Słońce rozlewało się na nim tak przyjemnie, że trudno było uwierzyć, że trwała zima, drugi dzień po Łucywie. W płytkim basenie wydrążonym w skale Teuda, przysadzista nowicjuszka, zginała się, ucierając ziarno. Obok niej stały garnki z

ziarnem moczącym się w wodzie, a także koszyk świeżo zmielonego jęczmienia. Resztę tarasu wypełniał przestronny ogród, pocięty na ćwiartki ścieżkami położonymi nad ziemią oraz ładnie wyplatany ekranami, służącymi za wiatrochrony. Bez wątpienia ziemię przyniesiono w koszykach z dołu. Siostra Sindula pielila miętę; była prawie głucha i skupiona na swoim zadaniu, więc ich nie dostrzegła. Ale druga nowicjuszka, młoda Paloma, klęczała kilka kroków dalej, podlewając zioła. Odstawiła ceramiczną konewkę, wstała, strzepnęła ziemię z habitu z powrotem na grządkę i podeszła do nich. Równolatka Theophanu już wyglądała staro, jak jej towarzyszki, zupełnie jakby wiatr wysysał je do sucha na tej wysokości.

--Chodźcie -- Poprowadziła je do barierki, skąd mogły spojrzeć w dół.

Po prawej, na niższym tarasie, tuzin żołnierzy Fulka trzymał wartę przy kołowrotach. Mniejszy został uszkodzony podczas ostatniego ataku, kiedy to jedna z podtrzymujących go nóg została zmiażdżona przez kamień z katapulty. Do większego kołowrotu przymocowany był koszyk, w którym wciągnięto ją na górę tamtego dnia sześć tygodni temu, choć teraz wydawało jej się to snem. Według Theophanu kapitan Fulk i jego ludzie wymyślili szeroki pas, który zastąpił koszyk, więc mogli wciągnąć konie, a nie zostawiać je na pastwę Twardogłowego. Spojrzała na ciąg dziur i płytszych pól, miejsce dla drabin; wszystkie drabiny wciągnięto i zabrano do środka. W dole było też kilka stromych schodów oraz opuszczony kołowrót, spalony podczas pierwszego ataku. Nad nimi schylały się zbocza, popękane niby schody gigantów, kończące się małym płaskowyżem oznaczonym kamienną koroną: z tej pozycji nie mogła zliczyć wielkich bloków skalnych stojących pionowo ani też nie zdołała sobie wyobrazić, jak można je było wnieść po tym zboczach, niemal zbyt stromym, by się po nim wspinać.

--Jak na święte miejsce -- odezwała się Theophanu -- jest niezłą fortecą.

--Bez wątpienia święte matki, które wydrążyły tutaj klasztor, doskonale znały niedoskonałości ludzkości.

Rusztowanie wznoszone przez żołnierzy Twardogłowego kończyło się w połowie drogi do niższego tarasu, miało szeroką podstawę, wzmocnione boki i okrywało je wiele mokrych derek chroniących drewno. Twardogłowy pozwolił nawet swym oddziałom ściąć tuzin starych drzew oliwnych, rosnących u podnóża zbocza. Nikt się nie obijał. Sztandar Twardogłowego powiewał nad środkowym namiotem, daleko poza zasięgiem strzał i niemal ukryty za kanałem skręcającym w lewo. Nie pamiętała, by jechali wzdłuż tego kanału, gnając ku schronieniu, ale zauważyła, że była to jedyna droga do klasztoru.

--Czy chciałaś, bym zobaczyła coś nowego? -- Ujrzała to, gdy Theophanu wskazała sztandar powiewający na małym podróznym namiocie, niemal ukrytym za rozłożystą kwaterą Twardogłowego: czerwony jedwab z wyszytym złotym orłem, lwem i smokiem.

--Czy to nie jest godło Wendaru? -- zapytała Paloma. -- Czy to znaczy, że przybył król Wendaru?

Rosvita niemal wybuchnęła śmiechem, wyobrażając sobie króla ściśniętego w takim namiociku i bez towarzyszącego mu wielkiego orszaku.

--Nie, dziecko. Taki sztandar nosi oddział jadący w sprawach króla Henryka, pod jego ochroną. Tam, na górce, jest złote koło. To oznacza poselstwo prowadzone przez kleryka z królewskiego dworu.

--Przybyli wczoraj o zmierzchu, eskortowani przez żołnierzy Twardogłowego -- powiedziała Theophanu.

--Czyżby twój ojciec usłyszał o naszych kłopotach?

--Zobaczysz -- rzekła Theophanu. Zwróciła się do młodej siostrzyczki. -- Palomo, znasz drogę. -- Młódka przytaknęła.

--Gutto -- powiedziała do czarnowłosej dziewczynki. -- Idź do kuchni zająć się robotą.

Paloma poprowadziła księżniczkę i kleryczkę z powrotem do refektarza, bocznym tunelem, który przechodził w stopnie i przez przewieszkę, skrywającą mniejszy tunel z otworami wentylacyjnymi. Szybko zrobiło się tak ciemno, że trzeba było macać drogę i posuwały się wolno jak wilki, które zwęszyły łup. A potem nagle przyćmione światło wpadło przez ekran wyrzeźbiony tak sprytnie z cienkiej skały, że mogły widzieć leżącą za nim komnatę, same nie będąc zauważone. Rosvita wsunęła się obok Theophanu i razem patrzyły na bielone ściany sali gościnnej. Rosvita przyszła do tej sali cztery dni wcześniej, by zobaczyć się z bratem Fortunatusem, który, podobnie jak żołnierze i służący, nie mógł wejść do komnat w poświęconym klasztorze. Teraz widziała jedynie żołnierzy, nerwowo strzegących dwóch aostańskich kleryków. Rudowłosy Orzeł stał obok, z twarzą ukrytą w cieniu.

--Nadal wydaje mi się to niewiarygodne -- mówił jeden kleryk do drugiego po Aostańsku. -- Przekroczyłem Przełęcz Świętego Witalisa w aogoste i napotkałem śnieżycę. Nie rozumiem, jak ten oddział mógł przeprawić się tak późno i jeszcze gadać o pięknej pogodzie. -- Zniżył głos. -- A jeśli to było zaklinanie pogody? Ale nikt z jego eskorty złego słowa o nim nie powie. Zupełnie jakby ich wszystkich zaczarował.

--Albo został niesłusznie oskarżony.

--Wiesz równie dobrze jak ja, że normalnie Przełęcz Świętego Witalisa jest zamknięta od połowy jesieni do wczesnego lata. Nigdy nie słyszałem o oddziale, który się przeprowadził tydzień przed Łuczywem!

Drugi mężczyzna wzruszył ramionami.

--Zima jest łagodna. Po prostu mieli szczęście. Żołnierze, z którymi rozmawiałem, mówili, że gdy schodzili ostatnie kilka lig, zaczął za nimi padać śnieg.

--To niczego nie dowodzi. To wciąż mogło być zaklinanie pogody. Co z tymi opowieściami, które słyszeliśmy? Co z tymi światłami, które widzieliśmy ze skały wczoraj w nocy? Ty też słyszałeś krzyki.

--Cicho -- rzekł jego przyjaciel, spoglądając na żołnierzy. -- Jesteśmy tu, by dopilnować, aby dotrzymał słowa danego lordowi Janowi, nic poza tym. I co z tego, jeśli działają tu czary? Czasami zastanawiam się, jaką krzywdę może wyrządzić magia używana w dobrym celu. Mam już tak dość tego oblężenia i głodowych racji, że nie miałbym nic przeciw użyciu magii, aby przekonać królową Adelheidę do poddania się i żebyśmy mogli wrócić do domu.

--Dominiku! -- Jego towarzysz narysował na piersi Krąg Jedności, jakby strzegł się przed złem.

Theophanu pociągnęła Rosvitę za rękę, a ta podążyła za nią ku przejściu tak wąskiemu, że najpierw ocierała się o skałę ramionami, potem głową, aż wreszcie musiała uklęknąć i posuwać się na kolanach jak pokutnik idący do ołtarza. Droga opadała, Theophanu puściła jej dłoń i Rosvita namacała stopień oraz, dalej, stopy Theophanu w sandałach. Podciągnęła się obok księżniczki w zamkniętej przestrzeni, ledwo wystarczającej dla nich obu. Jeden bok stanowiła zasłona raczej z mgły niż światła, ale chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, gdzie się znajduje.

Kucały ściśnięte w ołtarzu wyrzeźbionym w kaplicy. Światło płonące na zewnątrz,

zasłonięte kuponem materiału, pochodziło z dwóch lamp zawieszonych na żelaznych hakach po obu stronach kaplicy.

Przed ołtarzem klęczał mężczyzna ze schyloną głową i dłońmi złożonymi w modlitwie. Nie dostrzegła jego twarzy, ale nie musiała jej widzieć. Czula, że Theophanu drży obok niej niby lania schwytała w sieć. Znała ten zarys ramion, ten złoty blask włosów, idealną postawę, ani zbyt dumną, ani zbyt pokorną, gdy klęczał przed ołtarzem i modlił się melodyjnym głosem.

Panie, moje serce nie jest wyniosłe, ani wzrok pogardliwy;

Nie zajmuję się też rzeczami, których nie dosięgam.

Pani, na pewno zachowywałem się i uspokoiłem.

Moja dusza jest jak dusza dziecka, trzymającego się matki.

Pokładajmy nadzieję w Bogu, na wieki wieków.

Kleryk wyprostował się, przeszedłszy przez portal wiodący do sali gościnnej.

--Wybaczcie, że wam przeszkadzam, lordzie Hugonie.

Uniósł wzrok. Zadziwiające, jak idealnie światło padało na jego twarz, choć nie wiedział, że jest obserwowany. Był poważny, miał spokojne oczy.

--Bracie Dominiku. -- Uśmiechnął się łagodnie, nie na tyle, by odsłonić złamany ząb. --

Mów, bracie. Powiedz mi, co cię gnębi.

--Czy matka opatka odpowiedziała już na waszą prośbę, lordzie Hugonie? Czy zobaczy się z wami i pozwoli rozmawiać z królową Adelheidą?

--Jeszcze nic nie wiem. Ale ufam Bogu, jak wszyscy powinniśmy.

--Niektórzy zastanawiali się, czy zgłosiliście się na ochotnika do negocjacji z matką opatką tylko po to, by uciec z niewoli lorda Jana. W końcu jesteście tu przed nim bezpieczni. Możecie mieć nadzieję na ratunek i obserwować z bezpiecznego miejsca, podczas gdy ci, którzy was tak daleko zaprowadzili, cierpią.

--Zawstydzają mnie twe oskarżenia, bracie, ale jako pierwszy przyznaję, że na nie zasłużyłem. -- Kiedy mówił z twarzą idealnie spokojną, bawił się czerwoną wstążką zwiniętą w lewej dłoni. -- Nie żywię niechęci ku żołnierzom i klerykom, którym nakazano odprowadzić mnie do skoposy. Żołnierze lorda Jana nie powinni byli nas więzić i przyprowadzać tutaj, a gdy lord Jan dowiedział się o celu naszej podróży, powinien był pozwolić nam ją kontynuować. Ale rozumiem, że jest ambitnym człowiekiem i planuje wykorzystać nas jako zakładników. Jeśli mi się tu nie powiedzie, dołączę do mych towarzyszy w męczeńskiej śmierci. Jeśli odniosę sukces, pojedę do Darre i stawię się przed skoposą, jak mi nakazano na soborze w Autunie.

Brat Dominik stęknął, jakby był niezadowolony.

--Wasze słowa są rozsądne, lordzie Hugonie. -- Zawahał się i wreszcie przemówił głosem tak cichym, jak sługa spiskujący przeciw swemu panu. -- Trudno uwierzyć, że jakikolwiek sobór mógł was potępić.

Hugo skłonił głowę.

--Bóg zna ją prawdę.

Brat Dominik zadrżał nerwowo, jakby obawiał się, że powiedział zbyt wiele.

--Pozwolę wam się modlić -- Odszedł.

Długą chwilę Hugo klęczał tam, ze schyloną głową, nieruchomy, nic nie mówiąc. Rosvita ledwie odważyła się oddychać. Jej wzrok przykuł obraz naprzeciwko, wyblakły, ale nadal doskonale zachowany. Obraz przedstawiał oddział Aoi odzianych w pióra, krótkie płaszcze i

niewiele więcej, przechodzący przez płonący portal, który prowadził do kręgu stojących kamieni. Za kamieniami stała druga, mniejsza korona, mniej więcej jednej czwartej wielkości pierwszej, ustawiona pośród budynków o dziwnym i cudownym wyglądzie; grupa wędrowców, proporcjonalnie mniejsza, wynurzała się z drugiego kręgu przez portal płomieni.

Ruch Hugona otrzeźwił ją. Wyjął niewielką skrzynkę ukrytą w fałdach szaty. Krwista wstążka wiła się jak powój poprzez zamek, który ją zamykał. Rozwiązał wstążkę, podniósł wieko, wydobyl gałązkę jałowca i prostokątny kształt owinięty w len. Rozwinął szmatkę, odsłaniając książkę.

Rosvita szarpnęła się w tył, uderzając głową o skałę. Stłumiła jęk. Jak odzyskał *Księgę Tajemnic*? Zaczął czytać na głos.

„Kiedy Księżyc stoi w pełni, uczona może dzięki niciom utkany przez planety i gorącemu powietrzu wytworzonemu przez rosnący Księżyc sprowadzić na Ziemię demony niższego powietrza, te, które zamieszkują pod tarczą Księżyca. Powszechnie wiadomo, że ludzie zboczeni i chciwi ziemskich dóbr są bardziej podatni na ich wpływ, a uczona może osiągnąć to, czego pragnie w ten sposób. Jeśli owinie niebieskie nici dokładnie wokół demonów i wypowie zaklęcia i siedem imion świętych uczniów i spali jałowiec i mlecz, i uwięzi ich duchy, wtedy uczynią tak, jak im rozkaże. W niewidoczny sposób zagnieżdżają się one cudownie i delikatnie w ciałach ludzi, gdyż ich własne ciała niewiele mają substancji, a składają się z powietrza i ognia niebios, i przez pewne różnorodne wizje złączą one swe myśli z myślami nosiciela, dopóki jedno usta nie będą wypowiadać tego, co drugie szepczą”.

O Boże, co się stało z Liath podczas soboru w Autunie? Serce ją bolało.

Theophanu szturchnęła Rosvitę i wraz z Palomą wycofały się tunelem i wynurzyły w głównym korytarzu. Musiała odpocząć, gdyż nogi jej drżały i bolały, jakby właśnie wspięła się na skałę, ale kiedy odzyskała siły, przeszły w milczeniu przez kaplicę, w której klęczała pogrążona w modlitwie garbata siostra Carita. Za kaplicą leżała niewielka biblioteka, przez której pionowe okienka wpadało wystarczająco dużo światła, by Rosvita ujrzała wszystkie barwy miękkiej skały, szarą, różową i białą, znaczące ściany. Siostra Petra siedziała przy pulpicie, ustawionym tak, aby światło z otworów wentylacyjnych padało na jej pracę. Doświadczonymi ruchami przesuwiała pióro po pergaminie. Rosvita zatrzymała się. Kilka tygodni temu, w najgorszym ataku gorączki, poprosiła matkę Obligatię, by dokończono kopię *Żywota świętej Radegundis*, którą przygotowywała Amabilia. Czy siostra Petra kopiowała pracę brata Fidelisa?

Theophanu i Paloma szły dalej, więc pośpieszyła za nimi, miast stanąć i zapytać. Wiele dłoni wypolerowało ściany, a ziemia pod jej trzewikami była wyslizgana jak najprzedniejszy marmur, wygładzona przez wiele stóp na przestrzeni wieków. Zeszły po schodach i tam, w skale, dotarły do tarasu tak ciemnego, że niemal wpadły na siostrę Hilarię, która wynurzyła się z szerokich stopni prowadzących do studni. Dwa pełne wiadra kołysały się na koromysłach na jej ramionach, a trzecie znajdowało się na głowie, wsparte na zwiniętym materiale. Pachniała wodą i skałą. Za nią dwie służące Adelheidy dotarły do tarasu i postawiły do połowy pełne wiadra, łapiąc dech i osłaniając oczy przed światłem.

--Dzień dobry, Wasza Wysokość -- rzekła siostra Hilaria, najwyraźniej nie zmęczona wspinaczką. -- Sostro Rosvito, dobrze widzieć cię zdrową.

Cofnęły się, pozwalając jej przejść do kuchni. Plamy od dymu zdobiły ściany nad

paleniskami, gdzie duże otwory wentylacyjne pochłaniały dym i wpuszczały powietrze. Na środkowym palenisku płonął ogień, pilnowany przez biedną siostrę Lucidę, która była nie tylko kaleką, ale też niespełna rozumu. Przy jedynym stole Gutta z jeszcze jedną kobietą, po łokcie w mące, zagniaty ciasto. Gutta nosiła szorstki lniany fartuch, by ochronić piękną suknię. Dwie służące zajęte były mieszaniem cienkiej zupy, doprawionej głównie końskim tłuszczem, i uklepywaniem cienkich placków.

Siostra Hilaria opróżniła wiadra do beczki. Poklepała siostrę Lucidę po ramieniu, a kaleka zakonnica radośnie pokiwała głową i wykrztusiła kilka słów, których Rosvita nie zrozumiała. Siostra Hilaria roześmiała się.

--Nie, nie pozwolę ci zjeść całej cebuli. Jesteś łakoma na cebulę, a ja cię nie przywiodę do grzechu! -- Lucida zachichotała, a Hilaria z radosnym uśmiechem nałożyła koromysło na ramiona, by znów wyprawić się po wodę w chwili, gdy dwie kobiety taszczące wiadra wreszcie dotarły do beczki. -- Jeszcze jeden spacer, przyjaciółki! -- zawołała entuzjastycznie -- I skończymy.

--Na tę godzinę! -- jęknęła jedna, ale Theophanu i Paloma odeszły już, więc Rosvita pośpieszyła za nimi. Nadal była słaba i nie ufała swym nogom, wobec tego ostrożnie zeszła po stromej rampie rozbrzmiewającej dziwnymi echemi. Szybko się ściemniało, a ponieważ zakonnice nie miały oleju do lamp, musiała wymacywać drogę. Rosvita zarejestrowała zmianę: zapach drożdżowy, szorstkość ściany pod palcami. Potknęła się na krawędzi płytkiego rowu wydrążonego w skale i Theophanu złapała ją za łokieć, by przytrzymać. Macając, Rosvita odkryła kamień młyński z boku, wsunięty w niszę wykutą w skale.

--Ostrożnie -- rzekła Paloma. -- Można go przesunąć na przejście, by je zablokować.

--Na wypadek ataku -- odezwała się Theophanu. -- Mniszki, które wybudowały ten klasztor bez wątplenia nieszczególnie wierzyły w ludzką dobroć.

--O nie -- powiedziała Paloma z zaskoczeniem. -- Mniszki nie wykuły tych komnat. One tu po prostu były, jak mówi opowieść. Zakonnice, Teuda i ja po prostu tu mieszkamy. Nawet matka Obligatia nie wie, jak daleko w skale ciągnie się ten labirynt. Brałam świecę i udawałam się na dół na poszukiwania, ale nigdy nie ma czasu zapuścić się daleko, bo świeca zgaśnie. Chodźcie. To tuż za rogiem.

Chwilę zajęło Rosvicie zidentyfikowanie otaczających ją dźwięków jako muzyki, a potem minęły róg i weszły do jaskini tak wysokiej, że w ciemności nie widziała sufitu. Palila się pojedyncza lampa, ukazująca siedzącą swobodnie Adelheidę, zabawianą przez żołnierzy. Jeden miał poobijaną lutnię, porządnie nastrojoną i wygrywał radosną melodię, a towarzyszący mu na flecie. Trzech ludzi wybijało rytm na udach, a kolejny mężczyzna wygrywał na piszczałce kontrapunkty. Na krawędzi mroku sześciu żołnierzy tupalo i kręciło się w skomplikowanych obrotach, tańcząc. Dziwnie było ujrzeć królową Adelheidę uśmiechającą się i klaszczącą, jakby ta ludyczna zabawa bawiła ją tak bardzo jak dworskie rozrywki. Jej szlachetnie urodzeni towarzysze stali za nią, niektórzy dobrze się bawiąc, inni spięci i zdenerwowani. Adelheida ujrzała Theophanu i skinęła na nią, wskazując na krzesło obok swego. Kiedy żołnierze zobaczyli Theophanu, przerwali granie.

Theophanu zdjęła poduszkę z krzesła i położyła ją na podłodze.

--Usiądź, siostrze, jeśli chcesz.

--Dziękuję, Wasza Wysokość. Wasza Królewska Mość, gdzie jest matka Obligatia?

--Wciąż z rannymi.

--Czy mogę udać się do niej na chwilę?

Królowa i księżniczka zgodziły się. Podeszedł żołnierz, by odprowadzić Rosvitę do komnaty, w której leżeli ranni, i gdy schylała się pod niskim portalem wykutym w skale, usłyszała za sobą muzykę, odbijającą się dziwnym echem w wielkiej jaskini.

Minęły tygodnie, nim Rosvita zrozumiała, że wiekowa zakonnica, która jej doglądała w chorobie, była matką tego klasztoru. Teraz, w świetle pojedynczej lampy, matka Obligatia klęczała przy jasnowłosym mężczyźnie, który został ranny, odpierając jeden z nieudanych ataków Twardogłowego. Starannie zmieniała mu okład na ramieniu.

--Dzięki, matko -- wymamrotał, gdy Rosvita do nich podeszła.

Pobłogosławiła go, zanim wsparła się na grubej lasce i dźwignęła na nogi. Zanim Rosvita podeszła, by jej pomóc, u jej boku zjawił się kapitan Fulk.

--Jak wam mogę pomóc, matko? -- zapytała Rosvita.

--Zostań przy mnie przez chwilę, siostrze. Skończyłam już, został tylko ten nieszczęśnik, ale obawiam się, że na jego rany nic nie poradzę.

Jeden mężczyzna leżał z dala od innych, w ciszy przerywanej tylko upiornym jękiem, który od czasu do czasu wydobywał się z jego piersi, niekiedy zaś wyrzucał z siebie ciąg ochrypłych słów, które nie miały sensu, dopóki sobie nie uświadomiła, że mówił po aostańsku, nie wendarSKU:

--Nie ma początku, nie ma końca zimne żądło w moim sercu, spada kamień, boli, Panie. Chroń mnie, o Boże! Oczy!

Cienie były miłosierną zasłoną. Jego rany ropiały. Skóra odeszła mu z ust, odsłaniając dziąsła i zęby, a jedno oko zdawało się zamknięte przez srebrzyste nici wtłoczone w zagłębienie czaszki. Do nozdrzy Rosvity dotarł lekki metaliczny zapach, niby metalowe strużyny, które mogła niemal zlizywać z powietrza. A potem matka Obligatia odwinęła bandaż z jego piersi. Rosvita zadławiła się smrodem rozkładu i musiała się cofnąć.

Podtrzymała ją ręka kapitana Fulka. Wymruczał przeprosiny i odsunął się pośpiesznie. Żołnierz trzymający lampę zamknął oczy.

W ciemności poza kręgiem światła rzucanym przez lampę zamajaczył brat Fortunatus i stanął obok Rosvity.

--Dobrze się masz, siostrze? -- Przytłumione światło lampy okrywało jego twarz nienaturalną bledością, a może to tylko z powodu cierpienia biednego żołnierza.

--Za bardzo się martwisz, bracie -- rzekła serdecznie. -- Szybko zdrowieje jak na kobietę w moim wieku. Nie ma na co narzekać. Dobry Boże, jakbym mogła? -- Wskazała na żołnierza. -- Co się stało temu biedakowi? Czy to jeden z żołnierzy królowej Adelheidy?

Matka Obligatia smarowała jego rany ostro pachnącą miksturą, a żołnierz zaczął się rzucać, jęcząc przeraźliwie. Rosvita musiała odwrócić wzrok, gdy Fulk przyklęknął, by go przytrzymać.

Fortunatus poruszył się nerwowo, zanim wyszeptał:

--Tu jest magia, siostrze. Była przed nami ukryta aż do teraz.

--Nie wierzysz chyba, że matka Obligatia albo którakolwiek z tych mniszek oddaje się czarnoksięstwu?

--Jest tu ukryty sekret -- twierdził uparcie. -- Spójrz na niego. Został przyniesiony wczoraj

w nocy tuż przed jutrznią. Wydaje mi się dziwne, że ich atak miał nastąpić kilka godzin po tym, jak lord Hugo poprosił o pozwolenie na rozmowę z królową.

--Co masz na myśli?

Mężczyzna wydał z siebie zduszony charkot, niezrozumiałe słowo, a potem zemdlął. Srebrne nici zatopione w jego twarzy lśniły, pulsując w rytm uderzeń jego serca.

--To jeden z żołnierzy Twardogłowego. Tuzin lub więcej wspiął się na północne zbocze góry wczoraj w nocy. O zmierzchu dotarli do kamiennej korony wieńczącej szczyt. Sądzę, że stamtąd mieli na nas spaść.

Nagle poczuła się słabo, wstrząśnięta wspomnieniami niewytłumaczalnych snów. Ziemia zdawała się kołysać pod nią niczym statek na morzu, bolał ją brzuch.

--Musiałam spać.

Fortunatus złapał ją za ramię. Głos mu drżał.

--Byłaś bardzo chora, siostrze. Lękałem się o ciebie.

Jego troska uspokoiła ją. Mogła spojrzeć na nieprzytomnego biedaka leżącego na ziemi, matka Obligatia pracowała szybko.

--Co się wobec tego stało z żołnierzami? Czy wzięto ich do niewoli?

--Nie. Jakieś stworzenie nawiedza kamienną koronę... Tylko ten człowiek się uratował, ale długo nie pożyje.

Matka Obligatia wstała z pomocą kapitana Fulka i cofnęła się od umierającego.

--Nic więcej nie mogę zrobić -- odezwała się do Fulka. -- Czy pił wodę?

--Nie potrafi jej przelknąć, matko. -- Fulk był ponury.

Obligatia skinęła głową i drepcząc, opuściła niewielką komnatę, otoczona przez Rosvitę, Fortunatusa i Fulka. Kapitan przyniósł jej stółek i zasiadła pomiędzy Adelheidą i Theophanu, dając znak dłonią, że muzykanci mają skończyć. Rosvita usadowiła się na poduszce u stóp Theophanu, a Fortunatus stanął za nią. Kiedy żołnierze skończyli śpiewać, matka Obligatia zwróciła się do Rosvity.

--Siostrze Rosvito, cieszę się, widząc cię tak silną. Widziałyście naszego gościa? -- Matka Obligatia była surowa, ale nie dumna, mądra, ale niespokojna i szczodra, choć nieprzyjemna. Jak zawsze przeszła od razu do sedna. -- Przysłał go lord Jan, by wynegocjować koniec oblężenia. Jego wendarscy towarzysze trzymani są jako zakładnicy, żeby zagwarantować jego dobre zachowanie. Wiecie, kim jest?

--To Hugo z Austrii -- rzekła Theophanu tonem tak beznamietnym, jakby recytowała listę roślin do wysiewu. -- Bękart Judith, która jest margrabiną Austrii i Olsatii oraz cenionym doradcą mego ojca, króla Henryka.

--Znacie go -- powiedziała matka Obligatia.

--Jeśli mogę mówić -- odezwała się szybko Rosvita, a Theophanu skinęła głową. Po sześciu tygodniach korzystania z hojności matki Obligatii Rosvita nie widziała sensu w owijaniu w bawełnę. -- Wierzę, że księżniczka Theophanu i ja zostałyśmy wysłane do Aosty, abyśmy nie mogły zeznawać, kiedy ojciec Hugo został zeszłej jesieni postawiony przed trybunałem kościelnym w Autunie. Był oskarżony o czary.

Adelheida pochylila się z twarzą rozjaśnioną i zaciekawioną:

--Czy zeznawałybyście na jego korzyść czy niekorzyść?

W przyćmionym świetle Theophanu wyglądała raczej jak starożytna królowa utrwalona w

malowidło na ścianie kościoła, ozłocona folią, z oczami przyciemnionymi węglem.

Odpowiedziała bez emocji.

--Mamy powody, by wierzyć, że oskarżenia, jakie mu postawiono, są prawdziwe. Nie możemy mu ufać, niezależnie od tego, jakie obietnice złoży.

--Mocne słowa -- zauważyła Adelheida.

Sędziwa matka bawiła się wypolerowaną laską, leżącą na jej udach. Za nimi, zagubieni w cieniach, kapitan Fulk i jego żołnierze nachylili się, by słuchać.

--Trudno ocenić, komu zaufać, gdy w grę wchodzi oskarżenie o czary -- powiedziała

--Macie doświadczenie w takich sprawach, matko? -- zapytała Rosvita.

--Widziałam rzeczy, których wolałabym nie widzieć. Jednak niezależnie od tego, za tydzień nasze spiżarnie będą puste. Czas podjąć decyzję. Jestem absolutnie gotowa głodować w imię honoru, ale nie mogę prosić mych zakonnic, by uczyniły podobnie.

--Wobec tego wydaje się, że muszę z nim porozmawiać -- stwierdziła Adelheida. Jej uśmiech przypominał wybuch śmiechu. -- Moi żołnierze mówią, że to szczególnie przystojny mężczyzna. Czy to prawda, kuzynko? Jeszcze go nie widziałam.

Ale Theophanu nie dała się sprowokować.

--Sama musisz to stwierdzić, kuzynko.

--Wobec tego zgadzamy się z nim rozmawiać?

--Jestem przeciw -- powiedziała chłodno Theophanu. Spojrzała na Rosvitę; wszyscy spojrzeli.

Rosvita westchnęła.

--Naprawdę, Wasza Wysokość, nie mamy wyboru. Mam na to taką samą ochotę jak wy, biorąc pod uwagę to, co widziałyśmy i przeszłyśmy, ale w tych okolicznościach musimy wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

--Nie poddam się Twardogłowemu bez walki -- rzekła Adelheida. Gniewnie uniesiony podbródek i spiżowe brzmienie głosu kontrastowało ostro z nieprzeniknionym spokojem Theophanu, która wyglądała lepiej.

Kapitan Fulk wystąpił.

--Mogę mówić, Wasza Królewska Mość? Wasza Wysokość? Matko? -- Kiedy się zgodziły, żołnierz kontynuował. -- Musimy wkrótce zadziałać, tak albo inaczej. Tak uwięzionym kończy nam się jedzenie i cierpliwość. Straciliśmy już jedną czwartą koni. Po ostatniej nocy rozeszły się plotki o goblinie nawiedzającym kamienną koronę. Moi ludzie boją się zająć w stajni, ponieważ znajduje się ona blisko szczytu. Niektórzy obawiają się, że teraz, gdy stwór pokosztował krwi, zacznie na nich polować. Niektórzy woleliby się poddać, niż zginąć tak okrutną śmiercią.

Wszyscy ucichli i Rosvita uświadomiła sobie, jakie napięcie wisiało w powietrzu. Żółtawy blask lampy nie chronił przed ciemnością. Ale matka Obligatia nie okazała zdenerwowania.

--Rzeczywiście, demon nawiedza kamienną koronę na szczycie tej skały, ale nie jest bardziej niebezpieczny niż gobliny, które lęgną się w sercach tych, którzy nie zgadzają się ze swym miejscem na świecie. Moje poprzedniczki i ja strzegłyśmy tego klasztoru od dni świętej Ekatariny, czterysta lat temu lub dawniej. Stworzenie uwięzione na górze nie gnębiło nas i nie poczułyśmy jego pazurów.

--Skąd się wzięło? -- zapytała Theophanu. -- Dlaczego nawiedza to miejsce?

--Zawsze tam było. Dlatego zabroniłam waszemu oddziałowi zbadać korony.

--Powiedziałyście, że to poświęcone miejsce, zakazane dla tych, którzy nie są siostrami z klasztoru -- sprzeciwiła się Adelheida. -- Nie mówiłyście, że jest nawiedzane przez takiego stwora!

--Teraz rozumiecie, czemu jest zakazane. Nie mówimy wszystkiego, co wiemy. Ani nie musimy tego robić.

Nawet królowa była zakłopotana. Adelheida teraz tak wyglądała.

--Wybaczcie mi, matko. Jestem pewna, że lepiej ode mnie wiecie, jak postępować w takich sprawach.

--Prastara wiedza musi być strzeżona, aby nie wpadła w ręce skalane ignorancją lub ambicją. Sądzicie, że chcemy, by ludzie pokroju lorda Jana podejrzewali, jakie sekrety skrywamy w tych murach?

--Na przykład wiedzę Aoi -- mruknęła Rosvita, ale matka Obligatia miała czujne uszy; zdjęła rękę z kolan i uderzyła nią raz, mocno, o podłogę. Dźwięk poniósł się echem w jaskini i ludzie podskoczyli, zatrwożeni. Szept, nerwowe chichoty podniosły się i opadły.

--Ze starymi tajemnicami lepiej uważać. Wolałabym, żebyście nie wiedzieli, bo starożytna tajemnica jest jak wielki kamień. Stojąc spokojnie na brzegu, pozostaje milczący. Wysadzony z ziemi i wrzucony do spokojnego stawu powoduje silne fale, które zmieniają strukturę wody i mogą nawet zakłócić lub wyrzucić na brzeg sieć życia, która się w stawie przędła.

--Daję wam moje słowo, matko Obligatio -- powiedziała Adelheida. -- Okazałyście nam wielką szczodrość. Nigdy nie zdradzę waszego sekretu.

--Jeśli jakikolwiek z żołnierzy Twardogłowego uciekł wczorajszej nocy, będzie miał co opowiadać. Niech tak będzie. -- Położyła rękę na udach, jakby chciała dać do zrozumienia, że sprawa została zakończona. -- Kapitanie Fulk. Niech tuzin twoich ludzi przyprowadzi tu naszego gościa. Upewnij się, że będzie nosił opaskę na oczach. Tego, czego nie wie, nie zdradzi lordowi Janowi.

Kapitan Fulk wybrał pięciu ludzi i odszedł z lampą. Ponieważ nie zostało im wiele oliwy, matka Obligatia zasugerowała, by czekali w ciemności i nikt nie zamierzał się sprzeciwić. Gdy zdmuchnięto lampę, zapadła ciemność tak nieprzenikniona, że Rosvita nie widziała swej dłoni trzymanej przed twarzą. Czowała chłód kamieni tak intensywnie jak gorączkę ciekawości, gdy tak siedziała otoczona poruszającymi się nerwowo żołnierzami. Co powie Hugo? Jak się tu znalazł? Jak zdobył *Księgę Tajemnic*? Co to za stwór nawiedzał kamienną koronę? Czy naprawdę był to demon, a jeśli tak, to jak wyglądał? Były to stworzenia eteryczne, żyjące ponad sferą księżyca, więc jak został uwięziony tutaj, pod księżycem? Jaką mocą zabił żołnierzy? Czy będzie ścigał pozostałych, czy też zamieszkiwał tylko kamienną koronę? A jeśli więziła go korona, to co za właściwość kamieni zdołała zamknąć w sobie stworzenie o takiej mocy i niezemskim pochodzeniu? Jeśli tak było, czy wszystkie kamienne korony zawierały w sobie nieodgadnione właściwości magiczne? Czy było możliwe, że biedny Berthold został w jakiś sposób uwięziony w kamiennej koronie nad Hersfordem, a nie zabity przez obsunięcie kamieni, jak przypuszczała? Czy jej sny kryły prawdę?

Theophanu poruszyła się na krześle. Fortunatus zakaszlał cicho.

--Może jakaś piosenka -- zasugerowała Adelheida głosem, który zabrzmiał zadziwiająco rzeźko w ciemności, jak nagły, klujący oczu rozbłysk światła.

Żołnierze zaczęli śpiewać, najpierw z ociąganiem, a potem, gdy dźwięk wypełnił przestrzeń, odważniej: „Dla Pana i Pani światło i ciemność to jedno”.

--Czytałam twoją *Historię*, siostró Rosvito -- powiedziała matka Obligatia, gdy żołnierze śpiewali spokojną pieśń opowiadającą o bardziej ziemskich sentymentach; utraconej miłości, długiej podróży.

--Obawiam się, że jest niekompletna. Gdybym miała czas i waszą zgodę, przejrzałabym waszą bibliotekę, by się przekonać, czego mogłabym się dowiedzieć z posiadanych przez was kronik. Jednakże tu, w Aoście, nie ma powodu, dla którego kroniki miałyby zawierać zapisy o poczynaniach Wendarczyków. Bez wątpienia mój lud uważany był za barbarzyńców przez tych, którzy niegdyś byli częścią wspaniałego Imperium Dariyariskiego.

--Dobrze więc, że piszesz ich historię, gdyż nikt w Darre by tego nie uczynił. Przybyłam tu z północy.

--Zaskoczyłyście mnie, matko. Nie słyszałam ani śladu północnej wymowy.

--Od dziecka wychowywano mnie w klasztorze w Varre, ale kiedy miałam czternaście lat, zabrano mnie stamtąd do klasztoru świętej Radegundis w Salii. Szczerze mówiąc, przybyłam do jej klasztoru niecałe sześć miesięcy po tym, jak święta Radegundis odeszła z tego świata do Komnaty Światła.

--To niewiarygodne. Przeglądaliście więc *Żywot*?

--Siostra Petra kopiowała go pilnie przez ostatnie sześć tygodni. Sama w gorączce wspomniałaś, że ten manuskrypt to jedyny istniejący egzemplarz. Taki cenny dokument nie może zostać stracony. -- Jej głos miał znajome drżenie starości, był delikatny jak płatki kwiatów rozdzierane wichurą. Ludzie uciszyli się i zapadło milczenie, gdy Obligatia mówiła niczym biskupina, czytając z pism, by pouczyć zgromadzonych. -- „Pan i Pani zsyłają chwałę i wielkość na kobiety przez siłę umysłu. Wiara czyni je silne i w tych ziemskich naczyniach ukryty jest niebiański skarb. Jedną z nich jest Radegundis, której ziemskie życie ja, Fidelis, najpokorniejszy i najmniej wart, teraz próbuję celebrować, aby wszyscy usłyszeli o jej czynach i śpiewali pochwały jej pamięci. Świat dzieli tych, których niegdyś nie oddzielała żadna przestrzeń. Tak kończy się Prolog”.

Coś w tonie opatki sprawiło, że Rosvitę zaswędziła skóra, jak mysz, która zjada ser aż do trzymających go palców.

--Jak zdobyłaś tę książkę, siostró Rosvito?

--Dostałam ją z rąk Fidelisa... -- urwała, słysząc, że matka Obligatia wzdycha, jakby z bólu.

--Z jego rąk! Musiałaś być bardzo młoda.

--Wcale nie, matko. Dożył sędziwego wieku. Dostałam ją od niego niecałe dwa lata temu.

--Dwa lata! Jak to możliwe? Był już stary...

Dźwięk głosów żołnierzy i tupot butów na kamieniu ucięły słowa staruszki, a światło pojawiło się wystarczająco szybko, by Rosvita ujrzała gest matki Obligatii: ocierała łzę z policzka.

A potem Hugo wszedł wśród nich. Niepodobna dowiedzieć się, jak udawało mu się iść tak wdzięcznie, oślepijonemu szmatą zawiązaną wokół oczu. Sterowany przez kapitana Fulka, który zaciskał palce na jego ramieniu, ukląkł przed trzema kobietami, których nadal nie widział. Rosvita zgarnęła leżący obrąbek swego habitu, przestraszona, że gdyby dotknął go w

jakikolwiek sposób, od razu by o niej wiedział, wiedziałby wszystko, co podejrzewała, jej słabościach i komu jest wierna.

--Miałem nadzieję, że zostanę przyprowadzony przed oblicze królowej Adelheidy albo błogosławionej matki tego klasztoru -- rzekł swym pięknym głosem. Żołnierz trzymający lampę stał za nim, co dawało efekt aureoli, korony świętych, w złotych włosach Hugona. -- Jestem Hugo z Austrii, syn Judith, margrabiny Austrii i Olsatii. Proszę, pozwólcie mi mówić, jeśli taka wasza wola.

--Jestem Adelheida. -- Wstała, choć jej nie widział, ale na pewno usłyszał ruch, gdyż jego głowa przechyliła się lekko, dziwnie, wyzywająco, jak u wielkich kotów, które Rosvita widywała w menażerii w Autunnie, podnoszących głowy, gdy słyszały odgłos otwierających się i zamykających drzwi na wybieg, kiedy wprowadzano tam jelenia. -- Jak ty i twój oddział znaleźliście się tutaj, lordzie Hugonie? Ten klasztor nie leży przy głównych drogach.

--Wasza Królewska Mość. -- Nie skłonił głowy, ale doprowadził do perfekcji sztukę ustawiania ramion tak, by okazać szacunek; jako dumny szlachcic nie był zbyt pyszny, by uznać jej wyższość. -- Przekroczyliśmy Przełęcz Świętego Witalisa i jechaliśmy na południe do Darre, gdy na drodze zostaliśmy zaskoczeni przez ludzi lorda Jana i wbrew naszej woli doprowadzeni do tego obozu. Nadal pragniemy jechać do Darre. To nasz jedyny cel.

--Dlaczego więc Twardogłowy cię tu przysłał, jeśli jesteś jego więźniem? Co z resztą ludzi z twego oddziału?

--Niestety. Lord Jan jest ambitnym człowiekiem, Wasza Królewska Mość. Powiem wam szczerze, że podejrzliwie odnosił się do celu naszej wędrówki. Zasugerował, że musimy być wysłannikami króla Henryka z Wendaru. Wierzy, że mamy wiadomości od króla Henryka dla skoposy w Darre, dotyczące losów Aosty. Był szczery, Wasza Królewska Mość. -- Urwał, gdy Adelheida się roześmiała. -- Powiedział, że gdyby on był Henrykiem, wysłałby wieści do skoposy, oferując jej złoto i ochronę w zamian za poparcie jego pretensji do tronu Aosty.

--Czy takie wieści ty i twoja kompania wieziecie do Darre? -- zapytała Adelheida ostro.

--Nie, Wasza Królewska Mość. Oskarżono mnie o czary i wysłany zostałem do skoposy, by mnie osądziła. -- Tak łatwo wypowiedział te słowa, że przez moment niepodobna było pomyśleć, że oskarżenie jest prawdziwe. -- Lord Jan przysłał mnie tu, bym was przekonał do poddania się w zamian za uwolnienie mego oddziału. To wszystko.

--Albo w zamian za uwolnienie cię, byś mógł ujść sądowi skoposy!

Opaska na oczach nie zakrywała jego pięknych ust. Uśmiechnął się teraz, ale nie na tyle, by pokazać złamany ząb.

--Nie mam zamiaru przekonywać was, byście się poddała, Wasza Królewska Mość. Zamierzam odkryć przed wami, jak stąd uciec. Potem przekonam lorda Jana, by uwolnił mnie i mój oddział i pojedę do Darre.

Adelheida roześmiała się, zachwycona, a Rosvita uświadomiła sobie, że królowej podobało się to starcie, niby dwóch szermierzy toczących absurdalny pojedynek.

--A niby dlaczego masz być lojalny wobec mnie i mych poddanych?

--Nie jestem wobec was lojalny, Wasza Królewska Mość, choć mam nadzieję, że nie obrazicie się za te szczere słowa. Jestem lojalnym poddanym króla Henryka. Jeśli lord Jan was pojma, zmusi was do małżeństwa i w ten sposób uczyni się królem Aosty. Król Henryk również ma plany wobec Aosty.

--Naprawdę? -- rzekła Adelheida nieśmiało. -- Wcale nie jestem pewna, czego Henryk może chcieć w Aoście. -- Spojrzała na Theophanu, ale nie odezwała się do niej. Theophanu siedziała otulona ciszą.

Hugo zdawał się zaskoczony.

--Król Henryk wysłał armię na południe, by was odnaleźć, Wasza Królewska Mość, ale pewnie ich nie spotkałyście. To by wyjaśniało tę straszliwą sytuację, w której się teraz znajdujecie. Dlatego błagam was, Wasza Królewska Mość, uznajcie mnie za ambasadora króla Henryka: on chce pomóc wam, która jesteście prawowitą władczynią Aosty. Wesprze was armią, jeśli zajdzie taka potrzeba.

--A słyszałam, że zamierza ożenić ze mną swego syna z nieprawego łoża, Sanglanto, którego chce uczynić królem u mego boku.

Teraz zmiana w wyrazie jego twarzy była tak zaskakująca, jak dźwięk odległego gromu rozdzierający ciszę leniwego letniego dnia. Zniknęła.

--Dlaczego dawać synowi to, na co zasługuje ojciec?

--Sądziysz, że Henryk pragnie mnie poślubić? -- zapytała Adelheida.

--Byłby głupcem, odrzucając kobietę waszej pozycji i cnoty, Wasza Królewska Mość. Theophanu ożyła niby namalowana figura, niszcząc warstwę farby, by wkroczyć do komnaty.

--Nie możesz znać życzeń mego ojca! Liczy, że Sanglant poślubi Adelheidę.

--Wasza Wysokość! -- Był zaskoczony. Poruszył się, szukając jej. -- Nie wiedziałem... Ta zasłona mnie zdezorientowała, inaczej na pewno byłbym świadom waszej obecności...

--I zmienił swoją opowiastkę? -- zapytała Theophanu. -- Ale jestem tutaj i słuchałam. Jak zamierzasz pomóc Twardogłowemu w jego planach?

Ale to on kontrolował sytuację.

--Nikt nie może służyć dwóm panom. Pomaganie Twardogłowemu dla własnej korzyści byłoby zdradą króla Henryka. -- Przemawiał jak dworzanin, elegancko i przyjemnie, ale po raz pierwszy Rosvita usłyszała w jego głosie inną nutę, twardą jak granit. -- Robiłem rzeczy, z których nie jestem dumny i widziałem, jak zawstydzająco niewielkie ambicje potrafią zrujnować obiecującego człowieka. Ale nigdy w żaden sposób nie działałem przeciw memu królowi. -- Zdawał się niemal wyzywać Theophanu, by zaprzeczyła, ale ona nie odpowiedziała.

--Chcę wysłuchać propozycji lorda Hugona -- stwierdziła Adelheida.

--Czy jest tu matka tego klasztoru? -- zapytał Hugo. -- Muszę zdobyć jej zgodę, gdyż to, co chcę zaproponować, może nie zyskać jej aprobaty.

Mruknięcie Theophanu wystarczyło za komentarz.

--Jestem tu, synu -- rzekła matka Obligatia. -- Mów przede mną otwarcie.

--Na szczycie wzgórza stoi kamienna korona. Możliwe jest szybkie pokonywanie wielkich odległości, podróżując poprzez bramy stworzone przez te kamienne kręgi.

--Podróżować? -- zdziwiła się Adelheida, a potem roześmiała, jakby usłyszała wyjątkowo dobry żart. -- Musisz wyjaśnić, lordzie Hugonie. Nie rozumiem cię.

--Kiedy podróżujemy statkiem, Wasza Królewska Mość, nie zatrzymujemy się przy każdym klifie czy skale, ale w portach, z których można zejść na ląd. Pomyślcie o kamiennych koronach jak o portach, a drodze pomiędzy każdą z nich nie jak o morzu czy lądzie, ale eterze, żywole siedmiu sfer, wszystkim tym, co znajduje się ponad księżycem.

--Jak to możliwe? -- wykrzyknęła Adelheida. -- Czy nie jest bluźnierstwem sugerowanie, że możemy podróżować przez eter za życia? Tylko dusze umarłych wstępują przez siedem sfer w swej podróży ku Komnacie Światła.

Hugo zwrócił głowę w stronę matki Obligatii; mimo jego stwierdzeń o opasce wiedział, gdzie siedziała każda z mówiących.

--Nawet malunki na ścianach kaplicy dla gości zdradzają prawdziwy cel kamiennych koron. Nie wiem, czy w tym klasztorze znajdują się inne malowidła, odkrywające kolejne sekrety. Ale obraz, który widziałem, potwierdza, że starożytni Aoi wiedzieli, jak używać kamiennych kręgów. Być może nawet je zbudowali, ponieważ stare opowieści przedstawiają ich jako wielkich magów.

--Czy to prawda, matko? -- zapytała cicho Theophanu. -- To z pewnością jedynie majaczenia chorego umysłu. Nie wierzycie mu, prawda?

Matka Obligatia długi czas milczała. Potem rzekła tylko:

--Mów dalej, lordzie Hugonie.

Skłonił głowę, okazując szacunek i posłuszeństwo.

--Wczoraj o zmierzchu widziałem dziwne światła emanujące ze szczytu wzgórza. Słyszałem straszliwe krzyki. Nawet poczułem dziwny zapach, jakby właśnie uderzyła błyskawica, i zastanawiałem się, czy mieszka tam jakieś stworzenie, pilnując korony? Widziałem inne korony, ale nie są one nawiedzone ani nie słyszałem o tym opowieści.

--Prawda, synu, zgadłeś. W koronie uwięziony jest demon, w jaki sposób, nie wiem.

--Jak długo jest tu uwięziony?

--Nasze opowieści zawsze mówiły, że tam zamieszkiwał. Święta Ekatarina założyła ten klasztor ponad czterysta lat temu. Wobec tego jeśli możliwe jest podróżowanie przez korony, a przyznaję, że nie jestem pewna, czy mogę w takie stwierdzenie uwierzyć, to w każdym razie nasza jest zamknięta z powodu demona, który ją nawiedza. Zabija każdego, kto podejrze zbyt blisko.

Długo klęczał ze schyloną głową, a Rosvita patrzyła na tych, którzy go obserwowali. Adelheida pochyliła się ku niemu niczym ku płowemu lampartowi, którego chciała pogłaskać, jednak nie była jednocześnie pewna, czy nie odgryzie jej ręki. Theophanu gapła się na niego, jakby był żmiją gotową do ataku. Matka Obligatia po prostu patrzyła.

Wreszcie uniósł głowę i przemówił:

--A jeśli potrafię uwięzić demona i uwolnić wasz klasztor od jego cienia? Królowa Adelheida, księżniczka Theophanu i ich przybocznicy mogą uciec przez koronę, a Twardogłowy nie robi nic, żeby ich powstrzymać.

Adelheida rozparła się na krześle, jej twarz lśniła, jakby właśnie odkryła, że lampart mimo wszystko był agresywny i cieszyła się, że ma w swej menażerii tak dzikie zwierzę.

--I podążysz z nami, zostawiając swój oddział w rękach Twardogłowego?

--Nie, zostanę. Nie opuszczę mojej eskorty. To dobrzy ludzie i nie zasługują na taki los.

--Jeśli twój plan się powiedzie, Twardogłowy zamorduje cię za to, że go zdradziłeś.

Poznałeś go. Jak możesz w to wątpić?

--Wiem, jakim jest człowiekiem. Moja matka jest taka sama. Wiem, jak sobie radzić z lordem Janem.

--Kuzynko, na pewno nie chcesz powierzać swego życia temu mężczyźnie -- rzekła

Theophanu z zimną furią. -- Jak możemy się zgadzać, by pomagały nam te same czary, które Kościół potępił? On sam przyznał się, że wysłano go do skoposy, by został osądzony za swe zbrodnie! Jak możemy mu zaufać? Równie dobrze może nas wysłać do tej korony, by stwór nas zabił...!

Żołnierze i dworacy zaczęli gadać wszyscy naraz, podniósł się hałas, którego kapitan Fulk nie zamierzał uciszać. Towarzyszki Adelheidy zalały królową potokiem pytań. Dwórki Theophanu były cichsze, ale nie mniej podniecone, szepcząc do siebie, ciągnąc za rękawy, wskazując i gestykulując. Hugo tylko słuchał i Rosvita nagle przeleżała się oddychać, jakby mógł usłyszeć specyficzny odgłos jej oddechu i dzięki temu ją rozpoznać. Czy cały czas wiedział, że Theophanu tu była? Czy tylko się z nimi bawił? Ale gnębiło ją irytujące podejrzenie, że mówiąc o swej lojalności wobec króla Henryka, nie kłamał.

Służących, zgromadzonych w ciemności, również ogarnęła gorączka i chwilę później hałas odbijał się echem w jaskini.

Matka Obligatia trzykrotnie uderzyła laską w podłogę i zapadła nagle, otępiająca cisza, przerwana dwoma chrząknięciami i kichnięciem.

--Wystarczy -- rzekła, nie podnosząc głosu. -- Słyszeliśmy, co proponuje lord Hugo. Kapitanie Fulk, odprowadź lorda Hugona z powrotem do kwatery gościnnej, gdzie poczeka na naszą decyzję.

Kapitan Fulk dał znak eskorcie. Hugo podniósł się wdzięcznie, posłuszny niczym oswojony drapieżnik.

--Proszę, matko Obligatio, pozwólcie zdjąć tę opaskę, zanim odejdzie -- powiedziała Adelheida. -- Chcę zobaczyć, czy jest tak przystojny, jak wszyscy opowiadają.

Matka Obligatia obróciła laskę w dłoniach.

--W klasztorze Świętej Radegundis odprawialiśmy mszę po obu stronach parawanu, ustawionego pośrodku nawy, abyśmy nie mogli na siebie patrzeć, mężczyzna na kobietę. Ponieważ sama Radegundis mawiała: „Nieprzyjaciel zna wiele ścieżek, by zwieść kobiety i mężczyzn ze ścieżki świętości”. Zaprowadziłam tutaj tę zasadę i nie pozwalam moim mniszkom patrzeć na mężczyzn, gdy już złożą śluby. Ale wiem, że w Wendarze obyczaj są inne i klerycy obu płci mieszają się swobodnie podczas boskiej pracy.

--Ja w każdym razie nie jestem zakonnicą i nie zamierzam nią zostać -- powiedziała Adelheida.

--Nawet gdyby to był jedyny sposób, aby uchronić cię przed małżeństwem z Twardogłowem?

Pytanie zostało zadane ze zwodniczą łatwością. Oczy Theophanu rozszerzyły się i księżniczka przybrała nagle zamyślony wyraz twarzy. Ale Adelheida odrzuciła głowę, śmiejąc się, jakby pasja i duma były rzeczami, którymi należy się radować, samą esencją jej istnienia.

--Będę królową na własnych prawach albo umrę, matko. Wiecie, że szanuję kościół.

--Owszem, będziesz -- zgodziła się Obligatia, a Rosvita nie potrafiła zinterpretować emocji w jej głosie. -- Doskonale. Zdejmijcie mu na chwilę opaskę.

Na rozkaz Adelheidy zapalono lampę. Kiedy kapitan Fulk rozwiązywał opaskę, Rosvita ukryła się w cieniu za krzesłem Theophanu, a gdy towarzyszki Theophanu ruszyły do przodu, by lepiej widzieć, ich szaty przysłoniły ją jeszcze bardziej. Nie widziała, słyszała tylko, jak Hugo odezwał się delikatnym i miłym tonem:

--Wasza Królewska Mość -- powiedział. -- Wasza Wysokość. Matko.

Rosvita wyobraziła sobie, że podkreśla powitanie wdzięcznymi ukłonami, odpowiednimi dla pokornego, ale melodyjnego tonu.

--Dość przystojny -- powiedziała Adelheida, podczas gdy jej towarzyszki chichotały i szeptały. -- Ale mnie wystarczy jeden przystojny, młody mąż! Zawsze uganiał się za biednymi służącymi i zawsze się zastanawiałam, czy to jedna z nich zepchnęła go ze schodów tej nocy, gdy zginął, Pani wybaczyć mu jego grzechy.

--Pan i Pani dobrze znają nasze grzechy -- powiedziała matka Obligatia. -- I są miłosierni. Kapitanie, zawiąż mu oczy i odprowadź do sali gościnnej, a potem tu wróć.

Wykonano rozkaz. Hugona odprowadzono.

Rosvita wróciła obok Theophanu. Nikt nie miał czasu skomentować jej dziwnego zachowania, Adelheida wstała bowiem natychmiast, zwracając się do opatki i księżniczki:

--Zaryzykujemy.

--Nie możemy mu zaufać! -- Krzyknęła Theophanu. -- Wprowadzi nas w koronę i pozwoli, by to straszliwe stworzenie wszystkich wymordowało. Wtedy Twardogłowy się nas pozbędzie.

--Twardogłowy mnie potrzebuje! Jestem ostatnim żyjącym członkiem aostańskiej rodziny królewskiej. Nasz ród rządził tu przez pięćdziesiąt lat. Może legalnie sięgnąć po tron jedynie dzięki mnie.

--Nie, jeśli umrzesz -- odparła Theophanu. -- Wtedy droga wolna.

--Nie dla niego! Ojciec jego matki był najemnikiem, który wzbogacił się, walcząc z Jinnijczykami, a później sprzedał córkę na konkubinę lordowi Sabiny. Ale ona z kolei miała wielu kochanków z ludu i przypuszcza się, że jeden z nich splodził Twardogłowego.

--Wobec tego jak doszedł do lordostwa? -- zapytała Theophanu.

--Twardogłowy zamordował swego przyrodniego brata i poślubił wdowę, która była ze szlacheckiego rodu, miała ziemię i skarbiec. Ale nie dał jej żadnych dzieci, a teraz jej ziemię zajęli Aretuzanie. Nikt nie wie, czy ją zamordował, czy wygnał do klasztoru. Sądzisz, że szlachta Aosty uklęknęła przed nim? -- Jej gniew ochłodził nagle i zwróciła się do opatki: -- Wybaczcie mi, matko. To nie my dokonamy wyboru, prawda? Jeśli zabronicie, nie możemy działać.

Obligatia przesunęła dłońmi wzdłuż laski.

--Nie będę się wtrącać, jeśli zdecydujecie się skorzystać z pomocy lorda Hugona.

--Sądzicie, że możliwe jest, iż korony mogą służyć tak, jak on twierdził? -- zapytała zaskoczona Rosvita.

--Kiedy moja poprzedniczka leżała na łożu śmierci, odbyła ze mną rozmowę w cztery oczy i przekazała wiedzę, która znajdowała się w posiadaniu opatek od czasów świętej Ekatariny. Nie mam dowodów, nie widziałam ich na własne oczy, ale istnieją historie o koronach splecionych w bramy, które mogą zaprowadzić wędrowców do odległych krain.

--Stara magia, utracona dla nas -- stwierdziła Rosvita. -- A jednak, Wasza Wysokość -- dodała, zwracając się do Theophanu. -- Czyż nie widziałyśmy malowidła na ścianie kaplicy gościnnej? Mogło przedstawiać sposób podróżowania, który ludzie dawno zapomnieli albo nigdy nie znali.

--Jestem przeciw -- powtórzyła uparcie Theophanu. -- Mogę tylko oponować, ponieważ zawsze będę przekonana, że próbował mnie zamordować za pomocą magii. Ale jeszcze nie

powiedziałaś, co ty myślisz, siostrze Rosvito. Czy zgadzasz się ze mną, czy z Adelheidą?

--Czy właściwe jest przyjmować pomoc od kogoś, kto został już skazany za to właśnie, czego od niego zażądamy? A jednak człowiek jak Twardogłowy, który wycina dojrzałe drzewo oliwne i kastruje lojalnych żołnierzy swego wroga, nie jest wystarczająco mądry, by zostać dobrym władcą. A jeśli nie jest szlachcicem, nie jest wart... -- Ale, dziwne, pomyślała o Hathui i nie skończyła komentarza. -- W każdym razie, Wasza Wysokość, musimy działać dla dobra waszego ojca, o którym wiemy, że jest mądrym i sprawiedliwym władcą. -- Mogła jedynie pokręcić głową, przytłoczona nagłym ciężarem. -- Nie, nie mogę szybko podjąć decyzji, kiedy sprawy są takie poważne. Potrzebuję czasu, by to przemyśleć.

--Doskonale -- rzekła Theophanu, znów pełna chłodnej siły. -- Uznam twoją decyzję, siostrze Rosvito. Zgodzę się na wszystko, co wybierzesz.

--Błagam was, Wasza Wysokość! -- wykrzyknęła Rosvita, niemal wybuchając śmiechem, bo ciężar się podwoił.

--Nie, powiedziałam. Zgodzę się na wszystko, co wybierzesz, siostrze, ponieważ w tej sprawie bardziej ufam twojemu osądowi niż własnemu.

O Boże! Theophanu ufała, że ona ujrzy Hugona we właściwym świetle, podczas gdy księżniczka widziała go jedynie przez zasłonę nienawiści i, być może, wypaczonego pożądanego. Ale Rosvita nie była pewna, czy może osądzić Hugona i jego propozycję mądrzej, nie biorąc pod uwagę jej własnych uprzedzeń. Nie była bezstronna; może się okazać, że nie miała racji co do Liath.

Ale musiała zadecydować. Los królowej, księżniczki i całej Aosty spoczywał teraz na jej barkach.

Wszyscy czekali. Wreszcie odzyskała głos.

--Czy mogłabym zastanowić się w samotności, matko?

Opatka skinęła głową.

--Jak sobie życzysz, siostrze. Paloma odprowadzi cię do biblioteki.

Wydawała się ona odpowiednim miejscem, by kobieta o jej skłonnościach podjęła decyzję, która mogła okazać się najtrudniejszą, może nawet najgorszą, w jej życiu.

3.

Ivar obudził się zdezorientowany. Głowa go bolała, a w ustach czuł smak zdechłej ryby. Po chwili uświadomił sobie, że nie jest sam. Ktoś bardzo ciepły, raczej wilgotny i zupełnie nagi, przyciskał się do niego na koślawym łóżku. Z drugiej strony ciemnej sali słyszał szepty, chichoty, stękanie i jęk, który skończył się westchnieniem naglej rozkoszy.

Osoba na łóżku poruszyła się.

--Obudziłeś się, mój panie? -- Miała wysoki zdyszany głos, jak kobieta w chwili cielesnej rozkoszy. Zeszłej nocy, podczas uczyty Łuczywa, ten głos i jej ciało rozpały go nie do zniesienia; one i wino, rzecz jasna. Ale tak było każdej nocy w Gencie, w nowo wybudowanym dormitorium klasztoru Świętej Perpetui, Pani bitew i patronki czystych i bezpłodnych kobiet. Każdego wieczoru ojciec Ekkehard wydawał ucztę i kazał młodym, chętnym kobietom z miasta podawać picie i jedzenie, a po grze w kości, śpiewach, tańcach, zapasach i wielkiej ilości wina, niektóre dziewczęta odchodziły, a inne zostawały.

Ktoś otworzył okiennicę i Ivar zamknął oczy. Od słońca lapało go w głowie. Dziewczyna wyslizgnęła się z łóżka i wysiusiała w kącie; słyszał cichy szum na gałązkach jałowca rozrzuconych na podłodze. Chwilę później usiadła ciężko obok niego i bez entuzjazmu poglądziła po lędźwiach.

--Znów możemy dosiąść tego konia, panie -- powiedziała. -- Wiecie, jak bardzo uwielbiam jeździć.

W chłodnym świetle poranka jej głos nie brzmiał tak szczerze jak minionej nocy. Była zmęczona i, szczerze mówiąc, dość znudzona.

Pomacał pod materacem, znalazł kilka monet i wepchnął w jej rękę.

--Nie -- rzekł. -- Idź sobie.

--Ach! -- Po raz pierwszy usłyszał prawdziwą namiętność. -- Jesteście bardzo szcudrzy, mój panie.

Tylko machnął ręką. Musiał się wysikać i bardzo pragnął, żeby sobie poszła. Ale gdy dziewczyna naciągnęła ubranie i odeszła wśród odgłosów innych kobiet, czyichś wymiotów i stukotu kości, jeszcze bardziej zapragnął uciec wraz z nią. Nie dokładnie z nią; nie obchodziła go bardziej niż kobieta, z którą sypiał wcześniej i jeszcze wcześniej, a może to była ta sama przez kilka nocy, nie był pewien. Ale Ekkehard zdawał się nie męczyć nocnymi biesiadami, a ponieważ Ekkehard był księciem i nowo mianowanym ojcem klasztoru Świętej Perpetui nad Vesperem, podążali za nim.

--Drogi Ivarze. -- Baldwin padł obok niego, nagi jak tamta dziewczyna. Był spocony, włosy miał w nieładzie i ktoś wylał mu na głowę resztki wina z pucharu. Wciąż był najprzystojniejszym mężczyzną w sali. -- Jedziemy na polowanie. We wschodnich lasach widziano nową zwierzynę. Ubieraj się!

Ivar jęknął.

--Zajeżdżony na śmierć! -- roześmiał się Baldwin. -- Wykończony! Naprawdę? -- Poglądził kark Ivara ze znacznie większą namiętnością niż to robiła dziewczyna, i Ivar poczuł znajome ukłucie pożądania między nogami. Prawie wszystko mogło go teraz podniecić, i prawie wszystko podniecało. -- Jeszcze nie poległ! -- Baldwin przesuwiał ręce, leżąc obok Ivara na wąskim łóżku. Dlaczego nie? Nie było tu nic innego do roboty dzień po dniu. A poza tym Baldwin naprawdę go kochał. Dziewczyna chciała jedynie pieniędzy. -- Kochany Ivarze. Jaka

była? Opowiedz mi o tym, o wszystkim, co z nią robiłeś. Czy dotykała cię w ten sposób? Czy przypomniała ci o Liath?

Ivar poderwał się, pożądanie zniknęło.

--Muszę się odlać. -- Dosłownie spadł z łóżka, śpiesząc się, by odejść. Od poruszenia zakręciło mu się w głowie i żołądek się skurczył. Rzygał w kącie i zaczął płakać, a po chwili uświadomił sobie, że Baldwin kuczał obok, podtrzymując go.

--Przepraszam -- powiedział Baldwin. -- Obiecałem ci wcześniej, że nie będę o niej więcej mówił.

--Mam nadzieję, że nie żyje -- odparł Ivar z wściekłością. -- Porzuciła mnie. Nigdy jej nie obchodziłem.

--Prawda -- zgodził się Baldwin. -- Dalej, połóż się. Wyglądasz na chorego. -- Gwizdnął przenikliwie i podbiegł jeden ze służących. -- Przynieś mu trochę wina. I moje ubranie.

--Nie podoba mi się tutaj -- mruknął Ivar. Czuł lekki ból głowy. -- Ale nie ma dokąd pójść, powodu, by odejść, niczego, niczego, niczego! I nie przepadam za księciem -- dodał, nienawidząc się za narzekanie.

--Ja też nie -- zwierzył się Baldwin. -- Ale uratował nas przed margrabiną, prawda? -- Służący wrócił z pucharem wina i odzieniem Baldwina. -- Dalej. Gdzie się podział słodki uśmiech?

Ivar nie potrafił przywołać żadnego uśmiechu, ani słodkiego, ani ponurego. Zasłonił oczy ramieniem i leżał tam, nienawidząc siebie i wszystkiego wokół, może poza Baldwinem.

Czy głowa musiała go tak boleć? Chwilę później drzwi do dormitorium zostały otwarte z taką siłą, że uderzyły w ścianę. Baldwin podskoczył. Brat Humilicus, o nie pasującym do niego imieniu, pojawił się w progu niby gniew Boży, wściekły, z grymasem, który zdawał się zapieczony na jego przystojnej twarzy. Król Henryk powierzył mu pieczę nad nowym klasztorem; była to dokładna i ścisła zasada, którą całkowicie pogwałciło przybycie Ekkeharda.

Ale Ivar nie lubił brata Humilicusa. Tak naprawdę Ivar nie lubił już nikogo i nigdzie. Może prócz Baldwina, Ermanricha i Zygfryda, ponieważ cierpieli z nim w Quedlinhamie. Oprócz lady Tallii, ale to nie była sympatia: świętego nie można lubić czy nie lubić. Święci żyli poza przyziemnymi emocjami. Po prostu istnieli, by ich czcić.

Ale on nic nie robił, tylko pogrążał w pijaństwie i uciechach cielesnych.

Baldwin zacisnął rękę na jego ramieniu i, gdy reszta nowicjuszy ledwo się dźwigała, poderwał się, by okazać szacunek bratu Humilicusowi, lepszemu od nich pod każdym względem. Łącznie z pobożnością.

Książę Ekkehard rozciągał się na łóżku, gapiąc się ponuro na brata Humilicusa, ale nie zadając sobie trudu, by wstać. Jego łóżko stało nieco oddalone od reszty i, jak zwykle, miał w nim dwie dziewczyny. W nogach łóżka leżał skulony jak pies Milo, chrapiąc głośno. Jedna z dziewcząt ubrała się szybko pod pełnym obrzydzenia spojrzeniem brata Humilicusa. Druga, ulubienica Ekkeharda, była ładną ciemnowłosą kobietą, co najmniej pięć lat starszą od księcia. Jej szczupłe ciało już ukazywało ciążę. Noszenie w sobie królewskiego bękarta napelniło ją pychą i zachowywała się tak jak książę: przeciągała się nieprzyzwoicie, ukazując nabrzmiałe piersi i brzuch.

--Nie stawiliście się na porannych modlitwach, ojcze. -- Brat Humilicus czuł się zobowiązany do powtarzania tego każdego ranka.

--Owszem. Hej, Milo. -- Szturchnął chłopca stopą, a ten obudził się z chrapnięciem. --
Przynieś mi ubranie do polowania. Dobry bracie Humilicusie, proszę, dopilnuj, by naszykowano
konie. Czy mój kuzyn, lord Wichman, pojedzie z nami?

--Jak sobie życzycie, ojcie -- odparł Humilicus beznamiętnie. Wyszedł bez słowa.

Ivar naciągnął tunikę, wytoczył się na zewnątrz i umył twarz w cysternie. Choć w
powietrzu unosił się zimowy chłód, wody nie pokrył lód. W ostatnim miesiącu śnieg raz czy dwa
zasypał ziemię i stopniał, a poza tym kilka razy padało, nic poza tym. Kiedy stał, wdychając
zimne powietrze, ból w żołądku osłabł, ale nic nie mogło złagodzić bólu serca. Nie chciał być
tutaj, w Gencie; nie chciał wracać do Spokoju Serca czy Quedlinhamu, i tak nie mógł. Nie miał
powodu, by znajdować się gdziekolwiek. Miał dobre życie, zanim zjawiała się Liath. Był wtedy
prawie szczęśliwy. To wszystko jej wina.

--Może cię naprawdę zaczarowała -- powiedział Baldwin, podchodząc do niego i kładąc mu
przyjacielsko dłoń na ramieniu.

Invar zaczął płakać, znienawidził się za płacz. Wściekł się.

--Jaki sens miało ujrzenie cudu w Quedlinhamie? Dlaczego Bóg tak nas męczyła,
pokazując Swe dzieło na wyciągnięcie ręki, a potem nas porzucając?

Baldwin wzruszył ramionami, znalazł na ziemi ceramiczny dzbanek i użył go, by wylać
sobie wodę na głowę. Wyprostował się, odstawił dzbanek i otarł wodę z oczu i ust. Krople
spadały mu z nosa.

--Bóg nigdy nas nie opuściła. Cud wciąż znajduje się w naszych sercach i tam pozostanie.
Może Liath naprawdę była wysłannikiem Nieprzyjaciela, jak mówili na soborze. Biskupiny i
prezbiterowie nie potępiliby jej bez powodu, prawda? Może strzeliła ci w serce zatrutą strzałą,
Ivarze, i dlatego jesteś cały czas smutny i zły. Książę Ekkehard to zauważył. Nie jest pewien,
czy chce cię wśród swych towarzyszy, jeśli nie będziesz z nami pił, śmiał się i śpiewał.

--Kurwił się, upijał każdego wieczoru, nigdy nie modlił i tylko zaspokajał własne
zachcianki? To nie jest boski plan!

Baldwin urwał kawałek zwiędniętej pietruszki, przeżuł i wypluł.

--Skąd wiesz, jaki jest boski plan? Ja robię to, co mi każą.

--Nie! Uciekleś od margrabiny Judith.

--Musiałem -- stwierdził Baldwin poważnie. -- Bóg mnie natchnęła. Bóg mi szepnęła, że
margrabina Judith posłała swego ostatniego męża do bitwy, wiedząc, że zginie, bo chciała mnie
poślubić. Bóg mnie ostrzegła, że ze mną zrobi to samo za cztery czy pięć lat, kiedy pojawi się
młodszy, przystojniejszy chłopiec.

Ivar spojrział na Baldwina w jasnym świetle przyjemnego zimowego poranka.

--Baldwin, w całym tym królestwie nie ma przystojniejszego mężczyzny od ciebie.

--A jednak mogłaby się mną znudzić. Mogłaby wysłać mnie Aretuzańczykom, a oni ucieliby
mi fiuta. Tam lubią eunuchów. Tak powiedział mi ojciec Hugo. A poza tym nie lubię jej i nigdy
nie polubię. Nie chcę być mężem takiej kobiety. Traktowała mnie jak konia! Coś, czego użyje, i
odstawi do czasu, kiedy znów będzie tego potrzebować!

--Czy jest jakaś kobieta, z którą chciałbyś się ożenić?

Baldwin zastanawiał się dłuższą chwilę.

--Taka, która będzie mnie dobrze traktować -- rzekł w końcu. Ale na razie jestem wolny
od niej. Jeśli musiałem być najpierw dziwką Ekkeharda, a teraz uniżonym sługą, trudno. Jeśli

muszę używać jego przechodzonych dziwek, bo on uważa, że to śmieszne, trudno. Nie przeszkadza mi to, dopóki nie śmierdzą. Dlaczego miałyby mi to przeszkadzać?

--Bo to nudne.

--Nudne! -- Na idealnej twarzy Baldwina odmalowało się zaskoczenie. -- Kobieta albo dwie każdej nocy, albo przyjaciel, jeśli akurat na to masz ochotę. Polowania prawie codziennie. Dobre jedzenie i najlepsze wino. Śpiew, taniec i zapasy. Akrobaci, którzy cię codziennie zabawiają. Poeci śpiewający legendy o dawnych bitwach. Jak to może być nudne?

--O Boże! -- Raz wypowiedziana uwaga zagnieździła się w sercu Ivara. -- Ale to wciąż i wciąż to samo. I na końcu zostajesz z niczym.

--To samo! Nie powiesz mi, że nie byłeś zachwycony akrobatkami i tym, co potrafiły. Lord Wichman zatrzymałby je na miesiąc, gdyby mógł.

--Ale nie zostały na miesiąc, prawda? Nikt z nich nie chciał. -- Ivar dobrze pamiętał akrobatki. Szczupłe, półnagie dziewczęta, które robiły sztuczki na linie, były zazdrośnie strzeżone przez mężczyzn z trupy, którzy obrazili zakochanego Ekkeharda, ale dwie starsze kobiety zabawiały mężczyzn na inne, zadziwiające sposoby. Ale trupa odjechała, gdy tylko ich kieszenie wypełniły się pieniędzmi i podarkami. -- Nie lubili nas. Nie bardziej niż ty lubiłeś bycie mężem margrabin Judith. Zwierzęta jedzą, piją, polują i się parzą, Baldwinie! Czym się teraz różnimy od zwierząt?

Baldwin zamrugał. Z drzwi dormitorium buchnął nagły zgiełk, gdy Ekkehard i jego towarzysze weszli na teren klasztoru, gadając i śmiejąc się. Kilku mnichów, którzy nadal pracowali według przykazań brata Humilicusa, uciekło do kościoła, jedyne miejsce, którego Ekkehard nigdy nie profanował obecnością kurew.

--Chodźcie! -- rozkazał książe. -- Baldwin! Jedziemy na polowanie!

Baldwin złapał Ivara za nadgarstek.

--Musisz go zadowolić -- mruknął. -- Albo nie będzie nas chronił! -- Pociągnął Ivara za księciem, a ten dał się prowadzić: przecież nie miał nic innego do roboty. Przy bramie klasztoru spotkali kuzyna Ekkeharda, Wichmana, który przechadzał się z dziką energią. Podniósł wzrok i ujrzał Ekkeharda.

--Późno wstajesz, kuzynie! Powinniśmy byli wyjechać godzinę temu. Nie będę na ciebie więcej czekał! -- Wichman kilka miesięcy leczył się z ran odniesionych w bitwie o Gent zeszłego lata i nadal utykał, ale poza tym był silny i niespokojny i, jak mawiał lord Harl, szukał kłopotów. Uczynił się faktycznym panem Gentu pod nieobecność innych pretendentów i rządził na przemian łagodnie i silną ręką. Roześmiał się. -- I nie muszę! Dostałem wieści, że na wschodzie nasiliły się rajdy Qumanów. Moi towarzysze i ja wyruszamy na wschód, by walczyć z barbarzyńcami!

--Pojadę z wami! -- zawołał Ekkehard.

--Nie masz doświadczenia w boju. Tylko nas opóźnisz i będziesz przeszkadzał.

Ekkehard miał ładną twarz i ośli zwyczaj wysuwania podbródka, gdy ktoś mu się sprzeciwiał.

--Jak mogę zdobyć doświadczenie w boju, skoro nikt nie pozwala mi wziąć udziału w bitwie?

--Teraz jesteś opatem. -- Wichman znów się roześmiał, niezbyt przyjemnie. Ivar nie sądził, by Wichman lubił swego młodego kuzyna; tolerował go, bo się nudził. -- Masz doglądać pól

ducha.

Ekkehard nie poddawał się łatwo.

--Ale zaledwie wczoraj dostałeś wiadomość od księżnej Rotrudis, byś wracał do Osterburga i się żenił. I co?

--Spaliłem list -- wzruszył ramionami Wichman. -- Powiem matce, że go nigdy nie dostałem.

--Ja jej tego nie powiem -- rzekł Ekkehard przebiegle. -- Sam do niej napiszę i opowiem o twoim nieposłuszeństwie.

Wichman podrapał się po brodzie i przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę.

--Doskonale. Ale to twoja głowa zawiśnie przy gumańskim pasie, nie moja, kuzynie. -- Nie były to miłe słowa. -- Ty i twoi towarzysze możecie jechać ze mną, ale ostrzegam cię, musisz podporządkować się moim rozkazom. Nie chcę, by reszta zginęła dlatego, że jesteś głupi.

Ekkehard przemyślał to, ale nie był głupi.

--Doskonale -- zgodził się. -- A czy teraz możemy pojechać na polowanie?

Jeden z towarzyszy Wichmana wystąpił i szepnął coś lordowi do ucha.

--Ach. -- Skinął. Przyprawiono jakąś obszarpaną postać. -- Mam dla ciebie podarunek, rybkę, którą zeszłej nocy złowili u bram moi strażnicy. Zażądał, by go wpuszczono, i powiedział, że przeszedł całą drogę z Firseburgu w Varre na twój wyraźny rozkaz. Ale to tylko kolejny braciszek, a do tego tłusty. Nie sądzę, by twoi poplecznicy bardzo się ucieszyli. -- Wichman roześmiał się ostro. -- Nie jest tak ładny jak inni.

Stał tam, zmęczony, ale poza tym silny i bez zmartwień. Jego bose stopy pokrywały pęcherze, włosy miał długie i potargane, ale cieszył się, że ich widzi.

--Ermanrich! -- Baldwin klepnął Ermanricha w plecy, a potem podprowadził przed księcia Ekkeharda, który pozwolił ucałować swą dłoń i odprawił go. Nie był zainteresowany Ermanrichem.

--Chodź, Baldwinie -- rzekł książę. -- Dałem ci to, czego chciałeś. Teraz jedziemy na polowanie.

--Zostanę i upewnię się, że o niego zadbają -- rzekł Ivar szybko, a Baldwin rzucił mu krótkie spojrzenie, cichy wyraz aprobaty.

Udzielono zezwolenia. Tak naprawdę księcia guzik obchodziło, czy Ivar pojedzie, czy zostanie. Przyprawiono konie; książę i jego orszak dosiedli ich i odjechali zadowoleni.

Ivar zaprowadził Ermanricha do infirmerii, w której o tej porze był jedynie felczer. Spojrzał podejrzliwie na Ivara i kazał Ermanrichowi położyć się na pryczy. Natarł jego stopy olejkim lawendowym, a później ostrzygł i uczesał potargane włosy. Potem wyszedł, bez wątpienia by poinformować brata Humilicusa o nowo przybyłym. Ivar spoglądał z przerażeniem na stopy Ermanricha: skóra na podeszwach była popękana i sucha, gruba i twarda jak róg.

--Szedłeś całą drogę? Na boso? W tym zimnie?

--Zajęło mi to dwa miesiące! -- wykrzyknął Ermanrich radośnie. -- A jaka piękna była to droga! -- Przewrócił się na brzuch i podciągnął habit, by ukazać plecy. Stare strupy i blizny znaczyły pośladki. -- Sam przeor Firseburgu chłostał mnie codziennie, ponieważ nie chciałem się nawrócić! Ale wiedziałem, że Bóg usłyszy me wołanie. -- Opuścił wystrzępioną szatę i westchnął z ulgą. -- A potem do Firseburgu przybył lord Reginar i nakazał mi udać się tutaj, do Gentu. Wiedziałem, że Bóg mnie wezwała! -- Ivar podał mu piwo i chleb, i gdy polykał chleb, popijając piwem, mnisi w kościele zaczęli śpiewać. -- W końcu Ermanrich przerwał ciszę. -- Czy

odprawiacie mszę o każdej godzinie? W Firsebargu robili to tylko w święta.

--Nie. Słyszaleś, że królowa Matylda umarła?

--Tak, niech spoczywa w spokoju. Modliliśmy się za nią cały tydzień. A potem lord Reginar pozwolił mi odejść.

--Królowa powierzyła swój psalterz księciu Ekkehardowi. Mnisi tutaj modlą się za dusze umarłych zapisanych w tej księdze -- za wszystkich jej zmarłych krewnych i wielu innych ludzi, którzy składali bogate wota w Quedlinhamie albo służyli w inny sposób. Te modlitwy zabierają prawie cały dzień.

--Ale widziałem, jak ksiązę Ekkehard wyjeżdża na polowanie. Czy on tu nie jest opatem? Powinien się modlić, a nie polować. Psalterz królowej! Czy nie jest jego obowiązkiem modlić się za dusze swych zmarłych krewnych, jak ona to czyniła, aby jego modlitwy pomogły im wstąpić do Komnaty Światła?

--Widzę, że brat Ivar postanowił dzisiejszego ranka trzymać się swych ślubów i pozostać tu, by się modlić. -- Drzwi pociemniały: wszedł brat Humilicus, a za nim felczer, załamujący ręce. Ivar skrzywił się od ostrych słów Humilicusa. -- A to co? Kolejna zbląkana duszyczka przygarnięta przez naszego ojca? Ale mówi rozsądnie. Czy zamierzasz służyć Bogu, bracie? -- zapytał Ermanricha.

Ermanrich zerwał się na równe nogi i sklonił z szacunkiem.

--Owszem, bracie. Pozdrawiam cię w imieniu Boga, Naszej Matki, Tej, która powiła dziecko zrodzone ze śmiertelnych rodziców, które nie nosiło jednak piętna Nieprzyjaciela. To dziecko nazwała Swym Synem, a poprzez Jego cierpienie i odkupienie my możemy dostąpić zbawienia. -- A potem wyprostował ramiona, czekając na męczeńską koronę albo przynajmniej smgnięcie trzcinką po pośladkach.

--Heretyk -- rzekł ciepło brat Humilicus. -- Powiniennem był się domyślić. Ale, niestety, tak nisko upadliśmy, że odkrywam, że wolę heretyka z zapalem służącego Bogu od opata, który wypowiada prawdę, ale służy tylko sobie. Jak ci na imię?

--Zwą mnie Ermanrich, bracie. -- Na znak szacunku dla Humilicusa ukląkł. -- Widzę, że jesteś zaangażowany w Boskie dzieło, choć błędzisz. Jeśli jeszcze nie uwierzyłeś w prawdę, będę się modlił, aby Bóg cię do niej zaprowadził.

Brat Humilicus popatrzył na felczera, który zajął się przygotowaniem jakiegoś napoju przy kredensie, gdzie trzymał zioła i napary.

--Oto dni, kiedy wszystko wywraca się do góry nogami. Opaci używają klasztoru jak zamtuza, a nowicjusze napominają starszych. To jednak dziwny zbieg okoliczności. Biskupina Suplicja przyszła do mnie zaledwie wczoraj, narzekając na pewne malowidła stworzone ręką Nieprzyjaciela, opowiadające historię herezji, które pojawiły się tu i ówdzie na murach miasta. To wstrętne ręką, zdająca się piękna z wierzchu, ale pod skórą pełna larw i robaków.

Wytrzymali wykład brata Humilicusa na temat zła herezji i nieposłuszeństwa, ale obecność Ermanricha podniosła Ivara na duchu. Po raz pierwszy od tygodni poczuł nadzieję. Może nie wszystko stracone. Może życie mimo wszystko nie było tylko bezsensownym ciągnięciem żarcia, srania, pieprzenia i rzygania.

Kto malował obrazy w Gencie?

Po jakimś czasie nawet brat Humilicus musiał wyjść. Niechętnie pozwolił Ivarowi i Ermanrichowi wejść do kościoła i modlić się podczas tercji. Ale Humilicus musiał nadzorować

klasztor, którym podczas nieobecności Ekkeharda rządził żelazną ręką. Nie lubił chłopców Ekkeharda, jak ich nazywał, gdy księcia nie było w pobliżu, i nie zadawał sobie trudu, by włączyć ich w codzienną rutynę klasztornej życia. Łatwo było wyslizgnąć się przez drzwi dla służby i powędrować polami oziminy, a potem wejść po kamiennym moście do Gentu. Ponieważ nadal byli nowicjuszami, na ich głowach nie wygolono jeszcze tonsur i mogli uchodzić za młodych fratrów. Wielu fratrów przewijało się przez Gent w drodze na wschód, by nawracać pogan czy nauczać świeżo nawrócone plemiona: Rederów, Salavów, Polenów i Ungryjczyków składających ofiary z koni, rudowłosych Starvików i klany wojowników związanych się Rossi. Niektórzy fratry spędzali noc w kwaterach gościnnych klasztoru i czasami Ivar wymykał się z uczty w dormitorium, żeby posłuchać, jak rozmawiali z bratem Humilicusem o swych przygodach wśród płaskogębnych Bodinawów, którzy jedli, sikali, walczyli, spółkowali i rodzili się na końskich grzbietach, okrutnych Qumanów, którzy ucinali ludziom głowy i na ciele nosili skrzydła, wojowniczek Sazdakh, które zabijały wszystkich mężczyzn stawiających stopę na ich terytorium oraz tajemniczych Kerayit, których czarownice były tak brzydkie, że ich spojrzenie zamieniało ludzi w kamień. Wszyscy znali opowieści o innych fratrach, ich braciach w kościele, których wśród dzikusów spotkała męczeńska śmierć i opowiadali o tych błogosławionych wydarzeniach ze wspaniałymi, krwawymi szczegółami.

--Spójrz! -- mruknął Ermanrich, szarpiąc Ivara i wskazując pobieloną ścianę. Wzdłuż niej ciągnął się pas kolorów, obrazy rozwijały się w opowieść: Bóg rządzi w niebiosach ze swego wysokiego tronu, trzymając cały wszechświat w dłoni; w ciele świętej Edessii cudownie umieszcza dziecko, które łączy w sobie naturę boską i ludzką; dorasta, staje się mężczyzną i w śnie otrzymuje Święte Słowo; naucza i przychodzą do niego uczniowie, a wśród nich Tekla, Mateusz, Marek, Łucja, Joanna, Marianna i Piotr; zostaje aresztowany pod zarzutem podburzania do buntu przez żołnierzy Imperium Dariyariskiego; staje przed cesarzową Thaisannią i gdy odmawia uznania jej ofiar, skazuje go ona na śmierć przestępcy -- jest żywcem obdzierany ze skóry, a jego serce zostaje wyrwane z ciała, ale tam, gdzie krew spływa na ziemię, wyrastają róże.

Gapili się i gdy tak stali, Ivar uświadomił sobie, że wzdłuż ściany przechodzili mieszczanie i szeptali. Ktoś położył bukiet wędnących kwiatów pod malowidłem przedstawiającym cierpienie Daisana w rękach katów cesarzowej.

Podszedł, by ostrożnie dotknąć malowidła. Farby popękały już i odpadły; kilka burz zetrze je bez śladu. Ale obrazy pozostaną w ludzkich sercach.

Kto to zrobił?

--Zatrzymajcie się, przyjaciele! -- wołał za przechodniami Ermanrich. -- Zbierzcie się! Opowiem wam o tej tajemnicy, którą przed wami skrywano. Oto prawda! Słuchajcie!

Ivar zaczął się odwracać, by go uciszyć, i wpadł na dziewczynkę, może dwunastoletnią. Była silna, dobrze zbudowana, o złotych włosach, często spotykanych w tych stronach i dziwnym kolorze skóry, jakby czerwonoorzechowym. Złapała go za łokieć i spojrzała prosto w oczy, jakby pragnęła zajrzeć mu do serca. Na podbródku miała błoto, ale poza tym była czysta. Na jej piersi wisiał wypolerowany Krąg Jedności.

--O co chodzi, dziecko? -- zapytał jak frater. Pociągnęła go za łokieć, a potem pokazała „Chodź” klasztornym językiem znaków. Ermanrich pograżył się w kazaniu, a mieszczanie gromadzili się, by słuchać, niektórzy z zainteresowaniem, inni z pogardą, inni zaś dlatego, że nie

mieli nic innego do roboty.

Dziewczynka znów go pociągnęła i pokazała znak.

--Czego chcesz? -- zapytał.

Nie odpowiedziała, ale wskazała malowidła i uczyniła gest, jakby malowała. Zostawił Ermanricha i podążył za nią.

Szła szybko, skręcając w alejkę. Bezpański pies węszył w śmieciach. W cieniu pod okapem stał pęknięty garnek. Wyszli na ulicę i ruszyli wzdłuż ściany pałacu, z którego lord Wichman władał miastem. Umieścił na murach jaskrawe sztandary, czerwone i złote, czarne i srebrne, które trzepotały na wietrze znad rzeki. Dziewczynka pociągnęła Ivara za rękę i przeszli przez podwórze, na którym garnek z farbą bulgotał nad ogniskiem, a delikatna czteroletnia dziewczynka bawiła się lalką z gałganków. Podniosła wzrok i wymamrotała jakieś bezsensowne sylaby, ale towarzyska Ivara uczyniła jedynie gest „cisza”, zanim pociągnęła go dalej. Za studnią i cysterną znajdowały się niewielkie drzwi; Ivar musiał pochylić głowę, by nie uderzyć w futrynę. Weszli w alejkę, ciemną, gdyż wysokie domy niemal się stykały. Kiedy skręcili, zamrugał, oślepiony słońcem.

Tutaj, obok świeżo pobielonej ściany pałacu, zgromadziło się około piętnastu ludzi. Dziewczynka pociągnęła go naprzód, a kiedy mieszczanie ujrzeli, że towarzyszył jej frater, rozstąpili się, żeby ich przepuścić. Za nimi, pracując gorączkowo, szczupła postać w habicie malowała na ścianie postacie i wypełniała je barwnikami: kwiecistym złotem, wierzbową purpurą, chabrowym błękitem i brązem jałowca. Błogosławiony Daisan, uwolniony ze śmiertelnego ciała, wznosi się ku Komnacie Światła, by dołączyć do Świętej Matki. Jego uczniowie w dole ronią łzy radości...

Malarz odwrócił się, by zanurzyć pędzel w garnuszku z barwnikiem i Ivar ujrzął jego twarz.

--Zygryd!

Podskoczył, przewrócił garnuszek i odwrócił się, by stawić czoło oskarżycielowi. Jego szczupła twarz była cudownie znajoma, ale coś dziwnego stało się z jego szczęką.

--O Boże! Zygfryd! Co ty tu robisz? -- Ivar skoczył i złapał go za ramiona, a potem objął. -
- Jak ci się udało opuścić Quedlinham?

Zygryd uronił kilka łez. Jego delikatna twarz lśniła radością, gdy obejmował Ivara. A potem poplamionymi farbą dłońmi wskazał swe stopy i pokazał „Szedłem”. Jego stopy, jak stopy Ermanricha, były pokryte pęcherzami, pełne odcisków i brudne.

--Byliśmy tam, Zygfrydzie, gdy zmarła królowa Matylda. Baldwin i ja ukrywaliśmy się, bo uciekliśmy od margrabiny Judith wraz z księciem Ekkehardem, lecz nie mogliśmy zamieszkać w klasztorze z księciem, bo pewnie by nas rozpoznali, ale poszliśmy do kościoła i słyszeliśmy cię, słyszeliśmy, jak wyskoczyłeś z tłumu i zacząłeś nauczać. Odciągnęli cię. Czy cię wyrzucili? Jak się tu znalazłeś?

Zygryd nie odpowiedział. Te delikatne wąskie usta uśmiechały się lekko, zdradzając wypełniającą go inteligencję. Zygfryd żył tak, jak oni nie potrafili. Gdy już uwierzył, wierzył całym sobą, każdą cząsteczką. Ivar ujrział ten blask w jego twarzy i przez chwilę szarpnęły nim szpony zazdrości: dlaczego Zygfryd odczuwał taką pewność, a on wił się w bólu zwątpienia?

Ale czy to nie był jedynie głos Nieprzyjaciela, podszeptujący, by znienawidził druha?

Złapał go za ramiona.

--Zygrydzie, odezwij się do mnie.

Zygryd wskazał na ścianę, na swoje ręce, a potem otworzył usta.

Ucięli mu język.

--Na litość boską! -- krzyknął Ivar. -- Kto ci to zrobił? Bandyci na drodze? -- Zygfryd

pokręcił głową, cały czas patrząc na Ivara wzrokiem pełnym nie skrywanej radości.

Ivar poczuł, że jego oddech staje się urywany, gdy uświadomił sobie straszliwą prawdę.

--Zrobili ci to w Quedlinhamie?

Zygryd pokazał „Tak”.

Proste: matka Scholastyka wydała rozkaz, ale Zygfryd nie okazywał gniewu, nienawiści czy smutku. Stała się wola Boga: ucięli mu język, ale go nie uciszyli. Używanie języka to tylko jeden ze sposobów mówienia.

Wszystko rozkwitło, niby róże wyrastające z krwi błogosławionego Daisana. Zygfryd poświęcił swój język, gdyż nie bał się głosić prawdy. Ale Ivar nadal miał język. Nadal mógł mówić, tak jak Ermanrich uczący kilka domów dalej.

Bóg wybrała ich, by byli świadkami cudu. Oni zaś musieli dać świadectwo. Było to w sumie proste, wola boska była jasna. Zrozumiał, że wszystko prowadziło do tej chwili, skąd teraz wyrusza, jadąc na wschód z księciem Ekkehardem i lordem Wichmanem, do krain, na których nie zaciskała się ręka fałszywego kościoła.

Ivar odwrócił się do tłumu, liczącego około dwóch tuzinów ludzi. Niema dziewczynka patrzyła na niego wielkimi oczami, czekając.

Wszyscy czekali.

--Przyjaciele -- zaczął.

4.

Pomiędzy sekstą a noną Rosvita siedziała w bibliotece, mając przed sobą na pulpicie rozłożoną kronikę klasztoru Świętej Ekatariny. Większość wpisów była krótka: „W roku 287: Zapanowała straszna zaraza wśród ptaków. W roku 323: Królowa przysłała swą najmłodszą córkę, by została naszą opatką. W roku 402: W Cintre przyszła burza śnieżna i wszystkie winogrona zmarniały. Klerycy z Varre przez miesiąc mieszkali w kwaterach gościnnych. W roku 479: W wioskach widziano omeny, a na południowym niebie przez dwa miesiące płonęła kometa, a potem było trzęsienie ziemi. Wielu wieśniaków przyszło pod drabiny błagać o chleb. Król umarł w Reggio”.

Czy w kronikach zostanie zapisana śmierć królowej Adelheidy? „W ostatnich miesiącach roku 729: Królowa umarła z głodu w klasztorze Świętej Ekatariny”. Albo pojawią się inne wpisy. „W roku 731: Królowa została uduszona przez swego męża, Jana Twardogłowego, po tym jak urodziła potomka mającego prawo do tronu. Twardogłowy ogłosił się regentem”.

Czy mogli zaufać Hugonowi? Czy skażą się na potępienie, angażując się w magię, by ocalić własne życie? Czy jego twierdzenia mogły w ogóle być prawdziwe?

Czy historia nie była po prostu zapisem złych wyborów dokonywanych zamiast jeszcze gorszych? Tak mało rozwiązań im zostało, a każde rozpaczliwe. Czy musiało tak być? Przeczytała tyle kronik, nauczyła się czytać między wierszami i na marginesach, by nie odkryć zbyt późno rzeczy, które powinna była znać, które trzeba było wpleść w opowieść, by jej historia Wendarczyków okazała się kompletna. Zawsze istniało coś, co pozostawało w ukryciu, coś przeoczonego.

Najlepiej ukryte jest to, co na widoku, mówiło stare porzekadło.

Wzór rozwijał się wolno i rozrastał znacząco w ciągu ostatnich stu lat, po śmierci cesarza Taillefera. Zaczynały się jako notatki na marginesie, ale potem pojawiły się w głównym tekście: wyliczenia bez sensu, zazwyczaj powiązane ze wzmianką, że orszak szlachecki schronił się nieoczekiwanie w kwaterach gościnnych: Hersford w księstwie Fesse, siedem kamieni; Krona w księstwie Avarii, dziewięć kamieni; Novomo w hrabstwie Tuscerna, jedenaście kamieni; Thersa w księstwie Fesse, osiem kamieni.

Myszy zachrobotyły w ścianie.

--Siostró Rosvito. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Podskoczyła, uderzyła ręką w pergamin, a potem zaśmiała się, gdy matka Obligatia wkroczyła do komnaty.

--Myślałam, że jesteście myszą, a potem sobie przypomniałam, że tu nie ma myszy. -- Wstała pośpiesznie i przesunęła ławkę, by matka Obligatia mogła usiąść.

--Bez wątplenia są. Większość z nas jest myszami przemykającymi w domach silnych. Jeśli nie będziemy zmykać im z oczu, zniszczą nas.

--Mocne słowa, matko.

--Poczynania królowych i książąt z pewnością nie stanowią dla ciebie tajemnicy. --

Położyła dłoń na *Żywocie świętej Radegundis*, leżącym na drugim pulpicie obok niemal ukończonej kopii, zostawionej przez siostrę Petrę, która poszła po wodę. -- Czy znalazłaś odpowiedź?

--Nie, znalazłam tylko więcej pytań, matko. Jestem zbyt ciekawska. To ciężar, którym mnie Bóg obdarzyli. Co mam wnioskować z takich wzmianek: „St. Thierry w księstwie Arconii,

cztery kamienie". Klasztor St. Thierry znajduje się niedaleko siedziby hrabiów Lavas, prawda?

--Owszem -- rzekła Obligatia, nie patrząc na kronikę. -- Wychowano mnie w klasztorze St. Thierry, choć nigdy nie widziałam zamku Lavas. Kto tam teraz rządzi?

--Hrabia Lavastine, syn Charlesa młodszego, wnuk starego Lavastine'a. Jego dziedzicem jest poważny i dobrze wychowany młodzieniec, lord Alain, choć muszę zaznaczyć, że urodził się jako bękart i dopiero dwa lata temu został uznany przez Lavastine'a.

--Jesteś, jak widzę, prawdziwym historykiem. Lavastine nie miał dzieci z prawego łóża?

--Nie miał żadnego dziecka w małżeństwie. Tu jest kolejna wzmianka o miejscu, które odwiedziłam, klasztorze w Hersfordzie. -- Dotknęła zapisu. -- Siedem kamieni, tak tu napisano. O Boże, Villam stracił tam syna, który poszedł się bawić wśród kamieni.

--Chłopiec zginął?

--Nie wiem. Młody Berthold zniknął z sześcioma towarzyszami. Nikt nie wie, co się z nim stało, ale zawsze sądziłam, że wczółgał się zbyt daleko w ciemność, spadł i się zabił. Teraz nie jestem pewna, w co wierzyć. Biedne dziecko. Miał zadatki na dobrego historyka. Powinien zostać oddany kościołowi.

--Och. To straszna rzecz utracić ukochane dziecko.

--To wszystko kamienne korony, prawda? Kiedy Henryk był jeszcze księciem, stracił w Thersie swą kochankę Aoi, która urodziła mu syna, Sanglanta. Ona też zniknęła wśród kamieni, tak mówi opowieść. -- Odwróciła stronę, odszukała pasaż i przeczytała na głos: -- Brienac w majątku Josselin w Salii, siedem kamieni. Tutaj kolejne siedem kamieni, w ruinach Kartiako. Nie wiedziałam, że jest tyle kamiennych kręgów.

--Nikt nie wie, chyba że poszuka. To, co na widoku, łatwo ukryć.

--Ale zostały wybudowane dawno temu, jeszcze przed Imperium Dariyańskim. Kronikarze z tamtych czasów wspominają o nich jako o starożytnych i zastanawiają się, czy tę ziemię kiedyś zamieszkiwali giganci. Nikt nie wie, kto je wybudował.

--Jak sądzisz, kto?

--Może giganci. Ale gdyby to byli giganci, dlaczego nigdy nie odnaleziono ruin pałaców odpowiednich dla gigantów? Sądzę, że lord Hugo ma rację, musieli wybudować je Aoi. -- Trudno było to powiedzieć: przyznanie Hugonowi racji osłabiałoby jej pragnienie, by go całkowicie potępić. -- Jeśli tak, to ich sekrety zostały zapomniane.

W murach klasztornych nie wiał wiatr, słychać było jedynie delikatne zawodzenie, jakby z oddali. W bibliotece nie płonęła żadna lampa, a gdy słońce przestało wpadać przez okna, zrobiło się dosyć ciemno. Rosvita dostrzegła to dopiero teraz, bo patrząc na klasztorną kronikę, musiała mrużyć oczy, by odczytać litery; zmiana następowała stopniowo.

--Nie chcę, by moje tajemnice zostały zapomniane -- rzekła matka Obligatia. Jej palce przesunęły się po dłoni Rosvity niby skrzydła ćmy i spoczęły na *Żywocie*. -- Wiele lat skrywałam je w sobie. Ale ta książka jest znakiem. -- Otworzyła *Żywot* na chybił trafił i zaczęła czytać na głos:

--Kiedy dwórki przybyły do Baralchy, przywiozły najwspanialsze odzienie uszyte z jedwabiu z Katai i wyszywane nicią ze złota i srebra, ale błogosławiona Radegundis nie chciała nosić ziemskich ubrań, niezależnie od ich wspaniałości. Nie chciała stanąć przed cesarzem odziana w złoto i srebro, tylko w szaty ubogich, które sama utkała z pokrzyw. I dwórki się przelękły. Bały się, że cesarz oburzy się na nie, że przywiodły ją przed władcę odzianą jak

chłopka, nie jak królowa, a jednak w szatach żebraczych błogosławiona Radegundis przyćmiła dworzan w ich pięknych ubraniach i nawet groźne ogary cesarskie skłoniły się przed nią, uznając jej świętość. -- Głos ją zawiódł i zamknęła oczy. Jak zawsze w przypadku starych kobiet, trudno było ocenić jej wiek. Jej skóra była pomarszczona, ale delikatna i biała, skóra kobiety spędzającej wiele czasu w zamknięciu. Miała dłonie szlachcianki, bez odcisków od ciężkiej pracy, nadal silne.

--Brat Fidelis dokonał żywota w klasztorze w Hersford -- powiedziała Rosvita, widząc, że książka wzbudziła w opatce głębokie emocje. Dlaczego? -- Musiał mieć nieomal sto lat, gdy z nim rozmawiałam. Dał mi tę księgę tuż przed śmiercią. Był to jego ostatni dar. Jego testament.

--Rzeczywiście, to jego testament. -- Jej oddech był nieco urywany, jakby biegła. -- Że też po tylu latach znów dotykam czegoś, czego on dotykał...

--Mówisz zagadkami, matko. -- Odezwała się najspokojniejszym głosem, ale serce w niej płonęło.

--Myślę, że tamtego lata rzucono na mnie czar. Miał tyle lat, że mógł być moim dziadkiem, równe pięćdziesiąt, a ja chyba z piętnaście. Pracował w ogrodzie i dlatego myślałam, że jest świeckim braciszkiem. Ale był miły i smutny, a ja zawsze byłam samotna i sama na świecie. Nam, dziewczętom z klasztoru St. Thierry, nigdy nie pozwalano wychodzić poza mury. A potem wyrwano mnie z jedyne miejsce, jakie znałam i rzucono do Salii, gdzie ledwie rozumiałam język. Złożyłam śluby nowicjuszki, bo niczego innego w życiu nie znałam, ale okazało się, że łatwo było te śluby złamać.

--„Zgrzeszyłem raz, ciężko” -- wyszeptala Rosvita, przypominając sobie tę scenę: drzwi ze związanych razem gałęzi, jego schronienie w maleńkiej chatynce tak prowizorycznej, że zimowy wiatr musiał dzień i noc gwizdać w szczelinach. -- „Śpiąc z kobietą”. -- Myśl była niemal zbyt bluźniercza, by wymawiać ją na głos, ale Rosvita nigdy nie bała się studni i rowów, gdy ciekawość zaprowadziła ją na niebezpieczny teren. -- Wy byliście jego kochanką, tą, z którą zgrzeszył.

Obligatia zbladła, jakby ją uderzono, a potem zachichotała.

--Dobrze się nadajesz do pisania historii.

--Wybaczcie, nie zamierzałam was obrazić! Powiedział, że wciąż myślał o niej z uczuciem.

W kąciu jej oka wezbrała pojedyncza łza, ale została natychmiast osuszona przez powietrze. Obligatia mówiła z całkowitym spokojem:

--Nie grzeszyliśmy. Nie dotknął mnie, dopóki nie wyrzekł się swych ślubów zakonnych i dopóki nie złożyliśmy przysięgi małżeńskiej przy świadku, widziani przez Boga. Powinniśmy byli odejść i zacząć życie gdzie indziej. Ale oboje byliśmy znajdami. Zналиśmy tylko klasztor. Sądził, że będzie mógł zostać na jego terenie jako robotnik. Teraz widzę, jak oboje byliśmy niewinni.

Oczywiście, wszystko się wydało, gdy moja ciąża była już zaawansowana. Opatka była wściekła, ponieważ pragnęła, żeby żadna plama nie kalala klasztoru założonego przez niedawno zmarłą świętą królową. O Boże, ból porodu był niczym w porównaniu z bólem rozłączenia z nim. Zabrali mi dziecko, gdy tylko się urodziło, ale i tak zobaczyłam, że to dziewczynka. Nigdy więcej nie mówili o dziecku. Nigdy więcej nie widziałam już Fidelisa. Został odesłany lub zamknięty. Nigdy się nie dowiedziałam. Byłam tak potwornie samotna. Samotność zawsze jest gorsza, jeśli poznałaś, czym było towarzystwo.

Zabrano mnie do klasztoru w Varre i umieszczono w celi pustelniczej, związaną ślubem milczenia, ale uciekłam stamtąd, gdyż miałam złamane serce i nie mogłam znieść przebywania w samotności z własnymi myślami, kiedy dni mijały jeden po drugim. Nawet w śpiewie ptaków nie słyszałam już Boga. Szłam, głodna, przez tydzień lub dłużej, jedząc jagody i dziką cebulę. Wreszcie dotarłam do dworu w posiadłości zwanej Bodfeld. Przyjęli mnie, bo szukali kogoś, kto nauczyłby ich córki dariyańskiego. Niedaleki klasztor pod wezwaniem Świętej Feliksy zarządzany był przez opatkę z rodziny, z którą byli od dawna zwaśnieni, więc nie chcieli prosić jej o pomoc w znalezieniu nauczyciela, ale ja byłam dostatecznie wyedukowana, by uczyć dziewczęta czytać, pisać i rachować.

Przebywał tam bratanek, syn zmarłego brata pani domu. Zakochał się we mnie. Byłam jak każda roślina spragniona wody. Wypadki toczyły się, jak to zwykle z młodymi. Nalegał, bym go poślubiła, a ponieważ był dobry i miał kawałek ziemi z dala od dworu, ponieważ nie brali go pod uwagę w sukcesji, a ja miałam maniery szlachcianki i wykształcenie zakonnicy, pozwolili nam się pobrać. Po jakimś czasie urodziłam chłopca. Nazwaliśmy go Bernard, po zmarłym ojcu mego męża. A potem umarł mój mąż i jego ciotka i jej siostra objęła posiadłość. Nie lubiła mnie. Zabrała mi dziecko i oddała je na wychowanie do klasztoru, ponieważ nie chciała wydawać pieniędzy na nasze utrzymanie.

--Jakże to okrutne -- szepnęła Rosvita, ale Obligatia mówiła dalej, jakby bała się, że nie wyrzuci z siebie całej tajemnicy, skrywanej tak długo w zamknięciu serca, jak ona zamknięta była w skalnych ścianach tego klasztoru.

--Zmuszono mnie, abym udała się do klasztoru Świętej Feliksy, ale byłam tam źle traktowana, ponieważ nie podobała im się praca, jaką wykonywałam w Bodfeld. Bóg sprawił, że wykształcony człowiek, Orzeł, ulubieniec króla Arnulfa, pewnej nocy schronił się w kwaterach gościnnych klasztoru. W tym czasie do moich obowiązków należało podawanie jedzenia gościom, choć musiałam przesuwac je pod parawanem, gdyż nie wolno mi było ich oglądać. Ale byłam ciekawska, a on gadatliwy. Cztery miesiące później opatka dostała list z królewskiej scholi, żądający, aby odesłano mnie na studia do scholi w Mainni.

Studiowałam w Mainni rok. Potem ten sam Orzeł przybył do scholi w drodze do Darre wraz z grupą kleryków. Zabrali mnie ze sobą na południe, żeby przedstawić mnie skoposie. Odniosłam poważne obrażenia podczas upadku na Przełęczy Świętego Witalisa i przywieziono mnie tutaj, abym odzyskała siły. Matka Aurica przyjęła mnie, obiecując, że odeśle, gdy tylko się wykuruję. Ale nawet nie dwa miesiące później pod drabiną zostawiono podrzutka, biedną siostrę Lucidę i zajęłam się nią, małym, chorowitym dzieckiem. Nie mogłam jej zostawić i nie ufałam już światu. Matka Aurica zgodziła się na oszustwo: wysłałyśmy wiadomość, że zabiło mnie zakażenie krwi. Porzuciłam imię Laurencja, nadane mi przez opatkę St. Thierry i przyjąłam miano Obligatia, aby okazać, że rozumiem, że Bóg wybaczyli mi grzechy, oddając mi dziecko pod opiekę. To było czterdzieści lat temu.

Historia była tak niewiarygodna, że Rosvita nie mogła jej pojąć i jak zawsze chwyciła się drobnego szczegółu, zupełnie nieistotnego.

--Musicie mówić o Orle Wilkunie.

--Ach. -- Jej twarz rozjaśniła się, jakby odnalazła starą zabawkę. -- Tak miał na imię! Zapomniałam. A co dziwniejsze, widziałam go rok temu w pałacu skoposy w Darre. Jest już stary, ale ma twarz, której nie zapomniałam, gdyż wybawił mnie z nieszczęścia.

--Po co byłyście w Darre? -- Rosvita zorientowała się, że wygląda zagięte rogi pergaminu i natychmiast złożyła dłonie i umieściła je na podolku.

--Panuje zwyczaj, że gdy opatka Świętej Ekatariny umiera, jej następczyni podróżuje do Darre, by skoposa ją pobłogosławiła. Tydzień czekałam w pałacowych komnatach gościnnych, zanim nasza błogosławiona matka, Clementia, udzieliła mi audiencji. Byłam tam, gdy przybył Orzeł, wysłany przez Króla Henryka z Wendaru. Słyszałam, jak opowiadał historię o biskupinie Antonii z Mainii i oskarżeniu jej o czary. Słyszałam, jak matka Clementia nakłada karę ekskomuniki i szczerze ci powiem, siostrze, lękałam się o moje córki, mniszki, które zostały tutaj, gdy ja wyjechałam. A gdyby nas oskarżono o czary z powodu stworzenia, które nawiedza kamienną koronę? Z powodu kronik, tak sumiennie spisywanych przez lata, które mówią o kamiennych kręgach? Oskarżyliby nas, bo jak sama widziałas, kryją się tu tajemnice. Wróciłam więc, nic nie mówiąc.

--A jednak chcecie poprzeć magię Hugona z Austrii.

--Wiem, co to znaczy być bez rodu i bez ochrony, na łasce tych, którzy mają większą władzę od ciebie. Adelheida schroniła się tu już wcześniej, wiele lat temu. Była kochanym, dzielnym dzieckiem, zawsze radosnym. Pomogę jej, jeśli mogę.

--Ale Hugo też pozna te tajemnice. Może użyć tej wiedzy przeciw wam.

Obligatia wyciągnęła rękę, by dotknąć ściany biblioteki, pobielonej i ozdobionej rombami w rombami, przypominającymi kawałki układanki położone jeden na drugim. Rosvita nie potrafiła wyobrazić sobie życia przez czterdzieści lat w tych murach, nawet gdyby nauczyła się pozwalać duszy wędrować. Na linii wzroku zawsze znajdował się róg, cień albo ściana; widok otwierał się tylko z tarasu i nigdy nie zmieniał. Przyzwyczaiła się do widoków zmiennych jak życie, podróż, w której nigdy nie powtarza się żadna scena, nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, bo rzeka zawsze się zmienia, z godziny na godzinę.

--I tak już je zna -- rzekła cicho Obligatia. Po chwili mówiła dalej. -- Zeszłego lata samotny frater błagał o pozwolenie spędzenia nocy w naszych kwaterach gościnnych. Jak sobie wyobrażasz, goście to dla nas coś niezwykłego. Jeśli podróżujący przez Przełęcz Świętego Witalisa muszą zjechać z głównej drogi z powodu deszczu, czasem dopływają aż tutaj, ale poza tym prowadzimy samotnicze życie. Tego właśnie pragniemy, każda ze swoich powodów.

--Ale jeśli goście przyjeżdżają, według kronik pytacie ich, czy wiedzą coś o kamiennych koronach.

--Niewielu z nas nie doświadcza ciekawości. Zadałam naszemu podróżnemu to pytanie. Nazywał się bratem Marcusem. I wtedy uczynił dziwną rzecz: nazwał mnie moim dawnym imieniem, tym, którego się wyrzekłam, wybierając życie mniszki tutaj. Nazwał mnie „Laurencja”. Jak mógł znać moje dawne imię, skoro był młodszy ode mnie?

--Kto wiedział, że po raz ostatni widziano was żywą, gdy wchodziłyście do tego klasztoru?

--Orzeł, Wilkun.

--Który mógł was widzieć w pałacu skoposy. Ale w oddziale, z którym podróżowałyście na południe czterdzieści lat temu, musieli się znajdować również inni ludzie.

--Przez te wszystkie lata nie widziałam nikogo, kogo bym rozpoznała. Matka Aurica umarła dawno temu. Moje zakonnice znają mnie jedyne jako matkę Obligatię. Orzeł stanowi tylko ogniwo łączące i nagle wydało mi się dziwne, że zadał sobie tyle trudu, by mnie wiele lat temu wydobyć od Świętej Feliksy. Dlaczego ten drugi mężczyzna przybył i nazwał mnie

dawnym imieniem? Jakie tajemnice znalazł?

--„Jest z powrotem w naszych rękach” -- wymruczała Rosvita, przypominając sobie scenę przed ogniem na przełęczy Julier. -- Wilkun został lata temu wygnany z dworu przez króla Henryka. W czasach króla Arnulfa powiadano, że wiedział więcej, niż mężowi przystoi. Sama widziałam, że potrafi rozmawiać przez ogień. Ale ta umiejętność znana jest też jako Orli dar. Czy brat Marcus podał jakiś powód, dla którego chciał was odnaleźć?

--Nie. Ale przyznaję szczerze, siostrze, że się przestraszyłam, ponieważ obawiałam się kobiety, która usunęła mnie z St. Thierry, gdy byłam dziewczynką. Miałam koszmary, że ona nadal mnie ściga. Teraz wydaje mi się dziwne, że w Salii, gdzie kobiety i mężczyźni są tak oddzieleni od siebie, znalazłam drogę do ogrodu, w którym pracował mnich.

--Przeczenie to niezwykła rzecz. To mógł być przypadek.

--Nie wierzę już, że to był przypadek, choć nie mam dowodu. Czy nie powiedziałam ci, kto po mnie przyjechał do Varre, kto mnie zabrał z St. Thierry? To była siostra Klotylda.

--Ta sama Klotylda, która była pokojówką wobec Radegundis, a potem jej towarzyszką w klasztorze?

--Ta sama. Nigdy nie wątpiłam, że była lojalna Radegundis. Wierzyłam wtedy i nadal wierzę, że z ciepłym uśmiechem poderżnęłaby gardło każdemu, kto by się jej sprzeciwił. Nikt się jej nigdy nie sprzeciwił.

--Oprócz was. Żeby nowicjuszka poznała cieleśnie mnicha i to pod bokiem Klotyldy, w klasztorze...

--Nie, siostrze, ona o tym wiedziała. To ona była świadkiem naszej przysięgi małżeńskiej. Pozwoliła, by to się stało. Dlatego ci o tym mówię. W młodości byłam zbyt uczuciowa i zbyt wyglodzona, by jasno myśleć. Ale brat Marcus zadał pytania, które obudziły we mnie wspomnienia i teraz rozumiem wzory, których wtedy nie mogłam odczytać. Jesteś historykiem, siostrze. Dzielę się z tobą moją tajemnicą, ponieważ uważam, że należy znaleźć odpowiedź. Teraz uważam, że pozwolili mi żyć, gdyż nic nie wiedziałam.

--Albo dlatego, że uważali was za martwą.

Matka Obligatia uśmiechnęła się gorzko.

--Sama zdecyduj, siostrze. Ale teraz jestem zdecydowana, żeby mój sekret nie umarł wraz ze mną. Straciłam dwoje pierwszych dzieci, gdyż nie miałam władzy ani rodziny, by mnie chronić. Teraz jestem matką niewielkiego klasztoru liczącego sześć zakonnic i dwie siostrzyczki. Strzeżenie jego tajemnic jest zadaniem, otrzymanym przez matki wiele stuleci temu, ale zastanawiam się, czy skoposa i jej doradcy zapomnieli o ich istnieniu.

--Zaszczyliście mnie swoją spowiedzią, matko.

--Nie, tylko dodałam ci kolejny ciężar. Masz bystry umysł i spokojne serce, siostrze. Proszę, dowiedz się, dlaczego mężczyzna nazywający się bratem Marcusem przybył zeszłego lata do kwater gościnnych i nazwał do mnie imieniem Laurencja, które dawno temu porzuciłam.

Skala tłumiała dźwięki, zamykała i osłaniała. Na dworze królewskim Rosvita przywykła do krzyków woźniców, rżenia koni, odgłosów deszczu, bezmyślnego śpiewu ptaków, zapachu stajni i wiatru śmiejącego się w twarz. Tutaj nie słyszała nawet myszy. Lord Jan i jego ludzie mogli pracować setki mil stąd, ponieważ za kamiennymi ścianami nie było widać i słyszeć ich wysiłków. Żadne drżenia, żadne odgłosy w kamieniach nie zdradzały, że w kwaterach gościnnych czekali ludzie. Czy Hugo wciąż się modlił? Czy Bóg kiedykolwiek wybaczą mu jego

grzechy? Czy Bóg wybaczą jej?

--Tyle się trzeba dowiedzieć. -- Rosvita otworzyła *Żywot* na końcu. Fidelis mistrzowsko opanował sztukę pisania: nawet siostra Amabilia nie zdołała skrytykować jego precyzyjnego pisma. Mówił o dziwnych rzeczach.

--Ptaki śpiewają o dziecku imieniem Sanglant -- powiedziała, wspominając jego słowa. -- Matko, czy słyszałyście kiedykolwiek o Siedmiu Śpiących?

--Oczywiście. Święta Euzebia opowiada historię Siedmiu Śpiących w swej *Historii*.

--Nie słyszałyście żadnej innej opowieści o nich?

--Nie. Dlaczego ptaki miałyby śpiewać o tym Sanglancie? Jaki czarownik rozumiał ich język?

--Nie wiem. -- Jej wzrok spoczął na piśmie, usta wyszeptały słowa, a potem pojawiła się myśl, którą wypowiedziała na głos. -- „Świat dzieli tych, których niegdyś nie dzieliła żadna przestrzeń”. Czy sądzicie, matko, że Fidelis myślał o was, pisząc te słowa? Zakładałam, że pisał o świętej Radegundis. Żył jako mnich w męskiej części klasztoru przez cały czas, gdy przebywała tam święta Radegundis, prawie pięćdziesiąt lat. Aż do jej śmierci nie znał świata bez niej.

--Na pewno napisał *Żywot* długo po tym, jak zniknęłam z jego życia. Musiał odbyć pokutę, skoro wrócił do Kościoła i został pustelnikiem.

--Albo czuł, że nie ma wyboru. Ale w późniejszych latach zawędrował daleko od Salii. Był ciekawskim człowiekiem, tej jednej skazy nie potrafili uleczyć.

Matka Obligatia uśmiechnęła się, jakby do starego, czulego wspomnienia.

--Był ciekawski, ponieważ podrażniono jego zainteresowanie. -- Na chwilę zabłysło w niej światło młodości, wspomnienie piętnastoletniej dziewczyny, która urzekła pięćdziesięcioletniego mnicha. A potem przypomniała sobie, kim teraz była i westchnęła. -- Bóg pragnęli, bym spędziła życie na modlitwie. Ale czasami zastanawiam się, co się stało z dwojgiem mych dzieci. Niech mi Bóg wybaczą, siostró. Wciąż jestem skażona egoizmem. W pewien sposób wcale nie obchodzi mnie twoja nieśmiertelna dusza i to, czy się skażesz na potępienie, zadając się z oskarżonym czarnoksiężnikiem. Chcę, byś uciekła, aby odkryć prawdę, a obawiam się, że gdybyście się teraz poddali, lord Jan uwięziłby ciebie i wszystkich z twego oddziału, licząc na okup. Mogłabyś całe lata spędzić w jego więzieniu. Mogłabyś umrzeć w Aoście. Jak wtedy zdołałabyś dowiedzieć się prawdy? Jeśli nikt nie może mi pomóc, skąd mogę wiedzieć, że ludziom żyjącym pod mą opieką nie stanie się krzywda?

--Czy uważacie, że to możliwe, by kamienne korony były portami, bramami między sobą? Że naprawdę możemy między nimi podróżować?

--Nie wiem, ale wiem, co myślały me poprzedniczki. Wierzyły w to. -- Delikatnie przesunęła palcem po kartach starej kroniki, jakby obawiała się, że się rozpadną pod jej dotykiem. -- Dlatego notowały tu kamienne kręgi. Sądziły, że istniał ukryty wzór, który stanie się jasny, gdy go odczytają.

Zabrział ręczny dzwonek, wezwanie do modlitwy.

--Jaką decyzję podjęłaś, siostró? Czy będziesz optować za planem lorda Hugona, czy przeciw niemu?

--Nie wiem. Muszę się modlić, by Bóg mi doradzili.

Rosvita zamknęła obie księgi i zostawiła je na pulpicie, pomagając matce Obligatii wstać.

Podala jej ramie i choc Obligatia wsparla sie na jej lokciu, jej dotyk byl tak bezcielesny, ze zdawal sie raczej wspomnieniem niz prawdziwa obecnościa.

W kaplicy tloczyly sie Adelheida, Theophanu i ich dwórki. Ściany zakrzywialy sie w kopule, ozdobiona symbolami wymalowanymi na pobielonych murach: święta Ekatarina siedzi pośrodku, rozkladając ramiona, pokazując wnętrze dloni w geście czystego serca i całkowitego podporządkowania sie Bogu Jedności; biała korona złożona z gwiazd płonie na jej czole, znak świętej; ponad nią bliźniacze smoki wiją sie w gęstych chmurach, uwikłane w krwawą bitwę oznaczającą konflikt właściwy stworzeniu splamionemu ciemnością; za nimi, niby widziany ze wzgórza, na niebie błyszczą pałac, bez wątpienia przedstawiający Komnatę Światła, do której wrócą wszystkie dusze, kiedy wreszcie, po wędrówce przez siedem sfer, zostanie z nich zdjęty całun ciemności.

Aby pomóc kilku starszym lub kalekim siostróm, ustawiono poręcze, by klękając, mogły oprzeć sie o drewno. Ciemne drewno bylo wypolerowane, jakby przez dziesięciolecia wiele siostr potrzebowało takiej pomocy. Po tylu godzinach Rosvita stwierdzila, że jest wyczerpana. Ona tez potrzebowała wsparcia zwykłej, drewnianej poręczy.

Długo była chora i musiała szybko odzyskać zdrowie, więc teraz czuła uderzenia gorąca, pot spływający po czole i kręgosłupie. Włosy na karku miała mokre, a dłonie śliskie.

O Pani, kusilo ją. Czy Hugo mógł uwięzić demona? Czy mogła zobaczyć, jak to robi? Rzecz jasna, nigdy nie widziała demona, a gwałtowne pragnienie, by ujrzeć coś, czego nigdy wcześniej nie widziała i pewnie nigdy więcej nie zobaczy, palilo jej serce.

Śpiewały *Przypowieści* królowej Salomei Mądrej, która żyła długo przed narodzinami błogosławionego Daisana.

Nie podążaj ścieżką złoczyńców, zawróć. Unikaj jej.

Ponieważ zły mężczyzna nie zaśnie, dopóki nie uczyni krzywdy.

Zła kobieta nie zaśnie, dopóki nie spowoduje czyjejś klęski.

Ale ona i Theophanu staną się współniczkami poczynań Hugona i jego strasznych czynów, jeśli przyjmą jego pomoc, jeśli pozwolą, by pomógł im magią, za którą z taką pasją chciały go ukarać.

Bo choć z ust czarnoksiężnika spływa miód,

A słowa jego gładkie niczym jedwab,

Okazuje się on gorzki niczym piołun

I ostry niby obosieczny miecz.

Czy mogła splamić swe dłonie, nawet czyniąc dobrze? Ale wiedziała, że nie jest żadną świętą, wolala raczej umrzeć, niż stracić honor. Gdyby Adelheida umarła, zamiast poddać sie Twardogłowemu, cała Aosta będzie cierpieć. Gdyby Theophanu sie poddala, ona i cały jej oddział zostaną uwięzieni i prawdopodobnie zginą z rąk Twardogłowego.

Na pewno w takich okolicznościach Bóg wybaczą im tak krótkie wstąpienie na ścieżkę znaną tylko złoczyńcom. Ale od kiedy to cel uświęca środki?

Matka Obligatia słabym głosem odprawiała codzienne nabożeństwo.

--Zaśpiewajmy dziś hymn stworzenia, by uczcić dzień świętej Eulalii, która była akuszerką świętej Edessii. Jej dłonie sprowadziły na świat nasze życie, błogosławionego Daisana, który przyniósł Święte Słowa z niebios na Ziemię.

Wszystko stworzono z niczego.

*W ten sposób powstał wszechświat.
Jednakże coś popłynęło z Ojca Życia
I Matka zaszła w ciążę niczym ryba
I zrodziła go; i nazwano go Synem Życia.*

*Gdy dusza jego schodziła poprzez siedem sfer
Składał się jedynie z rzeczy czystych.
Jego duch nie zgromadził w sobie nic nieczystego, gdy schodził.*

Ale wiemy, że prawdą jest, iż świat jest nieczysty.

*Wiemy, że prawdą jest,
Iż nieczysty świat oddzielił go od Ojca i Matki,
Z którymi niegdyś spoczywał nie rozdzielony.*

W tejże chwili doszło to do Rosvity, nieproszone, nieoczekiwane, grom z jasnego nieba, który uderzył w ziemię i wstrząsnął nią.

„Świat rozdziela tych, których niegdyś nie oddzielała żadna przestrzeń”.

A jeśli Fidelis był synem Radegundis?

A potem potęga tej myśli zwała ją z nóg. Nagle nie mogła złapać tchu. Poręcz zdawała się drzeć niczym ziemia, którą szarpia wstrząsy.

A jeśli Fidelis był synem Taillefera, jego prawowitym następcą?

*Bo Bóg go ocenili i stworzyli,
Ojciec z Matką w cielesnym związku dali mu początek
Zaludnili go swymi potomkami.
Do Ogrodu Życia, którym jest Komnata Światła,
Powrócą wszystkie dusze.*

Jeśli to prawda, dlaczego królowa Radegundis nie ogłosiła wszem wobec, że Taillefer miał żyjącego syna? Jej milczenie położyło kres wielkiemu imperium Taillefera.

Dlaczego nic nie powiedziała?

Jednak z potrzeby wzywa nas Miłość.

Niemożliwe jest bowiem, by jedna

Poczęła i porodziła,

Więc był dzieckiem stworzonym przez dwoje,

Ojca i Matkę, którzy razem dają życie.

--Kim jesteś, Orle? -- zapytała Rosvita Liath tej nocy zeszłego lata, gdy dawała młodej Orlicy *Księgę Tajemnic*, którą ukradła Hugonowi, gdyż wierzyła Liath, nie Hugonowi. A Liath odpowiedziała: -- Jestem sierotą.

--Straciłam dzieci, bo nie miałam rodziny, która mogłaby nas chronić -- powiedziała matka Obligatia niecałą godzinę temu.

Ślubny syn Taillefera mógł rządzić po nim, gdyby Radegundis uzyskała wsparcie saliańskiej szlachty na wystarczająco długo, by wychować dziecko do wieku męskiego. Saliariscy książęta często zabijali rywali do tronu, nawet jeśli ci rywale byli krewnymi, nawet gdy były to dzieci. Radegundis nie miała rodziny, która by ją wsparła. Cały ród został wymordowany, została jedynie ona. Dlaczego miałyby ufać saliańskim lordom?

I odpowiedział nam, i rzekł:

Wejdziecie do tego rajy, jeśli będziecie działać właściwie,

Jeśli będziecie słuchać Słowa Naszych Pani i Pana.

Radegundis nie chciała być królową. Być może wolą usunąć dziecko z zasięgu pokus ziemskiej władzy. A może tylko chciała je chronić przed wrogami. A jak to lepiej zrobić, niż oddając je jako podrzutka do klasztoru, w którym sama przebywała?

To, co na widoku, jest najlepiej ukryte.

Theophanu zerknęła na nią i przybrała pytający wyraz twarzy, jakby chciała się dowiedzieć, czy Rosvita dobrze się czuła. Pokręciła głową, pokazując, że czuje się dobrze. By zaprzeczyć tym niepokojącym myślom. To zbyt niewiarygodne. Nie mogła uwierzyć.

A jednak było to tak niewiarygodne, że nie miała innego wyboru: musiała wierzyć.

I powiedział jej: „Kiedy doczekamy twego wesela,

Ty, która jesteś kwieciem ziemi i ucieleśnieniem wody?

Jesteś córką, którą sadzałem sobie na kolanach i śpiewałem do snu.

Wszyscy powstaliśmy dzięki związkowi Ojca i Matki.

Droga ku oczyszczeniu zaczyna się od poczęcia i narodzin”.

Matka Obligatia, nie zdając sobie z tego sprawy, czterdzieści pięć lat temu urodziła ślubną wnuczkę Taillefera. Co się stało z tym dzieckiem?

Kiedy klęczała, a pot na jej karku stygl i drżenie rąk powoli ustawało, przypomniła sobie słowa ze Świętych Wersów: „Oto początek mądrości: zrozum, choćbyś miał to okupić wszystkim, co posiadasz”.

Musiała uciec, nawet jeśli okupi to wszystkim, co posiada. Nie mogła zaryzykować uwięzienia przez Twardogłowego, nawet jeśli oznaczało to większe ryzyko: zaufanie czarom Hugona, nawet jeśli oznaczało to jej udział w tych czarach.

Musiała się dowiedzieć, czy to prawda. Musiała dowiedzieć się, co się stało z dzieckiem.

Obiecała matce Obligatii, a teraz stało się jasne, że ktoś inny odkrył sekret staruszki i szukał jej, mając nadzieję odnaleźć jedyne potomka cesarza Taillefera, jeśli nadal żyła. Miała obowiązek pomóc Adelheidzie i Theophanu. Była winna posłuszeństwo królowi Henrykowi i jego ambicjom.

Ale przede wszystkim była tak wściekle ciekawa.

Ale pieśń Salomei Mądrej brzmiała w jej uszach, gdy zgromadzeni klękali w ciszy, a skalne ściany małej kaplicy oddychały kurzem i ciężarem niezliczonych lat:

„Nie pozwól sercu zwieść się na jego ścieżkę; wielu bowiem uderzył i powalił. Jego ofiary są niezliczone”.

Niech tak będzie.

Od dawna wiedziała, że ciekawość przywiedzie ją do zguby. Dowie się prawdy, niezależnie od tego, dokąd poprowadzi ją ta ścieżka.

5.

--Dziś w nocy -- rzekł Hugo, kiedy powiedzieli mu, że przyjmą jego pomoc i teraz porwał ją wir działań, kiedy gotowali się do odjazdu. Była jak zerwany liść, płynący z nieokiełznanym prądem. Musiała znaleźć matkę Obligatię i porozmawiać z nią, zanim wyjadą -- przedtem nie było czasu, wszyscy zmówili się, by je od siebie oddzielić, gdy tylko stało się jasne, że zaryzykują to, co powinno pozostać zakazane.

A jednak była radośnie podniecona.

--Siostró Rosvito, proszę, zbudźcie się.

Przez chwilę nie rozpoznawała brązowych włosów i szerokiej twarzy patrzącej na nią kobiety. Czy zatrzymała swe podejrzenia dla siebie? Ile czasu minęło, odkąd miała objawienie?

--Czy pomóc wam wstać, siostró? Musimy iść albo nas zostawić.

Zasnęła w bibliotece, skulona na pulpicie. Nawet trochę chrapała; jeden róg kroniki był wilgotny. Lady Leoba szybko wsunęła *Żywot świętej Radegundis* i kopię tak ślicznie wykonaną przez siostrę Amabilię i później siostrę Petrę do grubej skórzanej sakwy, w której znajdowała się nie dokończona *Historia Rosvity*.

Trudno było wstać. Czuli się słabi i zmęczeni, i wszystko ją bolało. Kark jej zeszywniał, a w kręgosłupie coś trzasnęło, gdy się prostowała. Lewe kolano bolało, knykcie miała spuchnięte. Oto ciężar wieku.

--Poniosę to, siostró -- powiedziała Leoba, wdzięcznie zarzucając sobie sakwę na ramię.

--Gdzie jest matka Obligatia?

--Z księżniczką.

--Muszę z nią porozmawiać, zanim odejdziemy.

--Jak sobie życzycie, siostró. Księżniczka Theophanu na was czeka.

W świetle jednej lampy, trzymanej przez Palomę, ruszyły ku jaskini. Dziwne, była pusta; nie został nawet strzęp skóry, świadczący o tym, że schronił się tu wielki oddział, tylko niknący, nieco zgniły zapach.

--Ten człowiek umarł -- powiedziała Paloma. -- Ten, którego dotknął stwór. Jak sądzicie, czy wszyscy umrzeć?

--Mam nadzieję, że nie, dziecko -- odparła Rosvita. Leoba wzruszyła ramionami, ale była zbyt zamknięta w sobie, aby mówić głośno o swych lękach, jeśli jakiegokolwiek miała.

Paloma poprowadziła je przez dziwny ciąg komnat wykutych w kamieniu. Po obu stronach odchodziły tunele, wznosząc się i opadając.

--Czy to kiedyś było miasto? -- zastanowiła się na głos Rosvita, gdy dotarły do rampy, która wznosiła się, wila wokół potężnej skalnej ściany i zwężała nagle tam, gdzie w posadzce wykuto kanał. Obok niego znajdował się kolejny kamień młyński, wsunięty w skałę, gotowy, by użyć go jako blokady w razie ataku.

--Sądzę, że raczej schronienie -- odparła Paloma. -- Tak jak teraz. Wybudowali rzeczy, którymi można zablokować drogę z tyłu, gdyby musieli uciekać ku kamiennej koronie.

Uważajcie tutaj. -- Oświetliła deskę leżącą nad kanałem, którego strome brzegi zniknęły w ciemności. -- Jest za szeroki, żeby skakać. Czy czujecie konie?

Rosvita czuła i niedługo usłyszała nerwowe rzenie, pomruki mężczyzn i niespokojne szepty orszaku gotującego się do odejścia. Światło wpadało przez przemyślnie wykonane otwory, wpuszczające światło słoneczne w głąb skał. Paloma zgasila lampę i wspięły się schodami ponad

niską ścianą, której boki znaczyły kwadratowe plamy blasku.

--Te szczeliny to otwory strzelnicze, by obrońcy w stajniach mogli mierzyć do każdego nadchodzącego korytarzem.

Dwa ostre zakręty i były w niskich oświetlonych jaskiniach, używanych jako stajnie, wysoko na skale, gdzie tarasy wpuszczały światło, słońce i dawały miejsce na ćwiczenia. A jednak ujrzała kilka kupek kości i wnętrzności, spalone i zmiecione pod jedną ścianą; sześć tygodni w takich warunkach okazało się zbyt wyczerpujące dla kilku koni osłabionych już trudną jazdą z Vennaci.

Przed nimi orszak ustawił się do wymarszu, w szeregu rozciągającym się dalej, niż sięgał jej wzrok, na ścieżce zakręcającej na taras i wzdłuż ściany skalnej. Wiał wiatr; była noc, ale niebo pozostało czyste, a księżyc idealnie okrągły. Nie odważyli się użyć lamp, lękając się, by Twardogłowy nie dowiedział się o ich desperackim zamiśle, a jednak czujki i tak mogły ich wypatrzeć, oświetlonych blaskiem księżycy na potężnej skale. Nad nią wisiała czarna masa szczytu, a za nią ogród zimowych gwiazd, których blask zaćmiło światło księżycy w pełni.

Leoba użyła łokci i starannie dobranych zdań, niektórych miłych, innych nie, aby przepchnąć się przez straż tylną i główny oddział. Rosvita musiała się na chwilę zatrzymać, by pocieszyć Fortunatusa, który utknął z garścią kleryków i rozpaczliwie chciał się do niej przyłączyć. Aby go uspokoić, oddała mu pod opiekę sakwę z bezcennymi książkami. A potem poszła naprzód, gdzie królowa Adelheida i księżniczka Theophanu stały przy swych rumakach. Otaczał ich kapitan Fulk i tuzin żołnierzy.

--Gdzie jest matka Obligatia? -- zapytała Rosvita po złożeniu wyrazów szacunku.

--Poszła naprzód z lordem Hugonem -- powiedziała Adelheida. -- Reszta zostanie tutaj, dopóki nie usłyszymy rogu. Będzie oznaczał, że można iść bezpiecznie.

--Jeśli można mówić o bezpieczeństwie -- mruknęła Theophanu. Ale stała wyprostowana obok swego konia, spokojna jak zawsze. Bez sprzeciwu przyjęła decyzję Rosvity, niemal bez reakcji. Giermek trzymający wodze jej konia wydawał się zdenerwowany, przestępując z nogi na nogę i patrząc na ścieżkę wykutą w skale. Znikała za wybrzuszeniem, prowadzącym na szczyt. Czy błyskało tam światło, czy to tylko wzrok ją mamił?

--Muszę z nią porozmawiać na osobności -- rzekła Rosvita. -- Pozwólcie mi pójść na górę.

--Nie, siostrze! -- odparła ostro Theophanu. -- Ciebie nie stracę!

--Matka Obligatia ostrzegła nas, by nie iść za nią, dopóki się nie przekona, czy to bezpieczne -- dodała Adelheida. -- A jeśli lordowi Hugonowi nie uda się schwytać tego stworzenia? Mogłoby obrócić na ciebie swój morderczy wzrok, siostrze. A ty jesteś niewinna.

--Nie bardziej niż ten żołnierz, który umarł -- powiedziała Rosvita. -- Nie, Wasza Wysokość. Błagam, nie próbujcie mnie zatrzymać. Będę ostrożna. Ale muszę z nią mówić.

Theophanu nie powiedziała nic, ani by się zgodzić, ani by ją powstrzymać, więc Rosvita ruszyła dalej. Wiatr smagał jej twarz i zacierała dłonie, żeby je rozgrzać, wbijając wzrok w ziemię, wciąż świadoma obecności stromej urwiska po swej prawej stronie i odległych maleńkich ognisk Twardogłowego w dole. Ale droga leżała przed nią tak szeroka i prosta niczym słynna ścieżka z opowieści, prowadząca nieostrożnych, głupich i podłych ku Otchłani.

Z wysiłkiem wspięła się po zboczu i ścieżka, skręcająca w lewo wśród przycupniętych głazów, nagle otworzyła się na płaski wierzchołek. Stożące w równych odstępach kamienie zasłaniały gwiazdy. Lekki ślad bieli wił się wśród nich niby mgła przywiana wiatrem. Wokół

kręgu leżały bezładnie porzucone gnijące ciała, przynajmniej tuzin, zmasakrowane, z rozrzuconymi ramionami i poczerniałymi twarzami, ich broń była połamana.

Zatoczyła się od tego widoku, usłyszała ostrzegawczy szept.

--Musisz wracać, siostró Rosvito. Niebezpiecznie jest tu zostać.

--Ktoś musi się przypatrywać. -- Zrozumienie dało jej wolność: ryzykowała nie tylko ciało, ale też nieśmiertelną duszę i zamierzała ujrzeć wszystko.

--Ja się podjęłam obowiązku patrzenia -- wyszeptała matka Obligatia. Rosvita poczuła, jak laska starej kobiety wciska się w jej biodro i była pełna podziwu, że opatka miała tyle siły, by tu przywędrować na powykrzywianych nogach. Nie mogła zostawić jej samej.

--Zostanę z wami. Muszę wam powiedzieć, co odkryłam... I wtedy go ujrzała, idącego na widoku, wysokiego i wspaniałego w świetle księżyca, gdy podążał ku kamiennemu kręgowi i zatrzymał się jakieś trzy kroki przed pierwszym portalem, gdzie owalny splacheć piasku zabarwiał ziemię na białą. Przezroczyta postać śmignęła przez kamienny krąg, owijając się wokół portalu lśniącego odbitym światłem gwiazd. Hugo zaczął śpiewać, unosząc dłonie z rozłożonymi palcami. Wiatr ucichł i tak nienaturalna cisza zaległa na szczycie, że Rosvita słyszała jego głos, czysty i słodki niby głos anioła.

--Mateuszu, prowadź mnie, Marku, chroń mnie, Joanno, uwolnij mnie, Łucjo, pomóż mi, Marianno, oczyść mnie, Piotrze, ulecz mnie, Teklo, na zawsze bądź mi świadkiem, że Pani jest mą tarczą, a Pan moim mieczem. Uświęćcie mnie, Boże, i zniszczcie wszystko, co złe i plugawe. Uwolnijcie mnie od ataków Nieprzyjaciela. Niech mnie żadne stworzenie nie skrzywdzi. Niech spleynie na mnie błogosławieństwo Boże. Boże rządźcie wiecznie w świecie bez końca.

Rosvita poczuła palący się jałowiec, ostry zapach, któremu towarzyszył jakiś inny, kwaśny odór. Wciąż śpiewając, Hugo uklęknął, by ułożyć na ziemi dziewięć małych kamieni tak, że by tworzyły miniaturę kręgu i wypolerowaną laską, bardzo podobną do tej, na której opierała się matka Obligatia, wykreślił na piaskowym owalu wśród tych kamyków linie kątów i połączeń. Rosvita zamrugła szybko, sądząc, że wzrok musiał ją zawieść, gdyż kiedy tak rysował linie na piasku, zdało się jej, że te same kąty i połączenia rozbłysły pośród kamieni, niczym wielka siatka z cieniutkich nici, spleciona pomiędzy monolitami.

Wśród kamieni rozbłysło światło niczym błyskawica i usłyszała skowyt. Oczekując, że Hugo padnie powalony, złapała matkę Obligatię za ramię, by pociągnąć ją w bezpieczne miejsce, jeśli zdoła, ale to nie Hugo krzyczał. Przez moment stworzenie nabrzmiało, aż górowało nad nimi i ujrzała je wyraźnie: miało delikatność dmuchanego szkła i ostrość dobytego miecza. Zdawało się, że jego skrzydła, zasłaniające połowę nieba, były ze szkła. Czy tak wyglądały anioły?

--Czym jesteś? -- Wyrzekł Hugo raczej rozkaz niż pytanie.

Posiadało człowieczy kształt, ale zapewne tylko naśladowało postać Hugona albo żołnierzy, których zabiło. Znów wykrzyknęło, lamentując, i Rosvita dostrzegła, że rzucało się w niciach uplecionych wśród kamieni, jakby je więziły.

--Zgubiony, zgubiony -- zaśpiewało stworzenie wibrującym basem, rezonującym niczym dzwon.

Tańczyło i skakało jak płomień wewnątrz wzoru, jego eteryczny kształt zwiększał się i zmniejszał zgodnie z niewidoczną falą i Rosvita poczuła promieniujący od niego chłód, tak wielki, że jego powiew zmroził jej palce i policzki. Poprzez postać widziała niebo i kamienie.

--Ścieżka zamknięta przede mną i za mną. Zszedłem jeno, by ujrzyć, co się otwarło, kiedy ziemia westchnęła, och, czyż nie ledwie chwilę temu, a może to się jeszcze nie wydarzyło? -- Stwór śpiewał raczej, niż mówił, takim zlepkim języków, że Rosvicie zdawało się, iż słyszała wendarski, dariyański, aostański i aretuzański, wszystkie naraz i żaden z nich, jakby ludzka mowa, którą stworzenie przejęło, była niczym płaszcz pozszywany z wielu skrawków wełny.

--Czym jesteś? -- powiedział Hugo. -- Skądżeś przybył?

--Zgubiony, zgubiony -- zawyło. -- Ścieżka zamknięta przede mną i za mną. Powietrze jest tu ciężkie. Oddycham wstrętnym wiatrem pełnym zapachu śmierci. Dlaczego uwięziono mnie pod księżycem? Powiniennem być za nimi podążyc w górę, gdy uciekli z tego miejsca, oni ponad nami, a ja jestem pod spodem i zgubiony.

--Mogę ci pomóc jedynie wtedy, gdy się do mnie sensownie odezwiesz -- powiedział Hugo kusząco.

Stworzenie rozbłysło nagle, niby w gniewie i Rosvita zasłoniła oczy dłonią, by je ochronić przed oślepiającym światłem. Kiedy blask osłabł, popatrzyła pomiędzy palcami i ujrziała wyraźnie niedotykalną klatkę otaczającą demona: linie, kąty i przecięcia wznoszące się z ziemi ku niebiosom, każda błyszcząca, jakby wisiały na niej tysiące tysięcy kropli czystego, jaśniejącego eteru, wyznaczające swą drogę tak, jak sznur świec wyznacza ścieżkę w nocnym ogrodzie. Każda błyszcząca linia sięgała prosto jak strzełił ku kopule niebios i każda przywierała do gwiazdy. Dwie linie, grubsze od innych, potężniejsze, wiązały planety: twardy krwawoczerwony blask Jedu, Anioła Wojny i miodową poświatę mądrego Aturny. Lina podobna nie czesanej wełnie dotykała księżyca, jakby substancja została zebrana, zwinięta i rozciągnięta.

To były czary, sztuka matematyków, którzy potrafili nagiąć niebiosą do swej woli i utkać ich moc, by przekształcić ziemię. Tak przynajmniej szeptano. Nawet najbardziej łagodne spośród matek kościoła potępiły ją, a sto lat temu nawet tak potężna kapłanka jak córka cesarza Taillefera, biskupina Tallia, została osądzona za jej uprawianie.

Ale była piękna.

--Czym jesteś? -- powtórzył Hugo, wciąż cierpliwy, wciąż łagodny. -- Skądżeś przybył?

--Zgubiony, zgubiony -- śpiewał stwór swym głosem jak dzwon, a potem zwinął się, poruszył i przesunął bliżej, naśladując kuszący ton jego głosu, używając go przeciw Hugonowi.

-- Uwolnij mnie, a dam ci to, czego pragniesz.

Hugo się roześmiał.

--Nie możesz mi dać tego, czego pragnę, ponieważ nie potrafisz kontrolować tego, co pochodzi ze sfery wyższej niż twoja.

Zadrzało, zawyło i zajęczało, wydając przejmujące, pełne bóleści dźwięki.

--Zgubiony, zgubiony. Otwórz drogę.

--Nie wiem, jak otworzyć drogę, piękny -- odparł rozsądnie. -- Ale będziesz mi służył, ponieważ cię uwięziłem.

Wydobył z rękawa czerwoną wstążkę, której używał do zamykania skrzynki skrywającej *Księgę Tajemnic*. Zwiesił wstążkę nad bladym splachciem ziemi i obniżał ją, dopóki jeden koniec nie dotknął środka małego owalu, gdzie zbiegały się wszystkie linie. Potem puścił i wstążka upadła w dziwnie eleganckiej spirali, zwijając się pośrodku. Klasnął w ręce raz, potem głośno dwa razy, a potem trzy razy. Dźwięk rozbrzmiał niby odgłos pękającej skały, a potem

demon zniknął z kamiennego kręgu.

Schylił się, by podnieść wstążkę. Zdawała się więc i szarpać w jego dłoniach niczym wąż, gdy wpychał ją do rękawa. Demon zniknął. Potem Hugo stał przez chwilę w ciszy, studiując błyszczące linie utkane wśród kamieni. Czy magia Hugona sprawiła, że ukazała się niewidzialna struktura wypełniająca kosmos, tę olbrzymią niebiańską budowlę stworzoną przez Boga?

Znów zaczął cicho śpiewać; wiatr się zerwał i Rosvita nie słyszała słów. Ale widziała go w świetle księżyca, gdy podniósł rękę i użył jej niemal jak czólenka tkackiego, by przepleść linie w nowy wzór, taki, w którym nici zaczęły pulsować i mrużyć, jakby ściągały w dół odległą muzykę sfer.

Z kamieni zaczęła wypływać delikatna poświata, rozkwitając nagle w łuk z płomieni, spajający najbliższy portal.

--Błagam, matko! -- zawołał Hugo głosem tak zdyszczanym, jakby przebiegł ligę. -- Wezwijcie ich.

Rosvita odebrała róg matce Obligatii i zadęła; dźwięk załamał się, więc spróbowała raz jeszcze; tym razem był niski i głęboki, odbijając się echem od skał, aż zabrakło jej tchu; wtedy zamilkł. Natychmiast usłyszała róg w odpowiedzi i czekały.

Hugo walczył, by utrzymać linie w ich nowym układzie, ale gdy orszak wspinał się ścieżką, po której ślizgało się światło księżyca, pewne nici zostały na swoich miejscach, a inne trzeba było znów wyrysować we wzorze.

W polu widzenia pojawił się kapitan Fulk i jego ludzie, za nim podążały Theophanu i Adelheida; nieśli latarnie, by oświetlić drogę, i zatrzymali się, zaskoczeni, gdy matka Obligatia i Rosvita szybko wyszły na ścieżkę.

--Szybko -- powiedział Hugo, niemal dysząc z wysiłku, choć nie ruszył się z kłęczek. Twarz miał ukrytą; tylko zarys pleców i ramion oraz ton głosu zdradzały napięcie. Jego włosy lśniły jak złoto. -- Musicie przejść teraz, gdy niebiosa... gdy niebiosa pozostają w tej pozycji. Szybko. Ścieżka się zamknie.

--Dobry Boże -- powiedział jeden z żołnierzy i kapitan Fulk kazał mu zamilknąć.

--Ale nie wiem... -- ciągnął Hugo głosem ochryplym z wyczerpania.

--Czego nie wiesz? -- krzyknęła Theophanu ostro. Jak Adelheida, dosiadła konia; jej giermek szedł obok z jedną ręką na wodzach. Reszta tłoczyła się za nimi, konie się płoszyły, służący i dworzanie denerwowali się i mamrotali.

--...Gdzie wyjdziecie.

Adelheida się roześmiała. Pognąła konia, minęła żołnierzy, minęła kapitana Fulka, przeskoczyła Hugona i wjechała w płonący portal, a potem zniknęła. Tak po prostu.

Rosvita nie wiedziała, czy Theophanu nie mogła znieść myśli, że ktoś uzna ją za tchórza, czy też złożyła swój los w jej ręce, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

--Kapitanie! -- zawołała Theophanu, a kapitan Fulk krzyknął rozkaz wymarszu. Jego żołnierze ruszyli naprzód z ponurymi twarzami ludzi, którym kazano w imię dobra ich pani skoczyć ze skały.

--O Boże! -- powiedziała Rosvita, gdy Theophanu ją minęła, wpatrując się w porażająco piękną konstrukcję, błyszczącą przed nią w mrokach nocy. -- Matko Obligatio! Muszę z wami pomówić.

--Nigdy nie sądziłam... -- szeptał Obligatii został niemal zagłuszony przez tupot i zgiełk

ruszającego orszaku.

--Słuchajcie mnie! Nie mam dowodu, ale jeśli moje podejrzenia są prawdziwe, ta wiedza stanowi zagrożenie dla was i tych, którymi się opiekujecie... -- Obok przeszedł koń, pozbawiając ją równowagi, i zmuszona oprzeć się o skałę, otarła sobie dłoń.

--Spokojnie, dziecko. -- Matka Obligatia użyła laski, by odpędzić służącego, który wyglądał, jakby gotował się do ucieczki. -- Wiedza zawsze jest niebezpieczna. Chodź, córko. Odsuniemy się tam, gdzie nas nie zdepczą. -- Odciągnęła Rosvitę ze ścieżki, przyparła do skały. Książę uczynił jej twarz niby wyrzeźbioną w alabastrze, odmłodził ją, ukazał niewinne dziewczę wykorzystane i porzucone.

Rosvita odkryła, że dyszy i jest pokryta potem. Bolał ją żołądek i była taka zmęczona. Ale musiała się śpieszyć.

--Myślę, że Fidelis był zaginionym dzieckiem Radegundis. Że był jedynym ślubnym synem Taillefera. Jeśli tak, to wydałyście na świat wnuczkę Taillefera, poczętą i zrodzoną w legalnym, ważnym związku. Jeśli mam rację, nic dziwnego, że na tym świecie są ludzie, którzy was szukają, gdy wiedzą już, że żyjecie, i zastanawiają się, ile możecie wiedzieć. Jeśli mam rację, znaczy to, że Wilkun jest kimś więcej, niż się wydaje. To nie jest zbieg okoliczności, że tak często pojawia się w waszej opowieści.

--Cóż... -- rzekła matka Obligatia z uśmiechem, który pojawia się na ustach królowej, gdy ta otrzyma dowód, że jej najlepszy przyjaciel i zaufany doradca cały czas knuł zdradę. -- Bardzo szczerze słowa, siostrze.

--Siostrze Rosvito! -- rozległ się okrzyk z orszaku i podniosła wzrok, by ujrzeć brata Fortunatusa machającego do niej rozpaczliwie, podczas gdy reszta pchała go naprzód. Znow spróbował wyłamać się z szeregu, dołączyć do niej, dał jej znak i zawołała, ale został pociągnięty dalej, gdy główny orszak parł za królową i księżniczką, najbardziej lojalni ciągnęli najoporniejszych. Nie widziała Hugona, gdyż ścieżka ku koronie leżała pomiędzy nim a nią. Nici światła nadal napinały się pomiędzy niebem a ziemią, splecione wokół kamieni, a gwiazdy zdawały się pulsować -- a może była tak wyczerpana, że miała omamy.

--Byłam jedyną nowicjuską, jaką Klotylda kiedykolwiek sprowadziła do klasztoru Świętej Radegundis -- rzekła nagle Obligatia. -- Czy nie wydaje ci się to dziwne? Czy nie wydaje się dziwne, że przymykała oczy na moje spotkania z Fidelisem? Że sama była świadkiem naszej przysięgi małżeńskiej, a przez to legalności naszego związku?

--Musiała desperacko pragnąć, by ślubny syn Taillefera splodził potomka.

--Ale jeśli udział Orla w tej historii nie jest zbiegiem okoliczności, to czyny Klotyldy muszą być równie podejrzone. Jeśli to prawda, musiała wiedzieć, kim był Fidelis. Musiała się zgodzić, by zachować jego narodziny w tajemnicy. Ale wobec tego dlaczego tak długo zwlekała z jego ożenkiem? Dlaczego nie wcześniej, zanim wszyscy, którzy mogli go poprzeć, wymarli, a na tronie Salii zasiadł nowy ród? Dlaczego czekała, aż będzie miał aż pięćdziesiąt lat?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast. Była oczywista, jeśli tylko uwierzyło się w to fantastyczne założenie.

--Czekała, aż królowa Radegundis umrze.

--„Radegundis przysięgła nie poślubić żadnego księcia z tego świata”. I pewnie złożyła taką samą przysięgę w imieniu syna. O Boże, biedny Fidelis. Był człowiekiem o wielkim sercu. Jeśli tak było, jeśli królowa Radegundis pragnęła oszczędzić mu ciężaru ziemskiej władzy, to

Klotylda nie służyła jej tak dobrze, jak powiadają pieśni, prawda? Ale wcale mnie to nie dziwi, skoro tyle przez nią wycierpiała.

--Po tylu latach nie możemy zgadywać, co planowała każda z kobiet.

--Żeby na chybił trafił wybrać znajdę z ponurego klasztoru i przewieźć ją tyle lig przez dwa królestwa w tak skomplikowanym spisku, który w końcu spelzł na niczym. To się wydaje niewiarygodne.

--Ale on nie spelzł na niczym. Gdzie jest wasza córka? Co się z nią stało? Mam zamiar się dowiedzieć.

Przeszedł ostatni koń, a straż tylna, śpiewając dosadną pijacką piosenkę, prawdopodobnie by dodać sobie odwagi, maszerowała dwójkami ku portalowi.

--Szybko, siostró! -- krzyknęła matka Obligatia, ściskając krótko dłoń Rosvity, a potem pchając ją naprzód. -- Dowiedz się, czego tylko zdołasz!

Rosvita pognąła naprzód, serce waliło jej jak młotem, oddech miała krótki i bolesny, a kolana się pod nią uginały. Piasek był zryty kopytami, wpadła w kupę nawozu, ale ostry odór, który się rozszedł, dał jej siłę, żeby przyśpieszyć, gdy ostatni żołnierz zniknął w błyszczącym portalu. Na ziemi tuż obok wejścia leżała porzucona skórzana sakwa. Schyliła się, by ją podnieść i poczuła znajome linie *Żywota* oraz luźne kartki swej *Historii*. Fortunatus zabrał kopie i poszedł, zostawiając to dla niej, i z radosnym sercem pośpieszyła za nim, by usłyszeć swe imię...

--*Rosvito*.

...wyszeptane tak cicho jak przekleństwo, za plecami. Światło rozjarzyło się, gdy się odwróciła, by spojrzeć, trzymając jedną stopę w kręgu, drugą poza nim na ziemi zalanej nocą, mając nadzieję, że ujrzy matkę Obligatię, ale zobaczyła tylko Hugona. Stał z laską w rękach, gapiąc się na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a nici płonęły i plątały się, wydęty księżyc puchł jak trup, aż w końcu zasłaniał całe niebo.

O Boże, co ona zrobiła? Zgodziła się, żeby przeprowadził swój plan. Przekonała Theophanu, by na to pozwoliła. Swoim współudziałem, swoim ponagleniem sprawiła, że zakazane czarnoksięstwo rozkwitło w tym świętym miejscu. Przerazona cofnęła się i natychmiast zalało ją światło, była zdezorientowana, zgubiła drogę.

Ale tam, w świetle, czekała na nią siostra Amabilia, uśmiechając się, choć miała poderżnięte gardło i krew spływała na przód jej habitu.

--Dobry Boże, siostró -- zawołała Rosvita, śpiesząc, by ją objąć. -- Gdzieżeś była? -- Ale nie mogła złapać Amabilii w ramiona, niezależnie od tego, jak blisko podeszła i jak szybko biegła, Amabilia zawsze pozostawała oddalona.

--Zamordowano mnie, siostró. Napadli mnie w lesie i zarżnęli mnie i moją eskortę, ale zabrali tylko list, który wiozłam do matki Rotgardy i Krąg Jedności, który nosiłam na sercu. Myślałam, że dożyję chwili, gdy będę taka stara i mądra jak ty, siostró, ale nie tak miało być. Nie rozpaczaj po mnie, ponieważ spoczywam w objęciach Boga. Uważaj jednak, siostró. Ty też jesteś w niebezpieczeństwie.

--O Boże, Amabilio! Czy to prawda? -- Zapłakała, a jej łzy stały się na zimnym wietrze sopłami lodu. -- Nikt nie pisze tak pięknie jak ty. Jak mam pracować bez twych żartów i dobrego serca?

--Strzeż się, siostró. Strzeż tych, których kochamy. Nie zbaczaj ze ścieżki.

Amabilia zniknęła. Nikogo nie było. To była tylko wizja, a na dodatek pewnie fałszywa, droga też zniknęła, tylko jej lzy zamieniły się w lód pod stopami i parzyły, i przesywały, każdy krok był męczarnią. Skórzana sakwa wciśnięta pod ramię rozgrzała się, parząc jej skórę, odsunęła ją od siebie i wydobyla *Żywot*, by go ocalić. Ale to z samej książki emanowało światło i żar. Znaki wplecione w okładkę rozjarzyły się niczym węgle, magiczne więzy i protekcje, wszyte w skórę i pergamin, symbole dziwne i znajome, znaki przedstawiające planety, słońce i księżyc, Krąg Jedności, litery aretuzańskie i inne, których nie знаła, przebijające tu i tam przez staranne pismo Fidelisa.

Przed kim ochraniał się Fidelis? Przed kim się krył?

A potem zawisły nad nią, stworzone ze światła, jaśniejące i straszliwe, duchy płonące w eterze o skrzydłach z płomienia i oczach błyszczących jak noże, a kiedy ich wzrok padł na nią, był jak uderzenie błyskawicy.

--Gdzie jest dziecko?

Ich głosy dzwoniły spopielającą poświatą płomienia wydartego ze słońca. I wtedy zrozumiała, że nie była już na ziemi, że się zgubiła, ponieważ droga przed nią i za nią zniknęła. Zakryła oczy, ale już straciła wzrok, oślepiła ją ich świetlistość i desperacko rzuciła się w tył, mając nadzieję uciec.

Ale spadła. Spadła i wiatr zaszumiał wokół, jakby spadała i spadać miała przez tysiące tysięcy lat. Połknęła ją ciemność, nie widziała księżycy ni gwiazd. I wtedy zrozumiała, którą drogę wybrała: zrobiła ostatni krok nad urwiskiem i teraz na wieki lecieć będzie w otchłani bez dna, w którą wtrąciły ją jej grzechy.

Rozdział jedenasty

Pałac Spirali

1.

Gdyby Zachariasz wiedział, jak daleko leży pałac spirali, pewnie by za nią nie podążył. Latem szli na zachód przez marchie, a potem, gdy jesienne burze i deszcze przysły i odeszły, wędrowali przez Wendar, przemierzając ścieżki i stare drogi księstw Fesse i Saony, aż wkroczyli do złotego królestwa Varre, które było teraz we władaniu królów wendarskich. Zbliżyli się wystarczająco, żeby ujrzeć wieże Autunu, ale nigdy nie wstąpili do żadnego miasta. Polowali i zbierali zioła, korzonki i kwiaty w lasach i na pustkowiach. Koniowi wystarczała trawa i chwasty.

Czasami w wioskach handlował oskórowanymi gryzoniami, koszykami i talizmanami uplecionymi przez Kansi-a-lari w zamian za mąkę, sól czy jablecznik. Raz przehandlowali bezpłodnej kobiecie talizman płodności za kupon płótna. Miesiączki żony rolnika ustały tuż po ślubie, ale dziecko się nie pojawiło. Zainteresowanie Kansi-a-lari tym problemem zaskoczyło Zachariasza. Bardzo mało interesowały ją poczynania ludzi, ale dla tej bezpłodnej kobiety na całe cztery tygodnie przerwała podróż i leczyła ją kleikiem z orzechów laskowych, herbatką z majeranku, różnymi olejkami i naparami z jasnoty lub jaśminu. Zachariasz obserwował ją uważnie: miał dobrą pamięć, a ona знаła rzeczy zakazane przez Kościół. I niby cudem kobieta po raz pierwszy od pięciu lat zaczęła miesiączkować. Wdzięczna, uszyła im tuniki z płótna, co ułatwiło podróż, ponieważ teraz Kansi-a-lari mogła włożyć coś innego niż spódniczka i qumańska kurta, a on zdjął poszarpany habit fratra; ona wyglądała mniej niezwykle, a on bardziej jak mężczyzna. Tak przebrani mogli nawet pracować na farmach za jedzenie i dach nad głową, gdy kończyły im się zapasy.

W Łuczywo zapłacili dwa miedziaki i talizman na kurzajki przewoźnikowi, który przeprowadził ich przez rzekę Olliar, a gdy zeszli na brzeg, znaleźli się na ziemi saliańskiej. Zachariasz odkrył, ku swemu zaskoczeniu, że Kansi-a-lari lepiej mówiła po saliańsku niż po wendarsku.

Tu, w Salii, deszcz padał raz na dziesięć dni, śnieg nigdy i nawet rankiem kałuże na ziemi pokrywała jedynie cienka warstewka lodu. Pogoda była dobra na podróż, ale wyczuwał desperację wzbierającą wśród wieśniaków, gdy widział ich niewielkie zapasy i spustoszone lasy. Jeśli niedługo nie spadną deszcze, nie będzie wiosennego kwitnienia. Z powodu tego lęku wieśniacy nie życzyli sobie obcych w obejściach, więc on i kobieta Aoi co noc biwakowali w lesie. Nie wadziło im to. Nosili tuniki, nogawice i futrzane płaszcze. Brakowało mu piwa i jablecznika, ale można było pić do syta ze strumieni i rzadko zdarzały mu się dolegliwości żołądkowe, które nękały go podczas niewoli u Qumanów.

Wreszcie dotarli do krainy pełnej kamieni i tam ścieżka poprowadziła ich na skraj morza. Zachariasz słyszał opowieści o morzu, ale nigdy go nie widział, tej rzeki tak szerokiej, że drugiego brzegu nie było widać. W dole, u podnóża poszarpanego klifu, rozbijały się fale. Dalej skała ustępowała miejsca półkolu piasku, który ozdabiały blade łuki piany. Pomiędzy skałami biegł strumień i przecinał plażę, by zniknąć w morzu. Sól parzyła jego wysuszone usta i rozplakał się z zaskoczenia i wyczerpania, patrząc na horyzont i zachodzące słońce. Od nieustannego ruchu fal zakręciło mu się w głowie.

--Niedługo tam będziemy -- powiedziała, osłaniając oczy przed słońcem. Oblizła usta, jakby smakowała sól z powietrza, a potem wskazała na zachód -- horyzont, gdzie blask zachodzącego słońca kładł się na falach. Ale czy to był blask słońca? Coś tam było, tak daleko,

że zabłysło jasno na tle ciemnych fal i zniknęło, a potem znów się pojawiło, oblane słońcem.

--Churendo -- powiedziała. Dwie kozy, pasące się na zboczu za nimi, nagle podniosły łby i popatrzyły na nich podejrzliwie. Po brzegu chodziła mewa, zanurzając głowę w wodzie, wyjmując, zanurzając, wyjmując. Dołączyła do niej druga, potem trzecia. Na południu zebrały się chmury.

--Poczekamy -- rzekła. -- Dopóki nie wróci okrągły księżyc.

Rozbili obóz w zagłębieniu, gdzie zgromadziło się wyrzucone przez morze drewno. Zbudował szkielet szalasu, a ona utkała ściany i dach z twardej trawy morskiej. Tam czekali, aż sierp księżycy nabierze krągłości i podczas długich godzin obserwacji nauczył się rytmu morza, przypływów i odpływów powtarzających się z niezwykle regularnością. Strumień zapewniał dużo słodkiej zimnej wody. Złapali i zjedli kozy, złowili kilka ryb i oskrobali korę sosen na mąkę. Zachariasz znalazł nawet kilka skurczonych rzep, z których wraz ze zwiędłymi porami ugotowali gulasz.

W dniu pełni księżycy nalegała, by się obmyli. Woda była wściekle zimna, a dzień nie lepszy, jednak kobieta była stanowcza: aby wstąpić do churendo muszą się oczyścić. Zżyli się z sobą, jak to towarzysze na szlaku, więc nie obawiała się sprawdzić każdego zagłębienia na jego ciele, uszu, nozdrzy, skóry pod kolanami, miejsca, które okaleczył Bulkezu, skóry między palcami u stóp. Użyła noża, żeby wyczyścić mu paznokcie u rąk i nóg. Czuł się jak zwierzę przygotowywane na rzeź: kiedy był bardzo młody, widział, jak babka przygotowywała tak jagnię na wiosenną ofiarę, starannie szukając niedoskonałości. Ale ponieważ Kansi-a-lari przygotowała się tak samo, pomyślał, że może to część jakiegoś innego rytuału: nie wstępuje się w święte miejsca z brudnymi paznokciami i nie umyтыми uszami. Wiedział, że już dawno przestała go uważać za mężczyznę, ponieważ myła się przy nim i pozwoliła mu obmyć te miejsca, których nie mogła dosięgnąć czy ujrzeć. Pożądał jej, ponieważ była piękna w dziwny, niepokojący sposób. Bulkezu nie okaleczył przecież jego umysłu. Skóra mu się zaczerwieniła, serce biło szybciej, a znajoma dłoń Nieprzyjaciela gładziła go kusząco po podbrzuszu. Ale nie miał już czym zareagować.

Pozwoliła mu nałożyć tunikę i nogawice, ale nie sandały, i wymalowała mu białe kręgi na rękach i nogach, podobne do niewolniczych kajdanów. Jej tunika, ich płaszcze i sandały zostały wepchnięte do juków.

Całe popołudnie zajęło jej naoliwienie się, a potem ubranie. Z pięciopalczastych sakiewek dobiła maleńkie woreczki i przemyślnie wydrążone orzechy, zamykane skórzanymi wieczkami, zawierające nasiona i barwiczki. Pomalowała się dziwnymi, nasyconymi barwami, pasującymi do tatuażu biegnącego od ramienia do dłoni: w ochrowe spirale na brzuchu i piersiach, czteroramienne żółte romby na biodrach, małe czerwone kółka na pośladkach i ostre, niebieskie zygzaki na nogach. Na dłoniach i stopach wymalowała białe znaki podobne do szponów lamparta. Nałożyła skózaną spódniczkę, zawiązała szarfy z frędzlami wokół przedramion, łydek i kolan, na szyi zaś zawiesiła sobie dwa naszyjniki z wypolerowanych szczęk. We włosy wplotła paciorki, a w ten stroik wsunęła wąską kościaną igłę i trzy pióra: jedno złote jak słońce, jedno zielone jak wiosenna ziemia i jedno czarne jak otchłań. Ozdobiła oszczep wstążkami, a do jego podstawy przywiązała dzwoneczki, które wcześniej schowała.

O zmierzchu napili się do syta słodkiej wody ze strumienia i napelniła dwa bukłaki. Później dała mu do zjedzenia trzy nasiona, jedno ostre, jedno gorzkie i jedno słodkie. A potem

poprowadziła jego i konia przez półkolistą plażę. Towarzyszyła im cicha melodia dzwonek, a ona co piąty krok potrząsała oszczepem, by dzwoniły głośniejsze. Wiatr ustał, ale było bardzo zimno. Był odpływ, jakby całe morze zostało wessane do paszczy potwora żyjącego w niedostępnych głębinach. Zeszli z plaży, minęli linie głazów i szli dalej, a woda zdawała się uciekać przed nimi. Sypki piasek pod ich stopami sprawiał wrażenie niezwykle twardego. Raz się odwrócił i ujrzał klify tak daleko z tyłu, że na moment oślepiło go przerażenie.

Dawno temu umiał pływać; dziecko w marchiach uczyło się tego wcześniej, podobnie jak łapania ryb i rąbania drewna. Ale długo żył wśród nomadów, a oni nigdy nie wchodzili do wody, gdyż przynosiło to nieszczęście. Może zapomniał. Może zbierające wody zmiotą go...

I dokąd wtedy pójdzie? Czy jego dusza wzniesie się przez siedem sfer do Komnaty Światła? Nie, nie był tam już mile widziany. Czy będzie bez końca, wiecznie spadać w Otchłań? A jeśli nawet, to czemu miałby się lękać Nieprzyjaciela? Kim był dla niego Nieprzyjaciel, skoro już nie bał się i nie kochał Boga?

Uklękła, by narysować znaki na piasku, po czym modliła się w swym języku, robiąc pewne gesty na północ, na wschód, na południe i zachód. Z sakiewki wyjęła kamyki i położyła zielony na północy, rudy na wschodzie, brunatny na południu i biały na zachodzie. Piasek lśnił w świetle pełni. Strumyczki wody płynęły ku niewidocznemu morzu, setki paluszków celujących na zachód.

Czy się powiększały? Czy nadchodził przypływ?

--Jesteśmy w połowie drogi -- powiedziała, wstając. Odkorkowała jeden z bukłaków i pozwoliła na trzy łyki. -- Musimy iść szybko.

Koń prychnął nerwowo. Wiatr dmuchnął mu w policzek. A potem znów ucichł. Ruszyli.

--Naucz mnie modlić się do twoich bogów -- powiedział nagle.

Po długiej chwili odparła:

--Moi bogowie nie są twoimi i nie modlimy się do nich jak wy. Jeśli nie będziesz się modlił do niebiańskiego boga twego ludu, musisz sobie znaleźć innego. Przedtem mi mówisz, że twoja babka jest mądrą kobietą. Módl się do bogów matki twojej matki. Wtedy będziesz szczęśliwy i może oni cię ochronią.

Przed nimi leżał wąski kanał. Weszła w niego, a on podążył w jej ślady. Woda sięgała im jedynie do kostek, ale dalej był kolejny kanał, potem trzeci, a każdy głębszy od poprzedniego. Przeszli przez łachę piasku do czwartego, gdzie musiała podciągnąć spódniczkę do bioder, aby jej nie zamoczyć.

Niewidoczna ryba uszczypnęła go w łydkę. Kiedy się odwrócił, ujrzał jedynie ciemną linię znaczącą brzeg. Koń stał się niespokojny. Woda kotłowała się i wirowała w zagłębieniach niby ozywające gniazda węży. Wiatr chłodził jego kark. Wielki potwór robił wydech: nadchodził przypływ.

--Kiedy? -- zapytał ochryple.

--Tam -- rzekła.

Tam. Wznosiło się przed nimi z dna morskiego. Odbił sobie palce o kamień. Poprowadziła go łagodnie wznoszącą się kamienną rampą, która wynurzała się z dna morskiego niby z zapomnianego miasta pogrzebanego pod piaskiem. Kiedy szli, woda wirowała wokół nich, pochłaniając błyszczący piasek i wąskie kanały, aż wreszcie tylko kamienna rampa pozostawała sucha, gdy morze powracało, a wraz z nim nocny wiatr. Księżyc unosił się wysoko

na niebie, dominując nad gwiazdami.

Jego babka nazywała księżyc *Bładą Łowczynią*, tą, która czuwa nad życiem i śmiercią zwierząt, a podczas pełni jej siła była największa.

--Błagam cię, Wielka Łowczyni -- mruknął, smakując słowa, czując się niezdarnie. -- Daj mi siłę. Użycz trochę swej mocy.

Przed nimi wznosiła się wyspa o stromych zboczach, kamienny fort o błyszczących, marmurowych murach. Wspinali się, aż dotarli po rampie do podstawy hebanowych wrót. Z każdej strony wila się ścieżka wykładana czarnym kamieniem, po jednej wznosiła się stroma ściana, po drugiej opadało zbocze.

Poprowadziła ich na lewo, zgodnie z ruchem słońca, wzdłuż ścieżki, a u podnóża wzgórza podnosiły się wody, powoli zatapiając rampę.

--A jeśli podejda wyżej? -- zapytał nerwowo. Nie odpowiedziała mu, tylko szła czarną ścieżką, która otaczała wyspę. Próbował sobie przypomnieć modlitwy wypowiedane przez babkę, ale słowa dawno uciekły, pozostało jedynie wspomnienie babki, starej i powykręcanej, ale zdrowej, z absurdalnym poczuciem humoru. Po wielu latach zgodziła się wreszcie modlić przed ołtarzem Boga z Kręgu, a frater radował się i wydał wielką ucztę dla całej wioski, by uczcić jej nawrócenie, jego rodzice zaś płakali z radości, że wreszcie wstąpiła w Światło. Ale on widział, jak babka ukryła rzeźbioną figurę Grubaski, która daje mądrość i obfitość, pomiędzy obrusami na Palenisku. Za każdym razem, gdy klękała i modliła się przed świętym obrazem Ojca i Matki Życia, tak naprawdę modliła się do Grubaski.

Całą wieczność szli czarną ścieżką, ale gdy w końcu wrócili do hebanowych wrót, woda chlupotała na kamiennej rampie o dwie wysokości od nich. Wciąż się podnosiła.

--Teraz jesteśmy na zewnątrz -- powiedziała. Wydobyła nóż i przeciągnęła ostrzem po dłoni. Rozmazała krew na powierzchni wrót, potem przecięła dłoń Zachariasza i dźgnęła konia w łopatkę; ich krew również rozprowadziła na wrotach.

Jej palce zanurzyły się w cieniu otaczającym wrota, złapały skobel; pociągnęła. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Przeszła przez próg, a on poszedł za nią i odkrył, że stoi na wąskiej dróżce, równoległej do ścieżki z czarnego kamienia na zewnątrz. Po obu stronach wznosiły się wysokie kamienne ściany. Koń się cofnął, ale gdy woda morska przelała się przez próg i zmoczyła mu kopyta, wskoczył do środka.

Zamknęła za nimi bramę, odgradzając się od przyływu. Rozejrzał się niespokojnie: czy kamienne ściany były wystarczająco wysokie i wodoodporne, by ich ustrzec przed morzem? Ale gdy ukląkł, żeby dotknąć podłoża, okazało się suche jak wybielona kość wysuszona przez upalne, bezdeszczowe lato. Zaczęła iść na prawo, w kierunku przeciwnym do ruchu słońca, i podążył za nią. W czasie, który wystarczyłby na odśpiewanie tercji, krótkiej godzinki, wrócili w miejsce, skąd wyruszyli.

--Teraz jesteśmy wewnątrz -- rzekła.

Dłoń go piekła. Był bardzo spragniony, ale nie dała mu nic do picia. Nagle poczuł się tak zmęczony, że, drżąc, oparł się o kamienną ścianę...

--Wnuku.

Odskoczył.

--Co to było? -- zapytał. -- W tym kamieniu coś żyje. Mówi do mnie głosem mej babki.

--Nie ma tu niczego żywego -- odparła twardo. -- Wstąpiliśmy do churendo, pałacu spirali.

Tutaj spotykają się trzy światy. Niech cię nie zaskoczy to, co usłyszysz i zobaczysz.

--Czym są trzy światy? -- zapytał, ale ona już ruszyła na lewo, z ruchem słońca, i musiał podążyć za nią, ciągnąc konia. -- Po co mamy znów iść w kółko? -- zapytał jej plecy. -- Czy nie ma ścieżki prowadzącej w górę?

Stała nagle i odwróciła się. Jej spojrzenie zamknęło mu usta i gdy ruszyła, podążył za nią cichy, upokorzony.

Szli piaszczystą ścieżką, piach zgrzytał i chrzącał pod ich stopami. Obeszli wzgórze, jak to uczynili na zewnątrz, ale gdy wrócili do hebanowych wrót, nie były już hebanowe; nie była to ta sama brama, została zrobiona raczej z najbledszego różowego kamienia. Wyjrzał przez nią i zobaczył morze kłębiące się w dole, wyciągając szyję, zdołał nawet dojrzeć wejście znaczące hebanowe wrota, teraz zatopione do połowy pod nimi. A potem zobaczył księżyc. Szli ledwie godzinę, a księżyc wisiał nisko nad horyzontem, prawie pochłonięty przez morze, malejąca ćwiartka: dobre sześć dni po pełni. Czując zawrót głowy, zatoczył się i zatrzymał, opierając dłoń na kamieniu. Ale gdy go dotknął, spojrzął przez różowy kwarc na inne morze, wcale nie morze, tylko rzekę wijącą się wśród stromych wzgórz.

Na rzece majaczą okręty, wąskie i drapieżne. Dziób pierwszego z nich jest długi i smukły, rzeźbiony na kształt głowy smoka. Stworzenia jak ludzie, ale nie ludzie prą na wiosła i czasami, kiedy przemykają nad płycznami, ich wiosła przebijają się przez warstwę lodu. Kamienne i metalowe ostrza oszczepów błyszczą, gdy padają na nie promienie słońca wiszącego nisko nad północno-wschodnimi wzgórzami. Przed nimi woda pieni się białą wokół linii pali; ktoś wbił je w dno, aby statki nie mogły płynąć w górę rzeki.

Ale stworzenia po prostu cumują okręty do pali i z tego obozu atakują okolice, paląc i zabijając. Dwory i domostwa płoną pod bladym światłem słońca, które nigdy nie wznosi się wyżej niż do połowy nieba. Szybko zapada noc, szara i lodowata. Ognie znaczą zbocza i doliny jak nierówna procesja pochodni. Późno w nocy gasną, gdy nadchodzi burza. Zostaje jedynie ciemność.

Zniknęła za zakrętem ścieżki, wciąż kierując się zgodnie z ruchem słońca. Złapał wodze i podążył za nią. Nie chciał zostać. Czuł, jak ziemia wznosi się pod jego stopami, stając się coraz bardziej stroma. Wspinali się.

Następne wrota błyszczały bladym, żelaznym blaskiem. Nadszedł odpływ. Na wschodnim horyzoncie rozpałał się dzień, ponura szarość wśród skał. W górze wściekle błyszczały gwiazdy. Nie widział księżycy. Czy w mrocznych wodach poniżej leżało jego odbicie? Pochylił się, przyciskając dłoń do wrót.

Na krześle rzeźbionym w guivre'y siedzi kobieta. Nosi złoty torkwes znamionujący królewski ród oraz diadem. Jej włosy siwieją, a twarz poznaczona jest zmarszczkami dawnych gniewów i frustracji. Jej komnata na wieży jest pysznie i bogato umeblowana, ale dwóch strażników stojących przy drzwiach zdradza prawdziwy cel pomieszczenia: to więzienie, nic ponadto. Podnosi dłoń i kiwa na posłańca, który przyszedł, nijaką kobietę odzianą w szaty kleryczki.

--Co mi przyniosłaś? -- pyta głosem zbyt cichym, by usłyszeli go strażnicy, którzy poza tym są znudzeni i rozmawiają z niewidocznym towarzyszem na schodach. -- Jesteś pewna, że biskupina Konstancja nic o tym nie wie?

--Tak, Wasza Wysokość -- odpowiada kleryczka. -- Biskupina kazała wybudować nowy gołębnik, ale ten gołąb przyleciał do starego. Tak się o tym dowiedziałam, od pewnych wiernych

wam służących, którzy nie są zadowoleni, że wendaraska biskupina została ustanowiona ich panią i biskupiną.

--Daj mi to -- nakazuje kobieta. Kleryczka posłusznie daje, a kobieta rozwija strzep płótna, dość brudny i wilgotny, poznaczony literami. Oddaje go kleryczce. -- Przeczytaj mi.

Kleryczka zastanawia się przez chwilę, ponieważ niektóre litery są poplamione i rozmyte, po czym czyta na głos.

--„Do tej, która jest prawdziwą królową Wendaru i Varre. Wytrzymajcie. Nie poddawajcie się rozpacz. Jest ktoś, kto o was nie zapomniał i w odpowiednim czasie powróci, by wam pomóc”.

--Czy to wszystko? -- pyta kobieta.

--Tak, Wasza Wysokość.

--Co to za znak tam na końcu?

--To jakiś herb, ale nie mogę go odczytać.

Kobieta mruczy, po czym wskazuje ogień.

--Spal to.

Zdjęto okiennicę, by wpuścić powietrze. Przez okno widzi niebo o świcie i odległy księżyc: sierp malejącego księżycza zachodzący za drzewa rosnące nad szeroką, dumną rzeką.

--Błada Łowczyni, chroń mnie -- jęknął, odrywając się od bramy i zataczając w tył, po czym zderzył się z masywną ścianą za plecami. Nie było drogi w górę ani w dół, tylko ścieżka, którą szedł. Ale może nie powinien się wcale modlić do Bładej Łowczyni. Może powinien się modlić do Powieszzonego, który zabił się dla mądrości, zwisając dziewięć dni i nocy z jesionu, podczas gdy kruki ucztowały na jego wątrobie. Ale nie pamiętał. To było dawno temu, a wierzenia jego babki były dla niego dziwactwem; wierzył już w Krąg Jedności i Matkę i Ojca Życia, ponieważ jego rodzice wierzyli, ponieważ był im posłuszny, ponieważ podobały mu się kazania wygłaszane przez fratra, a potem ponieważ słowa ze Świętych Wersów brzmiały tak słodko w jego uszach, że nauczył się ich na pamięć, wszystkich.

Teraz, stojąc samotnie z koniem na wąskiej ścieżce, nie mógł sobie przypomnieć ani jednego słowa z psalmów, które niegdyś znał na pamięć; pamiętał jedynie modlitwy babki. Nie miała daru pięknej wymowy, ale wiedziała, jak trafić w sedno.

--Och, Grubasko, oto pierwsze pory z ogrodu. Są trochę małe, ale bardzo słodkie. Proszę, niech moja córka ma drugie dziecko, którego tak pragnie. Oto pestki jablek, które zachowałam z zeszłorocznych zbiorów. Czwarte drzewo po lewej nie obrodziło zeszłej jesieni. Jeśli tego lata uznasz, że nie pobłogosławisz go owocem, każę mojemu zięciowi je wyciąć i zasadzimy tam ładną leszczynę na twoją cześć. Znalazłam dla ciebie ładny szczep nad rzeką, dobry i silny, ale jeszcze nie za duży do przesadzenia. Kładę z niego gałązkę obok pestek, żebyś poczuła, jaka jest święta.

Następnej zimy, przypomniał sobie, kazała ojcu wyciąć jabłoń i zasadzić leszczynę; jego matka urodziła silną, zdrową córkę, którą nazwała Hathui. Leszczyna i Hathui rosły razem, a każdej jesieni babka w sekrecie składała ofiarę z pierwszego laskowego kleiku przed ołtarzem Grubaski, przy źródle na wzgórzach za ich farmą. Zawsze chodził z babką; nigdy nie wygadał. Odeszła.

Umarła dawno temu. A jego towarzyszka zniknęła na ścieżce za zakrętem.

Zachariasz otrząsnął się ze wspomnień, przerażony, że zostanie sam w tym miejscu wizji i

cieni. Koń truchtał za nim spokojnie, ale gdy śpieszył naprzód, nogi go paliły. Wreszcie ją zobaczył. Wydawała się tak wysoko, a powietrze drżało dziwnie, jakby przechodziła przez zupełnie inną substancję, coś poza powietrzem. Kolana go bolały. Gardło paliło. Słońce świeciło blaskiem tak bladym jak marmurowe ściany.

Pojawiły się trzecie niemożliwe wrota, nagły lazur niczym zamrożona rzeka, postawiona pionowo pomiędzy dwoma filarami. Za bramą morze kotłowało się i grzmiało pod zachmurzonym niebem rozdieranym burzą. Piana ochlapывała kamienne ściany. Nie widział odległego lądu. Cofnął się, gotowy pójść dalej. Nie chciał znów stracić Kansi-a-lari z oczu.

Ale ona zatrzymała się przy lazurowych wrotach.

--Kto tu jest? -- zapytała i w odpowiedzi przyłożyła dłoń do bladobłękitnej bramy.

Przed pięknym drewnianym dworcem powiewają sztandary, a tu i tam biegają służący, niosąc drewno, skrzynie, odzienie, łopaty i torby chleba tak świeżego, że nadal paruje, i kęgi twardego sera, i klatkę pełną kolorowych śpiewających ptaków. Śnieg pokrywa ziemię. Księżyc w pełni zachodzi, kiedy wschodzi słońce. Prowadzą konie, ich oddech paruje na zimnie i nagle z dworca wylewają się ludzie, niby kurczęta wybiegające z kurnika, by uciec przed lisem.

Oto król. Każdy rozpoznałby króla, nawet gdyby, jak Zachariasz, widywał go jedynie w wizjach. Dworacy kręcą się wokół niego niby prądy morskie, do wewnątrz i na zewnątrz. Podchodzą posłańcy, gdy król czeka, aż jego koń zostanie przyprowadzony. Kobieta w Orlim płaszczu stoi plecami do króla, słuchając jednej ze swych towarzyszek, która wygląda, jakby właśnie przyjechała. Odwraca się, wysoka, jastrzębionosa kobieta, która jest tak zadziwiająco znajoma, że Zachariasz jedynie wzdycha, słysząc, jak przekazuje królowi wiadomość od swej towarzyszki.

--Wasz wierny Orzeł Udala przybywa z Varre, Wasza Królewska Mość, z wieściami od biskupiny Konstancji, że w Autunie wszystko w porządku, krążą tylko pogłoski o czarach na zachodzie. W Salii panuje susza. Udala przynosi też wiadomość od lorda Godfryda, kuzyna hrabiego Lavastine'a. Słyszał, że hrabia umarł dwa, trzy miesiące temu od czarnoksięstwa. Błaga, byście przyjechali do zamku Lavas, ponieważ oskarża mężczyznę twierdzącego, że jest bękartem Lavastine'a, o użycie czarów dla nakłonienia Lavastine'a, by uczynił go swym dziedzicem. Błaga, byście przybyli, gdy tylko zdołacie, żeby wydać wyrok w tej sprawie.

Zachariasz gapi się, oszołomiony, na króla drapiącego się w namyśle po brodzie, bez gniewu, jedynie z zastanowieniem. Nigdy by nie poznał jej z twarzy, ponieważ zmieniła się przez te lata, odkąd widział ją po raz ostatni, dorosła i nabrała ciała. Ale wspomnienie jej głosu na zawsze utkwilo mu w samym sercu; tyle jego wspomnień to głosy i słowa.

Kto by pomyślał? Była taką żywą, chudą dziewczuszką. To jego siostra, Hathui, nosi Orli płaszcz i stoi po prawicy króla.

Koń króla zostaje przyprowadzony. Dosiada go i odjeżdża.

--Ach -- powiedziała za nim Kansi-a-lari, niczym ktoś, kto wreszcie wyciągnął sobie cierni ze stopy. Położyła lewą dłoń na swym ramieniu, jakby chciała powiedzieć: „Pozdrawiam cię” albo „Poddaję się memu nieszczęśliwemu przeznaczeniu”.

Szła dalej, a on podążał za nią. Czwarta brama lśniła jak bursztyn, ale ponieważ ona też się nie zawahała, on się nie zatrzymał; nie chciał zostać z tyłu. Stroma ścieżka zmieniła się w stopnie, coraz bardziej strome, gdy zdążali ku szczytowi wzgórza. Wreszcie zrozumiał, że ścieżka była spiralna, zwińając się ku szczytowi.

Piąte wrota zaskoczyły go. Błyszczały jak ametyst, zalewając morze i nocne niebo za sobą najjaśniejszym fioletem. Nie było księżyca. Nie potrafił odczytać gwiazd, kompletnie do góry nogami i w niewłaściwych miejscach. Zdezorientowany potknął się i upadł na konia. Odepchnięty oparł się o skałę, ale jego dłoń zsunęła się na śliską, mokrą powierzchnię wrót w chwili, gdy Kansi-a-lari wykrzyknęła ostrzeżenie:

--Nie patrz!

Ale on już zniknął.

Młoda kobieta o włosach czarnych jak obsydian, migdałowych oczach, szerokich kościach policzkowych i ciemnej karnacji wschodnich plemion klęczy na trawie jak niewolnica, a nie księżniczka, którą najwyraźniej jest. Nosi szatę utkaną ze złotej przędzy tak bogatej, że błyszczy, gdy się porusza. Pochyla głowę, ale jej wzrok, uniesiony na stojące przed nią stworzenie, jest odważny.

Stworzenie nie przypomina niczego, co wcześniej widział, ale wie, czym jest: jednym z ludu Bwr, bajkowych stworzeń mieszkających w wysokich trawach. Jest kobietą lub klaczą; obiema naraz lub ani jednym, ani drugim. Szorstkie włosy zaplecione ma w warkocze, a jasna grzywa splywa wzdłuż jej nagich pleców i również jest zapleciona. Jej twarz i tors pokryte są zielono-złotą farbą. Jej ciało od pasa w dół to ciało pięknej klaczy o sierści tak cudownie szarej, że zdaje się niemal srebrna.

--Wróć do mnie -- mówi stworzenie. -- Kiedy zdołasz przynieść te rzeczy. Niedźwiedzie pazury i sadło. Zęby kreta. Kości myszy, w komplecie. Nici z całunu trupa. Smoczą łuskę. Zrzuconą skórę węża. Popioły z ogniska, które paliło się w noc pełni księżyca. Dwa węgielki, nadal płonące, z paleniska ciężarnej kobiety. Jeden bursztynowy paciorek. Lapis-lazuli wyrzeźbione na kształt boga. Sowie pióro. Skorupkę...

Urywa i Zachariasz natychmiast zdaje sobie sprawę, że ona o nim wie. Wyciąga z cienia lewe ramię, by ukazać sowę siedzącą jak jastrząb na jej nadgarstku.

--Leć -- mówi do sowy. Ta natychmiast bezszelestnie się podrywa.

Kansi-a-lari szarpnęła go tak boleśnie, że jęknął, chwytając oddech. Jego żołądek rozrywały spazmy. Lewy łokieć bolał.

--Wszystko popsujesz -- rzekła ochryple. -- Nie patrz więcej przez wrota Shagupeti.

Wspinali się dalej. Ścieżka zmieniła się w stopnie, wijące się wokół wzgórza, otoczone murami, nie kończącymi się murami; nigdy nie dostrzegł w nich żadnej szczeliny, żadnego śladu schronienia, drabin, ścieżek, sal, studni, żadnych zwierząt ni ptaków, nawet mrówek i pajaków. Fort był pusty, znajdowało się tam tylko ich troje, ona, on i koń, i wizje.

Świeciło słońce, ale nie widział go, wspinając się stopień po stopniu. Próbował je zliczyć, ale nie potrafił. Był zbyt spragniony, by liczyć. Oddalala się od niego, zniecierpliwiona jego powolnym krokiem, i zniknęła mu z oczu, ale był zbyt zmęczony, bolały go kolana i wiedział, że w końcu ją dogoni, bo nie mógł pójść nigdzie indziej.

Kiedy wreszcie ją dogonił, stała bez ruchu przed szóstą bramą, przyciskając obie dłonie do jaśniejącego zielonego kamienia jak malachit tak cienki, że stał się jedynie zasłoną.

Odezwała się i otrzymała odpowiedź. Podkradł się, by posłuchać.

--Bądź ostrożna, kuzynko -- powiedział głos zza zasłony. -- Nie jesteśmy jedynymi przemierzającymi ścieżki. Otwarły się nowe bramy, choć nie było to niespodziewane. Stąpaj ostrożnie w świecie ludzi. Jesteś z dala od domu, a ścieżki stają się coraz bardziej niestabilne.

Nie mitręż wiele czasu na swe zadanie, bo nie będziesz mogła wrócić.

Kiedy podszedł do niej, odjęła dłonie od bramy i spojrzała prosto na niego.

--Chodź -- powiedziała.

Musiał za nią pójść. Nie odważył się zatrzymać, by dotknąć bramy, by ujrzeć to, co ona widziała. Z kim rozmawiała?

Teraz każdy stopień był jak wykuty przez tytanów, wysoki do kolan, i biedny konik musiał wdrapywać się jak kozica z półki na półkę. Ale to było silne stworzenie; jak wszystkie konie Qumanów nigdy nie było rozpieszczane. Te, które nie dotrzymywały kroku, były zabijane i wrzucane do garnka z gulaszem. To był silny konik, odpowiedni pod siodło dla wodza takiego jak Bulkezu, miał serce księcia i żadne przekłete schody nie staną mu na przeszkodzie.

Zachariasz się zadyszał i musiał stanąć, żeby złapać oddech, gdy dotarli do siódmych wrót. Musiał się zatrzymać i podnieść dłoń do oczu, ponieważ oślepił go widok wrót, całych z białoniebieskiego ognia, nie z kamienia, nie z drewna, tylko z jakiejś substancji jasnej jak palenisko kowala, a jednocześnie lodowatej jak zimowe powietrze. Bał się ich i został z tyłu, ale nie mógł przestać się gapić, gdyż w głębi duszy wiedział, że za tą bramą leżało miejsce, którego żaden człowiek wcześniej nie widział i żaden już nie ujrzy.

Ujrzał poruszenie, coś się zbliżało, trzepot skrzydeł w płonącym ogniu, jakby jakieś straszliwe stworzenie miało zamiar wynurzyć się z błyszczących wrót, by go pochłonąć.

Krzyknął. I wtedy coś ciemnego, gorącego i ciężkiego zasłoniło mu oczy.

--Szybko -- powiedziała, ciągnąc go za łokieć.

Zajęczał, walcząc, i wreszcie zerwał z siebie stwora, który go oślepił. Narzuciła mu płaszcz na głowę.

--Nie odwracaj się -- rzekła. -- Zasłona się przeciera. Stały się świadome tego, co leży daleko w dole pod nimi i są bardzo niebezpieczne. Jeśli cię dotkną, w mgnieniu oka spalisz się na popiół.

--Czy tam naprawdę coś było? -- jęknął. -- Co to było?

--Sądzę, że w waszym języku nazywacie je „aniołami”.

Ścieżka nagle skręciła ostro w prawo. Przeszli pod portalem, ozdobionym dwoma masywnymi kamieniami wyrzeźbionymi na podobieństwo lwicy, groźnej i opiekuńczej. W uszach zadzwoniło mu od trzech głębokich, grzmiących nut, a z nosa popłynęła krew. Puściła jego ramię i zatoczył się za nią na owalny plac, wyłożony marmurem i otoczony wysokim do bioder marmurowym murem, wyciosanym tak idealnie, że gdy ukląkł i przesunął palcem po cienkim spojeniu dwóch bloków, nie poczuł wewnątrz zaprawy, tylko idealne dopasowanie dwóch mistrzowsko wykutych kamieni.

Na tej wysokości wiatr ciał bezlitośnie i Zachariasz cieszył się, odzyskując równowagę, że ma na ramionach płaszcz. Była bezchmurna chłodna noc, kłująca wiatrem. Morze otaczało wyspę, szemrząc rytmicznie u podnóża skały. Nieba nie zakrywały chmury. Miecz, Berło i Puchar Królowej lśniły na wschodzie; światło pełnego księżyca, zachodzącego już, przyćmiło wszystkie zachodnie gwiazdy prócz najjaśniejszych. Znał najwyraźniejsze gwiazdy i konstelacje. Znało je każde dziecko, które gapiło się w nocne niebo w nadziei, że ujrzy anioła.

Czy ujrzal cień anioła tam, przy siódmych wrotach?

--Zachariaszu.

Przeprowadził konia przez bramę i podszedł do ściany, by się wychylić. Jej ciało lśniło

niezwykłym blaskiem niby polerowany brąz. Skórzana spódniczka kołysała się wokół bioder i ud, a skrzyżowane ramiona skrywały piersi. Złoty łańcuch otaczał luźno jej talię. Wzięła głęboki wdech.

--Czujesz? -- powiedziała. -- Dzień i noc znów są w równowadze. Przyszła wiosna. Świat pomiędzy jest bogaty w rośliny. Od jak dawna nie czułam takiego bogactwa!

Gapił się na nią zaskoczony. Jak mogła być wiosna? Dotarli do morza kilka tygodni po zimowym przesileniu, nie później. Jedną noc zajęło im przejście po piasku i wspięcie się na fort na wyspie. Prawda?

Błysk porannego światła pojawił się nad lądem na wschodzie, gdy księżyc zniknął w falach na zachodzie. Cofnęła się od muru i uniosła oszczep, potrząsnęła nim raz, dwa, trzy razy.

--Chodź. Pójdź za mną.

Od portalu skierowała się prosto ku środkowi placu. Poszedł za nią, ale im bliżej był środka, tym bardziej czuł, że ziemia pod nim topnieje, że szedł najpierw po kamieniu, potem po błocie, wreszcie wśród bagna, które wciągało mu stopy i wysysało siły. Pośrodku owalu znajdowało się płytkie zagłębienie i tam Kansi-a-lari uklęknęła. Musiał się czolgać, by tam dotrzeć, przebijając się przez powietrze, które zdawało mu się bardziej wodą, do kanału otwierającego się w otchłani. Na jego skraju pochylił się i spadał, ślizgał się, wirował, dopóki nie wpadł na Kansi-a-lari, która stała pośrodku płytkiego zagłębienia ze stopami po obu stronach otworu na tyle dużego, że pomieściłby ludzkie serce. Czoło go bolało od upadku. Jej bliskość sprawiła, że zakręciło mu się w głowie, jej zapach go przytłaczał, a może jej moc, może powietrze. Uniósł wzrok.

--Błada Łowczyni -- jęknął, ale nie mógł już dojrzeć nieba, tylko czyste mgliste światło, które wydobywało się zewsząd i znikąd. Za tym światłem, niby przez szkło, ujrzał złotą drabinę, która unosiła się ze środka płytkiego zagłębienia poprzez Kansi-a-lari i powyżej, kierując się ku niebu. Sięgała wysoko, wysoko w niebiosy, aż stawała się nitką. Wydało mu się, że widzi postacie wchodzące i schodzące wśród tęczy kolorów: różu, srebra, lazuru, bursztynu, ametystu, malachitu i białoniebieskiego ognia, ale były to tak niezwykle blade formy i poruszały się z tak lekkim wdziękiem, że pomyślał, iż może po prostu majaczył. Przysłonił oczy dłonią i spuścił wzrok.

Daleko w dole, w samej skale, tak daleko, że wydawało się to niemożliwe, tak daleko, że człowiek spadałby dzień, dziesięć dni, a może rok, ujrzał niespokojne, wzbierające wody, czarne jak smoła, ozdobione białą pianą.

Ale kiedy dotknął płytkiego zagłębienia, poczuł pod palcami jedynie chłodny marmur.

--Co to za miejsce? -- wyszeptał. Ledwo mógł mówić. Może chciała, aby umarł z pragnienia. Może to była jakaś ofiara dla jej bogów.

--To churendo -- wyjaśniła, nieco zniecierpliwiona. -- Pałac spirali. Tutaj spotykają się trzy światy, świat ponad, świat pomiędzy i świat w dole.

--Oj! -- wyszeptał lękliwie. -- Co leży pod nami? Czy to Otchłań?

--Nie znam tej „otchłani”, o której mówisz -- odparła. -- Pod nami leżą wody chaosu. Ponad nami rozpościera się morze, które w swoim języku nazywasz „niebiosy”. Tam żeglujecie nasz statek i musimy doprowadzić go do portu, do domu. Ale nie wszystko jest jeszcze gotowe na nasz powrót, a nie możemy zwlekać, ponieważ w świecie pomiędzy dni mimo wszystko mijają. Nie czekają na nas. Och, Sharatango, chroń mnie! Nie mogę go znaleźć, szukając na

świecie z ziemi, ale w pałacu spirali nic się nie schowa przed naszym wzrokiem. Dokąd się udał?

Odwróciła się na północ i uniosła oszczep, potrząsając nim cztery razy. Odezwała się najpierw w swoim języku, a potem, jakby honorując jego obecność, po wendarsku.

--Jadeitowa Spódnico, oto moja krew. -- Wyjęła cienką igłę z włosów i starannie przeklęła sobie język. Krew spłynęła na marmur i spadła do zagłębienia wielkości pięści. -- Poproś siostrę, by usłyszała me słowa. -- Odwróciła się na wschód i uniosła oszczep, potrząsając nim trzy razy. -- Kwiatowa Spódnico, oto moja krew. -- Wciąż sphywała z jej języka, krople skapywały do misy wyrzeźbionej w marmurowej posadzce. -- Poproś siostrę, by usłyszała me słowa. -- Odwróciła się na południe i uniosła oszczep, potrząsając nim dwa razy. -- Wężowa Spódnico, oto moja krew. Poproś siostrę, by usłyszała me słowa. -- Odwróciła się na zachód i uniosła oszczep, potrząsając nim. -- Jaśniejąca Spódnico, oto moja krew. Poproś siostrę, by usłyszała me słowa.

Wreszcie spojrziała ku niebiosom, unosząc oszczep bez potrząsania nim, więc dzwonki tylko się poruszyły, nie dzwoniąc.

--Kerawaperi, oto moja krew. Usłysz me słowa. Ukaż mi to, co ukryte przed moimi oczami. -- Ukucnęła nad zagłębieniem. Zrobiła coś igłą pod spódniczka; popłynęła krew, wirując i zbierając się w niszy.

Wciąż kucając, rozwiązała pięciopalczałą sakiewkę i wydobyła żołędź. Zdjęła maleńką pokrywkę i przechyliła go. Wyplął z niego czarny wstrętny płyn, jak smoła, rozciągnął się, a potem spadł, skwiercząc, gdy dotknął krwi.

--Wody chaosu -- rzekła. -- Przyjmijcie je w ofierze.

Odrzuciła żołędź, przeszukała wypustki sakiewki i wydobyła następny. Ten, odkorkowany, wylał z siebie płyn podobny bardziej do złota niż do wody, który wydawał się unosić lekko w powietrzu, zanim spadł i zmieszał się z innymi w zagłębieniu.

--Pięć kropel z morza powyżej. Przyjmijcie je w ofierze.

Klasnęła językiem raz, dwa, a potem znów szybko dwa razy i skinęła na Zachariasza. Strach ścisnął mu trzewia. Ale podczołgał się. Teraz chciała jego. To miała być ofiara, jego serce bijące u jej stóp.

--Lepsza jest z członka -- powiedziała. -- Ale ty go nie masz. Wyciągnij język. -- Trzymała igłę w dłoni.

Oj, to bolało. Zacisnął powieki i modlił się do Powieszzonego o odwagę. Kiedy jego krew spłynęła, a ona zaczęła mówić, otworzył oczy.

--Przyjmijcie ją, krew stworzenia, które żyje i umrze w świecie pomiędzy. Niech się tu połączą trzy światy. -- Wreszcie wstała, odkorkowując jeden z bukłaków. Westchnął, pragnienie wezbrało mu w gardle. Teraz, nagle, jego serce zabiło takim pragnieniem, jakiego nigdy nie czuł ku jej ciału. Czuł wodę, słodką i czystą.

Wylała ją w zagłębienie wielkości pięści, a ta rozlewała się, przelewała, aż stanęła po kostki w wodzie. Wyjęła pióra, jedno złociste jak słońce, jedno zielone jak wiosenna ziemia, jedno czarne jak otchłań i upuściła je.

Kiedy opadły na wodę, podniosła się z nich para, mgła zawirowała, potem się rozjaśniła. We mgle ujrzał wizję tak żywą, że poczuł, że mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć widzianej kobiety.

Młoda kobieta o skórze koloru palonego cukru czyta przy świecy, jej usta poruszają się, ale

nie wydają dźwięku. Prawą dłoń obraca po kolei strony. Lewa spoczywa na wydętym ciężą brzuchu.

Usłyszał ostry syk spomiędzy zębów; chwilę później rozpoznał oddech Kansi-a-lari, jej głos.

--Jest blisko. Czuję go.

Do komnaty ostrożnie wsuwa się mężczyzna. Jest wysoki, ma szerokie ramiona, porusza się z gracją potężnych mężczyzn, swobodnych w swym ciele. W jego oczach błyszczy płomyk, który może być wściekłością -- lub śmiechem. Dwukrotnie widział tego mężczyznę w swych wizjach.

Jego towarzyszka wyrzuciła z siebie saliańskie słowo, ostro, na wydechu:

--Sanglant! -- Trzy razy tupnęła nogą i złowieszczo potrząsnęła oszczepem ku niebiosom, wydając groźny okrzyk, jak jastrząb.

Wizja zniknęła, a z nią woda i tynktury, które wylała na marmurową posadzkę. Wiatr rozwił mgłę, a słońce wstało w wiosenny poranek pełen obietnic. Stali sami na owalnym placu, morze huczało i mruczało w dole. Kobieta Aoi miała na twarzy ponury uśmiech zadowolenia. Wręczyła mu drugi bukłak.

--Pij. Potem zjemy to, co zostało z naszych zapasów. Odpoczniemy tu jeden dzień i zaczniemy schodzić jutro o świcie.

Wypiłby całą wodę, ale zbyt szanował swego dobrego towarzysza, konia, więc nalął płyn na dłoń i napił go. Dopiero wtedy sam się napił, trzy łyki i jeszcze trzy, oszczędnie.

Kiedy odzyskał głos, zwrócił się do niej:

--Kim była ta młoda kobieta? Była piękna.

--Nie wiem -- Siedziała swobodnie nad płytkim zagłębieniem, jedząc resztki suszonej kozłiny.

--Kim był mężczyzna?

Podarła twarde mięso na strzępy i zjadła je do ostatniego okruszka, po czym oblizła place, zanim odrzekła wreszcie:

--To jest mój syn.

2.

Tallia jęczała i narzekała, ale kiedy tylko jakiś rozkaz został wydany wystarczająco ostro, słuchała go. Powinien był od początku obrać taką drogę. Teraz wreszcie to rozumiał. Bez wątpienia była z lepszego rodu niż on, ale urodzenie to nie wszystko; była słaba, tak jak mówił Lavastine. Przypomnial sobie aluzje i intrygi księżnej Yolande, dotyczące koron i tronów. Ale Tallia nie była nawet na tyle silna, by rządzić sama sobą. Jak można było oczekiwać, że będzie rządzić królestwem?

Bardzo długo odzyskiwała siły, ponieważ niemal zagłodziła się na śmierć. Przez jakiś czas leżała chora, często w gorączce. Niektóre potrawy wywoływały u niej biegunkę. Inne zwracała. Na początku odmawiała przyjmowania jedzenia od kogokolwiek poza nim i musiał karmić ją małymi porcjami sześć razy dziennie, jak inwalidkę. Ale dorastając w domu ciotki Bel, spędził dużo czasu, opiekując się chorymi dziećmi, więc wiedział, jak się nimi zajmować, raz upartymi, a chwilę później grzecznymi. Wreszcie przyzwyczaiła się ponownie do normalnego jedzenia i po kilku tygodniach zaczęła odzyskiwać siły. Wigilia świętej Herodii przyszła i minęła, miesiąc Askulavre płakał mroźnymi łzami, a księżna Yolande nie przybyła.

W ostatnie dni Askulavre ciężkie szare chmury przykryły niebo i przez dwa dni sypał śnieg. Całe tygodnie nie mogli wyprawiać się dalej niż nad rzekę i do małego klasztoru Świętej Thierry. Został założony przez dziadka Lavastine'a, Charlesa Lavastine'a Starszego, w roku, gdy jego matka, hrabina Laurencja, umarła przy porodzie swego drugiego dziecka, dziadka lorda Godfryda, który również miał na imię Godfryd.

Nadszedł dzień świętej Oyi i Tallia okazała się na tyle silna, by siedzieć obok niego i witać dziewczęta, które w zeszłym roku pobłogosławione zostały świętym krwawieniem. Ozdabiała je girlandami jałowca i jemioly, ponieważ fiołki jeszcze nie wyjrzały spod śniegu. Tego dnia w kościele przyozdobione dziewczęta mogły zasiąść w ławkach dla kobiet, by podkreślić swój nowy status. Ale dzień świętej Oyi nie rozluźnił łona Tallii. Jej piersi nie nabrzmiały jak u kobiet w ciąży. Święta krew nie plamiła jej ud, gdy księżyc rósł i mała. Kilka pokurczonych mądrych z wioski zbadało Tallię i orzekło, że z powodu choroby jej łono uschło i potrzebowała czasu, by znów stać się płodną, czasu oraz różnych naparów uwarzonych z jasnoty i chmielu albo nalewki z naparstnicy, która wszystkie kobiety chroni przed chorobami łona. Pod wpływem czasu i diety pełnej mięsa i fasoli, powiedziały, jej łono znów nabrzmieje i gotowe będzie, by nosić dziecko. Ale ostrzegły go, że do tego czasu nie mogą wstąpić w łożę małżeńskie.

Był z nią ostrożny, ale dał jasno do zrozumienia, że kiedy odzyska zdrowie, spłodzą, muszą spłodzić dziecko. Ona jedynie wpatrywała się w niego tymi wielkimi, delikatnymi oczami.

Jak na ironię Furia zaczęła się grzać. Zamknął Smutka w psiarni i pozwolił jej biegać ze Strachem, ale się nie uspokoiła. Jak z Tallią, musiał po prostu poczekać.

Fevrua był, co rozumiałe, znany jako ciężki miesiąc, zimowe zapasy się wyczerpały, a wiosna jeszcze nie przyszła. Ale pod rządami Lavastine'a dla jego ludzi zawsze wystarczało pożywienia, a Alain dobrze sobie radził, zostawiając kasztelance Dhuodzie sprawy, na których znała się lepiej, sam zaś rozsądzał spory: kamienny mur upadł i dwaj rolnicy spierali się o dokładny przebieg miedzy; dziewczyna zaszła w ciążę z chłopcem i chcieli się pobrać, ale jego rodzice już naraili mu dobrą partię i chcieli, żeby rodzina ciężarnej albo odstąpiła od swych roszczeń, albo zapłaciła odpowiedni posag; robotnik zamordował jednego ze swych towarzyszy, ale obaj byli pijani; pleśń zniszczyła cenny zapas zboża i rolnik oskarżał swą sąsiadkę o

rzucenie czaru na ziarno, ponieważ była na niego wściekła, że nie pozwolił jej synowi ożenić się ze swoją córką, choć z tego syna byleco i truteń. Zimowe klótnie, powtarzała ciotka Bel, zawsze brały się z nudy, były głupie i pozbawione godności. Starał się, jak mógł, by je rozsądzić, używając zdrowego rozsądku i obiektywizmu.

W dzień świętej Joanny Posłanniczki Tallia odzyskała siły na tyle, by przejść się wśród biednych, zamieszkujących szalasy w lesie na zachód od Lavas. Wielu przywędrowało na północ z Salii, w nadziei, że znajdą schronienie. Każda zgnębiona rodzina opowiadała inną historię: suszy, głodu, walk między lordami, najazdów Eików i po prawdzie nikt z nich nie wiedział, co się działo, tyle tylko, że w Salii panowało cierpienie, nie było pracy i jedzenia.

Nie starczało dla wszystkich. Nigdy nie starczy.

Często płakał w nocy, ujrzawszy kolejne maleńkie ciało. To było takie straszne. Takie niesprawiedliwe.

Często odkładał bochen chleba z własnego talerza, niewiele, i rozdawał te bochenki późnym wieczorem, gdy zabierał psy na ostatni spacer. Ci biedacy mieli tak mało, że następnego dnia opowiadali, że jeden bochenek stał się dwudziestoma i wystarczył, by nakarmić czterdzieścioro; a potem niektórzy jego ludzie mruzczyli, usłyszawszy takie plotki, powiadając, że marnował ich jedzenie dla obcych, inni zaś odpowiadali, że jego ludzie mieli wystarczająco i oznaką szczodrego pana jest to, iż nie skąpi tego, czego nie potrzebuje.

Często modlił się przy kamiennym ciełe Lavastine'a, ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

Nadeszły Mariany i pierwszy dzień wiosny, śnieg stopniał, zakwitły fiołki, a katafalk w kościele Świętego Laurencjusza został wreszcie skończony. Wydawało się właściwe złożenie Lavastine'a na spoczynek w tak piękny dzień, kiedy wiaterek w powietrzu, niby jego chłodny sposób okazywania aprobaty, radował serce, pod niebem, które w równych częściach pokrywały wysokie, lekkie chmury i błękit, dzień ani zbyt jasny, ani zbyt ciemny.

Cały poranek zajęło im sprowadzenie ciała po schodach na saniach. Zamiast zaprzęgać konie, po prostu przywiązali mocne liny do sań i tuzin mężczyzn z ochotą zgodziło się pociągnąć ciało do kościoła. Godzinę zajęło przeciągnięcie ciała, a w kościele diakonisa śpiewała mszę na cześć męczeństwa świętej Marianny apostołki. Zgromadzeni patrzyli w milczeniu, jak robotnicy za pomocą lin i bloków, kamieni i kołowrotów holują ciało na katafalk. Później umieścili Grozę u jego stóp i Mocarza nad głową, by towarzyszyły mu po śmierci.

Potem, gdy Alain i Tallia klęczeli przed katafalkiem, diakonisa odśpiewała mszę za zmarłych i hymny. Zadzwończyły dzwony na koniec mszy i zgromadzeni podeszli, a każdy dotykał jednej ze stóp Lavastine'a, nim wyszedł z kościoła. Tallia odeszła ze służącymi, żeby dopilnować stypy przygotowywanej w kuchni.

Alainowi trudno było wyjść. Zostawienie tu Lavastine'a samego oznaczało, że był on rzeczywiście martwy.

--O Boże -- modlił się. -- Niech nie spoczywa w ciemności. Błagam Was, Pani i Panie, niech ze smutku powstanie nadzieja. -- Dotknął chłodnego czoła, twardego i gładkiego jak granit. -- Przyrzekam ci -- wyszeptał -- że dopilnuję, aby twój prawowity dziedzic został po mnie hrabią.

--Panie hrabio!

Przez chwilę nie odpowiadał, nasłuchując innego głosu. Potem przesunął palcem po białych kamiennych ustach, odwrócił się i skinął głową jednemu z giermków.

--Posłaniec, mój panie! Księżna Yolande przybywa dzisiaj z orszakiem aż czterdziestu

ludzi!

Śnieg stopniał, ale Alain wszedł w zadymkę biegających ludzi, śpiesząc się do dworu. Mógł tylko czekać: jego ludzie znali swoje zadania i pozwilił im działać bez przeszkód.

Późnym popołudniem, po nonie, w polu widzenia pojawił się orszak, piękne sztandary i wypolerowane oszczepy, jaskrawe kubraki i radosne pieśni. Przez chwilę zapomniał się, wspominając te chwile, dawno temu, kiedy po raz pierwszy ujrzał orszak szlachcica i dwór damy Sabelli. Wtedy wydawał mu się wizją zesłaną z niebios; teraz nie mógł się powstrzymać od liczenia, na ile dni zostaną, ile chleba i mięsa zjedzą, mniej, by rozdać biednym, oraz ile złego spowodują swoimi plotkami i intrygami.

Kawalkada przybyła do bram wśród śmiechu i okrzyków. Jego ludzie stali wzdłuż drogi, gapiąc się, on czekał na werandzie, gdy zachodzące słońce świeciło mu w twarz, Tallia stała u boku, a Smutek, Furia i Strach leżały posłusznie u stóp.

--Czemu macie takie ponure miny? -- zawołała księżna Yolande, gdy już zsiadła z konia i pocałowała Tallię w policzek. Była silna, dobrze odżywiona i radosna. Mimo tygodni rekonwalescencji Tallia wyglądała przy niej chudo i blado. -- Jest wiosna i powinniśmy się radować. Ach, hrabio Alainie. Popatrz, kogo spotkałam po drodze! Przywiozłam go do ciebie, żebyśmy razem mogli świętować nadejście wiosny.

U jej boku, niby krewniak, jechał lord Godfryd. Powitał Alaina z należytą grzecznością, trzymał się z dala od psów i złożył uszanowanie Tallii. Wtedy Yolande dowiedziała się już o ich całodniowej robocie i nalegała, by pokazano jej mary.

Mówiła, gdy szli.

--Chciałam przyjechać wcześniej, naprawdę, ale to dziecko urodziło się przed czasem. Dzięki Bogu, że okazał się silny, choć jest taki mały. -- Alain nie widział ani śladu niemowlęcia, które zapewne oddano pod opiekę mamce z orszaku Yolande. -- Odpoczęliśmy więc trochę w Autunie, gdzie zlełam. Byłam taka wdzięczna za modlitwy biskupiny, że nazwałam dziecko Konstanty, na jej cześć. Niestety, jest czarnowłosy jak jego ojciec. Nie szkodzi. Autun to prawdziwy labirynt plotek. Jednego dnia słyszałam jedną rzecz, a drugiego zupełnie coś innego. Henryk jest niezadowolony ze swych dzieci. Wygnał Sanglanta z dworu za sypianie z jedną ze swych Orlic, ale potem ta Orlica została ekskomunikowana i wyjęta spod prawa za czarnoksiężstwo. Wydaje się, że rzuciła zaklęcie na księcia, bo Henryk chciał zrobić bękarta następcą tronu, a ona chciała być królową. Ale Sanglant to taki kobieciarz, że zastanawiam się, czy to prawda. Raczej to on uwiódł ją, a nie na odwrót!

--Przepraszam -- wtrącił się Alain, zaskoczony tym potokiem słów. -- Jak miała na imię?

--Kto? Tymczasem król wydał Sapię za jakiegoś barbarzyńcę i wysłał ją na wschód bić dzikich. To nie wróży dobrze jej szansom na tron. Nigdy by jej nie wydał za Ungryjczyka, gdyby chciał, żeby po nim rządziła. Wysłał Theophanu na wschód do Aosty, więc może ją właśnie faworyzuje, ale ona jest taka zimnokrwista. Nigdy nie okazuje uczuć jak normalny człowiek. To krew jej matki, przysięgam. Chłopaka wysłał do Gentu na opata. I co sądzisz o tych wydarzeniach, kuzynko. Wydaje mi się, że Henryk uważa, iż żadne z jego ślubnych dzieci nie nadaje się na tron.

Tallia wzdrygnęła się i zarumieniła. Potrafiła słuchać, nie słuchając, Alain już to rozpoznawał. Gadanina Yolande opływała ją jak woda kamień, a Tallia nawet nie zdawała sobie sprawy, że to ona jest jej adresatką.

Wreszcie, spoglądając nerwowo, zapytała:

--A co z moją matką?

--Pozwolono mi zobaczyć damę Sabelłę jedynie w towarzystwie biskupiny Konstancji. --

Yolande roześmiała się gorzko. -- Z powodu win mego ojca wobec Henryka wciąż mi nie ufają. Ale ma się dobrze. Twój ojciec złożył śluby jako nowicjusz w Firsebargu. Mówią, że jest zadowolony. Twoja matka nie jest tak zadowolona, choć dobrze wie, że należy trzymać język za zębami. Opowiedziałam jej o twej wizji Naszej Świętej Matki, która jest Bogiem i Jej Błogosławionego Syna.

Tallia ożywiła się niczym pies na tropie. Była taka piękna, gdy ogarniała ją pasja. Ale gwóźdź ciążył Alainowi na szyi, największe brzemie, jakie kiedykolwiek niósł, prócz kłamstwa, które powiedział Lavastine'owi i złamania danej przysięgi przybranemu ojcu, Henriemu.

--Co powiedziała moja matka? Czy przyjęła Prawdziwe Słowo? Czy rozumie cud Jego poświęcenia i odkupienia?

Yolande wzruszyła obojętnie ramionami.

--Powiedziała, że panujący może użyć swej władzy, żeby wpłynąć na kościół.

--Och! -- Tallia spojrzała na Alaina, a potem odwróciła wzrok. Była zarumieniona; jej szczuple ręce drżały, jakby trzymała smycz podnieconego psa. -- Nie pomyślałam o tym -- rzekła cicho, po czym nagle zamknęła usta i wpatrzyła się we wrota kościoła, gdy weszli w jego cień. Poczekali w nawie, aż ich oczy przywykną do mroku. Potem, razem, poszli ku marom.

--Och! Źle zrozumiałam -- mówiła Yolande. -- Sądziłam, że powiedziałaś, że dziś został pochowany sam Lavastine. Jakie wspaniałe wykonanie! Prawie jak żywy. Przysięgam, nigdy nie widziałam niczego podobnego, nawet w kaplicy w Autunie. Mają tam kamienny posąg samego wielkiego cesarza, leżącego, prawie jak ten, ale przysięgam, wykonanie nie jest tak wspaniałe.

--To była klątwa -- wyszeptała Tallia.

--Słucham? -- powiedziała Yolande ostro, spoglądając na Alaina. Godfryd podszedł i przesunął dłonią po kamiennym ramieniu, po czym cofnął ją szybko, jakby poczuł coś niepokojącego.

--Bóg przeklął go, bo nie pozwolił mi wybudować kaplicy na cześć naszej Matki i Jej Syna -- powiedziała Tallia. -- Dlatego umarł. Ale teraz wszystko będzie inaczej.

--Owszem -- mruknęła Yolande, spoglądając na Godfryda. -- Jeśli tak postanowisz. A co z dzieckiem? Jesteś już w ciąży?

Godfryd podniósł głowę. Ogarnęła ich cisza tak głęboka, że Alain słyszał kurz opadający z dachu i myszy skrobiące w ścianach. Tallia wzięła oddech, by przemówić. Ostatnia słoneczna włócznia, wpadająca przez zachodnie okno, kładła się ścieżką na kamiennej podłodze, drżąca, krótka niczym ludzkie życie, jeden przelotny wstrząs anielskich skrzydeł.

Faluje, blada różowa zasłona w powietrzu, światło drżące na niebie, znikające. Czy to ślad anielskich skrzydeł? Nie. On wie lepiej. Mądre Matki mówią, że zasłona światła widywana czasami na zimowym niebie to wiatr od słońca, przywiany ku ziemi. Podejrzewa, że mają rację, widzą znacznie dalej niż on. Ale w taką noc jak ta zastanawia się, czy to wiatr, czy też rodzaj wody, jakaś głęboka, nie wyjaśniona fala, która przyplywa i odpływa, wznosi się i opada pomiędzy ziemią i niebem. Stoi tutaj, schwytyany w prąd, czekając.

Ziemia wokół niego oddycha powoli, ciepło wznosi się ku lodowatemu zimowemu niebu, gdy skały stygną. Czeką w kraterze, kamiennej misie w wysokim fjallu. Czekają sam, ponieważ on

jedyny zostałznaczony zapachem StarejMatki Hakonin. Ponieważ pięć pór roku temu pokonał wojowników Hakonin, ponieważ zdobył imię, zostając wodzem klanu Rikin, ponieważ przepędził rabusiów Jatharin, którzy gnębili najdalej wysunięte farmy Hakoninów, ponieważ, przede wszystkim, został wybrany przez StarąMatkę Hakonin, by mógł wstąpić do groty gniazda głęboko w skale. Ścieżki ukryte są przed wszystkimi prócz SzybkichCórek, pułapki i zapadnie czekają na lekkomyślnych, którzy szukają tego, co zabronione, tajemnic gniazd.

Szedł przez kamienne sale i w fosforyzującym blasku tuneli, podążając za słabym pbrzękiwaniem złotej spódniczki SzybkiejCórki, która go prowadziła. Przeprowadziła go tutaj stopniami wykutymi w skale, do tej kamiennej misy otwartej na niebo, smaganej wiatrem z fjallu. Tutaj czeka.

Najpierw odczuwa to jako łaskotanie na karku, potem przeszywający ból u podstawy kręgosłupa. Nagle zapach wybucha ostry jak krawędź obsydianu.

MłodaMatka Hakonin złożyła jaja.

Zapach uderza go silnie. Jego brzuch rozrywa ból. Zostaje rozdarty, wybebeszony. Wszystkie jego zmysły zatracają się w bólu. Niby za pomocą igły zostaje wszyta w niego nić, wpleciona tak, że nie ma końca tego, czym był kiedyś i początku tego, czym jest teraz. Kiedy nadchodzi przyptyw, plaża jest zatopiona; kiedy buklak zostaje przepelniony, wybucha i woda się przelewa, gdyż nie pomieści w sobie więcej, niż to możliwe; kiedy ogień napotyka suche drewno, szaleje.

To go trzyma. Zatraca się w tym, w masie uczuć. Zapach świeżych gniazd, dopiero co wydalonych, kluje go niczym deszcz sypiących się strzał, a każda przeszywa go do kości.

Biedny Alain. Dla niego każdy dzień jest taki jak ten,znaczony bezlitosną i bezdenną otchłanią emocji.

MłodaMatka Hakonin wynurza się z cienia, wdzięczny masywny kształt, niby najpiękniejszy granit. Patrzy na niego spokojnie, a w jej wzroku waży się wyrok. Za nią świeże gniazda błyszczą w płytkich zagłębieniach, mnóstwo maleńkich kul, których bezbarwne membrany skąpane są w różowoczerwonym świetle niebiańskiej zasłony tańczącej w górze, wiatru od słońca. Ich niezwykle zapach splata się z nicią wrośniętą w jego ciało, aby uczynić z niego część materii. W jego kroczu nabrzmiewają i puchną puste miejsca, gotowe, by wybuchnąć.

Nie należy już do siebie. Na tę noc należy do Matek Hakonin i posłuży ich celowi, którym jest życie plemienia. Zatacza się naprzód, nienawidząc tego, ujawniając tym, że ostatnie racjonalne myśli zostały wymazane przez nagi, czerwony głód czegoś, dla czego nie zna nazwy w swym własnym języku, tylko w języku Alaina, a brzmi ona „pożądanie”.

Promień słońca zadrżał i zniknął, gdy słońce zaszło. Poczul, jak ona oddycha obok, delikatny wstrząs, gdy wypuszczała powietrze, którego nabrała chwilę wcześniej; wieki wcześniej. Jej palce otarły się o jego; zadrżała i cofnęła się, niby motyl, taka piękna, taka delikatna. Wtedy sobie wszystko przypomniał. Pożądanie, jakie ku niej zawsze czuł, zalało go niczym fala brzeg. Była teraz jeszcze piękniejsza, z bledziutko zaróżowionymi policzkami, z włosami czystymi i ślicznymi jak płowe snopki zboża w letnim słońcu. Szyję miała wdzięczną niby labędź. Przybrała na wadze tyle, by jej piersi odznaczały się wyraźnie przez tunikę, a biodra rysowały się krągło pod materia, miejsce dla kochających dłoni.

Nie spojrzała na niego, ale zaczerwieniła się rumieńcem kobiety, która po raz pierwszy widzi ukochanego w schronieniu małżeńskiej łóżnicy. Czyż nie było oczywiste, że go kochała, jego, który bez wątplenia nie był jej wart, wnuczki królowych i królów?

Wreszcie odezwała się najmocniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszał:

--Bóg wysłuchała mych modlitw. Jestem dziewicą. Nie jestem w ciąży.

Godfryd wydał ostre, zadowolone westchnienie, zwracając się do Yolande:

--Przewidziałem to. Bóg uczynili go bezpłodnym! To znak. Gdyby był prawowitym dziedzicem, już by począł dziecko.

O Boże. Zaślepiło go własne pożądanie. Tallia spoglądała na niego wyzywająco. Wreszcie wyjąkał:

--Wyraź się jasno, lordzie Godfrydzie.

--Uważam -- rzekł Godfryd, rozpalając się -- że okpiłeś mego kuzyna Lavastine'a. Jesteś oszustem. Wiedziałem to od początku. Wysłałem już wieść do króla Henryka, prosząc go, by rozsądził sprawę.

--Król Henryk już rozsądził tę sprawę -- odparł Alain. -- Sam potwierdził sprawę mego ojca. Ja nie prosiłem, by uznano mnie za dziedzica mego ojca. Lavastine sam postawił mnie przed królem, zanim się zorientowałem, co zamierzał zrobić!

--Teraz tak mówisz. Ale wszyscy wiedzą, że Lavastine był wtedy zaczarowany. Ja cały czas byłem lojalny wobec króla Henryka. Ale ty spałeś z tą Orlicą, która została wyjęta spod prawa i ekskomunikowana za czary. Dales jej prezenty. Kto może zaręczyć, że nie zaczarowałeś mego kuzyna Lavastine'a? Że nie przekonałeś go o czymś, co nie było prawdą? Dostał ataku, to wszystko, ataku wywołanego czarami. Dlatego ustanowił cię swym dziedzicem.

Księżna Yolande patrzyła na niego oskarżającym i chytrym wzrokiem. Czyż jej własny ojciec nie wyruszył z Sabellą przeciw Henrykowi? Kto wiedział, względem kogo była lojalna? Tallia posiadała prawo do tronu. Godfryd miał żonę z potężnego rodu i córeczkę, którą do zeszłej wiosny miał nadzieję uczynić dziedziczką Lavas. Yolande zaś miała chłopca, drugie dziecko, który, jeśli przeżyje, będzie musiał się ożenić z potężną szlachcianką.

O Boże! Nic dziwnego, że Lavastine'a irytował dwór. Intryga była pałacem pełnym spirali, węzłów i zakrętów, a gdy już do niego wszedłeś, nie mogłeś znaleźć wyjścia. Tam umrzesz z głodu, a drapieżcy cię pożrą, twe ciało, kości i krew.

Alain zwrócił się ku Tallii, ale ona jedynie przesunęła dłońmi po dziewiczym łonie. Nawet nie spojrziała mu w oczy. I to, rzecz jasna, najbardziej bolało. Równie dobrze mogła jego dłonie rozorać gwoździem. Ból nie byłby tak wielki jak teraz.

Gwizdnął i towarzysze księżnej natychmiast się rozbiegli, bo ogary wpadły, warcząc, i otoczyły go. Tallia zaczęła płakać, Godfryd cofnął się o pięć kroków i położył dłoń na mieczu. Księżna Yolande wezwała swych strażników, ale ci stanęli przy drzwiach z wahaniem, lękając się podejść bliżej.

--Wobec tego co z ogarami? -- zapytał Alain. -- Jeśli ty lub twoja córka jesteście prawdziwymi dziedzicami, to dlaczego słuchają mnie?

--Przez twoje czary! -- syknął Godfryd. -- To nie mój dziadek został przeklęty ogarami. Był tylko młodszym bratem Charlesa Lavastine'a, który został hrabią po śmierci swej matki. O Boże, nie znasz tej opowieści? Hrabina Laurencja miała tylko jedno dziecko, chłopca, którego nazwała Charles Lavastine. Nigdy się nie lubili. Każdego dnia modliła się o córkę, która wyprzedzi go w sukcesji, ale nie zachodziła w ciążę, dopóki Charles Lavastine nie skończył osiemnastu lat. Wszyscy byli zaskoczeni, że czterdziestoletnia kobieta nosi dziecko. Jej mąż zginął na polowaniu, nim jeszcze urodziła, a ona sama umarła w połogu. Niektórzy mówią, że

umarła z rozczarowania, iż urodziła kolejnego chłopca, a nie dziewczynkę, której pragnęła. Niektórzy powiadają, że Charles Lavastine zamordował swą matkę, aby mieć pewność, że już nie zajdzie w ciążę. Ale to on był teraz hrabią i na niego spadł obowiązek nadania dziecku imienia. Nazwał go Godfryd -- to był mój dziad. Założył klasztor w St. Thierry i przemierzał okolicę w poszukiwaniu sierot, które zostałyby zakonnkami, aby modliły się za duszę jego matki. Tam też pochował swą matkę. Ale tuż po jej śmierci do Lavas przybyły ogary, a on zaczął z nimi polować i wszędzie chodzić, jakby były jego strażą przyboczną. Nikt nie wie skąd, jak i dlaczego przybyły. Ale wszyscy mówili, że to czary i że zapłacił za nie czymś cennym. A ogary słuchały zawsze tylko jego, potem jego syna, Charlesa młodszego i jego wnuka, Lavastine'a młodszego.

--A teraz słuchają mnie -- odparł Alain cicho. O Panie i Pani! Czuł wściekłość, a jednak jego gniew był przytłumiony, niby rozżarzone węgle pod warstwą popiołu. Godfryd cały czas skrywał swe zamiary. Czy Lavastine go podejrzewał? Bez wątplenia. Dlatego chciał, by Godfryd pojawił się przy jego łożu śmierci i złożył przysięgę, ale Godfryd nie przyjechał.

--Ale jeśli to cały czas były czary, równie dobrze mogłeś zczarować psy. Nie masz innego dowodu, że on był twoim ojcem. Wezwę wszystkich w tym hrabstwie, by przyszli i zeznali, co widzieli albo czego nie widzieli osiemnaście lat temu, kiedy służąca zległa, rodząc dziecko, które ponoć było bękartem Lavastine'a. Kobieta może kłamać. Albo ty mogłeś kłamać, usłyszawszy tę historię, i udawałeś, że jesteś tym, kim nie byłeś. Na Boga! -- Godfryd odwrócił się do księżnej Yolande, jakby ją błagał. -- Jak możemy ufać świadectwu tych ogarów? To są stwory Nieprzyjaciela. Wszyscy wiedzą, że właśnie te psy zabiły żonę i córkę mego kuzyna, rozerwały je na strzępy.

Tallia jęknęła i przytuliła się do Yolande, której oczy rozszerzyły się z ciekawości.

--Jeśli to prawda -- rzekła Yolande -- to jak Lavastine mógł potem znosić takie bestie w swym orszaku?

--Okłamała go -- odparł Alain ochryple. -- Dziecko nie było Lavastine'a, tylko innego mężczyzny.

--Tak powiedział -- odparował Godfryd. -- Tak mówił, by zmazać swą winę. Nikt o tym nie rozmawiał, nikt go nie oskarżył, bo się go bali.

Tego było za wiele.

--Jego ludzie mu ufali, ponieważ był dobrym panem i dbał o swoich!

--A kto teraz o nich zadba? -- Godfryd znów zwrócił się do księżnej Yolande. -- Ogary są przekleństwem, nie darem. Ale to mój stryjeczny dziadek Charles Lavastine został przeklęty, a nie mój dziadek. Klątwa przeszła ze starszego Charlesa na młodszego, a potem na Lavastine'a, który został osłabiony przez magię i omamiony przez tego chłopaka. Ale moja linia wolna jest od klątwy, a moja córka zdrowa. Ona została ogłoszona dziedziczką przez Lavastine'a w dniu, w którym przyszła na świat. Ona jest prawowitą panią tego hrabstwa, nie ten... ten... -- Nie spojrzął na Alaina, tylko skinął ku niemu ręką, jak ku zwierzęciu, które ma iść na rzeź. -- Ten prostak, który nas wszystkich okrywał hańbą, udając, że jest szlachcicem.

Strach skoczył.

--Spokój! -- krzyknął Alain, ale to nie powstrzymało psa. Strach przewrócił Godfryda, rozciągnął go na posadzce i odgryzłby mu twarz, gdyby Alain nie przyskoczył, nie złapał go za obroź i nie odciągnął.

--Jeśli jest ktoś prócz mnie, komu jesteś winien posłuszeństwo -- rzekł Alain wściekle do wyrwającego się psa -- to idź teraz do niego! -- Puścił obrożę Stracha.

Strach rzucił się ku drzwiom. Strażnicy uskoczyli mu z drogi, szaleńczo klując psa oszczepami. Yolande wykrzyczała rozkaz i ustawili się, choć spóźnieni, by chronić Yolande, Tallię i sponiewieranego Godfryda. Na zewnątrz orszak rozbiegł się z krzykiem.

Furia zawarczała, ale nie drgnęła. Smutek zrobił dwa kroki i stanął, drżąc, gdy oszczepy przesunęły się po jego wielkim łbie.

--Spokój -- rzekł Alain ciszej, choć głos mu drżał. Dwa ogary usiadły posłusznie.

Godfryd wstał, otrzepując się.

--Widzisz -- powiedział do Yolande. -- Ogar pobiegł. -- Nie patrzył już na Alaina; odwrócił się do niego plecami.

--Król musi rozsądzić sprawę, którą mi przedstawiłeś -- stwierdziła Yolande. Chodź, kuzynko -- powiedziała do Tallii, która była blada jak śmierć i nieruchoma jak trup. -- Musisz się położyć. Bądź pewna, że będę cię chronić, dopóki nie zostanie wydany wyrok.

Wyszli razem, silni wielością. Tallia nawet raz się nie odwróciła.

W kościele było cicho. Martwy Lavastine leżał nieruchomo, zaiste jak posąg. Czy jego dusza rozpaczała, słysząc, jak Godfryd niszczy jego nadzieje? Czy też spoczywał już w pokoju w Komnacie Światła?

--O Boże. -- Furia wsadziła mu nos w dłoń i polizowała palce. Wzdrygnął się, przypominając sobie, gdzie się znajdował. Zostało dwóch jego giermków, niespokojnych i zakłopotanych. Smutek zaskomlał cicho i powędrował ku drzwiom, gotów na wieczorny spacer. Alain wypuścił psy. Część jego służących czekała na zewnątrz, inni odeszli z księżną.

Szukał Stracha we wszystkich miejscach, w których pies bywał: w psiarni, w sypialni, w pustej komnacie Lavastine'a, gdzie został tylko piżmowy zapach kamienia i ślad sań, których użyli, żeby przeciągnąć skamieniałe ciało po podłodze. Ale Strach zniknął.

Rankiem znów szukał, ale nie znalazł psa, choć pomagały mu Smutek i Furia. Potem poszedł zjeść południowy posiłek z księżną Yolande w komnatach jej przydzielonych.

--Gdzie jest moja żona? -- zapytał, ponieważ Tallia nie zjawiała się na posiłku.

--Nie czuje się dobrze -- odparła Yolande gładko. -- Ale nie lękaj się o jej zdrowie, hrabio Alainie. Odpoczywa pod opieką mego lekarza.

--Chciałbym ją zobaczyć, księżna pani -- rzekł Alain uparcie.

--Niestety. Śpi i sądzę, że lepiej jej nie przeszkadzać, prawda? Dam ci znać, kiedy się zbudzi.

Ale nie dała mu znać. Odwiedził jej komnaty osiem razy tego dnia i Tallią wciąż była niedysponowana, odpoczywała, spała lub znajdowała się pod opieką lekarza, któremu nie można było przeszkadzać. Czy Yolande zawarła pakt z Godfrydem? Czy cały czas planowali to porwanie? -- bo jemu wydawało się, że to porwanie. Gdyby tylko mógł porozmawiać z Tallią, na pewno by do niego wróciła. Ale nie znał zasad, nie mógł wezwać swych żołnierzy, żeby zaatakowali księżną i jej orszak. Tak naprawdę nie wiedział, co począć.

Księżna Yolande wyjechała następnego dnia, a Tallia razem z nią, ukryta na wozie zasłoniętym płótnem wyszytym w ogiery, znak potęgi Varingii. Godfryd pojechał na wschód, do posiadłości swej żony, ale zostawił swój sztandar na znak roszczeń.

--Przyjedzie król Henryk. -- Była to raczej pogrożka niż oświadczenie.

Hrabia Lavas udzielał audiencji i jeździł po swych ziemiach, omijając Osnę. Wieści szybko się rozchodzą. Kiedy jechał przez pola i lasy, widział, jak ludzie szepczą i wskazują go palcami. Kilku zbyt szybko klękało, a inni byli niechętnie ostrożni. I choć większość z nich pozostała szczerze oddana, nie był dziedzicem i hrabią dość długo, by wiedzieć, co myślą, co on by myślał: kogo wybierze król? Jaki wyda wyrok? Jak mamy się przygotować na to, co nadejdzie?

Czekali i patrzyli. Otworzyły się otchłanie. Zasiano ziarno zwątpienia. Wystarczyło, tego się właśnie obawiał Lavastine.

Strach nigdy nie wrócił.

3.

--Ruch jest podstawową przyczyną zmiany -- powiedział Severus swym suchym aroganckim tonem. -- A niższe sfery zawiadywane są prawami niebieskiego ruchu. Moc emanuje z eteru, żywiołu najbliższego Bogu i dzięki temu nie skażonego dotknięciem Nieprzyjaciela. -- Liath nie widziała wyrazu jego twarzy, ale mogła sobie wyobrazić, słysząc jego ton. Nalegał, by zawieszano między nimi koc, gdy ją uczył, aby nie był zmuszony na nią patrzeć. -- To promieniowanie z eteru wpływa na wszystkie rzeczy. W ruchu kryje się harmonia, ale w ruchu kryje się też moc. Kiedy ciała niebieskie się poruszają, tkają z eteru nici mocy w zależności od kąta i wpływu wzajemnych relacji.

W tej chwili jedynym wpływem, na jakim mogła skoncentrować się Liath, było napieranie płodu na jej pęcherz, ale nie odważyła się przerwać Severusowi. Kiedyś zrugał ją za prośbę, by pozwolił jej się wysuszać w środku lekcji i dwa tygodnie odmawiał uczenia jej, dopóki Anne go w końcu nie ułagodziła.

--Ptolomaia rozważa pozycje planet i gwiazd na niebie według ich ruchu. -- W takich chwilach Anne lub Meriam nakazywały, by Liath wyrecytowała ustępy, które sama przeczytała w *Syntaxis* albo w *Ustawieniu świata* al-Haythama, ale Severus nigdy nie próbował się przekonać, ile Liath rozumiała. Jak eter, po prostu emanował.

--Pisze: „Ciała niebieskie są najpotężniejsze w zenicie”, i odkryliśmy także, że ich moc wzrasta wzdłuż kątów i linii, kiedy leżą w nadirze, w najgłębszej opozycji do zenitu. Ale ona ciągnie tak: „Oprócz tego znajdują się w drugiej najpotężniejszej pozycji, kiedy leżą na horyzoncie lub tuż pod nim, wschodząc”. Zachodzące gwiazdy i planety stwarzają we wzorze inne wpływy, które mogą zostać użyte lub zablokowane w zależności od twego celu, ale nigdy nie należy ich lekceważyć. Trzeba brać pod uwagę wszystkie ruchy. Trzeba widzieć całość, nie części. W ten sposób matematyk może zrozumieć i użyć mocy właściwej niebiosom. Stąd pozycja i ruch. Niech będą twoim przewodnikiem.

Płód się poruszył, naciskając na jej żołądek. Liath stłumiła beknięcie. Sala pachniała świeżymi trocinami, które zostały rankiem rozrzucone po podłodze. Severus nigdy nie pozwalał im siedzieć na zewnątrz, gdy uczył, ponieważ, jak mówił, świat natury rozpraszał ją -- bez wątplenia to kolejny znak jej degeneracji. Wiaterek owiał jej policzek, wpadając przez otwarte drzwi. Kolejny piękny dzień. W oddali słyszała równe uderzenia topora, czasami milknące. Sanglant był na zboczu, na słońcu, świeżym powietrzu i wietrze. Mógł siusiać, kiedy tylko chciał. W takich chwilach mu zazdrościła.

Severus ciągnął:

--Dobrze. Pomińmy zagadnienie zamiany mocy zależnie od odległości i rozważmy w zamian ciała niebieskie. Większość dawnych uczonych zgadza się, że gwiazdy są upadłymi aniołami, wyrzuconymi z Komnaty Światła. Ale jaka jest relacja między nimi a demonami, które zamieszkują wyższe sfery? Czy demony są niewolnikami ich ruchu i woli, czy też stworzeniami o wolnej woli, jak my?

Liath poprawiła się na krześle, mając nadzieję, że prawie skończył. Miał zwyczaj mieszania teologii z astronomią, a teologia ją nudziła, wołała obliczać poruszenia planet lub obserwować świat, niż zastanawiać się nad wolą Boga czy biedzić nad jakimś niejasnym punktem zapisanym w Świętych Wersach.

--I tak jesteście upadli -- ciągnął z westchnieniem bardziej obrzydzenia niż smutku. -- Oto

tragedia ludzkości: nasze czyste dusze spadły przez sfery i zamieszkały w plugawym ciełe, tu, w okrutnym i zmiennym świecie stworzenia. Gdybyśmy tylko mogli unieść się ku Bogu...

Urwał. Usłyszała czyste niczym odgłos dzwonu, szczekanie psa. Ale nie był to pies Sanglanta. Potem dobiegł ją wrzask.

Severus za kocem poruszył się. Stęknęła, podnosząc się, i podreptała za nim. Odrzuciła koc i ostrożnie przestąpiła próg, mrugając, gdy wyszła na słońce.

Na początku trudno było zrozumieć to, co się działo. Skręciła za róg i tam, niewidoczna, ukucnęła, by się wysiusiać przy wtórze wrzasków, krzyków i warknięć. Podniosła się i wyszła z za rogu, gdy wielki czarny pies skoczył ku siostrze Zoe. Liath złapała patyk, ale gdy do niej dotarła, nadbiegł Heribert, wymachując bez skutku, a Zoe uciekła do wieży, gdzie płakała, bezpieczna za drzwiami, pocieszana przez siostrę Meriam. Siostra Venia wycofała się wraz z Severusem, ale teraz wykrzyknęła ostrzeżenie. Pies skoczył ku Heribertowi i przewrócił go, a Liath trzasnęła go patykiem po zadzie. Obrócił się, warcząc, ale na jej widok i zapach zaskomlał i odczołgał się.

Usłyszała wycie. Chwilę później nadbiegł Sanglant, a przed nim gnał pies Eików. Czarny ogar rzucił się, a w powietrzu zawisł zapach krwi i śmierci, gdy psy zbliżały się do siebie, a Sanglant biegł, by dotrzeć do nich, nim rozerwą sobie gardła.

--Co to za hałas? -- zapytała Anne, przepychając się obok Zoe i Meriam i idąc ku Heribertowi, który uciekał do tyłu, jak krab, by zejść zwierzętom z drogi. -- Skąd się wzięło to stworzenie?

Jakby ciągnięty na sznurku, czarny ogar zatrzymał się, obrócił i podbiegł, żeby usiąść u stóp Anne. Tam został, ziejąc. Sanglant gwizdnął na swojego psa, który trzymał się u jego nóg, wciąż warcząc, gdy jego pan podszedł do Liath. Poglaskał ją po ramieniu, chcąc upewnić się, czy wszystko w porządku. Oddychała szybko, nie była pewna, z powodu szybkiego ruchu czy ze strachu, ale tylko pokręciła głową, pokazując, że nic jej nie jest. Podszedł, by pomóc Heribertowi podnieść się z ziemi i siostra Venia pośpieszyła otrzepać młodego kleryka, jakby był trzylatkiem. Wszyscy gapili się na czarnego ogara, który siedział posłusznie u stóp Anne.

--Co to znaczy? -- zapytała Anne. Uniosła uszy psa, szukając kleszczy, otworzyła mu mordę, by zbadać zęby i sprawdziła, czy nie ma cierni i pęcherzy na łapach. -- Skąd on przybył? Zoe nie wyszła z wieży, ale odpowiedziała zdyszczanym głosem:

--Wybiegł z kamiennego kręgu. Pogonił kozy, a potem ścigał mnie. Resztę widziałas.

--Nie widzę powodu, aby ta sprawa odrywała was dłużej od pracy. -- Anne strzeliła palcami na psa. -- Chodź. -- Poszedł za nią pokornie do jednej z szop, gdzie kazała mu się położyć. Przywiązała go tam i zostawiła, każąc służącym przynieść mu wody. -- Trzeba będzie go nakarmić -- mruknęła.

Podszedł do niej Severus, trzymając się z dala od psa i zaczął mówić cicho, wyłączając innych z konwersacji. Sanglant wrócił do Liath i spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

--Mógł ci zrobić krzywdę -- powiedział.

--Ale nie zrobił, a wyglądał, jakby miał wyrwać Heribertowi twarz. Nikomu nie stała się krzywdą. -- Złapała go za łokieć i przyciągnęła bliżej. -- Ale czy on nie wygląda zupełnie jak jeden z ogarów Lavastine'a?

--Owszem. -- Wziął wdech. -- I pachnie jak jeden z ogarów Lavastine'a.

Przez długą chwilę milczał, nasłuchując, a ona nic nie mówiła, patrząc na niego. Przytył,

pozbył się przerażonego wyrazu twarzy, który prześladował go po Gencie; tunika wreszcie na niego pasowała bez żadnych zapasów i zakładek materiału na zbyt chudym ciele. Był przystojny nie dlatego, że miał ładną twarz, a dlatego, że był dzielny i pełen życia, taki jakim ujrzała go po raz pierwszy przed katastrofą w Gencie. Westchnęła radośnie i przytuliła się do niego. Nie odrywając wzroku od Anne i Severusa, przycisnął dłoń do jej brzucha i płód poruszył się, jakby w odpowiedzi, dziecko i ojciec porozumiewali się w jakiś niezwykle sposób ruchem i dotykiem.

--Mówią po dariyańsku -- rzekł wreszcie z obrzydzeniem. -- A ja rozumiem tylko jedno słowo na dziesięć. To coś o psie, przysięgam, zupełnie jakby go rozpoznali albo wiedzieli, dlaczego przybiegl. Ale dlaczego mówią o cesarzu Tailleferze?

--Cicho -- powiedziała, spoglądając ku reszcie. Meriam i Zoe wróciły do wieży, a siostra Venia nadal cudowała nad Heribertem, który, jak się wydawało desperacko pragnął uwolnić się od jej zabiegów. Anne i Severus pozostawali obojętni, pogrążeni w debacie. Służący kręcili się wokół Anne, jasne kształty wijące się na wietrze. Wieczna towarzyszka Liath, wodna nimfa, przybliżyła się, by otrzeć się o Sanglanta. Liath na nią syknęła i stworzenie szybko odleciało. -- Chodź -- powtórzyła Liath. -- Zobaczymy, co nam się uda dojrzeć.

Nikt ich chyba nie zauważył, gdy się oddalali od budynków: nowego drewnianego dworu, starej kamiennej wieży, pół tuzina szop i szalasów. Minęli cuchnące wygodki, przemierzyli sad, przeszli przez łąkę i obok stawu. Za stawem ścieżka przecinała las i docierała do polanki z jednej strony ograniczonej stromym zboczem. Tam kończyła się dolina, zablokowana stosem skał.

Na polance stała zapomniana szopa. Przypominała raczej stare schronisko, od dawna nie używane. Ale podłogę miała wystarczająco mocną; ona i Sanglant wypróbowali ją kilka razy, zanim stała się zbyt ciężarna, żeby mieć na cokolwiek ochotę. Było to jedno z niewielu miejsc, w którym mogli być sami, choć po prawdzie przy ciągłej obecności służących nigdy nie byli sami. Nadal jednak lubili tu przychodzić, bo nikt z magów się tu nie zapuszczał.

Krąg kamieni pod zapadniętą strzechą był niegdyś paleniskiem i ukucnęła tam, szeroko rozstawiając kolana, aby pomieścić brzuch. Usiadł obok niej ze skrzyżowanymi nogami, mając ją za plecami. Wodna nimfa prześlizgnęła się wśród belek i owinęła wokół jednej, spoglądając na nich nerwowo. Nie poszedł za nimi żaden inny służący; za bardzo zajmowało ich zamieszanie w dole.

Sanglant złożył tu zapas drewna na opał i teraz z chrustu i gałązek ułożyła na prymitywnym palenisku mały stosik. A potem wezwała ogień. Najpierw świadoma była służącej uciekającej na bezpieczną odległość. Sanglant spojrział w górę, śledząc jej szybkie, płynne ruchy.

Liath dotknęła jego dłoni.

--Spójrz. -- Powtarzała to za każdym razem, choć nie przynosiło efektów. Splotła portal z płomieni i spojrziała przez niego, szukając... -- Hrabiego Lavastine'a tam nie ma -- mruknęła. -- Nie mogę go znaleźć.

Ogień zamigotał, potem skoczył wyżej, rzucając cienie na wąską jaskinię, która otworzyła się

w nawę kościoła, gdzie klęczy młody mężczyzna, modląc się przy kamiennym katafalku. Ma schyloną głowę, a włosy mu opadają i zakrywają twarz, ale natychmiast go rozpoznaje. Poznałaby go wszędzie nawet bez dwóch ogarów siedzących obok, jego wiernych towarzyszy.

--Alain -- szepcze, gdy żar parzy jej twarz, a on przerywa modlitwę, jakby usłyszał echo jej głosu w swym sercu. Podnosi wzrok, ale tylko po to, by dostrzec służącego wnoszącego zapaloną świecę. Niespokojne światło pada na katafalk i tam wreszcie widzi hrabiego Lavastine'a, spoczywającego w ciszy, dopóki nie uświadamia sobie, że to wcale nie on, choć mógłby to być on, bo podobizna jest tak zaskakująco pełna życia. Przez chwilę czuje głębokie zadziwienie, podziw dla nie znanego rzemieślnika, który wykuł ten kamienny pomnik; potem, dziwne, czuje smutek, jak za krewniakiem.

--Nie żyje -- mówi.

Ale słowa szarpią nią i wpada przez drugi portal, znajomy, który przyciąga ją zawsze ku sobie niczym pożądanie. Przez płonący kamień patrzy na pustą dolinę i umierające drzewa. Na piasku leży porzucone lazururowe pióro. Czarownik Aoi zniknął.

--Liath! -- powiedział ostro, trzymając ją za nadgarstek i odciągając.

Twarz ją paliła i przez chwilę nie mogła mówić, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest.

--Cicho -- powiedział. -- Płaczesz.

Przypomniała go sobie, kim był, kim był dla niej i przez chwilę po prostu przytuliła twarz do jego piersi i szlochała. Ale było to takie niewygodne: jej duży brzuch zawsze stawał na przeszkodzie.

--O Boże -- mruknęła, na wpół chichocząc. -- Będę zadowolona, gdy już wypchnę z siebie to dziecko!

Pocałował ją w czoło i puścił.

--Co zobaczyłaś?

--Nie widziałaś? -- zapytała jak zawsze, niezależnie od tego, ile razy próbowali. -- Myślałam, że krew twojej matki uwrażliwiła cię na magię.

--Może i tak -- odparł z krzywym uśmiechem. -- Ale nie umożliwia mi widzenia przez ogień niczego poza cieniami. Widziałaś Lavastine'a?

--Nie żyje -- odparła, a Sanglant powtórzył to z jękiem rozpaczony. -- Lord Alain został hrabią. Ale miał ze sobą tylko dwa ogary. Może reszta była w psiarni.

--O Boże. Powinniśmy byli za nim pojechać. Jestem pewien, że zabiła go klątwa Krwawego Serca.

--Klątwa przeznaczona dla mnie -- mruknęła.

--Spokojnie, kochana. Co się stało, już się nie odstanie. To była wola Boża albo wypadek, ale nie można tego cofnąć.

--Nie -- zgodziła się, ocierając łzy z policzków. -- Nie można tego cofnąć. On nie żyje. Widziałam Alaina modlącego się przy jego katafalku. Aj! -- stęknęła, czując ból w zdrętwiałych nogach, i wstała. Sanglant podszedł z nią do zbocza i przesunęła delikatnie dłonią po ziarnistej skale, gdy szli. Trawa sięgała aż do podnóża zbocza i tam nagle przekształcała się w glazy, przyczajone niczym potwory zaludniające polankę. Dziwne, jakby zostały tu usadowione, stłoczone, a jednak żaden z nich nie upadł dalej, by potoczyć się w trawę. Jakby niewidzialna ręka zatrzymała je tutaj, na skraju polany. Płatki śniegu wirowały w powietrzu i topniały na jej policzkach. Czowała zimę, ale ta nie mogła jej dotknąć.

--Jestem pewien, że to jeden z ogarów Lavastine'a -- rzekł w końcu Sanglant. Zlizął płatek śniegu z palca. -- Znam ich zapach.

Śnieg wirował wokół nich, roztopiając się w strumyku, który wypływał z kamieni u ich stóp,

oprószał stokrotki, przebiśniegi i fiołki, a potem topniał na trawie, znikając jak lzy dziecka, które dostało nową zabawkę. Za zboczem i skalną ścianą góry panowała zima, oni zaś stali tu w wiecznej wiosnie.

--Ale jeśli to prawda, to jak się tu dostał? -- zapytała. -- Dlaczego przybył?

Sanglant nic nie powiedział, tylko przesunął palcem po szyi, gdzie niegdyś nosił złoty torkwes królewskiego rodu.

Śniła.

Złote koło lśniło w słońcu, obracając się. Pomarszczona dłoń drapała skobel drzwi zrobionych z powiązanych gałęzi i te otworzyły się powoli; wreszcie ujrzy twarz Fidelisa. Czy będzie podobny do cesarza Taillefera, do twarzy, którą widziała wyrzeźbioną w kamieniu? W chatynce było tak ciemno, że dostrzegła jedynie zarys mężczyzny, starego i drobnego, a potem sen wymknął się z jej umysłu niby ryba wyślizgująca się z dłoni i gdy się pochyliła, by wkroczyć do chatki, weszła do jaskini, której ściany lśniły jakby wyłożono je stopionym złotem. Młody Berthold spał u podstawy płonącego skalnego filaru, otoczony sześcioma towarzyszami, a na ich młodych twarzach malował się spokój, jakiego doświadczają aniołowie, którzy wreszcie ujrzeli Boga. Płomienie wznosiły się ku niebu i mogła ujrzyć przez nie kolejny pejzaż, tak żywy, że przez moment znalazła się w tym miejscu, stojąc na śnieżnej pokrywie. Wśród górskich szczytów szalała zamieć, wypływały z nich chmury i ryk wichru niemal zagłuszył głos, który szeptał jej do ucha:

--Siostrze, błagam, obudź się.

Jej kark był zimny, ramiona wilgotne, a macając wokół siebie, poczuła trawę pokrytą rosą. Pszczoła pojawiała się i znikła z linii jej wzroku. Kiedy nadszedł wiatr, trawa pochyliła się ku jej twarzy, laskocząc ją w nos. Kichnęła.

--Siostrze Rosvito! -- Fortunatus pomógł jej usiąść z przesadną atencją. -- Zemdlalaś. Dobrze się czujesz? -- Wschodzące słońce zaświeciło jej w oczy i musiała osłonić je dłonią.

--Jestem bardzo zdezorientowana -- rzekła słabo. -- Gdzie jesteśmy? Czy siostra Amabilia tu jest?

--Cicho, siostrze. -- Uśmiechał się głupio, klepiąc ją po rękę jak pan uspokajający nerwowego psa. -- Jesteśmy bezpieczni. Proszę. Pomogę ci.

Nawet z jego pomocą drżała, stojąc. Zbyt się wysilała po chorobie i teraz odczuwała tego skutki. Sceneria wokół była tak dziwna, że była pewna, iż nadal śni. Ale bardzo wyraźnie słyszała pszczołę, brzęczącą radośnie, a w nosie, podrażnionym pyłkiem, zakręciło jej się bardzo realistycznie i znów kichnęła.

--Na zdrowie, siostrze -- powiedział Fortunatus.

Być może nie miała zwidów.

Stała na trawiastym wzgórzu porośniętym zawilcami, bielutkimi przebiśnigami i trującą belladoną, tak ślicznym kwiatkiem, że łatwo było wybaczyć pomyłkę tym, którzy uważali go za nieszkodliwy, podczas gdy był śmiertelny. Za nią płaski szczyt wzgórza ukoronowany był kręgiem stojących kamieni. Przed nią cały orszak rozsypał się po wzgórzu niczym rozbawione dzieci, pędząc ku drodze wijącej się jak wstążka. Ich radość była zaraźliwa; krzyczeli, śmiali się i nawoływali, Fortunatus posunął się zaś do tego, że poklepał ją po ramieniu i wskazał widok przed nimi.

--Widzisz? -- zawołał. Tam, bezpieczne u wejścia do stromej doliny wśród wysokich gór, leżało miasto otoczone murami. -- Brat Amicus mówi, że to Novomo, oddalone od klasztoru o całe sto lig albo i więcej. Jeden krok zawiódł nas tak daleko! Zostaliśmy cudem ocaleni!

--To żaden cud -- odezwała się ochryple. -- I raczej potępieni niż ocaleni. Czy to ta sama zima, która nas otaczała?

Ale nie słyszał jej; śmiał się i powoli ciepło dnia i radość innych udzieliły jej i ogrzały ją.

Wspomnienie biednej Amabilii osłabło, podobnie jak potworność otchłani. Wybrała pomoc Hugona, wiedząc, kim był, jak zdesperowana kobieta używa wywaru z belladony, by uleczyć gorączkę dziecka, wiedząc, że mikstura równie dobrze może je zabić. Ale przeżyli, uciekli. Z tego, na razie, była zadowolona.

Kiedy ich orszak ruszył ku Novomo, zostali otoczeni przez ciekawskich wieśniaków i garstkę żołnierzy, którzy pośpieszyli, by sprawdzić, kto nadjeżdża, i wysłać wieści swej pani. Podczas jazdy Adelheida mówiła tylko o ich tajemniczej podróży.

--Wyobraźcie sobie tylko, gdybyśmy mogli kontrolować tę moc! Armie mogłyby poruszać się błyskawicznie. Zawsze bylibyśmy o krok przed wrogami.

--Proszę, Wasza Królewska Mość -- wtrąciła się Rosvita. -- Niebezpiecznie jest polegać na tych, którzy sprzeciwili się woli kościoła, żeby nauczyć się podobnych sztuczek.

--Nie cieszysz się, że uciekliśmy? -- zapytała Adelheida.

Theophanu patrzyła na Rosvitę bez słowa. Wydawała się odległa, zmartwiona.

Rosvita westchnęła.

--Cieszę, Wasza Królewska Mość. Ale nasze położenie było rozpaczliwe. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiała dokonywać takiego wyboru. Może tym razem mieliśmy szczęście, a za drugim razem zginiemy. Nie jest też dla mnie jasne, czy podobna brama zdoła pomieścić całą armię. Czy można ją otwierać w nieskończoność? Czy przejścia mieszczą jedynie niewielkie orszaki? A jeśli chmury zakryją niebiosa? Poza tym zastanawiam się, czy naprawdę wyszliśmy z tego bez szwanku. Czy okolica nie wydaje wam się dziwna?

--To są góry Alfar. Za Novomo znajduje się Przełęcz Świętej Barnarii. Droga na wschód prowadzi do Darre, oddalonego tylko o dziesięć dni jazdy. Nic nie wydaje mi się dziwne, siostrze.

--Nawet kwiaty i ciepło? Co się stało z zimą, Wasza Królewska Mość?

To uciszyło Adelheidę, a kiedy wielki orszak, zaalarmowany przez zwiadowców, wyjechał z miasta, by ją powitać, nie wspomniała im o tajemniczej bramie, przez którą przeszli.

--Wasza Królewska Mość! -- Pani Novomo zsiadła z konia i skłoniła się. Była poruszona przybyciem Adelheidy i natychmiast zaczęła nerwowo rozglądać się po kępach drzew i polach zaorywanych przez skrupulatnych wieśniaków. -- Bóg są miłosierni, królowo Adelheido. Słyszeliśmy, że umarłaś.

--Umarła! -- wykrzyknęła Adelheida.

--Nie słyszeliście? Ponad miesiąc temu, w Darre, skoposa koronowała Jana Twardogłowego na króla Aosty.

--Na króla! -- krzyknęła Adelheida.

--Zdradzono nas -- rzekła Theophanu zimno.

Ale Adelheida nie miała zamiaru poddać się kłopotom, nie po wspaniałej ucieczce.

--Nie umarłam, jak widzicie, pani Lavinio. Mogę wyruszyć na Darre, by odebrać to, co się mi należy!

Pani Lavinia była starszą kobietą o bystrych brązowych oczach; zachowywała się z ostrożnością kobiety, która nauczyła się dbać o siebie, żeby nie dawać wrogom okazji do zaatakowania jej podczas drzemki. Wskazała na nieporządny orszak, ciągnący się za królową i księżniczką. W świetle dziennym konie wyglądały okropnie. Trzy już wzdęło od nadmiaru świeżej trawy, a jeden złamał nogę, spłoszwszy się po wyjściu z kamiennego kręgu i trzeba go było dobić. Większość służących szła na piechotę, podobnie jak kilku szlachciców, a ich

eleganckie odzienie było tak brudne, jak to tylko możliwe po sześciu tygodniach oblężenia, gdy wody wystarcza tylko do picia i gotowania. Bez wątpienia wszyscy śmierdzieli i byłiby przerażeni własnym smrodem, gdyby do niego nie przywykli.

--Wybaczcie mi, królowo, ale z jaką armią pomaszerujecie na Darre? Kiedy Twardogłowy się dowie, że żyjecie, wyśle swych ludzi, by was schwytali. Jego szpiedzy są wszędzie. Ja sama, Wasza Królewska Mość, nie mogę z wami wyruszyć, gdyż moja najstarsza córka zabrana została na jego dwór, gdzie jest zakładniczką gwarantującą me dobre zachowanie. Obawiam się, że się przekonacie, iż w ten sposób Twardogłowy zyskał wielu sprzymierzeńców. Zanim przysięgną ci lojalność, muszą przestać się lękać o życie swych dzieci. Wielu z chęcią do was przyjdzie, ponieważ wiemy, jaki jest Twardogłowy, ale po prawdzie musi istnieć szansa na zwycięstwo albo wszyscy stracimy nasze ziemie.

--A jeśli zgromadzę armię?

Pani Lavinia bezradnie rozłożyła ręce. Wskazała własny orszak, piękny w kolorowych tunikach, z oszczepami, w hełmach, na rząd kleryków niosących kadzidło w wypolerowanych kadzielnicach.

--Wasi krewni nie żyją, królowo Adelheido, niech spoczywają w spokoju. Twardogłowy ma wasz skarbiec, całe złoto, srebro i broń, które zostawiliście w Vennaci. Jak wam się uda zgromadzić armię wystarczająco wielką, byśmy mogli poprzeć waszą sprawę naszym życiem i ziemiami?

Adelheida nie dawała się zastraszyć, może właśnie dlatego błyszczała. Podniosła ramię i wskazała góry wznoszące się na północy.

--Przedstawię wam sprawę królowi Henrykowi!

Żołnierze Fulka podnieśli ochryply okrzyk, który podchwycił jej orszak.

Pani Lavinii wyraźnie ulżyło.

--Mądra decyzja, Wasza Królewska Mość. Zrobię, co w mej mocy, aby dać wam dach nad głową i wyposażę was w świeże rumaki i prowiant. Zawsze szanowałam was i wasz ród, i nie chcę, byście stała się więźniem Twardogłowego albo jego żoną. Ale nie mogę dać wam więcej, nie teraz. Mam związane dłonie.

--Nie będą zawsze związane -- oznajmiła Adelheida. Mniej obszarpana od innych nosiła swą zbroję podczas ucieczki, choć teraz służący trzymał jej hełm. -- Twardogłowy nigdy nie odważy się ścigać nas w Wendarze, a wiem, że król Henryk nie puści płazem takiej niesprawiedliwości. Pozwól nam tylko przeczekać z wami zimę, pani Lavinio, a przekroczymy góry, gdy tylko późną wiosną otworzą się przejścia.

Pani Lavinia wyglądała na zaskoczoną, a klerycy, którzy wszystko słyszeli, zaczęli do siebie szeptać.

--Daleko w dzicz zawędrowałyście, królowo Adelheido. Wiosna i nowy rok nadeszły ponad miesiąc temu. Czy nie macie ze sobą kleryków liczących upływ dni? Dziś mamy dzień świętego Piotra Klucznika.

Trzeci dzień Avrila!

Rosvita osłabła, zakręciło jej się w głowie, aż Fortunatus, który szedł obok, musiał ją podtrzymać na grzbiecie spokojnego, kościstego muła. Ale szybko przyszła do siebie. Zawsze miała dobrą głowę do obliczeń, a to nie było trudne, zwłaszcza biorąc pod uwagę wszystkie znaki wokół.

Weszli w kamienny krąg trzeciego dnia Deciała, podczas pełni księżyca. W jakiś sposób jednym krokiem pokonali sto lig... i cztery miesiące!

5.

--O to chodzi! -- zawołała Liath. Nie mogła spać i siedziała na ławce przy otwartych drzwiach, czytając, korzystając ze swego niezwykłego wzroku przy nie najlepszym świetle malejącego księżyca. -- „Teraz dobrze będzie zapisać w myślach, że wszystkie ciała posiadają trzy wymiary: wysokość, szerokość i długość”. O Boże! Czemu wcześniej tego nie dostrzegłam? To właśnie przeoczyłam!

Sanglant poderwał się z łóżka, gdy zaklęła twarde, żołnierskie słowo; nawet nie wiedział, że je znała. Złapała się za brzuch, przygryzła wargę i skrzywiła się.

--Aj! Aj! Aj! Nie, nie, nie potrzebuję pomocy. -- Odgoniła go, choć nadal przyciskała dłoń do brzucha. Przytrzymał chybotliwą ławkę, gdy Liath kołysała się z bólu. -- Mija.

--Dziecko się rodzi?

--Nie wiem -- odparła zadziornie. -- O Pani. Nie chcę, żeby się teraz rodziło! Jestem tak bliska odpowiedzi! -- Sięgnęła i znalazła swe sandały. -- Przejdę się do wieży. Potrzebuję jeszcze jednego wieczoru... -- Znów zaklęła i z obrzydzeniem odrzuciła sandały, nie mogąc sięgnąć do stóp, by je zawiązać.

--Pójdę z tobą -- powiedział, gdy się podniosła, najwidoczniej zdecydowana iść bosą.

--Doskonale. -- Wyszła, nie czekając, wciąż mrużąc do siebie. Znajdowała się w uścisku czegoś większego, tajemniczego, którą ściagała, lub tajemniczego porodu, albo jednej i drugiej. Sanglant widział, jak kobiety przed porodem stają się obojętne na świat wokół, jakby całe życie i wszechświat skurczyły się w pępownię, która łączyła je, samotne córki, ze świętą Matką Życia, Tą, która zrodziła wszechświat.

Ubrał się pośpiesznie. Pies Eików deptał mu po piętach. Służący szeptali wokół, szczypiąc go w uszy i czochrając włosy, ale gdy nie zareagował, cofnęli się i potem zniknęli w nocy, udając się do swych zajęć. Tylko wodna nimfa, którą zaczął nazywać Jerna, towarzyszyła mu, przemykając się w cieniu, jakby chciała uniknąć wzroku Liath. Kształt stworzenia zmienił się znacznie i niepokojąco podczas ostatnich kilku miesięcy. Nie był pewien, czy i demony, i ludzie ukształtowani byli na marne podobieństwo aniołów, czy też służący, raczej esencja niż substancja, po prostu kopiowali ludzkie kształty podczas swego uwięzienia na ziemi. Ale zarys kobiecej postaci wypełniał się, piersi nabrzmiwały, brzuch rósł, jakby na podobieństwo Liath. Czyżby ona za czymś tęskniła? Czy demony nie zachodziły w ciążę i nie rodziły dzieci tak jak ludzie? Po prawdzie, jej obecność zaczynała go drażnić w inny sposób, podobnie jak jego wzrok biegł ku siostrze Zoe częściej, niż powinien.

Łatwo było dogonić Liath na ścieżce, którą dreptała. Dotknął jej ramienia i gdy uniosła zaskoczona twarz, jakby nieświadoma, że za nią szedł, pocałował ją. Na moment zapominając o celu swej wędrówki, przywarła do niego, uśmiechając się łagodnie, wpatrując się w jego twarz.

Resuelto stał na padoku, śpiąc, z jedną nogą uniesioną. Muły zbiły się w gromadkę nieco dalej, jeden trzymał łeb na zadzie drugiego. Było bardzo spokojnie.

--Spójrz -- powiedziała, dotykając jego ust, a potem unosząc jego podbródek, by patrzył tam, gdzie ona: nie na niego, a w niebiosy. -- O świcie nastanie szósty dzień Avrila, a teraz, o północy, widzimy to samo niebo, co latem o zmierzchu i zimą o świcie. Tam jest Smok. Tam. Patrz. Widzisz czerwonego Jedu opuszczającego Szalę. Siódmego Avrila wejdzie w Węża. Siódmy jest dniem pełnym mocy i fluktuacji w niebiosach, ponieważ Jasna Somorhas i szybka Erekes również się przemieszczają, z Dziecka do Sióstr. Czas mocnych początków.

--Gdzie są Somorhas i Erekes? -- Potrafił już zidentyfikować wiele konstelacji i wszystkie wędrujące gwiazdy. Po tylu miesiącach z Liath nie mógł nie nauczyć się ich nazw i historii.

--Nie można ich teraz zobaczyć, bo nadal wędrują zbyt blisko słońca. Ale Somorhas powróci jako gwiazda wieczorna siódmego, gdy wejdzie w Siostry. Erekes trudniej zauważyć. Ale gdybyśmy stali na biegunie północnym albo na równiku, nocne niebo w tym samym czasie wyglądałoby inaczej. Wysokość, długość i szerokość.

--Naprawdę?

Pokręciła głową, znów ruszając.

--Dawni magowie babaharscy i czarnoksiężnicy Aoi, którzy ich uczyli, mieszkali daleko na południe stąd. Kiedy obserwator porusza się na południe, równik niebieski przemieszcza się wyżej na niebie. Podobnie płaszczyzna ekliptyki. Być w zenicie, „ukoronować” niebios, oznacza, że gwiazda znajduje się dokładnie nad obserwatorem w najwyższym miejscu kopuły niebieskiej. -- Znów się zatrzymała. -- Spójrz tam. Łuk Królowej znajduje się niemal w zenicie.

--Poluje na Smoka.

--Za kilka godzin sama Królowa znajdzie się w zenicie, a o świcie jej Puchar i Miecz pójdą w jej ślady.

--Ponieważ koło gwiazd się obraca -- rzekł i został nagrodzony nagłym wybuchem śmiechu, oszalamiającym swym ciepłem.

--Właśnie. Co nas znów prowadzi do dziesiątego dnia Octumbre roku 735. Za pięć lat i pięć miesięcy. -- Liath cicho otworzyła drzwi do wieży, a Sanglant spojrział na belkowany sufit, gdy wchodzili, ale nic nie usłyszał. Severus spał na górze i biada każdemu, kto mu przeszkodził. -- Jesienne niebo o północy to niebo Dziecka, które jest Następczynią Królowej. Guivre spada na dziecko, które sięga po Koronę, ale Dziecko nie jest bezbronne. Towarzyszy mu Orzeł Królowej, Siostry, które są jego ciotkami, i Łowca, który jest też księciem. Przed Dzieckiem leci Sokół, a za nim bieży jego wierny Ogar.

--I nawet jeśli przez lata planety zmieniają swój bieg, gwiazdy zawsze wschodzą w tym samym czasie.

Zawahała się, potem zaśmiała. Był to taki radosny dźwięk, że musiał roześmiać się wraz z nią, a potem parsknął, widząc, że unosi wzrok, wykrzywiając twarz w przesadnym grymasie.

--Daj spokój, kochanie, jeśli ty mnie obronisz przed przeznaczeniem zapisanym w gwiazdach, ja cię obronię przed bratem Severusem, choćby zszedł tu zły jak borsuk.

--O Boże. -- Zesztywniała nagle z dłonią przyciśniętą do brzucha. Poczul, jak przeszywa ją ból, ale nic nie powiedziała, tylko dyszała, by go nieco osłabić, a Sanglant masował jej plecy.

Nimfa wyskoczyła z ciemności, żeby pomasować brzuch Liath, ale Liath tego nie zauważyła i gdy rozluźniła się z westchnieniem, Jerna wślizgnęła się znów w ochraniający ją cień.

Dochodząc do siebie, Liath pomasowała brzuch wierzchem dłoni i uśmiechnęła się słabo.

--Miałam zamiar powiedzieć, że gwiazdy nieruchome nie zawsze zachodzą i wschodzą w tym samym czasie. Nazywa się to precesją równonocy, ale cykl zajmuje tyle czasu, tysiące lat...

--O Pani -- stęknął. -- Mnie pięć lat wystarczy. Na Boga, Liath, powiedz, jaki sekret odkryłaś i będziemy mogli pójść spać!

Znalazła latarnię, zapaliła knot dotknięciem; łatwość, z jaką przywoływała ogień, była zawsze zaskakująca, choć powinien się być już do tego przyzwyczaić. Cięża nie przyćmiła jej urody, choć bez wątplenia Liath szybko się teraz męczyła. Jej twarz była delikatniejsza i

zaokrąglona, ale oczy pozostały jasne i przenikliwe, a włosy nadal miały zwyczaj wymykać się kosmykami z warkocza, który co wieczór zaplatała.

Wyjęła efemerydy z szafki i otworzyła na końcu. Poznawał, gdzie kończyło się staranne pismo nie znanego skryby i zaczynało Liath, pełne kleksów, nierównych liter i nagłych przerw.

--Jeśli przyjrzymy się progresji planet przez efemerydy... -- Odwróciła się i wskazała, choć wiedziała, że znaki nic mu nie mówiły. -- Trzynastego dnia Cintre roku 735 cztery planety będą w retrogradacji, cofając się przez ekliptykę: szybka Erekes na skraju Smoka, mądry Aturna i dzielny Jedu we Lwie, i stateczna Mok w Pokutniku. To sugeruje, że linie mocy we wszechświecie poruszają się wbrew ustalonym zasadom. Tylko jasna Somorhas, lśniąca jako Gwiazda Wieczorna, porusza się tego dnia naprzód i wkracza w Węża. -- Jej palec uniósł się z dokładnego i raczej zbyt ozdobnego pisma nie znanego skryby i przesunął na stronicę, które sama zapisała podczas ostatnich siedmiu miesięcy. -- Tymczasem osiemnastego dnia Cintre Erekes, Aturna i Jedu zawrócą i znów powędrują do przodu, jakby przywracały wszechświatowi jego właściwy porządek. Ale w miesiącu Setentre, dwa miesiące później, jasna Somorhas znajdzie się w retrogradacji, a szybka Erekes pójdzie w jej ślady na początku Octumbre. Aturna i Jedu znajdą się na pograniczu Lwa i Smoka, Somorhas i Erekes zaś poruszać się będą do tyłu przez Węża, a Mok, również do tyłu, pomiędzy Pokutnikiem a Uzdrowicielem. Księżyc w pierwszej kwadrze, który o północy zajdzie za horyzontem, znajdzie się w znaku Jednorożca. Słońce o północy będzie w nadirze w znaku Węża, zwiastuna śmierci i zmiany, który zrzuca skórę tylko po to, by odrodzić się i żyć w nowej. -- Uniosła obie dłonie, rozkładając je dla podkreślenia faktów. -- Ale mieszkamy na półkuli północnej. Na szerokości, na której żyli magowie babaharscy w swych starodawnych miastach, dziesiątego Octumbre roku 735 o północy Korona Gwiazd zwieńczy niebios.

--Ale dokładnie to Wilkun... -- Urwał. Przez otwarte drzwi słyszał nocny wiatr szumiący wśród drzew i, na wpół zagłuszony szelestem liści, odgłos przemieszczającego się dużego zwierzęcia. Myszy szurały w ścianach za otwartą szafką, w której magowie przechowywali swe aparaty: astrolabium owinięte w aksamit w skrzynce z drewna różanego, ruchomą sferę ukazującą ruch niebios, globus niebieski z gwiazdami zaznaczonymi plamkami srebrnej farby. Skrzypnęła deska. -- Dokładnie to Wilkun mi powiedział.

Musiała oprzeć się o stół albo z powodu kolejnej fali bólu, albo szoku.

--Okłamał mnie -- wyszeptala. -- Musiał cały czas wiedzieć, że ona tu była.

--Liath... -- Uniósł dłoń, żeby ją ostrzec. Na zewnątrz piach skrzypnął pod czyjąś stopą. Jerna, wisząca obok Liath, nagle odskoczyła i zwinęła się w metalowych kołach sfery, dopóki nie stała się jedynie błyskiem wśród cieni.

--Nie śpisz -- rzekła Anne, przekraczając próg. Nie pytała, co Liath robiła, nie musiała.

--Zazwyczaj liczymy rok według obiegu słońca -- powiedziała Liath, nie podnosząc wzroku. Wciąż oddychała ciężko, jak po biegu, a jej wzrok zdawał się utkwiony w jakimś obrazie poza otwartą książką, która przed nią leżała. -- Magowie babaharscy obliczali rok według precesji równonocy, kiedy wszystkie gwiazdy wróciły na te miejsca, z których zaczynały swój ruch, i przez to ustawiały się w tej samej konfiguracji na wielkich przestrzeniach nieba. Jeden ich „rok” liczyłby się na dziesiątki tysięcy lat, jakie my znamy.

--Znów czytałaś Kornelię -- stwierdziła Anne.

--Ale można też inaczej liczyć rok. Na przykład cyklem jasnej Somorhas, co osiem lat.

Albo Koroną Gwiazd wieńczącą niebiosa. -- Liath wyprostowała się wreszcie. Wyglądała na zmęczoną, zaniepokojoną i triumfującą. -- Niektórzy powiadali, że Aoi zawsze tu byli, zanim ludzie zbudowali miasta. Inni zaś, że dawno temu Aoi przybyli na te brzegi w pięknych łodziach uplecionych ze złotych i srebrnych trzciny, że władali ludzkimi wioskami i po jakimś czasie zaproponowali, że nauczą niektórych ludzi sztuki magii.

--Ku swemu wiecznemu żalowi, gdy ludzie magowie zwrócili się przeciw nim -- powiedziała Anne. -- Kiedy ludzie przewyższyli ich liczebnie i wypełnili miasta, którymi władali Aoi, niezwyciężonymi armiami. Kiedy ludzkość sprowadziła na swych panów choroby, których ci nie potrafili zwalczyć.

Liath zmarszczyła brwi.

--Według *Księgi Chaldeos*, cesarze i cesarzowe Imperium Dariyańskiego liczyli lata tak jak my, według obiegu słońca. Ale też naśladowali Aoi, w których kalendarzu znajdował się Wielki Rok równy pięćdziesięciu dwóm latom. Nawet Chaldeos nie wiedział, jak działał kalendarz Aoi. Zasada zaginęła wraz z nimi dwa tysiące lat temu. Ale ich lata zaczynały się i kończyły, gdy Korona Niebios koronowała niebo. Mieszkali daleko na południe od nas albo przybyli z kraju położonego daleko na południu. Musieli spoglądać na niebo inaczej niż my. -- Liath zamknęła książkę i położyła na niej dłoń, jakby chciała utrzymać ją zamkniętą. Spojrzała prosto na Anne. -- Kto zrobił obliczenia w tej książce?

Sanglant najpierw sądził, że Anne nie zamierza odpowiedzieć. Podeszła i otworzyła książkę na pierwszej stronie pokrytej obliczeniami. Nie było przedmowy, noty wyjaśniającej ani podpisu, tylko liczby.

--Biskupina Tallia.

--Córka cesarza Taillefera.

--Ta sama. Rozumiała, że jakiś głębszy sekret spowija tajemnicę Zaginionych. Wyliczyła więc wszystko aż do dwóch tysięcy siedmiuset lat wstecz, do dnia, gdy Korona Gwiazd ukoronowała niebiosa. Tamtej północy znaki, wyczytane w liniach mocy wplecionych w niebiosa, otworzyły świat na zmiany, przynosząc powiew eteru, nie splamiony dotknięciem Nieprzyjaciela, w powietrze, którym oddychamy tutaj, poniżej Księżyca...

--Kiedy pomiędzy sferami otwierają się portale. Kiedy wielka moc może zostać uwolniona w dobrym lub złym celu. Powiedziałas, że istnieją sposoby, by sięgnąć poprzez sfery lub nawet poza nie... -- Liath stęknęła, gdy załala ją kolejna fala bólu. Złapał ją, gdy się zatoczyła, przytrzymał.

Anne spoglądała na niego wzrokiem tak czystym i jasnym, że był jak cięcie topora: żadnych subtelnosci.

Czasami, gdy był zmartwiony lub zajęty, jego umysł przestawał na chwilę funkcjonować, jak strumień zablokowany nagle zbierającymi się kamieniami, liśćmi i piaskiem, które się gromadzą i gromadzą, dopóki skumulowana siła uwięzionej wody nie wybije sobie nagle i ostro przejścia przez tamę.

--Gadasz o tej wielkiej zмовie ludu mojej matki, w której, jak sugerował Wilkun, jestem aktywnym uczestnikiem. Ale ona mnie porzuciła, gdy miałem ledwie dwa miesiące. Jeśli jestem z nimi w tak dobrych układach, wyjaśnij mi, dlaczego zostałem i nic nie wiem.

--To rzeczywiście zagadka. Ale nie możesz wyrzec się tego, czym jesteś, książę Sanglancie.

--Jestem bękartem. Potrafię walczyć i dowodzić ludźmi w bitwie. Jeśli wiesz o mnie coś jeszcze, co pozostaje przede mną ukryte, proszę, ujawnij to teraz.

Anne uśmiechnęła się lekko.

--Nie jest ci obca sztuka dworzanina, przez niektórych zwana intrygą. W pewnych sprawach jesteś przebiegły, książę Sanglancie, ale w większości nie, ponieważ, jak po tym psie czekającym przed drzwiami, widać po tobie od razu, kim jesteś. Nie trzeba wiedzieć nic więcej.

--Nie jestem żadną cebulą -- odparował, znów się śmiejąc.

--On nie jest... -- zaczęła Liath ostro, broniąc go, ale dotknął jej dłoni i choć raz ugryzła się w język przed nierozsądnym komentarzem.

--Ale złoty puchar również ukazuje całą swą substancję -- ciągnęła Anne, jakby Liath się nie odezwała. -- To nie czyni go mniej cennym. Jesteś tu z jakiegoś powodu.

--Jesteś nicią wiążącą ludzi i Aoi -- powiedziała Liath. -- Ale w jakim celu?

Anne uśmiechnęła się, patrząc na obserwującego ją Sanglanta, przeciwnicy, którzy jeszcze nie dobyli mieczy.

--Ponieważ, jak napisano w *Objawieniu* świętej Joanny: „I spadnie na was straszliwe nieszczęście, kataklizm, jakiegoście wcześniej nie znali. Wody się zagotują, a niebiosa zaszlochają krwawymi łzami, rzeki popłyną pod górę, a wiatry będą niczym wir. Góry staną się morzem, a morze stanie się górami, a dzieci zapłaczą ze zgrozy, gdyż ziemi nie znajdą pod stopami”.

--Rozdział jedenasty, wers dwudziesty pierwszy -- powiedziała Liath odruchowo. Anne mówiła dalej.

--Niektórzy mówią, że Joanna opowiadała o swojej wizji wielkiego kataklizmu, który spadnie na ziemię w fatalny dzień w przyszłości. Inni zaś twierdzą, że w swym *Objawieniu* zapisała słowa kogoś, kto przeżył podobny kataklizm.

--Ale ty uważasz, że święta Joanna pisała o przyszłości -- rzekła Liath, bawiąc się stronami starej książki, przesuwając palcem wzdłuż starych słów, jakby sam atrament mógł wyjawiać tajemnice.

--Nie -- odparła Anne. -- Sądzę, że pisała o przyszłości i przeszłości, o tym, co wydarzyło się dwa tysiące siedemset lat temu i o tym, co wydarzy się za pięć lat, jeśli tego nie powstrzymamy.

Tym razem poczuł, że ból nadchodzi, zanim się poruszyła, otwierając szeroko oczy i zaciskając szczęki, zanim sięgnęła niemal na oślep i złapała go za ramię. Przez jej skórę czuł jej puls i drugi, odległy, wyraźny, delikatny i szybki, zwalniający, gdy ból osiągnął swój szczyt, i znów przyśpieszający. Kiedy spazm minął, Liath odezwała się szeptem, który zagubił się w grubej wełnie jego tuniki:

--Byłam w miejscu, gdzie teraz mieszkają Aoi.

--Wcale nie są zaginieni -- powiedział na głos, zaskoczony, że wcześniej tego nie rozumiał. Czyżby naprawdę nie wierzył w jej opowieści o czarnoksiężniku Aoi? Czy też uznał je za coś niewyjaśnialnego? -- Jak mogą być zaginieni, skoro moja matka chodziła po świecie? A jeśli są tylko ukryci...?

--Wiemy, że Aoi zniknęli z powierzchni ziemi dawno temu, zostawiając tylko dzieci półkrwi -- wyjaśniła Anne. -- To te dzieci półkrwi założyły i zbudowały Imperium Dariyańskie.

--Aoi wcale nie zniknęli z powierzchni ziemi -- sprzeciwiła się Liath. -- Są cieniami w

głębokich lasach.

--Czy te cienie są zaprawdę ziemskie, czy też jedynie schwyte gdzieś pomiędzy żywymi a martwymi, substancją a eterem, skazane, by żyć jako cienie?

Jak służący, skazani, by żyć w ciałach jedynie naśladowujących ludzkie. Ale nie wypowiedział tego na głos. Nie miał zamiaru prowokować wroga w otwartej walce, kiedy ten miał przewagę liczebną i lepszą broń. Jeszcze nie był zdesperowany.

--Nie słuchałaś uważnie, Liath -- zgañiła ją Anne. -- Biskupina Tallia była pierwszą uczoną, o jakiej wiemy od czasów Imperium Dariyańskiego, która miała wystarczającą wiedzę, by obliczyć przesłanie zapisane w niebiosach. A niebiosy nie kłamią. Zapisują jedynie boskie stworzenie. Odkryła, że w dzień, o którym wspomniałaś, mogą zostać uwolnione wielkie siły. Ze starożytnych zapisków zebranych z archiwów Imperium Dariyańskiego wyczytała, że mamy wrogów, czekających, żeby zniszczyć ludzkość. Za tę służbę ludzkości biskupina Tallia została poniżona przez Kościół na soborze w Narvonne, gdyż jej zazdrozczono.

Kiedy żadne z nich nie odpowiedziało, mówiła dalej.

--Ale biskupina Tallia nie pozwoliła, by jej wiedza umarła wraz z nią. Przekazała ją swej towarzyszce w sztuce, Klotyldzie, która z kolei postarała się, aby zawsze mieć naśladowców. Jesteśmy tymi, którzy zdają się spać, podczas gdy świat się wokół budzi, gdy naprawdę czekamy tutaj w ukryciu, by ocalić ludzkość przed tym, co jej zagraża. Jest nas siedmioro, gdyż liczba ta odpowiada siedmiu planetom: Słońcu, Księżycowi, szybkiej Erekes, jasnej Somorhas, Jedu, który jest Aniołem Wojny, statecznemu Mokowi i mądrym Aturnie.

--Siedmiu Śpiących -- szepnęła Liath. -- Byłam taka ślepa. O Boże, następny.

Pozwolił, aby go złapała, wbijając mu palce w ramię. Nie mógł zrobić nic więcej.

--Nie powinnaś była pozwolić, żeby cię oderwano od twego prawdziwego celu -- rzekła Anne zimno, nie poruszając się, by dotknąć Liath, gdy spazm mijał. -- To Bernard jest winny słabości w tobie.

Liath wydała z siebie dźwięk pomiędzy krzykiem a westchnieniem. Nie wywołał go ból fizyczny.

--Nie masz pojęcia, przez co przeszliśmy! Tato zmarł, by mnie chronić. -- Nagle polwały się łzy, niepoohamowane, nieoczekiwane, jakby wszystko, wspomnienie, strach, kompletna bezsilna rozpacz po stracie nagle spadły na nią ciężarem niebios. Sanglant nigdy nie widział, żeby oplakiwała zmarłego ojca. Teraz wszystko się przelało.

Burza była krótka, ale gwałtowna, a Anne przeczekała ją, nie robiąc nic poza ostrożnym wyjęciem z rąk Liath starej książki i zamknięciem jej, żeby strony się nie pomoczyły. Zamknęła ją w szafce, wskazała palcem na sufit, służący zamigotał i znikł.

--Usiądź, Liath. Jesteś przemęczona. Służący przyniesie ci coś do picia, abyś odzyskała siły.

Liath usiadła posłusznie, garbiąc ramiona pod ciężarem dawnej żaloby. Sanglant nie usiadł. On też stracił rodzica, ale nigdy z tego powodu nie płakał.

--Skąd przybyła moja matka? -- zapytał.

Anne jak zwykle nie wydawała się zaskoczona pytaniem.

--Henryk znalazł ją w Darre, ale przedtem była w Salii, tak przynajmniej zakładamy, ponieważ najlepiej mówiła po saliańsku. Skąd przybyła do Salii, nikt nie wiedział, a ona niczego nie ujawniła.

--„Nadejdzie chwila” -- powiedziała Liath równym głosem, którego używała, cytując z pamięci -- „Gdy całe siły płonącej we wszechświecie, mocy, która porusza sfery, będą mogły dotknąć ludzkie ręce. Kiedy będzie ją można ściągnąć i manipulować nią dla większego dobra tych, którzy posiadają wiedzę i zdecydowani są poświęcić się takiemu przedsięwzięciu”. To jest sztuka matematyków, której nauczyli się od babaharskich magów, a ci dawno temu od czarowników Aoi, tak powiada historia. -- Skrzywiła się, poruszając niezgrabnie i przez chwilę myślała, że nadchodzi skurcz, ale tylko niewygodnie siedziała. Daj Boże, żeby dziecko urodziło się szybko i bez problemów. To byłoby prawdziwe błogosławieństwo. Liath spojrzała na Anne oskarżycielsko. -- To właśnie cały czas ukrywałaś. Wierzysz, że Aoi manipulowali mocą niebieską, by umknąć z ziemi.

Służący wrócił i postawił na stole tacę z trzema kubkami jablecznika, a potem umknął ku powale. Anne spojrzała na tacę, zdziwiona jablecznikiem albo ilością kubków: nie był pewien. Podał Liath kubek i upewnił się, że wypila, zanim osuszył swój. Anne zaczęła mówić.

--Wielu rzeczy o wszechświecie jeszcze nie rozumiemy, ale wiemy, że jest wiele połączeń w jego materii, które ci, co wiedzą, jak to zrobić, mogą pokonywać. Nazywamy ten zbiór gwiazd, po który sięga Dziecko, „Koroną”, ale czy wielkich kamiennych kręgów znajdujących na świecie też nie nazywamy „koronami”? Dawno temu wzniosła je magia i wierzę, że to Aoi je wybudowali u szczytu swej potęgi. Wierzę, że były mechanizmem, dzięki któremu Aoi przedostali się gdzie indziej. Czy ty i Bernard byliście kiedyś na klifach Barakanoi, na południowym wschodzie Aosty?

--Tak. Zawsze je będę pamiętała, bo są takie strome, brzeg się kończy i zaczyna woda. Pamiętam, że powiedziałam tacie, że wyglądają, jakby je ktoś nożem uciął. -- Urwała, patrząc na Sanglanta. Wzruszył ramionami. Nigdy tam nie był. -- Było tam miasto i ono też się nagle kończyło. Zupełnie jakby je odcięto. Zawsze myślałam, że jego część musiała wpaść do morza. Ale nie mogła. Nie było w nim ani śladu ruin. Morze jest tam głębokie. Nie było żadnej płycizny, tak mówił tato.

Anne skinęła głową.

--Zrodzeni z ziemi muszą mieć ziemię pod stopami. Nawet magowie jak Aoi nie mogą egzystować w eterze niby anioły i demony.

--Czy sugerujesz? -- zapytał Sanglat. -- Że użyli swej magii, by dosłownie zabrać ze sobą kawałek tej ziemi na wygnanie?

--A jakie to ma teraz znaczenie, skoro i tak ich nie ma? -- mruknęła Liath, masując brzuch. -- Jeśli nie chodzą już po ziemi, nie mogą być dla nas zagrożeniem.

Anne nie spuściła wzroku z Sanglanta, odkąd weszła do komnaty, jak nie odrywa się wzroku od jadowitego węża, z którym dzielisz wygodny splacheć ziemi.

--Strzała wystrzelona w powietrze po jakimś czasie spadnie na ziemię. Każda wielka moc uwolniona we wszechświecie w końcu powróci, proporcjonalnie do początkowej mocy i kierunku. To, co się raz udało, może się udać ponownie, a jeśli wykopano już kanał, o ileż łatwiej popłynie nim rzeka, gdy będzie suchy?

--Czy to są zagadki, na które mam odpowiedzieć? -- zapytała zirytowana Liath.

--Nie -- powiedział Sanglant. -- Myślę, że ona mówi, że Zaginieni powrócą.

--Dziesiątego dnia Octumbre roku 735, o północy -- rzekła Anne. -- Kiedy otworzą się ścieżki między sferami, korona gwiazd zwieńczy niebiosa.

Liath przycisnęła obie dłonie do brzucha i zamknęła oczy, wydając z siebie westchnienie, jakby wiedziała, że nadchodzący ból będzie znacznie gorszy od tego, który właśnie minął.

--Dlaczego czuję się jak marionetka tańcząca na sznurkach ciągniętych przez kogoś innego?

--Jeśli odeszli, ponieważ ludzkość doprowadziła ich do podjęcia tak desperackich kroków, to dlaczego mielibyście wrócić? -- zapytał Sanglant.

--Z tego samego powodu, księżę Sanglancie, dla którego pragnęli dziecka zrodzonego z krwi Aoi i królewskiej. -- Wskazała na niego. -- By odebrać to, co niegdyś było ich własnością: władzę nad tym światem.

Wiatr załomotał okiennicami. Zahukała sowa i Sanglant usłyszał wrzask jakiegoś nieszczęsnego zwierzątka schwytanego w jej szpony. Anne poruszyła się, żeby spojrzeć na Liath, która chwyciła Sanglanta za nadgarstek i napięła się, gdy zalał ją kolejny spazm bólu, silniejszy od wszystkich poprzednich. Zdawała się oddalać od niego, całą uwagę zwracając do wewnątrz, zupełnie jakby została odcięta od niego i całego świata prócz jej łona, gdzie dziecko sililo się, by się wydostać na świat.

--Powinniśmy obudzić siostrę Meriam -- rzekł Sanglant. -- Powiedziała, że będzie akuszerką.

Anne poczekała, aż Liath przestanie dyszeć.

--Dlatego jesteś taka ważna, Liathano. Dlatego wszystko inne, w co się zaangażujesz, nie liczy się i nie może się liczyć. -- Pot zaperlił się na czole Liath, gdy podniosła głowę i spojrzała na Anne z irytacją, że jej przerywa oraz ciekawością lub przerażeniem, że takie stwierdzenie w ogóle zostało wypowiedziane.

--Czekali w bezpiecznym miejscu, gromadząc moc i magię. Teraz zamierzają zapanować nad nami, jak to czynili tysiące lat temu. Są silni i bez litości. Będą okrutnymi panami. Rozedrą świat, by go odzyskać, ponieważ ich powrót na Ziemię spowoduje kataklizm, jakiego nie widziało żadne żywe stworzenie. „Góry staną się morzem, a morze stanie się górami”.

Anne zbliżyła się i oświetlił ją płomień latarni. Złoty torkwes błyszczał na jej szyi, i jak od każdej królowej i cesarzowej bił od niej blask pewności siebie zwanej władzą, zdolność nakłaniania innych do swej woli.

--Jedyną osobą, która jest zdolna ich powstrzymać, moje dziecko, jesteś ty.

Rozdział dwunasty

Błogosławieństwo

1.

Sanglant nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nie lubi siostry Anne, dopóki nie spędził reszty nocy, dnia, kolejnej długiej i wyczerpującej nocy oraz najbardziej chyba straszliwego dnia w swym życiu u boku rodzącej żony, która walczyła w milczeniu, cierpiała w milczeniu i słabła w oczach. Ból pojawiał się i znikał w narastających falach, ale dziecko nie wychodziło.

Heribert zajmował się ogniem, przynosił gorący jablecznik dla siostry Meriam i Sanglanta oraz wino dla Liath, by piła, gdy tylko mogła i wybrzydzał na stolek do porodu, który skonstruował miesiąc temu według wskazówek Meriam. Kiedy Meriam musiała odpocząć, siostra Venia siedziała u boku Liath, rozcierała jej dłonie i masowała plecy.

--Pamiętam, jak matka Heriberta rodziła -- powiedziała ze współczuciem.

Zoe i Severus trzymali się z dala, na szczęście, ale siostra Anne również zignorowała wysiłek i ból w chatce, nic nie doradziła i nikogo nie pocieszyła. Była zbyt zajęta, by przyjść, lub nie chciała się przyglądać.

--Czy ona nie pamięta, jak to było? -- zapytał wreszcie Sanglant, ale siostra Meriam jedynie coś mruknęła. Znów badała Liath, jedną dłonią obmacując jej brzuch, a drugą wsuwając do pochwy.

--Moja synowa łatwiej rodziła -- stwierdziła. -- Ja też. Obawiam się, że dziecko utknęło.

--Jak długo ona jeszcze wytrzyma? -- zapytał cicho, ale po dwóch nocach i dniach porodu Liath była zbyt zmęczona, by go słyszeć. Siostra Meriam wzruszyła ramionami.

Nadszedł zmrok, a wraz z nim gwiazda wieczorna, jaśniejący punkt nad horyzontem. Od tygodni jej nie widział. Według Liath chowała się za słońcem, a teraz świeciła uspokajająco z bezpiecznej przystani w konstelacji znanej jako Siostry, strażniczki kobiet.

Coś się wtedy poruszyło, ostatnie westchnienie, rozluźnienie, ale może to nie był wcale wpływ Somorhas, tylko herbatka z piołunu, którą Meriam wlała do gardła Liath. Meriam nasmarowała ręce świńskim tłuszczem, wsunęła je do wnętrza Liath i złapała coś. Sanglant podtrzymywał już Liath na stolku. Była zbyt słaba, żeby siedzieć o własnych siłach i oparła się o niego całym ciężarem.

--Dalej, kochanie -- powiedział. -- Przyj.

Najpierw pojawiły się stópki dziecka, potem tyleczek, wreszcie ciałko całe pokryte białą wydzieliną. Liath ledwo miała siłę, by wydostać z siebie główkę. A potem zemdląła i krwawiła, a on pomyślał, że też zemdleje, nie na widok krwi, ale ze strachu. Nigdy w życiu się tak nie bał.

Meriam natychmiast wręczyła mu dziecko.

--Umyj je -- powiedziała i zajęła się ugniataniem wiotczącego brzucha Liath, dopóki w potoku jasnoczerwonej krwi nie wyślizgnęło się łóżysko. Nucąc, stara kobieta zawiązała wokół krocza Liath okład, jakby chciała powstrzymać krwawienie.

--Uważaj na dziecko! -- rzekła surowo, ponieważ cały czas gapił się w panice na swą nieprzytomną żonę. Przywołany do porządku ostrym tonem, spuścił wzrok i ujrzał parę oczu tak przenikliwie zielonych, że przez moment zdawało mu się, iż to wcale nie oczy, tylko kawałki szmaragdu. Wyszedł na zewnątrz na miękkich nogach, ale trzymając ją mocno, takie maleństwo, i umył ją w misie napełnionej zimną źródlaną wodą.

Rozwrzeszczała się potężnie.

--Dobre płuca -- powiedział Heribert, który przestępował z nogi na nogę, by lepiej widzieć. -- Wydaje się silna.

--Jest błogosławieństwem -- wyszeptał Sanglant, całując maleństwo w pomarszczone czołko.

--Jak ją nazwiesz? Ojciec ma prawo nadać imię.

Podniósł wzrok zaskoczony. Jej mała doskonała dłoń znalazła jego mały palec i ścisnęła. Miała mocny chwyt urodzonej wojowniczk.

--Właśnie to zrobiłem -- powiedział, wiedząc, że to prawda. -- Blessing.

Liath była zbyt słaba, by karmić niemowlę. Meriam próbowała herbatki z pokrzyw i pietruszki, ale na sutkach Liath zebrało się tylko kilka kropli przezroczystego płynu, a potem wyschły i niezależnie od tego, czego próbowała Meriam: fenkułu, kawałków mięsa utartych na papkę, naparu z werbeny albo mlecza, jej piersi pozostały jałowe. Niemal cały czas spała i niekiedy trudno było ją obudzić, by zjadła trochę owsianki i wypila wino. Czasami była rozpalona gorączką; czasami leżała zimna jak trup i tylko oddychała słabo.

Kiedy była rozpalona, rzucała się i majaczyła niezrozumiale:

--Niebiosy obracają się szybciej niż jakiekolwiek koło młyńskie, głęboko pod Ziemią i ponad nią. Ale one i ich stworzenia są wieczne. Ziemia jest śmiertelna. Uważajcie jednak, ona odchodzi niezwykle szybko. Czym ta wstęga światła, biegnąca poprzez niebiosy, przeszkadzająca im? Ma tylko jedną stronę i nigdy się nie kończy. Wraca tylko na miejsce początku.

Czasami, kiedy się rzucała, nie zapalone świece buchały płomieniem i zapalały się knoty zgaszonych lamp. W takich chwilach przestraszeni służący uciekali z chaty. Tylko Jerna, która była teraz dzielniejsza, pozostawała, zawsze trzymając się blisko dziecka, głaszcząc je, dmuchając na jego czarne włosy i strosząc je, a potem znów przyglądając. W nocy nawet zwijała się wokół kołyski, nieziemski strażnik, kiedy Sanglant próbował trochę się przespać, choć jego sen zawsze był przerywany przez płacz dziecka albo nagle ataki gorączki Liath.

Od czasu do czasu Liath próbowała zainteresować się dzieckiem, ale zasypiała wyczerpana jego ciężarem na swej piersi albo, co gorsza, wybuchała jęczącym, słabym płaczem, ponieważ nie mogła go nakarmić. Płacz ją wyczerpywał i zasypiała zimnym snem, dłonie mając jak lód.

Dziecko wrzeszczało i wrzeszczało. Sanglant nosił ją w nosidle na piersi lub biodrze albo kładł w kołysce, którą skonstruował Heribert, a wszędzie, gdzie poszedł, kłębili się wokół niego służący, próbując dotknąć Blessing, tak wściekle zaciekawieni jej pojawieniem się, że zaniebdywali swe obowiązki i Severus narzekał klótniwie, że jego chleb był przypalony, owsianka zimna, a koce na łóżku w nieładzie, a powinny zostać złożone, gdy wstawał rano.

Zgodnie z sugestią Meriam, Sanglant wydoił kozy i próbowali wszystkiego, podgrzewając mleko i wlewając je w usta dziecka kropla po kropli, maczając róg tkaniny w mleku i wsuwając mu w usta, robiąc sutek z owczego jelita, by ssalo. Ale wypijała tylko odrobinę, a potem odwracała głowę. Wrzaski zmieniły się w płacz, a płacz w jęki.

--No cóż -- powiedziała Anne cztery dni po porodzie, obojętnie spoglądając na dziecko. -- Umrze. To dowodzi jedynie, że nigdy nie miało się urodzić.

Wyrwało mu się warknięcie; wystarczyło, by pies Eików wstał i zaszczekał, wystarczyło, by nowy towarzysz Anne, czarny ogar, warknął i rzucił się na niego.

--Spokój! -- powiedziała Anne i ogar usiadł. Nie nazwała go jeszcze i wydawała się nieskora do tego. Uśmiechnęła się do Sanglanta i wydało mu się, że kpi z niego, czekając, aż

eksploduje z gniewu, patrząc, jak życie wycieka z jego córki.

Ale strach i rozpacz uleczyły go nieco -- nie miał koszmarów, odkąd urodziła się Blessing -- i teraz furia wygnała dawne instynkty. Położył dłoń na głowie swego psa, by go uspokoić, i spojrzal Anne prosto w oczy.

--Masz tak mało współczucia, że staniesz z boku i pozwolisz swojej wnuczce umrzeć?

--Niezbadane są wyroki boskie.

--Wobec tego, jeśli tak mało masz w sercu miłości, pomyśl o złotym torkwesie, który nosisz na szyi. Czy nie masz obowiązku wobec swego rodu, by go przedłużyć?

Zainteresowała się tym bardziej niż dzieckiem.

--Co masz na myśli, księżę Sanglancie?

--Odkąd się spotkaliśmy, zastanawiałem się, z jakiego królewskiego rodu się wywodzisz. Jeśli mam rację, nie rozumiem, dlaczego nie zrobisz wszystkiego, by dziecko przeżyło. Czy możliwe jest, abyś nie była wnuczką cesarza Taillefera?

--A dlaczego myślisz, że nią jestem? -- rzekła, ale zauważył jej zaskoczenie i ta reakcja upewniła go, że celnie uderzył.

--A kim innym mogłabyś być? Nie pochodzisz z varryjskiego rodu, bo została tylko moja ciotka Sabella, jej córka Tallia i jej biedny mąż idiota, niezdolny do rządów. Nie jesteś z wendarskiego rodu, bo znam wszystkich moich krewnych. Gdy umarła królowa Sophia, rada mego ojca dyskutowała o wszystkich saliańskich księżniczkach, zamężnych, niezamężnych i oddanych kościołowi, poczynając od najstarszej sześćdziesięcioletniej jędzy, na dziewięćlatce kończąc, ponieważ zastanawiano się, czy któraś nadawałaby się na żonę. Nie wspomniano o kobiecie wyglądającej jak ty i w twoim wieku. W Karrone nie odważają się nosić torkwesu. Domy królewskie ze wschodu również nie ozdabiają się w ten sposób. Królowe Alby noszą naramienniki, nie torkwesy, by pokazać swe urodzenie. Przyznaję, możesz być Aostanką, ale według plotek cały ród królewski Aosty, prócz królowej Adelheidy, został wybity. -- Uśmiechnął się lekko, myśląc, że gdyby nie Liath, pewnie sypialby teraz z Adelheidą. Ale gdyby nie Liath, nadal byłby przykuty do tronu Krwawego Serca, szalony. -- Kim innym możesz być? Święta Radegundis była w ciąży, gdy Taillefer zmarł. Nikt nie wie, co się stało z dzieckiem, które urodziła. Ale ty wiesz.

Nic nie powiedziała.

Blessing zadrżała i jęknęła, odwracając głowę, obmacując jego pierś, ale nic dla niej nie miał. O Boże, był teraz taki zły, czując to małe ciało pomiędzy ramieniem i piersią, że mógłby skoczyć i zadusić tę władczą kobietę, która spoglądała na niego zimnym wzrokiem cesarzowej, patrzącej na coś, co powinno ująć jej uwagę; powinno, ale nie uchodzi, bo przygwoździł ją, odgadując prawdę. Przebił jej gładką skorupę i poznał sekret Liath.

O Pani! Znał sekret Liath i poznał triumf. Czym było, w porównaniu z tym, pochodzenie Adelheidy? Henryk musi teraz zaakceptować małżeństwo. Zaprawdę, Henryk na pewno chętnie powita takie małżeństwo, swój ród złączony dzieckiem z rodem Taillefera, najpotężniejszego cesarza, jakiego znał świat daisanicki. Jeśli Henryk szukał innego sposobu niż bezmyślna siła, by odbudować Święte Cesarstwo Dariyańskie, to dziecko miało mu go zapewnić.

--Pomóż mi ocalić mą córkę -- rzekł i tym razem głos mu się załamał. Wiedział, że Anne zinterpretuje to jako słabość i poszuka szczeliny, w którą będzie mogła wbić sztylet. W tej chwili, gdy na nią patrzył, zrozumiał, że ona zawsze chciała go zabić. Była tylko subtelniejsza

od reszty.

--Nie -- powiedziała.

--Czy ty w ogóle nie masz serca? -- zapytał. -- Czy w młodości nikt cię nie kochał? O Boże, kto cię wychował?

--Kobieta o imieniu Klotylda.

--Pokojówka Radegundis. -- Przypomnił sobie opowieść, choć nie rozumiał, jak zagubione dziecko Radegundis zdołało spłodzić potomka.

--To prawda, że Klotylda była pokojówką Radegundis, ale zawsze, wszystkimi swymi czynami służyła wiernie biskupinie Tallii. Zrobiła, co musiało zostać zrobione, by stawić czoła większemu zagrożeniu. A ja uczynię to, co musi zostać uczynione, jak ona mnie nauczyła.

--Jak śmierć tego dziecka pomoże twojej sprawie?

--Bo to jest twoje dziecko, księżę Sanglancie. Jest krwią z twojej krwi, a ja przysięgam, że dopilnuję, by ta krew nigdy więcej nie rozkwitła na Ziemi. Gromadzili siłę w eterze, gdzie żyją bliżej Komnaty Światła, z której wypływa wszelka potęga. Zamierzają wrócić na ten świat i rządzić nim żelazną ręką, swymi ohydnyymi ofiarami. Zamierzają ugasić Światło kościoła i okryć Ziemię ciemnością Nieprzyjaciela, ponieważ są jego stworzeniami.

Ze złością pokręcił głową.

--Liath powiedziała mi kiedyś, że Zaginieni zrodzeni zostali z ognia i światła i są splamieni ciemnością tylko dlatego, że wszystkie rzeczy na tym świecie są nią splamione. Jak mogę być gorszy od ciebie?

--Jesteś ich stworzeniem, księżę Sanglancie -- powiedziała zimno. -- A Liath jest moim.

--Jest twoją córką! Na pewno jest dla ciebie czymś więcej niż tylko narzędziem!

--Wszyscy jesteśmy tylko narzędziami, księżę Sanglancie, ale niektórzy z nas działają w imię Boga, a inni w imię Nieprzyjaciela. Nie sądź, że dziecko zrodzone z twojego rodzaju będzie mile widziane na Ziemi tak długo, jak długo ja i moi ludzie jesteśmy tu, by was powstrzymać.

Poznał kiedyś rozpacz. Teraz doświadczył jej znowu.

Anne odeszła, a on wycofał się, żeby się przegrupować, cierpieć, walczyć tak jak Liath, kiedy ze wszystkich sił starała się dać życie błogosławieństwu. Liath mogła umrzeć. Blessing mogła umrzeć.

Ale nie, jeśli on mógł temu zapobiec.

Oparł się o drzwi chatki, wyczerpany, pozbawiony energii, z trudem łapiąc oddech. Dziecko tuliło się do niego, ciche i nieruchome, takie małe.

Meriam wyszła i ujrzała go.

--Liath śpi. -- Wzruszyła ramionami. -- Nie sądzą, by umarła, księżę Sanglancie, ale długo potrwa, zanim odzyska siły. Obawiam się jednak, że nic nie możesz zrobić, aby ocalić dziecko, skoro nie udało ci się nakarmić go kozim mlekiem. -- Potem odeszła, nie triumfując, ale wzdychając, jak rozsądna kobieta, która odczytała znaki i smutno jej z powodu bólu, który widzi na świecie.

Ale on ujrzał coś innego. Ujrzał, że Jerna przesuwają się ku drzwiom, czekając, aż on wejdzie. Wydało mu się, że widzi ją po raz pierwszy od wielu dni; był tak zajęty, a ona była tylko jednym z wielu stworzeń unoszących się wokół, rzeczą, której nie miał siły zarejestrować. Teraz wyglądała zupełnie jak kobieta, miała twarz złożoną ze wszystkich twarzy z Verny: pełnych ust Zoe, wysokich kości policzkowych Meriam, królewskiego nosa

Anne, szerokiego mądrego czoła Venii i włosów Liath opadających jej do pasa niczym woda, wystarczająco przezroczystych, by widział przez nie zasłonę wiszącą w drzwiach. Przybrała kobiecy kształt: wdzięczną krągłość szerokich bioder, zasłonę z mgły zakrywającą skromnie kobiece atrybuty, mocne ramiona i piękną szyję oraz piersi tak obfite, że natura nie mogłaby ich stworzyć, pełne i ciężkie, broczące przejrzystym płynem.

Przez chwilę wydawało się, że to wbrew naturze. Ale potem Blessing zamiauczała i zadrżała w jego ramionach, i już się nie wahał.

--Jerna -- powiedział cicho, wabiąc ją do siebie, bo była płochliwym stworzeniem; wszyscy byli, ci, którzy pracowali jako służący w Vernie, pod surowymi rządami siostry Anne, tej, która zamierzała pozwolić umrzeć z głodu własnej wnuczce.

Ale on będzie walczył o swoją córkę do ostatniego tchu.

--Jerna -- powiedział i podpłynęła do niego, nie kobieta, a coś innego, coś próbującego stać się kobietą. Ten czyn mógł ją na zawsze naznaczyć, oddzielić ją od jej rodzaju, który nie stąpał po Ziemi, tylko w powietrzu, pod Księżycem. Ten czyn mógł na zawsze naznaczyć Blessing, bo kto mógł rzec, jakie pożywienie zapewni jej eteryczne stworzenie, mieszkające bliżej Boga niż ludzkość i zbudowane z innych proporcji żywiólów? Ale musiał spróbować.

Podał jej Blessing, a stworzenie wydało z siebie nieartykułowane, pełne satysfakcji westchnienie i przystawiło sobie dziecko do piersi. Blessing pomacała, znalazła sutek i zaczęła ssać.

2.

Po mokrej i zimnej podróży trwającej ponad pięć miesięcy, Hanna wreszcie dołączyła do królewskiego dworu w zamku Lavas, w dzień świętej Samais z Sartoru. Modliła się tego ranka o wschodzie słońca do świętej, szczególnie ukochanej przez służących, bo czyż święta Samais nie była praczką, która uprała szaty błogosławionego Daisana, jedyne, co pozostało po nim na ziemi, gdy został uniesiony do Komnaty Światła podczas Ekstazy? Czyż woda, w której uprała błogosławione odzienie, nie leczyła chorych i chromych? Święta Samais wołała męczeństwo, miast oddania szaty błogosławionego Daisana wysłannikom cesarzowej Thaisanii, zamaskowanej, ponieważ cesarzowa wiedziała, że odzienie posiadało cudowne właściwości, które chciała kontrolować.

Nie, żeby, rozmyślała Hanna, dojeżdżając do szczytu wzniesienia i widząc w dole zamek Lavas, ona sama szukała męczeństwa jak dawni święci, ale była lojalna wobec Henryka i miała nadzieję, że będzie służyć mu równie wiernie jak święta Samais błogosławionemu Daisanowi. Manfred zginął na służbie Henryka i miała nadzieję, że gdyby już do tego doszło, to starczy jej odwagi i wierności, by umrzeć równie honorową śmiercią.

Ale ukąszenie osy nadal paliło jej serce, gnębiące, nieustępliwe, nieprzyjemne. Nadal co noc śniła o księżniczce Kerayit.

Zatrzymał ją Lew stojący na straży.

--Hanno, przyjaciółko! Jak się miewasz? Jakie wieści od księżniczki Sapientii? -- To był jej stary druh, Ingo, zdrowy i dobrze odżywiony.

--Księżniczka Sapientia miała się dobrze, gdy widziałam ją po raz ostatni. Ona i ksiązę Bayan pokonali Qumanów.

--Bogu niech będą dzięki! A ty, przyjaciółko?

Roześmiała się.

--Szczęśliwa jestem, że nie muszę dzisiaj jechać dalej. Król Henryk szybko się przemieszcza. W zeszłym miesiącu okulały mi aż trzy konie i tak strasznie lało! Wydawało mi się, że ciągle jestem dwa dni za nim. Co tu nowego, przyjacielu?

--Nie słyszałaś? Królowa Matylda umarła, niech spoczywa w pokoju w Komnacie Światła. Król usłyszał o tym w Autunie. Siedem dni i nocy modlił się, odziany jedynie w szatę pokutną. -- Ingo westchnął i otarł łzę. -- Jego żalność wszystkich do łez wzruszyła. Wciąż płaczę, myśląc o tym.

--Cześć jej pamięci -- powiedziała Hanna, jak należało. -- Co was zatem sprowadza do Lavas?

--Strasznie wielki sąd się tu odbywa. -- Nastrój mu się zmienił i z obrzydzeniem splunął na ziemię. -- Szlachta znowu żre się o ziemię. Chciwe bydlaki zawsze chcą więcej dla swoich ulubionych dzieci. Myślisz, że są zadowoleni z tego, co mają, ale nie. Czy to się nigdy nie skończy? -- Westchnął. -- No cóż. Hrabia Lavastine był sprawiedliwym człowiekiem. Niedobrze, że umarł.

--Nie przypominam sobie, żeby był stary albo chory -- rzekła Hanna zaskoczona wiadomością.

--Nie był. Wyroki boskie są naprawdę niezbadane. -- Uniósł dłoń, by przywołać ją do siebie i musiała pochylić się z siodła, by go słyszeć. -- Może były to czary, jak niektórzy gadają.

Wyprostowała się, zaskoczona tym, jak cofnął się od swych towarzyszy i mocniej chwycił

oszczep, jakby obawiał się ataku.

--Wszyscy zdają się teraz gadać o czarach. Co z księciem Sanglantem? -- Było to zawołane pytanie o Liath.

--Byłaś wciąż przy królu, gdy księżę odjechał, prawda? No cóż, nie wrócił i nikt nic o nim nie słyszał. Gadali, że twoja towarzyszka go zauroczyła.

--Nadal tak gadają? -- zapytała ostrożnie.

--Ach -- rzekł, odczytując w jej twarzy coś, czego nie zdołała ukryć. -- Nie słyszałaś wieści. Sobór w Autunie ekskomunikował ją za praktykowanie czarów.

To był bolesny cios i łatwiej go było przyjąć w samotności. Podziękowała mu i odjechała, a wjeżdżając do zamku, zauważyła, że miejscowi milczą, a dworzanie, niczym kontrapunkt, nieustannie szepczą, zdając się bawić bardziej, niż powinni, biorąc pod uwagę naturę oskarżeń i śmierć dobrego człowieka. Czy w naturze ludzkiej leżało czerpanie przyjemności z cudzego nieszczęścia?

Oddała konia giermkowi, otrząsnęła z odzienia warstwę najgorszego brudu i podążyła do dworu, porządnego drewnianego budynku o bielonych ścianach i potężnych belkach sklepienia, pomalowanych smolą, by odpędzić korniki. Nigdy wcześniej tu nie była, choć Liath odwiedziła to miejsce ponad rok temu i opowiedziała Hannie trochę o tym, co zaszło między nią a lordem Alainem. Wydawało się, że los się uparł, żeby rozdzielić ją i Liath. Bóg jeden wiedzieli, gdzie Liath teraz była i w jakim stanie. I zapomniała zapytać Ingo o Hugona.

Jej towarzysze Folquin i Stefan stali na straży u wrót do dworu, pokleпали ją po plecach i wyszeptali powitanie, po czym wpuścili, choć na zewnątrz zebrala się chyba setka osób, którym zabroniono wejścia. Nic dziwnego: w środku tłoczyło się tylu, że mimo wilgotnego wiosennego chłodu było tam gorąco i śmierdziało. Ktoś pomyślał i rozrzucił na podłodze miętę wraz z sianem, ale zapach potu i tak przenikał wszystko. Musiała przepychać się łokciami, gdyż ludzie tak bardzo skupili się na rozgrywającej przed nimi scenie, że nie zwracali uwagi na jej Orlą odznakę.

Powoli zbliżała się do celu. Gdzieś na przodzie ludzie zeznawali na temat Lavastine'a, jego pierwszego małżeństwa, straszliwej śmierci jedyne go ślubnego dziecka i kochanki, z którą niegdyś sypiał, zmarłą w połogu.

Przepchnęła się obok dwóch służących odzianych w porządne lniane tuniki, jej matka powiedziałaby -- kurczaków przebranych za labędzie, po czym utknęła za wyjątkowo szerokim szlachcicem, który zdawał się nie odczuwać jej szturchnięć. Był na tyle niski, że ponad jego ramionami dostrzegła podwyższenie, na którym Henryk siedział na tronie. Król wydawał się zmęczony. Na twarzy miał zmarszczki, których nie było pół roku temu. Za nim stała Hathui; do perfekcji opanowała kamienny wyraz twarzy lojalnej służącej. Jego siostrzenica Tallia siedziała po lewicy, Helmut Villam po prawicy. Po przeciwnych stronach siedzieli lord Alain i lord Godfryd, strony sporne.

Henryk uniósł dłoń i rządca wezwał następnego świadka, otyłą starszą kobietę, która, sądząc po poplamionym fartuchu, została wezwana z kuchni. Szlachcic przed Hanną wiercił się i mimo że próbowała się przepchnąć, nie mogła go wyminąć i została wciśnięta między niego, stół i ławę. Atmosfera w sali była tak gęsta i napięta, że nie miała odwagi wrzasnąć jak Hathui: „Droga dla królewskiego Orła!”, choć miała do tego prawo.

Wlazała na ławkę obok trzech pięknie odzianych chłopców i słyszała, jak kucharka

opowiada swą historię z zadziwiającym opanowaniem.

--Tak, Wasza Królewska Mość, to by była Cecylia. To dziewczyna, która, jak wszyscy wiedzieli, była kochanką Lavastine'a, niech spoczywa w spokoju, ale nie ona urodziła hrabiego Alaina. Urodziła zniekształconego chłopca, naszego Półglówka. Niestety, umarł dwa lata temu, biedne dziecko. Wpadł do rzeki i utonął, tak myślimy, bo nigdy nie odnaleziono ciała.

--Nie uważacie, że mógł uciec, że nadal żyje? -- spytała Hathui.

--Nie, Orle, nigdy by stąd nie odszedł. Stąd wiemy, że umarł. Zniknął jednego dnia i nie wrócił.

--Czy hrabia Lavastine wiedział, że ten chłopiec, Półglówek, był dzieckiem jego kochanki?

-- zapytał Henryk.

Wtedy się zmieszala, mnąc fartuch w rękach.

--Nie, Wasza Królewska Mość. Tej samej nocy przyniesiono biedną żebraczkę i ona i jej dziecko umarły, więc powiedzieliśmy, że Półglówek był jej, a umarło dziecko Cecylii. Nie sądzę, żeby ktoś poza naszą trójką znalazł prawdę, a wszystkie przyrzekliśmy nigdy o tym nie mówić, bo młody hrabia właśnie się zaręczył, a jego narzeczona była zazdrośnicą, pielęgnującą w sobie złość, niech spoczywa w spokoju. Chciałyśmy go chronić.

--Więc skłamałyście.

--Tak, Wasza Królewska Mość. Żałuję za ten grzech, ale pewnie zrobiłabym tak znowu. Bóg tę sprawę rozsądza, nie ja.

--Kto znalazł prawdę?

--No cóż, wiedziałam ja, diakonisa Marianna, i wiedziała stara Agnes. Diakonisa i stara Agnes były przy każdym porodzie, a ja pomagałam Agnes, kiedy potrzebowała pomocy, przynosiłam płótno, wodę i piwo dla rodzących, i tak dalej. Obie już nie żyją, niech je Bóg mają w swej opiece. Tylko ja żyję z tych, które były przy porodach, ponieważ podczas trzech nocy urodziło się czworo dzieci. Jedno było biednym, martwym dzieckiem żebraczki, niech Bóg czuwa nad nim i jego matką. Jednym był Półglówek. Jednym był hrabia Alain. A ostatnim była taka kruszynka, dziewczuszka, której nigdy więcej nie widziałam, bo jej ojciec i matka uciekli następnego ranka, chociaż kobieta jeszcze słabowała. Chyba się bali, bo trzy pozostałe matki umarły. Uważali to za zły omen. Bali się, że ona też umrze, jeśli zostaną.

Na te słowa Godfryd zaczął mówić.

--Spokój, spokój -- rzekł Henryk, unosząc dłoń. -- Jeśli wiedziałaś, że ten chłopiec, Półglówek, był dzieckiem urodzonym przez kochankę Lavastine'a, a chłopiec Alain został zrodzony przez inną kobietę, dlaczego nic nie powiedziałaś, kiedy hrabia Lavastine ogłosił tego młodzieńca swym dziedzicem?

Kucharka zakłopotana się.

--A co miałam rzec, Wasza Królewska Mość? Miałam pouczać hrabiego? Miałam za niego rządzić?

--Mogłaś mu powiedzieć, co wiedziałaś.

Wskazała na Alaina.

--No i były psy, Wasza Królewska Mość.

Oczywiście, wszyscy spojrzeli. Ogary siedziały po obu stronach Alaina. Trzymał dłonie na ich karkach, jakby je powstrzymywał -- albo jakby one go podtrzymywały. Nie mogła jednak odczytać nic z jego twarzy, może jedynie pewien spokój pełen rezygnacji. Jego czarne włosy

zostały niedawno przycięte, odzież była piękna i dopasowana. Ale prócz psów nie miał przy sobie nawet jednego służącego, podczas gdy lord Godfryd otoczony był przez krewnych, którzy, z pustymi pochwami u pasa i założonymi wyzywająco ramionami, zdawali się gotowi, by rozstrzygnąć spór za pomocą pięści. Lord Godfryd miał czerwoną twarz, co zdarza się wtedy, gdy zbyt wiele waporów przenika z krwi do mózgu. Wydawał się gotów w każdej chwili wybuchnąć gniewną przemową.

--Psy? -- spytał Henryk.

--Ma dar do psów, Wasza Królewska Mość. Tak jak hrabia Lavastine, jego ojciec, a przedtem ojciec jego ojca, niech ich dusze spoczywają w spokoju w Komnacie Światła. -- Zmarszczyła brwi, jakby widziała coś, czego inni nie dostrzegali, spojrzała przez ramię, jakby szukała kogoś w tłumie, a potem zawstydzona potarła kartoflowaty nos. -- Biedna Róża. To dziewczyna, która była matką hrabiego Alaina, bo dobrze wiem, że go urodziła. Widziałam, jak się wydostał z jej ciała, zupełnie tak samo jak widziałam Półglówka wychodzącego z Cecylii. Nie można ich było pomylić, bo Półglówek przyszedł na świat z powykrzywianą twarzą i dziwnymi nóżkami, a Alain był najlepiej uformowanym dzieckiem, jakie widziałam. Ale Cecylia była dobrą dziewczyną, posłuszną i cichą. Nigdy nie poszła z żadnym mężczyzną prócz hrabiego i sama nie wiem, czy ona go tak naprawdę chciała, wybaczcie, Wasza Królewska Mość. Zawsze mówiła, że w jej wiosce jest młodzieniec, którego chce poślubić, kiedy wróci do domu. Róża zaś, niestety, była dziwką, nie ma na to innego słowa. Śliczna jak róża była ta dziewczyna. Stąd wzięła to imię, bo nie wiem, czy miała swoje. Ona i jej ludzie przybyli z Salii rok czy dwa wcześniej, żeby znaleźć pracę przy żniwach i nie mieli nic swojego, biedni byli jak myszy kościelne. Za biedni, żeby ich jakiś pan przyjął... Człowiek, który twierdził, że jest jej ojcem, wołał na nią po prostu „dziewczyno” i wszyscy podejrzewaliśmy, że robi z nią to, co jest wbrew naturze, jeśli wiecie, co mam na myśli, Wasza Królewska Mość.

Ludzie wokół Hanny zachichotali i zaszepotali, bawiąc się tym pikantnym szczegółem. Henryk zmarszczył brwi i uderzył berłem o podłogę, raz, mocno. Wszyscy ucichli.

--Proszę, niech ta kobieta zeznaje w ciszy.

Znów potarła nos, który zrobił się bardzo czerwony albo od gorąca w sali, albo od królewskiej uwagi.

--Była taka biedna, a jej ojciec ją tak źle traktował, zawsze ją bił i wyzywał nieprzyzwoitymi słowami przy wszystkich, że nic dziwnego, iż łapała okazję, gdy ją tylko znalazła. Wszyscy wiedzieli, że się umawia w starych ruinach. Zawsze gadała o tym, że spotyka tam Zaginionych i że przychodzi do niej książę dawnego ludu i zamierza uczynić ją królową. Kto wie, czy się tam nie spotykała z młodym hrabią? Wszyscy mężczyźni w tym zamku spoglądali na nią z żądzą w oczach, była taka ładna i zachowywała się tak, że wiedziałeś, że jeśli dasz jej dobrą zapłatę, no cóż, wybaczcie, pięknie ci wygodzi. Hrabia Alain może być równie dobrze synem hrabiego Lavastine'a jak każdego innego mężczyzny.

Lord Godfryd, wciąż na skraju wybuchu, wreszcie krzyknął:

--Może być pomiotem każdego mężczyzny z tego zamku! Może być bękartem najgorszego koniucha! O Panie! Równie dobrze może być wynaturzonym wynikiem kazirodczego związku dziewczyny i jej ojca!

--Wybaczcie, panie -- odparła kucharka z zaskakującą wrogością. -- Ale co wtedy ze świadectwem psów? Tylko hrabiowie Lavas mogą ich dotknąć. Słuchają hrabiego Alaina tak,

jak słuchały hrabięgo Lavastine'a. To wystarczało hrabięmu Lavastine'owi, a był ostrożnym człowiekiem i dobrym dla nas panem. Ufaliśmy mu i nigdy nie mieliśmy powodu, by kwestionować jego osąd. Zrobił tylko jedną głupią rzecz w życiu, gdy jego córka została zabita i pokutował za to do końca swych dni.

--Mocne słowa -- powiedział Henryk. Jego siostrzenica Tallia zadrżała, jakby jego głos ją przestraszył, ale nie podniosła wzroku znad swoich kolan. Miała bladą twarz, blade włosy, blade dłonie, była niemal bezbarwna, kontrastując mocno z pulchną młodą szlachcianką, która stała obok ze złożonymi dłońmi i poważnym wzrokiem, od czasu do czasu spoczywającym na Alainie.

--A co z tym chłopcem, Póglówkiem? -- zapytał Henryk. -- Wydajesz się pewna, że był bękartem Lavastine'a. Czy mógł dotknąć psów?

--Ale, naprawdę, Wasza Królewska Mość -- rzekła, chichocząc. -- Był za głupi, żeby spróbować i nikt mu nie pozwalał. Miał zniekształcone ciało, biedaczek, najśłodsza duszę, jaką można sobie wymarzyć i nie po kolei w głowie.

--Proszę was, Wasza Królewska Mość, czy pozwolicie mi przemówić? -- odezwał się Alain. Jego głos podniósł Hannę na duchu; nigdy wcześniej nie słyszała, jak mówił, ale w jego tonie nie było niczego paskudnego ani gniewnego, niczego, co by człowieka zakłopotало albo rozdrażniło. Henryk skinął głową. -- Psy nigdy nie atakowały Póglówka.

Było to szokujące stwierdzenie w obliczu naprawdę paskudnego oskarżenia, jakie właśnie wysunął jego przeciwnik. Młoda szlachcianka siedząca u boku Godfryda -- najprawdopodobniej jego żona, bo trzymała na kolanach dziecko -- pochyliła się, żeby zaszeptać Godfrydowi do ucha, a on rozparł się na krześle poirytowany, ale nie otwierał ust.

--Co mówisz? Nie rozumiem, co masz na myśli. -- Henryk cofnął się na tronie, zaciskając dłonie na smoczach podłokietnikach. Ich rzeźbione języki wystawały spomiędzy jego palców i pocierał je obojętnie, słuchając.

--Nigdy go nie atakowały -- powtórzył Alain. -- Nigdy się na niego nie rzuciły ani nie próbowały go ugryźć, jak wszystkich innych. -- Specjalnie nie patrzył na Godfryda.

--Wszystkich prócz ciebie -- warknął Godfryd. Jego twarz w jednej chwili z czerwonej stała się biała: znak grzesznika albo człowieka przestraszonego. -- Bo jesteś wysłannikiem Nieprzyjaciela. Użyłeś czarów, by je zniewolić tak jak użyłeś czarów, by nagiąć mego kuzyna do swej woli. Wszyscy słyszeliśmy opowieść, że starszy Charles Lavastine został oskarżony o zawarcie paktu z Nieprzyjacielem, by dostać te psy. Dlaczego ktokolwiek miałby je chcieć? Wszyscy widzieliśmy i słyszeliśmy, jakie są złośliwe. Mogą być jedynie stworami Nieprzyjaciela i jeśli cię słuchają, to na pewno dlatego, że ty też jesteś sługą Nieprzyjaciela!

--Spokój! -- krzyknął Henryk, wznosząc dłoń, gdy tłum zaczął się wiercić i szeptać. Ogary zawarczały cicho, ale Alain dotknął ich pysków i położyły się, opierając wielkie lby na przednich łapach. Król umilkł, gdy Hathui pochyliła się, aby zaszeptać mu do ucha. Skinął głową, a ona wydała rozkaz służącemu, który właśnie wybiegł. Hanna posunęła się na ławce, znów utknęła, wciśnięta między szlachciankę i jej towarzysza. Pomyślała o przeczołganiu się pod stołem, ale charciki szlachcianki zbiły się tam w gromadę i nie tylko zawarczały, gdy się schyliła, by ocenić swe szanse, ale też zamieniły siano w śmierdzące lajno. Znów wspięła się na ławkę, gdy król zaczął mówić.

--To poważne oskarżenie, lordzie Godfrydzie, nie tylko przeciw lordowi Alainowi, ale też hrabięmu Lavastine'owi, jego ojcu Charlesowi młodszemu, jak również jego dziadkowi,

Charlesowi Lavastine'owi. Czy sugerujesz, że wszyscy byli w zмовie z Nieprzyjacielem?

Młoda szlachcianka i stary szlachcic, podobny do niej, pochylił się natychmiast i zaszeptali wściekle do Godfryda, który wyglądał na rozsierzonego i upokorzonego zarazem. Dziecko na kolanach kobiety zakwililo i dostało figę do żucia, by zamilkło.

Tłum zaczął gadać i przebiegał przez niego gniewny poszum, niby wśród pszczół wykurzonych z ula, ale Hanna nie potrafiła stwierdzić, przeciw komu skierowany był ten gniew. Alain nie poruszył się, jedynie poklepał jednego z ogarów po łbie. Tallia spojrzała na wuja. Wydawała się nie zauważać nikogo poza Henrykiem, a jednak jej wzrok przypominał spojrzenie królika wpatrującego się w jastrzębia, który zamierza go zjeść, a nie ufnej siostrzenicy. Czy ona zeszłego lata nie wyszła za lorda Alaina? Oczywiście! Wobec tego dlaczego nie siedziała obok niego?

--Nie, Wasza Królewska Mość -- odparł wreszcie Godfryd. -- Jasne jest, że hrabia Lavastine i jego ojciec Charles byli niewinni.

--Czy wobec tego oskarżasz starszego Charlesa Lavastine'a i jego zachowanie?

--Nikt nie wie, co on dał w zamian za ogary, ale sprowadziło to nieszczęście na jego dom. Wieść niesie, że jego własna matka zmarła w połogu w dniu, kiedy otrzymał psy. On sam miał tylko jedno dziecko, choć poślubił cztery kobiety, a z dzieci jego syna przeżyło tylko jedno, choć jego żona dziesięć czy dwanaście razy rodziła. Mój kuzyn Lavastine miał tylko jedno dziecko, córkę, i nie tylko ona i jej matka zostały zamordowane przez te psy, ale też plotkowano, że dziewczynka wcale nie była jego, że jego żona dopuściła się cudzołóstwa. Jeszcze dwa razy miał zamiar się żenić, ale obie kobiety umarły w nienaturalnych okolicznościach. Wreszcie to samo nieszczęście sprowadziło do zamku Lavas tego kłamcę, człowieka, który skusił i zaczarował mego kuzyna. I zabił go, jak słyszę. Wszyscy się zgadzają, że to czary zabiły Lavastine'a, jakiś paskudny stwór Nieprzyjaciela. Nawet ci, którzy z tego słowa nie powiedzą na tego bękarta, przyznają, że hrabia umarł w sposób nienaturalny. Czy to prawda? -- zapytał wreszcie, po raz pierwszy patrząc wściekle wprost na Alaina.

--Że czary zabiły hrabiego Lavastine'a? -- odparł Alain. -- Nie wątpię, że to prawda i pierwszy to powiedziałem. -- To spokojne stwierdzenie wywołało takie zamieszanie, ludzie zaczęli się pochyłać, gadać i gestykulować, a Hanna zdołała przeskoczyć z jednej ławki na drugą i przesunąć się tak daleko, że znalazła się w połowie drogi na czoło tłumu. -- Został zabity przez klątwę rzuconą na niego przez Krwawe Serce, wodza Eików, którego pokonał w Gencie.

Lady Tallia zarumieniła się, jej policzki zalał szkarłat. Towarzyszka dotknęła jej ramienia, jakby dając jej znak, ale Tallia nie zamierzała przemówić.

--Sprytny plan -- powiedziała szlachcianka siedząca obok Godfryda. Jej głos był słodki jak miód i przez to bardziej wstrętny. -- Ale nie masz dowodów.

--Książę Sanglant zeznałby, że rzucono klątwę. Kiedy był więźniem Krwawego Serca, widział niezwykle stworzenie, ożywione, by ją spełnić. To stworzenie, ta klątwa zabiły mego ojca.

Hanna jęknęła i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że całym sercem i duszą popierała lorda Alaina, a nie Godfryda, tylko z powodu jego zachowania w tej sali. Ale jaki był nastrój tłumu? Ona była jedynie dziewczyną z ludu. Szlachta bez wątplenia poprze swojego.

Henryk zdawał się rozgniewany na wzmiankę o Sanglancie.

--Nie masz więc wątpliwości, że jesteś synem Lavastine'a?

Alain odparł bez wahania:

--Może to prawda, że nie jestem synem hrabiego Lavastine'a. Nie wiem tego i nie mogę wiedzieć, nigdy nie znalazłem mojej matki. Wychowali mnie wolni chłopci, kupcy z wioski Osna, siostra i brat zwani Bella i Henri na cześć dzieci Arnulfa młodszego, na cześć waszą i waszej siostry, Wasza Królewska Mość. Powiedzieli mi jedynie, że urodziła mnie w zamku Lavas niezamężna kobieta i zgodzili się mnie wychować. Hrabia Lavastine zwrócił na mnie uwagę, dopiero kiedy przybyłem odsłużyć rok w zamku. Nigdy nie prosiłem, by mnie ogłosił swym dziedzicem. Ale uznał mnie za syna i obdarzył swym zaufaniem. Będę posłuszny jego życzeniom i postępował tak prawo, jak on starał się to całe życie czynić, ponieważ takim dziedzictwem obdarzył mnie na łożu śmierci. Przysiągłem mu wtedy dbać o hrabstwo i tytuł hrabiowski, jak sobie tego życzył. Wszyscy ludzie w zamku potwierdzą, że to prawda. Wielu z nich było tego świadkami. -- W sali pojedyncze osoby kiwały głowami, ale szlachta z otoczenia Henryka jedynie patrzyła. -- Znam swe obowiązki -- dokończył. -- Waszym obowiązkiem, Wasza Królewska Mość, jest osądzić inaczej, jeśli taką podejmiecie decyzję.

--Przyznajesz, że możesz nie być jego bękartem? -- zapytał Henryk szczerze zaskoczony.

--Bóg nakazuje nam mówić prawdę, Wasza Królewska Mość, a prawda jest taka, że nie wiem.

Rodzina Godfryda zadrżała i uśmiechnęła się z wyższością; niektórzy wyglądali na oburzonych, inni na radosnych. Podobne uczucia okazywali niektórzy dworzanie, którzy na pewno zastanawiali się już, czy chłopak z ludu wystawił ich na pośmiewisko i upokorzył, udając jednego z nich. Trzymał się z taką samą dumą, jednak jego wyraz twarzy znaczyły skromność i powaga, szlachetniejsze od zachowania wszystkich pań i panów na tej sali, z wyjątkiem samego króla. I za to go nienawidzili.

Ale Alain mówił dalej. Być może nie zauważał, co się dzieje. A może go to nie obchodziło. Albo może był naprawdę tak szczery, cud sam w sobie.

--Mój oj... hrabia Lavastine uznał mnie za swego syna i traktował jak syna. To, że jego życzenia w taki sposób nie są szanowane, jest oburzające, ale sam doskonale wiem, że wszystkich nas kusi pycha, zazdrość, chciwość i żądza, by działać w sposób, którego Bóg nie mogą pochwalić. Ale proszę was, byście się zastanowili, Wasza Królewska Mość. To osąd Lavastine'a jest tu kwestionowany, a nie moja wartość.

Godfryd był wściekły. Jego krewni mruzcili między sobą, zdenerwowani i źli, że ktoś ich pouczał, żona Godfryda zaś posadziła sobie dziecko wyżej na kolanach, jakby było towarem na targu, za który chce otrzymać najlepszą cenę. Henryk był zamyślony i pochylił się, mówiąc coś do Helmuta Villama. Jego siostrzenica siedziała sztywna jak posąg i wyglądała na zrozpaczoną. Czy zabroniono jej mówić? Czego pragnęła?

Hathui rozglądała się po sali, próbując ocenić reakcję dworu, i Hanna, widząc okazję, uniosła rękę, by zwrócić na siebie uwagę. Zajęło to kilka chwil, ale wreszcie Hathui ją dostrzegła i natychmiast wezwała przed króla. Lokaje utorowali jej drogę w tłumie i Hanna zdołała podejść i uklęknąć przed monarchą.

--Gdzie jest moja córka? -- zapytał Henryk. -- Jak się miewa?

--Dobrze, Wasza Królewska Mość. Wyszła za męża... -- Dworzanie zaczęli wiwatować i Hanna musiała poczekać, aż skończą, nim mogła mówić dalej. -- Ona i książę Bayan odnieśli zwycięstwo nad Qumanami. -- Ponieważ znów rozległy się wiwaty, podsunęła się bliżej i rzekła

cicho do króla: -- Mam więcej do powiedzenia, Wasza Królewska Mość, ale wasza córka nakazała przekazać wam to w miejscu bardziej odosobnionym, jeśli pozwolicie.

Henryk rozparł się na tronie i tłum uspokoił się, czekając na jego odpowiedź; król uniósł dłoń.

--Chcę spożyć wieczerę i dość już dziś usłyszałem. -- Wstał, a zgromadzeni zostali w ten sposób odprawieni.

Ale tego wieczoru o zmierzchu Hanna stała u boku Hathui i patrzyły, jak król przemierza ogród w lekkiej mżawce, która moczyła mu płaszcz. Przekazała mu wieści Sapientii, a teraz mogła po prostu spędzać czas z innymi Orlami, które jechały z królem, czekając, aż ją znowu odeśle.

--Wciąż oplakuje matkę -- zauważyła Hathui. -- Niech spoczywa w spokoju. Mówię ci, Hanno, król potrzebuje radości w życiu, a nie sporu za sporem!

--Wobec tego jesteś po stronie hrabiego Alaina?

--Dzięki Bogu, że nie muszę wydawać wyroku! Oskarżenia lorda Godfryda są niepokojące i trudne do odparcia. Ale hrabia Alain nie jest głupcem. Król Henryk szanował Lavastine'a, a jak powiedział Alain, trudniej osądzić poczynania martwego niż wartość żywego.

--Tak sądzisz? Martwi nie mogą się bronić.

--Ale dobra reputacja sama jest bronią. Trudno wydać właściwy wyrok, gdy on nie może się bronić, bo widzisz przed sobą całe jego życie. Kim jesteśmy, by uważać, że zachowalibyśmy się inaczej, że nasze działania przyniosłyby lepsze wyniki? -- Ogród różany leżał pomiędzy wielkim drewnianym dworem a kamienną wieżą, otoczony z dwóch pozostałych stron krużgankiem i palisadą z bali. Pół tuzina służących chowało się pod dachem krużganku. -- Wierzę, że Lavastine i Alain zawsze będą się królowi kojarzyć z jego własnymi życzeniami wobec księcia Sanglanta. Z tego powodu uważam, że raczej wyda wyrok na korzyść hrabiego Alaina.

Hanna naciągnęła kaptur i związała go ciasno pod brodą. Wiatr się zmienił i deszcz zaczął w twarz. Z drugiej strony palisady słyszała konie prowadzone do stajni po wieczornej jeździe. Stajenni wykrzykiwali do siebie, śmiejąc się i żartując.

Na ścieżce za nimi rozległy się kroki, cofnęły się, by zrobić miejsce Villamowi. Przez chwilę rozmawiał z królem, a potem wrócił, skąd przyszedł: do kamiennej wieży.

--Jakieś wieści o Liath? -- zapytała Hanna cicho.

Nie widziała twarzy Hathui, ale poczuła, że kobieta sztywnieje i odsuwa się od niej nieco.

--Uciekła z księciem Sanglantem. Nie, to wiesz. Byłaś wtedy na dworze. Sobór w Autunie uznał ją winną czarnoksięstwa i nałożył na nią ekskomunikę. Jeśli będziesz się z nią zadawać, Hanno...

--Mnie też ekskomunikują. Ale mimo wszystko jest moją przyjaciółką i o cokolwiek by ją oskarżali, wiem, że jest niewinna. Co się stało z ojcem Hugonem?

Hathui warknęła cicho.

--Wysłano go do Aosty przed sąd skoposy. Tylko ona może wydać wyrok na człowieka jego rangi.

--Od tego czasu nic nie słyszałaś o Liath? Ani słowa od księcia Sanglanta?

--Nic... -- odparła Hathui jeszcze ciszej. -- A patrzyłam...

W jej tonie była ostrożność, ale w Hannie obudziła się ciekawość.

--Co to znaczy, że „patrzyłaś”?

Hathui rozejrzała się, aby się upewnić, że w zasięgu słuchu nikogo nie ma, służący byli daleko, a król poszedł w odległy kraniec ogrodu, gdzie krzywizna wieży przylegała do palisady. Tam po murze wspinał się głóg; król dotknął kwiatu, powąchał go, a potem zerwał, jakby nagle ogarnięty wściekłością.

--Służyłaś Orłom dobrze i wiernie -- powiedziała Hathui cicho. -- Ale musisz poczekać, aż wróci Wilkun, ponieważ nie mam wiedzy, by uczyć, tylko by widzieć kilka cieni.

--Nie rozumiem cię.

--Orzeł może widzieć nie tylko jednym wzrokiem. Wilkun i kilku innych zna ten sekret. Ci, którzy mogą, uczą się go, żeby pomagać nam i królowi. Ale nie możesz o tym nigdy z nikim rozmawiać. To jak nasza odznaka. To część naszej przysięgi że: będziemy służyć królowi i pomagać sobie nawzajem.

--Służ królowi i tylko jemu -- powiedziała Hanna, obserwując króla. Oberwał płatki kwiatu i zjadł je, krzywiąc się z powodu ich cierpkiego smaku, a potem zerwał drugą różę. -- Mów tylko prawdę o tym, co widzisz i słyszysz, ale milcz przy wrogach króla. Niech nic nie stanie na przeszkodzie twym obowiązkom wobec króla, ani pogoda, ani bitwa, ani przyjemność, ani zaraza. Ród swój stawiaj na drugim miejscu i nie bierz ślubu... -- urwała, a Hathui dokończyła za nią:

--Pomagaj każdemu potrzebującemu Orłowi i chroń swych towarzyszy przed wszystkim, co mogłoby ich zranić. I służ w wierze w Pana i Panią.

--Tak przysięgam -- wyszeptala Hanna, wspominając noc, kiedy dostała odznakę, która uczyniła ją Orłem, teraz i zawsze. Skrzywiła się, czując ukłucie bólu w piersi.

--Dobrze się czujesz? -- spytała Hathui, wyczuwając ruch.

Już osłabł, zniknął, jakby go sobie tylko wyobraziła. Król podszedł do nich.

--Hathui -- zawołał, a służący rzucili się ku niemu. -- Proszę. -- Wręczył różę Hannie. -- Zanieś ją mojej siostrzenicy. Powiedz jej, że dobrze, aby pamiętała, że ciernie tych słów, które nie kłamią, lecz zwodzą, są małe, ale twarde, a biała róża symbolizująca czystość skażona jest żyłkami.

Skłoniła się i odeszła, gdy król zawołał małego charta, którego wziął na smycz, żeby pobiegał w ogrodzie. Musiała zapytać służących i ku swemu zaskoczeniu odkryła, że Tallia nie mieszkała z mężem w hrabiowskiej wieży, tylko w namiocie ustawionym tuż za murami, który dzieliła z księżną Varingii.

Księżna była pospolicie wyglądającą kobietą, o przytłaczającej osobowości wysoko postawionej szlachcianki. Niemowlę wystarczająco duże, by siedzieć, królowało na złotej poduszce obok księżnej, a ta zabawiała gaworzące dziecko, klaszcząc w dłonie i laskocząc je w uszy. Przyboczna Tallii również przyłączyła się do zabawy, klęcząc i potrząsając skórzaną grzechotką, którą dziecko łapało. Konwersacja nie miała sensu, a prowadząca ją księżna Yolande traktowała Tallię tak samo jak dziecko i wyśpiewywała rymowanki, przerywając je komentarzami na temat odzienia i zachowania dworzan. Tallia nie powiedziała ani słowa. Dziecko było bardziej rozmowne.

--Czyż nie jest słodki? -- zapytała towarzyszka Tallię, ale ta gapiała się na dziecko jak na skorpiona biegającego po dywanie.

--Wasza Wysokość -- powiedziała Hanna, kłaniając się. -- Księżno Yolande. -- W świetle

lampy lepiej widziała kwiat wręczany lady Tallii: jedwabiste białe płatki rzeczywiście poznaczone były purpurowymi żyłkami tak bardzo, że róża wcale nie wydawała się biała. -- Jego Królewska Mość Henryk nakazał dać wam to, Wasza Wysokość, z tą wiadomością: „Powiedz jej, że dobrze, aby pamiętała, że ciernie tych słów, które nie kłamią, lecz zwodzą, są małe, ale twarde, a biała róża symbolizująca czystość skażona jest żyłkami”.

Tallia nie poruszyła się, nie wykonała najdrobniejszego wysiłku, by przyjąć kwiat, tylko się gapiała.

--Zwykła dziwka -- mruknęła, drżąc. Wydawała się mówić do siebie. -- Dlatego pokazał mi gwóźdź. Próbował splamić moją wiarę w Boga.

Dziwne, ale jej szyja była pokryta brudem, jakby zapomniała się umyć. Na szyi nosiła złote Koło Jedności i saszetkę wypchaną ziołami. Ich gorzki zapach laskotał Hannę w nos i sprawiał, że chciało jej się kichać. Z bliska włosy Tallii wyglądały na matowe i splątane, a pod oczami miała ciemne koła. Jej dłonie były chude, białe i poznaczone żyłkami jak kwiat, tyle tylko, że błękitnymi.

--Dajże spokój -- powiedziała księżna Yolande. -- To straszny cios, przyznaję, ale jest przystojnym i wygadany młodzińcem i spotkałam wiele szlachcianek, które były mniej wybredne w tym, kogo wpuszczały do łóżka. -- Wzięła różę od Hanny i zamachała nią przed dzieckiem. Wyciągnęło rączkę, złapało, a potem natychmiast ukluło się cierniem i zaczęło płakać. -- Nie przejmuj się! -- zawołała księżna. Wyjęła różę z dziecięcej rączki, pocałowała zaczerwioną skórę i laskotkami załagodziła żal. Róża, upuszczona na dywan, została podniesiona przez młodą dwórkę; szybko rozejrzała się wokół, a potem wsadziła kwiat za dekolt sukni, jakby był cennym trofeum.

--Pani Hathumod, nie powiedziałaś, co myślisz o tym skandalu. -- Księżna Yolande posadziła sobie dziecko na kolanach, a jej dwórki zgromadziły się wokół, żeby nad nim cmokać i laskotać w podbródek. Gulgotało radośnie.

--Nie, pani księżno -- odparła dwórka ponuro. -- Nie powiedziałam.

--Na pewno po miesiącach spędzonych z nim pod jednym dachem miałaś jakieś podejrzenia co do jego pochodzenia. Myślisz, że splodził go jeden z psów? -- Jej dwórki śmiały się i śmiały, ale pani Hathumod zachowała milczenie. -- Ach! Jesteś taka poważna i nudna, pani Hathumod. Może zabawisz nas jakimś nowym objawieniem?

Tallia podniosła wzrok zaskoczona, a potem westchnęła ostro, jakby syczała.

--Jak sobie życzycie, pani księżno -- rzekła Hathumod, ale spojrzała na Tallię. -- Wasza Wysokość?

--Tak -- odparła Tallia głosem pełnym pasji, a jej ramiona drżały jak w ataku epilepsji. -- Rozmawialiśmy o tym wczoraj.

--Dalej, mów! -- nalegała Yolande.

--Dyskutowałyśmy problem kobiecej świętości -- powiedziała Hathumod. -- Dlaczego Bóg wybrała mężczyznę na naczynie Swej świętości na Ziemi, a nie kobietę? Dlaczego wysłała Syna, by doświadczył śmiertelności, a nie córkę?

--Myślałam, że się zgodziłyśmy, iż wysłała świętą Teklę na świadka, bo słowo kobiety jest więcej warte od słowa mężczyzny.

Hathumod uśmiechnęła się promiennie, prosto z serca. Rozłożyła ramiona, jakby otwierała się przed niebiosami.

--Kobiety już są naczyniem Boga. Czy nie zostałyśmy stworzone na Jej podobieństwo? Bóg w swym miłosierdziu poświęcił Syna, ponieważ mężczyźni oddają swe życie w bitwie, by bronić swego rodu. Ale krew, którą tracą kobiety każdego miesiąca, przypomina nam o tym poświęceniu.

Heretyckie słowa strasznie Hannę niepokoiły. Posunęła się ku drzwiom, nawet lekko kaszlnęła, ale kiedy nikt nie zwrócił na nią uwagi ani nie zadal sobie trudu, aby ją odesłać, podeszła tyłem do drzwi i uciekła.

Znalazła Hathui z królem w ogrodzie różanym. Mżawka ustalała, ale kamienie lśniły, śliskie od wody. Charcik miał w sobie tyle energii co dziecko; skakał i szczekał, kiedy Henryk klaskał w ręce, odbiegał i wracał pędem na gwizd. Hathui stała obok króla, śmiejąc się wraz z nim, ale kiedy podniósł szczeniaka, przytulił go do piersi i nagle spoważniał, Hathui również umilkła. Król znów zaczął spacerować, głaszcząc psi grzbiety, podczas gdy służący patrzyli na niego z krużganków, a Hathui czekała na pobliskiej ścieżce.

Czy całą noc będzie tak chodził? Czy Hathui cały czas będzie go obserwować? Kamienie zwilżył przyniesiony wiatrem krótki deszczyk. Hanna otarła krople z nosa. Choć było ciemno, czuła, że nad głową pędzą chmury. Na terenie za palisadą zaszczekał pies. Jeden ze służących kichnął, a jego towarzysz wymruczał: „Na zdrowie”. Król zatrzymał się przy Hathui i powiedział coś cicho, ona odpowiedziała mruknięciem, a potem ruszył dalej. Hanna zastanawiała się nad ich bliskością, w której nie było nic dwuznacznego, tylko coś znacznie głębszego: głowa i dłoń.

Hathui zobaczyła ją i podeszła.

--Czy jest wiadomość dla króla?

--Nie. -- Powtórzyła, co usłyszała. -- Wyglądała jak w transie. Otrząsnęła się jedynie w chwili, kiedy zaczęły mówić o herezji, którą jest tak zafascynowana.

Hathui warknęła.

--Tego się spodziewaliśmy. To dziwna rzecz, mówię ci.

--Ciarki mi chodzą po grzbiecie -- mruknęła Hanna.

Hathui spojrzała na wieżę, gdzie w górnej komnacie wciąż paliło się światło.

--Idź już. Nie ma sensu, żebyś czekała całą noc.

--A ty będziesz, z królem?

Hathui wzruszyła ramionami.

--Teraz często przechadza się nocą. Jak mawiała moja babka, potrzeba mu w łóżku czegoś oprócz puchowej koldry.

Hanna zachichotała.

--Mówią, że w niczym nie przypomina Villama. Ani jednej kochanki od śmierci królowej Sophii. Sądzisz, że to prawda?

--Cicho! -- Ostrość odpowiedzi zaskoczyła Hannę. -- Nikt z nas nie ma prawa wypowiadać się o królu Henryku bez należnego respektu. Chciałabyś każdego dnia wydawać sądy w sprawach takich jak ta? Ma przed sobą trudny wybór. Lord Godfryd to człowiek o dobrym sercu, mimo całego gniewu, jaki dziś okazał, i ma za sobą silny ród oraz poparcie szlachty. Ale hrabia Alain to lepszy człowiek i król Henryk to wie. Ale Alain nie ma rodziny, która by go wsparła, prócz swej żony. Wszystko zależeć będzie od zeznania pani Tallii.

--Stąd róża.

--Stąd róża -- potwierdziła Hathui. -- Idź już. Przejechałaś szmat drogi. Należy ci się odpoczynek.

Znalazła baraki, w których stacjonowali jej towarzysze, rozwinęła koc wśród innych Orłów i cieszyła się ich towarzystwem, pijąc piwo i jedząc chleb i ser. Plotkowali o tym, gdzie byli i co widzieli, dzielili się wieściami i użytecznymi informacjami: jakie klasztory tłoczyły najlepsze piwo, które wioski były najprzyjaźniejsze, gdzie włóczyli się bandyci i które przecinki w lasach nawiedzały sfory agresywnych dzikich psów. Reszta chciała wiedzieć coś o wschodzie i jak tam było; opowiedziała im ze szczegółami o ślubie i rozbawiła, powtarzając poezje księcia Bayana. Gdybali po cichu na temat księcia Sanglanta, ale nikt nie wypowiedział imienia Liath, jakby opuszczając Orły usunęła się z ich pamięci, jakby się obawiali, że samo wymówienie tego słowa uczyni ich współwinnymi czarów albo na zawsze skazi wargi.

Ale Hanna dobrze się czuła, leżąc na sianie, wśród solidnych drewnianych ścian. W stajniach poniżej tupały konie; ich zapach i ciepło unosiły się i jeden po drugim jej towarzysze zapadali w sen. Zasnęła i śniła.

Zgubiła się, brnąc przez splątana, wysoką roślinność, która drapie jej dłonie i uderza w twarz. Podobne mieczom liście mkną ku czubkom kołyszącym się wysoko poza jej zasięgiem, las traw. Niebo zasnute jest chmurami. Dziwne mruczenie przenika powietrze, raczej wyczuwalne, niż słyszalne. Potyka się o pień, upada i ląduje z dłońmi w ociekających, śmierdzących wnętrznościach wielkiego niedźwiedzia o srebrnym futrze, który, wypatroszony i poćwiartowany, spoczywa na ziemi.

I wtedy pada na nią cień. Czuje podmuch, gdy szpony ocierają się o jej plecy i słyszy ostry wrzask rozczarowania. Nad nią jak miechy uderzają skrzydła. Rzuca się do ucieczki, przerażona, i zatacza się przez trawę, a jej dłonie ociekają krwią i żółcią, ale podmuch powraca, gorący i oszałamiający. Nie widzi go dokładnie, za bardzo się boi podnieść wzrok, ale to jakieś potworne stworzenie, a kiedy krzyczy, szpony opadają na jej ramiona, zaciskają się i chwilę później jej stopy nie dotykają już ziemi.

Kopie beznadziejnie, kiedy coś ją unosi, a ziemia maleje tak szybko, że w głowie jej się kręci, i wszystko, co może zrobić, to mocno ścisnąć swój oszczep. Nie schwyciły jej wcale ptasie szpony, raczej lwie pazury, a jednak w górze dostrzega szlachetną i przerażającą orlą głowę, z pędzelkami zamiast uszu i potężnym dziobem. Za masywnymi tylnymi nogami uderza złocisty ogon. W samym sercu oślepiających stalowoszarych piór na piersi, gdzie mogłaby zatopić swój oszczep, widzi pojedynczą białą plamkę, ale unieśli się już tak wysoko, że Hanna obawia się, że gdyby zabiła stworzenie, zginie od samego upadku.

Jeśli to tylko sen, to czy jej śmierć będzie miała znaczenie?

Nie chce tego sprawdzać.

Lecą, aż zaczynają boleć ją ramiona. Czuje tylko ból od wbijających się szponów, nie odczuwa natomiast upływu czasu. Mija dzień, godzina, minuta; nie jest pewna. Pejzaż się zmienia, gdy nad nim wisi. Może ona wcale się nie rusza, może to ziemia pod nią się obraca, kiedy tak wisi, Liath mówiła o takich rzeczach -- niebiosa stale się wokół nas obracają, szybciej niż wiatrak, pod ziemią i ponad nią, całkiem okrągłe i stałe, z wymalowanymi gwiazdami -- ale ona nigdy ich nie rozumiała albo lepiej powiedzieć, że nie rozumiała, bo po co zawracać sobie nimi głowę. Ale podczas ostatnich dwóch lat widziała wiele rzeczy, którymi zawracała sobie głowę tak, że aż ją rozbolała. Chmury spłynęły w dół za nimi, rozbiegając się jak owce, aż słońce

świeci przez dziury tak jasno, że musi mrugać bardzo szybko, aby przyzwyczaić się do ostrego blasku. Niedźwiedzia krew zastyga lepko na jej dłoniach, para nieprzyjemnych rękawic. Drżąc, patrząc na swe zakrwawione dłonie, uświadamia sobie, że niedźwiedź nie miał pazurów.

Przednimi trawa ustępuje miejsca wzgórzom piasku i płaskim skałom, głazom rozrzuconym w dziwne, podobne żyłom kształty, przez jakiś dawny kataklizm. Przed nimi ziemia lśni złotem i srebrem. Stworzenie obniża lot, aż Hanna widzi, że otwierająca się przed nimi równina jest pustynią, pokrytą piskami, które zdają się morzami złotych granulek przetykanymi kanałami srebrnego pyłu. Słońce zachodzi, zatapiając lśniące piaski w różnym świetle. Nagle zapada ciemność, rozjaśniana pojedynczym światłem: obozowym ogniskiem. Nie widzi księżyca.

Nagle lądują, a szpony ją puszczają. Stworzenie krzyczy, ogłusza ją, Hanna upada z dłońmi przyciśniętymi do uszu, gubi oszczep, uderza o ziemię. Uderza kolanami w klatkę piersiową i nie może złapać tchu, szuka czegoś, znajduje swój oszczep pod łokciem. Ostry piasek parzy jej skórę, nadal gorący po wielu godzinach prażenia się na słońcu. Ziarenka są dziwnie ukształtowane, niepodobne do żadnego piasku, jaki w życiu widziała: mają kształt dysku, są płaskie i okrągłe jak skamieniały paznokiec niemowlęcia. Jaki ocean zostawił tu taki piasek? Gdzie znajduje się brzeg?

Ogień oświetla postać podążającą w jej kierunku, która zna niczym własne serce, dla niej samej łatwe do przejrzania.

--Wezwałam cię -- mówi księżniczka, podając jej dłoń i pomagając wstać.

--Co to za stworzenie? -- pyta Hanna, otrzepując spodnie. W dziwny sposób przywykła już do tych spotkań.

--To był gryf -- odpowiada księżniczka, kładąc nacisk na ostatnie słowo, jakby uważała, że Hanna go nie zrozumie, choć każde słowo, które wypowiadają, one, nie znające wspólnego języka, w snach jest absolutnie zrozumiałe.

--Czy ty go kontrolujesz? -- pyta, czując się słabo.

--Nie, poprosiłam go o pomoc. Tak jak ciebie proszę o pomoc. -- Hanna widzi ją teraz wyraźnie, w świetle ogniska i gwiazd, i jej magicznej poświaty. Cztery wielkie niedźwiedzie pazury zwieszają się ciężko z rzemienia wokół jej karku. Do paska przyczepionych ma kilka miniaturowych sakiewek, każda zmyślnie związana nicią cienką jak pajęczyna. Nie nosi swego stożkowatego kapelusza z filcu ani innej ozdoby głowy; warkocze związała z tyłu, aby nie spadały na twarz. Na kłykciach jednej ręki ma zabliznioną ranę, a w jej skórzanym płaszczu jest wielka dziura, jakby ostatnio go podarto i naprawiono. Mięso się gotuje, tłuszcz smaży. Jej nos powalany jest sadzą.

--Jak mogę ci pomóc? -- pyta Hanna. -- To tylko sen.

--Jak mam znaleźć smoczą łuskę? Nie ma już smoków. Zniknęły, gdy Zaginieni uciekli, tak przynajmniej powiadają nasze opowieści.

Hanna śmieje się. Może we śnie łatwiej dostrzec prawdę, gdyż oczu nie mami blask dnia. Pada na kolana i unosi garść piasku, pozwalając, by dziwaczne złote ziarenka przesywały się między jej palcami. Ich gorąco wsiąka w jej skórę sennym ciepłem niby pocałunek magii.

--Czy to nie może być smocza łuska?

Księżniczka Kerayit wybucha śmiechem, eksklamacją radości. Mimo tego, że jej wygląd i zachowanie są obce i poważne, jest młodką, nie starszą od samej Hanny. Nie różni się od innych dzieci, rozradowanych, gdy splatają psikusa staremu złośliwemu nauczycielowi. W podnieceniu

łapie Hannę za ramiona niczym monstrualny gryf i całuje ją w oba policzki, a potem klepie w podbródek w dziwacznej pieszczocie. Jej oddech pachnie zsiadłym mlekiem. Jej usta są ciemne, jakby splamił je sok z jeżyn.

--Ha, ha! -- wykrzykuje. -- Zostań ze mną, szczęście, a razem zapolujemy na resztę. Siedemnaście przedmiotów, rzekła, muszę jej przynieść, a mam pięć. I okażę się warta, by zostać jej uczennicą.

Przez ziemię przebiega basowy pomruk, i Hanna czuje, że grunt usuwa jej się spod nóg, wstrząśnięty nie magią czy przez latającego potwora, ale nagłym niepokojem w samej ziemi. Porwano ją gdzie indziej, ale wciąż śni. Nie opuściła krainy snów, tylko przeniosła się w inne miejsce.

Ziemia usuwa się spod jej stóp, a niebiosa są czarne. Nie świeci ani jedna gwiazda, nie błyszczy księżyc, ale jej twarz liże oddech świtu; widzi go w szarzejącej scenie, która się przed nią otwiera, i wie, że przemierzyła szmat drogi, zepchnięta z kursu przez drżącą ziemię. Jest w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie była. Czuje inny umysł i inną duszę, łączącą się z nią, gdy śpi i że to on ją tu przywiódł, być może bezwiednie. Nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, ale serce, które w niej bije nie przypomina niczego, co wcześniej poznała, nie przypomina jej prostego i lęklivego serca, jest bardziej okrutne niż miłosierne, nie tylko dobre, a jednak w swych sprzecznościach nieprzeniknione.

Idzie wśród nich i wpada do środka.

Wiosna nadeszła wcześniej, jak przepowiadały trytony, które potrafią wyczuć pogodę w soli morskiej. Podczas zimy nie nękały fiordów dzikie sztormy. Teraz stoi na dziobie swego statku, a morze prześlizguje się pod spodem niczym stopiony tłuszcz po rozgrzanym garnku. Przyplływ wystarcza, by pchnąć ich na brzeg. Wiosła ledwo dotykają wody.

Zwycięstwo można odnieść na wiele sposobów, a to zostanie odniesione o świcie, nad wrogiem, który śpi.

Nokwi jest, bez wątpienia, złośliwy i silny, a magia jego sprzymierzeńców może zniszczyć wielu wrogów. Ale ta magia nie może uderzyć w oddział Silnej Ręki, siła Nokwiego na nic się nie zda w zamieszaniu wywołanym przez najazd o świcie.

Łodzie cumują cicho po odległej stronie cypla, gdzie stroma ściana opada ku zatoce. Jego wojownicy schodzą na ląd milczący jak głazy, tym razem nie zabrali swych psów. Zaczynają wspinaczkę, która skończy się nad przełęczą, a potem zejść w dolinę Moerin, gdzie rządzi Nokwi. Gdy się wspinają, sosny i brzozy gęstnieją wokół nich, a oddział biegnie cicho wśród drzew, aż wreszcie, na szczycie, widzą ognie oznaczające długi dom Nokwiego, płonące jasno i ostro w dole. Panuje cisza.

Schodząc po zboczach, robią hałas, i czuje ukłucie niedowierzania, ale jest już za późno. Jego wojownicy zaczynają wyć, dumni ze swej przebiegłości, gotowi mordować, i gdy wyrrywają się z lasu i pędzą po polach, wie, że nawet zaalarmowani ludzie Nokwiego będą łatwym łupem, oszołomieni wczesną godziną i nieoczekiwanym atakiem.

W domu nadal nic się nie porusza.

W oddali słyszy wrzask, niczym kruka, nagle urwany.

Docierają do domu z dudniącym wrzaskiem i dopiero gdy pierwszy wojownik uderza w drzwi i odrzuca je na bok, pojmują najgorsze. Na zewnątrz palą się ogniska. W środku na palenisku płonie ogień, ale nikogo nie ogrzewa, ponieważ nikt nie stoi, nie siedzi ani nie zrywa

się na równe nogi, zaskoczony lub rozwścieczony. Dom jest pusty.

--Zatrąb odwrót -- wola do swego chorążego, choć wie, że jest już za późno.

Być może ten test okaże się najtrudniejszy.

--Podpalić dom -- krzyczy. -- I rozpalić wszystkie pochodnie, jakie mamy.

Spomiędzy drzew wynurza się nowy oddział, skacząc w dzikiej ekstazie, a ich wycie podnosi się jak płomień strzelające ze ścian domu. To Miękczy, ich skóra ma kolor morza w nocy, a nie noszą ani odzienia ani ozdób, prócz oszczepów i maczug zakończonych żelazem. Gnają ku wojownikom Rikin, wrzeszcząc i śmiejąc się jak szaleni. Rzucają się w przód bez lęku i w chwili, gdy uderzają w jego wojowników, widzi wśród nich zakapturzone postaci ze wzniesionymi laskami: czarownicy. Trzyma mocno własną laskę, ale ich magia nie działa na jego wojowników, tylko na ich własnych, którzy uderzają szeregi Rikinów z wyciem gorączki wojennej, a potem agonii.

--Odwrót! -- wrzeszczy ponownie i tym razem wyrywa róg z rąk chorążego i sam dmie, ostro, rozkazująco.

--Nie, nie -- krzyczą jego wojownicy. -- Pozwól nam ich zabić. Są słabi jak cieleta.

Ale prowadzi swe oddziały naprzód. Wiedzą, że mają go słuchać. Wiedzą, że jest bardziej dalekowzroczny od nich. A teraz niektórzy z nich pojmują, że zostali okpieni. Oszczepami i ogniem wyrąbują sobie drogę pomiędzy Zgrają nagich ludzi, kierując się ku skarpie i drzewom. Tylko najgłupszy zostają przy domu, gdy oddziały Nokwiego wypadają z mroku po drugiej stronie. To sprytny plan. Nokvi liczył, że dopadnie armię Rikin od tyłu, gdy ta będzie tracić czas na zabijanie zaczarowanych ludzi.

Bieg pod górę i ku statkom jest trudny i upokarzający. Tylko cztery łodzie płoną tak mocno, że wie, iż ognia nie da się ugasić. Sam zabija jednego z podpalaczy, człowieka, który zatacza się i bezskutecznie usiłuje ugodzić go nożem, dopóki nie upadnie, zgięty w pół, od ciosu w brzuch.

Stracone cztery statki i jedna trzecia ludzi. Jeden statek trzeba zatopić w cieśninie, a dziesięciu wojowników wyrzucić za burtę, gdy umierają od odniesionych ran.

Ale uważa, że miał szczęście. Nie docenił Nokwiego i jego sprzymierzeńców. Mogło być znacznie gorzej.

To nie zwycięstwa uczą cię, jak silny naprawdę jesteś.

Smutek polizął go; Alain podskoczył niczym zajęc i spostrzegł, że płacze przed marami Lavastine'a.

To nie zwycięstwa uczą cię, jak silny naprawdę jesteś.

O Boże. Nie płakał nad sobą. Płakał nad tym, co zrobiono z marzeniami i nadziejami jego ojca, teraz zniszczonymi. Rzuconymi psom.

„To już nie jest mój ojciec”.

Nie, król Henryk jeszcze nie wydał wyroku. Gdyby jednak Henryk wydał wyrok na jego korzyść, czy mógłby kiedykolwiek nazwać się synem Lavastine'a, nie zastanawiając się, czy nie kłamie? Czy to możliwe, aby, jak mówiła kucharka, Lavastine również sypiał z tamtą młodą kobietą? Może powędrował pewnej nocy do ruin i uległ pokusie, tak jak Alain niemal uległ dawno temu dziewczynie zwanej Withi? Skąd mogli wiedzieć, jak to było? Jak mogli zawyrokować?

Co łączyło Lavastine'a i biednego Półgłówka, tak niepodobnych, że wydawało się niemożliwe, aby byli ojcem i synem, nawet mimo zeznania kucharki? Nic ich nie łączyło prócz

krwi, może prócz sposobu, w jaki ogary wyły i skomlały po ich śmierci.

Roszczenia Godfryda do hrabiowskiego tytułu wynikające z prawa krwi były silniejsze niż Półgłówka jedynie z powodu kompetencji. Ale jeśli zdolności były jedynym kryterium, to czy Alain nie mógł twierdzić, że będzie lepszym panem niż Godfryd? Pod jego rządami ludzior wiodłoby się lepiej niż pod rządami Godfryda. Czy to duma? Nie, to prawda. Lavastine dostrzegł tę prawdę i podjął decyzję opartą bez wątpienia po części na uczuciach i emocjach, ale też na rozsądku, ponieważ Lavastine poważnie podchodził do swych obowiązków wobec ziemi i ludzi, którymi rządził.

A poza tym czym była krew? Była wszystkim tym, co wyznaczało twój ród, a jednak więź, jaka łączyła go z Lavastine'em nie stawała się iluzoryczna przez to, że być może w ich żyłach nie płynęła wspólna krew. On i Lavastine związani byli w sposób oczywisty dla nich obu.

Nadal go kochał i miał gorzkie przeczucie, że gdyby kucharka niechętnie wyznała wszystko Lavastine'owi, ten uśmiechnąłby się w swoisty przyzwoity sposób, i oznajmił, że jemu to nie robi żadnej różnicy.

Nie, to nie Lavastine zawiódł. Zawsze wiedział, czego pragnie. „Wiedział, co się wydarzy, i podjął wszelkie starania, żeby się na to przygotować”.

Ale Tallia nie była w ciąży. Alain zawiódł i, co gorsza, okłamał człowieka, który najbardziej mu ufał.

Świadomość tego tkwiła w jego sercu równie ostro jak oskarżenie, że może być bękartem kurwy i jej ojca, zrodzonym z kazirodztwa i przerażającej nędzy. O Pani. Nie lepszym od biednych żebraków, którzy gnieździli się w lepiankach na jego ziemi i błagali o jedzenie dla swych głodujących dzieci.

Ale czy Bóg kochali ich mniej niż wspaniałych szlachciców, którym nigdy nie brakowało eleganckiego odzienia i pełnych półmisków?

„Ale nie jesteś nawet synem żebraka”. Głos uraził go niczym palec wciskający się w świeżą ranę. Czy Bóg kochali też kurwy? Wstyd, że wszyscy to usłyszeli, wciąż go gnębił. Nigdy nie przestanie. Jego przybrany ojciec, Henri, cały czas chronił go przed prawdą, kim naprawdę była jego matka. Powiedział o niej tylko jedno: że była piękna. Jakby tylko to się liczyło. I może u Boga rzeczywiście tylko to się liczyło.

Furia zaskomlała i podrapał ją za uszami, ukrył twarz w jej masywnym karku i poklepał, a ona mruczała zadowolona. Co ze świadectwem psów? Dokąd pobiegł Strach? Czy kiedykolwiek wróci?

Przesunął dłonią po kamiennym boku Grozy, leżącej martwo u stóp Lavastine'a. Kłątwa nadała jej pozór marmuru, gdy stara suka sztywniała, umierając: wyglądała na wyciosaną z czarnego kamienia poznaczonego na biało. Lavastine leżał spokojnie z Mocarzem u głowy i Grozą strzegącą stóp. Nie splamila go hańba tego dnia, bo na pewno odpokutował za swe grzechy i jego dusza wstąpiła do Komnaty Światła. Alain musiał w to wierzyć.

Obok niego Smutek wstał sztywno, warcząc, ale nie rzucił się w przód. Alain dźwignął się i odgarnął włosy z twarzy.

Ale był sam w kościele, podobnie jak był sam na sali.

A potem ujrzał ją przy drzwiach, wyglądającą nerwowo zza pierwszej kolumny.

--Podejdz. Ogary cię nie skrzywdzą.

Pani Hathumod podeszła z ociąganiem jelonka zbliżającego się do oswojonych lwów,

niewinnie ufego, ale powstrzymywanego przez odwieczny lęk.

--Czy przyniosłaś wieści od niej? -- zapytał niecierpliwie.

Zatrzymała się trzy kroki od niego, skłaniając skromnie głowę, a pulchne dłonie składając jak do modlitwy.

--Nie, mój panie. Odmawia zobaczenia się z tobą. Odmawia wysłania ci wiadomości.

--Wobec tego pójdę do niej! Księżna Yolande nie ma prawa rozdzielać nas w ten sposób.

Odważnie postąpiła naprzód, by położyć dłoń na jego przedramieniu, jakby zamierzała go zatrzymać. A potem szybciotko odskoczyła. Jej policzki pokryły się jaskrawą czerwienią.

Nadal nie patrzyła mu w oczy.

--Nie, panie, proszę, nie róbcie tego. Tylko się upokorzycie.

--Jak mogę się jeszcze bardziej upokorzyć po tym, co stało się wczoraj? -- Gorycz podniosła się w jego gardle, żółć idąca z żołądka. -- Tallia mi ufa. Musi tylko zrozumieć, że nie winię jej za to, co się stało. To nie jej wina, że księżna Yolande ją zabrała. Jestem pewien, że nie chciała iść, nie naprawdę.

--Błagam was, panie. -- Niemal wyszlochala te słowa, zaciskając dłonie tak mocno, że kłykcie jej zbieleły, a opuszki poczerwieniały. -- Nie obwiniajcie księżnej Yolande. Niezależnie od tego, co powiecie, lady Tallia się z wami nie zobaczy. Będziecie więc musieli albo klęczeć pod jej drzwiami jak żebrak, albo włamać się do jej komnat niczym zwykły złodziej.

--Ponieważ większość szlachty i tak uważa mnie za syna kurwy, jak może mi to zaszkodzić? -- Urwał, wiedząc, że przesadził. Nie mógł uwierzyć, że Tallia porzuciła go tak wzgardliwie.

--Błagam was, panie -- rzekła swym cichym głosem. -- Nie zadręczajcie się przez tę kobietę, ponieważ nie jest was warta.

Zaskoczony patrzył, jak po jej policzkach ściekają łzy.

--O co ci chodzi?

--Tallia to skalane naczynie. Jest sposobem, w jaki Bóg sprawdza naszą wiarę, ponieważ została jej objawiona prawda, która ją zniszczyła.

Czuł się zbyt oszołomiony, aby odpowiedzieć. Jak udało jej się przez te wszystkie miesiące ukryć pogardę dla swej pani? Nigdy by się nie domyślił, że Hathumod nie była posłuszną towarzyszką, chętnie godzącą się na wygnanie z Quedlinhamu, byle tylko zostać z ukochaną panią.

--Wiem, panie, że nie wierzycie w słowa, które nam objawił brat Agius, któremu Bóg udzieliła łaski męczeństwa. Ale kim jestem, żeby podawać w wątpliwość Jej zamysły? Ja też jestem jedynie boskim naczyniem.

--Bez wątpienia Pani zesłała cię, byś była przy Tallii. Potrzebuje kogoś, kto się nią zajmie. Jej usta, zaciskając się, ujawniły rozmiar jej obrzydzenia.

--Odwróciła się od tego, który kochał ją bezwarunkowo. Opuszczam ją, mój panie.

--Ale dokąd się udasz? Wrócisz do rodziny?

--Nie, wysłali mnie do klasztoru, bo mieli za dużo córek, a za mało ziemi, by ją pośród nich podzielić. Nie chcą mnie z powrotem.

--Dokąd więc? Nie możesz tak po prostu odejść. Nie dla ciebie życie z jałmużny, pani Hathumod. -- Wskazał jej odzienie, ładną lnianą suknię wyszywaną w skaczące króliki; ona sama była jak królik z delikatną okrągłą twarzą, kimś, kogo się pieściło, a nie kopało. Nosila

jaskrawoczerwone płócienne buciki, dworskie, delikatne obuwie, które zdziera się po dniu marszu. Na dłoniach nie miała odcisków. Jej skóra nadal była delikatna jak różany płatek. -- Czy udasz się z powrotem do Quedlinhamu?

Rozpoznał zarys uparcie wyprostowanych ramion.

--Nie przyjmą mnie. Nieważne, dokąd pójdę, mój panie. Zaufam Bożej mądrości. --

Wreszcie odważyła się spojrzeć mu w oczy i zaskoczyła go jej cicha, ale gorejąca pewność. -- Ale wiem, co tu ujrzałam. Widziałam, co się działo z chlebem wśród ubogich. Jeśli wołają Boga jest skrywać między nami Jej sługi, to zachowam milczenie.

A potem, ku jego zaskoczeniu, uklękła i ucałowała jego dłonie niczym króla.

--Nie, nie możesz! -- krzyknął, zawstydzony takim aktem oddania. Podniósł ją delikatnie, ale nie mógł rzec nic więcej, gdyż wszedł Orzeł, szukając go i wzywając przed króla.

I w końcu, gdy wszyscy się zebrali, Alain patrzył, jak Tallia, która nie rozmawiała z nim ani nawet na niego nie patrzyła, jedyna kobieta, którą kiedykolwiek naprawdę kochał, staje przed swym wujem królem.

--Czy możesz przysiąc przed tym dworem i w imię naszych Pani i Pana, że małżeństwo nigdy nie zostało skonsumowane?

--Tak -- powiedziała i zdało się Alainowi, że cieszyła się możliwością powiedzenia tego, że radowała się, że jednym słowem zrujnowała go i zhańbiła.

Szlachcic zaśmiał się parszającym chichotem. Henryk oderwał oczy od swej siostrzenicy i zrobiło się tak cicho, że Alain słyszał, jak pazury Furii stukają o podłogę, gdy położyła łeb na łapach. Niedaleko ktoś pierdnął głośno. Za otwartą okiennicą brzęczała pszczoła, a na odległych polach słyszał pług orzący ziemię, jakby ktoś był zmartwiony i zły.

--Mocą przysięgi, którą złożyłaś przy świadkach w dniu swego ślubu, masz prawo pomagać mu jako jego krewniaczka -- ciągnął Henryk, niemal sugerując, jak ma postąpić. -- Czy wypowiesz się na jego korzyść?

--Nie jestem jego żoną -- odparła Tallia i rumieniec triumfu okrył jej bladą twarz. -- Jeśli małżeństwo nie zostało skonsumowane, nigdy nie było zawarte.

Podpłynął do niego delikatny odgłos więdnącej dzikiej róży, zniknął i nagle stał się świadomy swej róży, wiszącej na sercu, ciężkiej jak bryła bezwartościowego żelaza. Czubek starego gwoźdźca poruszył się, oparł na mostku, jakby celował w serce.

Jej zdrada bolała najbardziej.

Henryk opadł na tron z wyraźnym westchnieniem.

--Niech tak będzie -- rzekł głęboko niezadowolony. -- Żadna kobieta ani mężczyzna nie mogą rządzić, jeśli nie mają rodziny, która ich wesprze. Ponieważ ten mężczyzna, Alain, nie ma rodziny, która go wesprze, nie mam wyboru, muszę wydać wyrok na korzyść Godfryda. Jego córkę, Laurencję, ustanawiam hrabiną Lavas, które zostanie pod rządami jej ojca, dopóki ona nie skończy piętnastu lat.

A potem wszystko stało się bezsensownym zgiełkiem.

A jednak czy tego wyroku nie wydano ponad rok temu? Czy jego przybrany ojciec Henri nie oskarżył go o to wszystko, co Godfryd, prócz czarów?

Słowa Henriego go potępiły. „Nie uważasz mnie za syna Lavastine'a", wykrzyknął Alain. Henri się nie wahał: „Nie, a dlaczego miałbym cię za niego uważać?”

O Boże, a czy bez Tallii miałby jeszcze serce do rządzenia przez lata jako hrabia,

samotny jak Lavastine? Nic dziwnego, że Lavastine przywiązał się do nie znanego chłopca pozbawionego ojca. Był zdesperowany i samotny. Jakież głupiec z tego Lavastine'a! Czy on byłby lepszy, mniej głupi, mniej zdesperowany po latach samotnych rządów? Nie, całe szczęście, że to się tak skończyło. Nie mógł oczekiwać niczego innego.

Ale potem się otrząsnął, wiedząc, że to grzech rozpacz. Nie będzie brukał pamięci Lavastine'a, pograżając się w litości nad sobą.

I tak przyszedł do siebie, gdy wrzaski i tupanie umilkły, a Godfryd poderwał się, triumfujący i wściekły.

--Błagam was, Wasza Królewska Mość! Musicie go ukarać za jego arogancję! Niech Kościół wytoczy mu proces o czary! -- Musiał otrzeć usta, bo się opluł, tak bardzo chciał wykrzyczeć oskarżenie.

Furia i Smutek wstały na sztywnych łapach, groźniejsze w swej ciszy niż sfora ujadających psów. Jeden z krewnych Godfryda złapał go za ramię i szarpnął w tył.

Henryk wstał i uderzył trzykrotnie sceptrem o podłogę, a wszyscy szybko się podnieśli.

--Nie! -- krzyknął, wpatrując się w Godfryda, aż pod biedakiem ugięły się kolana i padł na krzesło, a potem poderwał się, bojąc obrazić króla. -- Twój fanatyzm nie przynosi ci chluby. Nie widzę w tej sprawie żadnych czarów, jedynie błąd człowieka pragnącego odnaleźć ukochanego syna, którego utracił.

Nawet Godfryd miał na tyle rozumu, by odpuścić. Cofnął się, pokornie skłonił i wziął swą córeczkę -- nową hrabinę, symbol zwycięstwa -- w ramiona.

Henryk odwrócił się i spojrzał na Alaina. Czy był zasmucony? Czy głos mu zadrżał, gdy wspominał o utraconym synu? Alain był zbyt otępiały, żeby się tym przejmować.

--Służyłeś wiernie Bogu i tronowi, Alainie. Daję ci wybór: albo odejdziesz teraz z zamku Lavas i nigdy nie wrócisz na te ziemie pod karą śmierci albo przyjmiesz pozycję w moich Lwach, przystającą twemu urodzeniu, i będziesz mi służył.

Tak szybko znalazł się pod kołem Fortuny. Nie zdążył go nawet schwycić. Ale musiał działać. Musiał myśleć. Walczył ze sobą, chcąc otrząsnąć się z otępienia na tyle, by nie zrobić z siebie głupca. Niech mu Bóg dopomoga, nie okryje hańbą Lavastine'a, robiąc z siebie głupca przed Godfrydem i jego uśmiechającą się triumfalnie rodziną!

Oczywiście, Henryk wiedział, co robi. Nie było przecież wyboru. Czy zostało mu coś prócz sromotnego powrotu do ciotki Bel, czego i tak nie mógł uczynić, gdyż Osna znajdowała się pod protektoratem Lavas?

Podszedł i uklęknął tak, jak widział kiedyś ze swego miejsca wśród szlachty, że klękają królewskie Orły, jak służący niegdyś klękali przed nim, choć te dni wydawały się niemożliwie odległe. Róża wypuściła chyba kolce z lodu, klując go w serce; myślał, że spływają z niego krwawe potoki. Pewnie by się przewrócił z bólu, ale Smutek i Furia podeszły i usiadły po jego obu stronach, przyciskając swe duże ciepłe ciała do drżącego Alaina.

Król Henryk nie cofnął się, a ogary nie zawarczały na niego.

--Będę wam służyć, jak rozkażecie, Wasza Królewska Mość -- rzekł Alain.

3.

Książę Ekkehard ujrzał złote pióro leżące na drodze i, gdy jeden z giermków przyniósł mu je, pomachał nim przed twarzą kuzyna.

--Widziałeś kiedykolwiek coś takiego? Myślę, że to czyste złoto! Jakie szczęście, że pierwszy je dostrzegłem!

--Weź mi to sprzed twarzy, proszę -- powiedział Wichman, odsuwając ramię Ekkeharda. -- Śmierdzi.

--Wcale nie! -- zawołał Ekkehard, przytykając pióro do nosa i wciągając głęboko powietrze. Natychmiast się rozkaszał, a wszyscy towarzysze Wichmana ryknęli śmiechem. Wichman wykorzystał kaszel Ekkeharda, żeby wyrwać pióro z dłoni młodszego kuzyna i po grymasie ust i zmarszczonym czole Ivar poznał, że był zaintrygowany.

--To moje! -- sprzeciwił się Ekkehard, gdy atak minął.

--Owszem, kuzynku, ale teraz ja je oglądam. -- Wichman wręczył je jednemu ze swych towarzyszy i szybko obejrzel je wszyscy jeźdźcy, podczas gdy Ekkehard się dąsał.

Wichman i jego ludzie niewiele różnili się od bandy zbójców, myślał Ivar. Ermanrich zaczął nazywać ich Lordem Wariatem i jego szlachetnymi towarzyszami Idiota, Bezmyślnym, Półgłówkiem, Tępakiem, Niemową, Durniem, trzema braćmi Kretynami, sześcioma kuzynami Opojami i oczywiście niesławnym Ruchaczem, którego przyłapano na robieniu czegoś niewymownie paskudnego wołu. Zygfyrd nie pochwalał tych złośliwości, ale zawsze i tak się śmiał, ponieważ Ermanrich posiadał niezwykłą zdolność parodiowania.

--To złoto -- powiedział Ruchacz mądrze, obracając pióro. -- I niech mnie diabli, ale chciałbym zobaczyć te akrobatki występujące tylko w spódniczkach z takich piór. Wiem, co bym z nimi zrobił! -- Znany też jako lord Eddo, był najbardziej skupioną na nurtującej sprawie osobą, jaką Ivar znał.

--To nie może być złoto -- powiedział Idiota, który, podobnie jak reszta kompanów Wichmana, był tłustym, znudzonym młodym szlachcicem w Saony. -- Nie ma ptaków zrobionych ze złota.

--Jest za złote -- dodał Dureń, wrywając mu pióro z ręki. -- To wcale nie jest ptasie pióro. To gumańskie pióro. Wiecie, oni też mają skrzydła.

--Nigdy czegoś podobnego nie widziałem -- powiedział Wichman, co zakończyło dysputę. -- Ale chciałbym zobaczyć ptaka, który je zgubił. Proszę, ojcie Ekkehardzie. -- Oddał je z krzywym uśmiechem. -- Może twoi uczeni kapłani coś z niego wydumają. O Boże! -- Okrzyk wyrwał mu się niespodziewanie i wszyscy zaczęli się rozglądać. Uderzył się w czoło. -- Zapomniałem o moich klerykach w Gencie!

Dowcip miał już brodę, ale jego towarzysze nadal ryczeli ze śmiechu.

Co niezwykle, książę Ekkehard nauczył się w takich momentach trzymać buzię zamkniętą. Wręczył pióro Baldwinowi, by się nim zaopiekował.

Jakiś czas temu minęli pierwsze znaki wioski, sągi drewna na opał i do budowy, wyjedzone łąki, kupę świńskich kości, pola leżące odlogiem. Podróż okazała się spokojna; w lesie było zadziwiająco mało ptaków. Teraz, gdy słońce zachodziło, złociste światło przelewało się pomiędzy wiosennymi liśćmi. Przejechali obok kwitnącego sadu. Trzech niedorostków wyskoczyło spomiędzy drzew, by na nich popatrzeć.

--Patrzajcie na te oszczepy! -- zawołał jeden, który miał twarz równie brudną jak stopy.

--Przyjechaliście zabić bestię? -- krzyknął drugi, biegnąc wzdłuż drogi, dopóki nie natknął się na rów. Ich przyjaciel rzucił się już w boczną ścieżkę, przeskakując strumyczek, i zniknął w gęstwinie wysokich jeżyn, zupełnie jakby ścigał go sam Nieprzyjaciel.

Wieść dotarła przed nimi i kiedy dojechali do wioski, powitała ich delegacja starszych, trzy stare kobiety i dwóch zgarbionych mężczyzn: razem mieli chyba z tuzin zębów. Reszta mieszkańców tłoczyła się za nimi: matrony, mężczyźni i chłopcy w różnym wieku, małe dziewczynki. Dziwne, nie było pomiędzy nimi młódek w wieku do zamęścia. Psy szczekały i Dureń smagnął jednego ujadającego kundla oszczepem, trafiając biednego zwierzaka w zad. Ivar widział takie sceny już wcześniej, gdy leniwie podróżowali na południowy wschód od Gentu: wioskowi starsi oferowali im kilka skromnych podarków jako ewidentną łapówkę i sugerowali, aby oddział udał się do dworu albo trochę dalej gospodarstwa kościelnego, odpowiedniejszego, by zająć się tak szlachetną grupą. Wichman odmawiał, ponieważ wolał rezydować w wioskach, gdzie był znacznie lepszy wybór opornych młodych kobiet.

--Boże, miejcie litość -- zawołała najstarsza kobieta, która musiała opierać się na lasce. Miała dziwny zwyczaj zjadania końcówek wyrazów w lokalnym dialekcie. -- Nasze modlitwy zostały wysłuchane, panowie. Powiedzcie, że przybyliście zabić bestię!

--A co to niby za bestia? -- zapytał Wichman, rozglądając się po chatach i przyległych szopach. Za nimi rozciągały się długie pola poznaczone zielenią, podzielone kępami owocowych krzewów i drzew. Coś białego zamajaczyło pomiędzy dwoma drzewami, kierując się ku schronieniu w lesie. Pies? Koza?

--Och, straszliwego stwora nie z tego świata! Odkąd margrabia Villam i księżna Rotrudis dwadzieścia lat temu przepędzili Rederiich i nawrócili ich na Boskie Światło, nie mieliśmy tu kłopotów. Ale teraz! -- Kilku ludzi zajęczało głośno. -- Cienie w lesie były od zawsze, ale to! Najpierw światła wszelakie nieboskie w starych kamieniach, a teraz bestia. Dlaczego Bóg nas gnębią?

--Co to za bestia? -- powtórzył Wichman. Miał na twarzy najbardziej irytujący uśmiešek.

--Straszliwy stwór, który nigdy nie powinien stąpać po ziemi. Pewnej nocy wynurzył się spomiędzy kamieni, wyleciał w oślepiającym świetle. Wielki jak dom, powiadam, jak orzeł, tyle, że to potwór zesłany przez Nieprzyjaciela, by nas gnębić. Jego szpony jednym ruchem mogą krowę rozerwać. Najpierw polował tylko na jelenie, ale boimy się, że...

--Nie macie żadnych córek oprócz tych małych? -- zapytał nagle Ruchacz. Nerwowo pocierał jedno udo, pocąc się nieco, choć nie było szczególnie ciepło.

Wszyscy mężczyźni i kobiety znieruchomieli i zbledli. Jedno dziecko, które się odezwało, dostało w twarz.

--Zjedzone! -- powiedziała kobieta drżącym głosem. Miała kurzajki na nosie i uparty błysk w oczach. -- Bestia najpierw polowała na jelenie, a potem na nasze córki.

--Ja bym najpierw zapolował na wasze córki, a potem na jelenie -- rzekł Dureń. -- Ale to musi być jakiś nadgorliwy krewniak Edda. -- Wszyscy, łącznie z Ruchaczem, ryknęli śmiechem.

--Zamknijcie się! -- powiedział Wichman, który się nie śmiał. -- Czyja to ziemia?

--Nasza, panie. Przybyłam z moim mężem, niech spoczywa w spokoju, by się tu osiedlić, kiedy nie było tu nic oprócz dzikich. Taka była umowa zawarta z rządcami króla Arnulfa. Nie oddajemy hołdu żadnej pani, tylko królowi.

Zamruczał z namysłem. Jego koń, niespokojny, ruszył nieco w bok i został osadzony.

--Muszę uszczęśliwić moich towarzyszy, inaczej nie będą chcieli ryzykować życia. Co nam możecie zaoferować?

--Jedzenie i schronienie, panie.

--Wiem, co ukrywacie -- powiedział Wichman. -- I chcę tego dla mnie i moich ludzi.

--Co oni ukrywają? -- zapytał Ruchacz niecierpliwie.

Książę Ekkehard dał koniowi ostrogę. W porównaniu ze starszym kuzynem wyglądał delikatnie i niemal krucho, ale trzymał wysoko głowę i oczywiście był wspaniale odziany.

--Jestem Ekkehard, syn króla Henryka -- rzekł donośnym głosem. -- Przybyłem was ocalić. Nie żądam żadnej nagrody dla mnie i mych towarzyszy, niezależnie od tego, co nam zagrozi, ponieważ znam me książęce obowiązki. Opowiedzcie mi więcej o bestii, która was niepokoi.

I tak oto Ivar przedzierał się teraz przez trawę i wysokie do piersi chwasty na zarośniętej ścieżce, podążając za przewodnikiem, chudym i mocno wystraszonego chłopakiem, którego mowa była niemal niezrozumiała. Jako najmniej ulubiony towarzysz Ekkeharda, Ivar został wysłany naprzód, by przeszukać kamienie, leże tajemniczej i straszliwej bestii, a jego przewodnika, biedaczysko, najwyraźniej wybrano dlatego, że wieśniacy nie będą za nim tęsknić.

„Przynęta”, powiedział Wichman, a jego towarzysze, słysząc tę mądrość, walili się po plecach i chichotali. Baldwin wydawał się zdenerwowany i chciał interweniować, ale Ivar go powstrzymał. Naprawdę był dumny, że idzie. Nie bał się już, ponieważ ufał boskiemu planowi, nawet jeśli miewał od czasu do czasu nieprzyjemne sny o Liath. A poza tym biedny chłopak nie powinien iść sam.

Podciągnął habit nowicjusza, gdy doszli do płytkiego szerokiego strumienia. Mokry po kolana wylazł po drugiej stronie, nie przerywając modlitwy, gdy zbliżył się do chłopca. Bóg miała plan, oczywiście, naprawdę miała, a on Jej ufał, ale wciąż się zastanawiał, dlaczego jego żołądek nie może się zdecydować, czy wyskoczyć przez gardło, czy wypaść z drugiej strony, choć jeśli poruszał ustami, nie musiał aż tyle myśleć. Ile zagubionych dusz przywiódł ku prawdzie od objawienia na ulicach Gentu? Wystarczająco, żeby pójść prosto do nieba męczenników? On, Ermanrich i Zygfryd nauczali nieoświeconych tak żarliwie cały następny tydzień, że w końcu brat Humilicus nabral podejrzeń, a biskupina kazała ich przywlec przed swoje oblicze pod zarzutem herezji.

Uciekli tylko dlatego, że następnego dnia Ekkehard wyjeżdżał z Wichmanem i, przekabacony przez Baldwina, użył swego książęcego autorytetu, by wyrwać ich z pazurów wyjątkowo rozwścieczonej biskupiny. Ale nie podobało mu się to. I nadal nie lubił Ivara.

Czy w Gencie ocalono wystarczającą liczbę dusz? Trudno powiedzieć, a wieśniacy, których nauczali po drodze, byli skryci, ale przynajmniej te pokorne duszyczki nie ukamienowały ich ani nie wyrzuciły. Słuchali i szeptali do siebie. Zadali nawet kilka pytań.

Nikt nie twierdził, że będzie łatwo. Boski plan to nie bułka z masłem.

Od czasu do czasu Ivar zastanawiał się, co Bóg zaplanowała dla lorda Wichmana, najbardziej bezużytecznej kreatury, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. Wyślij bestię, żeby bestię zabiła, mrucał Ermanrich, gdy ekspedycja się zbroiła i gotowała do ataku na leże bestii, ale przestał chichotać ze swego dowcipu, kiedy Ekkehard rozkazał Ivarowi iść na szpicy. Ekkehard dał mu mały róg, który ścisnął teraz w prawej dłoni, mając nadzieję, że zdąży go użyć.

--Psst! -- Chłopak machnął na niego kijem, a potem wskazał na skaliste wzniesienie przed nimi, nienaturalnie okrągłe wzgórze ukoronowane leżącymi kamieniami i nieprzyjemnie rozdartymi drzewami. Nagle wydało się Ivarowi dziwne, że wszystkie ptaki przestały śpiewać. Słońce zaświeciło między kamieniami, ale potem Ivar zamrugał, widząc, jak znów błyska, jak się porusza, zupełnie jakby blask słoneczny został uwięziony w zrujnowanym kamiennym kręgu i próbował się oswobodzić.

--Uch, uch, uch -- stęknął przerażony chłopak i uciekł.

Ze środka kamieni wstało słońce, choć przecież znajdowało się już w połowie zachodniego nieba, na wpół ukryte wśród poszarpanych chmur. Było wielkie i jaśniejące, i pokryte złotem. Daleko za sobą Ivar usłyszał krzyki; jeźdźcy też to ujrzeli, a poza tym, gdy się tak gapił, a ono wznosiło się coraz wyżej i wyżej, uświadomił sobie, że upuścił róg.

Miało kształt orla, z pierzastą głową i szlachetnym dziobem, ale najwyraźniej orłem nie było. Orły nie rosną takie wielkie i nie mają błyszczących piór, jakby zostały ozłoczone, latając zbyt blisko słońca. Było majestatyczne, z piórami w ogonie, które zdawały się płonąć, i oczami, które nawet z tej odległości błyszczały i sypały iskrami niczym gwiazdy. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką widział w życiu.

Macając po ziemi, znalazł róg, uniósł go i zadał, ale instrument wydał z siebie jedynie urywane skomlenie.

Stworzenie ryknęło. Dźwięk grzmiał wokół Ivara, melodyjny jak anielskie głosy, zbyt potężne, by pojęły je śmiertelne uszy. Nigdy nie widział, żeby jakiegokolwiek stworzenie przemieszczało się tak szybko. W jednej chwili było daleko, wznosząc się pośród kamieni, a potem blisko, wielkie jak rumak bojowy, celując w niego pazurami, które były zakrzywione i ostre niczym miecze.

Rzucił się płasko na ziemię. Powietrze zawirowało i dmuchnęło, gdy stwór przeleciał nad nim. Uderzenie jego skrzydeł sparzyło mu kark i odurzył go zapach ostry i ciężki niczym kadzidło używane w kościele. Usłyszał za sobą bardzo ludzki wrzask, ale był zbyt oszołomiony, by się ruszyć.

Czy była to twarz Nieprzyjaciela, tak olśniewająca, że padałeś martwy, gapiąc się na nią w zachwycie? Czy też bezcenne wejrzenie w twarz Boga w całym jej okrutnym pięknie?

Koścista dłoń pociągnęła go za kostkę i rzucił się, kopiać -- ale to był tylko chłopak, który po niego wrócił. W oddali usłyszał rzenie koni i krzyki. Głos Wichmana poniósł się nad zgiełkiem:

--Oszczepami, idioci!

Znikąd przygalopował koń bez jeźdźca, oszalały z przerażenia, Ivar uskokzył mu z drogi, potknął się, przetoczył i uderzył ramieniem o ostrą skałę. Podniósł się na czworaki, rzucił za kolczasty krzew i dysząc, usiłował odzyskać zdolność myślenia. Chłopak zniknął z koniem albo za nim. W końcu, zniesmaczony własnym tchórzostwem, pobiegł ku brodowi, próbując nie rzucać się w oczy.

W powietrzu niósł się zgiełk wyjątkowo paskudnego starcia, kwik rannych koni, ludzi w panice, pojękiwania niby rzadkie okrzyki, ktoś wrzeszczał raz za razem o swoim ramieniu. Ivar widział już bród. Za nim, gdzie las się kończył, wielkie stworzenie unosiło się nad garstką przerażonych jeźdźców niczym orzeł z dziobem, okryty całunem złocistego światła. W jego blasku kąpało się siedmiu jeźdźców, którym przewodził Wichman, nigdy nie unikający walki. Za

każdym razem, gdy bestia się zniżała, dźgali oszczepami i za każdym razem potężnymi uderzeniami skrzydeł usuwała się z pola rażenia. Książę Ekkehard z okrzykiem wyjechał z grupy, próbując uderzyć od dołu i przez chwilę znajdował się poza zasięgiem pozostałych. Bestia z nienaturalną zręcznością zwinęła się ostro ku niemu i złapała go pazurami za ramiona.

Ramiona młodego księcia zostały natychmiast przyszpilone do boków, gdy szpony wbiły się głęboko w barki chronione solidną zbroją. Jego oszczep upadł na ziemię, ale książę nie krzyknął, choć zaczął krwawić. Ciężkimi uderzeniami skrzydeł bestia usiłowała poderwać go z ziemi. Koń wyskoczył spod niego, a on kopał, machając bezradnie nogami, jakby próbując odzyskać swego wierzchowca, choć ten pognął już do lasu. Stracony hełm spadł na ziemię.

Walczył, kopiąc i machając nogami, gdy bestia leciała w kierunku brodu, przy którym stał Ivar, zmrożony, absolutnie niezdolny do działania. Wichman i pięciu jeźdźców gnało za nim w pościgu. Kolejni wypadli spośród drzew, krzycząc i zawodząc, wołając imię księcia. Kiedy bestia zbliżyła się, wciąż lecąc nisko, Ivar ujrzał twarz Ekkeharda, białą, wykrzywioną grymasem, gdy się wił, a jednak w dziwny sposób nieomal triumfującą.

Podmuchi skrzydeł uderzył w Ivara, gdy stwór przeleciał nad jego głową, nadal nie mogąc się wzbić. Skoczył, nie myśląc. Odbił się z wykroku i rzucił w powietrze, łapiąc jedną z wierzgających nóg Ekkeharda.

Najpierw pomyślał, że i on, i książę zostaną uniesieni, bo jego stopy oderwały się od ziemi, ale chwilę później zanurzyły się w wodzie, bo bestia przechyliła się na bok, ściągnięta w dół dodatkowym ciężarem. Usłyszał krzyk Wichmana, poczuł obok napór koni, przynaglanych wbrew ich woli. Nie zobaczył uderzenia, ale poczuł je przez nogę Ekkeharda, usłyszał jęk księcia, stęknienie przez zaciśnięte zęby. Bestia zadrżała i cała trójka spadła na ziemię. Powolne, wysilone uderzenia skrzydeł stały się chaotyczną szamotaniną zranionej kończyny, trzepoczącej w strumieniu.

Ivar puścił i przetoczył się, widząc podkowy tnące powietrze ponad jego głową. Przeleciał nad nim grad żelaznych grotów i drewnianych drzewc, tnąc niebo na wstęgi. Okrutny dziób uderzył w odległości dłoni od jego bosej stopy, a z cięcia pod jednym błyszczącym okiem ciekła woda; krew bestii parzyła mu palce. Rzucił się w bok, tocząc się i tocząc poprzez płytką wodę, łapiąc oddech i wciągając do płuc więcej wody niż powietrza, aż znalazł się pośrodku strumienia, z dala od rozszalałego kręgu na brzegu. Widział jedynie ludzi, konie i oszczepy, chaos oszczepów unoszących się i opadających niczym cepy oddzielające życie od śmierci.

Złote pióra, delikatniejsze od czegokolwiek stworzonego w warsztatach jubilerskich, i ta błada półpłynna krew spływały kałużą z brzegu. Parująca krew parzyła, paląc jego skórę w miejscach zetknięcia, przeczołgał się więc przez żwir i śliskie kamienie, wydzwignął na trawiasty brzeg w chwili, gdy mężczyźni krzyknęli.

Sami stali się bestiami, wyjądami nad lupem.

Zygfyrd podbiegł do Ivara, padł na kolana. Płakał i krzyczał dziko:

„Nie! Nie!”

Ale było za późno.

Wspaniałe stworzenie nie żyło.

Ivar podniósł się i zataczając, ruszył ku rozszalałemu tłumowi świętujących młodzieńców, a przyboczni Wichmana cudem rozstąpili się przed nim. Nie kpili z niego ani nie podszczypywali, jak to mieli w zwyczaju, gdy przepychał się między nimi ku bestii. Teraz

wyglądała groteskowo, nie pięknie. Było to potworne martwe stworzenie z błyszczącymi piórami i matowymi oczami bez życia.

Baldwin pomagał księciu Ekkehardowi wstać.

--Przeklęty durny idiota -- krzychał Wichman, gdy Ekkehard próbował ruszyć ramionami. -- Mówiłem ci, żebyś został z tyłu, a nie szarżował, jak jakiś spragniony chwały głupiec. Następnym razem zejdz mi z drogi!

Krew kapala przez kolczugę, a księżę drżał lekko, gdy Baldwin go podtrzymywał, a reszta jego młodych towarzyszy zgromadziła się wokół, oddzielając go od masywnego kuzyna. A potem ujrzał Ivara.

--Zawdzięczam ci życie -- powiedział Ekkehard z irytacją. -- Jakiej nagrody pragniesz w zamian?

--Spalcie to -- powiedział Ivar. Zygfyrd podszedł do niego, ocierając z twarzy świeże lzy. Ermanrich stał na drugim brzegu, jego usta układały się w zdziwione „O”. -- To wszystko, o co proszę, Wasza Wysokość. Po prostu to spalcie.

Kiedy nadszedł chłopak, prowadząc spłoszonego konia, wysłano go do wioski, żeby zaniósł wiadomość. Wichman nakazał połowie swych ludzi odnaleźć resztę zagubionych koni. Biedny Tępak, jedyna ofiara, umierał szybko z utraty krwi i szoku: bestia wyrwała mu ramię ze stawu. Nie zanosili go nigdzie, tylko ułożyli wygodnie na ziemi i wlewając wino z bukłaków prosto do gardła, upili go, by załagodzić ból. Ci, którzy zostali, najlepiej, jak potrafili, wrywali bestii pióra, ale musieli zaprzestać tego rabunku, gdyż krew parzyła ich nawet przez rękawice. Wieśniacy, którzy wmaszerowali, krzyząc triumfalnie i niosąc girlandy kaczeńców i bratków, aby zawiesić na posiniaczonej szyi Ekkeharda, przynieśli ze sobą również flaszki piwa i zapaloną lampę.

Ekkehard nadal nie mógł unieść rąk, więc jedynie skinął głową, gdy stara wieśniaczka podała mu lampę.

--Warn uczyniła więcej szkody niż mnie -- rzekł dobrotliwie. -- Niech podpali ją ten z was, kto stracił najwięcej bydła.

--Ale nikt z nas nie stracił bydła, panie -- odparła. -- Ona wyglądała tak groźnie, złowieszczo, i żyła tak blisko. Baliśmy się, że zacznie na nas polować.

Ekkehard zamrugał szybko kilka razy, jakby nie rozumiał jej słów. Potem, wzruszając ramionami, posłał Mila, by ten z bezpiecznej odległości rzucił lampę na trupa.

Ciało eksplodowało płomieniem. Dureń, wciąż pałętający się wokół trupa w nadziei uszczknięcia kilku piór, został osmalony i odskoczył, skomląc jak ranny pies.

--Na pewno nic ci nie jest? -- zapytał Ermanrich Ivara po raz czwarty.

Ivar tylko wzruszył ramionami. Zygfyrd ukląkł w bezpiecznej odległości od stosu i zaczął się modlić, jego usta poruszały się, ale nie wydawał żadnego zrozumiałego dźwięku. Wciąż płakał.

Ogień ryczał i gdy pióra trzaskały i znikwały w żarze, Ivar dostrzegł kształty w płomieniach: stado gołębic koloru miodu, niesionych w górę przez dym; lwy przechadzające się w oddali, szczuple i jasne; srebrzyste jelenie biegnące niby po niewidocznych skalnych stopniach, znikające w niebiosach; salamandry rozkoszujące się płomieniami, ich jasne ciała czerwieńsze od węgla, a oczy z iskrzącego błękitnego ognia.

--Myślę, że popełniliśmy straszliwy błąd -- wyszeptał.

Za ogniem, gdzie świętowanie nie ustawało i nikt zdawał się nie zauważać tych dziwnych emanacji, tylko ciężką chmurę kadzidła płynącą ku niebu, równie gwałtownie jak płomienie wybuchła klótnia.

--Okłamujesz nas, ty stara purchawko! -- Wichman pochylał się nad staruszką, która pierwsza do nich przemówiła, grożąc jej zakrwawioną pięścią. -- Wiem, że ukryliście córki. Sama przyznałaś, że kłamałaś, że bestia je zjadła. Widziałem, jak kilka z nich uciekało do lasu.

--Daj im spokój -- powiedział nagle Ekkehard. Nadal siedział na ziemi, Baldwin, Udo i Milo pochylali się nad nim, a służący kłopotali się, jak zdjąć kolczugę, nie urażając jego ramion. -- Jakie masz prawo ich gnębić?

--Prawo dowódcy, który właśnie stracił żołnierza, broniąc tych żalonych robaków!

--Mnie też żal lorda Altfrida, ale to nie powód, by gwałcić ich córki.

Wichman parsknął, rozkładając ramiona i dając krok w bok. Miał zwyczaj przemieszczania się, gdy był zły, anektując przestrzeń, by pokazać, że mu wolno. Otarł krew z nosa.

--Proszę, proszę, jaka zmiana zaszła w chłopcu, który był najszcześniejszy, obmacując dziewczki w Gencie. Czy też może wystarcza ci twój śliczny giermek Baldwin? Jeśli nie, to wypożyczę ci Edda, bo on wsadzi każdemu stworzeniu, człowiekowi, zwierzęciu albo innym bestiom.

--Nie kpij ze mnie -- rzekł Ekkehard cicho. -- I nie gnęb tych ludzi. -- Pobladł na twarzy, ale krew już nie płynęła. Wiatr niósł wonny dym ze stosu prosto w jego twarz, ale zdawał się tego nie dostrzegać.

Wichman, rzecz jasna, stał z dala od dymu.

--A jak zamierzasz mnie powstrzymać? Mam piętnastu doświadczonych ludzi przeciw twoim czternastu niedorostkom. Możemy was posiekać i pojechać dalej, nawet się nie upociwszy.

--I wydupczyć wieśniaczki -- dodał entuzjastycznie Ruchacz. -- Czy oni naprawdę je przed nami ukryli? Jak to niemilo z ich strony!

--Mój ojciec... -- zaczął Ekkehard, niemal skrzecząc z gniewu.

--O Boże! -- krzyknął Wichman, klepiąc się w czoło w dobrze znany, kpiący sposób. -- Co mi robi drogi wuj Henryk? Jestem rodziną. A on potrzebuje wsparcia mej matki, prawda? Zamknij się więc, kuzynku, wracaj do swoich nowicjuszy i modlitw, czy też może zapomniałeś, że jesteś mnichem, nie żołnierzem?

--Zrób to więc -- powiedział Ekkehard cicho. Siedząc, wyglądał jak dziecko, które na próżno usiłuje zastraszyć ryczącego olbrzyma. Jednak dym unoszący się ze stosu zdawał się gromadzić wokół niego. Przez chwilę Ivarowi zdawało się, że widzi złoty cień martwego ptaka, wznoszącego się z rozpostartymi skrzydłami z ramion księcia.

Ekkehard podniósł się z grymasem i pomocą swych towarzyszy. Nawet stojąc, nie dorównywał swemu muskularnemu kuzynowi, wysokiemu, dobrze zbudowanemu, doświadczonemu wojownikowi, który przeżył drugą bitwę o Gent i dowodził oddziałem lekkomyślnych młodzieńców, toczących przez pół roku partyzancką wojnę z Eikami Krwawego Serca, przewyższającymi ich liczebnie i lepiej uzbrojonymi. Ivar słyszał wszystkie te wspaniałe opowieści. Podobnie Ekkehard, a jego podziw dla kuzyna irytował i nudził Wichmana.

Ale coś się zmieniło.

--Zrób to -- powtórzył Ekkehard. -- Ale możesz być pewny, że mój ojciec dowie się, kto mnie zabił i kto sterroryzował tych bezradnych wieśniaków. Nie mają pana ani pani, by ich pomścili, by w ich imieniu zażądali rekompensaty za szkody, jakie wyrządzisz. Mają jedynie przysięgę króla, że są pod jego ochroną. -- Zwrócił się do wieśniaków. Nie uciekli, co dobrze o nich świadczyło, skurczyli się tylko jak psy, które mają być wychłostane i wiedzą, że smycz przywiązuje je do prześladowcy. -- Niech wasze córki pozostaną w ukryciu -- rzekł, zanim odwrócił się ku kuzynowi. -- I co teraz zrobisz? Będziesz ich zabijał jednego po drugim, dopóki nie przyprowadzą córek? Czy nie mają wystarczającej liczby owiec, by zaspokoić ciebie i twoich towarzyszy?

Wichman uderzył go.

Ekkehard upadł, bijąc rękami jak ptak umierający w strumieniu. Jego poranione ramiona zdrzętały, potem znieruchomiały. Leżał bezwładnie z wywróconymi oczami.

Baldwin rzucił się na Wichmana i wybuchła bójka, chłopcy Ekkeharda skoczyli na ludzi Wichmana. Ivar też by pobiegł, ale Ermanrich go powstrzymał, a poza tym i tak wszystko skończyło się w kilka chwil. Połowa chłopców Ekkeharda miała podbite oczy, a reszta siniejące policzki; trzymano ich na długość ramienia jak lalki.

--Puście ich -- powiedział Wichman z obrzydzeniem. -- Przyprowadź mojego konia -- zawołał do swojego giermka. Zanim go dosiadł, splunął staruszce pod nogi. Koń poruszył się, próbując odsunąć się od ognia i został osadzony. -- Jedziemy -- powiedział do towarzyszy. -- Możemy znaleźć lepsze kwatery. Zabierzcie pierścień Alfrida, aby oddać go jego siostrze.

Pognali przez las, kierując się ku głównej drodze. Dziwne, po ich odjeździe słońce wynurzyło się zza zasłony chmur. Ogień ryczał, obojętny. Jaśniejące jelenie wypływały z płonącego trupa, biegnąc w pachnącym dymie, dopóki ich kształty nie zniknęły w świetle słonecznym.

Rankiem Ekkehard nadal nie mógł swobodnie ruszać rękoma, ale wyglądał na bardzo zadowolonego, gdy wieśniacy biegali dookoła niego. Dostał najlepsze łóżko w wiosce, zdolne pomieścić trzy osoby, i według Baldwina nie było w nim więcej pcheł niż zazwyczaj. Gospodarz wysypał podłogę liśćmi, by odpędzić pluskwy, i przyniesiono dużo trzciny na posłania dla towarzyszy i służących Ekkeharda.

Ale Zygfryd zniknął.

Znaleźli go przy stosie. Po złocistym pyle na jego włosach, nosie i stanie habitu poznali, że wyślizgnął się późnym wieczorem, kiedy wszyscy poszli spać, i całą noc modlił się przy ogniu. Widząc Ivara i Ermanricha, ujął patyk i napisał coś w popiołach.

--Dzień świętego Merkuriusza Zmiennego -- przeczytał Ermanrich, któremu szło to łatwiej niż Ivarowi. -- Bez wątpienia odpowiedzialnego za wczorajsze szlachetne zachowanie Ekkeharda. -- Wziął patyk od Zygryda i szturchnął węgielki wciąż tłące się na stosie. Nie było dymu, ale nad węgielkami zdawała się utrzymywać mgielka popiołów, jakby pod spodem oddychało jakieś wielkie stworzenie. Stos nadal wydzieliał ciepło. Pachniał teraz jak wielki kwietny grób, setka bogatych zapachów zlała się w jeden.

--Uch! -- Ermanrich odskoczył, upuszczając patyk.

Wśród jasnego stosu węgielków wił się świecący, złotoczerwony robak.

Zaskoczony Zygfryd rozłożył ręce, by przytrzymać Ivara i Ermanricha. Spróbował mówić - - normalnie nie zapominał, że nie miał języka, ale teraz był tak podniecony, drżący, jego

ekspresyjna twarz się poruszała i wydawał z siebie żalostne dźwięki, dopóki wreszcie nie złapał patyka i nie usiłował napisać czegoś w popiele. Ale zawiął ostry wiatr i wszyscy trzej musieli odskoczyć, kiedy stos zawirował w słupie złotego popiołu, a potem opadł.

Błyszczący robak zniknął.

--To był znak -- rzekł Ermanrich proroczo. -- Ale czy od Boga, czy od Nieprzyjaciela?

Zygfyrd, wyglądając raczej na rozradowanego niż pogrążonego w żalobie, padł na kolana i znów zaczął się modlić. Nie mogli go ruszyć i modlił się tak przez resztę dnia, podczas gdy wieśniacy przychodzili i odchodzili, żeby pocudować nad resztkami bestii, choć żaden nie odważył się dotknąć węgielków. I naprawdę pod koniec dnia ogień zdawał się płonąć goręcej. Ale może była to tylko wyobraźnia Ivara, reakcja jego słabego ciała, bo młódki z wioski, ośmielone odjazdem Wichmana, zaczęły wracać. Na początku nerwowe jak świny, które wiedzą, że właśnie zarżnięto jedną z nich, stopniowo stawały się coraz odważniejsze, ponieważ nikt z oddziału Ekkeharda im się nie naprzykrzał.

--Być może nasze nauki dotarły wreszcie do serca księcia Ekkeharda -- powiedział Ivar Ermanrichowi wieczorem, kiedy jedli smażonego kurczaka z musztardą, miodowe placki, warzywa i bardzo suchy chleb, który trzeba było moczyć w piwie, by dał się zjeść.

--Nie wiem -- odparł Ermanrich powątpiewająco. -- To było bardzo nagle.

Ramiona nadal bolały Ekkeharda zbyt mocno, aby mógł nimi ruszać, ale poza tym czuł się już lepiej. Pozwolił Baldwinowi karmić się i oczarowywał wieśniaków, pijąc z rzeźbionego drewnianego kubka w kształcie łabędzia, daru od starszej.

--Proszę was, książę panie -- rzekł Baldwin, uśmiechając się ślicznie. -- Pozwólcie mi zanieść trochę naszemu towarzyszowi Zygfyrdowi, ponieważ obawiam się, że inaczej nic nie zje.

--Proszę, uczyn tak -- powiedział Ekkehard, który jak wszyscy podziwiał Zygfyda za pokorne uwielbienie Boga i łatwość, z jaką ronił szczerę łzy. Ale potem szczodrość zniknęła z jego twarzy, zastąpiona innym uczuciem. -- Ale nie bierz jego -- rzekł, wskazując odległy kraniec stołu, przy którym siedzieli Ivar i Ermanrich. -- Weź grubasa.

Ivar się zaczerwienił. Ermanrich wstał, pochylając się, by szepnąć mu do ucha:

--Jest po prostu zazdrosny, bo Baldwin cię kocha. Nie przejmuj się, Ivar.

Ale on się przejmował. Skończył posiłek w milczeniu, samotny, gdy Baldwin i Ermanrich odeszli. Wszyscy nim pogardzali, bo Ekkehard nim pogardzał, ale czy błogosławiony Daisan nie wybaczył swoim wrogom? Czy nie przypominał swym uczniom, że ci, którzy żyją w ciele, są podatni na pokusy? Każdy się cieszył, gdy działał po bożemu, ale ciało, zrodzone na skażonym świecie, często nie zgadzało się z nieskażoną duszą.

Tak trudno było cały czas być dobrym.

Tak trudno było tej nocy, gdy przebudził się z nieprzyjemnie żywego snu o Liath i dysząc, by się uspokoić, nie od razu zorientował się, że został kopnięty. W ciepłą późnowiosenną noc i drzwi, i okiennice były otwarte i w świetle księżyca zbliżającego się do pełni ujrzał postać kobiety odzianej jedynie w halkę, zmierzającą ku łóżu dzielonemu przez Ekkeharda, Baldwina i Mila. Milo zawsze spał twardo, a Ekkeharda napojono sokiem z maku, ponieważ gdy się poruszał, ból nie pozwalał mu spać.

Ale Baldwin nie spał.

--Książę panie! -- wyszeptała. -- Wasza Wysokość...! -- Położyła dłoń na nagiej piersi

Baldwina.

--Nie jestem księciem -- wymruczał, choć nie zrobił nic, by odsunąć jej dłoń. -- To jest książę Ekkehard, tu obok.

--Ale wy jesteście taki piękny, panie. Jak anioł. -- Sięgnęła w dekolt tuniki. Przez chwilę Ivar widział jasną połąć skóry, gdy odsunęła tkaninę i musiał zamknąć oczy, tak bardzo był rozpalony i wciąż obolały po śnie, że pomyślał, iż zupełnie się zatraci.

--Mam pióro, panie -- szeptała. -- Anielskie pióro.

Musiał spojrzeć. Nie obnażyła się, tylko pokazała złote pióro, którego miękki blask ozlacał rysy Baldwina i czynił dziewczynę najpiękniejszą, jaką Ivar w życiu widział, ciemne włosy, mały nos, znamię na policzku, które poruszało się, gdy się uśmiechała.

--Wiedziałam, że to znak. Miałam tyle dziwnych snów, odkąd ujrzałam światła w starym kamiennym kręgu, zanim pojawiła się bestia. Śniłam, że przyszedł do mnie anioł. Tak samo Rodlinda i Giselai Agnes, chociaż ona mężata od zeszłej jesieni. Czy to nie wy, panie? Nie jesteście aniołem? Czy Bóg was nie zesłałi, byście stąpali wśród nas i dali nam objawienie?

Ivar pozostawał czysty od dnia swego objawienia, ale Bóg na pewno wiedziała, że to nie było proste.

--Ach! -- Westchnienie Baldwina brzmiało jak dźwięk przyjemności, a nie zaskoczenia, gdy młoda kobieta, nie czekając na odpowiedź, wspięła się na niego.

Ivar odturlał się od chrapiącego Ermanricha, który nie obudziłby się, nawet gdyby przegalopowało stado spłoszonych koni, i wypadł na zewnątrz, zanim zrobił coś, co pograżyłoby go na wieki albo dało Ekkehardowi kolejny powód do kpin. Na szczęście światło księżycy pozwoliło mu przejść przez sad i las, aż dotarł do stosu, choć stąpnął na niezliczoną ilość patyków, a twarz i ramiona podrapały mu nisko wiszące gałęzie.

Zygryd zasnął, a jakaś pocziwa dusza przykryła go starym kocem. Jego wąska, lisia twarzyczka była we śnie tak niewinna i słodka, że wszystkie wątpliwości i żądze Ivara natychmiast zniknęły i ukląkł z czystym sercem. Nie wiedział dlaczego, ale ważne było, by ktoś modlił się przy stosie tego jasnego stworzenia, które zabijało jedynie z głodu, dopóki nie zaatakowali go pożądlivi ludzie wprowadzeni w błąd przez strachliwych. Na pewno przeraziło wieśniaków, którzy natykali się na wypatroszone ciała jeleni, ale czy w naturze takich stworzeń nie leżało żywienie się mięsem? W odróżnieniu od ludzi zwierzęta nie mogły odmienić tego, czym były ani jak się zachowywały. Nawet stworzenie Boga musiało jeść. Nikomu nie zrobiło krzywdy i może nigdy by tego nie uczyniło.

Może jednak wizje, które spostrzegł w dymie znad stosu, były halucynacjami zesłanymi przez Nieprzyjaciela. Może za jakiś czas bestia zaczęłaby polować na wieśniaków i ich bydło. Ale wątpił w to. Nim również władały strach i pożądanie; sam pomógł zabić to stworzenie.

Nie był pewien, która godzina. W przeciwieństwie do Zygryda i Ermanricha nie nauczył się określać według wschodu i zachodu gwiazd, kiedy zacząć nieszpory, ale gdy usłyszał odległe pianie koguta, zaczął śpiewać nocną modlitwę.

Dlaczego złym dobrze się powodzi, Pani,

A ci o czystym sercu cierpią na tej ziemi?

Dlaczego ci, którym przemoc odzieniem, a język mówi plugastwa,

Żyją w dostatku, kłopoty ich nie dosięgają?

Świt nadszedł, gdy śpiewał Benedictus, a Zygryd poruszył się i obudził, klęknął, żeby

modlić się obok niego, choć nie mógł wymówić ani słowa. Ujrzeni go, zanim ktokolwiek do nich przyszedł: maleńki, ledwo opierzony złotoczerwony ptak trzepotał skrzydłami wśród wciąż się tłących węgli. Kiedy się rozjaśniło, zagrzebał się głęboko w popiołach.

Późnym rankiem przyszedł po nich Milo, zły, że musiał tyle iść i nieco nerwowy, gdy z bezpiecznej odległości obserwował wciąż płonący stos.

--Książę Ekkehard was wzywa -- zawołał. -- Czemu to jeszcze nie zgasło? Czemu się tu modlicie? To zdechło, prawda?

Kiedy wrócili do wioski Baldwin wyglądał na kompletnie wyczerpanego, jakby wcale nie spał. Nie mógł się powstrzymać od ziewania i gdyby książę nie był wciąż oszołomiony po soku z maku, zauważyłby, że coś jest nie tak.

--Może brat Zygfryd potrafi to wytłumaczyć -- mówił Ekkehard, kiedy weszli.

Kilkunastu wieśniaków zgromadziło się, by narzekać na sny i koszmary, które gnębiły ich od tajemniczego przybycia bestii.

--Po prawdzie, braciszku -- powiedziała starucha, która chyba objęła obowiązki rzecznika. -- Myśleliśmy, że te wizje znikną, kiedy bestia umrze, ale nic się nie zmieniło. Chyba że na gorsze. Co Bóg chce przez to osiągnąć? Czy zrobiliśmy coś złego? Czy jesteśmy karani?

Ermanrich osiągnął biegłość w komunikowaniu się z Zygfrydem, na piśmie lub nie, a Zygfryd tak ich przewyższał w rozumieniu i interpretacji woli Bożej, że wszyscy zgodzili się polegać na nim w sprawach doktryny i pisma.

--Czym jest dusza? -- zapytał Zygfryd, a Ermanrich przemawiał za niego. -- Jest wszystkim, czym my jesteśmy, a jednak nie możemy żyć na tym świecie bez ciała. Błogosławiony Daisan nosił śmiertelne ciało zamieszkaną przez nieśmiertelną duszę, ponieważ Bóg tak bardzo ukochała świat, że dała nam swego jedyne Syna, aby wziął na siebie ciężar naszych grzechów. Przybył więc przed oblicze cesarzowej Thaisanii, zamaskowanej, i nie pokłonił się przed nią, ponieważ wiedział, że jedynie Boga należy czcić. Cesarzowa nakazała obdrzeć Go ze skóry, jak to czyniono wtedy z przestępcami, a Jego serce wycięto i rzucono na ziemię, gdzie zostało rozdarte przez psy na setki kawalków, bo czyż nie jesteśmy psami, bezmyślnie pożerającymi boskie skarby, warcząc nad nimi i szczerząc zęby?

Baldwin starał się powstrzymać ziewnięcie. Wieśniacy zaczynali się denerwować.

Książę Ekkehard mógł już zgiąć jedną rękę w łokciu i potrzeć nos wierzchem dłoni.

--Myślę, że na razie wystarczy -- powiedział.

--Błagam, uwierzcie nam! -- zawołał Ermanrich tak głośno, że kilku ludzi, w tym towarzysze Ekkeharda, podskoczyło. -- Jego krew zmyła wasze grzechy!

Zygfryd pociągnął Ermanricha za habit i wykonał skomplikowany znak dłońmi, stękając, odsuwając na bok słomę, aby mógł napisać litery na podłodze domostwa.

--Och! -- rzekł Ermanrich, po raz pierwszy tak zaskoczony, że wydawał się przestraszony. -- Jesteś pewien... książę Ekkehard mówił... -- Zygfryd gwałtownie pokiwał głową. -- Och, dobrze -- ciągnął Ermanrich, jękając się nieco. Spojrzał raz na Zygfryda, wykrzywiając swą dobrotliwą twarz, ale ten miał twarz jak wykutą z kamienia. -- Braciszku Zygfryd mówi, że wy, którzy nie macie wiary w prawdziwość naszych słów, jutro rano o świcie ujrzycie cud, a wtedy uwierzycie.

Ekkehard zawołał ich na bok, podczas gdy wieśniacy rozeszli się, by przekazać wiadomość.

--O czym wy mówicie? Nie chcę stracić przychylności tych wieśniaków z powodu waszych

przerażających przemów! Baldwin! -- Sok z maku przestał działać, ale księżę mógł poruszać ramionami już kilka dni temu i pozwolił obmyć je wodą z olejkiem sosnowym, podczas gdy rugał Baldwina. -- A jeśli dotrzemy do mojej siostry i ona z powodu waszego gadania odeśle nas wszystkich do domu? O Boże! Nie, zostaw! -- warknął na służącego, który dotykał siniaków na jego ramionach. -- Wyjadę jutro. Mogę już jeździć, czuję się znacznie lepiej. Panie, chroń mnie! Całą noc śniłem o nagich sukubach wzdychających i jęczących obok mnie na łóżku i myślałem, że oszaleję. Obiecałem nie tknąć żadnej z ich córek i nie chcę źle wypaść w ich oczach, nie po tym, jak okpiłem Wichmana, ale musimy stąd wyjechać.

--Prawda, Wasza Wysokość -- powiedział Ivar, rzucając Baldwinowi kose spojrzenie.

--Pomódlmy się przy stosie bestii, księżę panie -- rzekł Baldwin. -- Wieśniacy będą się teraz trzymać z dala od niego, a my będziemy mieć spokój.

Ekkehard popatrzył podejrzliwie na Ivara, jakby ten używał jakichś sztuczek, aby wydrzeć Baldwina jego prawowitemu panu, ale zgodził się, bo chciał uniknąć kłopotów. Dziesięciu młodzieńców z jego orszaku poszło z nimi do stosu.

--A to zmiana -- mruknął Ivar, gdy dreptali ścieżką. -- Podczas ostatnich kilku miesięcy nie widziałem, żebyś się dużo modlił. Zbyt cię zajmowało całowanie księżących stóp.

--Tak mi dziękujesz? -- odparł Baldwin. -- Małostkową złośliwością? Czyż nie chroniłem cię cały ten czas? Nie ocaliłem przed Judith? Niech mi Bóg dopomoże, mam nadzieję, że potrafisz się odwzajemnić, bo drugiej takiej nocy nie przeżyję! Wkradały się przez okno jedna po drugiej, bredząc o aniołach i objawieniach. -- Zadrżał, ale nawet grymas nie mógł skazić jego urody. Idąc tak blisko, Ivar czuł olejek jaśminowy, który został na skórze Baldwina. W błyszczących włosach miał gałązkę suszonej lawendy, a Ivar wyjął ją i roztarł w palcach. Słaby zapach rozszedł się i rozwił.

--Boże, chroń nas -- wykrzyknął Milo, który szedł z przodu. W miejscu, gdzie stał stos, unosiła się para, a popioły i węgle skrywała wrząca mgła. Powietrze przesiąknięte było zapachem kwiatów destylowanych na kadzidło. Z mgły dochodziło cichutkie trzaskanie, mieszając się z gulgotem wody i syczeniem pary.

--Nie... nie podoba mi się to -- powiedział Milo, cofając się kilka kroków, ale Baldwin podszedł tak blisko, jak tylko mógł, i padł na kolana.

--Nic nie może być gorsze od tego, co wycierpiałem zeszłej nocy! -- oznajmił. -- Wolę umrzeć, niż przejść przez to jeszcze raz. -- Zygfyrd szturchnął go i Baldwin dorzucił pośpiesznie: -- Choć oczywiście wiem, że Bóg nad nami czuwa. Przeznaczone nam tu być. -- Złapał Zygfyda za rękaw i przyciągnął go bliżej, zniżając głos: -- Prawda?

I tak minął drugi dzień, pełen niepokoju. Od czasu do czasu przychodzili wieśniacy, chcąc im się przyjrzeć, jakby upewniali się, czy czegoś nie knują, ale przez większość czasu byli sami, choć raz czy dwa Ivarowi zdawało się, że słyszy chichot na skraju lasu, tak daleko, że gdy się odwrócił, widział jedynie blade kształty pomiędzy drzewami, psy lub kozy albo dręczycielki nieszczęsnego Baldwina.

Baldwin modlił się najpiękniej ze wszystkich i mógł prowadzić modły, jeśli Ermanrich mu podpowiadał.

Ci, którzy odchodzą od Boga, są zgubieni

I zniszczeni są ci, którzy się Jej wyrzekają.

Ale jeśli niczego na ziemi nie pożądam,

Bóg na wieki będzie mym schronieniem.

I tak nadszedł zmierzch; księżę Ekkehard przyłączył się do nich, gdy śpiewali wspólnie nieszpory. Ich głosy mieszały się słodko, silne i słabe tenory i kilka głębszych głosów, które jeszcze się lamały.

--W tej wiosce śmierdzi -- stwierdził Ekkehard, gdy umilkli, choć tej nocy była pełnia. --
Wolę spać tutaj. Jak ten ogień grzeje!

Ogień rzeczywiście grzał i nie przestawał trzaskać w dziwny sposób, ale wszyscy zdawali się nie zauważać, że dzieje się coś dziwnego. Ivar był rozdarty: przerażony, a jednocześnie niezdolny do ucieczki, bo gdzieś głęboko, w samym środku duszy, czuł, że stanie się coś bardzo niezwykłego i wspaniałego.

Zasnął, gdy księżyc stanął w zenicie. Obudziło go pianie koguta. Leżał na ziemi mokrej od rosy z twarzą wciśniętą w zimną grudę i kępką trawy wetkniętą w nos. Coś pełzało mu po twarzy, zaklął i strzepnął to, zanim się podniósł, mając nadzieję, że mrowienie w karku przeminie.

Obok niego Zygryd śpiewał Benedictus Domina, ale przecież Zygryd nie mógł już śpiewać, a jednak Ivar rozpoznawał ten głos: tak często śpiewał obok Zygryda w Quedlinhamie i tenor przyjaciela był jak lina ratunkowa w chwilach najgłębszej rozpacz.

Zygryd śpiewał i płakał z radości, a gdy światło jutrzeńki spłynęło lekko w ciężkie powietrze, Ivar ujrzał, że mgła opadła i odsłoniła stos monstrualnych rozmiarów, złotoczerwone węgle ułożone na sobie niczym tysiące kamieni, wyższy nawet od człowieka. Ekkehard obudził się i poderwał, wymachując ramionami, jakby zapomniał, że jest ranny, i zatoczył się w tył, podobnie jak inni, ale wpadli na wieśniaków, którzy przybyli tłumnie, by się gapić. Kilku podeszło bliżej, wykrzykując, że nie boją ich już zęby i że przestali kuleć. Zygryd śpiewał z ramionami wzniesionymi ku niebiosom, a Ermanrich, oszłomiony, ale jak zwykle rozsądny, odciągnął go przemocą od stosu, który poruszył się i zadrżał jak budząca się bestia. Baldwin klęczał tak sztywno ze złożonymi rękami, że Ivar pomyślał, iż wpadł w trans. Podskoczył, by nim potrząsnąć, by go obudzić, ostrzec.

Krawędź wschodzącego słońca zabłysła za wzniesieniem, na którym stały kamienne ruiny, niczym zniszczona, olbrzymia korona dawno umarłej królowej. Dzień zwyciężył noc.

Stos się otworzył. Buchnęła z niego chmura zapachu. Wokół rozsypały się kwiaty, bezcielesne płatki, które zniknęły, gdy tylko dotknęły ziemi.

Skrzydła rozwinęły się z trzaskiem i wielka bestia uniosła się, wspaniała niczym dzień po długiej, czarnej, beznadziejnej nocy. Zapiała. Dźwięk odbił się od niebios i spłynął na Ziemię, a potem uniósł się w górę, odbijając się echem, aż Ivar zrozumiał, że to nie było echo, tylko odpowiedź.

--Feniks! -- krzyknął Zygryd. -- To znak błogosławionego Daisana, który powstał z martwych, żeby stać się dla nas wszystkich Życiem.

Ptak uniósł się tak szybko, że ostatnia gwiazda, błyszcząca jeszcze na nieboskłonie, gdy wokół rozlewał się blask słoneczny, mogła być nim, widzianym po raz ostatni przez śmiertelników.

Kiedy zniknął, księżę Ekkehard krzyknął w zaskoczeniu i wszyscy wieśniacy podjęli okrzyk, pełni zdumienia i zachwytu: wszystkie ich dolegliwości zostały cudownie uleczone.

--Byliście świadkami potęgi Syna i Matki -- rzekł Zygryd, który jako jedyny zdawał się

**nieporuszony. Jego wiary nic nie mogło naruszyć. -- Dlatego zostaliście uleczeni.
Ale Ivar wiedział, że to piękno na zawsze go zraniło.**

4.

--Nie bądź taki niecierpliwy. To tylko niewielkie opóźnienie. Mamy ponad pięć lat na jej wyszkolenie, aby wypełniła swe zadanie, dużo więcej czasu niż potrzeba. Pozwalasz, by twoje wrodzone obrzydzenie dla jej zachowania zaćmiło ci rozsądek, bracie. Wszystko potoczy się według naszego planu.

--To ty tak mówisz. Ale dotychczas napotkaliśmy na zdecydowanie zbyt wiele niespodzianek i opóźnień.

Sanglant musiał się skupić na wbijaniu belki w chodnik, uderzając młotem cały czas w tym samym rytmie, nim Severus i Anne wynurzyli się z wieży i zaczęli iść ku niemu. Nie chciał, by podejrzewali, że nasłuchiwał. Po dziesięciu miesiącach nadal nie zorientowali się, jak czuły miał słuch.

--Prawda, że ona musi się zorientować, jakim szaleństwem jest uleganie ziemskim żądzom. Mam nadzieję, że niemożność wychodzenia i choroba pokazały jej, jak bezsensownym jest uleganie przyjemnościom ciała.

--Musimy pozbyć się tego... tego zwierzęcia!

--Spokojnie, bracie. Na wiele sposobów wypróbowałam jego siłę i obawiam się, że geas nałożone na niego przez matkę są silniejsze od naszej magii.

--Chcesz powiedzieć, że nie możesz go zabić.

--Nie mogę. Ale mam pewne pomysły. Nadal mamy w ręku najsilniejszą figurę. Musimy jedynie poczekać, aż będziemy mogli użyć jej przeciw niemu.

--Nigdy jej nie przekonasz, aby zwróciła się przeciw swemu mężowi i dziecku!

--Zobaczymy, bracie. Pomówmy o innych sprawach.

Cały czas szli nowym chodnikiem i teraz Sanglant odsunął się, by ich przepuścić.

--Dzień dobry, księżę Sanglancie -- powiedziała do niego Anne, kiedy mijali część, którą układał. Brat Severus mruknął coś, co mogło być powitaniem.

--Dzień dobry -- odparł, opierając młot na ramieniu. Poczul dziką chęć, aby walnąć nim w ich nadęte twarze i przez moment ta żądza wydawała się takim doskonałym rozwiązaniem, ale szybko ją stłumił. Anne bez wątpienia się chroniła, a poza tym trudno byłoby zachować twarz w oczach Liath, gdyby zabił jej matkę.

Nawet jeśli ona właśnie przyznała, że chciała go zabić.

--Czy Liath przyjdzie na posilek? -- zapytała Anne słodko, zatrzymując się tuż poza jego zasięgiem. Równie dobrze, pomyślał, mogła pójść i sama zapytać o to Liath. Ale tego nie uczyniła.

--Nie, nie sędzę. -- Wypróbował belkę stopą; ułożył już niemal cały chodnik między wieżą a dworem. On i Heribert najpierw pokryli najgorsze błotniste kawałki ścieżki, którą wiosenne deszcze zamieniły w bajoro, więc Anne i Severus nie zabrudzili sobie nawet butów, przeskakując brakującą część. -- Zje posilek w naszej chacie. -- I uśmiechnął się.

Pies Anne zawarczał na niego, pewnie wyczuwając nieszczerłość. Zostawił psa Eików uwiązanego obok Liath, zwyczajem, którego nabrał podczas ostatnich dwóch miesięcy, od narodzin Blessing.

--Doskonale -- rzekła Anne, wraz z Severusem weszła na kolejną część chodnika i poszła dalej. Przed drzwiami dworu stała siostra Zoe, udając, że nie patrzy. Sanglant podziwiał ją z oddali, zmysłowe krągłości zarysowane pod habitem, a ona odwróciła się nagle i zniknęła we

wnętrzu. Roześmiał się, a jeden ze służących uszczypnął go w udo, jakby chciał go zbesztać.

--Cicho -- powiedział, wciąż chichocząc. -- Już się tego ranka napracowałem. Mogę się tak niewinnie rozerwać. -- Ale służący już pognął do dworu, gdzie bez wątpienia będzie usługiwać albo sprzątać. Czł zapach świeżo upieczonego chleba i uświadomił sobie, że jest głodny. Chodnik może poczekać. Przerzucił młot przez ramiona, przeskoczył przez bale i ruszył wśród kwitnących winorośli i sadów pełnych młodych liści i owoców ścieżką, która prowadziła do żony i dziecka.

Usłyszał ją, zanim ujrzał.

--Nie, nie, oczywiście, że zrobił, co mógł. Ale nie mogę jej nie zazdrościć, że ona może karmić moją córkę, a ja nie.

Wyszedł przed chatę i zobaczył Liath spoczywającą na leżaku, który wybudował dla niej Heribert, aby mogła leżeć na dworze i studiować książki, przyniesione jej przez Meriam i Venię. Heribert siedział u jego stóp. Rzeźbił grzechotkę z drzewa czereśni, ale trzymał je teraz w dłoniach i wraz z Liath przyglądał się Jernie karmiącej dziecko w cieniu jabłoni.

Był to zaiste dziwny widok: przez przezroczyste ciało Jerny widział korę drzewa i choć zdawała się ona składać jedynie z wody i powietrza, mogła jednak utrzymać dziecko wystarczająco długo, by je nakarmić, zanim przesiąkło ono przez jej blade ciało niczym przez gęsty budyń i delikatnie opadło na ziemię.

--Jak sądzisz, co jest w jej mleku? -- wyszeptała Liath, ale Heribert jedynie wzruszył ramionami.

--Blessing rośnie -- powiedział, jakby to wystarczało. I wystarczało.

Liath podniosła wzrok i ujrzała Sanglanta. Uśmiechnęła się głupio, zdjęła nogi z leżaka i wstała, przytrzymując się wygiętego oparcia w kształcie muszli, tak starannie wyrzeźbionego z klonu przez Heriberta.

--Nie, nie -- zawołała. -- Przyjdę do ciebie.

Nie było to daleko, najwyżej sto kroków, ale musiał zacisnąć zęby, aby nie rzucić się jej na pomoc. Wciąż była taka słaba, jakby cała jej siła przekazana została dziecku. Nie mogła nawet zapalić świecy. Ale potrafiła już przejść sto kroków i opierała się na nim lekko, gdy wracali. Ciepło jej ciała wywołało w nim różne doznania, ale ostrożnie posadził ją na leżaku i poszedł obmyć dłonie i twarz w zimnej wodzie z koryta przy drzwiach.

Kiedy wrócił, kilku służących przyniosło już tace i jedzenie z dworu: piwo, chleb, miękki ser przyprawiony pietruszką, gulasz ryżowy doprawiony solą i śmietaną. Cofnęła się, aby mógł usiąść obok niej i jedli w ciszy. Wciąż przeżywał rozmowę, którą podsłuchał. Jak przeoczył fakt, że przez cały czas to Anne próbowała go zabić? Przecież to oczywiste.

Czy Anne naprawdę zamierzała nastawić Liath przeciw niemu i dziecku? Jak zamierzała tego dokonać?

--Jesteś dziś zamyślony, księżę panie -- rzekł Heribert.

--Och, ale dziś jest dzień świętego Merkuriusza Zmiennego -- odparła Liath. -- I wiele dziwniejszych rzeczy się już działo.

Unieruchomienie uwolniło niezwykle zasoby humoru z głębin jestestwa Liath. Nie zawsze była bardzo zabawna, ale on czuł się zmuszony do śmiechu, bo nie chciał ranić jej uczuć, a poza tym czarujące były te próby kogoś, kto zawsze był tak śmiertelnie poważny.

--To dziwny dzień -- przytaknął. -- Po raz pierwszy mam szczerze dosyć pracy.

--Szkoda, że nie możemy gdzieś pójść. Chyba nigdy nie zostawałam tak długo w jednym miejscu prócz Spokoju Serca i Qurtuby. Jestem przyzwyczajona do życia w ruchu. Tu jest oczywiście pięknie, ale czasami czuję się jak więzień.

Blessing pod drzewem skończyła jeść i gdy się poruszyła, chcąc beknać, zaczęła spadać powoli poprzez ciało Jerny. Heribert zerwał się i pobiegł po nią.

--Jesteśmy więźniami -- dodała Liath.

--Cicho -- powiedział Sanglant, kładąc dłoń na jej dłoniach. -- Daj spokój, kochana, po prostu znudził cię ten widok. Pójdziemy do tej starej chatynki w górach...

Heribert wrócił i usiadł na leżaku, uparcie nie chcąc oddać dziecka. Robił do niej głupie miny, wywracając oczy i uśmiechając się przesadnie, wydając z siebie ochy i achy, ponieważ Blessing właśnie zaczęła się uśmiechać i wszyscy troje zdolni byli posunąć się do najdziwniejszych rzeczy, by tylko na twarzy maleństwa pojawił się jeden z tych na wpół zaskoczonych uśmiechów.

--Nie wiem, czy uda mi się pójść tak daleko -- powiedziała Liath, ale przygryzła wargę, spoglądając przez sad ku zboczom, jakby miała zamiar spróbować.

--Możesz pojechać na Resuelto.

Namówienie jej było tak proste jak rozweselenie Blessing, która była na razie nadzwyczaj spokojnym dzieckiem. Skończyli jeść i ruszyli ścieżką, pies biegł przed nimi. Liath szła tak długo, jak mogła, a kiedy osłabła, Sanglant po prostu posadził ją na koński grzbiet. Heribert nie chciał oddać Blessing, a Jerna podążała z tyłu, jak zawsze obawiając się Liath. Ścieżka pokryta była kwiatami i warstwą gnijących sosnowych igiel. Tu i ówdzie mijali pieńki po ściętych drzewach.

--O Pani -- mruknęła Liath. -- Czy jestem strasznie niewdzięczna, bo chciałabym studiować gdzie indziej? Rosvita sugerowała klasztor Świętej Walerii, ale sądzę, że teraz nie mogę tam pójść. -- Roześmiała się, patrząc na niego tak, że oblał go żar. Niepełnosprawna żona czyniła łoże niewygodnym miejscem przynajmniej dla kogoś, kto przed Gentem nigdy nie szkolił się we wstrzemięźliwości. -- Wyobraź sobie królewską scholę, gdyby uczono tam matematyków!

--Cicho -- mruknął, wciąż rozmyślając o wielorakich przyjemnościach małżeńskiej łóżnicy. -- Jeśli są tu służący, zanoszą twoje słowa na dół.

Wyszli z brzeziny na wysoką przesiekę, do klifu i bariery ze zwalonych głazów. Letnie kwiaty kwitły wśród pierwiosnków i przebiśniegów. W dolinie trudno było określić porę roku, bo na drzewach wisiały pąki, kwiaty i owoce na jednej gałęzi. Ale z Liath nauczył się obserwować gwiazdy i wiedział, że prawie nadeszło lato. W dalekim świecie rozpoczął się sezon bitew. Czy Henryk walczył na wschodzie? Czy pomaszerował na wschód do Aosty, czy też został na zachodzie, użerając się z opornymi szlachcicami? Czy Eikowie znów zaatakowali, czy też klęska pod Gentem tak ich osłabiła, że pokolenie minie, zanim uderzą na północne wybrzeża z taką samą furją jak pod wodzą Krwawego Serca?

Co ważne, mógł już myśleć o Krwawym Sercu bez mimowolnego warczenia. Od dwóch miesięcy nie miał koszmarów. Pomógł Liath zsiąść z Resuelto. Była tak zmęczona, że zasnęła, gdy położył ją na posłaniu, które przygotowali sobie kilka miesięcy temu w starej chacie, jedynym miejscu, gdzie mogli uciec przed baczny spojrzeniem sług Anne. Miał żywe wspomnienia z tych dni.

--Rzadko tu bywałem -- powiedział Heribert, rozglądając się. -- Ach! Notatki Liath. -- Podniósł pergamin pokryty diagramami i równaniami, odłożył go, i wziął popękana skórzaną podeszwę, odwracając ją, jakby chciał odnaleźć znak szewca. Trzymał Blessing na jednej ręce. Ona też zasnęła i Sanglant odebrał ją Heribertowi i złożył delikatnie w ramiona Liath. Liath wymruczała coś, zmieniając pozycję, by przytulić do siebie dziecko. Kiedy miała zamknięte oczy i jej usta muskały gęste, czarne włoski Blessing, niemal widać było podobieństwo, choć twarz dziecka była jeszcze nie uformowana.

--Liath jest silniejsza -- rzekł Heribert cicho, odwracając się, żeby sprawdzić, czy Jerna za nimi nie weszła. -- Jak długo jeszcze będziesz przed nią ukrywał to, co odkryłeś?

--Na Boga, bracie, zwierzyłem ci się tylko dlatego, że nie mogłem znieść milczenia! -- Uśmiechnął się, by złagodzić ostre słowa. -- Ale dopóki nie mamy stąd wyjścia, a ona jest tak słaba, uznałem, że tak będę ją chronił. Nawet jeśli nie czyni mnie to lepszym od siostry Anne.

Heribert zamruczał cicho.

--Co za porównanie, przyjacielu. Jeśli jednak ona nie zna sekretu kamieni, jak uciekniemy?

--Sądzę, że gdybym był na ich miejscu, to w życiu bym jej tego nie nauczył. Ona jest dziwna, o jednych rzeczach tyle wie, a o innych nic.

--Trudno oczekiwać, aby wszyscy mieli takie doświadczenie jak ty, książę.

Był to żart, ale Sanglant wzruszył ramionami.

--I całe szczęście.

--Cicho -- powiedział Heribert, jak Sanglant do Liath, i przez moment Sanglant sądził, że kleryk go pociesza. A potem, widząc przechylenie głowy, zrozumiał, że Heribert nasłuchuje.

Jerna śpiewała. Ale nie była to pieśń, nawet nie melodia, raczej szum potoku.

Wyślizgnął się na zewnątrz, a Heribert podążył za nim.

Nie dostrzegł jej, tylko wodę spływającą po ścianie głazów zagradzających skraj łąki. Heribert pociągnął go za rękaw do przodu, wskazując, z twarzą zarumienioną i spoconą z podniecenia.

Wyśpiewywała sobie drogę przez rumowisko, nie tworząc ścieżki, tylko otwierając tę, która była zamknięta i niewidoczna w miejscu, gdzie strumyk wcinął się w skałę.

Zmitrężył tylko tyle czasu, aby uwiązać psa na długiej smyczy przed drzwiami chaty, zanim wszedł za nią w rumowisko. Heribert dreptał za nim, raz nadeptując mu na pięty, raz łapiąc za pas, gdy poślizgnął się na kamykach. Ale ścieżka była wyraźna i jasno oznaczona, gdy już się na niej znalazłeś, wila się wzdłuż strumyka przez kupę głazów wielkich jak domy i po krawędzi klifu, aż do wąskiego przesmyku, a potem kończyła się na wąskiej półce, z której schodziło się dalej. Jerna podeszła tylko do ostatniego zwaliska kamieni, ale Sanglant szedł dalej, dopóki pokryta koleinami droga nie zamieniła się w ścieżkę kozic. Nie widział żadnych kozic, ale dwa szare ptaki latały pod urwiskiem, dziobiąc w szczelinach. Tutaj była niemal inna pora roku: połowę gór nadal pokrywał śnieg, choć tu i ówdzie, na słonecznych zboczach, kwitł mech. Zrobił kilka kroków, przekopując się przez śnieg, i zatrzymał na półce, z której roztaczał się szeroki widok.

W dole droga wila się przez przełęcz o stromych zboczach, ocienioną trzema monumentalnymi szczytami, które lśniły w słońcu. Najwyższy zakrywała mgła, ale dwa pozostałe odcinały się ostro od połaci błękitnego nieba, tak białe, że od ich blasku bolały oczy.

--Boże, chroń nas -- wyszeptał Heribert, podchodząc. -- To przełęcz świętej Barnarii.

--Góry Alfar! -- jęknął Sanglant. -- Widziałem tylko ich podnóża z daleka, z północy. Nigdy przez nie nie jechałem, ale słyszałem opowieści. -- Oszłomiły go wysokie szczyty. Oczywiście, widział je wcześniej z Verny: jeden miał szczególne skrzywienie, jakby wierzchołek przechylił się lekko na bok. Ale stąd wydawały się znacznie bardziej masywne i nie mógł podziwiać szerokiej środkowej góry, opadającej stromo ku ziemi, ku przełęczy. Droga biegła prosto przez nią, ułożona z kamieni. Dalej, częściowo ukryty za zboczem, widział kilka budynków przypominających klasztor: pewnie jakieś schronisko dla wędrowców.

I rzeczywiście na drodze pojawili się wędrowcy, oddział wielkiej damy albo nerwowego handlarza transportującego ze wschodu przyprawę i jedwabie: pół tuzina wozów, oddział trzydziestu jeźdźców i pewnie tyle samo pieszych. Nadjeżdżali ze wschodu, rozciągając się na drodze, częściowo dlatego, że nadal leżał na niej śnieg i wozy z trudem się przebijały. Szpica skierowała się do schroniska i kilka niewielkich postaci wynurzyło się z budynków, by ich powitać.

Sztandar załopotał na wietrze, ukazując lwa, orła i smoka Wendaru.

--Panie i Pani! -- Słyszał drzenie własnego głosu, gdy przyglądał się jeźdźcom w dole. -- To Theophanu. O Boże, patrz! To kapitan Fulk i jego ludzie.

Nauczył się podejmować szybkie decyzje. W bitwie to, jak szybko i zdecydowanie się poruszałeś, często odróżniało porażkę od zwycięstwa.

--To może być nasza jedyna szansa -- powiedział. -- To oczywiste, że ukryli ścieżkę i nie przejdziemy bez pomocy Jerny. Idź, Heribercie. Ja muszę wrócić po Liath i Blessing.

--O co ci chodzi?

Jedno uwielbiał w dobrym oddziale: kiedy już ci zaufali, nie zadawali głupich pytań.

--To nasza szansa, by uciec. Zejdź, idź do Theophanu i powiedz jej, że nadchodzę. Jeśli będą nas ścigać, może dojść do walki.

--Ale... ale ja nie mogę! Jestem wyrzutkiem! Kościół mnie skazał.

--Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś, Heribercie. Byłeś mi dobrym przyjacielem i ufam ci. Zdaj się na łaskę Theophanu. Powiedz, że cię przysłałem i chcę, byś za wszelką cenę pozostał pod jej opieką. Daj jej... -- Ale nie miał nic, nawet pierścienia, żadnej rzeczy, która rozpoznalaby jako jego własność, którą oddałby jedynie w chwili śmierci. Nie miał nic prócz ich wspólnego dzieciństwa. -- Przypomnij jej, jak uratowaliśmy razem jajko drozda przed kotem margrabiny Judith, a ten bękart Hugo dostał baty za to, że pozwolił, by kot prawie utonął. -- Popchnął Heriberta. -- Idź!

Żaden żołnierz nie oparł się takiemu tonowi. Nawet kleryk orientował się, że jego stopy się poruszały, zanim umysł to zaakceptował.

Heribert zjechał po ścieżce, poślizgnąwszy się na splachetku śniegu, machając ramionami niczym meduza, uwięziony w prądach.

--Nie chcę cię zostawiać, księżę panie -- zawołał, mając taką minę, jakby zamierzał zawrócić.

--Heribert! -- wrzasnął, prawie wychodząc z siebie, bo wiedział, że tu trzeba czynów, nie słów. -- Jeśli to prawda o Zaginionych, jeśli mają powrócić w lawinie ognia i krwi, to król Henryk musi wiedzieć! Musi wiedzieć, że moja córka jest praprawnuczką Taillefera! Do cholery! Myśl! Idź!

Może Henryk nie uwierzy w taką dziwną historię, ale to nie miało znaczenia. Sanglant potrafił dostrzec możliwości. Poczekał, aż Heribert zejdzie niżej. Potem odwrócił się i pognał do skał. Jerna podążała za nim, zdenerwowana, szczypiąc go, jakby chciała pociągnąć go w tył, ale zbyt się śpieszył, by zwracać na nią uwagę. Wiedział, co go gnębiło, był niespokojny, ale doszedł do siebie. Całe życie był w ruchu, uderzając w słaby punkt wroga, ćwicząc nowe Smoki, polując, puszczając się -- naprawdę nie mógł tego inaczej nazwać -- galopując z jednej bitwy w drugą, żeby bronić królestwa ojca. Nie był przyzwyczajony do bezczynności i czuł się, jakby wreszcie obudził się z długiego, długiego snu.

--Liath! -- krzyknął, wyslizgując się z ukrytej szczeliny z jęczącą Jerną za plecami i wpadł na łąkę. Kwiaty kwitły w takiej obfitości, że łąka zdawała się bardziej ogrodem, spokojnym rajem.

Tylko ten wstrętny odór krwi.

Jego pies leżał przed chatką martwy, z poderżniętym gardłem. Zielonomiedziana krew wsiąkała w trawę.

Anne czekała na niego, stojąc cierpliwie przed drzwiami ze złożonymi dłońmi, tak jak jej patronka, święta Anna Spokojna, której wizerunek widział wymalowany na stalli w kaplicy Taillefera w Autunie. Obok stał jej ogar, podrapany na pysku, wymazany miedzianym płynem, ale poza tym nietknięty. Znieruchomiał, warcząc, gdy ujrzał Sanglanta, ale Anne uciszyła go dotknięciem dłoni.

--Brat Heribert będzie musiał zaryzykować -- rzekła. -- Ale miałam nadzieję, że ty też uciekniesz.

Rzucił słowem tak plugawym, że dopóki się nie odezwała, myślał, że go nie zrozumiała.

--To zawód jak inne, ale słusznie rozumiesz. Demon działał na mój rozkaz. Nie odnajdziesz już tej ścieżki. Nie liczyłam na twoją lojalność wobec żony i dziecka, choć chyba nie powinna mnie zaskakiwać. Psy często giną, chroniąc swe stado.

Był zbyt wściekły, że popełnił błąd, by zrobić coś więcej, niż wskazać martwego psa Eików, swego ostatniego i najwierniejszego towarzysza.

--Nie chciał nas przepuścić. Siostra Zoe przemogła swój wstręt i zniosła Blessing do wieży. Brat Severus odprowadził konia. Liath wciąż śpi, ponieważ nikt z nas nie ma zwierzęcej siły, by ją zanieść, a przez służących przelatywała. -- Cofnęła się, aby mógł ją wyminąć i spróbował dobyć miecza, ale wokół zaroili się służący, wypełniając powietrze wokół jego nadgarstka; nie mógł unieść ani opuścić ręki. -- Ona nie została stworzona dla świata, książę Sanglancie. Czyżbyśmy zapomnieli ci powiedzieć, że została ekskomunikowana i wyjęta spod prawa przez sobór zwołany przez twego ojca? Tak? To, że mieszkała tutaj i poznała więcej sekretów matematyków, jedynie przypieczętuje jej los. W Darre zabijają matematyków. Dalej, porzuć nas. Pozwolę ci odejść samemu. Tak będzie lepiej.

Nikt nie powie, że nie walczył do ostatniego tchu albo że porzucił swoich.

Nie musiał nic mówić. Oboje wiedzieli, że to wojna.

Minął ją, wszedł do chatki po swoją żonę i z Anne za plecami i Jerną pomykającą nieśmiało z tyłu, wrócił, milczący i wściekły, do Verny.

5.

Kaplica w Autunie, wybudowana przez rzemieślników Taillefera, była najpiękniejszym budynkiem, jaki Hanna kiedykolwiek widziała: osiem potężnych filarów oddzielało osiem naw, a każdy łuk wykonany był na przemian z ciemnych i jasnych kamieni. Na drugim poziomie smukłe kolumny sięgały jeszcze wyżej, trzeci zaś szereg rozświetlony był wysokimi oknami. Za tym potężnym ośmiokątem leżał przedsionek, w którym czekali służący tacy jak Hanna, mogąc patrzeć na środek, gdzie odbywały się ceremonie albo oczekując, że wpuści się ich do zakrystii za wschodnią nawą, w której był ołtarz.

Grobowiec Taillefera stał pośrodku, pod kopułą. Wielka kamienna trumna zwieńczona była podobną do żywej postaci rzeźbą, kamiennym portretem, który mimo legendarnych zdolności rzeźbiarzy nie mógł się równać z podobizną Lavastine'a w kościele w Lavas. Ale kamienne szaty wysadzone były klejnotami, uformowane w stylizowane róże, a marmurowe dłonie trzymały złotą koronę o siedmiu ostrzach, każdym zakończonym klejnotem: jaśniejącą perłą, lapis lazuli, bladym szafirem, karneolem, rubinem, szmaragdem i pasiastym pomarańczowo-brązowym opalem. Czuwał nad nim tłum świętych wymalowanych w niszach, a każdy był tak wyraźnie przedstawiony, że Hanna miała wrażenie, iż zna ich wszystkich niczym starych krewnych.

Ale prawie nikt nie przyglądał się świętym i koronie, tylko scenie rozgrywającej się na podwyższeniu ze szczątkami Taillefera.

--Nie! -- Tallia rzuciła się do stóp wuja i teraz ścisnęła mu kostki chudymi dłońmi. -- Błagam cię, wuju, jeśli w ogóle mnie kochasz, nie zostawiaj mnie tu z matką. -- Jej szloch odbijał się mokrym echem w kaplicy.

Gdyby scena nie była tak żenująca, Hanna roześmiałaby się na głos, widząc wyraz twarzy Henryka. Rzadko tak wyraźnie okazywał prawdziwe uczucia.

--Proszę, Konstancjo -- powiedział do swej siostry, panującej jako biskupina i księżna. -- Bądź tak dobra i zabierz mi ją z oczu. Powierzam ją twojej opiece.

Biskupina Konstancja posiadała opanowanie kobiety, która pogodziła się z Bogiem i doskonale wie, że władca nie może jej za nic obwinić. Hanna nie zdołała wyczytać z jej gładkiej twarzy, czy Tallia wzbudzała w niej obrzydzenie równie wielkie jak w Henryku.

--Tallio -- rzekła, kładąc dłoń na chudym ramieniu dziewczyny. -- Musisz się opanować. Zostaniesz tu pod moją opieką. Twoja matka rezyduje tu z własnego wyboru. Jak słyszałam, odrzuciłaś powołanie w Quedlinhamie i szacowne małżeństwo. Teraz zostaniesz w Autunie, dopóki nie zdecydujemy, co z tobą zrobić.

--Błagam, nie oddawajcie mnie pod opiekę matki! -- Tallia nie poluzowała chwytu na kostkach Henryka ani nie przestała szlochać. Hanna miała szczerą nadzieję, że Alain nie był jednym z Lwów, które teraz pełniły wartę i oszczędzono mu tego poniżenia.

Henryk miał problemy z utrzymaniem równowagi, bo Tallia ciążyła mu jak kotwica, ale udało mu się dać znak służącym, którzy pośpieszyli, by otworzyć wielkie drzwi. Zacisnął dłoń i wyprostował ramiona, jakby gotował się do ciosu.

Z miejsca, gdzie Hanna stała, nie widziała otwierania drzwi, ale do środka wpadł podmuch letniego powietrza i jak niesiony wiatrem, do kaplicy wkroczył orszak bogato odzianych służących i szlachciców, a pośród nich szedł klejnot, błyszczący w aksamitnych szatach o złotych rękawach. Jej ciemne włosy były przetykane siwizną, ale nie utraciła siły: wydał ją

mocny ród. Na szyi nosiła złocisty torkwes rodu królewskiego i ruszyła naprzód, od niechcenia kiwając głową biskupinie, która ją więziła.

--Mój Boże. Czy to naprawdę moje dziecko leży tu na podłodze niczym najgorszy żebrak? Nie poprawiła się przez te lata. -- Odwróciła się, żeby spojrzeć na brata z nagłym pólusmiechem. -- Cóż, Henryku, słyszałam, że moja macocha nie żyje i przykro mi z tego powodu, ponieważ nigdy mnie źle nie traktowała, choć promowała własne dzieci, by zabrały to, co mnie się należało. Wyglądasz na zmęczonego, bracie. Słyszałam, że mamy dziś razem ucztować. -- Tallia zaczęła wrzeszczeć, jakby dźgano ją nożem. Przycisnęła się tak mocno do nóg Henryka, że ten niemal upadł. -- O Boże -- ciągnęła Sabella, dając znak najbliższym służącym. -- Nie możemy uciszyć tego wycia?

Kamienna maska znów zakrywała twarz Henryka. Nic nie powiedział, nie poruszył się, gdy kilku umięśnionych i zadziwiająco przystojnych młodzieńców z orszaku Sabelli pośpieszyło naprzód i odczepiło Tallię od wuja, a potem wciąż szlochającą i rzucającą się, wyniosło.

--Módlmy się -- rzekł Henryk w ciszy, która zapadła. -- By moja błogosławiona matka spoczywała w pokoju, na jaki zasługuje, i byśmy mogli się pogodzić jak Bóg i ona tego pragną.

Biskupina Konstancja skłoniła głowę i uniosła dłonie do modlitwy.

--Bo, jak śpiewano w mieście królowej Salomei Mądrej, „niech zapanuje pokój między siostrami i braćmi”. -- Spojrzała na brata w sposób, który powiedział Hannie, że ona i brat długo rozmawiali przed tym spotkaniem. -- Chodźcie -- otworzyła dłonie, nakazując im podejść bliżej. -- Módlmy się.

Były Lucjany, pierwszy dzień lata, i w pałacu biskupim wydano ucztę. Hanna niemal przywykła do splendoru królewskich uczt, ale uczta biskupiny Konstancji miała rozmach i wyszukanie niczym w niebie. Stoły okrywało białe płótno, a przy każdym talerzu leżało złożone przykrycie na kolana: serwetka wyszywana w purpurowo-zielone winogrona. Wszyscy siedzieli na wyściełanych poduszkami ławach albo jedli ze złotych, srebrnych lub brązowych półmisków tak wypolerowanych, że mogły służyć za lustra. Szlachcianki nalewały wina królowi i jego rodzeństwu przez delikatne sitka. Przyniesiono łabędzia udekorowanego własnymi piórami na złotym półmisku tak ciężkim, że musiało go nieść dwóch mężczyzn. Na niższe stoły zanieśiono kawały wołowiny, wciąż dymiące, na zewnątrz zaś rozdawano kurczęta i wieprzowinę. W długie letnie popołudnie nie potrzebowali świec, żeby rozjaśnić ucztowanie, Trzech harfistów śpiewało razem lub osobno, tyle tylko, że ich muzyka była często zagłuszana przez ucztujących albo wielu petentów przyprowadzanych od czasu do czasu przed króla.

Hanna stała z Hathui za krzesłem króla i zdołała uszczknąć kawałek łabędzia, ciemnego mięsa pływającego w sosie tak aromatycznym, że musiała zamknąć oczy, próbując go. Smak był tak oszalamiający, że nie usłyszała, jak nadchodził z nowo przybyłymi, dobiegł ją jedynie ostry komentarz króla, a potem jego znajomy poważny głos, głos człowieka, który nigdy nie bał się odzywać przed władcą.

--Zostawiłem księżniczkę Theophanu w Aoście, Wasza Królewska Mość. Była wtedy cała i zdrowa, dojechała szczęśliwie z większością swego oddziału po niezwykle trudnej przeprawie przez góry. Ale jak sam jej doniosłem, królowa Adelheida była wtedy oblężona w mieście Vennaci. Aostański dowódca, zwący się lordem Janem Twardogłowym, zdecydowany był ją poślubić, odkąd rozeszły się wieści o śmierci jej młodego męża.

To naprawdę był Wilkun, cały i zdrowy jak zwykle. Ujrzał ją obok Hathui i Hanna

przysięglaby, że mrugnął. Zawsze ją zaskakiwało, jak bardzo cieszyła się na jego widok.

Henryk mruknął z irytacją, zanim upił wina.

--Nie wiesz nic więcej? -- zamieszał resztkami, gapiąc się w kielich jak kapłan dawnej wiary, który potrafił odczytać przyszłość z takich pozostałości. -- Przekłęte uparte dziecko -- wymruczał tak cicho, że jedynie jego Orły i być może Konstancja go słyszały. -- Gdyby mnie posłuchał i pojechał... -- Ale urwał, a potem podniósł puchar, by go napelniono.

Sabella siedząca po jego lewicy spoglądała na klęczącego Orła z ciekawym spojrzeniem, jak kobieta, która zastanawia się, czy tańczący niedźwiedź potrafi też mówić.

--Słyszałam wieści o tym Twardogłowym od jednej z mych kleryczek, wyedukowanej w Aoście -- rzekła. -- Krążą plotki, że zabił swego brata przyrodniego, szlachcica, i ożenił się z wdową. Ale jeśli ściga królową Adelheidę, to żona z pewnością nie żyje. Albo udała się do klasztoru.

Jeśli Wilkun był zaskoczony, że Sabella ucztuje z Henrykiem, nie okazał tego. Skłonił jedynie głowę.

--Spotkałem lorda Jana, Wasza Wysokość. Sądzę, że udanie się do klasztoru byłoby dla kobiety szlachetnie urodzonej prawdziwym wybawieniem od jego zalotów.

Sabella parsknęła, wyglądając na rozbawioną.

--Są też inne wieści -- dodał Wilkun. -- Kiedy przebywałem w Karrone po przejściu gór, usłyszeliśmy, że Twardogłowy ścigał królową Adelheidę i księżniczkę Theophanu w górach na północny zachód od Vennaci. Ukryły się w małym klasztorze w dziczy Capardii. Od tego czasu nic więcej nie słyszałem.

Kiedy Henryk przetrawiał te niepokojące wieści, Hannie pozwolono wyprowadzić Wilkuna i dopilnować, by go nakarmiono.

--Dlaczego z nimi nie zostałeś? -- zapytała.

--Hanno, jak wiesz, miałem inne obowiązki i inne wieści do dostarczenia. Jak się miewasz?

Usiadła z nim i opowiedziała swoje przygody, podczas gdy on objadał połówkę kurczaka, który był tylko trochę zwęglony, a potem zabił jego smak chlebem i piwem.

--Jak sądzisz, co oznaczają te sny? -- skończyła. -- Czy to prawdziwe, czy fałszywe wizje?

--Nie umiem ci powiedzieć. Mogła je sprowadzić niestrawność. Albo może pisane ci dziwne przeznaczenie. Od czasu do czasu do buta wpadały mi kamienie, a raz dostał się tam piękny agat, który wypolerowałem i zawiesiłem na łańcuszku. -- Uśmiechnął się jak do bardzo starego wspomnienia. -- Nie, nie umiem powiedzieć. Niewiele wiem o wschodnich plemionach. -- Zachichotał. -- Spotkałem wcześniej księcia Bayana. Kto by pomyślał, że tak bardzo spodoba się księżniczce Sapientii?

--Kto by pomyślał -- mruknęła Hanna. -- Że spodoba jej się bardziej od ojca Hugona? Wilkunie, czy wiesz, gdzie jest Liath?

--Mam nadzieję, że w jakimś bezpiecznym miejscu -- odparł gładko. -- Źle by się stało, gdyby wróciła na dwór, gdzie czeka ją proces o czary.

Ponieważ Wilkun zawsze ją zaskakiwał, chwilę zajęło, zanim odpowiedziała:

--Skąd wiesz, co się zdarzyło na soborze w Autunie? Dowiedziałam się dopiero dziesięć dni temu, gdy wróciłam na dwór.

Letni wieczór przepojony był dziwnym światłem, nie był to już dzień, a jeszcze nie noc.

--Wystarczająco już widziałas, Hanno -- powiedział wreszcie. -- Mogę ci powierzyć Orli

wzrok.

--Co to jest Orli wzrok? -- zapytała, ale miała już swoje podejrzenia.

--Spotkaj się ze mną jutro, gdy zapieje kogut, za obozem Lwów. -- Nie powiedział nic więcej.

W kaplicy Taillefera klerycy śpiewali jutrznię, gdy ruszyła wzdłuż stajni i pałacu na pole, gdzie trzy setki Lwów rozbiły obóz, ustawiając małe i duże namioty oraz wozy w czworokąt i ogradzając sznurami arenę treningową.

Kilka Lwów nie spało. Jako pochodząca z ludu piechota mieli niewielu służących i do ich obowiązków należało dbanie o siebie na wzór dawnych dariyańskich legionistów, którzy, jak powiadają, kopali w nocy okopy i nigdy nie narzekali, że muszą to robić.

Nie mogła minąć czujek, nie zapytawszy o swoich przyjaciół; znalazła Ingo przy wozach, w dłoni miał kawałek kielbasy, a zza koła syczał na niego kociak.

--Przyjacielu! -- zawołała w chwili, gdy kot go drapnął; Ingo wrzasnął, upuszczając kawałek kielbasy. Kociak zagrzebał się w kupie siana leżącej pod dyszlem. -- Ależ to niebezpieczny przeciwnik -- rzekła, kucając obok niego. -- Przepraszam, że cię przestraszyłam. To mi wygląda na ciężką bitwę.

Ssał podrapany palec.

--Biedactwa. Ich matkę przejechał wczoraj wóz z wodą i próbowaliśmy je wywabić, ale nie podejda nawet, żeby wziąć kawałek mięsa.

Malejący księżyc wisiał nad drzewami. Gwiazdy znikwały, gdy nadchodził świt.

--Nieśmiało -- powiedziała Hanna. -- Moja mama zawsze mówiła, że nie możesz wepchnąć dzieciaka między obcych i oczekiwać, że zaczniesz śpiewać i tańczyć. -- Uśmiechnął się. Podniósł kielbasę i znów ją wyciągnął, klaskając językiem w nadziei wywabienia kociąt. Usłyszała ich ostre i niemal chichoczące syczenie dochodzące z ukrycia w sianie. -- Nie widziałam w pałacu waszego nowego rekruta -- dorzuciła.

Ingo wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od siana, które wilo się wyraźnie; szary ogonek wysunął się na chwilę i zniknął.

--Thiadbald jest teraz kapitanem naszego oddziału -- rzekł. -- I zdecydował, że da mu na razie robotę w obozie. Nie ma potrzeby, żeby biedak jeszcze bardziej cierpiał. Po tym wszystkim, co przeszedł, o nikim złego słowa nie powie.

--Zwróciła się przeciw niemu -- powiedziała Hanna cicho.

--Ale może był złym mężem.

--Cicho, przyjaciółko -- rzekł nagle Ingo. Wstał, a ona odwróciła się i ujrzała wysoką postać idącą wzdłuż wozów z łopata na ramieniu i dwoma wielkimi psami za sobą. Zatrzymał się przed nimi i niemal przewrócił. Psy usiadły, spokojne jak baranki, nie wydając dźwięku. Ale widziała już, kim były i musiała wstać, choć nie wydały z siebie ani jednego złowrogiego dźwięku.

--Przepraszam, Ingo -- powiedział Alain. -- Nie widziałem cię. -- Ujrzał Hannę i powitał ją uprzejmie. Najwyraźniej nie wiedział, kim była, a ona nie zamierzała przypominać mu o Liath, którą mógł kojarzyć ze szczęśliwymi czasami. Wskazał wóz. -- Czy wyjeżdżamy dzisiaj? Nie słyszałem rozkazów.

--Nie, nie dzisiaj. To te kociaki...

--Ach. -- On też wiedział o kociętach. Ukląkł obok koła, odłożył łopatę i spojrzał na

zniechęconą kupkę siana.

Hanna obok łopaty czuła ostry zapach latryn i widziała piasek i jakąś inną substancję, która przywarła do szufli. Wybierał łajno, dziwne zajęcie dla kogoś, kto jeszcze dziesięć dni temu zasiadał wśród wielkich książąt królestwa. Ale jeśli ta praca go irytowała, to nie dostrzegła na jego twarzy ani śladu złości; miał interesujący profil, czysty, nieco ostry przez kształt nosa. Jego ciemne włosy rosły nieporządnie i zostały związane rzemykiem. W tej chwili wpatrywał się tak intensywnie w siano, że zaczęła się zastanawiać, czy zapomniał, że ona i Ingo kucają obok. Powoli wyciągnął dłoń; wydał z siebie cichuteńkie gwizdnięcie, niemal bezdźwięczne, ale siano poruszyło się; wysunął się z niego jeden różowy nosek, a zaraz potem następny.

Nie poruszył dłonią ani nie wziął od Ingo kielbasy. Szary kociak wylazł z siana i nieśmiało ruszył naprzód, obwąchał jego palce i zaczął je oblizywać małym różowym języczkiem. Drugi cień, bardziej nakrapiany niż szary, pojawił się obok pierwszego, a za nim trzeci.

Hanna obawiała się ruszyć. Ingo zdawał się zniechęcony z podziwu, kielbasa zwisała mu z palców. Psy przyglądały się, niezwykle ciche. Jeden się położył, by polizać sobie łapę.

Kiedy kocięta polizaly palce Alaina, ten powoli odwrócił dłoń i głaskał je, aż zaczęły mruścić. Nadal poruszając się ostrożnie, przygarnął je do piersi, gdzie umościły się, chowając lebki.

--Zabiorę je do kucharki -- mruknął. -- Może zjedzą trochę śmietanki. -- Stopą wskazał łopate. -- Wrócę...

--Nie, towarzyszu -- powiedział Ingo. -- Odstawię łopate na miejsce.

--Dziękuję -- rzekł Alain i ze swym ciężarem i niepokojącymi przybocznymi odszedł i zniknął w obozie.

--Naprawdę jest dziwny -- powiedział Ingo, gapiąc się na Alaina z zamyślonym wyrazem twarzy. -- Nie jest arogancki albo nadęty, biorąc pod uwagę to, kim był. Ale nie jest też pokorny i się nie płaszczy. Naprawdę, pomyślałabyś, że całe życie był Lwem. Ale kiedy widziałem go wśród panów, nigdy nie wątpilem, że to było jego miejsce. I te psy. Groźne niczym lwy, kiedy jego nie ma w pobliżu, ale przy nim są łagodne jak baranki.

--Sądziłam, że ogary należą do hrabiów Lavas! Nie zostały z hrabią Godfrydem?

--Nie, są w obozie. Nie wiem, czy poszły za nim, czy hrabia Godfryd ich nie chciał. To naprawdę bardzo dziwne.

Zostawiła go, też myśląc, że to dziwne, ale już była spóźniona, a Wilkun czekał za obozem, gdzie paliły się ogniska. Dorzuczał kolejną gałąź, gdy ją ujrzał i gestem nakazał, żeby usiadła naprzeciw niego.

--Miałem nadzieję, że Hathui też przyjdzie, ale musiała zostać przy królu.

--On jej ufa i ją szanuje.

--I powinien -- odparł Wilkun, ale potem uśmiechnął się swoim wilczym uśmiechem, ostrym, śmiertelnym i dziwnie pokrzepiającym. -- Chcę cię nauczyć sztuczki. Nazywamy ją Orlim Wzrokiem. To sposób, by widzieć przez ogień na duże odległości.

Hanna roześmiała się, słysząc taki absurd.

--A jednak mi wierzysz, prawda? -- zauważył. -- Po odpowiednim treningu wiele Orłów nabywa umiejętność widzenia przez ogień każdej osoby, którą obserwowaliśmy wystarczająco długo, by przywołać w myślach jej postać. Po jakimś czasie możesz się nauczyć słyszeć przez

ogień głośno, ale to nie stanie się od razu. I muszę cię ostrzec, że niektórzy ludzie są po prostu ślepi. Jeśli ty się taka okażesz, Hanno, nie uważaj się za gorszą.

--Tylko będę zazdrościć tym, którzy ślepi nie są!

--Spokojnie. Spójrz w ogień. Masz nic nie widzieć, nawet płomieni. Nie, naprawdę masz nic nie widzieć. Niczego nie oczekuj. Spójrz, co leży za płomieniami, nie moje dłonie czy drzewa w obozie, ale ten spokój, który znajduje się w sercu wszystkiego. Ten spokój łączy nas wszystkich i poprzez niego, jak przez okno, możemy widzieć.

Siedziała tak nieruchomo, jak tylko mogła, po prostu patrząc.

--Dobrze -- wyszeptał. Najwyraźniej czuł coś, czego ona nie czuła. Ona czuła jedynie gorąco płomieni i jeszcze uderzenia innego pulsu, nici, która powiodła ją ku ukąszeniu osy w sercu. W płomieniach zatańczyły cienie i przez moment zdawało jej się, że widzi profil księżniczki Kerayit. -- Powiedz, kogo widzisz -- zamruczał.

--Liath -- wyszeptała. -- Chcę zobaczyć Liath.

I rzeczywiście coś zobaczyła, nie płomień, nie cień, tylko ścianę, jak zasłonę ognia.

--Czy to Komnata Światła. O Boże. Czy ona nie żyje?

--Może jest tylko przed nami ukryta -- odparł tak spokojnie, że jej lęki zniknęły. --

Szybko łapiesz, Hanno. Zaczynam myśleć, że twoje sny są prawdziwymi snami i że pewna część twojej duszy już się otworzyła na podobne nauki.

--Ale ja nic nie widzę! -- Sfrustrowana przetarła dłonią oczy, piekące od dymu. -- O Pani!

Czy to nie są czary? Czy robiąc to, narażam mą nieśmiertelną duszę?

Usiadł wygodnie, odprężając się.

--Nie, dziecko. Tej zdolności używasz dla dobra króla. Orlim Wzrokiem możesz zgromadzić informacje o odległych wydarzeniach lub intrygach. Kiedy podróżujesz, możesz łatwiej odnaleźć królewski dwór, jeśli wiesz, dokąd król się udaje.

Zachichotała.

--A nie być zawsze o dwa dni spóźniona! Nic dziwnego, że przybywasz tak szybko i rzadko się mylisz.

--Czy widziałas wystarczająco dużo? Słońce wstaje i mamy swoje obowiązki.

--I pewnie wyglądamy jak wariaci, gapiąc się w ogień. Ale czy mogę spróbować jeszcze raz? Co z księciem Sanglantem? Jeśli jest z Liath, to przynajmniej będę wiedziała, gdzie ona przebywa.

Uniósł dłoń, jakby nie miał siły się z nią spierać. Ale w trzaskającym i plującym ogniu niczego nie ujrzała i zaczęła myśleć, że tylko ją judził, że nigdy nic nie ujrzy w płomieniach.

--No dobrze, naprawdę ostatni raz -- powiedziała, bo córka pani Birty nie poddawała się łatwo. -- Powiadam ci, Wilkunie, zawsze się zastanawiałam, co się stało z biskupiną Antonią i bratem Heribertem, czy naprawdę przeżyli lawinę. Pani świadkiem, że wystarczająco dobrze znam ich twarze. Biedny Heribert. Wydawał się dosyć bezbronny. Zawsze się zastanawiałam, czemu był wobec niej tak lojalny.

Na początku myślała, że to dym, mokra gałąź w samym sercu ognia. Ale cień urósł i przybrał kształt, a Wilkun wydał z siebie cichy odgłos, niemal niesłyszalny, niczym mysz, na którą skoczył kot.

--Nie odważymy się dłużej czekać -- mówi kobieta, której postać jest królewska, a głos spokojny i wyważony. To znajomy głos, ale poprzez płomień Hanna nie może go do końca

rozpoznać. -- *Opuściliśmy Novomo, zanim byliśmy pewni, że przełęcz jest otwarta, bo doszły nas słuchy, że Twardogłowy maszeruje na północ, aby wziąć Adelheidę w niewolę. Teraz ogłosił się królem Aosty.*

Czy to syk płomieni, czy Wilkuna?

Przed wielką damą klęczy petent.

--Zamierzał natychmiast za mną podążyć, Wasza Wysokość. Jeśli tego nie uczynił, został zatrzymany wbrew swej woli.

Poza płomieniami, a jednak w nich, gromadzi się więcej cieni; są jak cienie budynków widzianych zza palisady i jeden z nich się odzywa:

--Niczego nie znaleźliśmy, Wasza Wysokość. Kozia ścieżka kończy się na wzgórzu, a zbocza są zbyt strome, by się wspinać. On albo kłamie, żeby ocalić własną skórę...

--Albo więcej jest nie kontrolowanej magii, niż podejrzewaliśmy -- mówi królewska kobieta. -- I po wszystkim, cośmy widzieli, sądzę, że należy wierzyć w tę drugą wersję. Nie, jestem przekonana, że ten człowiek był z moim bratem. Nie możesz powiedzieć mi nic więcej, bracie Heribercie?

Czy to prawdziwa, czy fałszywa wizja? Hanna nie odważyła się odezwać, bojąc się, że jej głos rozproszy cienie. Czy to naprawdę był brat Heribert? Gdzie się przez ten cały czas ukrywał?

--Nie mogę powiedzieć więcej niż to, że był żywy i zdrowy, kiedy go opuszczałem. Boję się powiedzieć więcej, Wasza Wysokość. Pewnych słów lepiej nie wypowiadać.

--Trudno budować na tak kruchych fundamentach -- odzywa się mężczyzna w odległych cieniach.

--Po raz kolejny pytam, gdzie jest mój brat? -- pyta kobieta.

--Jeśli za mną nie poszedł, to nie mógł -- nalega Heribert. -- Są siły, których nie zrozumiecie... -- Wydaje się, że się boi powiedzieć więcej.

--Wobec tego co sugerujesz, bracie? -- Wydaje się lekko zirytowana i Hanna domyśla się, że zarys jej ramion nie jest naturalny, to peleryna, ubiór właściwy wędrowcom; królewska kobieta gotowa jest do odjazdu i czeka tylko, by usłyszeć lub wypowiedzieć ostatnie słowo.

--To, co nam sam powiedział. Udać się do króla, co i tak zamierzacie.

--Król Henryk sam przypieczętował dokument, który nakazuje cię osądzić i dowieźć przed skoposę. Czy odważysz się do niego udać, wiedząc, co cię czeka?

--Ufam, że mnie ochronicie, Wasza Wysokość. Książę Sanglant powiedział, że to zrobicie.

--Oj! -- Wydaje się jednocześnie urażona i rozbawiona. -- Więc jestem związana jego słowem, niech go diabli. -- Ten cień w cieniu, ten grymas jej ust to uśmiech. -- Zaryzykujesz tyle dla niego?

--A kto by nie zaryzykował? -- pyta, z prawdziwym zaskoczeniem w głosie, a jej śmiech w odpowiedzi jest ostry. -- Jest jeszcze jedna rzecz, Wasza Wysokość. Błagam, czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

Daje znak, ale nie wszystkie cienie znikają.

--Ufacie temu człowiekowi, księżniczko? -- pyta jej doradca.

--Ufam memu bratu, kapitanie Fulku -- odpowiada. -- I ty też. -- W drżących i skaczących płomieniach Hanna widzi tylko dwa cienie.

Heribert znów się odzywa i na początku ledwo go słyszy.

--On ma dziecko.

--Dziecko! Z Orłem?

--Jak to z Orłem?

--Kobietą zwaną Liathano.

--Tak, z Liath. Wierzy, że Liath i przez to jego córka, są potomkami...

Piasek poleciał jej w twarz. Wilkun zerwał się i kopał popiół i ziemię w ognisko, które zgasło, gdy Hanna kaszlała i pluła. On już odchodził, idąc z ramionami tak napiętymi, że niemal bała się za nim pobiec.

Ale miała zbyt wiele pytań. Zbyt wiele widziała, by się go teraz obawiać. I nadal pluła piaskiem i gorącym popiołem.

--Wilkun! -- pobięła i choć nie przyśpieszył, dyszała, próbując dotrzymać mu kroku. **--** Dlaczego to zrobiłeś? To była księżniczka Theophanu, prawda? Dlaczego brat Heribert z nią jest i dlaczego mówi o księciu Sanglancie, jakby byli starymi druhami? Czy Liath i Sanglant naprawdę mają dziecko? Czy to, co widziałam, to prawda czy wizja zesłana przez Nieprzyjaciela?

--Czas spędzony z Liath cię naznaczył **--** rzekł Wilkun ostro. A potem, z bólem, którego nie widać było na jego twarzy: **--** Czy tak absolutnie źle ją oceniłem? Czy aż tak się zmieniła?

--Ale...

Odwrócił się do niej z wyrazem twarzy kogoś, kto właśnie ujrzał Śmierć jadącą w swoim kierunku.

--Idź do Hathui i służ wiernie jej i Orłom. Ale nie zadawaj mi więcej pytań, bo nie mogę udzielić ci na nie odpowiedzi. Masz dobre serce i lubię cię. Trzymaj się z dala od tego, czego nie rozumiesz.

Nie powiedział nic więcej, choć szła za nim jak zagubiony szczeniak, wciąż zadając pytania. Nawet jej nie zauważał; poszedł do stajni i zażądał konia, choć król nie udzielił mu pozwolenia na wyjazd. Nie odpowiedział jej, tylko odwrócił się i wyjechał z Autunu, nie oglądając się za siebie.

Po południowym posiłku Henryk wezwał Hannę do siebie, do swego prywatnego ogrodu w pałacu biskupim.

--Hathui mówiła, że widziałas odjazd Wilkuna.

--Tak, Wasza Królewska Mość.

--Wyjechał bez mojego pozwolenia ani rozkazów od któregośkolwiek z mych zarządców i szambelanów.

Spojrzał na Hathui, ale ta jedynie uniosła podbródek: Hanna nie potrafiła odczytać tego znaku. Była w końcu królewskim Orłem. To jemu miała być lojalna, prawda?

--Owszem, Wasza Królewska Mość. Nie wiem, dokąd się kierował.

--Hathui?

--Ja też nie, Wasza Królewska Mość **--** odparła Hathui z widocznym wahaniem.

Uderzył się w udo tak silnie, że Hanna podskoczyła.

--Wiedziałem, że któregoś dnia mnie zdradzi. **--** Wydawał się triumfować. **--** Wierny Orzeł opuszcza swój posterunek. Niech tak będzie. Zostaje objęty królewskim listem gończym. Jeśli ujrzy go kobieta lub mężczyzna lojalny wobec mnie, ma go doprowadzić przed moje oblicze w łańcuchach, za dezercję. **--** Obrócił swój bezlitosny wzrok na Hannę. **--** Czy wiesz, co spowodowało tę ucieczkę? Nie obawiaj się, córko. Widzę, że nie jesteś współwinna jego

oszustw.

Nie mogła kłamać. Natychmiast zrozumiała, że dostrzegł całą jej winę.

Skloniła głowę, na próżno usiłując zgromadzić myśli. Chodnik, na którym klęczała, wyłożony był ceglami we wzór rozet, powtarzający się na całej ścieżce otaczającej centralny klomb. Kiedy znów podniosła wzrok, król pochylił się w przód na wymoszczonej poduszkami ławce, opierając podbródek na dłoni, a łokieć na kolanie.

--Mów dalej -- rzekł, choć ona jeszcze niczego nie powiedziała.

--Czy wiecie o zdolności zwanej Orlim Wzrokiem? -- zapytała.

Na jego twarzy nie pojawiło się ani zaskoczenie, ani niesmak. Przybrał maskę godności.

--Mój ojciec powiedział mi kilka rzeczy, o których wie jedynie panujący. I rzeczywiście Wilkun nauczył waszych towarzyszy sztuczki zwanej Orlim Wzrokiem. Wiedziałaś o tym? -- Nie wiedziała i musiał to odczytać z jej twarzy, ponieważ mówił dalej: -- Z tego i wielu innych powodów mój ojciec szanował Wilkuna i uczynił go swym zaufanym towarzyszem. Ale ja wiem lepiej. Co widziałaś?

--To, Wasza Królewska Mość: najpierw kobietę, którą uważam za księżniczkę Theophanu, przesłuchującą mężczyznę, który zwał się bratem Heribertem. Tym samym Heribertem, jak mniemam, którego wysłano do Darre z biskupiną Antonią i który zniknął z nią w lawinie, widzianej przeze mnie na własne oczy. Ciekawiło mnie, co się z nim stało... -- Urwała, przechodząc do sedna. Król nic nie mówił, słuchając. -- Księżniczka powiedziała, że lord Jan Twardogłowy maszerował za Adelheidą i że koronował się na króla Aosty. -- Henryk stęknął jak człowiek kopnięty w żołądek, ale nic nie powiedział. -- Brat Heribert powiedział księżniczce, że wcześniej był z księciem Sanglantem... -- Teraz skupiała się na niej cała jego uwaga i wcale jej się to nie podobało. -- Ale że książe został w jakiś sposób powstrzymany przed podążeniem za nim. Heribert mówił, że książe chciał, by on wyruszył do was, Wasza Królewska Mość. Ma dziecko...

--Brat Heribert ma dziecko?

--Nie, Wasza Królewska Mość, wybaczcie. Brat Heribert powiedział, że książe Sanglant ma dziecko z Liath. -- Zacisnęła szczęki, czekając.

Henryk zmrużył oczy w szparki i potrzęsnał głową, jak wtedy, gdy dziecko zbyt niezdarne, by polować, wraca do domu z pierwszym ustrzelonym dzikiem.

--Niech mi Bóg wybaczą, że splodziłem tak upartego syna. Gdybym zdobył dla niego Adelheidę, mielibyśmy tylko Twardogłowego do pokonania, a dziecko, którego potrzebuje do udowodnienia własnej sprawności, już się urodziło. -- Po chwili przypomniał sobie o niej. Strasznie było skupiać na sobie to spojrzenie. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, że jego oczy miały tak złożony odcień brązu, przetykany złotem i nieregularną zielenią. -- Jakie jeszcze wieści o moim synu przynosisz? Gdzie on jest?

--Nie wiem, Wasza Królewska Mość. Nie widziałam żadnych znaków ani też nie wiem, czy rozmawiali na dworze, czy w pomieszczeniu. Ale Heribert powiedział jeszcze jedną rzecz. Powiedział, że Liath i dziecko pochodzą od...

Brama otworzyła się, wpuszczając Konstancję, która ujrzała brata i ruszyła w jego kierunku.

--Pochodzą od...? -- Henryk popatrzył przed siebie, ujrzał Konstancję i uniósł dłoń, by ją przywołać. A potem znów spojrzal na Hannę.

--To był koniec, Wasza Królewska Mość. Nic więcej nie usłyszałam. Nie jestem pewna, czy Wilkun nie zdusił ognia, by zagłuszyć resztę.

Henryk nie odpowiedział, opadł tylko na oparcie i przesunął palcami po złotym torkwiesie, symbolu królewskiego rodu i prawa do tronu. Odpoczywając w południe w ogrodzie, nie nosił szat królewskich; tak naprawdę Hanna rzadko widywała go pysznie odzianego i ukoronowanego. Nosił odzienie właściwe wszystkim wendarskim szlachcom, bogato wyszywaną tunikę, nogawice, sandały i kilka pięknych pierścieni, jakie zawsze wkładali wielcy książęta. Teraz zdjął jeden z nich i dał go Hannie.

Gapła się na niego: wyszlifowany szmaragd, jasny, niemal mlecznozielony, osadzony na grubej złotej obrączce wysadzanej maleńkimi karbunkułami.

--Jakie wieści, bracie? -- zapytała Konstancja, bez pytania o pozwolenie siadając obok niego. -- Masz na twarzy szczególny uśmiezek. Koty chyba dzisiaj nie dostaną śmietanki.

--Uważałem, że rozsądnym będzie pojechać do Waylandu, ale zesłano mi błogosławieństwo w osobie tej Orlicy. Pojedzie ona do Sapientii z dwustoma Lwami i pięćdziesiątką jezdnych, by walczyć na wschodzie. A ja pojedę na południe szukać Theophanu.

--Na południe do Aosty? Uważasz, że to rozsądne, bracie? Lepiej byś zrobił, zawierając pokój z Konradem z Waylandu, zanim podejmiesz jakieś większe działania.

Ale on znów nałożył kamienną maskę, a Hanna nigdy nie widziała, żeby ktokolwiek, nawet jego potężne siostry, spierały się z nim, gdy był w takim nastroju.

--Uważam, że wyniknie z tego wiele nieoczekiwanych rzeczy. Powiem więcej: jestem tego pewien.

Rozdział trzynasty

Niewidzialny prąd

1.

Może, mimo wszystko, fakt, że pozwolono mu odejść od wspomnień, które go dręczyły, był błogosławieństwem. Marsz godzinami w letnim dniu miał pewien uspokajający rytm, jak balsam na serce, a w nocy nigdy nie miał problemów z natychmiastowym zaśnięciem, gdy tylko rozbił obóz, wykopał latryny i zjadł posiłek z razowego chleba i fasoli, splukany piwem lub osłodzonym octem. Król dbał o swoich wojaków, dobrze ich karmił, a maszerowali wystarczająco szybko, by tylko najbardziej zdeterminowani zdołali za nimi podążać.

Jednak ich widok nadal łamał mu serce: handlarze szukający okazji; żebracy wyciągający poobijane miski w nadziei na kawałek chleba lub cienką zupę; młodzieńcy mający nadzieję dołączyć do słynnych Lwów albo przynajmniej zdobyć trochę doświadczenia przy naprawianiu kół czy oporzędzaniu koni; kobiety i chłopcy, którzy sprzedawali swe ciała za jedzenie lub błyskotki. Czasami Lew przygarniał sobie nawet dziewczynę, choć było to wbrew przepisom. Kapitanowie stawiali sprawę jasno: tak długo, jak dana osoba wykonywała swoje zadania i nie zostawała z tyłu, przymykali oko.

Rzecz jasna, jazda to zupełnie inna historia. Poruszali się jednocześnie szybciej i wolniej, ich wspaniałe konie i niewielkie orszaki, giermek, służący, konkubina i chłopiec na posylki, więcej służących wśród zamożniejszych stanowiło zarazem pomoc i przeszkodę.

Kopał latryny z Folquinem, kiedy ujrzał ją po raz drugi, bladą postać w brudnych szatach nowicjuszeki, klęczącą przed parą żebraków, którzy dołączyli do pochodu trzy noce wcześniej: dużym mężczyzną o twarzy przestraszonego dziecka i jego towarzyszem o pomarszczonej twarzy, bez nóg.

--Spójrz tam -- szturchnął Folquina trzonkiem łopaty. -- Widzisz ją? -- Naląła wody do kubka i podawała go kalece.

Folquin poprzedniej nocy przegrał swoją tunikę w kości i był tego dnia w paskudnym nastroju, kopiąc piasek agresywnymi uderzeniami.

--He? -- zapytał, podnosząc wzrok.

--Tę kobietę... -- Ale już zniknęła, rozplynęła się w obozowisku dziwek. O tej porze wieczoru kilku kawalerzy stów, których jedynym zadaniem było wyruszyć do walki, przechadzali się po dwóch lub trzech, szukając zwady, odrobiny przyjemności albo jednego i drugiego.

--Podoba ci się któraś, co? -- spytał Folquin. -- Sądzilem... -- Smutek zawarczał cicho, a Folquin stuknął się w czoło. Był dobrym człowiekiem, trochę lekkomyślnym i sympatycznym. -- Wybacz. Nie ma z czego żartować.

--Nie szkodzi. -- Alain poklepał Smutka po głowie; pies ułożył się obok Furii. -- To nie twoja wina. Ale przysięgłbym, że ją znam. I jeśli to osoba, o której myślę, to nie ma powodu podróżować z armią.

--A o kim myślisz?

--O mojej żo... -- Urwał, odczuwszy dawny wstyd. -- Nie, musiałem się pomylić.

--Powie ci coś -- rzekł Folquin pośpiesznie. -- Wezmę pierwszą godzinę twojej warty i będziesz mógł jej poszukać. I dowiesz się, czy się mylisz. -- Nabral ziemi na łopatę i wyrzucił ją z wykopu. -- Nie znoszę, kiedy nie mogę przestać myśleć o czymś, co mogło albo nie mogło się zdarzyć. Gdybym tylko nie rzucił kośćmi!

Alain musiał się zaśmiać.

--Albo gdybyś w ogóle nie grał.

--Oj, daj spokój, proszę -- zawołał Folquin, opierając się o łopatę i uśmiechając. -- Nie będziesz mnie pouczał jak Ingo, co?

--Nie, nie jak Ingo. Bez wątpienia jak ja. Czy to nie ciotka utkała ci tę tunikę?

Folquin jęknął, waląc głową o stylisko łopaty.

--O Boże! Miejże litość! Wystarczy, że Ingo zezwał mnie od hazardzisty bez cienia wstydu! A teraz to! Moja biedna ciotka. Jak ja jej spojrzę w oczy? Dowie się, jak beztriosko postąpiłem z rzeczami, którymi mnie obdarowała.

--I nad którymi się męczyła.

Alain odkrył, że w porywczym sercu Folquina kryło się prawdziwe przywiązanie do odległej rodziny, którą opuścił dla życia wśród królewskich Lwów. Zawsze zbierał dla swoich młodszych sióstr ładne wstążki i cenne przedmioty codziennego użytku, jak drewniane sitko z rączką, kopia srebrnych i złotych używanych przez szlachcianki na dworach; miał wystarczająco wielu przyjaciół wśród Orlów, by od czasu do czasu jeden dostarczał paczkę z takimi rzeczami do wioski Folquina, gdy tam tędy przejeżdżał.

Kiedy moczył ich lekki deszcz, ciepły i orzeźwiający, ujrzał, że Folquin naprawdę jest smutny.

--Masz rację, prawda? Postawiłem coś, o co nie miałem prawa się zakładać, bo dając mi tę tunikę, tak jakby dała mi kawałek swego serca.

--Spokojnie -- rzekł Alain szybko. -- Przegrałeś ją do Dediego z trzeciej kohorty, prawda? Może zaproponujemy mu, że w zamian przejmujemy część jego obowiązków. Nie wiem, co powie Ingo, bo ma już dość pracy, ale ja nie mam nic przeciwko kopaniu za Dediego wychodków przez jedną noc. Gdybyście zrobili tak ty, Stephen i Leo, i wyjaśnili sprawę Dediego, dlaczego miałby nie zwrócić tuniki?

Folquin wyprostował się i przez moment wpatrywał się w niego w nadzwyczaj nieprzyjemny sposób. Miał kręcone, krótko obcięte włosy. Pociągnął za nie, po czym wrócił do kopania.

--Będę wdzięczny -- rzekł cicho. -- I serio mówiłem o szukaniu dzisiaj tej kobiety. Wezmę twoją straż.

Kiedy zjedli wieczorny posiłek, dzień zmienił się w długi, zamglony zmierzch, który latem trwa i trwa. Z jakiegoś powodu był to głośny wieczór w obozowisku kurew, zbieranie namiotów, szalasów i niezdarnie skleconych schronień z płótna przywiązanego do drzew, które podnosiło się i znikalo każdej nocy. Być może chłodne deszcze zachęciły kawalerzystów. Bard grał, a trzy kobiety tańczyły przed chętną publicznością. W cieniach przedmioty przechodziły z rąk do rąk i ręce wsuwały się pod spódnice, szukając ukrytego. Chętniej szukano kobiecych piersi, niż dawano jałmużnę, a było więcej żebraków niż zwykle, dzieci z powykręcanyimi dłońmi, chudych kobiet w podartych spódnicach i brudnych, pocerowanych tunikach, zgarbionych starców odsuwanych z drogi przez umięśnionych młodych lordów, szukających uciezki od nudy, jaką odczuwają ci, którzy nie znają głodu. Alain zapomniał, że nie powinien się do nich zbliżać, i tak wiele cierpienia go bolało. Ale na świecie zawsze było cierpienie. Smutek i Furia dreptały obok niego, a ich obecność mu nie przeszkadzała. Takiej nocy w takim miejscu trzymały na dystans kurwy i handlarzy. Naprawdę nie chciał, żeby kleiła się do niego jakaś kobieta, oferując to samo, czego Tallia tak długo mu odmawiała. Na pewno coś dobrego

przyjdzie ze złożonej jej przysięgi, której dotrzymał; nigdy nie pogwałcił ślubów, które ona złożyła, nawet, jeśli teraz nie mógł powstrzymać się od spoglądania na kobiety i zastanawiania się, jak by to było wziąć to, co one dałyby mu chętniej niż Tallia.

Ale wszystko miało swoją cenę.

Furia zaskomlała, przekrzywiając głowę, jakby usłyszała dźwięk, którego on jeszcze nie słyszał. Nie widział tej, której szukał. Na pewno ją sobie tylko wyobraził.

Usłyszał dźwięki dochodzące z gęstych krzewów za strumieniem. Najpierw pomyślał, że to oszalałe postękiwanie ryjającej świni. Kiedy jednak usłyszał niski męski śmiech, zrozumiał, że dochodziły go odgłosy jednostronnej i rozpaczliwej walki. Nie wahał się, zamoczył stopy, rozgarnął gałęzie ramionami i wstąpił pod kopułę zwieszających się nisko liści i konarów, gdzie dwóch mężczyzn pochylało się, obserwując trzeciego, szamoczącego się na ziemi z kobietą w brudnym habicie, która próbowała się wyrwać. To ona jęczała bezradnie. To oni się śmiali.

Chwilę później uświadomił sobie, kim była.

Liście szarpały go za włosy, gdy parł naprzód. Pod kopułą liści było ciemniej, jakby całun okrył słońce. Ściółka tłumila jego kroki. Psy przepchnęły się za nim przez krzak.

Mężczyźni odwrócili się.

--Hej, Dietrich, mamy towarzystwo!

--Zostaw nas! -- parsknął ten na ziemi.

Jeden z jego towarzyszy, najwyraźniej pijany, zachichotał.

--Nie, niech się przyłączy. Skoro ona nie bierze pieniędzy, wygodzimy jej, nie? Wystarczy jej dla czterech.

Nie próbował z nimi walczyć. Ich było trzech, on jeden, ale przepchnął się przez ścianę roślinności, drapiąc sobie twarz i dłonie, i złapał kobietę za nadgarstek. Alain pociągnął ją w tył, a ona walczyła na wpeł z nim, na wpeł z mężczyzną wciąż obmacującym jej biodra; jego tunika podciągnięta do bioder odsłaniała kawał ciała. Miał na tyle rozsądku, by pociągnąć ją do lasu, a nie nad strumień, gdzie jej upokorzenie zostałoby publicznie wyśmiane.

Trzech mężczyzn podążyło za nim, przeklinając; zasłonił ją i czekał na nich. Nie byli od niego wyżsi, ale mieli muskularne ramiona i dumne twarze szlacheckich synów nawykłych do przywilejów. Rzucili się na niego jak trzy byki, ale stał niewzruszony, unosząc dłoń i przybierając władczy ton głosu. Umiał to zrobić, niegdyś był szlachcicem potężniejszym od nich. I miał przy sobie Smutka i Furie.

--Jak śmiecie napastować tę świętą kobietę!

Te słowa ich osadziły, a może to widok ogarów, milczących i potężnych, odsłaniających zęby i gotowych do ataku.

--Patrz, jakie te psy wielkie -- szepnął jeden. -- Gdzie mój cholerny miecz? -- Musiał trochę pomacać, z winy alkoholu, ale znalazł rękojeść i dobył ostrza.

Drugi rozprostował palce, a potem zacisnął pięści, uśmiechając się na myśl o zwadzie. Rozejrzał się i znalazł drąg, uderzył nim dwa razy w ziemię, żeby sprawdzić twardość.

Ale z ogarami u boku Alain nie odczuwał strachu. Może i te młode lordziątka go pobiją, pobliżnią i zgnoją nawet pomimo psów, ale to będzie niewielkie przestępstwo w porównaniu z atakiem na nią.

--Jakimi ludźmi jesteście, wy, którzy atakujecie świętą kobietę Kościoła...

--Która się zadaje z kurwami! -- wrzasnął mężczyzna z ziemi. Zaplął już pas, dobył noża i

złowieszczo przeciągnął po nim palcem. -- Zejdź nam z drogi, Lwie. Nie masz prawa się z nami wadzić. I nie chcę żadnych kłopotów z tymi psami. Jeśli to twoja kochanka, zapłacę ci odszkodowanie, ale żadnej kurwie nie ujdzie płazem odmawianie mi! Na Boga, okryję się hańbą przed towarzyszami!

--Okryjesz się hańbą przed Bogiem! -- rzekł Alain cicho i wściekle. -- Jacy rodzice was wychowali, skoro sądzicie, że wasza duma znaczy więcej niż strach niewinnej kobiety? Że wasza żądza ważniejsza jest od jej dobroci? Ona odrzuciła wszystkie luksusy i przywileje, by nauczać ubogich, takie same dzieci Boga jak my. Co wyście odrzucili? Nawet jednego kroku nie zrobicie, nie zapominając o swej dumie, jakby Bóg uczynił ten świat tylko dla waszej przyjemności. Nie odetchniecie, nie napelniając serca gniewem, boście zapomnieli, że w waszych sercach powinno gościć współczucie, a nie samolubstwo. Jesteście pustymi skorupami, dyszącymi i pieprzącymi, i na długo, zanim skierujecie się ku Otchłani, odkryjecie, że chodzicie po tej ziemi niczym gnijące trupy, bo wszystko co dobre, was opuściło, a bestialstwo i bezmyślność pożarły was żywcem.

Z jakiegoś powodu trzej mężczyźni się cofnęli, a kiedy zrobił ku nim krok, padli na kolana.

--Błogosławiony Daisan uczył nas, że dobro jest ludziom wrodzone, a zło to robota Nieprzyjaciela. W którym obozie chcecie zamieszkać? Wybierzcie swe miejsce.

Drżał, był wściekły. I nie wiedział ani go nie obchodziło, jak odpowiedzą. Kiedy zaczęli płakać i błagać o wybaczenie, był tak zaskoczony, że nie potrafił im odpowiedzieć, aż wreszcie podnieśli się i zataczając się, powędrowali do obozu, obejmując się, drżąc i szlochając.

--Panie.

Zapomniał o niej w gniewie. Odwrócił się. Klęczała, szal zsunął się z jej włosów, opadając na ramiona. Jej habit poplamiony był błotem i trawą, twarz jej zeszczuplała, ale nadal mrugała, wpatrując się w niego, jak myszka, bezradne stworzonko szukające schronienia.

--Pani Hathumod -- Wyciągnął ramię, by pomóc jej się podnieść, ale cofnęła się przed nim lub przed ogarami, które podeszły z obu stron. Ich lby były na równym poziomie z jej głową. -- Proszę, powiedz mi, że nie zostałaś skrzywdzona.

--To tylko zadrapania, mój panie.

--Nie powinnaś tu być. Z czego się utrzymujesz? Chyba nie...

--Nie, mój panie -- odparła, opuszczając wzrok, nagle zawstydzona. Zgubiła buty albo je zdarła; jej białe stopy, widoczne spod habitu, były pokryte pęcherzami i zakrwawione.

--Błagam, wybacz. Oczywiście że nie.

--Ale z czego żyjesz? Widziałem cię kilka dni temu i dziś wieczorem, jak zanosilaś wodę żebrakom. Kto cię utrzymuje? -- Wiedział, że nie mogła utrzymywać się sama. Jak córka szlachcianki miała przetrwać poza murami klasztoru, jeśli nie zdecydowała się, jak niektóre, wyruszać z braćmi na wojnę?

--Dziwki mnie utrzymują, panie. Nie ma żadnej kapłanki, która by je nauczała, odprawiała dla nich msze i udzielała namaszczeń. Bardziej niż inni potrzebują usłyszeć dobrą nowinę. Czyż nie jest dobrą nowiną, że błogosławiony Daisan wziął na siebie nasze bóle i grzechy, i w ten sposób dał Życie ludzkości? Czy nie jest to dla nich pocieszenie, dla nich, które znają jedynie życie w grzechu? Czy nie powinniśmy nauczać chorych i grzeszników, zanim zaniesiemy słowo żyjącym wygodnie, panie?

--Proszę -- rzekł, bo słowa bolały jak cięcie nożem. -- Nie nazywaj mnie tytułem, do

którego nie mam już prawa.

Przycisnęła dłonie do czoła, ale nie odpowiedziała.

--Nie możesz podróżować z armią, pani Hathumod. To niewłaściwe. Gdy dojedziemy do klasztoru, jestem pewien, że przyjmą młodą damę twojego urodzenia, wykształcenia i inteligencji.

--Boże, zlituj się, mój panie -- zatoczyła się, przywarła do jego dłoni. -- Nie każ mi od siebie odchodzić.

Czy to możliwe, by kochała go równie beznadziejnie, jak on kochał Tallię? Czy też jedynie trzymała się czegoś znajomego w świecie, który musiał być obcy dla niej, wyrwanej z życia wśród szlachty, do którego przywykła? Tak czy inaczej musiał być dla niej dobry.

Pomógł jej wstać i odprowadził do obozu. Pokazała mu namiot, w którym spała. Musieli poczekać kilka chwil, dopóki nie wynurzyła się z niego kobieta o zacerwienionej twarzy, a za nią Lew z trzeciej kohorty, wyglądając tunikę, mężczyzna, którego Alain znalazł jedynie z widzenia. Bez skrępowania pozdrowił Alaina i oddalił się, gwizdząc. Dziwka napiła się cydru i obrzuciła Alaina spojrzeniem.

Nie była ładna, ale miała zwyczaj pozwalania, by dekolt sukni wisiał nisko na piersiach i wiedziała, jak wystawić biodro i wysunąć nogę, zachwalając swój towar.

Czy tak wyglądała jego matka? Czy też zachowała niewinność, rozkwitająca niczym kwiat na kupie łajna, jaką było jej życie? Henri zawsze powtarzał, że była piękna. Jak wyglądałaby jego matka, gdyby przeżyła, gdyby cała jej piękność wyciekła z niej niczym sok wyciśnięty z owocu? Czy piękność musiała szejznać, jeśli nie stawało dobra? Czy piękność rozkwitała tylko z niewinności i czystości? Czy też jakoś ta istniała na tym świecie rozsiana przypadkowo?

--Błagam -- rzekł cicho. -- Właśnie ocalilem siostrę Hathumod od gwałtu. Zaciągnęli ją w krzaki...

--To pewnie lord Dietrich -- rzekła dziwka, badając Hathumod z westchnieniem pełnym rezygnacji, obmacując jej brzuch i żebra, podczas gdy dziewczyna stała ze spuszczoną głową. Młoda nowicjuszka była zawstydzona, upokorzona lub obojętna, nie wiedział. -- Przeleciał już każdą kobietę z obozu i szuka nowego łupu.

--Czy można coś zrobić, by ją ochronić?

Miała uśmiech równie pogardliwy jak szlachcianki zarządzające wielkimi posiadłościami i batożące służących, gdy były złe.

--Przed lordami? -- Zaśmiała się. -- Wy, Lwy, jesteście lepsi od nich. Mamy szczęście, jeśli dadzą nam jedzenie po tym, jak już dostaną, co chcą. -- Wprawnie wsunęła zakrzywione palce między uda Hathumod i obmacała jej krocze. Alain szybko odwrócił wzrok, zawstydzony za Hathumod, ale ta jedynie jęknęła, drżąc, ukrywając twarz w dłoniach. Nawet nie protestowała. Kurwa obwąchała palce, po czym pokręciła głową, zwracając się do Alaina. -- Tym razem nic się nie stało. Ale niewiele możemy dla niej zrobić, przyjacielu. Jest lekko stuknięta, myśli, że z niej szlachecka córka, i powiadam, zaiste wygadana, ale żadnego orszaku z nią nie widać. Nie ma pojęcia, jak o sobie zadbać. Nie przynosi nic do jedzenia, bo nie ma go jak dostać, a nic do zhandlowania nie posiada. Karmimy ją w zamian za kazania, bo nic innego nie umie robić. Nawet dziury w kiece nie załata.

Na pierwszy rzut oka umiał rozpoznać handlarkę. Wiele razy widział, jak ciotka Bel się targuje.

--Zobaczę, czy uda mi się przynieść jedzenie. Ale nie mam pieniędzy. Jestem nowy w Lwach i płacą nam tylko dwa razy na rok.

--Aha -- rzekła, znów spoglądając na niego z zastanowieniem. -- Nowy w Lwach, rzeczywiście. Ładne masz ramiona, przyjacielu. Ale z ładnych ramion obiadu nie będzie.

W tej chwili nienawidził Godfryda za to, że go wydziedziczył. Dawniej mógł pomagać biednym i bezradnym. Teraz sam miał mało i czuł się bezradny.

--W te wieczory, kiedy nie mam obowiązków w obozie, będę robił, co w mojej mocy, by wam pomóc, przyniosę drewno na opał, trochę zapoluję. Nazbieram jagód, kiedy dojrzeją.

Ktoś ugryzł kurwę w dolną wargę i rana się jeszcze nie zaleczyła. Dotknęła jej językiem, patrząc na niego z zawodowym zainteresowaniem.

--Jesteś przystojnym chłopakiem, do tego wygadany. Mam młodą kuzynkę w mojej wsi, w Felsinhamie. Szuka męża. Nie miałaby nic przeciw takiemu, co to miesiącami jest nieobecny, gdyby był dobry. -- Widząc coś w jego twarzy, dodała szybko: -- Nie jest taka jak ja, straszna grzesznica, stara dziwka. -- Wyrzekła słowo ostro i przez moment dostrzegł pełne gniewu wspomnienie wypisane na twarzy. -- Nie jest jak ja. To dobra dziewczyna.

--Nie szukam żony -- rzekł cicho, a stojąca za nim Hathumod jęknęła i rozplakała się wreszcie.

--Znalazłeś ją? -- zapytał Folquin, gdy o północy Alain przybył na posterunek nieco dalej z biegiem strumienia, który przeskoczył, by ratować panią Hathumod.

--O Boże, owszem -- odparł Alain, tak zmęczony, że chciał się położyć i porosnąć trawą, by już nie musiał się przejmować, co się stanie z biedną Hathumod i innymi zagubionymi, cierpiącymi duszami. Ale ktoś musiał się martwić. -- Jest... -- Ale on nie mógł wyjawiać tajemnic Hathumod. -- Nie powinna tu być.

--Nikt z nich nie powinien -- odparł Folquin. -- Znałem kiedyś chłopaka, syna kuzyna kuzynki mojej matki. Ten chłopak był po prostu za ładny i przekonał się, że są tacy mężczyźni, którzy zrobią dla niego wszystko, jeśli będzie udawał dziewczynkę. Może to lubił, a może lubił dostawać błyskotki, a może podobało mu się, że ich trzyma na smyczy. Nigdy się nie dowiem. Został zakłuty w bójce na noże, biedny głupek. -- Odszedł na spoczynek.

Alain obojętnie pogłaskał uszy Smutka. Maszerowali od dziesięciu dni i robili obóz gdzieś w Fesse albo Saony, nie był pewien. Nie znał terenu. Kapitan Thiadbold, Ingo i reszta Lwów z pierwszej kohorty maszerowali tą drogą już wcześniej; rozpoznawali znaki i posiadłości, znali nazwy wiosek i bieg rzek. Przeszli jeden bród, na którym kiedyś był prom, i zmuszeni zostali obejść drugi, którego brzeg opadał teraz tak stromo, że nie mogli zjechać wozami. Las sprawiał, że ich marsz w środku lata był przyjemny, cudownie pozbawiony wydarzeń prócz zwyczajnych wypadków: wóz przejechał po stopie, koń kopnął mężczyznę w biodro, wybuchły dwie bójki na pięści i jedna na noże, o wieśniaczkę. Tutaj, w środkowym Wendarze, panowanie króla Henryka odznaczało się spokojem i dużą ilością pożywienia.

Ale on nie był spokojny, stojąc na straży na krawędzi milczącego lasu, zarośniętego młodymi drzewami na skraju i starszymi w głębi, masywnymi i szarymi, oświetlanymi jedynie gwiazdami; przedwieczny las nie padł jeszcze pod toporami ludzi. Wcześniej minęli wioskę, ale teraz przed nimi otwierał się jedynie trakt, idący prosto jak strzelił w las. Tu i ówdzie leżały na nim kamienie, pokryte porostami, ciemne od mchu, stara marszruta wybudowana przez inne ludy. Czy dariyańscy generałowie przeprowadzali przez ten las swe armie?

Stał teraz na tym trakcie, czuł twardą kamienną powierzchnię pod sandałami. Kilka kroków przed nim na wół zakryta ścieżka wpadała do strumienia w miejscu starego brodu. Słyszał go raczej, niż widział, miejsce, w którym woda śpiewała na kamieniach. Taka przeprawa to dobry punkt na wystawienie czujki, mówił Ingo.

Żaby zarechotały i umilkły. Pojedyncze pluśnięcie zabrzmiało w nocy, po czym ucichło. Na prawo widział postać innego strażnika, przechadzającego się nerwowo na skraju wyjątkowo agresywnego zagajnika dębów, wyrastającego pośrodku łąki, na której obozowali. Rozpoznał szerokie bary Leo, dzielącego namiot z Folquinem. Trzasnęła gałązka. Zahukała sowa. Gwiazdy płonęły, ogrom cudownych świateł. Nie wyczuwał w tej nocy nic niezwykłego, choć wiatr wiał z południowego wschodu. Poprzedniego dnia maszerowali przez zagajniki i łąki. Teraz przed nimi otwierał się głęboki las, przez który pójda co najmniej dzień, tak mówił Ingo, nim dotrą do Veseru, jego brodów i ufortyfikowanych wsi i miasteczek. Na wschód za Veserem będzie więcej fortów i umocnień, wybudowanych za panowania Arnulfa Starszego jako ochrona przed napadami plemion Rederów i Helwitów, którzy dwadzieścia lat temu zaprzestali corocznych zimowych napadów na Wendar. Teraz byli dobrymi daisanitami i rolnikami, pracującymi w pokoju z wendarskimi panami. Ale podczas ostatnich lat, plotkowano przy ogniskach, Qumanowie wjeżdżali głęboko w Saony, niczym błyskawice, które uderzały, paliły i znikwały. Dalej na wschodzie, za rzeką Odrą, ich oddziały wejdą w marchie i od tego czasu będą musieli stale mieć się na baczności.

Wojna. Czy ta wojna była inna od straszliwego pojedynku Henryka i Sabelli, brata przeciw siostrze? Czy łatwiej będzie walczyć z wrogiem tak odmiennym i dzikim? Ale przekonał się, że nie potrafi zabijać, nawet walcząc z nieludzkimi Eikami.

Był zbyt oszłomiony, by o tym pamiętać tego dnia, gdy utracił hrabstwo Lavas i zaciągnął się do królewskich Lwów.

Co zrobią Lwy, gdy odkryją, że nie potrafi walczyć?

A jeśli Pani Bitew o nim zapomniała?

Furia zaskomlała, obwąchując mu palce; zaśmiał się cicho. A jakie to miało znaczenie? Pójdzie do bitwy wraz z innymi, ponieważ byli lojalni wobec siebie i wobec króla. Jeśli zginie, przynajmniej zazna spokoju, a jeśli przeżyje, nie będzie mu gorzej niż teraz.

Nie gorzej tak długo, jak długo nie myślał o Lavastinie i Tallii. Tak długo, jak każdego dnia szedł, rozmawiał, pracował, jadł i spał, zupełnie jakby inny Alain, znający tylko takie życie, zamieszkał w jego ciele, pustej powłoce, wypalonej przez kłamstwo, które zrujnowało nadzieje Lavastine'a. Nie wątpił, że Bóg karali go za to kłamstwo. A jednak, znajdując się znów w tej samej sytuacji, gdy Lavastine umierał, zrobiłby to jeszcze raz i jeszcze, za każdym razem, tylko po to, by usłyszeć ukochany głos, mówiący: „Dobra robota”.

Smutek uszczypnął go, a Alain zaczął płakać, ale się opanował. Potarł twarz wierzchem dłoni, ocierając łzy. Wiedział, dokąd prowadzi płacz. Musiał iść, nie oglądając się za siebie.

O Boże. Niewinny chłopak z Osny, pełen marzeń, oddałby wszystko, by pomaszerować wśród Lwów, kierując się na wschód ku przygodzie i chwale sprawiedliwej wojny.

O Boże. Ten niewinny chłopak oddał wszystko: jedyny dom i rodzinę, jakie znał, jedyną kobietę, jaką kochał, ojca, który go kochał i umarł w spokoju, ponieważ złożył wszystko, co miał, w zaufane dłonie.

Wszystko stracone.

Padł na kolana, musiał się oprzeć na ziemi, oszczep upadł na trakt, kiedy walczył ze szlochem wzbierającym mu w piersi. Nie mógł płakać. Nie wolno mu było płakać. Ale tonął, pływał w żalu, zgiął przykryty falami. Oparły się o niego ciała, jakby chciały wynieść go z odmętów

kiedy patrzy ponad ramieniem nowego wodza doliny Namm. Niewielu synów starego wodza, spomiędzy których można było wybierać, zostało po tym, jak Nokvi spalił dolinę Namm, ale Silna Ręka był cierpliwy, zbierając tutaj oddział wojowników, tam zagubiony statek. Teraz jeden z tych, którzy przeżyli, postanowił ująć łaskę przywództwa. Nadał sobie imię Mocny Cios i jak Krwawe Serce postanowił dopełnić ceremonii magii śmierci.

Jak Krwawe Serce wezwał swych wasali, by przyglądali się ceremonii, aby pokazać, że nie boi się śmierci i zdrady, ponieważ zdrada osiągnie z większą siłą tego, kto postanowi go zabić.

Ale tak naprawdę tylko ten, kto lęka się śmierci i wątpi w swą moc, ucieka się do zaklęcia magii śmierci. Krwawe Serce zemścił się w ten sposób na człowieku, który go zabił. Ale klątwa to oznaka słabości, nie siły. Krwawe Serce nie powstał z martwych.

Silna Ręka patrzy, jak Mocny Cios wyciąga szpon i otwiera mały słoiczek wykuty z granitu. Tylko kamień zdoła pomieścić truciznę lodowych węży. Delikatne granitowe wieczko spada i dwór Hakoninów natychmiast napelnia się zapachem jedynej śmierci, jakiej lękają się SkalneDzieci. W słoiczku spoczywa pojedyncze ziarno jadu, ale stanowi potężną truciznę.

Kapłan doliny Namm potrząsa grzechotką i rzuca w powietrze garść ziół. Ziola opadają na ołtarz, gdzie obok siebie spoczywają ciało i słoik. Martwy szczeniak jest nie większy od dłoni mężczyzny i biały jak ikra. Jedno uderzenie szponu przecięłoby go na pół. Śmierdzi solą i wodą morską.

Tylko zabijając szczenię, staje się Skalnym Dzieckiem, a nie pozostaje psem na wieki. W każdym gnieździe niektóre ślepe szczenięta rzucają się na siebie, a reszta ucieka, by żyć krótko w sforze, bezmyślni bracia tych, którzy chodzą i planują. To umysł odróżnia syna od psa, myślenie sprawia, że jeden jest człowiekiem, a drugi zaledwie zwierzęciem. W gnieździe Matek to pierwsze ślepe zabójstwo sprawia, że umysł rozkwita.

A kiedy gniazdo pęka i szczenięta wychodzą, trupy zostają w poszarpanej membranie. Zatapiają się tam w żółci, porzucone, nie pochowane, nie tknięte rozkładem...

...chyba że nowy wódz obawia się śmierci tak bardzo, że ryzykuje wyprawę do legowiska lodowych węży, aby mógł utkać magię śmierci: martwa dłoń dopadnie tego, kto go zabił i ześle na niego śmierć, śmierć za śmierć.

Kapłan zapala kadzidło, zapach jest tak słodki, że kręci w nosie, ale nie zagłusza woni ziarna jadu. Mocnym ciosem szczypcami z żelaza wyjmuje ziarno ze słoika i delikatnie wkłada je do otwartej, nie ukształtowanej paszczy trupa.

Zapada cisza, gdy wasale Mocnego Ciosu czekają i obserwują. W sali znajdują się też inni wodzowie, z innych plemion, których Silna Ręka wezwał, by byli świadkami odrodzenia wodzostwa doliny Namm. To sposób na pomniejszenie zwycięstwa Nokwiego, pokazania, że on, Silna Ręka, zadecyduje, kto będzie żył, a kto umrze, kto rozkwitnie, a kto będzie szczekał jak pies. Potrzebuje jednak tych sojuszników, by pokonać Nokwiego. A oni potrzebują jego. Pojedynczo zostaną wessani do paszczy Nokwiego i zatańczą jak marionetki do melodii wygrywanej przez ludzką magię. Wszyscy wiedzą, co się stało, gdy Rikinowie najechali Moerin, że czarodzieje z Alby zaklęli swych ludzkich braci, by rzucili się do ataku, choć nie mogli wygrać. Kilku pewnie

miało nadzieję, że Silna Ręka tam zginie, wpadłszy w pułapkę Nokwiego, ale tak się nie stało. Wiedzą teraz, że przymierze Nokwiego z czarownikami drzew z Alby zagraża im wszystkim i nie mają ochrony przed ich magią, o ile nie sprzymierzą się z Rikinami.

Martwe szczenię nie zmienia się, gdy trucizna rozpuszcza się w jego ciele.

--Nosisz klątwę -- mówi nagle Mocny Cios, nie chowając szponu: pogróżka lub przeoczenie.

--Nie -- odpowiada Silna Ręka, podnosząc głos tak, aby dotarł do wszystkich zgromadzonych wodzów: osiem plemion przysłało reprezentantów, przybyło, jak to mawiają ludzie, na jego zew. Nie jest pewien, czy to wystarczy.

--Nie noszę klątwy -- powtarza. -- Nie utkałem zaklęć magii śmierci, gdy wziąłem do ręki sztandar Rikin. A ten z moich rywali, który jest wystarczająco silny i przebiegły, by mnie zabić, może w każdej chwili odnieść zwycięstwo.

Mocny Cios śmieje się. Jest zobowiązany Silnej Ręce za wodzostwo, a ponieważ o tym wie i tego nie znosi, jego wdzięczność, niby martwa ryba, trochę cuchnie.

--Chętnie pójdę za tobą, dopóki twe ramiona nie ugną się pod ciężarem twej arogancji. Wtedy cię zabiję i zajmę twe miejsce.

Silna Ręka uśmiecha się, obnażając zęby jak ludzie, by okazać sympatię.

--Wobec tego się rozumiemy -- mówi, ale słowa są przeznaczone dla wszystkich.

Kapłan wyszczekuje niezrozumiałe zdanie i odsuwa się od ołtarza. Jak wszyscy kapłani, którzy przedłużają swe życie w nienaturalny sposób, obawia się wszystkiego, co pachnie śmiercią.

Przynoszą i otwierają skrzynkę obok martwego białego szczenięcia, wciąż leżącego bezwładnie na ołtarzu. Światło późnego lata wlewa się przez zachodnie drzwi, zalewając środkową nawę i obmywając swym bursztynowym blaskiem ołtarz.

Trupek drży, porusza się i ożywa, wynurzając się z głębin śmierci, ponieważ taka jest zdolność jadu lodowych węży: przynosi śmierć życiu i życie śmierci, jest grozą, nie dającą ni jednego, ni drugiego.

Kapłan wypowiada słowa, które łączą to, martwą dłoń z jej zabójcą, a Mocny Cios zatrząskuje wieko i zamyka skrzynkę, która skrywać ją będzie do chwili, gdy on umrze.

Alain, uwięziony w ciemności, krzyknął.

Ale nie swój głos usłyszał.

Znów usłyszał krzyk, wrzask, oszalałe wołanie o pomoc. Rozbrzmiał róg, zająknął się, umilkł. Z obozu usłyszał okrzyki, zagłuszone przez wiatr, który wyl mu w uszach jak nawałnica i gdy doszedł wreszcie do siebie, przekonał się, że klęczy na ziemi, wsparty na rękach. Woda bulgotała między jego palcami i gapiąc się na nią, zrozumiał, że pochylił się, upadając, aż zanurzył dłonie w wodzie, opierając je o pokryty mchem kamienny trakt.

Strumień płynął w złą stronę.

Stopy w sandałach zatrzymały się pośrodku strumienia, dokładnie przed nim. Z tej pozycji Alain widział rzemienie opasujące muskularne łydki. W polu widzenia pojawiło się obsydianowe ostrze oszczepu i zatrzymało tuż przed jego nosem. Choć noc była bezksiężycowa, wystarczyło światła, żeby Alain dokładnie widział stojącego przed nim mężczyznę: przenosząc wzrok z łydek na biodra i tors okryty napierśnikiem ozdobionym dziwnymi, wijącymi się stworzeniami, zrozumiał z dreszczem, że nie był to człowiek.

Na ramionach postaci wisiał biały płaszcz.

Spojrzał w bezbrodą twarz, brązową, ze starymi głębokimi oczami pod czarnymi włosami spiętymi w kok i ozdobionymi sowim piórem. Ostrze pozostawało przed nosem Alaina.

W tejże chwili Alain zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: zdenerwowanych szeptów ludzi gromadzących się do walki w krzakach za nim oraz milczenia psów, które siedziały czujne, lecz nieruchome u jego stóp.

--Nie zabiję cię, ponieważ towarzyszą ci uświęceni -- rzekł książę. Alain rozpoznał go, ale nie było jasne, czy książę zaginionych rozpoznał Alaina. -- Zejdź z drogi. Pozwól nam przejść.

Z tyłu dobiegł Alaina mocny głos Thiadbolda:

--Odsuń się, Alainie, a my wypuścimy strzały. Za nim jest ich więcej, cała chmara. Mój Boże.

Czy oświetlało ich jedynie światło gwiazd, czy też nienaturalny ogień, niczym czarci płomień? Alain wyprostował się ostrożnie, aż klęczał przed księciem. Jego kolana wgniatały się w kamienie. Za księciem wiał się pochód, oddział, którego nie mógł zliczyć, ponieważ nie widział wszystkich. Wszyscy posiadali tę samą wspaniałą, niepokojącą cechę: byli bardziej prawdziwi od cieni, ale jednak prawdziwi niedostatecznie. Ich broń wyglądała równie śmiercionośnie jak jego własny oszczep, ciemny kształt w trawie. Były wystarczająco śmiercionośne, by zabijać, te cienie luków i oszczepów, trzymane przez żołnierzy o ponurych twarzach, mężczyźni i kobiety, choć nie byli ludźmi. Światło unosiło się z nich tak, jak para z kotła. Stary trakt też błyszczał, srebrzysta nie przeszywała ziemię ze wschodu na zachód.

--Czym jesteście? -- zapytał Alain. -- Jesteście Dariyanami?

--Nie znam tego plemienia -- odparł książę. -- Odsuń się.

--Jeśli się odsuniemy, czy przejdziecie, nie czyniąc nam krzywdy? -- zapytał Alain, nie ruszając się z traktu.

--Pozwól nam strzelać, Alain! Odsuń się! -- krzyknął kapitan Thiadbold i po nieruchomej twarzy księcia oraz spojrzeniach tych, którzy stali najbliżej, Alain zorientował się, że nie słyszeli oni głosu Thiadbolda.

--Nie, kapitanie -- rzekł. -- Pozwólcie im przejść w spokoju. Nie wojują z nami.

--Czy są z tobą inni? -- zapytał książę.

Kobieta-cień stojąca za nim syknęła, uniosła luk i wycelowała w coś za głową Alaina, kiedy ten usłyszał szelest trawy i głos Thiadbolda dochodzący ze znacznie bliższej odległości:

--Są rozciągnięci -- rzekł kapitan. -- Ukryjcie się, by mieć miejsce do strzału.

--Wstaję -- powiedział Alain i zrobił to bardzo ostrożnie, poruszając się wolno, by nikt się nie przestraszył. Pilnował, żeby nie zsunąć stóp ze starego traktu. -- Proszę, kapitanie Thiadboldzie, odwołajcie swych ludzi. Pozwólcie im przejść w spokoju. Nie wadzą się z nami. -- Uniósł otwartą dłoń na znak pokoju. -- Gdzie jest Liathano, książę panie?

--Idzie poprzez sfery -- odparł książę, a jego oczy powiększyły się z zaskoczenia. -- Skąd o niej wiesz? Jest w tobie coś znajomego...

--Idźcie swą drogą w spokoju, błagam -- powiedział Alain. -- Przysięgam na mojego Boga, Dwoje w Jedności. Przysięgnijcie na swego boga, a my odstąpimy. Nie będziemy was napastować. Nie toczymy ze sobą wojny.

Kobieta-cień za księciem splunęła na ziemię.

--Zawsze toczymy ze sobą wojnę!

--Nie, nie bądź niecierpliwa -- powiedział książę, opierając drzewce oszczepu na trakcie. --

Mamy własne kłopoty. Ten *ijkia'pe* mówi prawdę. Są całkowicie materialni. Nie walczymy z nimi.

--Nie teraz -- rzekła kobieta. -- Ale jeśli prąd rzuci nas z powrotem na brzeg, lepiej, aby było ich mniej.

--Nie, lekkomyślna. Czy też zapomniałaś o armii *shanaret'zeri*, która nas ściga? -- Uniósł oszczep i potrząsnął nim. Dzwoneczki przywiązane do drzewca zadzwoniły cicho. -- Niech tak będzie, *ijkia'pe*. Przysięgam na Tego-Który-Płonie, że dopóki nie tkniecie nas, my nie tkniemy was. Ale stanę obok ciebie, gdy moi ludzie będą przechodzić, i jeśli mnie okłamałeś, mój oszczep przeszyje twoje serce.

Alain zszedł z traktu.

--Niech tak będzie. Kapitanie Thiadboldzie, błagam was, każcie ludziom się wycofać. Niech przejdą, nie wszczynajmy zatargu.

Odezwał się kobiecy głos, bardzo ludzki. Pomyślał, że to pewnie ta blondwłosa Orlica, która z nimi jechała.

--Posłuchaj go, towarzyszu. Myślę, że widzi więcej niż my.

--Cofnijcie się -- rzekł Thiadbold. -- Rozkazuję nie atakować.

Rozkaz został przekazany czekającym Lwom, echo szeptu z pochodu cieni. Książę się cofnął, by stanąć przy Alainie, ale trzymał stopy na trakcie i teraz prowadziła kobieta-cień, maszerująca z łukiem gotowym do strzału. Ona też nosiła napierśnik z błyszczącego brązu, ale nie miała miecza, tylko brzydki obsydianowy sztylet przypięty do uda.

--Na litość boską -- zaklął Thiadbold. Sądząc po głosie, stał kilka kroków od Alaina. -- Nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety. Byłbym szczęśliwy, gdyby zatopila swój sztylet w moim sercu.

Zerwał się wiatr, jakby spowodował go marsz, przesuający się pochód. Szli dwójkami, mieli nieziemskie brązowe twarze i dziwne ubiory, więcej koralików i piór, niż Alain kiedykolwiek widział. Tylko kilku nosiło metalowe zbroje lub ozdoby. Cała ich broń wykonana była z kamienia, prócz strzał, które wyglądały niczym cienkie, długie jak ręka pociski, wyrzeźbione z kości. Wszyscy mężczyźni nie mieli bród. Wszystkie kobiety nosły luki. Było wśród nich kilkoro dzieci, strzeżonych pilnie w środku pochodu, nagie brązowskóre maleństwa i milczący kilkunastolatki o długich kończynach i oczach jasnych jak gwiazdy. Wszyscy nosili jadeity w uszach. Ich przejście było jak wiatr i gdy Alain patrzył, uświadomił sobie, że ich stopy nie dotykały ziemi. Trawa się nie zginała. Piasek pozostał nietknięty.

Nie przebywali tutaj, nie tak jak on.

Niektórzy z ludzi krzyczeli ze strachu, gadając o procesji cieni, która przybyła nawiedzać świat.

--Skąd przychodzicie? -- zapytał Alain cicho, gdy mijał ich ostatni tuzin, milczący jak trupy, z czujnym wzrokiem, choć zdawali się go nie widzieć. -- Dokąd zmierzacie?

--Gdy świat się zmieniał, zostaliśmy schwytni pomiędzy jednym miejscem a następnym. Rzuciło nas na morze, gdzie ziemia zawsze kołysze się pod naszymi stopami. Ale czuję, że prąd się zmienia. Zawraca. Jak powiedziała lekkomyślna, może ten prąd rzuci nas z powrotem na ziemię. A wtedy się zemścimy.

Książę wślizgnął się na miejsce za ostatnim wojownikiem.

Światło rozlało się po horyzoncie. Zapiał kogut. Cienki sierp malejącego księżyca unosił się

tuż nad drzewami, błędąc ze świtem.

Zniknęli.

Gdyby Alain został zraniony w brzuch, nie czułby się tak sponiewierany. Strumień płynął, szemrzając na kamieniach, w tę samą stronę co zeszłego wieczoru, na północny wschód, do lasu. A może tylko mu się to śniło?

--Co to było? -- zapytał Thiadbold, a wszyscy zaczęli mówić naraz.

--Kapitanie! Kapitanie! -- Nadbiegł jakiś mężczyzna. -- To Leo. Był na posterunku w lesie. Dostał elfim postrzałem, kapitanie! Cały się trzęsie z gorączki.

Alain poszedł na skraj lasu z Thiadboldem, blondwłosą Orlicą i tłumem zdenerwowanych Lwów, którzy szybko, w parach, zaczęli przeszukiwać las. Świt dodał im odwagi. Na wąskim trakcie nie było ani śladu przejścia oddziału liczącego ponad setkę ludzi.

Leo rzadko otwierał usta i tylko po to, by zakląć. Teraz się trząsł, zaciskając dłoń na prawym ramieniu, ale wysypka pokazała się już na odsłoniętym gardle. Po szyi i czole spływał mu pot. Oczy zeszklił mu szok.

--Nie, nie -- mamrotał, próbując odepchnąć od siebie kogoś nie istniejącego. -- Nie, nie. Bądź cicho albo usłyszą, że idziesz.

--Zdejmijcie mu kolczugę, żebyśmy obejrzelili ranę -- powiedział Thiadbold. Nadal nosił hełm skrywający rude włosy, ale Alain widział pokryte bliznami ucho tam, gdzie odsunął się skórzany ochraniacz. -- Myślałem, że to sen -- ciągnął, patrząc na Alaina. -- Tylko dlatego robiłem to, co powiedzieliście ty i Hanna -- wskazał Orlicę, która najwyraźniej poderwała się tak szybko, że nawet nie zapięła pasa. -- Byleś tak pewny swego... -- Pokręcił głową, marszcząc brwi. Nie nabral jeszcze podejrzeń, ale wyglądał, jakby żałował, że zgodził się przyjąć nowego rekruta Henryka.

--Wielu z nas widziało ostatnio dziwne rzeczy -- powiedziała Orlica. -- Dziwne rzeczy w dziwnych czasach.

Jej słowa wywołały strumień komentarzy zgromadzonych Lwów, przerwany, gdy Leo, którego koledzy podnieśli i zdjęli mu kolczugę, wrzasnął. Potem, trzęsąc się, zaczął się tarzać jak szalony.

--Cicho -- powiedział Alain, podchodząc i przytrzymując go za ramię. -- Bóg ci pomogą, jeśli nie będziesz się ruszać.

Leo jęknął, ślina płynęła mu z ust; zemdlął.

Nie było ani śladu strzały w ramieniu ani też, gdy Alain dotknął niewielkiej rany, złamanego grota utkwionego w ciele. Ale rana była zainfekowana. Biegły od niej ostre czerwone linie, skóra wokół pokryta była wysypką i pęcherzami. Alain przycisnął usta do rany i zassał, splunął, znów zassał, znów splunął, dopóki nie rozboleły go szczęki.

--Na elfi postrzał spleśniały chleb i modlitwa -- powiedział. -- Tak zawsze mówiła moja ciotka Bel.

--Okład z szalwii, by wyciągnąć truciznę -- dodała Orlica, ale kiwnęła głową Thiadboldowi. -- Wasz uzdrowiciel powinien znać inne remedia.

--Nigdy nie widział nic dziwniejszego -- rzekł Thiadbold. -- A dziesięć lat służę we Lwach. -- Nie patrzył na Leo, tylko na Alaina. -- Mówiłeś do nich, ale nie słyszałem ani słowa z ich odpowiedzi. Byli tylko cieniami. Cieniami Zaginionych. Jak mogłeś rozmawiać z duchami? Kim ty właściwie jesteś?

Folquin i Ingo przepchnęli się przez tłum Lwów.

--Dalej, Alainie -- powiedział Folquin zbyt serdecznie, ale pochylił się, by złapać Leo za nogi. -- Zanieśmy go do obozu.

--Możemy go ułożyć na jednym z wozów -- dodał Folquin, odciągając Thaidbolda na bok. -- To nie potrwa długo. Nie opóźni marszu. Chcę wydostać się z tego lasu przed zmierzchem.

I tak ruszyli. Folquin i Stefan żartowali z Alainem i innymi wokół, a dzień mijał szybko, gdy maszerowali równym krokiem pod sklepieniem z gałęzi. O zmierzchu mieli za sobą najgęściej porośnięty obszar i z posterunku na skarpie widzieli rzekę Vesper o pół dnia drogi. Niezwykle, ale Leo wydobrzał i zjadł tyle na kolację, że żartowali, iż reszta będzie musiała pościć. Nikt nie wspominał o udziale Alaina w zajściu, przynajmniej nie w jego obecności.

Alain był tak zmęczony, że kręciło mu się w głowie i nie mógł jeść. Zapakował swój chleb i ser i odszedł od ognia. Łatwo odnalazł Hathumod, która w ostatnich promieniach słońca usiłowała naprawić rozdartą spódnicę, zezując na igłę. Gdy podszedł do niej, kaszląc lekko, by zaznaczyć swoją obecność, podskoczyła, wbiła sobie igłę w palec i wrzasnęła.

--Przepraszam, pani Hathumod -- odezwał się. -- Nie zamierzałem cię wystraszyć.

--Nie, panie -- odparła cicho. Krew zebrała się na jej palcu wskazującym i niewiele myśląc, podniosła go do ust. Zeszczuplała. Zastanawiał się, czy nie miała wystarczającej ilości jedzenia, czy jak Tallia postanowiła pościć.

Podał jej chleb i ser.

--Zjedz to, pani Hathumod, bo musisz zachować siły. Nie możesz pościć i cały dzień maszerować. Naprawdę nie odmawiam żebrakom, ale nie mam tyle, by ich wszystkich nakarmić.

Spojrzała na niego dziwnie.

--Oczywiście, że wystarczy, panie, jeśli dostaniemy to z waszych rąk.

Niemożliwością było spieranie się z kimś, kto mówił jak ona. Zastanawiał się, ilu widziała żebraków, podążając za Lwami. Czy zachowała niewinną wiarę, że pani Fortuna uśmiechała się równie ciepło do każdego człowieka na ziemi? Czy jej wiara była czystsza niż jego, czy tylko bardziej naiwna?

Zostawił ją, bo nie mógł znieść spokojnego przekonania malującego się na jej twarzy. Ruszył na skarpę, potykając się o kamienie, gdyż nie widział swych stóp. Na szczycie czuł po swej lewej ręce otwartą przestrzeń, opadającą na wschód ku tajemnicom, nie zbadanym łądom, które zbliżają się z każdym krokiem. Po prawej czuł las, oddychającą bestię, która mówiła z wiatrem i ukrywała wiele sekretów. Czy książę i jego drużyna maszerowali do lasu czy z niego? Nie mógł sobie przypomnieć. Może to jednak był sen.

Ale w powietrzu tej nocy unosił się zapach, coś, czego nigdy przedtem nie czuł. Czasami świat zdaje się poruszać i wywracać na nice, sny stają się jawą, a jawa snami.

Grały świerszcze. Zahukała sowa.

Kiedy zamknął oczy, widział Silną Rękę żeglującego na falach, jego statek obracający się z prądem, podążający ku otwartemu morzu.

Coś miało się zdarzyć. Zgromadzi okręty i sprzymierzeńców i doprowadzi do ostatecznej konfrontacji z Nokvim, z której jeden wyjdzie zwycięsko, a drugi zostanie wrzucony do morza.

W oddali płonął ogień, znaczący nowy dwór doliny Namm, tak świeży, że belki, z których powstał, nadal ronily żywicę, a zapach sosny był ciężki jak kadzidło. Kręciło mu się w głowie, a

może to tylko wrota czasu, otwierające się i zamykające niczym miechy pompowane olbrzymimi dłońmi. Czy sen stał się jawą, a jawa zmieniła w sen?

Woda uderzała o kadłub, gdy wioślarze podjęli rytm. Silna Ręka zachwiał się, gdy uderzyli w fale, wpłynęli na nią i opadli w cieśninę. Na dziobie płonęła pojedyncza latarnia na kiju. Znał dobrze tutejsze wody. Zacumują na piaszczystej łasze w cieśninie, gdzie on i jego ulubieni doradcy -- czterech wojowników z jego plemienia, dwóch Hakoninów i dwóch ludzkich niewolników -- zwołają naradę, a trytony przyślą wysłannika: miejsce między ziemią a morzem, gdzie nikt nie będzie miał przewagi.

Znów porwał go niewidzialny prąd, który zmywał wszystko, co mu stało na drodze. Ukłął na podłodze, by się uspokoić, a latarnia kołysała się, w przód i w tył, w przód i w tył *i idzie poprzez obóz, gdzie Lwy, wciąż podenerwowane po porannym spotkaniu z cieniami Zaginionych, przyszły się zabawić wśród kurew. Tej nocy płonie wiele lampek oliwnych; latarnie, których jest tyle, ile gwiazd, kołyszą się na gałęziach. Czuje pieczoną dziczyznę.*

Tutaj, przy ognisku, gdzie odziany w lachmany chłopak obraca jelonka na ruszcie, widzi Hathumod trzymającą swój jedyny skarb: zniszczony i powalany egzemplarz Świętych Wersów. Przy ognisku zgromadzili się ludzie, głównie żebracy i biedni, ale też kilka Lwów, ale tej nocy jest czujny, wie, że prąd się zmienia i wszystko się może zdarzyć. Ponieważ jest czujny, widzi, jak nadchodzą, lord Dietrich i jego dwóch przydupasów, duże szerokie ciała przepychają się arogancko przez tłum, gdy udają się w kierunku łupu, a potem, nagle, siadają na przodzie, wysuwając się przed innych.

Podchodzi szybko.

--Czy cię gnębią? -- pyta, łapiąc Hathumod za rękaw, nim ta zdąży wejść w krąg światła z ogniska.

--Nie, panie -- odpowiada, a jej zaskoczenie jest zaskoczeniem niewinnego dziecka, które zostaje zapytane, czy kiedykolwiek składało ofiary bogom swej babki. -- Zrobili, jak im kazaliście. Wybrali swe miejsce. Przyszli wysłuchać kazania.

2.

W świetle wieczoru kamienie wyglądały jak odziani w habity klerycy stojący czujnie na szczycie wzniesienia. Czekając na co? Od fiaska w starej chatce ona i Sanglant wiele razy przeszukali kamienie na wysokiej łące, ale nie znaleźli ścieżki. Jerna wciąż karmiła Blessing, ale jej głos zniknął; być może ukradła go lub zniszczyła magia Anne, która użyła demona, chcąc odciągnąć Sanglanta, a potem zadbała o to, by drugi raz nie użyto go w ten sposób.

Liath patrzyła na gwiazdy pojawiające się w górze, obracając w palcach złote pióro, które dostała od czarownika Aoi. W kamieniach ukryta była tajemnica, strzeżona przed nią przez tych samych ludzi, którzy twierdzili, że są jej nauczycielami; wszystko było okryte tajemnicą, nie tylko kamienie. Przytuliła śpiącą Blessing do piersi i ucałowała ciemne włosy. Miała zwyczaj ssania dwóch palców, zasypiając. Teraz, w głębokim śnie, jej malutkie usta rozluźniły się na tyle, że równie małe, doskonale i nieco pulchne paluszki spoczywały między policzkiem dziecka i ramieniem Liath.

Jej warkocz się poruszył. Kosmyki luźnych włosów zatrzepotały na karku. Czy to wiatr, czy też dotyk jednego ze sług? Czy Jerna za nią szła? Nie spojrzała.

Kamienna korona w Vernie nie była prawdziwym kręgiem, raczej lekko spłaszczonym owalem. To, że ściągała moc wschodzących i zachodzących gwiazd, kątów planet, które przesuwały się względem siebie na ekliptyce, wydawało się Liath oczywiste: to była sztuka matematyków. Na początku badała krąg od wewnątrz, stojąc przy środkowym kamieniu i patrząc na zewnątrz, ale nie znalazła żadnej sensownej linii. Niemożliwe było spleść związek gwiazd ze środka kręgu, tak jak nie można było przesunąć czółenka przez osnowę, będąc jednocześnie krosnem i nicią, a nie tkaczem.

I rzecz jasna, to spostrzeżenie wszystko zmieniło.

Usłyszała kroki i obróciła się, wsuwając pióro za tunikę, by je ukryć.

Zsunął tunikę z ramion, związał ją w pasie, tak że pierś i plecy miał nagie. Z toporem przerzuconym przez ramię stanowił kuszący widok. Odstawił topór, pocałował ją, dziecko, a potem przycisnął się do niej, jakby chciał ją znów pocałować. Warstwa potu na skórze musiała szybko stygnąć w wieczornej bryzie; na pewno było mu zimno, ale nie zwracał na to uwagi. Drżała, ale nie z zimna. Położyła mu palec na wargach i leciutko go odepchnęła.

--O Boże -- rzekł sfrustrowany.

Ale na pewno nie był bardziej sfrustrowany od niej. Zrobili już rzeczy, których nie powinni byli robić, nie w tak rozpaczliwej sytuacji. Nie mogła ryzykować ponownej ciąży, nie teraz.

--To nie jest naturalna platforma -- powiedziała, wskazując równą ziemię pod stopami. Stała pod kamieniami, które leżały na zachód stąd. Teraz patrzyła na nie z dołu. -- Z tego punktu kamienie stają się krosnem, a ja tkaczem. Przedtem fakt, że kamienie nie tworzą okręgu, nie miał sensu, ale spójrz... -- Przycisnęła Blessing mocniej i użyła złotego pióra jako wskaźnika. -- Ponieważ okrąg jest spłaszczony, te dwa kamienie, lewa krawędź bliższego i prawa dalszego, tworzą linię, która zbiega się z wierzchołkiem urwiska. Tam. Widzisz?

Długo milczał. Potem stanął za nią na półce, szerokiej ledwie na dwa kroki. Uważał, by jej nie dotknąć, ale i tak go czuła. Równie dobrze mógł się z nią kochać, tak mocno czuła jego obecność, ale to jej pragnienie przemawiało przez ciało. On też zdawał sobie sprawę z ryzyka. To on właśnie powiedział, gdy już odzyskała siły po porodzie, że druga ciąża i poród mogły być równie wyczerpujące jak pierwsza i by mieć absolutną pewność, że będzie wystarczająco silna

w chwili ucieczki, musieli uważać, aby znów nie stała się brzemienna.

W takich chwilach zastanawiała się, czy grzechem było nienawidzić kobiety, która ją tu przywiodła i zamknęła w klatce tylko trochę mniej strasznej niż ta, w której więził ją Hugo. Ale uwięzienie pozostawało uwięzieniem mimo lżejszego rygoru.

--Zdradzili mnie -- ciągnęła, zniżając głos, wiedząc, że służący mogą być wszędzie, mogą nasłuchiwać i pewnie to czynią. Dolina nie miała sekretów przed tą, która nią rządziła. Mimo to mówiła, ponieważ płonący w niej ogień spopieliłby jej serce: -- Myślałam, że będę tu mogła studiować w spokoju, ale tak nie jest. Jestem dla nich tylko narzędziem. Teraz się dowiaduję, że moja własna matka próbowała cię zabić i nie mogę nikomu z nich powierzyć Blessing, ponieważ jej życie jest także zagrożone. Nie mogę ufać żadnemu z nich. Okłamáli mnie.

--Ja też cię okłamałem. Nie powiedziałem ci o moich podejrzeniach, a potem wiedziałem na pewno.

--Nie -- gwałtownie pokręciła głową. -- Nie możesz się z nimi porównywać. Zrobiłeś to, by mnie chronić. Czekaleś, aż będę wystarczająco silna, żeby działać. Nie wątpię, że chciałeś jak najlepiej. -- Próbowała być lepsza niż w rzeczywistości, ale nie mogła ukryć irytacji w głosie. Roześmiała się gorzko. -- Ze wszystkich stron otoczeni przez łajdaków. Nawet drzewa mogą podsłuchiwać nasze rozmowy i wyjawiać sekrety.

Ponieważ stał za nią, nie widziała wyrazu jego twarzy, ale czuła go i, niech jej Bóg dopomoga, niemal się odwróciła; chciała odłożyć dziecko i posłać do diabła ostrożność. Ale nie mogła. Jak to ujął Sanglant, druga ciąża mogła ją zabić.

--Widzę -- rzekł, a potem dodał. -- Linie.

W samą porę.

--Gwiazda powinna wzejść nad szczytem. Jeśli mam rację, nic jej światła ożywi koronę. Kiedy magia zbudzi się już pośród kamieni, inne gwiazdy i planety, i księżyc, mogą zostać wplecione w koronę, co uczynią... no cóż, nie wiem. Tą bramą tu przybyliśmy. To sposób przenoszenia się z jednej korony do drugiej.

--Więc jeśli uda ci się przepieść światło gwiazd przez tę koronę, będziemy mogli odejść. Prawda?

Uśmiechnęła się gorzko.

--To nigdy nie jest takie proste. Po pierwsze, korona jest ograniczona, ponieważ góry zasłaniają horyzont. Niebo jest węższe niż na równinie czy na przykład wzgórzu. Po drugie, nie wiem, jak stare są te kamienie. Może ustawiono w okresie ostatnich dwudziestu lat. Mogą być idealnie dopasowane do gwiazd, które teraz widzimy. Ale jeśli wzniesli je Aoi, jeśli są tak stare, to z powodu precesji równonocy inne gwiazdy wstają nad szczytem tego dnia o tej porze roku, inne linie światła tworzą osnowę niż te, które widziano wtedy. Gwiazdy zmieniają się bardziej od gór.

Znów kręcił głową, bawiąc się toporem, jak zawsze, gdy niecierpliwiły go jej odpowiedzi. Może bitwa była prostsza od astronomii.

--Ale powiedziałaś, że to stałe gwiazdy...

--Nie, nie -- rzekła, chichocząc. Nie tłumaczyła tego wcześniej? -- Są stałe w stosunku do siebie. Ale popatrz tam -- kiedy znaleźli się na zachód od korony, patrzyli na wschód, a nad wschodnimi szczytami mrugało kilka gwiazd, coraz jaśniejszych w miarę zmiany dnia w noc. Znów użyła pióra jako wskaźnika. -- Na wschodzie wstaje Pokutnik. Tak naprawdę trochę na

północny wschód. Teraz nie wschodzą żadne naprawdę jasne gwiazdy, ale Korona Gwiazd, wiesz, grupa siedmiu gwiazd, wstanie później, choć nie sądzę, by weszła dokładnie nad szczytem. -- Nic nie mówiąc, postawił topór. Wydawał się niezadowolony z życia, z uwięzienia, z jej odpowiedzi. Wskazała w górę. -- Popatrz. Letnie niebo to niebo Królowej. Unosi się tam, a tu znajduje się jej Berło, Miecz i Korona. Te trzy jasne gwiazdy...

--To Szafir, Diament i Cytryn. Tyle pamiętam.

--Ale ponieważ koło niebios przez lata cofało się po trochu, gdybyśmy stali tutaj za czasów Aoi ponad dwa tysiące lat temu, letnie niebo wyglądałoby... zaraz...

Musiała nad tym pomyśleć. Blessing zadrżała, grymasiła w jej ramionach; Liath zakolysała nią, obliczając.

Tak bardzo starała się odzyskać siły podczas tych dwóch miesięcy, po szoku, jakim była ucieczka Heriberta i nagle zrozumienie, że Anne chciała zabić Sanglanta, a nawet Blessing. Magowie twierdzili, że Liath nie była ich więźniem, tylko raczej towarzyszką, ale, jak mawiali dawni dariyańscy oratorzy, to było jedynie mielenie ozorem. Ukradli jej jedyną rzecz, dla której tu przybyła: możliwość nauki, poszukiwanie czystej wiedzy. Wcale nie obchodziła ich czysta wiedza i to przerażało. To była wojna. Sanglant tak powiedział i miał rację. Potrafił rozpoznać wojnę na pierwszy rzut oka.

A jednak, gdyby nie ich nienawiść do Sanglanta, to czy z własnej woli nie przyłączyłaby się do ich sprawy? Jeśli powrót Aoi miał spowodować kataklizm, który rozedrze ziemię, jeśli morze stanie się górami, a góry morzem, to czy nie należało powstrzymać Zaginionych, zanim spowodują takie potworne zniszczenia?

Mogli się mylić co do Sanglanta i mieć rację co do obowiązków, jakie na nich spoczywały.

Ale jak miała zyskać pewność?

--Siostry -- powiedziała, gdy koło niebios poruszyło się w jej myślach, obracając się poprzez wieki. Za to właśnie kochała gwiazdy: były wieczne i milczące, obojętne na prądy konfliktów targających ziemią. -- Sądzę, że wschodziłyby Siostry, a Guivre stałby w zenicie. Różne gwiazdy mają różny wpływ. Jeśli to prawda, że Aoi wybudowali te korony jako krosna dla magii, nici, których używali, różniły się od nici, które gwiazdy plotą teraz.

--Ale Siostry nadal wschodzą mniej więcej w tym samym miejscu, prawda? -- sprzeciwił się. -- Tylko w innej porze roku. Albo o innej godzinie.

--To bardziej skomplikowane. Wszystkie rzeczy się z czasem zmieniają, nawet niebios, ale jeśli nie mamy ciągłego łańcucha obserwacji od ich czasów do naszych, możemy ufać jedynie oczom. Reszta to obliczenia.

--To wszystko jest bez wątpienia bardzo interesujące -- odparł nieco zirytowany. -- Ale potrafisz otworzyć bramę w kamieniach czy nie?

--Tak -- rzekła z westchnieniem. -- To możliwe. Ale nie wiedziałabym, gdzie wyjdziemy. Korony zostały rozmieszczone zgodnie z jakimś systemem. Widziałam ich ponad dwa tuziny, rozrzuconych po tej ziemi, od północnego Heyetropu do pustyń na zachód od Kartiako na południu. Słyszałam o kolejnych. Lwi Szpon, gdy wschodzi wiosną, może cię zabrać w jedno miejsce, a o zachodzie zimą w zupełnie inne. Wiedziałaś, że podobna półka znajduje się po drugiej stronie korony? Żeby móc patrzeć na zachód gwiazd.

--Sądzę, że na północy i południu też.

--Nie, gwiazdy nie wschodzą i nie zachodzą na północy i południu, ale możliwe, że przy tej

lub innej koronie mógłbyś pomierzyć, dajmy na to, południowe granice wschodu i zachodu księżyca. Cykl księżycowy to niewiele ponad osiemnaście lat według...

--Liath, błagam. Posłuchaj mnie. Czy ważne, gdzie wyjdziemy, skoro będziemy wolni?

Dotknęła włosów Blessing ustami. Dziecko pachniało tak czysto, ciepło i świeżo. Była niezwykleń darem, pochodzącym ze zwykłego połączenia dwóch ciał, prawdziwym błogosławieństwem. Sanglant położył dłoń na ramieniu Liath i potarł jej kark kciukiem.

--Przyniosłem coś dla ciebie -- powiedział. -- Wcześniej nie chciałaś go nosić. Powiedziałaś, że nie powinnaś, ale wiedziałem, że on jest dla ciebie. Wiedziałem, że jest dla ciebie, na długo zanim zrozumiałem dlaczego.

--A jeśli ona kłamie? -- Zapytała Liath, dotykając szyi. Ale już uczyniła ruch, by włożyć na szyję złoty torkwes królewskiego rodu. Był jak niewolnicza obroża, cięższy od wszystkiego, czym wiązał ją Hugo.

--To jasne, że jest wnuczką Taillefera. Nie kłamie, Liath, nie wierzysz we własne słowa.

--Widziałam nagrobek w kaplicy w Autunie -- rzekła cicho. Modliłam się tam kiedyś z moim ojcem. Pamiętam, że gapiałam się na pomnik, zastanawiając się, jak rzeźbiarze mogli tak doskonale oddać twarz w kamieniu. Tato płakał. Nie wiem czemu. Pewnie nigdy się nie dowiem. Trzyma w ręce koronę o siedmiu ostrzach. Kleryk powiedział, że to korona cesarza, ta, którą nosił, gdy wyjeżdżał za granicę, a każdy klejnot przedstawiał jedną z wędrujących gwiazd. Oznaczała jego prawo do rządów, że cesarz Taillefer rządził ziemią, jak Bóg rządzili niebem, że miał ich przyzwolenie. Ale tato powiedział, że korona była pogrzebowym darem biskupiny Tallii, ulubionej córki Taillefera. Powiedział, że miała przedstawiać siedem sfer, które musiała pokonać dusza cesarza w drodze do Komnaty Światła.

Torkwes ciążył jej na szyi. Dwa złote guzy wgniatały obojczyki. Nie czuła się dobrze.

--To dziwne. Tak łatwo zapamiętuję tekst. Ale twarze nie zawsze zachowują się w mej pamięci. Kiedy myślę o tym, nie mogę przypomnieć sobie twarzy wyrzeźbionej w kamieniu na tyle, by wiedzieć, czy jestem do niego podobna.

Poddała się, oparła o niego i pozwoliła, by otoczył ramionami ją i dziecko. Stali tak długo, patrząc w gwiazdy.

3.

Podążanie ścieżką zwątpienia było drogą w dół, zawsze kończącą się w bagnie. Antonia, niegdyś biskupina Mainni, teraz zaś zamaskowana pod imieniem siostry Venii, mieszkająca w gnieździe matematyków, nie miała zamiaru skąpać się w błocie.

Od początku nie chcieli tu Heriberta, choć jego maniery i eleganckie zachowanie, nieco przytępione przez zadawanie się przez całe miesiące z księciem psem, bez wątpienia stanowiły ozdobę tego wyjątkowo obrzydliwego miejsca. Choć wzdragała się to przyznać, dwór, który zbudował z pomocą księcia Sanglanta i sług, był takim ulepszeniem tego miejsca w porównaniu z rozpadającą się wieżą, która była głównym budynkiem, gdy przybyli, że nie potrafiła zrozumieć, dlaczego chcieli się go pozbyć, skoro sam jeden uczynił z tej doliny rezydencję odpowiednią dla szlachciców ich rangi i osiągnięć.

A może wcale ich nie obchodził. Jak dziki pies Eików, którego zabili, by dostać się do dziecka, w niewłaściwym czasie stanął im na drodze.

Wysłuchiwała różnych wyjaśnień, ale w żadnym nie było tyle usprawiedliwionego gniewu co w słowach księcia, który naprawdę nie potrafił kontrolować swych emocji. Być może naprawdę chłodne słowa siostry Anne powinny były mieć większą siłę przekonywania. Rozsądek zawsze triumfował nad emocjami.

Ale książę Sanglant lekkomyślnie powiedział jej również inne rzeczy, i miał wątpić, uznała, że może naprawdę nie utożsamiała się z celami Siedmiu Śpiących. Może naprawdę nie widziała powodu, żeby ocalić ziemię przed kataklizmem, który, jak twierdzili, miał ją niedługo nawiedzić.

Właściwie dlaczego kataklizm sprowadzony przez Zaginionych nie miałby dotknąć świata? Wielu było złych ludzi, a Bóg nigdy wcześniej nie zwlekali z karaniem. Jeśli z potępionymi mieli umrzeć niewinni, trudno: umrą pewni, że ich śmierć będzie jedynie przepustką do błogosławionej Komnaty Światła, gdzie przez wieczność spoczywać będą w pokoju wszechobecnego Boskiego światła.

Być może Heribertowi lepiej będzie w świecie, dopóki znajduje się pod opieką kogoś potężniejszego od niego. Może nauczył się w Vernie wszystkiego, czego warto się było uczyć. Być może nastał jej czas, by wrócić do świata i przekonać się, co tam zdziała, teraz, gdy posiada kilka nowych zdolności.

Kłęcząca przed ołtarzem, prostą drewnianą skrzynią wyrzeźbioną z czereśni i pięknie wypolerowaną. Mimo protestów Severusa, Heribert dodał różne ornamenty: liście winorośli symbolizujące boską obfitość w każdym rogu i na krawędziach oraz wyszukane róże, oznaczające czystość, na każdym boku. Lubiała je podziwiać, gdy się modliła, ponieważ przypominały jej, że Bóg nie potępiali luksusu, niewielkich szczegółów czyniących życie ładniejszym, tylko rozwiązłość, nie opanowaną żądzę rzeczy ziemskich i cielesnych.

--„Otwórzcie wrota zwycięstwa” -- modliła się. -- „W Waszej służbie cierpiałam odrzucenie. Błagam Was więc, odkupcie mnie i poniżcie mych wrogów”.

Był dwudziesty dzień Aogoste, dzień świętego Guillaume'a z Benne, który ukarał złego króla Tarkwina Pysznego z Floretii, a gdy król Tarkwin nie wprowadził praw zgodnie z życzeniami Guillaume'a -- woli boskiej, rzecz jasna -- sprowadził na Floretię wielki potop, który zmył wszystkich do morza. W tym samego Guillaume'a, zyskując koronę męczeńską i szacunek Antonii, choć ona wy dostałaby się z miasta przed spuszczeniem na nie gniewu Bożego. Miasta

nigdy nie odbudowano i, jak twierdził Heribert, nadal leżało w ruinie. Usłyszała głosy na zewnątrz i podniosła się z pewnym wysiłkiem. Wstawanie i siadanie stawały się coraz trudniejsze. Starzała się i miała mniej czasu na ulepszenie świata. Kiedy wyszła z kaplicy, ze zdziwieniem ujrzała brata Marcusa, idącego obok siostry Anne po drewnianym chodniku, tak zajętego rozmową, że z początku nie dostrzegł ani jej, ani drugiej przechodzącej postaci: księcia Sanglanta. Księżę nie przychodził już między budynki w dolinie: trzymał się z dala, zamknięty z żoną i córką w swej chacie lub pracował na łąkach i zboczach. Ale gwałtowna letnia burza wymyła drewniane dachówki na dachu dworu, a on miał, jak sam powiedział, zbyt wiele szacunku dla pracy Heriberta, żeby pozwolić jej się zmarnować.

Brat Marcus uniósł nagle wzrok i ujrzał księcia, stanął i zagapił się, jakby oczekiwał, że znikąd wyskoczy nagle wściekła wataha wyjących wilków.

--Czy on ugryzie? -- zapytał Anne.

--Idź, bracie -- odparła. -- Jesteśmy bezpieczni.

Czasami, pomyślała Antonia, sprzymierzeńcy po prostu wkraczają do twego obozu i deklarują swe wsparcie.

--Zaprawdę, księżę Sanglancie -- rzekła, podchodząc do niego, gdy Anne i Marcus zniknęli w wieży. -- Ostatnio przeżyliśmy wiele niespodziewanych powitań i pożegnań. Zastanawiam się jednak, dlaczego ci, którzy najbardziej pragną odejść, nadal tu są.

--Dlaczego się zastanawiacie? -- Miał ze sobą Blessing, owiniętą w płócienne nosidelko i przerzuconą przez plecy, niczym miecz w czasie wojny, pomyślała. Dziecko nie miało wstępu do wieży magów, więc kiedy Liath się uczyła albo spotykała z resztą, był zmuszony nosić niemowlę ze sobą. Było nie było, teraz, kiedy Heribert odszedł, a pies nie żył, nie miał nikogo, komu mógłby je powierzyć.

--Nic dziwnego, że jesteś wobec mnie podejrzliwy -- powiedziała. -- Więc zwierzę ci się, byś zrozumiał, że też jestem niedoskonała i nie jestem twoim wrogiem. Heribert nie jest moim siostrzeńcem. To mój syn.

Zaskoczyła go.

--Dochował tajemnicy -- powiedział.

--Jest posłusznym synem. -- A przynajmniej był, dopóki nie zepsuli go magowie w Vernie. Naprawdę, mieli wiele na sumieniu.

--Dlaczego mi teraz mówicie? -- zapytał, ale ona tylko wskazała w powietrze.

--Nie -- odparł. -- Nie ma wokół nas sług. Nikt was nie słyszy prócz mnie.

Zaprawdę, posiadał niezwykłą zdolność odgadywania, kiedy służący gromadzili się w pobliżu, a kiedy ich nie było. Nie pomogłoby mu, gdyby Anne dowiedziała się więcej, niż już wiedziała.

--Zaufanie to skomplikowana sprawa. Niektórzy powiadają, że albo ufasz całkowicie, albo wcale. Jako osoba studiująca Święte Wersy, mogę stwierdzić, że wiele w tym prawdy. Albo ufamy Bogu, albo nie. Albo podporządkowujemy się Ich prawom, ufając, że osłonią nas swą dłonią, albo nie. Nic nie łączy wiary i apostazji. Ale na ziemi wszyscy jesteśmy splamieni ciemnością, nawet najlepsi z nas. Wszyscy prócz błogosławionego Daisana, bo jakże mógłby zostać wzięty żywcem do Komnaty Światła, gdyby plamiło go dotknięcie Nieprzyjaciela? On jedyny spośród ludzi był naznaczony boskością.

--Czy to nie jest herezja? -- zapytał niemal ze śmiechem i rozgniewało ją, że w ten sposób

umniejszał jej mądrość i doświadczenie. Rozgniewało ją, ale przypomniała sobie, że nie był zły, jak wszystkim zwierzętom brakowało mu rozumu.

--Nie, dziecko -- rzekła. -- Herezja błędnie naucza, że błogosławiony Daisan miał jednocześnie śmiertelną i nieśmiertelną duszę, że był jednocześnie ludzki i boski. To, rzecz jasna, niemożliwe. Bóg nie pozwoliłby na poświęcenie swego posłańca, jak głoszą niektórzy heretycy. Właśnie z tego powodu prawdziwy kościół w Darre zerwał z Aretuzanami trzysta lat temu, gdyż aretuzański patriarcha tkwił w błędzie... -- Uciekł jej. Miał takie samo szklane spojrzenie jak krowa żująca trawę na polu.

Przy niektórych mężczyznach należało odwoływać się do najprostszych instynktów. Połaskotała niemowlę w podbródek.

--Taki cenny ciężar -- rzekła, a on złagodniał. Jak większość mężczyzn cierpiał na nadmiar uczuć. Rozpoznawała go, rzecz jasna, z powodu swej słabości, uczucia do Heriberta. W pewien sposób podziwiała zdolność Anne do odrzucenia uczuć do własnej córki, kiedy trzeba było dokonywać trudnych wyborów. Antonia nigdy nie byłaby zdolna wykorzystać Heriberta tak bezwzględnie, jak Anne wykorzystywała Liath. -- Mój syn ci ufał, księżę Sanglancie -- rzekła. -- Ja również.

--Siostró Venio! -- zawołała Zoe od drzwi wieży i musiała go zostawić.

--Jest użyteczny -- mówiła Anne, gdy Antonia przekroczyła próg wieży. Anne stała u szczytu stołu. Severus siedział po jej prawicy, obok niego zasiadał brat Marcus, dalej siostra Zoe. Po lewicy Anne ze złożonymi dłońmi siedziała Meriam. Była taka mała i przygarbiona, że zdawała się dzieckiem siedzącym przy stole. Obok niej znajdowała się Liath. Anne ujrzała wchodzącą Antonię i wskazała jej pustą ławkę obok Liath. -- To, że możemy wygodnie jadać i sypiać w tym dworze jest częściowo jego zasługą.

--Wydaje się to dziwne -- powiedział brat Marcus, ale jego usta się wygięły. -- Ale musi istnieć pewna satysfakcja z zagonienia dziecka naszych wrogów do pracy na naszą korzyść. Może to znak.

Antonia usiadła obok Liath, która milczała, stukając w róg stołu palcem i gapiąc się na ścianę. Przed nią leżała zamknięta księga; na okładce z kości słoniowej wyrzeźbiona była piękna miniatura, przedstawiająca słynną scenę ze świętą Walerią triumfującą nad pogańskimi astrologami w mieście Sais Młodszej. Kilka dni temu Liath zaczęła nosić złoty torkwes, symbol królewskiego rodu; na jej ciemnej skórze błyszczał on naprawdę piękniej niż na bladej, delikatnej skórze Anne. I choć myśl, że Sanglant odkrył sekret Anne szybciej niż ona, poniżała Antonię, to jednak nie miała ona zamiaru odrzucić informacji tylko dlatego, że otrzymała ją z dziwnego źródła. To, co najbardziej interesowało Antonię, to fakt, że żaden z magów nigdy nie komentował pochodzenia Anne ani tego, że Liath nagle nałożyła torkwes.

--Przybyłeś prosto z Darre -- powiedziała Anne do Marcusa. -- Jakie wieści przynosisz, bracie?

--Darre nie jest już takie jak kiedyś -- rzekł, spoglądając na Liath, jakby nie był pewien, czy ona ma prawo tu przebywać. Być może drażnił go widok złotego torkwesu na jej szyi, ale jak reszta, nie wspominał o tym. -- W Darre doszła do władzy nowa siła. Dlatego nie odważyłem się mówić przez ogień.

--Co masz na myśli, bracie? -- zapytała Zoe. -- Nie sugerujesz chyba, że ktoś mógł bez naszej pomocy nauczyć się słuchać przez ogień albo podróżować między koronami?

--Zasłona się przeciera -- powiedziała Anne. -- Różne stworzenia przechadzają się wolno. Bracie Marcusie, pochwalam twą ostrożność.

--Wszyscy muszą być ostrożni w pałacu prezbitera. Nauczyłem się tego wiele lat temu. -- Siedział naprzeciw Liath i sięgnął przez stół, by przysunąć do siebie księgę w okładce z kości słoniowej. Otworzył ją i leniwie kartkował, ale nie patrzył na tekst, tylko się zastanawiał. Anne obserwowała go. Liath nic nie powiedziała. -- Królowa Adelheida uciekła z Darre, kiedy jej mąż zmarł, a ostatni męscy krewni zostali zabici na południu. Kiedy tylko uciekła, lord Jan Twardogłowy ruszył w pościg. Łagodnie mówiąc, jego pochodzenie jest wątpliwe. Wiadomo powszechnie, że to bękart szlachcica, który służył w straży ojca. Został kapitanem i rządcą, zabił własnego przyrodniego brata, gdy ten odziedziczył tytuł, i ożenił się z wdową, ogłaszając się lordem Sabiny. Twardogłowy osaczył królową Adelheidę w Vennaci. Niedługo potem księżniczka Theophanu wraz z niewielką wendarską armią przeszła przez góry. Twierdzili, że jadą w misji pokojowej do Darre, by zawieźć pewne pisma od króla Henryka do skoposy. Twardogłowy rzecz jasna uznał, że oni też chcą królowej Adelheidy i zaatakował Vennaci. Adelheida i Theophanu zniknęły na pustkowiu i ponoć zginęły. Twardogłowy wrócił do Darre ze skarbem Adelheidy i nowym doradcą, wendarskim księdzem, który, jak słyszeliśmy w pałacu prezbitera, został wysłany na południe, by stanąć przed sądem za czary. Ale gdy tylko Twardogłowy wjechał do Darre, matka Klemencja koronowała go na króla Aosty. Wierzę, że ten ksiądz opanował demona i teraz poprzez niego kontroluje skoposę.

--Czy to możliwe? -- zapytał Severus. -- Jak mógł się nauczyć panowania nad demonami? Wiele w młodości podróżowałem od klasztoru do klasztoru, by zniszczyć wszelkie ślady magii i matematyków, jakie udało mi się znaleźć.

Brat Marcus dobrze się bawił. Zamknął księgę i uniósł palec, jakby prosił o cierpliwość.

--Kiedy nadeszła wiosna, w mieście gruchnęła nowa plotka. Królowa Adelheida pojawiła się na północy, a niektórzy twierdzili, że w ucieczce od lorda Jana dopomogła jej magia. Powiadali, że nocami kamienne korony lśniły światłem gwiazd i księżyca.

Nawet Liath podniosła wzrok, wyostrzony zaskoczeniem. Severus stęknął z irytacją. Zoe przycisnęła dłoń do obfitego łona, zaszokowana. Uśmiech Meriam był wąski i nieprzenikniony. Anne czekała, aż Marcus się odezwie.

Brat Marcus cierpiał na nadmiar dumy, a teraz był z siebie dumny. Ale pycha nie była najgorszą ludzką przywarą, pomyślała Antonia; przynajmniej nie wtedy, gdy człowiek miał rację.

--Ma księgę Bernarda -- powiedział, a potem opadł na krzesło, ciesząc się reakcją, jaką wywołały te słowa. Antonia też mogła przyglądać się towarzyszom, ponieważ nie miała pojęcia, czym była „księga Bernarda” ani jakie miała znaczenie.

--Nie! -- krzyknął Severus. -- Myślałem, że splonęła.

--Służący nie wspomniał o księdze! -- krzyknęła Zoe. -- Pod takim przymusem nie mógł kłamać!

--Czy Bernard posiadał moc, by ją ukryć i przekazać? -- zapytała Meriam. Zdawała się bardziej zaintrygowana niż zła.

--Mów dalej -- powiedziała Anne bez wyrazu. Tylko ona zdawała się nie być zaskoczona. Ale Anne nigdy nie była zaskoczona. Liath tym razem też nie.

--No, księga Bernarda. Co miałem zrobić? Spróbowałem ją odzyskać, niestety, nie

powiodło mi się. Był bardziej wyczulony na magię, niż się spodziewałem. Nie doceniłem go, gdyż wydawało mi się oczywiste, że używa magii, której głębi nie zdołał pojąć. Był bardziej przebiegły, niż sądziłem.

Usta Liath poruszyły się, wypowiadając słowo lub imię, ale nie wydała z siebie dźwięku.

Marcus wyciągnął z rękawa zwój i pokazał go niemal jak chłopiec, który drażni swą siostrzyczkę zabawką, której ta pragnie.

--Ale zdołałem wziąć to, zanim musiałem uciec. Nie mam pojęcia, gdzie on to znalazł, ale sądzę, że zgodzicie się, że może nas niezwykle zainteresować. -- Ceremonialnie rozwiązał wstęgę, po czym rozwinął zwój na stole, przytrzymując dłońmi zaginające się końce. Wszyscy pochylili się, by popatrzeć.

--Proszę -- rzekł ostro, gdy Liath dotknęła zwoju. -- Uważaj! Jest stary.

--To papirus -- powiedziała. -- To wcale nie pergamin.

Dziwne znaki na karcie na początku zmyliły Antonię; potem, gdy Meriam się odezwała, rozpoznała je.

--To mapa -- szepnęła Meriam. -- Te dzióbki to góry, jak sądzę. Tu jest rzeka. A te, wydaje mi się, to drzewa.

To była mapa, ale nie przypominała dawnych instrumentów nawigacyjnych wykreślonych przez Aretuzańczyków czy Dariyan w czasach imperium. Obok niejasnych symboli na boku, zapewne mających przedstawiać ciała niebieskie albo pogańskie bóstwa, na jasnej karcie zaznaczono siedem głównych miejsc, sześć w równych odległościach na zewnątrz, niemal w okręgu, oraz jedno pośrodku, otoczone czymś, co zdawało się górami. Każde z siedmiu miejsc składało się z siedmiu przedmiotów oznaczonych poszarpanymi strzałkami, otoczonych znakami, które wydawały się wskazywać góry, rzekę, dolinę, las, morze. Trudno było mieć pewność, ponieważ czas częściowo zatarł mapę.

--Oznaczają kamienne korony. -- Severus był zadziwiony. -- Jestem tego pewien!

Marcus uśmiechnął się przebiegle i zwinął zwój. Zawiązał go wstążką i wręczył Anne.

--Wydaje się, że moja teoria jest właściwa. -- Jeśli to samozadowolenie miało zranić Severusa, udało mu się. Starszy mężczyzna był zirytowany i usiadł, mrużąc pod nosem.

--Ciekawe nowiny -- powiedziała Anne, choć nie zmienił się ani jej ton, ani wyraz twarzy. Położyła zwój na stole. Liath utkwiała w nim wzrok; wydawało się, że chce go podnieść i znów obejrzeć, ale tego nie uczyniła. Czekala. -- Co zrobimy z Darre?

Marcus machnął ręką.

--Matka Klemencja jest stara i słaba. Nie zagraża nam. Nie obchodzi mnie, czy Aostą rządzi Twardogłowy, czy dom Adelinów i nie sądzę, by to zmieniało nasze plany.

--To, kto rządzi, zawsze jest ważne -- powiedziała cicho Meriam.

--Ta księga jest zagrożeniem dla tego, co z takim trudem starałem się ukryć -- mruknął Severus.

--Tyle lat pracowałam -- powiedziała Zoe, urażona. -- A nadal mogę jedynie asystować przy tkaniu bram z powodu ich złożoności. Pozostaję szóstą częścią smoka i jestem naprawdę zadowolona ze swej pozycji, nie zrozumcie mnie opacznie. Ale wydaje mi się niemożliwe, by nie wyszkolony człowiek zdołał sam otworzyć bramę! Bez żadnej pomocy!

--Bez żadnej pomocy prócz księgi Bernarda -- powiedziała Anne. -- W odpowiednich dłoniach staje się potężną stymulacją oraz pomocą dla kogoś, kto posiada siłę woli oraz

obietującą inteligencję.

--Albo zdolność do przekonującego kłamania -- odparowała Zoe.

--Co powiesz, Liath?

W odróżnieniu od Sanglanta Liath nauczyła się panować nad wyrazem twarzy; uczucia goszczące w jej sercu nie odbijały się na niej. Była nieprzejrzysta. Nie daleka, jak Anne, ale ukryta.

--Nie mam nic do powiedzenia. -- Ale w izbie było jakby trochę cieplej.

Na Panią! Ta scena uzmysłowiła jej, co z tymi ludźmi było nie tak. Komnata Światła pozostawała odległa. Bóg nie zesłali ludzi na ziemię, żeby ci z założonymi rękami czekali na nadchodzącą śmierć. Czas na ziemi był sprawdzianem. A Bóg wybrali niektóre, bardziej prawe dusze, by dopilnowały, aby cała ludzkość podążyła za naukami Boga, czy jej się to podoba, czy nie. Trzeba ich było doglądać jak bydła, bo inaczej wilki -- sługi Nieprzyjaciela -- pożarłyby ludzkość żywcem.

--Czy powinniśmy go zabić? -- zapytał Marcus.

Anne uśmiechnęła się chłodno. Z wyrachowanym chłodem odwróciła się do Liath.

--Czy powinniśmy go zabić, Liathano? Jak sądzę, zawarłaś znajomość z tym człowiekiem. Twoja opinia jest dla mnie cenna.

--Kim jesteście, by osądzać, kto ma żyć, a kto umrzeć? -- odparła Liath cicho, ale za nieprzeniknioną fasadą Antonia usłyszała prawdziwy gniew.

Jeśli Anne poczuła się urażona tą uwagą, nie okazała tego.

--Czy konieczne jest zabijanie osoby, która później może okazać się cenna? -- zapytała Meriam.

--Kiedy zabijanie jest konieczne? -- odparła Anne. -- Musimy postępować w tak drastyczny sposób tylko wtedy, gdy nie ma wyboru, kiedy pozostawienie niebezpiecznej osoby przy życiu miałyby gorsze konsekwencje niż zabicie jej. -- Sfera niebieska ustawiona na półce za Anne zakręciła się nagle, choć nie było wiatru. Planety zmieniły pozycje i zwolniły, ustawiając się w nowym położeniu. -- Ale siostra Venia jeszcze się nie wypowiedziała.

--Sądzę -- powiedziała Antonia ostrożnie -- że siła waszej reakcji oparta jest na historii i związkach, których ja nie znam. Dołączyłam do was niedawno. Te nazwy niewiele dla mnie znaczą. Jestem wciąż niewprawna w sztuce. -- I coraz bardziej ciekawa. W dworskich kręgach Wendaru pojawił się człowiek zainteresowany magią. Wstyd, że pierwsza do niego nie dotarła. -- Kim jest ten wendarski ksiądz wysłany na proces o czary? Z jakiego rodu się wywodzi? Kim jest ten Bernard, o którego księdze wszyscy mówicie? Gdzie teraz jest?

--Bernard nie żyje -- powiedziała Liath. -- Zabił go demon. Ktoś go długo ścigał.

Glob, który stał na półce obok sfery, zaczął nagle świecić, namalowane na powierzchni plamki, przedstawiające gwiazdy, rozjarzyły się, jakby płomień albo jeden ze sług tańczył w środku. Wzdłuż jednej z belek nad ich głowami zaczęły pelzać nagle języki ognia, a w powietrzu uniósł się zapach palonego drewna. Na zewnątrz liście zatrzepotały jak na gwałtownym wietrze, potem umilkły. Powiew szarpnął otwartymi drzwiami.

Liath wstała nagle, sztywna jak pies, który zwęszył niebezpieczeństwo. Ostrożnie przerzuciła nogę nad ławką, uwalniając się, i zdecydowanie ruszyła do drzwi.

--Ty go zabiłaś -- powiedziała. Otoczyło ją światło słoneczne, sprawiło, że zajaśniała, ale mimo całego gniewu nie można było niczego odczytać z wyrazu jej twarzy. Zaslona opadła,

ukazując nieprzeniknioną twarz i głos pełen gniewu i szoku.

Niezwykłe było, aby Anne okazywała więcej uczuć niż jej przeciwnik. Teraz jej usta stwardniały. Dłonie zacisnęły się w powietrzu, może wokół wspomnień.

--Ukradł cię nam. Prawie cię zniszczył w ciągu tych lat, gdy miał cię w swej pieczy. Nieomal uczynił cię bezużyteczną, jak to dziś widzimy, jak to widzimy każdego dnia, odkąd do nas dołączyłaś. Zrobiłam to, co musiało zostać zrobione. Kiedy zrozumiesz, że było to konieczne, Liath, wtedy będę wiedzieć, że naprawiliśmy krzywdę, jaką ci Bernard uczynił.

--Kochał cię -- wyszeptała Liath. -- Był twoim mężem. Wcale cię nie obchodził? Czy te przysięgi nic dla ciebie nie znaczyły?

--Nie możemy pozwolić, żeby miłość lub nienawiść zaćmiły nasz osąd. Musimy być wystarczająco silni, by zabić tych, którzy staną nam na drodze. Wszyscy jesteśmy narzędziami w Ich dłoniach, a nasze życia nic nie znaczą, jeśli nie ulegamy Ich woli.

--Mój Boże -- powiedziała Liath i wyszła.

Zapadła dziwna cisza. Światło w globie zamrugalo i zgasło.

--Kim był Bernard? -- powtórzyła Antonia.

--Niegdyś jednym z nas. Wykradł nam Liathano, kiedy miała zaledwie osiem lat, i sama widzisz, co uczyniły z nią lata spędzone pod jego opieką. To było jedenaście lat temu. Przed nami wiele pracy, jeśli mamy uczynić ją naczyniem, dzięki któremu spełnią się nasze plany, nasza praca się skończy, a Ziemia zostanie ocalona przed straszliwym losem.

--Doprawdy -- dodał sztywno Severus. -- Została wydana na ten świat, ponieważ, biorąc pod uwagę, kim jest, to jedyna osoba, która mogłaby zabić księcia Sanglanta. „Żadna znana ci zaraza go nie tknie, żadna rana zadana przez samca czy samicę go nie zabije”. Tylko ona może go powstrzymać.

--Ale dlaczego on ją wykradł? Czy nie rozumiał tego wszystkiego? -- Jako matka, Antonia uznała wypowiedziane z zimną krwią słowa Anne za przerażające, choć trzeba było podziwiać jej determinację. Ale czy to nie było nienaturalne, że kobieta decydowała się poświęcić swe jedyne dziecko? Ile szlachcianek i biednych chłopek spowiadało się przed ołtarzem wielkiej katedry w Mainni, prosząc Boga, żeby dali im dziecko? Straciła rachubę. Antonia długo się zastanawiała, czy ten jeden błąd, który doprowadził do narodzin Heriberta, nie był sposobem, w jaki Bóg pozwolili jej zrozumieć pragnienie tych kobiet. Ponieważ błogosławiony Daisan rzekł: „Droga do oczyszczenia wiedzie przez poczęcie i narodziny”.

--Bernard się mylił -- rzekła Anne ostro. -- Za bardzo kochał świat.

Marcus westchnął głośno, przyciągając do siebie księgę i niecierpliwie stukając palcami w filigran.

--Czy ta scena się już skończyła? -- zapytał. -- Przypomina mi to cyrk w Darre, który teraz uległ szaleństwu, po tym jak Twardogłowy objął tron i ma wielkie chęci obejrzeć wdzięki każdej akrobatki, która mu się spodoba, czyli większości. Ale mam inne wieści. Znalazłem Laurencję, dokładnie tam, gdzie brat Lupus mówił, że będzie.

Anne odwróciła się i podeszła do półki. Sięgnęła ku kręcącej się sferze niebieskiej i poruszające się metalowe okręgi nagle znieruchomiały. Nie odwracając się, ukrywając twarz, spytała:

--Czy naprawdę wciąż żyje?

--Jest matką w klasztorze Świętej Ekatariny.

--Brat Lupus się pomylił -- rzekła Anne cicho.

--Nie -- odparł Marcus. -- Wiele lat temu bezczelnie go okłamano. Musiała nabrać podejrzeń. Musiała się tam schronić, a zakonnica, która była wtedy opatką, przyjęła ją i wysłała wieść o jej śmierci. Ja to nazywam kłamstwem.

--Czterdzieści lat temu -- mruknął Severus. -- Długo żyła przed nami ukryta.

--Czy odwiedziłeś kiedyś klasztor Świętej Ekatariny, bracie? -- zapytał Marcus z dużą dozą sarkazmu.

--Nie. Będę ci wdzięczny, bracie, jeśli przestaniesz używać tego tonu.

--Powieм więc jedynie, że to odizolowane miejsce, do którego bardzo trudno się dostać. Co z nią zrobimy? Czy stanowi dla nas zagrożenie?

Anne odwróciła się. Wyraz twarzy, który zamierzała ukryć, już zniknął. Była jeszcze chłodniejsza i skupiona.

--Czy wydała ci się zagrożeniem?

--Wymigiwała się. Teraz zwie się matką Obligatią, ale nie widziałem jej twarzy. Mogłem sądzić jedynie po głosie i wydała się stara i krucha, nie silna.

--Głosy mogą mylić. Raz nas zwiedziono. Więcej się tu dzieje, niż dostrzegamy.

Rzeczywiście, pomyślała Antonia, więcej się tu działo, niż się wydawało. Siostra Anne nie kontrolowała całej ziemi, choć po ponad roku spędzonym w Vernie można by zacząć tak myśleć. Kim była Laurencja? Czy była aż tak ważna, żeby o niej dyskutować? Ale zadała już wystarczająco dużo pytań. Nie chciała wzbudzać podejrzeń, że jest mniej oddana ich sprawie, niż się to wydaje. Na szczęście Zoe nie bała się odezwać.

--Kim jest Laurencja czy matka Obligatia, czy jak tam ją zwiecie? -- zapytała. Nigdy o niej nie słyszałam. Dlaczego nas interesuje?

Nawet Marcus milczał, patrząc na siostrę Anne.

--To kobieta, która mnie urodziła.

--Twoja matka! -- wykrzyknęła Zoe, zadziwiona tą wiadomością albo tym, że kobieta taka jak Anne w ogóle miała matkę.

--Nie. Nie była moją matką, tyle tylko, że to w jej łonie zostałam poczęta i się rozwijałam, że jej łono wydało mnie na świat. Nigdy jej nie widziałam. -- Anne uniosła sferę, która była zbyt duża, by poradziła sama, ale pomagali jej służący, wdmuchując powietrze pod dłonie. Postawiła sferę z trzaskiem i cały stół zadrżał. Erekes zakręciła się lekko. Mok ruszyła o długość palca, a jasna aureola Słońca zadrżała, ale pozostała nieruchoma. -- Kobieta, którą uważam za matkę, to ta, która mnie wychowała. To jej wpływ mnie ukształtował.

Antonia mogła domyślić się reszty, ale kilka pytań pozostawało bez odpowiedzi.

--Czy ta Laurencja była córką cesarza Taillefera czy jego synową? -- I jeśli spokrewniona była jedynie przez małżeństwo, to jak królowa Radegundis ukryła swego syna?

Anne zerknęła na nią, po czym wprawiła w ruch Aturnę. Mechanizm na obrzeżach był oporny i planeta mądrości poruszyła się jedynie odrobinę.

--To prawda, że jestem córką syna cesarza Taillefera. Ale on i Laurencja tworzą linię poboczną mego rodowodu. Wychowała mnie kobieta o imieniu Klotylda i to ona uczyła mnie sztuk matematyków, tak jak ją uczyła biskupina Tallia. Przede wszystkim jestem spokrewniona z biskupiną Tallią. Jest ona moją ciotką, ale uważam, że pod wszystkimi innymi względami to ona mnie stworzyła. To ona zrodziła nas wszystkich, Siedmiu Śpiących, którzy

przez ostatnie sto lat pracowali, aby zapobiec katastrofie.

Stąd Liath i stąd Sanglant: dwoje dzieci zrodzonych we wrogich obozach. Jeśli Siedmiu Śpiących przygotowywało się do kataklizmu na Ziemi, to bez wątpienia Aoi snuli własne plany tam, gdzie się znajdowali, ukryci w eterze. Po co z innego powodu trudzić się przekraczaniem zasłon oddzielających jedną sferę od drugiej? Po co wysyłać jedną z ich kobiet na Ziemię, by poczęła dziecko pół ludzkie, pół Aoi?

Kiedyś wspierała sprawę Sabelli, gdyż w nią wierzyła. Ale Sabella znajdowała się teraz w Autunie pod opieką biskupiny Konstancji. Nie miała żalu do Sabelli za nieudaną próbę objęcia tronu; Bóg wsparli kogoś innego. I być może wybrali tak, ponieważ, jak anioły i demony, mogli widzieć jednocześnie przeszłość i przyszłość. Widzieli nadejście tego dnia.

A ona wiedziała, jak to wykorzystać.

4.

Liath wróciła niespodziewanie. Sanglant właśnie umieścił Blessing w ramionach Jerny. Dziecko było milczącym, efektywnym pożeraczem: przypinała się do sutka i kończyła, kiedy miała ochotę. Było to po niej widać: miała pulchne ręce i nogi, ale czasami zastanawiał się, jakie pożywienie ssala i dlaczego rosła tak szybko.

Lepiej za dużo o tym nie myśleć. Kiedy ktoś podaje ci rękę, nie pytasz z jakiego rodu pochodzi ani czy ma trąd.

--Sanglant.

Usłyszał szept. Kiedy się podniósł i obszedł chatę, dochodziła do drzwi. Ujrzała go, złapała za łokieć. Była pod wpływem tak potężnych emocji, że jej skóra niemal go parzyła. Położył dłoń na jej czole i cofnął, ale ona złapała go za drugą rękę i spojrzała na niego ostro.

--Czy są w pobliżu jacyś służący?

Wysłuchał się. Gwizdnął.

--Nie, tylko Jerna. Karmi dziecko.

Zniżyła głos do szeptu.

--W zagrodzie dla bydła są cztery kozy z małymi. Będziemy potrzebować jednej z nich. Dopóki czary siostry Anne panują w tej dolinie, Jerna nie będzie mogła odejść.

--Nigdy przedtem nie słyszałem, byś mówiła o niej „siostra Anne”. Co się stało, Liath?

Pochyliła się ku niemu, jakby chciała go objąć -- wyjątkowo niebezpieczne -- ale tylko szepnęła mu do ucha tak cicho, że nawet służący tańczący na wietrze tuż obok, by nie usłyszał:

--Odejdziemy dziś w nocy.

--Co się stało, Liath? -- powtórzył. Dzień był bezwietrzny, co niezwykle, a jednak z tego miejsca widział kołyszące się drzewa przy dworze i wieży. Tutaj, na zboczu, było spokojnie.

Ukryta za chatą Blessing zaczęła płakać. Liath skoczyła, ale złapał ją i wyminął, wyszedł zza rogu chaty, żeby spojrzeć na drzewo, pod którym zwykle zasiadała Jerna, gdy karmiła. Jerny nie było. Blessing leżała na ziemi, krzycząc, lniane powijaki były nieco rozwiązane, jakby spadła i przeturlała się. Podniósł ją i przycisnął do piersi; umilkła niemal natychmiast. A potem, jak to dzieci, dla których nie liczy się przyszłość i przeszłość, zaczęła się uśmiechać i gaworzyć.

--O Pani -- powiedziała Liath, podchodząc do niego. Wyciągnęła rękę. Ułożył w nich Blessing, a dziewczynka zagaworzyła słodko, Liath zaś stała i łzy spływały jej po twarzy. -- Zabiła go.

Wiatr wśród budynków się wzmógł. Słyszał jego szelest i pomruk, a jednak nie wiał wzdłuż zbocza jak zwykły wiatr. Czy wszyscy jęczeli i rzucali się w wirze, który skupiał się wokół siostry Anne? Czy wszystko to dotyczyło, oczywiście, siostry Anne?

--Zabiła tatę.

--Ach. -- Tu jego elokwencja nie wystarczyła. Co niby miał powiedzieć? „Nie wierzę, że zrobiła coś podobnego”? Ale wierzył. W tym sęk.

--Tato cały czas przed nią uciekał. Przed nimi, przed magami. Dlaczego mnie im wykradł? Czego się dowiedział, że popchnęło go to do czynu tak drastycznego? Musiał wiedzieć, że będą go ścigać. Musiał uważać, że warto zaryzykować. Dlaczego nie powiedział mi tego, co wiedział? Dlaczego mi nie powiedział?

--Usiądź -- rzekł Sanglant, a ona usiadła. Strach uczynił z niej pacynkę. -- Kogo możemy poprosić o pomoc?

Roześmiała się gorzko.

--Nikogo. Nikogo z nich.

--Ale siostra Venia wydaje się niezadowolona. Nie podobało jej się, że Anne pozwoliła odejść Heribertowi.

--W pewien sposób jest lepsza od reszty. Nie traktuje mnie jak trędowatej dlatego, że mam męża i dziecko. Lubię siostrę Meriam, ale nie sądzę, by nam pomogła, jeśli oznacza to sprzeciwienie się siostrze Anne. O Pani. Pozwoliłam, by mnie uśpili. Uczyli mnie tylko tego, co chcieli, bym wiedziała, a ja słuchałam ich obietnic i siedziałam beczynn timer całe miesiące, gdy rzucali mi ochłapy. Tyle, że bym była zadowolona, jak krowa, co nigdy nie wygląda poza ogrodzenie.

Powietrze rozdarł niski grzmot odległej lawiny, ale kiedy podniósł wzrok na stoki i szczyty na horyzoncie, nie ujrzał chmury pyłu ani białej fontanny. Chwilę później usłyszał ostre uderzenie, niby odległego pioruna, ale na niebie nie było chmur prócz tych, które otaczały najwyższe szczyty.

--Coś ich zdenerwowało -- powiedział, obserwując, jak wiatr szaleńczo szarpie gałęziami. Tutaj było spokojnie i bezwietrznie, a dwieście kroków poniżej szalała niewielka burza. -- W skrzyni powinien ciągle być ten mały smoczek z koziego jelita. Możemy go użyć, aby karmić Blessing. Jestem przekonany, że będzie już piła kozie mleko. Na belkach wisi mały worek z jęczmieniem i odrobiną fasoli. Mamy koper i miętę, już ususzone...

--Mamy też orzechy.

Pokiwał głową.

--Kiedy spakujesz worki i sakwy, schowaj je w skrzyni. Nie sądzę, aby służący je tam znaleźli. Widziałem tylko jednego, który zdołał wejść w drewno, ale zniknął, kiedy Heribert odszedł.

--Mam nadzieję, że nic mu nie jest -- mruknęła Liath.

--Wola boska. Nie trzeba ruszać mojej zbroi. Włożę ją wieczorem. Pójdę do zagrody i przyprowadzę kozę. I Resuelto.

Pokiwała głową, zaczęła się podnosić.

--Liath, czy potrafisz otworzyć bramę? Przygotowana, by się podnieść, ściskając dziecko w ramionach, spojrzała na niego. Wydawało się, że jej włosy sypią iskrami, a trawa pod jej stopami buchnie płomieniem. Ale panowała nad sobą.

--Jeśli Hugo potrafi to zrobić -- rzekła niskim, wściekłym głosem. -- To ja też.

Zastanawiał się, gdzie zniknęła Jerna, dlaczego odeszła tak pośpiesznie. Nigdy wcześniej nie zostawiała Blessing. Ktoś lub coś ją odwołało. Sądząc po zamieszanym wśród drzew w dolinie, była to Anne.

Resuelto podążył za nim radośnie; szary wałach zawsze czekał na codzienne przejażdżki. Kozą była mniej radosna, ale złapał jej koźlą, więc podążyła za nim pokornie, choć miała skłonność do bodzenia go w tyłek i schodziła ze ścieżki, by przeżuć każdy jadalny kwiat i zioło.

Pogrzebał psa przy ścieżce tuż pod chatą, żeby przypominał Anne i innym, że nie zapomni ich oszustwa. Po dwóch miesiącach trawa i kwiaty na kurhanie zwiędły, został tylko piasek i kikuty. W jakiś gorzki sposób lubił ten widok; czasami, gdy zmagął się z delikatnymi więzami, które go spinały, jałowy wzgórek doskonale pasował do jego nastroju.

Nadal był wściekły. Kiedy tylko Jerna otworzyła śpiewem ukrytą ścieżkę na łące, powinien

był wrzucić Liath na Resuelto i zabrać stąd wszystkich, nie tylko Heriberta, ale wybrał ostrożność. Może to dobrze: to była jednak pułapka. Ale bolała go świadomość, że byli tak bliscy ucieczki.

Ale jak daleko by odeszli, zanim Anne wysłałaby za nimi swe sługi? Wiedział, jak zginął ojciec Liath, i choć nie obawiał się o siebie ani o Liath, nie był pewien, czy udałoby mu się ochronić Blessing.

Tak się pogрузił w tych bezowocnych rozważaniach, że przywiązał wałacha i kozę do palika przy korycie, zanim zdał sobie sprawę, że Liath rozmawia z kimś w chacie. Zatrzymał się, słysząc grymaszącą Blessing, a potem zapadła cisza. Może mówiła do siebie.

--Nie -- rzekła Liath, wściekła. -- Jesteście zbyt dobrą osobą, aby zaufać komuś takiemu jak Hugo z Austrii.

--Jest więc niebezpieczny, grasując w Darre?

--Z książką taty i demonem na swoje rozkazy? Owszem.

--Ale najwyraźniej jest też sprytny.

Liath warknęła. Sanglant zanurzył dłoń w zimnej wodzie w korycie i czekał.

--Hugo powiedział mi kiedyś, że nie można nienawidzić czegoś, czego się nie kocha. Ale nie można mu zaufać. Nigdy, nigdy. -- Sanglant nigdy nie słyszał, by mówiła z tak głęboką i niemal radosną furią. -- Gdyby Hugo był tutaj podczas mojej choroby, siedziałby przy moim łóżku i czytał mi na głos, przypominał, że Sanglant nie umie czytać. Hugo klęczałby obok mnie, gdybym mierzyła kąt wschodu gwiazdy albo ruch księżycy poprzez zodiak i wspominałby elegancko, że Sanglant nauczył się kilku nazw gwiazd i konstelacji, wystarczająco, by znać nocne niebo, ale go to nie interesuje. Że nie ma pasji do nauki. Nie jak ja. Nie jak Hugo.

--Nie wszyscy zostaliśmy obdarzeni tą właśnie pasją -- rzekła Venia uspokajająco, jakby gniew Liath ją denerwował. -- Muszę przyznać, że dla mnie rachunki są nudne ponad wszelką miarę. Te długie słupki do podliczania! Ale rozumiem, że kobieta, która je kocha, może łatwo zapalać uczuciem do kogoś, kto również je kocha.

--Nie o to mi chodziło. -- Potem wydała z siebie tak głębokie, pełne napięcia westchnienie, że Sanglant doszedł do siebie, kiedy koza zaczęła żuć jego tunikę. Odepchnął ją i cofnął się. -- Nie noszę już niewolniczej obroży. Nie muszę. I nigdy już nie będę nosić. Nie ufajcie Hugonowi z Austrii, ponieważ przekreśli każde słowo, które wypowiedzie, i wypaczy każdą myśl, jaka wam przyjdzie do głowy, by ją wykorzystać dla własnych celów. Nie umie żyć, nie zaciskając rąk na gardle każdego stworzenia, które chce osiąść.

Siostra Venia nie odpowiedziała. Może lepiej było pozostać na zewnątrz, ale po prawdzie zbyt był urażony niepoehlebnym porównaniem jego z Hugonem. Przeszedł przez próg i ujrzał siostrę Venię z dzieckiem w ramionach, Liath zaś stała, trzymając jedną stopę na skrzyni, nie patrząc na żadne z nich.

--Ach -- rzekła Venia. -- Książę Sanglant.

--O czym myślisz z takim ponurym wyrazem twarzy? -- zapytał Sanglant swą żonę.

Nie spojrziała na niego.

--O wolności -- odparła i przez chwilę zdawało mu się, że słyszy w jej głosie zimną arogancję Anne. Potem otrząsnęła się i wskazała gościa. -- Przyszła siostra Venia, jak widzisz. Mówi, że rada rozeszła się w niezgodzie, a służący wpadli w szal.

Venia uśmiechnęła się współczująco.

--Jesteście w trudnej sytuacji. Wykorzystałam niepokój służących, by z wami pomówić. Ale nie odważę się zostać długo.

Sanglant westchnął.

--Czy przyszedł coś zaproponować?

--Nie, księżę Sanglancie. Chciałam tylko coś powiedzieć. -- Przez chwilę cmokała do dziecka, a Blessing uśmiechnęła się i sięgnęła po złoty Krąg Jedności, wiszący na piersi Venii. Venia szybko odsunęła klejnot. -- Wydaje mi się, że Aoi w swym odległym kraju uknuł plan, by stworzyć dla własnych celów księcia Sanglanta. Wydaje mi się, że siostra Anne i jej klika uknuł plan, żeby dla swoich celów stworzyć Liath -- księżniczkę Liathano. Ale dlaczego poddawać się ich planom? Po co walczyć z nimi bez żadnego własnego celu? -- Czekala, pozwalając dziecku złapać się za palec wskazujący. Mocowały się lekko. Blessing zachichotała.

--Mów dalej -- rzekł Sanglant.

Venia wzruszyła ramionami, jakby chciała ująć swym słowem wagi.

--Cóż widzę w tej chacie, odciętej od świata w górskiej dolinie? Widzę prawnuczkę cesarza Taillefera, z prawego łóża, poślubioną ulubionemu synowi króla Henryka, najpotężniejszego władcy w zachodnich krajach, pochodzącego najprawdopodobniej z królewskiego rodu ludu jego matki, tego samego, który, jak słyszymy, zamierza zaprowadzić własne rządy, gdy powróci. Ale żadne z was nie ma w tych sprawach doświadczenia. Księżniczka Liathano urodziła się w wiosce magów, a potem, jak się wydaje, większość życia spędziła jako zbieg. Księcia Sanglanta wychowano na wojownika, nie dworzanina. Z tego powodu nie dostrzegacie, jak możecie tę sytuację wykorzystać dla siebie.

Liath milczała, nie patrząc ani na Venię, ani na Sanglanta, tylko na drewno na pokrywie skrzyni, jakby się spodziewała, że w każdej chwili ożyje.

--Mów dalej -- powiedział Sanglant.

--Jeśli nadchodzi wielki kataklizm, wśród tych, którzy przeżyją, zapanuje chaos. Będą potrzebowali silnego przywództwa. Jestem pewna, że oddzielnie stanowicie potężne figury w grze, która rozgrywana jest nad nami. Razem jesteście jeszcze potężniejsi. -- Potem uśmiechnęła się nieśmiało, podając im dziecko. -- Chyba się zmoczyła.

Wyszła, a oni milczeli.

--Dlaczego rozmawiałaś z nią o Hugonie? -- zapytał Sanglant.

Spojrzała mu prosto w oczy, jakby wyzywała go, żeby sprzeciwił się temu, co powie, jakby wiedziała, że słuchał.

--Inni o nim rozmawiali z powodu jego działań w Darre. Wysłano go do pałacu skoposy, oskarżonego o czary, ale zamiast tego chyba nagiął skoposę do swej woli za pomocą demona i wsparł człowieka zwanego Jan Twardogłowy, którego koronowano na króla Aosty.

--Jakie wieści o królowej Adelheidzie?

--Umarła. Uciekła. Nikt nie wie. Albo nie chce powiedzieć. Siostra Venia czuła się pomijana w dyskusji, ponieważ nic nie wiedziała o Hugonie.

--Przyszła więc do ciebie.

--Uważała, że ja nie będę miała skrupułów i powiem jej, co wiem.

--Mogła też prosić o przysługę -- wytknął. Ale był zbyt dumny, by powiedzieć, ile podsłuchał. Czy naprawdę tak jej przeszkadzało, że nie umiał czytać?

--A co mnie obchodzą jej przysługi? -- zapytała Liath. -- Byłam zdenerwowana, a ona mnie

śluchała. To, co powiedziałam, się nie liczy. Jutro nas tu nie będzie.

--Ale ona mówiła... -- zaczął, a ona odwróciła się do niego; takiej wścieklej jej jeszcze nie widział.

--Rządzić jako cesarz i cesarzowa z psami rzucającymi się nam do gardel? Nigdy.

--Ale, Liath -- zaczął łagodnie, widząc, w jak zmiennym i niespokojnym jest nastroju. -- Siostra Venia mówi prawdę. Musimy planować coś poza naszą ucieczką, własną korzyścią. Kiedy ten prąd już nas zaleje, pociągnie za sobą wielu ludzi oprócz Blessing. Jeśli mamy możliwość, aby ich ochronić, to czy nie należy działać?

Ale ona zaczęła się śmiać.

--Lepiej ją przewiń -- powiedziała. -- Jerna przyniosła trochę świeżego mchu dzisiaj rano. Ociekasz.

Też się roześmiał. W gniewie tego nie zauważył.

--O Boże -- powiedział, czując, jak płyn przecieka mu przez palce. -- Dobrze pamiętać czasem stare powiedzenie: Nie wszystko naraz.

Blessing zaczęła marudzić. Kiedy wychodził, Liath usiadła na krawędzi łóżka i przyciskając rysik do woskowej tabliczki, zaczęła kreślić diagramy.

5.

W południe spotkali jeźdźców, grupę złożoną z żołnierzy i rządców, którzy kierowali się do pałacu w Angenheimie, by powiadomić tamtejszego ochmistrza, że nazajutrz w południe przybędzie król i jego armia. Ponieważ armia Adelheidy schroniła się na trzy noce w wygodnym Angenheimie, Rosvita z radością zawróciłaby i pojechała za królewskimi do pałacu, aby tam oczekiwać przyjazdu Henryka.

--Jeśli poczekamy na króla Henryka w Angenheimie, możemy się przygotować na jego przyjazd -- wytłumaczyła królowej i księżniczce. -- A on dowie się o naszej obecności.

Adelheida odmówiła nawet rozważenia takiego działania.

--Pojedziemy dalej, by spotkać króla. -- Z opóźnieniem zwróciła się do Theophanu: -- Co myślisz, kuzynko?

Theophanu nie spojrzała na Rosvitę. Kiedyś, przed ucieczką od świętej Ekatariny, księżniczka słuchała opinii Rosvity, nawet zdawała się na jej osąd. Ale już nie.

--Jedźmy -- rzekła Theophanu. -- Wolę zobaczyć dziś mego ojca, niż zawracać i ujrzeć go dopiero jutro.

Rosvicie brakowało porozumienia, jakie kiedyś było między nimi. Teraz Theophanu zwracała się raczej do cichego brata Heriberta, który jechał obok niej jak ulubiony doradca. Zastanawiające było, że po gwałtownych oskarżeniach Hugona Theophanu zaprzyjaźniła się tak mocno z człowiekiem, który oskarżony był o czary i związany z biskupiną Antonią. Ale Theophanu i Heribert pamiętali księcia Sanglanta i ufali mu. W pewien sposób Sanglant ich łączył. Rosvitę zasmucała myśl, że z powodu wyboru, którego dokonała, z powodu zaufania, jakim obdarzyła ją Theophanu, gdy zetknęły się z Hugonem w klasztorze, straciła jej sympatię. Czasami, w mrocznych chwilach, zastanawiała się, czy Theophanu sądziła, że Rosvita ją zdradziła.

Zastanawiała się, czy zdradziła siebie samą i swe zasady w imię nie zaspokojonej ciekawości, ponieważ jasne było, że Theophanu nie kierowała się nienawiścią do magii, ale nie dopuszczała myśli o jakimkolwiek przymierzu z Hugonem.

--Dobrze będzie znów znaleźć się w scholi -- powiedział cicho Fortunatus, kiedy ich oddział ruszył. Adelheida i Theophanu jechały na przodzie, otoczone szlachcicami i klerykami. Służący i wozy -- całe ich wyposażenie i wiele koni było darem od pani Lavinii z Novomo -- podążali za nimi, a kapitan Fulk i jego żołnierze zabezpieczali tyły.

--Tęskniłeś za Amabilią, prawda, bracie?

--Tęsknię nawet za biednym Konstantynem. -- Przejście przez góry Alfar wróciło mu nieco humoru, ale nadal był szczupły, o nieco zapadniętej twarzy; nie wyglądał dobrze z tą chudością, a z wagą stracił też, zdawałoby się niewyczerpane, zasoby dobrego humoru. -- Przyznaję, że nie rozumiem tego syczenia i mlaskania naszych aostańskich towarzyszy. I choć nigdy nie spotkałem kunsztowniejszego wypolerowanego naczynia od brata Heriberta, nie jestem pewien, czy on nam ufa i czy my powinniśmy zaufać jemu, wiedząc, o co go niegdyś oskarżano.

--Dość otwarcie o tym mówi -- rzekła, czując się zobowiązana, by bronić Heriberta, choćby dlatego, że podziwiała jego doskonale opanowanie pięciu języków. -- Ale dobrze rozumiem, o co ci chodzi, bracie. Niedługo będziemy wśród swoich. Ja też tęskniłam za scholą. -- Była to prawda, pomyślała, nawet nieco zaskakująca. Tęskniła za serdecznym towarzystwem innych kapłanów, książkami, dokumentami, poplamionymi atramentem palcami i, przede wszystkim, za

towarzystwem samego króla. Tęskniła za Henrykiem.

Czy Henryk też jej nie ufał? Czy dlatego wysłał ją do Aosty? Czy też odesłał ją z powodu zaangażowania w oskarżenia Hugona, bo potrzebował wtedy przychylności margrabiny Judith? Niedługo się dowie.

Przejechali ogromny most przerzucony nad rozlewiskiem rzeki Malnin. Przez chwilę jechali wśród lasu, zanim wynurzyli się na ziemiach uprawnych otaczających miasto Wertburg. Wokół ich rozpościerały się pola, gotowe do zbiorów. Wspięli się na wzniesienie i przed sobą na północy ujrzeli miasto; królewski sztandar powiewał na pałacu biskupim.

Kapitan Fulk i jego żołnierze zaintonowali pieśń: „Śpiewam na chwałę króla”.

Ku swemu zaskoczeniu, kiedy zjechali i przekroczyli bramy Wertburga, Rosvita stwierdziła, że płacze.

Przyjechali jako raczej wymęczona ekspedycja, zdziętkowana i bez oszalamiającej wspaniałości przystającej królowej. Ale gdy jechali, mieszczanie gromadzili się na drewnianych chodnikach, żeby się gapić, i gdy dojeżdżali do pałacu biskupiego, mieli za sobą całkiem spory orszak ludzi, ciekawych do czego doprowadzi to spotkanie.

Król Henryk miał posłuchanie w wielkiej sali. Grupa interesantów tłocząca się przy drzwiach rozstała się, aby przepuścić Adelheidę, a ona podążyła przez salę z Theophanu po prawicy i dwiema służącymi, niosącymi to, co przetrwało z królewskiego skarbcza, po lewicy. Rosvita i reszta kleryków podążali tuż za nimi, a dalej szli szlachcice. Kapitan Fulk i jego ludzie zostali na zewnątrz.

Ujrzała go pierwsza, siedzącego na tronie i cierpliwie słuchającego grupy interesantów. Jego zaufana Orlica stała za nim, od czasu do czasu pochylając się i szepcząc mu do ucha. Wydawał się pogrążony w myślach, nieco oddalony od skarg i próśb wnoszonych pod jego rozwagę. Na twarzy miał zmarszczki, których wcześniej nie było, wyglądał na zmęczonego, wyczerpanego i zniechęconego.

Nadal mogła płakać i uczyniła to. W tej chwili zrozumiała uczucia wygnańca, który wreszcie wrócił do domu. Czy dworzanie się nim nie zajmowali? Dlaczego jest w tak oplakany stan?

Hathui natychmiast ich ujrzela i zwróciła uwagę króla, szepcząc mu szybko do ucha.

Wstał zaskoczony.

Interesanci cofnęli się niczym woda rozstępująca się przed dziobem dumnego statku. Adelheida miała na sobie bogatą suknię, która całkiem dobrze zniosła ich podróż, pierścienie i naszyjniki przystające jej pozycji, czarne włosy, które rozplotły się częściowo i spływały jej na ramiona, obramowując śliczną twarz, ale przede wszystkim emanowała z niej młodość, wewnętrzna siła, determinacja i entuzjazm.

Henryk zrobił krok w przód. Był oszołomiony, jak bywają oszołomieni młodzi chłopcy, kiedy po raz pierwszy uśmiechnie się do nich piękna kobieta. Ale był królem prawie dwadzieścia lat, potrafił się opanować.

--Doszły mnie słuchy, że widziano wasz oddział -- powiedział. -- Ale nie spodziewałem się ujrzeć was tak szybko. Córko -- wyciągnął dłoń, przyciągając do siebie Theophanu i pozwolił jej ucałować się w policzki. -- Przynieście krzesła -- nakazał służącym. -- Jedno po mojej lewicy. -- Dał znak Theophanu, żeby na nim zasiadła, ale najwyraźniej trudno mu było oderwać wzrok od Adelheidy. -- I jedno po prawicy.

--Królu Henryku -- rzekła ona na powitanie. -- Nareszcie.

--Królowo Adelheido. Witajcie w mym królestwie. Proszę, zasiądźcie obok mnie i odpocznijcie.

Adelheida nakazała służącym otworzyć skrzynki, które nieśli.

--Jednakże po tak desperackiej podróży nie spocznę, dopóki nie poznam waszych zamiarów. Spójrzcie, co przywiozłam. -- Jej głos z łatwością niósł się po sali. Otwarto wieka, naoliwione zawiasy skrzypnęły. Służąca uklękła i zdjęła płótno z przedmiotów ukrytych w pierwszej skrzyni: dwóch koron z polerowanego złota, wysadzanych rubinami. -- To korony królowej i króla Aosty -- ciągnęła -- które ocaliłam z rąk Jana Twardogłowego. Mam ze sobą wszystko to, co zdołałam ocalić: listę trybutów, królewskie insygnia, pieczęcie, berło, królewski puchar dynastii Adelinów oraz szatę błogosławionego Daisana, która od stu lat znajduje się w naszym skarbcu. Przywiozłam wam te rzeczy, boście już zapewne słyszeli, że zostałam zrzucona z tronu przez człowieka, który nie jest go wart. Potrzebuję twojej pomocy, Henryku.

Urwała, aby rozejrzeć się po sali, jakby oceniała swych słuchaczy, sprawdzała ich wartość. Ostatni z grzebieni spinających jej włosy, już rozluźnionych, wysunął się i upadł na podłogę, pukle zaś rozsypały się zmysłową kaskadą. Służący zgął się, by podnieść grzebień, ale Henryk dosięgnął go pierwszy, podniósł i z nagłym zaskakującym uśmiechem wręczył go Adelheidzie, jakby był to cenny klejnot, a nie zwykły grzebień z kości słoniowej.

Ich dłonie się zetknęły.

Tylko Rosvita i służące stojące wystarczająco blisko usłyszały ochryply szept Adelheidy.

--Jesteś taki, jak oczekiwałam.

O Pani! Jakież mężczyzna odporny był na wdzięki młodej, pełnej pasji i urodziwej kobiety, która w dodatku posiadała korony królestwa, którego od tak dawna pożądał? Nie Henryk.

Zapomniany grzebień upadł na podłogę, a on mocno ścisnął jej dłonie.

--Chodź -- rzekł i możliwe, że jego głos zadrżał lekko. -- Usiądź przy mnie.

Tym razem Adelheida się nie wahała. Usiadła obok niego na krześle tylko trochę mniej ozdobnym niż jego tron; Theophanu również usiadła, po lewicy. Henryk ujrzał Rosvitę i skinął na nią.

--Siostrze Rosvito! Moja najcenniejsza doradczyni! -- Ścisnął jej dłonie, gdy przed nim uklękła. Jak zwykle siła jego aprobaty oszołomiła ją. Czy to możliwe, że tyle miesięcy przetrwała bez niej? Dopiero teraz, po tak długiej rozłące, uświadomiła sobie, jak bardzo go kochała. -- Wiedziałem, że jeśli powierzę ci to zadanie, wypełnisz je. Przywiozłaś mi wielki skarb.

--Wasza Królewska Mość -- rzekła, nie mogąc znaleźć słów.

Ale odebrała dobre wykształcenie, znała dwór i wiedziała, jakich pułapek i zapadni unikać. Theophanu nadal siedziała tak sztywno, że mogła zdawać się królową ze starożytnego fresku. Rosvita wiedziała, kiedy zachować ostrożność, a kiedy być szczerą. Wykorzystała podnoszenie upuszczonego grzebienia, by zyskać kilka chwil na znalezienie właściwych słów. Nie był to w końcu zwykły grzebień, ale odpowiedni dla królowej: wysadzany perłami i małymi opalami, rzeźbiony, w kształcie lamparta. Kiedy się wyprostowała, trzymając go w dłoni, przemówiła:

--Tak naprawdę, Wasza Królewska Mość, to waszej córce, księżniczce Theophanu, zawdzięczamy powodzenie tej misji.

--Nie, nie mów tak! -- krzyknęła Adelheida. -- Moja kuzynka Theophanu była dobrą

towarzyszką w chwilach załamania, ale to mądrość siostry Rosvity pozwoliła nam uciec.

Wszyscy jesteśmy jej wdzięczni za spokój i rozważny osąd.

Henryk się roześmiał.

--Musimy wydać ucztę na cześć tego spotkania -- powiedział i na jego gest ochmistrze wybiegli, by rozpocząć przygotowania.

Ale Adelheida leciutko zmarszczyła brwi i pochyliła się ku niemu tak, żeby ich ramiona się zetknęły. Pachniała delikatnymi perfumami, esencją różaną, wydestylowaną w jakimś zalanym słońcem ogrodzie Aosty.

--Dlaczego nie ucztę weselną? -- zapytała bezczelnie.

W sali natychmiast podniosły się szepty, gdy jej pytanie przekazywano do tyłu tym, którzy go nie usłyszeli. Był to tak świetny manewr oskrzydlający, że Rosvita nie mogła się opanować i zanim się zorientowała, usłyszała własny chichot. Henryk rzadko bywał zaskoczony tak jak teraz. Ale nie wyglądał na niezadowolonego.

--Przywożę wieści -- rzekła Theophanu, wierząc się na krześle jak ktoś, kto nie potrafi znaleźć sobie wygodnej pozycji. -- O moim bracie Sanglancie.

--Ach -- rzekł Henryk z minimalnym uśmiechem. -- O Sanglancie. -- Położył rękę na drobnej dłoni Adelheidy. Spoczywała tam lekko, lecz stanowczo, i zdawało się, że w królu zaszła jakaś zmiana, twarz mu się rozjaśniła, zmieniło spojrzenie. Rosvita знаła kiedyś linię brzegową jego ambicji, ale zalała ją Adelheida, niosąc ze sobą niewidzialny prąd, który zmienił krajobraz. -- My również słyszeliśmy wieści o Sanglancie i, jak sądzę, masz w swym orszaku osobę, która może nam wiele wyjawić.

Teraz Theophanu była zaskoczona.

--Owszem, ojciec -- odparła posłusznie.

--Doskonale -- rzekł, odczytując w jej spokojnej twarzy wahanie. -- Nie czas na to. Ale sprawa Sanglanta pozostaje. Villam i Judith wyruszyli na wschód, by ochronić swe marchie przed qumańskim zagrożeniem. Jeśli czeka nas wojna i na wschodzie, i w Aoście, musimy mieć nadzieję, że uda nam się namówić Sanglanta do powrotu. -- Ten komentarz wy wołał jedynie zmarszczki na wodzie, biorąc pod uwagę fale, jakie wcześniej zalały zgromadzonych. Henryk spojrział na Rosvitę stanowczo. -- Ale nie mogę podjąć żadnej decyzji, nie konsultując się z moją najlepszą doradczynią. Co doradzasz, siostrze? Jak mam odpowiedzieć na oświadczenia Adelheidy?

Dziwne, to Hathui, stojąca za królewskim krzesłem, uniosła podbródek, by okazać swe wsparcie lub zasugerować odpowiedź. W sali zapadła cisza, jeśli może panować w sali wypełnionej trzema czy czterema setkami ludzi, którzy pocą się i starają podejść bliżej, żeby usłyszeć to, co zaraz nastąpi.

W tej ciszy pełnej pokasywania i szurania stóp, okrzyków dochodzących z dworu i skomlenia jakiegoś biednego psa ściśniętego w tłumie, Rosvita przypomniała sobie słowa Theophanu wypowiedziane w klasztorze Świętej Ekatariny, gdy księżniczka sądziła, że Rosvita śpi: „Ale na co zda się me wysokie urodzenie, jeśli nasz pan ojciec ożeni się ponownie i spłodzi młodsze dzieci, które będzie kochał bardziej i wołał ode mnie? Dlaczego miałabym im służyć, skoro urodziłam się wcześniej? Czyż nie dlatego zbuntowały się anioły?”

Rosvita naprawdę lubiła Theophanu. Współczuła jej trudnego położenia, które Theophanu przez wszystkie te lata znosiła z godnością i spokojem. Podziwiała chłodną lojalność Theophanu

w stosunku do starszego brata, Sanglanta, i ciągle wsparcie, jakiego udzielała ojcu, nigdy się nie skarżąc.

Ale Rosvita była przede wszystkim lojalną służką Henryka -- po Bogu, oczywiście. Henryk zawsze był dla niej pierwszy, a poza tym musiała też brać pod uwagę dobro królestwa. Podeszła, by podać mu grzebień z kości słoniowej.

--Jesteście nadal młody, Wasza Królewska Mość. -- Nie potrzebowała mówić nic więcej. Podobnie jak ona, miał tylko czterdzieści trzy lata.

Uśmiechnął się promiennie i w tej chwili wyglądał pięć lat młodziej, jakby Adelheida przywiozła ze sobą czar młodości, który na niego rzuciła. Podniósł grzebień do ust, ucałował go delikatnie, a potem odwrócił dłoń Adelheidy i położył go na niej, zamykając jej palce i zaciskając je własnymi. Adelheida opadła na oparcie z krótkim, szerokim uśmiechem zadowolenia.

--Poślijcie do Angenheimu -- rzekł Henryk do służących i wszystkich zgromadzonych w sali. -- Powiedzcie im, by przygotowali ucztę weselną odpowiednią dla zaślubin królowej i króla!

6.

Zachariasz obudził się o świcie, obolały od całonocnego snu. Kansi-a-lari siedziała ze skrzyżowanymi nogami w płytkim zagłębieniu, wznosząc ręce, by powitać słońce. Śpiewała w swoim języku, a gdy skończyła, schyliła się, chcąc obmyć twarz wodą, która przez noc zebrała się w dziurze. Odwróciła się, by na niego spojrzeć, krople wody spływały po jej podbródku.

--Teraz zejdziemy -- rzekła.

--Czy znów przejdziemy po płyciźnie? -- zapytał, drżąc. Tym razem mogą nie mieć tyle szczęścia. Tym razem przyływ może nadejść, gdy będą szli po piasku, odsłonięci, i zmyć ich do morza.

Uśmiechnęła się zagadkowo i wskazała wodę, jakby sugerowała, że on też powinien obmyć twarz, przygotowując się na to, co ich czeka.

--Kosmos jest jak drewno zjedzone przez insekty. Pelen jest dziur i przejść, którymi ludzie mogą podróżować. Niektóre dziury są naturalne. Inne zbudowane dawno temu dzięki magii. Dlatego przychodzimy do churendo, pałacu spirali. Tutaj spotykają się trzy światy. Tutaj możemy zejść spiralną ścieżką i otworzą się drzwi do miejsca, w którym on jest teraz ukryty.

--Twój syn -- wymamrotał Zachariasz. Nie wyglądała na tak dojrzałą, by mieć dorosłego syna, ale nie wyglądała też młodo. Nic nie powiedziała, czekała tylko, a on podpełził wreszcie ostrożnie i zanurzył palce w sadzawce. Woda była zimna i gdy ochlapał nią twarz, kłująca, słonawa. Ale wydawała się bezpieczna.

Zachował trochę wody dla konia i pozwolił mu wypić bezcenny płyn, który trzymał w dłoniach, podczas gdy Kansi-a-lari przygotowała plecak i sakwę, wygładziła skórzaną spódnicę i ujęła oszczep. Poranek był chłodny, bez śladu zimy. Ze wszystkich stron otaczała ich mgła; nie mógł dostrzec odległego brzegu ani morza u stóp wyspy, choć słyszał jego ciągle westchnienie i pomruk.

--Czy naprawdę jest wiosna? -- zapytał. -- Czy mogliśmy przez jedną noc zawędrować tak daleko?

Spoglądała na niego w milczeniu, a potem odwiązała jedną ze wstążek przymocowanych do drzewca oszczepu tuż pod obsydianowym ostrzem i przesunęła nią węzowym ruchem po powierzchni czarnej sadzawki.

--Jesteśmy tymi... jak wy je nazywacie? Żeby poruszyć łódkę, czym się zapieracie o fale?

--Wiosłami?

--Jesteśmy wiosłami. Poruszmy fale głębokiej wody, o tak. -- Przesunęła wstążką po powierzchni w kręgu, który przecinał swój początek, stawał się kolejnym kręgiem i wracał do miejsca, w którym się zaczął. -- Mamy daleką drogę w spiralach powietrza i ziemi. -- Wstążka ociekła wodą, gdy ją podniosła. -- W pałacu spirali możesz zostawić wątpliwości, które masz w sercu. -- Pozwoliła wstążce opaść na powierzchnię sadzawki i spocząć tam, wijącej się powoli w niewidzialnym prądzie. Postukała się w pierś. -- Wrzuć tam, gdzie wątpisz, do sadzawki. Zostanie tutaj, gdy schodzisz.

Miał wiele wątpliwości, ale żadnej z nich nie mógł wziąć do rąk. A jednak czy jego babka nie powtarzała, że kwiatek wystarczy bogom za ofiarę, jeśli daje się go ze szczerego serca? Widział dziwne rzeczy. Może nastał czas, by odrzucić wątpliwości.

Sięgnął po rzemień na szyi i wyciągnął drewniany Krąg Jedności, który dawno temu wyrzeźbił dla niego ojciec. Zdjął go.

--Widziałem wiele rzeczy, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Będę podążał ścieżką prawdy, a nie ślepej tradycji. Będę miał otwarte oczy.

Wrzucił Krąg do sadzawki. Zniknął z pluskiem, a kiedy zamknęły się nad nim wody, pociągnął za sobą wstążkę i oba przedmioty zniknęły. Sadzawka znów była spokojna i gładka, nic nie widział pod powierzchnią.

--Chodź -- powiedziała.

Ujął wodze i podążył za nią pod łukiem. Kamienne lwice zdawały się pochylać, by go obwąchać, ich cienie ciążyły mu za plecami, jakby wyciągały swe pazurzaste łapy, ale to na pewno był tylko wybryk jego wyobraźni. Ich ścieżka skręciła ostro w prawo i zaczęli schodzić zgodnie z ruchem Słońca.

Po trzech krokach zakręciło mu się w głowie, zwątpił. Weszli zgodnie z ruchem Słońca. Ścieżka skręcała w prawo przy wejściu na taras, prawda? Wobec tego jak mogła tak samo biec w dół? Zupełnie jakby prowadziła ich w przód, nie do tyłu, jakby szli ku miejscu, które jeszcze nie istniało, a nie wracali tam, skąd przyszli.

Zaczął się trząść. Czuł się tak, jakby pelzały po nim tysiące pajaków, był tak spięty, że ledwo ruszał nogami. Wiódł go jedynie jednostajny krok konia i wyraźna linia pleców Kansi-a-lari poruszającej się przed nim. Trudno było się skupić, ale przed nimi płonęło światło tak oślepiające w swej błękitnobiałej jasności, że próbował do niego dotrzeć nawet wtedy, gdy przytrzymała jego dłoń, nawet wtedy, gdy ostro wyszeptala przekleństwo -- albo modlitwę.

--Babko! -- krzyknął, zataczając się ku światłu.

Kobieta Aoi krzyknęła. Szarpnęła go w tył, gdy brama rozgorzała i rozwinęły się jasne skrzydła ze światła, tak bezlitosne w swej jasności, że twarz go zapiekła jak przypalona żywym ogniem. Płomieniste ramię wysunęło się ku niemu, by pociągnąć go przez oślepiającą bramę albo wydostać się na zewnątrz. Krzyknął i rzucił się w bok, a Kansi-a-lari chwyciła go i odciągnęła w bezpieczne miejsce.

Krzyczał, a potem biegł i dyszał, wreszcie upadł. Klęczał tam, wbijając kolana w żwir, a koń obwąchiwał jego plecy. Czuł spalony materiał i piekące poparzenia na policzkach i plecach.

--Chodź -- powiedziała i usłyszał w jej głosie lęk, choć zdawała się nigdy nie lękać. -- Zaslony się przecierają. Musimy iść dalej.

Nielatwo było ruszyć za nią i choć płonąca brama zniknęła za zakrętem korytarza, bał się zostać. A jeśli za nim podążą? Jeśli znów go dotkną i obrócą w popiół? Ona szła równym krokiem, nie przystając, nie wątpiąc, wrzuciła wszystkie wątpliwości do sadzawki i rzeczywiście je tam zostawiła. A on?

--Jasna Łowczyni -- wyszeptał, wspierając się na końskich wodzach. Koń podążał spokojnie obok, niecierpliwie strzygąc uchem. -- Daj mi siłę. W imię mej babki, użyj mi odrobiny swej mocy. -- Czy to wiatr, czy oddech Księżycy? Był dzień czy noc? Chłodny wiatr dmuchnął mu w kark i ból zelżał. Ścieżka opadała w dół.

Była tak daleko przed nim, że kiedy ją zobaczył za zakrętem, odchodziła już od malachitowej bramy. Czy się tam zatrzymała? Czy znów rozmawiała z głosem, który nazwał ją kuzynką? Teraz był odważniejszy. Czy on też nie odrzucił swych wątpliwości? Starzy bogowie ochronią go lub nie, a ona nigdy nie ostrzegła go przed bramą, której pasma zieleni w wielu odcieniach przypominały mu trawiaste wiosenne miedze przecinające pola obsiane przez jego ludzi, w kraju, gdzie się urodził.

Zatrzymał się przed malachitową bramą, by złapać oddech, i przycisnął dłoń do chłodnego błyszczącego kamienia.

Przez niebiosa biegnie złoto-srebrna wstęga, zwijająca się w sferach, aż nie odróżnia jednej jej strony od drugiej, a może ona nie ma dwóch stron, tylko jedną nieskończoną błyszczącą powierzchnię, wiecznie martwą, wiecznie żywą. Opływa go kosmos, wielkie pęczniejące chmury czarnego pyłu, jasne stada gwiazd tak błyszczących, że mogą być jedynie miejscem narodzin aniołów, olbrzymie powierzchnie nicości tak dojmującej, że czuje, jak u jego stóp rozwiera się otchłań, wielkie spiralne koło gwiazd obracających się w potężnej ciszy, która może być przyszłością lub przeszłością albo jedynie modlitwą bogów. Ale planety, Słońce i Księżyc wciąż podążają swym nieskończonym biegiem, słyszy słodką melodię obracających się niebios i wyciąga dłoń, by ich dotknąć, bo są takie piękne. Ale jego dłoń nie przedostaje się przez bramę. Zielony kamień przygasa i blednie, a on widzi na złotosrebrnej drodze przez niebiosa kształt wyspy, której wielkości nie potrafi ocenić; może być mała jak jego dłoń albo wielka jak Ziemia, ponieważ kosmos nie ma granic, które potrafi pojąć, nie umie więc zmierzyć wielkości tej wyspy.

Widzi ją daleko, a potem, nagle, blisko, jakby przez chwilę był aniołem, który może lecieć wśród kłębiących się niebios. To sucha ziemia, zieleń zmienia się w brąz, w pył. Nie ma deszczu. Zwierzęta umierają. Kukurydza już nie rośnie.

Nie ma dzieci.

Koń go szturchnął, a Zachariasz stracił równowagę i zrobił krok w bok, odejmując rękę od kamienia. Wizja zniknęła. Stał sam na ścieżce otoczonej z obu stron wysokimi marmurowymi ścianami. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny, a jednak samotność przyniosła pewną wolność. Z własnej woli wyrzekł się przeszłości, wrzucił ją do głębokiej sadzawki śmiertelności, gdzie czas wszystko pochłania. Gdyby zechciał, mógłby tu stać przez wieczność i obrócić się w pył, po którym przeszłaby kiedyś inna para stóp. Ale pałac spirali dotykał wszystkich trzech światów: powyżej, poniżej i pośrodku, więc on też ich dotknął. Odrzucił wątpliwości. Mógł iść dalej bez lęku.

--Chodź, przyjacielu -- powiedział do konia, ciągnąc za uzdę. Zwierzę ruszyło za nim, gdy podążył w dół, śladami Kansi-a-lari, choć już dawno stracił ją z oczu.

Kiedy doszedł do piątej bramy, o jaśniejącym i niebezpiecznym blasku delikatnego fioletu, nie wahał się; przeszedł obok, nie spoglądając. Ostrzegła go wcześniej, a on zignorował jej ostrzeżenia i został zaatakowany; nie był aż takim głupcem, by ignorować je ponownie.

Choć szedł równym krokiem, a plecy już go nie bolały, nie widział jej, gdy doszedł do piątej bramy. Bogata bursztynowa powierzchnia przyzywała go jak słowami. Nie mógł się jej oprzeć, pogładził wypolerowaną bramę, niemal oleistą pod jego dotykiem. Zobaczył.

Chłopiec u progu męskości leży we śnie w jaskini pełnej skarbów, otoczony szczęścioma śpiącymi towarzyszami. Ale w ciemności jaskini coś drży i nabrzmiewa niczym budząca się złowroga bestia.

Poszedł dalej, nie chcąc widzieć więcej. Koń go pociągnął, znudzony bezruchem -- albo wyczuł świeżą wodę. Ściany otworzyły się przed nimi i jakby nieskończoność trwała jedynie mgnienie, ujrzał ją na ścieżce tam, gdzie w bladych wysokich ścianach były lazurowe wrota.

Stała, wahając się, z wyciągniętą dłonią trzymaną na szerokość palca od niebieskiego, bladego kamienia. Podeszedł do niej, choć ona nie powiedziała ani słowa i zdawała się nie zauważać jego obecności. Za bramą pod zachmurzonym niebem gotowało się i pienilo morze,

szarpane sztormem. Piana opadała na kamienne ściany, a przez biały pył, niskie chmury i szalejące morze nie mógł dostrzec brzegu.

--Kto tu jest? -- zapytała i położyła dłoń na bladoniebieskim kamieniu; przycisnął swoją obok.

Przed pięknym drewnianym dworem powiewają proporce. Szeregi młodzieńców czekają niecierpliwie, rozmawiając, podrzucając oszczepy, giermkowie zaś chodzą wśród koni, dociągając popręgi i po raz ostatni sprawdzając podkowy. Na kilka wozów nadal ładowany jest królewski skarb: płaszcze i strojne szaty, cienkie sztabki złota i srebra owinięte w płótno, żelazne skrzynki pełne wybitych monet, złote i srebrne talerze i naczynia godne króla, namioty uszyte z ciężkiego, bogatego materiału w głębszym kolorze purpury niż kwiaty. Skrzynię pełną regaliów i koron. Kiedy słońce zachodzi, wstaje księżyc w pełni. Za dworem rośnie wysoka trawa, a drzewa są okryte gęstym listowiem.

Otwierają się wrota dworu i wychodzi król, prowadząc piękną kobietę o połowę od siebie młodszą, zachowującą się jak królowa. Śmieje się, zachwycony, z czegoś, co ona mówi. Dworzanie kręcą się wokół nich niczym prądy morskie, przychodząc i odchodząc. Służąca podnosi płaszcz utkany ze zwykłej szarej przędzy i zarzuca go sobie na ramiona, a jego uwagę przyciąga Orła odznaka na jej ramieniu. To jego siostra i gdy płaszcz wiruje, układając się na jej ciele, ten ruch wrzuca go

w szarą wodę chlapiącą o burty długiej smukłej łodzi. Pływa w słonej morskiej wodzie, wokół niego wystają głowy tak nieludzkie, że wzdryga się, odpływając. Mają węgore zamiast włosów i dziwne nosy, otwory do oddychania i złowieszczą szczerzą zęby. Ale gdy się odwraca i nurkuje, uderzając ogonem o powierzchnię, zdaje sobie sprawę, że jest jednym z nich, płynącym za statkiem ku nie znanemu celowi. Niebo jest ciemne, nie ma gwiazd znaczących kurs. Na dziobie pierwszego statku zapala się lampa, sygnał zostaje powtórzony na odległym, niewidocznym brzegu

a on patrzy jak jeździec, któremu towarzyszy trzech ludzi z pochodniami, zsiada z konia przed dużym namiotem z białego płótna. Pochodnie plużą i syczą na deszczu. Deszcz moczy ziemię, trawa skrzypi pod stopami posłańca, który zdejmując czapkę, luźną i spiczasto zakończoną, nim wejdzie pod płótno rozpięte u wejścia do namiotu. Stoi tam wysoki brązowy trójnóg. Na nim kula z nieprzejrzystego szkła, a w nim przytłumionym światłem, płonie świeca. Po chwili z namiotu wychodzi przysadzisty mężczyzna, wiążąc w pasie workowate spodnie.

Posłaniec klęka.

--Księżę panie. Duży oddział pod dowództwem księcia Bulkezu zaatakował garnizon w Matthiamburgu i odniósł zwycięstwo. Była rzeź. Lord Rudolf z Varingii i jego towarzysze polegli lub zostali wzięci do niewoli. Rederyjscy zwiadowcy donoszą, że co najmniej dziesięć ich bezgłowych ciał zostało wystawionych na pikach przed obozem Qumanów.

--Skąd wiecie, że to ciała Rodulfa i jego towarzyszy? -- pyta księżę. Daje znak jednemu ze służących, ten podaje mu puchar wina.

--Poznaliśmy po zbroi i broni, księżę.

Pije wino, zastanawiając się. Ma mocno umięśnione ramiona i nieco tłuszczu w talii. Zasłona w wejściu do namiotu drży, wygląda zza niej niewysoka, czarnowłosa kobieta. Odziana jest jedynie w cudownie wyszywany koc, którym się owinęła.

--Jakie wieści? -- pyta.

--Qumanowie ruszyli. -- Spluwa nagle, na dywanie pojawia się jasnoczerwona plama. -- Znów musimy się wycofać. Nie możemy się wdawać w bitwę z oddziałami, jakie mamy. Musimy mieć posiłki od twojego ojca!

--Żadnych wieści od margrabiny Judith? -- pyta. -- Qumanowie niedługo wjadą na jej terytorium.

--Ani słowa -- odpowiada miękko. -- Ale musimy jechać na północ wzdłuż Odry. Nadzieja, że tam spotkamy się z oddziałami. Wtedy możemy atakować.

Kobieta wstępuje w krąg miękkiego światła. Koc, który tak ściska, błyszczy, złota nić znaczy antylopy i skaczące lwy nie większe od jej dłoni. Ona też ma umięśnione ramiona, kusząco białe; książkę pieśzcotliwie kładzie na jednym ręce. Wiatr porusza ścianą namiotu. Dzwoneczki przyszyte do krawędzi przedsionka dzwonią setkami cichych, zmiennych głosików.

Zadzwończyły dzwoneczki i Zachariasz odskoczył, zataczając się lekko i łapiąc równowagę.

--Nadchodzi prąd -- powiedziała. Znów potrząsnęła oszczepem, a zaśpiew dzwoneczków poniósł się echem w wąskim korytarzu. Wysokie kamienne ściany zdawały się śpiewać w odpowiedzi, ale gdy dźwięk ucichł, ona ruszyła dalej, spiralą coraz bardziej stromą; na ścieżce pojawiały się małe stopnie.

Otrząsnął się z bezruchu i podążył za nią, ale wydawało się, że jest już daleko na przodzie, oddalona o tysiąc lig substancji tak mętnej jak szklana kula, która kryła pojedynczą płonącą świecę. Niebo zasłaniała mgła, a pozycję słońca określał jedynie po białawym blasku w górze.

Następne wrota lśniły żelaziście, niczym mgła kłębiąca się u szczytu ścian. Za nimi rozciągała się mgła tak gęsta, że mogła równie dobrze być stadem owiec zasłaniających ziemię i morze. Dziwne, widział w górze kilka gwiazd i ćwiartkę księżyca, wyglądającą zza chmur.

Nagle poczuł silne zmęczenie i pragnienie. Oparł się o ścianę, zbierając siły, nie chcąc oglądać kolejnych wizji, ale jego palce i tak prześlizgnęły się po ścianie, dotknął żelaznej bramy i spojrział przez nią.

Na krześle rzeźbionym w guivre'y siedzi kobieta. Na szyi nosi złoty torkwes królewskiego rodu, na czole diadem. Ma włosy przetykane srebrem i twarz poznaczoną zmarszczkami dawnych gniewów i frustracji. Przed nią klęczy, wyglądająca jak dziewczynka, młoda kobieta! Drży. Odziana jest jedynie w halkę z płótna tak cienkiego, że widać przez nie zarys jej ciała. Jest bardzo chuda.

--Konstancja wyjechała na objazd swego księstwa -- mówi siedząca kobieta tonem równie żelaznym jak błyszczące wrota. -- Mogłaś jechać z nią, ale wolałaś pozostać ze mną.

--Obiecała mi... -- lka klęcząca.

--Ja nie składałam ci żadnych obietnic. Mam swych sprzymierzeńców, a oni mają swą cenę. Odrzuciłaś jednego męża, Tallio. Teraz zrobisz, jak ci każę. Skończmy z tym. -- Wstaje z krzesła. -- Gerhard -- woła do jednego ze strażników. -- Przejdę się teraz po ogrodzie. Wpuść naszego gościa.

Strażnicy cofają się, by wpuścić mężczyznę. Wchodzi do komnaty z siłą taranu. Nie jest szczególnie wysoki, ale jego szerokie ramiona i lekko kaczy chód sugerują, że stoczył wiele bitew i przejechał długą drogę, by się tu dostać.

--Diuku Konradzie -- mówi srebrnowłosa kobieta, witając go skinieniem głowy. -- Dotrzymałam warunków naszej umowy. -- Wskazuje szlochającą kobietę, która złożyła dłonie w modlitwie. -- Trochę ją oczyściłam, ale nie wyobrażam sobie, jak jakkolwiek mężczyzna mógłby

ją uznać za pociągającą. -- Nie czekając na odpowiedź, może nawet uznając całą transakcję za obrzydliwą, kobieta wychodzi z komnaty.

Młoda kobieta na kolanach dotarła do ozdobnego ołtarza, ustawionego pod jedną ze ścian, i oparła na nim złożone ręce.

--Błagam cię, kuzynie. -- Jej chude ciało kołysze się, gdy jęczy. -- Zaprzysięgłam się na służbę Bogu jako czyste naczynie, oblubienica błogosławionego Daisana Odkupiciela, który siedzi w Niebiosach na tronie obok swej Matki, Tej, Która jest Bogiem, Miłosierdziem i Sądem, Tej, Która dała życie Świętemu Słowu. Błagam, nie kalaj mnie tu na Ziemi dla zwykłej ziemskiej korzyści.

Kiedy ona mówi, on obchodzi ją powoli, jak spragniony człowiek, który widząc wyjątkowo brudną kałużę błota, musi się zdecydować, czy pić z niej, czy nie.

--Skończyłaś? -- pyta, kiedy ona milknie, gapiąc się na niego wielkimi oczami, w których więcej pustki niż blasku.

Rzuca się twarzą na podłogę.

--Jestem na twojej łasce -- krzyczy, wciskając twarz w dywan. -- Czy zamierzasz zbrukać to, co zostało uświęcone boskim dotykiem?

--O Boże -- mówi, pełen niesmaku. Kładzie się na nim dziwny cień, pewnie gra światła albo jego cera jest znacznie ciemniejsza niż większości Wendarczyków. Stojąc nad trzęsącym się ciałem, przygląda się mu ze zmarszczonym czołem, nie pasującym do jego energicznego zachowania. -- Gdyby tylko moja droga Eadgifu nie umarła -- mówi, gdy dziewczyna szlocha u jego stóp. -- To była prawdziwa kobieta. Wszystko bym dał, żeby jeszcze raz z nią zlegnąć!

--Żądza jest służką Nieprzyjaciela -- szlocha kobieta.

--Proszę -- odparowuje. -- Proszę, nie łudź się, lady Tallio, że wzbudzasz we mnie choć odrobinę żądy. Pożądaj twego rodowodu, a nie ciała. Potomkini tronu Wendaru i Varre, a tak marnie się prezentuje! Szkoda że nie mogę wrócić życia mojej Eadgifu. Ale Bóg oznajmili swoją wolę i weźmiemy ślub.

--Czy błogosławiony Daisan nie zachęcał nas, byśmy oczyścili się ze znamienia ciemności, które nas kala na Ziemi?

--Owszem. -- Śmieje się, ale nie jest rozbawiony. -- Sądzę, że nauczał, iż droga do oczyszczenia wiedzie poprzez poczęcie i narodziny.

--Nie! -- krzyczy kobieta, gdy mężczyzna kłeka przy niej i kładzie dłoń na jej boku, odwracając ją. Ucieka z jego zasięgu. -- To kłamstwo. Mylisz się, wierząc w błędy. -- Opiera się, dysząc, o ciężkie krzesło, na którym wcześniej siedziała starsza kobieta. Otwiera dłonie, jakby chciała pokazać jakiś znak, ale widać tylko wnętrza dłoni poznaczone przez ropę i pęcherze. -- Nie wiesz o poświęceniu i odkupieniu błogosławionego Daisana? Nie jestem więcej warta niż inne naczynie, a jednak Bóg mnie wybrała...

--Nie, twoja matka i ja cię wybraliśmy. Dobry Boże. Każ, żeby służący porządnie umyli ci ręce, gdy skończymy. Dobrze. Miejmy to już za sobą. -- Łapie ją pod ramię i ciągnie ku zastłanemu łożu. -- O Pani! Śmierdzisz jak skisłe mleko. Czy ty się nigdy nie myjesz? -- Sadza ją na łożu, dość delikatnie, ale ona opada na materac i leży tam bezwładnie, gdy on zaczyna się rozbierać, szybko, bez czułych słówek i namiętnych spojrzeń. -- Muszę cię zapłodnić, więc to zrobię.

Kiedy jest już niemal nagi, ona zaczyna gwałtownie szlochać. Zrywa się z łóżka, próbując

się gdzieś ukryć, ale rzecz jasna nie ma gdzie. Biegnie do drzwi i wali w nie, ale jej kościste pięści nie wywołują żadnych dźwięków, a ciężkie odrzwia są zabarykadowane. Nie ma odpowiedzi.

Zachariasz się cofnął. Nie mógł już tego znieść. To było zbyt okrutne.

--To nie jest ceremonia zaślubin, jaką pamiętam -- powiedziała Kansi-a-lari z chłodną pogardą, a gdy on odruchowo wycierał dłoń w szatę, zorientował się, że nadal obserwowała scenę widoczną przez wrota, mrużąc oczy, potem otwierając je szeroko; jej usta rozchyliły się w westchnieniu, gdy się cofnęła. Potem zachichotała.

--Nie, nie tak to pamiętam. Może przez lata ludzie się zmienili. Robią sobie tyle krzywdy. -- Wzdrygnęła się, jakby pająk powędrował jej po krzyżu albo palec Nieprzyjaciela spoczął na karku. -- Chodźmy. Teraz się martwię. Teraz wiem, że nie porzuciłam wszystkich wątpliwości. Dlaczego ukryli mego syna?

Trudno było znów ruszyć. Czuł, jakby szli przez wielką kałużę błota. Chwilę później brał dwa oddechy na jeden krok, potem trzy, potem cztery. Tylko koń zdawał się nieporuszony, nawet trochę zniecierpliwiony.

Złapał rytm -- krok, oddech, oddech, oddech, oddech, krok, oddech, oddech, oddech, oddech, oddech -- i nie zatrzymałby się, gdy droga zakręciła i odsłoniła drugie wrota, jasnoróżowe z bladymi literami i niezrozumiałymi znakami. Ale ona się zatrzymała. Oczy jej zabłysły, gdy położyła dłoń na kamieniu. On najpierw ujrzał spokojne morze pod nimi i, o cudzie, odległy brzeg, czysty i jasny pod nocnym niebem. Gwiazdy lśniły. Nie było księżyca.

A potem, ponieważ ledwie mógł ustać, on też się oparł o wrota. Blady kamień ogrzał mu skórę.

Czuje płonący tatarak, a gdy jego oczy przyzwyczajają się do ciemności, widzi dwie postaci stojące w ciemności na zboczu wzgórza ukoronowanego kamieniami. Jedna trzyma ciasno zwinięty pęczek ziół, który dymi. Jego ramiona są dziwnie przygarbione, w jednej dłoni trzyma miecz. Za nim, czekając cierpliwie, stoi cichy, mocny koń bojowy, przerzucone luźno przez jego szyję wodze opadają na ziemię. Do siodła przypięta jest tarcza. Linka przywiązana do siodła szarpie się i napina, chwilę później widzi kozę, bezustannie szarpiącą konia, który nawet nie drgnie.

Druga postać, uzbrojona w krótki miecz i łuk, klęczy i drzewcem strzały zaczyna kreślić diagram na piasku. Drzewce nie mają ani ostrza, ani opierzenia, ale do jednego końca przymocowane jest złote pióro, lśniące słabym światłem. Postać wstaje, mierząc drzewcem wschodni horyzont, który, dziwne, znajduje się ponad nią. Po zaokrągleniach ciała pod tuniką poznaje, że to kobieta, wysoka, ale nie tak wysoka jak jej towarzysz, który sądząc po szerokości zdeformowanych ramion, musi być mężczyzną. Ale jest zbyt ciemno, by ujrzeć twarze i ich wyraz.

Drzewa zaczynają się kołysać. Liście trzepoczą na zrywającym się wietrze.

Tam, gdzie powstaje wybrzuszenie, pojawia się jasna żółtawa gwiazda. Kobieta śpiewa i drzewcem z przywiązanym piórem zdaje się ściągać światło, aż płącze się ono w kamiennym kręgu, tkając w nim wzór ze słabego blasku podobny znakom zapisanym na wrotach przed nim. Używa drzewca jak czółenka tkackiego, wpatrując się w poświatę gwiazdy wieczornej, zachodzącej za wysokie wzgórza dokładnie naprzeciwko żółtej. To światło również ściąga do kamieni, tam gdzie się one spotykają, jedno złowrogo żółtawe, drugie jasne jak spojrzenie anioła, aż pomiędzy stojącymi kamieniami formuje się cienki portal.

--Szybko -- mówi do swego towarzysza, który wolną ręką chwyta końskie wodze. Jego płaszcz otwiera się, ukazując pod spodem dobrą, mocną zbroję. Dziecko zaczyna płakać. Jego ramiona drżą i podskakują, wynurza się małe ramię, aby ściągnąć narzucony na siebie płaszcz; mężczyzna niesie dziecko, przypięte do pleców w miejsce długiego miecza. Koza beczy, szarpiąc linkę, jakby ciągnął ją w tył niewidzialny prąd.

Ale prąd rzeczywiście istnieje, odciąga jego uwagę od sceny przy kamieniach, kieruje ją w ciemność do doliny poniżej, gdzie kamienna wieża wznosi się nad pięknym drewnianym dworem. Strumyczek szumi radośnie, jest cicho, zbyt cicho. W kamiennych wieży trzy postaci siedzą zatopione w głębokiej medytacji, stół przed nimi znaczą dziwne diagramy, srebrzyste światło emanuje z drewna wokół tych diagramów, róży, miecza, korony, laski i innych, których nie ma czasu odcyfrować, ponieważ prąd odciąga go ku zagrodom dla bydła za kamienną wieżą, gdzie cienie zakryły nawet światło gwiazd. Z tych cieni słyszy szept niezadowolenia.

--Jestem przeciw. To lekkomyślne zabijać go teraz, kiedy może posłużyć nam w inny sposób, jeśli tylko okazemy cierpliwość.

--Nie, siostrze. Jesteś oporna tylko dlatego, że nie pojmujesz całości. Tylko my chronimy ludzkość przed Zaginionymi. Jesteś albo z nami, albo przeciw nam, i jeśli jesteś przeciw nam, siostrze Venio, siostra Anne nakazała mi cię zabić.

--Doskonale.

Słyszy paniczne beczenie kozy i widzi, niczym echo, błysk noża. Noc niemal skrywa ohydny ofiarę: skupiona kobieta otwiera rzucającą się kozę, przytrzymywaną przez mężczyznę w szatach kleryka. Wsadza dłoń pomiędzy żebra, a krew wylewa się na jej ramię. Maca, szarpie i wyciąga wciąż bijące serce. A, co gorsza, koza nadal żyje.

--Zapał lampę -- rzuca i tak się staje. Światło lampy nadaje całej scenie wrażenie śliskiej nierealności, koza meczy słabo, a serce bije mokro w dłoni kobiety. Zaczyna śpiewać.

Wokół unosi się zapach niczym z kuźni, przeciskając się nawet przez żelazne wrota, które odcinają go od wizji. Włosy mu się jeżą na karku, dłonie swędzą, gdy niesiony na fali cieni w prądzie płynącym przez dolinę wraca ku mężczyźnie i kobiecie, i rosnącemu łukowi światła, który pojawił się w kamiennym kręgu.

Nagle wśród kamieni zapala się światło, kaskada jasności, sieć taka jak ta, którą widział wśród diagramów w wieży poniżej. Kobieta podnosi dłoń, żeby zakryć oczy, ale już jest za późno. Odkryto ich. Z ciemności wylaniają się postaci, ale on nie potrafi stwierdzić, które są cieniami, a które rzeczywiste, które są jedynie uludą, a które prawdziwymi ludzkimi ciałami. Jedna z nich przecina tkaną ze światła bramę wypolerowaną czarną laską, nici rwą się i rozwiewają w nicość, mężczyzna zaś ostrożnie cofa się o krok, opiera plecami o spokojnego konia i unosi miecz.

--Szybko -- rzekła Kansi-a-lari. Jej oddech był urywany. Na czole pojawiły się strumyczki potu. Wsunęła drzewce oszczepu między jego ciało i bramę i dopiero wtedy uświadomił sobie, że przywarł do wrót, jakby coś go przyciągnęło. Drzewce wbilo mu się między żebra, uwolniło, zatoczył się w tył.

--Szybko -- powtórzyła. Rzuciła się do biegu między wysokimi ścianami, trzymając swój łuk i nakładając na cięciwę pierwszą ze strzał z lotkami z gryfich piór, których dotknięcie niweczyło magię.

Musiał biec, by dotrzymać jej kroku. Prąd ciągnął go w tył, ale koń i jej pośpiech pomagały

mu go przewyciężyć.

Przed nimi zaśnily hebanowe wrota. Poprzez ich blask dostrzegł morze pod swymi stopami, pokryte podobnym do lodu lśnieniem. Ukląkł, zadyszany; nawet podpierając się na rękach, ledwo zdołał utrzymać się w pionie.

--Wnuku. -- Głos zatrzęsł ziemią.

Ale nie miał czasu, by jej odpowiedzieć. Kansi-a-lari przecięła już jedną ze swych dłoni i rozsmarowała krew na czarnym kamieniu. Tak samo nacięła jego dłoń, pośpiesznie, nieuważnie. Gdy przesuwiał krwawiącą ręką po kamieniu, dźgnęła konia w łopatkę i rozsmarowała jego krew, ciemne plamy wnikały w podobną do obsydianowej powierzchnię. Pocąc się, warcząc z desperacji i gniewu, położyła obie dłonie na hebanowych wrotach. Wypowiedziała słowo.

Wrota otwarły się bezszelestnie. Ich stopy pochłonęła woda, przestąpił próg, podążając za nią wprost w paszczę burzy.

Rozdział czternasty

Dźwięk ich skrzydeł

1.

Hanna miała już dość deszczu jak na jedno lato, a należała do szczęśliwców: jechała konno i nie miała bezustannie mokrych stóp. W przeciwieństwie do połowy Lwów nie złapała grzybicy. W lesie na ziemi błyszczła stojąca woda, sadzawki, w których wylęgały się komary tak liczne i dokuczliwe, że wszyscy bezustannie się drapali. Nękały ich pająki. Hełm zostawiony na ziemi natychmiast napełniał się tymi wstrętnymi stworzeniami; z sufitów rozstawionych namiotów przez całe noce spadały pająki. Z nastaniem Aogoste pozbyli się większości kurew i żebraków.

W fortecy Machteburg dopadła ich dyzenteria. Pani Fortuna nadal była z nimi; umarł tylko jeden Lew, ale zaraza zdziesiątkowała biedaków i pochowali przy drodze co najmniej dwunastu służących kawalerii. Stracili dziesięć dni, zanim kapitan Thiadbold i lord Dietrich stwierdzili, że są gotowi do dalszego marszu. Przeprawili się przez Odrę na barkach, po czym ruszyli trawiastym traktem na wschód. Za nimi podążało dwunastu upartych żebraków, ciągnących między sobą dwa wózki. Hanna nie rozumiała, dlaczego szli za Lwami na pustkowie, gdzie czekała ich jedynie wojna. Ale być może ta dwunastka nie miała ani dokąd wracać, ani dokąd pójść.

Wciąż padało.

Trzy potwornie wolne dni marszu później, wczesnym popołudniem mokrego letniego dnia doszli do wioski złożonej z dziesięciu długich domów i tuzina szałasów i bud. Wioska, otoczona wewnętrzną palisadą i fosą, leżała na skrzyżowaniu dróg i powodziło jej się tak dobrze, że mogła pochwalić się małym kościółkiem wzniesionym tuż za wewnętrzną fosą. Druga fosa otaczała ogrody, pola i pół tuzina zagród, pracowało tam sporo ludzi. Ale gdy tylko ujrzeli zbliżających się zbrojnych, zostawili narzędzia i rzucili się ku schronieniu za palisadą, mimo że wszyscy widzieli wendarski sztandar, który oznaczał, iż była to armia samego króla Henryka.

Thiadbold zatrzymał swe Lwy przez zewnętrzną fosą i wysłał Hannę z dwunastoosobową eskortą. Kawaleria chętnie rozproszyła się po łąkach, by konie mogły się paść.

Gdy się zbliżyli, brama nadal była zamknięta.

--Nie, nie możecie wejść -- powiedział młody chłopak trzymający straż, spoglądając na nich z wysokości drewnianej wieży. -- Proszę, mieliśmy już dosyć kłopotów. Mam rozkaz, by nie wpuszczać żadnych zbrojnych. -- Mówił po wendarsku z akcentem, sepleniąc przy „t” i „p”. -- Ale Orzeł z wieściami może wejść.

Był z nią Ingo.

--Oni sami są jak bandyci -- warknął. -- Nie wiem, czy możemy im ufać.

--Nie, pójdę -- powiedziała Hanna. -- Oni są tylko ostrożni. Dlaczego miałiby mnie skrzywdzić, skoro na zewnątrz czeka dwieście Lwów i trzydziestu jezdnych?

Ingo i reszta cofnęli się, otwarto furtkę i Hanna weszła do wioski. Śmierdziało, bo większość bydła znajdowała się w środku. Widziała kilka ogrodów i wiele brudnych dzieci. Strumyk zamulony letnimi deszczami albo ściekami płynął w wąskim kanale wzmocnionym kamieniami. Pośrodku wioski była studnia; para młodych wieśniaków, chłopak i dziewczyna, stała na straży kamiennej budowli, nadzorując wyciąganie wiader. Pojawiło się dziecko, otarło ciekący nos i skinęło na nią. Podążyła za nim do domu położonego najbliżej studni. Czekalo na nią trzech mężczyzn i trzy kobiety, siedząc przy wielkim stole, poznaczonym cięciami noża i przypaleniami. Stół miał jedną nową nogę, jaśniejszą od innych. Powitali ją grzecznie. Kiedy

usiadła, dziewczyna odziana w zadziwiająco czystą lnianą suknię przyniosła jej dobrego, mocnego miodu.

--Nie chcieliśmy was obrazić, zamykając bramę -- powiedziała kobieta z bliźniami, najwyraźniej przewodnicząca radzie. Bliźny, dwa cięcia na podbródku, wyglądały na świeże. -- Nie, żebyśmy nie ufali wojskowemu królowi, wiecie, ale ostatnio mieliśmy kłopoty ze zbrojnymi bandami. Lepiej być ostrożnym. Idzie wojna, mówią. -- Członkowie rady przytaknęli. Dziewczyna przyniosła nowy dzban miodu i napełniła kubki wszystkich przy stole.

--Jakie zbrojne bandy? -- zapytała Hanna. Nie знаła pewnych słów używanych przez kobietę, jej akcent był trochę dziwny, ale gdy Hanna przywykła już do seplenienia, zrozumienie było łatwiejsze. -- Bandyty? Barbarzyńcy?

--Prawda, mamy sąsiadów Salawów, ale nie oni mnie kłopotują. Cztery dni temu grupa dzikich młodzieńców przyjechała z zachodu, twierdząc, że są szlachtą z Saony. Były kłopoty i to poważne. Zrobili trzem dziewczynom z miasteczka to, co się nie godzi, wybaczcie, Orle, a jednego naszego zakłuli nożami. Ale Pani Fortuna się do nas uśmiechnęła. Kiedy sprawy miały się źle, przyjechała margrabina Judith z oddziałem, takim dużym jak wasz albo i większym, bo miała więcej koni i jeźdźców. Odprawiła bandytów ostrymi słowami! -- Zgromadzeni przy stole pokiwali głowami, wspominając zajście. -- Ale krzywda się dokonała. Biedna młoda Hilda powiesiła się na starym dębie dwie noce temu i są tacy, co go chcą ściąć, przez złe duchy. To miejsce, gdzie nasze babki zostawiały ofiary Grubasce... -- Na ostry gest jednego z towarzyszy uśmiechnęła się nerwowo i nakazała służącej przynieść chleb. -- Ale to nie wasza sprawa, Orle.

--Oczywiście że to moja sprawa -- rzekła Hanna. -- Jeśli nękają was bandyci albo nawet synowie szlachcianek, król Henryk będzie chciał się o tym dowiedzieć.

--Co możemy zrobić? -- zapytał gorzko jeden z mężczyzn. -- Przywódca tych chłopaków twierdził, że jest królewskim siostrzeńcem. Co król zrobi? Jesteśmy dla niego niczym.

--To prawda, przyjacielu, że nie jesteście krewniakami króla. Ale żyjecie pod jego ochroną i jeśli pozwoli, by tacy mężczyźni, nawet jego siostrzeniec, nękali i zabierali, co im się podoba, ludziom oczekującym, że król ich ochroni, to równie dobrze mógłby rozdać swój skarb i zrzec się korony. Król nie toleruje nieposłuszeństwa nawet wśród swych siostrzeńców. Widziałam wojnę domową, przyjaciele, i wiem, że król nie zniesie zachowania, które godzi w jego autorytet. Tak jak wy nie pozwalacie dzieciom biegać na ślepo po domu, przewracać stolów i wyrzucać jabłek, by zgnily.

Kiwali głowami, pojmując mądrość tej odpowiedzi.

--Jak się nazywał przywódca tej bandy? -- Ale nie wiedzieli albo nie chcieli powiedzieć. Wciąż się bali. Chleb parował, gdy go przełamała. -- Doskonale, co z margrabiną Judith? Czy powiedziała, dokąd się udaje? Którą drogą podążała, odchodząc?

--Powiedziała, na południe i wschód -- odparła kobieta z bliźniami. -- Szła na wezwanie królewskiej córki, tak słyszeliśmy. Stąd wiemy, że idzie wojna. Były walki. Niektórzy mówią, że nadjeżdżają skrzydlaci. Rozmawialiśmy o wybudowaniu drugiej palisady. Czy to prawda, że oni odcinają ludziom głowy?

Chwilę zajęło Hannie zrozumienie, kim byli „skrzydlaci”.

--Słyszałam o tym -- odparła ostrożnie, nie chcąc ich przestraszyć. Ale jakie szanse miała ta wioska w walce z oddziałem gumańskich jeźdźców? Wybudowali mocną palisadę i porządną stromą fosę, umocnioną pikami wbitymi w dole, ale nie było ich aż tak dużo. -- Jeździłam z

księżniczką Sapientią i księciem Bayanem, jej mężem. Pokonali oddział Qumanów, ale to była jedynie czujka.

--Czy powinniśmy zostawić domy i pójść na zachód? -- zapytał mężczyzna, który już się odezwał.

--Nie, Ernuście -- odparła kobieta z bliznami. -- Jeśli odejdziemy, ci cholerni dzicy Salavowie wejdą, zabiorą nam naszą wioskę i nigdy jej nie odzyskamy!

Zaczęli spierać się z pasją, wskazującą, że klócili się na ten temat wiele razy podczas ostatnich dni. Wreszcie kobieta z bliznami zastukała kubkiem o stół i zapadła cisza. Zwróciła się do Hanny:

--Co radzisz, Orle?

Patrzyli na nią wyczekująco i pomyślała, że nigdy w życiu nie złożono na jej barkach ciężaru większego niż pytanie w ich oczach. Nie wiedziała, czy będą polegać na jej opinii, ale wypowiedziane teraz słowa mogły dla nich oznaczać życie lub śmierć.

--Qumanowie poruszają się szybko -- rzekła wreszcie. -- Jeśli złapią was na drodze, wybiją wszystkich. Deszcze były tak obfite, że drogi są w strasznym stanie. Trzy dni zajęło nam dotarcie tutaj z fortecy Machteburg, a nigdzie bliżej nie znajdziecie schronienia. Myślę, że lepiej zbudować solidną drugą palisadę nad fosą i przygotować się na oblężenie. Jeśli wasi salavscy sąsiedzi są dobrymi daisanitami, możecie spróbować się z nimi sprzymierzyć...

Ale to była opcja gorsza nawet od śmierci z rąk Qumanów. Rzeczywiście, Salavowie nawrócili się jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat temu i nie byli specjalnie dokuczliwi, nawet gdy coraz więcej wendarskich osadników zaczęło przybywać na ziemie, które kiedyś należały tylko do Salavów -- dopilnowali tego wendarscy panowie -- ale wszyscy wiedzieli, że Salavowie byli ciemni, brudni, inni. Ich córki to kurwy, a synowie to trutnie. Mówili dziwnym językiem i nawet nie zadali sobie trudu, by się nauczyć wendarskiego. Nie można im ufać. A co najgorsze, gdy kościół ustanowił wreszcie diakonisę dla tego regionu, ta założyła parafię w wiosce Salavów, a nie w świetnym małym kościółku, który wybudowali, czekając na jej nadejście, i przychodziła tylko w czwartki i soboty, by odprawiać mszę i wygłaszać kazania. To była straszna obraza.

Hanna rozumiała doskonale, że mądra diakonisa postanowiła trzymać się raczej tych z jej trzódki, którzy najłatwiej mogli zblądzić. Ale nie zamierzała powiedzieć tego tym ludziom, których dom przenikał gniew niczym kwaśny dym z paleniska.

--Błagam, przyjaciele -- zaczęła, unosząc dłonie, by ich uciszyć. -- To ciężkie czasy i musimy modlić się do Boga, by nas prowadził. Ale jeśli nie mogę wam już w niczym pomóc, musimy pomaszerować dalej, by dołączyć do oddziałów księżniczki Sapientii. Jeśli margrabina Judith też do niej dołączy, to może Qumanowie nigdy nie napadną na waszą wioskę i będziecie mogli żyć w pokoju.

--Jeśli będzie co żyć w takim deszczu -- zaczął gadatliwy Ernest. -- Tego lata mieliśmy ledwie dziesięć dni słońca...

Odległy głos rogu zagłuszył resztę jego narzekań. Przestraszona służąca upuściła dzban, który uderzył w róg stołu, pękł i klepisko zalał miód i zasypały odłamki. Wszyscy zwrócili głowy na wschód.

Hanna poderwała się już i zmierzała ku drzwiom, gdy wszyscy zaczęli mówić, wołać ją, pytać, co oznaczał róg.

--To wezwanie do broni -- powiedziała, po czym wypadła na zewnątrz i pognęła ku bramie.

--O czym oni mówią? -- Ivar osadził konia obok Baldwina, który po raz pierwszy od dwóch dni, od opuszczenia Machteburgu, jechał na honorowej pozycji przy księciu Ekkehardzie. Książę konferował właśnie z kapitanem ich nowej eskorty, dwunastu lekkich jeźdźców, którzy zgodzili się jechać aż do obozu księcia Bayana, który według raportów leżał gdzieś na wschodzie.

--Sądzę, że zgadzają się, iż nie ma nic gorszego niż wleczenie się za armią -- odparł Baldwin.

--Gorzej byłoby się za nią nie wlec -- warknął Ivar. -- Wróg może być wszędzie, tak mówili w Machteburgu.

Ermanrich, dosiadający wałacha o wklęsłym grzbiecie, który swoje już przeżył, parsknął:

--Wygląda na to, że już niedługo będziemy się za nimi wlekli.

Wszyscy oczekiwali, że ujrzą Lwy za najbliższym zakrętem. Nawóz leżący na trakcie był jeszcze ciepły. Świeże koleiny wyryły w drodze zdradliwe góry i doliny, pułapkę dla końskich kopyt. Kilka samotnych poletek i wydeptana droga sugerowały, że w pobliżu znajduje się wioska i Ivar miał wbrew sobie nadzieję, że idąca przed nimi armia zatrzyma się tam, choć było dopiero południe. Wpatrywał się w ponury krajobraz, opuszczone pola na południu, błotnistą drogę wijącą się na wschód ku wojnie i przygodzie i, być może, wolności. Na północy był las, rzadki, ale ciemny pod chmurami. Deszcz szumiał w gałęziach drzew.

--Wyobraź sobie, Ivarze -- rzekł Ermanrich. -- Że miałeś wstąpić do klasztoru Świętego Walaricusa, który leży gdzieś tutaj na tym zapomnianym przez Boga pustkowiu. Ale wydaje mi się, że misjonarze niosący słowo boże są ulubieńcami Boga, a nie wyrzutkami.

--Powinniśmy tu zostać, gdy wojna się skończy -- zasugerował Zygfyrd. Jego głos wciąż zaskakiwał. -- Może to tutaj mamy nauczać.

Baldwin odpowiedział, ale Ivar nie usłyszał go. Coś przykuło jego wzrok w północnym lesie, może sposób, w jaki zakolysały się gałęzie, gdy ucichł wiatr i przestało padać. Reszta ruszyła, ale on osadził swego wierzchowca i wpatrzył się w las.

Znów. Gałęzie się zakolysały. Za krzakiem pojawił się błądy kształt.

--Ivar, co się stało? -- zawołał Baldwin.

--Czekajcie -- rzekł cicho. Najpierw Ermanrich, potem Baldwin i Zygfyrd osadzili konie. Też wpatrzyli się w las. I na pewno denerwowali się równie mocno jak on.

Wyjazd z forticy w Machteburgu i przekroczenie Odry uczyniły przygodę z wojną i nauczaniem nieco mniej szlachetną. Ale gdy zamykał oczy, nadal widział wlatującego feniksa i wiedział w głębi serca, że musiał znów spotkać to cudowne stworzenie, że w chmurze jego istnienia odnajdzie prawdę i spokój. Gdyby nawdychał się wystarczająco dużo magicznego dymu, na pewno przestałby śnić o Liath. To, co poruszało się między drzewami, nie było złote, ale przez chwilę sądził, że to kolejny wielki ptak, zaplątany w gałęzie.

Potem zrozumiał swój błąd.

Zygfyrd zakrakał w przerażeniu, a potem przypomniał sobie, że mógł mówić:

--Na litość boską!

--Tam! -- krzyknął Ermanrich. -- Na lewo od wielkiego dębu.

--O cholera -- mruknął Baldwin.

Skrzydła były szerokie jak u sępa, z takim samym białym podszyciem. Ale poruszały się szybko, wymijając drzewa nie lotem, lecz zakolami. Zza drzew wynurzały się kolejne skrzydła,

pojawiwały się na wzgórzach. Może cały czas było je widać, ale nie wiedział, czego wyglądać. A może oni byli sprytniejsi niż oddział niedorostków i nie wyszkolonej eskorty, który przekroczył Odrę, wyobrażając sobie, że po drugiej stronie spotka przygodę.

Głos Baldwina był ostry i wysoki:

--Do broni, do broni! Nadchodzą z lasu!

Na drodze przed nimi książe Ekkehard pochylił lancę, ale starszy mężczyzna dowodzący eskortą złapał go za ramię.

--To qumańscy jeźdźcy! Błagam was, książe panie, jedźmy galopem do przodu w nadziei na spotkanie z kapitanem Thiadboldem. Ma ponad dwie setki Lwów...

--Ale ich jest ledwie tuzin! -- krzyknął Ekkehard.

Słowa kapitana usłyszał nie tylko Ivar. Kilku z oddziału pognało drogą. Ivar widział już oddział Qumanów wyjeżdżający z lasu.

--Bogu dzięki, że w Machteburgu wymieniliśmy wozy na więcej koni -- powiedział Ermanrich, kopiąc Ivara w udo. -- Jedź, ty idioto! Rozniosą cię, jeśli się będziesz gapił!

--Jedźcie, książe panie! -- krzyknął kapitan.

Ekkehard zawahał się, jakby rozważał szlachetność takiego postępowania.

Ale kapitan był człowiekiem doświadczonym i wiedział, jak sobie radzić z kapanymi w gorącej wodzie gołowąsami.

--Za mną! -- wrzasnął i cały oddział rzucił się do galopu. Ivar nie potrzebował zachęty. Blade wspomnienie feniksa, widzianego wśród drzew, zgasło, gdy wyraźnie ujrzał ich potworne kształty: uskrzydleni jak demony, jechali na przysadzistych kucach, mieli płaskie twarze, bez rysów, szerokie masywne ciała i skórę pokrytą trądem kwadratowych łusek.

Weszli w galop, błoto pryskało spod kopyt, wzleciało w powietrze. Ivar obrócił się w siodle i ujrzał pierwszych Qumanów wyjeżdżających z lasu. Oni też galopowali w pościgu. Może lepiej było się nie odwracać. Ivar wbił wzrok przed siebie, dopóki dźwięk niby świst strzały nie sprawił, że skulił się na końskiej szyi. Czyżby już go doganiali? Był ostatni w szeregu.

W Machteburgu dostał oszczep i teraz się odwrócił, niemal spadając z konia. Nikt nie siedział mu na ogonie. To tylko dźwięk ich skrzydeł wyśpiewywał pieśń o nadchodzącej bitwie.

Gdy wzięli ostry zakręt na drodze, usłyszał krzyk. Przed sobą zobaczył biegnące Lwy z przygotowanymi oszczepami i kawalerzystę wskakującego na konia. Jeden z Lwów pobiegł naprzód, krzycząc: „Do broni!” Rozbrzmiał róg, trzy ostre tony. Oddział Ekkeharda przegalopował już przez pierwszą linię żołnierzy. Giermkowie i służący jechali ku schronieniu pośrodku Lwów, którzy zatrzymali się przed fosą otaczającą ogrody, pola i wewnętrzną palisadę wokół umocnionej wioski.

Ekkehard i jego żołnierze, jeden po drugim, zawracali konie w kierunku, z którego nadjechali; Ivar złapał tarczę z siodła, zapierając oszczep o but. Dołączyło do nich pół tuzina jezdnych w cięższych zbrojach. Qumanowie, wyjeżdżając z zakrętu, opuścili lance, i w chwili, gdy linia się zwierzała, gwizd ich skrzydeł był jedynym dźwiękiem w całym wszechświecie.

--Na nich!

Ivar nie był pewien, skąd padł rozkaz, ale był ostry. Ruszył naprzód z innymi, pokrzykując ze strachu i rozradowania.

O Boże! Nigdy wcześniej nie uczestniczył w bitwie. Czyż o tym nie marzył? Czyż nie

chciał uciec z Liath i przyłączyć się do Smoków? Przyłączyć się do oddziału jakiegokolwiek szlachcianki, byle tylko uciec od monotonii życia jako najmłodsze dziecko hrabiego Harla na spokojnej północy? Czyż pewni szlachetni fratrzy i nawet opaci nie walczyli tak w imieniu Boga?

Był przerażony, podniecony i rozgniony, ale się nie wahał. Nie było czasu, by rozpędzić się do galopu, nim jego lanca uderzyła w pierwszą tarczę. Wojownik po wojowniku wbijał się we wroga z łomotem, niczym dzban spadający ze schodów.

Ivar trzymał tarczę tuż przed policzkiem i piersią i pochylił się na oszczep. Uderzenie było jak cios kowalskiego młota, poczuł, jak wierzchowiec prześlizguje mu się między udami, gdy zepchnęło go z siodła. Lanca uderzyła w jego hełm, ale wiedział, że nie umarł, gdy tylko uderzył plecami o ziemię. Jego koń odskoczył, a w miejscu, które mu zasłaniał, ujrzał skrzydła wroga odcinające się od chmur. Ale między jednym mrugnięciem a drugim zakryły go tarcze Lwów, potężni piechociarze przeskakiwali przez jego ciało i wrzeszcząc, rzucili się na linię Qumanów.

Jeden z Lwów, odziany w jedwabie kapitana i chroniony przez zwarty szereg tarcz, wywijał wielkim, zakończonym hakiem oszczepem, którym zwał Qumanów z siodła. Ivar ledwie zdołał odczołgać się rakiem, gdy dziesięciu Qumanów padło ofiarą Lwów, a kilku innych zabito podczas szarży. Pozostali zawrócili i umknęli do lasu.

--Zewrzeć szereg! -- wrzasnął kapitan Lwów, a rozkaz ten powtórzył najpierw kapitan Ekkeharda, a potem sam Ekkehard, wreszcie spóźnialski, szlachcic w zbroi ciężkiej jazdy, który właśnie przyjechał. Jeden nerwowy jezdny podjechał kilka kroków, goniąc Qumanów, ale osadził konia, gdy u jego stóp wbiła się strzała.

Ivar wstał z trudem. Potwornie bolał go lewy łokieć, w biodrze ćmiło. U jego boku pojawił się Baldwin i potrząsnął nim.

--Ivar! Ivar! Możesz mówić?

--Auć! Nie odrywaj mi ramienia! Nic mi nie jest. Mój tyłek chyba oberwał najmocniej. -- Podciągnął kolczugę i pomasażował się, wykrzywiając.

--Udo nie żyje -- rzekł Baldwin, podczas gdy inni oceniali straty, a na skraju lasu wystawiono silne straże. Z cienia palisady wynurzyła się grupa ludzi i pośpieszyła ku nim. Ivar pozwolił się zaciągnąć do biednego Udo, który leżał sztywny na ziemi. Lanca przeszła przez koński kark, a potem przez nie chroniony zbroją brzuch Udo. Ivara zemdlilo.

Książę Ekkehard klęknął przy Udo, roniąc kilka szlachetnych łez.

--Weź jego pierścień, Milo. Zwrócimy go siostrze. On nie ma siostry -- syknął Milo, ściągając pierścień z bezwładnej dłoni.

Ekkehard otrząsnął się, rozglądając pośpiesznie, czy ktoś zauważył tę pomyłkę. Jego wzrok prześlizgnął się po Ivarze, zbyt nieważnym, by się nim przejął.

--Dobrze, zwrócimy go jego rodzinie, jak się należy.

--Książę panie -- Zbliżył się kapitan Lwów, przezornie klękając na jedno kolano. -- Nie wiedziałem, że maszerujecie na wschód na wojnę... -- Był najwyraźniej doświadczonego człowiekiem, dobrze znającym królewski dwór. Ivar niemal widział, jak mężczyzna się zastanawia, analizuje sytuację i dochodzi do wniosku, że lepiej nie zdradzać, że wie, iż książę Ekkehard został wysłany do Gentu, by zostać mnichem. -- Proszę was, książę, jeśli poprowadzicie naszą armię, będziemy bezpieczniejsi do czasu spotkania się z oddziałami waszej siostry.

Ekkehard wstał z godnością.

--Doskonale -- zgodził się. -- Ale co to za stwory nas zaatakowały? Czy to ludzie, czy potwory?

Spokojnie obejrzeliby trupy, podczas gdy reszta armii ustawiała się w szyku marszowym i szybko grzebano Udo. Najwyraźniej trzech ludzi, którzy udali się na popas z końmi, nie wróciło, i wysłano dwudziestu na poszukiwanie.

Plaskie demoniczne twarze, straszliwe skrzydła i luskowate ciała Qumanów okazały się jedynie ozdobami. Skrzydła, połamane w czasie upadku, wyglądały żałośnie: pióra, które tak przeraźliwie gwizdały, były poszarpane, wiotkie. Twarze bez wyrazu okazały się brązowymi maskami przyczepionymi do hełmów. Qumanowie nosili dziwne zbroje ze skórzanych łusek wzmacnianych metalem, każdej o długości i szerokości trzech palców. Ale pod spodem byli niemal tak samo ludzcy jak Ivar: młodzi mężczyźni o oliwkowej skórze, z wąskimi oczami i żółknącymi zębami. Jeden nadal żył, drżał. Lew poderżnął mu gardło; qumańska krew była tak samo czerwona, jak inna krew.

Dzięki Bogu nie była to jego krew. Przeżył.

--Ivar! Co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś z margrabiną Judith? -- Hanna patrzyła na niego z wysokości swego konia. Miała na sobie Orli płaszcz i rozeźlony wyraz twarzy, taki, po jakim zawsze następuje reprimenda.

O Boże! Czy nigdy nie dadzą mu spokoju?

--Bóg wezwala nas do większego dzieła! -- odparował i mówiłby dalej, gdyby Ermanrich nie podbiegł i nie chwycił go za ramię.

--Księżę pan chętnie zostawi cię tutaj stojącego jak idiota, Ivar. Ruszaj się!

Hanna patrzyła, jak odchodzi, po czym odjechała na swoje miejsce w szeregu. Jego znajdowało się przy księciu, ale kłopoty jeszcze się nie skończyły: gdy podjechali na czoło pochodu, zastali Baldwina i Ekkeharda klócących się cicho, lecz zaciekle.

--Nie pojedę! -- wrzasnął Baldwin.

--Pojedziesz!

--Nie pojedę! Nie słyszałeś, co mówili? Margrabina Judith jest kilka dni przed nami. Będzie w obozie twojej siostry. I nie tylko na mnie będzie wściekła.

--Nie boję się margrabiny Judith.

--A powinieneś! Bo jak już mnie zabatoży na śmierć, może zechcieć ciebie na nowego męża!

--Wobec tego jedź sobie! -- krzyknął Ekkehard, zataczając szeroko ramieniem i wskazując drogi, które wychodziły ze skrzyżowania i ginęły w cichym lesie. -- Sam sobie nie poradzisz z Qumanami, co?

Ivar ponaglił konia i zatrzymał się u boku Baldwina.

--Baldwin -- rzekł cicho. -- Księżę Ekkehard ma rację. Umrzemy, jeśli tu zostaniemy.

--Wolę umrzeć, niż wrócić do jej łóża -- mruknął Baldwin, dąsając się nieco. Ale nawet dąsał się ślicznie.

--Wszystko się może zdarzyć -- rzekł Ivar. -- Jesteśmy uzbrojeni i gotujemy się na wojnę. Prawda, nie spotkaliśmy się jeszcze z margrabiną Judith i może być gorąco, jeśli nas odkryje. Ale po tym, co widziałem, nie opuszczę tej armii!

Po raz pierwszy Ekkehard aprobująco skinął głową. Baldwin, wciąż nadąsany, westchnął

ciężko i wruszył ramionami, aby pokazać, że się poddaje.

--Ale pożałujemy tego -- rzekł złowieszczo. -- Zobaczycie.

Hanna została z tyłu, gdy armia ruszyła. Nigdy się nie spodziewała, że znów zobaczy Ivara, ale proszę, oto on, z księciem Ekkehardem, a nie margrabiną Judith.

To nie był udany dzień. Trzęsła się, choć mimo bezustannej mżawki nie było zimno. Wozy z wyposażeniem podskakiwały na drodze, która prowadziła na wschód, w las, a za nimi szło tych dwunastu upartych żebraków z dwoma wózkami, które ciągnęli na zmianę. Połowa pierwszej kohorty maszerowała w szeregach na końcu i choć raz żebracy nie wlekli się sami z tyłu. Alain szedł w ostatnim szeregu, ale jej nie zauważył. Hanna zastanawiała się, czy zadał cios w potyczce, czy też, jak większość Lwów, tylko się przyglądał krótkiemu starciu. Jest lordem, prawda? W każdym razie był lordem, a ona wiele słyszała o jego zwycięstwie pod Gentem, kiedy wraz z niewielkim oddziałem obronił słabo ufortyfikowane wzgórze przed hordą Eików. Nic dziwnego, że król Henryk zaproponował mu służbę we Lwach, choć, prawdę mówiąc, była zaskoczona, że król nie zaoferował mu czegoś lepszego, na przykład miejsca w Smokach. Ale umysł Henryka był dla niej zagadką. Nie rozumiała, dlaczego postępował tak, a nie inaczej. A tymczasem nie wiadomo, ile dni marszu czeka ich, nim spotkają Sapientię. Czy więcej Qumanów kryło się w lasach, czekając na okazję do ataku na przechodzące orszaki? Plecy ją zaswędziały i przynagliła konia, by zrównał się z tylną strażą, bo nie chciała jechać ostatnia.

Kiedy doszli do zakrętu, który ostatecznie skrył wioskę, odwróciła się i może to tylko ciemniejące chmury, a może cień w jej oczach, strach, wątpliwości i przeczucie splecione w jedno.

Zza palisady wyjeżdżały wozy i wózki, obładowane pośpiesznie zapakowanymi ubraniami, skrzynkami i beczułkami, pełne skrzynek z kurczakami i koszy rzepy. Wieśniacy wpadli w panikę. Podczas gdy Lwy maszerowały na wschód, śladem oddziału margrabin Judith i księżniczki Sapientii, Hanna patrzyła, jak wieśniacy uciekają na zachód, ku fortecy Machteburg, rozciągnięci w długą linię, płacząc, niosąc dzieci, uzbrojeni w to, co mieli: widły, łopaty, motyki. Zatrzymali się tylko po to, by splunąć na ciała martwych Qumanów.

Ruszyła ku nim, krzycząc:

--Zostańcie w wiosce. W drodze na zachód zostanieie zaatakowani. Nie odchodźcie.

Ale nie słuchali.

Tylna straż zniknęła jej z oczu w lesie. Miała swoje obowiązki. Zrobiła tu, co mogła.

Zawróciła konia i pojechała na wschód pustą drogą. Deszcz tylko pogarszał sprawę, bo każde kapnięcie, każde trzaśnięcie mokrej gałęzi sprawiało, że rozglądała się wokół, przygotowana, że tuzin Qumanów, którzy uciekli, wypadnie na nią i potnie na kawalki. Odetną jej głowę, poczernią i będą ją wędzić, dopóki nie stanie się jedną z tych okropnych pomarszczonych główek. Zauważyła, że napastnicy nie nosili ich przy pasach. Czyżby byli młodzieńcami, którzy jeszcze nie zabili? Czy nie byli przez to bardziej niebezpieczni, gdyż rozpaczliwie chcieli się sprawdzić?

Usłyszała okrzyk i odprężyla się, widząc za zakrętem tuzin czekających Lwów, byli wśród nich jej starzy znajomi Ingo, Folquin, Stefan i Leo.

Ingo trzymał oszczep i tarcze, ale uniósł podbródek, wskazując drogę za plecami Hanny.

--Alain zauważył, że zostałaś z tyłu. Widziałeś coś?

--Tylko tych biednych, głupich wieśniaków. Uciekają na zachód do Machteburga.

--O Boże -- powiedział Ingo. -- Na pewno wpadną prosto na Qumanów. Biedacy. Ale nie możemy na nich czekać. Chodźcie, chłopcy. -- Odwrócili się, by ruszyć za armią.

Kiedy Hanna wyprzedzała ich, wiedząc, że powinna jechać na przodzie, usłyszała Alaina mówiącego cicho do Folquina:

--Biedacy. Będę się modlić, by Bóg ich chronił, dopóki wojna się nie skończy i nie nastanie pokój.

Tej nocy obozowali niedaleko wioski Salavów. Chroniła ją wzniesiona naprędce palisada; wioska liczyła więcej chat niż wendarska osada, ale Wendarczycy budowali długie domy, a Salawowie preferowali mniejsze, bardziej okrągłe siedziby z wygiętymi dachami, których niskie okapy służyły za spiżarnie wokół domów. Wyglądali na biedniejszych, nie mieli tyle bydła, ale roilo się wśród nich od małych, bladych i czarnowłosych dzieci, które gapily się na żołnierzy, dopóki starsze, bardziej przezorne rodzeństwo nie wciągnęło ich za palisadę.

Przyszła diakonisa, by ich powitać. Była bosa, bardzo brudna, brakowało jej dwóch przednich zębów i mimo młodego wieku wspierała się na lasce, ale poza tym była radosna.

--Co radzicie, Orle? -- zapytała, gdy już pokłoniła się niezdarnie księciu Ermanrichowi i lordowi Dietrichowi. Przybyła z zachodu i nie miała niezrozumiałego akcentu. Za nią stali dwaj Salawowie, jeden młody, a drugi stary.

--Wasi wendarscy sąsiedzi uciekli -- powiedziała Hanna. -- Radziłabym, aby zabrać ludzi do ich wioski, która jest lepiej umocniona.

--Nie będą chcieli iść -- odparła diakonisa. -- Nie ufają wendarskim osadnikom.

--Jeśli ufają wam, musicie ich przekonać, diakoniso. Kilka godzin temu walczyliśmy z qumańskim oddziałem. Będą inne. Przygotujcie się na spotkanie z nimi tutaj, jeśli chcecie, albo znajdźcie lepsze schronienie w ufortyfikowanych osadach w pobliżu. Może unikniemy wojny, ale lepiej przygotować się na wszystko.

--Mądre słowa, Orle. Zrobię, co w mej mocy.

Deszcz wreszcie ustał. Znalazła namiot księcia Ekkeharda, szukając Ivara, i zastała go modlącego się z innymi. Modlitwę prowadził najszczerzejszy z nich wszystkich młodzieniec, o chudej twarzy i wyjątkowo słodkim głosie. Każde słowo zdawało się mieć głębsze znaczenie, którego ona nie rozumiała, ale wiedziała, że napelniało ją ono niepokojem.

--Błagamy Cię, Pani, czuwaj nad nami, jak czuwałaś nad swym Synem...

Słowa przerażały ją. Ale czekała uparcie, aż skończą i Ivar wstanie, i podejdzie do niej.

Była tak zdenerwowana, że słowa wylały się potokiem:

--Wciąż jesteś zamieszany w herezję. I skalaliście księcia Ekkeharda. Dlaczego nie jesteś z margrabiną Judith? Albo w klasztorze? Nie rozumiesz, jak niebezpieczną ścieżką podążasz?

--Hanno, to nie jest herezja. -- Zmienił się. Położył delikatnie dłoń na jej ramieniu i mówił z tą samą przekonującą gorączką co jego szczupły przyjaciel, choć jego głos nie był tak melodyjny. -- To prawda. Nie widziałaś cudu feniksa. Gdybyś widziała, nie dziwiłabyś się, czemu książę Ekkehard modli się z nami, choć wcześniej ledwie nas tolerował.

--Jaki znów cud? -- zapytała, choć nie chciała tego czynić: ten nowy Ivar ją denerwował. Kiedyś, niczym pnąca róża, rozrastał się bujnie i spontanicznie. Teraz wydawał się winem oplatającym kratę, którą wybudował ktoś inny.

--Cud uzdrawiania... -- A potem ujrzał pierścień i wyraz jego twarzy znów się zmienił. -- A

to co? Czyżby jakiś pan uwiódł cię podarkami?

--Król mi go dał w nagrodę za moją służbę! -- odpaliła wściekła. -- Jak śmiesz mnie oskarżać.

--Tak zrobiła Liath! -- krzyknął. A potem zawołał go śliczny mąż margrabiny Judith, może słysząc wypowiedziane imię, a Ivar wahał się tylko chwilę, nim odszedł, żegnając się chłodno. Czyżby aż tak się od siebie oddalili? Czy ich dawna zażyłość tak szybko obróciła się w proch? Odeszła, poruszona i zdenerwowana, a ciepła noc nie zapowiadała się dobrze. Gdziekolwiek by położyła swój koc, i tak przemakał, gdy tylko się na nim ułożyła. Nie spała dobrze, a gdy nie spała, obracała na palcu pierścień ze szmaragdem.

O świcie, gdy gotowali się do odejścia, przyszła do nich diakonisa ze swymi salavskimi towarzyszami.

--Dostaliśmy wiadomość -- przetłumaczyła słowa mężczyzny mówiącego w ostrym, niezrozumiałym języku. -- Na wschód stąd widziano armię pod wendarskim sztandarem. Ci ludzie udadzą się do starego fortu na północy. Tam mają zamiar przetrwać nawałnicę. Ale damy wam chłopaka, by was zaprowadził do armii, jeśli przysięgniecie Bogu i mnie, że nie skrzywdzicie chłopaka i zwolnicie go, gdy tylko spotkacie zwiadowców drugiego wojska. Jak mówiłam -- dodała, gdy starzec przestał mówić. -- Oni nie ufają Wendarczykom.

Zawarto umowę, a pewne przedmioty zmieniły właścicieli; nerwowy młodzieniec stanął przy koniu Hanny, a kapitan Thiadbold uznał za stosowne wynagrodzić starego za tę przysługę dobrą wełnianą tuniką, parą lnianych nogawic i butami -- należały one do Lwa, który umarł na dyzenterię; nikt ich nie chciał, bo pamiętali cierpienia, w jakich zmarł.

Salav był lękliwy. Nie chciał od nich wody ani jedzenia, nie odezwał się słowem przez resztę dnia, prowadząc ich najpierw na wschód, potem na południe węższym traktem i wreszcie na północny wschód wzdłuż szerokiego, ale płytkiego strumienia, płynącego przez las i łąki. Późnym popołudniem stanęli oko w oko z półtuzinem jezdnych zwiadowców, a gdy Hanna ustaliła już, że rzeczywiście należeli oni do armii księżniczki Sapientii, chłopak zniknął, zaszył się wśród sosen i jesionów porastających brzegi strumienia, który, jak Hanna się domyśliła, był tylko dopływem większej rzeki.

Tam, gdzie strumień wpadał do rzeki opływającej niewielkie wzgórze, ksiązę Bayan z właściwą sobie bystrością i przebiegłością rozbił obóz. Na północy rósł gęsty las, sosny i dęby, na południu i zachodzie zaś rozciągały się zagajniki i łąki. Na wschodzie wznosiły się wzgórza, a to, które Bayan wybrał na obozowisko, było ostatnim, lub pierwszym, z ich linii. Jakiś starożytny lud coś na nim wybudował, ale zostały jedynie ziemne wały otaczające wierzchołek. Przypominały trochę stary fort, miejsce, w którym ludzie i bydło mogli się bronić przed wrogiem. Może leżały tam też jakieś kamienie, ale z tej odległości i pod tym kątem trudno je było dostrzec. Bayan -- bo Hanna nie wątpiła, że to Bayan nadzorował rozbijanie obozu -- ustawił królewski namiot na samym szczycie, gdzie chronił go wał, kształtem przypominający zakrzywiony palec. Wóz, którym podróżowała jego matka, stał jakieś dziesięć kroków dalej, oparty o wał. Czy ze starą nadal przebywała księżniczka Kerayit? Czy też sny Hanny były prawdziwe?

Niedługo się przekona.

Reszta obozowiska opadała w kręgach z punktu centralnego, a każdy krąg chroniony był świeżymi okopami, niezbyt głębokimi, ale wystarczającymi, by złamać szarżę kawaleryjską.

Jadąc na przodzie, widziała podwojone posterunki i niespokojnych zwiadowców, jeżdżących parami i szóstkami. Zachodni horyzont przysłał las, który na wschodzie porastał dolinę rzeki wcinającą się szeroko między wzgórze. Obóz był gotowy do wojny. Czekał na sygnał, ludzie spali w zbrojach, przytulając do siebie oszczepy niby kochanki. Wiele koni było osiodłanych, a resztę oporzędzono i pojono. Na północnym zachodzie jeźdźcy pilnowali czterdziestu, może pięćdziesięciu koni, pasących się pod lasem.

Połowa obozu wyległa, by ich powitać. Hanna nie była pewna, czy widziała kiedykolwiek tylu żołnierzy w jednym miejscu, może przed bitwą w dolinie Elmark, pod Kassel, gdzie Henryk pokonał Sabellę. Sztandar księżniczki Sapientii łopotał na wietrze. Na namiotach nieco mniejszych niż księżęcy też powiewały sztandary, ale Hanna rozpoznała tylko jeden: skaczącą panterę margrabiny Judith.

Kiedy wkroczyli do obozu, armia podzieliła się na grupy w skomplikowanym i mylącym manewrze, którego nie zdołała pojąć, ale w końcu podjechała do królewskiego namiotu w towarzystwie księcia Ekkeharda, lorda Dietricha, który prowadził jazdę króla Henryka, i kapitana Thiadbolda, dowódcy Lwów.

Księżniczka siedziała rozparta pod przedsionkiem namiotu, jedząc śliwkę i patrząc, jak jej mąż gra w kości z młodym wendarskim szlachcicem i krzykliwie odzianym Ungryjczykiem, który miał wąsy tak długie, że musiał je związywać na karku, żeby mu nie przeszkadzały w grze. Obok stał cicho brat Breschius i to on delikatnie przerwał grę, choć Sapientia już wstała, widząc Ekkeharda i być może Hannę. Nie zanosilo się na radosne powitanie.

Bayan jej nie zapomniał. Poderwał się z entuzjazmem.

--Kobieta śniegu do nas wraca!

--Przyjeżdżasz od mojego ojca -- powiedziała Sapientia zimno, spoglądając na męża z nagłym zacięciem ust, właściwym osobom nie ufającym swym mężom. -- A to kto? Ekkehard?

--Siostrze! Nie cieszysz się, że mnie widzisz? -- Zsiadł z konia i podszedł, nie czekając na jej zezwolenie. Ucisnęła go jak siostra, całując w oba policzki. Był wyższy od Sapientii, ale ta przez ostatnie miesiące nabrała ciała, rozrosła się w ramionach i bez problemu powaliłaby szczupłego młodzieńca, gdyby zaczęli się siłować.

--Niech nam Bóg dopomoga, kuzynku -- rzekł młody szlachcic, który grał w kości z Bayanem. -- Byłem przekonany, że Qumanowie pożrą cię żywcem.

--Nie twoja zasługa, że tego nie zrobili, kuzynie -- odpalił Ekkehard i przez chwilę wyglądali na gotowych do bójki, ale Bayan stanął między nimi.

--Bóg nas pobłogosławił -- oznajmił. -- Nowe oddziały do nas przychodzą. W takiej sile możemy zmierzyć się z Qumanami.

Szybko wyliczono siły, ale humor Sapientii się nie poprawił.

--Dwieście Lwów? Trzydziestu ciężkich jezdnych i tylko czterdziestu niedoświadczonych lekkich? I Ekkehard z dwunastoma niewyszkolonymi chłopcami i kilkoma służącymi? Czy mój ojciec tylko tyle może nam dać, Orle? Nie powiedziałaś mu, jak rozpaczliwe jest nasze położenie?

--Wiernie powtórzyłam wasze przesłanie, Wasza Wysokość -- odparła Hanna.

--Spokojnie, żono -- wtrącił się Bayan. -- Lwica nie może skakać na Orła, który posłańcem jest tylko. -- Wydawał się rozbawiony własną grą słów i roześmiał się serdecznie. -- Margrabiny oddziały też mamy, więc więcej jest tego, niżemy mieli wcześniej, nieprawda?

--Prawda -- przyznała Sapientia chmurnie, gdy Bayan gładził jej ramię. -- Ale gdzie jest mój ojciec? Myślałam, że zrozumie powagę sytuacji i sam przyjedzie. Gdzie on jest, Orle?

--Wyruszył na południe do Aosty, Wasza Wysokość.

--Aosta! Zawsze Aosta! -- rzuciła śliwką, która o włos minęła jedną z jej przybocznych i upadła w piasek. -- Dlaczego trwoni swe siły w Aoście, skoro prawdziwe zagrożenie jest tutaj? Chyba nie... -- Urwała. Ale chwila ciszy to wszystko, na co potrafiła się zdobyć. -- Chyba nie było wieści o Sanglancie, prawda?

Wahanie zawsze źle się kończy.

--Wiedziałam! -- krzyknęła Sapientia triumfalnie. -- Mów, co słyszałaś!

--Nie wiem nic pewnego, Wasza Wysokość. Ale do uszu króla doszło... -- Nie miała okazji skończyć. Jej ostrożne słowa przerwało przybycie margrabiny Judith z orszakiem służących i towarzyszy. Margrabina była najwyraźniej w stanie zimnej furii.

--Czy to prawda, że przybył do nas książę Ekkehard? O Boże, prawda. Gdzie on jest?

--Ekkehard jest tutaj -- powiedziała Sapientia, choć dla wszystkich było oczywiste, że margrabina doskonale wie, gdzie znajduje się książę.

Ten był na tyle odważny, że się przed nią nie cofnął.

--On chce rozwodu -- powiedział tak spokojnie, jak tylko piętnastolatek potrafi, stojąc przed potężną, wściekłą i uzbrojoną kobietą, która mogłaby być jego babką.

Ktoś w tłumie zachichotał i został uciszony.

--To ja mam prawo dostać rozwód, nie on. Nie ma podstaw do rozwodu, a jego rodzina nie jest na tyle potężna, by wycofać się z umowy. Małżeństwa nie można anulować, ponieważ doskonale pamiętam, że zostało skonsumowane. Małżeństwo nadal obowiązuje. Gdzie on jest?

Ekkehard nie na darmo był królewskim synem.

--Przysiągłem, że będę go chronił. Jeśli ci go wydam, nie mogę uznać się za prawego męża.

--Nie jesteś mężczyzną, książę Ekkeharcie. Jesteś jedynie bardzo głupim chłopcem.

--Nie możesz tak do mnie mówić!

--Oczywiście że mogę. Jestem pewna, że ojciec darzy cię uczuciem, ale jesteś jedynie trzecim z trojga jego zdrowych i dorosłych dzieci. Księżniczka Sapientia jest prawdziwą następczynią tronu. Nie jesteś niezbędny królowi. Ja jestem. I chcę mego męża z powrotem.

Mężczyzna zwany Wichmanem parsknął śmiechem.

--O Panie! Teraz wypijesz piwo, jakiego nawarzyłeś, kuzynku. Który z twych zachwycających chłopców jest zaginionym oblubieńcem? Nie, to jasne, to musi być anioł. Za żadnym z tych brzydkich szczurów nikt by nie tęsknił. Obawiam się jednak, że Baldwina trudno nazwać aniołem, skoro nie wiadomo, ilu obdarzał swymi wdziękami.

Margrabina Judith nie oszczędzała nikogo.

--Przypominam, lordzie Wichmanie, że twoje lekkomyślne zachowanie doprowadziło do kłopotów w Gencie. Nie zapominaj, że twoja matka i ja jesteśmy starymi przyjaciółkami. I proszę, nie zapominaj też, że trzeci syn może się królowi na coś przydać, natomiast zbędni synowie księżnej są zdecydowanie mniej cenni.

--Uspokój się, kuzynie -- rzekł Bayan. Położył oszukańczo delikatnie dłoń na ramieniu Wichmana, niczym dobrotliwy wujaszek, ale i tak odprowadził go od margrabiny Judith. -- Nie możemy spierać się między sobą. -- Zaklął we własnym języku i powiedział coś szybko do brata Breschiusa.

--Książę Bayan przypomina, że to nie czas na spory -- rzekł Breschius z pojednawczym uśmiechem doświadczonego dworzanina. -- Przed nami wojna i nikt nie wie, kiedy zaczniemy walczyć...

Być może Bóg rzeczywiście mieli poczucie humoru, tyle tylko, że wojna była zabawna w szczegółach, a nie podczas bitwy.

--Z drogi! -- wrzasnęli strażnicy i w tejże chwili przyjechali zwiadowcy.

--Książę Bayanie! Wasza Wysokość! -- Dwóch mężczyzn padło na kolana przed dowódcą. -- Wieści o księciu Bulkezu! Jego czujki wypatrzone nawet nie godzinę drogi na wschód stąd, jadące doliną rzeki.

--Piwo dla tych ludzi -- rzekł Bayan.

Wieść rozeszła się z królewskiego namiotu, jakby rozniosły ją wszędobylskie pchły. Hanna prawie widziała, jak niesie się po obozie: ludzie zrywali się z drzemki, zbierali w grupy lub pośpiesznie siodłali konie. Bayan pozostał spokojny.

--Gdzie będziemy z nimi walczyć? -- zapytała Judith.

--Chyba się znowu nie wycofamy? -- krzyknęła Sapientia.

Bayan się nie śpieszył. Zadawał wiele szczegółowych pytań, podczas gdy armia szykowała się poniżej. Wypytał dokładnie dwóch zwiadowców, a kiedy przygalopowała druga para, im też kazał przynieść piwa. Widzieli tron qumańskiej armii, straszliwego, wielogłowego potwora, kłębiącego się nad północnym brzegiem rzeki. Jeden z nich padł od qumańskich strzał, a oni zostali lekko ranni i ledwo się wymknęli.

--Musimy okopać się tutaj -- powiedział wreszcie Bayan po ungryjsku, pozwalając Breschiusowi tłumaczyć. Nie mógł sobie pozwolić na wątpliwości. -- Wzgórze daje nam przewagę. A do tego, jeśli ich siły okażą się przeważające, będziemy mogli utrzymać teren na północnym zachodzie i uciec tamtędy przez rzekę. Zawahają się, ponieważ boją się przekraczać wodę. Ten szczyt da też mojej matce widok, którego potrzebuje, by nam pomóc.

Wszyscy spojrzeli nerwowo na mały wóz. Przy schodkach czekali dwaj niewolnicy, siedząc ze skrzyżowanymi nogami, jeden blady i przystojny, z żelazną bransoletą zaciśniętą wokół lewego ramienia i drugi, bardzo wysoki i szczupły, o skórze koloru czarnogranatowego atramentu. Nawet Liath nie miała tak ciemnej skóry. Czy księżniczka Kerayit czekała wewnątrz? Hanna spojrzała na brata Breschiusa, a ten uśmiechnął się, dodając jej otuchy, ale nie mógł nic powiedzieć.

Bayan wykonał ostry gest i strażnicy wyprężyli się na baczność, a jeden zadał w barani róg.

Rozległ się sygnał do broni i obóz zamarł: wszyscy spojrzeli ku wzgórzom na królewski namiot. Bayan ujął Sapientię za rękę i zrobił krok naprzód, aby armia mogła ich zobaczyć. Podniósł się głośny okrzyk, a potem wszyscy zaczęli gotować się do bitwy.

Wezwanie do broni rozbrzmiało niespodzianie, ponieważ było późne popołudnie, kilka godzin przed zmrokiem. We wszystkich wielkich pieśniach bitwy zaczynały się o świcie, a pierwsze promienie wstającego słońca odbijały się od oszczepów i mieczy wroga, gdy się zbliżał.

Ale to nie była pieśń.

Chłopcy Ekkeharda zgromadzili się u podnóża wzgórza, bez przywódcy, zdezorientowani, nie wiedząc, co robić, podczas gdy książę wciąż przebywał w namiocie królewskim.

--Powiadam wam, ucieknijmy na północ, dopóki wszyscy są zdezorientowani -- mrucał Baldwin. -- Nikt nie zauważy, że zniknęliśmy. A potem możemy przedrzeć się na zachód, do tamtej wioski.

Ivar po raz trzeci sprawdził popręg.

--Na Boga, Baldwin! To niehonorowe porzucać teraz księcia Ekkeharda. Nazwą nas tchórzami.

--A co mnie to obchodzi? -- zapytał Baldwin. Jego oszczep leżał na ziemi; Baldwin potknął się o niego i niemal upadł. -- Ja po prostu chcę stąd zwać, zanim ona mnie znajdzie!

--Jak uda nam się uciec? Prędeż nas zabiją, a martwi nie będziemy mogli głosić Prawdziwego Słowa.

--Dlaczego Bóg miałaby obdarzyć nas Jej prawdą, jeśli zachowamy się jak zwykli tchórze? -- powiedział Zygfryd. Z oszczepem zaciśniętym w obu dłoniach wyglądał krucho i śmiesznie. Nie był dość silny, by nosić kolczugę, jechał więc do bitwy bez niej.

--Właśnie! -- rzekł Ivar. -- Musimy zostać, Baldwinie. Przynajmniej do końca bitwy. A potem zrobię, co powiesz.

Po twarzy Baldwina przemknęło co najmniej dziesięć uczuć, a każde było równie przyjemne dla oka. Ivar poczuł nagle, ostre ukłucie litości dla przyjaciela, skazanego przez swą piękną twarz na bycie jedynie zwierciadłem, w którym inni widzieli swe sny i pragnienia.

--Ivar! Zygfryd! Baldwin! Zobaczcie, kogo znalazłem! To cud!

Ermanrich wynurzył się z tłumu żołnierzy, ustawiających się w szeregi albo biegnących ku nie znanym celom, spoza oddziału kawalerii i wozów, jadących ku brzegowi rzeki, gdzie po dwa przeciągano je na drugi brzeg. Zataczając się jak pijany, zdawał się obojętny na to, że armia szykuje się do bitwy. Trzymał za nadgarstek bardzo brudną młodą kobietę, która, tak jak on, płakała -- najwyraźniej z radości.

--To Hathumod! -- zawołał Ermanrich; dobrze, że ją zidentyfikował, bo Ivar nigdy nie rozpoznałby w tej chudej zabiedzonych kobiecie, postawnej kuzynki Ermanricha. Wyglądała raczej jak żebraczka, miała nawet febrę pod prawym nozdrzem i połamane, brudne paznokcie.

--Pani Hathumod! -- Zygfryd był zaskoczony. -- Wysłano was z Quedlinhamu wraz z lady Tallią. Czy ona też tu jest, ta święta, która objawiła nam wszystkim prawdę?

--O Boże! -- krzyknął Baldwin, ściskając Ivara tak mocno, że ten zawył. -- To ona. To ona!

Margrabina Judith, uzbrojona i wspaniała, zstąpiła ze wzgórza na czele swej kawalerii, potężnego oddziału liczącego ponad stu pięćdziesięciu ciężkozbrojnych jeźdźców. Po jej lewicy kapitan niósł wciśnięty pod ramię hełm Judith, po prawicy jechał chorąży, opierając drzewce o but; sztandar łopotał na wietrze, gdy kierowali się na równinę, na której miała się rozegrać bitwa.

Baldwin schował się za Ivara, ale było już za późno. Być może odkryła ich, pytając, gdzie stacjonował oddział Ermanricha. A może po prostu go wywęszyła, jak pantera, która raz uszczknęła kawałek młodego jelenka i zamierza go teraz wykończyć.

--O Pani! -- krzyknął Ermanrich. -- Milo nadal trzyma sztandar księcia! Ty idioto! Mieliśmy się kryć!

Ale było już za późno. Może głupotą było sądzić, że zdołają jej umknąć.

Uniosła dłoń; oddział zatrzymał się ze szczękiem, a ona zwróciła swój panterzy wzrok na zwierzynę. Baldwin padł na kolana, przyciskając dłonie do piersi i wznosząc oczy ku niebu,

jakby błagał Boga o zesłanie takiej burzy, która skryje go przed nią.

Znów rozległo się granie baraniego rogu, ostre i nagłące.

--Qumanowie! Do broni! Do broni!

W całym obozie niczym grom wybuchły okrzyki, a w oddali Ivar usłyszał słaby, wysoki świst, od którego przeszły go ciarki. Nie wyobrażał sobie, że dźwięk ich skrzydeł mógł się nieść tak daleko.

--Zostaniesz ukarany za swe nieposłuszeństwo, Baldwinie -- powiedziała margrabina Judith, z satysfakcją krzywiąc usta. -- Niech ci się nie wydaje, że możesz przede mną uciec. -- Wzięła hełm z rąk kapitana i włożyła go na głowę. A potem, unosząc wysoko łopoczący sztandar, ona i jej kawaleria ruszyli do boju.

Chłopcy Ekkeharda dosiadali koni, gotując się do wyjazdu. Ermanrich złapał Zygfryda, któremu szczupłe ciało i drobna budowa nawet wśród bardzo młodych mężczyzn nadawały pozór chłopca.

--Zygfrydzie. -- Znalazł dłoń Hathumod i zacisnął ją na nadgarstku Zygfryda. -- Idź z moją kuzynką. Ona wie, gdzie stoją wozy. Musicie tam zostać. -- Potem spojrzawszy wyzywająco na resztę. -- On jest niezdolny do walki. Wszyscy wiecie, że to prawda! Nie został stworzony do takiej wojny. Idź, Zygfrydzie! -- Popchnął Zygfryda i szlochającą Hathumod. -- Idźcie! -- Odbiegli. Otarł łzy, wsiadając na konia, jęknął, opadając ciężko na siodło i z opóźnieniem złapał podane przez giermka oszczep i tarczę, zapomniane na ziemi.

--Jedźcie z Bogiem, panowie -- powiedział giermek, który jak reszta służących zostawał przy wozach.

Ku ich uldze książę Ekkehard podjechał do oddziału na kasztanowym wałachu. Wyglądał na ożywionego, nosił kolczugę i wypolerowany stożkowaty hełm z brązowym nosalem. Obnażył miecz i machnął nim entuzjastycznie.

--Mamy zająć pozycję na prawej flance, na północnym brzegu rzeki.

Ivar stanął w strzemionach, próbując obejrzeć linię. Wendarska kawaleria rozciągnęła się na równinie pod wzgórzem. Lwy uformowały linię do połowy wzgórza; a po ich bokach stała reszta piechoty. Według Ekkeharda, ciężka konnica Bayana i Sapientii czekała w rezerwie, ukryta pomiędzy wzgórzem i rzeką, lżej uzbrojeni jeźdźcy strzegli zaś północnego zbocza i dostępu do brodu. Bayan stał z Sapientią na szczycie, widoczny dla większości armii. Kiedy Ivar opadł na siodło, sztandary Bayana i Sapientii zostały uniesione raz, drugi, a za trzecim razem pozostały już w górze.

Ivar czuł, jak chłodna bryza gładzi jego włosy; wiatr przybierał na sile, aż wreszcie musiał osłonić dłonią oczy, by patrzeć na wzgórze. To był północno-zachodni wiatr. Zbliżyli się Qumanowie. Na skrzydłach tego wiatru sztandar księcia Bayana szarpnął się, jakby nagle ożył, i załopotał ostro, tak głośno, że Ivar nawet z oddali usłyszał ten odgłos. Szeroki pojedynczy promień słońca przedarł się przez szare chmury i padł prosto na sztandar, na jego prosty herb, dwugłowego orła, i na księcia stojącego w pełnym rynsztunku bojowym; giermek dzierżył wodze jego konia.

Ludzie zaczęli szeptać, kiedy kolumna światła zaślniła, zadrżała i zniknęła, a chmura przysłoniła słońce. Bez wątpienia właśnie ujrzeli znak Boży. Bóg byli z nimi. Ekkehard poprowadził swych towarzyszy poprzez szeregi lekkiej jazdy, by wysforować się na czoło. Kiedy Ivar podjechał do pierwszego szeregu mężczyzn w lekkich hauberkach, uzbrojonych w

lance i tarcze, usłyszał, jak Baldwin za nim wzdycha. Linia Qumanów wiała się niczym żywopłot na najbliższym wzgórzu i w dolinie rzeki. Rzeźba terenu podkreślona została postaciami jeźdźców, którzy zajęli co najmniej trzy wzgórza.

W całej armii Qumanów był tylko jeden sztandar, stojący nieruchomo na środkowym wzgórzu: ciemna płachta naznaczona trzema białymi cięciami. Qumanowie czekali w odległości dwóch strzałów z łuku od wendarskich oddziałów. Nie poruszali się. Cała armia po prostu dosiadała koni, ich skrzydła były nieruchome. Ile ptaków umarło, by wykonano tyle skrzydeł?

Przyglądając się linii wroga, Ivar zaczął dostrzegać prawidłowość. Jego ciężka kawaleria zgromadziła się pośrodku i na lewo, lekka jazda zaś na prawo. Lekkozbrojni mieli lance przymocowane do siodeł z wysokimi lękami i trzymali łuki gotowe do strzału. Wszyscy jeźdźcy mieli skrzydła; kilku z nich, rozproszonych pośród armii, miało je tak jasne, jakby oświetlało je słońce, choć nie padało na nie światło. Nad armią Qumanów wisiały nisko, czarne chmury.

--Tam! -- powiedział Baldwin, wskazując. Obok sztandaru stał jeden jeździec bez skrzydeł. Sprawiał przez to wrażenie lżejszego, ale nawet z takiej odległości jego postawa i zachowanie nie pozostawiały wątpliwości, że oto mają przed sobą straszliwego księcia Bulkezu.

--Co się stało z jego skrzydłami? -- mruknął Milo. Jego oszczep, do którego tuż pod ostrzem przymocowany był sztandar księcia Ekkeharda, pochylał się, gdy Milo poprawił się w siodle. Nikt nie odpowiedział.

Obie armie czekały, żołnierze gapili się na siebie w niepokojącej ciszy. Nerwowe wierzchowce parskwały, strzygły uszami, tupwały. Od czasu do czasu rozlegało się granie rogu, dwa ostre tony, przypominające Wendarczykom, by się nie ruszali.

Za każdym razem jednak, gdy rozbrzmiewał róg, lord Wichman wyrzucał z siebie strumień przekleństw. On i jego oddział niecierpliwił się tuż obok pozycji Ekkeharda.

--Wydaje mi się, że tyle wie -- rzekł Ekkehard. -- Ale księżę Bayan wie lepiej. Jeśli wyśle ten szereg do ataku, to otoczą nas qumańskie flanki i odetną od brodu i umocnionego wzgórza.

--Będziemy tu siedzieć do zachodu słońca? -- zapytał Ivar. Było późno, a przy tych ciemnych chmurach zmrok zapadnie wcześniej niż zwykle. -- Nie uwierzę, że Qumanowie w nocy zaatakują nasze wzgórza.

--Możemy przemknąć się przez rzekę i walczyć kiedy indziej -- mruknął Baldwin.

--Nie -- rzekł Ekkehard stanowczo. -- Bóg zesłał nam znak. Ten dzień nie zakończy się bez bitwy, a Bóg swą dłonią wybiorą zwycięzcę.

--Patrzcie tam! -- krzyknął Ermanrich, jadący po prawicy Mila.

Trzej Qumanowie wyjechali naraz przed swoje szeregi, dwóch z każdej flanki i jeden ze środka. Każdy jeździec niósł trzy oszczepy. Kiedy przejechali jedną trzecią odległości między armiami, wbili po jednym oszczepie w ziemię. Czerwone proporczyki zwisały z nich martwo.

W połowie drogi wbili w ziemię drugi oszczep. Nadal klusowali naprzód. Żołnierze w szeregach wendarskich poruszyli się niespokojnie, ale w tej samej chwili, jakby księżę Bayan wyczuł ich niepokój, rozbrzmiały dwa ostre tony rogu, nakazujące spokój.

Ale nie wszyscy posłuchali. Lord Wichman wyrwał się z szeregu i pogalopował ku najbliższemu jeźdźcy, który wciąż niósł trzeci oszczep. Quman w odpowiedzi pochylał lancę, jego dwaj towarzysze zaś zatrzymali konie o rzut kamieniem od Wendarczyków i wbili oszczepy w ziemię, niczym obelgę.

Wichman i Quman natarli na siebie. Wendarskie oddziały krzyknęły, Qumanowie zawyli

dziko. Oszczep Qumana odbił się od tarczy Wichmana, a urwane ostrze minęło o włos jego głowę. Ale drzewce oszczepu Wichmana uderzyło w przyłbicę Qumana, oszłamiając go. Spadł na prawą stronę konia, mając prawą nogę uwięzioną w strzemieniu; skrzydła szorowały po piasku i rozpadły się, drewniana rama pękła, a pióra pofrunęły we wszystkie strony.

Qumański koń nadal pędził; Wichman odwrócił się i ruszył w pościg. Wojownik, ciągnięty przez trawę ku szeregom wendarskim, stracił oszczep i helm, a jego ramiona okazały się bezradne, gdy próbował złapać siodło. Wichman wrzasnął, rozeźlony, gdy wendarska linia, nad którą powiewał sztandar margrabiny Judith, rozstała się, by wpuścić ogłupiałego konia. Rozległ się okrzyk triumfu, szereg zwał się na powrót. Chwilę później głowa pechowego jeźdźca zawisała na lancy. Wichman zaklął głośno i wszyscy ryknęli śmiechem, pewni już, że czeka ich wielkie zwycięstwo.

Wichman odwrócił konia, by spojrzeć na oddziały Qumanów, jakby zastanawiał się, czy ścigać dwóch pozostałych jeźdźców, którzy wracali do swoich, ale w tejże chwili przy qumańskim dowódcy proporce uniosły się i opadły w skomplikowanym wzorze i linia wroga zaczęła się przybliżać, szybko i w nienaturalnej ciszy, żadnych okrzyków bojowych, tylko tętent kopyt.

Kiedy dotarli do pierwszej czerwonej lancy, na lewą flankę Wendarczyków spadł deszcz strzał. Konie zarżały, ale ze swej pozycji po prawej Ivar nie mógł zobaczyć, jakich zniszczeń dokonano. Qumanowie posuwali się klusem, a przy drugim oszczepie kolejny deszcz strzał zalał Wendarczyków; Qumanowie przeszli do galopu, nabierając szybkości i siły. Gdy jednak zbliżyli się do trzeciego, niebo nad nimi nagle pokryło się ciemnymi smugami i w łuczników uderzyło białe światło. Rozległ się ogłuszający ryk grzmotu i przez kilka chwil Ivar niczego nie słyszał: ani krzyków, ani rogu, ani tętentu kopyt, mimo że widział, jak Qumanowie galopem docierają do trzeciego oszczepu. Kolejny grad strzał zaciemnił niebo i użądlił wściekle wendarskie szeregi. Pierwszą rzeczą, jaką Ivar usłyszał, gdy ustało dzwonięcie w uszach, był potworny gwizd tysięcy wibrujących skrzydeł.

Zabrział róg ze starego fortu, z którego Bayan i Sapientia śledzili rozpoczynającą się bitwę, krótkie, szybkie dźwięki oznaczające atak. Wendarska kawaleria skoczyła naprzód, rozpędziła się i runęła na wroga. Ivar opuścił oszczep, a nabierając rozpędu, pochylił się w przód i wcisnął oszczep pod ramię. Qumańska linia zamajaczyła tuż przed nim, ale ponieważ była luźno rozstawiona, nie napotkał żadnego wroga. Po jego lewej Quman rzucił się na Baldwina; po prawej drugi zmierzał ku Milowi.

Ivar ledwo miał czas, by myśleć, co dopiero wybierać. Uderzył w lewo. Quman odrzucił oszczep Ivara kwadratową tarczą, a wtedy Baldwin wbił mu ostrze głęboko w pierś. Jeden z nich spadł i Ivar obrócił się w chwili, gdy wpadł na niego koń Mila bez jeźdźca. Oszolomiony Ivar pognął konia ku swojej linii, choć ta znalazła się już w rozsypce, wymieszana z Qumanami. Przed nim leżał martwy Milo, a połamany oszczep wystawał mu z ust.

Ohydny widok przykuł jego wzrok na zbyt długo. Raczej poczuł, niż zobaczył cios miecza, sparował go oszczepem, poczuł, jak miecz się na nim zatrzymuje, a potem oszczep wypadł mu z dłoni. Nie puścił go i gdy spanikowany wycofywał się ku swoim, zobaczył krew tryskającą z kikutów, które chwilę wcześniej były jego dwoma palcami.

Patrzył z dziwną obojętnością. Sięgnął po długi nóż, jedyną broń, jaka mu została, i z zadowoleniem stwierdził, że jego dłoń nadal jest sprawna. Quman z mieczem zniknął w starciu.

Ivar natarł od tyłu na drugiego i nie mogąc dosięgnąć go poprzez drewnianą ramę skrzydeł, wbił nóż głęboko pod żebra konia. Obrócił nim mocno i wyrwał, a potem mijając ich, uderzył Qumana tarczą i zepchnął go w lewo, usiłując się przedrzeć.

Tam, na prawo, sztandar Ekkeharda powiewał w rękach jednego z żołnierzy z machteburskiej eskorty. Książę dziko ciał wokół nożem, otoczony przez Qumanów. Skrzydła jednego z jeźdźców lśniły jak metal, twardym, nieprzyjemnym blaskiem, zupełnie jakby miał na plecach setki noży. Baldwin z toporem w dłoniach dołączył do Ekkeharda, powalając Qumana. Ale ten z metalowymi skrzydłami uderzył w Baldwina, a jego lanca zgruchotała szczękę wierzchowca. Koń padł; Baldwin zniknął. Jeździec, prawie nie zwalniając, dobył miecza i z dwoma wojownikami po bokach ruszył na Ekkeharda.

--Do księcia! -- krzyknął chorąży.

Ivar pchnął konia w starcie. Wpadł na jednego z wojowników, siła uderzenia powaliła obu na ziemię. Ivar macał w poszukiwaniu noża zgubionego w trawie. Poczul uderzenie w bok helmu, sparował, a gdy dłoń w rękawicy z metalowymi blachami zbliżała się znowu, odruchowo chwycił przeciwnika za ramię. Całą swą wagą przycisnął jego łokieć do ziemi, przytrzymał nadgarstek, wykręcił ramię, wcisnął łopatkę w trawę i szarpnął z całej siły, aż ramię trzasnęło.

Metalowa przyłbica Qumana stłumiła krzyk. Ivar wbił palce w otwory na oczy i spróbował wykręcić głowę, ale hełm ześlizgnął się, a Ivar stracił równowagę. Odruchowo odpychając się zdrowym ramieniem, Quman się odczołgał. Był młody, młodszy od Ivara, a jego twarz była idealna, śliczna niczym twarz dziewczęcia. Długie, czarne, jedwabiste włosy opadały mu na ramiona. Lewą dłonią dobył noża i rzucił się na Ivara. Ten, niewiele myśląc, uderzył go w twarz hełmem, odrzucił go, a potem uderzył jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, a z każdym uderzeniem tę piękną twarz pokrywały rany, aż wreszcie stała się krwawą masą rozsmarowaną w błocie.

Oddychając urywanie, Ivar rozpaczliwie rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Sztandar Ekkeharda leżał na ziemi wśród zdeptanej trawy i niczym całun okrywał człowieka, który go niósł, milczącego trupa pośród innych zwłok. Ale książę Ekkehard wciąż siedział w siodle. Dwóch ludzi bronilo go przed atakami Qumana o metalowych skrzydłach, który ciał ich niczym owce idące na rzeź, prac ku zdobyczy. Ekkehard zrobił szalony zwrot, omijając bok mężczyzny, ale skrzydlaty obrócił swój miecz i pocałował mu koleczugi na strzepy. Odpadł, ranny, a skrzydlaty zrobił zwrot, gotów do zadania śmiertelnego ciosu.

Za qumańskim wojownikiem rozbrzmiał wrzask niczym ryk lwa. Na jeźdźca szarżował Wichman. Starli się, Wichman zadawał swym ciężkim mieczem cios za ciosem. Quman parował i uderzał, okrążali się, a żaden nie zyskiwał przewagi. Ivar słyszał na wpół szalony śmiech Wichmana, opanowanego przez iście berserkerski szal.

--Uwaga!

Ivar schował się za mężczyzną, którego właśnie zabił, a miecz świsnął nad jego głową. Pojawił się Baldwin z toporem w dłoni.

--Masz -- powiedział, wciskając mu w ranną dłoń oszczep.

--Książę padł! -- krzyknął Ivar, ale nie mogli już ratować Ekkeharda; mogli pomóc jedynie sobie. Jeździec, który właśnie ich minął, zawrócił. Ivar bezskutecznie zamachnął się na niego, uciekając w bok. Baldwin uderzył konia toporem po zadzie. Mężczyzna zatrzymał się kawałek od nich, po czym znów zawrócił, ale gdy Ivar i Baldwin skoczyli ku niemu, spokojnie schował miecz, nie spuszczaając z nich oczu, sięgnął za plecy i wydobyl luk z nałożoną cięciwą. Kolejny

lekkobrojni podjechał do niego i widząc zwierzynę na wyciągnięcie ręki, nałożył strzałę. Za nimi pojawił się trzeci.

--Uciekaj!

Czy to on krzyczał, czy Baldwin? Skoczyli ku wzgórz. Czekal, aż strzały przeszyją im plecy. Zastrzeleni niczym ranne odyńce! Nie tak chciał umrzeć.

Niebo znów eksplodowało oślepiającym błyskiem, powietrze zadrżało od grzmotu. W ziemię uderzył kłusający deszcz. Przestraszone konie cofały się, choć skupieni na bitwie żołnierze, którzy jeszcze nie spadli i nie leżeli na ziemi ranni lub martwi, walczyli, nie zwracając uwagi na pogodę. Ivar zaryzykował spojrzenie w tył i ujrzał, że jeden z trzech wojowników, którzy chcieli ich zastrzelić, leżał na ziemi, pozostali zaś próbowali opanować swe konie.

Z jękiem wdzięczności on i Baldwin dotarli do wzgórza i wspięli się na kręty wał ziemny, gdzie stało dwóch Lwów, spokojnych i jeszcze nie tkniętych. Deszcz ustał równie gwałtownie, jak się zaczął.

--Doskonale, panowie, wynieśliście się stamtąd -- powiedział jowialnie jeden z Lwów, pomagając Ivarowi wejść na błotniste zbocze.

--Ale księżę Ekkehard padł -- płakał Baldwin. -- Zostawiliśmy go tam!

--Nie, nie, nie bójcie się, nie złamaliście przysięgi. Jeden z ludzi lorda Wichmana wyciągnął młodego księcia z bitwy. Myślę, że przeżył.

Ich pobłażliwe słowa rozsierdziły Ivara. W głowie mu się kręciło, było mu niedobrze.

--Dlaczego stoicie tu i tylko patrzycie? -- wrzasnął. -- Dlaczego nie ruszyliście do boju, by dla nas zwyciężyć?

Starszy mężczyzna parsknął.

--Niestety, bitwa sama wkrótce do nas przyjdzie. A gdybyśmy zeszli ze wzgórza, bylibyśmy jak zboże między kosiarzami.

--I dokąd uciekaliby tacy paniczycy jak wy, kiedy już stracą konie, a ich towarzysze polegą, jeśli nie na nasze wzgórze? -- dodał drugi i choć mówił przyjaźnie, jego słowa bolały równie mocno jak zraniona dłoń.

W ziemię między Lwami wbiła się strzała.

--Idźcie, chłopcy -- powiedział starszy. -- Po drugiej stronie jest bród. Jeśli się pośpieszycie, dotrzecie tam na czas. -- Strzały pokryły ziemię wokół; grupa Qumanów zbliżyła się do wzgórza, ale zatrzymała się, nie chcąc się wspinać po stromych zboczach.

W połowie wzgórza, chroniąc się za kolejnym niskim wałem, Ivar i Baldwin zatrzymali się by spojrzeć w tył. Jeźdźcy zbliżyli się na kilkanaście kroków pod wzgórze i strzelali do dwóch Lwów, którzy powoli czolgali się w górę na plecach, osłaniając się wielkimi tarczami. Obaj byli chyba ranni w nogi; Ivar nie zauważył tego wcześniej. Strzały ześlizgiwały się z hełmów i wbijały w materiał, którym obciążone były tarcze, trzęsąc się przy każdym ruchu.

Jeździec pognął konia po zboczu, ale ten poślizgnął się i obaj zjechali ze wzgórza w potoku błota. Daleko po lewej, gdzie wzgórze było mniej strome, garstka Lwów uformowała kwadrat z tarcz, najeżony oszczepami. Ściśle ustawieni zmierzali na szczyt wzgórza. Od czasu do czasu lekkomyślny jeździec gnał ku nim, ale ich oszczepy zawsze odpędzały napastnika. Na oczach Ivara jeździec zrzucano z siodła i wciągnięto za tarcze. Chwilę później jego trup leżał na ziemi za murem tarcz cofających się ku szczytowi.

Baldwin dyszał, trzymając się za bok.

--Jest ich zbyt wielu -- rzekł ochryple.

Prawda. Qumanowie zgromadzili się u podnóża fortu niczym fala przyływu. Dopiero gdy zbliżył się do nich jeździec o metalowych skrzydłach, zaczęli się rozpraszać, jadąc ku rzece.

--Jadą do brodu. -- Baldwin pobladł i ledwo zdołał wypowiedzieć słowa: -- Zostaniemy odcięci.

--Wobec tego lepiej się pośpieszmy, jeśli chcemy uciec. -- Dłoń ćmiła Ivara; gapił się na nią nie widzącym wzrokiem, podczas gdy Baldwin się podnosił. Z rozciętego ciała spływała krew. Powinien ją opatrzyć, ale nie miał pojęcia, czym zatamować krwawienie.

--Chodź, Ivarze! -- głos Baldwina łamał się ze strachu. -- Chodźmy tamtędy. -- Stracili bitwę z oczu, kierując się na zachodnie zbocze, gdzie błotniste, zimne okopy zamieniały drogę w labirynt.

--Bogu dzięki! Przyjaciele! -- Ermanrich wyślizgnął się zza zasłony krzaków; Baldwin wrzasnął. Ivar się zatoczył. -- Czemu się tu chowacie, nygusy?

--Ermanrich! -- Poklepali się po plecach, uronili kilka łez, a potem rozejrzeli wokół w poszukiwaniu wroga. Wciąż rozbrzmiewał złowieszczy szczęk broni, od czasu do czasu zagłuszany przez grom.

--Co się z tobą stało? -- zapytał Baldwin. -- Nie widziałem cię po pierwszej szarży.

--Rozcięli mi tarcze na dwoje. Straciłem oszczep. Kiedy wysadzono mnie z konia, stwierdziłem, że może Bóg nie stworzyła mnie wojownikiem. I uciekłem.

--Jakie to odważne, drogi Ermanrichu -- powiedział Ivar.

--Widzę, że mam nad tobą dwa palce przewagi. Pokaż. -- Tunika Ermanricha wisiała w strzępach, z łatwością więc udarł pas wełny i ciasno obandażował dłoń Ivara. -- Puchnie. Boli? Ivar pokręcił głową, czując się coraz bardziej otumaniony.

--Tak. Nie. Kłuje mnie w palcach... to znaczy tam, gdzie miałem palce. Nic poza tym. Pulsuje.

Kiedy doszli do końca wzgórza, ujrzeli wielki oddział Qumanów jadący ku zakrętowi rzeki. Około pięćdziesięciu ciężkozbrojnych jeźdźców pod sztandarem księżniczki Sapientii jechało im na spotkanie. Sam ciężar natarcia zepchnął Qumanów ku rzece niczym owce, ale wszyscy lekko uzbrojeni jeźdźcy woleli napotkać miecz i tarcze, niż popłynąć w bezpieczne miejsce.

Ciężar działał na korzyść Sapientii. Ciężka jazda spychała Qumanów ku brzegowi rzeki, dopóki nie pojawił się jeździec o metalowych piórach i nie rzucił oddziałów do kontrnatarcia. Dwa potężne szeregi koni starły się na wąskim pasie lądu, a zmierzch okrywał już pole bitwy, gdy rozbrzmiały odgłosy niczym z wielkiej kuźni. Rozbrzmiał dźwięk rogu, krótki, potem długi. I znów.

--To sygnał odwrotu! -- krzyknął Baldwin. -- O Boże! Zostawiaj nas tutaj! Qumanowie wejdą w nocy na wzgórze i wszystkich nas wytną w pień!

Ermanrich pociągnął go i pobiegli od okopu do okopu, tych dziwnych umocnień, które otaczały zbocze raczej jak dekoracja, a nie fortyfikacje. W zapadającym zmierzchu księżniczka Sapientia została zabrana z pola bitwy przez męża, a połowa jej oddziału nadal walczyła, osłaniając odwrot.

--Panowie, pomóżcie mi, błagam. -- Głos był cichy, odgłosy bitwy i gromy niemal go

zagłuszyły. W cieniu pagórka leżał Lew, który osłaniał ich pierwszą ucieczką; z kilkunastu płytkich ran ciekała krew. Zaciskał dłoń na skórzanej kurcie swego towarzysza i usiłował ściągnąć go z odsłoniętego wału -- najwyraźniej uciekli inną drogą i teraz się z nimi spotkali. Zaczęło mżyć.

--Nie możemy czekać! -- szepnął Baldwin, ale Ermanrich już ocenił sytuację.

--Nie -- powiedział. -- Siły książniczki odparły tych, którzy wspinali się do fortu. Nie będą nas teraz ścigać.

Baldwin się trząsł.

--Ale mogą się wspinać po przeciwległym zboczu. Spadną na nas z góry.

--To umrzemy -- stwierdził Ivar. -- Wydawało mi się, że mówileś, że wolisz być martwy, niż wrócić do łóżka margrabiny Judith. Możesz dostać, o co prosileś!

--Ale ja nie chcę umierać! -- zaskomlał Baldwin. Ermanrich przyłożył mu, Baldwin pociągnął nosem, otarł go, a potem, jakby nic się nie stało, skoczył do przodu, chwycił nogę milczącego Lwa i pomógł ściągnąć go z wału.

Podążali dalej wokół wzgórza, ślizgając się na mokrej ziemi, aż ich dłonie i kolana ociekały błotem. Mżawka zmieniła się w kapuśniaczek, a ten w zwykły deszcz, a oni kolejno ciągnęli nieprzytomnego Lwa przez błoto i mech, a jego ranny towarzysz kuśtykał z tyłu. Kiedy wynurzyli się z za południowo-zachodniej krawędzi fortu, ujrzeli przed sobą bród, oblany światłem księżycy w pełni, od czasu do czasu zasłaniany przez chmury. I choć tam, gdzie kucali, wciąż padało, bród był czysty, a Ivar dostrzegł, że strugi deszczu urywały się dwadzieścia kroków przed półkolem Lwów, tworzących ścianę z tarcz, za którą kawaleria i piechota przeprowały się przez rzekę ku bezpiecznemu północnemu brzegowi. Niby wrota schroniska, tarcze otwierały się, by wpuścić pieszych, przybywających pojedynczo lub w grupkach, a potem znów zamykały, by stawić czoło sporadycznym szarżom wściekłych Qumanów, którzy nie mogli się przebić. Po drugiej stronie rzeki armia oddalała się w lasy w zadziwiająco dobrym szyku. Wozy już dawno zniknęły, ale jeden, wyglądający jak domek na kółkach, stał przy brzegu i przez chwilę Ivarowi zdawało się, że widzi, jak zasłona z paciorków w oknie się kołysze, jakby ktoś odsunął ją, by wyjrzeć na zewnątrz.

O rzut kamieniem od wozu ujrzal jasnowłosą postać w płaszczu Orła stojącą obok konia. Hanna była bezpieczna za rzeką.

Na wschodzie nadal rozlegały się odległe gromy, jakby burza już ich minęła. Poniżej widzieli Qumanów spychających siły Sapientii ku brodowi.

--Nie uda nam się -- powiedział Ermanrich. -- Jesteśmy odcięci.

--Nie, chłopcy -- powiedział stary Lew. -- Nie czekajcie na nas. Jeśli dobiegniecie...

--Nie mogę biec... -- wysapał Baldwin.

--Jesteś ranny? -- zapytał Ivar.

--Nie. Po prostu... nie mogę już biec.

--Spójrzcie -- rzekł Ermanrich. -- W górze jest fosa. Ukryjemy się tam, a potem w środku nocy pobiegniemy do brodu.

--Qumanowie wystawią strażę -- stwierdził Baldwin. -- Zabiją wszystkich, których znajdą. Nigdy nam się nie uda.

--Oto chłopak, który wierzy w łaskę Bożą -- powiedział stary Lew, śmiejąc się charcząco.

--Prawdą jest -- stwierdził Baldwin filozoficznie -- że śmierć wyzwoli mnie od mojej żony.

--Przynajmniej Zygryd i Hathumod są bezpieczni -- powiedział Ermanrich. -- I my też będziemy, jeśli nie zaczniemy rozpaczać. Wiecie, że to grzech.

Ivar wiedział, że to grzech, ale dłoń naprawdę go bolała i chciał się położyć i odpocząć. Ale czołgał się z resztą ku rowowi pełnemu chwastów i krzewów, osłoniętemu od rzeki stromym, podobnym do klifu zboczem i dwoma wysokimi wałami; mieli twarze pokryte błotem i lessem. Ciągnięcie nieprzytomnego Lwa pozwoliło mu się skoncentrować; najpierw Ermanrich, potem stary Lew wślizgnęli się do rowu. Ivar i Baldwin przerzucili nieprzytomnego nad krawędzią, wpadł w wodę wysoką na dłoń. Ermanrich szybko uniósł jego twarz, ale nawet to szarpnięcie go nie otrzeźwiło. Może już nie żył.

Za nimi, na szczycie wzgórza, rozbłysło słabe światło.

--O Boże! -- wyszeptał Baldwin. -- Patrzcie! To Qumanowie z pochodniami, idą nas szukać! -- rzucił się do rowu, a Ivar zsunął się za nim, tak potwornie brudny, że kolejna warstwa błota nie robiła mu już różnicy. Deszcz ustał, chmury przesunęły się na południe; przyświecał im jedynie woskowy księżyc i ta dziwaczna, błyszcząca poświata na czubku wzgórza.

Otoczony z jednej strony przez wał ziemny rów zmieniał się w staw, a z drugiej strony po stromym zboczu sphywał do niego strumyk. Spadająca woda odsłoniła dwa kamienne filary zwieńczone poprzecznym kamieniem, ukryte pod grubą warstwą mchu, która zmieniła się teraz w poszarpane mokre macki.

Ivar nabral wody i napił się; po raz pierwszy od utraty palców otrzeźwiał.

--To musiała być cysterna starego fortu -- powiedział, przesuając palcem po ozdobnej płaskorzeźbie wciąż widocznej pod warstwą mchu na jednym z kamieni: ludzkiej postaci noszącej jelenie rogi. Odsunął zwisający mech. -- Patrzcie! -- Baldwin stanął przy nim. W głąb wzgórza, w ciemność, biegł tunel. Nie czekając, Ivar wślizgnął się za roślinną zasłonę. Tunel był wąski, ale Ivar zdołał się przecisnąć. Wewnątrz było ciemno choć oko wykol, a do kolan sięgała mu woda, jednak miejsce wydawało się bezpieczne. -- Baldwin!

Poczuł fale na kolanach, a potem Baldwin otarł się o niego.

--Ivar? To ty, Ivarze?

--Oczywiście, że to ja! Słyszałem plotki, że Qumanowie boją się wody. Może uda nam się tu ukryć, jeśli nie jest za głęboko. -- Wymacał drogę stopą, ale podłoże niewidocznego strumienia wydawało się dość solidne; pod jego butami przetoczyło się kilka kamyków, to wszystko. Żadnych głębi. Zanurzył ramię w wodzie, znalazł kamień. Rzucił. Rozbrzmiał pusty plusk, umilkł. Usłyszał kapanie -- a potem nagle szuranie, jakby szcurów.

--Co to było? -- syknął Baldwin, łapiąc Ivara za łokieć.

--Auć, szczypiesz!

A potem usłyszeli to: jęk bez słów, niczym głos umarłych, niezrozumiałą paplaninę.

--O Boże -- Teraz Ivar złapał Baldwina. -- To kurhan. Weszliśmy do krypty i teraz zostaniemy przeklęci!

--Czy to wy? -- Zabrział nieznamy głos, wysoki, przenikliwy i dziwnie zniekształcony przez kamień i kapiącą wodę. -- Czy to przyjaciele Ermanricha?

--P... Pani Hathumod? -- wykrztusił Baldwin.

--Oj, Pani, dzięki! -- Nie widzieli jej, ale jej głos był wyraźny, choć słaby, zakłócany kamieniami i echem. -- Biedny Z Zygryd zossstał ranny w ramię i ssię zgubiliśmy i... i

modliłam się do Boga, żeby zesłała mi znak. I wtedy tu wpadliśmy. Ale tutaj jest sucho i wydaje mi się, że tunel ciągnie się dalej we wzgórzu, ale bałam się iść.

--Co teraz robimy? -- mruknął Baldwin.

Dzięki szokowi wywołanemu zetknięciem z zimną wodą znów mógł myśleć. Dłoń paliła go żywym ogniem, ale wiedział, co musieli zrobić, nawet jeśli oznaczało to przebudzenie ducha jakiejś starożytnej, zawiniętej w całun królowej.

--Zawołamy resztę i wejdziemy tak głęboko, jak tylko zdołamy. Qumanowie nigdy nie odważą się podążać za nami przez wodę. Za dzień lub dwa sobie pójdą, a my odejdziemy.

--Tak po prostu? -- zapytał Baldwin, nie wierząc lub nie mogąc znaleźć słów.

--Tak po prostu -- obiecał Ivar.

2.

Flota zgromadziła się na północ od Hakonin, w zatoce zwanej Vashinga i stamtąd poeglowała na północ, wokół przylądka Skagin, minęła wyspy Hefrey, znane też jako Koźłeta. Kilka statków wylądowało, żeby zdobyć zapasy w małych siolach rybackich; zabrali stamtąd beczki suszonych śledzi i zabili kozy, które zdołali schwytać.

Ale Silna Ręka myślał o większym łupie. Jego zwiadowcy przynieśli wieści o flocie Nokwiego; gdy wpłynęli do wielkiej zatoki Kjalmarsfjord, ujrzeli wroga zakotwiczonego na jej szarozielonych wodach. Ruffy utrudniały podpłynięcie, a poza tym Nokvi ustawił swe statki pomiędzy dwiema małymi skalistymi wyspami, zwanymi Małym Kozłem i Wielkim Wężem.

Nieważne. Nokvi miał zaledwie siedemdziesiąt cztery statki. Wciąż wierzył, że magia kapłanów drzew z Alby przyniesie mu zwycięstwo.

Z rufy swego okrętu Silna Ręka patrzył na własną flotę, rozciągniętą po bokach jak skrzydła: dziewięćdziesiąt osiem długich łodzi i kilkanaście skifów do wyciągania z wody rannych. Za nimi pojawiały się zmarszczki na wodzie: trytony przybyły na żer. Ich grzbiety przecinały powierzchnię, lśniąco, wdzięcznie wygięte, i znikwały w głębinach. Zerwał się południowy wiatr, pokrywając wodę białą pianą. Był gorący i wilgotny, a nad przylądkiem na południu zebrały się chmury.

Na wszystkich jego statkach zwinęto żagle. Wiosła cięły morze, gdy okręty ustawiały się w szyku bitewnym: łodzie Hakoninów i Jatharinów na północnym skrzydle, Vitningseyów i Ringarinów na południowym. Silna Ręka i okręty Rikinów ustawiły się pośrodku, po lewej miał okręty z doliny Namms, a po prawej, gdzie mógł mieć na nich oko, najnowszych sprzymierzeńców, Skumów, Raufiritów i Isów.

Nakazał położyć maszty. Skórzane bębny wybiły rytm i flota ruszyła.

--Silna Ręko. -- Dziesiąty Syn z Piątego Miotu wskazał na niebo za ich plecami. Pędziły za nimi chmury deszczowe, a na powierzchni morza klębiła się mgła. -- Niedobrze jest atakować pod zachmurzonym niebem.

--To robota tych kapłanów drzew. Mniej nam zrobi szkody niż wodzowi, któremu chcą pomóc. Ich magia to jedynie cień w południowym słońcu.

Jego statek głęboko zanurzał się w wodzie, dziób pogrążał się w każdej fali. Rzemieślnicy przybili żelazne tarcze na burtach i najeżyli dziób metalowymi kolcami. Zbliżała się burza; zerwał się silny wiatr, który przybliżał ich ku flocie Nokwiego. Nokvi nakazał, żeby pośrodku związane okręty, tworząc większe platformy do walki. Lżejsze jednostki, bardziej mobilne, zostały na skrzydłach, a z tyłu podskakiwały na falach okrągłe łodzie z rozwiniętymi żaglami i dziwnymi masztami, zielonymi i porośniętymi listowiem. To z nich kapłani z Alby mieli obserwować bitwę i dotrzymać swej części umowy.

Ale ona nic im nie przyniesie. On już widział upadek Nokwiego spowodowany magią, na której jego przeciwnik tak poległ.

Kiedy flota się zbliżyła. Silna Ręka uniósł swój sztandar i okręty Hakoninów i Vitningseyów ruszyły, aby uderzyć we flanki Nokwiego. Natychmiast rozpętała się zażarta bitwa na pokładach, a on uniósł sztandar po raz drugi zaatakowała druga flankę, okręty rozstawiły się jeszcze szerzej, swymi kadłubami zmiatając przeciwnika. Środek pozostawał nienaruszony, jego wiosłarze lekko wiosłowali w tył, by utrzymać dystans większy niż odległość strzał z łuku. Ale słyszał, jak ludzie Nokwiego wykrzykują obelgi i przekleństwa. Nokvi nie

nakazał jednak ataku; przygotował już okręty, podniósł wiosła. Czekał na burzę.

Silna Ręka czuł, jak za jego plecami zrywa się wiatr.

Po lewej jeden z okrętów Isów wpadł na rafę, a statek Vitningseyów dryfował ku Wielkiemu Wężowi, pusty. Ale niektóre z okrętów Nokwiego też tonęły, jeden się zapalił, a na drugim jedynie kilkunastu wojowników broniło pokładu.

Wiatr dał silniej. Pokład kołysał się pod nim łagodnie, przypominał o potędze morza. Okręty Hakoninów uderzyły mocno we flankę Nokwiego.

Silna Ręka dał znak; przygotowano kotły, wojownicy poderwali się z wrzaskiem, gotowi skoczyć w bój. Czarne strumienie dymu podniosły się ze środka floty Nokwiego; on też zamierzał użyć ognia. Między okrętami skręciły się liny, wiążąc razem tych, którzy mieli runać prosto w środek wroga. Okręt Silnej Ręki o smoczym dziobie znajdował się z tyłu pierwszej platformy Rikinów, szerokiej na trzy łodzie.

Na północy i południu okręty Nokwiego ustępowały przewadze liczebnej, wiele dryfowało bez załogi, na ich pokładach leżały trupy. Z floty Silnej Ręki jedynie okręt Raufiritów zatonął, a Ringarinów płonął.

Wiatr za ich plecami zmienił się w nawałnicę. Woda morska uderzała o burty, piana osiadała na twarzach. Kiedy spadł na nich deszcz, po raz ostatni uniósł swój sztandar.

Flota się zbliżyła. Ludzie przygotowali się, unosząc tarcze. Kiedy byli już blisko, wojownicy Nokwiego rzucili się na dzioby. Najsilniejsi napięli luki, ale wiatr szalał tak, że wszystkie strzały zostały zniesione i spadły do wody daleko od platform Rikinów. Jego wojownicy wypuszczali strzałę za strzałą, równo jak krople deszczu. Pociski uderzały we wrogie okręty, przelatując nad ścianą z tarcz, ciągnącą się od dziobów.

Nadciągnęły ciężkie chmury, niebo pociemniało w chwili, gdy dwie wielkie platformy zderzyły się; w samym środku burzy rozpętała się walka. Jego ludzie mniej się tym przejmowali niż ludzie Nokwiego: ci walczyli pod wiatr. Burza ograniczała widoczność. Ledwo stali, smagani wiatrem, gdy jego okręty uderzały raz za razem w drewniane kadłuby, a wojownicy miotali kamieniami.

Kotły smoły zakolysały się dziko, rozlały dym i gorącą smolę na tarcze i do morza, gdzie syczała i gasła. W tym wietrze ogień niewiele mu pomógł. Ale Nokwiemu jeszcze mniej. Wreszcie go ujrzał, stojącego na uniesionej rufie okrętu: muskularne SkalneDziecko o złocistej skórze, czystej niczym przędza ze spódnic SzybkichCórek. Nosił wielokolorową spódniczkę ze srebra, złota, miedzi i ołowiu, a jej cudowny wzór powtarzał się w splecionych kołach, które wymalował na piersi. Czy to możliwe, że wraz z magią ludzi przyjął też ich bogów?

Silna Ręka dotknął drewnianego kręgu, który wisiał na jego szyi, w odruchowym geście przesunął po nim palcem. Dobrze jest poznać wroga, nawet się od niego uczyć, ale głupotą jest uwierzyć, że wróg ma rację. Jeśli tak pomyślisz, posiejesz ziarna własnej porażki. Jak Nokvi, który nie zdawał sobie z tego sprawy.

Teraz wreszcie Silna Ręka dał wodzowi Nammsów, Silnemu Ciosowi, długo wyczekiwany sygnał. To jemu oferował przywilej zemsty.

Ustawili okręt burtą. Kolce wbiły się w statek Nokwiego; okręty zderzyły się na całej linii, ale skrzypienie i trzaski nadwerżanego drewna zostały zagłuszone przez wrzaski SkalnychDzieci, które przeskakiwały na pokłady i rzucały się na siebie. Silny Cios parł naprzód, otoczony najsilniejszymi z tych, których nie było, gdy Nokvi zaatakował dolinę Namms i spalił

żywcem wodza i jego towarzyszy w ich własnym dworze. Furia była wspaniałym batem. Silny Cios płonął od niej, wszyscy przed nim padali. Miał drewnianą maczugę nabijaną kamiennymi ostrzami, jej ciosy miażdżyły tarcze i helmy, ramiona i czaszki.

Ale gdy Nokvi ujrzał, że Silny Cios sieje śmierć na pokładzie, skoczył ku niemu z oszczepem. Gdy Silny Cios uniósł maczugę do kolejnego uderzenia, Nokvi pchnął, szybko i pewnie; trafił wodza doliny Namms w gardło. Ale Silny Cios, padając, zamachnął się po raz ostatni, a jego maczuga spadła na prawą dłoń Nokwiego i zgruchotała nadgarstek z taką siłą, że dłoń i oszczep poleciały nad relingiem do morza. A potem, w fontannie krwi, Silny Cios znieruchomiał.

Została tylko rufa okrętu Nokwiego. Biegąc z pokładu, Silna Ręka widział, że miał zwycięstwo na wyciągnięcie ręki. Inne okręty nadal walczyły, ale poddają się albo uciekają, gdy tylko ujrzą śmierć swego wodza.

Pozwolił, by wojownicy oczyścili mu drogę. Nie miał złudzeń co do swej zręczności w bitwie; nie był wielkim wojownikiem i nigdy nie chciał nim być.

Chciał być królem wszystkich Skalnych Dzieci. Nawet Krwawe Serce nie zdobył takiej władzy.

--Zabijcie wszystkich prócz Nokwiego -- krzyknął, a jego dobrzy, silni bracia z Rikin szybko wykończyli resztki wspaniałej armii Moerinów, aż został tylko Nokvi, wymachując sztyletem, spychany w tył przez oszczepy.

Wychodząc spomiędzy swych oddziałów, Silna Ręka z całej siły pchnął Nokwiego oszczepem. Uderzenie przybiło jego zdrowe ramię do burty; ryknął wściekle, bezradnie, a Silna Ręka wziął topór od jednego z braci i uciął Nokviemu drugą dłoń.

Jego wojownicy wrzasnęli triumfalnie; ujrzał, że bitwa wygasa, a wiatr cichnie.

Wyrwał oszczep z burty i szybko, drzewcem, uniósł plującego i rzucającego się Nokwiego i przechylił go, bezradnego, przez reling. Morze kotłowało się za burtą, gdzie zgromadziły się trytony, ich śliskie grzbiety przecinały krwawe wody.

--Niech żaden z klanów nie staje przeciw mnie -- krzyknął Silna Ręka. -- Albo stanie się z nimi to, co dziś z wodzem Moerin!

Przerzucił Nokwiego przez burtę.

Ale gdy Nokvi walczył z trytonami, gdy tonął -- a wiatr ucichł i deszcz ustał tak nagle, że wiadomo było, iż nie spowodowały go naturalne siły -- on biegł na rufę i wspinał się najwyżej. Jak mógł, wyglądając łodzi kapłanów drzew z Alby. Mgła zakrywała północne wejście do zatoki, jakby chmury z południa przepłynęły nad miejscem bitwy i zatonęły w oceanie. Ujrzał zielony, kwitnący maszt znikający we mgle.

Czy kapłani zdradzili Nokwiego, by go zniszczyć, czy też porzucili go tylko dlatego, że musiał przegrać?

Pobiegł na własny statek, który kołysał się na falach, wolny od spinających go z innymi bosaków i zostawiając ster Dziesiątemu Synowi z Piątego Miotu chwycił z braćmi za wiosła, goniąc za Albanami prosto w mgłę.

Mieli siłę i szybkość, która powinna umożliwić im schwywanie albańskich łodzi, ale mimo sztandaru umieszczonego na dziobie, tuż pod smoczym lbem, prawie natychmiast zgubili się w gęstej mgle. Silna Ręka zostawił wiosła i stanął na dziobie, gapiąc się w otaczający ich opar; było tak cicho, że zastanawiał się, czy opuścili już Ziemię. Ale nadal czuł zapach bitwy. Czuł

kolonię mewek na dalekim klifie, słyszał odległe okrzyki mew, gromadzących się, by ucztować na resztkach zostawionych przez trytony. Wiosła uderzały w wodę. Morze rozbijało się na niewidocznym brzegu.

Pochylił się naprzód. Czy to błysk światła? Co to za ruch? Mgła opływała mu twarz, zimna i mokra, zapadła taka cisza, że zdawało mu się, iż słyszy zgiełk innej bitwy, tak odległy, że musiał śnić. Śnił o Alainie, choć nadal czuł, jak jego dłonie moczy piana, a lodowate palce mgły zaciskają się na jego gardle.

Lwy stoją na wzgórzu. Poniżej. Książę Bayan ustawił kawalerię naprzeciw uskrzydłonych qumańskich jeźdźców, oddziałów tak licznych, że zdają się raczej potopem zalewającym wschodnie wzgórze. Niczym potop nacierają na szeregi wendarskie i ungryjskie. Myśli, że nigdy nie słyszał czegoś tak potwornego jak dźwięk ich skrzydeł. Przynajmniej nie od czasu, gdy Tallia się go wyparła.

Pod nimi na flankach zaczyna się bitwa. W sam środek qumańskich łuczników uderza piorun, ale po chwilowym zamieszaniu ustawiają się w szyku i walczą dalej.

Może jedynie czekać i patrzeć; niedługo ranni i pozbawieni koni jeźdźcy będą szukać schronienia wśród Lwów i choć na razie jest tu bezpiecznie, zdaje sobie sprawę, że to iluzja; bezpieczeństwo jest chwilowe. Pani Fortuna tylko czeka, by zakręcić swym kołem.

Zadziwia go własne rozgoryczenie.

--Tam! -- krzyczy Folquin. -- Tam jest ich sztandar, ale czy to ich wódz? Dlaczego reszta dumnie nosi skrzydła, a on nie?

--Duma? -- sugeruje Ingo.

--Pokora? -- Stefan jest z nich najmłodszy i nadal wypowiada się z wahaniem.

Leo się śmieje.

--Nie ma pokornych książąt, Stefanie. Jeszcze się tego nie nauczyłeś?

Potem patrzą na niego i widzi w ich twarzach, że wspominają, kim kiedyś był. Wspominają jego kłótnię z kapitanem Thiadboldem, kiedy ten nakazał mu przywiązać psy wśród wozów, żeby nie poszły za Alainem do bitwy; być może wspominają chwilę, kiedy się zapomniał i zachował jak hrabia, a nie zwykły Lew, którego matka była kurwą i którego los zależał od króla.

Psy poszły z wozami.

--Patrzcie -- mówi. Ze wschodu nadciągają chmury niczym stado mew uciekających na brzeg przed burzą. -- Niedługo zacznie padać.

--Boże, dopomóż -- mówi Ingo. Wszyscy wiedzą, co deszcz zrobi z polem zoranym końskimi kopytami.

Alain nie widzi w bitwie prawidłowości, jedynie ruch wirów i prądów, które wzbierają i kręcą się w przesuwającej się linii starć. Sztandary skaczą z jednego miejsca na drugie, niczym łodzie na wzburzonych falach. Czasami padają. Czasami podnoszą się w rękach innego chorążego.

Folquin jęczy i znów wskazuje;

--On się rusza.

Sztandar księcia Bulkezu unosi się wysoko. Słysząc wycie, pierwszy dźwięk, jaki wydobywa się z gardła Qumanów, którzy jadą ku walce i śmierci milczący, mówią tylko ich skrzydła. Kiedy bezskrzydły książę wjeżdża na pole bitwy, po wendarskiej stronie odzywa się róg.

Książę Bulkezu prowadzi szarżę na środek wendarskiej linii, prosto na sztandar Olsatii i

Austri. Margrabina Judith i jej oddział pędzą naprzód, by zetrzeć się z przeciwnikiem. Są tak liczni, że Alain czuje, jak od tętentu kopyt drży ziemia. A może to jedynie odległy dźwięk gromu, bo czarne chmury wiszą nad wzgórzem i na wschodzie zaczyna padać deszcz.

Ciężki koń wendarski prze na linię Qumanów, Lwy ryczą triumfalnie, gdy margrabina Judith z chorążym u boku rzuca się na qumański sztandar. Wiatr rozwiewa jej chorągiew, która łopocze w chwale. Sztandar qumański wydyma się, przybity do drzewca czterema rogami. Bezskrzydły książe zostaje odrzucony w tył samą siłą ich szarży, wokół Alaina zaś Lwy zaczynają śpiewać żarliwy hymn, jakby ich głosy miały dodawać ducha towarzyszom:

„Błogosławieni Bóg, którzy szkolili nas do walki”.

Ale to tylko kolejny dźwięk zagłuszony zgiełkiem bitwy.

Lanca margrabiny Judith ociera się o głowę księcia, obraca jego hełm, i gdy margrabina się przybliży, odrzucając lancę, Bulkezu zrzuca hełm, a kaskada czarnych włosów opada mu na ramiona. Jej miecz uderza celnie, prosto w jego nie osłoniętą głowę.

Ale cios nigdy nie spada.

Jeździec na koniu białym jak czysty śnieg rzuca się pomiędzy nich. Cios spada na poobijaną okrągłą tarczę, a jeździec paruje i uderza, jednym czystym cięciem pozbawiając margrabinę Judith głowy.

Następny pada sztandar Austri, przecięty na pół, tratując go końskie kopyta. Bezskrzydły książe, pozbawiony hełmu, z czarnymi włosami lśniącymi tak, że zdają się jedwabną chorągwią, tnie mieczem.

A ona jedzie po jego prawicy, tak jak niegdyś jeździła z Alainem.

Przez cały czas Alain wierzył, że Pani Bitew znów się mu objawi. Nie obawiał się iść do bitwy, bo wiedział, że ona tam będzie, tak jak kiedyś.

I jest tu. Ale tym razem jedzie po prawicy wroga. Czy o nim zapomniała? Czy to było kłamstwo? Czy to jej róża płonie mu na piersi, czy to tylko strach serca?

Środek wendarski pada, gdy żołnierze Judith uciekają z pola.

--Chodźcie, przyjaciele! -- woła kapitan Thiadbold, biegnąc wzdłuż szeregu. -- Przesuwamy się do fortu, w szyku. Trzymajcie tarcze w pogotowiu. Kawaleria nie przedrze się, dopóki utrzymamy mur z tarcz.

Podczas gdy bitwa zmienia się w setki potyczek, bezskrzydły książe prowadzi szarżę na Lwy na wzgórze. Bulkezu najpierw skręca w lewo, ku południowo-zachodniemu zbocz, ale okazuje się ono zbyt strome dla koni. Zawraca. Większość Lwów dotarła już do szczytu i niewidoczna zaczęła schodzić północnym stokiem. Pierwsza kohorta strzeże odwrotu, a Alain idzie za towarzyszami, którzy wycofują się na wzgórze. Na zboczu są okopy tak płytkie, że jeźdźcy je przeskoczą, nawet jeśli zmoczona deszczem i zdeptana ziemia zmieniła się w błoto. Ale okopy zwolnią ich przejście. Lwy, piechota, mają nad nimi przewagę. Mimo wszystko jest naprawdę zadowolony, że nie ma z nim Smutka i Furii. Nie zdołałby ich tutaj ochronić.

Docierają do szczytu. Pogoda i czas zmieniły okopy w doły. Pośrodku, w kręgu wałów ziemnych, leżą zwalone kamienie i Thiadbold ustawia tam kohortę w chwili, gdy Qumanowie przedzierają się przez labirynt okopów i wpadają na szczyt. Oszczepy glucho uderzają o tarcze. Miecze szczyrbiają się o metalowe obicia. Ale mur wytrzymuje.

Wycofują się przez kamienie. Alain widzi jedynie jeźdźców napierających na niego. Trzyma się. Jedyłą modlitwą jest prośba, by się nie poślizgnąć w nieodpowiedniej chwili, by to nie jego

tarcza otworzyła tę pierwszą, zabójczą lukę. Jest bezużyteczny, ale robi, co w jego mocy, by nie zawieść wiary, jaką pokładają w nim towarzysze.

Złamał już obietnicę daną rodzinie, która go wychowała. Okłamał już umierającego i zawiódł jego zaufanie, i tracąc w efekcie to, co mu umierający powierzył. Stracił już jedyną kobietę, którą kochał.

Przynajmniej tu i teraz może służyć Pani Bitew, dotrzymując przysięgi, którą jej kiedyś złożył.

A potem ją widzi, kobietę w średnim wieku, w kolczudze połatanej żelaznymi kółkami. Jej miecz nie jest wymyślny, to twardy, dobry metal, stworzony do zabijania. Nie nosi hełmu: nie potrzebuje go.

Pani Bitew wreszcie do niego przyszła.

Ale wciąż walczy po drugiej stronie.

--Trzymać szereg! -- krzyczy Thiadbold, uderzając swym zakrzywionym oszczepem w Qumana po prawej stronie Pani. Ona jednym płynnym ruchem odbija oszczep. Ale nadal żaden qumański miecz ni oszczep nie przebił muru z tarcz.

I wtedy ona dostrzega Alaina.

Unosi swój miecz; ostrze opada, przerąbując jego tarczę na dwie części, które trzymają się razem na drzazgach. Powstał wylom w murze z tarcz. Teraz wszyscy umrą.

Nie, jeśli on się poświęci.

Rzuca się naprzód, żeby mogli zewrzeć szereg. Ktoś woła go po imieniu, ale Lwy nie są głupcami. Znów rozbrzmiewa głos Thiadbolda:

--Zamknąć wylom! Utrzymać szereg!

Przez chwilę odczuwa triumf. A potem ona go przebija tuż pod żebrami. Miecz wchodzi w kolczugę jak w masło. Krew zalewa kubrak, Alain zatacza się, oszołomiony, i pada.

--Ale przysiągłem ci służyć -- szepcze zdziwiony, bo tak naprawdę nigdy nie sądził, że coś takiego mu się przydarzy. Nigdy nie sądził, że umrze na polu bitwy.

--I służysz. -- Jej głos, niski i głęboki niczym dzwon kościelny, rozlega się echem w jego głowie. -- Jedni służą, zabijając, a drudzy umierając. Oto serce wojny.

Jedzie dalej za bitwą, porzucając go.

Kopyto konia qumańskiego miażdży jego lewą dłoń, inny kopie go w policzek. Zapięcie puszcza, hełm odtacza się.

Prąd bitwy przepływa nad nim. Niedaleko człowiek jęczy w agonii. Deszcz pada delikatnie na jego odsłonięty policzek. Wszystko wydaje się znacznie ciemniejsze i przez chwilę Alain ma wrażenie, że traci wzrok, ale potem uświadamia sobie, że słońce zachodzi, naprawdę się ściemnia. Pod jego żebrami płonie ogień, Alain myśli, że może wypali go do czysta. Teraz rozumie, dlaczego niektórym ludziom łatwo jest położyć się i umrzeć. Ale wciąż słyszy tego biedaka krzyczącego z bólu. Wyciąga ręce i unosi się, opierając je na skrzydłach martwego Qumana. Ślizga się na zakrwawionym ciele i pada twarzą w błoto, ale z jękiem dźwiga się znów na dłonie i kolana, a mżawka oczyszcza mu wzrok. Znajduje się oko w oko, twarzą w twarz z martwym Lwem. Zna tego człowieka, ale nie pamięta jego imienia. To chyba nie ma już znaczenia, bo czym jest ciało bez duszy? To, co kiedyś ożywiało trupa, uleciało. Jak niedługo uleci dusza Alaina. A jednak czołga się naprzód, bo nie może znieść tego, że ktoś inny cierpi.

Znajduje Qumana wijącego się na ziemi, jego członki drgają, biedaczysko może jedynie

jęczeń. Od głębokiego cięcia w brzuch wylały się wnętrzności, stratował go też koń.

O Boże, dlaczego cierpienie przesładuje ludzkość? Kiedy się skończy?

W oddali słyszy zgłęb bitwy, przegrywanej na północnym stoku wzgórza. Czyż to nie serce wojny?

Quman go widzi, dostrzega jego wzrok. Ich spojrzenia się spotykają. Może na polu bitwy wszyscy żołnierze rozumieją się bez słów. Między nimi leży sztylet. Mężczyzna jęczy. To prośba. To modlitwa.

Alain łapie sztylet i z całej siły napiera na niego, by poderżnąć gardło mężczyźnie, który się nie opiera; oto miłosierna śmierć, jeśli można to nazwać miłosierdziem. Potem opada wyczerpany.

Zabił. Teraz umrze. W ten sposób służył Pani Bitew. Sięga do piersi, ale nie ma siły, żeby wyjąć sakiewkę, która skrywa różę. Nie ma już niczego, niczego, co by się liczyło, rodziny, towarzyszy, obietnic, które go wiążą. Wkracza w śmierć sam, jak sam wkraczał w życie, wyrwany z umierającej kobiety.

Deszcz pada mocniej, moczy ziemię. Okrywa ich mrok, ale wstał księżyc. Ale jak może widzieć księżyc, skoro chmury przesłoniły niebo? Wśród zwałonych kamieni coraz jaśniej płonie blade światło.

Może powinien teraz się położyć i poczekać na śmierć, ale coś go dręczy, pcha do przodu. Podąża ku źródłu światła. Myśli, że kiedy tu walczył, wszystkie kamienie leżały, wyrwane z ziemi przez ludzkie ręce lub czas i pogodę. Jednak teraz pośrodku ruin stoi jeden kamień. Emanuje lekką niebieską poświatą, która przemyka po nim niczym zmarszczki na wodzie. Kiedy do niego dociera, wczepia się pazurami w jego powierzchnię, unosi się, opiera, by widzieć.

Poniżej ostatni oddział Lwów dociera do brodu. Rozpoznaje rude włosy Thiadbolda, bo kapitan zgubił hełm. Książę Bayan i jego kawaleria przekraczają rzekę. Dalej na północy Alain widzi armię wycofującą się w szeregach. Do brodu, przy którym stoi pięćdziesięciu Lwów -- wszystko, co zostało z pierwszej kohorty -- zbliżają się Qumanowie.

Wyżej na rzece niska fala podpływa do brzegu i wylewa się niczym szukające po omacku palce. Książę Bayan krzyczy, Lwy cofają się krok po kroku ku płytkiemu brodowi: oto popędliwy, sentymentalny Folquin, cichy Stefan, postawny Leo i prawy Ingo. Najdzielniejsi z Qumanów popędzają konie ku brzegowi i nawet wjeżdżają kilka kroków w wodę.

Rzeka się podnosi. Fala zalewa Qumanów, płoszy ich konie, wycofują się więc przesądnie, a Lwy w szyku przechodzą przez wodę i wreszcie docierają bezpiecznie na drugi brzeg. Kiedy tylko wychodzą na ląd, w dół strumienia, pędzą ryczące wezbrane fale. Rzeka staje się nieprzekraczalna. Wydaje mu się, że w falach widzi jakieś stworzenia, wijące się w pianie, ale wie, że nie może już ufać swym oczom.

Przeszywa go ból. Kaszle, a ból niczym szpony szarpie mu klatkę piersiową. Z ust splywa mu ciepły strumyczek, czuje smak krwi. Jest cicho, słychać tylko jego chrapliwy oddech i odległy ryk wezbranej rzeki.

A potem, wyraźnie słyszy szczekanie. Błękitny płomień przemykający po kamieniu głaszcze jego plecy. Dziwne: koi ból i wyostrza słuch. Znowu słyszy szczekanie, a potem psy są tuż przy nim, jego ogony uderzają go tak mocno, że z bólu zaczyna mu się kręcić w głowie, ale przecież już się kręci. Smutek głaszcze go po dłoni, Furia skacze, opierając mu wielkie łapy na ramionach i liże go po twarzy tym cudownym szorstkim językiem.

A on płacze, bo nie chce ich zostawiać.

To niesprawiedliwe, zostawiać je same na świecie.

Rozjarza się światło. Otacza go zimny ogień, w mdlącym szarpnięciu czuje, jak ziemia przesuwa się w jedną stronę, on pada w drugą...

Zniknął.

Połączenie zostało przerwane.

Słońce odbijało się od wody. Silna Ręka musiał osłonić dłonią oczy. Po lewej małeńka wyspa pełna była mew. Woda uderzała w okręt, gdy wypływali na morze, okrążając przylądek, który skrywał wewnętrzną zatokę, wiodącą do Kjalmarsfjord. Albańskie łodzie zniknęły na otwartym morzu.

A jednak kapłani drzew wcale mu nie uciekli. Kiedy już zdusi najmniejsze punkty oporu wśród klanów i zmusi wszystkich wodzów, by uznali go za króla, uderzy dalej. Wtedy podążą za nim wszystkie SkalneDzieci i nikt z ludzi nie zdoła ich powstrzymać.

Na jego statku wojownicy ryczeli triumfalnie, słyszał odległe echo z wioski rybackiej, gdzie świętowali jego bracia i sojusznicy.

Odniósł dziś wielkie zwycięstwo.

A jednak czuł jedynie rozpacz.

3.

Porażka miała dziwnie słodki smak. Anne ich znalazła, ale po raz pierwszy od dwóch lat był gotów do bitwy, wznosił miecz, a za nim stał dobry mocny koń. Po raz pierwszy widział w kobiecie, którą poślubił, coś więcej niż tylko możliwości, widział objawioną moc. Przestała składać się jedynie z niezrozumiałych obliczeń i irytujących pytań, późnych nocnych spacerów pod milczącymi gwiazdami, kiedy zdawała się bardziej interesować poznawaniem wysokości gwiazd niż, no cóż, poznawaniem jego. Zdobyła potężny miecz, jakim jest prawdziwa magia, której można użyć.

Gdyby tylko mogli się stąd wyrwać...

Anne wyjęła swą laskę z rozpadającej się bramy światła i skierowała ją, niczym królewskie berło, na Liath. Odezwała się tonem cesarzowej, jednocześnie twardym i miłosiernym:

--Liathano, wiem, że sądzisz, iż zabiłam twojego ojca, ale przysięgam, nie zostałam poczęta w cielesnym związku między mną i Bernardem. Takie pochodzenie uczyniłoby cię zbyt słabą jak na ścieżkę, którą masz podążyć. -- Liath, uparcie próbująca na powrót spleść między kamieniami gwiazdne nici, zawahała się, a Anne mówiła dalej: -- Twój ród jest inny, niż sądzisz. Twoja wrogość do mnie nie ma podstaw. Bernard nie miał prawa cię wykraść. Zabrał to, co nie on miał kształtować. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nasze przeznaczenie musi się dopełnić. Mamy mało czasu. Nie traćmy go na klótnie, skoro tylko nasze połączone moce mogą uratować świat od zguby.

W oddali usłyszał słabe, przerażone beczenie kozy, które zmieniło się w urywane jęki umierającego zwierzęcia. Zabrzmiały dzwony, najpierw daleko, a potem bliżej, choć dźwięk nie wydawał się głośniejszy. Trzy kroki od niego Liath zakreśliła koło drzewcem strzały, gdy z kamiennego kręgu wylały się na nich cienie, zrywające ostatnie lśniące linie jej zaklęcia, tak jak wiatr zrywa połyskującą od rosy pajęczą sieć.

--Opuszczamy Vernę -- powiedziała Liath.

--Nie mogę na to pozwolić. To w Vernie musisz spleść swą część wzoru, gdy nadejdzie czas. Tutaj znajduje się centrum wszechświata. Nie rozumiesz, dziecko? -- Anne stała pośrodku cieni, jaśniejąc, blask nie pochodził jednak od niej, po prostu przemykające wokół cienie były tak absolutnie czarne, że na ich tle jej sylwetka lśniła.

Liath zaklęła pod nosem, gdy błyszczące, znikające linie jej zaklęcia zwinęły się, niczym bezgłowe węże, w kłęby widoczne tylko dlatego, że mglisty ślad po nich odcinał się od nieziemskiej ciemności, która zbierała się wszędzie, pochłaniając niebo i ziemię. Jej głos był jednak mocny:

--Odchodzę z mężem i dzieckiem.

--O Boże! -- ciągnęła Anne. -- Próbowałam ci pomóc, zapobiec temu poczęciu, temu dziecku. Nie rozumiesz, Liathano? Książę Sanglant wykorzystał cię w najbardziej podstępny sposób. Próbował cię zabić, zapładniając cię, i spójrz, niemal mu się udało! Ocaliła cię jedynie twa moc. Mylisz się co do niego. On cię naprawdę nie kocha. Chce ciebie i dziecka tylko po to, by jego lud zwyciężył. Kiedy uwolnisz się spod jego wpływu, pojmiesz jasno swój obowiązek wobec Boga i ludzkości.

--Nie wierzę ci. -- Liath zrobiła krok w kierunku Anne, ale chyba natrafiła na niewidzialny opór, ścianę z powietrza. Powoli, jakby pokonywała wielki ciężar, uniosła prawą dłoń, mierząc

drzewcem, i zmrużyła oczy. *Złote pióro zaśniło.*

Dół szaty Anne zajął się ogniem. Zaskoczona kobieta cofnęła się o krok. Wokół niej zawirował wiatr, zmienił się w wir i stłumił ogień.

--Jesteś pod jego urokiem -- rzekła Anne ostro. -- Nie mam więc wyboru. „Żadna rana zadana przez samca czy samicę go nie zabije”. Niech nam Bóg wybaczą zadawanie się z takimi potwornymi stworzeniami, ale nasza sprawa jest słuszna. -- Uniosła oba ramiona. -- Niech *galla* pochłoną jego i dziecko.

Za plecami Sanglanta rozbrzmiały dzwony, poczuł drzenie pod stopami. Na szczycie wzgórza zapachniało kuźnią. Od gorzkiego odoru przeszły go ciarki jak po uderzeniu pioruna.

Przywiązana do siodła Resuelto koza, lub jej koźlątko, wydała z siebie odgłos tak okropny, że Sanglant zadrżał, obracając się na pięcie w oczekiwaniu ataku. Blessing jęknęła, jakby coś ją ugryzło.

Byli otoczeni.

To nie były uwięzione przez Anne demony, pierzaste stworzenia uformowane z wody i powietrza. Jęki Blessing zmieniły się w wycie bólu, a Sanglant poczuł piekące oparzenia na ramionach i cięcia, jak od ostrzy, na karku.

Rzucił się ku Anne, uderzając mieczem.

Cienie zamknęły się przed nią i za nim, wielkie kolumny ciemności, kołyszące się i drżące na niewidocznym wietrze. Brnęły ku niemu, bezcielesne demony, chcące złapać go w swe nie istniejące ręce. Ich głos brzmiał jak stłumione dzwonicie, a wszystkie szeptały jego imię.

Sanglancie, chodź z nami, a znajdziesz spokój.

Z całej siły wbił ramię w cień, zanurzając miecz głębiej, ale stwór nie ustąpił. W miejscu gdzie ramię Sanglanta zetknęło się z cieniem, zbroję i skórę przebiły setki lodowych igieł. Na odsłoniętych dłoniach wykwitła krew, czuł jej ciepło na całym ramieniu. Cofnął się i wpadł w palące zimno, które uderzyło go w plecy. Blessing wrzasnęła, przerażona jak każde małe dziecko, które odczuwa ból, ale nie zna jego przyczyny. Uderzył dziko w bok, próbując się uwolnić, ale jego miecz nie wyrządził cieniowi krzywdy. Szarpnął się, próbując uchronić córkę przed ich dotykiem.

Ale był otoczony. Ich wielkie postaci górowały nad nim, pochylały się, aż wreszcie przesłoniły niebo. Powietrze nabrzmiało klującym gorącym, ledwo mógł oddychać. Ich dotyk parzył mu głowę, z ust zlizywał krew. Krew z ran na twarzy i czaszce spłynęła mu do oczu, zaćmiewając wzrok. Kolczuga nie stanowiła żadnej ochrony. Ich bezcielesny dotyk przenikał przez zbroję i rwał ciało na strzępy. Blessing krzyczała i krzyczała.

--Odwolaj je! -- krzyknęła Liath w oddali. Widział ją, bo świeciła, nawet poprzez czarną substancję. Odrzucone drzewce strzały również błyszczało: złote pióro płonęło w ciemności i dawało Sanglantowi światło. Dobyła luku. Nałożyła strzałę, przesunęła palcem po ostrzu -- i drzewce zaczęły płonąć, płomienie skakały po całej jego długości. Naciągnęła cięciwę, wycelowała i zatrzymała się na moment, gdy *galla* zawirowały wokół niej, nie zbliżając się. Nie widział już Anne w ciemności, ale Liath tak. Liath słyszała krzyk Blessing. Wypuściła strzałę.

Poleciała, płonąc. I zatrzymała się w powietrzu, schwytana przez *galla* albo jednego z demonów Anne. Usłyszał, jak w oddali Resuelto skacze i galopuje ku drzewom, choć koń znajdował się przecież kilka kroków od niego.

--Nigdy ci nie pomogę! -- krzyknęła Liath. -- Uwolnij ich!

--Pozwolę im odejść, jeśli przysięgniesz pomagać Siedmiu Śpiącym -- powiedziała Anne zimno.

Usłyszał fałsz w jej głosie, wiedział, że Anne nie zostawi ich przy życiu. Ale brakowało mu tchu, by powiedzieć o tym Liath.

O Boże, czy te stwory właśnie rozrywały na strzępy Blessing przypiętą do jego pleców?

Kiedy padł na kolana? Spróbował unieść miecz, odpędzić je, ale jego ramiona pozostawały bezsilne, a wzrok się ćmił.

Blessing ciągle krzyczała, a jej wrzask stanowił potworny kontrapunkt dla bicia dzwonów, które grzmiało mu w uszach i zabijało inne odczucia, aż wreszcie w jego głowie dudnił ich głos, choć może był to jedynie jego zanikający puls.

Wśród nas znajdziesz spokój, księżę Sanglancie.

Powietrze wokół niego zakotłowało się i zasyczało. Strzała wbiła się w ziemię między jego dłońmi i nagle, uwolniony od ciemności, ujrzał nad sobą czyste niebo i mrugające gwiazdy. Druga strzała uderzyła w ziemię obok jego lewej ręki, wzniesając fontannę pyłu i kolejny *galla* zniknął, zdematerializował się z sykiem.

To nie były strzały Liath. Obdarzony tą dziwną, wybiórczą uwagą człowieka walczącego widział je wyraźnie: drzewce z nie znanego mu drewna, upierzone lotkami twardymi jak metal, które rozpoznał natychmiast z dreszczem niedowierzania. Gryfie pióra.

Trzecia strzała utkwiała po prawej i ujrzał jej ślad, delikatną niebieską poświatę przeszywającą stwory, które go atakowały. Czwarta strzała spadła na ziemię, krzesząc iskry. Miała wąskie kamienne ostrze, pełne zadziorów i śmiercionośne.

Ze środka kamiennego kręgu wytrysnęła błękitna poświata, jak para unosząca się z garnka. Ujrzał przez nią inne miejsce: potężny wał, wysokie marmurowe ściany, hebanową bramę na wpół otwartą. Z tej bramy wynurzyła się kobieta z łukiem gotowym do strzału i uczyniła tylko jeden krok, nim znów strzeliła. Pochylił się odruchowo, ale strzała przeleciała mu nad głową i usłyszał skwierczenie kolejnego *galla* wypędzonego z ziemskiej sfery.

Kobieta przyniosła ze sobą ciężki zapach morza, Sanglant czuł nawet sól na wargach; za nią z kamiennego kręgu wyłonił się mężczyzna prowadzący kuca. Strzały na jej cięciwie śpiewały, z każdego drzewca tryskały iskry i lśniły w powietrzu, a *galla* przestawały istnieć.

Podniósł się i usłyszał nagły, obrażony szloch Blessing; żyła. Ale głos Anne grzmiał już w ciemnościach. Zaskoczona przez niespodziewanego wroga nie została jeszcze pokonana. Niczym general zebrała swe siły i wezwała rezerwy: choć może rezerwy właśnie przybyły, wezwane z wyższych sfer. Ci, którzy służyli jej w Vernie, byli delikatni i płynni jak woda. Demony, które przybyły na jej wezwanie, były silniejsze: podobne ludziom, ale pozbawione twarzy, ze skrzydłami bladymi jak szkło. Nadciągnęły niczym dziki wiatr i rzuciły się na wroga Anne z siłą burzy. Ich przejrzyste ciała rozmyły się i zmieniły się w nawałnicę.

W takim wietrze kobieta nie mogła strzelać. Ale mężczyzna za jej plecami wyciągnął strzałę z kolczanu i trzymając ją za ostrze, zatoczył wokół siebie koło, a gryfie upierzenie zakreśliło łuk z niebieskich iskier.

Galla zakotłowały się wokół Sanglanta, Blessing znów zapłakała, a gdy on walczył, by się ruszyć, wydostać, ujrzał, jaką szkodę wyrządzały gryfie pióra: nie raniły demonów, ale przecinały więzi, których Anne używała, by utrzymać swe sługi na Ziemi. Jeden po drugim demony uciekały w górę i znikwały w nocnym niebie. Uwolnione od Anne.

Po to przybyli tu ci intruzi: by go uwolnić od Anne.

Rozpoznał już kobietę, widywał ją w snach. Wiatr wciąż w nią uderzał, ale ona również ujęła strzałę i, schylając głowę, z włosami rozwianymi niczym sztandar, wycinała sobie drogę ku niemu. Każde uderzenie uwalniało demony ze sznura, jakim były zaklęcia Anne. Sanglantowi wydawało się, że wiele sług Anne rzucało się dobrowolnie w wir swych towarzyszy, jakby w tym ataku -- lub obronie -- szukały wyzwolenia.

Schowal miecz i sięgnął ku strzałom wbitym w ziemię. Gryfie pióra pocięły mu dłonie, ale nie zważał na to. Nikt nie powie, że nie walczył do ostatniego tchu. Wściekle uderzał wokół strzałami. *Galia* cofały się, ale nie uciekały. Czy takie stwory w ogóle wiedziały, co to lęk? Czy rozcięcie ich ziemskiej powłoki sprawiło im ból? Czy jeśli zostaną pokonane, to ich duchy będą wiecznie wędrować, niczym upadli wojownicy, którzy stracili wiarę? Wiły się wokół niego, trzymane w szachu przez gryfie pióra, nic więcej. Z całej siły powstrzymywał się, by się na *galla* nie rzucić, tylko trzymać je z dala. Nie mógł pozwolić, aby znów dotknęły Blessing.

Z kręgu, który nakreślił wokół siebie strzałami, wyslizgnęła się jakaś blada postać. Zamachnął się, ale opanował, gdy rozpoznał płynny kształt. To była Jerna, drżąca, jej eteryczne usta krzywiły się i wyginały, jakby chciała mu coś powiedzieć, powstrzymywana przez nieznaną siłę.

Uderzył w jej bladą pierś. Srebrna nić podarła się w strzępy i zniknęła, a Jerna natychmiast skoczyła ku niemu. Zwinęła się, chłodna i delikatna, wokół jego ramion i krzyżącego dziecka. Szloch Blessing ustał i Sanglant, wciąż mając *galla* za plecami, otrzymał nieoczekiwaną chwilę spokoju, żeby rozejrzeć się po polu bitwy.

Trwało to bardzo krótko.

Anne stała przy jednym z kamieni z uniesioną laską; otaczały ją demony, na ich tle jej wyprostowana postać była dobrze widoczna. Nie widział Liath, tylko plamę absolutnej ciemności w miejscu, gdzie stała, jakby *galla* całkowicie ją pożarły. Na prawo Resuelto był między drzewami, których gałęzie chłostała wichura. *Galla* cofnęły się tylko z zasięgu gryfich piór. Odór kuźni był mieszaniną krwi tysięcy ofiar, były myśliwymi i nie zrezygnowały z łupu.

W oddali usłyszał huk lawiny. A potem znikąd zerwała się burza. Wiatr rzucił go na kolana, *galla* zadrżały pod naporem niezwykle silnego podmuchu. Burza wyla mu w twarz, aż w końcu czuł i słyszał jedynie jej zawodzenie. Nie mógł nawet podnieść głowy. Wiatr wpychał mu piasek w zaciśnięte zęby, dławił go pyłem, jakby na rozkaz Anne demony zamierzały odrzeć Ziemię do kości. Nawet *galla* nie mogły się zbliżyć do tego wiru.

--Liath! -- krzyknął, ale wyjący wiatr zagłuszył jego słowa.

A ona wezwała ogień.

Ogień rozkwitł nad głową Liath niczym skrzydła. Banda *galla*, otaczająca ją, zniknęła w rozbłysku; Sanglant ujrzał ją: otoczoną płomieniami, z uniesionym łukiem celowała w Anne, tak skupiona, że zdawała się nie zauważać niczego, co działo się wokół. Wydawała się nieświadoma, że jej ogień zapłonął na kamieniach, przeskoczył wyrwę niczym pożar lasu, chłonący drzewa, jedno po drugim, ręka Boga. Błękitna poświata, otaczająca na wpół widoczne marmurowe ściany -- kontury hebanowej bramy, przez którą przeszli intruzi -- wybuchła gwałtownym białym rozbłyskiem, który opalił mu włosy, choć przecież klęczał wiele kroków od niej.

--Sharatango, chroń nas! -- Głos zabrzmiał nieoczekiwanie donośnie. Silna dłoń chwyciła go za ramię i poderwała z ziemi. Spojrzał w oczy zielone niczym szmaragdy, jak oczy jego córki.

Jak jego własne. -- Co to za stworzenie? Uciekaj, synu! Uciekaj! Przywołuje ich! Nikt nie przeżyje tam, gdzie oni stąpną!

Wysoko w górze gwiazdy zdawały się rozwijać świetlne bicze, wyciągały ogniste ramiona. Kopuła nieba wybrzuszała się, jakby coś chciało się przedostać. A potem odnalazło bramę, która już została otwarta.

Wychynęło z hebanowej bramy: był to duch o skrzydłach z płomieni i oczach jasnych jak noże. Jego postać była olbrzymia i przerażająca. Tam, gdzie jego stopy dotknęły ziemi, płynęły strumienie ognia, zapalając trawę. Gdzie jego wzrok padał na kępy drzew, gęste letnie listowie po prostu wybuchało płomieniem jak zapalane pochodnie, a ptaki przerażone, bijąc skrzydłami, leciały ku skałom.

To niemożliwe, ale za nim tłoczyli się inni, przechodząc przez bramę do doliny, która wydawała się zdecydowanie za mała, by ich wszystkich pomieścić. Powietrze było upalne, świeciło złotym blaskiem bijącym z ich rozżarzonych ciał. Stado *galla* po prostu przestało istnieć. Przerażone muły zniszczyły bramę zagrody i uciekły.

Poniżej drewniany dwór stanął w płomieniach. Sanglantowi przez moment zrobiło się żal pięknego dzieła Heriberta, ale potem usłyszał odgłosy przestraszonych zwierząt i zawodzenie powietrznych służących, nadal skutych więzami Anne. Szopy zapłonęły. Krowy, kozy i świny rozbiegły się w ciemność. Za nimi podążyło dwoje ludzi.

Niewiarygodne, wieża też się zapaliła. Nawet kamień płonął. Na oczach Sanglanta dwie postaci wybiegły ze środka, przyciskając do piersi cenne książki. Odbicie wszechobecnego ognia lśniło na wznoszących się wokół górach i dopiero po chwili z przerażeniem uświadomił sobie, że to nie odbicie, tylko prawdziwe płomienie.

Nawet góry płonęły.

--Uciekaj, synu! -- Szarpnęła go, ale ją zatrzymał. Był od niej wyższy co najmniej o głowę. Kuc go popchnął, odruchowo złapał jego wodze i przytrzymał. Nie widział nigdzie jej ludzkiego sługi.

--Liath! -- krzyknął, ponieważ nie widział jej wśród ich jasności. Wziął oddech, by znów ją zawołać, ale gorąco sparzyło mu płuca i nie mógł wykrztusić ani słowa.

Ich głos uderzył niczym grom:

--*Gdzie jest dziecko?*

A potem ją znaleźli.

Ich skrzydła rozwinęły się w bezlitosnym pięknie i unieśli się ku niebiosom. Dźwięk ich skrzydeł odbił się echem od gór, wielki, tętniący ryk potopu, a noc rozjaśniła się i zapłonęła gorącym słońcem w środku dnia. Musiał zamknąć oczy, a potem osłonić je dłonią, bo światło parzyło nawet przez powieki.

A potem zgasło.

Otworzył oczy i ujrzał spustoszenie. Ogień się tlił, węgle żarzyły. Poczerniałe drzewa trzeszczały i pękały, gałęzie rozsypywały się w proch. Sięgnął dłonią i poczuł ukochaną gęstwinę włosów Blessing. Zadrżała pod jego dotykem. Rączka zamknęła się na jego palcu, dziecko zagaworzyło.

O Boże. Przeżyła.

Słodki oddech Jerny owionął mu dłoń, chłodząc skórę.

Kiedy tak stał, łapiąc dech, ujrzał, że na wschodzie niebo różowieje. Minęła noc.

--Sanglant. -- Dłoń, która zamknęła się na jego ręce, nadal była chłodna, nawet wilgotna, jakby pokryta warstewką wody. Jej głos był obcy, a jednocześnie bardzo znajomy. Czy to naprawdę jego matka stała przed nim, odziana jedynie w wystrzępioną spódnicę ze skóry, z jaskrawymi znakami wymalowanymi na nagiej skórze? -- Nie wiedziałam, że stworzyli tak starożytnego i niebezpiecznego wroga. Chodźmy.

Puścił uprząż kuca i pokuśtykał naprzód, ślizgając się w popiele. Nawet gleba była osmalona i spękana. Jedynie kamienny krąg pozostał nietknięty. Nie było ani śladu marmurowych ścian i hebanowej bramy. U podnóża jednego z kamieni leżała skurczona postać: Anne.

Liath zniknęła.

Może wiedział od pierwszej chwili, gdy ujrzał, jak przelamują bramę i wstępują w świat, który nie mógł ich pomieścić. Wyczuwał to już wcześniej, ale teraz naprawdę zrozumiał, jaki żywioł tkwił w Liath, niczym druga istota uwięziona w jej ciele.

Ogień.

--Sanglant, musimy iść.

Spojrzał na nią tępo.

--Dokąd chcesz mnie zabrać? -- zapytał. -- Dlaczego miałbym ci ufać? Skąd mam wiedzieć, że to nie ty sprowadziłaś te stwory, by nas zaatakowały i zabrały moją żonę?

Spojrzała na niego jak kobieta oceniająca konia, którego kupi tylko wtedy, jeśli jego temperament okaże się odpowiedni.

--Wybacz, synu. Powinniśmy darzyć się uczuciem, ale tak nie jest.

--Porzuciłaś mnie. -- Nie wiedział, że jest aż tak rozgoryczony. Aż do tej chwili nie wiedział, jak bardzo jej nienawidził za to, co zrobiła.

Jego gniew jej nie uraził.

--Porzuciłam cię, bo musiałam. Ponieważ musiałeś zbudować most między naszym rodzajem i ludzkością.

--Most czy miecz?

--O co ci chodzi?

--Czy nie macie zamiaru podbić ludzi, gdy już wrócicie na ziemię z wygnania?

Przechyliła głowę, spoglądając na niego zagadkowo.

--Nie rozumiem tego. Nie opuściliśmy Ziemi z własnej woli.

Dwór zapadł się z ciężkim westchnieniem. Popiół i dym wzbily się w niebo, szarpane przez demony, które fruwały po zniszczonej dolinie. Czy były wolne i zabawiały się swoim dawnym więzieniem, czy też nadal skuwało je zaklęcie Anne? Sama Anne, leżąca pod kamieniem, jęknęła i zadrżała. Poniżej zaszczekał pies, ujrzeli czarny kształt pędzący ku szczytowi wzgórza.

--Z nią nie chcę się więcej mierzyć -- powiedziała jego matka. Otarła sadzę z ust, splunęła i zawęszyła zupełnie jak pies. -- Sługa mi się już do niczego nie przyda.

--Umarł? Mamy go pochować? -- Ale on też podejrzliwie przyglądał się Anne; po prawdzie, dobry kapitan wie, że czasem lepiej wycofać się z szyku, nawet jeśli trzeba zostawić poległych.

--Chodźmy -- powtórzyła, jakby słysząc jego myśli. -- Czas się kończy. Zaprowadzisz mnie do Henriego? -- Choć mówiła zrozumiałym wendarskim, imię jego ojca nadal wymawiała po

saliańsku, z bezdźwięcznym „h” i krótkim gardłowym „ri”.

Gwizdnął i pocziwy Resuelto, cudem nietknięty, choć nieco osmalony, podbiegł do niego nerwowo, ciągnąc za sobą nieszczęsną kozę. Zdjął jej pęta z tylnych nóg, choć beczala oskarżycielsko i usiłowała zjeść mu ramię. Jej koźlę zniknęło, pożarte przez *galla*.

--Znam ścieżkę w dolinie, która powinna być otwarta, chyba że chcesz wyjść, jak przyszłaś. Przez kamienie.

--Tam, gdzie oni przeszli, ich ogień splątał stare ścieżki w nowy labirynt. -- Uniosła oszczep, potrząsnęła nim, a dzwoneczki przywiązane do drzewca zabrzęczały wesolo. -- Brama jest przed nami zamknięta.

--O Pani -- mruknął, ujmując wodze Resuelto i uspokajając zdenerwowanego konia; podał jej wodze.

--Nie, pójdę. Poprowadzę małego konia. -- Ostrożnie dotknęła główki Blessing. Jerna odsunęła się, owijając na szyi Resuelto. -- Ludzka krew jest tak płodna -- szepnęła jego matka jakby do siebie. Odwróciła się i wskazała las. Powietrze o świcie nadal było pełne dymu, niemal purpurowe. Niewielkie zwierzęta przemykały wśród spopielonych szczątków; gdy ruszyli ścieżką, zobaczył małe stworzonka wykopujące się spod nich: przerażone wiewiórki i oszołomione myszy, skrzeczące i nieme.

--Kim ona jest, ta kobieta, którą zabrali? -- zapytała jego matka.

Ale on zdołał jedynie pokręcić głową; furia i smutek zbyt go dławiły, by mógł mówić.

4.

Nie widziała. Nie słyszała. Ale nie była ani ślepa, ani głucha, tylko pławiła się w takiej jasności i ogłuszającym dźwięku, że wszystko zmieniło się w potop, jedną nutę, jeden ton, jedną nieobecność koloru, będącą czystym światłem. Nie była pewna, czy oddycha, czy w ogóle otacza ją jakieś powietrze, ale nie była martwa. Co dziwne, wcale się nie bała. Po raz pierwszy od lat wiedziała, że nie ma się czego bać. W dłoni, mocno zaciśniętej, czuła uspokajający dotyk łuku. Czubek krótkiego miecza, przyjaciela Luciana, dotykał jej uda. Kolczan strzał wisiał na plecach i gdy się poruszyła, skórzane rzemienie wpłynęło w obojczyk, przesuwając złoty torkwes ciężący na szyi. Kosmyk włosów laskotał ją w ucho.

Zamigotał błękit.

Chwilę lub tysiąc lat później znów go zobaczyła: błękitny błysk lapis-lazuli w pierścieniu, który dał jej Alain. Gdzieś, gdzie jej dłoń unosiła się tuż przed nosem albo tysiąc lig od jej ciała, kamień znalazł światło i sypał błękitnymi iskrami, a jej wzrok podążał za tą nicią.

Wznosili się. Czuła kierunek. Jej skrzydła uderzały mocno, równo z innymi, a ich odgłos był wszechogarniający jak huk wielkiej rzeki. Ale ona nie miała skrzydeł. Nieśli ją. Unieśli ją ze sobą, gdy wzbili się ku niebiosom.

Mówili do niej „dziecko”.

W mieście pamięci o siedmiu bramach, w wieży jej serca, w samym środku jej istoty znajdowała się komnata o pięciu drzwiach. Cztery znajdowały się na południu, północy, wschodzie i zachodzie. Tato nauczył ją wszystkiego: sekretów pamięci. Zbudowała w myślach tę komnatę zgodnie z jego wskazówkami. Ale piąte drzwi, niemożliwie umieszczone pośrodku pokoju, postawił on sam; przez dziurkę od klucza widziała jedynie ogień, który ojciec zamknął nawet przed nią.

Teraz wiedziała dlaczego.

Czym dzieckiem była?

Nad nią znów zamigotał błękit i gdy wyciągnęła jedną rękę, by dotknąć drugiej, ujrzała nie pierścień z lapis lazuli, ale olbrzymią zasłonę kołyszącą się w powietrzu, obramowaną białobłękitnym ogniem, mającą takie same kontury jak głaz gorejący, który widziała na Ziemi. Czy była to kolejna brama? Czy głaz gorejący był tylko jednym z wielu przejść między jedną sferą a drugą, jedną płaszczyzną egzystencji a innymi?

Jak miała przez nią przejść, skoro nie mogła ani iść, ani dosięść konia?

Powiedzieli:

--*Leć, dziecko.* - I puścili ją.

Ale ona nie miała skrzydeł.

Spadała. Powietrze nagle okazało się za rzadkie, by nim oddychać. Machając rękoma, zdołała nie upuścić swego cennego łuku. I gdy spadała, ujrzała pod sobą świat okryty gęstym dywanem czerni i tylko na zachodzie, gdzie na skraju pola jej widzenia niespokojnie szumiał ocean, dostrzegła cieniutką linię światła. Na tym olbrzymim kobiercu lśniło jednak siedem koron, siedem koron z siedmioma kolcami, jedna pośrodku, sześć wokół, rozrzuconych szeroko, jakby ta w centrum była osią, a reszta lśniącymi punktami na obwodzie koła. Natychmiast ją rozpoznała: gwiaździstą koronę cesarza Taillefera, rozciągającą się po ziemi, ogarniającą wiele królestw i niezliczonych lig. Było to olbrzymie koło, prawdziwa korona gwiazd. Stara mapa, którą ujrzała w Vernie, nagle nabrała sensu: siedem koron w siedmiu miejscach. Czy

tego koła użyli Aoi jako krosna, na którym utkali olbrzymi kataklizm dwa tysiące siedemset lat temu?

W tejże chwili, wciągając powietrze, którym nie mogła oddychać, zrozumiała, że umrze. A potem znów zapłonęły wokół niej te cudowne stworzenia.

--Jest zbyt ciężka, by przejść do wyższych sfer.

--Nie jest z tej samej substancji co my.

--Nie ma skrzydeł.

Wzięli ją między siebie i pod ich dotykiem doznała tak intensywnej radości, niepodobnej do niczego, czego już w życiu doświadczyła. Błyszczeni czystym ogniem, gwałtownym i jasnym, i drzwi, które zamknął przed nią tato, pochłonęły płomienie. Gdy się otwarły, po raz pierwszy ujrziała głęboko w swym sercu, w samym środku jaźni:

Ogień.

Nie tak gwałtowny jak ich, ale z tej samej substancji, nieprawdopodobnie złączony z ludzkim ciałem.

Czym dzieckiem była?

Dotarli do błyszczącej świetlistej zasłony, którą przekroczyła jak wodospad, opływały ją kaskady światła. Nie wznosiła się już. Wydało jej się, że wpada w wir, a oni zaczęli niknąć, jakby lecieli dalej, ona zostawała w miejscu.

--Czekajcie! -- krzyknęła. Ale byli już daleko, skrzydła uderzały, a w gładkiej muszli, gdzie wyższa sfera ząbebiała się z niższą, zabrzmiał głos:

--Chodź z nami.

W powietrzu płoną duchy o skrzydłach z płomienia i oczach jak noże. Poruszają się w eterze wiejącym nad sferą Księżyca, i za każdym razem ich spojrzenie pada, jak gorejąca strzała, jak błyskawica, na Ziemię w dole i spala wszystko, czego dotknie. Pochodzą ze starszej rasy i nie są tak delikatne. Ich ciała są oddechem Słońca przekształconym w umysł i wolę.

Nie może za nimi podążyć, jej serce pęka.

Kiedy blask ich obecności zniknął, zaczęła się rozglądać i przekonała się, że idzie niekończącymi się labiryntami, osmalonymi ich przejściami, błyszczącymi słabą błękitną poświatą. Znajdowała się w środku wizji w ogniu, na skrzyżowaniach między światami. Musiała odnaleźć drogę do domu.

Ale nie wiedziała nawet, gdzie ten dom jest.

Tam! Chłopiec śpi z sześcioma towarzyszami, z głowami złożonymi na kamieniach, spoczywając na wielkich górach skarbów.

Tam! Zniekształcone stwory czolgały się przez tunele, uwięzione w nich przez żywioł ziemi, tętniący w ich żyłach.

Tam! Umierający mężczyzna opierał się o głaz gorejący, a dwa wielkie psy lizaly go i szturchały, jakby te pieszczoty mogły przywrócić mu życie. Zadrżał, a ona, zrozpaczona i przerażona, rozpoznała go: był to Alain.

Skoczyła ku niemu, ale źle oceniła prądy w tym miejscu. Rzuciły ją na kamień, przez bramę, i zdołała jedynie schwycić Alaina, gdy go mijala. Złapała go za okryte kolczugą ramię...

Widzi kobietę odzianą w zimny płomień, jej ogniste dłonie wloką go bezlitośnie w bok, aż wreszcie wyzwala się i pada na ziemię. Leży tam, nie wie, jak długo, odrętwiały, oślepiiony bólem. Potem znów czuje liżące go języki, przywracające go, zawsze przywracające go do życia.

Szlochając, dźwiga się na nogi, nie mogąc ustać, bo rana jest tak głęboka, ale ich potężne barki dają mu oparcie. Wciąż jest w formie na wzgórzu, ale nawet otepiały z bólu widzi, że to nie jest to samo miejsce. Panuje kompletna cisza. Na ziemi nie leżą połamane i stratowane ciała. Nie brzmi róg, ludzie nie krzyczą z bólu, ryk wzbierającej rzeki nie wtóruje niskiemu pomrukowi grzmotu. Na wschodzie wstaje słońce, dzień jest ładny i przyjemny.

W dół wzgórza ciągną się imponujące okopy, niektóre świeżo wykopane. Tam, gdzie niska mgła wciąż okrywa równinę, widzi rzekę wijącą się poprzez rzadki zagajnik sosen i brzoź, tyle tylko, że rzeka nie płynie tak jak tamta, którą przekraczał rano. To zupełnie inna rzeka w tym samym miejscu. Dlaczego jednak fort na wzgórzu wygląda tak świeżo? Dlaczego w koronie na szczycie wszystkie kamienie stoją, skoro chwilę temu leżały zwalone na pokrytą porostami kupę?

Żaden głaz nie goreje pośrodku kręgu białobłękitnym ogniem. Zamiast niego widzi tam trawnik, tak przycięty, że trawa ma różną długość. Plamami koloru świecą w niej kaczeńce i bratki. Przysadziście kamienie otaczają bladofioletowe kwiaty lnu. Mgła okrywa najdalszą część wzgórza i wije się wokół najodleglejszych kamieni.

Na płaskim niskim glazie w centrum kręgu stoi wielki brązowy kocioł ozdobiony ptakami: czaplami i kaczkami, krukami i żurawiami. Z jego krawędzi wiszą kółka, każde złączone z drugim, do którego przymocowany jest brązowy liść. Czuje, że kocioł jest pełen wody. Jej czysty zapach drażni jego usta i nozdrza. Naprawdę nie ma powodów, by żyć. Nawet nie wie już, kim jest. Lepiej byłoby położyć się i spokojnie tu umrzeć, odsunąć złość na niesprawiedliwość losu, odrzucić żal za tym, co stracił i czego nie udało mu się dokonać. Ale jego nogi i tak się ruszają. Opierając się na psach, by nie upaść, kuśtyka ku kotłowi, ponieważ wie, że jeden łyk tej wody uleczy go, mimo iż chce umrzeć, bo ból jest tak straszny, ból fizyczny i ból spowodowany złością i żalem. A jednak stopy podążają uparcie, ponieważ nie pogrążył się jeszcze w rozpacz tak bardzo, by upaść i umrzeć. Zastanawia się, czy można za bardzo kochać życie.

Świat nie byłby taki piękny, gdyby nie stworzono go po to, żeby tyć i kochać.

Wydaje mu się, że idzie ku niemu kobieta. Gdy wynurza się z mgły pomiędzy dwoma głazami, widzi, że wcale nie jest kobietą. Czarne włosy opadają jej do pasa, skóra ma kremowy kolor wypolerowanego rogu. Coś jest nie w porządku z jej oczami: źrenice są w kształcie migdału, nie okrągłe, uszy też nie są owalne, tylko spiczaste, zakończone pędzelkami ciemnego futra. Gdzie talia przechodzi w biodra, jej ciało staje się ciałem klączy, szczupłym i czarnym jak włosy.

Jest najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział.

Zatrzymuje się przy kotle, zanurza w nim dłonie i unosi je. Pomiedzy jej palcami ścieka woda.

--Czy chcesz żyć? - Jej głos jest muzyką. - Jeśli chcesz żyć, musisz mi oddać wszystko, co ze sobą niesiesz. Dopiero wtedy możesz skosztować wody życia.

Chce żyć. Ale tak trudno oddać to wszystko, co ze sobą od tak dawna niesie.

Jego dłonie poruszają się jednak, ponieważ pragnie wody. Obietnica wody jest jak napar z dziurawca i maku, daje mu siłę, by odrzucić pas i buty, zdjąć kolczugę i kaftan. Cała lewa strona wełnianej tuniki przesiąknięta jest krwią, ale zrywa ją odrzuca wraz z nogawkami i klączy teraz nagi przed kotłem, a psy zlizują krew płynącą z jego boku. Ból i męczarnia pragnienia znieczuliły go, ledwie czuje ich języki i potworny, rozdzierający ból pod żebrami.

--Ale nie oddałeś mi wszystkiego - odzywa się ona, a on pojmuje, że jest tak w istocie. Nie

oddal jej sakiewki. Wisi mu na szyi, ciężąc jak ołów. Trudno jest podnieść ramiona, schylić głowę, zdjęć sakiewkę. Otwiera się, rozwiązana, a więdnąca róża pada na ziemię obok rdzewiejącego gwoźdźca.

--Ale nie oddałeś mi wszystkiego - mówi. - Nadal niesiesz ze sobą dwie rzeczy.

Wie, jaki jeszcze ciężar dźwiga, ale nie są to przedmioty, które można przekazać z ręki do ręki.

--Jak mogę ci je dać? - pyta, dysząc, bo krew wypływa mu z boku szybciej, niż Smutek i Furia zdolają ją zlizać. Krew ścieka po jego dolnej wardze, formując bąbelki z każdym oddechem. - Jak mogę złożyć ci przysięgę, którą złożył mój przybrany ojciec, a ja złamałem? Jak mogę dać ci kłamstwo, które powiedziałem Lavastine'owi, bo chciałem, żeby umierał w spokoju?

--Teraz są moje - odpowiada.

Odsuwa się wdzięcznie jak koń.

Tam, gdzie stała, Alain widzi młodą kobietę, klęczącą w pozycji głębokiej medytacji, tak nieruchomą, że musiała się tu znajdować przez cały czas, choć to absolutnie niemożliwe, by dwa stworzenia zajmowały tę samą przestrzeń w tym samym czasie. Młoda kobieta zdaje się go nie widzieć ani nie słyszeć rozmowy. Ubrana jest bardzo dziwnie, w dopasowany gorset z krowiej skóry z rękawami do łokci i wyszywanym kołnierzem oraz sznurkową spódnicę, przez którą widać uda. Jej nadgarstki opasują miedziane bransolety z głową łani, jej talię okrywa wspaniały, szeroki brązowy pas, ozdobiony złączonymi spiralami, zbity i zakrzywiony na krawędziach. Nosi naszyjnik z bursztynowych paciorków i złoty diadem, udekorowany delikatnie cyzelowanymi spiralami i złotymi rogami jelenia. W jednej dłoni trzyma wypolerowane obsydianowe zwierciadło, osadzone na rączce w kształcie jelenia. Ma zamysłony wyraz twarzy, ale to kontrast między zasnutymi smutkiem oczami a szerokimi ustami, które zdają się chętne do uśmiechu przy każdej okazji, sprawia, że jest piękna.

Potem kobieta-centaur wchodzi między niego i kociół, i nie widzi już klęczącej kobiety. Ledwo może zgiąć kark, by patrzeć w jej twarz. Bąbel krwi wykwita i pęka mu w nosie, płuca zalewa krew z serca. Wzrok mu się mąci, wyostrza, Alain się chwieje. Jej ciało góruje nad nim nie dlatego, że jest wielka jak wendarskie konie bojowe, ale dlatego, że zdaje sobie sprawę, iż ona nie jest śmiertelna jak on.

Wyciąga złożone dłonie i podstawia mu je do ust. Pije, woda spływa mu do gardła jak nektar.

Działa równie szybko jak nektar. Nie czuje już bólu w żebrach a szok uleczenia jest tak wielki, że Alain pada w przód. Czuje ukłucie róży na prawym policzku, gdzie uderzył twarzą w ziemię. Psy obwąchują go, a potem zadowolone siadają po obu stronach jego wyprężonego ciała. Jest taki zmęczony.

Ale żyje.

Słyszy poruszenie, a chwilę później kobieta wykrzykuje zaskoczona. Jej dłoń dotyka jego nagich pleców z czułością zarezerwowaną dla kochanków.

--Oto mąż, którego ci obiecałam, Adico - mówi kobieta-centaur. - Przybył z innego świata.

--Czy przybył z krainy umarłych? - Ten nowy głos, całkowicie ludzki, tuż przy jego uchu, jest niski, lekko ochryply, niemelodyjny; to głos kobiety, która jest na tyle odważna, że pójdzie z otwartymi oczami w ramiona śmierci.

--Rzeczywiście, przemierzał krainę umarłych. Ale teraz jest tutaj.

Jej dłoń spoczywa przyjemnie na krągłości jego prawego ramienia, jakby miała zamiar obrócić go i przekonać się, jak wygląda. Ale odzywa się i jej głos załamuje się lekko:

--Czy on zostanie ze mną aż do mej śmierci, Święta?

--Zostanie z tobą aż do twej śmierci.

A potem straciła go z oczu i poleciała głową naprzód, a twarde lądowanie na kolanach pozbawiło ją tchu. Jej łuk leżał tuż obok na piaszczystej ziemi. Gałęzie szumiały na suchym wietrze, złociste pióro opadało powoli i zatrzymało się na jej dłoni. Wstała, kaszląc.

--Proszę, proszę -- powiedział czarnoksiężnik Aoi, podnosząc się; na wpół spleciona lina spadła na ziemię. -- Tym razem mnie zaskoczyłaś.

--Nie zamierzałam tu przybyć -- przyznała. Musiała się pochylić, opierając dłonie na udach, by złapać dech. Powstrzymać szloch, który nią wstrząsał. Chciała płakać, ale jedna z lekcji taty, której nauczyła się tak dobrze, że weszła jej w nawyk, brzmiała: „Jeśli będziesz płakać, nie usłyszysz, jak zakradają się od tyłu”.

O Boże. Nie mogła nic zrobić dla Alaina. Ale musiała być silna, by odnaleźć Sanglanta i Blessing; musiała być silna, by im pomóc. Wstała, odetchnęła głęboko, wsadziła pióro za dekolty, otrzepała piasek z kolan i dłoni. Odruchowo sprawdziła swoje rzeczy: łuk, kolczan, miecz, sztylet, płaszcz, pierścień od Alaina, torkwes, który dał jej Sanglant. Jediną rzeczą, jaka łączyła ją z Blessing, była krew.

--Chciałam opuścić Verne -- ciągnęła wciąż oszołomiona odejściem stworzeń, które chciały zabrać ją ze sobą. -- Ale nie wiedziałam, że trafię tutaj.

--A jednak tu jesteś.

--Jestem -- zgodziła się. -- Ale... -- wahała się.

--Wciąż jesteś związana z innym światem -- powiedział, bez gniewu, bez irytacji, bez radości. Po prostu stwierdzał fakt.

--Jestem wciąż związana z innym światem. -- Nie zastanawiając się, włożyła dłoń w białobłękitny ogień na kamieniu i spojrzała wewnątrz.

Opiera się o skałę i pozwala, by ogrzewało go cudowne ciepło słońca. Wyszli z doliny jakąś godzinę po świcie i, słysząc wokół śpiewające ptaki, mając ze sobą matkę, rozumie, że wolny jest od siostry Anne, jej gróźb i jej wojny. Ale jak może się uwolnić od tej wojny, skoro wie, że lud jego matki zamierza powrócić na Ziemię z miejsca ukrycia czy też wygnania? Prawda, jego matka pragnie udać się do Henryka. Ale co mu powie? I co powie jego ojcu? Czyjej opowieści ma wierzyć? Po czyjej stronie stanąć?

Otwiera oczy. Resuelto i kuc skubią trawę porastającą zbocze. Poniżej dym unosi się z kuchni schroniska, widzi postacie w habitach biegające tu i tam. Mnisi się dziś denerwują. Nawet pszczoły się denerwują, latając wokół kwiatów, ale nie siadając, by pić nektar.

Jego matka kuca przy ścieżce, oszczep wbiła w ziemię u swych stóp. Z ramionami opartymi na kolanach pilnie obserwuje Jerne, która karmi Blessing. Widok ten najwyraźniej ją fascynuje, choć Sanglant nie jest pewien dlaczego. Zanim ublażał ją, by odziała się w zapasową tunikę Liath, przekonał się, że elfki pod pewnymi względami wcale się nie różnią od zwykłych kobiet.

O Boże. Gdzie jest teraz Liath? Nasłuchuje, ale nie udaje mu się jej usłyszeć.

Wyobraża sobie, że woła do niego poprzez otchłań niebios.

--Sanglant - mówi. - Ukochany.

Blessing odrywa głowę od piersi Jerne i gaworzy, machając ręką w powietrzu, jakby chciała

złapać coś, co tylko ona widzi. On nie widzi i nie słyszy niczego.

--Placzesz, dziecko -- powiedział starzec, kładąc jej współczująco dłoń na ramieniu.

--Placzę -- zgodziła się. Ale tym razem pozwoliła łzom płynąć.

--Rzeczywiście, jest w tobie coś więcej, niż się zdaje na pierwszy rzut oka. -- Spojrzał na głaz gorejący ze zmarszczonym czołem; światło zamigotało i zaczęło zamierać. -- Ja mogę widzieć przez bramy, jedynie używając mocy krwi. A ty po prostu patrzysz i widzisz.

Zaskoczona odwróciła się do niego.

--Myślałam, że jesteś wielkim czarownikiem. Czy nie możesz nauczyć mnie wszystkiego, co muszę wiedzieć?

Uśmiechnął się i odszedł, usiadł na swej kamiennej ławce. Podniósł linę i znów zaczął zwijać sznurki na udzie.

--Tak naprawdę tylko jedna osoba może cię nauczyć wszystkiego, co musisz wiedzieć: jesteś nią ty sama. Jeśli chcesz się ze mną uczyć, musisz być cierpliwa. Teraz -- wskazał płonący kamień. -- Musisz dokonać wyboru: tu albo tam. Brama się zamyka.

Płomienie przygasły jeszcze bardziej, przypominały zmarszczki przepływające po powierzchni kamienia.

Wciąż płakała, łzy spływały po jej policzkach.

--O Pani! Co ja mam zrobić? Jak mogę ich opuścić?

A jednak cały czas wiedziała, że może do tego dojść. Nigdy nie żałowała wyboru, jakiego dokonała wcześniej i wiedząc to, co wtedy, dokonałaby go jeszcze raz: wróciłaby do Sanglanta.

Ale teraz wiedziała o wiele więcej.

Teraz wiedziała, kim byli jej wrogowie. Ta decyzja została podjęta w chwili, gdy Anne próbowała nastawić ją przeciw Sanglantowi, kiedy Anne udowodniła, że jest skłonna pozwolić umrzeć swej wnuczce. Ta decyzja została podjęta, gdy brat Marcus powiedział im, że Hugo opanował magię kamieni. Ta decyzja została podjęta, kiedy Anne przyznała, że to ona przyzywała i rozkazywała demonowi, który zamordował tatę. Decyzja została podjęta w tej wspaniałej chwili, kiedy oni wyłonili się z bramy i nazwali ją „dzieckiem”.

--Nie przydam się ani jemu, ani innym, dopóki nie nauczę się kontrolować mej mocy -- rzekła cicho. -- Uważali, że powinnam mieć skrzydła, i jeśli to prawda, muszę je odnaleźć albo dowiedzieć się, o co im chodziło i kim oni są.

Podeszła do starego czarownika, odłożyła broń i usiadła u jego stóp. Bez słowa podał jej włókna konopi i wrócił do zwijania sznurków w linę na swym udzie. Odczekała chwilę, przekonana, że jak Severus zacznie ją pouczać. Ale tego nie zrobił. Po prostu zwijał konopie w linę, nucąc pod nosem.

Za nią głaz gorejący zamrugał, przygasł i wreszcie ostatni błysk błękitnego światła zniknął w głazie, który stał się ciemną kolumną, niemą i twardą jak skała. Powoli, niezdarnie, myląc się wiele razy, zaczęła zwijać cienkie, pojedyncze włókna w mocny sznur.

Epilog

O poranku, trochę po świcie, wyczołgując się z kryjówki za głazem, który osłonił go i ocalił mu życie, Zachariasz spotkał smoka. Stworzenie rozciągnęło się od jednego końca doliny do drugiego. Ze szczytu górskiego, na którym spoczywał jego ogon, spływały pióropusze śniegu i lodu. Wielki leb parskał i dyszał ponad krawędzią otaczającą dolinę od południowego wschodu. Z jego nozdrzy spadały iskry niczym tysiące gwiazd. Jego brzuch miał kolor siarki, a każdy szpon zakończony błyszczącą stalą był wielki jak dom. Złote łuski zachodziły tak ściśle jedna na drugą, że wydawały się szeregami nieprzeniknionych, błyszczących tarcz. Leżał tak godzinę albo i dłużej, a Zachariasz klęczał, porażony zachwytem i strachem, i patrzył na błyszczące zwoje brzucha i chmury unoszące się ze szczytu.

A potem, z hukiem niczym grzmot, wzbil się w niebiosa i zniknął w rozbłysku światła.

Po chwili Zachariasz wypełził z kamiennego kręgu i znalazł strumień, w którym obmył twarz i ukoił zaczerwienione dłonie. Za poczerniałym sitowiem wędrowały bez celu dwie kozy, a on był za bardzo wnukiem swej babki, by je tam zostawić. Użył swego sznurkowego pasa jako linki.

Mniej więcej w tym samym czasie ujrzał w dole zrujnowane wieżę i dwór, i uświadomił sobie, że w dolinie byli też inni ludzie. Ukrył się wśród drzew i patrzył, jak dwóch mężczyzn i trzy kobiety ratowali z ruin, co tylko mogli. Wydawali się zagubieni, jakby nie byli przyzwyczajeni do podawania, noszenia, sortowania i wiązania.

Nie miał powodu, by im ufać, nie po tym, co zaszło. Ukrył się w lesie. Po jakimś czasie, z pomocą kóz, dotarł na łąkę wysoko na północno-zachodnim zboczu. Tam, w starej chatynce na przesiece, znalazł kilka cennych przedmiotów: sznur, starą skórzaną podeszwę, garnczek, orzechy laskowe i pomarszczony agrest, upchnięte w woreczku, oraz podarty kawałek pergaminu z diagramami i cyframi. Zachariasz nie potrafił czytać, pisać ani rachować. Biskupina w Machteburgu wyświęciła go na fratra, bo miał niezawodną pamięć: przepytywany bez zajknięcia recytował różne nabożeństwa, które odprawiali księża, oraz poważne przypowieści, którymi miał nawracać pogan.

Choć nie mógł rozszyfrować zapisków, siedział przez chwilę w chatce, studiując kartkę, a kozy pasły się na zewnątrz w jeżynach i pokrzywach. Ktoś narysował koła i orbity, i grupy gwiazd podobne do konstelacji, które pokazywała mu babka: Psa Gończego, Jelenia, Dzikiego Kozła, Królika. Matki Kościoła nadały konstelacjom nowe nazwy, a jednak wszystkie te mądre kobiety i mężczyźni przekazali niezbywalne prawdy: że pięć gwiazd wędrowało w niebiosach przez wstęgę gwiazd znaną jako ziemski smok, że Słońce i Księżyc poruszały się na północ i na południe latem i zimą, że pora roku i godzina nocy mogą być określane według obracającego się koła gwiazd.

Tutaj, w tej dolinie, do której przyprowadziła go Kansi-a-lari, ktoś rozmyślał i śnił o dalekim kosmosie i obrotach ciał niebieskich. Może jej syn był uczonym, a może ta piękna kobieta, którą po raz pierwszy ujrzał w wizji w pałacu spirali, a potem w chwili jaśniejącej chwały, nim otoczyły ją ogniste demony i na swych skrzydłach dźwignęły ku niebiosom. Może te postaci przemykające przy wieży były uczonymi, ale nie mógł im ufać po tym, jak próbowali go zabić. A poza tym dlaczego mieliby ukrywać ten skrawek tutaj, skoro mieli do dyspozycji piękną wieżę i dwór, w których mogli wygodnie pisać i rozmyślać?

Bez wątpienia nie powinien był tak długo zwlekać. Nie wiedział, co zamierzali ci ludzie na

dole, postawieni w obliczu kompletnego zniszczenia. Wsadził skrawek do garnka, odciągnął kozy od uchtowania i znalazł wąską, wyraźnie oznakowaną ścieżkę, prowadzącą w górę przez zwałowisko głazów. Podążył nią na szczyt wzgórza, prosto w ramiona trzech wystraszonych mnichów.

Źle mówili po wendarsku i choć Zachariasz znał dariyański na tyle, by płynnie recytować liturgię, trudno mu było zrozumieć niewyraźną gadaninę o płonących górach i omenach na niebie. Spróbował zniechęcić ich do podążania ścieżką do doliny, ale mu się nie udało. Najwyraźniej aż do dziś nie zdawali sobie sprawy z istnienia doliny, choć schronisko klasztorne, którym się opiekowali, wybudowała pięćdziesiąt lat temu poprzednia generacja mnichów.

Wskazali mu schronisko. Ponieważ było już po południu, a on od trzech dni nie jadł, ruszył ścieżką bardziej nadającą się dla kozic niż ludzi i doszedł do dobrze utrzymanej kamiennej drogi, która prowadziła aż do bram klasztoru. Odźwierny był albo małowówny, albo zbyt oszołomiony wydarzeniami ostatniej nocy. Pokazał Zachariaszowi drogę, a ten z pewnym wysiłkiem, bo w głowie mu się kręciło, zostawił kozy pod opieką zaafierowanego stajennego i ruszył do schroniska. Tam z ulgą opadł na krzesło, a ochmistrz przyniósł mu miskę parującej potrawy z fasoli, okraszonej dużą ilością masła.

--Dziwne to czasy -- powiedział, kiedy Zachariasz skończył posiłek i popił potrawkę kubkiem bardzo mocnego wina. Mówił dobrze kilkoma językami, między innymi wendarskim.

--Są tu dzisiaj inni goście?

--Nie, nikt dzisiaj nie pytał o schronienie, bracie, chociaż słyszałem, że godzinę po świcie widziano na drodze mężczyznę i kobietę. Obawiam się jednak, że biedny brat Konrad znów ma zwidy, ponieważ mówił, że mieli nieludzkie twarze, choć odziani byli w ludzkie ubrania. Mężczyzna nawet był uzbrojony, jechał na koniu, ale miał potworny garb na plecach jak jakiś demon.

--Ach -- rzekł Zachariasz ostrożnie. -- Mam nadzieję, że się nie natknę na tę parę. Pojechali na południe czy na północ?

--Północ, tak mówiono. Skąd przybywasz, bracie? -- Dał znak, a jego młody pomocnik napelnił kubek Zachariasza.

--Ze wschodu.

--Gdzieżeś wczoraj nocował? Widziałeś wielki ogień na górach? Widziałeś smoka? Powiedziane jest w *Objawieniu* świętej Joanny: „Biada tym wszystkim, co na ziemi i morzu, bo gdy smok nadejdzie, czasu będzie mało”.

Zachariasz natychmiast miał dylemat. Co miał temu człowiekowi powiedzieć? Miał być uczciwy czy ostrożny? Pewnie go zwiążą i wyślą na południe, na sąd skoposy, za imanie się czarnej magii, jeśli tylko powie, co robił i myślał. Ale nie mógł już usprawiedliwić przed samym sobą hipokryzji, jaką było udawanie, że się z nimi zgadza.

--Wierzycie, że smok jest tylko omenem jakiejś wielkiej katastrofy?

Ochmistrz rzucił mu dziwne spojrzenie.

--A niby co mogła ta wizja oznaczać?

--Nie widzieliście, jak wzbil się obok nas w powietrze, wzleciał ku niebiosom i zniknął? To na pewno nie jest znak. Na pewno widzieliśmy po prostu żywe stworzenie, nienawykłe do ciasnoty na Ziemi, które wczoraj zdołało pokonać sfery z powodu wielkiego poruszenia w niebiosach. W sferach są przejścia, przez które mogą podróżować istoty cielesne...

Ochmistrz wstał tak gwałtownie, że aż przewrócił ławkę.

--A co to znowu za herezja? Matki kościoła uczą, że tylko bezcielesne dusze potrafią podróżować po drabinie sfer.

--Nieprawda! -- sprzeciwił się Zachariasz. -- Mogły w to wierzyć, ale nie wiedziały wszystkiego. Jeśli stara wiedza jest niekompletna albo nawet mylna, dlaczego jej z całym szacunkiem nie pochować i nie ustawić na honorowym miejscu naszych prawdziwych odkryć?

--Odrzucasz mądrość matek kościoła? Twierdzisz, że posiadasz wiedzę, której im odmówiono?

--Miałem wizję kosmosu! Widziałem w niej wiele cudownych rzeczy, ale nie widziałem Komnaty Światła, tylko wielkie stworzenie, tak olbrzymie, że nie miało ni początku, ni końca. I pomyślałem wtedy, że zbyt mali jesteśmy, by pojąć Boga. Nie możemy nazwać Boga ani żadnych bogów. Taki kosmos jest niepoznawalny, nieopisany. Ale w obliczu łaski nie jesteśmy bezradni. Może zrozumiemy, w jaki sposób smok wzbija się i opada, i po jakimś czasie będziemy potrafili uczynić to samo. Możemy się nauczyć, dlaczego gwiazdy obracają się tak, a nie inaczej, dlaczego...

--Majaczysz -- rzekł zimno ochmistrz. -- Widzę, że nasz dobry ojciec Lentfridus miał dziś rano słuszną, gdy na prymie mówił, że znaki niosą ze sobą chaos i nieszczęście. On się z tobą rozprawi, ponieważ ja nie mogę. Choć, Wigo, zostałeś splamiony.

Wyszedł bez słowa, a biedny pomocnik, z wytrzeszczonymi oczami i rozwartymi ze strachu ustami, pośpieszył za nim.

Cóż. Pewne rzeczy się jednak nie zmieniły. Jego szybki i niewyparzony język wpędził go przecież w kłopoty wśród Qumanów. Ale nie żałował swych pełnych namiętności słów. Potwierdziły tylko myśl, która kształtowała się w jego głowie od chwili, gdy ujrzał smoka.

Stracił męskość i honor, został upokorzony i zawstydzony. Stracił swą prostą wiarę w Jedność i z tego powodu nie miał ochoty wracać do domu, gdzie po raz pierwszy zaprzysiął jej wierność.

Ale coś zyskał: nową wizję kosmosu, który nie był miejscem, gdzie Bóg w Jedności rządził w chwale ze statycznego, nieruchomego tronu, a bogowie jego babki w zamian za ofiary rozdawali błogosławieństwa i kary, ale kosmosem, w którym wszystkie rzeczy są prawdziwe, a jednocześnie fałszywe, miejscem znacznie bardziej majestatycznym, duchowym i tajemniczym, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał.

I nie był jedyną osobą, która starała się zrozumieć nowe pojęcia. Przynajmniej jeszcze jedna osoba pisała na pergaminie, a on w tych znakach rozpoznawał raczej pytania niż odpowiedzi. I choć Kansi-a-lari go porzuciła, bo myślała, że nie żyje, albo też nie był jej już potrzebny, wiedział, że musi za nią iść, nie dla niej, tylko z powodu jej syna. Jej syn będzie wiedział, kto pisał na kawałku pergaminu.

Uznał, że lepiej nie czekać na powrót ochmistrza, który przyprowadzi opata, a ten rzuci się na niego z wściekłością obrażonego pana, dzierżąc w dłoni broń jedynej słusznej religii. Babka zawsze uczyła go praktyczności. Wobec tego zebrał swoje rzeczy i ruszył ku stajniom. Z kozami, które były towarzyszami upartymi i raczej agresywnymi, z porządnym posiłkiem w żołądku, ruszył starą kamienną drogą na północ, śladami księcia.

Table of Contents

CZEŚĆ PIERWSZA

2.

3.

4.

5.

6.

7.

1.

2.

3.

4.

1.

2.

3.

4.

5.

1.

2.

3.

4.

1.

2.

3.

4.

1.

2.

3.

4.

5.

6.

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

CZEŚĆ DRUGA

2.

3.

4.

[5.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[Epilog](#)